



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt I.

Styczeń 1899 r.

W E L W O W I E

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

Z Drukarni E. Winiarza

1899

<http://rcin.org.pl>

TREŚĆ.

	str.
I. Do czytelników	1
II. Bojomir, poemat dramatyczny Karola Brzozowskiego	2
III. Poeta-Farys, Sylwetka jubileuszowa przez Stanisława Schnür-Pepłowskiego	7
IV. Emerson i Mickiewicz przez Piotra Chmielowskiego	11
V. Iskra w popiele, nowela Alberta Wilczyńskiego .	20
VI. Fraszka, wiersz Rodocia	29
VII. Rzeźba	29
VIII. Malarstwo	33
IX. Muzyka	35
X. Teatr	41
XI. Literatura	45
XII. Z Koła Literacko-Artystycznego	49

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO.

Rocznik I. — 1899.

Redaktorowie

Stanisław Schnür-Peplowski i Michał Rolle.

WE LWOWIE

Z drukarni E. Winiarza

1899.

SPIS RZECZY.

A. Proza.

Do Czytelników	1
Stanisław Schnür-Pepłowski: Poeta-Farys	7
Piotr Chmielowski: Emerson i Mickiewicz	11
Albert Wilczyński: Iskra w popiele. Nowela	20
Jan Styka: Konkurs Mickiewiczowski we Lwowie	29
Jan Łada: Siemiradzkiego »Dirce chrześcijańska«	33
Ks. Jan Badeni: Co z nami będzie?	51
Dr. Franciszek Krček: Twórca odrodzenia ceskiego	54
Dr. K. J. Nitman: »Diverti nescio«	57
Tadeusz Korzon: Pan Tadeusz i Berezyna	63
Prof. Michał Lityński: Z naszego salonu	70
H. Siemiradzkiego: List	74
Michał Rolle: Ks. Jan Badeni. Wspomn. pośm.	98
Stanisław Schnür-Pepłowski: »Nasza mołytwa«	103
Anna Neumanowa: »Abu-el-Hol« (Ojciec strachu)	107
Ks. J. Nuckowski: Co to jest człowiek?	114
Wł. Bełza: Kartka Goethego ofiarowana Mickiewiczowi	114
A. Bienkowski: Rok Mickiewiczowski	151
Stanisław Bełza: Ty jesteś opoka	154
Michał Rolle: Poeci-żołnierze	155
Jan Zacharyasiewicz: Dziwny człowiek	162
Szukiewicz Wojciech: U Augustynowicza	171
Br. G.: W pięćdziesiątą rocznicę	201
W. N. »Wszystkie polskie dzieci są moimi dziećmi«	204
Izydor Kuncewicz: Czworo	209
Kazim. Twardowski: Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie	211
Jan Gall: Moja wizyta u Brahmsa	239
Dr. Ludwik Rydygier	253
Ostaszewski-Barański: Kawał literata	255

IV

Ludomił German: We mgle	261
Stan. Niewiadomski: Pieśń polska i St. Moniuszko	278
W sprawie dyrektury gal. Towarzystwa Muzycznego	301
Franc. Rawita-Gawroński: Jubileusz A. Puszkina	304
T. T. Jeż: Proboszcz z Warki 311—314 i 352—355	
Kazim. Skrzyński: Kazimierz Kamiński. Sylwetka	315
Fr. Zwilkoński: Lwowianka. Monolog	318
St. Schnür-Pepłowski: Książę-gubernator	320
S. P. Tadeusz Rybkowski. Sylwetka	329
St. Niewiadomski: »Metamuzyka Chopina«	337
Michał Rolle: Bolesław Ładnowski. Sylwetka	339
» Józef Majer. Wspomnienie pośmiertne	347
Michał Grek: Zbrodniarka	358
Stanisław Tomkowiec: Kilka typów	365
Izydor Kuncewicz: Marcei Harasimowicz i jego szkoła malarstwa	380
Ruszkowskiego autobiografia	390
St. Schnür-Pepłowski: Swoje znać trzeba	395
Władysław Mickiewicz: Nieznany list Słowackiego	397
Aleksander Czołowski: Po cecorskim pogromie	400
Bolesławicz: Pani Walerya. Nowela	403
Dr. Jan Stella Sawicki. Inteligencya u roślin 408—416 i 461—467	
Ignacy Nikorowicz: Z Rzymu	416
Adolf Nowaczyński-Neuwert: Juliusz Zuber. Sylwetka	419
St. Schnür-Pepłowski: Włodzimierz Dzieduszycki. Wspo- mnienie pośmiertne	443
Jan Zacharyasiewicz: Bez honoru	446
A. B. D.: Pamięci Juliusza	455
Wspomnienia z Bayreuth	468
Adolf Nowaczyński-Neuwert: Władysław Wankie. Sylwetka	471
Stanisław Niewiadomski: »Fryderyk Chopin«	493
G. Zapolska: Fioletowe pończochy	499
P. »Svetozar Hurban-Wajanski«. Sylwetka literacka	504
Kazim. Rojan: Maciej kowal. Dramat w jednym akcie	508
Mre. J. A. Kisielewski. Sylwetka	532
Mickiewiczowska rocznica	541
Bezstronny: Mieczysław Syltys. Sylwetka	542
Anna Neumanowa: Duchy morza. Baśń	546
K. J. Nitman: W palącej sprawie	551
Z t: Myrtha. Z zapisków malarza	557
Iz. K.: »Michał A. Sozański«. Sylwetka artystyczna	567
Muzyka. (Niewiadomski, M. M. Biernacki, S. Berson, Wal. Wysocki, St. Kuczkiewicz) 35—41; 75—83; 125—136; 174—186; 232—239; 272—278; 332—336; 386; 424—428; 476—480; 526—531; 571—576.	

- Z Pragi Czeskiej. (Dr. B. Prusik) 163, 268, 328, 519, 571.
 Notatki z Krakowa. (Kaz. Czapelski): 67, 119, 164, 216,
 266, 324, 378, 470, 520, 562.
 Malarstwo i rzeźba. (M. Lityński, Izydor Kuncewicz);
 122—125; 168, 219—223; 270, 386, 423, 524.
 Teatr. (Dr. Eug. Barwiński, Stan. Pełowski, Roman
 Poliński, Michał Rolle): 41—45; 83—88; 136—138;
 186—192; 224—232; 285—290; 339—342; 389, 428,
 481—48b; 533—536; 577—583.
 Literatura: 45—49; 88—96; 138—145; 192—198; 243—249;
 291—297; 343—346; 392; 430—438; 536—539; 584—587.
 Z Koła literacko-artystycznego: 49, 96—98; 145, 198, 250,
 346, 486—490; 539, 587.
 Kronika żałobna: 146—150; 200, 251, 297, 346, 394,
 438—442, 490, 540.

B) Poezye.

Karol Brzozowski: Bojomir. Prolog dramatyczny	2
M. Rodoć: Fraszka	29
J. Vreklicky: Skolie, przekład polski A. U.	52, 53
Zawrat: Na starym chórze	62
» Kwiecień	161
» Beatrice	397
» Dekadentce	519
Autor »Strof: Trzy pomniki	66
Aureli Urbański: Warchoł, poemat desperata	105
A. N. Sfinx	118
M. Rodoć: Z chwili	154
L. G. Dziubiński: Na wiosnę	204
Carducci (tłóm. Julian Mors z Poradowa) Walkirie	207
Jan Miodoborski: Ty się nie pytaj!	211
Wład. Bełza: Wiersz	255
Anna Neumanowa: W czerwcową noc	260
Fr. Galiński: Z cyklu sonetów	265
Marya Bełzowa: Pożegnanie konwalii	303
K. Ujejski, Marya Bartus, Wł. Bełza: Z albumu	309
Seweryna Duchyńska: Stara chata	351
Adam Stodor: »Baldachim liści szemrze ponad nami«	355
Adam Bełcikowski: »Królowna Szklanej góry«. Fragment	373
Wład. Bełza: Rada	400
M. Rodoć: Fraszka	446
Pożegnanie Ojczyzny	459
Ks. Alred Wróblewski: »Módl się za nami«	498
Julian z Poradowa: Rossyjski żołnierz	545
Anna Neumanowa: U piramid	557

Ilustracye.

a) Portrety.

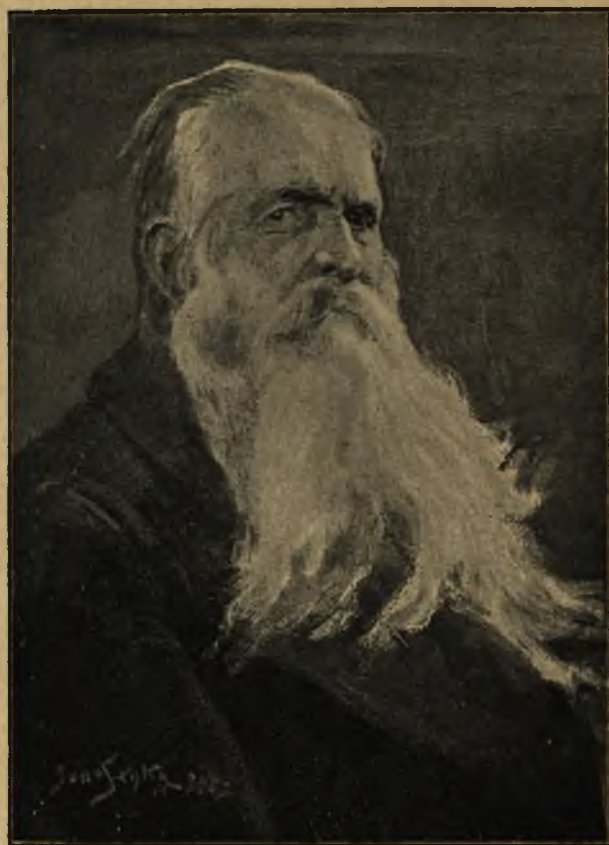
Karol Brzozowski	
Jarosław Vrehlicki	
Ks. Jan Badeni	99
Platon Kostecki	
Juliusz Kossak	148
Adam Mickiewicz	
Cypryan Godebski	157
Gen. Wincenty Szeptycki	159
Jan Styka	168, 221
Leon hr. Piniński	175
Juljusz Słowacki	
Klementyna z Tańskich Hoffmanowa	205
Eliza Rulikowska	208
Gabryela Zapolska	230
Leonard Marconi	251
Dr. Ludwik Rydygier	
Józef Kotarbiński	266
Stanisław Moniuszko	279
Rudolf Schwarz	297
Aleksander Puszkina	305
Kazimierz Kamiński	315
August ks. Lobkowicz	321
Tadeusz Rybkowski	329
Bolesław Ładnowski	339
Tadeusz Pawlikowski	342
Józef Majer	
Marceli Harasimowicz	381
Zyplikiewicz	382
Ryszard Ruszkowski	391
Juliusz Zuber	419
Władysław Kozłowski	438
Adolf Abrahamowicz	439
Włodzimierz hr. Dzieduszycki	
Fryderyk Chopin	
Svetozar Hurban-Wajański	505
Mieczysław Sołtys	543
Michał Adam Sozański	567

b) Różne.

Kolumna Mickiewiczowska we Lwowie	31
Henryka Siemiradzkiego »Dirce chrześcijańska«	73

Zygmunta Rozwadowskiego: »Wincenty Szeptycki pod Rioseco«	123
W pracowni Augustynowicza	172
Jana Styki »Przysięga Witolda«	213
» » »General Bem	225
Michała Sozańskiego »Kat Diederych«	271
T. Rybkowskiego »Jarmark w Bieczu«	331
Marc. Harasimowicza Krajobraz	383
Pomnik Jana Sobieskiego we Lwowie	
Juljana Zubera »Opowiadanie urlopnika«	421
Władysław Wankie w swojej pracowni	473
Wł. Wankiego »Marabut myśliciel«	475
Michała Sozańskiego »Nagonka«	569





Jan Jędrzejewski

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro,
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt I.

Styczeń 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

Z Drukarni E. Winiarza

1899.

Skład główny w księgarni
H. ALTENBERGA
we Lwowie.



PI 293

Do Czytelników.



d lat wielu członkowie Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie podnosili w swem gronie myśl założenia pisma o charakterze rdzennie artystyczno-literackim. Myśl ta, lubo niejednokrotnie grzebana wobec trudnych warunków wydawniczych, za każdym razem, niby feniks z popiołów, wyłania się na nowo i tą uporczywością w odradzaniu się daje najlepsze świadectwo, iż jest żywotnych potrzeb wyrazem.

Wydział »Koła«, któremu statut Towarzystwa porucza obowiązek czuwania nad rozbudzeniem ruchu artystyczno-literackiego we Lwowie, pragnąc z jednej strony urzeczywistnieniu tego zamiaru przyjsć z pomocą, a z drugiej uczcić w szczerze literacki, wzniosły sposób pamięć największego naszego wieszca, postanowił jeszcze w roku bieżącym, jubileuszowym Adama, zapoczątkować wydawnictwo ilustrowanego miesięcznika, jako organu »Koła« p. t. *Iris*.

Nazwę tę zapożyczyliśmy z projektowanego dziennika, poświęconego umiejętnościom i literaturze, jaki Mickiewicz w roku 1828 wspólnie z Malewskim zamierzał wydawać w Moskwie.

Program pisma jasny: zogniskowanie sił literacko-artystycznych w naszej instytucji, stworzenie dla polskiego ogółu zdrowego, duchowego pokarmu, któryby zarówno treścią tekstu, jak i doбором ilustracji zaznajamiał go z ruchem i z wytwórczością na polu produkcji piękna wszelkich odcieni, wreszcie stworzenie gruntu dla przedmiotowej krytyki, wolnej od wszelkich, postronnych wpływów.

Przeznaczwszy czysty dochód z wydawnictwa na rzecz funduszu zaopatrzenia dla wdów i sierót po literatach i artystach,

udało się nam pozyskać utwory poważnego grona pracowników literatury i sztuki, którzy zupełnie bezinteresownie poparli nasze usiłowania.

Składając im na tem miejscu najszczerze dzięki, pozwalamy sobie tuszyć, że ogół polskich czytelników przyczyni się do zapewnienia bytu pisma, którego brak coraz to bardziej dawał się odczuwać w naszym mieście. Zdajemy sobie dokładnie sprawę z trudności, jakie nam przewyciężyć wypadnie, lecz żywimy też wiarę, że praca wytrwała i umiejętna, w dobrej podjęta sprawie, znaleźć musi oddźwięk wśród społeczeństwa, dla którego była przeznaczona. Dlatego też nie zwłócząc dłużej, przystępujemy do dzieła. Niech mu za dewizę służą słowa jednego z najgłębszych naszych myślicieli, ś. p. Augusta Cieszkowskiego: Niema lepszej rady na jutro, jak praca na dziś!

Lwów, w grudniu 1898 r.

Za Komitet Redakcyjny:

Dr. August Balasits, Bolesław Lewicki, Zdzisław Onyszkiewicz, Michał Rolle, Kazimiers Rosinkiewicz, Stanisław Schnür-Pepłowski, Jan Styka.



BOJOMIR.

Poemat dramatyczny.

PROLOG.

Noc ciemna, — bór, — zwaliska kaplicy, — tu i ówdzie porozwalane grobowce i krzyże.

BOJOMIR, (oparty o skałę).

Wśród ciemnego lasów uroczyska,
Wonne kwiecie odludnie rozkwita;
Pośród starych gruzów grobowiska,
Iskra myśli potężnej ukryta.

Dalej do dzieła! życie zapalmy!
 Obudźmy tych grobów pyły —
 Czarne, spleśniałe mogiły
 Rozwalmy!

(postępuje naprzód i z uroczystością):

Słuchajcie snem śmierci zdjęci,
 Czy was korony wieńczyły,
 Czy w krwawe jarzmo wprzągnięci,
 Życia męczarnie wlekliście;
 Wy, wiele pogromem świata,
 Wy, mali, nikli jak liście,
 Którymi wiatr każdy pomiata —
 Dalej! z zbrodniami i z cnotą,
 Dalej! z modlitwą, z bluźnierstwem,
 Z krwią, chwałą, berłem, sromotą,
 Z ubóstwem, złotem i zdzierstwem
 Pył śmierci z siebie owieście!
 Potęgą mojego tchu,
 W życia się szaty odziejcie —
 I stańcie tu!

(Ziemia trząść się zaczyna).

KSIEŻYC.

Chmury! zakryjcie mi wzrok —
 Gwiazdy! ułońcie w mgły mrok;
 Szkarady, co wieków tyle
 Biczowały nasze oczy,
 Budzą się w mogile!
 Żywych się trupów orszak przed nami roztoczy.

BOJOMIR.

Przez tego, co życie
 W nicestwo lał,
 I po błękicie
 Gwiazd roje siał;
 Przez bożej potęgi zdrój
 Co z śmierci bytem wytryska,
 Czarne wy trupów łożyska
 Pękniście!

(Tu i owdzie podnoszą się cienie dzieci).

CHÓR.

Jasne, przejrzyste,
 Dusze wy czyste,

Was pierwsze budzi głos boży;
 Bo tak sam wielki kazałeś Panie,
 Że ten najpierwszy z grobu powstanie,
 Kto się dziecięciem w grobie położy.

CHÓR DZIECI.

Do mamy, do mamy chcemy!
 Tu takie motylki caca...
 Ptaszki z piórkami złotemi;
 Ale nasz tatko nie wraca,
 Ale mamy nie widzimy!
 Co nam zabawki i kwiatki!
 Do mamy! do tatki!!

DZIEWCZYŃKA.

Nie, nie! ja mamy się boję!
 Okropnie tak patrzy mama!
 Iglicą serduszko moje
 Przebiła, wrzuciła sama
 Pod lód, do zimnej mnie rzeczki!
 Miałam oczka jak tarczki
 I usteczka jak jagódki.....
 Nie! nie! ja mamy się boję!
 Mnie tu lepiej; mnie tu płotki
 Całują oczęta moje;
 Mnie tu lepiej leżyć w trzcinie,
 Na złotej żwiru pierzynie...
 Nie! nie! ja mamy się boję,
 A mój tatko nie wiem gdzie!

BOJOMIR.

Lekki niewinnych dusz roju!
 Bujaj swobodny, szczęśliwy
 W spokoju!

(Dzieci ulatują w powietrze).

Myśl, co stary świat wali, nowy z niego tworzy,
 Ta się nie wykołysze w kolebce dziecinnej.
 Myśl tę w wir życia, gdy popchnie duch boży
 W siły porasta w duszy tęgiej, czynnej;
 Przez cnoty wieków i przez wieków zbrodnie,
 Jak w kuźni kruszec płomieniem się czyści,
 Lśni w ciemności ludzkości, jak gwiazdy przewodnie;
 Z niej anioł twórca, albo — szatan nienawiści,

Co przez wieków budowy pożogami płynie,
Wszystkie ducha żywioły do bitwy wyzywa
I gdy nowa myśl strzeli na starych ruinie,
Razem ze zwalczonymi pada, dogorywa.

*(Powstaje starzec drżący w podartym, splowiałym płaszczu purpurowym,
z oplesniałą koroną na głowie, ze zgnilem berłem w ręku — ciżba go
służby otacza).*

CHÓR.

Cóż to za starzec schorzały
Na kościotrupie oparty,
Płaszcz z purpury spleśniały,
Połatany i podarty...
W ręku pałka..... cha! cha! cha!
Czy widzicie ludów stracha!

STARZEC.

Czego się ta zgraja tłoczy,
Tak natrętnie patrzy w oczy?
Czy ten naród rozbestwiony
Nie zna berła i korony!

CHÓR.

Jak pali go sromota,
Jak mu sina drży warga;
Jak się gniewem szamota,
Zbutwiałą odzież targa!

STARZEC.

Drżycie przed mym majestatem!
Szkarałat Cezarów mnie kryje!

CHÓR.

Pod Cezarów szkarlałem,
Zniewieściała krew bije!

TŁUM SŁUŻBY.

Niechaj żyje, król niech żyje!

(Powstają tłumy zbrojnych; zdaleka słychać ich pieśni).

ZBROJNI (*śpiewają*).

Alleluja!

Wolności zbudził się lew!
Słyszycie skuci łańcuchem,
Mrący pod knuta obuchem,
Słyszycie wolności śpiew:

Alleluja!

Komu serce w piersiach dzwoni
Do broni! hej do broni!
Naprzód ojczyzny dzieci
Oto dzień sławy nam świeci!
Alleluja!

CHÓR.

Król!... jak usta drżą sine,
Jak mu stopy się chwieją,
A jak okropnie mu pieją:
Pod gilotynę, pod gilotynę!
Miecz błysnął —
Słup krwi wytrysnął
Z stojącego trupa
Do góry chlupa!

(*Tłumy znikają*).

BOJOMIR.

Ci — tronów sładzy
Oprawcy,
Ci — ludu zbawcy
I jedni i drudzy
Szałem się rozwsieekli,
Pobledli,
Krwia ściekli
I jedni trupem, drudzy wysileniem padli...

(*wpatrując się w dal, po chwili milczenia*).

Cud! cud nowy!
Król ścięty
Z grobu wstał;
Lud zgięty
Pokłon mu dał,
A trup w szacie purpurowej
Z berłem, w koronie
Na tronie
Zasiadł bez głowy!
Cha! cha! cha!!

(*Ciemność zupełna — po chwili w chmurach chór złany razem*).

CHÓR.

Boże caria chrani! Allons enfants de la patrie!

BIAŁE DUCHY.

Cóż to za straszne ducha wszeteczeństwo!

CZARNE DUCHY.

Nasze już, nasze nad światem zwycięstwo!

BOJOMIR.

A on!...

(Znika w mgłę).

Karol Brzozowski.



Poeta-Farys.

(Sylwetka jubileuszowa).

W styczniu 1899 roku święci Karol Brzozowski, sześćdziesiątą rocznicę autorskiej działalności. Im bardziej ciernistym jest zawód literacki w Polsce, tem większe uznanie towarzyszyć winno tym pracownikom, którzy mimo przeciwności, z zaparciem się i poświęceniem najwyższym, wytrwali pod sztandarem sprawy narodowej — bo jest nią w Polsce służba pisarska — i z kapłańskim iście namaszczeniem pełniąc swe posłannictwo, nie zaprzędali nigdy pióra możnym tego świata, ni też obcym nie służyli hasłom. Ale nie tylko piórem walczył Brzozowski za ojczyznę, lecz spieszył na każde jej wezwanie w szeregi za wolność bojujące, niosąc w ofercie życie i mienie. I słusznie nazwał go ktoś poetą-farysem, gdyż na podobieństwo owych rycerzy pustyni, łączy Brzozowski w swej osobie wojowniczego ducha naszych przodków z żywością wyobraźni Wschodu, gdzie najpiękniejsze lata życia przepędził.

Syn żołnierza, oficera wielkiej armii, ujrzał Brzozowski światło dzienne w Warszawie, w dniu 21 września 1821 roku a dom jego rodziców wznosił się w miejscu, gdzie dziś piętrzą się mury cytadeli. Ojciec Karola opuściwszy czynną służbę otrzymał posadę

starszego leśniczego w lasach rządowych i z tych też czasów datuje się zamiłowanie poety w myślistwie i w bezpośrednim z przyrodą obcowaniu. Uczył się Brzozowski w szkołach pijarskich w Włocławku a następnie w Sejnach i już na szkolnej ławie zdradzał zdolności poetyckie, troskliwie rozwijane przez poczciwego profesora literatury, Andrzeja Langego. Wakacje spędzał młodzieniec u rodziców, zamieszkałych w okolicy Maryampola, bawiąc się strzelbą, zbieraniem litewskich pieśni i podań, oraz kreśląc sonety. W roku 1842 opuścił Brzozowski, jako jeden z najcelniejszych uczniów, zakład agronomiczny w Marymoncie i przeniósł się w Poznańskie, gdzie go zastały wypadki czterdziestego ósmego roku. Był w ogniu pod Trzemesznem, Miłostawiem, Wrześnią. W tem ostatnem starciu prowadził strzelców i kosyńców do ataku na pruską piechotę. Płaszcz miał jak sito podziurawiony od kul nieprzyjacielskich, z których żadna go nawet nie drasnęła. Ocalał też szczęśliwie przed pościgiem władz rządowych, jaki nastąpił po złożeniu broni przez powstańców i dzięki uczynności landrata inowrocławskiego, Fernowa, który go zaopatrzył w paszport i w pieniądze na drogę, dostał się, nienagabywany przez nikogo, do Drezna.

Teśnotę tułaczą starał się zabić pracą i z całym zapalem zabrał się do tłómaczenia *Osmanidy* Gundulicza, do czego zachęcał go Mickiewicz, któremu poszczególne ustępy przekładu posyłał do Paryża. Na pracy tej — opowiada poeta — opierałem nadzieję, że przez parę pokoleń nie zgaśnie imię moje. Stało się inaczej. W roku 1849 w Dreźnie, podczas smutnych wypadków, które krwawo przesunęły się przez całą prawie Europę, »*Osmanida*« Gundulicza ze sporą wiązką własnych moich rymów poszła na pastwę płomieni. Strata ta jakby mi złamała skrzydła; rzuciłem pióro, które później dziewicza piękność dzikiej Anatolii, owiawszy mnie duchem szerokiej, ptasiej swobody, wcisnęła znowu na chwilę do ręki...

Z Saksonii udał się poeta do Szwajcaryi, a następnie do Paryża, gdzie zetknął się osobiście z Mickiewiczem i po wybuchu wojny krymskiej, jako wysłannik t. z. Kółka wychodźczego pospieszył na Wschód. Przybywszy do Stambułu zachorzał obłożnie i opuściwszy po kilku miesiącach szpitalne łóżko, postanowił się usunąć od walk partyjnych, od jakich niewolne było nasze wychodźstwo na Złotym Rogu. Wynajął przeto na azjatyckim brzegu starą, opuszczoną kawiarnię i osiadłszy w niej wraz z dwoma towarzyszami, z Józefem Akordem i z Jędrzejem Gębką, utrzymywał się ze sprzedaży zwierzyny, upolowanej w okolicznych borach. Trzyście miesięcy trwała owa myśliwska idylla, w czasie której stworzył Brzozowski prześliczną *Noc strzelców w Anatolii*, poświęcając ją towarzyszom koczowiska. Akord figuruje w »*Nocy*« jako woźny, Gębka jako Kurys. Są w tym poemacie obok przepięknych opisów dzikiej przyrody, ustępy porywające siłą i wzniosłością natchnienia, jak ów końcowy, w którym poeta woła:

Boże! takiej daj radości
 Nam żyjącym jeszcze dożyć,
 W boju świętym dla wolności
 Krew na ołtarz Polsce złożyć!
 A gdy wieczna nam żaloby,
 Przekazana już sukienka,
 Boże z wiarą połóż w groby,
 Że zaświeci tym jutrzeńka,
 Którzy po nas krzyż podźwigną
 I zakonu wierni drogom,
 W świętej pracy nie ostygną,
 Czół nie schylą do stóp wrogom!
 To gdy naród rwąc łańcuchy,
 Alleluja w świat daleki
 Zagrzmi — w grobach nasze duchy
 Uspokoją się na wieki!

Ale poezya nie dawała chleba nawet wśród anatolskich lasów. To też z radością przyjął poeta wezwanie Franciszka Sokulskiego, który go przyjął do pomocy przy budowie telegrafów. — Odrutowałem większą część Turcyi, jak rozbity garnek, — opowiada nam Brzozowski, który w rzeczy samej przebiegł Bułgaryę, Macedonię, Tessalię i Albanię, jako pionier cywilizacyi i postępu, wracając od czasu do czasu do Stambułu, by poprawić skreślone podczas ciągłych podróży utwory i zasilić niemi pisma krajowe, a zwłaszcza lwowski *Dziennik literacki*. W jesieni 1855 r. powróciwszy do Stambułu z wycieczki po Bułgarii, zastał on w stolicy Mickiewicza, który go ciekawie rozpytywał o wrażenia z podróży. Wysłuchawszy relacyi Brzozowskiego zauważył Adam, że nie będzie mógł rządowi francuskiemu zdać sprawy w tym duchu, w jakim sobie życzył. Bóg wie — rzekł Mickiewicz — na czem wojna się skończy; w każdym jednak razie droga do reform szeroko się otworzy.

— Reformy zabiją Turcyę — odparł Brzozowski i na ten temat dłuższa wywiązała się rozmowa o sytuacji politycznej. Wówczas to zażądał Adam, by go Brzozowski zaprowadził do Gropplerów. Zawodowe zajęcia odwołały naszego poetę z miasta na czas jakiś, a gdy znów znalazł się nad Bosforem, Mickiewicz powrócił właśnie z wycieczki do Burgas. Unikał towarzystwa, więc tylko przypadkowo zetknął się z nim Brzozowski podczas długich, samotnych wycieczek, odbywanych przez Adama po zamiejskich cmentarzach. Tam go też widział poraz ostatni.

Energia i służbistość Brzozowskiego zwróciły na niego uwagę wpływowych osób, do liczby których należeli paszowie Fuad i Midad. Wysłany przez rząd turecki nad Eufrat, osiadł poeta w Latakieh, ożenił się i uprawiał tytoń, pełniąc równocześnie obowiązki konsula hiszpańskiego. Na pierwszą wszakże wieść o powstaniu styczniowym Brzozowski, wierzący »w nagą szablę desperacką«, porzucił wszystko i pospieszył na pole walki. W Tuzli organizował Zygmunt Miłkowski wyprawę na Ruś. Poeta otrzymał od

niego dowództwo jednej kompanii piechoty, na której czele bił się dzielnie pod Kostangalią, skąd ciężko ranny przeniesiony został do lazaretu w Gałaczu.

Odzyskawszy zdrowie, znalazł zajęcie w tureckiej służbie rządowej jako leśnik. Zwiedzał znów szczegółowo Bułgarię, Wielki i Mały Bałkan, Góry Rodopskie a jego topograficzne zdjęcia gór kurdystańskich, wzdłuż granicy perskiej, zyskały należyte uznanie w świecie naukowym. W koczowniczym tem życiu nie zaniedbywał pióra, że wspomniemy Deli Petkę oraz Sen w Bałkanach. W ogólności jednak zestawienie bibliograficzne prac Brzozowskiego jest wielce utrudnione z powodu, iż znaczna część jego utworów, rozrzucona po rozmaitych pismach warszawskich, lwowskich i poznańskich, utonęła wśród powodzi kolumn dziennikarskich. Zresztą sam poeta nie zbyt gorliwie troszczył się o los swej duchowej dziatwy i zagadniony w tej mierze przez jednego z literatów warszawskich, odpisał mu te wielce charakterystyczne słowa...: A to co? Czym ja kiedy co wydał i dlaczego uwzieliście się liczyć mię między pisarzów, kiedy ja nie pisuję i jak Turek od wieprzowiny uciekam od pióra...

Gród nasz kilkakrotnie gościł poetę u siebie, (w latach 1877 — 1880 — 1883) i ostatecznie osiadł Brzozowski u nas na stałe. Scena lwowska wystawiła w latach 1883—1885 szereg dzieł dramatycznych jego pióra, (»Malek«, »Oblężenie Lwowa«, »Eryk XIV«), z których Malek w tryumfalnym pochodzie obiegł wszystkie sceny polskie, cieszące się konstytucyjną swobodą słowa. Potężny ten utwór, naszkicowany jeszcze w roku 1848 i wykończony dopiero w wieku późniejszym przez autora, nosił pierwotnie tytuł: »Zemsta«.

W dniu 11. stycznia 1889 r. święcono w lwowskiem Kole Literacko-Artystycznym uroczystość półwiekowej pracy pisarskiej Karola Brzozowskiego. Obecnie obdarzyła go brać po piórze najwyższym zaszczytem, jakim rozporządza, dyplomem członka honorowego »Koła« a pełna miłości i zapału wyraża życzenie, by dyamentowych z poezją godów doczekał się wiecznie młody pieśniarz, który tak wzniośle wieszczył:

...Lecz komu sen
Znużone zawarł powieki
I myśl ten,
Że boleść trwa na wieki,
Nad senne kiedy rzesze,
Przebudzeń zagrzmi huk,
O tego ja nie wskreszę,
Bom tylko żywych Bóg!

Stanisław Schnür-Peplowski.



Emerson i Mickiewicz.

Ralf Waldo Emerson, jeden z najznakomitszych i najoryginalniejszych myślicieli Ameryki północnej, urodzony r. 1803 w Bostonie, zmarły r. 1882 w Concord w stanie Massachusetts, jest dla nas nader interesującym, głównie z tego względu, iż największy nasz geniusz poetycki, Adam Mickiewicz, wysoko go cenił, zdania i całe ustępy z dzieł jego w swoich odczytach o literaturze słowiańskiej, miewanych w Paryżu w tak zwanem Kolegium francuskim, niejednokrotnie z ogromnemi pochwałami przytaczał.

Był to umysł niepospolity i stylistą świetny. Z początku przeznaczony do stanu duchownego, przestudyowawszy teologię, został kaznodzieją gminy »unitaryuszów«; ale w r. 1833 porzuciwszy te obowiązki, wybrał się w podróż do Europy i zawiązał znajomość z głośnym filozofem angielskim, Tomaszem Carlylem, (ur. 1796, zm. 1881), autorem głębokiej satyry społecznej p. t. »Sartor Resartus« i innych dzieł, odznaczających się wielką werwą i oryginalnością poglądów. Znajomość ta wpłynęła bardzo silnie na Emersona, który wróciwszy do swojej ojczyzny, zaczął z zapałem głosić idee Carlyle'a, domagające się szczerości, prawdy, namiętnie potępiające materializm w życiu i dążność do wyzysku drugich na rzecz własną. A ponieważ głosiiciel tych idei w Ameryce miał bogatą i żywą fantazję, ponieważ mówił i pisał barwnie i zajmująco, bardzo rychło pozyskał ogromną sławę, a stanąwszy na czele dziennika »The Dial« przez lat pięć, (1840 do 1844), wywierał na społeczeństwo Stanów Zjednoczonych wpływ nadzwyczaj potężny a dodatni. Sława jego przedostała się niebawem i do Europy; jego bowiem »Szkice«, (Essays), zaczęto przedrukowywać w Londynie, a przedmowa do nich, napisana przez Carlyle'a, przyczyniła się dzielnie do ich rozpowszechnienia.*

Mickiewicz należał do najpierwszych w Europie, co utwory myśliciela amerykańskiego wzięli głęboko do serca i złożyli hołd nie tylko talentowi ale i jego dążności humanitarnej.

W początkach roku 1843 wpadły naszemu poecie do rąk »Szkice« Emersona, ledwie miał czas je przejrzeć, zaraz pospieszył podzielić się wrażeniem ze swymi słuchaczami, zwłaszcza, że myśli Emersona zgadzały się najzupełniej z usposobieniem i z poglądami Mickiewicza. Niebawem dostało mu się kilka numerów czasopisma »The Dial«, a w nich mowa Emersona, miana w stowarzyszeniu robotników, o potrzebie zwrócenia się do pracy rolniczej z powodu fałszów i szachrajstw,

*) W języku naszym mamy tylko dwa dziełka Emersona: »Przedstawiciele ludzkości« w tłumaczeniu Józefa Siellawy, (Warszawa 1872), oraz »Roboty i dnie«, w tłumaczeniu Piekarskiego, (Warszawa 1879).

jakie w innych zawodach życia, wskutek egoistycznego i materialistycznego kierunku stały się niemal obowiązującymi. Mowę tę przetłumaczył Mickiewicz na francuskie; wyjątki z niej odczytywał w Kolegium francuskim, a całość pomieścił znacznie później w wydawanej przez siebie r. 1849 w Paryżu »Trybunie ludów«, (Tribune des peuples).

Nie poprzestał na tem. W ciągu roku 1843 i 1844 wielokrotnie jeszcze przytaczał pomysły Emersona, a jeden z jego »Szkiców« o znaczeniu historii przełożył na język francuski. Przekład ten do dziś dnia drukowany nie był i autograf jego znajduje się w zbiorach Akademii Umiejętności w Krakowie. Posiadając jego odpis, podaję tutaj z niego ważniejsze wyjątki w tłumaczeniu na język ojczysty. Sądzę, że czytelnicy, zarówno ze względu na Mickiewicza, jak i na Emersona, nie bez zajęcia przejrzą te kartki.

Rozprawa ta zaczyna się od świetnego paradoksu, umiejętnie potem rozwiniętego, że »wszyscy ludzie, wzięci jako jednostki, mają jedną jedną tylko wspólną duszę«, i że »każdy człowiek służy tej duszy za środek połączenia się z całym wszechświatem«. Myśli, które niegdyś miał Platon, może dzisiaj mieć każdy; podobnie może on doświadczać uczuć świętego, może zrozumieć wszystko, co się kiedykolwiek i komukolwiek przydarzyło.

»Historja — powiada Emerson — to tylko wspomnienie działań tej duszy powszechnej, której cechy rozwijają się przez cały szereg wieków. Człowiek poszczególny daje się wytłumaczyć jedynie przy pomocy ogólnej historii ludzkości. Luch usiłuje wciąż bez odpoczynku i bez przerwy wcielać każdą ze swych myśli i uczuć i to za pośrednictwem podobnych do siebie czynów. Atoli myśl zawsze idzie przed czynem, a wszystkie fakty historyczne istnieją wprzód w myśli jako prawa. Każde z tych praw podawane bywa przez okoliczności jako naglące, ale natura sankcjonuje tylko jedno z nich w danej chwili. Człowiek jest metodyczną encyklopedją faktów. Siła twórcza tysiąca lasów spoczywa całkowicie w jednym ziarnku. Pierwszy człowiek zawiera w sobie Egipt, Grecję, Rzym, Anglię, Galję, Amerykę. W kolejno po sobie następujących epokach królestwa, cesarstwa, rzeczypospolite, władztwa arystokratów, czy demokratów, są to jedynie rozwinięcia tej duszy wielorakiej w świecie wielokształtnym. Ta dusza spisała historję, ona też tylko może ją czytać i powinna ją czytać. Sfinks powinien zagadkę swoją wytłumaczyć samemu sobie.

»Ponieważ tedy historia powszechna mieści się cała w każdej jednostce, więc jednostka może ją poznać, badając własną swą historję. Godziny życia naszego są w związku ze stuleciami historycznymi. Jak powietrze, którem oddycham, pochodzi z masy atmosferycznej, jak światło oświetlające tę książkę spłynęło z gwiazdy, oddalonej odemnie na wiele milionów mil, jak położenie mego ciała zależy od kombinacji sił dośrodkowych i odśrodkowych; tak też każda godzina życia mego zostaje pod wpływem wieków minionych, a wieki wyjaśniają się historją jednej godziny mego życia. Jednostka jest wcieleniem duszy powszechnej. Posiada w zasadzie wszystkie jej właściwości. Każda czynność jej

osobniczego życia rzuca światło na to, co niegdyś wykonały wielkie zbiorowiska ludzkości, a przesilenia jej życia są w związku z przesileniami narodowemi... Każda reforma jest z początku tylko myślą jednostkową. Ażebym mógł zrozumieć i dopuścić to, co mi ktoś opowiada, trzeba, żebym w sobie samym odnalazł coś podobnego do rzeczy opowiadanej. Czytając książki, musimy się stawać po kolei Grekami, Rzymianami, Turkami, poetami, królami, męczennikami, katami, musimy porównywać sceny czytane z dramatami, pełnymi rzeczywistości, których dusza nasza była tajemniczym teatrem. Nie moglibyśmy inaczej nic dojrzeć, nie pojąć... Nie ma wiadomości, niema wypadku politycznego, któryby was oświadczył nie dotyczył. Zastanówcie się nad niemi i powiedzcie: to jedna z form mnie samego, to moja Proteuszowa natura ukrywa się pod tą maską fantastyczną, piękną, czy wstrętną. Rozważania te mogą nas uleczyć od zbyt wielkiej czułości dla siebie samych. Widzimy tym sposobem swoje własne czynności w perspektywie, a jak raki, skorpiony, kózły, uważane za znaki zwierzyńca niebieskiego, (zoo-dyaku), tracą całą swą popolitość zwierzęcą, tak też ja mogę bez zbytecznego umartwienia widzieć swe własne błędy zidealizowane w osobach Salomona, Aleybiadesa i Katyliny.

»Ta to właśnie natura powszechna nadaje znaczenie jednostkom i rzeczom poszczególnym. Życie człowieka, jako zawierające powszechność, pełne jest tajemnic i z tego też powodu jest ono nietykalnem, chronionem za pomocą praw i przepisów policyjnych. Stąd to wypływają wszystkie prawa; każde prawo wyraża co najmniej uszanowanie dla jednego z przykazań tej najwyższej i wszechwładnej istoty... Niejasne poczucie tego pierwotnego faktu przyswieca nam jak latarnia morska i kieruje nami w naszej ziemskiej wędrówce; powołuje nas do uczenia się, do sprawiedliwości i miłosierdzia, popycha nas do bohaterstwa, będącego aktem naszej wewnętrznej wszechwładzy... Kiedy uczestniczymy w wielkich poświęceniach woli ludzkiej, w tryumfach geniuszu, czy uważamy się za wdzierców? I owszem, wśród najtrudniejszych zawikłań czujemy się jak najlepiej. Co Szekspir mówi o jakimś królu, to czytający go na poddaszu biedak poczytuje za odnoszące się do niego. Sympatyzujemy z wielkimi wypadkami historycznymi, z ważnemi odkryciami, ze strasznemi nieszczęściami i z ogromną pomyślnością, gdyż zastąpiono nas tylko ogłaszając, odkrywając, robiąc to, co mybyśmy byli zrobili lub czemubysmy byli przyklasnęli... Dlatego to duch rozumny i dobry nie ubiega się nigdy o pochlebstwa i napomnienia osobiste. Słucha on pochwały nie osoby swojej, złe — co jest daleko miłsze — tego wzoru, według którego stara się postępować; słyszy ją w każdym słowie, w każdym dźwięku natury, w szumie rzek i w szmerze zboża; niebo spogląda nań życzliwie, gwiazdy mu się uśmiechają, góry mu przyklaskują.

»Te przestrogi, rozwiewne jak przestrogi sennego marzenia, zużytkujmy w naszym życiu codziennem. Niech czytanie historyi będzie dla nas ćwiczeniem czynnem, lecz nie biernem bynajmniej; życie nasze weźmy za tekst a książki za komentarze. Muza historyczna, zapytywana

w ten sposób, da nam wyrocznie, których odmawiać będzie zawsze tym wszystkim, co nie szanują samych siebie. Nie potrafi dobrze czytać historyi ten, kto sądzi, że to, co zrobili w dawnych czasach ludzie zmarli od wieków, ma wartość większą od tego, co on ma zamiar zrobić dzisiaj.

»Świat istnieje tylko dla wychowania każdej jednostki. Niema wieku, niema położenia społecznego, niema czynu dziejowego, któryby nie odpowiadał jakiemuś wypadkowi życia naszego. W ciągu naszego życia możemy przeżyć cały bieg dziejów. Nieznana jednostka może pozostać spokojną w sobie, otoczona swojami armiami i swemi flotami moralnemi i nie dozwolić naruszyć tego spokoju nikomu; powinien tylko czuć się większem od całej geografii i od całej polityki... Powinien się wznieść do tej wysokiej dziedziny, z której panujemy nad faktami i zmuszamy ją do wypowiedzenia najwewnętrzniejszej swej treści; w tej dziedzinie poezya i historia stanowią już jedność. Czas przemienia fakty najgrubsze i najkańciastsze w eter lekki i przeźroczysty. Babilon, Troja, Tyr, a nawet Rzym starożytny przeszły już w stan fikcyi. Ogród rajski, słońce zatrzymane przez Jozuego, stały się tradycjami poetycznemi, wspólnemi wszystkim narodom ciekawym wiedzieć, jak się stał fakt pewien, odkąd go wynieśliśmy na niebo i umieścili wśród konstelacyj, jako znak nieśmiertelny. Taż samą drogą pójdą kiedyś i Londyn i Paryż i New-York. Cóż to jest historia? — mówił Napoleon: jest to bajka, w którą powszechnie wierzą. Życie nasze otoczone jest Egiptem, Grecyą, wojnami, kościołami, państwami, jakby kwiatami i arabeskami, jużto ponuremi, jużto wesołemi. Biorę je za to, czem są. Wierzę w wieczność. Mogę odnaleźć Grecyę, Palestynę, Włochy, Hiszpanię, ducha i dogmat twórczy każdej epoki i wszystkich epok wziętych razem, — we własnej swej duszy.

»Zazwyczaj fakta, które nas w historii zainteresowały, odnosimy do naszego własnego doświadczenia, służącego mi za sprawdzian. Innemi słowy, historia nie istnieje, jest ona tylko biografią. Każdy duch winien sam się wyuczyć całej swojej lekcyi, winien zajrzeć aż do głębi. Czego nie widział, czego nie doświadczył, tego nie pozna nigdy. Prawdy, pozostawione mu przez wieki ubiegłe, stawszy się formułkami dla użytku w życiu codziennem, giną dla niego w znacznej mierze, gdy on ani potrzebuje odkrywać ich dla samego siebie, lub je sprawdzać. A jednak prędzej, lub później, będzie się starał powetować tę stratę, rozpoczynając i kończąc całą tę pracę na własny rachunek. I tem lepiej dla niego.

»Historia powinna być tem, albo też niczem. Każde prawo, ustanowione w dewnem państwie, wskazuje jakiś fakt natury ludzkiej. Powinniśmy w naszej własnej naturze widzieć powód każdego prawa, zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób jest ono możliwe i konieczne. W takim usposobieniu umysłu, stawiamy sami siebie wobec wypadków publicznych i prywatnych, wobec mowy Burke'a i wobec zwycięstwa Napoleona, wobec terroryzmu we Francyi, pławienia czarownicy lub doświadczeń magnetycznych. Przypuszczamy, że wgród okoliczności

podobnych i pod wpływami odpowiednimi byłibyśmy czuli i działali w ten sam sposób i staramy się w myśli przebiedz drogę, którą nasz bliźni odbył, oczekując tegoż samego stopnia wyniesienia lub poniżenia, do którego on doszedł.

»Poszukiwania nasze w dziedzinie starożytności, nasza ciekawość dotycząca piramid egipskich, miast zniszczonych u stóp Wezuwiusza, dróg wykutych w skale Ameryki południowej, pochodzą z wrodzonego nam pragnienia, by się oswobodzić od nieznośnego »niegdys« i ciemnego »gdzieś«, a na ich miejsce wprowadzić »teraz« i »tuż«, czyli inaczej, by wymazać nie-jażń a na jej miejsce postawić jażń, by zatrzeć różnice a przywrócić jedność... Na widok katedry gotyckiej czujemy, że była zrobiona przez nas, że jednak nie myśmy ją zrobili, Niewątpliwie jest ona dziełem człowieka, ale człowiek, którego znamy, nie tworzy nic podobnego. Musimy tedy zgłębić historię tego dzieła. Musimy się przenieść w położenie historyczne budowniczego. Wystawiamy sobie stan pierwotny mieszkańca lasów, typ pierwotny świątyni, zachowywany długo przez artystów, rozwijany i zmieniany, w miarę wzrastania potęgi narodu, aż wreszcie forma pierwotna zmieniała się w rzeźbioną górę. Przeszedłszy cały ten proces tworzenia artystycznego, gdy dodamy jeszcze kult katolicki wraz z krzyżami, procesyami, muzyką, obrazami, to stajemy się, że tak powiem, człowiekiem, co stworzył katedrę strasburską. Mamy jej ideę.

»Przechodząc w ziemie przez lasy jodłowe, widzimy tam zaczątki łuków i festonów; przeróżne chmury nieba północnego, widziane poprzez gałęzie, zdobne w sople tysiącno-kolorowe, czyż nie są podobne do malowanych okien kościoła z XIV. stulecia?

»Ilekrót znajdziemy się w krajach obcych dla nas, stajemy się wynalazcami nowego stylu i nowych ozdób architektonicznych, gdyż widzimy, jak ludzie tworzyli i urządzali swoje mieszkania. Świątynia dorycka jest poprostu rozwinięciem chaty drewnianej, siedziby dawnych Doryczyków. Pagoda chińska to tylko namiot tatarski. Świątynie Egipcyan i Indusów przypominają góry i jaskinie, które służyły za schronienie dla ich przodków.

»Jak architekci perscy w budowaniu pałaców zachowali kształt lotosu i palmy z mieszkań pierwotnych, tak królowie perscy w epoce największej potęgi swojej nigdy nie porzucili całkowicie pierwotnych przyzwyczajzeń życia koczowniczego, i opuszczali na wiosnę Ekbatanę, aby lato przepędzić w Suzie, a zimę w Babilonie. W dziejach starożytnych Azji i Afryki rolnictwo i życie koczownicze są to dwa fakta stałe a wrogie. Koczownicy zawsze byli postrachem ludów rolniczych i kupieckich. Religia musiała nadać rolnictwu cechę świętości, by je przeciwstawić włości koczowników. A nawet w naszych społeczeństwach nowożytnych i ucywilizowanych w Anglii i w Ameryce te dwa przeciwne sobie popydy do ruchu i osiadłości prowadzą dalej walkę ze sobą w każdej jednostce. My wszyscy jesteśmy z kolei, to domatorami, to koczownikami. Mustyki, które wprawiały w szal trzody Afrykańczyka, i susza pożerająca paszę Tatara, zmuszały tych pasterzy

do puszczenia się latem w okolice górskie. Obecnie żądza nowości i ciekawości utrzymują w kupcu i w turyście europejskim lub amerykańskim zamiłowanie do życia koczującego. Od plagi mustyków do italo-manii turystycznej jest niewątpliwie postęp. Istnieje pod tym względem wielka różnica między ludźmi co do łatwości aklimatyzowania się i znajdowania wszędzie pożywienia i legowiska. Są jednostki z usposobieniem tak wybitnie koczowniczym, że gdziekolwiek się zwrócą, na morzu, czy na lądzie, w lasach, czy wśród śniegów, śpią równie dobrze, jedzą z tak dobrym apetytem i tak łatwo znajdują sobie towarzystwo, jak gdyby wszędzie byli u siebie. Koczowniczość umysłowa ma za warunek zdolność do przedmiotowego zapatrywania się na rzeczy czyli oczy, umiejące znaleźć wszędzie karm dla siebie. Kto tylko posiada oczy tego rodzaju, wchodzi łatwo w stosunki z bliźnimi. Dla niego każdy człowiek, rzecz każda, ma cenę, staje się przedmiotem badania, własnością, którą należy eksploatować; a żywe zajęcie, jakie w niem to budzi, rozjaśnia mu czoło, zbliża go do ludzi i czyni mu ich pięknymi, godnymi kochania. Domem jego jest wózek, toczący się poprzez wszystkie szerokości równie swobodnie, jak wóz Kałmuka.

»Przedmiot, który widzimy zewnątrz siebie, odpowiada pewnemu stanowi naszego umysłu i naodwrot o tyle tylko zdajemy sobie sprawę z przedmiotu zewnętrznego, o ile myśl nasza dozwała nam wnikać w prawdę, do której się ten przedmiot odnosi. Świat pierwotny, starożytny, mogę odnaleźć, czy to pograżając się w samego siebie, czy to zagłębiając się w katakomby, książki i ruiny Herkulanum.

»Skąd pochodzi ten żywy interes, jakim nas przejmują historia, poezja, sztuka Grecyi ze wszystkich epok, poczynając od wieku bohaterskiego czyli Homerycznego, a kończąc na scenach z życia prywatnego Ateńczyków i Spartan w czasów ich upadku? Grecya nas interesuje, ponieważ jesteśmy Grekami. Jest to stan, przez który każdy człowiek przejść musi. Grecya jest to doba natury materyalnej, zmysłowej, doskonale rozwiniętej, zostającej w harmonii z naturą duchową. Tam to istniały te kształty ludzkie co rzeźbie dostarczały wzorów Herkulesa, Apollina, Jowisza, niepodobne wcale do tych postaci o rysach zatartych, co zaludniają ulice nasze, ale o rysunku czystym i symetrycznym, z oczyma tak oprawionemi, że im niepodobna było rzucać spojrzeń ukradkowych i ukośnych, a gdy chciały obejrzeć się na prawo lub na lewo, to cała głowa obracać się musiała.

»W Atenach ludzie mieli sposób obejścia się otwarty i dumny; podziw okazywany dla zalet osobistych, dla odwagi zręczności, siły, wdzięku wyrażał się głośno i dobitnymi giestami. Nie znano jeszcze zbytku i elegancyi. Zamieszkując mało zaludnione okolice, każdy człowiek musiał być własnym swoim sługą, kucharzem, rzeźnikiem, stajennym, a przyzwyczajenie do obsługiwania się samym sobą nadaje ciału zadziwiającej zdolności. Takimi byli Agamemnon i Dyomed u Homera, a obyczaje prawie homeryczne znajdujemy w opisie sławnego odrotu dziesięciu tysięcy Greków, zostawionym nam przez Ksenofonta. Kiedy wojsko przeszło rzekę Teleboas w Armenii, spadła masa śniegu

a żołnierze byli nim okryci, spoczywając na twardej ziemi, Ksenofont tedy wstał i porwawszy siekiere, zaczął ścinać drzewa; widząc to jego towarzysze, wstali także i zrobili jak on. Okazuje się, że w tem wojsku panowała nieograniczona swoboda słowa. Żołnierze kłócą się o łup, sprzecykają się z wodzami o każdy nowy rozkaz, a Ksenofont równie dobrze obraca językiem, jak którykolwiek z jego wojaków. Któż w tem się dojrzy obyczajów młodzieńców dorosłych, wraz z poczuciem godności z rozluźnieniem karności, właściwym chłopcom?

»Urok tragedyi starożytnej i całej literatury grecko-rzymskiej polega na tem, że jej osoby mówią z wielką prostotą i okazują wiele zdrowego rozsądku, nie domyślając się tego, ponieważ umysł ich nie nabrał jeszcze zwyczaju zastanawiania się nad sobą. W rzeczach starożytnych podziwiamy nie starzyznę, ale naturalność. Otóż młodzieńcy greccy, dzięki delikatności zmysłów, doskonałości organizacyi fizycznej, wyrażają się i działają z prostotą dzieci. Robią wazy, posągi, tragedye, jakby je zrobił każdy człowiek, obdarzony organami zdrowymi, to jest, robią je w dobrym smaku. Wszędzie i we wszystkich epokach, gdzie istnieją ludzie szczęśliwie zbudowani i w stanie zupełnego zdrowia fizycznego, mogą powstać dzieła greckie; ale Grecy w tym rodzaju przewyższają wszystkich. Łączą oni energię męską z nieogłędną samorzutnością dzieciństwa. Szanujemy ich, jak się szanuje wiek dziecięcy. Objaw nieobmyślonej samorzutności nie obudza ani pogardy, ani żalu. Bohater, poeta, nie będzie gardził słowami i giestami dziecka. Jest on tak wielkim, jak on.

»Naiwność pociąga nas, ponieważ leży ona w naturze człowieka i każdy człowiek ją zna, gdyż był dzieckiem, a znajdują się zawsze jednostki, co jej nie tracą nigdy. Osoba prosta jak dziecko, a równocześnie energiczna, jest przez to samo grecką i odżywia w nas miłość dla Muzy greckiej. Czytając w tragedyi Sofoklesa p. t. Filoklet piękne apostrofy do snu, do gwiazd, do skał, do fal, czuję jak czas ucieka na podobieństwo odpływu morza, czuję nieśmiertelność człowieka, powszechną tożsamość jego myśli. Grek żył tedy wpośród moich dawnych znajomych. Słońce, księżyc, woda i ogień, wzruszały jego duszę tak samo, jak wzruszają moją. To też owe rozgłosne podziały na szkoły: grecką i angielską, klasyczną i romantyczną, wydają mi się powierzchownymi i pedantycznymi. Skoro jakaś myśl Platona staje się moją; skoro jedna z tych prawd, co rozplamiały jego duszę, rozplamienia moją; to czas już nie istnieje. Kiedy czuję, żeśmy się spotkali w tej samej idei, że dusze nasze przybrały ten sam nastrój i zlały się, że tak powiem, z sobą; to po co mam mierzyć stopnie szerokości geograficznej, na co mi się zda rachuba cykliów chronologii egipskiej?

»Wewnętrznie wszystkie historie są sobie równe, różnią się tylko zewnątrz. Powierzchnia składa się z nieskończonej liczby przedmiotów, ale w środku jest tylko jedna, prosta przyczyna zasadnicza. Jakąż różnorodność przedstawiają czynności jednego człowieka, a w tych czynnościach rozpoznajemy przecież ten sam charakter... Każdy z nas mógł zauważyć, że pewne obrazy i pewne kształty, nie przedstawiające na pozór żadnego między sobą związku, czynią jednak na obserwatorze to

samo wrażenie. Jakieś malowidło np., albo jakiś wiersz, obudzają w nas to samo uczucie, co wycieczka w góry dzikie, chociaż obraz nie jest ściśle ten sam. Tajemnicze związki, istniejące między tak odmiennymi przedmiotami, wymykają się rozumowi. Ależ bo natura jest nieskończonością kombinacyj małej liczby praw. Niezliczone wariacje obracają się około tegoż samego, starego i znanego tematu. Wszędzie w dziełach natury widać te rysy rodzime wzniosłego podobieństwa. Lubi nas ona zadziwiać podobieństwami w sytuacjach najmniej spodziewanych. Widziałem jednego kacyka amerykańskiego, którego głowa przypominała mi wierzchołek góry, a zmarszczki na niej były podobne do warstw skalnych. Są ludzie, których postawa ma świetność, powagę i prostotę fryzu Partenonu i szczątków najdawniejszej sztuki greckiej. Można odnaleźć krajobrazy podobne w książkach z różnych wieków. Czemże jest Jutrzenka Guidona w willi Rospigliosi, jeżeli nie myślą poranną? jak konie tego fresku, są to chmury poranne. Gdyby ktoś zadał sobie pracę obserwowania różnorodnych czynności, ku którym odczuwa skłonność w pewnym usposobieniu ducha, oraz tych, ku którym wówczas czuje odrazę; toby się przekonał, jak długim i różnorodnym jest łańcuch powinowactw.

»Pewien malarz mówił mi, że nikt nie potrafi doskonale namalować drzewa, kto się sam nie stanie drzewem, lub namalować dziecka, posługując się tylko studyowaniem linii i kształtów jego ciała. Ale kiedy się przez czas jakiś przypatrywało ruchom i zabawom dziecka, to się wejdzie, że tak powiem, w jego naturę i będzie się mogło je odtworzyć w takiej postawie, jaką nadać mu się zechce. Znałem rysownika, który powiadał, że mu niepodobna naszkicować skały, zanim mu nie wytłómaczono jej natury geologicznej.

»Cóż stąd za wniosek? Oto ten, że owe utwory tak odmienny mają początek w pewnym usposobieniu duszy. Duch jest ten sam, ale nie fakta. Nie przez nabycie-to zręczności technicznej i pewnej wprawy w robocie, lecz przez zstąpienie w tajemnicze głębinę duszy, artysta zdobywa władzę poruszania dusz bliźnich w pewnym, oznaczonym kierunku.

»Historia polityczna, historia naturalna, historia sztuki i literatury, powinny być wyjaśnione przez życie indywidualne człowieka, albo też będą to tylko słowa. Wszystko odnosi się do nas, wszystko nas interesuje: królestwo, szkoła, drzewo, koń, relsy — ich korzenie istnieją w człowieku... Gdybyśmy mogli otworzyć duszę człowieka, to znaleźlibyśmy w niej przyczynę najdrobniejszego nawet i najdelikatniejszego z jej dzieł, tak samo jak rysunek i barwy łusk istnieją naprzód w wydzielających organach ryby. Człowiek, odznaczający się wytworną grzeźnością, potrafi, wymawiając wasze imię, nadać mu taką wypukłość, że ona zrównoważy wszystkie zaszczytne, szlacheckie tytuły. Doświadczenie codzienne potwierdza nieraz prawdę tego, co nam niegdyś przepowiedziano i zamienia dla nas w rzeczywistość pewne słowa i pewne znaki, któreśmy słyszeli lub widzieli, nie zdając sobie z tego sprawy... Przypominam sobie, jak razu pewnego, w piękny dzień letni, towarzyszy po-

dróży pokazał mi palcem szeroką chmurę, rozciągającą się równolegle do widokregu, a mającą kształt jednego z tych archaniołów, których stawiają na kościołach; z głową promienną, w której z troszką wyobraźni, można było wyróżnić oczy i usta, wznosiła ponad dwoma olbrzymiami skrzydłami. Co się nam ukazało, to się często ukazywać mogło i dać artyście wyobrażenie o osobie fantastycznej. Przypatrując się piorunowi, przerywającemu chmury letnie, zrozumiałem, jakim sposobem Grecy widzieli z natury wyobrażenie piorunu, zbrojącego prawicę Jowisza. Widywałem masy śniegu na szczycie skał krającego się w zęby, a taki widok mógł posłużyć za wzór do blanków wież gotyckich.

Na tych wyciągach poprzestaję. Czytać je i rozważać należy nie jako prawdy niewątpliwe, gotowe, któreby sobie na podobieństwo twierdzeń geometrycznych przyswajać należało, lecz jako pobudki do rozwijania całych szeregów myśli własnych. Paradoxy, czyli mniemania niezgodne z powszednim sposobem rozumowań przyjętych, mają tę własność, że choć nie staną się komunałami powtarzanymi bezmyślnie, potrafią zapłodnić umysł nieleniwy w tworzeniu nowych kombinacyj. Ale ażeby z nich osiągnąć pożytek dla własnego wykształcenia, potrzeba się wznieść na to wyższe stanowisko, z którego ogarniamy całość objawów wszechświata, nie zaś drobną cząstkę widoków, zakreślonych promieniem »tępych oczu«; potrzeba myśl swą pobudzić do lotu i szybować śmiało w niezmierność.

Atoli oprócz takiego, zapłodniającego działania, paradoxy Emersona mogą mieć jeszcze i bliższe, praktyczniejsze, że tak powiem, zastosowanie. Nieraz już przed nim wypowiedziano zdanie, że człowiek kształcący się, przeżyć musi sam w sobie wszystkie fazy rozwoju ludzkości; ale podobno Emerson pierwszy zwrócił się do ludzi z żądaniem, żeby przeżywali te fazy świadomie i pytali wciąż siebie, jakiego już dokonali postępu. Mickiewicz w 12-jej lekcji czwartego kursu wykładów w kolegium francuskim przytoczył z wielkim uznaniem następne słowa myśliciela amerykańskiego:

»Nie zewnątrz nas szukajmy wiedzy naszych dziejów, nauczymy się je wyczytywać w nas samych. Historia powinna przestać być szpargałem; potrzeba koniecznie wygrzebać się ze szpargałów. Historia powinna chodzić wcielona w każdym człowieku prawym i mądrym. Nie wyciczaj mi książek, któreś przeczytał; daj mi uczuć, z jakiego wieku jesteś, wiele wieków przeżyłeś; złóż mi w sobie samym świadectwo żywe, do jakiej epoki doszedłeś, a ja podług tego naznaczę ci miejsce. Muszę zobaczyć w człowieku przeszłość całą: w jego dzieciństwie wiek złoty, drzewo wiadomości dobrego i złego, wyprawę Argonautów, powołanie Abrahama, zbudowanie Kościoła; w jego młodości — przyjście Chrystusa, wieki średnie, odkrycie Ameryki i t. d. Jeśli jeszcze nie odbył twojej wojny krzyżowej i twojej rewolucji francuskiej, spiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł należeć do pokolenia dzisiejszego«.

Czyż pod temi oryginalnemi wyrażeniami nie czuć wymagania, by każdy człowiek, chcący żyć rozumnie w swojej epoce, nietylko znał

historię z książek, ale ją przeszedł sam we własnym duchu, dzieląc radości i cierpienia, wielkie myśli, uczucia i czyny narodów, które tę historię wytworzyły? Czyż to nie jest nauką czynnego, rzeczywistego doskonalenia się duszy ludzkiej?

Zakopane, 7. czerwca 1898 r.

Piotr Chmielowski.



ISKRA W POPIELE.

NOVELA.

Powiadają, że ludzi prawdziwie szczęśliwych na świecie nie ma. Bajki, prześwietny sądzie, jak mówi mój Onufry, bo są i wewnątrz i zewnątrz zadowoleni z siebie, tylko że się nie prezentują, nie głoszą o swem szczęściu i nie każą podziwiać. Naprzykład ten sam pan Onufry Chudzikowski, egzekutor podatkowy w powiecie. Nikt jeszcze nie widział go smutnym lub zmartwionym, nie słyszał, by narzekał, czegoś innego pragnął lub komuś zazdrościł nawet tego popolicie pożądanego zdrowia.

— Moje zdrowie — mówi on sam — wystarczy do samej śmierci, bo ja, panie dobrodzieju, jak zdrow to zdrow, a już jak zachoruję, to mnie z pewnością dyabli zaraz wezmą i kpię sobie ze wszystkich dalszych szczęśliwości...

Pod tym względem, to pan Onufry jest najczystszej wody filozofem dawniejszego pokroju, kiedy to do filozofii przywiązaną była zasługa wewnętrznej szczęśliwości.

Szczególniejszego też rodzaju jest ten człowiek, wiodący żywot swój w prawdziwie błogosławionem umiarkowaniu.

— Braciszku — mówi do znajomych — tylko nie przesadzać w niczem. Ja trzymam się zawsze starej maksymy: że po »weselu bywa smutek«, dlatego strzegę się zawsze wielkiego wesela cudzego i swojego, bo się nawet nie ożeniłem, aby potem nie doświadczać smutku. Żadnych tedy wybuchów, a ciągle jednostajne umiarkowanie wedle staniczku, jak utrzymywał ś. p. Rey z Nagłowic. Ostatnie w życiu zmartwienie miałem przed dziesięciu laty, gdy mi umarł rodzony brat i ostatni z naszej rodziny. Zgryzłem się, jak pies, bom tego durnia, chociaż był poetą, bardzo lubił, ale otrzymawszy depezę o jego śmierci, poszedłem do kościoła i podziękowałem Panu Bogu, że się tak stało, bo już na przyszłość nie będę miał o kogo się martwić.

Pan Onufry ma dzisiaj około czterdziestki, ale przy swojej szczęśliwości wygląda znacznie młodziej. Zażywny w sobie, krępy, muskularny, z twarzą czerwoną jak rydz i z karkiem pofałdowanym, jak u wołu, spogląda dobrodusznie, kpinkowato na wszelkie sprawy ludzkie, nawet przy wykonywaniu swoich urzędowych czynności, które, jak wiadomo czytelnikom, rzadko mogą być przyjemne.

Mus, panie dobrodziej, jest zawsze twardym orzechem do zgryzienia, a że żadne społeczeństwo nie mogłoby istnieć bez pieńędzy, więc muszą być tacy, którzy płacą i tacy, którzy ich do tego zmuszają. Brzydka rzecz naprzykład, zarząca kogo, a jednakże rzeźnicy co zabijają i każdy co zajada pieczenie i befsztyki, za złe im tego brać nie może.

Nasz egzektor galicyjski zajmuje sam oddzielny domek na przedmieściu, w którym z powodu ciągłych podróży rzadko przemieszkuje, ale dla porządku i jakiegoś bezpieczeństwa trzyma gospodynię, niejaką Walentową, kobietę już starą, kulawą i głuchą.

— Ach, żeby to czupiradło jeszcze zaniemówiło i osiępiło, to mógłbym się z nią ożenić, bo byłaby nieszkodliwą.

Pan Onufry, niewiadomo z jakiej przyczyny, jest zdeklarowanym nieprzyjacielem kobiet i przy każdej okazji nie żałuje języka, aby dać folę swej nienawiści.

— Panie dobrodziej — mówi unosząc się i stukając kulem o stół, zwykle bowiem wynurza się ze swych poglądów w piwiarni u Arona — każda baba jest stworzeniem nieczystym, które Pan Bóg tylko przez zapomnienie kazał Noemu wpuścić do arki. Byłoby się to tak wytopiło i mielibyśmy do dziś dnia spokój; a tak żyje to, rozmnaża się i coraz to bardziej chłopów za łeb bierze. Mój nieboszczyk brat, Kacper, któremu niech tam da Bóg wieczne odpoczywanie, chociaż był wielki cymbał i poeta, — to panie pisał do nich wiersze, że są anioły... Tfu, jakie to anioły!... że są królowe świata, kwiaty, ozdoby, skarby, z czego one się same w kulak śmiały i wpędziły go do grobu. Każda baba, panie dobrodziej, jest, była i będzie całym utrapieniem mężczyzny i anarchistką z urodzenia. Stworzone na niewolnice a gwałtem im się zachciewa rządzić, notabene głupio. Fałszywe, podstępne, chciwe, rozpróżniane komedyantki, a do tego pustki u nich w głowie i w sercu. Nie gadajcie mi tam o miłości, o poświęceniach i ofiarach — bo to wszystko słomiany fajerwerk kaprysów bez żadnej głębszej intencji. Niby to ambitne i nieprzystępne, a są na sprzedaż i to za co? Za łyżkę strawy, za trochę gałganów, za błyskotki. Zobaczycie, moi panowie, że przyjdzie czas, kiedy ja te skarby świata będę fantował za zaległe podatki ich ojców i mężów i będę sprzedawał przez licytację. Zobaczycie, niechno Fiskus austriacki zamiarkuje, że to geszef, to się do nich weźmie.

Śmieli się serdecznie piwosze z tych gadań Onufrego grożąc mu, że jak się kiedy zbiorą na niego kobiety, to go ukamieniają.

Ale on kpił sobie z tego i był zdrów jak ryba, jadł dobre, w piwie coraz więcej smakował i sypiał jak dziecko po urodzeniu. Prócz obowiązkowych czynności, które spełniał sumiennie, nic go więcej nie obchodziło. Żadnych książek, ani gazet nie czytał, niczego nie był ciekawy, do nikogo nie chodził i u siebie nie przyjmował, a wolny czas od zajęć spędzał na przechadzkach za miastem, zajmując się ścinaniem laską główek wszelkiego rodzaju bodyaków. Jeżeli zaś słota zatrzymała go w domu, to kładł się spać, bez względu na porę dnia, co mu nie przeszkadzało wcale do odsypiania w zwykłym porządku godzin nocnych.

Musiałby kto mieć chyba dar Ducha Świętego, żeby odgadł, o czym ten człowiek myśleć może. A jednakże musiał przecież myśleć, jeżeli nie o terażniejszości, to o przeszłości, bo nieraz dostrzegano, iż przy ścinaniu owych bodyaków przemawiał do nich przed egzekucją i to z pewnem uniesieniem, jakby te główki chwastów przedstawiały żyjące istoty. Nie omylę się, gdy powiem, że bodyaki brał za... kobiety.

Przy czynnościach swoich, jako egzekutor podatkowy, zachowywał się prawidłowo, z całą obojętnością urzędnika, spełniającego obowiązek. Przyjechawszy do wsi lub miasteczka, przedewszystkiem starał się o jak najwygodniejsze pomieszkание i zabezpieczenie porządnego jedzenia. Potem nałożywszy czapeczkę z bombelkiem, szedł z wójtem od domu do domu, brał fanty albo pieniądze, protokoły pisał, nie słysząc ani płaczów, ani błagań, ani wymyślań. Czasem tylko, gdy jaka zrozpaczona kobieta padała przed nim na kolana i wyciągała ręce, zrywał się jak oparzony, trzepał rękami i wołał:

— Cóż u Pana Boga, chcesz, żebym buty zdjął z nóg i dał na fant za ciebie! Dalibóg, mam tylko jedno, te co na sobie.

Jednego dnia podczas późnej jesieni, kiedy to zima zaczyna wysyłać na świat swoje podjazdy w postaci ostrych krup śnieżnych na poły z deszczem, zajechała do dnia przed dworek pana Onufrego zwyczajna, chłopska podwoda. Miał jechać na egzekucję do bardziej oddalonego miasteczka, więc kazał bardzo wcześniej przyjechać furmance. Ależ cóż, jakoś zasnął, a tymczasem chłopiek powożący i konie marzły i dygotały przed domem, nie mogąc się doczekać otwarcia drzwi wchodowych.

Jeżeli pan Onufry miał jakie dni feralne w życiu, to ten z pewnością takim mu się zapowiadał od samego rana. Najprzód trafiły go jakieś przykre sny, z powodu których wstał w najgorszym humorze. Walentowa nie kupiła świeżych butek, bo jeszcze było za rano, kawę dała fatalną, a do tego jeszcze układając rzeczy w tłumoczkę, tak się kręciła, butami stukwała i co chwila kichała z okrutnym rozmachem, że biedny egzekutor zrywał się sądząc, że ktoś strzelił.

Już wyjeżdżając z miasteczka, spotkał kobietę z wiadrami, idącą po wodę, która mu przeszła drogę, a wreszcie zapowiedział

mu furman, że muszą jechać na Wierzbówkę o milę dalej, po drodze bitej, gdyż bocznymi drogami niepodobna teraz przejechać.

Dotąd z całym spokojem filozofa znosił pan Onufry wszystkie ciosy losu, ale jak usłyszał, że muszą jechać przez Wierzbówkę chwycił chłopaka za kołnierz i kazał skrócić na lewo.

— Wielmożny komisarzu — mówi przełękły — tędy nie przejedzie, błocisko okrutne i konie staną.

Rzeczywiście tak było i trzeba jechać gościńcem po drodze szutrowanej, choć i tu nie była rozkosz dla koni. Ale egzekutorowi nie tyle szło o dalszą drogę, ile o samą Wierzbówkę, wieś, której zawsze unikał i której nie cierpiał. Tu bowiem przeżył swoją młodość jako syn ekonoma, a z tej młodości wyniósł tyle przykrych wspomnień, że ile razy zobaczył pałac Wierzbowski, tracił zwykły spokój, nad zdobyciem którego pracował lat piętnaście.

I teraz też, gdy po dwu godzinach ciężkiej jazdy pokazały się opustoszałe, czarne zgłiszcza spalonego przed kilku laty pałacu, jakiś dziwny dreszcz nim wstrząsnął pomimo, że podniósłszy kornatę kołnierz barani, starał się nie patrzeć na owe ruiny.

Jadą tedy, mijając sztachety gościńca, aż tu, gdzie stoi wybielona wesoło oficyna, a za nią ciągnie się parkan ogrodu, panu Onufremu zrobiło się nagle tak niedobrze, że kazał stanąć i wysiadł. Kołnierz z futra przy zeskakiwaniu z wozu opadł i pokazała się rumiana twarz egzekutora z tak dziwnym wyrazem, z tak ożywionem i błyszczącym spojrzeniem, jakiej nikt nigdy u niego nie widział. Przytulony do parkanu, człowiek ten pod wrażeniem mimowolnego jakiegoś porwy, którego już pohamować nie chciał, czy nie mógł, zapuścił wzrok przez szparę w parkanie i patrzył, patrzył cały wzruszony i niemy.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — zawołał wreszcie żegnając się — czyż mię co opętało, czy co? Tfu! splunął z całej siły, wstrząsnął się i jak młodzieniec jaki wskoczył na wózek, krzyknawszy:

— Jedź, jedź, tylko chyżo...

I zdawało się biednemu człowiekowi, że tym znakiem krzyża świętego i tą prędką jazdą potrafi zadusić iskrę, piętnaście lat utajoną w popiele swej duszy, która tak nagle pod wrażeniem wspomnień rozstąpiła. Gdzie tam i nie dała się stłumić i coraz to żywszym wybuchem blaskiem, rozdmuchiwana wichrem wskrzeszonych uczuć, które unosiły z niej popiół na wsze strony.

Nie wytrzymał i przymusową perswazyą nie zmusił oczu, aby nie patrzyły wewnątrz ogrodu, koło którego jechali i żeby nie widziały tych ścieżek, którymi chodzili oboje kiedyś, owej, dziś już zrujnowanej altanki, w której przysięgali sobie ostatni raz z Marynią wieczną miłość i snuli przyszłe projekty, gdy wróci z wojska.

Ach! ta Marynia z powłóczytami, czarnemi jak smoła oczyma, które wpiły mu się do duszy, serca i pamięci, jakaż to była uroczą, miła i serdeczna dziewczyna! Sierota, daleka krewna dziedziczki, istota dobra, lecz poniewierana w pałacu, przyłgnęła do niego i kochała go i przysięgła być tylko jego, a jednak wyszła za innego, bo był dzierzawcą, a nie ekonomskim synem bez wyraźnej przyszłości. Wrócił po trzech latach służby wojskowej i już jej więcej nie widział...

Zgubiła go, zabrała mu wszystko na świecie, napełniła duszę goryczą do śmierci, przez co stał się bałwanem między ludźmi, istotą bez jutra, bez celu i pragnień, udającą spokojnego człowieka. Wiatr z deszczem ciął w twarz pana Onufrego, a on nie zakrywał jej futrem, tylko oglądał się wciąż na ogród, dopóki tylko mógł dojrzeć poczerńiałe mury pałacu i nie czuł, jakie ciężkie łzy mieszały się z wodą deszczową, spływając z całą swobodą po zaczerwienionych policzkach...

Nic nie pomagały oburzenie, gniew i sztucznie wywoływana wściekłość i nienawiść przeciw niewierze zdrajczynie. Postać jej w perkalowej sukience w niebieskie paski, z dwoma spadającymi na plecy, jak ręka grubemi warkoczami, stawała przed nim, jak żywa, a w oczy patrzyła smętnie, przesywając, od czego dziwny dreszcz przechodził od stóp do głowy, dreszcz nieokreślonej rozkoszy...

Konie szły po ciężkiej drodze noga za nogą, on tego nie czuł i nie widział. Nie czuł zimna i głodu, chociaż dwie godziny stali na popasie. Jak usiadł w karczmie za stołem i głowę podparł obu rękoma, tak przesiedział zatopiony we wspomnieniach, które otoczyły go błędnem kołem myśli i mglistych widziadeł, na tle owej sukienki w niebieskie paski, powracającej ciągle z dwójgiem czarnych, smutno patrzących oczu.

Pierwszy raz dopiero od czasu swego urzędowania zajechał do austeryi w miasteczku i zajął numer, który mu posługacz wskazał, zapomniawszy nawet kazać napalić w piecu...

— Chyba ja już tu zginę — myślał w chwilach powrotu do zdrowej myśli. — Boże, mój Boże, co się ze mną stało? A toż ja zbałwaniałem i jestem do niczego! Pójdź precz ode mnie ty, szatanie kusicielu... Ja nie chcę o tem myśleć. Przepadło, zginęło... to jakaś mara... W imię Ojca i Syna... Tfu!...

Całą noc prawie nie spał, a męczył się, odpędzając straszne i gniotące go sny, w których powtarzały się wszystkie przykrości, jakich kiedykolwiek w życiu zaznał. Rano jednak, gdy przyszedł burmistrz z policyantem, aby towarzyszyć egzekucyi, już otrząsł się z pod czaru i naraz wstąpiły w niego dziwnie podniecona energia i złość do ludzi, że rad był ich wszystkich zgnieść, zdusić, wyniszczyć, aby raz to nikczemne plemię istnieć przestało. Nagle zatem stał się nieubłaganym, stracił dawniejszy spokój urzędowy, wymyślał biedakom, brał, co się dało, na fanty, kazał zdejmować

z łózek pierzyny i poduszki, a w końcu sam własnymi rękoma, zrywał ubranie z biedaków.

Groza zapanowała w miasteczku! Jeszcze tak bezwzględnego egzekutora nigdy tu nie widziano; to też po wszystkich domach, spodziewających się najścia, wynoszono ukradkiem sprzęty, wprowadzano bydło z obory, chowano lepsze ubranie po strychach i zakamarkach.

Wchodząc do jednego z zapadłych domków na przedmieściu, gdzie mieszkała jedna z ofiar dzisiejszej egzekucyi, spostrzegł małą, może dwunastoletnią dziewczynę, która z największym pośpiechem i przestraczem niosła jakieś zawiniątko z mieszkania jednego na drugą stronę sieni. Egzekutor instynktownie pochwycił ją za rękę.

— A to gdzie i co? — krzyknął, usiłując zobaczyć, co ona niesie.

Dziewczynka się kręciła i wywijiała, broniąc owego zawiniątka, lecz pan Onufry siłą odebrał je i rozwinął — była to jedwabna i dobrze podniszczona suknia czarna.

— To tak!.. — zawołał z uniesieniem.

— Mama mi kazała.

Kazała — powtarza z ironją — poczekajże, to my tu zaraz i mamie coś każemy — i prowadzi ją do izdebki, z której wybiegła.

Stanął przy progu z rezolutną miną, burmistrz z policyantem tuż za nim i otworzywszy usta, aby zgromić błądą i wynędzniałą kobietę, w tej chwili myjącą szklankę przy kominie, nagle zatrzymał się przerażony.

Kobieta ta była albo sama, kiedyś przez niego ukochana Marynia, albo jeżeli nie ona, to tak do niej podobna, że na razie stracił dech w piersi i słowa wymówić nie mógł.

Pani Marya Szebeścina, wdowa, — odzywa się, zaglądając do wykazu burmistrz — zalega w opłacie podatku zarobkowego dwanaście reńskich i czterdzieści trzy centy. Utrzymywała magazyn mód a zaległość ciągnie się od lat trzech.

Onufry spojrzawszy dokoła po izdebce w ziemię zapadłej, zimnej, zawilgoconej, i dreszcz go przeszedł na widok tej ostatniej nędzy. Prócz jednego łóżka, a raczej tapczana, z narzuconym starym, drelichowym siennikiem, prócz kulawego stołu, dwóch stołków i kilku garnków na kominie, nic tu nie było więcej. Ani kuferka, ani szafki, ani tych drobnostek w gospodarstwie koniecznych — nic, tylko pustka i ostatnia nędza...

Szebeścina stała również jakby odrętwiała przy kominku i patrzyła bezmyślnie na egzekutora. Nie poznała Onufrego, nie widziała burmistrza, i tylko machinalnie przygarniała ręką główkę płaczącej dziewczyny, która tuliła się do niej.

— Jakie nazwisko pani rodowe? — zapytał po dłuższym milczeniu Onufry.



Kobieta, czy nie rozumiała, o co mu chodzi, czy nie słyszała pytania, dość, że nie odpowiedziała nic, a tylko przestraszonymi oczyma wodziła dokoła.

— Jak pani rodzice się nazywali? — odzywa się burmistrz.

— Co za rodzice?

— No, ojciec pani?

— Ojciec? — powtórzyła zamyślona. — Ojciec mój, czy męża?

— Pani.

— Sikorski.

Onufry drgnął, oczy przymróżył, a twarz cała przybrała już barwę czerwono-siną. Naraz jednak, jakby coś nim potrząsało, oczyma błysnął i jak tygrys przyskoczył do przestraszonej kokiety.

— Płacisz pani, czy nie?

Zamiast odpowiedzi, łzy puściły się dwiema strugami z oczu Szebeścinej. Nie mogąc słowa przemówić, zataczała rękami dokoła, jakby tym ruchem chciała pokazać całe bogactwo swoje.

— Oto wszystko, co mam...

— Nieprawda! — krzyknie egzekutor. — Kazałaś pani rzeczy powynosić... ja was znam... A ta suknia jedwabna co znaczy?... Kto nosi jedwabie, ma pościel i sprzęty... Czy pani nie wiesz, co cię czeka za ukrywanie rzeczy przed egzekucją, nie wiesz pani co?

— Nie wiem — szepnęła cicho. — Nic więcej nie mam prócz tej sukni...

— I pani kazałaś ją wynieść tej dziewczynie?

— Kazałam, to moja córka...

— Córka, pięknie ją pani chowasz... Ale ja tego przepuścić nie mogę...

— Panie burmistrzu! — mówi, trzęsąc się z gniewu — proszę nakazać podwoję dla odstawienia tej pani do sądu... Żadnych ale, żadnych protestów, wiem, co robię i za to biorę na siebie odpowiedzialność... Proszę więc, aby tu za godzinę najdalej była porządna furmanka, bo taka pani, co w jedwabiach chodzi, potrzebuje wygody... Ja tymczasem spiszę małeńki protokół, a pani niech się zabiera do drogi...

No, no — rzeknie półgłosem burmistrz, kręcąc głową — jeszcze tu u nas czegoś podobnego nie bywało, żeby aresztować ludzi przy fantowaniu...

Onufry skoczył ku niemu cały w ogniu.

— Co pan mi tu będziesz dyktować prawa, ja wiem, co robię! I gdybyś pan również to wiedział i nie osłaniał swoich obywateli przed egzekucją, władzy w błąd nie wprowadzał fałszywymi raportami, toby nie zalegały od dziesięciu lat podatki z tej miejsciny...

Burmistrz się cofnął skonfundowany porywczą mową egzekutora i razem z policyantem wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Onufry wyprostował się i naraz cały gniew jego opadł, jak woda z naczynia, kiedy dno wypadnie. Z krzykliwego, hardego

i bezwzględnego urzędnika stał się pokornym, uniżonym i dziwnie niesmiałym.

— Maryniu — rzecze cichym i łagodnym głosem, zbliżając się do komina, gdzie wciąż stała jeszcze wdowa — to jestem ja!!

Drgnęła, spojrzała na mówiącego i nagle wybladła jej twarz, na której błyszczały niezaschnięte łzy, oblał silny do włosów nad czołem sięgający rumieniec.

— Pan Onufry!... — wyszeptwała.

— Ten sam, Maryniu... ja... tego... ten sam... zawsze ten sam... — mówił, jękając i z nogi na nogę, przestępując. — Jak Boga Kocham, zawsze ten sam.

— Więc się pan chcesz zemścić tak? — przemówiła, pozbywając się naraz poprzedniego odrętwienia. — Naturalnie przyjemną musi być zemsta, nawet po piętnastu latach...

— O jakiej mówisz zemście?

— No, przecie widziałam i słyszałam... Dobrze, mścij się pan, mnie już wszystko jedno i gdyby nie to dziecko.. jużby dawno, bardzo, dawno nie było mnie na świecie... Boże drogi, Boże — mówiła jakby do siebie — czyż człowiek może wycierpieć tyle w życiu, com ja wycierpieła? I umrzeć nie mogę i umrzeć mi nie wolno... Za co, Panie Boże, za co mię tak karzesz!...

I zasłoniwszy oczy rękoma, zsunęła się bezwładnie na podłogę, płacząc tak rzewnie, że panu Onufremu zrobiło się dziwnie jakoś i niemiło na sercu. Przelekniona córka, widząc tę rozpacz matki i nie rozumiejąc wcale o co rzecz idzie, rzuciła się jej z przeraźliwym krzykiem na szyję, oplótła ją rękoma, jakby chciała bronić przed napaścią Onufrego.

— Ależ, panno Maryo... ej, chciałem powiedzieć pani... przecież tu dalej pozostać nie możesz. Ja tego nie chcę, a nie pozwolę, rozumie pani, nie pozwolę... Pies by tu nie wytrzymał.. pani pojedziesz do naszego miasta... mam tam domek, no i tam przecie coś poradzimy. Zmiłuj się pani, nie płacz... ja nie mogę na to patrzeć, ja zwaryuję z tego... Patrz, w głowie mi się kręci... Ty nie wiesz, biedaczko, com ja ci winien...

Odjęła ręce od oczu i spojrzała na niego ciekawie.

— Tak, winienem ci jestem jedynie szczęśliwe wspomnienia, jakie miałem w życiu...

— Dlaczego chcesz mię oddać do sądu! -- rzekła z wyrzutem.

— Głupstwo, jakie tam sądy!... Ot sam nie wiem, co mi się wyrwało... bo widzisz, Maryniu, — mówił podnosząc ją z ziemi — ja oszalałem, spotkawszy cię tak nagle. Daruj mi... przebacz... jestem ten sam, kiedyś to pamiętasz, w altanie... A widziałem ją dzisiaj tu jadąc... i prędejbym się śmierci spodziewał, niż tego, że cię tu znajdę w takiej biedzie... Nie bój się, nie jestem tak zły i mściwy, co będę mógł... no, no, trzeba się zabierać. Mój dworek mały, ale wygodny, córka może chodzić do szkoły, ja sobie najemę gdzie stancyjkę... no, i robota się znajdzie, większe miasto...

— Nie mogę, ach, nie mogę! — zawołała, załamując ręce. — Ja byłam niedobłą dla pana, nie powinnam była słuchać nikogo... ja przysięgłam wtedy panu... Boże, jakże zostałam ukarana. To wstyd iść na łaskę tego, kogo zdradziłam... Ale ja myślałam, że pan zapomnisz...

— Nie mogłem... ale już żalu nie mam... daję słowo... żadnego...

Wtem weszła gospodyni domu do stancyjki wdowy pod pozorem jakiegoś interesu, a głównie zaciekawiona, co też pan egzekutor porabia, i przerwała dalsze zwierzenia. Wkrótce też zajęchała zamówiona furmanka, na którą z miną niby to surową wsadził pan Onufry wdowę, otulił futrem nogi, dał jej swoją burkę do okrycia, czem rozbroił trochę zebraną gromadkę oburzonych mieszczan.

Dopiero w dwie godziny po ukończeniu czynności wyjechał sam z miasteczka, a za nim tuż pan burmistrz z dwoma asesorami na skargę do starostwa.

I pocieszna bardzo odbyła się nazajutrz scena w biurze starosty, który zawezwał do tłumaczenia się pana egzekutora.

— Co pan tam wyrabiasz, panie Chudzikowski! — przywitał go zaraz na wstępie dygnitarz powiatowy. — Czy panu się co w głowie przekreśliło, czy co? Zkąd, co, jakie pan masz prawo arestować i wywozić biedną i schorowaną kobietę...

— Zafantowałem ją, panie starosto! — odrzekł wesoło Onufry.

— Dla kogo?

— Dla siebie, panie starosto...

— Dla siebie? — mówi coraz więcej zdziwiony. — Co pan pleciesz, jakieś żarciki się pana trzymają. Uprzedzam, że tu miejscę urzędowe, i proszę powiedzieć kategorycznie, jasno, na co tę kobietę zabrałeś?

— Na żonę dla siebie, panie starosto. Jest to dawna moja znajoma, z którą chowaliśmy się i kochali razem; poszła za mąż nieszczęśliwie, zbiedniała, a teraz spotkaliśmy się przypadkiem, no i jutro dajemy na zapowiedzi...

— Komedya, dalibóg, to jak w powieści. No skoro tak — rzecze dygnitarz, odwracając się do zdumionych oskarżycieli — to jedźcie panowie do domu i powiedźcie mieszkańcom, że pan Chudzikowski już więcej kobiet u was za fanty brać nie będzie, bo i z tym, co go wziął, będzie miał na starość dosyć do roboty.

Albert Wilczyński.



Fraszka.

Wiare, nadzieję, miłości porywy,
 Godziny marzeń, słońca i zachwyty...
 Wszystko mi wydarł los nielitościwy!
 Wszystko mi wydarł, oprócz — apetytu!

M. Rodoc.



RZEŻBA.

Konkurs Mickiewiczowski we Lwowie.

W pragnieniach i w upodobaniach całego społeczeństwa są w różnych czasach, podobnie jak w życiu pojedynczego człowieka, chwile zupełnie różne, do siebie nie podobne. Ten sam człowiek rozpala się w pewnych chwilach do rzeczy, które dlań dawniej obojętnymi były a podobnie i społeczeństwa całe. Raz się zatapiają w poezji, by się znów później oddać z całym zapałem gorączkowym polityce, raz się skupiają w pracy przemysłowej, by znów potem oddać się pielęgnowaniu sztuki. Tym sposobem wynagradzają się braki powstałe w epoce jednej, bo równomiernie we wszystkich kierunkach nie rozwijają się nigdy, ani człowiek, ani społeczeństwo i wszechstronny rozwój musi pozostać nieosiągnionym ideałem. Zmienność upodobań, dążeń i stylów ma jednak zawsze swoje przyczyny, będące dowodem sił życiowych, bo zastój to martwota. Zmienia się cała natura ustawicznie, musimy się i my wśród niej żyjący zmieniać; tylko góry skaliste wysterczają nieruchome, podobne do grobowców jakichś wielkich ewolucyj przeszłości odległej. Zastanawiano się już niejednokrotnie, skąd się u nas wzięła idea wzniesienia pomników, której dawniej nie było wcale i zdołano wytłómaczyć ten objaw potrzebą z głębszych pobudek płynącą. Ztąd liczne konkursy pomnikowe, ztąd i konkurs na pomnik Mickiewicza we Lwowie. Już raz miałem sposobność wypowiedzenia w czasie uroczystości położenia kamienia węgielnego pod ten pomnik, że Adam ma być tym kamertonem, który ma nas politycznie rozdzielonych jednoczyć do jednej, wielkiej harmonii i dla tego każdy gród chciałby niejako dać wyraz tej spójni przez wzniesienie dla niego pomnika. Lwów zażądał kolumny Adama!

Myśl ta zdawała się na razie tak nową, tak od innych odrębną, że nie dziwnego, iż nie trafiła odrazu do przekonani wszystkich a szczególnie zatrwożyła tak zwanych estetyków, którym się wydała czemś nieartystycznym i nazywali ją jedni kominem, inni dyszlem nawet, ale zdaje mi się, że zawsze takie porównania trącą starem przysłowiem: *compa-*

raison n'est pas raison. Projekt kolumny dla Mickiewicza wyszedł pierwotnie z genialnej głowy a pod względem artystycznym u nas bodaj czy nie najgenialniejszej, bo z głowy Matejki. Matejko czuł wówczas kiedy miano pierwszy pomnik wzniesić Mickiewiczowi w Krakowie, że nie może zostać obojętnym, że ma do powiedzenia słowo — i słusznie pisze Tarnowski w dziele swem o Matejce: »a jednak szkoda jest nieodżałowana, że komitet pomnika nie zatrzymał się przy tym pomysłe!«

»Był on za bujny, za śmiały, ale był z twórczej głowy i był godzien przedmiotu. Może nie łatwo, nie odrazu, ale Matejko byłby się zgodził na okrojenie pomysłu, na opuszczenie wielu figur. A gdyby pod kolumną był ich stanął jeden rząd tylko, to fundusz byłby wystarczył a pomnik byłby miał piętno wspaniałości i majestatu.« Zaiste byłby świat bogatszy w wielkie dzieła sztuki, gdyby nie jedną myśl genialną nie był stracił w przepaść przeciwstawiając jej »reguły sztuki«. O tych regułach zwykle artyści tworzący nie nie wiedzą, natomiast uczą się ich estetycy i wykładają je *ex cathedra*. Myśl kolumny podniósł na nowo we Lwowie Adam Krechowiecki, nie malarz, ani estetyk fachowy, ale równieź umysł wórczy. Postawił ją, przyjęło ją liczne grono przyjaciół jego i tych, którzy dbają o to, by przecież w rozmaitych formach plastycznych wyrazić ten kult dla Adama, by przecież każdy gród większy miał pomnik Adama, ale o wybitnie odrębnym charakterze.

Dnia 10. grudnia r. b. zebrało się liczne grono jurorów w pałacu sztuki we Lwowie i szczęściem znalazło się w sali, zapełnionej dwudziestu projektami rzeźbiarzy i architektów polskich, wśród których nie jeden doskonale rozwiązał projekt z kolumną. Tu wypadła mi słów kilka powiedzieć o tem gronie sędziów, w którym na szczęście nie było koron hrabiowskich, nie było »mecenatów sztuki«, ale była arystokracja ducha, byli artyści, którzy szeregi lat przetrwali w służbie dla sztuki, którym nie przyświecały »reguły«, ale ideały piękna i poczucie artystyczne, wyrobione na licznych pracach dokonanych: Godebski, rzeźbiarz wytrawny, które życie całe pracował w najbogatszym, artystycznym otoczeniu w Paryżu a przytem idealny kolega, wolny od wszelkich *jalousie de metier*, Weloński Pius, wychowany wśród arcydzieł starożytnej Romy — i dwaj młodzi rzeźbiarze: Wójtowicz z Pesztu i Lewandowski z Wiednia, Zacharjewicz Juljan, architekt wytrawny i obeznany z tajnikami sztuki artysta — Gorgolewski, twórca teatru lwowskiego i Hochberger architekt i dyrektor budownictwa miejskiego, malarze Styka i Makarewicz, przewodniczący komitetu budowy pomnika, rektor uniwersytetu Cwikliński, Roman Piłat, rektor i prezes Towarzystwa Mickiewiczowskiego, wytrawny znawca dzieł Adama i Krechowiecki, inicjator kolumny, psycholog znakomity i autor tytuł doskonałych powieści.

Dla tego też sąd był tak jasny, prosty a powiedziałbym jednomyślny. Protokół ogłoszony opiewa: Nagrodę pierwszą otrzymał projekt z godłem »Natchnienie« dwunastu głosami, nagrodę drugą projekt bez godła z Florencyi, jedenastu głosami i jedna karta próżna.

Cóż mogło wywołać tę jednomyślność artystów zebranych z tak różnych ognisk sztuki europejskiej — co potrafiło dogodzić stanowcze-



KOLUMNA MICKIEWICZOWSKA WE LWOWIE

Projekt Antoniego Popiela

mu francuskiej sztuki zwolennikowi, co klasycznemu Rzymianinowi, co surowych form przestrzegającym architektom, co fantazyi malarskiej żądnym malarzom, co wielbicielom utworów Adama? Oto jedynie szczęśliwe pochwycenie myśli i harmonijne zlanie się linii — jednym słowem pełna skończona całość.

W tym wypadku była ona nie łatwą do osiągnięcia. Zrobić kolumnę, która już sama przez się jest pomnikiem a obok jeszcze figury, tak, by one znów nie były drugim pomnikiem, w tem spoczywała cała trudność zadania i z niej się wywiązał Antoni Popiel znakomicie, dając dowód wielkiego talentu. Widocznie służyło mu natchnienie, kiedy wszystkich przekonać potrafił. Nie rozdzielił on architektury od rzeźby ale połączył z dobrym smakiem te dwie siostry, nie dając przewagi jednej nad drugą.

W opisy szczegółowe wdawać się nie myślę; wyręcza mnie w tem załączona ilustracya. Muszę dać tylko wyraz jeszcze jednemu uczuciu a mianowicie uczuciu radości, że Lwowianinowi padło w udziale ozdobić Lwów pomnikiem Mickiewicza. Tak często sprawdzają się słowa pisma św. *nemo propheta in patria*, że ilekroć się one nie iszczą, tyle razy zdają się być zapowiedzią jakichś lepszych czasów. Nie jestto uczucie jakiegoś ciasnego partykularyzmu, ale poczucie wymierzonej sprawiedliwości. Artysta, mieszkający i pracujący w kraju, ma do zwalczania wiele więcej trudności, od tego, który żyje wśród warunków sprzyjających sztuce za granicą. On musi w codziennej walce zwalczać apatyę tych, wśród których żyje, a którzy wyziębiają nawet najgorętsze zachwyty. Wszak tylko trudnością tej walki codziennej tłómaczy się emigracya tytu artystów za granicę rodzinnego kraju; musi być jednak w podjęciu tej walki pewna niezem zaprzeczyc się nie dająca zasługa obywatelska. Nie zapomnę nigdy, jak dobitnie Matejko raz mi to tłómaczył, z własnego czerpiąc doświadczenia a ile bólów i przebytych cierpień ukrywało się za temi jego słowy...

Dajmy ciepło sere naszym artystom naszym a zobaczymy, jak się rozwijać będzie sztuka polska; artysta w społeczeństwie naszym, to kwiat cieplarniany, który bez tego ciepła zmarnieć musi.

Ale przejdźmy do dwóch następnych laureatów, którzy choć zdala od rodzinnej ziemi stanęli do apelu. Mieczysław Zawiejski i Wacław Szymanowski otrzymali dwie następne nagrody. Projekt Zawiejskiego ma niemal ten sam motyw plastyczny, jaki widzimy u Antoniego Popiela, nie zdołał go jednak tak jednolicie ująć w całość. Wacław Szymanowski to śmiały artysta, dla którego nie ma nic niemożliwego. Dlatego stawia wysoko na kolumnie Mickiewicza w surducie i w butach a po nad nim jeszcze unoszącą się postać skrzydlatą. Jest pewien romantyzm w tych dwu postaciach i mimo w całej dziwaczności coś niezwykłego, coś co świadczy o szukaniu dróg nowych, coś, z czem się nie każdy zgodzić może, ale co daje świadectwo dzikiej, żadną formą nie krępującej się duszy.

Płaskorzeźba u spodu pomnika, wyrażająca »hej ramię do ramienia« jest najlepszą rzeczą tego projektu i posiada wielkie zalety plastyczne.

Przekroczyłbym ramiy dozwolone wydawnictwa, gdybym się chciał rozpisywać o innych na konkurs nadesłanych pracach, wśród których sporo jest zalet i sumiennej pracy.

Grono sędziów zamierzało nawet rozdawać jeszcze listy pochwalne, ale ponieważ one nie były z góry zapowiedziane w ogłoszeniu konkursu, musiano sobie odmówić tej przyjemności.

W każdym razie nie może się społeczeństwo uskarżać na brak gorliwości ze strony artystów. Termin był krótki, warunki trudne a jednak stanęli ci pracownicy, mimo głodu i chłodu, na wezwanie a choć nie uwieńczeni podali innym »szczębel do sławy grodu«.

Jan Styka.

We Lwowie d. 12. grudnia 1898.



MALARSTWO.

Siemiradzkiego „Dirce chrześcijańska”.

Pierwszem wrażeniem, jakie obraz ten sprawia, jest niespodzianka, a nawet rozczarowanie. Oczekiwało się czegoś zupełnie innego. Jakto? Więc to nie scena z rzymskiego cyrku na szeroki zakrój, z obszernem tłem i daleko sięgającym drugim planem, z mnóstwem figur, aluzji, życia, z całą raz jeszcze odtworzoną mozaiką rzymskiego świata za Nerona? Zamiast historycznego obrazu, psychologicznie pojęty epizod? Obok głównej postaci, jedna grupa z kilku osób i parę innych dodatkowych, tworzących sztafaż, — i nie więcej? Czy nie zamało i czy już na wstępie z takiego pojęcia tematu nie wolno zrobić artyście zarzutu?

Zdaje mi się, że nie. I to z dwóch powodów. Naprzód takich wielkich maszyn widzieliśmy za wiele i każdy naprzód wie, jak mogą wyglądać. Kolosseum, w górze lazur i płachty purpury, na galeriach morze głów, ryczący, ruchliwy tłum, z boku trybuna cesarska w złocie, w czerwieni, — faworyci, dziewczki, Neron ze swym historycznym szmaragdem przy oku... Alles schon dagewesen i wieleż razy! Na ogranych skrzypcach dobrze grać, ale ograne temata stają się katarzynką. A potem przy takich rozmiarach, kompozycyja musi mieć charakter dekoracyjny, trudno pogłębić szczegóły, narzucić widzom tę lub ową postać, wywołuje się tylko nastrój ogólny i wrażenie całości. Ostatecznie zaś to,

co na nas działa najpotężniej, to nie scena jakaś, to pojedynczy w niej człowiek. Więc też wybierając taki właśnie sposób przedstawienia swej »Dirce«, Siemiradzki wyrzekł się większego efektu, ale za to obraz jego tem bardziej do siebie przykuwa myśl, tem trwalsze, głębsze robi wrażenie.

Ofiara już została spełnioną... Olbrzymie cielsko czarnego byka z Kampanii leży na ziemi ciężką, niekształtną masą. Przywiązane do niego ciało kobiece osunęło się obok w chwili upadku zabitego zwierzęcia, samo już martwe. Czy nie zbyt dawno martwe? Trupia, w blade zielonkawy ton wpadająca karnacya, robi wrażenie, jakby śmierć nastąpiła była przed dwudziestu godzinami. Ale nietylko to razi niemile: cała ta postać robi wrażenie raczej ujemne. Ta »Dirce« jest rodzoną siostrą Fryny, której reprodukcye zdobiją ściany tyłu kawalerskich sypialni i fryzjerskich sklepów. Tylko, że Fryne jest pogańską heterą, w »Dirce« zaś chce artysta przedstawić tragiczną śmierć męczennicy Chrystyanizmu. Przenosząc na płótno starą, grecką legendę, tak pysznie wykutą w marmurze Farnezyjskiego Byka, i przedstawiając ją w ten sposób, jak ją przedstawia Siemiradzki, dodałby jeszcze jedną rozebraną kobietę do tyłu innych, jakie sztuka dzisiejsza tworzy. Dziewicy chrześcijańskiej jednak, bohaterki swych przekonań, nie godziło się tak malować. Mógł ją artysta malować nagą, skoro tak mu temat jego kazał: nie powinien był jej rozbierać i w lubieżnej, zmysłowej pozie układać dla drażnienia nerwów widza.

Widowisko godne Cezara. Wpatruje się też w pięknego trupa Neron, wpatruje się Tigellinus, a za nimi cała gromadka faworytów i nałożnic cesarskich. Wspaniała to grupa, najlepsza, istotnie wyborna część obrazu. Neron pojęty bardzo szlachetnie, ogromny, imponujący, niema w sobie nic z krwawego histryona. Jest posępny, zmysłowemi chuciami przeorany, ale spiżowy. Doskonałą jest postać kobieca na pierwszym planie, pysznym, pełnym charakteru Tigellinus.

Cała ta grupa, wpatrująca się z ciekawością i z chwilowem podbudzeniem stępionych nerwów w nagą postać kobiety, zabitej przed chwilą zapewne uderzeniem o ścianę lub kolumnę podczas biegu rozwściekłego zwierzęcia, koncentruje na sobie interes widza.

Siemiradzki rozumie doskonale i umie przedziwnie malować ten świat starożytny, pogański, czy to w jego sielankach, czy w dramatach. Każda też z jego postaci jest nietylko w rzymską togę ubrana: ona ma i duszę taką, jaką mieli ludzie ówczesni. To wszystko, co stanowiło ich charakterystyczną cechę: chłodne okrucieństwo, sztucznie podniecane zmysły, estetyczność form zewnętrznych życia i zupełna jego wewnętrzna próżnia, uwydatnione jest w tych typowych figurach. Wrażenie ich jednak byłoby donioślejsze, gdyby je ożywił i podkreślał kontrast z gruntownie przeciwnym pierwiastkiem chrześcijańskim. Prawda: tego kontrastu nadużyto w literaturze i w sztuce i sam Siemiradzki obawiał się może wracać do motywu wyzyskanego już raz w »Świecznikach«. Tem nie mniej jednak kontrast był tu potrzebny, postać zaś zabitej dziewczyny,

bezwstydnie odarta z okrywających ją zasłon, wystudyowanie, zmysłowo rozłożona u stóp Cezara, kontrastu tego nie tworzy, chrześcijańską jest tylko na afiszu, nie w obrazie.

Reszta kompozycji składa się z samych tylko akcesoryów. Są one, jak zawsze u Siemiradzkiego, ładnie malowane, niektóre z nich bardzo żywe i efektowne, jak na przykład niewolnicy z mieczami w dłoniach, nieruchomi i sztywni, niby posągi z czarnego marmuru. Drugiego planu prawie niema, tylko w górze rysują się na tle nieba szare marmurowe kolumny i krążanki, jakby przyémione i na pół zatarte.

Ogółem wzięwszy, jeden więcej bardzo niepowszedni obraz, który w naszych czasach ma przedewszystkiem tę wielką zaletę, że malowany jest doskonale. Można o szczegóły kompozycji się spierać; nikomu nie przyjdzie na myśl zaprzeczyć artystycznej wartości wykonania. Po dziwolągach i chlapaninach, jakimi nas najnowsza produkcya artystyczna tak hojnie obdarza, obraz taki jak »Dirce«, przynosi chwilę prawdziwego używania i trudno nie mieć za nią wdzięczności dla mistrza. Wśród jego utworów jednak, nie sędzę, aby ten stanowił krok naprzód. Niema w nim ani weronezowskiej wspaniałości »Świeczników«, ani czaru barwy i tonu »Tańca wśród mieczów«, ani tej psychologicznej głębi, którą uderza i imponuje »Jawnogrzezdnica«. »Dirce« sama chybiłą jest w pomysle i w wykonaniu: zamiast męczennicy, zrobił z niej artysta zabita przypadkiem dziewczkę i tem samem pozbawił w znacznej części i ją samą i cały swój utwór tego współczucia widza i tej tragicznej grozy, jaką scena podobna wywołuje u Sienkiewicza. Ale gdyby tylko na obrazie była jedna postać Tigellina lub Nerona, wystarczyłaby ona, aby naprawić błędy i braki obrazu i tę ostatnią kompozycję Siemiradzkiego zapisać na długo w naszej pamięci.

Jan Łada.



M U Z Y K A.

Nowości muzyczne. Znaną jest rzeczą, że twórczość naszych kompozytorów — o ile z wydawnictw sędzić można — skłania się przeważnie do pieśni solowej. Przyczynę tego tłumaczyć na różne sposoby, dopatrując się jej bądź w charakterze samych kompozytorów, którzy na tem polu najwięcej doznają zachęty, mogąc liczyć na odpowiednie wykonanie kompozycji, bądź w skłonności wydawców do nabywania tych właśnie rzeczy, bądź w upodobaniu szerszych warstw publiczności do utworów tego rodzaju. Sędzę, że wszystkie te czynniki, będące z sobą w związku, działają w tym wypadku.

Spora ilość nowości muzycznych, którą mam przed sobą a która stanowi dorobek artystyczny wyłącznie naszych, lwowskich kompozytorów z czasów najnowszych, potwierdza fakt na wstępie zaznaczony. Przeważa w nich pieśń solowa, brak zaś zupełny utworów z zakresu zbiorowej muzyki kameralnej oraz utworów fortepianowych, drobniejszych, przystępnych, nie stawiających zbyt wielkich wymagań co do techniki, ale posiadających prawdziwą wartość artystyczną. Kilka wydanych niedawno utworów Melcera braku tego zaspokoić nie może, gdyż pisane są już dla wirtuozów — dla władających przeciętną techniką są za trudne. Braku tego wytłómaczyć sobie nie mogę i pragnąłbym tylko, aby mu zaradzono, gdyż właśnie zaopatrywanie publiczności takimi technicznie przystępnymi a posiadającymi wartość muzyczną utworami wpłynęłoby mogło w znacznej mierze na podniesienie poziomu muzyki, uprawianej w kółkach rodzinnych przez całą falangę grających, żadną nowości a zmuszoną szukać ich u obcych i biorącą w rękę często na oślep rzeczy bez wartości.

Ceniony wirtuoz, Teodor Pollak, wydał trzy transkrypcje fortepianowe znanych pieśni Galla, (»Wracaj«) i Niewiadomskiego, (»Rezeda« i »Menuet«). P. Pollak grał je już na swoim zeszłorocznym koncercie i wtedy już krytyka oceniła te rzeczy nader przychylnie. Dodac zatem wystarczy, że transkrypcje te ułożone są z muzycznym zrozumieniem ducha kompozycyi, wyzyskaniem efektów instrumentu i że wreszcie — prócz może brawurowego traktowania ognistej pieśni Galla — nie stawiają przesadnych, niedoścignionych wymagań co do techniki.

Przechodząc do kompozycyi wokalnych, stwierdzić muszę, prócz ich znacznej ilości, tę miłą okoliczność, że są między nimi rzeczy, z którymi nie tylko chętnie zawrzemy znajomość, ale do których i później, jako do miłych znajomych często będziemy powracać, a nawet takie, do których stale i szczerze przywiązać się będziemy mogli.

Zaczynam od pieśni religijnej. W tym dziale spotyka nas niespodzianka w postaci krótkiej pieśni z tekstem łacińskim: »Ave Maria« — Jana Galla. Gall, piewca miłości ziemskiej, pełen wdzięku i wesołości, rzadko zadumany lub zamyślony, i to nie o rzeczach nadprzyrodzonych, śpiewający w nocie księżycowe serenady miłosne przy dźwiękach mandoliny, ten Gall poszedł — a właściwie zboczył tylko — do Kanossy! Nikt nie będzie naturalnie szukał w jego »Ave Maria« surowości stylu kościelnego; sam kompozytor na nią się nie silił; lecz, że Gall zawsze czuje szczerze, więc i »Ave Maria« jest piękne szczerością, prostotą i naturalnością.

P. Henryk Jarecki wydał pieśń »Bogarodzico«, podając na początku jej melodyę, dochowaną przez tradycje i ciągle używanie, oraz melodyę autentyczną. Do tej ostatniej ułożył p. Jarecki towarzyszenie organów lub fortepianu. Choć »Bogarodzica« harmonizowana już była kilkakrotnie, także przez Żeleńskiego, (czterogłosowo), to zawsze układ naszego cennego zabytku przeszłości i chęć zaznajomienia z nim ogółu pocztytać należy p. Jareckiemu za wielką zasługę. Autentyczna melodya »Bogorodzicy« leży w tonacyi doryckiej. Harmonizacya, pod-

trzymająca właściwy tej tonacji surowy charakter, była zadaniem trudnym, lecz zarazem wdzięcznym. Nie trzeba wspominać, jak z tego zadania wywiązał się muzyk tak wytrawny jak p. Jarecki i jeżeli z mojego punktu widzenia wolałbym, aby coś było inaczej, to mam na myśli nieleżące w surowym stylu wprowadzenie nieprzygotowanego akordu nowego, (strona 5. takt 2.) i zakończenie w tonacji f-dur. W zakończeniu wolałbym kadencję plagialną na głównej tonacji, wprowadzającą do końcowego akordu w d-dur. Te drobnostki nie umniejszają naturalnie podniosłego nastroju całej kompozycji.

Z zakresu pieśni świeckiej mam do zanotowania trzy pieśni zasłużonego autora »Ślubów Jana Kazimierza«, Mieczysława Sołtysa, tj. »O mój aniele«, »Ty skromne dziewczę« i »Maggiolata« op. 14. Pełną wdzięku i najudatniejszą co do formy jest »Maggiolata« i z pewnością poszukiwana będzie śpiewaków. Dwie pierwsze zwracają uwagę trafnością wyrazu, pięknem potęgowaniem i interesującym akompaniamentem. Jako echo roku mickiewiczowskiego pojawił się też tego autora »Pierwiosnek« na sola i trzechgłosowy chór żeński lub jeden głos solowy z towarzyszeniem fortepianu, (op. 15.). Technie z tej pieśni świeżość wiosenna, a choć tekst sam dość długi nie nastrożzał sposobności do kontrastowania, umiał kompozytor wlać w nią wiele różnaitości, bądź zmianą tematów, bądź też dość skomplikowanym akompaniamentem. Całość pogodna i wdzięczna zasługuje, aby jej wykonania nie ograniczać tylko na uroczystości mickiewiczowskie.

Najszczodrzej obdarzył nas pieśniami Stanisław Niewiadomski i jak to z góry zaznaczam, nietylko co do ilości, lecz, o co głównie chodzi, co do jakości. Jest tu zatem naprzód »Siedm melodyi do słów Adama Mickiewicza«, (op. 24.) tj. »Połały się łyzy«, »Moja pieszczotka«, Gdybym się zmienił...«, »Zosia«, »Dwa słowa«, »Tylem wytrwał...« i »Słowiczku mój!« Niektóre z nich cieszyły się już wielkiem powodzeniem na estradzie koncertowej — największem te, w których objawia się dotychczasowy, znany z wdzięcznej i eleganckiej formy Niewiadomski, wybierający z upodobaniem teksty niezbyt głębokie — a zatem »Pieszczotka« i »Gdybym się zmienił«. Co do mnie, nierównie wyżej stawiam pieśń »Połały się łyzy«, odznaczającą się, prócz bardzo pięknych zwrotów harmoniczných i modulacyjnych, prawdziwie głębokiem uczuciem. »Słowiczku mój« jest istnem cackiem pod względem jednolitego, rzewnego i tkliwego nastroju a zachwycić musi zwłaszcza wysoce poetycznym zakończeniem. Brak miejsca nie pozwala mi oceny wszystkich »Melodyi« z osobna, wspomnę więc tylko tętniące życiem i ładnie potęgujące się »Dwa słowa« i wdzięczną w swej bezpretensjonalnej prostocie »Zosię«. Czy pieśni te właśnie, których piękność podnoszę, oraz kilka innych tego autora, o których pomówię poniżej, doznają zasłużonej oceny i w sali koncertowej, zależeć będzie bardzo od ich wykonania. Urok ich działa więcej poufnie.

Mnie przynajmniej sprawia większą przyjemność przegłądać je w ciszy i w spokoju, niż słuchać ich na koncercie Bóg wie jak śpiewanych.

Wyszedł dalej Niewiadomskiego cykl pieśni pod wspólnym tytułem »Ja skowa dola« do słów Maryi Konopnickiej, (op. 14, 20, 21). Składają się na ten cykl: »Kołysanka«, »Na gody«, »Rozlegnijże się...«, »Latawica«, »Nie swatała mi cię swatka...«, Jakże cię mam brać...«, »Miesięczna noc...«, »Lny« i »Dzwony«.

Pieśni: »Nie swatała mi cię swatka« i »Jakże cię mam brać...« wydane już były poprzednio. Jak widzimy, zestawił kompozytor z utworów poetki szereg obrazków z dziejów krótkiego, chłopskiego żywota od kolebki aż do grobu. W obrazkach tych więcej łączy niż uśmiechów a i w uśmiechach poetka często łączy domyślać się może. Pod względem treści poetyckiej, jak i muzycznej, stanowi każdy z tych obrazków dla siebie osobną całość.

Już sam wybór tekstu wskazuje na rozszerzenie i pogłębienie dotychczasowej twórczości Niewiadomskiego a cała kompozycja »Jaskowej doli« potwierdza to najzupełniej. Uderzają tu przede wszystkim głębokie odczucie nastroju, serdeczność w wypowiedzeniu się, wiele charakterystyki w malowaniu sytuacji i nader szczęśliwie pochwycony pierwiastek ludowy, rzeczy, których — wyznam otwarcie — dotąd u Niewiadomskiego w tym stopniu nie dostrzegłem. I co do formy i roboty widać znaczne pogłębienie talentu. Forma sama, rozszerzona i swobodniejsza, stosuje się niewymuszanie do tekstu, nigdzie jednak nie grożąc rozzerwaniem, (jak wogóle nigdzie fałszywa dramatyczność i patos nie psują jednolitości nastroju). Również w harmonizacji znać dążność do charakterystowania, zwroty modulacyjne śmielsze i interesujące, lecz nigdzie nie jaskrawe, brutalne lub niekonsekwentne. Trudno tu przechodzić z kolei wszystkie pieśni, składające się na »Jaskową dolę«, wspomnę więc tylko te, które mi najwięcej do serca przypadły, tj. »Kołysankę« z jej smutnym, charakterystycznym refrenem, »Na gody« z różnym początkiem i z prawdziwie poetycznie odczuciem zakończeniem, tajemniczą i pełną złowróżbego uroku »Latawicę«, »Lny« — i jak widzę, wyliczałbym jedną po drugiej, gdy każda jest godną wyszczególnienia.

Miłym podarunkiem świątecznym obdarzył nas wreszcie Niewiadomski w postaci wydanej obecnie drugiej seryi »Kolend« na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu, (op. 19.). Widać ze staranności opracowania, z jakim kompozytor traktował je zamilowaniem. Nie trzeba wspominać, że jak pierwsza, tak i druga seryja kolend Niewiadomskiego wyróżnia się bardzo ponad wszystko, co nam dotychczas w tym kierunku podawano i dlatego zasługuje na rozpowszechnienie, jeżeli już nie między najszerzą publicznością — czemu w naszych stosunkach wytworność układu stać może na przeszkodzie — to przynajmniej u prawdziwie muzycznego ogółu. Drugą seryję stawiam wyżej niż pierwszą; tu dostrzegam więcej charakterystycznych i interesujących zwrotów harmonicznych, więcej pomysłowości w nadaniu właściwego nastroju i w rozwinięciu układu w akompaniamencie. Pod tym względem wyróżniają się w seryi drugiej: »Pan z nieba«, »A wczora z wieczora...«, »Ach ubogi żłobie«, (ułożona zamiast na właściwej, na równoległej tonacji minorowej — co w tym wypadku ma swój odrębny urok), dalej

»Rozkwitnęła się lilija«, »Śliczna panienka«, (podniesiona akompaniamentem do rzędu samodzielnej piosenki), »Żeńże wołki żeń...« itd. Oczywiście opracowania pod względem wartości muzycznej nie są sobie równe, ale też nie wszystkie z 14. kolend mogą same z siebie dać kompozytorowi równą, artystyczną podniętą.

Kończąc na tym sprawozdanie wypada mi jeszcze nadmienić, że pieśni Sołtysa ukazały się u Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie; wszystkie zaś inne wymienione kompozycje wydała zasłużona, lwowska firma K. Jakubowskiego.

Stanisław Kuczkiewicz.

Ze świata muzycznego. Pierwszy okres sezonu bieżącego nie obarcza zbyt sprawozdawcy swą treścią. W teatrze operetka, a w sali koncertowej — jeden koncert Towarzystwa muzycznego, jeden »Echa« i jeden »Lutni«, dalej kilka dobroczynnych, i parę »zamiejscowych«. Oto wszystko. Nie lekceważymy jednakże tej całej produkcji artystycznej działu koncertowego, gdyż towarzystwa nasze, muzyczne i śpiewackie dają to, na co im stosunki pozwalają a niekiedy więcej nawet; dobroczynne komitety zdobywają się na wyszukane siły atrakcyjne i wirtuozostwo w sprzedawaniu biletów, a przyjezdni artyści umieją z godnem podziwu męstwem, spoglądać oko w oko — pustym krzesłom na sali, (NB. gdy mają dochód zagwarantowany!). Każdy więc pracuje, każdy pokłada zasługi, każdy zdobywa uznanie usne, lub drukowane; z tem wszystkim chłodno i mroczno w tym świecie naszym muzycznym...

A koncert Melcera?... zawoła ktoś może. Tak jest, koncert Melcera możemy nazwać wyjątkiem, tak jak jego samego uważamy za wyjątkową indywidualność artystyczną. Na koncercie tym panowała odmienna atmosfera — niecodzienna. Czuło się, że tam istotnie rośnie coś dla przyszłości polskiej sztuki. I dlatego koncertowi Melcera przyznajemy w szeregu tych produkcji znaczenie pierwszorzędne.

W pierwszym koncercie Towarzystwa muzycznego, poznaliśmy sympatycznego, bardzo dobrego pianistę p. Wilhelma Kurza. Jest on synem pokrewnego nam narodu, zajął stanowisko wybitne w lwowskim konserwatorium na podstawie pięknych, artystycznych kwalifikacyj, będzie kształcić całe zastępy pianistek, będzie grywać z powodzeniem na koncertach, zamieszka u nas i zżyje się z naszym społeczeństwem, ale wyższego znaczenia dla naszej sztuki, ponad zakres sobie właściwy, chyba nie zdobędzie, gdyż sam kierunek wirtuozowski jego talentu i wykształcenia, już sama odrębna narodowość nie pozwoli mu na to. Koncert »Lutni« dał nam rzeczy znane: najlepsze ustępy z »Świtezianki« Noskowskiego, najpiękniejsze numery z »Sonetów« Moniuszki, trochę muzyki Żeleńskiego — więc przeszłość. Młodzieńcze zawsze »Echa« rwie się naprzód, daje tedy dużo nowych utworów: Bursa, Klausek, Stohl, Walter i inni. A więc to »Młoda Polska« muzyczna zapyta ktoś może... Byłoby doskonale bez wątpienia, gdyby te

imiona reprezentowały istotnie szereg pracowników, z zamiłowaniem i zapalem oddających się muzyce, studyjujących dużo, gorliwie i roztropnie. Ale niestety chodzi tu zwyczajnie o drobiazgi: o układ, o chórek, o miniaturowych rozmiarów formę, do której jednak brak dość subtelnych narzędzi artystycznych... Przypatrując się od lat kilku tej produkcji, wynosimy przekonanie, że nie brak zdolności, (bo tych wszystkim odmówić nie można), ale raczej brak woli, a może nieumiejętność zabrania się do pracy, stoją głównie na przeszkodzie rozwojowi tych zdolności. Mniejsza o to, jakie są one, czy małe, czy tylko średnie, zawsze potrzebują kształcenia, skoro mają służyć do czegoś więcej, jak do zabawki dyletanckiej — a wyższe te aspiracje istnieją widocznie, jeżeli autorowie występują publicznie. Więc chwając «Echo», że podaje dłoń tak chętnie tym aspiracjom, niemożemy się wstrzymać od uwagi pod adresem liczego szeregu najmłodszych autorów, że powinni energicznie, dążyć naprzód: porządnie się uczyć i dużo pracować. Gdyby kierownik »Echa« Jan Gall, przy swych zdolnościach, inteligencji, smaku i wykształceniu, chciał się więcej zająć tymi pracownikami i wziąć ich w dyscyplinę szkolną, to kto wie, czy nieprzyniosłoby to wydatniejszych rezultatów, niż dotychczasowe.

Po tej przechadzce, odbytej w pamięci z sali do sali koncertowej, jak tu nie wrócić do koncertu Melcera... Nie przeszłość, ani wiotkie aspiracje, ale naprawdę młodość i talent — wielki talent, mamy przed sobą. Jego nowy Koncert (c moll) to dzieło, które wzbogaca literaturę muzyczną, polską poważnie; to nie ulotna próbka zdolności, ale szeroko płynąca, ognista ich struga...

Nowa kompozytka Melcera, nagrodzona na konkursie Paderewskiego i jej pierwsze wykonanie, powinny były u nas zwrócić uwagę całego świata muzycznego. I zwróciły istotnie, ale nie wszystkich tych, którzy mają obowiązek przyjmowania nowych dzieł naszej sztuki z ramionami otwartymi. Publiczność salę przepełniła, (Melcer i jego kompozytka posiadają niezmienną siłę atrakcyjną), entuzjazmu prawdziwego, niekłamane było wśród niej bardzo wiele. Dziwnie tylko musiało się bezstronnemu widzowi wydawać, że nasz świat artystyczny nie znalazł żadnego odpowiedniego wyrazu dla laureata konkursu, kiedy w innych wypadkach nie bywa tak trudny w objawianiu swego uznania. Widać z tego, że na tym gruncie, tu i ówdzie pojawiają się chwasty małostkowości... Strzeżmy się, aby niepowyrastały!...

Mamyż wspominać jeszcze koncerty dobroczynne? Możliwy je ła-two zbyć jakimś uprzejmem słówkiem, ale na ich estradzie pojawiło się kilka sił interesujących. Doskonały skrzypek Kreisler, bardzo dobra pianistka panna Loria, uzdolniona amatorka śpiewaczka hr. Skarbkówna, (w chwili gdy piszemy te słowa, afisze głoszą również występ koncertowy innej, pełnej talentu amatorki, panny Maryi Langie), wreszcie panna Władysława Dąbrowska, sympatyczna sopranistka koloraturowa — to naprawdę ładny szereg nowych sił, wstępujących na horyzont muzyki koncertowej.

Najmniej mamy artystów przyjezdnych, bo z tymi idzie trochę ciężko. Raul Pugno nie dojechał, Kreisler a następnie Ewangelina Florence nie umieli ściągnąć publiczności. A szkoda, bo są to siły artystyczne, niepospolite. — O tem, jaką zastugę Towarzystwo muzyczne zasadniczo pokłada, wzięwszy w swe ręce koncerty przyjezdnych artystów, napiszemy przyszłym razem; dziś trudno się wstrzymać od uwagi, że i dla tych usiłowań nie ma u publiczności dostatecznego poparcia. Czasami, sławiona muzykalność Lwowa, tak się zapodziewa, że ani rusz jej odnaleść...

St. Niewiadomski.



TEATR.

Lwów d. 15. grudnia 1898.

Rozpoczynając pierwsze sprawozdanie teatralne dla naszego pisma, dłuższy cokolwiek, bo trzymiesięczny okres mam do rozpatrzenia; dla tego też, licząc się z miejscem, z wielu rzeczami, które by może szerzej rozprowadzić należało, załatwić się będę musiał pokrótce i przedmiot cały raczej szkicowo, niż wyczerpująco traktować.

Poprzedziły tegoroczny sezon jesienny szumne zapowiedzi przygotowywanego repertuaru: wyliczono tam mniej więcej wszystko, co z nowszej literatury dramatycznej wybrać się dało. Wprawdzie od zapowiedzi do czynu bywa zwykle dość daleko, tym razem jednak dyrekeya rzeczywiście zapowiedziom tym wierną została przez cały miesiąc wrzesień. W przeciągu mniej więcej trzech tygodni wystawiono trzy poważne, a bardzo starannie przygotowane sztuki; dwie oryginalne: Germana H. K. T. i Bolesławicza »Belweder«, tłumaczony zaś dramat Hirschfelda »Agnieszka Jordan«.

Dramat H. K. T. odczytany poprzednio przez autora w »Kole artystyczno-literackiem« spotkał się tam z uznaniem i z bardzo przychylną oceną słuchaczy; spodziewać się więc można było, że i na scenie równem cieszyć się będzie powodzeniem. Stało się jednak inaczej. Straszna katastrofa, jaka dotknęła dom cesarski, spowodowała przerwanie premiery w ciągu aktu drugiego; dalsze przedstawienia odbyły się przed pustym prawie amfiteatrem. Równało się to upadkowi sztuki. *Habent sua fata...* i sztuki. Tym razem *fatum* dotknęło sztukę rzeczywiście nieposłędnej wartości, rzecz o treści aktualnej. Tytuł tłumaczy się jasno: zamiarem autora było skreślić dzieje walki narodu polskiego z potomkami krzyżactwa.

Obraz to ciemny i bardzo smutny...

Jako utwór literacki posiada dramat H. K. T. zalety dość znaczne. Budowa sceniczna nienaganna, akcja żywa, dialog krótki, prowadzony zręcznie, a co najważniejsza jedność akcji ściśle dotrzymana; autor, widocznie coraz lepiej obeznany ze sceną, zręcznie włada efektami scenicznymi, jak zakończenia aktu I, akt III. Ażeby jednak niczego nie przemilczeć, wspomnieć muszę i o zarzutach, jakie autorowi czyniono. Główny zarzut uczyniono mu z powodu, że nie dał obrazu całego społeczeństwa tylko jednej klasy. Podnoszono również, że główny węzeł sztuki, choroba Mielnickiego, zbyt błahy; stary żołnierz, który śmiało szedł na armaty, nie złąknął się kilkudniowego więzienia...

W wystawie znać było staranność przygotowania. Główną rolę Zofii grała p. Jastrzębiec-Złobicka — zupełnie poprawnie, bo naturalnie bez przesady, umiała trafić w odpowiedni ton; wprost prześlicznie odegrała swą rolę (Elzy) p. Czaplńska. Męskie role spoczywały w ręku p. Chmielińskiego, (stary Mielnicki), Hierowskiego, (Karol), Żelazowskiego, (Wirowitz), Wostrowskiego, (Gucio) — wszystkie wypadły bez zarzutu.

Drugi oryginalny dramat Bolesławicza *Belmeder* ma tło historyczne, wypadki powstania listopadowego. Temat sam dawał autorowi sposobność do roztoczenia obrazu pełnego grozy i tragizmu, wywołania silnych, wstrząsających efektów — mimo to jednak autor nie zdołał wyzyskać korzystnych dla siebie warunków. Główną mianowicie wadą sztuki jest, że wziął rzecz z niewłaściwej strony: oto tłem, na którym rozsnął tkaninę dramatu jest W. ks. Konstanty i jego dwór, gdy tymczasem o wiele odpowiedniejszym byłoby oświetlić rzecz z przeciwnej strony, przedstawić przewodzców powstania i ich czyny.

Nie brak utworowi temu i zalet, które kwalifikują go do rzędu popularnych przedstawień popołudniowych.

Trzecia sztuka dramat Hirschfelda *Agnieszka Jordan* oryginalną jest swym tematem, nadającym się raczej do powieści, niż do utworu dramatycznego. Przedstawić na scenie dzieje 31 letnie małżeństwa, jego pożycie, walki, jakie przebywa, zmiany losu i stosunków, to rzecz trudna niezmiernie, a powiem może i niewłaściwa: bo czyż okres lat 31 nie zbyt długi, by na scenie nie sprawiał zbyt wielkich trudności technicznych i nie psuł iluzji.

Autor każe przed oczyma naszymi przez lat 31 zamierać powoli Agnieszce; życia takiego, jak jej, inaczej, jak zamieraniem nazwać nie można. Młode dziewczę, wychowane starannie pod wpływem idealisty wuja Krebsa, pełne wyższych porywów, zakochuje się, w pięknym komwojażerze, Jordanie, człowieku płytkim, brudnym egoiście, bez wszelkiego wykształcenia i zrozumienia tego, co piękne. Można więc przewidzieć, jak ułoży się życie tych dwojga ludzi, którzy ze sobą tworzą jak najjaskrawszy kontrast...

W akcji drugim widzimy to małżeństwo po latach ośmiu. Jordan występuje tu już otwarcie jako brudny egoista, który o nic nie dba, jak tylko o interes i z całą brutalnością traktuje nawet swych dobroczyńców, jak wuja Agnieszki, który mu niegdyś dopomógł do rozpoczęcia interesu.

Możemy poznać, że mąż taki nie odpowiada zupełnie Agnieszce. Dalsze dwa akty posuwają życie o lat 9, widzimy Agnieszkę jako matkę synów Jana i Ludwika. Jordan prowadzi miłostki z pokojówkami i wpływa jak najgorzej na wychowanie synów; Agnieszka próbuje się wyrwać z tej atmosfery, ucieka do rodziców, lecz później mimo to wraca dla dzieci, by być razem z nimi i kierować ich wychowaniem. Akt ostatni, w lat 14, wskazuje nam owoce tego poświęcenia; Agnieszkę widzimy otoczoną synami, którzy ją kochają, rozumieją i czują wraz z nią: oto odrodzenie jej w młodem pokoleniu.

Te chwile z życia wybrał autor i przesunął przed naszymi oczyma. Czy jednak zdarzenia te, które tu widzimy, pozwalają nam wglądnąć w duszę tych dwojga ludzi, czy odsłaniają nam zakryte tajniki ich myśli i charakterów, czy to te właśnie decydujące, charakterystyczne, i czy tylko te? Wcale nie; tak samo mógłby być wybrać każdą inną, dowolną chwilę z życia Jordanów i z równem powodzeniem postawić ją przed naszymi oczyma; te które nam dał, nie są najzupełniej decydującymi.

Na luźnych, dowolnie wybranych obrazkach chce nam autor demonstrować życie pewnej rodziny, a czyni to, mijając się z swem zadaniem, nie jako dramaturg, lecz jako obserwator. Tej obserwacji i zdolności wiernego oddania spostrzeżeń nie brak autorowi — ale brak artystycznego przetrawienia, i ożywienia materiału za pomocą twórczości artystycznej. Wprowadza on tu życie takim, jakim jest, in natura, w zdjęciu fotograficznym, zamiast podać je w mikrokosmie: dlatego też dzieła takie są raczej materiałami dla badacza kultury, niż dziełem sztuki. Dramat miał dość dobre powodzenie; podano go w dobrym tłumaczeniu i starannie przygotowany. Główną rolę Agnieszki grała p. Żelazowska, może w pierwszym akcie trochę nie zupełnie nadająca się do sztuki, (18-letnia panienka), lecz w dalszych aktach zupełnie poprawna. Jordana odtworzył dobrze p. Hierowski: doskonale wprost jako dzieci były p. Żłobicka i Ogińska.

Agnieszkę wystawiono po raz pierwszy dnia 28. września; była to do dnia dzisiejszego ostatnia, poważna premiera. Wrócił z Warszawy upojony powodzeniem personal operetkowy, a z jego powrotem nastąpiło przesunięcie dramatu i komedyi na dalszy plan. Z mniejszem lub większem powodzeniem dawano operetki »Indigo«, »Szatani na ziemi«, »Bał w operze«, o którego »niebываłe powodzenie« był nawet spór między recenzentami a dyrekcją, a w końcu nieśmiertelną »Gejszę«, która razy dwadzieścia wypełniła po brzegi amfiteatr. Przyznać należy, że wszystkie wystawiono wspaniale i okazałe, że p. Kliszewska, Bohussówna, i Bronikowska, p. Bogucki i Orzelski zasługują rzeczywiście na uznanie — co wszystko się chwali. Ale za tem, co mniej się chwali, nastąpiło odstąpienie od ogłoszonego niedawno programu. Słyszeliśmy o przygotowaniach poważniejszych sztuk, jak »Światło morza« Ganghoffer'a i »Burza« Jakobsena — żadnej z nich nie ujrzeliśmy jednak, natomiast same farsy i komedyjki: *Państwo młodzi* Przybylskiego, *Protest strukczaszego*

Orłowskiego, *Pod białym koniem* Blumenthala, *Szatan* Gliškiego, *Zazdrošnica* Bissona — a w końcu *Idealna żona* Marka Pragi.

Wpadliśmy więc nadto w ton bardzo wesoły, rozbawiony: zemści się to na najbliższej, poważnej premierze, która będzie dyssonansiem i padnie. Prócz tego żadna z wyżej wymienionych sztuk nie ma właściwie wartości literackiej, jedna bardziej płytka od drugiej zawdzięczały swój dłuższy lub krótszy żywot doskonałej grze artystów. Wyjątek stanowi *Idealna żona*, utwór głośnego dziś werysty włoskiego, Marka Pragi, wybitny, posiadający znaczną wartość jako dzieło sztuki. Mimo jednak pewnej wartości utworu, nie możemy pochwalić wprowadzenia na naszą scenę »Idealnej żony« a to ze względu na jej tendencję.

Temat sam sobą stary jak świat — niewiara małżeńska, lecz nowym oświecenie, w jakim go nam przedstawiono. Dawniej fakt niewiary starano się przecież jakoś upozorować, uniewinnić — tu jest on już rzeczą zupełnie zwyczajną, a nawet w pewnych warunkach chwalebna. Nie jedna rzeczywiście »idealna«, bo najuczciwsza żona, staje się utrapieniem dla męża zatruwając mu życie; więc bohaterka sztuki rozumuje tak, że przecież lepiej zdradzać męża a być dla niego uprzejmą, i uprzedzającą »Jeżeli zapewniam memu mężowi tkiwość, ciepło niekłamane serca, życzliwość przyjaciółki i troskę opiekunki, to chyba czynię zadość obowiązkowi idealnej żony«. A więc według rozumowania autora są wypadki, gdzie mąż, żona i przyjaciel mogą być normalnem małżeństwem, bo »społeczeństwo ma takie małżeństwa, na jakie je stać — sam przemawia ustami rezonera w sztuce.

Mimo więc tego, że sztuka nie daje wcale drastycznych sytuacji, jest niemoralną, w najwyższym stopniu, a niemoralną dla nas, których stać na wyższy poziom etyczny.

Ani moralnego więc, ani artystycznego, a nawet materyalnego, na jaki dyrekcya podobno najwięcej liczyła, sukcesu sztuka nie odniosła. Materyalnego; bo po drugiem przedstawieniu, finansowo dość słabem zeszła sztuka z repertuaru; artystycznego, bo grano ją jakoś w tempie tak wolnem, że robiło to rzecz śmiertelnie nudną. Jedynie tylko p. Sienicka miała pole do popisu dla swych wspaniałych toalet i również wspaniałej gry, której jednak chwilami było za wiele. I w tem i w tem nie zaszkodziłoby trochę więcej prostoty i naturalności.

Gdy mówimy o brakach i usterkach, przemilczeć też nie możemy i wypadków, dla naszej sceny mających doniosłe znaczenie: mamy tu na myśli zaangażowanie pp. Fiszera i Woleńskiego, przywrócenie do łaski pań Stachowicz i Czaplńskiej. Było to spełnieniem tak długo bezskutecznie przez prasę powtarzanych postulatów; krok ten z uznaniem podnieść należy. Dzięki tym artystom zasilono staby repertuar ostatnich dwóch miesięcy wznowieniami celniejszych sztuk: *Chorego z urojenia* Moliera z Fiszerm i z Stachowicz, *Właściciela kuźnic* z Woleńskim i z Stachowicz, *Safanduków*, *Naszych najserdeczniejszych*. Wznowienia te ratowały trochę sytuację.

Wspomnieniem pięknej uroczystości przychodzi mi zakończyć dzielsze sprawozdanie. Dnia 9. b. m. obchodzono uroczystie 25-letni jubileusz scenicznej kariery p. Anny Gostyńskiej. Przed dwudziestupięciu laty wstąpiła ona na deskisceniczne w Warszawie w teatrze ogródkowym Maryi Stobińskiej, grała następnie w Łodzi, a od roku 1880 jest jedną z najlepszych artystek sceny lwowskiej. Talent jej wybitny a bezpretensjonalny spotkał się niejednokrotnie z uznaniem publiczności i prasy, a zadziwiająca inteligencya zawsze pozwalała wniknąć w myśl autora i oddać ją należycie.

Gorącym wyrazem tego uznania i sympatyj, na jakie w całej pełni artystka zasługuje, było przedstawienie *Karyerowicza* Blizińskiego, w którym p. Gostyńska odtwarza rolę Grdyńskiej. Przed rozpoczęciem przedstawienia wprowadzono jubilatkę na scenę, wśród gorących oklasków publiczności i dźwięku fanfary. Tu wobec zgromadzonego całego personalu przemówił dyrektor Bandrowski i wręczył jej srebrny wieniec od dyrekeji; w imieniu artystów po krótkiej przemowie podała jej drugi p. Cichocka, z widowni posypały się też kwiaty i wienice, między którymi był też jeden od »Koła artystyczno literackiego«. Była to jedna z tych nie sztucznie robionych, lecz prawdziwie gorących, serdecznych i szczerých owacyj, których miłe wspomnienie długo pozostanie.

Dr. Eugeniusz Barwiński.



L I T E R A T U R A .

Wiadomości Początkowe z Biologii, czyli nauka o istotach żyjących, napisał Prof. Dr. Józef Nussbaum. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1898.

Książeczka w formie ósemki o 145 stronach napisana jest wyborną polszczyzną, w sposób jasny, przeźroczysty i zjmujący. Charakterystyka świata roślinnego i zwierzęcego, oraz ich wzajemny stosunek do siebie, przemiana materji, niewzruszalność energii i t. d. przedstawione są w sposób przystępny i popularny, ale równocześnie ściśle naukowy. Teorya powstania i rozwoju gatunków odpowiada ostatnim zdobyczom na polu paleontologii i ewolucyj, której wyniki podane są obiektywnie i bez żadnych ubocznych wybieczek. Moglibyśmy zapytać autora, dlaczego naukę o komórce i tkankach położył na drugim miejscu zamiast od nich zacząć, jako od racjonalnego punktu wyjścia, ale musimy przyznać, że mimo to układ jest jasny i przejrzysty. Druga część książki zawiera wiele ciekawych faktów i zjawisk biologicznych, które nie jeden umysł do dalszej na tem polu lektury zachęci

mogą. Całość odpowiada celowi i powinna się znaleźć w ręku każdego studenta szkół średnich. W. S.

Jarosław Pieniążek. Lwów—Kamieniec Podolski. Notatki z podróży cyklisty. Lwów. 1898.

Pan Pieniążek najlepszy daje przykład, w jaki sposób, przyjemny i pożyteczny, wykorzystywać należy zataczający z dniem każdym coraz szersze kręgi sport kołowy. Miesiące wakacyjne poświęca on zwyczajnie wycieczkom po kraju, czyniąc z wysokości bicykla, rozmaite ciekawe spostrzeżenia, które powróciwszy do domu spisuje skrętnie do swego notatnika, by z kolei podzielić się wrażeniami z podróży z innymi. W ten sposób powstała i broszurka omawiana. Dwie nazwy miast — to początek i koniec drogi, w której przelecieć wypadało długi szereg częstokroć tak ciekawych zakątków, a mało znanych, choć leżą nierzadko w niedalekiem od nas sąsiedztwie. Daty statystyczne zainteresują fachowego kołowca; opowiadanie zachęci niejednego do naśladownictwa, broszurka przyczyni się więc w ten sposób do rozszerzenia znajomości i miłości rodzinnej ziemi, a to najlepsza dla autora nagroda i podnieta do nowych wycieczek po prowincjach dawnej Polski. m. r.

Jana Kilińskiego, szewca warszawskiego, pułkownika 20. pułku liniowego piechoty, drugi pamiętnik nieznanymi o czasach Stanisława Augusta. Z rękopisu po raz pierwszy wydał A. Kraków. Nakład i druk W. L. Anczyca i Spółki.

Już z datą przyszłego roku ukazał się pamiętnik warszawskiego szewca-patrioty. Opowiadanie do *szewca* i styl więc odpowiadać musi rozwojowi umysłowemu choćby najinteligentniejszego rzemieślnika z końca zeszłego stulecia. Książkę czyta się z wielkiem zajęciem, a sporo w niej drobniaków, rzucających pełne światło na życie i zapatrywania mieszczaństwa stołecznego owej tak bardzo gorączkowej epoki. A i sam autor »Pamiętnika« jest postacią bardzo ciekawą, że zaś brał on udział czynny w insurekcji warszawskiej, więc i o niej znajdujemy tutaj dosyć szczegółów, nie wszystkim równie dobrze znanych. m. r.

Tadeusz Grabowski. Studium nad wiekiem ośmnastym. I. Stanisław Staszyc, jego pisma polityczne i pojęcia filozoficzne. Kraków 1898.

Wielki ten myśliciel zasłużył na bezstronną monografię, to też i studjum p. G., aczkolwiek co do objętości skromne, mimo to opracowane starannie i możliwie wyczerpująco, chętnych znajdzie czytelników. Autor śledzi bacznie żywot znakomitego męża ubiegłego stulecia, a poczynając od jego lat młodości, wykazuje wszystkie wpływy, oddziaływujące silnie na wrażliwy jego umysł i odzwierciedlające się z kolei w dziełach i w planach Staszycy. r.

Ewunia. Kartka z życia poety. Podług opowiadania bohaterki spisała Seweryna Duchnińska. Poznań 1898. Nakład Karola Kozłowskiego.

Wśród wydawnictw, puszczonech w obieg z racji setnej rocznicy urodzin Adama, nie ostatnie miejsce zajmuje wdzięczny tomik, skreślony przez sędziwą autorkę, przypominający nam dzieje idealnego romansu wieszczą naszego z panną Henryetta Ankwiczówną, zapisaną w literaturze polskiej pod spieszczonym imieniem Ewuni. Jak w tytule czytamy, mają być to opowiadanie samej bohaterki, są więc tem samym dla nas stokroć cenniejsze. Zasługą pani Duchnińskiej, że umiała owej spowiedzi z lat dawno minionych nadać formę prawdziwie zajmującą i piękną. Przybyła w ten sposób książeczka, którą znaleźć można najgoręcej dorastającej młodzieży; znajdzie ona w niej bowiem lekturę zdrową i pouczającą. r—e

Aër. Złudzenia, Opowieść z czasów księcia Józefa Poniatowskiego. — Warszawa. — Gebethner i Wolff.

Czasy napoleońskie a zwłaszcza epoka tworzenia się księstwa warszawskiego, w ostatniej dopiero dobie doczekały się należytej ilustracji pamiętnikowej. Z bogatego tego materiału skorzystał poczytny pisarz, by na ile

wypadków dziejowych pierwszorzędnej wagi roztoczyć obraz niezwykle barwny i zajmujący. W »Złudzeniach« przesuwają się przed oczyma czytelnika postacie rycerskiego księcia Józefa i jego zalotnej siostry, pięknej pani Tyszkiewiczowej, próżnego Murata oraz całego szeregu historycznych osób. Do nich też zalicza się główny bohater opowieści, major Szumlański, dawny legionista, ofiara kapryśnej kokiетки, który w czas jeszcze zrywa krępujące go więzy, by oddać swe serce szlachetnej Ewuni Pieńczykowskiej, składającej odziedziczoną fortunę na ołtarzu sprawy publicznej. Co jednak obok zajmującej fabuły przedstawia główną zaletę »Złudzeń«, to wierny koloryt epoki, przejawiający się w charakterystyce najdrobniejszych szczegółów życia towarzyskiego, którego widownią były na przemiany Jabłonna oraz pałacyk pod blachą. Najnowszy utwór Aera czyta się z szczerem zajęciem i nie bez pożytku dla osób, dokładniej nawet obeznanych z dobą, w której się akcja opowieści rozgrywa. S. P.

Bourboni na wygnaniu w Mitawie i w Warszawie. — Szkic historyczny, (1798—1805), przez Aleksandra Kraushara, Warszawa. — Nakład Gebethera i Wolffa.

Trzyletnia gościna Ludwika XVIII. w Warszawie dała zasłużonemu badaczowi naszej przeszłości, Aleksandrowi Krausharowi, pożądaną sposobność do skreślenia wielce zajmującej monografii, której ramy prócz głównego tematu obejmują wiele drobnych na pozór a jednak wielce charakterystycznych epizodów, dotyczących zarówno dostojnych wygnańców jakoteż życia umysłowego, oraz towarzyskiego w Warszawie za czasów pruskich. Szanowny autor oparł się nie tylko na odnośnym materiale drukowanym, nie pomijając oczywiście współczesnych broszur i dzienników, lecz nadto zużytkował w swej pracy materiały rękopiśmienny, odnoszący się do wędrowki Burbonów z Mitawy do Warszawy a zachowany w paryskiej Bibliotece Narodowej i wykorzystał sumiennie ważne relacje, zaczerpnięte z archiwum ministerstwa spraw zagranicznych. Gruntowność idzie u niego w parze z lekkością i z barwnością stylu a liczne, starannie wykonane ilustracye dodają wiele powabu i urozmaicają szczęśliwie tekst szkicu Kraushara. S. P.

Stanisław Rossowski Moja córka. Lwów. — H. Altenberg.

Świątek dziennikarski, podobnie jak królestwo kulis i szminki, posiada swe tajemnice, własną gwarę, przyjemności i zawody, niezrozumiałe dla przeciętnego filistra, który z zasady nie lubi publicystów, choć się ich potrosze obawia, a często też potrzebuje poparcia prasy. W takich razach bywa dla niej bardzo uprzejmym... Ta właśnie wyłączność stanowa, objawiająca się nie tylko w trybie codziennego życia, ale i w mowie potocznej i w sposobie zapatrywania się na świat i ludzi, tworzy główny motyw opowieści Rossowskiego, który z zwykłym mu optymizmem opowiada strapienia i obawy poczciwej wdowy, teściowej pana Karola, współredaktora »Chwili«. Biedna ta kobieta nie może się zrazu pogodzić z ekscentrycznym, jak sądzi, zięciem i wytrwale usiłuje młodą parę zwrócić na utarte szlaki małomiejskiego konwenansu, tworzącego dla bezmyślnej większości kodeks nieomylny w każdej życia chwili. Ostatecznie młodzi zwyciężają, ale pani Anna nie uznaje się za pokonaną w zupełności nawet wobec perspektywy, iż w najbliższej przyszłości zostanie babką. Z tego tytułu zamierza odnowić walkę z zięciem, nie przeczuwającym zgoda jej agresywnych zakusów, lecz bliższych szczegółów tej kampani nie znamy, gdyż przebieg jej odłożył autor do najbliższej powieści, której zarysy są jeszcze jego ściśle osobistą tajemnicą. Mimo prostoty pomysłu i układu kompozycyji, a może też właśnie dlatego, »Moja córka« jest przyjemnym przewodnikiem po dziennikarskim mateczniku nawet dla profanów, dla których dziennikarz przedstawia pewną odmianę ptaka niebieskiego, nie sijącego, ani też orzającego, tylko zmiłowania Bożego oczekującego. Utwor udatny Rossowskiego ma być przełożony w najbliższej przyszłości na język niemiecki. S. P.

Alexy Kurcysz. O kwesty i kobiecej. Lwów. Nakładem księgarni polskiej.

Autor w małej ale gruntownie napisanej broszurze przedstawia sprawę kobiecą ze stanowiska antropologii, zaznaczając, że praca jego nie ma cechy polemicznej, lecz ściśle charakter informacyjny. Tej myśli Kurcyusz pozostał wiernym. Stwierdza on, że stan dzisiejszy kwestyi kobiecej, nie uległ żadnej zasadniczej zmianie, stracił na ostrości, a dyskusya w tej sprawie jest ściślejszą, sumienniejszą i więcej przedmiotową. Antropologia ma w tej mierze głos pierwszorzędny, to też autor bada ze ściślnością naukową przyrodzone właściwości płci kobiecej. Broszura w mowie będąca stanowi ważny materiał dla badań kwestyi kobiecej, gdyż krytycznie przedstawiając rzecz w świetle antropologii, przyczynia się do wyjaśnienia całej sprawy emancypacyi kobiecej.

Br. M.

Robert de la Sizeranne. Ruskin i kult piękna, z francuzkiego przełożył Antoni Potocki. — Lwów. — Nakładem księgarni H. Altenberga — 1898.

Znakomity estetyk angielski, niesłusznie zaliczony do przestarzałych teoretyków, doczekał się znakomitej popularyzacyi w dziełku Roberta de la Sizeranne, przyswojenem ostatnio naszemu piśmiennictwu w starannym przekładzie A. Potockiego. Świetny paradoksyista, utrzymujący z całą powagą, że o sztuce mówić się nie powinno, posiada Ruskin swój odrębny sposób wydawania sądu, różny zasadniczo od przeciętnej krytyki artystycznej, od której dzięła go i bardziej drobiazgowa analiza danego dzieła i zwyczaj brania przykładów z większej liczby krajów oraz krajobrazów i — co najważniejsze — uwzględnianie znaczenia społecznego sztuki tudzież jej związków z życiem mas. Nazwano też słusznie Ruskina pisarzem doby przyszłej. Czynnami zwykł on być stwierdzać głoszone teorie, pragnąc osiągnięcia bezpośrednich i stanowczych rezultatów. A jakkolwiek nie dopiął wszystkiego, o czem marzył, to w każdym razie bardziej niż którykolwiek inny z krytyków sztuki zbliżył się do ideału swych wierzeń. Najbardziej abstrakcyjne problemy socyalne przybierają w jego ustach formę plastyczną, malowniczą, bo też posługuje się Ruskin językiem raczej przewodnika, aniżeli uczonego i socyologa. Słowa jego — jak to słusznie Sizeranne zauważa — są tem życiem, jakim żyć pragniemy, tchną analizą i sugestją zarazem. Dla szerszych mas pozostanie Ruskin w długie jeszcze lata postacią zagadkową poniekąd, ale na wybrańców, zdolnych odczuć propagowany przez niego kult piękna, statecznie sprawiac będzie wrażenie jednego z największych ludzi stolecia, któreto zdanie w swoim czasie wypowiedział o nim Tołstoj. Omawiana książka tworzy tom pierwszy „Wiedzy i życia”, wydawnictwa Związku naukowo-literackiego i także pod względem zewnętrznym przedstawia się nader dodatnio.

w. z.

Bracia z Wyboru. Powieść Zofii Kowerskiej. — Warszawa. — Gebethner Wolff. — 1898. — T. I—II.

Walka między uczuciem a obowiązkiem nie przedstawia chyba dla czytającego ogółu uroku nowości. Na tem też większe uznanie zasłużyła maestraja sympatycznej powieściopisarki, która w zużyty na pozór temat zdołała tchnąć pokaźny zasób uczucia i wdzięku. Charakterystyka, jaką Kowerska wyposażyła swe kreacje, jest może zbyt subtelną, akcja powieści zbyt powolną dla tych, którzy szukają w książce przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie, bajki. Jeżeli jednak powieść nie ma służyć za przedmiot jeno przelotnej rozrywki, ale wywierać głębszy wpływ moralny jako odzwierciedlenie realnego życia, w takim razie „Bracia z Wyboru“ należą bezsprzecznie do rzędu tych rzadkich utworów beletrystycznych, do których powraca się z przyjemnością, gdyby do dobrych, starych znajomych.

w. z.

Dr. A. Zipper. Mitologia Greków i Rzymian. — Złoczów. — Nakład i druk Wilhelma Żukerkandla.

Przed laty kilkunastu wydał dr. Albert Zipper Mitologię grecką i rzymską dla użytku młodzieży i dzieci, a zachęcony powodzeniem, jakiego publikacya jego doznała, przystąpił ponownie do opracowania tego samego tematu, zakreślając sobie tym razem ramy znacznie szersze, gdyż obok obszernie traktowanej mitologii klasycznych narodów starożytnych, zamieścił w swej pracy

najnowszej główniejsze wiadomości o mitologii innych narodów pogańskich. Tak więc w dodatku, tworzącym niejako trzecią część książki, znajdujemy najważniejsze szczegóły, dotyczące religii oraz mitologii Indów, Egipcyan, Babilończyków, Persów, Celtów, Germanów i Słowian. Tekst zdobi przeszło osmdziesiąt starannie wykonanych rycin a orientowanie się w całości dziełka ułatwia umieszczony na końcu spis nazw greckich, tudzież rzymskich. *w. i.*

Władysław St. Reymont. Ziemia Obiecana. — Powieść. — Warszawa — 1899. — Gebethner i Wolff. — T. 1—2.

Autor »Komediantki« i »Fermentów« obrał za tło swej najnowszej powieści życie fabryczne wraz z wszelkimi, dodatnimi oraz ujemnymi jego objawami. »Ziemią Obiecaną« jest Łódź, miasto o trzystotysięcznej ludności, wzrosłe w ciągu ostatnich lat dziesiątków z skromnej osady tkackiej. Autor zwie ją polipem, pustoszącym wsie i lasy okoliczne, wycieńczającym ziemię z jej skarbów. Łódź, jego zdaniem, to potwór, ssący i przeżuwiający ludzi i rzeczy, niebo i ziemię, by dać w zamian nielicznej garstce bezużyteczne miliony a całej rzeszy głód i wysiłek... Pogląd to niewątpliwie zbyt pesymistyczny, nie uwzględniający twardych warunków bytu i postępu, ale nie da się zaprzeczyć z drugiej strony, że w owym kalejdoskopie obrazów i scen, jakie autor przesuwają przed wyobraźnią czytelnika, przeważają barwy ponure, jak nędza i wyzysk bezgraniczny robotników przez wielki kapitał, wstrętne jak orgie łódzkich królewąt lub zabawy bezmyślne znużonych milionerek. Wiara, uczciwość, praca, to liczmany bez wartości, wygnane z olbrzymiej targowicy, gdzie wszystko i wszystkich oblicza się na pieniądze. Krótko mówiąc, powieść Reymonta sprawia dziwne przykre wrażenie, którego nie jest w stanie zatrzeć sentymentalne potroszę, napędce — jak się zdaje — dorobione zakończenie. Bystrość obserwacji, śmiałość obrazowania, akcja niezmiernie ożywiona, przedstawiają dodatnie strony utworu, świadczącego, bądź co bądź, o nieustannym rozwoju talentu obiecującego pod każdym względem autora. *p—i.*

Książki dla dzieci zwykły pojawiać się w pokazniejszej ilości w przedświątecznej zazwyczaj porze, rugując szczęśliwie tanie, lecz liche publikacje niemieckie tego rodzaju, do niedawna zalegające przeważną część wystaw księgarskich. I w tym kierunku działalności wydawniczej prym wiedzie zaśluzona firma Gebethnera i Wolffa, która dała kilka prawdziwie pożytecznych książek dla naszej dżiatwy. Mały tu na myśli poetyczną »Baśń o dobrym synu«, skreślona przez Władysława Bełzę i ozdobiona rycinami Lisiewicza, oraz zajmującą opowieść Zofii Bukowieckiej p. t. »Młotem i kielnią«, przeznaczoną dla dorastającej młodzieży. Jest to ciąg dalszy »Dzieci Warszawy«, pióra tejże autorki, tyle popularnej wśród dżiatwy syreniego grodu. Natomiast »Opowiadania Historyczne« s. p. Jana Chęcińskiego, osnute na tle dziejów klasycznej Hellady i Romy, posiadają charakter bardziej ogólny a o wartości dzieła zdaje się najwymowniej świadczyć tegoż trzecie z rzędu wydanie. *p—i.*



Z Koła Literacko-Artystycznego.

W dniu 15. grudnia 1898 r. o godzinie 8 wieczorem odbyło się w lokalu »Koła« nadzwyczajne, walne zgromadzenie Członków. Na wniosek wydziału zamianowano jednomyślnie członkiem honorowym »Koła« Karola Brzozow-

skiego, a to w uznaniu jego sześćdziesięcioletniej pracy na polu piśmiennictwa narodowego. Nastąpiły wybory uzupełniające po myśli §. 21. statutu. Prezesem wybrano ponownie dra Józefa Wereszczyńskiego, posła na sejm krajowy i członka Wydziału krajowego; I. wiceprezesem dra Augusta Balasitsa, profesora uniwersytetu -- obu na przeciąg trzech lat.

Odczyty w »Kole« wygłosili: W dniu 10. grudnia adt. dr. Bronisław Michalewski, (»Kobieta a prawo«); w dniu 17. grudnia p. Anna Neumanowa, (»Stolica Kleopatry niegdyś a dziś«).

Pisma Patryotyczne

ALEKSANDRA HR. FREDRY

(Lwów 1893)

do nabycia po cenie znacznie niższej w Kole
Literacko-Artystycznym.

(Dochód ze sprzedaży całego nakładu przeznaczony na rzecz
budowy kolumny mickiewiczowskiej we Lwowie).



BIBLIOTEKA KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

otwarta została

dla członków Towarzystwa

we Wtorki i w Soboty każdego tygodnia

od godziny 7—8 wieczorem.



Odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnlr-Pełowski.



I R I S

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(Organ Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie)

wychodzi co miesiąca w zeszytach

zawierających od 2 do 3 arkuszy druku.

W najbliższych zeszytach umieszczone zostaną utwory: X. Jana Badeniego, Stanisława i Władysława Bełzów, dra Adama Bełcikowskiego, Bolesławicza, dra Aleksandra Czołowskiego, Seweryny Duchńskiej, ś. p. Andrzeja hr. Fredry, X. Jana Gnatowskiego, dra Ludomira Germana, dra Michała Greka, T. T. Jeża, Tadeusza Korzona, dra Franciszka Krczeka, Izydora Kuncewicza, Anny Neumanowej, dra Karola Nittmana, Zdzisława Onyszkiewicza, dra Kazimierza Ostaszewskiego - Barańskiego, Adama Pługa, Franciszka Rawity-Gawrońskiego, Michała Rollego, Kazimierza Rojana, Stanisława Rossowskiego, dra Stanisława Tomkowicza, Aurelego Urbańskiego, Jarosława Vrhlickiego, Jana Zacharyasiewicza, Zawrata i Zwilkońskiego.

Artykuły nadsyłać należy pod adresem Stanisława Schnür-Pepłowskiego, Lwów — ul. Mickiewicza 11.

Pt
293

Warunki przedpłaty.

W Austro-Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie
od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt II.

Luty 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z Drukarni E. Winiarza

1899

<http://rcin.org.pl>

T R E Ś Ć.

	str.
I. Co z nami będzie? przez X. Jana Badeniego	51
II. Skolie, wiersz J. Vrchlickiego	52
III. Skoljon, wiersz J. Vrchlickiego, przełożył A. U.	53
IV. Twórca Odrodzenia Czeskiego o piśmiennictwie i pisarzach polskich przez Dr. Franciszka Krčeka	54
V. »Diverti Nescio«. Z dziejów ofiar Polski na rzecz Austrii przez Dr. K. J. Nittmana	57
VI. Na starym chórze, wiersz Zawrata	62
VII. Pan Tadeusz i Berezyna przez Tadeusza Korzona	63
IX. Trzy pomniki, strofy jubileuszowe, poświęcone Mi- strzowi Godebskiemu przez autora »Strof«	66
X. Notatki z Krakowa przez Kazmierza Czapelskiego	67
XI. Malarstwo	70
XII. Muzyka	75
XIII. Teatr	83
XIV. Literatura	88
XV. Z Koła Literacko-Artystycznego	96
XVI. Książd Jan Badeni, wspomnienie pośmiertne przez Michała Rollego	98

Do dzisiejszego zeszytu załącza się jako nadzwyczajny dodatek reprodukcya portretu Jarosława Vrchlickiego, pędzla Jana Styki według kliszy, użyczonej łaskawie przez wydawnictwo „Svetozora“.





Co z nami będzie?

Rozgadaliśmy się dziś ze starym towarzyszem; długo i szereko omawialiśmy dręczące pytanie: »Co z nami będzie za sto lat, czy pod tyłu ciosami wytrzymamy?«

Co będzie? Tu zewnętrzny ciemniejszy, tam gorszy, wewnętrzny wróg. Tu nam ziemię z pod nóg usuwają, tam czytać nie dopuszczają własnym językiem. Tam hakata, tam czynownicy, tu najgorsze, wewnętrzne właśnie, tu brat brata, czy nie chce, czy nie może zrozumieć, ha, brat z bratem pomówić niechce.

Smutno! Co z tego będzie, co z nami będzie?...

Zwiesiliśmy głowy i ręka sięgnęła od niechcienia do stosu świeżo z poczty przyniesionych gazet. Na wierzchu zagraniczne; Pierwsza skromna »Łużica«. Skromna, raz na miesiąc wychodzi, ledwie kilka kartek liczy. Skromna jak lud, którego jest organem, dumą i wodzem. Nieliczny lud, niewielu o nim wie, morze niemieckie zewsząd go zalewa. A on stoi, język swój pielęgnuje, po łużycku w kościołach się modli, łużyckie księgi i pisma wydaje...

Łużica. Miesiącznik za zabawę a powucenje. Zhromadny časopis hornjo — a delnołużiskich Serbow.

Organ górno-Łużyczanów i dolno-Łużyczanów. Jedni i drudzy od Drezna, od »Čornobóha«, od Chociebuża, od chociebusko-berlińskich błot, znają swe pismo, swe ciężko zapracowane grosze pod jego adresem zasyłają. A nie tylko Łużycanie zasyłają swe grosze, swe wiersze i prozy. Znajdziesz tu nazwiska Czechów i Rosyan, Serbów i Rusinów; znajdziesz niejedno polskie nazwisko. Ot na pierwszym miejscu nawet podpisany nazwiskiem pierwszego łużyckiego poety, Jakoba Čišinskeho; sonet na cześć starego przyjaciela i mecenasa Łużyczan »Wjěrcha Adamu Sapiehu«.

»Tobie się składa

W łużyckiej pieśni dzięk i cześć powinna«

Ot dalej literackie, ot dalej drugie, historyczne studium wspólnego, serdecznego przyjaciela i naszego i łużyckiego, spadkobiercy jelinkowskich ideałów A. Cernego; powieść, wierszów parę, kronika słowiańska, serbskie wieści, dary na serbską Macierz, na serbski fundusz »naszego króla Alberta«. Króla swego Łużyczanie kochają, ale ani im się śni dlatego przestać być Łużyczanami.

Małe piśmko, mały naród, a trzyma się i nie myśli o swej przyszłości rozpaczać, na włos od swych ideałów ustąpić.

Długo, w późny wieczór wraz z towarzyszem serdecznym, co z pod Kijowa przybył, przeglądaliśmy, czytaliśmy skromną »Łużicę« a gdy jeden drugiemu w oko spojrział, czytał w niem jasne zapytanie:

»Czy to dla nas nie dobra lekcyca?«

X. Jan Badeni.



Skolie*).

Když staří na rozhraní života byli,
tu smáli se a pili,
tu nevěšeli hlavy,
nerozbírali žel,
kdo silný byl a zdravý,
ten pěl.

Tak přece my nebudem horší svých dědů
Ač známe života bědu,
co s ní? To těžké břímě,
jež nikdy nesložíš,
však v ní jest budoucna símě,
vzlet výš!

Když staří na rozhraní života byli,
tu skrál si ověnčili,
i lysé vzpjali hlavy
a vyjiskřili zrak,
kdo ptal se na úděl slávy,
co pak?

*) Utwór ten znakomitego poety, skreślony dla naszego pisma, podajemy poniżej w przekładzie Aurelego Urbańskiego.

Tak přece my nebudem horší svých dědů!
 Jak oni půjdem k předu,
 kdos přece pokyne vlídně
 v náš zápas i v náš shon.
 My v smíchu pijem klidně
 až v skon!

J. Vrchlický.

Skoljon.

Pradziady, ongi, w rozstajnej życia chwili
 I śmiali się — i pili —
 I nie zwieszali głowy,
 Choć żal im serce rwał.
 Kto silny był i zdrowy,
 Pieśń bogów piał.

Nie gorsi od nich — my, duchem bądźmy tędzy.
 Cóż stąd — że życia nędzy
 Wieczyście niepozbyty
 Brzemieniem ciąży młot?...
 W niej — posiew jutra skryty,
 Ku gwiazdom wzlot!

Pradziady, ongi, w rozstajnej życia chwili
 Różami skroń wieńczyli,
 A mimo łyse głowy
 Iskrami wzrok ich ział.
 O liść kto wawrzynowy,
 O jutro dbał?

Nie gorsi od nich — my, duchem bądźmy tędzy.
 Wciąż naprzód!... Wszak tej nędzy —
 I gonitw — i zachodów
 Ktoś zbierze kiedyś plon...
 Wśród brzęku kruz, wśród godów,
 Witajmy zgon!

Przełożył *A. U.*



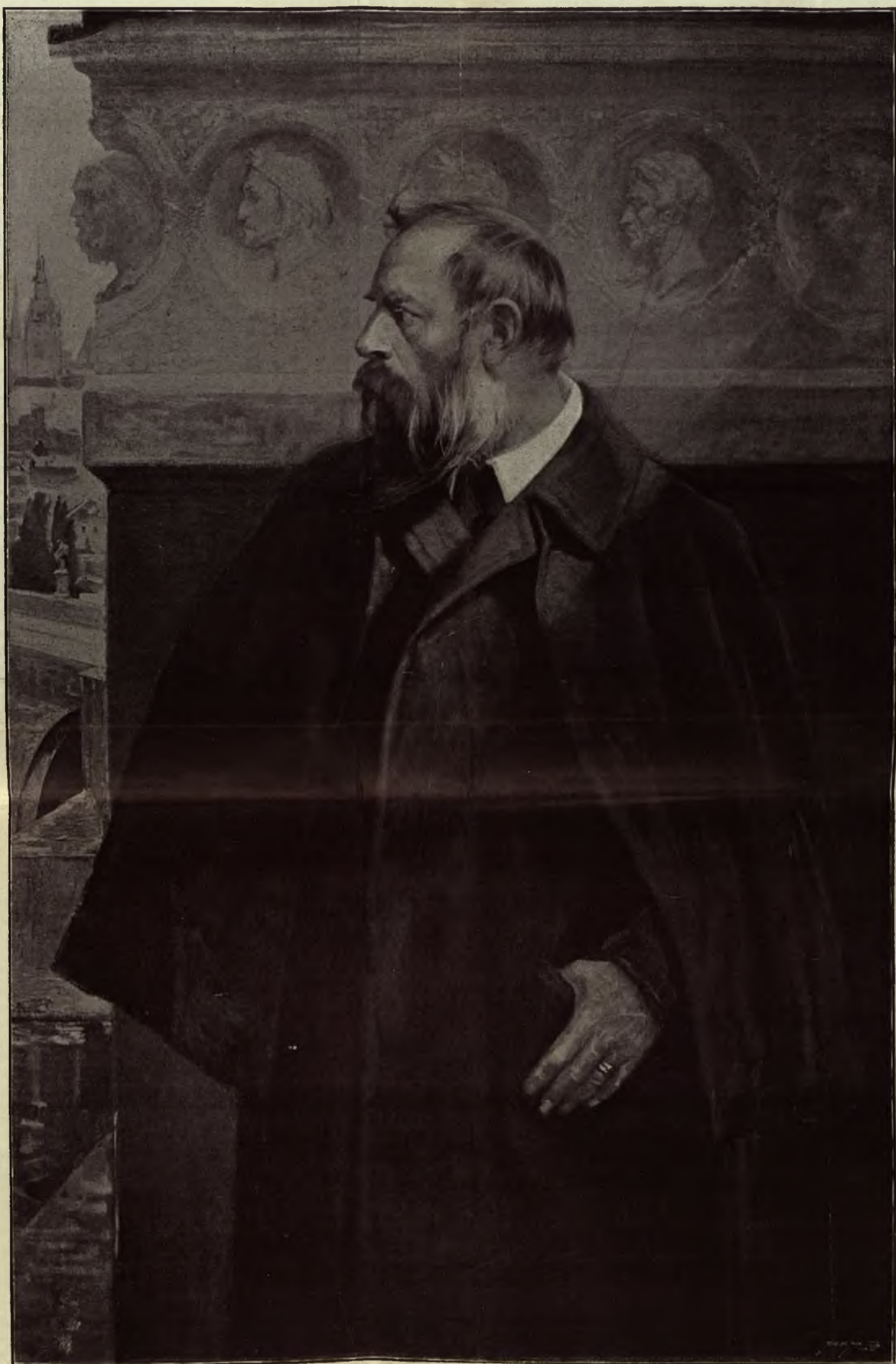
Twórca Odrodzenia Czeskiego o piśmiennictwie i pisarzach polskich.

Zapatrywania polityczne wielkiego uczonego czeskiego, Józefa Jungmanna, oparte na zasadach apriorystycznych, a więc też w wielu sprawach, przedewszystkiem zaś w polskiej fałszywie, nie wywarły jednak stanowczego wpływu na jego sąd o piśmiennictwie i o pisarzach polskich. Podkreślam »stanowczego«, bo zupełnie nie można zaprzeczyć wpływu takiego wobec faktu, który przytoczę poniżej, oraz wobec tego, że nigdy wpływ nie jest jednostronnym, ale i ta strona, która go wywiera, doznaje na sobie oddziaływania jego od strony przeciwnej.

Zanim wszakże rozpocznę rzecz o tych sądach, muszę podnieść jako zasługę słownikarza i dziejopisarza piśmiennictwa czeskiego, że jak sam studjował gruntownie język i piśmiennictwo nasze, tak też nigdy nie przestał działać w tym kierunku w kole swych znajomych i uczniów. Znali więc język nasz i piśmiennictwo wybornie ks. Antoni Marek, autor pierwszej, naukowej »Logiki« czeskiej, znał Józef Chmela, (1792—1847), który nawet w r. 1819 starał się o posadę nauczyciela gramatyki we Lwowie, (prw. Czasopismo Muzeum czeskiego 1882, str. 15), znał Franciszek Józef Sláma (1792—1844), który już w r. 1824 studjował pilnie dzieła polskie w oryginałach, (prw. Czasopismo Muz. czesk. 1874, str. 370), znał Franciszek Władysław Czela-kowski, (1799—1852), wydawca pieśni ludowych, słowiańskich i pierwszy profesor sławistyki we Wrocławiu, znał i Józef Chmieleński, tłumacz sonetów Mickiewicza — znało mnóstwo, mnóstwo innych działaczy odroczenia czeskiego.

Jak zaś sam patriarcha tego ruchu znał język polski, wykazują jego listy, w których nie brak przytoczeń, wyrazów i zwrotów polskich. Jeszcze lepszy materiał dowodowy stanowią słownik i inne pisma Jungmanna, w których stosował niejedno wyrażenie polskie do ubożego jeszcze wówczas słownictwa naukowego, czeskiego, narażając się nieraz na szyderstwa przeciwników *à la* J. Nejedlý, który go wyśmiewał publicznie w szkole za wyraz, »przyroda«, dziś tak spowszedniały wśród Czechów.

Skąd zaczerpnął swych wiadomości w tym kierunku, nie umiem na razie powiedzieć — tyle pewna, że nie z Kopczyńskiego, którego gramatykę wprawdzie nazywa klasyczną, ale tylko na podstawie tego, czego się dowiedział o niej z lindowskiego słownika. A ten słownik Lindego! Tożto także w oczach filologa czeskiego szczyt doskonałości! Ale zajęcie, jakie w nim obudził słownik polski, przeniosło się z kolei i na inne prace ziomka naszego. Tak z radością witając wiadomość, iż Linde pracuje nad drugim wydaniem swego dzieła, niemniejszym zajęciem obdarza zamiar jego wydania w polskich przekładach opracowania dziejów piśmiennictw słowiańskich, który w czyn wprowadził przekład



W. Winiarski

dziejów literatury rosyjskiej Grecza. By pomóc Lindemu w tej pracy, zapowiada Jungmann przyspieszenie wydania swej »Historji literatury czeskiej«.

Zbierając materyały do słownictwa naukowego, skorzystał uczony czeski z pobytu prof. Jarońskiego z Krakowa w Pradze i pozyskał odeń jużto dzieła jego, jużteż innych Polaków z zakresu zoologii, chemji, psychologii i logiki celem zastosowania ich słownictwa do użytku czytelników czeskich. Jakoż taka »Logika« Marka i dzieła naukowe innych przyjaciół Jungmanna bardzo ochoczo zasilają się pod tym względem u naszych. Podług metody, dziś jeszcze stosowanej przez językoznawców, pragnących poznać język dany z tekstów, a nie z małowownych leksykonów, i Jungmann zaopatrzył się w taki tekst podstawowy — bibliję polską, wydaną wówczas właśnie w Berlinie przez angielskie Tow. misyjne a za nim uczynił to Marek.

W zachwyt wprowadziło filologa czeskiego głośne niegdys dzieło niesłusznie zapomnianego Skorochoda Majewskiego o sanskrycie, które poznał u Dobrowskiego, a które go tak zajęło, że postarał się o nie dla siebie, dla Marka i ks. Wetesznika, tłumacza pism Van der Veldego i innych. Prawda, że wnioski, jakie z lektury jego wysnuł, jakoby sanskryt był »matką języka słowiańskiego, językiem najdoskonalszym pod słońcem i t. d.«, dziś zdolne są wywołać chyba tylko uśmiech na twarzy czytelnika, obznajomionego cokolwiek z językoznawstwem porównawczem, ale w tym względzie nie różnił się od najznakomitszych współczesnych sobie sanskrycistów i filologów. W każdym razie studjum dzieła Majewskiego pozostawiło wyraźne ślady wpływu na poglądy Jungmanna co do prozody i ogólności, a czeskiej w szczególności, wyrażone w rozprawie, którą ogłosił w »Kroku«.

I dzieło Rakowieckiego »Prawda Ruska«, które zjednało badaczowi polskiemu rozgłos w uczonym świecie i nieskończone pochwały tak surowego sędziego, jakim był Szafarzyk, autor »Starożytności Słowiańskich«, nie uszło uwagi Jungmanna. Kupił zaraz tę »wyborną« książkę dla siebie i udzielił jej swemu druhowi ks. Markowi.

Nie należy jednak sądzić, by czeski Linde-Bentkowski ograniczał swą lekturę li na dzieła naukowe. Sam pisząc poezye i tłumacząc dzieła Schillera, Göthego, Milтона, Popéa, Chateaubrianda, zajmował się równie żywo piśmiennictwem tzw. pięknem narodu swego i postronnych, przedewszystkiem słowiańskich i nie omieszczał wiadomości swych i spostrzeżeń w tym dziale komunikować Markowi. Tak n. p. usłyszawszy, — prawdopodobnie od Jarońskiego, — że »najpiękniejszą książką polską, wydaną w r. 1816, jest Malwina, romans ks. Czartoryskiej (sic)«, pośpiesza o tem donieść dziekanowi libuńskiemu, (t. j. Markowi). Innym razem (1818) wspomina o powodzeniu »Śpiewów historycznych« Niemcewicza, których w krótkim czasie rozprzedano w Warszawie za 25.000 zł. i drugie wydanie jest w druku. Miał też »Śpiewy« u siebie i wysoko je cenil.

Mickiewicza »Poezyi« tom IV wydania paryskiego czytał wkrótce po jego wyjściu, (1833), dzięki ruchliwości firmy Kronenbergera, która

mu przysłała tom ten do przegłównięcia. Czy i poprzednie tomy znał, tego nie można dowieść listami, ale z początkowych przynajmniej wyrazów oceny tomu IV., do której niestety wmięszał bez potrzeby politykę, wolno wnosić, że i sam Jungmann i jego przyjaciel nie pierwszy raz mieli w rękę poezye Adama. Pisze bowiem tak: »I w tym tomie, (a więc i w poprzednich?), zdradza talent poetycki niezwykle, ale także egzaltacyę i niemal szaleństwo. Cały tom jest wylewem żółci na Rosyan. Szkoda tak tęgiej głowy«. Znał też i innych poetów polskich w wydaniach Korna, jak widać z listu z 25. marca 1837 r., w którym o tym wspomina z powodu, że niejedyn z ich utworów znalazł ponownie w lipskim wydaniu kieszonkowym pism ich, które mu niejedną przepiękną godzinę.

Widząc takie dowody zajęcia się piśmiennictwem naszym i to chwytnie w lot nowości, spyta może niejedyn, skąd się o nich uczony czeski dowiadywał. Otóż z różnych wzmianek wynika, że z jednej strony ruchliwi księgarze *à la* Kronenberger i inni nie zasypiali sprawy, z drugiej sam Jungmann dowiadywał się o nowościach tych z czasopism polskich takich, jak »Pamiętnik warszawski«, »Dziennik warszawski«, które przedpłacał dla siebie i przyjaciół. Nie należy też przeoczać i osobistych stosunków z Polakami, którzy niemal nigdy nie pomijali sposobności, by zatrzymując się w Pradze, wstąpić w progi Nestora pisarzy czeskich. A ten umiał z nich wydobywać potrzebne dla siebie wiadomości. Widzieliśmy już wyżej przykład tego na Jarońskim. Nie inaczej miała się rzecz z kilku uczonymi polskimi, z którymi gospodarz nasz rozmawiał o piśmiennictwie słowiańskim, a w których liczbie był też Franciszek Malewski, (1822). Innym razem (1837) r. zaprasza Jungmann Marka do Pragi ze względu na bawiących tam przyrodników: Zejsznera z Krakowa, Milego z Warszawy i innych. Najmilej witał bezwątpienia w progach swoich głośnego prof. W. Cybulskiego z Berlina, który mógł starego już wówczas Jungmanna pouczyć lepiej o literaturze polskiej, niż wszyscy poprzedni.

* * *

Wzór twórcy odrodzenia czeskiego, jak w kierunku politycznym doprowadził konsekwentnie do nieprzychylnego sprawie naszej stanowiska u pewnej części polityków społeczeństwa pobratymczego, tak zarazem stworzył środek na załagodzenie nieporozumień, których sam stał się przyczyną ostateczną, mianowicie owo: »Poznajmy się!« Im goręcej to hasło w czyn będzie wprowadzane, tem rzadszemi będą nieporozumienia, które przynoszą korzyść tylko komuś trzeciemu.

Dr. Franciszek Krček.



„DIVERTI NESCIO“

Z dziejów ofiar Polski na rzecz Austrii.

»Słusznie bardzo wystawiają dziejopisowie oswoobodzenie Wiednia przez króla Jana, ale nie mniej ważną była i dawniejsza przysługa Polaków, oddana domowi rakuskiemu w bitwie pod Białą górą w r. 1620. Spadające już naówczas z głowy arcyksiążąt korony węgierskie i czeskie, utwierdzone zostały szablą polską na ich skroniach«.

Tak pisał przed laty sędziwy Niemcewicz w dziele swoim »Dzieje panowania Zygmunta III-go« — o udziale Polaków w słynnej bitwie pod Pragą, stanowiącej pierwszy akt wielkiej tragedji dziejowej, zwanej wojną trzydziestoletnią.

Sądowi Niemcewicza zarzucą niewątpliwie dzisiejsi historycy pewną przesadę, i obecnie niktby się już nie powazył twierdzić, że garstka Polaków, znajdujących się w bitwie na Białej Górze, uratowała Habsburgom posiadanie Czech i Węgier; nie mniej jednak aczkolwiek przyznać musimy, że zwycięztwo naówczas odniesione było naturalnym wynikiem rozlicznych przyczyn, to przecież faktem jest, że udział Polaków w bitwie, przechylił w chwili decydującej szalę zwycięztwa i że Polacy zdobyli wśród mnóstwa innych łupów i chorągiew dworską »zimowego« króla Czech — Fryderyka. Chorągiew ta z złotego adamaszku, z wyszytym na niej zielonym krzyżem kawalerskim, nosiła jak gdyby dla ironii dumne godło: »*Diverti nescio*«, (»Uciezki nie znam«). Rzucili ją pod nogi Habsburgom wraz z kilkudziesięciu innemi, pozyskani w Polsce sprzymierzeńcy cesarscy, znani ze swej dzielności i żołnierskiej fantazji w całej Europie, polscy wolontaryusze-wojacy t. j. Lisowczycy.

Twórcą ich był jak wiadomo Aleksander Lisowski, szlachcic litewski, dzielny żołnierz i weale niezły dowódca. Zorganizował on w czasie wojen Samozwańców w Moskwie lekką konnicę, na wzór tatarskiej i kozackiej, która długi czas uwijała się w granicach carstwa, przebiegając z niebywałą dotychczas szybkością odległe ziemie od Dniestru aż po góry uralskie i od morza kaspijskiego aż po lodowate. Z kozacką zwinnością łączyła ta drużyna wojenna szlachecki animusz i odwagę. »Twarz ich marsowa — jak mówi naoczny świadek — głowy i brody golone, ale czupryna obfita i wąs znamienity. Broń: szabla krzywa, łuk, kołczan i rusznica przez plecy zawieszona, a w ręku długa rohatyna, na łęku zaś młotek zawieszony. Gdy lecą jak błyskawica, pokładają się na koniach, że mało ich co i dojrzesz«. Żołdu nie brali i jak »ksiądz z ołtarza, młynarz z młyna, Lisowczyk żył z tego co zdobył«. W bogaty, acz nieco dziwaczny rynsztunek przyodziani, »w wysokich z głowy wiszących czapkach«, opiętych płaszczach z szerokimi kołnierzami, ciasnych, różnobarwnych ubiorach, w złotych, do brze okowanych butach, siadywali oni na koniach jak wicher lekkich,

rących, obrotnych, na krótkim siodelku z małemi wędzidłami. Potykali się nacierając pędem, a jeśli trzeba było, zmyślali ucieczkę, strzelając poza siebie w biegu, »napowrót się ustrajając i znowu nacierając«, zupełnie jak Tatarzy. Pokój zawarty między Polską a Moskwą, zmusił rotę Lisowskiego do powrotu, ale choć sam hetman ich już nie żył, to jednak wojsko przezeń uformowane, nadal się utrzymało, a następcą Lisowskiego obrano Czaplńskiego. Powróciwszy z wyprawy moskiewskiej, stali Lisowczycy na Podolu pod Braiłowem w 5000 koni, gdy pełnomocnicy cesarscy przybyli do Polski, by werbować za wiedzą królewską ochotników.

Król Zygmunt III-ci zawarł był jeszcze w r. 1613 przymierze zaczepno-odporne z Habsburgami. Osnowa tego traktatu opiewała: »Gdyby poddani któregośkolwiek z nas podnieśli broń przeciw prawowitemu panu swemu, natenczas druga strona nie tylko wspierać ich nie będzie, ale nadto przyczyni się do uśmierzenia rokoszu. Szczególniej zaś będzie wolno każdemu z nas, w granicach sąsiada zaciągać żołnierzy i broń skupować, co jednak dzieć się będzie za wiedzą panującego i wtedy tylko, jeżeli państwo to wojny nie prowadzi«. W ten sposób zawarowali sobie dwaj potężni monarchowie katolicy na wschodzie przyjaźń i obopólną pomoc przeciw wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjaciółom. Gdy więc po śmierci Macieja Ferdynand stanął jako cesarz na czele domu rakuskiego, Czesi zaś z pominięciem jego osoby obrali sobie królem Fryderyka, wówczas król Zygmunt Waza, nie mogąc nakłonić Rzeczypospolitej do oficjalnej interwencji, oświadczył się wraz z kilku magnatami polskimi, z gotowością niesienia prywatnie pomocy zbrojnej. Pośrednikiem w tej sprawie był Adam baron Wolekenstein. Prócz tego traktowano o pomoc i werbunki w Polsce i od strony Węgier, dokąd wpadł równocześnie z rokoszem czeskim Betlen-Gabor, wojewoda siedmiogrodzki i zabrał Habsburgom większą część tychże, a nawet ogłosił się królem węgierskim. Rozpoczęły się więc w Polsce werbunki na dobre, ale że szlachta osiadła niechętnie szła poza granice kraju, chłopci zaś i mieszczenie nie mogli się zaciągać, werbowano więc przede wszystkim tych, których żywiołem były wojna i łup, a takimi byli właśnie Lisowczycy. W kraju nie cieszyli się oni zbyt dużą popularnością, gdyż jako żołnierze, których jedynym celem była wojna, nie mogli Lisowczycy włożyć się łatwo w surowe karby dyscypliny pokojowej; dali więc chętny posłuch wezwaniu cesarskich werbowników i ruszyli przede wszystkim ku Węgom. Szli zaś takim ordynkiem, że najprzód ciągnęło »Towarzystwo« t. j. bracia szlachta, a za nimi służba, pacholikiowie i wreszcie »moc różnego hultajstwa, rzemieślników i chłopstwa«, bo wedle słów jednego ze współczesnych pisarzy, każdemu towarzyszowi wolno było mieć i 10 pacholików »na szkodę ludzką«.

Na Węgrzech pobili niebawem Lisowczycy wojska Rakoczego, generała Betlen-Gabóra, skutkiem czego ten ostatni cofnąć się musiał z pod Wiednia, który oblegał i łatwo mógł zdobyć. Tak więc już w tej pierwszej »imprezie« oddały posiłki polskie niepospolitą przysłu-

gę domowi Habsburskiemu, ratując stolicę Austrii, jakto sam cesarz Ferdynand w listach swoich wyznawał.*)

Ale wkrótce potem wybuchły w obozie Lisowczyków spory o dowództwo, skutkiem czego cofnęli się przez Tatry napowrót ku Polsce i przybyli w Krośnieńskie. Tu w Żmigrodzie odbyło się »koło generalne«, na którym obrano nareszcie wodzem Jarosza Kleczkowskiego, poczem odbywszy jeszcze drugie »koło« w Bochni, gdzie spisano artykuły wojenne dla utrzymania karności, — ruszyli Lisowczycy, nagleni przez króla Zygmunta, na pomoc cesarzowi do Wiednia, by go wspierać we wojnie czeskiej. »Nazajutrz po Gromnicach« t. j. 3-go lutego 1620 r. przeszedł granicę polską główny oddział Lisowczyków, t. j. około 4000 ludzi, z którymi połączyły się później i inne pomniejsze grupy polskich ochotników. Pochód był tak szybki, że już 10-go lutego powitał we Wiedniu wódz Lisowczyków, Kleczkowski, cesarza Ferdynanda na oficjalnej audyencji »imieniem wszystkiego wojska polskiego«. Odpoczywano nie długo — i przez całą wiosnę i lato uwijają Lisowczycy na wszystkie strony, już to za nieprzyjacielem, już to za zdobyczą, bo »plondrowanie« z góry sobie wymówili, obyczajem ówczesnym. Wprzód nim o nich wieść nadleciała, zwyciężali, zdobywali, brali łupy i uchodzili. We wrześniu 30-go, spotykamy ich już w Czechach przy zdobywaniu twierdzy Pisek, poczem pod nowym wodzem Rusinowskim, gdyż Kleczkowski poległ jeszcze w marcu, udają się Lisowczycy z wojskami sprzymierzonymi t. j. bawarskimi i cesarskimi pod Pragę.

Tu teraz na stokach góry zwanej »Białą« — miały się rozstrzygnąć losy narodu, religii i przekonañ całych miljonów, zróżniczkowanych pod wpływem »nowinek religijnych« z XVI wieku.

Jak gałka śniegu, potrącona u szczytu góry przez małe ptaszę, staczając się na dół w potężną urasta lawinę, tak i pomysły Lutra tocząc się po pochyłości rozumów ludzkich, urosły z czasem w groźny dla całej Europy huragan burzy i niepokojów. Krwawym deszczem zrosił on przedewszystkiem Czechy, po słynnej bitwie na »Białej górze«. Brały w niej udział »liczne narody« — jak piszą współcześni — przybyłe z pomocą już to Czechom, już to Austryakom. Okoliczność ta wpłynęła i na to, że po żadnej niemal bitwie nie mamy tyle współczesnych późniejszych relacji, jak po tej właśnie. Niejeden snąc pragnął oświecić swych ziomeków o jej przebiegu, zwłaszcza o ile się uczuł pokrzywdzonym w obcych relacjach. I w nowszych czasach zajęło się tą bitwą aż trzech niemieckich historyków t. j. Brendel, Gindely i Krebs — każdy z nich jednak radby w swoich monografiach osłabić znaczenie udziału w niej Polaków. A jednak źródła współczesne pouczają, że Polacy zdecydowali w krytycznym momencie o jej przebiegu i dlatego godziłoby się, by któryś z polskich historyków zajął się specjalnie tą kwestją.

Nie wszyscy Polacy obecni w wojsku cesarskiem brali udział w bitwie na Białej górze, gdyż przywykli do ciągłych podjazdów i wy-

*) Monumenta Hungariae 166, 168.

cieczek, bywali najczęściej do tego rodzaju posług używani. Ogółem mogło najwyżej 1700—2000 towarzyszy brać w niej udział. Dowodził nimi Rusinowski.

Jakoż ledwie północ minęła, a już złowrogo dla Czechów rozpoczął się dzień 8-go listopada, bo oto nad ranem, nim jeszcze jutrzienka zabłysła, wśród nocnej ciszy skrada się orszak niezmordowanych Lisowczyków, w towarzystwie przydanych im Wallonów, pod obóz przybyłych na pomoc Czechom Węgrów. Nagle i zmienacka uderzają oni na zdrożonych i w błogim śnie pogrążonych Węgrów i niemieckich rajtarów najemnych. To chorągiew czarna i Łachodowskiego z kilkuset ochotnikami — »wyprawiona wpród dla języka« — tak się dzielnie sprawia. Straszna niespodzianka obudziła uspiomych. Ledwie oczy przetrze który — ledwie własnym uszom wierzyć może — a już staje nad nim postać straszna, wroga, z marszem na czole i głową goloną, krwią obryzgana i czarna od prochu, a dość spojrzeć na nią by zrozumieć, z czym przychodzi, jakim będzie powitanie.

A więc każdy, kto żyw jeszcze, zrywa się z posłania, biegnie, leci, szerząc postrach, przerażenie

Poległ wódz węgierski Horwat Janusz, padło przeszło 200 Węgrów, bo nie znając miary w zaciekłości, mordowano kto się zdarzył, byle niewolnika niebrać. Zato koni odebrano blisko 1000 nieopatrzny Węgrom, a i innych łupów także nie zabrakło, jakoto: wozów z bagażami, chorągwi i sztandarów, a nawet, jak niektórzy podawali, dostała się Lisowczykom przy tej okazji kasa wojenna węgierska, t. j. duża skrzynia żelazna pełna dukatów

Uciekając w największym nieładzie, przybyli Węgrzy do obozu czeskiego na górę, a na widok ich porażki, zmiękły serca i tym pułkiem czeskim, które nigdy dotychczas znaku trwogi nie okazały.

Widząc to, książę Anhalt, przemówił do tych ostatnich, by ich uspokoić, ale sam zasmucić się miał bardzo, bo słusznie upatrywał w tem niepowodzeniu, złą wróżbę na przyszłość.

I rzeczywiście w tym pierwszym pogromie, należy szukać psychologicznego uzasadnienia, dlaczego później w czasie bitwy tak bardzo przerazili się Węgrzy na widok nacierających Lisowczyków, że zaś była to właśnie chwila stanowcza w przebiegu walki, więc słusznie powiedzieć możemy, że Polacy zadecydowali o ostatecznym, a zwyciężkim jej wyniku.

Było już dobrze po 12-iej w południe, gdy bitwa odpowiednio do terenu rozpoczęła się na skrajem prawem skrzydle wojsk cesarskich. Pierwsze starcie korzystnym było dla Czechów, a kiedy wśród zmiennego szczęścia walka osiągnęła kulminacyjny punkt, w chwili gdy 21-letni wódz czeski ks. Anhalt rzucił się ze swymi rajtarami z całym zapalem młodzieńca w wir walki — wówczas chwiać się poczęły wojska katolickie na całej linii, zwłaszcza zaś hiszpańscy kirassierzy. Nadaremnie biegną im z pomocą nowe pułki, w sile 8-miu kompanii; i te wkrótce zostają rozbite, a zwycięzcy upojeni powodzeniem, rzucają się śmiało naprzód, na dobitek zaś złego ukazują się i Węgrzy na polu

walki. Ale właśnie, kiedy położenie katolików zaczęło przybierać rozpaczliwy charakter, kiedy ten i ów widząc na co się zanosi, do odwrotu szykować się począł, a nawet niektórzy broń już porzucali z okrzykiem — »przegrana — wszystko stracone! — wynurzają się nagle na rozkaz Maksymiliana Lichtensteina, dowódcy drugiej linii cesarskiej, — polskie hufce Lisowczyków, zniecierpliwione już długim czekaniem. Lotne te zastępy wypuszczono przedewszystkiem przeciw Węgom. A że Lisowczycy, jako jazda lekka, sprawni byli w obrotach i wiele miejsca nie potrzebowali, więc mimo niekorzystnego dla nich terenu, z błyskawiczną zaiste szybkością przesliznęli się między szyki bawarskie. I »wyjąc jak stado wilków«, z okrzykiem — »lutherani szelmy! hrom sebel!« — z szablą w rękę a uzdą w zębach, rzucili się na Węgrów z taką wściekłością, że ci przerażeni, jak wąż, gdy go kto nastąpi, zwiając się i mieszać poczęli... i nagle, wspomniawszy snąc nocną porażkę, ku ucieczce się zerwali, pędząc na oślep i łamiąc inne szyki czeskie.

Nie pomogły próśby i perswazyje wodzów czeskich.

Za pierzehającymi pomknęli w pogoń kozacy Lisowscy i »rzadki któryby nie zdobył kilka, kilkanaście koni węgierskich«. Część zbiegów spędzona do pobliskiej winnicy, ze skały ku przepaści strąconą została, za drugimi zaś »skoczyli« Polacy aż pod samą bramę Pragi i tam »siejąc tak Janusze jako i Hanuse, chorągwie im odbierali, lub po polu gonionego grali«. Nie mało też Węgrów zginęło i w rzece Mołdawie, którą w przerażeniu usiłowali wplaw przebyć.

Porażka Węgrów przeraziła i pomieszała odrazu pułki czeskie, jak to najwyraźniej przyznaje relacya posła angielskiego przy dworze króla Fryderyka w Pradze*). Źródło bardzo ważne i przez samychże historyków niemieckich za najzupełniej wiarygodne uznane. Pod demoralizującym wpływem ucieczki Węgrów, poczynają chwiać się zwycięzcy dotychczas Czesi, a ulegając nowemu natarciu sprzymierzonych wojsk katolickich, pogrążają się również w rozsypce, zwłaszcza, że w ślad za pogromem Węgrów pokonani zostają i dzielni rajtarzy ks. Anhalt, a sam książę raniony, do niewoli się dostaje.

I nie minęła godzina, a stoki góry zasłane trupami na nowo się uciszyły i tylko tu i ówdzie słyhać było jęki konających głuszone, śmiechem i okrzykami zwycięzców.

Wesoło i gwarno musiało być szczególnie między Lisowczykami, bo każdy z nich miał co do opowiadania o dniu przebyłym, a na słuchaczach ciekawych, pewnie nie zbywało tym »Elearem polskim«, jak ich zwie ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki, Franciszkanin i kapelan ich, autor nader charakterystycznych »Pamiętników o Lisowczykach«. Radość ich po bitwie była ogromna, bo nietylko że się wielką sławą okryli, ale co więcej, poniósłszy nieznaczne tylko straty, mnóstwo po-brali koni i innych cennych łupów. A gdy przyszło trzeciego dnia po bitwie do oddawania wodzom zdobytych chorągwi, to nasi byli w nie

*) Porówn. rel. XLII str. 161 w Gindelego: Berichte über die Schlacht auf dem weissen Berge bei Prag.

najbogatsi i jak Dembołęcki opowiada — »odesłali przez dwóch rotmistrzów, Strojnowskiego i Sulmirskiego — węgierskich 38, pieszych 5, kornetów t. j. rajtarskich chorągwi 9«, a ponadto i ową dworską »są- mego wrzekomo króla« z łacińskim napisem, o którym powyżej już wspominaliśmy: „*Diverti nescio*“!

Nie dla przechwałki snać prosił wódz Lisowczyków przy witaniu cesarza na niemieckiej ziemi, »aby im próznować nie dopuścił, gdyż tu nie na próżniackie leże, ale na bitwę przyjechali i dziś jeszcze gotowi są dla wiary katolickiej, dla dostojeństwa cesarskiego, narazić ciała na kalectwa i ciosy!«...

Dawne dzieje — dziś zmieniły się role. Potężna Rzeczpospolita, spiesząca tak chętnie z pomocą zachodniemu sąsiadowi, stała się czę- ściowo jego łupem. Czasi i Polacy, złączeni teraz silnymi węzłami uświado- mionego braterstwa i obecnej wspólności interesów, walczą już nie prze- ciw sobie, ale obok siebie, pod szczytnym sztandarem narodowych praw i sprawiedliwości. Wyjdzie to niewątpliwie na korzyść obu stronom — dla kontrastu jednak, dobrze czasami przypomnieć chwile, gdy »stosunki wzajemne inaczej się układały. Szkody ztąd wynikłe dla jednych i dru- gich, mogą się stać przestrogą na przyszłość; odnośnie zaś do Niem- ców, warto również przypomnieć ten epizod, naszej zawsze do ofiar skłonnej polityki, choćby w odpowiedzi na niską potwarz — »naród pasożytów!« — jaką jeden z przedstawicieli teutońskiej buty považył się skierować przeciw nam. Są jednak obelgi tak elastyczne, że wymie- rzone, odskakują ku tym właśnie, co je cisnąć się ośmielili.

Dr. K. J. Nitman.



Na starym chórze.

Na tle kościelnych szyb usiadła cicho
Przed starożytną organu strukturą
I położyła białych rączek cienie
Na oniemiałych klawiszy szeregi; —
Przed nią żółtkiego zwoje pergaminu,
Co gregoryański, stary hymn zawiera,
Zdobne w gotyckie, barwne inicjały.
Księżycy promień z szyb zdejmuje różę
I do kornetu przypina zalotnie
Co nad jej czołem jak narcyza liście
Śnieży się skrzydły swemi i ocienia
Twarz zakonnicy przed miesiąca blaskiem.

Na starym chórze spełzłe gobeliny
 Życ poczynają i rycerzyk młody
 Zsiada z bachmata, cichym krokiem dąży,
 Gdzie przy organach duch dziewiczy gości. —
 Ona podnosi wzrok zgasły i w bładą
 Twarz się rycerza wpatruje przez chwilę,
 A potem trwożnie zwiesza i pokornie
 Główkę skrzydlatą na pierś co ożyła
 Wspomnieniem dawnem i dłońmi drżącemi
 Suwać poczyna różańca paciorki — — —

Zawrat.



Pan Tadeusz i Berezyna.

Warszawa ogląda już od dłuższego czasu obraz Juliana Fałata i Wojciecha Kossaka, zatytułowany: »Berezyna«. Wywiera on wrażenie głębokie i przejmujące. Świadczą o tem uwagi, jakie słyszemy na podium w tłumie, cisnącym się do baryery, a złożonym z osób różnego stanu, płci i wieku: z wojskowych, cywilnych, pań i panienek, starców i młodzieńców, a nawet pacholąt, podłazących pod łokcie starszym. Bo też wszelkie okropności dnia 28. listopada 1812 roku występują na tem kolistem płótnie z realizmem, jaki daje się osiągnąć tylko przy najwyższej biegłości w technice malarskiej, przy opanowaniu najtrudniejszych łamigłówek perspektywy, rysunku i kolorytu, a w takim ugrupowaniu scen i szczegółów, jakie możliwem się staje po pilnem zbadaniu relacyj historycznych i pogodzeniu ich z właściwościami okolicy. Widzimy ogromną równinę z niewielką wyniosłością »Stachową« i niezbyt głębokim parowem, strzeżonym przez strzelców; na najdalszych planach dwie wioski, Studziankę i Bryłową w promieniach zachodzącego słońca; lasy bezlistne; śnieg, zdała tylko świecący białością, a zbliska brudny, kopki i grzędki, ntrudniający poruszanie się koniom i ludziom; rzekę wąską, ale straszną swym popękanym i zbrudzonym od odwilży lodem; jeźdźców przepływających konno lub obok swych koni, w mundurach i nago pomiędzy krami; dwa mosty kobylicowe, z których jeden już się załamał, a z drugiego ludzie w natłoku są spychani do wody. Na pierwszym planie, pomiędzy tymi szczęśliwsiymi, którzy się już przez fatalną rzekę przeprawili, znów ileż trwogi, rozpacz, agonij, trupów! A dalej na prawo toczy się walka z nadciągającym nieprzyjacielem: jedna półbateria strzela, druga wyjeżdża na pozycję; piechota odiera

dwie kolumny Wittgensteina, szwadron ułanów pędzi przeciwko awangardzie Czyczagowa, potrząsając lancami, niezawodnie też wykrzykując vivat dla cesarza. Tymczasem Napoleon asystuje paleniu swych orłów cesarskich. Prezentują broń tylko dwaj szeregowi przy doboszu i oficerze; w orszaku Murat, książę Józef Poniatowski, kilku marszałków i adjutantów salutują ukłonem lub odkrywają głowy przed godłami honoru i sławy wielkiej armii; »święty szwadron«, złożony z oficerów, których pułki nie istnieją, a sztandary płoną, stoi w linii nieruchomo i obojętnie. Nieopodal na karabinach niosą żołnierze rannych generałów polskich: Kniaziewicza, Dąbrowskiego, Zajęczka.

Czyż to nie wystarcza do zrozumienia, że się tu rozegrywa wielka sprawa dziejowa?

Oto, w nicość zapada się olbrzymia potęga człowieka, który przed kilku tygodniami był uznawany i zwany »bogiem wojny«. Szedł z półmilionem wojowników, z pułkami wszystkich niemal narodów Europy, z niezmierną liczbą dział, wozów i pieniędzy — i oto pozostały mu wyglądzone, zziębnięte, pasujące się ze śmiercią kupy nędzarzy.

Jakiegokolwiek powody do podjęcia tej wojny wynajdzie historia w kryjówkach polityki międzynarodowej; jakiegokolwiek niebezpieczeństwa dla swego stanowiska mógł widzieć Napoleon w zamiarach Rosyi: niezachwianym przecie pozostanie fakt, że syn Wielkiej Rewolucyi, że przedstawiciel najwyższej wówczas cywilizacji wystąpił w charakterze najeźdźcy i na podobieństwo Xerksa biczem przemocy pędził przed sobą nie tylko Francuzów, ale Niemców, Holendrów, różnoplemienne wojska austriackie, Włochów i nieszczęsną legię portugalską bez idei wytycznej, bez żadnego, wspólnego hasła, wbrew wszelkim ich interesom.

Nie dziw, że jego żołnierze zabawiali się rabunkiem, niecąc ku sobie nienawiść i zemstę na całej drodze swego pochodu; że w odwrocie stali się hordą niekarną; że odbiegali sztandarów i broń rzucali, a cerkiewne ornaty i kobiece suknie, dobyte z wozów zdobycznych, nie uratowały ich od mrozu. Jenerałowie cudzoziemskich korpusów potrafili wykonywać jak najnie dokładniej rozkazy Xerksa i wyglądali sposobności do zwrócenia swych dział i bagnetów przeciwko niemu.

Jedni Polacy służyli mu z poświęceniem nieograniczonym i z zapalem nieugaszonym. Dlaczego?

Ha! Oni jedni upatrywali w Napoleonie wskrzesiciela swojej Ojczyzny i wyglądali od niego przywrócenia utraconej niepodległości. Nie poddali się złudzeniu tylko »jeden prawdziwy Polak« Kościuszko w rzeczywistości historycznej i Maciek nad Maćkami w utworze narodowego poety.

W Soplicowie, gdzie rozłożył się »obóz czterdziestu tysięcy... I ze sztabami swymi jenerał Dąbrowski, Kniaziewicz, Małachowski, Giedroję i Grabowski... Podkomorzy, niedawno przez powiatu stany zgodnie konfederackim marszałkiem obrany... rzekł... Bracia, ogłosił wam ksiądz na ambonie Wolność, którą cesarz-król przywrócił Koronie, A teraz Litewskiemu Księstwu, Polsce całej przywraca«.

Po nabożeństwie, na którem znajdowali się generałowie, kilku oficerów i tłum żołnierzy, »zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących«, poeta wystawił »ostatnią ucztę staropolską«, wyprawioną dla tak nadzwyczajnych gości, »których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy były ewangelią narodową Litwy«. Wśród powszechnego upojenia Dąbrowski zawezwał Maćka Dobrzyńskiego, aby przynajmniej pił wesoło »zdrowie Napoleona i Polski nadzieje«. Ten zaś odmówił wręcz, wymieniając następne argumenty: »Dwóch orłów razem się nie gnieździ; Łaska pańska, hetmanie, na pstrym koniu jeździ!... Dla Polski polskiego trzeba bohatera, Nie Francuza, ani też Włocha, ale Piasta, Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta. Wojsko... mówią, że polskie... Więcej słysząc niemieckich tytułów w tym tłumie, Niżli narodowych! Kto to już zrozumie? Cesarz idzie do Moskwy... daleka to droga, Jeśli cesarz jegośność wybrał się bez Boga!... Wszystko to jest... Tu Maciej chleb umoczył w zupie« — naturalnie, żeby nie wymówić nałogowego swego wyrażenia: »głupie«.

Poeta nie już więcej w tej kwestyi nie dodał: uregulował sprawy małżeńskie i włościańskie, wreszcie zamknął swe arcydzieło przesławnym polonezem. Ale czy nie może być epilogiem obraz, na którym p. Wojciech Kossak wymalował to samo wojsko, czyli raczej resztki korpusu 5 go nad brzegiem Berezyny, ciż sami Dąbrowski i Kniaziewicz na noszach, a książe Józef Poniatowski, spoglądający na palone sztandary, zanim zginie w nurtach Elstery w służbie Napoleona, nie doczekawszy się wolności, obiecywanej dla Korony i W. Księstwa Litewskiego?

Mickiewicz po upływie lat 20-tu zawołał w rozmarzeniu: »O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju, Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju! Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!... Urodzony w niewoli, okuty w powiciu, Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu«.

Malarze nasi po upływie lat ośmdziesięciu pokazali nam, jaką była zima owego »roku wojny«, oznajmionego rzekomo »niebieskim cudem«, poprzedzonego »głuchą wieścią między ludem«. Ich pędzel dobywa z głębi serca gorzkie wzruszenia i napędza do głowy mnóstwo myśli poważnych. Rzesze widzów niechże rozważają i rozstrzygają: kto miał słuszność — Dąbrowski, czy Maciek nad Maćkami?

Tadeusz Korzon.



TRZY POMMIKI.

STROFY JUBILEUSZOWE

poświęcone

Mistrzowi Godebskiemu.

I.

Była jeszcze potężną, w zbroi i w purpurze,
Gdy dźwignięto przed Zamkiem królewską kolumnę,
Nad tym siły symbolem przeciągnęły burze
I starły się napisy — zwycięztwami dumne...

Gdy po wiekach niedoli dni lepsze nastały
I w i e d z a chciała koić przeciwności brzemię,
Wzniesiono pomnik nowy — narodowej chwały,
Mędrca, co słońce wstrzymał i poruszył ziemię...

II.

Zygmunt krzyżem i szablą króluje w Warszawie,
Kopernik — myśl rodaków w nieskończoność wznosi,
Jeden — każe pamiętać o rycerskiej sławie,
Drugi — wiedzy potęgę przodków swoich głosi...

A oto — posąg wieszcza! W skromnej mędrca szacie,
Bez wawrzynów, bez berła, stoi mąż proroczy...
Lecz jako mocarz pieśni, w chwały majestacie
Panuje nad sercami i serca jednoczy...

III.

Mistrz, co wskrzesił Twą postać w bronzie i w granicie,
Do podnóża sierocą przytulił lirenkę.
Lecz sercu, co cierpiało, dał wyraz, dał życie
Na serce, co kochało, położył Ci rękę...

Niech epoka walk bratnich, praw ludzkich w ruinie,
Następnym pokoleniom ów symbol przekaże:
„Ze miłości ideał w narodach nie ginie,
Tam, gdzie jego kapłanom stawiają ołtarze...”.

AUTOR »STROF«.

Warszawa d. 24. grudnia 1898.



NOTATKI Z KRAKOWA.

Chcąc dziś poruszyć chociażby najogólniej stosunki literacko-artystyczne w Krakowie, należy koniecznie rozpocząć od Stanisława Przybyszewskiego a równocześnie obok niego od »Życia«. Przyjazd przed kilku miesiącami Przybyszewskiego do grodu podwawelskiego wyprzedziła rzecz wcale niedrobiazgowa, bo sława i to sława zdobyta przez Polaka wśród tak nam wrogich Germanów. Trzeba jednak być szczerym i to zaznaczyć, iż sławą tą cieszyliśmy się, ale przeważnie jej przyczyn nie znali i dopiero poznawszy osobę autora zaczęliśmy badać jego dzieła. Ruch też w księgarniach z tego powodu wcale był znaczny; zaczęto czytać i entuzjastycznie podziwiać niepospolitą umysł, chwilami wznoszącego się do genialności nawet. W takich warunkach objął Przybyszewski w październiku r. z. »Życie«. Pismo to stanowczo nie ma szczęścia; w przeciągu dwuletniego, zda mi się, istnienia znajduje się obecnie już w czwartych rękach. Rozpoczął je wydawać Szepeński pod wcale dobrą wróżbą i przy sympatyi Krakowian. Niebawem jednak bardzo młodzi towarzysze t. z. »Młodej Polski«, (pierwszej, bo dzisiaj druga jest znowu inna, o czem poniżej), zrobili z ówczesnego »Życia« organ bajczarsko-plotkarski tak wstrętny, iż wprost usiłowano zająć czytelnika skandalami lub podobnymi do nich opowieściami. Oburzenie było ogólne, a w ślad za tem zanik poczytności. W maju r. b. nabyła »Życie« spółka udziałowa pod egidą cenionego literata Sewera - Maciejowskiego i znanego artysty-malarza Wyczółkowskiego. Niestety wytrawna ta firma nie policzyła się z siłami, wskutek czego »Życie« było już prawie bez... życia. Kamforą wstrzykniętą w jego żyły i szampanem w agonii stał się Przybyszewski, który z miejsca przerobił pismo na organ obecnego, nowego prądu w sztuce. Rozpoczęło się więc hołdowanie modernizmowi, symbolizmowi, weryzmowi, naturalizmowi i wszystkim innym modnym »izmom«. Przybyszewski począł działać, pisał, otoczywszy się młodzieżą widzącą w mistrzu wszechmądrość, wszechwielkość, wszechgenialność. To dobrze, bo naprzód Przybyszewski jest arcyniepospolity, a powtóre młodzież powinna czcić i cenić starszych tem bardziej, gdy między nimi jest tak bezgraniczna przepaść. Nie zapuszczając się w to, czyli oddziaływanie Przybyszewskiego na tę młodzież jest zupełnie dodatnie, przechodzę do skreślenia krótkiej historii trzymiesięcznej redakcyi »Życia« przez Przybyszewskiego. Prawdę rzekłszy, czytano w niem tylko artykuły przez niego pisane; olnił on czytelników bajeczną obrazowością, do szczytu doprowadzonym naturalizmem i wspaniałem stylem. Recenzye z obrazów Müncha są wprost cudowne, ale... nie na Kraków one i nie na całą Polskę. Podziwiać musi się Przybyszewskiego dla jego rozlicznych zalet pisarskich, ale kierunku, który on chce prowadzić, prawie nikt, a właściwie nikt nie chce ani w sztuce, ani w literaturze, prócz bardzo nielicznej garstki zapaleńców. To co pisze Przybyszewski, przewyższa wszelkie za-

chcianki modernistyczne i symbolistyczne secesjonistów w malarstwie i sprawia wrażenie dążenia do pozbawienia sztuk *pięknych* tego epitetu. Przybyszewski jest poetą i artystą dużym, ale niech nas strzegą duchy naszych wielkich poetów i artystów przed wstąpieniem na drogę przez niego wskazaną. Nie trzeba być purytaninem, by z niej umknąć co rychlej. I nic tu nie pomoże, iż w odpowiedziach redakcyi czytamy takie zdanie, iż jeśli kto nie rozumie, niech nie czyta, gdyż autor nie może się oglądać na to, czy ogół go pojmuje i pisze tylko dla wybranych (?). W jednej też odpowiedzi wyczytałem takie przysłowie dla kogoś przeznaczone: »Kazau mudyryj, Seneka, sedy sw... z daleka«. To chyba mniej szczęśliwe. Rezultat ostateczny dziś taki: Z początku wyrwano sobie z rąk »Życie«, dziś znaleźli się prenumeratorem, którzy odsyłają numery, zwłaszcza po opisach rozwyrzonego erotyzmu. Wspaniale, potężnie to pisane, ale po co? dla kogo? Przeszło to nawet u autora w pewnego rodzaju manię i manierę; od paru miesięcy z niczem innym nie spotyka się czytelnik tylko z obrazami rozwierzganych zmysłów, które w końcu nużą, bo się powtarzają a obracają w jednym kółku częstokroć niezdrowej erotyki z pominięciem wszystkich innych objawów, stosunków i okoliczności, jakie nam dają życie. W ostatnim numerze pisma z r. z. redakcyja ogłosiła, iż wydawnictwo przeszło w ręce p. Wyrzykowskiego, a zarazem zmieniono »Życie« na dwutygodnik. Przybyszewski zatrzymuje i nadal naczelne kierownictwo ogłaszając w odezwie do czytelników, iż pismo ma już obecnie zapewnione materialne istnienie. Czy ten czwarty właściciel dłużej wytrzyma — zobaczymy.

Tutejszy »Związek naukowy«, chorujący od pewnego czasu na anemię pieniężną, w ostatnich czasach nabrał nieco sił, przez przystąpienie dwudziestu przeszło nowych członków, wśród których jest i kilka niewiast. Istnieje zupełnie uzasadniona nadzieja, iż wraz z poprawą strony materialnej nastąpi i żywszy ruch w kierunku urządzania pogadanek, odczytów i w ogóle w tym, który jest zadaniem »Związku«. Świeżo odbyte wybory do wydziału i nazwiska osób w nim zasiadających pozwalają na tego rodzaju przypomnienie.

Na wystawie w Sukiennicach gromadzą licznych widzów, budząc, rzecz prosta, rozmaite zdania płótna głośniego symbolisty Saszy Schneidera, u nas znanego już nieco z reprodukcij zeszłorocznych »Tygodnika Ilustrowanego«. Oryginalne a przede wszystkim wymownie się tłumaczące te obrazy muszą na każdym sprawić wrażenie. Po za osobną salą, w której są umieszczone, z nowszych płócien zwracają uwagę znakomite portrety Axentowicza, Augustynowicza, Krzesza i Janowskiego. Ten ostatni artysta, jako młodszy od poprzednich i mniej jeszcze znany, zasługuje na wybitną wzmiankę, gdyż prace jego odznaczają się chlubnie temi wszystkimi zaletami, jakich się od utalentowanego artysty wymaga. Jestto talent pisrwszorządny, który z pewnością zablyśnie zdobywając sobie sławę, a nam zadowolenie. Nie wolno mi też przepomnieć nazwiska siostry tego artysty p. Bronisławy Janowskiej, która dzielnie namalowanym, po męsku traktowanym portretem autora »Ulu-

dy«, p. Szuchiewiczza zwróciła na siebie uwagę. Młoda artystka wyjeżdża podobno na dalsze studia do Monachium, co dodatnio bezwarunkowo wpłynie na rozwój jej zdolności.

W ostatnich czasach zaczęto się tu znowu nieco żywiej krzątać około sprowadzenia do kraju zwłok Juliusza Słowackiego, co gdyby w r. b. przyszło do skutku, byłoby wzniosłą ekspiacją za półwiekowe dokładnie zapomnienie o prochach nieśmiertelnego wieszcza. Obecnie sprawa przedstawia się jak następuje: Jak wiadomo, zapoczątkował akcją zurychski komitet zjednoczenia stowarzyszeń młodzieży polskiej za granicą, obok którego istnieją i wspólnie działają na własną rękę, ale zawsze za wspólnym porozumieniem komitety: paryski i krakowski. Ten ostatni liczy pięćdziesięciu członków, w której to liczbie połowa jest z młodzieży a druga ze starszych. Z komitetu tego obszerniejszego wyłonić się ma obecnie komitet ściślejszy z dziesięciu, w skład którego wejdą przedstawiciele wszystkich stanów, wieków i płci. Punkt ciężkości jednak leży w gorących staraniach młodzieży wszystkich akademickich stowarzyszeń. Co do kosztów całej sprawy wiadomem jest, iż komitet paryski zobowiązał się zapłacić za ekshumację i przywieść zwłoki do granicy a tu zebrało krakowskie stowarzyszenie młodzieży postępowej kwotę ośmset zł. W ten sposób kwestya materyalna byłaby załatwioną. O innych szczegółach a mianowicie o terminie i o miejscu umieszczenia, (Wawel, Skalka, czy który z kościółów?), postanowi komitet ściślejszy. Oby tylko energicznie zabrał się do dzieła a za kilka miesięcy możemy mieć wśród siebie w Polsce kości twórcy »Ojca zadżumionych«.

Z bieżących dziejów tutejszego teatru zanotować się godzi filantropijny czyn dyrekcji, która przeznaczyła dochód z pierwszego przedstawienia »Igraszek miłości i trafu« na cele »Towarzystwa dziennikarzy polskich«. Co do artystycznej strony sezonu, który jest ostatnim obecnego kierownika, można go określić krótkim zdaniem: byle jak najprędzej do końca. Takie ogólne sprawia wrażenie...

Po za tem zajmuje się opinia teatrem o tyle, o ile ma nastąpić zmiana dyrektora. Najpoważniejszym kandydatem, cieszącym się ogólną sympatją, poważaniem i uznaniem za dotychczasową pracę, jest Józef Kotarbiński. Rzecz jednak rozstrzygnie się prawdopodobnie dopiero aż w kwietniu. r. b.

Kraków w styczniu 1899.

Kazmierz Czapelski.



MALARSTWO.

Z naszego salonu.

Niezwykłe ożywienie, jakie wśród naszej publiczności wywołała w ostatnim czasie wystawa wspianiałego obrazu Henryka Siemiradzkiego, było naturalną przyczyną usunięcia niejako na plan drugi wszystkich innych dzieł sztuki zapełniających sale Towarzystwa. Właśnie jednak w tym czasie przybyło wiele uwagi godnych utworów, świadczących szczególnie korzystnie o coraz bardziej zwiększającej się u nas twórczości artystycznej. Do dawnych, już uznanych talentów przybyło kilka nowych, niemałe rokujących nadzieje, a prawie we wszystkich pracach z małymi wyjątkami zaznacza się istotny postęp i silne dążenie do udoskonalenia się i zrozumienia nowych kierunków i zadań sztuki.

W dziale portretów pierwsze miejsce należy się bezwarunkowo pracom Augustynowicza, który już dzisiaj, jak się zdaje, osiągnął całą pełnię rozwoju swego wybitnego talentu. Znakomity kolorysta, oddany z zapalem aż do egzaltacji posunięty, studjom impresjonistycznym, nieraz w poprzednich swoich utworach nie umiał utrzymać na wodzy wyobraźni, uderzonej kolorytem lśniącem potokami światła. Żywiołem jego zawsze było światło, w którego promieniach znajdował odrębny sobie sposób pojmowania barwy i jej wartości. Rzecz naturalna, iż nie zawsze mógł być należycie zrozumianym i osądzonym. Nigdy jednak przewaga barwy nie doprowadziła go do lekceważenia rysunku.

W najnowszych utworach Augustynowicza widzimy już pewne uspokojenie dawnych zapędów, pewne pogodzenie świetności koloru z charakterem przedmiotu, co powiększyło ów stopień absolutnej szczerości, stanowiący cechę znamioną obrazów tego niepospolitego artysty. Obydwa portrety, pana i pani S. oprócz znakomitej modelacji i naturalnej wierności odznaczają się wykwinną kompozycją i tem, co obok podobieństwa jest najważniejszym zadaniem dobrego portrecisty, t. j. odczuciem indywidualności w wyrazie twarzy i ułożeniu całej postaci P. S., mężczyzna w sile wieku, przedstawiony jest w postawie stojącej podniesioną ręką gładzący bokobrody, co zdaje się być trafnie przez artystę podpatrzonym, najzwyklejszym ruchem tego pana. Pani S., kobieta jeszcze młoda, w czarnej jedwabnej sukni, siedzi w wygodnym krześle poręczowem. W lekko uśmiechniętej twarzy dużo owej, niedającej się bliżej określić słodyczy niewieściej.

Portret starszej osoby, pani K., to dzieło również wielkiej wartości artystycznej, ma być arcydziełem pod względem podobieństwa portretowanej. Szczególną uwagę zwraca rysunek i modelacja rąk z skończonym realizmem uchwyconych.

Damazego Kotowskiego portret p. Götza, młodego mężczyzny w pięknym, polskim stroju, jest nowym dowodem, jak sumiennie i poważnie pojmuje zadanie swoje ów artysta i jak coraz bardziej doskonałym się staje szczególnie w oddawaniu postaci męzkich, o rysach wybitnych.

pozwalających uwydatnić swój charakter zapomocą wprost doskonałego rysunku.

Portret ks. dr. S. w popiersiu, pędzla prof. Stefanowicza, jest przedmiotem ogólnych pochwał i uznania dla artysty. Bardziej niż w jakimkolwiek innym rodzaju malarstwa występować musi w portrecie treść jego wewnętrzna, owo życie duszy, malujące się w rysach twarzy a szczególnie we wzroku, w złożeniu ust i innych nieraz na pozór podrzędnych objawach, które jednak nie ujdą oka prawdziwego artysty. W tym kierunku szczególnie odznacza się wybitnie ostatnia praca prof. Stefanowicza i dlatego znajduje gorące uznanie u tych szczególnie, którzy mają sposobność znać bliżej tego zacnego i wielce zasłużonego kapłana polskiego.

Prześliczne studia akwarelowe tegoż artysty, jako owoc prac wakacyjnych, wystawione są także obecnie. Są to typy wieśniaków i wieśniaczek z Kossowa; szczególnie dwie młodsze postacie odznaczają się niemałym wdziękiem i wyborną obserwacją natury.

Typy ludowe i sceny z życia ludowego, to niewyczerpany zasób tematów, ulubionych dla wielu z naszych artystów. I nie dziw, tam jeszcze, na tle zawsze wspaniałej przyrody, silniej uderza wyobraźnię rozkoszna gra barw świeżych, tam jeszcze i ludzie nie nauczyli się być innymi, niż ich Bóg stworzył, tam jeszcze łatwiej o harmonię człowieka z naturą nawet wśród olśniewających kontrastów kolorystycznych, niż wśród szarej jednostajności życia miejskiego, pełnego nienaturalnej pozy i fałszu.

Cały szereg studyów, szkiców i obrazków rodzajowych jest tego wymownym dowodem. Niepodobna wszystkich szczegółowo opisywać. Ograniczę się więc tylko na wymienieniu najbardziej na uwagę zasługujących. I tak mamy dwie prządky, Reyznera babkę wiejską, w rańtuchu na głowie, snującą przedziwo z kądzieli i Zuberę młodą, nadobną huculeczkę, z wrzecionem w ręku. Obydwa obrazki pełne sielskiego uroku; z licznych innych studyów Reyznera, szczerem wdziękiem celuje »Poranek niedzielny«, w którym matuleńka przystraja główkę swej jasnowłosej córuchy wianuszkiem kwiatów polnych. Z pobytu na Wołyniu przywiózł ten artysta także kilka wybornych szkiców wiejskich.

Znany malarz scen z życia ludu, Jezierski, przedstawił obecnie »Niedzielę na wsi«, niewielki obrazek, odznaczający się, jak wszystkie prace tegoż artysty, niezwykłą przejrzystością wszystkich, najdrobniejszych nawet szczegółów. Nad potokiem, płynącym wśród chat wiejskich, ocienionych rozłożystymi drzewami, rozsiadło się całe towarzystwo starszych i młodych kobiet, parobków i wyrostków, przysłuchując się grze na harmonii. Scena tak prosta, ale pełna szczerzej prawdy i naturalnego wdzięku, szkoda tylko, że artysta, folgując zbyt swojemu skłonności drobiazgowego wykończenia wszystkich szczegółów, uchybił prawom per spektwy powietrznej, oddając osoby na dalszych planach obrazku z taką samą dokładnością, jak na pierwszym.

Trzy małe obrazki Maszkowskiego przedstawiają wnętrza chat wiejskich na Pokuciu, oświetlonych jaskrawymi promieniami słońca,

wpadającymi przez małe okienka. Warstwy tkackie, półki z polewanami misami i dzbanami, ujęte w jasno-żółte pręgi świetlane, niezawsze jednak dobrze tłómaczy się kierunek wpadających promieni.

Ta sama okolica podgórska, tak pełna prawdziwej poezji przyrody, jest zwykle tematem obrazów Daczyńskiego.

Tym razem przedstawił on hucula, prowadzącego konia do rzeki. W przczystem górskim powietrzu odzacza się dokładnie jasno-zielony stok górski i szare skały, nad brzegiem sterczące.

Niestrudzony nestor naszych malarzy, Juliusz Kossak, przedstawił 2 typy jeźdźców, obydwaj, jak zawsze, w swoim rodzaju wyborne. Na tle wiejskiego pejzażu pędzi chłop na koniu, jednym z tych niskich ale wytrzymałych i silnych koników. Na pysznym arabie wyjechał sobie także siwowłószy obywatel w pole, zdaje się stary wiarus polski, tak dzielnie wygląda na koniu z fajeczką w ustach i tym szczególniejszym a tak rzadkim wyrazem pogodnej, wesołej niemal starości.

Do zastępu pejzażystów polskich przybyła nowa i jak się zdaje niepospolita siła. Jest nią Feliks Wygrzywalski, Lwowianin, młody artysta i uczeń akademii monachijskiej. Już dawniej wystawiano jego prace w tutejszym salonie, były to jednak przeważnie studia i szkice o wybitnem piętnie akademickich utworów. Trzy najnowsze prace to już samodzielnego ducha płody, widoki z południa, w czasie podróży do Włoch powstałe. Ustęp z Capri, owej wyspy w zatoce Neapolitańskiej, wiecznie czarowną wiosną uśmiechniętej, dowodzi wybornego odczucia i zrozumienia południowej przyrody. Szczególniej uderza głębia powietrza i ów tak charakterystyczny w tamtej okolicy błękit morza i nieba zlewający się w oddali w harmonijną całość.

Dowodem znakomitej obserwacji morskiej toni Adryatyku jest obraz zatytułowany »Z Wenecyi«. Nic jednak w nim nie przypomina owej czarownej »Regina di mare«, jest to sobie kawał powierzchni morskiej prawie mlecznej barwy plamami pokrytej, co zdaje się być wynikiem pewnej chwili oświetlenia dziennego i odbicia białawych chmur w zwierciadle wodnem. W oddali kołysz się poważnie parowiec. Trzeci obraz tegoż artysty również należy do rzędu «nastrojowych». Jest to nocny widok Florencyi, okolica i most na rzece Arno, oświetlony zdala blaskiem księżycowego światła. We wszystkich utworach Wygrzywalskiego uderza przedewszystkiem prawda przyrody, ożywionej silnem indywidualnem odczuciem pewnej danej chwili, zawiślej nieraz od przelotnych tylko warunków oświetlenia. Jest to zresztą znamięm nowoczesnej sztuki, iż nawet w krajobrazie stała się przedewszystkiem ekspresyjną i co zatem idzie, wymaga od artysty pewnej sumy zdolności wyższych i potężniejszych, niż dawniej, gdy jej chodziło wyłącznie o uchwycenie piękna w przyrodzie. Dziś nie wystarcza tylko być wrażliwym na piękno, trzeba nadto posiadać zdolność do wzruszeń i ucieć rozmaitych, aby w utworze swoim okazać miarę swej własnej wrażliwości, swej wyobraźni i swej własnej inteligencji. Z licznych naszych pejzażystów zasługuje wielu pod wyżej wyrażonym względem na zaszczytne uznanie. I z obecnie wystawionych prac odznaczają się niektóre



Henryka Siemiradzkiego »Dirce Chrześcijańska.«

wybitnie w tym kierunku; Harasymowicza niezrównaną prawdą natury technące moczary i bagniska zyskały już sobie zasłużony rozgłos i sławę, z prac młodszych artystów na szczególniejszą zasługuje uwagę Alfreda Beera krajobraz zimowy, Holzmüllera akwarelowe widoczki wiejskie, zdradzające w artyście dobrego ucznia Fałata i Winterowskiego Leonarda najnowsze utwory: krajobraz nocny i zarośla.

Prawdziwą ozdobą salonu jest obraz Rozwadowskiego, przedstawiający atak szwoleżerów polskich w służbie Napoleona I. Ile tam siły, werwy żołnierskiej i życia a jakie pyszne konie! Artysta prawie wyłącznie poświęcił się odtwarzaniu typów naszej pięknej armii narodowej z przed 1831 r. i w tym kierunku pracując stara się godnie stanąć obok znanych dzieł obudwu Kossaków.

Na końcu tak zwana »Martwa natura«. Tym razem jednak wyrażenie to nie bardzo stosowne, gdyż chodzi tu jedynie o kwiaty z niezrównanym wdziękiem i nadzwyczajną potęgą złudzenia odtwarzane przez Z. Szwejkowską. Co za pyszne róże, jakie bławaty! Wierzyć się prawie niechce, iż to pastele lub olejne obrazki, taką świeżością i rozkosznymi barwami wabią nasze oczy. Trzeba naprawdę kochać przyrodę i jej czarowne dary, aby je zdołać z taką siłą prawdy i doskonałością odtworzyć.

Prof. Michał Lityński.

„Dirce chrześcijańska” Henryka Siemiradzkiego, której reprodukcję podajemy w niniejszym zeszycie, wystawiona była w tutejszym Salonie od dnia 27 listopada r. z. po dzień 8 stycznia r. b. Przez ten czas zwiedziło obraz 14.000 osób. Dochód z sprzedaży kart wstępu wynosił 2.474 zł. 90 ct. W związku z wystawą wspaniałej tej kompozycji pozostaje list mistrza Henryka, ogłoszony w prasie miejscowej a opiewający jak następuje:

»Szanowny redaktorze! Spotykam się coraz częściej z przypuszczeniem, jakobym zaczerpnął temat do mego obrazu »Dirce chrześcijańska« z powieści Sienkiewicza »Quo vadis«. Nic bardziej mylnego. Obraz zacząłem już przed kilkunastu laty, a zatem na jakie 10 lub 15 lat przed ukazaniem się tego głośnego utworu. Wykończony szkice olejny »Dyrecci« nabył u mnie już wtedy ś. p. hr. ordynat Jan Bisping z gubernii kowieńskiej. W przeciągu lat następnych musiałem często zaniedbywać pracę nad rozpoczętym płótnem dla innych, pilnych robót, tak, iż dopiero ostatnimi czasy mogłem się zabrać do niej na dobre. Jakkolwiek podzielał powszechnie i zasłużone uznanie dla powieści Sienkiewicza, uważałbym jednak za niewłaściwe branie tematu do poważnego dzieła pędzla z utworu beletrystycznego. Podobieństwo zaś treści, tłumaczy się w sposób bardzo prosty: malarz i pisarz, dla odtworzenia w swych dziełach dawnej epoki dziejowej, badają te same postacie i obrazy. Myśl mojej »Dyrecci« powziąłem, czytając »l'Antichrist« Renana. W rozdziale »Massacre des chrétiens, L'esthétique de Néron« znalazłem opis tej sceny, podany przez autora na podstawie świadectw

Klemensa rzymskiego i Hygina. Ten sam fakt dziejowy, oparty na tych samych źródłach, nastęrczył Sienkiewiczowi jego Ligię, mnie Dyrceę. Ufny, że mi szanowny pan nie odmówi umieszczenia tego listu w swem piśmie, składam mu z góry moją wdzięczność; upraszam jednocześnie inne dzienniki o łaskawe podanie go swym czytelnikom. *Henryk Sieniradzki.*



M U Z Y K A.

Z opery. Rzeczmaicie udają się dzieła kompozytorom: u jednych uwertura zapowiada więcej niż dalszy ciąg opery przynosi, u innych nieznaczący »Vorspiel« poprzedza nieraz najwspanialsze bogactwa inwencji. Coś podobnego przedstawia rozpoczęty już sezon bieżący. Znajduje się on obecnie w fazie introdukcji, która cały już styczeń trwa, a dotychczas nie nam ciekawego nie przyniosła prócz wypadków artystycznych osobistej natury, jak występ p. Bohussówny w »Traviacie«, debiuty p. Hoffmana, oraz powrót p. Myszugi na scenę lwowską. Wszystko to razem (słowa te piszemy d. 25. stycznia) zamknęło się w dwóch przedstawieniach »Traviaty« a trzech »Straszego dworu«, więc jako całość przedstawia się bardzo skromnie. Świetność sezonu, zapowiedziana ogłoszeniami, widocznie tedy przyczaiła się, aby nas potem olśnić całym blaskiem. Niechże i tak będzie — czekamy na ciąg dalszy.

Występ p. Bohussówny dowiódł nie po raz pierwszy, że młoda nasza primadonna operetkowa ma wszelkie prawa do zajęcia w operze stanowiska poczesnego. Mylne jest bowiem zapatrywanie, że każdy śpiewak lub śpiewaczka, skoro tylko głos jej uznany zostanie za materyał niewielkiej siły, już tem samem skazaną jest na karierę operetkową. Bez właściwego temperamentu, w tej dziedzinie humoru i satyry trudno coś zrobić, co na publiczność podziała. Ale pannę Bohussównę do opery kwalifikuje nie sam brak temperamentu operetkowego, lecz bardzo wiele prawdziwych śpiewackich i scenicznych zalet. Jej głos, mimo niewielkiego woluminu swego, posiada miły dźwięk i niesie dobrze, jest przytem lekki i podatny do koloratury. Muzykalność i artystyczna intuicja podwyższają wartość jego znacznie i sprawiają, że śpiewu p. Bohussówny słucho się z przyjemnością i bez obawy, iż w nim zajdzie jakaś chwila niepewności lub coś, co obrazi poczucie estetyczne słuchacza. Młoda śpiewaczka powinna, zdaniem naszym, wypocząć, następnie poświęcić się studjom u

jakięś specjalistki umiejętnie prowadzącej górę głosu i koloraturę, (była taką wiekowa już dziś Marchesi w Paryżu), a przy jej niepospolitych zaletach scenicznych, przy tak wdzięcznej powierzchowności, przy dystynkcyi postaci i ruchów, wreszcie przy umiejętności ubierania się, p. Bohussównę oczekuje karyera śpiewacka poważna i piękna, chociażby miała ograniczyć się na sceny polskie tylko. Na każdy wypadek, wycieczki potrzebna jej obecnie w pierwszym rzędzie. Dowiódł tego drugi występ w »Traviacie« — słabszy niż pierwszy, który powiódł się bardzo ładnie.

P. Hoffman, młody tenorzysta liryczny, pod względem muzykalności i talentu zaprezentował się dobrze. Nie olśniewa on zasobami głosu, ale górne tony — jak wiadomo dla efektu scenicznego najważniejsze — posiada dość wydatne i łatwe, więc przejdzie niejedną scenę z powodzeniem, zwłaszcza jeżeli potrafi zastosować aspiracje swoje do środków. U śpiewaków ma to wielkie znaczenie. P. Myszyga, artysta obdarzony tak prześlicznym głosem, posiadający przytem talent, dużo wykształcenia śpiewackiego i spryt, właśnie tem jednym pobłądził, iż nie umiał utrzymać owej równowagi. I to się na nim dziś mści. Gdyby był nie śpiewał Raulów i Radamesów, byłby może zachował do tej pory ów czarujący, srebrzysty dźwięk — tymczasem głos brzmi dziś sucho, chociaż na to zbyt jeszcze wczesnie. Oczywiście, że umiejętność i sztuka pozostały; a dzięki im, zdoła artysta nie jedną jeszcze piękną chwilę zgotować słuchaczom.

Dr. K.

Czego żądamy od dyrekcji teatru, od artystów i od opery? Przedewszystkiem sił pierwszorzędných, wykonania zapowiedzianego programu i możliwie świetnej wystawy — ze strony dyrekcji; od artystów, aby przedewszystkiem śpiewali nam po polsku — i na koniec nowości operowych z uwzględnieniem pierwszeństwa dzieł rodzimych kompozytorów. Pomijając artystów i przedstawienia, które większem lub mniejszem powodzeniem dotychczas u nas się cieszyły, zawody jakich publiczność w zeszłych sezonach doznawała, były: niewystawienie jakiegóś opery, objętej programem, nieprzybycie na występy któregoś z artystów — dalej usterki w samym wykonaniu i na koniec język włoski, który, jak to mówią, nie przestaje grasować na naszej scenie.

Zbytecznem byłoby powtarzać, że dobra opera jest przedsiębiorstwem tak kosztownem, iż na jego utrzymanie mogą się zdobyć tylko wielkie i bogate miasta. Publiczność nasza, jakkolwiek bardzo zamożną w śpiewie i może nawet nad możność swą gotowa wspierać dobrą operę, mimoto nie jest w stanie zdobyć się na pokrycie jej kosztów wobec nader szczupłej subwencji, jaką na ten cel przeznaczają kraj. Równowaga więc plusów z minusami leży w spryście samej dyrekcji, która też z tych przyczyn nie zawsze jest w stanie doprowadzić do skutku swoje zamiary. Dla tych samych przyczyn nie dochodzą do skutku rokowania z artystami, pobierającymi za granicę większe wynagrodzenie, na które lwowska dyrekcya zgodzić się nie może bez narażenia się na bankructwo.

Zapowiedziany ostatnio »Onegin« Czajkowskiego, daje mi sposobność do pobieżnej wzmianki o przeszkodach, utrudniających kierownictwo teatru wogóle. W operze tej p. Florjański miał być znakomitym w Pradze i dlatego zeszłego sezonu dyrekcya chciała ją u nas wystawić — lecz cóż się dzieje?... Jakiś głos zaprotestował przeciwko temu, grożąc dyrekcji srogą szykaną, jeżeli odważy się na krok podobny, a to dla tego, że autor »Onegina« należy do nieprzyjaznej nam narodowości!

Na szczęście nie był to głos ogółu, który przyjmuje i ocenia dzieła sztuki podług ich wartości, bez względu na to, z kąd one pochodzą. I w samej rzeczy trudno pojąć, jaki związek mieć może polityka ze sztuką? Jeżeli polityczny antagonizm mamy zaznaczać nawet w dziełach sztuki — to i wszystkich Bachów, Beethovenów, Schumanów, Weberów itp, jako synów wrogiej nam narodowości niemieckiej, powinniśmy wykreślić z naszych programów i nie chcieć ich znać. Zapoznanie jednakże obcych, choćby najciekawszych dzieł, z pobudek jedynie patryotycznych, zakrawa na szowinizm.

Słówko jeszcze o języku włoskim. W naszym kraju i za nasze pieniądze mamy zupełne prawo do żądania, aby na naszej scenie śpiewano nam po polsku i wymaganiu temu zaprzeczyc słuźności nikomu nie wolno. Jednakże uwzględnic należałoby poniekąd trudności, jakie zwalczac muszą sami śpiewacy, przybyli do nas na czas krótki z zagranicy. Trzeba być zawodowym śpiewakiem, aby zrozumieć, że zmiana tekstu, a jeszcze więcej przeuczenie się opery na inny język wymagają więcej pracy, niż nauczanie się nowej opery. I nie zawsze niechęć lub lekceważenie rodzimego języka i publiczności tutaj w grę wchodzą. Często się zdarza, że artysta z operą podaną w swoim repertuarze, zmuszony jest w kilku dniach iść na scenę i nie ma dostatecznego czasu do przeuczenia się jej. Jako argument przeciwko temu twierdzeniu stawiano nam p. Aleksandra Bandrowskiego, który wszystkie partye śpiewał po polsku — prawda! Ale p. Bandrowski śpiewał u nas tylko cztery opery, o których od dawna wiedział, że je śpiewać będzie i miał dość czasu do nich się przygotować. Opery stałej we Lwowie nie mamy, więc i nasze obiecujące talenty muszą liczyć więcej na zagranicę, która im otwiera jakąś przyszłość, niż na tutejszą scenę. Czy zaś stała, a przynajmniej nie tak krótko trwająca opera polska, może mieć u nas rację bytu, poucza nas jej przeszłość od czasu usunięcia niemieckiej dyrekcji z Skarbkowskiego teatru.

Walery Wysocki.

Z sali koncertowej. Gdy niedawno temu, twórczość Antoniego Dworaka skłaniać się zaczęła w kilku ostatnich dziełach ku muzyce programowej, część krytyki, z góry temu kierunkowi nieprzychylna, wyrażać poczęła obawę i żal, że świat straci w Dworaku w ten sposób jednego z najwybitniejszych — a po śmierci Brahmsa najwybitniejszego może, symfonika we właściwym, dawniejszem znaczeniu tego słowa. Sądzę, że te obawy nie mają racji, gdyż Dworak zanadto jest »muzy-

kiem dla muzyki« z krwi i kości, aby stanowczo zerwał ze swoją tak świetną przeszłością i formami, w których dotąd imponował światu i aby rzucił się w objęcia wyłącznie muzyce programowej. Z drugiej zaś strony trudno dzielić żale wspomnianej krytyki, skoro Dvořák, zbaczając na drogi tak zwanych nowoczesnych, symfoników, przysparza i na tem polu literaturze muzycznej dzieła wysokiej wartości.

Do takich zaliczyć trzeba odegrany na drugim koncercie Towarzystwa muzycznego poemat symfoniczny p. t. »Wodnik«, osnuty na tle czeskiej baśni ludowej, której treść podana nam na programach w krótkich słowach da się opowiedzieć.

Wodnik siedzi nad brzegiem, śpiewa i szyje suknię na swe wesela; ofiara jego, młoda dziewczyna, wczesnym rankiem idzie prać chusty do jeziora. Spieszy tam mimo przestróg matki, tajemną gnana siłą. Zaledwie jednak pierwszą chustę w wodę zanurzyła, łamie się kładka, dziewczyna wpada w jezioro i tonie. Wodnik dopiął celu, dziewczyna zostaje jego żoną. Lecz smutne jej życie podwodne, smutne piosenki, które śpiewa swemu dziecku. Tęsknota za światem skłania ją do prośby, aby wodnik dozwolił jej choć dzień jeden u matki przepędzić. Prośbie tej ulega on wreszcie, zachowując jednak przy sobie dziecię na zastaw. Pełne to łez widzenie się córki z matką, a gdy nadszedł wieczór puka coś do drzwi gwałtownie — to wodnik upomina się o żonę swoją. Lecz matka drwinami odpiera jego żądanie. »Więc zahaczało jezioro burzą straszliwą, gniewem wodnika szalące. Aż w końcu spadło coś z łoskotem w pobliżu. Matka drzwi otwiera i znajduje — martwe i pokaleczone ciało dziecięcia«.

Już po pierwszym słyszeniu »Wodnika« dostrzedz można zasadniczą różnicę w tem, jak traktuje muzykę programową Dvořák, a jak inni, zwłaszcza niektórzy młodo-niemieccy nowocześni symfonicy, nie mówiąc już o tem, że Dvořák samem talentem przerasta ich o całe niebo. Dostrzedz można przedewszystkiem, że niedarmo Dvořák jest mistrzem w dawnych formach symfonicznych, w formach, któremi wielu nowoczesnych gardzi dlatego, że niemi zawładnąć nie potrafi. Kompozytca »Wodnika« stosuje się zatem wprawdzie ściśle do podkładu poetyckiego maluje sytuacje, odtwarza nastrój, tematy szeregują się, połączają i rozwijają, nie według prawideł symfonicznych, lecz według wymagania »programu«; ale mimoto wszędzie pierwsze słowo i największe znaczenie ma muzyka sama dla siebie, poszczególne ustępy mogą swą budową, (jest ona czasem bardzo prosta), sprawiać nam zadowolenie estetyczne i bez objaśnień programowych.

Bez wątpienia i »Wodnik« objaśnienia programowego potrzebuje i może być bez niego tak w niektórych szczegółach, jak i w całości niejasny, lecz dla ocenienia jego piękności nie jest koniecznem słuchając go zatapiać się w program, nie potrzeba łowić uchem wszystkich szczegółów w każdym taktie i łamać głowy nad ich znaczeniem — w przeciwnieństwie do wielu nowoczesnych »poematów symfonicznych« o wybujałych formach, a właściwie bezforemnych, które bez ustawicznego śledzenia programu absolutnie są niezrozumiałe, a w któ-

rych muzyka sama dla siebie, oddana w niewolniczą służbę »programowi«, odarta z form a uposażona tylko w bogatą i wyrafinowaną instrumentację, wyszukane harmonie i niespokojne modulacje, nie może budzić stałego zajęcia.

Nie trzeba mówić, że »Wodnik« zawiera piękności pierwszorzędne i czynić musi głębokie wrażenie. Tematy same przez się proste — jak zwykle u Dworaka — nabierają bądź przez wzajemne kontrastowanie, rozwój i potęgowanie, bądź przez podkład harmoniczny i orkiestralny znaczenia i siły. Z samej treści poetyckiej wynika, że ogólny nastrój »Wodnika« jest więcej ponury; mało w nim ustępów pogodnych, przeważa smutek lub groza, w całym zaś dziele temat wodnika, powracający w różnych formach, lecz uporczywie i nieubłagane, czyni wrażenie jakiegoś fatalizmu.

Za umieszczenie w programie i nadzwyczaj staranne przygotowanie »Wodnika« należy się Dyr. Schwarzowi prawdziwa wdzięczność.

Program koncertu, o którym mowa, zestawiony jak zwykle umiejętnie, zawierał prócz świeżej i wdzięcznej, a z werwą odegranej Symfonii Mendelssohna A-dur (włoskiej), z której zwłaszcza część druga i czwarta najwięcej do publiczności przemówiły, Waryacje symfoniczne na wiolonczelę L. Beëllmanna, przedwczesnie zgasłego kompozytora francuskiego. Utwór ten, pomysłany orkiestralnie, nie wysuwa partii wiolonczelowej na plan pierwszy, jak do tego w kompozycjach tego rodzaju przywykliśmy; przeciwnie, orkiestra, odgrywająca pierwszą rolę, musi nawet przygłuszać często dźwięk solowego instrumentu. Niemniej jednak »Waryacje« piękne są w budowie i szczegółach roboty, a choć nie mówi nam w nich kompozytor wiele nowego, podaje wszystko w formie wykwintnej i zajmującej. — Jeżeli dla prof. Sładka, jako dla wirtuoza, objęcie partii wiolonczelowej, którą odegrał znakomicie, nie było bardzo korzystne, to za to zyskał utwór na tem w dwójnasób, że partję solową grał w nim Sładek muzyk, muzyk całą duszą, który dla Sładka wirtuoza nie uczyniłby ustępstwa ani na włos — nieugiętość, którą wielu artystów powinnyby naśladować. W akompaniamencie orkiestra trzymała się — prócz drobnych przypadczków — dobrze, usiłując wedle możliwości być dyskretną.

W urządzaniu koncertów artystom obcym, miało Towarzystwo muzyczne w styczniu znaczne powodzenie artystyczne. Dość wymienić nazwiska koncertantów: Śliwiński, Messchaert, Michałowski.

Śliwiński może u nas zawsze liczyć na pewne na jak najgorętsze przyjęcie. Stoi on na tym stopniu doskonałości, że trudno o nim coś nowego za każdym razem powiedzieć; trzeba się tylko na nowo zachwycić tym talentem wytwornym a z gruntu oryginalnym, tą naturą samodzielną, poetyczną a wolną od owego sentymentalizmu, do którego właśnie Szopen, kultywowany przezeń najwięcej i z największym upodobaniem, łatwo mógł go przyzwyczać. Szopenowi poświęcił Śliwiński pierwszą część koncertu. Grał go przesłicznie, zwłaszcza Fantazję, Nokturn, a wreszcie Sonatę. W części drugiej koncertu czarował nas między innymi w lisztowskich transkrypcjach pieśni Schumana i Schuberta

(»Gretchen am Spinnrade«) — zwłaszcza w tej ostatniej. Nad program dodał poloneza — as dur Szopena, którym jak zwykle słuchaczy do reszty zawojował.

W Janie Messchaercie poznaliśmy śpiewaka koncertowego wielkiej sławy. Głos jego niewielki, lecz brzmiący pięknie, zwłaszcza w wysokich tonach, intonacja nieskazitelna, sztuka śpiewania do wysokich granic posunięta. Lecz słuchając Messchaerta zapomina się o tych zaletach, jako o rzeczach, które się same przez się rozumieją. Porywa on nas głównie wyrazem, który nadaje każdej pieśni, jej muzykalnem i poetycznem zrozumieniem i oddaniem. A w tem wszystkiem niema nigdzie cienia przesady, w niczem nie czuć opery. Równie skończenie odspiewanej pieśni, nie zdarzyło mi się słyszeć od czasów Gustawa Waltera i Alicyi Barbi. Żal bierze, że my nie mamy śpiewaka, choćby tylko do Messchaerta zbliżonego!

Śpiewał Messchaert Löwego, »Der Nöck« i »Kleiner Haushalt« — ostatnie z nieporównaną lekkością i wdziękiem, śpiewał dalej trzy pieśni Griega, z których najpiękniejsza: »Wiegenlied« uczyniła głębokie wrażenie muzyką, tekstem i wykonaniem. »Mit einer Wasserlilie« wybrał Messchaert zapewne dla uwydatnienia swego kunsztu w trudnych, nie-wdzięcznych i nieładnych pochodach chromatycznych.

Śpiewał wreszcie ciekawe staro-niderlandzkie pieśni ludowe a na żądanie dodał szumanowskich »Grenadyerów«. Największy sukces odniósł pieśnią Schuberta »Nacht und Träume«. odspiewaną w całym słowa znaczeniu idealnie. Nie trudno jednak było mu zwyciężyć tą niebiańską pieśnią, której kilkanaście taktów więcej zaważy na szali, niż wszystkie inne, śpiewane przez Messchaerta pieśni, razem wzięte. Zdawało się na chwilę, że geniusz Schuberta wkradł się z tą pieśnią do sali koncertowej — piszę wkradł, bo u nas zwykle drzwi tej sali dla niego zamknięte.

W koncercie Messchaerta wziął udział pianista Wolfgang Lee. Akompaniował świetnie. Ale jako solista sparodyował Preludjum z »Woltemperiaties Clavier« niejednostajnością rytmu, co miało być zapewne »geistreich und gefühlvoll«. Fugę zagrał stosunkowo lepiej, na ostattek zaś uraczył nas kilometrowym »Ländlerem« H. Schenkera. Gdyby mnie program nie pouczył inaczej, musiałbym sądzić, że była to kompozycja pana Lee'go, gdyż przypuszczałbym, że w każdym innym wypadku, zmysł krytyczny nie dozwoliłby mu zaprodukować tej styryjskiej panoramy, z niezliczonej ilości podobnych do siebie obrazeczków, przesuających się w kółko przed nami tak długo, (och, jak długo!) dokąd znów nie nadszedł obrazek, który ją rozpoczął.

Koncert znakomitego gościa z Warszawy Aleksandra Michałowskiego — dla mnie ze względu, że Michałowskiego pierwszy raz słyszałem, podwójnie zajmujący — zawierał wyłącznie utwory Szopena. »A więc na jeden wieczór, nietylko jeden i ten sam instrument, jeden i ten sam koncertant, ale na domiar złego, jeszcze jeden i ten sam kompozytor!« zawołali zapewne z rozpaczą najnowsi zwolennicy koncertów

»urozmaiconych«. Nie pora spierać się o to, czy Michałowski postąpił właściwie, grając samego tylko Szopena; cieszymy się, że wogóle raz przecie do nas zawiła. Przypomnieć przytem należy, że i Sliwiński w roku zeszłym dał taki sam koncert szopenowski, a wspomnienie tego koncertu, oraz koncertu Śliwińskiego, o którym mówiłem wyżej, mimo-woli naprowadza na porównania, któremi jednak nie chcę czytelników zajmować. Wystarczy powiedzieć, że inaczej pojmuje i odtwarza Szopena Śliwiński, a inaczej Michałowski; różnica zaś leży w naturze obydwu. W grze Śliwińskiego uwydatnia się przedewszystkiem jego natura męzka, zapalna, zdrowa, choć namiętna nawet w tkliwości; u Michałowskiego przeważa spokój; obok ugruntowanej na głębokiej muzykalności refleksyi, występuje u niego skłonność do marzycielstwa, której w tym człowieku z miną uczonego niktby się nie domyślił. A i tkliwość Michałowskiego jest spokojna, niemal kobieca. Słuchając go, myślałem sobie chwilami, że tak po winny by grać kobiety, z czego nie wynika, żeby tak istotnie grały. Wielbić technikę Michałowskiego, byłoby dla tego artysty, przyzwycajonego do tryumfów w Warszawie — ubliżające, trudno jednak nie wspomnieć o jego tonie, miękkim, okrągłym, zdolnym do różnych odcieni i barw, czarującym zwłaszcza w pianach.

Z tego, co o grze Michałowskiego powiedziałem, łatwo odgadnąć, że rzeczy i ustępy tklive, spokojne, marzycielskie, wyszły w jego interpretacji lepiej, niż burzliwe, namiętne i grozy pełne. Na mnie uczyniły największe wrażenie i najwyżej do mnie przemówiły niektóre etudy, dodany nad program Nocturn, Ballada As-dur, Scherzo, Mazurek i Prelude Des-dur. Rzeczy te odegrane były ślicznie.

Publiczność wypełniająca salę po brzegi, zrazu trochę zimna, rozgrzała się prędko, aż wreszcie po Etudzie Ges-dur wybuchła pełnymi zapału oklaskami, które powtarzały się po wszystkich następnych numerach programu, a w końcu przeszły w owacę, mającą wszelkie cechy szczerości. Owacę tą mówiła publiczność nasza do znakomitego artysty: »Wracaj do nas, wracaj najrychlej i graj nam znowu!...«, do czego ja dodałbym od siebie: »...ale nie tylko samego Szopena!«

Z koncertów urządzonych w styczniu poza Towarzystwem muzycznym, mam do zanotowania koncert Władysława Lewingera, skrzypka. Na całym być nie mogłem, więc nie mogę oceniać gry koncertanta. Słyszałem tylko, «Romans» Bersona, rzecz w całości bardzo zajmującą, a w szczegółach co do instrumentacji i niektórych zwrotów harmonicznym nawet niezwykłe zajmującą, świadczącą o znacznym talencie, wiedzy i dobrym smaku kompozytora. Również zajęła mnie wykonana na koncercie Lewingera znana piękna »Serenada« Galla w układzie Bersona na orkiestrę, pełna doskonałych pomysłów instrumentalnych, tylko może ubrana w formę — w stosunku do samej piosenki — zbyt wyrefinowaną.

Stanisław Kuczkiewicz.

Notatki. Gal. Towarzystwo muz. zapowiada po kwartecie czeskim koncert skrzypka Emila Saureta, kompozytorki i pianistki francuskiej Cecylii Chaminade dalej śpiewaczki Marceli Pregi. We własnym, trzecim koncercie umieszcza solo skrzypcowe prof. M. Wolfsthal, który wykona Brucha Fantazyę szkocką. Nadto, do udziału w tymże koncercie zaproszoną została panna Marya Langie, jedna z najlepszych naszych amateerek śpiewaczek.

»Lutnia« przygotowuje na najbliższy swój koncert Wagnera »Liebesmal der Apostel« rzecz nigdy u nas niewykonowaną a bardzo interesującą. W tymże koncercie ma być podobno i cała »Switezianka« Noskowskiego wykonaną.

Jan Gall wykończył cztery pieśni w rytmach tanecznych a nadto dwanaście melodyj ruskich ułożonych na chór męski. Rzeczy te wykona »Echo« w najbliższym swym koncercie. Pieśni solowe wyjdą nakładem K. S. Jakubowskiego.

Henryk Meleer wystąpi z koncertem we Lwowie dnia 3. marca. Program będzie tym razem niezwykły pod względem swej treści. Dość powiedzieć, że rozpoczyna go Uwertura do »Coriolana« w układzie fortepianowym Henselta. W dalszym ciągu znajduje się między innymi utworami także Fantazyja C-dur Schumanna w całości. Wielbiciele sympatycznego koncertanta dopraszają się o własne jego utwory.

Wł. Żeleński wydał u Krzyżanowskiego pieśni do słów A. Mickiewicza mianowicie: »Idę ja Niemnem« i »Komu ślubny splatasz wieniec«. Twórca »Goplany« wykończywszy Mszę, pracuje obecnie nad instrumentacją »Janka«, opery, do której tekst oryginalny napisał L. German. Pierwotny plan utworu tego zmieniono, z jednoaktówki bowiem, zrobiono obecnie operę dwuaktową.

Pomnik Chopina we Lwowie. Komitet budowy pomnika Chopina ma zamiar rozwiązać się, poczem zbieranie składek i sprawa budowy oddane zostaną »Kołu literackiemu«. Zmiana ta następuje wskutek tego, że w ciągu lat ostatnich kilku członków komitetu śmierć zabrała, (ś. p. Mikuli, Marek i Wszelaczyński), w następstwie czego grono muzyków w komitecie uszczupliło się bardzo. Urządzanie koncertów i zbieranie składek wyłącznie wśród świata muzycznego zaczęło napotykać na coraz większe trudności. Tysiąc parset guldenów, złożonych na książeczce Banku zaliczkowego, zebrało się głównie staraniem p. St. Niewiadomskiego, inicjatora budowy pomnika; ze szkół muzycznych, tylko szkoła p. Markowej regularnie co roku składała pewną kwotę, uzyskaną z rozsprzedaży programów na popisach. Jest nadzieja, iż składki wejdą obecnie w większy ruch, gdy »Koło literackie« a następnie szersze sfery zajmą się niemi. Jestto pora najodpowiedniejsza do wprowadzenia sprawy w nową fazę, gdyż w roku bieżącym upływa 50 lat od śmierci największego z polskich kompozytorów. Za lat dziesięć t. j. w roku 1909, w stuletnią rocznicę urodzin jego, powinien pomnik stanąć.

Szkoły muzyczne lwowskie postanowiły po kolei urządzać produkeye na dochód Stowarzyszenia nauczycielek w sali tegoż stowarzyszenia. Myśl ta zasługuje na pochwałę już z tego względu, że podaje sposobność uczenicom i uczniom grywać wobec większej ilości osób z uniknięciem wszelkiej niewłaściwej w takich razach pretensjonalności. Pierwszą produkeyę taką urządziła z powodzeniem szkoła p. Laureckiej.



TEATR.

(Kilka słów o teatrze u nas. — Przedstawienia: »Światło morza«, Ganghofera, — »Zaza«, Bertillonna, — »Cyrano de Bergerac«, Rostanda.)

Szanowni czytelnicy wybaczą, ale rzecz o kilku przedstawieniach w teatrze lwowskim, z których mam zdać sprawę, zacznę od kogoś, kto teatrem naszym bodaj czy, nie najmniej ze wszystkich Lwowian się interesuje: — od p. Stanisława Szczepanowskiego. Dziwne to może na pierwszy rzut oka — ale, czy ma to jakąś rację za sobą — zobaczymy. — Owóż p. Szczepanowski, umysł niezaprzeczenie głęboki a światły, powiedział w jednym ze swoich świetnych przemówień publicznych, że my, w naszym położeniu i w naszych warunkach bytu powinniśmy robić dziesięćkroć więcej i lepiej, aniżeli robią inne narody w szczęśliwym bycie i w szczęśliwszem położeniu wogóle będące. Szczepanowski, jako myśliciel z natury, a zakochany szczerze w idei, którą jedną tylko ponad wszystko kochamy wszyscy — powiedział wielką prawdę, wielkie przykazanie.

A teraz idziemy do teatru.

I teatr jest w moich oczach, i w mojem rzeczy pojęciu, także częścią tej roboty, którą do odrobienia mamy. U innych, na razie szczęśliwszych politycznie narodów, teatr może być mniej lub więcej zajmującą... zabawką. U nas, którzy mamy dziesięć razy więcej jeszcze do zrobienia, aniżeli zrobili inni, bośmy, smutno wyznać, ale trzeba, zaniedbali skutkiem przejść rozmaitych więcej jeszcze, aniżeli to jednym zamachem, od razu wynagrodzićby się dało: — u nas teatr powinien być uważany nie jedynie za miejsce zwykłej rozrywki płochej, pustej, jałowej, bezmyślnej... ale powinien być też pewnego rodzaju szkołą charakterów silnych, dobrych, czystych, jasnych i wniosłych, charakterów tradycyi narodowej wiernych, bo takie tylko w tej powszechniej

powodzi — jąka idzie i wzbiera — powodzi powszechnej płytkości umysłów i słabizny sere, mogą dać pewną rękojmię przyszłości, godnej wielkiej przeszłości.

Z tego punktu zapatrywania na misję teatru u nas wychodząc, należałoby pragnąć przedewszystkiem jakiejś programowej, świadomej celów działalności kierownictwa teatru. Świadomość ta ujawnić się może przedewszystkiem w doborze i w układzie repertoaru, — ale jak dotychczas, pewnego, stałego dążenia w stałe wytyczonym kierunku stwierdzić nie można. Przystosowując zasadę, że powinniśmy robić więcej, lepiej od innych, do teatru, powinniśmy wybierać do zabawy pouczającą i podnoszącą, utwory i sztuki najlepsze z tych, jakie się gdziekolwiek indziej pojawiają, oczywiście prym dając przedewszystkiem utworom autorów swojskich. Dyrekcya teatru lwowskiego jednak o tem nie zdaje się myśleć. Raczej można powiedzieć, iż bezprogramowo idzie na łów efektów chwilowych, przyswajając scenie naszej sztuki najrozmaitszego antoramentu, mniejszej lub większej, lub żadnej zgoła wartości, kierując się przy wyborze jak się zdaje jedynie względami użytkarnymi... Zdarzyć się czasem może w tej pogonie za efektami chwilowymi wypadek nadzwyczaj szczęśliwy i wystawienie sztuki, choćby obcej, ale dla nas odpowiedniej, godnej sceny stołecznej, ale to: *rara avis in gurgite vasto*.

Nie chcąc na razie rozszerzać się nad tym tematem dalej teoretycznie, powiem wprost, przechodząc do przykładów praktycznych, że wybór n. p. takiej sztuki jak Ganghofer: »Światło morza«, (przedstawionej 4. stycznia r. b. na scenie teatru skarbkowskiego), był całkiem niefortunnym. Ganghofer, swoją drogą wielce utalentowany autor nowelek i obrazków rodzajowych z życia górali alpejskich, nie powiedział w tem »Świetle morza« nic nowego, ba, co gersza, rozpułnął się w powodzi *echt* niemieckiego sentymentalizmu, ekliwości aż... nieznośnej, z którą temperament nasz nie ma i nie powinien nigdy mieć nic wspólnego. Fabuła sztuki: Brat egoista, zabiera bratu młodszemu, mającemu szersze nieco serce, majątek i młodziutką towarzyszkę jego zabaw dziecinnych, przyszlą prawdopodobnie żonę. Po latach, ów młodszy brat spotyka się z tą swoją ongi ulubioną dziewczeczką i na kanwie nawiązanych wówczas mnóstwa sympatycznych nici wykwiła czarowny kwiat miłości — niestety zakazanej. Oboje, z całą niemiecką praktyczną trzeźwością, (jakkolwiek w sztuce Ganghoffera upozorowaną rozmaitymi »symbolami«), spostrzegają wkrótce, iż zerwanie cudownego kwiatu mogłoby ich życie, albo przynajmniej zdrowie na szwank narazić i — rozechodzą się. Od biedy możnaby wynaleźć w tem pewien morał, ale niedołączna faktura sztuki, napisanej bez siły dramatycznej, bez temperamentu, zrobiła swoje: sztuka na miejscu upadła. Po co ją wystawiono? Chyba, ażeby dać pole do wystąpienia w większych rolach dwom młodym, wybijającym się dopiero artystkom, p. Jankowskiej i p. Ogińskiej. Jeżeli o to idzie, to można zaznaczyć, że obie a zwłaszcza panna Ogińska bardzo dobrze wywiązały się ze swego zadania.

Co innego inna, jaką mieliśmy, »nowość sensacyjna« (styl afisza teatralnego): »Zaza«, sztuka na tle życia zakulisowego, sporządzona przez aż dwóch autorów francuskich Piotra Bertona i Karola Simona i to aż w pięciu aktach. Słowo daję, że mogli byli ci panowie oszczędzić sobie fatygi sporządzania aż pięciu aktów dla popisu jednej aktorki, »naciągającej« — mówiąc stylem zakulisowym — pewnego przyjemnego »faceta«, który, jak się później okazuje, jest żonaty i z aktorką ożenić się nie może. Mogli byli autorowie poprzestać na sporządzeniu jednego, jedyne go w sztuce dobrego i zajmującego aktu, (pierwszego), przedstawiającego światek zakulisowy jakiegoś ogródkowego teatryku we Francji. Obraz to żywy i zajmujący. Reszta, w czterech aktach dofastrygowany, banalny romans aktorki z mężczyzną żonatym, kończący się najspokojniejszym w świecie kompromisem i łagodnym rozstaniem, czyli właściwie niczem — mogła pozostać niedośpiewana, bez żadnej dla ludzkości szkody. Tytułową rolę w sztuce, »Zazę«, grała bardzo ładnie pani Stachowicz, a dzielnie dotrzymywał jej pola p. Woleński jako »traviatowy« nieco Alfred Dufresne. W »Traviacie« Alfred nazywa się Germonet.

Ale teraz, dość humorystyki — *chapeau bas!* Stajemy przed JMC. Panem Cyrano de Bergerac, francuskim z XVII. wieku rycerzem i kawalerem w najlepszym tego słowa znaczeniu; stajemy przed postacią zasługującą ze wszech miar nie tylko na uszanowanie, ale na podziw i zachwyt prawdziwy. Mówię o głośnej, znakomitej sztuce młodego, francuskiego autora, Edmunda Rostand, który wzniosłszy się ponad mętne kałuże małżeńskiego wiarołomstwa, (tematu obrabianego aż do niemożliwości przez współczesnych autorów dramatycznych), wleciał w sferę czystej poezji — i znalazł tam postacie szlachetne i wzniosłe, silne i nieugięte, ubrał je w hartowne, lśniące zbroje dawnych rycerzy spozstrzegł i zniósł je na ziemię teraz, w tej chwili, kiedy powszedniość, szarość i banalność życia oddziałują na umysł wprost przygnębiająco.

Główną postacią sztuki jest znany z historii literatury Savinien Cyrano de Bergerac, autor fantastycznych powieści na tle naukowem, człowiek wielkiej fantazyi i wielkiego rozumu a przytem dobrego, poświęcającego się dla świata serca, a w życiu nieszczęśliwy z powodu, że go natura nie piękną obdarzyła twarzą, wyposażywszy twarz tę, nosem wielkich rozmiarów i śmiesznym. Ideał człowieka!

Tak go pojął i tak przedstawił na scenie Rostand.

Za poczucie piękna, za przyjaźń serdeczną, za miłość jedyną w życiu, walczyć i upaść z honorem, czysty nieskalany choćby najmniejszą plamką na »białym pióropuszu« rycerza: to jest ideą przewodnią dzieła Rostanda. W dzisiejszym świecie »Panam« rozmaitych podniesienie takiej postaci w literaturze, a przez literaturę w życiu, było, zdaje się, potrzebne, może nawet konieczne... Rostand jest wielkim poetą i myślicielem...

Bohater jego, jakiz wybrany: — posiada wszystkie talenty i zalety: wielki zapał, wzniosłość uczuć, animusz rycerski, poezję w duszy, — i dla tego, aby był nieszczęśliwy w życiu, wielbi rozum. Cyrano z Ber-

gerac pojmuje doskonale, że z powodu jakiejś »exageracyi« natury fatalnie na jego fizyognomii odbitej, losy jego w tem życiu, wśród świata pięknych »pre cie uces« i pięknych rycerzy będą fatalne. Dobrze więc. Robi, co najszlachetniejszy człowiek zrobić może: — poświęca swą marną powłokę ciała, usuwa się, aby dać swojej »jedynej«, wymarzonej, jedynie kochanej szczęście przez nią ufragnione. A jak on to robi! Ciągłe ma usta nad brzegiem pucharu, z tą świadomością, że go dotknąć nie może i nie powinien; ciągle krąży koło swej »najdroższej«, ciągle świadczy jej przysługi, większe nawet, aniżeli najczulszy kochanek oddać byłby zdolny, a wreszcie poświęca się zupełnie: bo ma tę na jasnym zrozumieniu otaczającego go świata opartą świadomość, że z »fatalnym nosem« nadzwyczaj komicznym, jakim zespeciała twarz jego natura, wszelkie jego zabiegi rycerskie w obec »pięknej« pozostaną bez skutku, albo może co jeszcze gorsza; wymślane, — uczucia znieważone... Cyrano poświęca się, pozwała drwić sobie w oczy ze swego nosa pięknemu kochankowi Roksany i poświęca się jeszcze więcej, pisząc kochankowi Roksany przesłiczne sonety miłosne do niej, idzie jeszcze w poświęceniu dalej: ułatwia schadzki miłosną, jedyną w życiu, ułatwia wzięcie ślubu kościelnego i zasłania swego rywala szczęśliwego w obec fałszywego apetytu hrabiego de Guiche, który także zagiał na piękną Roksanę parol, — i... idzie jeszcze dalej. W chwili, kiedy się przekonywa, że swoim uczuciem, pieśnią swego serca zdobył serce, które pragnął — rezygnuje w obec szlachetnego poświęcenia się przyjaciela, Chrystyana. Ten przejrząwszy jego serce, ujrząwszy jego prawdziwą dla Roksany miłość, rzuca się rozmyślnie w ogień bitwy na pierwszy strzał i ginie... Inaczej Cyrano postąpić nie mógł. Wyznałby teraz miłość swą Roksanie — ale między nim a nią stoi teraz pamięć równie szlachetnego Chrystyana. Więc pozostaje bohaterowi nadal cierpienie... Trwa w niem do końca — *usque ad finem!* Ten człowiek, który ma tak szlachetne pojęcie o godności swego ducha, który z powodu złej swej doli nie płacze, bo »łza z serca wytryskająca jest zanadto świętą, aby mogła spłynąć po tak obrzydliwej rynnie jak mój nos« — ten człowiek poświęca się do końca. Umiera ugodzony w głowę przez jakiegoś najmitę zawistnych mu a mściwych rywali na polu pisarskiem. Umiera w obec swojej uwielbionej »jedynej«, która nie byłaby nigdy może domyśliła się nawet jego głębokiego uczucia gdyby nie przypadek... (psychologiczna konsekwencya w dramacie), gdyby nie to, że czytając Roksanie swój dawniej ułożony sonet, w chwili zapału serdecznego, bohater głosem serdecznym, takim jak miał ongi, gdy zamiast Chrystyana improwizował wyznanie miłosne, odstania tajemnicę swego serca, poczem umiera. Zasłona zapada.

Piękną postać, tak piękną i wspaniałą, że widz zapomina o fizycznych »nadmiarach bohatera«, przedstawił autor na wielce urozmaiconem, barwnem tle scen i obrazów, dających doskonałe pojęcie i zrozumienie ducha czasu, w jakim żył bohater. Wysoki nastrój, poezya wiejąca z każdego zdania, z każdego wiersza, charaktery wzniosłe, szlachetne, dobre, a jeżeli komiczne, to bawiące widza swym wybornym a przyzwyczajonym humorem: — oto wysokie zalety znakomitego dzieła.

Za wystawienie komedyi Rostanda, w tłumaczeniu Jana Kasprowicza, wielce utalentowanego poety, należy się dyrekcji teatru naszego szczerze uznanie. Rzecz wymagała wiele czasu, wiele prób, wiele starań i zachodów. Na chlubę dyrekcji teatru powiedzieć można, że sprostала podjętemu zadaniu. Reżyseria sztuki, mającej mnóstwo scen zbiorowych, gdzie tłumy wojska, publiczności występują i działają na scenie, również wybornie się spisała. Reżyserem jest p. Walewski. Może nie wszystko było tak, jak autor widział w swej bujnej wyobraźni, ale obraz dzieła, który wyszedł na scenie naszej, jakkolwiek nie był w zupełności doskonały, był w każdym razie dobry.

Najglówniejszą zasługę w tym względzie ma przedstawiciel roli tytułowej, p. Chmieliński. Mimo nie ze wszystkim szczęśliwych warunków zewnętrznych, wysoce inteligentny a wielkim talentem obdarzony artysta, pojął charakter Cyrana doskonale, odtworzył go też z wielkim uczuciem, siłą i zapałem. Zbierał w ciągu licznych przedstawień oklaski gorące i zasłużone i — zbierać je będzie jeszcze przez wiele wieców. Magdalena Robin, ideał Cyrana, nie znalazła w pani Stachowicz idealnej przedstawicielki, mimo gry nader starannej, w której miała wiele momentów szczęśliwych. Bardzo dobrze wypadła druga część roli, w której Roksana z płochej *»precieuse'y«* przeistacza się w kobietę pełną bólu serdecznego, żalu i rozpacz. Zresztą wszyscy współdziałający na scenie spełnili swe zadanie szczęśliwie: Wostrowski jako Chrystyan de Neuville, kochanek Roksany, Hierowski jako hr. de Guiche, zabiegający o jej względy *»na chwilę«*, Feldman jako pełen humoru paszтетnik Ragneneau, Nowacki, (rycerskim animuszem zbrojny wicehrabia de Valvert), pani Gostyńska, jako powiernica Roksany, p. Jaworski, jako świetnie scharakteryzowany kapitan gwardyi kadetów.

W powodzi *»sztuk«* rozmaitego rodzaju, fars bezmyślnych, ibsenowskich urojeń, itd. itd., sztuka Rostanda jest rzeczywiście niezwykłym zjawiskiem. Jakkolwiek nie z naszej historii wysnuta, wysnuwa i odtwarza przed nami z zamierzonych czasów zapał rycerski, przypomina w każdym zwrocie, w każdym zdaniu szlachetne intencje i porywy dawnych szermierzy o najwznioślejsze ideały. Podnosi umysł i serce, robi charaktery. Oby takich autorów jak Rostand więcej!...

Roman Polišski.

Krajowy konkurs dramatyczny. W dniu 17. stycznia r. b. ukończyła prace komisya konkursowa, która rozpoczęła obradować dnia 14. t. m. Komisya, pod przewodnictwem członka Wydziału krajowego dra J. Wereszczyńskiego, złożona z pp. dyr. Bandrowskiego, dr. Estreichera, A. Krechowickiego, dr. A. Małeckiego, T. Pawlikowskiego, dr. Romana Pilata i T. Romanowicza, — odbyła 8 posiedzeń. na których odczytano wspólnie 9 utworów, wybranych z pośród 56 sztuk, nadesłanych na ten trzeci konkurs dramatyczny.

Mianowicie odczytano utwory p. t. *»Hania«*, dramat w 5 aktach; *»Potępiona«*, dramat w 5 aktach; *»Pożary«*, dramat w 4 aktach; *»No-*

wę prądy«, sztuka ludowa w 4 aktach, »Na wyżynach«, dramat w 4 aktach; »Mimoza«, sztuka w 4 aktach; »Bez słońca«, dramat w 5 aktach; »Skapany świat«, sztuka ludowa w 4 aktach i »Redivivus«, dramat w 4 aktach.

Komisya przeznaczyla do przedstawienia na scenie teatru lwowskiego lub krakowskiego trzy utwory, a to 7 głosami dramatu w 4 aktach »Pożary«, (na tle wypadków 1863 r.), opatrzony godłem »Pożary«, następnie 6 głosami »Na wyżynach«, dramat w 4 aktach, o godle »Życie«, wreszcie 4 głosami »Nowe prądy«, sztukę ludową w 4 aktach, nadesłaną pod godłem »Do czego dojdziemy«.

Oprócz tego 3 głosy padły na utwór p. t.: »Bez słońca«, 2 głosy na »Mimozę«, a po 1 głosie uzyskały sztuki »Skapany świat« i »Hania«.

W myśl konkursu, nagrody: pierwsza w kwocie 500 zł., druga 250 zł. przyznane zostaną dopiero po przedstawieniu przeznaczonych przez komisję trzech powyższych utworów na scenach teatrów krajowych, a wynik sceniczny będzie jednym z momentów decydujących o przyznaniu nagród. Dyr. Bandrowski podjął się przedstawienia najdalej do połowy marca r. b. sztuk: »Pożary« i »Na wyżynach«, dyr. Pawlikowski zaś sztuki »Nowe prądy«.

Zaznaczyć należy, że komisya w motywowanem przedstawieniu poparła wniesiony na jej ręce protest jednego z autorów przeciw warunkowi konkursu, aby przyznanie nagród zawisłem było od poprzedniego przedstawienia na scenach teatrów krajowych, wybranych przez komisję w tym celu sztuk. Wydział krajowy, dzielając zapatrywanie komisji, postanowił w przyszłości odstąpić od tego warunku.



LITERATURA.

Adam Krechowiecki: O Tron, Powieść historyczna z XVII. wieku, Cześć druga: Piast — Petersburg — nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego 1898.

Zajmującej opowieści dziejowej »O Tron« ukazała się obecnie część druga, niemniej interesująca od »Ostatniego Dynasty«, który mimo pewnych punktów wspólnych z »Potopem« tak potężne wywarł wrażenie. Piastem jest nieszczęsny król Michał, igraszka sprzecznych stronctw elekcyjnych, manekin na tronie, cel szyderstw i pośmiewiska dla swoich i obcych. Obok gnuśnego Korybuta, którego niespodziany wybór przedstawił autor z uznania godną plastyką i z ścisłością historyczną zarazem, niemniej ważną odegrywają w powieści p. Krechowieckiego rolę: gubernator pruski, książę Bogusław Radziwiłł

i groźny elektor Fryderyk, wszelkimi sposobami podtrzymujący ów ferment wewnętrzny Rzeczypospolitej, by wojnę domową zakończyć ostatecznym pogromem. Obok barwnego stylu, intrygi zaciekawiającej, charakterystyki trafnej, główną zaletę »Piasta« przedstawia świetnie zarysowane (do historycznych powieści. Szanowny autor nie poprzestał na studyowaniu najnowszych opracowań dziejowych odnośnie epoki, ale korzystał troskliwie z współczesnych relacji i raportów dyplomatycznych, streszczających szczegółowo przebieg akcji politycznej, jakiej widownią stała się Warszawa z chwilą abdykacji Jana Kazimierza. Obraz to smutny, przygnębiający widokiem rozkładu zdrowego jeszcze do niedawna organizmu potężnej republiki, niemniej jednak pouczający dla szerszego koła czytelników, dla którego szczegółowe badania dziejowe nie są dostępne. I nie będziemy posądzeni o przesadę, jeżeli dodamy, że ogół nasz czytający z rzetelnym zainteresowaniem oczekuje pojawienia się dalszych części powieści p. Krechowickiego w druku.

S. P.

Dante Alighieri: Boska Komedia w przekładzie Edwarda Porębowicza I. Pieńko. Warszawa 1899. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Niezapomniany poemat genialnego Włocha nie przestanie nigdy nęcić miłośników piękna, bez względu na ich narodowość. Najlepszym twierdzeniem słów powyższych, to nowy, doskonały przekład Boskiej Komedyi, dokonany przez docenta naszego uniwersytetu i znanego chlubnie pisarza, dr. Edwarda Porębowicza. Doskonały przekład -- to najwzięźlejsza i najpochlebniejsza ocena eleganckiego, kieszonkowego tomiku, ozdobionego podobizną Dantego. W przedmowie zaznajamia dr. Porębowicz czytelnika z literaturą Boskiej Komedyi i z życiorysem jej twórcy. Zapowiedziany właśnie na kursach uniwersyteckich dla kobiet cykl wykładów p. Porębowicza o Danterze, da sposobność paniom naszym usłyszeć z ust prelegenta zajmujące dzieje wielkiego poety i jego mistrzowskiego utworu; panowie muszą na razie poprzestać na wydanym u Gebethnera i Wolffa przekładzie Boskiej Komedyi.

m.

Biblioteka powszechna Wilhelma Zuckerkandla w Złoczowie dobiegła już do okazałej liczby trzystu bez mała numerów. Cieszy się ona zasłużoną poczytnością, gdyż rzeczywiście układ jej jest w znacznej części szczęśliwie przeprowadzony. W obecnej chwili leżą przed nami: zawsze mile widziany Emeryt Korzeniowski; Puszkina kawałki jeniec w przekładzie z rosyjskiego Alfreda Chodzińskiego; niedawno gorąco oklaskiwana na scenie, efektowna Urzędowa żona Hansa Oldena w przekładzie Ryszarda Ordynskiego; dramat Henryka Ibsena Rosmelsholm w przekładzie K. R.; Goethego fragment alegoryczny Pandora, znakomicie tłumaczony przez Ludwika Jenikego; Zygmunta Krasińskiego Psalmi przyszłości; Dantego Alighieri miłośniemielna Boska Komedia, a raczej część jej druga »Czyściec«, w przekładzie Juliana Korsaka; Goethego Egmont w tłumaczeniu Apolinarego Ujejskiego; wreszcie Władysława Syrokomli Zgon Acerna.

Pamiętniki Sadyka Paszy. (Michała Czajkowskiego). Tłumaczył na polskie A. P. Lwów 1898. Nakład Gubrynowicza i Schmidta.

Od r 1892 ukazują się z ciągłymi przerwami w dwóch poważnych miesięcznikach rosyjskich Kiewskaja Starina i Ruskaja Starina pamiętniki popularnego tak bardzo niegdyś autora, którego jesień życia przeszła w niesławie i w zapomnieniu. Wspomnienia osobiste niecodziennego bądź co bądź człowieka wzbudziły interes powszechny. Rzucono się do odczytywania zapisek autora Wernyhory i rozczarowano się przykro. Rozczarowano się co do moralnej ich strony, natomiast strona czysto kronikarska, informacyjna, jest ciekawą, aczkolwiek autor pisząc pamiętnik u schyłku swego życia, za barwił opowiadanie niesympatyczną dla nas tendencją, a patrząc przez takie okulary na lata swego dzieciństwa i młodzieńczego wieku, w odpowiednim, a zupełnie mylnym świetle odmalował wszystkie współczesne tej epoki wybitniejsze postacie. Wydany w polskim — miejscami nieco zaniedbanym — przekładzie urywek pamiętnika sięga po rok 1831 włącznie. Do niedawna sądzono, że Czajkowski pisał swoje wspomnienia po rosyjsku i czyniono mu z tego

powodu jeden więcej, bardzo słuszny zarzut. Dopiero p. Rawita wyjaśnił rzecz całą w Przewodniku Nauk. i Liter. Zanim oryginał całego pamiętnika ukaże się w druku, może omawiany jego urywek liczyć na znaczną poczytność, gdyż mimo wszystko jest to książka bardzo ciekawa.

M. R.

Aleksander Hirschberg. Dymitr Samozwaniec. Lwów 1898. Nakład Gubrynowicza i Schmidta.

Wspomnianą tylko co pracę p. Hirschberga zaliczam śmiało i otwarcie do największych plusów w kampanii wydawniczej, lwowskiej ubiegłego roku. Choć autor jej niejedną rzecz napisał już dobrą, mimo to ta ostatnia, to olbrzymi odskok od poprzednich, a główną jej zaletą nadzwyczajna barwność opowieści. Dymitr Samozwaniec, postać już choćby przez swoją zagadkowość bardzo ciekawa, nęcił całe liczne grono pracowników pióra. W różnych językach pisano o nim wiele, więc też już nawet samo umiejętne zużytkowanie odnośnej literatury, dałoby rozprawę, zasługującą na poznanie. P. Hirschberg zabrał gruntownie cały dostępny mu materiał, powtórzył z prac swoich poprzedników to, co uważał za niezbędne, zamykając opowieść — jak to podniosłem wyżej — w bardzo nęcące ramy. To też z prawdziwą przyjemnością i z zajęciem wzrastającym stale odczytuje się jego opowiadanie o wyjątkowych losach Dymitra. Wędruje się z nim razem na dwory możnowładców polskich, na pokoje królewskie; widzi się jakby w doskonałej panoramie i ślub Dymitra z Maryną Mniszówną i wyprawę na Moskwę, i koronację i wreszcie śmierć tak okrutną bohatera opowieści, żałując, że autor choćby w odsyłaczu tylko nie wspomiał najwziewleż o dalszych, awanturnych losach pięknej Maryny. Czy hipoteza p. Hirschberga co do królewskiego pochodzenia Dymitra utrzymać się zdoła? nie ręczę, w każdym jednak razie badacze tej epoki książki jego pominąć nie mogą, a ogół czytający i interesujący się przeszłością, zawdzięcza mu lekturę niepoślednią. Omawiana praca uzyskała *debit* w granicach Rosyi, rychło więc usłyszymy o nowem jej wydaniu. Książkę zdobi kilka starannie wykonanych portretów i rysunków.

M. R.

Marek Gozdawa: Zakłady naukowe w Romanowie. Kraków 1898.

Do rzędu skromnych i cichych, z drugiej strony atoli nadzwyczaj pożytecznych pracowników pióra należy doświadczony pedagog i niepośledni znawca dziejów szkolnictwa polskiego, ukrywający się pod wspomnianym w tytule pseudonimem. Wyszło już chyba z pod jego pióra co najmniej trzydzieści rozprawek w jednym i tym samym zakresie. Słusznie nazwano je gdzieś cegiełkami, z których kiedyś wzniesie budynek, w których mogli całokształt dziejów naszego szkolnictwa świeckiego i zakonnego. Broszurka p. t. »Zakłady naukowe w Romanowie« — to jedna więcej tego rodzaju cegiełka. Fundatorem i poważnym opiekunem romanowskiej szkoły był senator liński; kierownikami członkowie uczonego zakonu OO. Jezuitów. Nie przetrwała ona długo, uległa kasacie, jak i wiele innych zakładów wychowawczych Podola, Wołynia i Ukrainy, mimo to poszczycić się może niejednym wychowankiem. Obok szkół jezuickich funduje hr. liński w Romanowie pierwszy w imperyum rossyjskiem zakład wychowawczy dla głuchoniemych, oraz pensyonat dla dziewcząt pod zwierzchnictwem Wizytek. I te instytucje dobra publicznego uległy podobnemu jak szkoła losowi. Wizytki przenoszą się do Kamieńca, a z kolei emigrują częściowo do Lwowa i Krakowa.

m.

»Światła i Kwiaty«, Myśli zebrane z utworów H Sienkiewicza, ułożył Mariusz, Drugie, pomnożone wydanie — Nakładem K. Kozłowskiego w Poznaniu — 1899.

Ogłoszona pod powyższym tytułem książeczka nie rości sobie pretensyi — jak to słusznie zauważył wydawca, — by w aforystycznych cytatach wyrazić mogła całą pełnię i całą głębię Sienkiewiczowskiego umysłu. Jest ona niejako ideowym szkieletem jego, podręcznikiem, przypominającym czytelnikowi wiele takich »światła i kwiatów«, przeoczonych przez niego podczas lektury powieści. Że cel takiej publikacyi nie został chybiony — świadczy najwymowniej pojawienie się drugiej edycyi tejże, obejmującej cytaty z najświeższych również dzieł znakomitego powieściopisarza. Obok psychologicznych refleksyi, zaczer-

piętych z »Quo vadis«, znajdujemy przeto w omawianym zbioroku subtelne aforyzmy o sztuce, rozsiane tak obficie »Na jasnym brzegu«, wreszcie garść tyle aktualnych, historyczno-politycznych refleksji, którymi zachwycamy się w »Krzyżakach«. Powodzenie, jakim »Świata i kwiaty« cieszyły się w pierwotnej edycji wśród młodszego zwłaszcza pokolenia, uprawniają nas do wyrażenia nadziei, że i w obecnej, obszerniejszej szacie blaski a zapachy siac będą. Książeczkę, wytwornie wydaną, zdobi podobizna Sienkiewicza.i.

Abraham Kohn im Lichte der Geschichtsforschung — Historische Studie von Gotthilf Kohn — Zamarstynow bei Lemberg — Im Selbsterlage des Verfassers — Druck von Piller u. Comp. 1898.

Niemiecka książka we Lwowie tłoczona tak wyjątkowem jest w naszych czasach zjawiskiem, iż już sam fakt jej pojawienia się zasługuje na zanotowanie w literackim rejestrze. Tym razem i sam temat dzieła nie jest obojętnym dla naszego społeczeństwa, gdyż ma on przed sobą gruntownie opracowaną monografię, dotyczącą życia i działalności postępowego rabina lwowskiej gminy izraelskiej, Abrahama Kohna, który we wrześniu 1848 r. padł ofiarą swych dążeń, struty przez ciemnych fanatyków. Autor tego dzieła, syn zmarłego rabina, z synowskim iście pietyzmem zgromadził wszystko, cokolwiek mogło się przyczynić do wświecenia roli, jaką ojciec jego wśród galicyjskich współwyznawców odegrywał. Prócz szczegółowej biografii Abrahama Kohna, znajdujemy w leżące przed nami publikacji także literackie jego prace a w szczególności, »Listy Galicyjskie«, ogłaszane w swoim czasie w katendarzu Buscha. W ostatnim rozdziale książki wylicza autor mowy, poezye oraz okolicznościowe wydawnictwa, jakie pojawiły się po tragicznym zgonie jego ojca. Na czele dzieła widnieje portret szlachetnego szermierza wolności i postępu.i.

Prawo górnicze wolnego miasta Krakowa i jego okręgu. Wydał I. M. Bocheński c. k. radca górniczy. Kraków, nakładem wydawcy, 1898.

Niewielka ta książka jest ciekawem źródłem ustawodawstwa polskiego w sprawach górniczych. Powiadamy: ustawodawstwa polskiego, ponieważ autor zapoznaje czytelnika z ustawami z czasów, gdy miasto Kraków wraz z okregiem uznawano na mocy traktatu z d. 3. maja 1815 r. za wolne i niepodległe, co trwało, jak wiadomo, do r. 1846. W tym tedy okresie niezawisłości politycznej tej małej części dawnej Polski, senat rządzący wolnego miasta Krakowa, jakoteż zgromadzenie reprezentantów tego grodu jako czynnik ustawodawczy, wydały, prócz drobniejszych przepisów, ustawę górniczą z dnia 16. lipca 1844 r. Jak słusznie autor powiada, ustawa ta jest najświetszym pomnikiem polskiego ustawodawstwa na polu górnictwem a nadto ma i po dziś dzień praktyczną doniosłość, bo na jej podstawie utworzone kopalnie koło Chrzanowa i t. d. istnieją jeszcze dotąd. Gdy się przejrzy tę ustawę, widzi się, że postanowienia jej mogą służyć za podstawę do rozwoju ustawodawstwa dla górnictwa w naszym kraju. Nadto język tej ustawy polskiej jest tak czystym i zawiera tyle prawdziwie polskich wyrazów, ściśle górniczych, że nader marnie wobec tej ustawy wyglądają obecne tłumaczenia ustaw austriackich. Jakkolwiek więc książka ta ma właściwie wartość historyczną, przecież, choćby przez wzgląd na terminologię, obchodzić powinna nie tylko koła prawnicze, ale także polskich przemysłowców w dziale kopalnictwa. B. M.

Izydor Kuncewicz: W lesie. Refleksy i blaski. Lwów 1898. Nakład Jakubowskiego i Zadurowicza. *Tenże*: W spółności małżeńskiej. Nowella. Lwów 1899. Nakład Księgarni Polskiej.

Z wieku pierwsze miejsce należy się malutkiemu, czysto i starannie wydanemu tomikowi, na który złożyło się sześć różnych bardzo co do treści, zawsze jednak z talentem skreślonych szkiców, nazwanych przez autora: Refleksami i blaskami. Choć spotykaliśmy te prace dawniej w wydawnictwach peryodycznych, chętnie bardzo odczytaliśmy je w tomiku po raz drugi, razem bowiem zestawione, tem dobitniej świadczą o zaletach piór. lwowskiego nowelisty-dziennikarza. Na tomik w formacie kieszonkowym wydany, złożyły się drobiazgi, wprost z życia pochwycone: »W lesie«; »Posterunek przed Mrkalje«; »Deszcz usta!«; »Jaskowa krasula«; »Vae victis« i »Noworoczna bajka«.

Jako najlepszy dowód, że talent p. Kuncewicza rozwija się i potężnieje, służyć może świeżo wydana nowella p. t. »W spółności małżeńskiej«. Jest to bez najmniejszej przesady przedstawiona okropna tragedia, spowodowana niewiernością ukochaney nadewszystko osoby. Że niejedna czuła osobka nad tą prawdziwie elegancko wydaną książeczką łezkę uroni — to pewna. I to jednak jest rzeczą niewątpliwą, że nikt nowelli p. Kuncewicza nie odrąci z niesmakiem, gdyż ustrącił on nadać bolesnej swojej opowieści formę najodpowiedniejszą. Z prawdziwą przyjemnością podkreślam fakt, że z różnicy, jaka dzieli ostatnią nowellę sympatycznego autora od prac jego dawniejszych, można bardzo dobre wnioski wyciągać na przyszłość. Oby też one corychlej się spełniły

— *mre* —

Konstanty Ireneusz Pomian hrabia Łubiński, biskup Sejnejski, napisał
* * *. Kraków 1898. Nakład ks. J. Ścieborskiego.

Druga połowa dogasającego już stulecia stanowi w dziejach polskiego Kościoła pod zaborem rosyjskim kartę pierwszorzędną wagi. Znajdujemy tutaj całe liczne grono biskupów-męczenników, zakładających bez względu na następstwa swoje *veto* przeciw uroszczeniom władzy; wędrujących za to na dalekie wygnania; kończących nawet nienaturalną śmiercią — z czyjego rozporządzenia? Bóg jeden wiecieć raczy. Biskupowi Łubińskiemu przypadł właśnie los ostatni. Była to postać niezwykła; człowiek rozumny i odważny, stosunkami pokrewieństwa związany z całą arystokracją polską, w przyjaźni lub bliskiej znajomości z wielu dygnitarzami rosyjskimi. Rzecz naturalna, że wszystko to skierowało w pierwszym rzędzie oko władzy na jego osobę, że tego specjalnie księcia kościoła pragnie rząd pozyskać dla swych daleko idących planów i projektów. Z Łubińskim jednak załatwić się niełatwo; ostro on występuje wprawdzie przeciw nieopatrzemu ruchowi w 1863 r. i przeciw udziałowi księży w spiskach, za co go partya ruchu bez chwili wahania ogłasza wszem wobec i każdemu z osobna: zdrajcą, zausznikiem rosyjskim, nieprzyjacielem sprawy polskiej i Kościoła polskiego, ale z drugiej strony nie pozwolił on uszczknąć i tych praw, Kościołowi polskiemu należnych, choćby najmniejszego listka. Dzięki swoim rozlicznym stosunkom doprowadza biskup do upadku krwiożerczego Murawiewa i ks. Czerkawskiego; w walce z Muchanowem o obsesanie kolegium petersburskiego sam przegrywa rozstrzygającą batalię, by za przykładem innych kapłanów powędrować na wygnanie i w drodze zostać otrutym kompotem z pomarańcz, przyrządzonym przez konwojującego go oficera żandarmów.

Nieznany nam z nazwiska monografista należał najwidoczniej do najbliższego otoczenia biskupa-męczennika. Cała postać ks. Łubińskiego występuje w jego opowiadaniu bardzo plastycznie, nie braknie jej najdrobniejszego szczegółu. Znaczna liczba pierwszorzędną wagi autentycznych dokumentów zwiększa dziesięćkrotnie i bez tego niemają już wartość książki.

M. R.

Dzieła Adama Mickiewicza, Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1898, T. I — IV.

Rok jubileuszowy Adama uczciła nakładowa firma Gubrynowicza i Schmidta ponownym wydaniem wszystkich jego utworów poetyckich, które do ostatnich czasów ukazały się w druku. Nadto sumienny redaktor — jest nim według »Przewodnika bibliograficznego« dr. Br. G. — umieścił w leżącym przed nami wydaniu dwie młodociane powiastki wieszczą: »Żywile« i »Karyle« oraz dwanaście artykułów literackich, prozą, wreszcie teksty francuskie »Konfederatów« i »Jasińskiego« wraz z wzorowo dokonanyim przekładem tychże utworów pióra Olizarowskiego. W układzie trzymał się wydawca porządku, przyjętego w roku 1881 przez dra Antoniego Małeckiego w edycji dzieł Mickiewicza, uzupełniwszy ją wszakże wariantami z autografów później odkrytych. Porównanie tekstów dawniejszych wydań Adama oraz liczne, drobniaczko opracowane komentarze tudzież wyjaśnienia są również zasługą redaktora, nie szczędzącego zabiegów ni trudu, by dokonana pod jego dżezorem edycja zasługiwała zupełnie na miano krytycznej. Tom pierwszy zdobi udatna re-

produkcyja popiersia Adama zaś drukarska robota zaszczyt przynosi krakowskiej officynie Anczyca i Spółki. ...i

Zygmunt Kaczkowski: Mój Pamiętnik z lat 1833—1843 — Lwów — Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

»Pamiętnik« Kaczkowskiego — powiedzmy otwarcie — zawiódł potroszę nadzieje, jakie do tej publikacyi przywiązywali badacze porozbiorowych dziejów naszego kraju i miasta. Kreślony widocznie w późniejszym wieku bez notat i zapisków, grzeszy poniekąd gawędziarską chaotycznością a czasem znów temperament powieściopisarski bierze w szanownym autorze górę i wówczas, miasto prawdy spotykamy się z fikcją, w piękną co prawda szatę ubraną. Do takich ustępów, grzeszących nieprawdopodobieństwem, zaliczamy pomiędzy innymi opowiadanie wstępne o Polu i o Goszczyńskim oraz wzmiankę o udziale autora w literackich obiadach u Fradrów. Nie podobna się również godzić na zbyt optymistyczne, naszym zdaniem, poglądy Kaczkowskiego, pod względem ekonomicznego tudzież politycznego stanu Galicyi po roku trzydziestym. Mimo tych wszakże usterek, »Pamiętnik« cennym pozostanie dokumentem jako ilustracya towarzyskiego i umysłowego życia Galicyi w epoce najmniej stosunkowo znanej. ...i

„**Słowansky Pŕhled**“ — oto tytuł miesięcznika redagowanego w Pradze przez Adolfa Czernego, moralnego sukcesora ś. p. Jelinka, który wychodząc z zasady, że wzajemność słowiańska opierać się winna na wzajemnem, bliższem poznaniu się ludów słowiańskich, podjął w dalszym ciągu wydawnictwo, jakie pod mianem »Słowiańskiego Zbornika« poprzednik jego ogłaszał. »Przegląd« prócz rozpraw pomieszcza korespondencye z różnych stron Słowiańszczyzny, przeglądy ważniejszych wypadków i czasopism, doniesienia księgarskie, wreszcie starannie redagowaną rubrykę teatralną. We wszystkich tych działach rzeczy polskie znajdują należyte uwzględnienie. Spotykamy więc w czterech, do tej pory wydanych zeszytach rozprawy: J. Baudouina de Courtenay (»Słowacy a korona Św Szczepana«), Władysława Mickiewicza (»O rękopisie ksiąg pielgrzymstwa«), Czernego, (»Kazimierz Przerwa Tetmajer«) i Vrchlickiego (»Na jubileusz Mickiewicza«), udane korespondencye z Warszawy, z Krakowa i ze Lwowa, notatki o naszych pismach peryodycznych tudzież o nowo wydanych książkach. Szczegółowego omówienia w zeszyście listopadowym do czekała się wystawa dzieł Styki w Pradze, a w dziale teatralnym zajmuje się »Przegląd« także ważniejszymi wypadkami chwili bieżącej na główniejszych scenach polskich. Ogólne wrażenie, jakie »Przegląd« sprawić musi na każdym, nieuprzedzonym czytelniku, nazwać wypadnie dodatkiem. Nakładcą tego pisma jest znany księgarz prazki F. Simacek. ...i

Historya Literatury Powszechnej w zarysie, opracował Walery Gostomski — Warszawa — Gebethner i Wolf 1898 — T. I. — II.

Piśmiennictwo nasze dziwnie jest ubogie w dzieła, traktujące o literaturze powszechnej. Z dzieł oryginalnych w tym zakresie, prócz przestarzałej już pracy Lewestama, nie mogącej żadną miarą zadowolić dzisiejszych wymagań naukowych, posiadamy wprawdzie obszerną „Historyę literatury“, dotychczas nieskończoną, wydawaną pod redakcyą Chmielowskiego w opracowaniu zbiorowem siłami znanych badaczy, lecz dzieło to, zakrojone na większe rozmiary, w całości swej nie może się stać nigdy dostępnem dla szerszego ogółu czytelników. Niekompletnym jest podręcznik do literatury powszechnej, wydany w roku 1892 przez Teresę Prazmowską, gdyż nie obejmuje literatury francuzkiej, niemieckiej i polskiej. Natomiast »Rys dziejów piśmiennictwa świata niechrześcijańskiego«, ogłoszony w roku 1867 przez Szujskiego, mógłby służyć za wzór, czem podręcznik tego rodzaju być powinien, gdyby autor nie ograniczając się do literatur pogańskich, doprowadził był rzecz swą do czasów późniejszych. Z przekładów najbardziej rozpowszechnioną jest u nas historia literatury Scherra, tłómaczona dwukrotnie, (w latach 1861 i 1883), przez Gliszczyńskiego i Bronisława Zawadzkiego. Oba te wydania wyczerpane zostały w zupełności w handlu księgarskim,

Tak więc opracowanie Gostomskiego pojawiło się w samą porę, by wypełnić konieczną lukę w tym dziale rodzimego piśmiennictwa. Całość składa się z dwóch części W pierwszej, zatytułowanej: Starożytność Pogańska, streścił autor dzieje literatury starożytnego Wschodu oraz piśmiennictw klasycznych W drugiej części, którą nazwał Nowożytnością Chrześcijańską, dał nam p. Gostomski, prócz ogólnego poglądu na wieki średnie, wyraziste obrazy ruchu umysłowego tak w epoce odrodzenia i reformacji, jakoteż w dobie racjonalizmu i odrodzenia. Epoka romantyzmu, zapoczątkowana w Niemczech, znalazła również szczegółowe uwzględnienie w leżącej przed nami książce, podobnie jak współczesne literatury europejskie, których charakterystyka wypełnia treść końcowej książki. W pracy swej pominął p. Gostomski dzieje literatury ojczystej. I słusznie, gdyż celem jego książki było przedewszystkiem i wyłącznie streszczenie dziejów obcych literatur. Jako podręcznik zaleca się opracowanie p. Gostomskiego jasnością, treściwością a zarazem szerokimi ramami, stanowiącemi same w sobie skończoną całość. Są to przymioty pierwszorzędного znaczenia zarówno dla samouków, jakoteż dla uczniów, pragnących wykład nauczyciela uzupełnić w danej chwili pozaszkolną lekturą.

S. P.

Obraz Literatury Polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach, ułożył Piotr Chmielowski. — Warszawa — Gebethner i Wolf — 1898. — T. 1 — 3.

Obok podręczników historii literatury, których zadaniem jest obznajomienie czytelnika z głównymi kierunkami umysłowymi, tudzież z utworami, w których te kierunki wypowiedziały się najdosadniej, konieczne są encyklopedye literackie, rejestrujące wszystko, co należy do danego piśmiennictwa, podające charakterystykę każdego autora, treść a nawet wyjątki z jego celniejszych utworów, jak to czyni encyklopedia literatury angielskiej Chambers'a. Takiej encyklopedyi dotychczas nie mieliśmy, natomiast przeważna część naszych podręczników, traktujących o literaturze ojczystej, grzeszyła tem właśnie, iż wkraczała w dziedzinę encyklopedyi i miało podkreślania najważniejszych momentów w dziejach naszej umysłowości, zapełniała swe karty spisami autorów, które żadnej korzyści przynieść nie mogą.

Niestrudzony badacz i krytyk rodzimej literatury w trzech sporych tomach zawarł taką właśnie, wyrozumowaną encyklopedyę polskiego piśmiennictwa, starając się w niej pomieścić to tylko, co uważał za niezbędne dla średnio ukształconego człowieka, pragnącego poznać literaturę własnego narodu. Wiele autorów i wspaniałych dzieł musiał profesor Chmielowski pominąć celem uwydatnienia głównych i zasadniczych rzeczy a przynaczą należy, że praca, jaką podjął, wymagała nietylko szczegółowej znajomości literatury, ale i subtelnego, krytycznego zmysłu, dzięki którym to zaletom »Obraz« jego jest niezwykle przejrzystym i łatwo rozumiałym nawet dla szerszego koła czytelników. Za podstawę w układzie materiału posłużyła autorowi dawniejsza jego praca, złożona w »Złotej Przędzy«, lecz z powodu szerszych granic przestrzennych, musiał on pewne ustępy wypuścić, albo też zastąpić innymi. W tomie pierwszym zawarł Chmielowski wyjątki z autorów pierwotnych okresów w naszym piśmiennictwie, począwszy od kronikarzy a skończywszy na przedstawicielach pseudoklasycyzmu. Tom drugi wypełnili w zupełności poeci z doby romantycznej, podczas gdy w tomie końcowym spotykamy się z rozkwitem i z przekwitem romantyzmu w prozie i w poezyi oraz z reprezentantami najświeższej, realistycznej doby, jaka u nas zapanowała po roku 1863. Dołączony do tomu trzeciego skorowidz nazwisk autorów, tudzież dzieł bezimiennych ułatwia orientowanie się w olbrzymiej tej publikacyi, obmyślanej gruntownie i zredagowanej z starannością, znamionującą wszystkie prace dra Chmielowskiego. w. i.

Dr. Bronisław Czarnik: Korzeniowski i »Karpaccy górale« — Odbitka z książki zbiorowej p. t. Pamięci Korzeniowskiego — Brody — Drukiem Feliksa Westa — 1898.

Szczupła co do rozmiarów, lecz ważna treścią broszurka dra Czarnika jest cennym przyczynkiem do dziejów twórczości dramatycznej autora »Kar-

packich Górali« a tem samem do historii sceny polskiej w ogólności. Wykazuje mianowicie dr. Czarnik w swej najświeższej, bardzo pracownie skreślonej rozprawce, iż »Karpaccy górale« są dramatem, osnutym na tle rzeczywistych zdarzenia, którego widownią była Huculszczyzna w pierwszych lat dziesiątkach bieżącego wieku. Lato r. 1840, spędził Korzeniowski w uroczych okolicach Żabiego, Kut i Kossowa a wrażenie, odniesione przez znakomitego pisarza z pierwszego, bezpośredniego zetknięcia się z ludem tamtejszym, było tak potężne, iż pod jego wpływem powstał ów utwór, który już z powodu swego nastroju wyjątkowe, rzec można, zajmuje stanowisko w szeregu dramatów tyle zastużonego dla sceny narodowej autora.

St. Tarnowski: Studya do historii literatury polskiej. Wiek XIX. Rozprawy i Sprawozdania. Tom IV. (W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska — 1898).

Tom czwarty »Rozpraw i Sprawozdań« obejmuje trzy rozprawy pióra znakomitego profesora, różne treścią i rozmiarami, lecz równe pod względem głębokości poglądów i świetnych zalet stylistycznych. I tak zastanawia się hr. Tarnowski nad kwestją: Co u nas o Kochanowskim pisano? Sporządza więc inwentarz odnośnej literatury, poczynszy od pierwszej, bezimiennej biografii poety, jaka ukazała się w roku 1612, mówi o sądach wyrzeczonych o Kochanowskim z katedry uniwersyteckiej, o ocenie poety przez Mickiewicza w jego kursach literatury słowiańskiej, przyczem trafnie czyni uwagę, iż bez względu na rezultat przyszłych badań nad życiem i twórczością piewcy z Czarnolesia, badania owe tudzież ich skutki stwierdzą jedynie sąd i wypełnią ich zarys, zostawiony przez Adama. W dalszej części rozprawy wylicza Tarnowski nowsze studya i monografie poświęcone Kochanowskiemu, omawia jubileuszowe publikacye, ogłoszone w roku 1884 ku uczczeniu pamięci trzechsetnej rocznicy zgonu poety i szczegółowemu poddaje rozbirowi pomnikowe wydanie warszawskie, dokonane pod egidą Konstantego Hr. Przeździeckiego. Ostatecznie dochodzi szanowny autor do wniosku, aby nie ustawać w pracy, nie zasypiać na laurach, zdobytych przez poprzedników, ale szukać, dochodzić i odkrywać dalej, tak, iżby przyszłe pokolenia lepiej od nas poznały, jak wyglądał »Jan, boski lutnista... Niemniej ciekawą jest druga z rzędu rozprawa, zatytułowana: »Szekspir w Polsce«, a streszczająca w sobie przegląd oraz ostateczne wyniki literatury szekspirowskiej w naszym kraju z szczegółowem zwłaszcza uwzględnieniem przekładów dzieł Willa na język polski, których to prac godnem uwieńczeniem zwie autor całkowity przekład dzieł Szekspira, dokonany przez Koźmiana, Ulricha i Pas kowskiego. »Koryolan Szekspira«, zamykający omawiany przez nas tom »Rozpraw«, to znów wiązanka trafnych uwag znakomitego znawcy sceny o tym dramacie, uwag, które obok ściśle literackiego, nie są też pozbawione pewnego, politycznego znaczenia. Takie zwłaszcza wrażenie odnosi się po odczytaniu ustępu, w którym autor odpowiada na pytanie, czy w »Koryolanie« znajdzie się przystosowanie do naszych dziejów lub natur? Koryolana — twierdzi Tarnowski — nie było w naszej historii. Trybuni bywali...

S. P.

Książki dla młodzieży, zbywane zazwyczaj w naszej prasie pobieżnymi wzmiankami lub stereotypową pochwałą ich szaty zewnętrznej, przedstawiają bez wątpienia jeden z najważniejszych działów naszego piśmiennictwa. Muszą być pisane przystępnie, zajmująco, z uwzględnieniem stopnia intelektualnego młodzieźnych czytelników. Niemniej jednak autor piszący dla dziatwy, unikać winien ckliwości oraz cienia nawet nieprawdopodobieństwa, które w bajce może posiadać pewny urok, lecz w książce razi nas i mniej dodatnie sprawia, wrażenie. Ogólną tę uwagę spowodowały dwie powieści historyczne Teresy Jadwigi: »Kara Boża« i »Wilczek«, wydane ostatnio u Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Zarówno pierwsza opowieść, osnuta na tle epoki Jagiellońskiej, jak druga o fabule zapożyczonej z czasów Mieczysława I. nie odpowiadają wymaganiom, jakie pedagogia wobec prac tego rodzaju stawia. Sytuacyjnizem nieuzasadnione, błada charakterystyka współczesnych wypadków i ludzi,

oraz dziwnie płacziwy nastrój akcji, znamionują obie te powieści, które w dorobku literackim zasłużonej autorki do dodatnich rezultatów żadną miarą zaliczone być nie mogą.

Wręcz przeciwne wrażenie odnosimy po przeczytaniu »Namiotów Wezryra«, powieści historycznej z czasów Jana III, (Warszawa — Gebethner i Wolff), skreślonej przez Walerego Przyborowskiego z isticie staropolską fantazją i z zamaszystością. Takie typy jak szlacheckie dziecko Pietrek Rzecki, zawsze pełen rycerskiego animuszu, luzak jego Maciek, »chłop z rodu, ale zawsze Piast i taki dobry jak szlachcic, jeno krzyńę gorszy a też biedniejszy«, albo też mieszczkański synek, Adamczyk, przypominający potroszę Rzędziana z »Ogniem i mieczem«, — są to kreacje, w całym tego słowa znaczeniu udatne i utkwia bezwątpienia na zawsze w pamięci czytelnika. Fabuła powieści prosta, nie wymyślna, mająca za osnowę potrzebę wiedeńską, popularyzuje w sposób zręczny ową pamiętną w dziejach naszych chwilę. Starannie wydaną książkę zdobią ilustracje Juliusza Kossaka i K. Puławskiego.

Ósmy Rocznik Asekuracyjno-ekonomiczny na rok 1899 opuścił już prasę drukarskie. Roczniki asekuracyjno-ekonomiczne, wydawane od lat szeregu przez pp. Gadulskiego, Lewickiego i Pileckiego, cieszą się wśród tutejszych wydawnictw kalendarzowych ustaloną, dobrze zasłużoną reputacją, gdyż obok obfitej, wybornie zestawionej części informacyjnej, nieodzownej prawie dla każdego urzędnika bankowego, zwykły przynosić wiązanek prac oryginalnych w dziale literackim i tegoroczna publikacja nie sprzeniewierzyła się dotychczasowej tradycji, podając prócz »Kroniki ekonomicznej na rok 1897/8«, ciekawą rozprawkę M. Demetrykiewicza, (»O ubezpieczeniach w starożytności«), aktualne artykuły Karola Nachera, (»Kasy dla chorych«), A. Misiągiewicza, (»Szkody gradowe«), B. Lewickiego, (»Krajowe towarzystwo ubezpieczeń«) i J. Blautha, (»O torfach«), wreszcie szereg cennych uwag i spostrzeżeń prof. Gostkowskiego, (»Nasza dola ekonomiczna«). Zewnętrzna szata wydawnictwa odpowiada godnie treści tegoż i przedstawia się pod każdym względem korzystnie.

P.



Z Koła Literacko-Artystycznego.

Wspólny oplatek zgromadził w salnachs »Koła« w dniu 24. grudnia r. z. poważny zastęp członków towarzystwa, przedstawiciele pokrewnych stowarzyszeń, oraz zaproszonych gości, wśród których najliczniej były reprezentowane »Echo«, tudzież »Lutnia«. Zaraz po powitaniu obecnych przez Zarząd, na wniosek jednego z członków, »by w sali zabrzmiała pieśń, której przed godziną w Warszawie podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza ziomkowie nasi odpiewać nie mogli...« rozległy się bojowe dźwięki nieśmiertelnego hymnu legionów, którego wszyscy stojąco wysłuchali. Odczytano następnie przedkład artykułu Adolfa Czernego, umieszczonego w »Narodnich Listach« z okazji odsłonięcia pomnika Adama w Warszawie, poczem zebrani, w liczbie stu pięćdziesięciu osób podpisali telegram do autora w mowie będącego artykułu, opiewający jak następuje: »Adolf Czerny — Narodni Listy — Praga.

Za artykuł w Narodnich Listach w sprawie pomnika Mickiewicza w Warszawie zasyłamy Panu wyrazy podziękui. Gorące słowa wasze, szlachetne i natchnione, są dla nas dowodem, że Słowiańszczyzna odczuła krzywdę, wyrządzoną narodowi Polskiemu. — Koło Literacko-Artystyczne we Lwowie.

Okolicznościowe toasty oraz improwizacye zakończyły uroczystość, która tym razem przybrała poniekąd charakter politycznej, wielce aktualnej demonstracyi. Tegoż dnia wyprawilo »Koło« telegram gratulacyjny do komitetu pomnikowego w Warszawie zaś w dniu 25. grudnia r. z. nadeszła telegraficzna odpowiedź p. Adolfa Czernego, streszczająca się w słowach: »Serdecznie dziękuję. Stałem tylko w obronie sprawiedliwej sprawy waszej, oburzony bezprawiem. Szczęść Wam Boże«.

W ostatnim dniu minionego roku odbyło się towarzyskie zebranie członków »Koła« z rodzinami, zagajone przez rektora, dra Balasitsa, odpowiednią przemową a urozmaicone chorałami i produkcjami »Lutni« Natomiast obchód jubileuszowy sześćdziesięcioletniej pracy autorskiej Karola Brzozowskiego, święcony przez »Koło« w dniu 11. stycznia r. b., przybrał wręcz imponujące rozmiary, dzięki czci i sympatyi, jaką ogół polski otacza średziwego poeie-żołnierza. Podczas uczty, która nastąpiła po wręczeniu jubilatowi dyplomu członka honorowego, nie brakło podniosłych przemówień wierszem i prozą a liczba telegramów, nadesłanych z rozmaitych dzielnic dawnej Polski, przekraczała setkę.

W dwa dni później, (d. 13. stycznia r. b.), wygłosił w »Kole« dr. Franciszek Kreck zajmujący odczyt o »Bar-Kochbie«, najświeższym poemacie Jarosława Vrchlickiego. Prelegent scharakteryzował pokrótce poeie jako liryka i epika, by następnie opowiedzieć w główniejszych zarysach treść jego epopei osnutej na tle dziejów Judei za czasów Hadryana. Bohater poematu, człowiek czynu, ginie w chwili, gdy zerwał z duchowym pierwiastkiem, złamany przez zacofańców, upatrujących w jego wyniesieniu upadek własnej wszechwładzy. Utwór ten, skreślony pod wpływem neoromantyzmu, zasłużył z wszech miar — jak to słusznie zauważył dr. Kreck — by go przyswojono naszemu piśmienictwu.

Niemniejszym powodzeniem cieszył się odczyt ks. Józefa Teodorowicza p. t. Idea społeczna Mickiewicza, wygłoszony w dniu 20. t. m.

Prelegent po zwigzłej wzmiance, że idee socyalne Mickiewicza nie były dotąd prawie dotknięte przez krytykę, przechodził ogólne cechy idei społecznych wieszczca, ich psychologiczną genezę, ich stosunek do poezyi Adama a następnie rozwijał je, dzieląc na idee braterstwa, równości i wolności. Wszystkie trzy tkwią w naszym wieku. Poeta dotykając tych trzech idei stwierdził, jak bardzo był dzieckiem swego stolecia; ale podając sposoby rozwiązania tych problematów, okazał się wyższym nad wiek, mający inspiracye, lecz nie znający dróg ich zaspokojenia. Prelegent omówiwszy szczegółowo idee braterstwa, zastanawiał się następnie nad ideą równości. Wieszcz już w „Dziadach“ przeciwstawił arystokracji rozum, imienia, lud jako arystokrację serca spowitego w wieże. Gdy Kościuszko oparł się tylko na patryotyzmie ludu, Mickiewicz sięgnął głębiej, bo do jego podstaw religijnych, na których dopiero patryotyzm budować można. Demokrację zrodzoną z idei Kościuszki mieliśmy i mamy; demokracja w pejęciu wieszczca czeka na realizacyę, a nazwą jej będzie demokracja katolicka. Socjaliści usiłowali dowieść słowami, porywanemi z „Trybuny ludów“, że Mickiewicz do nich należy. *Traduttore traditore...*

Następnie rozbiarał prelegent pojęcie wolności u wieszczca i jej związek ścisły z formą jego wewnętrznego życia. Bypojąc jego socyologia, musi się znać jego mistykę Omawiając jej charakter prelegent zwrócił uwagę na podobieństwo idei przewodnich u Mickiewicza i u Ojca Heckera, założyciela Paulinów w Ameryce, którego żywot z przemową Ireelanda tyle wrzawy uczynił w Ameryce i Francyi. W końcu omawia omawiał prelegent stosunek wieszczca do Kościół. Poeta nie chciał reformować Kościół, ale raczej pragnął, by Kościół ujął prąd nowy w swe ręce, jego wołaniem było tak do Papieža jak do duchowieństwa:

„idźcie w lud!⁴. Rzecz była przedwczesna, gdyż Kościół musiał przeczekać, aż prądy wzburzone się uspokoją, to wszakże, co się zdało być utopią wieszczą, dziś jest jakoby jasnowiedzeniem. Leon XIII. to samo hasło podjął, o które Mickiewicz tak kołatał.

Na odczycie ks. Teodorowicza sala przepełniona była po brzegi słuchaczami płci obojga, którzy oklaskiwali z zapałem wywody prelegenta.

W d. 22. stycznia r. b. podejmowało „Kolo“ na wieczornicy bawiącego chwilowo we Lwowie pianistę, Aleksandra Michałowskiego. W zebraniu tem uczestniczyli bardzo liczni przedstawiciele sztuki, literatury i prasy. W zaimprovizowanych produkeyach brali udział: pani Ottawowa, pp. Myszuga i Żeleński, tudzież sam gość, który wykonał z właściwą mu maestryą kilka utworów chopinowskich.



Książd Jan Badeni.

Wspomnienie pośmiertne.

Zakładając nasz miesięcznik literacko-artystyczny, nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, że już w drugim zeszytce wypadnie nam poświęcić wspomnienie pośmiertne człowiekowi, który miał być pisma tego chlubą. Przypuszczaliśmy raczej, że po pierwszym, przesłanym nam przez ks. Badeniego artykule, nastąpią inne, równie cenne i interesujące. Stało się jednak inaczej: dzisiaj, obok jednej z ostatnich prac, skreślonych ręką nieboszczyka, ogłaszamy tych kilka słów gorących; zasłużył on bowiem całym życiem swoim na wspomnienie serdeczne i żal szczerzy...

Śmierć poczyniła w ostatnich czasach w naszym społeczeństwie znaczne szczyby i wyłomy; zabrała niejedną osobistość, dotąd niezastąpioną, wyrządzając tem sprawie dobra powszechnego szkodę nieobliczalną.

Jeśli atoli spostrzeżemy w szeregach brak osiwiatego, steranego pracą weterana, co spłacił już z lichwą włożone nań obowiązki, to — aczkolwiek żal nasz jest równie wielki — pocieszamy się myślą, że działalność jego nie zmarnowała się, że po życiu, pełnem trudów, zawodów i mozołów, należał mu się sprawiedliwie dobrze zasłużony spoczynek. Jakże odmiennem jest uczucie nasze, gdy przyjdzie nam stanąć u świeżo usypanej mogiły, kryjącej w sobie śmiertelne szczątki męża,

co padł w pełni sił, z którego imieniem tyle i tak pięknych wiązano nadziei na przyszłość, którego dotychczasowa, na wielu różnorodnych polach pracy działalność, pozwalała wróżyć na jutro i pojutrze wiele, bardzo wiele...

Niestety, inaczej często projektuje i układa sobie człowiek; inaczej rozstrzyga Ten, w którego mocy jest wszystko, który wie najlepiej, kiedy Mu wypada wybranego pracownika powołać przed tron Swoj niebieski.



Tak się rzecz miała i z ś. p. księdzem Janem Badenim, którego imię coraz szersze koła coraz częściej miały na ustach; którego rozprawy publicystyczne, naukowe i literackie coraz liczniejszych zyskiwały czytelników; którego praca społeczna tak obfity a dobry zapowiadała owoc.

Jeszcze przed kilku tygodniami zbiegały się w jego celi klasztornej nici wielu spraw pierwszorzędnej wagi a umysł jego wypełniały plany i projekty na przyszłość; niedawno podały pisma krakowskie wiadomość o chorobie młodego księdza prowincyała; przedrukowały ją dzienniki innych miast, bez względu na swoją barwę polityczną i przekonania, bo przyzwyczajono się już śledzić bacznie żywot niepospolitego tego

działacza: pierwsze wieści, rzucone w kilku zaledwie związłych wyrazach, stawały się coraz groźniejsze i smutniejsze; wreszcie telegram rozniósł po kraju całym wiadomość oczekiwaną wprawdzie, niemniej przeto bolesną, że w dniu 5. stycznia o godzinie pół do piątej nad ramię zasnął ks. Jan Badeni na zawsze.

W chwili, kiedy dzwony świątyni i klasztorów krakowskich zapowiadały, że nadszedł nowy dzień troski i walki o chleb powszedni, przestało bić serce, które tak bardzo ukochało naród swój, szczególnie jednak tych maluczkich, co częściej spotykają na ciernistej drodze życia łązy gorzkie, głód i chłód, niż uśmiech zadowolenia.

Literatura polska straciła talent nieposledni, umysł rzutki i płodny, wszechstronny i głęboki; Kościołowi polskiemu zbrakło szermierza za prawdę, pełnego zapału, gorącej wiary i miłości; sprawa społeczna postradała misyonarza gruntownie wykształconego i wyrozumiałego, który każdego usiłował przekonać i nawrócić, nikogo nie odtrącał, nikim nie gardził. W walkach, prowadzonych nie od wczoraj na całej linii, był to przeciwnik doświadczony i groźny, co najzapaleńszych swoich wrogów zmuszał do szacunku dla siebie; we wszystkich też obozach cieszył się zmarły uznaniem niezwykłym i zachowaniem dobrze zasłużonem.

Bliższych szczegółów o rodzinie księdza Jana podawać nie będziemy; zasługi jej zna całe społeczeństwo polskie aż nadto dobrze. Światło dzienne ujrzał on 21. czerwca 1858 roku. Rodziców postradał w dzieciństwie, a podwójnym sierotą zaopiekował się krewny chłopięcia, Stanisław hr. Badeni z Branic; on to posyła pupila swego do konwiktu O. O. Jezuitów w Tarnopolu, gdzie wcześniej przejawia się w młodzieńskim wychowawcu uczonego zakonu powołanie do stanu duchownego. Nie posiadając bliższych szczegółów, odnoszących się do owej szkolnej epoki życia zmarłego kapłana-publicysty, trudno nam orzec, kiedy i pod jakimi wpływami zrodziło się w jego młodocianym umyśle i sercu pragnienie poświęcenia się Bogu i służbie przy ołtarzu; sama atoli data świadczy dostatecznie, że to uczucie zawitało doń rychło po wstąpieniu w mury tarnopolskiego konwikt — jeśli już nie wcześniej — bo przecież Jan Badeni przywdziewa sukienkę zakonną, której miał pozostać wiernym do ostatniego tchnienia, w dniu 9. lipca 1873 roku, a więc już w piętnastym roku życia.

Od tego też czasu nowy członek zgromadzenia Jezusowego rośnie w doświadczenie i naukę. Na zdolnościach i wartości jego wewnętrznej poznaje się najbliższe otoczenie prędko, a co z tem idzie w parze: powierza księdzu Janowi coraz-to wyższe, zaszczytniejsze i odpowiedzialniejsze stanowiska. Służy on sprawie Kościoła energicznie i z zapałem na różnych polach i posterunkach. Ale, jak już w dzieciństwie jedyną jego rozrywką była lektura, tak też i najulubieńszem jego do końca życia zajęciem była służba z piórem w ręku. Nie rozstawał się z niem nigdy i pozostawił też po sobie bogaty plon pracy publicystycznej i literackiej.

Przeniesiony do Krakowa, z prawdziwem zamiłowaniem ima się pracy redaktorskiej. W klasztorze na Wesołej — opowiada L. Dębicki —

urządzono osobny pawilon redakcyjny, w którym obok sali bibliotecznej znajdowały się cele zakonników redaktorów i literatów. Z tego pawilonu wychodzi największa polska publikacja, bo drukowany w krociach egzemplarzy: »Posłaniec Serca Jezusowego«, wychodzą znane dobrze Misy katolickie i »Przegląd powszechny«. Tutaj otrzymał ks. Jan Badeni swoją celę obok celi ks. Maryana Morawskiego, aby mu pomagać w redagowaniu »Przeglądu«, w którym miał przydzieloną sobie stałą rubrykę: ruch katolicki, gdzie też ukazywały się kolejno cenne jego rozprawy i studia.

Z szczególną troskliwością śledzi on dzieje rozrzuczonych po różnych kątach Europy Słowian; korzystając ze swobodnej chwili, odbywa wędrowki na południe, wschód i zachód, styka się osobiście z wybitniejszymi na tem polu działaczami, prawdziwymi apostołami sprawy słowiańskiej, patrzy i słucha pilnie, notuje skrzętnie odniesione wrażenia, by wróciwszy do zacisznej celi klasztornej, ująć bez dłuższej zwłoki za pióro i rzucić w świat nową opowieść, tak chętnie czytaną.

W podróżach swoich — czytamy u cytowanego już autora — ks. Badeni nie szukał ludzi wysokiego stanowiska, aby spisywać ich zeznania, szedł pomiędzy małuczkich, docierając tam, gdzie zwykły turysta, szukający wygody i wrażeń łatwych, choćby powierzchownych, nie zagląda. W sukni Jezuitę nie wahał się wchodzić na zgromadzenia panslawistyczne o tendencji schyzmatycznej, jak później wchodził na zgromadzenia socjalistów.

Zdaniem p. L. Dębickiego: świat słowiański i ruch socjalistyczny, to dwie dziedziny, w które zapuszczał się w ostatnich zwłaszcza latach umysł i pióro ks. Badeniego z szczególną bacnością i zapałem, a stanowisko, jakie tutaj sobie zdobył — zaznaczamy raz jeszcze — było rzeczywiście wyjątkowe. Czy na trybunie stał agent panslawistyczny, czy ks. Stojałowski, czy p. Daszyński — nie cował się ks. Badeni — i zwykle znajdował uprzejme przyjęcie. Obecność jego wśród gwałtownych przeciwników budziła uszanowanie. Aby takie podejmować ustawicznie wyieczki i studia — trzeba było przewyciężyć niejednen wstręt i usunąć niejednen wzgląd.

Zmierzywszy się oko w oko z przeciwnikiem, po parugodzinnej często walce jego własnymi słowami, jego własną bronią i po wystąpieniu z pobłażliwym uśmiechem krwawej pieśni o »Czerwonym sztandarze«, podąża znowu wyjątkowy ten kapłan do świątyni Pańskiej, gdzie wygłasza szereg nauk rekołekcyjnych, słuchanych nieledwie z zachwytem. Bo też posiadał on dziwny dar słowa, każdą kwestyę ujął we właściwy sobie sposób, przedstawił jasno. Styl jego tak w mowie, jak i w piśmie odznacza się prawdziwą prostotą; nie znajdziemy tam wyszukanych, kunsztownie oszlifowanych, retorycznych zwrotów, ale natomiast nie nuży on ani czytelnika, ani słuchacza, przeciwnie: skłania go nawet mimo jego woli do tem pilniejszej uwagi, przykuwa do siebie i każe pragnąć, by ta opowieść lub nauka trwała bez końca.

Oto zalety dla kaznodziei i mowcy ludowego pierwszorzędnej wagi, które — zjednoczone z niepoślednim rozumem i sercem wrażliwym na

wszelką nędzę i biedę — sprawiły, że postać ks. Jana Badeniego, owiana pewnego rodzaju nimbem, nieprędko zatrze się w umysłach najszerszych sfer naszego społeczeństwa.

W roku 1896, zaszczycony godnością superiora, przenosi się ks. Badeni do Lwowa. Z prawdziwą radością ujrzano w murach stołecznych uczonego i czynnego męża. Niejeden wróżył wielu gorącym sprawom — zaniedbanym dotąd lub zapomnianym — rozwój piękny, wiedząc dobrze, że Badeni na właściwe skieruje je tory.

I nie zawiedziono się na ruchliwym kapłanie: dzięki jego inicjatywie powstaje katolickie pismo robotnicze; rozpoczyna swoją pocziwą działalność wielki dziennik polityczny; zawiązują się »Przyjaźnie« i »Jedności«, słowem: powiew jakiś zdrowy przeleciał nad kotłową nadpełtwiąską, ożywiając uspione dotąd pragnienia i zamiary ludzi dobrej woli, ale mniej może przedsiębiorczych, posiadających mniej inicjatywy i pewności siebie.

Niestety pobyt ks. Badeniego we Lwowie trwał nazbyt krótko. Kraków, rozstawszy się z żalem ze swoim misjonarzem, skorzystał z pierwszej, nadarzającej się sposobności, by go nam zabrać na zawsze. Oto w pierwszych dniach kwietnia 1897 r. wraca ks. Jan nad Wisłę jako prowincyał O. O. Jezuitów; zasiada ponownie za biurzem redakcyjnym »Przeglądu powszechnego«; rzuca się w wir działań i pracy społecznej, z której usunąć się mu każe groźna choroba, zakończona niestety śmiercią.

Zgromadzenie O. O. Jezuitów nieprędko zapomni o tym, który dla niego z takim pracował zapałem; bronz i marmur przypominać będą imię zmarłego następnym pokoleniom, ale najtrwalszy pomnik wzniosł sobie ks. Badeni z własnych dzieł, które poważna, bezstronna krytyka oceniała oświadczając nader przychylnie, z prawdziwym zadowoleniem podnosząc ich tak wybitne zalety.

Dwa zbiorki pod wspólnym tytułem »Między Słowianami«, (Serya I. i II.), cieszyły się ogólnem uznaniem. Zbyteczna dodawać, że są to wyborne opisy wspomnianych już wycieczek ks. Badeniego. Nie zapomniat też ksiądz Jan wielkich zasług dwóch ponad zwykłą miarę wykształconych kapłanów, kreśląc barwne i wyczerpujące monografie ks. Stanisława Chołoniewskiego i ks. Karola Antoniewicza. Rozprawa p. t. »Radykali ruscy«, zaznajamia znowu czytelnika z działalnością ruchliwego stronnictwa galicyjskiego. Napisana we właściwy ks. Badeniu sposób, czyta się jak powieść lub prawdziwie zajmująca gawęda historyczna; znalazła się też bezsprzecznie w rękach wielu ciekawych. »Obrazki z krakowskiej nędzy«, — o ile wiemy — formalnie rozchwytywano, a trzytomowe, przed kilku miesiącami do skutku doprowadzone zbiorowe, ale niekompletne wydawnictwo »Studyów i Szkiców« ks. Badeniego, świadczy najlepiej, kogośmy postradali i jak droga sercom polskim przybywa na ementarzu krakowskim mogiła.

Zgon księdza Jana Badeniego ma znaczenie straty publicznej — krajowej...

Michał Rolle.

Odznaczona w r. 1894 honorową nagrodą o. k.
Ministerstwa handlu

LWOWSKA FABRYKA ASFALTU
i tektur do krycia dachów
SZELIGI-ŁYSZKIEWICZA

inżyniera,

Lwów, ulica św. Marcina I. 29.

poleca:

ASFALTOWĄ MASĘ

w gorącym stanie do izolowania murów fundamentowych

TEKTURĘ ULEPSZONĄ OGNIOTRWAŁĄ

do krycia dachów wysokich gatunków, rola 10 metrów
od 2 zł. do 3 zł. 50 ct.

Asfaltowe elastyczne Płyty izolacyjne.

Lak asfaltowy świecący

do konserwacji dachów tekturowych żelaza i drzewa.

SMOŁĘ ANGIELSKĄ BEZWODNĄ.

osusza asfaltem najbardziej zawilgocone
ściany w mieszkaniach.

FABRYKA

Niszczy gorącym asfaltem grzybek drzewny.

Fabryka wykonywa swoimi ludźmi pokrycia
dachowe, tekturowe oraz reperacye tychże.

Długoletnią trwałość poręcza się.

**Towarzystwo
wzajemnego kredytu
w Krakowie**

wypłaca swym członkom począwszy
od dnia 2. stycznia 1899 r. od udziałów
wpłaconych przed dniem 1. pa-
ździernika 1898 r.

4 procent

jako zaliczkę na dywidendę za r. 1898
w kasie Towarzystwa w Krakowie i w Fi-
lii we Lwowie za okazaniem książeczki
udziałowej.

Kraków, dnia 16. grudnia 1898.

DYREKCYA.

Fabryka założona

w roku 1782.

J. A. BACZEWSKI

C. i K.

DOSTAWCA NADWORNY.

C. k. uprzyw.

RAFINERYA SPIRYTUSU**FABRYKA****najprzedniejszych likierów, rosoli-
sów, wódek polskich i rumu**

poleca

WYSZCZEGÓLNIONE NA WYSTAWACH ŚWIATOWYCH:

LIKIERYnajdelikatniejsze, równo-
rzedne
z pierwszemi markami
francuskimi**NALEWKI**z najszlachetniejszych
owoców**Wódki żytnie****STARKE**

w różnych rocznikach

Najczyściejszy, rektyfikowany

SPIRYTUS na NALEWKI

ESPRIT DE VIN, MARQUE D'OR

Najmniejsza przesyłka pocztowa o wadze 5 kg. zawiera 2 całe flaszki
w skrzynce, względnie 5 litrów w blaszance.

Handel delikatesów i win

MUSIAŁOWICZ & JANIK

we Lwowie, ul. 3-go Maja

w dawnym gmachu Kasy Oszczędności naprzeciw hotelu Imperial

z komfortem urządzone

Pokoje Gościnne

do śniadań i kolacyi

(OSOBNIE GABINETY)

Doborowe zimne i gorące przekąski

przez cały dzień do nocy.

ZNAKOMITE PIWO PILZNEŃSKIE

ORAZ

wielki wybór win krajowych
i zagranicznych.

Majonesy, Auspiki, Galantyny, Pasztesy i t. d.

I R I S

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(Organ Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie)

wychodzi co miesiąca w zeszytach

zawierających od 2 do 3 arkuszy druku.

W najbliższych zeszytach umieszczone zostaną utwory: Stanisława i Władysława Bełzów, dra Adama Bełcikowskiego, Bolesławicza, dra Aleksandra Czołowskiego Seweryny Duchieńskiej, śp. Andrzeja hr. Fredry, X. Jana Gnatowskiego, dra Ludomira Germana, dra Michała Greka, T. T. Jeża, Izydora Kuncewicza, Anny Neumanowej, Zdzisława Onyszkiewicza, dra Kazimierza Ostaszewskiego - Barańskiego, Leona Popławskiego, Adama Pługa, Franciszka Rawity-Gawrońskiego, Michała Rollego Kazimierza Rojana, Stanisława Rossowskiego, dra Stanisława Tomkowicza, Aurelego Urbańskiego, Jana Zacharysiewicza, Zawrata i Franciszka Zwilkońskiego.

Artykuły nadsyłać należy pod adresem Stanisława Schnür-Pepłowskiego, Lwów — ul. Mickiewicza 11.

Pf

293

Warunki przedpłaty.

W Austro-Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przesyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie
od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt III.

Marzec 1899 r.



WE LWOWIE
NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
Z DRUKARNI E. WINIARZA

1899
· <http://rcin.org.pl>

TREŚĆ.

	str.
I. »Nasza Mołytwa« przez Stanisława Schnür-Pepłowskiego	103
II. »Warchoł«, poemat desperata, (urywek), Aurelego Urbańskiego	105
III. »Abu-el-Hol«. (»Ojciec strachu«). Baśń arabska o »Sfinksie« przez Annę Neumanową	107
IV. Co to jest człowiek? przez Ks. J. Nuckowskiego T. J.	114
V. Kartka Goethego ofiarowana Mickiewiczowi przez Władysława Belzę	114
VI. Sfinks, wiersz A. N.	118
VII. Notatki z Krakowa przez Kazimierza Czapelskiego .	119
VIII. Malarstwo i rzeźba	122
IX. Muzyka	125
X. Teatr	136
XI. Literatura	145
XII. Z Koła Literacko-Artystycznego	145
XIII. Kronika żałobna	146

Od Wydawnictwa.

Szanownych Prenumeratorów kwartalnych
upraszamy uprzejmie o rychłe odnowienie
przedpłaty.

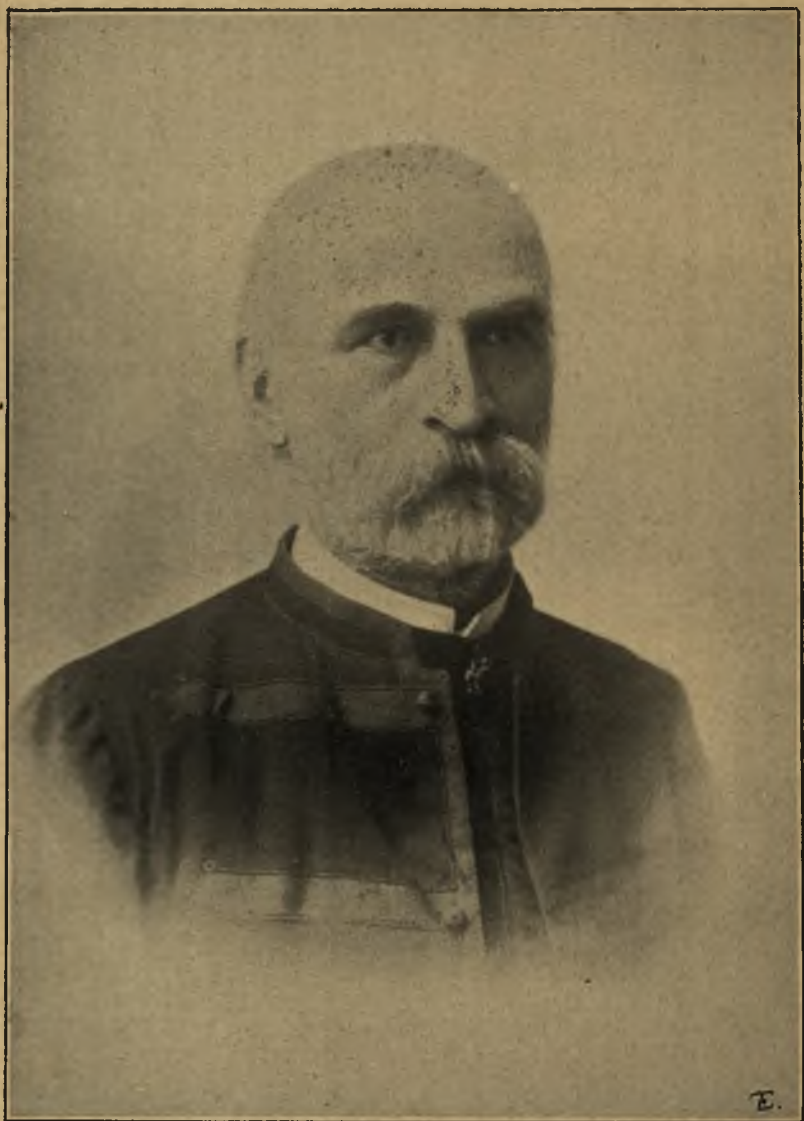
TREŚĆ.

I. »Nasza Moltwa« przez Stanisława Schnür-Pepłow.

str.

XIII. Kronika żałobna

146



Platon Kofler

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro,
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt III.

Marzec 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z Drukarni E. Winiarza

1899.



PI 293

»Nasza Mołytwa«.

Wo imia Otca i Syna,
To nasza Mołytwa:
»Jako Trojca, tak jedyna,
Polszcza, Ruś i Łytwa!«

W marcu r. b. lwowski świat dziennikarski święcić będzie rzadką uroczystość, jubileusz czterdziestoletniej, pełnej zasług i chluby pracy dziennikarskiej Platona Kosteckiego. Atoli dziekan naszej prasy nietylko jako publicysta dzielnie się zasłużył sprawie narodowej, lecz w młodszych latach, zanim trudy i troski zawodowe ubieliły jego skronie, uderzał często w struny poetyckiej lutni i przemawiał do ziomeków mową wiązaną w polskim i w ruskim języku. Bo też w przededniu styczniowego powstania, gdy Kostecki rozpoczynał zawód dziennikarski, wielkiego zaiste polotu myśli, bogactwa fantazyi a przytem hartu ducha i siły woli było potrzeba, by poświęcić się pracy tyle niewdzięcznej, darzącej jej adeptów nędzą i kajdanami, jaką była publicystyka galicyjska owej doby. Chwila to była przełomowa. Uspione do niedawna życie narodowe w naszym kraju rozbudziła już wojna włoska, a dolatujące z dali, fantastyczne na poły wieści o wyprawie Garibaldeggo na Neapol i Sycylię działały podniecająco na wrażliwe umysły młodzieży. Demonstracye warszawskie, pogrzeb jenerałowej Sowińskiej, nieprzychylne usposobienie ludności tamtejszej podczas zjazdu monarchów, listopadowe wreszcie u Karmelitów nabożeństwo, wywołały cały szereg demonstracyi na bruku lwowskim. Wychodziły one z redakcyi *Przeglądu Powszechnego*, w skład której Kostecki się zaliczał. Redaktorowie *Przeglądu* pierwsi w naszym mieście przywdziali rogatywki i czamarki, a nie bacząc na grożące im kary, dzielnie walczyli piórem w obronie idei narodowej. Kostecki wskazywał pierwszy w szpaltach tego pisma na nurtujące wśród galicyjskiego społeczeństwa prądy moskalofilskie i z prawdziwie młodzieńczym zapałem walczył z niemczyzną, wszechwładnie rozpierającą się w wszechnicy lwowskiej. Przeplacił swe wystą-

pienie dwumiesięcznym więzieniem, na które został skazany, wraz z wydawcą *Przeglądu*, z ś. p. Hipolitem Stupnickim. Stając przed trybunałem, wiedział z góry nasz poeta, że kara go nie minie i dlatego kończąc swą obronę, wypowiedział w sali rozpraw te pamiętne słowa: Wiem, że będę skazany, ale wiem jeszcze lepiej, że za dwa lub trzy lata najdalej uniwersytet lwowski nie będzie niemieckim...

Podczas pobytu w więziennych murach zebrał Kostecki wszystkie swe utwory ruskie, rozrzucone w rozmaitych pismach i wydał je w książkowej edycji, lecz największy rozgłos na całym obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej zdobyła mu »*Nasza Mołytwa*«, powstała w połowie maja 1861 r. — »Pierwsza jej strofa spadła na mnie i tak reszta strof« — opowiada w udzielonej nam łaskawie notatce sędziwy pieśniarz. — »Nie wywołał jej żaden wypadek polityczny, żadne życzenie obce. Była we mnie od pierwszej chwili mojej świadomości. Tak jak w maju 1861 r. mogłem ją spisać na kilka lat przedtem, albo też dopiero teraz. Była mi poprostu podyktowaną z góry w owej dobie tak pamiętnej. Ja sam ani przez sen nie przeczuwałem, jakie ona wyrwie wrażenie...«

Jednym z pierwszych, wobec którego poeta odczytał swój utwór, był ś. p. Mieczysław Romanowski. On też zajął się ogłoszeniem wiersza w *Dzienniku Literackim*, gdzie »*Mołytwa*« pojawiła się w dniu 17. maja t. r. Wrażenie, jakie wywarła, było potężne. Imię młodego pieśniarza stało się głośnie daleko za granicami Galicyi. Zasypywano go prośbami o autografy »*Mołytwy*«, ilustrowano poemat muzyką. I dziś po latach wielu, choć zmieniło się wiele w ustroju naszym politycznym, choć pierzchło niejedno złudzenie, gdyby senna mara, słowa »*Mołytwy*« brzmiały równie potężnie, podniosłe a prawdziwie, jak ongi w zaraniu świętego boju o niepodległość Ojczyzny. Cześć więc serdecznemu jej piewcy, który w ciągu pracowitego, długiego żywota, nigdy nie sprzeniewierzył się głoszonemu w »*Mołytwie*« hasłom. Cześć bratu Rusinowi, który pocziwie a wytrwale służy wspólnej sprawie narodowej!

Stanisław Schnür-Pepłowski.



WARCHOŁ.

(Poemat desperata).

(Urywek).

Z pieśni siódmej:

»ZMIERZCH I JUTRZNIA«.

.

LXVI.

Nagle — źrenicy podchwyca mi strzałę
 Dwa cienie. Z ziemi ku niebu wytrysły
 Wielkie, potężne, szlachetne, wspaniałe.
 Dziwnie mi słodko rozmarzyły zmysły
 Białe te widma, posągi dwa białe,
 Co z mgieł wykute w przestworzu zawisły.
 Promieni jasny snop, padając z góry,
 Greckie ich złościł, klasyczne kontury.

LXVII.

Widzę go. Starzec. keść z kości rycerzy;
 Wieków sędziwość włos mu śniegiem sprósza.
 Rosły i dumny, jak dąb Białowieży,
 Z fantazją wylot zarzucił kontusza.
 Na piersi ryngraf. W kord i w Boga wierzy —
 A wsze pospółstwo harda depce dusza.
 Wzrok niema skargą ku zenitom strzela;
 W garści: Puławskich martwa karabela.

LXVIII.

Siwca skroń, ni to pergamin pocięty,
 Na krzyż w głębokie pokrajana blizny;
 Ciężkich terminów owo dokumenty,
 Ofiar i zasług bujny plon a żyzny.
 Krew dał — i wszystko Sprawie oddał Świętej,
 Bił się — »szlacheckiej« obrońca Ojczyzny,
 A służalczy mi gardząc suplikanty,
 »Z wrogiem przenigdy nie chadzał w aljanty«.

LXIX.

Przed nim zaś młodzian — chłop w zgrzebnej koszuli,
 Świtką potulny, krakuską junacki.
 Cierniem koleczastym do skiby się tuli
 I piędzi ziemi nie da wydrzeć lackiej;

Lubo szatani żgali go i szczuli,
 Lwem, nie hyeną, wyjdzie z ich zasadzki —
 Boć Matki Bożej obraz mu proporcem,
 A mieczem jego: kosa, wbita sztorcem.

LXX.

Twarda opoką chłopek on bez zbroi;
 Młot jej nie skruszy, śruby jej nie zgniotą.
 Gdzie kord popryśkał — leziesz tam dostoi,
 Żelazo wytrwa — kędy zmiękło złoto.
 W oporze chamskim, w chamskiej Wierze twojej,
 Nowa kiełkuje Polska, o Heloto!
 I pięść odbierze gruba, spracowana,
 Co białe ręce zmarnowały pana.

LXXI.

Był ci szlachetka — nowej zwiastun pieśni —
 Wódz, duchem magnat, acz w chłopa sukmanie.
 Czemuż tak późno?... Ha, czemuż nie wcześniej
 Grzechu to zmycie, z próchna to powstanie?...
 Wiek jeno rychlej — a z rozkładu pleśni
 Życia-by nowe trysnęło zaranie —
 I dziś dwa widma nie stały-by luźno,
 Jak dwa upiory.. Ah, czemuż zapóźno!

LXXII.

Ot, i dziś czujnie mierzą się oczyma,
 I skarg szelesty mgieł powiewy niosą;
 Pan — mordy wietrząc, brzeszczota się ima,
 Chłop — wietrząc zdradę, pobrzękuje kosą.
 Lecz pękna lody... i odtaje zima..
 I maj rozkwitnie... i miłości rosą
 Oczy przemije... i ty przejrzyśz, chamie —
 I ty, staruchu! — Staną ramię w ramię.

LXXIII.

Marjackie w duszy zagrały mi dzwony
 I rozgorzała słońcem jej ciemnica —
 I pochyliłem barki rozmodlony,
 W chmurne zapatrzon zapaśników lica.
 Bar mignął w dali... Raćławic zagony..
 I u stóp chłopa ległem, i szlachcica.
 Spalone ku nim wyciągnąłem dłonie —
 Nad nimi Orzeł ważył się w koronie.

LXXIV.

I w białych duchów patrząc twarze obie,
 Kamieniem rzucon, jak mnichy się korzą,
 Już nie w potrójnym widziałem Ja grobie,
 Lecz żywą — Wielką — Promienistą — Bożą.
 Przeszłości żegnaj relikwjo... Cześć tobie!
 Witaj przyszłości [świtająca zorzo!...
 Krzyżem rozpięty, upojenia głazem
 Korny ja'm leżał — i dumny zarazem.

LXXV.

O Matko! Twarde całuję Twe pęta
 I płacz mój tłumię u zwiędłego łona.
 Wyszłe Twe piersi wilcze ssą szczenięta,
 A ich łateczką zdarta Twa korona.
 O ty, bez Nieba okrawka — wykleta,
 O Ty, bez ziemi strzępka — wywłaszczona,
 Niech łez Twych jady, tych ssących, dosyca!
 Kocham Cię, Matko — nędzna niewolnico.

LXXVI.

Kocham Cię, Matko, gdy bolem wspaniała
 Wpitemi w kości potrząsasz kajdany;
 Kocham, gdy strupy oddzieraszą od ciała,
 By katom świeże uragały rany;
 Kocham, gdy-ć oko płomieniami pała,
 A od twych kopnięć drżą więzienia ściany;
 Kocham — ah, boś mi nad zbawienie droga,
 I w śmierć nie wierzę — i w bezsilność Boga.

LXXVII.

Lecz jeśli Grachów macierz, i Judyta,
 Barwiczką krasi posiniałe lica,
 I uśmiech kłamie, zalotna choć bita,
 I baty liże jak spasiona lwica,
 I skomlać, w twarzy pana swego czyta,
 Jak za pieniądze kupna nałożnica —
 Ohydnie-ś wstrętna.. ah, i gardzę płochą
 Nie już jak matką — ale jak macochą.

Aureli Urbański.



„Abu – el – Hol“.

(Ojciec strachu).

Baśń arabska o „Sfinksie“.

»Cały świat drży przed
 technieniem czasu, ale czas
 legł sam drżący u stóp
 »Sfinksa i Piramid«.

(Przysłowie arabskie.)

Skwarny »chamsin« szaleje w pustyni Libijskiej; ta bezgraniczna przestrzeń zazwyczaj spokojna, martwa i jasna, stała się nagle pełną ruchu i grozy, ponurą i niespokojną jak morze wichrami wzdęte.

Drobny a gęsty pył, pasując się i szamocąc z huraganem, to unoszony w górę, tworzy nieprzejrzone zasłony, to znów gwałtowną a gorącą ulewą opada na rozpaloną ziemię, która jakby w strasznym śnie gorączkowym, miota się i dyszy płomiennem technieniem.

Zachodzące słońce przeziera czerwonym światłem, jak gdyby olbrzymi, żarzący węgiel z za obłoków kurzawy i krwawe smugi zostawia za sobą.

Skaliste wyżyny i piaszczyste wydmy pustyni buchają żarem jak rozpalone ogniska; raz po raz wichry uderza o nie z podwójną wściekłością, szarpiąc i rozrywając miękko ich ciała, radby rozszarpać całą ziemię, od której Allah znać w gniewie swym odwrócił oblicze, rzucając ją na pastwę »Szejtanom«, duchom zniszczenia.

U stoku skalistego wzgórze, na którym rozparły się piramidy i grobowce starożytnego Egiptu, u podnóża Sfinksa co kamienną żrenicą strzeże ich tajemnic, stało trzech podróżnych, których skwarna zawieja napadła w pustyni. Jeden z nich płaszcz czarny opasał w koło bioder a jaskrawą »kufję« nasunął na twarz dla ochrony od wichru; oczy tylko błyszczą z pod niej czarne, świecące jak u drapieżnego ptaka.

Strój cały i postać gibka zdradzają w nim Beduina.

W drugim podróżnym na pierwszy rzut oka poznać można Europejczyka; włos jasny wymykał się z pod słomianego kapelusza, przewiązanego grubym szalem, opasującym kark i szyję a zakrywającym usta przed tumanami kurzu. Zsunął on się niezręcznie z osiołka, na którym przybył i z trudem postąpił kroków parę, pasując się z wichrem, który zasypywał mu żwirem oczy i o mało nie obalił na ziemię.

Uwolnione od jeźdźców osiołki, wsunawszy się między głazy sterujące tu i ówdzie, ułożyły się na ziemi i lby zaryły w piasek.

Za ich przykładem poszedł i trzeci podróżny, był nim mały chłopak arabski, poganiacz osłów; legł on dysząc na piasku, zarzuciwszy na głowę niebieską »galabije«. Bronzowe ciało przezierało z pod odartych płóciennych szarawarów, spadających na chude, żylaste, cienkie łydki chłopaka.

»Achmedzie« odezwał się ochrypłym głosem, młody Europejczyk, »spróbujmy przebyć jeszcze tych kilkadziesiąt kroków do osady Gizeh«. Beduin odchrząknął i splunął, nie mogąc z wyschlętego gardła słowa wydobyć.

»Chawage« — rzekł wreszcie — »nie sposób iść dalej, patrz na osiołki nasze, żadna siła w świecie nie zmusiłaby je do dalszego biegu, ratujmy się co prędzej, znam tu podziemne przejście do jednego z grobowców, tam się skryjemy i doczekamy z wolą Allaha dnia jutrzejszego.

Młody turysta zaklął po francusku ale nie czuł się na siłach, aby stawić opór, tembardziej, że burza z podwojoną wściekłością podniósłszy z pod stóp podróżnych słupy kurzawy, zakręciwszy nimi w powietrzu, cisnęła je gorącą ulewą na głaz granitowy, o który byli oparci.

W tejże chwili czerwony odblask słońca krwawą chmurą zamigotał na widnokregu i straszną jakąś łuną oświecił zawój czoła Sfinksa, którego twarz olbrzymia, spokojna, uśmiechnięta, patrzeć się zdawała szyderczo na stojące, karłowate postacie podróżnych.

Młody Europejczyk spojrział w górę i oczu oderwać nie mógł od tych rysów kamiennych, okolonych purpurowym zawojem i wieńcem krwawych płomieni.

Zdawało mu się, że te powieki granitowe mrugają nań i że nad Sfinksem unosi się w górze jakaś postać z rozwianym, płomiennym włosem i ku niemu rękę wyciąga.

»Ya! mejdun! ya szejtan!«¹⁾ krzyknął strasznym głosem Achmed i runął jak długi na ziemię. Schylił się szybko młodzieniec chcąc ratować Beduina, ale Arab jęczał tylko i wiał się jakby w bólu lub w szale, powtarzając nieustannie Abu-el Hol, abu-el-Hol, (ya Allah! ya Salahn!)«.

Achmedzie! na miłość boską wstań! chodź! prowadź! bo wicher zasypie nas tutaj, usta mam pełne piasku, język przysechł mi do podniebienia. Ratujmy się póki czas.

Podniósł się Beduin, szepcząc ciągle ciche skargi i zaklęcia, kufiją przysłonił lepiej oczy i twarz odwrócił od Sfinksa; potem drżącą rękę podał młodzieńcowi i powiódł go kilkanaście kroków dalej, do jednego z rozwalonych grobowców, którego ściany sterczały nad falami piasku; w głębi widniał otwór ciemny, jak gdyby głęboka w skałach rozpadlina.

Z najwyższą trudnością, pełzając, przecisnęli się podróżni nasi w głąb podziemia, otwór zwężony u wejścia rozszerzał się w głębi co raz to bardziej, tak, że wkrótce mogli stanąć swobodnie i rozglądnać się dokoła. Początkowa ciemność nie dozwoliła im nie rozróżnić; powoli dopiero oswoiwszy z nią oczy poznali, że są w obszernej, sklepionej komnacie; ściany pokryte były gdzieniegdzie na wpół zatartymi hieroglifami, sklepienie zdobiły gwiazdy z kamienia wyrobione i sztucznie emalią zieloną powleczone; przez wąskie w sklepieniu wykute otwory, padało nieco światła dziennego a z niem wkradał się gorący oddech Chamsinu.

Dokoła leżały odłamy granitu i oderwane kamienie.

Młody Europejczyk, stanąwszy w środku komnaty, odzyskał wnet całą swą energię, otrząsnął się jak kot z pokrywającej go warstwy kurzu, usiadł wygodnie na ziemi i odpocząwszy nieco sięgnął do skórzanej sakwy, którą przed nim mały Arabek położył.

Wydobywszy glinianą »gulle«, pełną wody, z roskoszą ugasił pragnienie i podał ją towarzyszom, poczem wyciągnął chleb, sól i mięsivo i ofiarując jadło Arabom, rzekł śmiejąc się: No! Achmedzie posił się i powiedz mi, dlaczego tak się przeląkłeś tej czerwonej chmury nad Sfinksem? co ci się stało? przecież musisz być przyzwyczajony do zjawisk podobnych, Pfe, nie sądziłem, żeście tacy tchórze!

Beduin nie odpowiedział nic w pierwszej chwili, tylko chwyciwszy szczyptę soli²⁾ rzucił ją za siebie szepcząc znowu jakieś zaklęcia, w czem mu teraz i mały przewodnik wtórował. »Panie« rzekł wreszcie »i najmężniejszy wależyć nie może z duchami. Ta głowa, którą wy nazywacie Sfinksem, jest dziełem i mieszkaniem »Szejtana«. On to w strasznych

1) »Ya! mejdun! ya szejtan!«, (»ach zły duch! ach szatan!«).

2) Sól uważana jest jako środek skuteczny przeciw czarom i służy do okupienia się duchom.

godzinach chamsinu ziemię w piekło zamienia; on to ze szczytu piramidy w postaci cudnej, złotowłosej kobiety wabi i ńci podróżnych, na ich zgubę.

My nazywamy Sfinxa »Ojcem strachu«, bo kto nad tą straszną głową obaczy zawój krwawy, ten jako morderca nóż w cudzych pierśsiach utopi, albo gwałtowną śmiercią zginąć musi. Allah sam nie wyrwie go z rąk Dżinnów.

I spuścił na pierś głowę Beduin patrząc z podełba przenikliwym wzrokiem na Europejczyka, ale ten rozśmiał się wesoło: Słuchaj Achmedzie, więc podług twojej wyroczni jeden z nas zginąć albo zamordować kogoś musi. Strzeż więc twojej skóry, ja zaś mam zamiar, zanim się spełni twoje prorocstwo, wyspać się doskonale.

To mówiąc ułożył się do snu a po chwili spokojny jego oddech wtórował chrapaniu małego przewodnika. Małe pasemko światła, wciskające się przez szczelinę, padało wprost na śpiących.

Ze zdziwieniem i gniewem patrzył na nich zabobonny Beduin; w duszy jego budziła się nienawiść do tego giaura, który śmiał urągać się potędze Dżinnów, podczas gdy jemu w myśli straszne widma się snuły. Nie wątpił ani na chwilę, że straszna wróżba spełnić się musi. Wszak rok ledwie temu krewny jego Mohamet ujrawszy Sfinxa w krwawym zawoju zginął tegoż dnia wskutek ukąszenia szkorpiona; który więc z nich dziś pierwszy padnie ofiarą? Może Dżinny zadowolnią się śmiercią tego giaura... W teże chwili wzrok jego padł znowu na śpiącego i oderwać się nie mógł od małego przedmiotu, szarzejącego na białej koszuli Europejczyka. Była to mała, na rzemyku uwiązana torebka, która z pod rozpiętego tużurka się wydobywała. Oczy Beduina zamigotały chciwością: wszak ten giaur i tak musi zginąć, czyby nie lepiej przywłaszczyć sobie jego mienie, zanim to uczyni kto inny. Niełatwiejszego jak uchwycić tę torebkę, odciąć zębami rzemyk i umknąć... I patrzył ustawicznie na ten mały przedmiot, chociaż nie mógł go już rozemnać dobrze, gdyż ciemność zaległa powoli komnatę. Noc pochłoneła tę odrobinę światła, które wciskało się do wnętrza grobowca. Łoskot burzy, szalejącej w pustyni, odbijał się głuchem echem o mury grobowca, jakby szum dalekiej ulewy.

Beduin nie mógł znaleźć spokoju; na kolanach przypelznął w stronę, w której leżał uspiomy Europejczyk, przez chwilę słucał jego oddechu, poczem ostrożnie wysunął rękę, chcąc namacać rzemyk od torebki. W tej chwili jednak uczuł, że śpiący położył rękę na torebce i że ta ręka zadrżała a westchnienie silniejsze dobyło się z piersi śpiącego; pełzając powrócił więc na dawne miejsce i twarz przysłonił płaszczem, bo mu się zdawało, że jakieś postacie chwytają go i ciągną w stronę uspionego.

Po jakimś czasie jednak podsunął się znowu jak lis do swej ofiary; tym razem udało mu się chwycić rzemyk od torebki. Schylił się, by go zręcznie przegrysć, ale jednocześnie uczuł, że ręka Europejczyka chwyla go za ramię.

»Złodzieju! Zbójco!« zaszczał młody podróżny. I wszczęło się w ciemności straszne szamotanie i pasowanie się tych dwóch ciał. Europejczyk młody był i sprężysty, ale Beduin, silny, muskularny, powalił się na niego całym ciężarem ciała; kolanami parł mu piersi i gniottł żebra aż łamały się pod nim, a chwyciwszy za gardło dusić zaczął. Młodzieniec bronił się całą siłą rąk i nóg, paznokcie wpił w ramiona Beduina, szarpał nimi twarz napastnika; zębami schwytał duszącą go rękę, ale Achmed choć dyszał mocno i syczał z bólu, choć krew buchająca z ust i nozdrzy duszonego, załapała mu palce, nie oderwał rąk od gardła. Co raz krótszy a chrapliwszy oddech, co raz straszniejsze rżenie dobywało się z piersi konającego. W końcu chrapanie zmieniło się w gwizd przeciągły, coraz to słabszy — młodzieniec przestał się bronić, ciało jego drgało jeszcze przez chwilę, Beduin puścił wreszcie swą ofiarę... martwą. Powstał z trudnością, wydzierając się przemocą ze stygnących objęć zabitego; zdobytą torebkę ukrył w zanadru; wreszcie stanął, aby oprzytomnieć i obolałe, poszarpane członki wyprostować. Nagle głos jakiś odezwał się żałośnie w pobliżu.

»Achmedzie! przez proroka! — nie czyni nic złego młodemu Panu — zaklinam Cię. On dobry, on chleb i sól dzielił z Tobą — on nas złotem¹⁾ dannarami nagrodzi.«

Był to mały przewodnik, zbudzony szamotaniem się i jękami walczących, podsunał się do nich i nie widząc w ciemności, co się dzieje, dorozumiewając się tylko, że była to krwawa bójka, począć błagać o litość Beduina, drząc o własną skórę i o wynik walki.

»Uskut el Kālb!²⁾ cicho psie jakiś! krzyknął Achmed wściekły, schyliwszy się podniósł kamień, o który potknął się był przed chwilą i cisnął nim na oślep w stronę, z kąd głos się dał słyszeć. Rzut musiał być dość trafny, bo krzyk przeraźliwy i bolesne łkanie rozległy się w ciemnicy.

Achmed tymczasem z wyciągniętą naprzód ręką szukał wyjścia a w tejże chwili promień księżycy przedarł się przez szczelinę; snąc burza przestała szaleć w pustyni. Spojrzał Beduin i ujrzał nad sobą oczy Sfinxa, wpatrzone w otwór grobowca. Zadrzał morderca, zdawało mu się, że ta twarz olbrzymia przybrała rysy tamtego... zamordowanego... rysy złowrogie, wykrzywione kurczem śmierci.

Ze spuszczoną w dół głową, czując na sobie nieubłagany wzrok kamiennego potwora, wydobył się wreszcie Beduin z głębi grobowca i stanął w pustyni. Noc była teraz cicha i jasna, chamsin ustał zupełnie, smugi srebrnego światła drżały w błękitnym, czystym powietrzu⁴⁾

¹⁾ Arabowie w Egipcie nazywają pieniądze »Dannary« z włoskiego »denaro«, pieniądź.

²⁾ »Uskut el Kālb«, (Cicho psie).

³⁾ Arabskie przysłowie mówi: »Nie uczynisz krzywdy temu kto z Tobą chlebem i solą się dzielił, bo i pies nie szarpie ręki, co mu jadło podaje«.

⁴⁾ Chamsin trwa czasem dzień lub dwa, czasem tylko parę godzin, następuje potem zmiana kierunku wiatru i prawie nagłe powietrze staje się czyste i świeże.

a ziemia po przybytych walkach drzemała senna pod strażą gwiazd złotych. Złamany i bezsilny usiadł Achmed na jednym z granitowych głazów rozrzuconych dokoła, co chwili przecierał czoło, bo sądził, że sen go trapi, — ale nie... to nie sen był... czuje jeszcze jak ciało Europejczyka wije się pod jego żelazną ręką, jak drga i dyszy... I widzi, jak przychodzą ludzie szukać zabitego... jak gonią za mordercą a ten, morderca to on... Achmed. Ależ pustynia przed nim szeroka, cóż łatwiejszego jak umknąć tam... w dal... kędy stopy ludzkie i oczy ludzkie nie dosięgną winowajcy... Wszak ma złoto, wiele złota, więc może iść w świat daleko... Ach kiedyż bo tam w zagrodzie powrotu jego czeka rodzina, czeka pieśczoży i hojnego »bakszyszu«, czeka nań ojciec stary z włosiem białym jak skrzydło mewy, drżący jak gałąź palmy suchej i ten ojciec bezradny jak dziecię, wyciągający rękę 10 grosz przyniesiony przez syna żywiciela, szeptać będzie żałośnie: »Synu« czemuś sen cichy odebrał na wieki strudzonym moim powiekom?*)

Zerwał się Beduin, chciałby biedz w dal i umknąć przed straszonymi widmami, co szarpiały mu serce, ale jakiś ciężar przygniata mu stopy, gorączka pali mózg i piersi, piramidy, grobowce i gruzy zaczynają wirować dokoła i coraz ciasniejszem zamykają go kołem. A oto i Sfinx ruszył się z podstawy skalnej i idzie ku niemu zwolna, z nieruchomemi, otwartemi oczami, z szyderczym uśmiechem tryumfu, idzie jako wróg nieubłagany...

Szał i rozpacz ogarnęły mordercę, stanął do walki, nogi wparłszy w piasek, oczyma mierząc się z wrogiem; chwycił błyszczącą siekiere, porzuconą na skale przez robotników, pracujących przy wykopaliskach i z nadludzką siłą cisnął ją w górę w twarz Sfinxa.

Gwizdnął topór w powietrzu i spadł odbity od twardej opoki, jednocześnie jednak Arab siłą rzutu wstecz pehnięty, zatoczył się w tył i runął uderzając głową o twardy granit.

Raz jeszcze zsiniałe usta otworzyły się jakby westchnieniem, ciało podniosło się gwałtownie i opadło martwe, a oko rozwarło się szeroko, wpatrzone nieruchomie w cichy, spokojny szafir nocny.

* * *

Nad pustynią i jej grobami, słońce zbudziło się jaskrawe, gorące i otrząsając z promieni, złote iskierki światła i ciepła, napełniło nimi powietrze.

Tęczowe barwy zorzy stopiły się na widnokręgu w jasne, opalowe blaski; błękit nieba, przepojony światłem, stał się przejrzysty, prawie zielonawy i tylko lekki, liliowy rąbek pozostał nad wydmami piaszczystemi i wzgórzami pustyni. Z nizin Deltę powiew dochodzi świeży, niosąc ożywezy oddech Nilu, woń magnolii i tuberozów i hałaśliwe szepty ptaków.

*) Arabowie mówić zwykli: Ojciec zamordowanego spać będzie spokojnie, ale ojciec mordercy snu nie znajdzie.

Wysmukłe palmy, splukane rosą z wczorajszej kurzawy, powiewają z wolna wachlarzami liści i lekkim witają się szelestem. Zadumane pelikany długim rzędem stanęły nad Nilem patrząc w wodę i słuchając pacierza fal modrych.

Przez aleje wiodące do piramid spieszy gromada Fellahów, robotników, monotonnym śpiewem wystawiając jak zwykle wielkość i wieczność Allaha: »Allah-el Daim« — el Daim Allah« — przeciągłym echem odbija się ta modlitwa o starożytne grzy jako przed lat tysiącami odbijały się hymny czcicieli Ammona. Stanęli wieśniacy na wyżynie u podnóża Sfinxa, aby zasypiane w czasie wiania chamsinu grobowce znów z piasków oczyścić.

Jeden z nich spostrzegłszy leżącego na skale Beduina, trącił go z lekka nogą sądząc, że śpi tylko, widząc jednak, że śpiący nie daje znaku życia, schylił się nad nim i zawołał na towarzyszy.

Zbiegli się tłumnie z głośnymi okrzykami zdziwienia i przestrachu, i poczęli przyglądać się zwłokom na rozmaite wpadając domysły.

Niektórzy z nich z zaboconą trwogą spoglądali na Sfinxa powtarzając z cicha: »Abu-el-Hol, Abu-el-Hol«.

Tymczasem z pośród ruin wypełzła drobna, skrwawiona, obdarta postać małego Araba, przewodnika.

Zwabiony głosami ludzkimi wyczołgał się i kulejąc zbliżył się do mówiących; szybkim, drżącym od łez i trwogi głosem, zaczął on opowiadanie bezładne o całej przygodzie, o skwarnej burzy, o krwawym zjawisku i o spełnionej, przepowiedzianej tem zjawiskiem zbrodni.

Teraz nikt już z obecnych nie wątpił, że złośliwe duchy pustyni przywiodły Beduina do morderstwa i zguby.

Wtem z tłumu zebranego wystąpił siwy, zgrzybiały starzec w stroju Beduina, zwany powszechnie pod imieniem »Ojca pokoju«, (Abu-Solejmana).

Rozstąpili się z szacunkiem wieśniacy, starzec zaś, który już od chwili kilku słuchał opowiadania chłopca, spojrzawszy na leżące zwłoki, których nikt dotychczas nie miał odwagi ruszyć, rzucił się z okrzykiem rozpaczony na to martwe ciało, ale wnet oprzytomniał i szepnął z cicha: »Panie! tyś dał życie, ty jedynie odebrać je możesz, wielka jest potęga Twoja, Allahu!«

Kiedy jednak podnieść go chciano i oderwać od zwłok, krzyknął wściekły: »Precz podłe Fellahy!«

Odstąpili więc wszyscy i zaczęli wydzierać sobie wzajem znalezioną o kilka kroków od zabitego torebkę skórzaną, pełną pieniędzy, o którą wkrótce przyszło do bójki. Nad zwłokami mordercy pozostał tylko mrący z bólu ojciec białowłosy, pozostało słońce jasne, skwarne, bezliźnie patrzące na nędze i zbrodnie ludzkie i pozostała potworna, kamienna postać Sfinxa niewzruszoną, spokojną źrenicą wpatrzona w świt przyszłości, oczekująca lepszego jutra, urągająca burzom czasu i potęgom zniszczenia.

Anna Neumanowa.

*) Koloryt nieba egipskiego jest nadzwyczaj jasny prawie seledynowy.

Co to jest człowiek ?

Anioł jest — on od anioła wyższy, bo ma ciało powszechnej grawitacji podległe, które do śmierci dźwigać, uaniać musi.

Bydlę jest — on stokroć niższy i gorszy od bydłęcia, bo ma rozum, co samą zwierzęcość do wysokiej potęgi podnieść jest w stanie.

Wielki jest — bo może być świadom bezdennej nicości swojej.

Mały jest — bo zazwyczaj wielkość sobie przypisuje.

Mądry jest — bo może poznać głupotę swoją.

Głupim jest — bo mądrym być musi.

Nieomylny jest — bo może błądzić i często błądzi, lecz często też błąd swój odkryć potrafi.

Omylny jest — bo ustawicznie prawdy szukać musi.

Święty jest — bo może się dopuścić najstraszniejszych zbrodni i uznać zbrodnię swoją.

Zbrodniarz jest — bo świętym być może.

Szczęśliwy jest — bo wie, że jest nieszczęśliwy, że szczęścia na ziemi znaleźć nie może.

Nieszczęsny jest — bo on jeden z pomiędzy wszystkich istot na ziemi z całą świadomością gonić za szczęściem ani na chwilę nie ustaje.

Doskonały jest — bo z różnych niedoskonałości w doskonałą całość misternie złożony.

Sprzecznność chodząca, wiązanka sprzeczności — oto jest człowiek.

Ks. J. Nuckowski. T. J.



Kartka Goethego ofiarowana Mickiewiczowi.

Rozwiałą się legendy o złocie piórze ofiarowaniem Mickiewiczowi przez Goethego, o entuzjazmie z jakim stary wieszcz Germanii witał gościa z dalekiej północy; złote pióro okazało się zwykłym, z gęsiego skrzydła, narzędziem pisarskim, a ów entuzjizm zamknął się w granicach kilku suchych notatek, znalezionych w pośmiertnych papierach Goethego, z których ostatnia, pod dniem 31 sierpnia 1829 r., zawiera taką tylko lakoniczną wzmiankę: »Die Polen, (t. j. Mickiewicz i Ody-

AM

ACHT UND ZWANZIGSTEN AUGUST

1826.

Des Menschen Tage sind verflochten,
Die schönsten Güter angefochten,
Es trübt sich auch der freyste Blick;
Du wandelst einsam und verdrossen,
Der Tag verschwindet ungenossen
In abgesondertem Geschick.

Wenn Freundes Antlitz dir begegnet,
So bist du gleich befreyt, gesegnet,
Gemeinsam freust du dich der That.
Ein zweyter kommt sich anzuschliessen,
Mitwirken will er, mitgeniessen,
Verdreyfacht so sich Kraft und Rath.

Von außserm Drang unangefochten
Bleibt Freunde so in Eins verflochten,
Dem Tage gönnet heitern Blick!
Das Beste schaffet unverdrossen;
Wohlwollen unsrer Zeitgenossen
Das bleibt zuletzt erprobtes Glück.

Adrianus
7.28 Aug
1829 *J. G. J. J. J.*

niec), nahmen Abschied¹. I na tem koniec. Ah! prawda: Goethe polecił jeszcze wejmarskiemu malarzowi Schmellerowi sporządzić kredkowy portret Mickiewicza, gdyż »pragnął mieć tak interesującego gościa w swojej kolekcji«. Ale w tej kolekcji znajduje się w muzeum Goethego, w Wejmarze, aż 130 podobnych, mniej lub więcej »interesujących gości«...

Natomiast na Mickiewiczu wywarł Goethe imponujące wrażenie. Jasny i bystry jego rozum, aureola sławy otaczająca to jowiszowe czoło, wreszcie sędziwość wieku, która taką dostojność nadawała niezwykłej tej postaci, wszystko razem złożyło się na to, że Mickiewicz, podczas całego pobytu swego w Wejmarze, był z najgłębszą czcią i uszanowaniem dla Goethego.

Nie chcemy tu powtarzać szczegółów znanych już z »Listów« Odyńca; zatrzymamy się tylko na chwilę przy owym dniu 31 sierpnia, ostatnim z liczby czternastu, które Mickiewicz przeżył w Wejmarze.

W dniu tym Mickiewicz z Odyńcem znajdowali się na wieczornem przyjęciu u synowej Goethego, pani Ottylii. Goethe był w wybornym humorze, czem »odmielony« Odyniec »odważył się« przedłożyć mu prośbę o własnoręczny jego podpis i dwa zużyte pióra, — a tuż stojący Adam dodał, iż to będzie najdroższą dla nich obu pamiątką na całe życie. Goethe nic nie odrzekł, tylko uśmiechnął się i skinął czołem. Przy pożegnaniu, Odyniec ujął »ze szczerem wzruszeniem« podaną sobie przez Goethego rękę i pocałował niżej łokcia, a następnie Mickiewicz pocałował Goethego w ramię.

Już samo to, tak niezwykle korne zachowanie się obu poetów polskich, dokładnie określa ich stanowisko w obec genialnego twórcy Fausta, a zarazem jest świadectwem tego poszanowania, jakie w nich Goethe dla siebie wzbudzić potrafił.

A teraz przytaczamy dosłownie dalszą relację Odyńca: »W die sięć minut, (po opuszczeniu przez Goethego salonu pani Ottylii), wnuk jego starszy przyniósł nam dwie złotobrzeżne kartki, jak do sztambucha, z napisanym już dawniej, jak widać, czterowierszem na każdej, charakterem niemieckim, z podpisem: *Goethe*, na których data tylko dzisiejsza świeżo dopisana była, oraz dwa pióra, odarte z pierza i starannie w kształcie iglicy, cieńszym końcem w rozszcepiony środek włożone. Czterowiersz na kartce mojej jest taki:

Diese Richtung ist gewiss:
Immer schreite, schreite!
Finsterniss und Hinderniss
Bleiben dir bey Seyte ².

Nie miałem w ręku kartki Odyńca, ale informacja jego, że obie zawierały każda po czterowierszu, napisanym charakterem niemieckim,

¹ Bliższe o tem szczegóły, w notatce L. Meyéta pt.: »Z pobytu w Wejmarze«. *Świat* krakowski, zeszyt 14 z 1890 roku.

² »Listy z podróży«. I, str. 244.

jest błędna i stanowi jeden jeszcze dowód więcej, że Odyńiec słynne swoje »Listy z podróży« układał znacznie później, posługując się w ich pisaniu pamięcią i notatkami. Według moich informacyi, nie tylko kartka ofiarowana Mickiewiczowi, ale obie one były drukowane i to czcionkami łacińskimi, a więc zupełnie różne od opisanych przez Odyńca. Na obu miało być po czterowierszu, — tymczasem, jak przekonywa załączona do niniejszego artykułu podobizna kartki Goethego ofiarowanej Mickiewiczowi, zawiera ona 18 wierszy druku, a więc i tu znowu pamięć zawiodła Odyńca.

Takie drukowane, złotobrzeżne kartki, miał Goethe w zapasie dla przyjaciół i znajomych, jako kartki sztambuchowe, które zaopatrywał swoim podpisem i datą, a oprócz Odyńca i Mickiewicza, wielu jeszcze innych szczyć się może z ich posiadania. Wiersz, ofiarowany Mickiewiczowi, napisał Goethe w roku 1826 na dzień swoich urodzin, — a że w podobnej uroczystości, w trzy lata później, brał także udział Mickiewicz, jemu się on dostał jako dnia tego pamiątka. Wiersz ten, za życia Goethego drukowany był tylko na luźnych kartkach, dla jego prywatnego użytku i wszedł dopiero do pośmiertnej edycyi dzieł jego¹.

A teraz co do daty: Odyńiec pisze, że obie kartki były opatrzone datą 31 sierpnia 1829, — tymczasem kartka Mickiewiczowska, choć istotnie w owym dniu mu doręczona, nosi datę 28 sierpnia. Trafne jest, mojem zdaniem, przypuszczenie p. Władysława Mickiewicza, że Goethe może umyślnie antydatował, aby odjeżdżającemu Adamowi przypomnieć dzień uroczystego obchodu, w którym brał udział².

W jednym tylko myli się p. Władysław Mickiewicz, gdy twierdzi, że ojciec jego, do końca życia przechowywał tę kartkę w swoich papierach³. Tak nie jest. W roku 1832, na odjeździe z Wielkopolski, ofiarował on ją na pamiątkę pani Józefowej Grabowskiej z Łukowa, w której domu, naprzód on sam chwilowo a następnie na długie lata brat jego Franciszek, znaleźli gościnne schronienie i serdeczną opiekę. To więc co miał Mickiewicz w owej chwili najcenniejszego przy sobie, złożył tej zacnej Polce w hołdzie wdzięczności i uznania. Obecnie, owa kartka Goethego, wraz z innymi pamiątkami po Mickiewicz, przeszła w darze od hr. Adama Grabowskiego, do zbiorów Zakładu Ossolińskich.

A oto jest wolny mój przekład rzeczzonego wiersza :

Życie ludzkie los przeplata,
Ileż czyha pokus świata,
Co pogodny chmurzą wzrok ;
Idziesz smutny i stęskniony,
Rozważając dzień miniony,
W opuszczeniu wlokąc krok.

¹ Szczegóły te zawdzięczam prof. Dr. Albertowi Zipperowi, wybornemu znawcy literatury niemieckiej. Wiersz ofiarowany Odyńcowi, miał Goethe również wydrukowany na osobnych kartkach, formatu sztambuchowego.

² Żywot Adama Mickiewicza. Poznań, 1892, t. II, str. 46.

³ *Mélange posthumes d' Adam Mickiewicz*. Paris, 1872, pag. 212.

Lecz gdy spotkasz przyjaciela,
Wnet cię radość rozwesela,
Wspólnie z nim się cieszysz wraz;
A gdy przyjdzie drugi, miły,
Wnet się troją twoje siły,
I moc wspólna krzepi was.

W przyjacielskie zwarci koło,
Bez obawy i wesoło,
Spoglądajcie w przyszłe dni;
Twórcie piękno niestrudzenie,
A współczesnych powodzenie,
Trwałem szczęściem stanie się.

Władysław Bełza.



S F I N X.

Legł w pustyni — i czuwa nad ciszą dokoła
Zgasłych wieków — pierś zarył w toń piasków gorących,
Oko smętne wyleżył w brzask światła wschodzących,
Słucha — kiedy Bóg życie z tych grobów wywoła.

Czas się zdumiał, on władca, uragać kóż zdoła
Jego tchnieniom? wzmógł siłę swych potęg niszczących
I w skroń Sfinxa uderzył, — lecz skrzydeł wnet drżących
Uczuł niemoc — więc schylił przed Sfinxem już czoła.

O ludzkości! Ty również źrenice rozwarte
W dal wyteżasz, w świat jutra, jak Sfinx tajemniczy
W gruz się sypią stulecia, rdzą wieków przeżarte.

Czas cię smaga swym biczem, — kóż rany twe zliczy,
A nad krzyże i groby, co w długi rząd zwarte,
Czyż wiek zejdzie, co szczęścia jutrenkę dziedziczy?

A. N.



NOTATKI Z KRAKOWA.

(Przybyszewskiego dramat »Dla szczęścia« — Maetterlincka »Wnętrze«. — Teatr).

W »Notatkach« w drugim numerze »Irydy« umieszczonych skromnym mem piórem oddałem hołd i należną cześć olbrzymiemu talentowi Stanisława Przybyszewskiego jako wielkiemu pisarzowi, wytwornemu styliście oraz i doskonałemu znawcy serca i namiętności ludzkich z zaznaczeniem jednak, iż nowego zapatrywania na piękno nie podziela nikt prócz autora »Satans Kinder« i maluchnej garstki jego młodych przyjaciół. W wzmiance o »Irydzie«, przypominającej stylem i treścią wykwintne zdania, jakie czytamy ze wstrętem w najordynarniejszych pismach brukowych, p. St. L., (jeden z owej garstki), nazwał mój szczerzy zachwyt nad wielkością Przybyszewskiego i dalsze słowa ...tęczowym nonsensem, (n. b. »tęczowy jestto jeden z ulubionych wyrazów »modern«). Nie będę się z p. St. L. spierał o wartość Przybyszewskiego; może on ma zamiar zmienić zdanie, ja w dalszym ciągu uważam go za wielkiego a informowaniem czytelników o nim... wypełniam »przerazające dzięki Opatrzności nie znalazła względów w redakcyi »Życia«. Wyobrażam sobie, jaką to »Irydzie« sprawiło radość...

Przybyszewskiego szkoda. Człowiek tak utalentowany, erudyta posiadający olbrzymi zasób wiadomości, kolosalną, artystyczną wrażliwość, literat o znanem w Niemczech nazwisku, tu gorąco za przyjazdem przyjęty, opanowany przez owe »nowe prądy«, marnuje się, bo nie daje tego, coby mógł, czego się Polska po nim spodziewa, uległszy niezdrowym fantazyom symbolizmu, wizjonerstwa i t. p. Dowodem dramat jego »Dla szczęścia«, wystawiony po raz pierwszy w Krakowie, w dniu 18. lutego r. b., że nie wspomnę o rzeczach drukowanych w »Życiu« gdzie tyle pereł talentu i wiedzy niknie wśród chorobliwych majaceń, krążących około jednego, przewodniego punktu rozwydrzenia zmysłów. »Dla szczęścia« bez przymieszek demonizmu, wizjonerstwa i symbolizmu byłoby w całej pełni pięknym utworem, dającym autorowi patent na niepospolitego w przyszłości dramaturga. Wskutek nich wiele utraciło wartości, gdyż powstały nienaturalne naprężenia, sztuczne sytuacje. Dramat ten przypomina Ibsena długością i monotonością dyalogów, jeśli jednak skandynawskiemu dramaturgowi zarzucają, iż ma za mało akcji w swych dziełach, to o sztuce Przybyszewskiego można powiedzieć, iż jej zupełnie nie posiada.

Autor, widocznie odczuwając boleśnie jakąś znaną mu walkę czterech sere, pisał swój dramat krwią. Rozpacz, ból i pesymizm widoczne tam zewsząd tak, iż ponure te barwy męczą widza do takiego stopnia, że po trzecim akcie uczuwa ulgę, że... nie ma czwartego. Wielki też wpływ mają firma literacka tak dziś modnego w Krakowie pisarza oraz poprzedzająca wystawienie rzeczy, długotrwała reklama; to też publiczność popieszyła na widowisko tłumnie, co także zapisać trzeba na karb bene-

figu zasłużonego artysty i reżysera p. Ludwika Solskiego i występu pierwszego znanej artystki p. Natalii Siennickiej. Rzecz prosta, trudno ocenić wiele komu przypisać zasługi w zapełnieniu teatru, obowiązkiem jednak sprawozdawcy jest zaznaczyć, iż zainteresowanie było wielkie, ale i zawód był spory, bośmy wszyscy spodziewali się po Przybyszewskim więcej. Dała tego dowód i publiczność, która acz ciepło autora przyjęła, na drugim przedstawieniu już nie dopisała, (pół widowni), a na trzecim nie było prawie nikogo, podczas gdy jedna z nieuznawanych, p. Zapolska, w następnym dniu po raz dwudziesty na »Tamtym«
sprawiła, iż miejsca wolnego nie było.

Treść sztuki Przybyszewskiego krótka: Mlicki uwiódłszy Helenę, córkę znanych rodziców, od dwóch lat razem z nią żyje. Z uprzedniej, gorącej miłości przechodzi w zubożenie tem większe z chwilą, gdy poznał Olgę, pannę z przeszłością, wyznającą zasady wolnej miłości, która w swoim czasie darzyła względami Zdżarskiego. Ten wzgardzony, z zemsty burzy spokój Heleny przedstawiając jej stan rzeczy w tym celu, by Olga z Mlickim nie zaznała szczęścia. Mlicki porzuca Helenę i oddaje się Oldze. Między nimi jednak stoi zawsze pamięć o nieszczęsnej Helenie. Nie ma więc szczęścia a pryska ono zupełnie na wieść, przyniesioną przez Zdżarskiego, iż Helena z rozpaczcy utopiła się. Rzecz kończy się wiadomością, iż trupa biednej kochanki Mlickiego niosą do jego mieszkania. Oto i wszystko. Temat więc nie nowy, akcji prawie żadnej, charakter, prócz Zdżarskiego znane, dyalogi piękne, lecz przydługie, pauzy artystyczne ciągnące się w nieskończoność. Zdżarski to demoniczny, czarny charakter, wizjoner sprawiający chwilami wrażenie magika lub spirytysty, działający na zmysłowy organizm Heleny widziadłami chorobliwej wyobraźni. Pięknym w całym słowa znaczeniu jest ustęp, gdy Zdżarski tłumaczy Helenie ważność czystości ciała u kobiety, której mężczyzna nigdy nie przebaczy, iż należała już do jego poprzednika.

Rzecz graną była wzorowo przez panie Siennicką i Bednarzewską, (ostatnia wyjątkowo bez zastrzeżeń), oraz panów Solskiego i Zawadzkiego. Pierwszemu urządzono olbrzymią owacę kwiatową z upominkiem, na co znakomity ten artysta w pełni zasłużył.

Bez odpoczynku, bo w dwa dni później, przedstawiono na scenie krakowskiej »Wnętrze«
Maetterlincka. By wywołać odpowiednią *Stimmung*, powleczone łoże płachtami a wstęp wolny był tylko do krzeseł, które publiczność w połowie wypełniła. Naturalnie, iż w sali panowały ciemności egipskie również ze względu na »Stimmung«. Za podniesieniem zasłony ujrzeliśmy w głębi dworek o trzech oknach, jasno oświetlony a w nim ojca, matkę z uspięciem dziecięcym i dwie haftujące dziewice. Grono to używa w błogości wieczornego *dolce far niente*. Po chwili zjawia się starzec wraz z młodym wieśniakiem; z opowiadania ich dowiadujemy się, iż spokój domu zostanie naruszony, gdyż jeden z członków rodziny, córka, utopiła się. W miarę opowiadania długiego, męczącego i targającego nerwy, w domku zaczynają nieświadomie odczuwać zbliżającą się katastrofę. Widzimy niespokojne poruszenia, zbliżanie się do okien, spoglądanie na zegar, familijne uściski i ucałowania

itp. W końcu, gdy słyhać za sceną hałas zbliżających się tych, którzy niosą trupa, starzec wchodzi do domu i obwieszcza mieszkańcom smutną wiadomość. Widoczna u wszystkich rozpacz, wszyscy też wybiegają przez drzwi, prócz uspiętego dziecięcia a... kurtyna spada.

Ze względu na głośną firmę Maetterlincka i że dla miłośników literatury dramatycznej ciekawą jest rzeczą poznać, jak utwory tego rodzaju na scenie się przedstawiają, uważać należy tę próbę za potrzebną; gdy jednak wątpię, czy się znajdzie smakosz, któremuby się także eksperymenty podobały, niech będzie jedyną i ostatnią. Dyrekcya, reżyserya i artyści dołożyli wszelkich starań, wysilili się, by uscenizowanie odpowiadało intencjom autora. Lepiej nie można tego było zrobić a jednak owi w domku, działający jakby na komendę wedle słów starca, sprawiali wrażenie manekinów. Z grających doskonale opowiadał i świetnie dostroił się do wymaganej sytuacji p. Kamiński. Inni artyści mieli nieznaczne zadania.

Widowisko poprzedził odczyt Przybyszewskiego, który z bogatą erudycją przedstawił właściwości symbolizmu i charakterystykę twórczości Maetterlincka. Zajmującą prelekcję obciążył autor niepotrzebnie kwestyami satanizmu, wpływu gwiazd, demonizmu, wizjonerstwem i t. p. Sądzę jednak, iż nie wymagał, by słuchacze w to wierzyli.

Wogóle teatr krakowski, schlebający od kilku miesięcy modernistycznemu kierunkowi, w skutek tego odznacza się ponurem, ciemnym, przynębiającym tłem; tego rodzaju utwory, wplatane od czasu do czasu w ogólny repertuar, są gdyby urozmaiceniem, gdy jednak przeważają, nużą. Należy jednak uznać, iż wystawiane są z pietyzmem, odczuciem zamiłowania widocznem nowego kierunku a wiadomem jest powszechnie, iż dyrektor Pawlikowski, gdy mu się rzecz podoba, wystawia ją i pracuje nad nią *con a more*.

Jasnym punktem w obecnym repertoarze jest »akwarella sceniczna« Gabryeli Zapolskiej p. t. »Wieczór dziewiczy«. Jestto małe, jednoaktowe arcydziełko, napisane, jak mnie zapewniano, w sferach teatralnych, w przeciągu jednej nocy. Tyle tam prawdy, poezyi, uczucia i czaru, iż widz pomimowoli czuje się pociągniętym, wzruszonym i dziękuje znakomitej autorce za tyle miłych wrażeń. »Akwarella« odznacza się tą oryginalnością, iż bierze w niej udział szesnaście przedstawiolek płci pięknej, (w czem trzynaście dziewic), ani jeden mężczyzna i że ważną w niej rolę gra w środku sceny umieszczony manekin, okryty ślubną suknią. Rozmowy dwóch kilkoletnich dziewczynek, spiewy i tańce ozywają obraz pełen wdzięku. Autorka »Tamtego« ponoś pisze nowy, większy dramat; miłośnicy teatru — a w Krakowie jest ich wielu — oczekują »premiery« z upragnieniem.

Kaźmierz Czapelski.



Malarstwo i rzeźba.

Związek artystów polskich we Lwowie. Pod powyższą nazwą ukonstytuowało się w dniu 10. lutego r. b. stowarzyszenie architektów malarzy i rzeźbiarzy, pracujących w naszym mieście. Artyści wszyscy czuli oddawna potrzebę zespolenia się w Towarzystwo. Brakło tylko inicjatywy w tym kierunku, która wyszła w styczniu r. b. od szczupłego grona pracowników w dziedzinie sztuki. Podniesioną przez nich myśl zawiązania stowarzyszenia o celach artystycznych, celem wzajemnego kształcenia się, przyjęto nader sympatycznie, tak, że zaraz na pierwszym zebraniu, w którym uczestniczyło dwudziestu malarzy, rzeźbiarzy i architektów, postanowiono przystąpić do formalnego stworzenia związku i wybrano komisję, mającą się zająć ułożeniem statutu. Komisja w oznaczonym terminie wywiązała się z swego zadania i opracowany szeregowo projekt statutowy przedłożyła zwołanemu na dzień 10. lutego r. b. zgromadzeniu, które się odbyło o godzinie 6 wieczorem w gmachu Szkoły Przemysłowej. Obradom przewodniczył p. Stanisław Reychan. Po dłuższych rozprawach projekt statutowy przyjęto według brzmienia, proponowanego przez komisję, z nieznacznymi jeno zmianami i poprawkami. Po uchwaleniu statutu przystąpiono do wyboru zarządu. Prezesem wybrany został p. Stanisław Reychan art. malarz, wiceprezesem p. Adolf Kuhn, architekt, sekretarzem p. Waleryan Kryciński art. malarz. W skład Zarządu weszło dziewięciu członków, po trzech z każdego działu, a mianowicie z architektów pp.: Rawski Wincenty, Kamieniobrodzki Adolf i Weiss Adolf, z malarzy pp.: Styka Jan, Batowski Stanisław i Harasymowicz Marcei, z rzeźbiarzy wreszcie pp.: Markowski Julian, Popiel Antoni i Wiśniowiecki Tadeusz.

Związek liczył w chwili zawiązania pięćdziesięciu trzech członków. Do stowarzyszenia należą między innymi: pp. architekci: Łucyan Baecker, Władysław Godowski, Halicki, Alfred Kamieniobrodzki, Michał Kowalcuk, Adolf Kuhn, Podhorodecki, Wincenty Rawski, Władysław Sadłowski, Świerczyński i Weiss; malarze: Augustynowicz, Kaczor-Batowski, Zefir Ćwikliński, Stanisław Dębicki, Marcei Harasymowicz, Waleryan Kryciński, Juliusz Makarewicz, Miron Pietsch, Stanisław Reychan, Reyzner Mieczysław, Rozwadowski, Tadeusz Rybkowski, Stefanowicz, Jan Styka i Szczepański; rzeźbiarze: Tadeusz Barącz, Bełtowski, Dykas, Piotr Harasimowicz, Julian Markowski i Tadeusz Wiśniowiecki.

Koło artystek polskich. W Czytelni dla Kobiet w Krakowie powstała nowa sekcja pod nazwą: »Koło artystek polskich«, której celem: 1. Utrzymywanie stosunków koleżeńskich pomiędzy Polkami, malarzami, rzeźbiarkami i zajmującymi się sztuką stosowaną. Urządzenie wystaw, odczytów, pogadanek, wycieczek artystycznych itp. 2. Opieka nad polskim, ludowym ubiorem, ludowymi motywami i ludowym, artystycznym przemysłem. Członkowie zwyczajni, tj. artystki płacą jednoraz-



ZYGMUNTA ROZWADOWSKIEGO „Wincenty Szeptycki szarżujący pod Rioseco».

zowo dwie korony wpisowego i zwykłą wkładkę cztery korony. Ponieważ sprawa opieki nad ludowym, polskim ubiorem, ludowymi motywami i ludowym, artystycznym przemysłem jest bardzo ważna, nie tylko pod względem rozwoju ludowego przemysłu domowego, przeto te osoby, które interesują się pracą i opieką nad naszym ludem w tym kierunku, zechcą przystąpić do »Koła artystek polskich« jako członkowie nadzwyczajni z wkładką roczną czterech koron. Wpisy i wkładki przyjmuje sekretarka Koła p. Marja Wolińska w Czytelni dla kobiet, Kraków, Szpitalna 7, od g. 5 do 6 popołudniu w poniedziałki, środy i piątki, gdzie zarazem i statut przejrzeć można.

Komitet budowy pomnika Mickiewicza odbył dnia 12. lutego r. b. piętnaste z rzędu posiedzenie. Przybył na nie artysta-rzeźbiarz p. Antoni Popiel, który dla dobra pomnika ofiarował się zupełnie bezinteresownie wykonać wzorowo wykończony, nowy projekt, a poczynione na nim przez komitet zmiany uwzględnić w figurach, które mają być wykonane w jednej trzeciej, naturalnej wielkości. Spód pomnika uzyska więcej stopni, piedestał, na którym spoczywa kolumna, będzie bogatszy w członki architektoniczne, zaś kolumna z grupą zostanie niezmienioną. Kapitel też będzie bogatszy, nie joński tylko »komposit«. Znicz trójnożny będzie szlachetniejszy w liniach i w formie. Architektura całego pomnika przedstawi się w stylu renesansowym t. j. Odrodzenia. Przewodniczącą prof. dr. Ćwikliński, podziękował artyście najserdeczniej za jego obywatelską bezinteresowność i wyraził przekonanie, że pomnik z pod takich rąk wyjdzie skończonym dziełem sztuki. Z kolei odczytano ofertę pp. Duszyńskiego i Salisa z Wołynia, którzy ofiarowują materiały na pomnik bezpłatnie. Wreszcie zastanawiano się obszernie i wyczerpująco nad akcją, któraby zwiększyła i przyspieszyła bieg składek na rzecz lwowskiego pomnika Mickiewicza.

Wincenty Szepczycki szarżujący pod Rioseco. Udatna kompozycja artysty-malarza p. Zygmunta Rozwadowskiego, której reprodukcję podajemy w dzisiejszym zeszycie, przedstawia epizod z krwawych bojów w Hiszpanii. Pułk szwoleżerów, zwany też lekkokonnym pułkiem gwardyi Napoleona, utworzony z jego rozkazu w kwietniu 1807 r., liczył w swych szeregach kwiat młodzieży z całej Polski. Wstęp do pułku zastrzeżono bowiem w pierwszym rzędzie właścicielom dóbr, względnie ich synom, między ósmnastym a czterdziestym rokiem życia. Ochotnicy winni byli zaopatrzyć się własnym kosztem w konia, w mundur i w zupełny rynsztunek na wzór konnych strzelców gwardyi, ulubionego pułku cesarza, utworzonego z dawnych jego guidów. Szwoleżery tworzyli przeto rodzaj reprezentacyi narodowej przy osobie Napoleona a w szeregach lekkokonnego pułku służyła nietylko młodzież, rozpoczynająca zawód wojskowy ale widziano w nich także żołnierzy dawniejszej służby. Uzbrojenie szwoleżerów składało się pierwotnie z pałasza, z karabinka oraz z pary pistoletów i dopiero pod koniec 1809 roku otrzymali szeregowe lance. Uniform pułku odznaczał się malowniczością. Składały go przede-wszystkiem: czapka karmazynowa, sukienka — u oficerów sztabowych aksamitna — z metalowem, złoceniem półsłońcem u przodu i z złocistą

literą: *N* na białem tle w pośrodku. Potrzeby u czapki, szlify i akselbanty były u oficerów srebrne u szeregowców białe. Strój służbowy i paradny zarazem tworzyły: granatowa kurtka i także ubranie z wyłogami oraz lampasami karmazynowymi. Dopełniały całości uniformu granatowe płaszcze dla oficerów i białe dla szeregowych.

Jeszcze formacja pułku nie była skończona, g ły poszczególnym szwadronom dano rczkaz do wymarszu na linię bojową za Pireneje. Stacjonowani w Madrycie pełnili szwoleżery służbę przy osobie Murata, rezydującego w stolicy w charakterze namiestnika cesarskiego a następnie przydzielono ich do korpusu marszałka Bessièresa, wysłanego celem uśmierzenia powstania ludowego, jakie w lipcu 1808 roku ogarnęło południowe i północne prowincje półwyspu. W dniu czternastym lipca t. r. przyszło do bitwy pod Rioseco. Wynik walki długo był wątpliwy. Już piechota hiszpańska opanowawszy plac boju wydawała radośne okrzyki wołając: *Viva el Rey!* i ciskała w górę kaszkiety, gdy zadrżała nagle ziemia od koni tętentu i stojąca do tej pory w odwodzie jazda marszałka ruszyła do ataku. Obok grenadyerów gwardyi szarżował na nieprzyjaciela szwadron naszych szwoleżerów. W pełnym galopie uderzyli na przeciwników i wśród gromkiego okrzyku: *Vive l'empereur!* przejechali po zwycięskiej piechocie a w chwil kilka później roznieśli na szablach zastępujących im drogę dragonów *de la Reyna*, wyborowy pułk kawalerii hiszpańskiej. W bitwie tej odznaczył się szczególnie porucznik Wincenty Szeptycki, późniejszy generał, dowodzący pierwszym plutonem w szwadronie. Jego to przedstawił artysta, ścigającego na czele swego oddziału umykającą piechotę.



M U Z Y K A.

Dział muzyczny pisma naszego rozszerzamy począwszy od dzisiejszego numeru, otwierając stałe rubryki dla wszelkiego ruchu, jaki się u nas w dziedzinie muzyki objawia. Pragniemy działowi temu nadać tym sposobem znaczenie pisma muzycznego, któreby w swych łamach objęto nie tylko to wszystko, co każdego zajmującego się sztuką, wykształconego człowieka interesuje; ale któreby zdołało rozbudzić gorętsze zamiłowanie i głębsze pojęcie muzyki w tych szerokich kołach amatorskich, dyletanckich i szkolnych, co uprawiają muzykę nie bez szczerości i zapału, lecz po większej części jednostronnie albo kapryśnie tylko.

Ściśle zawodowe, muzyczne pismo pełne artykułów naukowych pisanych dla muzyków, niema u nas jeszcze prawa egzystencji i dla



tę w całej Polsce nie istnieje — musiałyby ono w danym razie ograniczyć się na bardzo szczupłej garstce czytelników. Więc otwarcie to zaznaczamy, że całą dla dobra sztuki podjętą pracę, skierowujemy głównie ku tym szerokim zastępom, które wyżej wymieniliśmy. Podając im sprawozdania i krytyki, dyktowane poszanowaniem dla sztuki a czią dla piękna, umieszczając wiadomości o dziełach, o artystach, o godnych uwagi produkcjach w kraju i zagranicą, wreszcie o ruchu wśród naszych szkół muzycznych, nagromadzimy materiału dostatecznie, aby nim zająć czytelnika.

Poglądów naszych estetycznych na sztukę muzyczną nie rozłaczamy w prospekcie, uważając to za rzecz bezcelową. Czytelnicy powinni je sami z treści artykułów wyciągnąć, zwłaszcza, że jednym z najgłówniejszych usiłowań naszych będzie wypowiedanie myśli i sądów z prostotą i szczerością.

Grono współpracowników miejscowych stanowią pp. Dr. Seweryn Berson, Jan Gall, Stanisław Kuczkiwicz, Franciszek Neuhauser i Stanisław Niewiadomski. Nadto zaproszeni zostali do udziału, korespondenci z Krakowa, Warszawy i Poznania, oraz Wiednia, Berlina i Paryża, który oczywiście szczególną uwagę zwracać będą w pierwszym rzędzie na artystów polskich.

Redakcja.

Nasze towarzystwa śpiewackie. Jedną rzecz posiadaliśmy we Lwowie dobrą do niedawna, a był nią śpiew. Ładne i wydane głosy zdolności śpiewackie i pewny animusz niekiedy bardzo nawet żywy, oto zasoby, z którymi można było niejedno walne odnieść zwycięstwo. Ileż to zresztą takich zwycięstw liczy w przeszłości swojej »Lutnia« nasza, ileż nawet »Echo«, chociaż znacznie młodsze!... A sięgnąwszy jeszcze dalej w przeszłość, czy to jedną znajdziemy wielką i piękną produkcję wokalną i w gal. Towarzystwie muzycznym?

Obecnie stanęliśmy — i nie możemy ruszyć dalej. »Lutnia« stała podczas wystawy w r. 1894 na ostatniej swej świetnej produkcji w hali koncertowej; Towarzystwo muzyczne bodaj czy nie na »Mesjaszu« Händla, coby jeszcze dawniejszą wskazywało datę — a »Echo« już na drugim koncercie swojej »najświetniejszej« epoki Gallowskiej. Wszystkie towarzystwa mają coś na swe usprawiedliwienie i wszystkie ze spokojem używają popularnych swoich przydomków, z którymi łączą się pewne przywileje. I tak Towarzystwo muzyczne zadowala się swą »powagą« ledwie, że nie urzędową; Lutnia swą znaną »sympatyą«, a Echo wypróbowaną marką patryotyzmu.

Ale sztuka na tem ich zadowoleniu cierpi tylko.

Wszystkie te towarzystwa robią dla śpiewu coraz mniej, mniej pod względem ilości i pod względem jakości.

Gal. Towarzystwo muz. ma na usprawiedliwienie swoje to przynajmniej, że pielęgnuje nie śpiew wyłącznie, ale muzykę w szerokim zakresie: daje koncerty orkiestralne, sprowadza artystów zagranicznych i utrzymuje szkołę t. j. konserwatorium. Wobec tego, pozostawienie śpiewu innym towarzystwom nie ulegałoby żadnym zarzutom, gdyby

towarzystwa te umiały naprawdę robić to, co do nich należy. Ale świat muzykalny lwowski ma tę prowincjonalną właściwość, że nie umie nic robić bez emulacji, utrzymującej nerwy w znacznym naprężeniu i bez wprowadzenia osobistości na pole wzajemnych zatargów, (najwięcej zajęcia dla muzyki było we Lwowie w czasach gdy stawały do zapasów dwie wrogie sobie szkoły Mikulego i Marka, lub gdy prezes Makarewicz walczył z Towarzystwem muzycznym o niepodległość chóru męskiego i wywalczył samoistną »Lutnię«); od czasu więc gdy się stosunki »ułożyły«, gdy muzycy lwowscy zjednali sobie w całej Polsce opinię »najlepiej wychowanych«, gdy osobista przyjaźń albo przynajmniej życzliwość wszystkich ich w jedną rodzinę połączyła; rozpoczął się dla muzyki — okres zamierzchu.

Nie wolno nie powiedzieć choćby w formie najdelikatniejszej uwagi, bo się narusza tradycyjną, uznaną doskonałość. Mieliśmy tego przykład niedawno. Chór męszany »Lutni« spiewał w koncercie swym nie dość starannie — nie był przygotowany dostatecznie, a oprócz tego soprany spiewały za wysoko. W kilku sprawozdaniach dziennikarskich pojawiły się uwagi, stąd wśród »Lutni« gorycz i niezadowolenie, stąd poszukiwanie przyczyn »niechęci« tego lub owego recenzenta, a może nawet »zawiści«! »Lutnia« spiewać nieczysto nie mogła — nikt ze śpiewaków tego nie słyszał! Niemniej jednak było tak napewne. Już samą emisję głosu mają soprany, tego rodzaju, że do górowania są prawie zmuszone! Nie dziwimy się, iż ze śpiewaków nikt tego nie słyszał, bo przy nierównej obsadzie, a zwłaszcza przy nadmiarze siły w męskich głosach, może łatwo zajść podobny wypadek. Ale słyszeli wszyscy na sali, a ta część publiczności, która sobie niezdaje dokładnie sprawy co znaczy »czysto« a co »nieczysto«, tylko nazywa poprostu »ładnem« to co jej się podoba, a »brzydkiem« to co się jej niepodoba; dała wyraz swego niezadowolenia, zachowując się bardzo obojętnie wobec całej prawie produkcji.

Zamiast więc żalów, najlepiej jest wziąć się do pracy i zaimponować słuchaczom, jak dawniej, dźwiękiem głosów i czystością śpiewu. Jeżeli do tego przyłączyć się zdoła pewna jakaś subtelność, do której »Lutnia« nie miała nigdy zbytecznego pociągu, to oczywiście tem lepiej. Dotychczas z rzadka tylko dopominaliśmy się o nią, przyjąwszy *volens* za zasadę, że »Lutnia« nie lubi odkrywać przed publicznością swej duszy i że czyni to tylko od czasu do czasu, a każde natomiast podziwiać piękność swego ciała t. j. głosu, dźwięku i siły — i to podziwiać zawsze bezwzględnie...

Jeżeli »Lutni« zarzucamy, iż niepostępuje naprzód, popadłszy na własną szkodę w zarozumiałość, dającą się usprawiedliwić tylko przeszczołością a nigdy obecnym stanem; to z drugiej strony, chętnie przyznajemy, że wykonywa ona »w jednym koncercie więcej, niż inne towarzystwa przez cały rok. To prawda. Towarzystwo muzyczne od dłuższego czasu zaniechało prawie produkcji chóru w koncertach, a »Echo« daje tak niesłychanie mało, że można to prawie do zera zredukować.

Ale właśnie ta okoliczność, że Towarzystwo muzyczne i Echo w tym kierunku mało pracują, a »Lutnia« m niej i nie t a k jak w cza-

sach swej świetności; ta okoliczność, skłania nas do wypowiedzenia uwagi, że w ogóle daje się uczuwać zastój w świecie śpiewackim i że należy wszystko poruszyć, aby upadkowi zapobiedz. Do kogo to należy — nasuwa się pytanie. Oczywiście, że w pierwszym rzędzie do przewodników towarzystw. Bylibyśmy jednak niesprawiedliwi, od nich tylko żądając większej i lepszej pracy, większego zajęcia się sprawą i większej gorliwości. Winę tu ponoszą głównie członkowie towarzystw śpiewackich. Dali się owładnąć apatyi, zarozumiałości, lekceważeniu; na próby nie przychodzą dość pilnie, uwag dyrygentów nie przestrzegają, niema wśród nich ani karności, ani prawdziwego zajęcia się sztuką.

»Bez entuzjazmu« powiada Robert Schumann »nikt w sztuce nie zdziałać nie zdoła«. Bez entuzjazmu! — a u nas prostego zamiłowania brakuje...

Niech towarzystwa nasze tych uwag nie biorą za wyraz niechęci lub partyjności, wszak zarzuty skierowane są do wszystkich tych, od których mamy prawo czegoś wymagać. A od tych, co najwięcej dać mogą — najwięcej żądamy.

Szanowne instytucje, ty »poważna«, ty »sympatyczna« i ty »patryotyczna« — ocknijcie się ze swego zadowolenia!... n.

Opera. Miesiąc luty przyniósł nareszcie pożądany zwrot w operze naszej: personal powiększył się, dzięki przybyciu pań: Arkłowej i Miry Heller, oraz pana Bandrowskiego; a na repertuar weszły prócz »Straszego dworu« i »Traviaty« powtarzanych w styczniu kilkakrotnie jeszcze »Carmen«, »Mignon« i »Faust« a ponadwszystko »Tannhäuser« i »Lohengrin«.

Tak więc sezon można uważać za rozpoczęty — sezon solistów, jakby go jedynie nazwać należało, ze względu na to, że do artystycznego grona śpiewaków, nie zastosowano ani chórów, ani orkiestry, i że wogóle o całość opery nikomu w dyrekcyi, zdaje się, nie wiele chodzi.

Jeżeli ktoś myśli, że nasza scena wystawia »Tannhäusera«, »Lohengrina« czy »Carmenę« lub »Mignon«, to się myli. Scena nasza daje publiczności słyszeć p. Bandrowskiego jako Lohengrina lub p. Arkłową jako Elzę, pokazuje p. Mirę Heller jako Favorytę ale dzieł nie wykonywa. Opery te, jako kompozycye i jako utwory sztuki, dawane są z takim lekceważeniem, że o tyle robią wrażenie, o ile ono z ust śpiewaka pochodzi. Orkiestra brzmi nieczysto, a chóry przewyższają ją w tem jeszcze; ansambl operowy nie klei się i rywalizować pod względem precyzji, może tylko z tą stroną opery, która należy do reżyseryi.

Nie myślimy wcale zaprzeczać, że zebranie jednolicie polskiego personalu jest wielce dodatnią stroną naszej opery i że prawie za niemożliwe uważalibyśmy złożenie personalu lepszego, przynajmniej do głównej obsady. To też i publiczność i prasa składa swe uznanie solistom według ich talentów i zasług.

Pani Teresa Arkłowa występująca dotychczas tylko jako Elza lub Elżbieta, a więc nie w najświetniejszych swoich partyach, (Rachel, Selika etc.), mimo trudności w przyswajaniu sobie tekstów polskich, ani na

chwile nie zesza z wyżyny dobrej, bardzo dobrej, włoskiej śpiewaczki. Jej postać, gra i ruchy noszą na sobie wybitne piętno tej włoskości, więc niejedno w odtworzeniu tradycyjalnych prostotą swą heroin wagnerowskich, może się u p. Arklowej wydawać sztuczne, bo artystka pragnąc spełnić jak najdoskonalej całe zadanie, niejednokrotnie wprowadza tego rodzaju szczegóły, które przy indywidualności jej wyglądają na pewną afektację. Ale jako śpiewaczka jest zawsze wyborna, z całą swą znakomitą rutyną, muzykalnością, głosem niosącym dźwięk doskonale. Za najświetniejsze momenty jej śpiewu w tym sezonie, uważać należy w »Lohengrinie« scenę balkonową i duet z Lohengrinem, a w »Tannhäuserze« akt trzeci.

Pani Mira Heller podbijała zawsze słuchaczy przesłanicznym dźwiękiem swego głosu. Dziś dźwięk ten ucierpiał widocznie wskutek śpiewania niewłaściwych rzeczy, trudnoby jednak zgodzić się na zdanie wypowiedziane tu i ówdzie, że to już koniec kariery tej śpiewaczki. Pani Heller przecież wysubtylizowała śpiew swój w stosunku do dawniejszego znacznie, i gdyby zdołała zupełnie uniknąć niektórych, nieestetycznych efektów śpiewu i sprowadzić całość swej każdej postaci scenicznej do pewnych mniej »teatralnych« kształtów, z pewnością poszłaby jeszcze w górę. Głosu, posiada jeszcze artystka obfitość. Wystąpiło to w całej pełni, w party Ortrudy w »Lohengrinie« i w niektórych ustępach »Mignon«. Ta ostatnia opera dała jej sposobność ujęcia słuchaczy poezją i szlachetnością w odśpiewaniu romansu »znaszli ten kraj«. Ortruda mimo wybornych warunków, jakie dla tej party posiada p. Heller, mniej się nam podobała, niż oczekiwaliśmy. Stała temu na przeszkodzie głównie nieczysta intonacja. Tego należałoby się pozbyć raz na zawsze. A wogóle znowu, stronę duchową każdej party pogłębić i uszlachetnić.

Pod względem świeżości głosu i jego dźwięku pobija swoje koleżanki bez trudu — p. Kasprowiczowa. Warto posłuchać, jakim donośnym i czystym głosem woła bogów na pomstę jej Ortruda. A ile w tem wszystkim werwy i zapału, ile rutyny, i takiej prostej, może niezbyt wytwornej, ale rdzennej muzykalności! Słabą stroną tej prawdziwie zasłużonej i wybornej, (choć nigdy tłustemi czcionkami na afiszu nie drukowanej), artystki, jest wymowa, która obecnie zwłaszcza przybiera często pewną przesadę. Wymowa ta w operetkach dość swobodna, w operze sili się na jakąś pozę, na wymawianie samogłosek sztuczne i nienaturalne, prawdopodobnie w zamiarze nadania głosowi poważnej, »operowej« barwy. Nam się wydaje, że jest to zupełnie zbyteczne wobec środków, jakimi rozporządza p. Kasprowiczowa.

O pannie Bohuss pisaliśmy już poprzednim razem. Zanotować tu wypada jedynie, niezupełny sukces jej Filiny w »Mignon«, który dowodzi tylko, że aby sięgnąć po najwyższe zadania w dziedzinie koloratury, niedość jest mieć tak wybitne do tego zdolności, jak je ma p. Bohussówna, ale trzeba się jeszcze uczyć.

Bardzo dodatnie wrażenie zrobiła w »Tannhäuserze« p. Roszkowska jako Venus, młoda, muzykalna i uzdolniona debiutantka.

W gronie męszczyzn przedewszystkiem zatrzymać się należy przy p. Bandrowskim. Trudno sobie wyobrazić postać bardziej skończoną, poetyczniejszą i szlachetniejszą, jak on ją nam daje w swym »Lohengrinie«. Nie po raz pierwszy zachwycamy się nią i nie po raz pierwszy przychodzi nam to napisać. Ale pochwał dla tego artysty nigdy nadto, gdy idzie o odtworzenie poważniejszej partji operowej. Umie on nadać takiemu »Lohengrinowi« całą pełnię majestatu legendowej postaci, umie go zrobić wielkim i męskim, a przytem czystym i zaświatowym. Ujawnia się to w każdym ruchu i w każdym spojrzeniu, zarówno jak w każdym akcencie i każdej frazie, a nawet w kształtowaniu dźwięku głosowego. Głos jego przy całej swej barytonowej, przyémionej nieco barwie (jak tego wagnerowskie partje po większej części wymagają) ma na swe rozkazy odcienia bardzo liczne, niezawodnie i wybornie używane; a dodawszy do tego dźwięku, prześliczną wymowę, czystą, nieskazitelną, płynącą z energią i spokojem, otrzymujemy całość godną podziwu. Czy p. Bandrowski śpiewa u nas po polsku z konieczności i czy uczy się tych partyj przez cały rok, to uważamy za kwestyę uboczną; rzecz to jednak niezaprzeczoną, że w śpiewie jego maluje się żywe i szczere przywiązanie do języka naszego, a nadto silne przekonanie, że ten język jest piękny. Nie poprawia go p. Bandrowski, nie wykręca samogłosek, nie połyka spółgłosek, nie dodaje nic ani ujmuje. Używa go z zupełną prostotą, ale wlewa weni -- duszę. I tu leży główna tajemnica wrażenia, jakie na publiczność wywiera.

Tannhäuser p. Bandrowskiego może nie jest tak jednolicie wykończoną postacią jak Lohengrin, ale ma znowu swój III. akt niesłychanie potężny. Już niejednokrotnie zaznaczaliśmy, że »opowiadanie« w tymże akcie, jest punktem kulminacyjnym nie tylko »Tannhäusera«, ale wogóle produkcji artystycznej p. Bandrowskiego. Jeżeli zaś nie za każdym razem sprawa jednakowe wrażenie, to przypisać to należy usposobieniu chwilowemu, którego zmianom p. Bandrowski podlega podobnie jak i inni śpiewacy. Prócz dwóch tych partyj, p. Bandrowski dotychczas nie u nas nie śpiewał i w tych jednakże jest tak niepospolitym artystą, że wolimy się zaciągnąć w szeregi jego wielbicieli, niż prowadzić spory, jakie w »foyer« naszej opery dają się słyszeć o portamenta używane przez niego: czy są właściwe czy nie, czy postępuje się artysta niemi z rozmysłu, czy powodowany do tego ociężałością wysokich nut i t. d. Bo istnieje pewien stopień scenicznej doskonałości, przy którym słuchacz wiele rzeczy przyjmuje jako właściwość artysty. Gdyby tak śpiew Gemmy Belincioni poddać ścisłej krytyce, ileżby trzeba gromów rzucić na jej oddechy, na szarpanie głosem, na koloraturę etc? U p. Bandrowskiego i głos jest w wybornym stanie i sposób jego używania prawidłowy, a że nad wszystkim panuje wyższy duch artystyczny i unosi słuchacza za sobą, to pocóż zadowolenie zatruwać sobie — drobiazgami!

Pozostają nam jeszcze pp. Myszuga, Szymański, Jeromin i Paszkowski. O wszystkich poprzednio już była wzmianka, zanotować więc chyba należy, że w tym miesiącu śpiewał p. Myszuga po raz pierwszy Wilhelma w »Mignon« po polsku, oraz Fausta dwukrotnie. Ceniony ar-

tysta, ustępami takimi jak romans w »Fauście« lub arja w »Mignon« zachwyca zawsze publiczność. P. Szymański szczęśliwy jako Wolfram nie zupełny odniósł sukces w »Lohengrinie«. Młody ten spiewak przy swym ładnym głosie i przy talencie, potrzebuje większej sceny niż nasza i kierownictwa innego, jeżeli się ma wyrobić. Bez wskazówek odnoszących się zarówno do gry jak i do spiewu, wskazówek artystycznych i praktycznych, łatwo może się zmanierować. P. Jeromin co roku powraca do nas ten sam, i nic dziwnego, gdyż przy tak doskonale ustawionym głosie, spiewać można długo bez śladu jakich zmian. A że animuszu nigdy nie posiadał ponad pewną dozę, bez której spiew sceniczny nie byłby wcale możebny; przeto i obecnie, trudno czegoś więcej żądać, zwłaszcza, że świetny swój stan głosu zawdzięcza on poczęści i temperamentowi swemu spokojnemu. P. Paszkowski mało spiewał dotychczas, ale przyznać mu trzeba, iż tym razem był heroldem lepszym niż przedtem.

O mniejszych partyach tyle mamy do powiedzenia, że mogłyby one bez porównania więcej się przyczynić do dobrego efektu całości, gdyby wszyscy panowie, niewielkie ale bardzo ważne nieraz zadania swoje starali się z większą ścisłością wykonywać. Przedewszystkiem, partye należy umieć naprawdę, następnie nielekceważyć sobie ani drobnych wpadek, ani śpiewania w ansamblach, ani też wszystkiego, co do odtworzenia scenicznej strony postaci jest konieczne.

Tak się przedstawia grono solistów naszej, tegorocznej opery. Jak widzimy bardzo dodatnio. Ale długo nie można na atrakcyę samych solistów liczyć. Prędzej czy później, ogół słuchaczy coraz natęczywiej zacznie się domagać lepszej orkiestry, lepszych chórów i lepszej reżyserji. Dyrekcyja dotychczas ciągle zapoznaje w tych czynnikach siłę przyciągającą, a jestto przecież rzeczą niezawodną, że publiczność naszą możnaby w nich rozmiłować naprawdę i stworzyć w tem jej zamiłowaniu prawdziwą podstawę opery na przyszłość. Muzyka instrumentalna tak dziś ogromnie wzrasta, tak panującym żywiołem staje się w sztuce, że warto o tem poważnie pomyśleć, iż orkiestrę naszą trzeba postawić na wyżynie artystycznej. O organizacyi orkiestry napiszemy innym razem — dziś zaznaczamy to jedynie, że dyrekcyja teatru, która z takim zapałem wzięła się do podniesienia opery przed dwoma laty; powinna na nowo wzniecić swój ogień i wziąć się do drugiej części dzieła. Wszak w sezonie bieżącym opera nie postąpiła ani o krok naprzód, tylko raczej cofnęła się.

Stanisław Niewiadomski.

Z sali koncertowej. Między produkcjami muzycznymi, z których zdawać mam sprawę, pierwsze miejsce należy się koncertowi kwartetu czeskiego. Wrażenie, które słuchacze z tego koncertu odnieśli, było chyba najpiękniejsze, niezem niezamącone. Rozwodzić się nad grą Czechów byłoby wobec ich ustalonej, światowej sławy zbyt bezczelne — należy tylko zaznaczyć, że od czasu, gdyśmy ich ostatni raz słyszeli, nie utracili nic ze swych zalet, a przedewszystkiem nic z muzycznego pojmowania i zapału, który ich zawsze cechował i który

w pierwszym rzędzie zjednał im rozgłos i uznanie. Prócz kwartetu Beethovena op. 59, Nr. 3 C-dur, wykonanego wprost idealnie, grali kwartet smyczkowy Volkmana op. 17, G-moll, we wszystkich częściach wdzięczny, udatny w formie, a w »Andantino« zawierający szczerze i pełne uczucia melodie czysto volkmanowskie. W kwintecie fortepianowym Dwořaka op. 81 A-dur wziął udział prof. Kurz i wywiązał się ze swego zadania bardzo dobrze. Rzecz sama, jak zwykle u Dwořaka, zajmująca, pełna życia i pomysłów świeżych, oparta przeważnie na motywach ludowych. I tam nawet, gdzie chwilowo pomysłów braknie, zastępuje je wyborna robota, która Dwořakowi nigdy nie sprawia kłopotu. Najpiękniejsza jest »Dumka« choć ma może tak zwane »niebiańskie dłu gości«.

Z innych koncertów, których zwłaszcza z początkiem lutego nagromadziła się wielka ilość, wspominam naprzód o drugim koncercie Michałowskiego, danym na dochód funduszu pomnika Mickiewicza. Michałowski przedstawił się nam na tym koncercie wielostronniej, niż na pierwszym, szopenowskim. Prócz ślicznie wykonanego koncertu Szopena, grał znakomicie koncert G-moll Saint-Saënsa, rzecz świetną, imponująco zrobioną, wyszukującą przepysznie efekt instrumentu, lecz w gruncie mającą może niewiele szczeroci i ciepła. Z solowych rzeczy, granych przez Michałowskiego, zachwyciło mnie Scherzo H-moll Szopena i Saint-Saënsa trawestacya z »Alcesty« Glucka, w której ton fortepianu mienił się różnemi barwami. Dodał Michałowski nad program własną transkrypcyę walca Szopena, którą porównać można do sznurka najpiękniejszych perełek — nawiasem mówiąc sznurka takiej długości, że wystarczyłyby dla wszystkich nadobnych słuchaczy Michałowskiego. Dodał też marsza żałobnego Szopena. Niektóre dowolności w rytmie i inne licencye, nie mogły tu trafić do przekonania memu bardzo muzykalnemu sąsiadowi, który mi w końcu oświadczył, że to jest maniera — ja zaś nie mogłem znaleźć argumentu, aby mu udowodnić, że tak nie jest.

Mówiąc o koncercie Michałowskiego, trudno nie wspomnieć o gotowości, z jaką prof. Słomkowski podjął się dyrygowania orkiestrą po jednej próbie. Gotowość ta świadczy o poczuciu koleżeństwa wobec gościa warszawskiego, a sposób, w jaki się ze swego zadania wywiązał o wielkiej rutynie i o pewności muzykalnej.

Młodziutki skrzypek, Maks Wolfsthal dał we Lwowie dwa koncerty. Poprzedziła je bardzo niesmaczna reklama, mogąca muzykalną publiczność raczej odstraszyć niż zwabić, reklama rażąca tem więcej we Lwowie, gdzie przywykliśmy do samego nazwiska Wolfsthała przywiązywać pojęcie sumiennoci i skromności prawdziwie artystycznej.

Szcześnie, obydwa koncerty młodego Maksia pouczyły nas, że nie jest on tylko reklamowanym, »cudownem dzieckiem«, lecz że tkwi w nim rzeczywiscie talent niepospolity, któremu życzyć tylko trzeba warunków, aby mógł dojrzeć i rozwinąć się w całej pełni. Uderza w nim przedewszystkiem muzykalność, a choć niektóre rzeczy w tym kierunku mogą być u niego wpojone przez nauczyciela, a nie wysnute z siebie, z tego wobec młodości Maksia zarzutu czynić nie można. W każdym

razie, grunt u niego nadaje się w wysokim stopniu do przyjmowania dobrych wskazówek, a to już jest cechą talentu. Ton ładny, miejscami wcale silny, technika bardzo wyrobiona. A choćby czasami ta technika trochę nie dopisała, byłoby w wieku koncertanta jeszcze niewielkie nieszczeście.

Z wielkich, rozgłośnych skrzypków słyszeliśmy Emila Saureta. Imponuje on ślicznym, metalicznym tonem, wspaniałą techniką, która nigdy nie chce się w oczy narzucać i olśniewać pikanterią. W traktowaniu muzycznym przeważa spokój, połączony nawet z pewnym chłodem; dlatego też Sauret wzbudza wprawdzie podziw szczerym i godnym uznania, lecz nie może ani porwać słuchacza zapalem, ani wstrząsnąć nim głębokością pojęcia. Zdaje mi się, że takie wrażenie odniosła publiczność z jego koncertu, zwłaszcza, że nie mógł jej rozgrzać umieszczony na początku koncert Spohra: »in form einer Gesangsscene«. Za to ślicznie odegrał Sauret »Romans« Brucha. Grane przezeń własne utwory, nazwał pewien krytyk wiedeński »osłodzonymi złośliwościami«. Choćby i tak było, należy je wielkiemu wirtuozowi wybaczyć.

Sympatycznym zjawiskiem była biorąca współudział w koncercie Saureta młoda pianistka, panna Jadwiga Loria. Bardzo dobrze, ze zrozumieniem, miarą i spokojem wykonane wariacje Händla uwydatniły jej solidną technikę i pewność muzyczną — to samo da się powiedzieć o »Capriccio« Scarlattiego. W polonezie Szopena, pragnąłbym był więcej poezji a w Rapsody Liszta, wykonanej mimo wszelkiej poprawności z pewnym skrępowaniem, więcej fantazji i rozmachu; ale są to rzeczy, które w młodej artystce z biegiem czasu niewątpliwie się rozwiną.

»Lutnia« dała swój drugi koncert w porze o tyle nie korzystnej, że właśnie wówczas mogła się publiczność na zbytek produkcji skarżyć. Mimo to sala była pełna. Zajął mnie na tym koncercie najwięcej Soltyś »Spiewak zwycięzca« na chór męzki i solo tenorowe. Jest to utwór napisany jędrnie, chór w nim prowadzony efektownie, a wtrącone zręcznie »fugato«, (ręcz w chórze męzkim z powodu małej skali, w której głosy mogą się poruszać, niebezpieczna), tak co do tematu, jak i przeprowadzenia dobrze pomyślane i niewymuszone. Podobną mi się też bardzo piękna, smutna »Jesień« Noskowskiego. Mniej szczęśliwym był wybór Dregerta, »Czaru miłości« i »Tajemnicy«. Chóry męzkie wykonane były bardzo dobrze; nie da się to niestety powiedzieć o chórach mieszanych, w których obok chwilowo nieczystej intonacji raziła przedewszystkiem przewaga głosów męskich. Z tego powodu przykre było huczenie basów i tenorów w rzeczy tak lekkiej, jak Rameau — Gounoda: »Ciche ustronie«. W tem »cichem« ustroniu stąpał chór jakby w ciężkich butach, czyniąc nimi wiele hałasu. Dla rzeczy tego rodzaju, lepiejby było chór mieszany liczebnie, zwłaszcza co do głosów męskich — zmniejszyć, a tem samem co do jakości ulepszyć i uczynić zdolnym do właściwej interpretacji wielu u nas wcale nieznanymi chórami mieszanych »a capella«, których dyskretne piękności nie polegają na sile dźwięku, lecz leżą w prowadzeniu głosów, harmonizacji i ogólnym nastroju. Wspomnę tylko o chórach mieszanych Brahmsa.

Pewnego rodzaju »specyalnością«⁴ był koncert pianistki-kompozytorki pani Cecylii Chaminade, a to ze względu, że kobiety, któreby jako kompozytorki można brać na seryo, należą zawsze jeszcze do rzadkości. Pani Chaminade, Paryżanka, uczyła się — jak wiemy z dzienników — kompozycyji u Le Coupepy'a, Savarta, Marsyeka i Gardarda. Już jako dziecko tworzyć miała kompozycyie kościelne. Z większych rzeczy pisała symfonie, opery i balet, grany podobno w Marsylii i w Lyonie.

W koncercie swym zaprezentowała nam pani Chaminade tylko utwory fortepianowe i pieśni. O ile z tych rzeczy sądzić można, jest to bezwątpienia talent kompozytorski, choć go nie można nazwać samodzielnym, oryginalnym i głębokim. Zaletą pani Chaminade jest zdaje się świadomość rozmiarów i właściwości tego talentu. Wybiera zatem formy proste, nie sili się na komplikacye, nie szuka nowych dróg, lecz usiłuje podbić wdziękiem, lekkością i zgrabnością formy. Czegóż, coby w kompozycyach p. Chaminade było charakterystyczną cechą jej kobiecości nie dostrzegłem; a powierzchowności i miejscami napotykaney banalności za tę cechę poczytać nie mogę, gdyż przytrafiają się one w równym stopniu często i mężczyznom.

Pannę Ketten, także Cecylię, śpiewaczkę, przywiozła sobie pani Chaminade na swój wielki pożytek, ale po części i na swą własną szkodę. Na pożytek, gdyż pieśni pani Chaminade znalazły w pannie Ketten doskonałą, pełną smaku, wdzięku i elegancyi wykonawczynię; na szkodę, gdyż ta Cecylia śpiewająca, osoba nie tylko zaletami swego głosu i sztuką śpiewania, lecz i powierzchownością, a zwłaszcza wyrazem, który twarz jej w czasie śpiewania czyni prawie piękną, zajmująca; święciła u publiczności największy tryumf, usuwając Cecylię pianistkę i kompozytorkę na plan drugi. *Stanisław Kuczkiewicz.*

Ze świata. Trzy ważne wypadki artystyczne zajmują obecnie świat muzyczny środkowej Europy: wprowadzenie dzieł księdza Lorenza Perosi do Niemiec, fiasko ostatniej opery Goldmarka i ukazanie się Siegfrieda Wagnera w charakterze kompozytora operowego.

Szczegóły o księdzu Lorenzo Perosim z Wenecyi, zbyt są już u nas znane, ażeby je powtarzać. Nakładcy włoscy, obok entuzjamy dla muzyki narodowej, posiadają jeszcze niesłychaną energię i pomysłowość w reklamie; wszystko więc, co w krótkim życiu młodego duchownego dało się w tym kierunku spożytkować, przeszło już do publicznej wiadomości. Ciekawą rzeczą w całej sprawie jest tedy to naprzód, o ile ksiądz Perosi rzeczywiście jako talent zasługuje na wielki rozgłos, a następnie, jak się krytyka niemiecka a zwłaszcza antikatolicka, wobec utworów jego zachowa. Już dziś bowiem pojawiają się oznaki, iż bez grubych uprzedzeń się nie obejdzie, a bardzo charakterystyczną pod tym względem jest korespondencya z Rzymu do *Allgemeine Musikzeitung*, której autor w drwiącym tonie przedstawia sukces ostatniego oratoryum »Zmartwychwstanie Chrystusa«⁵ odspiewanego w jednym z kościołów rzymskich. Otóż twierdzi on, podobnie zresztą jak cała antyklerykalna prasa włoska

iż talent Perosiego, skłania się więcej ku operze, niż ku muzyce duchowej, wbrew twierdzeniom prasy klerykalnej, wielbiącej w młodym kompozytorze nowego Palestrynę. Że w utworach jego przeważa nastrój poważny, nawet mistyczny i że są one pisane pod wpływem dawnej muzyki włoskiej, to łatwo osądzić chociażby z samych wyciągów fortepianowych: »Pasyi« »Przemienienia Pańskiego« lub »Wskrzeszenia Łazarza«. Że jednak z drugiej strony i wpływ muzyki nowoczesnej robi swoje, to również zaprzeczyć się nie da. Tak czy inaczej, rzeczą jest pewną, że w księdzu Perosim, sztuka znachodzi pracownika o talencie bujnym i płodnym. Same zestawienie lat jego, z ilością dzieł już napisanych, a zupełnie dojrzałych, świadczy o tem najwymowniej.

Szowinizm niemiecki ma też dużo do czynienia z ostatnią operą Goldmarka »Die Kriegsgefangene«. Jestto ustęp z Iliady, dość niezręcznie obrobiony i podany na scenę w towarzystwie muzyki skomponowanej przez znakomitego autora »Królowej Saby«. Ale dawna inwencya tak olśniewająca, gdy chodziło zwłaszcza o przedmiot ze Wschodu zacerpnięty, nie dopisała kompozytorowi tym razem — stworzył rzecz pozbawioną sił żywotnych. Daje się to wyczytać we wszystkich krytykach między linjami; notatki zato kronikarskie, co chwila donoszą o »sukcesie«. Operę wystawiono dotychczas w Wiedniu, w Lipsku i w Kolonji.

Do rzędu najbardziej sensacyjnych wypadków, należy premiera opery Siegfrieda Wagnera »Der Bärenhäuter«, wystawionej niedawno w Monachium i przyjętej owacyjnie. Młody kompozytor może naprawdę o szczęściu mówić. Już urodziny jego (1871) uczczone zostały przez ojca skomponowaniem jednego z najpiękniejszych utworów: »Siegfried-Idyll«; dalszy zaś ciąg życia przyniósł mu same powodzenia. I tak gdy z architektki zapragnął stać się muzykiem i schwyteł za batutę dyrygencką, wszystkie najpierwsze orkiestry niemieckie za zaszczyt sobie poczytywały grać pod tą dyrekcją, mimo nieszczególnych zdolności jego w tym kierunku. Gdy obecnie napisał operę, każdy teatr niemiecki ubiega się o nią, a Monachium kupuje prawo pierwszego wystawiania wszystkich dalszych jego utworów. Rzeczą uwagi godną jest to, że Siegfried, (uczeń Humperdincka), nienaśladuje ojca, idąc raczej za nieco dawniejszymi wzorami. Technikę kompozytorską wszystkie krytyki mu przyznają, talentu żadna nie odmawia. Rzecz prosta, że na razie trudno by osądzić, ile w tem powodzeniu rzeczywistego uznania dla Siegfrieda, a ile pietyzmu dla Ryszarda...

Notatki. Koncert H. Melcera zapowiedziany na dzień 6-go b. m. miesiąca w programie obok utworów Beethovena, (Sonata appassionata), Schumara, (Fantazyja C-dur) i Liszta, (Fantazyja z »Don Juana«), także dużo utworów polskich kompozytorów, mianowicie Żeleńskiego i Noskowskiego. W szeregu tym odegrany będzie poraz pierwszy Gawot ze Suiety M. Biernackiego oraz »Pieśń wieczorna« Moniuszki w transkrypcyi Melcera.

Robert Posselt, młody skrzypek z Paryża, niegdyś uczeń tuższego konserwatorium, występuje wkrótce z koncertem.

Marcela Pregi, jedna z najbardziej cenionych śpiewaczek koncertowych, wystąpi we Lwowie w bieżącym miesiącu, pozyskana przez agencję Towarzystwa muzycznego.

I. J. Paderewski po wielkich sukcesach w Warszawie, pełnych już nie zachwytu ale uniesienia, koncertuje obecnie w Rosyi. Z Petersburga udał się do Moskwy, gdzie dał dwa świetne koncerty. Zdania prasy przyznają mu, iż dzierży obecnie berło pierwszeństwa wśród pianistów, jednakże nie są zupełnie wolne od dyssonansów. Zato publiczność darzy go wszędzie i zawsze przyjęciem entuzjastycznym.



TEATR.

(*»Tamten«*, sztuka w 5 aktach Józefa Maskoffa. — *»Kontrolor wagonów sypialnych«*, krotchwila z francuskiego Aleksandra Bissona.)

Z nieprzebranej kopalni krzywd i nieszczęść, łez i niedoli, nie jednego człowieka, ale całej warstwy narodu, wybrał autor, wprawdzie pełnemi dłońmi, ale tylko z powierzchni, kilka garści obrazów i sytuacji z życia wziętych i rzucił je niby ostry, gryzący żwir widzom w oczy. Wywołał efekt — naturalny efekt bólu ściskającego serce... Może o to tylko szło autorowi? Możnaż mu czynić zarzut, że nie chciał, czy nie zdołał sięgnąć głębiej, że z płynnej lawy cierpień narodowych, tego najszlachetniejszego kruszcu, nie odlał, niby mistrz poety niemieckiego, *»wielkiego dzwonu«*, któryby dzwonił po wieki, — możnaż mu, krótko mówiąc, stawiać zarzut, że nie stworzył arcydzieła? Nie, tego zarzutu nie postawimy. Najsurowszy krytyk powiedziałby o *»Tamtym«* chyba tylko, że autor sztuki dał szkic sceniczny, rysowany szerokimi rzutami ołówka, tu nieco zatarty, ówdzie niewykończony, ale wogóle szkic rzeczy aktualnych, z natury wiernie pochwycony, a pod względem roboty przypominający genialne szkice matejkowskie.

W ramach tego scenicznego szkicu, który, jako sztuka dramatyczna wydałby się obcym widzom melodramatem, (zwłaszcza ze względu na akt piąty), a który jednak na *»współczujących«* potężne czyni wrażenie, obraca się bardzo wiele osób działających, figur przystawkowych i komparsów. Od nich to zależy wypełnienie *»szkicu«*, uwydatnienie linii charakterystycznych, uplastycznienie i wykończenie rzeczy aż do możliwie dobrego *»obrazu«*, jakiego widz na scenie żądać ma prawo.

Dwa widziałem obrazy *»Tamtego«*, dwa sposoby wypełnienia szkicu. Psychologiczna to nieubłagalność, że pierwsze wrażenie każdego, jakiegokolwiek zjawiska, jest najsilniejszym i dla tego zaznaczam z góry,

że wrażenie z przedstawienia artystów krakowskich, którzy odtworzyli tę sztukę we Lwowie w czerwcu roku zeszłego, było silne i pozostało niezatarte. Ale jeśli będziemy mówili o przedstawieniu tej sztuki przez teatr lwowski w ubiegłym miesiącu i o wrażeniu i o tem, że wrażenie było o wiele, wiele słabsze, to obok psychologicznego prawidła uwzględnić należy ogromne »majsterstwo«, (że użyję wyrażenia krytyków warszawskich), z jakim grają aktorowie krakowscy i... pewną dorywczość, która w obec rozmaitości wielkiej repertoaru cechuje artystów lwowskich. Tu otwiera się szerokie pole do porównań i uwag, które jednak doprowadziłyby do pewnych uogólnień, a tych ani scena, ani indywidualizmy artystyczne nie znoszą...

Najwybitniejszą w sztuce postać pułkownika żandarmów, Kornitowa, urzędnika do »szczególnych poruczeń«, chytrego, przebiegłego policyjanta grał u nas p. Fiszer, artysta w niektórych »swoich« rolach dawniejszych znakomity. Tym razem, — w Kornitowie, twórczość mu niezupełnie dopisała i pomimo gry starannej, pomimo niektórych szczegółów bardzo dobrych, całość postaci wyszła błado. Widzieliśmy bardzo dobrego aktora — nie widzieliśmy Kornitowa.

Klasyfikować artystów nie podobna, ale gdyby szło o pytanie, który ze współgrających największe czynił wrażenie prawdy, a tem samem stanął na wysokości zadania swego, tj. uzupełnienia szkicu autora obrazem osoby żywej, to niezawodnie na pierwszym miejscu w odpowiedzi byłoby nazwisko pani Cichockiej, która grała matkę Kazimierza Wielborskiego rzeczywiście z wielką, do serca mówiącą prawdą. Rolę Anny-bohaterki grała pani Stachowicz i miała w niej chwile bardzo a bardzo szczęśliwe. Kazimierza Wielborskiego wreszcie odtworzył z dobrem zacięciem p. Wostrowski; szlachetnego ale słabego charakteru młodzieńca pojął trafnie, szlachetnie go odtworzył.

Nie można powiedzieć, aby pp. Chmieliński, (generał żandarmów Horn) i Hierowski, (porucz. Striełkow), nie sprostali zadaniu, ale nie nazwałbym obsady tych ról, jak w ogóle całej obsady sztuki, najszcześniejszą. Może lepiej wyszłaby taka: Horn — Fiszer, Kornitow — Chmieliński, Striełkow — Nowacki? P. Nowacki, talent młody, pełen widocznego zapału, z przejęciem grał drobną rolę studenta Maryana. Uwagę w *ensemblu* szczególną zwracał p. Antoniewski, jako bardzo dobrze »zakrojony« porucznik żandarmeryi, Botkin. Epizodyczne role znalazły wcale dobrych wykonawców, zwłaszcza w pp. Feldmanie i Jaworskim, który podbija widza zawsze wyborną charakterystyką twarzy. Epizodyczne też role Matołkowskiej, właścicielki restauracyi trzeciorzędnej i »panny« Józji, dziewczyny usługującej, — znalazły w paniach Gostyńskiej i Czaplńskiej dobre wykonawczynie.

»Tamten« nasuwałby dużo, dużo uwag, ale już natury więcej politycznej, a między innymi o systemie powoli ale skutecznie dążącym do zgangrenowania i upodlenia społeczeństwa, — ale to wychodzi już po za ramy sprawozdania teatralnego.

Od tak wysoce nastrojowej i wstrząsającej rzeczy, tak poważnej budzącej refleksyję skok do »Kontrolora wagonów sypialnych«, jeżeli nie

ryzykowny... to bardzo śmiały... Powiedzmy z góry, że dyrekcyja i artyści wykonali go z powodzeniem, może dla tego, że wysokość wykonania, na której stał »Tamten«, nie była szczytem Dawalagiru... Udał się więc ten skok do basenu śmiechu, jakim jest wesoła farsa Bissona, następcy takich królów farsy jak Meilhae i Halévy oraz »papa Labiche«, następcy, który jakkolwiek w doskonałym postawieniu rzeczy nie dorównywa swym »wielkim« poprzednikom, przecież miewa pomysły zabawne i wesołe. Oczywiście, że jako rzecz literacka, »Kontrolor« usuwa się z pod wszelkiej kontroli, zapisać można tylko fakt, iż publiczność cała bawiła się bardzo dobrze dzięki panu Bissonowi i naszym artystom, którzy z powodzeniem wniknęli w... płytkość figur tej farsy. Z nadzwyczajną werwą kąpał się zwłaszcza p. Walewski w swej roli męża, który chcąc pozbyć się niecznośnej teściowej bodaj na parę dni w tygodniu, wymyka się z domu w Paryżu, pod pozorem, że został mianowany kontrolorem towarzystwa wagonów sypialnych, który to urząd wymaga peryodycznych, kilkudniowych co tydzień podróży. Niebawem ów »kontrolor« nawiązuje romans z młodziutką panienką w Nancy, poczem postanawia, ażeby radykalnie pozbyć się teściowej, wziąć rozwód z jej córką a ożenić się z panną w Nancy. Niestety — nie udaje się sztuka z powodu ingerencyi prawdziwego »kontrolora«, (grał go bardzo dobrze p. Wostrowski), który godzi męża z żoną, (zrobiwszy wprzód, ku wielkiej ucieście widzów z tego męża warjata) — a sam żeni się z panną z Nancy. W sztuce jest mnóstwo komicznych epizodów, nie związanych zresztą z całością, wchodzi na scenę nawet »fonograf« jako czynnik »działający«. Wyborną parą teściów byli Feldman i Gostyńska. Panna Ogińska, która zaczyna zdobywać coraz szerszy zakres ról, oddała rolę żonki pseudo-kontrolora zupełnie bez zarzutu.

Roman Poliški.



LITERATURA.

„*Impressions et souvenirs*“. (»Wrażenia i wspomnienia«). Oto tytuł ładnie i ozdobnie w Wiedniu wydanej książeczki, której autorką jest pani Helena Oksza. Pod tym przejrzystym pseudonimem kryje się — jak wiadomo — jedna z dam polskiego towarzystwa wiedeńskiego, małżonka sędziwego i znakomitego męża stanu i parlamentarzysty, używającego obecnie *otium cum dignitate* w zaciszu życia rodzinnego. Pani Helena Oksza przed kilku laty wydała już tomik p. t. »Poésie en prose«, a zachęconą sympatycznym jego przyjęciem puściła obecnie w świat nowe dziełko. Książeczka pani Okszy zasługuje na najszersze rozpowszechnienie, tem bardziej, że autorka dochód z jej sprzedaży

przeznaczyła wspaniałomyślnie na cel kulturowy i patriotyczny, bo na polską bibliotekę w Wiedniu. Nie wątpimy też, że przysporzy ona nowy dochód tej użytecznej i wybornej instytucji. Sk.

Jan Kasproicz: »Krzak dzikiej róży — Poezye«. Lwów 1898. Nakład Towarzystwa wydawniczego. Wysoce utalentowany, młody poeta, stawiany szczególnie wysoko przez »najmłodszych«, wających się na Parnas polski synów Apollina, rzucił w świat nową, sporą wiązanek swych pieśni, w tomiku pod powyższym tytułem. Z licznych, poprzednio wydanych utworów, z przekładów Shelleya, Byrona i Szekspira, z mnóstwa wierszy roz-zuconych po pismach codziennych i literackich, znane jest pióro autora, znany jest lot poetycki Kasproicza, krążącego w sferze Shelleyowskich, gorących pragnień, pożądań nieskończonego szczęścia, a rozbijających się o twardą, zimną, nieubłaganą koniczność życia. Jest w tym locie tragizm, tem większy, że warunki życia realnego i tworzenia zdają się uderzać z całą brutalnością wichrów przeciwnych lotowi ptaka — poety. Przytem, pod skrzydła swej indywidualnej niedoli, bierze autor całe warstwy cierpiących i upośledzonych. To też odbija się w jego utworach. Poeta wzlata na wierchy Alp, tatrzańskie szczyty, odtwarza w duszy najpiękniejsze obrazy przyrody, w najrozlicniejszych i najkunsztowniejszych formach wiersza, ale łoś tych obrazów powleczone najczęściej pokostem pewnego pesymizmu, lub conajmniej zwątpienia... W każdym razie lot poety jest górnym, wysoko wzbijający się ponad zwykłą miarę, a zdolność chwytania w tym locie wrażeń i odtwarzania ich słowem żywym, w formie mistrzowskiej, również nadzwyczajna. W zbiorze, o którym piszemy wspaniałe są wrażenia: »Z wirchów i hal« (Z podróży alpejskiej) i »Z Tatr«. Poemat »Na wzgórze śmierci« owiany bajronowskim pesymizmem, pisany jednak widocznie z wielkim gorączkowym zapalem, jest może najprawdziwszym wyrazem etycznych i filozoficznych poglądów poety. Czyta się go też jednym tchem. Nie pisząc szczegółowego rozbioru poezji Kasproicza, na tych ogólnikowych zapiskach poprzestajemy, zalecając nowy tom jego utworów uwadze wszystkich, śledzących rozwój tego niepospolitego talentu. (pr.)

Aleksander hr. Fredro: Komedye. Wydanie zupełne, poprzedzone wstępem przez Piotra Chmielowskiego. — Warszawa. S. Lewental. 1898. (Biblioteka najcenniejszych utworów literatury europejskiej. Literatura polska). T. I. — III.

Wydanie, wymienione w tytule, zawiera niemal całą spuściznę Fredry, 37 komedyi, opuszczono w niem bowiem jedynie drobne wiersze i »Obronę Olsztyna«. Ponadto zawiera wydanie niedawno co odszukaną komedję: »Z Przemysła do Preszow«. — Mimo nadzwyczaj starannego i poprawnego przedruku, dobrego papieru, czcionek wyraźnych, cena nowej edycji wynosi tylko trzy ruble. Dotychczasowe wydania były w porównaniu z obecnym niezmiernie drogie.

Tekst Fredrowski poprzedza wstęp dra Piotra Chmielowskiego, w tomie pierwszym, (str. V. — XXII.), w którym tenże podaje krótki pogląd na ważniejsze koleje życia poety i charakterystykę jego twórczości poetyckiej. Chmielowski rozróżnia dwa okresy w działalności poety: jeden od r. 1821 do r. 1834, w którym powstało 19 komedyi, drugi okres od r. 1848 do końca życia, w którym powstało 18 utworów, o jeden więc mniej, niż w poprzednim. Utwory komiczne pierwszego okresu dzieli Chm. na trzy grupy: 1. Krotochwile, 2. Komedye obyczajowe o cechach mniej więcej kosmopolitycznych, 3. Komedye z wybitnym charakterem swojskim. Najlepszymi krotochwilami są: *Damy i huzary*, *Ciotunia*, *List*, *Pierwsza lepsza*. *Nikt mnie nie zna*. Z drugiej grupy najdoskonalszą pod względem kompozycji jest komedya: *Mąż i żona*, wyborną jest też *Zrzędnosc i przekora*. Z ostatniej grupy najlepszą komedją są: *Słuby panienskie*. Z pomiędzy sztuk powstałych w drugim okresie, nie mających zresztą wielkiego znaczenia, na wyszczególnienie zasługują: *Dwie bliźny*, *Godzien litości* i *Wielki człowiek do małych interesów*. Jako główną zasługę Fredry uważa Chmielowski stworzenie komedyi typów, (str. XV. — XXI.), przyznaje też, że z pomiędzy wszystkich naszych komedypisarzów posiadał Fre-

dro »największy zapas plastyki komicznej«. Wstęp ten Chmielowskiego pojawił się równocześnie w książce jego pt. *Nasza literatura dramatyczna*. Petersburg, 1898 I., str. 206 — 240.

Dr. Wiktor Hahn.

Dr. Marcin Ernst. O końcu świata i kometach. Lwów. — Nakładem Towarzystwa wydawniczego 1899.

Z pierwszego rozdziału książeczki Dra Ernsta widać, że autor miał zamiar napisać rzecz popularną, która by obaliła w masach przesądne wyobrażenia o kometach, jako zjawiskach nadprzyrodzonych, wywierających jakiś tajemniczy wpływ na losy ziemi i całej ludzkości. Zamiar ten atoli całkiem się nie powiódł, ponieważ książeczki nie można zrozumieć, bez elementarnych wiadomości z astronomii, których u nas nawet ludzie ogólnie wykształceni nie posiadają. Autor przypuszcza w czytelniku wiadomości, których niema i mieć nie może. Terminy ściśle naukowe i szeregi cyfr nic nie mówią wtedy, kiedy się ich nie rozumie. Książka robi wrażenie, że autor zna swój przedmiot, że wie o czem mówi, że posiada sporą erudycję, ale równocześnie dowodnie wykazuje brak zdolności popularyzatorskich, bez których przesądów obalać nie można. Obawiamy się, że cel został chybiony i że książeczka nie spotka się z tem uznaniem, na jakie uczciwa intencya zresztą zasługuje.

W. S.

J. I. Kraszewski. Stara Baśń, powieść z IX. wieku. Wydanie nowe. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1899.

Z powieści historycznych Kraszewskiego »Stara Baśń«, kto wie, czy nie największą cieszy się popularnością. Wydawana kilkakrotnie w ozdobnych i w tanich edycjach, przerabiana na scenę, stała się obecnie duchową własnością szerszych kół naszego społeczeństwa, przystępna dla nich i formą prostą i treścią tyle zajmującą dla każdego Polaka a zarazem pociągającą ku sobie nawet najmniej wrażliwe na urok poezji umysły legendowym swym nastrojem, dziwnie pojętym zarówno dla małuczkich, jak dla wykształceńszych osobników. Czytając »Stara Baśń« — po raz niewiadomo już który z rzędu — odnosi się wrażenie, jak gdybyśmy w rzeczy samej słuch li starych klechd, podań w ich pierwotnej, naiwnej szacie. Zapomina się o rozległości fabuły, o intrzydzie nazbyt może luźnej oraz o innych, pomniejszych usterkach technicznej natury wobec przepięknych, porywających swojskością obrazów, jakie autor, znakomicie odczuwający pragnienia i dążenia »dzieci słowa«, roztacza przed nami z szczerą drobiliwością zdumiewającą. W edycji, o której mowa, fantazyja autora posiada znakomicie ołówek ilustratora tej miary, co E. M. Andrioli

....i

T. Korzon. Zamknięcie Dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta. — Lwów 1899. — Nakład Towarzystwa wydawniczego we Lwowie.

Ruchliwa spółka, od niedawna rozwijająca swoją działalność, puściła w ostatnich czasach w obieg nader ciekawą rozprawkę p. Korzona. Już sam tytuł broszury tłómaczy, że stanowi ona poniekąd pewnego rodzaju epilog poważnego, obszernego dzieła warszawskiego uczonego, które ukazało się w ubiegłym roku w drugiej, uzupełnionej, poprawnej edycji Tam, w owych kilku, przeładowanych cyframi i oryginalnymi aktami tomach, znalesz łatwo wielkość pracy każdego wybitniejszego osobnika z epoki panowania ostatniego króla. Stronę moralną owych ludzi maluje dopiero omawiana rozprawka. Główną wagę kładzie autor na uczucia patriotyczne, a w tem oświeceniu i sam król Stanisław August i podwładne mu społeczeństwo w nader ciemnych przedstawiają się barwach. Dopiero dodatnia działalność wychowawców korpusu kadetów nader obfity i piękny wydaje owoc. Ze szkoły tej wyszło całe grono młodych ludzi, owianych tchnieniem Zachodu, którzy stworzywszy w sejmie tak zwane stronnictwo patriotyczne, przekształcają w krótkim przeciągu czasu całe społeczeństwo kardynalnie. I doszło do tego, że szlachcic bez żadnego przymusu wyrzeka się swoich specjalnych praw i przywilejów, przesądów i przyzwyczajęń; że każdy ze stanów — dawniej w swej odrębności zaskorupionych i zaślepionych — myśleć zaczyna o całości kraju i o odrodzeniu ojczyzny; że maszyny drukarskie wprost podołać nie mogą tysiącom rozpraw i swistków ulotnych, buchających szczerą miłością ojczyzny. Po pierwszym i drugim

rozbiore kraju praca patryotyczna staje się bardzo trudną, bo rezydent rosyjski rządzi się u nas jakby na własnych śmieciach, otaczając wszystko i wszystkich gęstą siecią szpiegów i donosicieli. Mimo to wre w kraju i kipi, liczba szlachetnie myślących jednostek wzrasta; naród wykazuje ogromny zasób sił moralnych, fizycznych i materyalnych... A jednak przegrał walną batalię! Dlaczego? Tłómaczy to nader umiejętnie i trafnie p. Korzon, który zamyka ciekawą rozprawę głosami obcych uczonych o trzech rozbiorach. *M. R.*

Dr. Henryk Nusbaum »Głos Antysyonisty do polskiej inteligencji żydowskiej zwrócony«. — Kraków. — 1899.

Jak wiadomo, przejawia się od niedawnego czasu wśród żydów europejskich idea syonizmu, streszczająca się w poczuciu żydowskiej odrębności. Idea ta ma coraz więcej zwolenników i to w sferach kształcącej się młodzieży żydowskiej. Autor broszury pod powyższym tytułem wydanej, należy do przeciwników syonizmu i w pracy swojej, napisanej z talentem a doskonałym stylem, dowodzi współplemioncom, że syonizm to »obłęd chwilowy« a przyczyna rozwoju syonizmu polega w tem, że znaczna ilość młodzieży żydowskiej pochodzi ze sfer zupełnie jeszcze nie uspołecznionych. Dr. Nusbaum przechodzi prześladowania religijne żydów, wielbi wytrwałość ich w tem męczeństwie i wreszcie zaznacza fakt, że doczekali się oni swobody, dzięki kulturze ogólnoludzkiej. W zamian za to żąda od swoich współwyznawców asymilacyi z tym krajem i z narodem, gdzie żyją; nawołuje zaś do tego gorąco słowami: »Jedna tylko przystoi żydom dziś solidarność, oto wnosić w terytorya przez nich zamieszkałe zadatki najszlachetniejszych uczuć, najbardziej ludzkich zasad, najzaczniejszych popędów«. Autor przyznaje, że chrześciance w danym kraju mieszkający z żydami, nie chcą ich i uważać za współziomków, ale mimo to radzi swoim współwyznawcom: »Starajmy się być najlepszymi synami naszej ojczyzny realnej — znośmy z rezygnacją niechęć i nieufność, tak jak ojcowie nasi znośli tortury i śmierć, — a przyjdzie okres, w którym nas kochać będą — nadejście zaś tego okresu najbardziej od nas samych zależy«. Podaje także Dr. Nusbaum środki do ucieśnienia tego ideału. Droga do tego wiodącą jest, jak mówi, »cnota, miłość narodów, których istotną część stanowimy, nieustająca na ich korzyść ofiarność a jako nas dzisiaj nie kochają i nie doceniają, tak kochać i szanować będą nasze po nas. Muszą się ojcowie, aby dzieci zbierały«. Jest to, jak widzimy, broszura agitacyjna w szlachetnym kierunku i z gorącą miłością dla kraju skreślona.

Br. M.

Maurycy Zych. Syzyfowe prace. — Powieść współczesna. — Lwów. — Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. — 1898.

Kto szuka w powieści zabawnej fabuły, intrygi wielce powikłanej, efektów działających na nerwy — ten książki Zycha niech raczej nie bierze do ręki. Bo też „Syzyfowe prace“ nie są wcale powieścią w literackim tego pojęcia znaczeniu, jeno zbiorem luźnych obserwacyi, oraz reminiscencyi z życia szkolnego pod zaborem rosyjskim, obserwacyi kreślonych z przerażającą prawdą, przedmiotowo, spokojnie, bez patetycznych wykrzykników i deklamacyi. System rusyfikacyjny, jego apostołowie i ofiary, występują przed oczyma czytelnika w całej nagości, bez żadnych osłonek i omówień — tłómaczą się same tak wymownie, jasno, że nie wymagają nawet dla najmniej obeznanych z stosunkami zakordonowymi żadnych komentarzy. Tem też potężniejsze wrażenie wywiera powieść Zycha, które poznanie zalecić w pierwszym rzędzie wypadnie wszystkim, pozostającym w bliższym lub w dalszym kontakcie z pedagogią. Znajdą w niej niejedno spostrzeżenie, myśl niejedną, schwycone na gorącym uczynku a i do poznania oraz ocenienia stanu moralnego młodzieży zakordonowej „Syzyfowe prace“ cennym pozostaną dokumentem. To też wydanie tego utworu przez tutejsze Towarzystwo wydawnicze poczytać należy za rzetelną zasługę owej młodej a już tyle pożytecznej instytucyi.

S. P.

Stanisław Witkiewicz. Sztuka i krytyka u nas. (1884—1898) wydanie trzecie, powiększone. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie 1899.

Niezwykła poczytność książki świadczyć może o jej wysokiej wartości i o zainteresowaniu się nią; w krótkim czasie rozeszło się wydanie drugie doszczętnie i teraz Towarzystwo Wydawnicze przystępując do nowego wydania wyświadczyło literaturze wielką przysługę. Książka ta, jak wyraża się sam autor, jest historią walki o niezależne stanowisko sztuki w dziedzinie ludzkiej myśli i o niezawisłość indywidualności w sztuce. Jest to walka z krytyką, która przystępowała do sztuki nie jak sumienny badacz do nieznanego sobie zjawiska, lecz jako sędzia z gotowymi paragrafami ustaw o ideałach estetycznych. Według niego, krytyka sztuki nie może być ani idealistyczna, ani realistyczna, ani też występować pod jakimkolwiek innym mianem, jakie przybierają panujące chwilowo w sztuce prądy. Musi być ona taką, żeby jej teorie mogły tłumaczyć sztukę od najdawniejszych, najpierwotniejszych, najprostszych przejawów — do najbardziej rozwiniętych, złożonych najdoskonalszych, jakie dziś znamy, i żeby dalszy rozwój sztuki mógł być tak samo nią objęty. Krytyka ta w stosunku do sztuki, do jej twórców, musi uznać jako zasadniczą, nie naruszalną zasadę indywidualizmu, którego granicami są tylko środki tej sztuki, w której dany talent tworzy. Tego — według słów autora ma bronić książka. Prócz przedruku artykułów z drugiego wydania zawiera ostatnia edycja ustepy: o Impresjonizm, Jeszcze o krytyce, Z wystawy sztuki w Berlinie 1891 r. i Styl zakopański. Wydanie zaleca się piękną, zewnętrzną formą. e. b

Stanisław Rossowski: »Psyche — Poezye«. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta 1899. Firma znana i na rynku poetyckim — przepraszam za zbyt prozaiczne porównanie — należąca do najlepiej renomowanych. Każdy papier, który wypuści ma walor i skwapliwie bywa przez amatorów schwytyany. Rossowski pisze podobno już od lat przeszło piętnastu, a od dawna nie tylko jest znany ale nawet słynny z tego, że posiada niesłychaną łatwość wiersza i formy, dzięki czemu każda myśl, każdy aforyzm, nieraz paradoks jakiś przyobleka na poczekaniu w wiersz o takiej formie, jaką mieć chce. Nie wszystkie są równej wartości, nie zawsze może dopisuje wena, ale wiersz zawsze starannie wykończony, wygładzony, a co ważniejsza, myśl występuje z poza lekkich, przejrzystych tkanin zwrotek, jasno i wyraziście. Poeta, władający tak łatwo formą, z zamiłowaniem chwytą każdy nasuwający się temat i stwarza z każdego bądź miłą piosenkę, bądź wiersz o poważniejszym nastroju, czasem istne cacko, perełkę, czasem utwór pełen głębszej, społecznej myśli. Chodzi po obszernej, kwiecistej łące, zwykle w czas jasny, pogodny, spokojny i zrywa kwiaty i zioła, i wiąje z nich bukiety i wieńce. Charakterystycznym jest, że w te wycieczki na poetyckie łąki nie wybiera się prawie nigdy w czas burzy i gromów. Stąd utwory Rossowskiego, jakkolwiek mają wspólną niemal wszystkim współczesnym pieśniarzom naszym cechę pewnego pesymizmu i melancholii, nie wstrząsają, nie przerażają, nie budzą grozy lub oburzenia, ale raczej działają kojąco, miłościwie. Bardzo pięknym dowodem jest na to w zbiorze o którym piszemy, dłuższy poemat p. t. »Grzech«, napisany z siłą, a mający tę myśl zasadniczą, że »grzech« brutalny czystej duszy dotknąć nie może, bo dotknąwszy — istnieć przestaje... Jest w tem pesymizm — ale podany czytelnikom tak łagodnie i delikatnie, że... nie zaszkodzi... Poeta wogóle jest zwolennikiem: »miary«, wołając:

»Ponad daremnym rozmachem oręza —
Z smutkiem się słania mądrość życia szara;
Wie ona bowiem, że tutaj zwycięża
Nie szal, lecz — miara«.

Tyle co do ogólnej charakterystyki nowego, w każdym razie cennego zbioru utworów Rossowskiego. Podnieść jeszcze należy, nadzwyczaj ozdobną, zewnętrzną szatę wydania, które i dla treści i dla formy może być ozdobą każdej biblioteki domowej. pr.

Emma Jeleńska. Panienska. Powieść nagrodzona na konkursie *Kurjera Codziennego*. Tomów dwa. Warszawa 1899.

Szanowny areopag warszawski przyznał powieści p. Jeleńskiej pierwszą nagrodę, a wiedząc, że ubiegał się o nią niejeden z pisarzy, który nie od wczoraj, nawet z niemałym powodzeniem, pracuje na niwie literackiej — z tem większem zainteresowaniem bierze się do ręki omawianą książkę. Czy na zaszczytne odznaczenie sędziów konkursowych można w danym wypadku zgodzić się bez żadnych zastrzeżeń? to inne pytanie. Budowa powieści nie odznacza się tutaj niczem nadzwyczajnem, nie wystrzela bynajmniej ponad przeciętną miarę; typ syna rujnującego z zimną krwią majątek ojca, u którego kosmopolityzm zaciera z każdym rokiem silniej wyniesione z domu przekonania i tradycje, w przeciwnieństwie zaś do niego typ córki, ratującej z całym zaparciem się siebie ojcowiznę od ruiny — są również nam skąd inąd dobrze znane; ale z drugiej strony: przepiękna tendencja, wyczierająca z każdej strony, z każdego ustępu powieści, stawia ją wysoko, każe zapominać o widocznych nawet brakach, podbija serca czytelników, zyskała też zaszczytne uznanie sędziów konkursowych. I naprawdę, wdzięczność się im należy, że zwrócili właśnie głównie uwagę na stronę moralną utworu, że przyznając mu pierwszą nagrodę, zainteresowali ogół książką tak wysoce etyczną. Owa tentencya: utrzymanie za wszelką cenę ojcowizny — również nie jest nową. Pierwszy — o ile sobie przypominam — poruszył tę stronę J. I. Kraszewski; po nim długi szereg pisarzy — szczególnie kobiet — wracał do tego samego tematu, raczej do tej samej myśli przewodniej. Że zaś niebezpieczeństwo stało się z biegiem lat coraz groźniejsze; że pod zaborem pruskim i rosyjskim utrata kawałka ziemi polskiej równała się niemal klęsce narodowej, więc też i owa struna dźwięczy coraz silniej, coraz donioślej. Jeleńska uderzyła w nią również. Nie szczędi ona ni farby, ni trudu, byle tylko obraz uwypuklić odpowiednio, oświetlić go w najodpowiedniejszy sposób. Jej bochatka, owa wspomniana w tytule panienka, stoi wytrwale na wyłomie i broni dzielnie rodzinnego kąta, zadłużonego bardzo. Młode to stworzenie i zda się słabe, a jak wiele posiada hartu, ile poświęcenia. Ukochany jej pragnie ją przenieść do miasta, otoczyć wygodami i zbytkiem, więc zrywa z nim, a choć serce jej dziewicze rwie się w strzępy, poświęca całe swoje szczęście — bo wie, że bez niej ojcowizna w niepowołane dostanie się ręce — i zostaje dalej na posterunku, byle tylko utrzymać majątek w całości dla młodszego brata. Powieść tę każdemu polecić można jak najgoręcej.

m. r.

Dr. Władysław Wiślocki. Mickiewicziana z pierwszej połowy roku jubileuszowego w zestawieniu bibliograficznem. Zebrał ... Kraków, 1898.

Zestawienie bibliograficzne »Mickiewicziana« z pierwszej połowy roku jubileuszowego, dokonane z wielką dokładnością i starannością przez znanego bibliografa dra Władysława Wiślockiego, składa się z trzech działów. W dziale 1-szym pomieszczono »wydania dzieł poety«, w dziale drugim dzieła i rozprawy »O Mickiewiczu i dla Mickiewicza«, w dziale trzecim: »nuty muzyczne poświęcone pamięci poety«. Spis ten bibliograficzny przedstawia jak najdokładniej ruch literacki, wywołany rocznicą urodzin poety. W dziale pierwszym wymienione są na pierwszym miejscu zbiorowe wydania dzieł poety; wydań takich pojawiło się dwa: warszawskie w czterech tomach nakładem Gebethnera i Wolfa w cenie 60 kopiejek i mikołowski w cenie 1 złr. 20 ct. (w czterech tomach). Wyborów pism poety wymienia dr. Wiślocki trzy: wśród nich pierwszeństwo przyznać należy wydaniu »pism poetycznych«, dokonaniem przez dr. Wilhelma Bruchnalskiego. Z reszty numerów przypada pozycyi siedemnaste na wydawnictwa poszczególnych dzieł poety. Wśród tych wydawnictw niektóre o'znaczają się bajeczną ceną: Bajki, Powiastki, Sonety krymskie np. kosztują po 2 kopiejki. Ballady, Sonety erotyczne 5 kopiejek itp. — W tym też dziale wymienia dr. Wł. W. tłumaczenia na języki obce, których liczba jest stosunkowo małą; na język włoski przetłómaczył Ungherini Dziady i Konrada Wallenroda. Ten ostatni poemat doczekał się też przekładu na język łotewski, (Silbers). »Pana Tadeusza« przełożył n. j. łotewski Janszewski, na j. szwedzki Jensen, na j. francuski Gasztowtt, — Sonety krymskie na j. rosyjski Kuguszew, — Sonety i ballady na j. łotewski Janszewski i Silbers.

Dział drugi zawiera 156 numerów: pomieszczono tu wszystkie dzieła o Mickiewiczu, wydane osobno, a nadto artykuły drukowane w czasopiśmie i w dziennikach. Wśród dzieł na wymienienie zasługują przede wszystkim drugie wydanie życiorysu poety, skreślonego przez Chmielowskiego, życiorys Kallenbacha, Treliaka: *Młodość Mickiewicza* i *Pamiętnik towarzystwa literackiego imienia Mickiewicza*. Te cztery dzieła są najcenniejszym nabytkiem w roku jubileuszowym. Wymienić resztę publikacji jest nieprawdopodobieństwem w krótkiej wzmiance, pragnę jednak zwrócić uwagę na liczne, popularne życiorysy Mickiewicza, jak np. Konecznego, L. J., Maćkowskiego, Orszy, Pełowskiego, Pieniążka, (dwa życiorysy), Synoradzkiego, Tarnowskiego, Wojnara, Wysłouchowej. Wywołał też rok jubileuszowy cały szereg wierszy okolicznościowych, poświęconych pamięci poety, jak np. Bierońskiego, Butrymowicza, Fischera, Kasprzowicza, Konarskiego, Nowickiego, Strokowej, dwa wiersze Stronera, Tetmajera. Wymienić też należy w tym związku sztukę okolicznościową Sarneckiego »Adam i Maryla«, (dotąd niedrukowaną). Obfitym jest stosunkowo dział III., zawierający dziesięć numerów, »nut muzycznych poświęconych pamięci poety: polonezy Barańskiego, Redera i Żukowskiego, kantaty Świerzyńskiego i Walczyńskiego, marsz jubileuszowy Lewandowskiego, Elegie Świerzyńskiego, nadto muzykę Czubskiego do modlitwy ks. Marka i śpiewnik Urbańskiego. Całe zestawienie wszystkich trzech działów wynosi 194 numerów, liczbę niezmiernie wielką, jeżeli zważymy, że zestawienie obejmuje tylko pierwszą połowę roku jubileuszowego. Liczba ta da się znacznie pomnożyć, jeżeli uwzględnimy także wszystkie artykuły, które pojawiły się w drugim półroczu r. 1898. Z upragnieniem też oczekujemy drugiej części zestawienia dra Wiślickiego; część ta pozwoli nam należyście ocenić ruch literacki, wywołany wielką rocznicą. *Dr. Wiktor Hahn.*

Słovansky Prchled. Zeszyt lutowy tego pożytecznego wydawnictwa, redagowanego w Pradze przez Adolfa Czerneho, zawiera, podobnie jak poprzednie zeszyty, wiele bardzo relacyj o literaturze i o sztuce polskiej. I tak znajdujemy w nim przekłady kilku utworów poetyckich Jana Kasprzowicza, dokonane przez F. Kwapila, aktualne korespondencje z Krakowa i z Warszawy, wzmiankę o działalności literackiej Karola Brzozowskiego, wreszcie artykuł St. R. Lewandowskiego o malarstwie polskim w chwili obecnej. Nie brak też w omawianym zeszycie »Przeglądu« drobniejszych notatek o ecbach roku mickiewiczowskiego tudzież o gramatyce języka polskiego Adama Antoniego Kryńskiego.

S. P.

Kwartalnik historyczny. Zeszyt IV. Organ Towarzystwa historycznego. Lwów 1898.

Nieco spóźniony ukazał się zeszyt IV. i zarazem ostatni *Kwartalnika* pod redakcją dra Józefa Korzeniowskiego, redakcyę bowiem rocznika następnego objął ponownie dr. Aleksander Semkowicz. Pan Korzeniowski pragnąc najwidoczniej jaknajlepsze pozostawić po sobie wspomnienie, wydał zeszyt, a raczej tom, bardzo okazały, w treść ciekawą i pouczającą obfity. Ze setnej rocznicy urodzin Mickiewicza nie pominął milczeniem — na szczerą zasługuje za to pochwałę. Znajdujemy więc w zeszycie IV. wcale udatną podobiznę portretu Adama, będącą własnością dra Korzeniowskiego, do której notatkę wyjaśniającą skreślił dr. Bronisław Gubrynowicz; gruntownie opracowane jubileuszowe rozprawki: W. Smiatka »O łacińskiej odzie Mickiewicza na cześć Napoleona«; Treliaka »Bajronizm w literaturach słowiańskich« i Gubrynowicza »Karta ze wspomnień o pobycie Mickiewicza w Poznańskim; wreszcie szereg ocen dzieł, odnoszących się do wielkiego wieszca narodowego. Zawartość jednak omawianego zeszytu nie kończy się bynajmniej na wyż wspomnianej treści. Nestor pisarzy naszych, profesor Małeckij wyjaśnia »Znaczenie unii herodelskiej w roku 1418. z punktu widzenia heraldycznego«; niestrudzony badacz szkolnictwa naszego, A. Karbowski, kreśli dzieje »Szkoły katedralnej kujawskiej w wiekach średnich«; p. A. Prochaska przedstawia »Warmię w czasie trzynastoletniej wojny z Zakonem niemieckim«; W. M. Kozłowski umieszcza notatkę p. t. »Kościuszko, Kołataj i Rewolucya francuska«. Zwykłe działy, traktowane są nader wyczerpująco. Główna w tem zasługa prof. Dembińskiego,

Askenazego, Wł. Semkowicza i wielu innych pisarzy i uczonych, których nazwisk nie możemy tutaj wymieniać, gdyż lista ich byłaby nadto długa. P. Aleksandra Semkowicza znamy już z dawniejszych lat redaktorskiej jego działalności; p. Korzeniowskiemu ostatniego zeszytu śmiało powinszować można

ł. e.

* * *

Setna rocznica urodzin jednego z prowodyrów odrodzenia czeskiego, wydawcy ludowych »Pieśni słowiańskich«, które tłumaczył jego wielbiciel i przyjaciel nasz Kaźmierz Brodziński, — Franciszka Czelakowskiego, przypada na dzień 7. marca b. r. W Strakonicach, w miejscu urodzenia autora »Ech pieśni czeskich« i »Róży stulistnej«, komitet uroczystościowy już się zawiązał i ustanowił termin obchodu na sierpień ze względu na szersze warstwy ludności czeskiej.



Z Koła Literacko - Artystycznego.

Mimo niezwykle ożywionego w tym karnawale ruchu towarzyskiego w »Kole«, szereg odczytów nie uległ żadnej przerwie. Przeniesiono je na piątki, dzięki czemu audytorium zawsze było szczelnie zapełnione.

W dniu 27. stycznia b. r. miał w »Kole« dr. Juliusz Bandrowski dyrektor miejscowego teatru, konferencję o »Johannesie« Sudermana i o »Cyranie« Rostanda. Właściwie nie była to konferencja, ani też wykład zawodowo-literacki, lecz raczej wyrażenie indywidualnych poglądów mowcy na dzisiejszą literaturę dramatyczną oraz na nurtujące w niej prądy. Dr. Bandrowski zaznaczywszy, iż jest zwolennikiem prawdy w sztuce, ale prawdy pięknej, wspominał następnie o dekadentyzmie w literaturze i o secesjonizmie w malarstwie, który to kierunek nie wywarł, jego zdaniem, korzystnego wpływu w dziedzinie scenicznej. Wyjaśnił z kolei kierownik naszego dramatu powody, dla których »Dzwon zatopiony« oraz »Cyrano« znalazły łaskę w oczach publiczności lwowskiej, którą nazwał nadzwyczaj intelligentną, wrażliwą, a zakończył swe wywody dłuższą wzmianką o »Johannesie« Sudermana oraz o »Samarytance« Rostanda. — Następny odczyt odbył się w dniu 3. lutego r. b. X. Porałat Jan Gnatowski mówił o dwóch niedokończonych utworach Leonarda da Vinci. Podał więc przede wszystkim charakterystykę trzech podobizn Leonarda da Vinci, znajdujących się we Florencji, w Medyolanie i w Turynie, wspominał iż z dzieł pracowitgo mistrza nieznaczną część tylko przeszła do potomności i szczegółowo opowiedział losy dwóch kompozycji Leonarda rozpoczętych, a niedokończonych niestety, jakkolwiek sam mistrz wielką do nich przywiązywał wagę. Były niemi konny posąg Franciszka Sforcy w Medyolanie, którego model, tworzący część łożu triumfalnego, padł w roku 1499 ofiarą wandalizmu łuczowników gaskońskich, tudzież bitwa pod Aglari, malowana w Palazzo Vecchio we Florencji. Z tej ostatniej ocalało zaledwie kilka zatartych szkiców, dają-

cych słabe pojęcie o wspaniałej owej kompozycyi. Do tego, kto jak Leonardo, był kosztem swej chwały a nawet w dziełach dla chwały tej straconych światłem, dźwignią, chwałą całej jednej epoki w dziejach ludzkości i to epoki takiej jak Odrodzenie, godzi się — zdaniem szanownego prelegenta — zastosować słowa poety:

I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.

Niemniej zajmującym był odczyt dra Ludomiła Germana, p. t. *Moderнизм w literaturze*, wygłoszony w dniu 17 lutego r. b. Wymowny autor wybornego studjum o Ibsenie, w głównych lecz wydatnych zarysach scharakteryzował przebieg walki »starych i młodych«, trwającej od dwóch dziesiątek lat. Wskazał więc, jak po epoce romantycznej wzmógł się wszechwładnie realizm, który przeobrażony w naturalizm, wywołać musiał zwykłym rzeczy porządkiem silną reakcyę. Jej wynikiem jest skupienie wewnątrzne, owe odsłonięcie »nagiej duszy«, niewolne od pewnego, mistycznego pierwiastka. Dr. German nie lekceważy ruchu modernistycznego, lecz przeciwnie, traktując go przedmiotowo, dochodzi do przekonania, że prąd ten zagranicą, wobec upadku ideałów romantycznych ma większą racyę bytu, aniżeli u nas, gdzie te hasła nie przestały jeszcze przyświecać młodemu pokoleniu.

W dniu 25. lutego r. b. mówił Izydor Kuncewicz o miłości. Prelegent rzecz swą rozpoczął od przedstawienia dziejowego ro woju uazucia miłości a to od początków istnienia ludzkości aż do naszych czasów. Określił następnie istotę miłości uznanej i wyznawanej obecnie przez ludy ucywilizowane i porównywał ją z miłością istniejącą wśród współczesnych ludów dzikich lub też połowicznie tylko ucywilizowanych. Obszerniejszy ustęp poświęcił p. Kuncewicz genezie tudzież rozbiorowi uczucia miłości dzisiejszej i w konkluzyi niezwykle zajmującej swej konferencyi doszedł do wniosku, że miłość z wszystkich uczuć moralnych jest uczuciem najpotężniejszym, wiążącym zachwyty zmysłów i duszy w harmonijną całość. Miłość działa uszlachetniająco, jest przeto drogą, po której kro zy ludzkość do najwyższej doskonałości.



Kronika żałobna.

Otokar Mokry, jeden z trójcy Mokrzy—Herites—Zeyer, która przed laty z południowo czeskich Wodnian stworzyła sobie zaciszne Tuskulum, miłośnik literatur słowiańskich, a przedewszystkiem polskiej, zmarł w noc noworoczną w swem ustroniu. Urodzony w 1853 r. w czeskich Budziejowicach, ukończył prawa na wszechnicy praskiej i po odbyciu praktyki odpowiedniej osiadł jako notaryusz w Wodnianach. Wystąpił po raz pierwszy jako poeta w *Almanachu* młodzieży »Anemonkach«, a w r. 1874 zwrócił na siebie uwagę powszechną motywami poetycznemi z Tatr, drukowanymi w *Lumirze*, którego odtąd był sta-

łym współpracownikiem. Kolejno ogłaszał następnie zbiorki poezyi p. n. »Melodye z południowych Czech«, (1880), z których wiele ma wartość trwałą, »Peezye«, (1883), »Dumy i legendy«, (1888) i może najudatniej sze »Światłem i cieniem«, (1893). Nadto wydał dwa tomy »Powiastek«, redagował czasopismo obrazkowe »Ognisko domowe«, (Domáci Krb), z którego powstała następnie głośna *Zlatá Praha*, posłował nawet przez czas krótki do sejmu, ostatecznie jednak cofnął się do swego zacisza i stąd odzywał się rzadko, ale czynił, co powinno zapisać imię jego niezatartemi głoski w księdze pamięci naszej. Mianowicie przekładał Słowackiego — i jak przekładał! Bezwątpienia bylibyśmy się odei doczekali zbiorowego wydania poezyi naszego jubilata tegorocznego, gdyby nie śmierć przedwczesna. Jednak i to, co ogłosił, mianowicie »Poematy Słowackiego«, »Baladyna« i »Lila Weneda«, jest pod każdym względem wzorowe. Może też zostały inne przekłady w rękopisie. Oby Czeska Akademia wydała je w takim razie tak, jak nieposkapiała swej firmy »Lili Wenedzie«.

F. K.

Juliusz Kossak, zgasły w dniu 3. lutego r. b. w Krakowie, był znakomitym popularyzatorem narodowego malarstwa na nutę marsza Dąbrowskiego a na tle starszylacheckiej gawędy Pola i Bodzantowicza. Rysownik pełen zalet niezwykłych, akwarelista nieraz świetny, ilustrator często głębszy i poetyczny, położył Kossak wyjątkowe, rzec można, zasługi, jako pierwszy artysta, którego utwory dostały się pod słomiane strzechy, gdzie je wszędzie odrazu zrozumiano i ukochano. On to sprawił, że maluczyzy dowiedzieli się o istnieniu narodowego malarstwa, o potrzebie poznania i popierania rodzimej sztuki. Kompozytocy Kossaka uważać należy w przeważnej części jako odzwierciedlenie jego ducha, gdyż indywidualność charakteru człowieka zlewała się u niego harmonijnie z indywidualnością artystyczną. Fantazyja, nadająca ruch i życie jego utworom, wiernie trzymała się zewnętrznych form przeszłości, odczutyh, czy też zbadanych a w krew i w ciało zamienionych długoletnią rutyną. Był to talent wybitnie indywidualny, twórczy, swojski, ezerpiący soki z macierzystego gruntu, z własnego serca, myśli i wyobraźni, ze społecznego otoczenia. Skarby uczucia i obserwacyi, jakie wyciągnął, opierał Kossak umiejętną dłonią na zasadzie wiekowych zdobyczy szkoły francuzkiej, z której tajnikami zapoznał go ongi Horacy Vernet. Mimo to nie przejął się ślepą manierą tego mistrza, nie był nigdy niewolniczym jego naśladowcą, za jakiego go w swoim czasie ogłaszano. Przeciwnie, w talencie Kossaka tkwiła siła początkowania, rozbudzenia myśli, zwracania uwagi na całą rozmaitość życiowych objawów. Budził on talenty, pomagał do uświadomienia indywidualności a nigdy nie był hamulcem, narzucającym swoją manierę. Niema w nim nic szkolarstwa — powiedział o nieboszczyku Witkiewicz — jest to samodzielny, szczerzy i wielki talent. Chociaż wyprzedził znacznie bujny i wspaniały rozkwit polskiego malarstwa, cieszył się niewymownie jego późniejszym wzrostem i rozwojem. Każdy nowy talent budził w nim radość i dumę, każdy młody mógł zawsze liczyć na jego pomoc i poparcie. Wszystkiem co umiał i co wiedział, co posiadał i czem rozporządzał, dzielił się po bratersku, nie

obrażając nigdy niczyjej miłości własnej, lecz traktując żądającego jego rady lub pomocy jak równego sobie. Gdy długoletni przyjaciel artysty, zasłużony literat i publicysta, Zygmunt Sarnecki, zwrócił na to kiedyś uwagę, odparł mu Kossak z cechującą go zawsze prostotą:

Widzisz mój stary, chleba i dobrej rady nigdy szczerdzić nie należy, bo tylko tym sposobem możesz spłacić dług, jaki zaciągnąłeś u tych, którzy ciebie karmili i uczyli. Trzeba to jednak czynić uprzejmie, delikatnie, żeby jaki taki nie spostrzegł się, że chcesz burmistrzować i nad nim przewodzić...



JULIUSZ KOSSAK

zmarły d. 3. lutego r. b. w Krakowie.

W dziejach długiej, bo pół wieku z górą trwającej działalności twórczej Kossaka, której widownią stały się kolejno: Paryż, Warszawa, Monachium i Kraków, wschodnia część naszego kraju oraz miasto Lwów pierwszym były etapem. Wychowanek tutejszego uniwersytetu, rzucił studia prawnicze dla sztuki, której wiernym pozostał sługą do ostatnich chwil życia i jako chłopak dwudziestoletni rozpoczął objeżdżać szlacheckie oraz wielkopańskie dwory, malując na zamówienie, prócz portretów, sceny z życia sportowego, polowania i przejażdżki. Ważną w karierze artystycznej Kossaka chwilą stać się miało polowanie *par force*, jakie w lecie 1844 roku wyprawił młody podówczas Alfred hr. Potocki dla liczного grona zaproszonych gości. Przypadkowo, czy też umyślnie zawę-

zwany, znalazł się też w Łańcucie nasz artysta, o którym rękopismieny pamiętnik Ksawerego Preka następująco podaje wzmiankę: ...»Kossak, młody człowiek z talentem, rodem z Tarnowskiego, zrobił bardzo doskonałą szkicę całego tego polowania. Profile myśliwych tak są podobne, że wszyscy spostrzegli ten talent wysoki, zrobili składkę na tego młodego, aby mógł doskonalić się w rysunku, którego dotąd mało jeszcze się uczył, Jak to czasem szczęście niespodziewanie się znajdzie».

Z młodocianego tego szkicu w lat dziesięć później, już podczas pobytu Kossaka w Paryżu, powstała wielkich rozmiarów akwarela, (»Polowanie w Łańcucie«), uderzająca portretem iście podobieństwem przedstawionych w niej osób. Zanim wszakże udał się artysta celem dalszych studyów nad Sekwanę, co nastąpiło dopiero w roku 1853, nawiązał on stosunki z słynnymi tego czasu sportsmenami, jakimi byli Włodzimierz Baworowski, Stanisław Borkowski, Borowski, Siemieński, i Władysław Rozwadowski a zwłaszcza jeden z najświetniejszych przedstawicieli podolskiej szlachty, Juliusz hr. Dzieduszycki, z którym odbył podróż na wschód celem zakupna koni arabskich. Często bywał Kossak gościem w Medyce u Gwalberta Pawlikowskiego, nie szczędzącego mu pomocy oraz zachęty w pracy a i do Lwowa powracał wielokrotnie, zwłaszcza od czasu, gdy na stały pobyt przeniósł się do Krakowa. W lwowskiem Kole Literacko-Artystycznem pożądanym wiele był gościem ten czerstwy i rzeźki, mimo ósmego krzyżyka, starzec, zawsze pogodny, sympatyczny typ rycerskiego szlachcica. Zdrow i silny ciałem, zdrową i silną miał duszę. Po raz ostatni zjechał Kossak na dłuższy pobyt do Lwowa podczas wystawy kościuszkowskiej w roku 1894. Wieść o jego zgonie szczerem żalem przejęła lwowski świat literacko artystyczny. Odszedł z pośród nas artysta znakomity, człowiek dobry...

Dr. Alojzy Bruckman, adwokat krajowy, cieszący się powszechnem wzięciem i sympatją zarówno z powodu swych zdolności i zalet towarzyskich, jakoteż dla wybitnego talentu muzycznego, zmarł dnia 11. lutego r. b. we Lwowie w 33 roku życia. Zmarły był synem znanego, w swoim czasie wysoko cenionego i bardzo popularnego skrzypka, profesora w gal. Towarzystwie muzycznym, sam zaś przez pewien czas uprawiał dział krytyki muzycznej w *Kurjerze Lwowskim* i w *Gazecie Lwowskiej*. Ostatnio pisywał recenzje muzyczne w *Gazecie Narodowej*. Śmierć młodego człowieka o wyższych, artystycznych aspiracjach, wywarła w szerokich kołach tem przykrejsze wrażenie, iż nastąpiła prawie niespodziewanie i że nieboszczyk zmarł niemal w przededniu ślubu swego, gdyż za kilka tygodni miał wejść w związki małżeńskie.

Bolesław Syrewicz, artysta-rzeźbiarz, zmarł dnia 11. lutego r. b. w Warszawie. Urodzony tamże w roku 1835, był uczniem znakomitego rysownika Piwarskiego, tudzież miejscowej szkoły sztuk pięknych, po której ukończeniu wyjechał celem dalszych studyów zagranicę. Pracował w Berlinie, w Monachium i w Rzymie. Powróciwszy do kraju w r. 1867, objął pracownię po Olszewskim w zamku królewskim i odtąd stale przebywał w Warszawie, oddany całkiem sztuce, dla której z zapalem pracował. Od chwili powrotu do miasta rodzinnego, śp. Syrewicz

pracami swemi zasilał stale warszawskie wystawy artystyczne, rzeźbił płaskorzeźby i biusty wybitnych osobistości, oraz pomniki grobowe, których wiele znajdujemy po kościołach warszawskich i na cmentarzach tamtejszych.

Z większych kompozyceji rodzajowych zaznaczyć należy *Wenus z lusterkiem*, zdobiącą wnętrze pałacu w Łazienkach w Warszawie. Od dwóch lat artysta, złamany ciężką niemocą, wypuścił z ręki dłuto i zaprzestał pracować na ulubionem polu.

Henryk Lisicki zmarł dnia 12. lutego r. b. w Kalinowie pod Samborem. Lisicki liczył lat mniej więcej sześćdziesiąt; urodził się w Królestwie Polskiem. Staranne bardzo wychowanie i dłuższy pobyt za granicą, wreszcie ciągłe przebywanie w najlepszych kołach towarzyskich, nadały mu wielki polor światowy i pewne wykwiłtne, europejskie cechy; obok ogólnego wykształcenia odznaczał się ciętym, chociaż nie zawsze wolnym od sarkazmu dowcipem, który nie jednał mu zwolenników. Po wypadkach roku 1863 mieszkał Lisicki przez kilka lat w Dreźnie i wtedy to rozpoczął swój zawód publicystyczny, pisząc zajmujące listy do różnych dzienników. W roku 1870 przybył do Lwowa i wstąpił jako współpracownik do dziennika *Unia*, którego naczelnym redaktorem był wówczas ks. Krechowiecki. Po dwuletnim przeszedł w stolicy Galicji pobycie przeniósł się Lisicki do Krakowa, gdzie mieszkał przez lat kilkanaście rozwijając wielką czynność na polu literackiem. Należał do składu redakcyi *Czasu*, pisywał do *Przeglądu Polskiego* i zbierał materyały do swoich książek o Wielopolskim i Helelu.

Z owej epoki datują się jego powieści jak »Kometa«, »Serafina« i »Błędne ogniki«.

Powieść jednak nie była wyłącznem polem literackiej działalności Lisickiego; zabierał się już wówczas do poważniejszego zadania. Po kilku latach pracy wydał swoją książkę o margrabi Wielopolskim. Pisał ją *con amore*, przejmując się w zupełności zasadami i poglądami swego bohatera; to też ciekawa ta monografia, napisana z doskonałym znawstwem przedmiotu, zakrawa czasem na panegiryk. W każdym razie dzieło o Wielopolskim stanowić będzie nader cenny materyał do ocenienia historyi owych czasów i tej niezwykłej postaci, która wycisnęła na nich piętno swej indywidualności.

Osiadłszy na wsi nie wypuszczał z ręki pióra, które stawało się u niego nieraz ciętą i dla przeciwników niebezpieczną bronią, tem bardziej, że Lisicki obok żywego temperamentu polemicznego, odznaczał się odwagą cywilną oraz stałością zasad, nie wolną jednak od skrajności, która nie dopuszczała kompromisów i ustępstw. Lisicki zasilał ciągle swemi pracami *Przegląd Polski*, gdzie między innymi umieścił cenne studyum o Talleyrandzie i barwne »Wspomnienia z podróży«, oraz *Kwartalnik historyczny*, w którym drukował sprawozdania z różnych dzieł treści historycznej, odnoszących się do zdarzeń roku 1863. Zmarły był członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności.

Odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnür-Peplowski.



OGŁOSZENIA.

Lwowska Filia
Krakowskiego Tow. Wzajemnego Kredytu

Lwów, ulica Trzeciego Maja 1. 16.

(Gmach Asekuracji Krakowskiej)

przyjmuje

wkłádki oszczędności
na 4 procent.

Do 2000 koron wypłaca się bez wypowiedzenia.

BIBLIOTEKA
KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

otwarta została

dla członków Towarzystwa

we Wtorki i w Soboty każdego tygodnia

od godziny 7—8 wieczorem.

GALICYJSKI
BANK KREDYTOWY

wydaje

4⁰/₁₀₀ Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem i

3¹/₂⁰/₁₀₀ Asygnaty kasowe

z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Przyjmuje

wkładki na książeczki oszczędności

oprocentowując takowe

po 4¹/₂⁰/₁₀₀ rocznie,

oraz

kupuje i sprzedaje

wszelkie papiery wartościowe

krajowe

po kursie dziennym.

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(Organ Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie)

wychodzi co miesiąca w zeszytach

zawierających od 2 do 3 arkuszy druku.

W najbliższych zeszytach umieszczone zostaną utwory: Stanisława i Władysława Bełzów, dra Adama Bełcikowskiego, Bolesławicza, dra Aleksandra Czołowskiego, Seweryny Duchieńskiej, śp. Andrzeja hr. Fredry, X. Jana Gnatowskiego, dra Ludomiła Germana, dra Michała Greka, T. T. Jeża, Izydora Kuncewicza, Anny Neumanowej, Zdzisława Onyszkiewicza, dra Kazimierza Ostaszewskiego-Barańskiego, Leona Popławskiego, Adama Pługa, Franciszka Rawity-Gawrońskiego, Michała Rollego, dra Wilhelma Rolnego, Kazimierza Rojana, Stanisława Rossowskiego, dra Stanisława Tomkowicza, Kazimierza Wróblewskiego, Jana Zacharyasiewicza i Franciszka Zwiłkońskiego.

Artykuły nadsyłać należy pod adresem Stanisława Schnür-Pepłowskiego, Lwów — ul. Mickiewicza 11.

P-
293

Warunki przedpłaty.

W Austro-Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biurow Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt IV.

Kwiecień 1899 r.



W E L W O W I E

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z Drukarni E. Winiarza

<http://1899n.org.pl>

T R E Ś Ć.

	str.
I. Rok Mickiewiczowski przez A. Bienkowskiego	151
II. Z chwili, wiersz Rodocia	154
III. Ty jesteś opoka przez Stanisława Bełzę	154
IV. Poeci-żołnierze, (notatka literacka), przez Michała Rollego	155
V. Kwiecień, wiersz Zawrata	161
VI. Dziwny człowiek, (epizod z życia), przez Jana Zacharyasiewicza	162
VII. Z Pragi Czeskiej przez Dr. B. Brusika	163
VIII. Notatki z Krakowa przez Kazimierza Czapelskiego	164
IX. Malarstwo i rzeźba	168
X. Muzyka	174
XI. Teatr	186
XII. Literatura	192
XIII. Z Koła Literacko-Artystycznego	198
XIV. Kronika żałobna	200



ADAM MICKIEWICZ.

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niemaj lepszej rady na jutro,
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt IV.

Kwiecień 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z DRUKARNI E. WIENIARZA

1899.



85 293

Rok Mickiewiczowski.

(Zamiast epilogu, garść uwag).

Rok Mickiewiczowski.

Nazwa ta stała się już sama dla siebie pojęciem. W życiu literackim Polski nie było manifestacyi równie potężnej, jak ten obchód, który się złożył na »rok Mickiewiczowski«, obchód mozaikowy, utworzony z tysiąca drobnych, ale myślą przewodnią przedziwnie w jedną całość związanych cząstek. W życiu społecznem i politycznem naszego narodu, rok ten i obchód ten będą drogowskazem na długie czasy, aż po stu latach — daj Boże — przyjdzie nowy, świetniejszy jeszcze rok taki!

Rzuć kamień w wodę, a fala, łamiąc się w promieniach słońca, pomarszczy toń jeziora. Piorun jeśli w nie uderzy, dosięgnie dna, ale wstrząśnie zaledwie najbliższemi warstwami wody. Burzy trzeba, aby poruszyła tonie do głębi, aby wstrząsnęła zapomnianymi zakątkami łożyska, aby wprawiła falę w ruch ożywczy, życiodajny, powszechny.

Rok Mickiewiczowski sprawił to w naszym społeczeństwie, choć nie burzą był, ale błogosławionem panowaniem Geniusza naszej poezyi. Do głębi poruszył wszystkie warstwy społeczne; rozdzielony kordonami naród jedną myślą i jednym uczuciem połączył; falą ogólnego poruszenia dotarł aż po brzegi społecznego środowiska narodu i »zabłądził« aż pod strzechy wieśniacze; stał się bezprzykładnem prawie w historii ludzkości świętem ogólnoludzkiej kultury i cywilizacyi, — urosł w hymn zgodnego hołdu dla naszego Wieszcza, który jako wódz... »przez stuletnie cienie, rozpałał w nas jutrzenne światło ducha«.

* * *

Wszystkie cywilizowane ludy wzięły udział w obchodzie. Wszystkie, bo prócz nurzających się coraz bardziej w swym wypiarckim egoizmie mieszkańców Albionu, chyba tylko jedni — Rusini galicyjscy — usunęli się gremialnie od oficjalnego uczestnictwa w jubileuszowych uroczystościach. A przecież ich — i nasi — bracia w Kijowie, urządzili śliczny wieczór na cześć naszego poety.

Lecz i w Galicyi zastęp dzielnych i zacnych księży ruskich, nie troszczących się o radykalną agitację, *antiquo more* razem z nami obchodził tę uroczystość i nie usunął się od modłów w cerkwiach na intencję wieszczą, który chluba był nie tylko Polski, ale całej Słowiańszczyzny, geniuszem pokoju i prorokiem zgody! Dowiedli, że rozumieją i pokrewieństwo szczepowe i pokrewieństwo cywilizacyi.

Dla tych niewielu, zapomnijmy już dzisiaj nawet i o tych, którzy chyłkiem, nocną porą, obalali barbarzyńską dłonią dęby i lipy, zasadzone po miasteczkach i wioskach na cześć poety.

* * *

Każda z ziem polskich, jako mogła, uczciła pamiętną rocznicę. Uczciła ją także i »Nowa Polska«, rozrzucona wśród rozlicznych kolonij lub miast Ameryki północnej i południowej, wśród lodów Sybiru lub dalekich miast zapadłej Rosyi. Najwięcej jednak zrobić mogła i zrobić była powinna, najwięcej też zrobiła: Galicya. Obchody w niej miały ów charakter ogólny, ludowy, — który w Królestwie polkiem przybrały składki na pomnik poety. Pół tysiąca blisko obchodów w około 400 miejscowościach, można było przekazać potomności; gdyby wszystkie komitety spełniły były swą powinność także i w t. m kierunku, aby centralnemu komitetowi krajowemu zdać sprawę z urządnego obchodu, cyfry te urosłyby może w dwójnasób; jeżeli się zaś doliczy wszystkie obchody szkolne, i uwzględni, że w celu urządzenia obchodów, łączyło się na prowincyi kilka lub kilkanaście gmin sąsiednich, że w obchodach, jakie się odbyły w miasteczkach, brały udział, przynajmniej przez delegatów, zazwyczaj gminy całych powiatów, że wiadomość o tych uroczystościach, owi delegaci niesli potem do wiosek i domów swoich, wraz z rozrzuconemi w setkach tysięcy po kraju popularnemi wydaniem dzieł poety i broszurek o poecie: okaże się, że obchód Mickiewiczowski poruszył w r. z. cały kraj, że o Mickiewiczu usłyszeli nawet najbardziej zaklepieni w swej ciemnocie »analfabeci galicyjscy«, że do sfery myślenia naszego ludu przybył czynnik nowy, który rozszerzył jego widnokrąg, a zarazem stał się nowym cementem między ludem i resztą narodu.

W wieluż to wypadkach dał zaś obchód podniętę do zakładania nowych szkół i burs, tworzenia czytelní, stypendyów dla włościańskich synów i innych instytucyj, które pozostaną trwałym społecznym dobytkiem, chlubną pamiątką r. 1898!

* * *

Złotą księgę trzebaby założyć dla uwiecznienia nazwisk tych, którzy ten ożywczy płomień dobrego geniusza roznieśli po kraju i narodzie całym. A nazwisk tych legion. Obok zasłużonych imion przywódców i członków Towarzystwa literackiego im. Mickiewicza, którzy dali pierwszą podniętę, obok najzasłużeńszych nazwisk w kraju, które

spotyka się przy każdej rozumnej i dobrej robocie, są tam zastępcy znacznych kapłanów, — patriotów, profesorów i nauczycieli, życie całe pracy nad oświatą i nad ludem poświęcających, są dalej nazwiska adwokatów, sędziów, inżynierów, oraz może przede wszystkim — lekarzy, są obok siebie nazwiska t. zw. inteligencji, mieszczan i chłopów nawet, są zastępy Towarzystw rozlicznych, kasyn gniazd sokolich i t. d. i t. d.

Wszyscy tam byli, którzy tylko iskrę miłości dla wyższych celów i dla Ojczyzny w sobie czują.

Z rozrzewnieniem prawdziwem czyta się przemowę górala Stopki z Zakopanego lub chłopca Piotra Bednarza z Grzymałowa. W Wojniczu po przedstawieniu »Konfederatów barskich« dla ludu, chłopci ze łzami w oczach, chcąc okazać swą wdzięczność, nosili na rękach »paniczów«, którzy im »pokazali tych rycerzy polskich«.

Albo list tego lekarza: »W Bobowej, — pisał on dosłownie w kwietniu z. r. do wice-prezesa komisji odczytowej p. Fr. Próchnickiego, czy też sekretarza jej dra Konstantego Wojciechowskiego — miasteczku przepelnionem biedą, ciemnotą, nędzą, błotem i żydami, myślimy obchodzić uroczystość Mickiewiczowską, jak inni w tym roku. Ja, lekarz praktykujący, podjąłem się z chęcią mieć odczyt. Niebo i ziemię poruszę a uroczystość Wieszcza naszego musimy i będziemy w Bobowej obchodzić« ..

I uroczystość odbyła się istotnie.

Albo ten list drugi: »Jestem starcem 80-letnim, siły mi nie domagają ale obchód na cześć tego, który dopiero może za drugie lat sto będzie dobrze zrozumiany, obchód ten urządzę«. I obchód się odbył.

I tam dalej i tam dalej...

W mrocznych dniach ciężkich przesilen, niech ten zapal ogółu dla dobrej sprawy przejmie nas otuchą. Podnieśmy serca! Wieszcza nasz powiadał: »Aż ty wiesz, jak z godziny dnie się snują a z dni wieki!« W życiu naszego narodu był »rok Mickiewiczowski« zapewne godziną tylko, ale oby się stał tą godziną, z której snują się wieki; oby był jak owa:

.. »Błogosławiona

Pieśń, co sieje w narodzie żywota nasiona«.

* * *

Ażeby zaś pamięć tego roku, pełnego podniosłych wrażeń utrwalił a zarazem widomy symbol jego] ideałów w stolicy kraju naszego stworzył, — pamiętajmy — o kolumnie Mickiewicza.

A. Bieńkowski.



Z chwili.

Mącą się myśli... łąza oko zasłania...
Tyle ohydy! wstydu! i zakały!
Obyż z dzisiajszym Świętem Zmartwychwstania,
Bracia! sumienia nasze zmartwychwstały!

M. Rodóć.

Ty jesteś opoka.

Przed Bazyliką Św. Piotra w Rzymie, stałem zadumany wieczorem dnia pewnego.

Stałem i marzyłem.

Przedemną roztaczała się olbrzymich kształtów Świątynia, nademną na szafirowym firmamencie, księżycowe w mgłę niecałe pokazywał oko, a przed wzrokiem ducha mego, jak w różnokolorowym kalejdoskopie przesuwaly się obrazy przeszłości, zacierając jedne drugie, i w otehtań przepaści wzajemnie się spychając.

W uszach moich dźwięczały mi słowa: »ty jesteś opoka«.

I zobaczyłem germańskiego olbrzyna, jak z podniesioną do góry prawicą biegł na ten kościół, co się oparł tyłu pociskom i kolosalnych rozmiarów maczugą chciał go zmiażdżyć, gdyż on mu zawadzał na drodze.

Olbrzym był straszny, cały okuty w zbroję, z oczu jego sypały się iskry, a z ust głośno wylały pogańskie słowa: »siła postępuje przed prawem«!

Grom w świątynię uderzył, zagotowało się w powietrzu, dokoła podniosła się kurzawa, a za chwilę potem... olbrzym znikł i jasne oblicze słońca uśmiechnęło się miłośnie do ziemi, złocąc kopułę niekniętej Bazyliki snopem brylantów promieni...

W uszach zadźwięczało mi znowu: »ty jesteś opoka«.

I przeniesiony zostałem nagle na skrzydłach wyobraźni moje z pod czarownego nieba Italii w cmentarny kraj, pokryty ołowianem niebem, ponad leniwe nurty Warty i Odry płynące na krawędzi dwóch od wieków ścierających się światów.

I ujrzałem tego samego olbrzyna, jak połamaną w bezowocnej z kościołem walce maczugą, ponad głowami maluczkich i opuszczonych tej ziemi odwiecznych mieszkańców wywijał hardo, grożąc im, że ich zmiecie z powierzchni świata, a macierzysty ich język wydrze im z ust.

Maczuga latała szybko w powietrzu, ale głowy maluczkich schylały się pokornie ku oczyszcznej glebie i szczęśliwie uchodziły jej ciosów.

Wreszcie znużony bezowocną walką germański olbrzym znikł, aż w uszach moich, znowu zawdźwięczały mi słowa: »ty jesteś opoka«.

Czytelniku, to co na tym świecie istniejąc, nie jest przecie z tego

świata, co nie kunsztem rąk ludzkich wytworzone, zdradza nadprzyrodzony pierwiastek, bez czego ludzkość chromającą zdążyłaby tylko do swego celu, to się nie lęka pocisków, rozzuchwalonych powodzeniem Teutonów, to się im oprze, choćby ich siły w czwórnasób powiększyć się miały.

Olbrzyma o szalonej, fizycznej potędze niby Goliata Dawidowy kamyk, pokona niespożyta siła moralna broniącego naturalnych praw ludu, oskard się stępi, a opoka pozostanie nietkniętą.

I bramy piekielne, nie pokonają jej...

Warszawa.

Stanisław Bekza.



Poeci-żołnierze.

(Notatka literacka).

Literatura polska w ogóle, w szczególności zaś dzieje ostatnich jej stu lat pochlubić się mają prawo licznym poczem poetów różnej miary i różnego talentu. Obok trzech słońc, ciskających olbrzymie snopy światła, ku którym zwraca się z zachwytem kraj cały, przed którymi czołem uderzyć musieli obcy — posiadamy całą plejadę mistrzów rymowanego słowa, zasługujących częstokroć na gorące nawet wspomnienie.

O nich wszystkich w niniejszej notatce, mówić niepodobna. Ciasne ramy artykułiku kładą tego rodzaju zapędem nieprzebytą tamę; naszym zamiarem wspomnieć o tych jeno, co władali nietylko piórem, ale i szablą, z równem nierzadko powodzeniem, z równym zapalem. Ale i w tym wypadku nie sięgamy w daleką przeszłość, kiedy to brat szlachcic w spokoju, pod starym jaworem czy stuletnią lipą siedząc, wdzięczne składał rymy, by na każde wezwanie rzucić wszystko w ką, zamienić pióro na szablę i spieszyć na zagrożone najbardziej stanowisko. I tutaj skromniejsze zakresłamy sobie granice; mówimy jeno o poetach żołnierzach, przyjmujących czynny udział w walkach Kościuszkowskich, w legionach, w wyprawach Napoleońskich; służących w szeregach armii księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego; bijących się w tyle pa-miętnem powstaniu listopadowem.

Gwiazda Napoleońska szczególniejszych znalazła wśród nas adoratorów i wielbicieli; młódz spieszyła, mimo liczne przeszkody do obozu, biła się z lwią odwagą na wszystkich krańcach Europy a nawet po za jej granicami, ginęła zdala od swoich z okrzykiem: niech żyje Polska...

Napoleon skonał na samotnej wyspie, pierwiej jeszcze grzebiąc złudne nasze nadzieje i marzenia. Po wielu przejściach odgłos nowych

strzałów rozległ się po obszarach Polski, znajdując oddźwięk donośny w sercach młodzieży. Nic dziwnego, że do szeregów pospieżyli teraz, jak dawniej, i pieśniarze-marzyciele, których wrażliwe umysły najłatwiej się poddawały zapałowi, ogarniającemu ogół cały. I tym razem, jak w powstaniu Kościuszkowskim, w legionach, pod orłami Napoleońskimi, znalazł się przy ognisku obozowym niejeden poeta, by po przebytej walnej z nieprzyjacielem rozprawie, na bębnie kreślić strofy, które często-kroć spiewała cała kompania, czerpiąc w nich otuchę, zapał i męstwo.

Wdzięczną też nazwać wypadnie pracę, odzwierciedlającą wiernie działalność wszystkich polskich poetów-żołnierzy z ostatnich stu lat walki, bo chociaż literatura ojczyzna zapisała niemal wszystkie, wybitniejsze ich nazwiska, choć niejednemu z nich poświęcono obszerniejsze studia, mimo to nie daje to właściwego wyobrażenia o całości, nie upamiętnia w odpowiedni sposób zasług całej plejady poetów-żołnierzy.

Aczkolwiek żołnierz Kościuszkowski, ośmieszony nieco wierszopis Marcin Molski, walczył już w szeregach konfederacji Barskiej, mimo to nie jemu, lecz Julianowi Ursynowi Niemcewiczowi raczej z wieku i z urzędu należy się pierwsze miejsce w rządzie poetów-żołnierzy objętej przez nas epoki. Nazwisko to, zapisane w literaturze złotemi głoskami, nie wymaga żadnych bliższych wyjaśnień i dodatków, godnie też rozpoczyna szereg owej dzielnej drużyny. Obok dwóch wymienionych, bije się w powstaniu Kościuszkowskim głośny w swoim czasie naczelnik litewskiego powstania, młody generał Jakób Jasiński, autor sympatycznego tomiku bajek, piosnek i wierszy patryotycznych.

Pada on w obronie okopów praskich, które osłaniał własną piersią, ginie nie chcąc słyszeć o poddaniu się tysiąckroć silniejszemu wrogowi, a największy wieszcz narodowy, uważając Jasińskiego za przedstawiciela polskiej brawury, męstwa i odwagi, wybiera go właśnie jako bohatera swej tragedyi, znanej nam niestety w skromnym jeno urywku.

Z kolei należy się wzmianka Rajmundowi Korsakowi, pułkownikowi wojsk polskich, autorowi »Bibeidy«, «Sądu Jowisza» oraz innych utworów rymowanych — i Alojzemu Felińskiemu, sekretarzowi obozowemu Kościuszki. Ostatni, to postać nader wybitna, cieszący się niecodziennem uznaniem. Umiera on niestety zbyt wczesnie jako dyrektor liceum krzemienieckiego na Wołyniu, któremu przewodniczył z wielkim dla szkoły i jej wychowanców pożytkiem, ogólny więc żal towarzyszy mu do grobu.

Dalsze ogniwa sympatycznego łańcucha tworzą: Józef Wybicki, twórca mazurka Dąbrowskiego: »*Jeszcze Polsku nie zginęła*«, spiewanego i dzisiaj z równym zapałem; gen rał Ludwik Kropiński, uważany w swoim czasie — jak i Feliński — również za pierwszorzędnego poetę, który w powstaniu Kościuszkowskim w stopniu podpułkownika mężnie stawiał czoło nieprzyjacielowi, czego najlepszym dowodem kilkanaście ran, zdobytych pod Maciejwicami — i wyobrazieli literatury legionów, Cypryan Godebski, autor wiersza do legionów polskich. On to, obok Korsaka i porucznika wojsk polskich, więźnia a wreszcie marszałka szlachty powiatu zaśląwskiego na Wołyniu, Jakóba Ciechońskiego, po-

święca swe pióro ku upamiętnieniu odwagi bohatera praskiego, Jakóba Jasińskiego.



CYPRYAN GODEBSKI.

Współczesny im Wincenty Reklewski, serdeczny pieśniarz obozowy, odnosi ranę śmiertelną pod Mołajskiem, zamyka powieki na zawsze w pamiętnym 1812. roku w Moskwie. Przyjaciół jego, znany powszechnie pod mianem zwiastuna romantyzmu, dodawać więc może nawet zbyt, że mamy Kazimierza Brodzińskiego na myśli, z ławy szkolnej spieszy do szeregów, by pod Lipskiem otrzymać ranę i wpaść w ręce Prusaków. Mniej znanym jest natomiast wychowaniec Bazylianów buczackich i Pijarów, Ferdynand Chotomski, poeta i wcale tegi rysownik, malarz, sztycharz, w końcu po wielu przejściach — doktor medycyny i chirurgii, coby świadczyło o wszechstronności wykształcenia i sporej dozie siły woli. Aleksander Chodkiewicz, poeta, dramaturg i chemik,

występuje w roku 1812. w roli dowódcy własnym sumptem do życia powołanego pułku piechoty, z kolei zostaje generałem i senatorem kasztelanem Królestwa polskiego. Niejeden krzyż zasługi i order zdobywa sobie Franciszek Morawski, biorący czynny udział w długim szeregu bitew. W r. 1819. zostaje generałem brygady w powstaniu listopadowym ściera się znowu z nieprzyjacielem pod Grochovem, za co maszeruje na wygnanie do Wołody. Prawdziwy to a piękny typ polskiego patrioty, który i na niwie literackiej i obywatelskiej pracy równie znaczące położył zasługi. Mniejsze niż u Morawskiego zdolności poetyczne przypadły w udziale Antoniemu Goreckiemu, bajkopisowi, autorowi wiersza »Zdobycie wąwozu Somo Sierra« i innych. Obaj oni hołdują początkowo klasycyzmowi, przerzucając się z czasem ku zataczającemu coraz szersze kręgi romantyzmowi. Jest to jedyna zdrada, jaką popełnili w swoim życiu; ujmij ich charakterem bynajmniej ona nie przynosi.

Antoni Malczewski, autor »Maryi«, jak go się tytułować zwykło, to znowu gwiazda pierwszego niemal stopnia, a Aleksander hr. Fredro! ojciec komedyi polskiej, znany i kochany przez wszystkich, zawdzięczających mu tyle mile spędzonych wieczorów — to również potęga literacka, znana całemu cywilizowanemu światu.

Powstanie listopadowe ujrzało znowu w swoich szeregach całe, liczne grono poetów niepośledniej miary. Rzucają oni spokojną pracę, dom, rodzinę, przywdziewają mundury, nałamują się do subordynacyi wojskowej, znoszą obozowe trudy i niewygody, w odwadze i męstwie nie dając się wyprzedzić osiwiłym w bojach zawodowym żołnierzom. I jakże owych pieśniarzy nie kochać, jak imion ich nie wspominać z czcią najgłębszą.

Do grona ich należy Wincenty Szeptycki, żołnierz napoleoński, następnie pułkownik ułanów gwardyi za czasów Królestwa kongresowego, który rzuciwszy zagon ojczysty, dostatki i byt wygodny, spieszy w narodowe szeregi, by na czele legii litewsko-ruskiej raz jeszcze zmierzyć się z przemożnym wrogiem.

Maurycy Gosławski, rozmiłowany w pani swego serca, pragnie na polu walki zdobyć znaczenie i uznanie, by z laurem na skroni tém śmieiej sięgnąć po rękę wybranej. Biję się dzielnie, należy w legii podolsko-ukraińskiej do najgorętszych żywiołów; śpiewa przy ognisku jak skowronek podolski, płacze żałośnie nad upadkiem Zamościa, a strofy jego:

»Już podolskich łanów echem
Nie brzmi Zamość wszęsz i wzdłuż,
I podolska twarz uśmiechem
Nie jaśnieje więcej już«....

do dzisiaj niestraciły nic na wdzięku i popularności. Wprawdzie łzawa zwrotka:

»Z wyciągniętą wy tam dłonią
Wyglądacie nas u wrót,
A nas w więzach ztąd pogonia
Gdzieś pod jarzmo, gdzieś pod knut«..

nie sprawdziła się na Gośławskim tym razem, ale mimoto tęskny spiewak podolski nie zaznał w dalszem życiu szczęścia; umiera za kratą w więzieniu stanisławowskim, śniąc do końca o swobodzie i o pomyślniejszej doli.

Inną kolej wyznaczyły losy autorowi przepięknych pieśni Janusza. Jest on jednym a dosadnym dowodem więcej, jak dziwny posiada kraj nasz dar przykuwania do siebie na zawsze obcych żywiołów. Któżby, bowiem sądząc z marsowej fizygnomii, pana Wincentego i z jego utworów mógł przypuścić, że nie ma do czynienia z rdzennym Polakiem z dziada pradziada!



General WINCENTY SZEPTYCKI.

Obok wspomnianych biorą czynny udział w powstaniu listopadowem: wdzięczny spiewak ukraiński Bohdan Zaleski; równie dobrze znany jego kolega szkolny Seweryn Goszczyński; autor »Pieśni obozowych«, serdeczny druh Adama, przedwcześnie zmarły na obczyźnie Stefan Garczyński; jeden z najwszechstronniej wykształconych i najzasłużeńszych pracowników pióra — Lucyan Siemiński; Antoni Bołoz Antoniewicz, którego nieszczęścia rodzinne skłoniły do przywdziania sukienki zakonnej, poeta wdzięczny, kaznodzieja rozgłośniej sławy; złotousty Skarga naszego stulecia, wstawiony na obu półkulach kaznodzieja — Hieromin Kaysiewicz; gorący i porywający Rajnold Suchodolski, autor Spiewu re-

wolucyjnego: »Dalej bracia do bułata«; popularnej piosnkił »Moskalu wygnany, zgryzotą nękania«; znanego marsza: »Krew nam polska w żyłach krąży«; mazurka:

»Rznicieź nam od ucha
Tęgiego mazura,
Wszakżeśmy zuch w zucha,
Hura, bracia hura!«

a przedewszystkiem twórca poloneza :

»Patrz Kościuszko na nas z nieba«

i wielu, wielu niezapomnianych pieśni, które częstokroć dzisiaj jeszcze wyciskają nam z oka łzę rozrzewnienia; Konstanty Gaszyński, przyjaciel doświadczony Zygmunta Krasińskiego, układający pieśni, acz niezbyt fortunate, przy ogniskach obozowych; wychowaniec krzemieniecki Tomasz August Olizarowski; człowiek wielkiej nauki, czynny lat sporo wśród nas we Lwowie, z poety i żołnierza poważny badacz — August Bielowski; Gustaw Zieliński, długoletni Sybirak, autor poematów »Kirgiz« i »Stepy«; Franciszek Kowalski, Wołyniak, podporucznik legii podolsko-ukraińskiej, walczącej tak dzielnie w Zamościu, pamiętnikarz, tłumacz Moliera, znany autor »Fraszek«; Spirydion Ostaszewski, również Zamościanin, następnie sześćioletni wygnaniec na Syberyi, autor bajek, pisanych w narzeczu ludowym na Rusi i kilku może innych, których nazwiska na razie wyleciały mi z pamięci.

O uczestnikach powstania styczniowego nie powinienem właściwie pisać na tem miejscu, nie była to bowiem służba w armii regularnej, nie byli żołnierze w użyciu słowa znaczeniu. Wyjątek jedynie uczynić mi wypadnie dla serdecznego pieśniarza, Mieczysława Romanowskiego, ten bowiem na polu walki bohaterską poległ śmiercią.

Na zakończenie pobieżnej notatki zapisuję nazwiska Konstantego Tymieckiego, żołnierza Kościuszkowskiego, z kolei w rowego gospodarza i prawdziwego opiekuna włościan, tłumacza klasycznych dzieł obcych i Ryszarda Berwińskiego, przebywającego czas dłuższy w służbie wojskowej, tureckiej, jednego ze znakomitszych poetów pomickiewiczkowskich, pośła gnieźnieńskiego na Sejm berliński.

Tak się przedstawia mniej więcej w głównych zarysach cała drużyna poetów-żołnierzy; żołnierzy różnej miary, poetów różnego natchnienia. Spis to niezupełny, w każdym jednak razie daje już pewne wyobrażenie o tem, jacy właściwie ludzie pracowali na dwóch tych, tak daleko od siebie odbiegających polach. Nie wszyscy oni byli poetami obozowymi; zaledwie kilka z nich tworzy wśród gwaru i zgiełku, pod rozbitym na prędcie namiotem lub przy ognisku polowem; paru innych znowu spiewa rymami już po opuszczeniu wojskowej służby niedawnych przejść smutnie niestety zawsze kończące się dzieje; znaczna wreszcie większość nie upamiętnia bynajmniej w swych utworach owych chwil wojenki

i tnączi z miejsca na miejsce, mimo to wszyscy zaliczeni być winni do jednej, wspólnej grupy, do grupy poetów-żołnierzy.

Niekażdy z nich skrzydłami niebios dosięgał stropu; niekażdy króla-orła otrzyma miano; różne były to natchnienia, różne loty, pamięć atoli o wszystkich równie piękna i droga.

Swoich poetów-żołnierzy Polacy wstydzić się nie potrzebują. Zaczynając od owych pierwszych ze sztabu Kościuszki, a kończąc na ostatnim, nieszczęśliwym Romanowskim — o każdym z nich z osobna śmiało powiedzieć można, że hasłem dlań były słowa rozgłośnego poety szesnastego stulecia:

»Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!«

Michał Rolle.



Kwiecień.

Choć to Kwiecień — tak wczesnie,
Już zakwitły czereśnie,
Już się trawy weselą na łąkach
A wierzbina zielona
Na wiatr puszcza ramiona
W puchach całe złocistych i pękach.

Już na grządkach stokrocie
W srebrze stoją i złocie
I narcyzy gwiazdami białemi
Patrzą, kędy wśród liści
Jaskry żółkną z zawiści
Chyląc jasne swe rzęsy ku ziemi.

Wonia fiołków przesiąka
Ogród cały i łąka,
Pieśń skowronka pod niebem gdzieś dzwoni
I odległe wspomnienia
Wstają nagle z uśpienia
Pełne dźwięków, fiołków i woni!

Zawrat.



DZIWNY CZŁOWIEK.

(Epizod z życia).

.....Dziwny był to człowiek ten Tytus Tyc. Muzyk-artysta i gorący patriota. Patriotyzm w dniach gorętszych sprowadzał mu obłąd. W r. 1848 tak się przejął ruchem ówczesnym patriotycznym, że dostał obłądu. Widział już Polskę od morza do morza! Wystano go do Pragi, do Zakładu obłąkanych.

Czy kuracya w Zakładzie, czy też proklamowany stan obłądzenia w Galicyi, który atmosferę nagle oziębił — były powodem, że Tytus Tyc wyzdrowiał, nie umiem powiedzieć. Powrócił do kraju i ożenił się.

Główne marzenie pozostało mu jednak w duszy. Żył tem marzeniem. Podkładał muzykę pod pieśni patriotyczne i chętnie je spiewał. Urządzał nawet koncerty po za stolicą, w których mu często organa bezpieczeństwa przeszkadzały.

I znowu nadciągnął dla niego rok niebezpieczny. Był to rok 1863.

Gorąca atmosfera tego roku sprowadziła mu znowu obłąd. Zrazu objawiał się nieszkodliwie i łagodnie. Biegał z gorączką po ulicach, jakby gdzieś spieszył. Na zapytania odpowiadał krótko, że mu spieszenie, że sprawie publicznej cały swój czas poświęcić musi. Dawał do zrozumienia, że ma pewne czynności, których wyjawić nie może, że z polecenia Rządu Narodowego.....

Wpadał do cukierni, kamienic i restauracyi — zawsze z gorączkowym pośpiechem. Mówił o bardzo ważnej missyi, którą mu powierzono, a rząd narodowy — a nawet naród cały oczekują od niego spełnienia tej missyi!

Do tego czasu odnosi się pewne, prawie anegdotyczne zdanie, a jednak prawdziwe.

Do tych, którzy w cukierni lub w kawiarni jego słowa zagadkowe słyszeli, należał także raz jednego — agent policyjny. Zagadkowe słowa, daleko sięgające wynurzenia Tytusa Tycy obiecywały mu dobry połów. Chodził za nim, podsłuchiwał, kombinował i był pewny, że coś wykryje, za co dostanie order i remuneracyę.

Zrządziło mu trudno. Miał już spory spis słów ważnych, daleko sięgających — ale to niewystarczało na porządny raport policyjny.

Tymczasem rozeszła się wieść, że Tytus Tyc wskutek uderzenia krwi do głowy dostał obłądu i odwieziono go do szpitala obłąkanych na Łyczakowie.

Z tego zdarzenia chciał skorzystać agent pomysłowy. Wiedział, że od waryata można się więcej dowiedzieć, niżeli od zdrowego. Trzeba się tylko do niego zbliżyć — ale jakim sposobem?

Agent ułożył sobie plan genialny. Zaczął udawać waryata. Biegał po pokoju i chwycił coś w powietrzu, wołając nieustannie: Katz: Katz! Katze! Zatrwożona rodzina zawezwała lekarza, a ten skonstatował obłąd. Agenta odstawiono do szpitala na Łyczakowie i zamknięto w wielkiej sali z innymi, spokojnymi waryatami, między którymi był także Tytus Tyc. Agent dopiął celu swego. Z początku szło wszystko dobrze. Agent zaprzyjaźnił się z Tycem i godzinami z sobą rozmawiali. Z każdym dniem rósł agentowi materiał policyjny — tylko brakło mu jeszcze klucza do rozwiązania różnych, głębokich zagadek. Był jednak już pewny — orderu i remuneracyi.

Dyrektor szpitala, ś. p. dr. Bertlef, niewtajemniczony w plany traktował go jako chorego na ucisk mózgu. Dawał mu senes i jalapię, którą agent potajemnie wyrzucał.

Po tygodniu, gdy derywacya nie skutkowała, zalecił dyrektor inną kuracyę.

Agenta postawiono nago na marmurze i zamknięto w szczelnie przystającą skrzynię. Z wysokości kilku sążni puszczono mu na głowę gruby strumień lodowatej wody.

Agent zaczął protestować, krzyczał w niebogłosość, chciał rozbić skrzynię — wołał dra Bertlefa, że mu coś wyjawi — ale służba i lekarz dyżurny słuchali go z uśmiechem, jak się słucha waryata.

Pod strugą lodowatej wody przemarzył agent do szpiku. Okropny ból pokręcił mu palce, które chciał odgryzać, ale szafa niepozwalająca Wreszcie skostniał cały i umilkł.

Otworzono szafę — agent był nieprzytomny. Długo trwało, nim go ocucono. Nadszedł Bertlef.

Agent skostniałym językiem wykelkotał przed Bertlefem spowiedź i prosił o wypuszczenie z szpitala. Bertlef uśmieł się serdecznie i kazał agenta wypuścić jako wyleczonego.

Tytus Tyc pozostał w szpitalu i wkrótce potem umarł. Mówiono, że umarł w extazie — widząc odrodzoną Ojczyznę.

Dziwny był to człowiek ten artysta-muzyk.

Jan Zacharyasiewicz.



Z Pragi Czeskiej.

Marzec 1899 r.

Cały rok ubiegły był dla nas Czechów wielkim, narodowym świętem. Zdawało się, że uroczystości tutejsze, święcone z okazji jubileuszu Palackiego, wyczerpią nasze siły. Tak jednak nie było. Naród nasz pa-

mięta i o innych zasłużonych mężach. I teraz właśnie byliśmy świadkami wspaniałej uroczystości. Mamy tu na myśli obchód setnej rocznicy urodzin Franciszka Władysława Czelakowskiego. Jakkolwiek pod względem okazałości uroczystości Czelakowskiego nie mogła iść w porównanie z zeszłorocznymi festynami, to jednak zaznaczono w sposób odpowiedni dzień, w którym ujrzał światło Boże piewca »Słowiańskich Pieśni« oraz »Róży stólistnej«. Czeska akademja umiejętności zebrała się wraz z przedstawicielami uniwersytetu w wielkiej sali naszej »Almae Matris« celem godnego uczczenia pamięci poety. Zasługi Czelakowskiego około narodowego piśmiennictwa poddał szczegółowemu rozbirowi Jarosław Vrehlicky, a zakończyło uroczystość galowe przedstawienie w teatrze narodowym.

I jeszcze jeden jubileusz mamy na tem miejscu do zanotowania. Dało do niego powód wystawienie na scenie narodowej tragedyi Wacława Vlčeka, p. t. »Eliszka córka Przemysława«. Córka autora, święcącego właśnie czterdziestoletni jubileusz pracy literackiej, przedstawiała rolę tytułową. Vlček zalicza się wśród tutejszej rzeszy literackiej do »starych«. Nie należy jednak zapominać, że oprócz »starych« mamy też ich epigonów, »młodych«, oraz najmłodszych, czyli dekadentów, jakich i u was zapewne nie brak. Wracając do Vlčeka, przyznać należy, że położył on niepospolite zasługi około naszego piśmiennictwa doby ubiegłej. Tylko że u nas rychło zapomina się o tych, którzy poprzedzili nowoczesnych mesyaszów naszej literatury....

Checiałbym jeszcze wspomnieć o dwóch kwestyach, budzących główny interes w miejscowym światku literacko-artystycznym. Mówię o sprawie założenia drugiego teatru czeskiego w Pradze, oraz o kwestyi zachowania starożytnego charakteru naszej stolicy. Wypada jednak poczekać na ostateczny wynik toczącej się właśnie w obu tych sprawach dyskusyi. Nie mogę też donieść o żadnych nowościach z teatru narodowego, zajętego w tej chwili wyłącznie przygotowaniem do wystawienia premiery »Cyrana de Bergerac«. Ujrzy ona światło kinkietów z końcem b. m. Co się gra tymczasem, to tylko *pour faire rire, pas pour contenter....*

Dr. B. Prusik.



NOTATKI Z KRAKOWA.

My starsi kochający młodzież — a któż jej nie miłuje — doznaliśmy tu w tych czasach bolesnej przykrości wskutek zauważenia niezdrowych prądów krążących wśród tych, na których spoczywa przyszłość

nasza. Czasopismo akademickie, założone w setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza p. t. *Młodość*, a więc organ polskich studentów uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego, poważyło się w łamach swych wśród mniej lub więcej udatych artykułów umieścić rzecz pisał Ignacego Daszyńskiego o »Stanowisku młodzieży akademickiej w społeczeństwie«. Nie poruszając treści artykułu przeciętnej wartości, (obejmującego jednak doskonały ustęp o kulcie... nagiej duszy), sam fakt, iż młodzież dopuściła do współpracownictwa w swoim piśmie socjalnego demokratę, nie uznającego ojczyzny, narodowości — fakt ten daje sporo do myślenia a zarazem wywołuje zupełnie uzasadnione oburzenie. Znaczna też część młodzieży na umyślnie zwołanym wiecu zaprotestowała przeciw temu, uchwalając równocześnie, nieznaczną niestety większością, zasadę, iż oddat *Młodość* nie może się uważać za organ akademicki, co też wyrażono w ciepło napisanym z miłością ojczyzny, choć nieco konserwatywnym zabarwionym liście otwartym. Smutny, to wielce smutny objaw usuwający z przed oczu młodzieży ideały i wzniosłe cele. Ot i teraz studenci mają takie pole do działania w kwestyi dopomożenia komitetowi, zajmującemu się sprowadzeniem zwłok Słowackiego do kraju. Sprawa ta tak się powoli posuwa naprzód, iż wielce prawdopodobną jest rzeczą, że rok obecny, będący półwiekową rocznicą śmierci wielkiego Juliusza upłynie a kości jego nie doczekają się złożenia na ziemi ojczystej. W tej chwili ukonstytuował się nareszcie komitet ścisły, którego prezesem obrano Bełkowskiego, zastępcą Bartoszewicza, sekretarzami Krzemienieckiego i Siedleckiego, a skarbnikiem Bujwida; może mężom tym, mającym podobno zamiar uproszenia profesora Chmielowskiego na honorowego prezesa, uda się sprawę pchnąć żywiej na pewniejsze tory. By pomnożyć fundusze ku temu celowi potrzebne, specjalna sekcya komitetu, złożona z panów Kotarbińskiego, Solskiego, Stanisławskiego i Wyspiańskiego, ma się zająć urządzaniem przedstawienia, po za tem mają być zarządzane składki w całym kraju. Niech się tedy tą sprawą młodzież goręcej zajmie a znajdzie poklask tysięcy wdzięcznych serc. Znam tu w Krakowie nazwiska kilkunastu osobistości, posiadających miliony, które bez uszczerbku dla swej kiesy mogłyby rzecz załatwić i nie trzebaby się odwoływać do filantropii groszowej, którą się wyzyskuje do niemożliwych granic. Albo czyż nie byłoby wskazaniem, by prochami twórcy »Ojca zadżumionych« zajęła się »Jagiellonia«, stowarzyszenie młodzieży, wśród której znajduje się wielu synów powyż nadmienionych milionerów. Na okoliczność tę pozwalam sobie zwrócić uwagę komitetu i mam pewne dane, iż... niepotrzebnymi okazałyby się składki centowe.

Tutejsze »Koło literacko-artystyczne« po śmierci nieodżałowanej pamięci Juliusza Kossaka wybrało niedawnem nowego prezesa w osobie Fałata. Firma to w świecie artystycznym pierwszorzędną a gdy energia, wiek i dobre chęci teje odpowiadają, jest nadzieja, iż instytucya ta, w ostatnich latach nieco ospały żywot prowadząca, pod nowym kierunkiem okaże więcej przedsiębiorczości i zasłuży w całkowitej pełni na miano i literackiej i artystycznej. Tego się wielu, wszyscy członkowie »Koła« po nowym swym przywódcy spodziewają. Z długotrwałej

tej anemii czy apatii budzić się zaczyna pokrewny »Kołu« »Związek naukowy«, który odczytami i pogawędkami daje silniejszy znak życia, zwłaszcza obecnie, gdy się liczba członków znacznie powiększyła. Pomimo tego jednak do »Koła« i do »Związku« należy garstka kilkudziesięciu osób, gdy powinno ich być kilkaset. Uniwersytet, szkoła sztuk pięknych, teatr, nawet stan dziennikarski mają w tych instytucjach po jednym lub zaledwie paru przedstawicieli. Cokolwiek za mało jak na miasto, które uważa siebie dziś w Polsce za przodownika w literaturze i w sztuce. Proszę nie sądzić, że zdanie ostatnie jest wynikiem tak często nadużywanej omyłki zecera, a jeśli kto nie wierzy, niech raczy przeczytać »Listy z Syreniego grodu« umieszczone w numerach od 65 do 68 *Czasu*. Do tej pory ukazał się pierwszy list »O kulturze warszawskiej«, której autor Warszawie zupełnie odmawia. Nie będę tu podawał kwestyi, o ile »Europejczyk«, (taki podpis noszą listy), za bardzo pesymistycznie na stosunki społeczne, szkolne, literackie i artystyczne Warszawy i Królestwa się zapatruje. Już sama redakcja w uwiadomieniu o rozpoczęciu druku listów zaznaczyć uważała za stosowne, że »autor patrzy zbyt czarno na stosunki warszawskie«; za oględne to jednak wyrażenie, bo pan Eusopejczyk po prostu oplwał wszystko, co dotyczy Warszawy, pomimo, że, jak zapewnia znowu redakcja, należy »do wybitnych pisarzy warszawskich«. Nie mam zamiaru podejrzewać prawdomowności niczyjej, mam jednak pewne podstawy do przypuszczenia, iż autor albo nie jest synem syreniego grodu i ośmiela się wydawać lekkomyślny sąd o naszej stolicy z kilkodniowego tamże pobytu, albo też, co gorsza, jeśli pierwsze posądzenie nie słuszne, z mściwości, że może niedostatecznie ocenionym został, płwa, powtarzam, na wszystko, co warszawskie. Nie o to mi jednak chodzi; ciekawych a zajmujących się nietylko sobą odsyłam do owych słynnych listów. Wracam do pierwotnej kwestyi, do owego wyłącznie krakowskiego szowinizmu, nie widzącego nic i nie uznającego nic po za grodem podwawelskim. Takiego wyosobnienia się, takiej wyższości, z jaką na wszystko, co nie krakowskie się spogląda, takiego partykularyzmu nie ma w żadnym naszym mieście.

Warszawa dla pana Europejczyka jest, zda się, Azyą, gdyż on w Galicyi »czuje się bardziej w Europie«; wszak Warszawie brak »kultury umysłowej«, a co za szalona różnica, powiada autor, między najintelleigentniejszymi warstwami społeczeństwa warszawskiego, młodymi doktorami, prawnikami, inżynierami, literatami itp. a między inteligencją Krakowa, grupującą się koło uniwersytetu i Akademii, lub między młodymi pisarzami z grona »Młodej Polski«. Wśród literatów warszawskich nie ma umysłów europejskich, najwyżej pięciu, reszta niedouczona zupełnie. Kraków jest synem cywilizacji zachodniej, Warszawa... Nawet Prus nie jest europejskim, Kenig »wzoruje się« na Anglikach, Bogusławski »naśladuje« Francuzów, ale na taki język jak Rydla, Tetmajera lub Smarzewskiego nie zmógłby się żaden z pisarzy niekrakowskich. Dostało się i znakomitemu historykowi Korzonowi, (sprawiedliwość uznać kaze, o ile Matejki dotyczy, wyjątkowo słusznie), a we wzmiance o konkursie Paderewskiego czytam takie zdanie: O »Białej Gołębce«, niewia-

domo kto może być jej autorem, pewnem jest jednak, że ją mógł napisać tylko człowiek nawskróś przesiąknięty zachodnią kulturą, za czem idzie — takie jest zdanie wszystkich sędziów — że nie napisał jej nikt z Warszawy, lecz ktoś z Krakowa, bo tylko z Krakowa może być człowiek mający tak głęboką znajomość kultury odrodzenia włoskiego. Śmieszne-li to, czy...? Trzy inne sztuki także z Krakowa. Ta sama historia z teatrem, w którym prócz Lüdowej, Rapackiego i Frenkla nie ma aktorów a publiczność warszawska na »Dzwonie zatopionym« nudziła się, ziewała i »siedziała jak na niemieckim kazaniu«. Toż samo dzieje się w muzyce, w architekturze itd. Za to w Krakowie... no i cokolwieczek, ale mało, bardzo mało we Lwowie...

W łonie takiego prowincjonalnego szowinizmu pisany jest cały list, pod którym nie miano »Europejczyka« lecz »zaściankowca« należało pomieścić.

Darujcie, lecz jeszcze słów kilka w tej sprawie. Przypomniało mi się zdanie pewnego, tutejszego, zasłużonego nawet profesora, również ultra krakowianina. Brzmi ono: »Jedź pan do Lwowa, albo po co tak daleko, wyjdź pan za most do Podgórze, do tej naszej Galicyi, (n. b. Kraków do niej nie należy wedle tutejszego punktu widzenia), a jesteś pan człowiekiem straconym, bo to panie Azya...«

Rozpisawszy się szerzej o chorobliwym partykularyzmie krakowskim, muszę już tylko pokrótce zarejestrować w kilku słowach kwestyę muzyki i teatru. Pierwsza znajdzie zapewne obszerną wzmiankę piórem fachowca skreśloną w dziale muzycznym; niech mi wolno jednak będzie wspomnieć o zasługach tutejszego towarzystwa muzycznego, które własnymi koncertami oraz produkeyami Arklowej, Myszugi i innych, tudzież zapowiedzianem »Wskrzeszeniem Łazarza« O. Perosiego dobrze się zapisało w bieżącym sezonie, w pamięci lubowników rozkoszy słuchowych. Ponoć ma tu przyjechać opera lwowska. Tak nam tu jej potrzeba! W teatrze w dalszym ciągu dyrekeya przeważnie modernizuje publiczność, która też zupełnie »modern« od przybytku sztuki stroni. Świeżo przedstawiono »Kwiat pleśni«, nokturn starego zameczyska Szukiewiczza, autora wcale dobrego dramatu »Uluda«, który wiele mówił o przyszłości talentu p. S. Tymczasem, zdaje się, ta zapowiedź była... uludą, gdyż ów nokturn upadł sromotnie jedynie przez autora i dyrektora teatru zrozumiany; ponoć i symboliści nie bardzo się »Kwiatem« zachwycają. Autorowi wręczono wieniec cierniowy, opasany czarną wstęgą, jak twierdzą złośliwi, by miał przedsmak tych cierni, jakie go kaleczyć miały ze strony krytyki. W tym kierunku nie doznał zawodu.

Kraków, w końcu marca 1899.

Kaźmierz Czapelski.



Malarstwo i rzeźba.



Wystawa obrazów Jana Styki.

W wielkiej sali Narodnego Domu urządził p. Jan Styka wystawę swoich prac malarskich, dokonanych w ostatnich latach. Ale nawet i tak ograniczony okres działalności artystycznej nie jest i nie może być zupełnym, nie tylko bowiem wiele dzieł wprost z pracowni dostało się do rąk prywatnych, ale przecież w ostatnich latach był artysta inicjatorem i głównym współpracownikiem olbrzymich panoram kolistych: Kościuszki pod Racławicami, Golgoty i Bema pod Sybinem. Mając to w pamięci dziwić się musimy nadzwyczajnej płodności i różnostronności talentu p. Styki.

Jest to umysł stanowczo górujący po nad przeciętnym poziomem naszego artystycznego świata, a dowodem tego nie tylko śmiałość i wielostronność pomysłów, lecz i szczęśliwe i ze wszelch miar udatne ich wykonanie: Wystawę obecną zawdzięczamy wykonaniu przez p. Stykę nowego wielkich rozmiarów obrazu przedstawiającego »Przysięgę Witołda wobec płonącego Kowna w r. 1362«.

Jest to ustęp z rozpaczliwych bojów pogańskiej jeszcze Litwy z zakonem Krzyżackim, coraz zuchwalej wdzierającym się w głąb puszczy nadniemeńskich. Tło obrazu stanowi okolica bardzo urocza. Sina, szeroka wstęga Niemnu dzieli ją na dwie części, na dalszą po prawej i bliższą po lewej stronie. Na prawo u stóp pagórków, towarzyszących brzegom rzeki, widać jasne płomienie wybuchające z domów i zamku Kowna a w niewyraźnym z oddali mrowisku ludzi znać jednak gwałtowne ruchy walki, napadu i rozpaczliwej obrony. Fantazyę widza podnosi jeszcze bardziej wiadomość historyczna o tym wypadku, podana przez kronikarza Macieja Strykowskiego. To Winryk z Kniprodu, wielki mistrz Krzyżaków, na czele ogromnej armii, złożonej z Niemców i rycerstwa chrześcijańskiego zachodniej Europy zdobywa Kowno, bronione przez Wojdata, syna Kiejstuta, odparłszy poprzednio odsiecz litewskich książąt Olgerda, Kiejstuta i Patryka. Dowiadujemy się z tejże kroniki, iż Niemcy dobywali Kowna nie tylko »taranami y podkopami mury rozwalając lecz y strzelbę ognistą ustawicznie puszczać«, jakoż rozumiemy w ten sposób ich stanowczą nad litewskimi rycerzami przewagę. Na Niemnie zdaleka widać białe żagle statków krzyżackich, dowożących nowe zastępy najeźdźców.

Ale nie ta strona obrazu zwraca głównie uwagę widza. Na obszernej polanie na lewo, pod lasem, zebrało się po nieszczęśliwej bitwie litewskie rycerstwo. W pierwszej chwili, na widok tych dziarskich postaci już to w żelazne zakute pancerze, już to niedźwiedziami skórami okrytych a tak pilnie śledzących to, co się dzieje w ich oczach na prze-

ciwnym brzegu Niemna, cisną się mimowoli na myśl słowa wspaniałego prologu do Konrada Wallenroda :

- Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,
- W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
- Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
- Snują się śledząc niemieckich obrotów...

Leez to nie straż graniczna. To książęta litewscy, bolejący nad straszną klęską, a dzikość w ich spojrzeniu, to żądza zemsty za najazd niegodziwy, za krew przelaną, za miasto spalone i pomordowanych braci. Uczucie zemsty wymownie maluje się na twarzach wszystkich, lecz naj-silniejszy znajduje wyraz w postawie i w ruchu młodzieucznego księcia Witołda. Na wspaniałym rumaku śnieżnej białości, drogocennym rzędem okrytym, siedzi w obcisłym odzieniu purpurowej barwy młodzieniec z podniesionymi w górę rękami. W prawicy unosi lśniący koncerz a spojrzeniem twarzy wyraża niezwykle uroczysty nastrój. W tej chwili nawet i najbliższe otoczenie ku niemu zwróciło się, aby być świadkiem strasznej przysięgi, ulatującej z ust młodzieńca. Na Boga ognia i śmierci, Perkuna, przyrzeka Witołd krwawo pomścić na krzyżakach pożogę Kowna. Siwo-włosy wajdelota błogosławi w tej chwili ogień na tarczy, którą przed nim tuż u stóp książęcego rumaka trzyma rycerz litewski. Wiatr zwraca płomień świętego ognia w stronę Kowna, co jest pomyślną wróżbą, iż przysięga zemsty spełnioną zostanie.

Jakoż w niespełna pół wieku później nastąpił Grunwald a książę Witołd wówczas już chrześcijanin, musiał w ziszczeniu się przysięg młodzieńczych upatrywać moc sprawiedliwości Bożej.

Wiele świetnych postaci otacza księcia Witołda, przepyszne konie dźwigają prawdziwych bohaterów wojny, a pancerze, hełmy, siatki druciane, kołczugi, tarcze, halabardy, łuki i las włóczni prawdziwą grozą wojny przejmują wśród bezlistnych jeszcze konarów starych dębów litewskich. Na pierwszym planie obrazu prawie naturalnej wielkości potężny rycerz na koniu, odwrócony od widza spogląda w stronę Kowna. To ma być książę Kiejstut; za Witołdem poważna postać Olgierda w książęcym kołpaku i w bogatej delii żywo przypomina rysami twarzy księcia Adama Sapiechę. Po nad książęcym orszakiem powiewają proporce i sztandary, na jednym widna Pogoń, późniejszy herb Litwy.

Miarą wysokiej, artystycznej wartości najnowszego utworu p. Styki jest ta okoliczność, iż stojąc przed nim, nie podobna nie doznać silnego wrażenia nawet wówczas, gdy się nie zna szczegółów i treści historycznej przedstawionego wypadku. Gdy jednak chodzi o ocenienie stopnia wrażenia i interesu, jaki obudza u widza, to zbyt śmiało wydaje mi się wygłoszone w pewnym dzienniku zdanie, iż obraz ten dorównuje zupełnie tego rodzaju utworom nieśmiertelnego Matejki. Arcydziełem pomnikiem Witołd pana Styki nie jest, gdyż chociaż w prawdziwym natchnieniu poczęty i z wysoką inteligencją jako też wszechstronnem opanowaniem techniki dokonany, nie ma w sobie owego elementu, który na długo, na zawsze do siebie przykuwa, rozbudzony w widzu czy to

duchową treścią, ujawniającą się w wyrazach twarzy przedstawionych osób, czy to samą siłą akcyi dramatycznej.

Ale mimo to Witołd pana Styki jest dziełem bardzo udatnem i wynikiem bardzo sumiennych studyów, poczynwszy od krajobrazu na miejscu szkicowanego aż do najdrobniejszych szczegółów odzieży i uzbrojenia. Ze stanowiska narodowego należy się artyście najwyższe uznanie choćby już z tego powodu, iż jest on jednym z nielicznych a znakomitych reprezentantów historycznego malarstwa u nas.

Oprócz »Przysięgi Witołda« jeszcze 75 większych i mniejszych obrazów i szkiców zapełnia salę.

Do utworów wyższego znaczenia artystycznego należy »Prorokini i Hulda« przepowiadająca upadek narodu izraelskiego. U wejścia do jaskini skalnej widzimy postać niewieścią w natchnieniu wypowiadającą słowa, padające gromem do uszu słuchającej ją starszyny żydowskiej. Hulda jest jednym z najznakomitszych utworów p. Styki, odznacza się wielką siłą natchnienia i mistrzowskim wykonaniem. Każda postać to typ odrębny, to dzieło sztuki samo dla siebie skończone; całość wywiera potężne wrażenie.

Szkie panoram, »Golgoty i Bema w Siedmiogrodzie«, tak całych części panoramy w szeregu wielkich obrazów, jakoteż poszczególnych osobistości i grup wybitniejszych przypominają nam mile te znane dzieła sztuki, które przyniosły swemu twórcy zasłużoną sławę wśród swoich i obcych. Dowodzą one, z jaką sumiennością i niespożytą energią pracował artysta nad dokonaniem tych rozgłoszonych swoich utworów. Z innych dzieł zasługują na szczególniejszą uwagę: »Rok 1846«, pełen tragicznej grozy obraz, przedstawiający pod symbolem zabitego Abła ową nieszczęsną chwilę w dziejach naszego kraju; »Pogrom« w postaci rannego żołnierza polskiego z r. 1831, opartego o rozbite działo; »Pocałunek Judasza«, utwór przemawiający silnie charakterystycznym rysunkiem twarzy Chrystusa i Judasza; »Kuszenie na górze Kwarantanny« wyborny szkic do większego obrazu, odznaczający się niemałym polotem fantazyi; obraz »Ucieczka strapiionych« t. j. u stóp Matki Boskiej modlące się stany Polski. Z postaci typowych piękny jest »Tadeusz Kościuszko« i »Józef Bem« w kilku odmianach, dalej głowy kobiece i wyborny portret nestora poetów polskich, pana Karola Brzozowskiego, którego rysy baczny widz odnajdzie odtworzone w twarzy litewskiego wajdeloty w »Przysiędze Witołda«.

Prof. Michał Lityński.

Wystawa obrazów Juliusza Kossaka. W dniu 21. marca b. r. otwartą została w salonach Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, pośmiertna wystawa dzieł głośnego mistrza, którego nazwisko pozostanie nazawsze chlubą malarstwa polskiego. Wystawy niemożna nazwać zbiorową, równocześnie bowiem urządzono wystawy obrazów tego samego artysty w Krakowie i w Warszawie, a po za tem jeszcze, bardzo wiele z prac jego, pozostających w posiadaniu prywatnem, niepodobna było na razie odszukać i zebrać. Niemniej przeto wystawa, którą oglądać

można we Lwowie, jest nietylko piękną ale i ciekawą. Składa się na nią sto kilka akwarel, rysunków i szkiców, z dodatkiem dwu lub trzech olejnych drobnotek — a wszystko to nosi na sobie znamiona cechy wybitnego i oryginalnego talentu. Specjalista w malowaniu koni, umiał J. Kossak nadać im swych obrazach nietylko kształty wprost podpatrzone z natury, lecz dał im życie, rzecby można — tchnął w nie duszę i — na tym punkcie nie sprostał mu i zapewne nieprędko sprosta którykolwiek z pierwszorzędnych, światowych malarzy. Konie też zwracają na siebie przedewszystkiem uwagę na każdym z obrazów zmarłego mistrza, choć i po za nimi jest w tych obrazach nieprzebrane mnóstwo szczegółów, mogących zadowolić najwybredniejszego znawcę; przedewszystkiem czystość i plastyka rysunku, — rzecz tak ważna u akwarelisty — następnie pogodna naturalność kolorytu, wreszcie, wyborna i jakaś odrębna charakterystyka wszystkich postaci, okraszona nierządkiem — zwłaszcza w szkicach z lat młodzieńczych — sporym zasobem humoru.

Z prac na wystawie lwowskiej zebranych, wyróżniają się akwarele, ilustrujące »Ogniem i mieczem« i »Potop« Sienkiewicza; obok zwykłych zalet pędzla artysty, bije od nich szczerze odczuta i oddana poezya, raz pogodna, to znów pełna grozy, stosownie do odtwarzanego tematu. Wyborne są również liczne wizerunki koni wschodnich, kilka scen historycznych i myśliwskich, w końcu — kilka obrazów i rysunków przedstawiających wiernie sceny z życia naszego przed laty pięćdziesięciu...

Z wystawy wynosi się uczucie zadowolenia i dumy z talentu rodaka; tem bardziej żałować należy, że nie dano nam możności oglądania i podziwiania wszystkich, razem zebranych dzieł wielkiego artysty.

Iz. K.

U Augustynowicza. Który numer zajmuje p. Augustynowicz? spytałem portyera w »Hotelu Europejskim«, gdzie znajduje się pracownia artysty. Portyer, człowiek »poważny«, który ludzi liczy zapewne dopiero od obywatela wiejskiego, spojrzał na mnie z tak dobrze ukrytem lekceważeniem oraz szyderstwem, że się ich istnienia sam domyślać musiałem i odparł: »strych«.

— Bagatela, pomyślałem sobie, przyjdzie mi się drapać, ku wyższym sferom, sferom zawrotowym dla niewtajemniczonych. Inny na mojem miejscu byłby się może zawrócił, ale że jam taternik i gór zwykły, więc rozpocząłem wchodzenie po schodach. Zaspawwszy się, stanąłem z biciem serca pod wskazanym numerem. *Nota bene* bicie serca było wynikiem wejścia na czwarte piętro a nie wzruszenia, które zamiera powoli u reportera, zmuszonego zawsze pracować na zimno i z rozmysłem.

Po chwili odpoczynku zapukałem śmiało. Z wnętrza ozwał się głos »proszę«, pociśnałem więc klamkę, otworzyłem drzwi, wszedłem i — zdumiałem! Gobeliny, makaty, wschodnie materye, makartowskie bukiety, stare zbroje, lamparcie i tygrysie skóry, oraz inne cechy pracowni artysty uderzyły mój wzrok swoją — nieobecnością. Zdaje się,



że zamiast przywitać gospodarza, otworzyłem usta i rozwarłem szeroko oczy, wodząc niemi dokoła po pustej izbie. Pan Augustynowicz domyślił się snąc źródła mojego zadziwienia, gdyż zaraz mnie objaśnił:

— Dziwi pana pustka i gołe ściany. Przyczyną tego jest, że »gaszę« wszystko we Lwowie przed rychłym wyjazdem!

Mniej miałem do zarzucenia »gaszeniu« ozdób artystycznej pracowni a więcej zgaszeniu nieco zawczesnemu ognia w piecu, wskutek czego owiąło mnie istic artystyczne zimno. I tylko dzięki przyzwyczajeniu do »literackiego powietrza«, które z wysokim stanem termometru nigdy nie idzie w parze, uchroniłem swą reporterską wenę od skrzepnięcia.



U Augustynowicza.

— Może mi Pan dać kilka dat biograficznych? spytałem gospodarza.

Wytrzeszczywszy oczy, co czyni zawsze z przyzwyczajenia, odparł p. Augustynowicz: i owszem, poczem spisałem następujących parę wiadomości.

— Urodziłem się w roku 65 w Sanckiem. Chodziłem do gimnazjum w Rzeszowie. Potem kształciłem się w szkole krakowskiej, gdzie widziałem kilka razy Matejkę i korzystałem ze wskazówek prof. Łuszczkiewicza. Dwa miesiące spędziłem w Monachium i na tem skończyły się moje studia. Z Monachium przyjechałem do Lwowa.

— I jakże dawno Pan bawi we Lwowie?

— A już siedm czy ośm lat. Przez ten czas zdołałem zasmarować kilka mil kwadratowych różnych szmat.

— Z jakimże sukcesem spotkały się te Pańskie »szmaty«?

— Roku 1896 dostałem na wielkiej wystawie sztuki w Berlinie złoty medal za portret własny. Na wystawie lwowskiej w 1894 r. dostałem znowu srebrny medal za portret kobiecy. Do tych laurów ostatnie czasy dorzuciły bobkowy liść nowego zaszczytu. Zostałem jednym z jurorów austriackiego działu przyszłej wystawy paryskiej.

— Z wielkiem powodzeniem musiał się spotkać Pański portret ś. p. kardynała Sembratowicza?

— Pewnie, brzmiała odpowiedź, przecie już sama barwa bije w oczy. Wiedeńska »*Presse*« nazwała ten obraz »Repräsentationsbildem« — w sam raz dla naszej sali sejmowej. W Peszcie umieszczono go na pierwszym miejscu i wymyślano mnie od najślawniejszych malarzy hiszpańskich, z którymi mnie porównano.

Naprzeciwno kardynała stoi jakaś druga »szmata«, ale już robiona całkiem na zielono, i też bije w oczy swoją barwą.

— Cóż to ma być? spytałem.

— To portret zielonej damy w empirze z 1834 roku. Pysnie się kobiety ubierały w tym czasie — suto, bufiasto, a nie jak dzisiaj — niewiedomo co. Jako niefachowca muszę zwrócić uwagę pańską na to, że mam specyjalną skłonność do niebieskiego koloru, bo widocznie patrzę na niebiesko. Mając ultramarynowy kierunek umysłu i oka, pakuję wszędzie masę tej farby i to się wielu ludziom podoba. Jako niefachowiec nie mogłem odkryć wiele ultramaryny w czerwonym portrecie kardynała lub zielonym owej damy z 32 roku; p. Augustynowicz objaśnił mnie atoli, że farba niebieska jest wszędzie, chociaż mniej jej używa, niż dawniej, gdyż się nieco miarkuje.

— Każdy, widzisz pan ma manierę w zoładku, objaśnił mnie p. Augustynowicz. I mnie jej nie brak, chociaż bronię się od manieri i technikę zmieniam, żeby nie spowszednieć. Na wystawie jest jeszcze portret naturalnej wielkości ś. p. hr. Czarłowskiej-Golejewskiej, kilometrów *landszafta*, na której znajdziesz pan też masę ultramaryny. A patrz pan na zaczęty portret namiestnika hr. Pinińskiego, ileż tu farbki?

W pracowni uderzył mnie duży obraz, wyraźnie symboliczny i nie patrzący mi na utwór p. Augustynowicza.

— A to co? spytałem.

— To »Nirwana« Łasińskiego, kolegi mego, zmarłego dla sztuki przedwcześnie. Był to prawdziwy apostoł, ogromny znawca sztuki, wyborny teoretyk, chociaż nieszczególny malarz. Jemu to wiele mam do zawdzięczenia. On się przyczynił do r. zwoju mego talentu. Wspomnij pan o tem, gdyż się to pamięci Łasińskiego należy.

— Czy Pan niezadowolony z pobytu we Lwowie, że się przenosi do Warszawy.

— Oczywiście, żem niezadowolony. Tu nie ma atmosfery dla sztuki, której ludzie nie rozumieją. Lwów nie posiada kultury. Ludzie zacząwszy od tego, że się za rzadko kąpią, kończą na tem, że nie ku-

pują obrazów. Żałują pieniędzy na dzieła sztuki. Na portret to sobie jeszcze ten i ów pan pozwoli przez próżność, ale i za to lichu płacą.

— W Warszawie zatem spodziewa się pan osiągnąć lepsze rezultaty.

— Oczywiście. Zaraz na wstępie spucuję kilku panów, a potem jak wbiję Warszawie w krzyże długą szmatę raz na miesiąc, to interes pójdzie. Tam ludzie mają pieniądze i płacą.

Na tem skończyło się posiedzenie. Pan Augustynowicz nauragał jeszcze nieco na Lwów w sposób o tyle dosadny i nie artystyczny, że nie da się to powtórzyć, nabijał mi jeszcze w krzyże różne swoje opinie o lwowskich stosunkach, nie zbyt pomyślnych dla rozwoju sztuki, poczem pożegnaliśmy się a ja długo jeszcze myślałem nad tem, com usłyszał, nie dziwiąc się wcale, że p. Augustynowicz nie może zapatrywać się na stosunki różowo, skoro cierpi na ultramarynowy kierunek umysłu i oka. Oby Warszawa przedstawiła mu się w lepszych barwach. Życzymy powodzenia!

Wojciech Szukiewicz.



M U Z Y K A.

Pieśni Namiestnika. Imię hr. Leona Pinińskiego wydrukowane na programach koncertu na pomnik Mickiewicza dnia 20go marca, niejedną uwagę, niejedno zdziwienie i niejedną krytykę wywołało. Twierdzili niektórzy, iż występ w charakterze kompozytora, niezgadza się ze stanowiskiem urzędowym tak wysokim; innym pora niewydała się stosowną, a nawet i tacy byli, których to pospolitowanie się nazwiska ozdobionego tytułem a zamięszanego w programie koncertowym wśród innych, raziło nieprzyjemnie. Przysnać jednak należy, iż jesteśmy w postępie i cywilizacyi tak zaawansowani, że ta ostatnia uwaga, obudzona w tem lub w owem arystokratycznym sercu, jeżeli na jaw się wydostawała, to chyba tylko słówkiem półgłębko rzuconem, lub delikatnem wzniesieniem ramion.

Tymczasem, wypadek, iż osoba wysoko położona, publicznie swe zamiłowanie do muzyki odstawia, występując czynnie wobec szerokiego audytorium, wcale nowością na gruncie tutejszym nie jest. I sfery rządowe i sfery arystokratyczne, niejedną osobistość wydały, mającą znaczenie dla muzyki, a zwłaszcza w jej tutejszych warunkach. Jużto przedewszystkiem, sprawiedliwość oddać należy Niemcom, iż zaznaczali się pod tym względem, jak najbardziej dodatnio. Starsi od nas znacznie w sztuce muzycznej, przywozili do Galicji zamiłowanie w muzyce kla-

sycznej i kształcenie wzbijające się ponad poziom tego, co tu zastawali. Prawdopodobnie, oddawali się jej, głównie z myślą stworzenia sobie rozrywki wśród stosunków towarzyskich, nie zawsze dla nich przyjemnych. Być jednak może, iż nieraz i myśl jakaś dalej idąca, kierowała krzątaniem się ich około Towarzystwa muzycznego, urządzeniem muzyki komnatowej, zakładaniem chóru kościelnego i t. d. Kto wie, czy ten lub ów szlachetniejszy umysł, krzewiąc muzykę, nie widział w niej różdżki oliwnej, środka łączącego wrogie sobie żywioły.



LEON Hr. PINIŃSKI.

Kreśląc te słowa nie na podstawie studjów nad przeszłością muzyki we Lwowie, lecz tylko według opowiedzianych nam szczegółów, łatwo pominąć możemy niejedno nazwisko. Że jednak idzie nam tylko o naszkicowanie tej przeszłości w kilku rysach, przeto wymienienie najważniejszych, powinno w zupełności wystarczyć. Otóż na wstępie bieżącego stulecia, spotykamy we Lwowie dom radcy gubernjalnego p. Baroniego, którego żona uzdolniona i wykształcona kompozytorka, rozwija niezwykle ożywioną działalność; w czem jest jej pomocny Wolfgang Mozart, (syn), muzyk przebywający we Lwowie przez lat dwanaście. Zakładają towarzystwo śpiewu chórowego »Sobór św. Cecylii«, urządzają kwartety smyczkowe, w których jako pierwszy skrzypek zasiada słynny

Schupantzig. Odmalowana przez jednego ze współczesnych malarzy jako św. Cecylia, przedstawia się nam ta muzyki protektorka i krzewicielka bardzo sympatycznie. W czasach późniejszych znaczny wpływ na tutejsze stosunki wywierają muzycy wiceprezydenci Namiestnictwa, hr. Łazan-ski, (późniejszy namiestnik Morawy) i Kalchberg. W oświeceniu przy-miotów towarzyszkich i zamiłowania do muzyki, daje się tu przytoczyć nawet osławione z kądną nazwisko dyrektora policyi Sacher-Masocha, który przez czas dłuższy był prezesem gal. Towarzystwa muzycznego i poza urzędowaniem oddawał się namiętnie muzyce i pracom nauko-wym. Następnie wyszczególniają się muzykalnością domy prokuratora Danko i prezydenta Sądu br. Schenka, w końcu zaś dom Głównodowo-dzącego księcia Windischgrätza, którego żona była dobrą pianistką i chęt-nie grywała publicznie.

Swoją drogą, polskich nazwisk zaczerpniętych bądź to z kół urzęd-owych, bądź z wyższych sfer szlacheckich również nam nie braknie. I tak w początkach stulecia słynie z zamiłowania do muzyki dom Po-lanowskich, pod którego protekcją wychowuje się uzdolniony i głośny później muzyk polski Karol Kurpiński; słynie następnie gubernator Wa-cław Zaleski, znany pod pseudonimem Wacława z Oleska zbieracz pieśni ludowych, opracowanych wspólnie z Karolem Lipińskim, a wydanych w roku 1833. Jako amatorowie gorliwi i czynni, żyją do dziś dnia w pamięci starszych muzyków, hr. Golejewski (klarnecista) hr. Ksawery Fredro, (fortepianista) i hr. Starzeńcy ojciec i syn, skrzypkowie. Pierw-szy z nich, posuwał swój zapal tak daleko, iż grywał w orkiestrze te-atralnej; dwaj ostatni grali na skrzypcach bardzo dobrze i współdzia-łali chętnie w produkeyach Towarzystwa muzycznego. Szczególnie zna-czenie dla Lwowa miał następnie dom księżstwa Leonów Sapiehów. Nadzwyczaj gorąca wielbicielka Mikulego, księżna Leonowa, urządzając u siebie przyjęcia, na których schodziły się sfery arystokratyczne ze światem muzykalnym, wywierała wielki wpływ na ruch muzyczny i bar-dzo dodatni. Wykonania muzyczne, jakie odbywały się na tych przyję-ciach (1868-70) otaczane były przez księżną opieką pełną troskliwości. Muzyka stała się wówczas rzeczą niezbędną w stosunkach towarzyszkich, a co ważniejsza uczęszczano pilnie na koncerty, popierano Towarzystwo muzyczne. Księżna umiała nawet tego dokazać, że zgromadzone towa-rzystwo słuchało muzyki w milczeniu, co jak wiadomo w salonach nie jest wcale rzeczą tak łatwą do uzyskania.

Zupełnie wyjątkowe stanowisko zajmuje w tym świecie: hr. Wła-dysław Tarnowski. Byłto muzyk i zarazem poeta, (Ernest Buława), a więcej jeszcze fantasta i marzyciel. Będąc uczniem i wielbicielem Liszta, jako kompozytor pragnął działać pod sztandarem nowoczesnej szkoły, brakowało mu jednak talentu i nauki dostatecznej, aby tworzyć rzeczy dojrzałe. Przez całe życie błąkał się wśród własnych, nieokre-szonych dość jasno aspiracji, nie umiejący pogodzić natchnionych pory-wów z realnymi kształtami sztuki ukochanej przez siebie. Wł. Tar-nowski odwiedzał Lwów tylko od czasu do czasu, niemniej jednak

należy mu się tu pełne cześć wspomnienie. Była to dusza szlachetna i piękna.

Podobnie, mamy prawo wymienić imię ks. Marceliny Czartoryskiej, którą Lwów parę razy miał sposobność słyszeć. Pianistka bardzo poważna i znawczyni muzyki, uczenica Chopina, pełna pietyzmu i uwielbienia dla swego mistrza, wywierała ona wielkie wpływy na ruch muzyczny w Krakowie.

U nas, w ostatnich czasach po okresie Mikulowskim, zajęcie muzyką wśród świata, o którym mówimy, znacznie osłabło. Jako muzykalne znane są we Lwowie domy pp. Tchórznickich, ks. Jerzych Czartoryskich, Chamców i Brunickich. Prezydent Tchórznicki jednakże, mimo że doskonały pianista, oddawna już usunął się z areny publicznych występów, podobnie zaś uczynił i radca Schubert, wykształcony i poważny skrzypek, współdziałający niegdyś chętnie w produkcjach muzyki komnatowej. Nikt więc i z jednej i z drugiej sfery, od lat kilkunastu już na estradzie nie wystąpił. I to właśnie sprawiło, że debiut kompozytorski w koncercie dnia 20. marca wywołał tem większą sensację ogólną — debiut Namiestnika!...

Hr. Leon Piniński dał nam słyszeć przez usta p. Myszugi dwie pieśni do słów Mickiewicza i cztery do słów Heynego. Mimo, że odśpiewane dość bezbarwnie, zostały one przez publiczność przyjęte bardzo dobrze, a dwie z nich nawet powtórzone być musiały. I to w ocenieniu ich służy nam za punkt wyjścia. Zapewne ktoś zauważy, iż punkt to niewłaściwy dla krytyki i że w wypadku takim właśnie jak ten, o którym mówimy, publiczność złożona z ludzi przejętych szacunkiem i sympatją dla osoby Namiestnika, najmniej daje się brać w rachubę. Ale odpowiemy na to, że każda inna publiczność, tylko nie lwowska. Zdobyła się ona na kurtoazję może w pierwszej chwili, ale następnie szła za swoim upodobaniem, bo nie oklaskiwała tych rzeczy, które do niej nie przemówiły, tylko dobitnie wyróżniła dwie: drugą i trzecią z pierwszej grupy. Widocznie podobały się jej pieśni o melodyce najprostszej i najzrozumialszej — i miała w tem słusność.

Bo pieśń właściwie ma przed sobą dwie drogi: jedną — kunsztowności, drugą — prostoty; to znaczy, że kompozytor chcąc ją czysto deklamacyjnie traktować, musi nadzwyczaj kunsztownie zbudować zespół jej śpiewu z akompaniamentem; gdy zaś trzyma się tylko melodyi i jej miarowych okresów, gdy melodyi tej nie przerywa, prowadząc ją w naturalny i przystępny sposób, to wystarczy na to kilka nienajgorszych harmonij, ażeby utworzyć całość, niekiedy bardzo nawet ładną, właśnie dla swej bezpretensjonalności. W rękę amatora, ta druga forma ma najwięcej szans udania się i tak stało się z pieśniami hr. Pinińskiego, o ile się jej trzymał. Może być, że interesujące były więcej te, w których usiłował wzbudzić się wyżej, (Grób Potockiej); ale lepsze były te, w których zachował prostotę. Więc jego melodyom przyklaskiwaliśmy chętnie, zgadzając się najzupełniej w stopniowaniu przyjęcia z ogółem publiczności, na który też powołaliśmy się odrazu. Zresztą, kładąc nad arty-

kulikiem napis »Pieśni Namiestnika«, nie mieliśmy zamiaru poddawać ich analizie i krytyce.

Byłoby przesadą uważać ukazanie się tych pieśni za wypadek mający bezpośrednio wielką wagę dla naszej sztuki. Ale ważnym wypadkiem dla tutejszych stosunków muzycznych, powinno być niezajawienie jako adherent kunsztu muzycznego, zbliżył się publicznie do tego świata, przejął tradycje artystyczne wszystkich tych osobistości, co w ciągu wieku bieżącego zasłużyły się dla ruchu muzycznego we Lwowie. Już sam fakt, że oddaje się on z zamiłowaniem pracy nad muzyką, że traktuje ją poważnie, uprawiając do dziś dnia studia teoretyczne, godzien jest gorącego uznania. Lecz i z chwilą, w której dał poznać owoce swych zdolności i zamiłowania, czyż nie wolno nam iść dalej i widzieć w nim ową moc, zdolną wpływem swoim więcej dla muzyki naszej zdziałać, niż się to udało tym wszystkim, którzy do dzieła wnieśli tylko pracę i dobre chęci, rozbijające się o ciągłe, ustawiczne przeszkody. I zmysł artystyczny jego wiele tu może zrobić. Z poglądów, wypowiedzianych w rozprawce o Operze nowoczesnej i Wagnerze, wywnioskowaliśmy, że w pierwszym rzędzie umie on muzykę dla niej samej cenić, tak, jak bardzo trafnie ocenia Wagnera, stawiając w nim muzyka bez porównania wyżej nad poetę i filozofa. U nas, ten punkt wyjścia ma jeszcze więcej słuszności za sobą, niż w Niemczech. A tyle jest do zrobienia dla tej muzyki u nas!...

Niechaj więc Pieśni Namiestnika, będą zwiastunkami nowej dla niej ery!

n.

Z opery. (Zakończenie sezonu i krytyka. — »Rienzi«. — »Aida«. — »Norma«. — Owacya dla p. Jareckiego).

Swój niedługi, tegoroczny żywot — kończy już lwowska opera. Dała nam, jak wiadomo, pewną ilość »Traviat«, »Mignonów« i »Faustów«; dała po kilka razy »Lohengrina« i »Tannhäusera«, a jako wznowienie »Normę« i »Trubadura« (!); dokonawszy zaś tego, odpływa na północ, w słodką krainę gościnnego pobłażania i przyjacielskiej bezkrytyczności. Tam będzie jej raj!...

Lwowska krytyka, ta dokuczliwa i wiecznie niezadowolona, żądająca Bóg wie czego, rozprawiająca o jakichś ideałach sztuki, zamiast zachwycania się operetką i panowaniem jej w operze; ta pozostanie na bruku lwowskim, aby się już tylko nad resztkami produkcji koncertowych i nad popisami szkolnymi pastwić. Ach, dałby Bóg, żeby te »czarne cienie« (tak nazywa dyrekcya recenzentów), w ciągu letniej pauzy rozwiąły się narsześci, raz na zawsze...

Zapatrzeni w tę perspektywę nicości, o mało nie zapomnieliśmy zapisać, iż dyrekcya przecież jedną operę nową wystawiła. Nowością tą był »Rienzi« Wagnera. Rzecz, zaiste niefortunnie wybrana. Niema ona dziś na największych nawet scenach niemieckich innej racji bytu, jak tylko tę, że z pośród prac młodzieńczych Wagnera jest najlepszą, co zresztą wystarcza niemieckiej publiczności, przepętnionej pietyzmem

dla mistrza, ale nie naszej lwowskiej, która poznawszy dwie opery jego, radaby naprzód postępować w poznawaniu arcydzieł jego, a nie cofać się do utworów najślabszych.

»Rienzi« opera skrojona według dawnych wzorów, olbrzymia i masywna, toczy się jak potwór jaki apokaliptyczny, ruchami ciężkimi i powolnymi; pragnąca zagarnąć publiczność tysiącem swych kleszczy, ziejąca hukiem trąb i bębnow, ale dziwnie bezsilna. I we Lwowie nie udało się jej zdobyć publiczności — po trzech wieczorach padła, jak się zdaje, na zawsze. Jeżeli zaś co w pamięci słuchaczy pozostało, to chyba znakomita kreacya p. Bandrowskiego, którą stanął on wokalnie i dramatycznie równie wysoko, jak w innych partyach Wagnerowskich, śpiewanych we Lwowie. Z pań, tylko pani Kasprowiezowa dzielnie na pierwszy plan się wydstała, mimo niezbyt wdzięcznego zadania, jakie Irena przedstawia; Adriano zaś nie powiódł się pani Heller, która prócz siły głosu, oraz pięknych linii postaci i kostjumu, niczem go nie wyposażyła. Drobne partye, śpiewane przez pp. Jeromina, Szymańskiego, Paszkowskiego i innych, nie miały pola do wyszczególnienia się; natomiast chórom należy oddać sprawiedliwość, iż dość duże zadanie swoje spełniły weale dobrze, a przynajmniej nie tak źle, jak w »Lohengrinie« lub w »Tannhäuserze«.

Pragnąc z ubiegłego sezonu jakąś jedyną chwilę zupełniejszego zadowolenia zanotować, możemy tylko na »Aidę« wskazać, która niezadowolnienie w całości była najlepszą, najmniej raziła brakami, najskładniej szła i najbardziej korzystne wrażenie wywarła. Nie mówiąc już o pani Arkłowej, świetnej Aidzie, (jestto najpiękniejsza jej partja), trzeba przyznać i pani Heller, że jako Amneris zdołała się ustrzedz wielu tych rzeczy, które nieozwalają jej dzisiaj stawać na wyżynie wielkości śpiewackiej. Jej Amneris, była pod względem muzycznym bardzo dokładną a pod względem wyrazu, pełną siły i naturalności. Jeżeli więc zbierała oklaski u nas, to nigdy tak zasłużone jak w »Aidzie«. Pochlebne zdanie daje się wyrzec podobnie i o śpiewakach — pp. Myszudze, Jerominie, Szymańskim i Boguckim.

»Normę« wznowiono dla pani Arkłowej. Artystka dała nam tedy słyszeć jedną z tych partyj, które ze szczególnem powodzeniem śpiewała na scenach włoskich. Znać też tu stylowość i wielkie dramatyczne rysy, któremi zachwycać musiała słuchaczy. Ale obok tych pierwszorzędnych zalet i dziś podbijających publiczność, pojawiają się pewne szczegóły ujemne, zwłaszcza na punkcie koloratury. Zresztą, całość robi duże wrażenie, a niektóre ustępy jak np. *Casta diva* lub finał opery należą do rzędu pereł w sztuce śpiewackiej doskonałej naszej primadonny.

Sprawozdanie z sezonu bieżącego nie byłoby zupełne, gdybyśmy pominęli pewien epizod, w którym dyrygent opery p. Henryk Jarecki główną odegrał rolę. Oto pewnego razu przed rozpoczęciem »Lohengrina« zanim publiczność się zebrała, (a w ogóle tego wieczora zebrała się bardzo nielicznie), zrobiono mu owacyę, wręczając srebrny wieniec, gdy wszedł do orkiestry. Nazajutrz pojawiło się w dziennikach oświadczenie

p. Jareckiego, iż pod wpływem przyjęcia, jakiego doznał od publiczności, cofa prośbę o dymisyę wniesioną do dyrekcji teatru. I teraz dopiero doszło do wiadomości publicznej, że nasz dyrektor orkiestry żądał dymisy i że w ogóle nosił się z myślą ustąpienia batuty młodszym (!?) — jak się wyraził.

Zaiste, dziwnie tajemniczo ułożyła się ta sprawa: publiczność o o dymisy nie wiedzieć nie mogła, a owacyę urzęda, aby p. Jareckiego od ustąpienia powstrzymać....

Ale mniejsza o to, skąd się publiczność owa o dymisy dowiedziała i jaką formę nadała swym życzeniom. Nam chodzi o to, aby p. Jarecki — który prawdopodobnie czuje się dotknięty uwagami prasy o orkiestrze i chórach — na seryo wziął to sobie do serca, że prasa nietylko niedomaga się jego ustąpienia, ale przeciwnie, wywiera nacisk na dyrekcję teatru, aby zmieniła wewnętrzne stosunki naszej opery, aby dała mu odpowiedni materiał do ręki i moc odpowiednią. Od pana Jareckiego, który przecież w pełni sił się znajduje, żąda jedynie energii, odporności i kierunku artystycznego, naprawdę artystycznego!..

Jeżeli więc owa »publiczność« wręczając wieniec srebrny dyrektorowi naszej orkiestry, myślała w duszy: zostań, pokrywaj dalej imieniem twojem całą »operetkę« naszej opery, nie upominaj się o nie, bądź obojętny na wszystko, tylko dyrekcji teatru w niczem się nie sprzeciwiaj — to najmocniej przeciw takiej owacy protestujemy!

Jeżeli natomiast, miała ona zamiar zawołać: zostań, weź operę ręką muzyka, postaw ją na wyżynie sztuki, oczyść ją z niedbalstwa i apatyi, zreorganizuj orkiestrę i chóry, wpłyn na repertuar, przygotuj każde przedstawienie i poprowadź je wolą wykształconego dyrygenta i duszą czującego godność swą artysty! — to owacy takiej z całego przyklaskujemy serca.

St. Niewiadomski.

Z sali koncertowej. Z powodu wykonania wyjątku z Wagnerowskiego »Siegfrieda« w III. koncercie Towarzystwa muzycznego, podniesiono słusznie zarzut, że raczej w teatrze rzecz tę powinniśmy słyszeć i że tam, a nie w sali koncertowej, grunt dla niej właściwy. Samo »Waldweben« wyrwane z całości, nie może tu sprawić zamierzonego wrażenia, mimo imponujących efektów i miejsce wprost porywających; słuchacz bowiem nie zdola nagle, odrazu, znaleźć się w odpowiednim nastroju; czuje się więc zaskoczony jakby z nienacka, całą komplikacją leitmotywów, których połączenia nie rozumie, nie znając akcji scenicznej. A zwłaszcza słuchacz nasz, obcy wśród Wagnerowskiej muzyki i uśmiechający się po lwowsku na wykrzykniki oboja lub klarnetu...

Prócz ustępu z »Siegfrieda« pojawiło się na programie koncertu inne jeszcze imię, niby apelacya do dyrekcji teatru — imię Mozarta, którego uwerturę do »Urowadzenia z seraju« wykonano. Utrzymują wprawdzie niektórzy, że w naszych warunkach wystawienie oper mozartowskich jest wprost niemożliwe. Być może, lecz to mi nie przeszkadza twierdzić, że żaden dyrektor opery, choćby miał zresztą repertoar najbogatszy i najświetniejszy, nie powinien być dotąd z siebie zadowolony, do-

kąd nie ma w nim choćby dwóch oper Mozarta. Jak przełamać trudności wykonania, to już jego rzecz.

Wracając do koncertu zaznaczyć muszę, że punktem jego kulminacyjnym była »Fantazyja szkocka« Brucha, wykonana świetnie przez prof. Wolfsthala. Dobry to zwyczaj, że od czasu do czasu nasi artyści miejscowi mają w koncertach Towarzystwa muzycznego sposobność wystąpienia w zadaniach właściwych ich talentowi i sztuce; że nie są zatem skazani wyłącznie na branie udziału w rozmaitych »wieczorach uroczystych« i t. p. i dobieranie utworów odpowiednich gustowi zebranej zazwyczaj na tych wieczorach publiczności, którą muzyka poważnie pojęta najwyżej do ziewania usposabia, a której — niech Bóg broni — »znudzić« nie wypada. A w podobnem położeniu jak p. Wolfsthal, znalazła się także p. Marya Langie, ceniona amatorka, gwiazda tutejszych salonów, dająca się tym razem słyszeć z utworami klasycznymi, odśpiewała bowiem (bardzo pięknie) Glucka recitativ i arję z »Antigono«, oraz dwie pieśni Griega, z których jedną na burzliwe oklaski powtórzyć musiała.

Tegoroczny sezon, pod każdym względem udatny, obfitował jeszcze z początkiem marca w produkeye bardzo zajmujące. Mieliśmy tedy drugi koncert pań Chaminade i Ketten, cieszący się równie wielkiem i zasłużonem, jak pierwszy, powodzeniem; koncerty Melcera i Teodora Pollaka, później zaś koncerty o innym charakterze, w których muzyka nie była wyłącznie celem, lecz i środkiem; a więc koncert na rzecz Bratniej pomocy słuchaczyw prawa, wieczór chopinowski, kopernikowski, i koncert no dochód pomnika Mickiewicza. Dla braku miejsca pomówię tylko o ważniejszych.

Z koncertów Henryka Melcera, wynosi się zawsze jakieś większe i inne wrażenie, niż z koncertów innych, Bóg wie jakich nawet wirtuozów. Ja sobie to tem tłumaczę, że przez Melcera działa na nas żywiołowa potęga muzyki więcej bezpośrednio, niż przez innych. On sam, gdy gra, daje się tej potędze opanować i wówczas zdaje się chwilowo zapominać i o słuchaczach i o sobie; staje się tylko narzędziem tej potęgi. Ztąd pochodzą te niektóre zbyt szybkie tempa, te »wysilania się«, które mu zarzucają niektórzy. Być może, że mają oni słuszność, życząc Melcerowi, jako wirtuozowi, więcej zimnej krwi, pozwalającej mu w czasie koncertu »panować ponad muzyką«, (do czego obowiązani są po części wszyscy wirtuozowie), a nie dać się jej zupełnie owdładnąć. Mnie się jednak zdaje, że do tego Melcer nigdy nie dojdzie, stoi temu na przeszkodzie jego temperament. Zresztą nie odbiera mu to uroku; przeciwnie, jeszcze mu go przyczynia. Przynajmniej, w moich oczach.

Z programu ostatniego koncertu Melcera podnieść wypada Beethovena sonatę »Apassionatę«, której bezdenne głębi naturze Melcera tak odpowiadają, dalej Fantazyję Schumanna, z rzeczy mniej znanych prześliczny Prelude Żeleńskiego i wreszcie nowość, t. j. M. Biernackiego »Gavotte-Musette« ze suity fortepianowej, wynagrodzonej na konkursie w Brukselli. Nowością była też »Pieśń wieczorna« Moniuszki, w transkrypcyi koncertanta, rzecz w opracowaniu więcej niż poprzednie (»Przą-

śniczka« i »Znasz li ten kraj...«) rozwinięta, pełna nastroju i traktowana nawet nieco ilustracyjnie.

Koncert cenionego wirtuoza p. Teodora Pollaka, zapoznał nas z szeregiem jego nowych utworów, zebranych w seryę p. t. »Scènes du bal«. Są to rzeczy drobne, pisane w stylu trochę z polską, a trochę z wiedeńską »szaminadowatym«, zresztą dość zgrabne i nie pozbawione pewnego wdzięku. Świetnie przez koncertanta odegrane, sprawiły słuchaczom, tak jak zresztą cały koncert, dużo przyjemności.

Wśród wspomnianych już koncertów, w których muzyka poszła w służbę dobroczynności, lub cześć miała pamięć wielkich mężów, miał jeden ze względu na swój cel, dla muzyków większe i donioślejsze znaczenie. Był to wieczór chopinowski, urządzony przez młodzież akademicką na dochód sprowadzenia zwłok Chopina. Cel piękny nie zdołał jednak ściągnąć do sali zbyt wiele publiczności, mimo zrzęcznie ułożonego programu. Na wieczorze chopinowskim, największe tryumfy zbierała pani Zapolska za śliczną deklamacyę. Publiczność zgotowała artystce owacy, którą jej zapewne nie tylko za wrażenia owego wieczora podziękować chciała. Z produkcji muzycznych wspominam o zrzęcznie i ze smakiem przaz prof. Sładka wybranych, i na 4 wiolonczele ułożonych, a przezeń i pod jego kierunkiem pracujących młodych adeptów sztuki, bardzo pięknie wykonanych transkrypcyach Chopina; o pełnej zrozumienia i technicznie wydoskonalonej grze pani Ottawowej, spiewie Camilowej i produkeyach chóru mięszanego »Lutni«.

Stanisław Kuczkiewicz.

Koncert na pomnik Mickiewicza dał nam poznać grę p. Posselta młodego wielce uzdolnionego skrzypka. Artysta ten włada dziś instrumentem swoim znakomicie, rozwijając w grze nie tylko przezystą, delikatną technikę, ale i bardzo wiele smaku. Pewien chłód jaki zdawał się wiać z produkeyi, chwilowy tylko, bardzo być może, nie umniejsza wysokiej wartości wirtuozowskiej koncertanta. Tegoż wieczora wykonane zostały po raz pierwszy pieśni hr. Leona Pinińskiego. Poświęcamy im osobny artykułik na wstępie.

n.

Notatki. Towarzystwo muzyczne obok ostatniego koncertu dla członków, urządza uroczystość ku uczczeniu pamięci St. Moniuszki z powodu przypadającej w tym roku 80-letniej rocznicy urodzin jego. Oprócz orkiestry i chórów, w koncercie tym weźmie udział p. Marja Pawlików-Nowakowska. Sympatyczna artystka odśpiewa pieśni Moniuszkę i solową partję w kantacie »Milda«.

P. W a n d a C h u l a w s k a, znana u nas sopranistka, kształcąca się obecnie u pp. Souvestrów, wystąpiła dnia 18. marca w Dreźnie w koncercie na cele dobroczynne. Krytyka tamtejsza, wyraża się nader pochlebnie o młodej spiewaczce, zaznaczając, iż jestto już gotowa siła operowa, której głos posiada wydatność, dużo dźwięku i charakter dramatyczny. P. Chulawska spiewała arję z »Aidy«, a nadto pieśni Coronara i Rubinsteina.

P. S a l o m e a K r u s z e l n i e k a z każdym dniem zyskuje sobie

uznanie coraz większe w Warszawie. Benefis jej w »Halce« dnia 14. marca był szeregim owacyj, jakich nie doznają często śpiewaczki. Artystka otrzymała wspaniały garnitur brylantowy z perłami, a nadto wieńiec srebrny kunsztownej roboty i niezliczone mnóstwo kwiatów. Publiczność zasypała ją bukietami fiołków. Z powodu benefisu tego, wszystkie pisma zamieściły ocenę całej działalności sympatycznej primadonny, która zarówno swoim artystycznym śpiewem, jak wielkim talentem dramatycznym i uroczą powierzchownością zdołała podbić całą Warszawę — publiczność i krytykę. Biorąc wątek ze słów Halki »Anim ja gwiazdeczką«, powiada dowcipnie feljetonista »Kurjera warszawskiego« iż p. Kruszelnicka nie jest gwiazdeczką, lecz całą »gwiazdą«.

Fryderyk Kreisler dawał koncert w Berlinie w marcu. Biorąc miarę z przepelnionych entuzjazmem krytyk tamtejszych, (*Börsen-Courier, Berliner Tagblatt, Reichsbote, Kleines Journal* i w. i.), można nabrać przekonania, że artysta sprawił wrażenie olbrzymie. Dość powiedzieć, że jeden z poważnych artykułów nosi tytuł »*Paganini redivivus*«.

Józef Hoffman wystąpił niedawno z koncertem fortepianowym własnej kompozycji. Krytyka przyjęła utwór naszego rodaka dość zimno, natomiast grę jego podnosi jak zawsze bardzo wysoko.

Popis w szkole śpiewu. Znana zaszczytnie nauczycielka śpiewu, pani Sobotowa-Stróżecka urządziła w tych dniach kwartalny popis, w którym jako niezwykły głos wyróżniła się panna Strzelecka. Bardzo pięknie wypadł śpiew panny Rojekówny, koroną zaś tej szkolnej produkcji był śpiew panny Ludwiki Markówny. W ogóle, popis wywarł na słuchaczach wrażenie jak najlepsze.

Sprawa pomnika Chopina we Lwowie, postąpiła o tyle naprzód, że komitet dawniejszy rozwiązał się i oddał ją »Kołu literackiemu«, które wzięło na siebie dalszą akcję. »Koło« rozpoczyna ją od tego, iż z łona Wydziału wydelegowało dwóch członków, aby w porozumieniu z kilkoma członkami dawnego komitetu, utworzyć komitet nowy. Podano do Namiestnictwa o pozwolenie zbierania składek publicznych, do czego w pierwszym rzędzie powołane zostaną szkoły muzyczne tuższe. W tym celu wystosowano do nich odezwę.

W sprawie artykułu o Towarzystwach śpiewackich od współpracownika naszego p. St. Niewiadomskiego otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Nadesłany mi przez Redakcję list »Lutni« w sprawie artykułu mojego Nasze towarzystwa śpiewackie, zwracam z uwagą, iż na list ten, (umieszczony w łamach »Przeglądu« jako Głosy publiczności), nie mam zamiaru odpowiadać. Dziennikarz zawsze może mieć ostatnie słowo, mnie zaś nie o polemikę chodziło, ani o zgnębienie »Lutni«, tylko o napisanie kilku słów prawdy w kwestiach ważnych dla rozwoju śpiewu chórowego u nas. Słowa te oparłem nietylko na tem, co mi osobiste, długoletnie doświadczenie i znajomość stosunków

podały, ale i na tem, co niejednokrotnie z rozmowy z najwybitniejszymi członkami »Lutni« pp. Dr. Czernym, Dr. Szulińskim, Władysławem Slawickim i Włodzimirskim wywnioskowałem. Nadewszystko zaś były mi tu nieomylną wskazówką słowa zasłużonego i czcigodnego dyrygenta »Lutni« p. Cetwińskiego, który o uczęszczaniu członków chóru na próby często z wielką goryczą się wyraża: »Naród nie chodzi na próby — mawia nieraz — jak tu co zrobić«. Wobec tego, trwam niezachwianie w mych przekonaniach, a jeżeli »Lutnia« sądzi na serjo, że listem, w którym zachwała »duch panujący w towarzystwie«, już naprawiła wszystko złe, to na razie nie myślę psuć jej tej iluzji.

St. Niewiadomski.



TEATR.

Mówmy co chcemy, ostatni tegoroczny konkurs, rozpisany przez Wydział krajowy na dzieła z zakresu dramatu i komedyi; nie przyniósł spodziewanych owoców. Nadesłano dzieł kilkadziesiąt, wytrawni i wybitni znawcy literatury, wybrali z tego materiału 9 sztuk jako kwalifikujących się do czytania w... ogóle; z tych zalecono do przedstawienia na scenie trzy, a w rezultacie sztuka zalecona na pierwszym miejscu, przedstawiona na scenie lwowskiej w dniu 1. marca b. r. nie powiem, aby upadła — ale nie zyskała powszechnego aplauzu.

To są fakta.... Fakta te budzą najróżnorodniejsze refleksye, (dają »puryści« języka polskiego wyrażenie z łaciny) — a syntezą, wykładnikiem tych odniesionych wrażeń, będzie może zdanie, że twórczość dramatyczna u nas — (zarówno jak i u wielu narodów — może bardziej od naszego cywilizowanych), słabnie i upada.

Wynik konkursu lwowskiego, który zdanie to w zupełności potwierdza, ma niezawodnie jednak jedną dobrą stronę, tę, że talent jakiś nieznaną z nazwiska chcieli sędziowie zachęcić, ogrzać, zapalić...

Że talent w odznaczonej sztuce »Na wyżynach« przebija się już od pierwszych scen, że wychodzi on na widownię coraz to bardziej wyraźnie z każdym następnym aktem dla oczu, patrzących na scenę po literacku, (a nie z punktu widzenia »roboty teatralnej«), tego chyba żaden literat nie zaprzeczy. Ale tylko ściśle po literacku rzecz biorąca, talent jest widoczny, na scenie jako takiej nie jest on jednak równie silny, nie jest talentem dramaturgicznym.

Zajmującym wielce procesem psychologicznym jest proces taki, jaki odbywa się w duszy artystki malarki, Krystyny d'Orio, która ongi, mając lat 18 czy 16 pokochała niejakiego Henryka Szerbica, dziennikarza i krytyka, ale, porwana, czy równocześnie, czy przedtem, czy potem -- nie wiemy -- żądzą sławy z tytułu swego malarskiego talentu, miłość tę, tę drogę, pełną wroni »bżów, róż i jaśminów« rzuciła; zdeptała bzy i róże, aby podążyć sama samotną, ciernistą drogą pracy i walki -- na strome wzgórze »kędy laur sławy zakwita«. Bardzo dobrze. Taka jednostka, jakkolwiek fenomenalna, zdarzyć się może. Ale w dramacie nieznanego autora nie mamy głębszych motywów psychologicznych tego fenomenu natury niewieściej. Nie wątpię, że w opracowanej szerzej powieści, z talentem literackim autora, znaleźliśmy wyjaśnione pobudki psychologiczne, które skłoniły młode jej serce do odępcznictwa równie młodego a gorąco-bijącego serca Henryka, serca, które jak sama ona, (Krystyna d'Orio), w sztuce powiada: »drgało u jej nóg«. Niestety wyjaśnienie tych w sztuce nie ma, a wszak widz w teatrze dzisiaj bardziej wymagający od owych, którzy wierzyli, że coś lub owoś stało się tak, bo tak... na scenie pokazują.

Krystyna d'Orio doszedłszy do upragnionego uznania i sławy artystycznej, uczuwa pustkę... serca, i taką znudzoną samotnicę przedstawia nam autor, z chwilą podniesienia zasłony. Dobrze. To wszystko, co się następnie dzieje, to melancholizowanie Krystyny na tle sztafażu, jaki autor ustawił, (miłość dwojga młodych: Juliusza Niemiry i Maryi), to, że Krystyna pod wpływem melancholii coraz bardziej duchowo upada, to, już zrozumiałe dla widza w teatrze. Tymczasem dawny Krystyny kochanek, Henryk, zbliża się do niej ponownie, (po latach może 12, jako do sławnej już artystki) a ona teraz, ponownie go w trzecim akcie odtrąca, choć w pierwszym i drugim akcie wzdychała ciągle: »O Henryku!« a odtrąca, bo poznała, (w swoim wyobrażeniu), że on nie ją, lecz jej sławę kocha. To jako epizod wcale dobre, robi nawet wrażenie, ale widz znowu pyta: -- a wszak ci on, kiedy cię kochał przed 12 laty nie mógł wiedzieć, że będziesz sławną. A gdyby nawet przeczuwał to, czyż z połączenia talentu i rozumu, jej i jego, nie byłby się stworzył węzeł i zawiązek idealny? Snać autor do idealistów, których w literaturze taki brak dziś, nie należy -- ale mniejsza o to.

Dość, że na każdym punkcie sztuki rzekomo scenicznej, widz, cokolwiek na te rzeczy wrażliwszy, odczuwa braki należytego, psychologicznego charakteru bohaterki. Wszakże ona powiedziała sobie, »nie wszystko, chcę być sławną« a gdy zdobyła tę wyżynę, dla której osiągnięcia wszystko poświęciła, nie umie utrzymać się na niej, chce się rzucić w objęcia lowelasa zwykłej marki, i w chwili nowego, wielkiego, artystycznego tryumfu odbiera sobie życie. Wypadki i sceny, dyalogi i epizody w sztuce »Na wyżynach« budzą wielkie podejrzenie, iż rzecz ta jest przeróbką sceniczną z jakiejś może bardzo dobrze, jeżeli nie napisanej, to pomyslanej powieści. Jeżeli przypuszczenie to trafne, to niewątpliwie powieść musi być o całe niebo lepszą od sztuki. Innym jest tok rozwoju charakterów w książce powieściowej, inaczej przedstawia

ewolucję tę autor dramatyczny. Talent literacki mimo to wszystko u autora »Na wyżynach« jest niewątpliwy i ten взгляд skłonił zapewne sędziów do odznaczenia sztuki. Ale tu znowu refleksya. Jeżeli nagrodzono rzecz napisaną dobrym językiem, po literacku, jakżeż muszą wyglądać utwory nienagrodzone?

Artyści nasi grali rzecz tę w ogóle słabo, ale nie sądźmy zbyt surowo. Zachodzi bowiem ta okoliczność, że, jak się zdaje, nie mogli się zorientować w labiryncie zagadek psychologicznych. Stosuje się to przedewszystkiem do roli tytułowej: Krystyny, którą odtworzyła pani Stachowicz. Rolę tę można grać na rozmaite sposoby, zależnie od pierwiastka psychologicznego, jakiego się artystka w niej dopatrzy, od tonu, w jaki uderzy. Głównym wszakże »nastrojowym« podkładem jest histerya, której artystka jednak nie dała dość wyraźnego koloru. O wiele lepszym był Szezerbic p. Woleńskiego, wcale dobrym wykwinny cynik i lowelas Edward Mirski p. Hierowskiego.. Chlubnie odznaczył się p. Nowacki, w małej ale charakterystycznej roli rozczochanego, napół zblazowanego malarza Strumskiego. Publiczność odegrała swą rolę chłodno.

Wyższą natomiast temperaturę wykazywał termometr teatralny na przedstawieniu »Męża dwóch żon« zabawnej farsy Gandillota, której należy się wzmianka choćby dla świetnej gry Fiszera w roli tytułowej, gry, przypominającej najświetniejszą epokę rozwoju tego wielkiego talentu. Wybornie sekundowali mu p. Feldman i Jaworski, oraz panie Cichocka, Gostyńska i Kwiecińska. O farsie samej nie ma nic do powiedzenia.

Rom. Poliški.

* * *

Akwarela sceniczna pani Zapolskiej »Dziewiczy wieczór« cieszy się w Krakowie znacznem powodzeniem. Dodatnia ta opinia wyprzedziła zjawienie się tego artystycznego drobiazgu na naszej scenie, wzbudzając ogólne zainteresowanie się wśród stałych bywalców teatralnych. Czy rzeczywistość odpowiedziała przypuszczeniom?... Podobno, że tak. W istocie wspomniana jednoaktówka posiada dodatnich cech sporo. Utalentowana niepoślednio autorka przedstawiła się i tym razem jako dobra obserwatorka, notująca w swej pamięci skrzętnie wszelkie najdrobniejsze przejawy codziennego życia, by następnie — przybrawszy tę powszednią szarotę w formy artystyczne — odmalować ją trafnie w obrazku, pełnym barw i światła, zachwycić spragnione nowości i zabawy i zadowolenia tłumu.

Gorące oklaski, bukiety i deszcz kwiatów — to chyba najlepsze dowody nowego zwycięstwa, najodpowiedniejsza zachęta do dalszych sukcesów. Treści obrazka, napisanego pod hasłem: precz mężczyzni! szczegółowo powtarzać nie mam zamiaru. Wszak tytuł »Dziewiczy wieczór« najdokładniej ją tłómaczy. W zamożnym domu mieszczańskim zeszło się kilkanaście panienek, by z towarzyszką swoją spędzić wieczór tradycyjny, ostatni w jej życiu. Ogólną wesołość psuje wprowadzie zjawienie się porzuconej przez jutrzejszego pana młodego ubogiej Janki, ale trzeźwa i praktyczna babcia ratuje sytuację i zabawa chwilowo przerwana, mknie dalej.

Dla dyrekeji za dekoracyjną stronę przedstawienia akwareli pani Zapolskiej winna i autorka i publiczność prawdziwą czuć wdzięczność. Tak ślicznego budoaru panińskiego dawno nie zdarzyło się nam oglądać na scenie. Wszystkie artystki starały się grą wzorową zwiększyć jeszcze wartość tej sztuki. Niezawsze to się udawało, ale i dobre chęci coś znaczą. Na szczególne podniesienie zasłużyły panie Gostyńska, Cichocka, Jankowska, Czaplinska a nawet tym razem Ogińska.

Miro.

* * *

Pamela, czteroaktowa sztuka Wiktoryna Sardou, wystawiona w dniu 22. marca r. b. na scenie tutejszej, posiada bez wątpienia prawo obywatelstwa w teatrze lwowskim, który jako jedyna instytucja dramatyczna w mieście, łączyć musi w swym repertoarze wszystkie rodzaje widowisk. Proces o to, czy »Pamela« jest »bombą« i z tego powodu utworem niezasługującym na przyswojenie repertoarowi miejscowemu — nie przedstawia, naszym zdaniem, interesu dla szerszej publiczności, dla której właśnie sztuki tego rodzaju najodpowiedniejszą są strawą bez względu na tendencję polityczną, jaką reprezentują. O agitacye rojalistyczne na rzecz Burbonów, czy też Orleanów, nie miejmy obawy w naszym miasteczku i powiedzmy raczej słów kilka o wykonaniu scenicznem sztuki przez tutejszych artystów. Zaczniemy od przedstawicielki roli tytułowej, którą była pani Stachowicz, obarczana od pewnego czasu wszystkimi, ważniejszymi rolami z zakresu dramatu i komedji. Że w takim składzie rzeczy, przy pracy pospiesznej a znużonej, nie może być mowy o drobiazgowem opracowaniu każdej kreacji, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Zład szkiełkowość w grze artystki, posiłkowanie się rutyną w scenach mniej znaczących, wzywianie na ratunek intuicyi, choćby w ostatniej chwili. Inaczej być nie może, jeżeli się zważy różnorodność ról pani Stachowicz, w których widzieliśmy ją w ciągu ostatniego miesiąca. Z tem większem przeto uznaniem wyrazić się musimy o całości jej kreacji »Pameli«. Pamięciowe opanowanie roli, temperament i humor, wiele uczucia w scenach miłosnych, jednały artystce zasłużone powodzenie — zwłaszcza na pierwszym przedstawieniu sztuki. Godnym partnerem pani Stachowicz okazał się p. Chmieliński, ów «kobiecy jenerał» i przewidujący dyplomata w jednej osobie, łączący wyrafinowaną zmysłowość z rozsądkiem prawdziwego męża stanu. Takim chciał mieć Barrasa autor, takim też przedstawił go myślący i zawsze staranny artysta. Pełną naturalnego humoru była pani Cichocka, jako kochliwa pani Montansier, czego wszakże powtórzyć nie można o pannach Nałęcz i Ogińskiej, przedstawicielkach historycznych postaci: Józefiny Beauharnais i pani Tallien. Pierwsza dała nam miasto ognistej kreolki straszliwie roznerwowaną mulatkę, a późniejsza księżna de Chimay powiewnością kostyumu nie zdołała nieestety przysłonić braku wyrazistości dykeji. Inne panie nie przyczyniły się również do wywołania dodatniego efektu w scenach zbiorowych. — Salon Barrasa w obrazie czwartym sprawiał wrażenie — przedpokoju... Jeżeli niektóre panie brakiem swobody salonowej, to panowie, przed-

stawiający spiskujących rojalistów, grzeszyli najwstrętniejszą ospałością. Mówili i poruszali się z powolnością strupieszalnych biurokratów. Chlubny pod tym względem wyjątek przedstawiał p. Wostrowski jako architekt Bergerin. Odtworzył republikanina z krwi i z kości, energicznego i pełnego zapału. Sympajyczna postać Delfina znalazła w pannie Jankowskiej wyborną interpretatorkę, która zbolale dziecię królewskie reprezentowała z godnością i z szczerem uczuciem. Wystawa sztuki była odpowiednia, ale reżyserya nie grzeszyła wcale starannością. A może też »Pamela« ujrzała światło kinkietów bez dostatecznej ilości prób? Na to ostatnie pytanie nie spodziewamy się rychłej odpowiedzi... (Espe).

* * *

Szkoła dramatyczna we Lwowie. Szybko powstająca budowa nowego gmachu teatralnego we Lwowie nasuwa nam pod pióro kwestyę nader ważną dla pomyślnego rozwoju sztuki scenicznej w najbliższej przyszłości, a z niewiadomych powodów pogrzebaną już od dłuższego czasu w aktach rozmaitych ankiet i komisyj Wydziału krajowego. Mamy tu na myśli sprawę wskrzeszenia szkoły dramatycznej we Lwowie, która to instytucya istniała już u nas w latach 1869 — 1872 i mimo krótko trwałego bytu oraz braku należytego poparcia ze strony władz odnośnych wydała cały szereg wybitniejszych artystów. W łonie ankiety teatralnej, obradującej z polecenia Wydziału krajowego we Lwowie w lipcu 1890 r. myśl wskrzeszenia szkoły dramatycznej znalazła gorliwych rzeczników w pp. Stanisławie hr. Badenim, Stanisławie Koźmianie i Władysławie Łozińskim, przyczem ze względów praktycznych wyrażono życzenie, by założenie tejże instytucji nastąpiło przy miejscowem konserwatorjum muzycznym, które już od roku 1888 utrzymywało oddział śpiewu i deklawacyi scenicznej. Izba sejmowa w dniu 25. listopada 1890 r. poleciła Wydziałowi krajowemu, aby przeprowadził rokowania z galic. Towarzystwem muzycznym we Lwowie co do utworzenia przy konserwatorjum tegoż Towarzystwa osobnego oddziału dla kształcenia artystów dramatu i opery. Na wezwanie Wydziału krajowego, Towarzystwo muzyczne oświadczyło gotowość stworzenia takiego oddziału i przedłożyło plan organizacyi tejże szkoły w styczniu 1891 roku. Plan nauki w projektowanej szkole dramatycznej i operowej obejmował w dziale dramatycznym na pierwszym roku naukę deklamacyi, psychologii i teoryi sztuki scenicznej, historii i literatury powszechnej, mitologii i dziejów powszechnych, mimiki i tańca, wreszcie języka francuskiego. Na drugim roku miano uczyć gry scenicznej, historii, literatury polskiej, estetyki, kostjumologii i nauki charakteryzacyi oraz języka francuskiego. Dwuletni był również kurs w szkole operowej, w której prócz przedmiotów wspólnych z oddziałem dramatycznym, uczyć miano śpiewu solowego, historii muzyki i języka włoskiego. Koszta utrzymania tej szkoły w pierwszym roku istnienia obliczono na 3.650 złotych, w następnym roku na 6.050 złotych rocznie. Koszta te wszakże wydały się zbyt wygórowanemi przedstawicielom Wydziału krajowego na konferencyi, odbytej w dniu 23. kwietnia 1891 roku. Na bezpośrednie zapytanie dyrektora

konserwatorium, czy w razie powodzenia szkoły, może ona liczyć na znaczniejsze poparcie Wydziału krajowego, odparł reprezentant tejże władzy, iż kraj więcej nad trzy tysiące złotych na ten cel poświęcić nie może. Stosownie więc do tego ultimatum obciążeniu liczbę projektowanych godzin, koszta administracji i płace nauczycielskie tak, iż koszta utrzymania szkoły dramatycznej i operowej nie przenosiłyby rocznie sumy 3.980 złotych. Mimo to, stanowcze załatwienie tej sprawy poszło w odwłokę i w dniu 19. stycznia 1894 Wydział Towarzystwa muzycznego wniósł do Sejmu prośbę by kraj na budowę własnego gmachu, w którymby się mieściła i szkoła dramatyczna, przeznaczył subwencję 50.000 złotych, płatną w dziesięciu rocznych ratach. Nad prośbą tą przeszedł Sejm w dniu 16. lutego tegoż roku do porządku dziennego.

Przedstawienie kwestyi szkoły dramatycznej nie byłoby zupełnem, gdybyśmy nie wspomnieli o wielce charakterystycznym memoriale, a raczej proteście przeciw kreacyi szkoły dramatycznej. Memoriał ten wyszedł ze sfer teatralnych, lwowskich i podpisany został przez nieznanne stosunkowo grono artystów i artystek sceny tutejszej. Utykując z powodu opłakanego stanu materialnego, w jakim pozostają aktorowie lwowscy, płatni nieregularnie i zdani na łaskę lub niełaskę dyrekcji, często się zmieniającej, oświadczyli się autorowie memoriału za odroczeniem tej sprawy aż do chwili ukrajowienia teatru, gdyż szkoła dramatyczna wytworzyłaby w obecnych stosunkach nowy zastęp ludzi, niezadowolonych z swej egzystencji. Natomiast memoriał aktorski domaga się utworzenia t. z. kursów praktycznych przy teatrach, do którychby mieli przystęp młodzieńcy z maturą, oraz panny z ukończoną ósmą klasą. Polemika z owym memoriałem jest rzeczą zbędną, gdyż idąc torem proponowanym przez autorów tego aktu, należałoby poznać wszelkie szkoły zawodowe, o ile one nie uprawniają swych wychowañców do ubiegania się o płatne posady w służbie publicznej.

Tak więc sprawa szkoły dramatycznej utknęła od lat pięciu w stadium przedwstępnych rokowań i pokutuje rokrocznie w sprawozdaniach Towarzystwa muzycznego, przedkładanych członkom tejże instytucji w postaci »Planu nauki projektowanej szkoły dramatycznej«.

Jeżeli znów przypominamy ową kwestyę odnośnym czynnikiem, to krok ten dyktuje nam przekonanie, że dziś czas ostatni do zajęcia się wykształceniem prawidłowem młodszego pokolenia artystów, jeżeli nie chcemy dojść do tej smutnej ostateczności, że Lwów posiadać będzie wspaniałą świątynię sztuki, ale kapłanów w niej nie będzie! Pierwszych polskich aktorów zawdzięcza scena tutejsza Wojciechowi Bogusławskiemu; następne pokolenie, które w zwyczajnym pochodzie wkroczyło na deski skarbkowskiego teatru, wykształcił Jan Nep. Kamiński. Dziś zjemy resztkami spadku artystycznego, pozostałego po ś. p. Stanisławie Dobrzańskim, ale z spuścizny tej posiadamy zaledwo okruchy, niedobitki dzielnego ongi zastępu, schodzące z pola. Następców godnych nie widać a pomysł rekrutowania sił młodszych z teatrów prowincjonalnych. sub-

wencyonowanych kosztem kraju, o tyle jest chybiony, ileż zdolności pedagogiczne nie zwykły chodzić w parze z sprytem wędrownego przedsiębiorcy, a życie koczujące i konieczność zastosowywania repertoaru do upodobań małomiasieczkowej publiczności dodatniego wpływu na wykształcenie artystyczne adeptów sztuki wywierać żadną miarą nie mogą. Jedynie więc publiczna, należycie uposażona szkoła dramatyczna w stolicy kraju zaradzić może brakowi młodszych sił artystycznych i dostarczyć nowemu teatrowi odpowiednich pracowników. S. P.



LITERATURA.

Rok Mickiewiczowski — Księga Pamiątkowa, wydana staraniem Kółka Mickiewiczowskiego we Lwowie. — Lwów. — Nakładem księgarni H. Altenberga. 1899. Imponującem bez żadnej przesady zjawiskiem w naszych stosunkach wydawniczych nazwać wypadnie publikację pamiątkową, ogłoszoną staraniem tutejszego Kółka Mickiewiczowskiego. Pragnąc oddać hołd Temu, którego imieniem się szczyliło a tradycją i duchem żyło, podjęło »Kółko« wydawnictwo zbiorowe, z dwóch części złożone. W pierwszej znalazło się trzydzieści z górą artykułów i prac, odnoszących się do osoby poety lub do jego epoki zaś w części drugiej omawianej książki podano szczegółowy, dokładny, o ile możliwości, obraz przygotowań do jubileuszowych uroczystości jakoteż samego obchodu. W dziale, że się tak wyrazimy, literackim, spotykamy rozprawy i materiały podane przez Władysława Bełzę, dra Piotra Chmielowskiego, dra Ludwika Finkla, dra Bronisława Gubrynowicza dra Wiktora Hahna, dra Józefa Kallenbacha, Adama Krechowickiego, Antoniego Mazanowskiego, Władysława Mickiewicza, dra Romana Pilata, Tadeusza Piniego, Franciszka Rawitę-Gawrońskiego, Stanisława Schür-Pepłowskiego i dra Józefa Tretiaka. Treść owych prac wielce różnorodna dotyczy zarówno literackiej jak publicystycznej działalności Adama, wyjątniając niejednen ciekawy szczegół, dotychczas mylnie podany lub też pominięty milczeniem przez biografów tudzież komentatorów dzieł poety. Niemniej ważne znaczenie, zwłaszcza dla przyszłego historyka politycznego lub literackiego, posiada druga część pamiątkowego wydawnictwa, zestawiona skrupulatnie i przejrzyście zarazem przez dra Adama Bienkowskiego. Rok mickiewiczowski, w którym naród cały bez względu na granice polityczne poczuł się znów sobą, złączył się w jednym uczuciu wdzięczności dla wieszcza, będącego nie tylko jego chlubą iecz zarazem uosobnieniem jego siły moralnej, ten rok piękny znalazł należycie odbicie w kronice, rejestrującej skrzętnie materiały, rozrzucone po rozmaitych czasopismach, odezwach, ulotnych broszurach. Prócz szczegółowej relacji o przygotowaniach do obchodu w Gblicy, streszczono na kartach niniejszej kroniki nie tylko opisy uroczystości mickiewiczowskich, święconych we Lwowie i w Krakowie, ale i we wszystkich miastach naszego kraju, obchody urządzone na Bukowinie i na Szląsku, w Królestwie Polskiem, na Litwie i w Wielkopolsce, wreszcie wieczory mickiewiczowskie, jakie odbywały się w koloniach polskich na obczyźnie. Brak miejsca nie poz-

wolił redakcyi na uwzględnienie w kronice jubileuszowego materiału bibliograficznego. w której to pracy wyręczył ją już tyle zastępujący redaktor »Przewodnika bibliograficznego« dr. Wistocki, autor »Mickiewiczianów«. Wytwornie wydana książkę zdbió portrety Adama, (według portretu Góreckiego) i Zana tudzież podobizna autografu Mickiewicza. (Pierwsza stronica »Ustępu«). Reprodukcyę portretu Góreckiego podajemy, dzięki uprzejmości wydawcy »Rocznika«, na czele niniejszego zeszytu.

Statystyka ludności kaszubskiej zebrał i opracował Stefan Ramułt. — Kraków. — Nakładem Akademii Umiejętności. — 1899. Publikacja w mowie będąca ma na celu nietylko wykazanie siły liczebnej ale i wytknięcie granic geograficznego rozprzestrzenienia ludu kaszubskiego. Posiada ona znaczenie statystyki wyłącznie językowej nie zaś narodowościowej. Autor przystępując do swej pracy w jesieni 1890 roku, nie mógł korzystać z sporządzanego, w tymże czasie spisu urzędowego, przekonawszy się dowodnie o fałszywości cyfr w nim podanych i począł zbierać daty, dotyczące ludności kaszubskiej na własną rękę. Zrazu więc prowadził poszukiwania na miejscu, wędrując od parafii do parafii i zbierając potrzebny materiał poczem uzupełniał swą pracę w drodze korespondencyi a pozostałe jeszcze luki, dotyczące przeważnie ludności ewangelickiej, wyjaśnił na podstawie cyfr, dostarczonych mu przez berlińskie biuro statystyczne. Zdobyć kilkunastu tysięcy dat statystycznych, odnoszących się do tysiąca kilkuset miejscowości, nie było oczywiście sprawą łatwą, ani też spieszenie załatwić się dającą i dlatego też »Statystyka«, przedstawiająca pierwsze, samodzielne usiłowanie szczegółowego obliczenia ludności na pewnym obszarze kraju, z uwzględnieniem języka oraz wyznania tejże ludności dopiero po ośmioletniej, żmudnej pracy opuścić mogła prasy drukarskie.

W treściwym ustępie do właściwej statystyki podaje p. Ramułt wiadomości ogólne o Kaszubach, oznacza granice ich osiadłości, omawia siłę ich liczebną w powiatach poszczególnych, charakteryzuje stosunki wyznaniowe na Kaszubach, wreszcie przedstawia zakres użycia mowy kaszubskiej. Statystyka szczegółowa ludności kaszubskiej w Prusiech Zachodnich, na Pomorzu, w rozmaitych prowincjach cesarstwa niemieckiego, w reszcie krajów Europy i w Ameryce, wypełnia naturalnym rzeczy porządkiem przeważną część książki. Wedle obliczeń p. Ramułta, Kaszubi w Europie przedstawiają cyfrę 200,217, w Ameryce 130.700 głów. Ci ostatni straceni są — zdaniem szanownego autora — dla Ojczyzny. Natomiast lud kaszubski w odwiecznej swej siedzibie pozostały, mimo ciężkich warunków życia duchowego, nie zatraci chyba nigdy swej odrębności, jak długo »mowa kaszubska będzie mostem co z gniazdem dziadów łączy wnuki«. Publikacyę p. Ramułta, opracowaną z uznania godną dokładnością, uzupełnia spis nazw miejscowości w polskim, w kaszubskim i w niemieckim języku. Ilustruje ją mapka etnograficzna Kaszub.

Listy z Ziemi Świętej przez J. N. S. (Poznań 1899). »Listy z Ziemi Świętej«, skreślone w roku minionym przez pielgrzymującego po Palestynie kapłana, nie są bynajmniej książką w rodzaju Baedekera, ani też uzupełnieniem istniejących już, licznych opisów pielgrzymek. Nie szło też autorowi o popisywanie się erudycyą archeologiczną. Przeciwnie, »Listy« jego pisane, jak to mówią, od ręki, zawierają zajmującą wiązanek osobistych wrażeń pobożnego patnika, okraszonych refleksjami na temat miłości ojczyzny oraz potrzeby służby narodowej, ciągłej, rozważnej. Patryotyczna tendencya dziełka przedprzedstawia też ważną, choć niejedyną tegoż zaletę.

Paweł książę Sapieha: Podróż na Wschód Azji. 1888 — 1889 z ilustracyami w tekście. Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1899.

W roku 1815 Stanisław hr. Potocki pragnąc spopularyzować u nas znajomość sztuki klasycznej, skreślił dzieło trzypomowe p. t. O sztuce u dawnych i rękopis tej pracy zaoferował bezinteresownie warszawskiemu zgromadzeniu OO. Pijarów, posiadającemu wówczas własną drukarnię. Aliście brat Siekierka, sędziwy administrator zakładów pijarskich, sprzeciwił się jak najgoręcej ogłoszeniu dzieła Potockiego drukiem i wręcz odmówił wydania potrzebnego papieru z magazynu, wołając: tę książkę napisał wielki pan, więc zapewne nie wiele

warta... I wiele pracy było potrzeba, zanim pocziwego Siekierkę, druha od serca majstra Kilińskiego, zdołano skłonić do ustępstwa, aż w końcu książka Potockiego w dwustu zaledwo odbita egzemplarzach opuścić mogła prasy drukarskie... Od tego czasu zapatrywania wydawców zasadniczej uległy zmianie, zwłaszcza w dziale literatury podróźniczej, zasilanej niejednokrotnie piórami przedstawicieli arystokratycznych rodów. Podróżując przy pomocy listów polecających oraz różnorodnych, dyplomatycznych ułatwień turyści owi mają sposobność dokładniejszego poznania danej miejscowości, czy też kraju, dostają się tam nawet, gdzie zwykłym śmiertelnikom wstęp jest bardziej utrudniony, jeżeli nie zupełnie wzbroniony. Oczywiście, wszelkie tego rodzaju ulgi tem ważniejszą odegrywają rolę, im stan kulturalny zwiedzanego kraju jest niższym a rząd nim władający, podejrzliwszym wobec obcych podróżników. To też z rzetelnem zajęciem śledzi się opis podróży, podjętej przez księcia Pawła Sapieżę w towarzystwie legacyi austriackiej przez Syam, Chiny i Japonię. Podróżnik nasz nie trzymał się wszakże utartego szlaku, jakim zwiedzający w znacznej części azjatycki turyści podążać zwykli wzdłuż wybrzeży, jeno przez stepy mongolskie i Syberyę dotarł z powrotem do Uły, zkad już kolejka udał się na Moskwę do kraju. W ciągu tej jedenastomiesięcznej podróży, odbywanej w znacznej części konno, nastreżano się księciu niemało przedmiotów do obserwacji i do refleksyi. Interesowały go nietylko otaczająca go przyroda, fauna i flora, ale także społeczeństwo, wśród którego mu chwilowo przebywać wypadło, urządzenia polityczne i stosunki ekonomiczne. Wspomnienia swe spisuje autor w sposób nieco dorywczy, dzień po dniu, nie siląc się bynajmniej na kunsztowną, literacką formę, dzięki czemu książka jego sprawia wrażenie wiernego i wielce interesującego raptularza, na tle którego indywidualność młodego turysty zarysowuje się w sposób zmienny. Liczne ilustracye, wykonane na podstawie zdjęć uskutecznionych na miejscu, urozmaicają tekst »Podróż« tłocejnie ozdobił w krakowskiej oficynie Anczyca i Spółki.

S. P.

Zdzisław Dębicki: »Ekstaza — Poezye«. Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie. Warszawa. Poznań. Już po przeczytaniu kilku pierwszych utworów, mamy wrażenie, że poeta jest młody, bardzo młody. Jeżeli brak opanowania formy i szczupły horyzont — jak zawsze młodości — poglądów i myśli jest rzeczą u poety wcale nie dodatnią, to za to młodość serca i uczuć ceni się wysoko. Tamte braki są do naprawienia, przy pracy i szczerem oddaniu się pieśni, przy zdobywaniu coraz szerszych horyzontów wiedzy, przyjdą i myśli głębsze i mistrzostwo formy! — a młodości i świeżości serca chyba ubywać będzie. Owóż tę młodość i świeżość uczucia znajdujemy u p. Dębickiego. Rymy jego, powiedzmy nawiasem, gładkie, nierzadko bardzo wdzięczne i śpiewne, jakby pisane przy fortepianie, owiane są melancholią, której głównym motywem jest utrata ziemskiej kochanki. Nie jest to melancholia, przechodząca w wybuchy bajronowskiej rozpacz i bluźnierstwa ale raczej śpiew bolu, pełen spokojnej rezygnacyi. Zwrotki Dębickiego czyta się z przyjemnem zajęciem, mimo, że surowszego krytyka razić mogłaby pewną jednostajność motywu, na różne sposoby opiewanego, co się też odbija i na formie, grzeszącej nieraz także pewną jednostajnością. Talent niezaprzeczony, wymaga jednak jeszcze pogłębienia i wchłonięcia szerszych horyzontów myśli, wzbicia się w wyższe sfery, objęcia wzrokiem poetyckim zagadnień społecznych i narodowych, wobec których ból osobisty jest zaprawdę... pyłem.

(r. p).

Andrzej Niemojewski. Wybór Poezyi. — Warszawa. 1899. — Gebethner i Wolff.

Mimo, że poeta ma już za sobą kilka wydanych zbiorów, mimo jego poczynności w Warszawie, u nas nazwisko to mało znanem, tak jak utwory jego. Dopiero dramat konkursowy »Familia« zwrócił uwagę czytającego świata na ten niewątpliwie wybitny talent. Zbiorek nowy zawiera wiele rzeczywiście pięknych utworów — a właściwy autorowi nastrój minorowy przeważa swą nutą przebliski dowcipu i humoru. Spotykamy tu dwa cykle »Podziemia« i »Ziemia obiecana«, opiewające specyjalność poety — świat fabryk i kopalni

— to jest, jego *cheval de bataille*. Obfity zbiór liryków odznacza się wytwornością i lekkością formy, a więcej z nich tęsknota częściej niż humor, czasem gryząca satyra, a wszędzie gorące uczucie. Prawdziwie heinowskie zacięcie mają dwa cykle »Dwa amorki« i »Liryk i muza«, opiewające życie biednego, walczącego z losem poety i jego rodziny; gryząca satyra drwiny na ustach, a łza w oku i w sercu bólu. Wydanie zbiorku bardzo piękne. e. b.

Wybór dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej — Wydanie jubileuszowe z portretem autorki — Kraków — Nakładem Czytelni Polskiej — 1898 — T. I.—VI.

W listopadzie roku minionego wypadła setna rocznica urodzin autorki »Pamiętki po dobrej matce« i tej też zapewne okoliczności przypisać należy pojawienie się w handlu księgarskim wyboru dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej pod staranną redakcją i z komentarzami dra Piotra Chmielowskiego. Ten ostatni skreślił również w tomie wstępnym wydawnictwa zwięzłe, oraz treściwie życiorys pisarki, którą słusznie ktoś nazwał pierwszą w Polsce osobistością pedagogiczną. Rozwodzenie się o zasługach, jakie Hofmanowa położyła około wychowania kilku pokoleń w naszym narodzie w duchu prawdziwie obywatelskim i patriotycznym, byłoby rzeczą zbędną, wobec żywego do tej pory kultu dla autorki, która sama jedna u nas dopełniła — jak słusznie zauważył Trentowski — tego, co w Niemczech spełnili Weisse, Campe i Karolina Rudolphi... Nadmienimy więc tylko, iż dokonany przez dra Chmielowskiego wybór dzieł płodnej pisarki objął, prócz »Listów Elżbiety Rzeczyckiej« i »Dziennika Krasińskiej«, także powieść »Krystynę«, przedstawiającą niejako moralną autobiografię naszej autorki, dydaktyczną opowieść »Jan Kochanowski w Czarnolesie«, wreszcie kapitalne jej dzieło »Pamiętkę po dobrej matce«. Zawarty w końcowym tomiku wybór powieści i opowiadań historycznych, uwzględnia zarazem powiastki moralne i historyczne, jakoteż życiorysy i opisy podróży po kraju, przyczem wydawca usunął rzeczy słabsze pod jakimkolwiek względem, gromadząc natomiast te, w których zalety wyższe są od wad i usterek.

Notując pojawienie się tej, jubileuszowej poniekąd publikacji, nie podobna jej dość gorąco zalecić tym wszystkim, dla których kwestya wychowania młodszego pokolenia nie jest pustym frazesem. Czas sam przez się dydaktyczne niedokładności pism Hofmanowej sprostował — pisała lat temu dwadzieścia Narcyza Zmichowska — zamiast wykazywać jej omyłki, raczej zachęcać trzeba, żeby młode pokolenie odświeżyło sobie w pamięci wszystkie te obowiązki, zalety, sposoby, które ona tak wdzięcznie, tak misternie przedstawiać umie, a które bądź co bądź, każdemu życie ułatwić i ozdobić mogą..

Słowa te dawnej przewodczyni »entuzjastek« warszawskich starczą za najwomowniejszą reklamę dla pism Hofmanowej. P. S.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Melancholia. — Warszawa 1899. — Nakład Gebethnera i Wolffa. Młody poeta posiada już markę literacką, poszukiwaną i wysoko cenioną, to też welu, ujrzawszy jego nowy zbiorek na wystawie księgarskiej, bez chwili zwłoki chwyci go do ręki, by niestety zbyt szybko przekonać się dowodnie, że z wielkim talentem idzie tu równie znaczny pesymizm w parze A szkoda, bo i rozgłośna sława p. Tetmajera i zewnętrzna szata wydawnictwa, ozdobionego doskonałym portrekiem autora, składają się na to, by elegancki ten tomik znalazł się w posiadaniu licznej gromady czytelników.... tym razem niemiłe rozczarowanych. Sam autor w duchu nam przyzna, iż mogło być przecie inaczej: lepiej i stosowniej. Po co każda niemal z zebraanych tutaj nowelek kończyć śmiercią, częstokroć wprost odrażającą, po co wszystkie razem, (oprócz jednej jedynie fraszki), przeładowywać takim bezmiarem barw jonurzych? W większym tomie, obok wielu pogodniejszych utworów powieściowych, nie raziłoby to tak bardzo. tutaj wywiera wrażenia przynębiające. Mimo wspomniane atoli braki, nie można w żaden sposób odmówić wydanemu świeżo zbiorowi licznych zalet. w każdej, wcieloniej tu nowelce, w fantazjach scenicznych, pod względem literackim bardzo udatnych, w listach z podróży, kreslonych nierzadko z prawdziwie poetycznym. po-

lotem, słowem we wszystkim, przebijają się tutaj pazury młodego lwa, po którym z czasem — ohy jak najrychlej — wielu potężnych oczekiwać mamy prawo rzeczy. Tem życzeniem na przyszłość kończę ocenę *Melancholii*, której osobom zdenerwowanym i nadto wrażliwym czytać nie radzę.

M. R.

Marya Turzyma: *Nadbrzeżne fale*. — Lwów 1899. — Nakład Towarzystwa wydawniczego we Lwowie. — Zewnętrzna szata zbiorku pani Maryi Turzyny jest tak ładząco zbliżoną do wyglądu warszawskiej biblioteczki Gebethnera i Wolffa, że łatwo wziąć można jedno wydawnictwo za drugie. Czy jest to tylko przypadkowe zrządzenie losu? nie wiem, ale — co prawda — wątpię trochę. Prac pani Turzyny dawniej zupełnie nie znalazłem; nie pomnę nawet, w jakich czasopismach były one drukowane. Zebrane w osobny tom, zbytńio czytelnika zainteresować nie zdołają; nadto w nich bowiem wiele jakiejś, chwilami nawet sztucznej fantastyczności, za mało — przeciwnie — szczerości i prostoty. Co więcej, drobiazgi te, mimo niezaprzeczonego talentu, pięknej polszczyzny i potoczystości stylu, czynią, na mnie przynajmniej, wrażenie pozowania na fantazyjność i oryginalność, a wada ta, czy słabość, zmniejsza ich rzeczywistą wartość. Na omawiany zbiorek złożyły się: opowiadanie »Szkoda czasu i atlasu«, najstarsze w całym zbiorku; »Dzień zaduszny«; impressya »Wśród burzy«; wcale piękne bajki: »Do słońca«. »Sen uwięzionej lwicy« i »O skrzydlatej duszy«; »Mia Maria«; »To nie była miłość«; O świecie« i wreszcie »Nadbrzeżne fale«. Nie znam autorki, ukrywającej się pod wzmiankowanym w tytule pseudonimem, Przypuszczać jednak z wielu danych można, że pióro to młode, (o latach pięci pięknej mówić się nie ma prawa!), po którym — po otrząśnięciu się koniecznym z obecnej pozy — spodziewać się mamy prawo rzeczy o wiele lepszych. Czekajmy więc cierpliwie, co nam przyszłość przyniesie.

M. Re.

Stefan Żeromski. *Utwory powieściowe*. Warszawa. 1898. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Autor należy dzisiaj do najulubieńszych i najpoczytniejszych pisarzy; stanowisko to — tak zaszczytne i wybitne — zajął bardzo szybko, więc też i każda nowa jego praca, każdy świeżo wydany zbiorek drobniejszych utworów, ludzi gorące zainteresowanie. Utwory powieściowe przyjęła krytyka nader pochlebnie; zastrzegają one na sąd dodatni w zupełności i służby mogą rozmaitym, zmanierowanym najmłodszym za najlepszy przykład, jak właściwie pisać należy. Na pierwszym miejscu postawiłbym w wydanym zbiorku śliczną opowieść: »O żołnierzu tułaczku«. Przenosi nas autor tutaj w Alpy szwajcarskie, gdzie w zaraniu wieku krwawe odbywały się starcia armii francuskiej z austryacką. Pod sztandarem znalazł się żołnierz-Polak, bo i gdzież naszych rozbitków nie było, i jego to żywot tułaczy rysuje autor barwnie na tle walk i trudów obozowych. Na szczególne podniesienie zasługuje świetny opis przejścia armii francuskiej przez lodowce alpejskie. Tego rodzaju obrazy może malować tylko ktoś, kto potrafi patrzeć odpowiednio na otaczającą nas przyrodę, kto umie całą potęgą swej wyobraźni i intuicji odtworzyć na tem tle wypadki z przed z przed lat stu niemal. Takim dzielnym artystą okazał się p. Żeromski. Inne zebrane tutaj utwory, jak: »Na pokładzie«, »Tabu«, »Cienie«, »Kara«, »Legenda o bracie leśnym« i »Promień« — noszą również na sobie cechy wybitnego talentu sympatycznego pisarza.

Miro.

Artur Gruszecki: *Szchraje*. Powieść współczesna. Tomów 2. Warszawa 1899. Nakład J. Fiszera. Powiedział ktoś o p. Gruszeckim, że każdy, poruszony w swej powieści temat, w pierw sam najgruntowniej bada i poznaje, by dopiero potem z niepoślednim talentem zapoznać z nim swoich czytelników. Powyższemu zdaniu przynależ wypadnie rację bez żadnych zastrzeżeń. W istocie z prawdziwie profesorską pedanterją i drobnostkowością zgłębia sympatyczny dla mnie bardzo autor sfery i stosunki, które opisać zamierza i dla tego to wszystkie jego powieści posiadają tak znaczną wartość. Charakterystyczny ten rys twórczości p. Gruszeckiego rzuca się każdemu w oczy po prze-

czytaniu martyrologii górników p. t. Krety, to samo powiedziec wypadnie i o historyi warszawskiej, żydowskiej giełdy, odmalowanej w *Szachrajach*. Już ostatnich choćby słów kilka wyraźnie tłómaczy zawartość dwutomowej powieści. Tak, są to dzieje giełdy, a zarazem historia jednego z działaczy, który dzięki swej przedsiębiorczości i sprytowi, a zarazem nieudolności skubanych przezeń ofiar, ze zwyczajnego kantorowicza przekształca się dosyć stosunkowo prędko w potentata giełdowego, w bankiera pierwszej klasy. Ile on zrujnował ofiar, ilu nawet współbraci do nędzy doprowadził? Nikt oto nie pyta Giełda jest na to, żeby jedni przegrywali na korzyść drugich, pan bankier zdobywa też miliony i uznanie szerokich sfer, syna żeni z katoliczką, córkę wydaje za goniącego resztkami szlacheica, nabywa dobra i staje się zwolna członkiem społeczeństwa, które go niedawno jeszcze odpychało ze wstrętem. Typ samego bankiera odtworzył autor znakomicie, nie braknie tu najdrobniejszego rysu, potrzebnego do uwypuklenia postaci. Rodzinę i dom bankiera musiał p. Gruszecki wiernie kopiować z życia, to samo powiedziałbym o samej giełdzie i o kawiarni, w której rozmaitego rodzaju »machery« ubijają swoje interesy, poprzedzające zawziętą często walkę na samej giełdzie. Typ reportera, wysoce co prawda ujemny, ale jaki świetny! Najłabszą stroną powieści jest jej rozwiązanie, małżeństwo uczzonego syna bankiera z córką ofiary ojca, panną Danborską, mimo to jednak najnowszy utwór p. Gruszeckiego zasługuje na ocenę bardzo pochlebną.

m. r.

Biblioteki Powszechnej, wychodzącej w Złoczowie nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla, ukazały się w handlu księgarskim zeszyty 268—270. Prócz fredrowskich »Odludków i Poety« zawierają one »Scherzo«, zbiorek ulotnych i w przeważnej części udatnych wierszy *Kazeta*, znanego z licznych utworów, zamieszczanych w pismach humorystycznych, tudzież tomik szkiców i obrazków Aurelega Urbańskiego, ogłaszanych pod wspólnym tytułem »Z za kulis i ze świata«. Na wydaną ostatnio książeczkę złożyły się: wielce realistyczny obrazek »Nocturno«, którego bohaterem jest posługacz w prosekutorium, zwany popularnie Wójtowiczem tudzież szczerym liryzmem owiany fragment p. t. *Jukatana*, opiewający stare jak świat a jednak zawsze świeże dzieje źle dobranego małżeństwa. W drobiazgu ten wiele prawdy, wiele uczucia wlał autor, z którym co do zakończenia »Jukatana« możnaby dłuższą przeprowadzić dyskusję, lecz niepodobna mu odmówić znajomości efektów pisarskich i umiejętnego tychże używania.

.. i.

Nasze Kółka rolnicze. Rzut oka na stan obecny, zadania i potrzeby Kółek rolniczych w Galicyi Napisał Tadeusz Kudelka Kraków 1899. Autor z zawodu agronom, podaje nam na podstawie publikacyj Towarzystwa Kółek rolniczych prawdziwy obraz rozwoju tej tak pożytecznej instytucyi dla kraju, omawia poszczególne gałęzie działań, a doświadczony znawstwem stosunków zagranicznych wskazuje na wiele pożytecznych urządzeń, któreby należało zacerpnąć dla naszych Kółek rolniczych z pokrewnych instytucyj zagranicznych. Przyznając wielkie zasługi głównemu Zarządowi w ustawicznej jego pracy, radzi, ażeby Kółka rolnicze w rozmaitych gałęziach wzmocniły organizację i rozszerzyły działalność, radzi więc, by współdziałały z krajowemi Towarzystwami rolniczeimi w sprawie nabywania nawozów, pasz, nasion, maszyn i t. p. ażeby tworzone związki przemysłów wiejskich, jak: mleczarń, piekarń, rzeźni i t. d. i ażeby Kółka obejmowały agencyi Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń i t. d. Odzywa się wreszcie do pomocy kraju, który winien dążyć do rozpowszechnienia wykształcenia handlowego między ludnością chrześcijańską, a dalej, ażeby użytkowanie monopolów krajowych i państwowych jak myt, propinacyj, soli, książek szkolnych i t. d. dokonywało się z największą korzyścią dla ludności, ponoszącej ciężary a z pominięciem wszelkiego wyzysku. Rady te są istotnie zbawienne, to też rozprawy takie i publikacje o Kółkach rolniczych powinny się pojawiać ciągle, gdyż w ten sposób całe społeczeństwo zajmie się szczerze tą instytucją, będącą podwaliną dla przyszłego dobrobytu krajowego.

Br. M.

Slovansky Prehled. W marcowym zeszytcie »Przeglądu« znajdujemy, podobnie jak w poprzednich numerach sympatycznego tego wydawnictwa, wychodzącego w Pradze pod redakcją Adolfa Czernego sporo rzeczy polskich. I tak: pani Romualda Bauduin de Courtenay kreśli udatną sylwetkę znanej ekonomistki, dra Zofii Daszyńskiej, Kazimierz Wojnowski w korespondencyi poznańskiej charakteryzuje w dosadnych słowach ucisk żywiół upolskiego w tymże zaborze przez rząd pruski zaś sam redaktor omawia bardzo obszernie »Zamknięcie Dziejów« Korzona oraz »Nowelle« Kcnpnickiej. Nadto znajdujemy w najświeższym zeszytcie wzmianki o Spasowiczu i o Juliuszu Kossaku.



Z Koła Literacko-Artystycznego.

Szereg odczytów i pogadańk tygodniowych nie uległ w marcu r. b. najmniejszej przerwie gromadząc w »Kole« liczny zastęp słuchaczów płci obojga. I tak w dniu 4. t. m. mówił profesor dr. Józef Szpilman o odporności przeciw chorobom zakaźnym i o skłonności do tychże chorób. Popularny i wielce aktualny wykład szanownego profesora wywołał żywe zajęcie w audytorjum, które wynagrodziło mowę zasłużonym aplauzem.

Dnia 11. t. m. zdawał sprawę Jan Styka z dzieł Tołstoja: »O sztuce« i »Przeciw prądom nowoczesnym w sztuce«.

Znając już choćby w najogólniejszych zarysach indywidualność znakomitego starca z Jasnej Polany, łatwo przypuścić, że najnowszej sztuce on nie hołdował, bo hołdować w żaden sposób nie może. Żałuję tylko — powiedział Tołstoj do odwiedzającego go Francuza, Andrzeja Bonnier — że to ja właśnie o sztuce pisać muszę, bo utarło się wśród ludzi mniemanie, że to napewne będą poglądy paradoksalne i obawiam się, by te przesady nie zaszkodziły niezaprzeczonemu prawdom, które się mieszczą w mojem dziele. Sztuka weszła na złe tory i z dniem każdym oddala się bardziej od właściwej drogi. We Francyi uległa ona zepsuciu, a ponieważ Fr. ncyja kroczy zawsze na czele innych narodów, trzeba zatem jak najprędzej temu złemu przeciwdziałać. Wynaleziono teorię błędną, że sztuka tylko sobie sama służy: sztuka dla sztuki! Odrzucono wszystkie cele i dla kilku wybranych tylko i wtajemniczonych pielęgnuje się te źródła rozkoszy kosztem ogółu, nie będącego w stanie zrozumieć tych nowych kierunków, wobec których w końcu i sami twórcy staną jak wobec nierozwiązalnej zagadki.

Sztuka — zdaniem Tołstoja — musi być ludową, albo nie ma prawa egzystencyi; niechaj ona przestanie być raz igraszką dla przeżytych światowców, a zacznie na nowo służyć ogólnoludzkim celom. Tołstoj nie żąda, żeby sztuka była wyłącznie czynnikiem umoralniająca, ale niech ona lud interesuje, a w takim razie i całą ludzkość interesować będzie. Nastąpi to jednak wtedy, kiedy sztuka będzie szczerą, gdy będzie wyrażać coś głębokiego, ogólnie ludzkiego.

Jaka będzie sztuka przyszłości? Pytaniem tem zajmowano się często i wiele. Z tego, co Tołstoj wypowiedział o sztuce, możnaby już sobie stworzyć jej obraz, ale znakomity pisarz nas w tem wyręcza i sam jej program stawia. Przedewszystkiem — mówi — trzeba wypędzać przekupniów ze świą-

tyń, bo dopóki tego się nie uczyni, dopóty świątynia sztuki nie będzie świątynią.

Sztuka przyszłości nie będzie przywilejem wyjątków, ale ogarnie wszystkich. Z ludu wyjdą artyści i będą tworzyć dzieła szczerze, które nie będą przeławowane technicznymi sztuczkami, ale zwięźle i jasno wyrażać zaczną uczucia, wypływające z zewnętrznej potrzeby twórczości. Artysta nie będzie szukał zagmatwanych, niejasnych zwrotów, tylko w prostocie wypowie, co wypowiedzieć zamierzał. Sztuka założy na ziemi prawdziwe królestwo Boże, wypełniając najwyższy cel naszego żywota.

Po odczycie, nagrodzonym oklaskami, czas dłuższy dyskutowano jeszcze w poszczególnych grupach, zastanawiając się nad marzycielskimi częstokroć teoriami rosyjskiego pisarza.

W dniu 18. t. m. odbył się odczyt p. Kazimierza Wróblewskiego p. t. Kartka z dziejów twórczości Kornela Ujejskiego.

Stwierdziwszy, że sądy dzisiejsze o Ujejskim są wśród publiczności polskiej wprost sprzeczne, że obok bezkrytycznego uwielbienia spotyka się często zdania lekceważące twórczość poety i, jak niektórzy uważają, ubliżające jego pamięci, prelegent zaznaczył, że najodpowiedniej jest sąd o twórczości piewcy »Chorału« oprzeć na wynikach badań historyczno-literackich, które się pocie tej miary i tego wpływu na społeczeństwo i literaturę co Ujejski, należą bardziej niż wielu innym. W myśl tej zasady p. Wróblewski rozpatrzył *Skargi Jeremiego*, zarówno co do genezy tych dwunastu modlitw błagalnych, jak i pod względem stosunku ich do poezji społecznej. Na genezę »Skarg« złożył się nastrój ducha poety, przejętego grozą wypadków z 1846 oraz rozczątanie się w poezji romantycznej z owej chwili, kiedy w niej zapanował mistycyzm. Widoczny jest w »Skargach« wpływ Mickiewicza i Słowackiego, (tego znacznie-szy). Wpływ Krasieńskiego, przynajmniej bezpośrednio, prelegent nie uznaje. W tej okoliczności, że »Skargi« były znakomitym wyrazem nastroju, w jakim społeczeństwo galicyjskie żyło od r. 1831 do 1846, widzi p. Wróblewski przyczynę ich spopularyzowania się. Obok nielicznych usterek w »Skargach« znajdują się niepospolite piękności, zarówno co do treści, jak co do formy. Odczyt p. Wróblewskiego jest ustępem z większej pracy, którą prelegent do druku przysposabia.

W dniu 24. t. m. odczytał p. Stanisław Zdziański ustęp ze swojej pracy o Goszczyńskim p. t. »Z młodych lat Seweryna Goszczyńskiego«. Na samym wstępie skreślił prelegent obraz stanu Ukrainy w ciągu XVII i XVIII. stulecia i na podstawie tej wysnuł wiele wniosków, dotyczących się braku poetów polskich na Ukrainie w tych czasach. Następnie zastanawiał się nad przyczynami, jakie z początkiem XIX. wieku wydały cały szereg pieśniarzy, zrodzonych z polskich rodów na Ukrainie zamieszkałych. Na takim to tle wprowadził p. Zdziański postać Goszczyńskiego, by zbadać gen-żę talentu jego twórczego, na którego wywołanie złożyło się mnóstwo powodów. Najpierwszym tedy były szkoły humaniczne i korzystne otoczenie przyjaciół, (Zaleski, Grabowski), pobyt jednoroczny w Warszawie, który wyrobił w młodym umyśle zasady polityczne i społeczne. Najważniejszymi czynnikami, jakie przyczyniły się do rozbudzenia natężeń twórczych, były trzy uczucia, które wszystkie wyniósł z zarannego dzieciństwa, a mianowicie: miłość przyrody, pieśni ludowej i potężną miłość ojczyzny, połączoną z niezmierną sympatją dla ludu wiejskiego. Nakoniec podał prelegent szczegółową charakterystykę poetyckich utworów Goszczyńskiego, napisanych przed powstaniem »Zamku Kaniowskiego«. Z utworów tych tchnie ogromna i potężna miłość chłopskiego proletariatu i ojczystej ziemi. Odczyt zakończył p. Zdziański nakreśleniem pojęć Goszczyńskiego o poezji i o poetach, których uważał jako kapłanów wyższych ponad sądy świata, obowiązanych do niesienia zawsze sztandaru walki ze złem do upadłego, choćby beznadziejnej.

W dniu 25. t. m. zawiązał się w »Kole« Wydział Naukowo-Literacki celem ożywienia ruchu naukowego i literackiego we Lwowie i w całym kraju oraz dla utrzymania łączności między pracującymi na polu nauki, literatury i publicystyki. Założyciele Wydziału ułożyli projekt regulaminu i dalszą akcyę przy-

gotowawczą poruczyli Zarządowi, w skład którego weszli pp. Adam Krechowicz, jako przewodniczący, Franciszek Rawita Gawroński i Aureli Urbański, jako zastępcy przewodniczącego tudzież Stanisław Schnür-Peplowski i Michał Rolle jako sekretarze. Najbliższe zebranie Wydziału odbędzie się w pierwszych dniach kwietnia r. b.

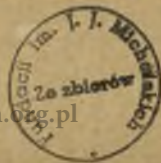
Tegoż dnia, (25. marca r. b.), o godzinie 8. wieczorem odczytał Aureli Urbański w sali bibliotecnej »Koła« i w gronie zaproszonych osób najświeższy swój utwór, dramat jednoaktowy p. t. Nokturn. Ponieważ dzieło to prawdopodobnie już w najbliższej przyszłości ukaże się na tutejszej scenie, przeto nie przytaczamy jego treści, nadmienając jedynie na miejscu, iż »Nokturn« odznacza się zarówno oryginalnością pomysłu jakoteż niezwykłą siłą dramatyczną akcji.



Kronika żałobna.

Dr. Leon Chrzanowski zmarł dnia 17. marca r. b. w Smardzewicach, w Królestwie Polskiem. Śmierć tego wybitnego publicysty i polityka, który mieczem i piórem walczył, — zasługom swoim pozostał wiernym do końca, a życie strawił na pracy dla kraju, — wywoła wszędzie gorące i serdeczne współczucie. Leon Chrzanowski urodził się w r. 1823 w Ojcowie, a był bratankiem generała Wojciecha Chrzanowskiego. Gdy odbywał na Uniwersytecie krakowskim studia prawnicze i filozoficzne, wypadki roku 1846 porwały go w swój wir, tak, iż ś. p. Leon Chrzanowski, uszedłszy z Krakowa do Prus, tam uwięziony, osadzony został w twierdzy Kosel. Powiodło się mu jednak zbiedz do Francji, gdzie wstąpił do paryskiej szkoły wojskowej, a w roku 1849 wziął udział w kampanii. Już przedtem próbował sił swoich także na polu literackim i w roku 1847 wydał w Paryżu tomik poezyj, p. t. *Dźwięki mej duszy*. Powróciwszy w roku 1852 do Galicji pracę literacką prowadził z powodzeniem dalej i razem z Janem Bętkowskim wydawał *Przegląd naukowy krakowski*. W roku 1853 wstąpił do redakcji krakowskiego *Czasu*, a w latach 1855, 1859 i 1866 w pracy jego publicystycznej przydały mu się bardzo nabyte dawniej teoretyczne i praktyczne wiadomości wojskowe. — Wpływ Chrzanowskiego, jako publicysty, na koło czytelników dziennika uwydatnił się może najsilniej w latach 1861—1863; zawikłany w ówczesne wypadki, tak w roku 1863, jak następnie także i w roku 1864, z powodu pewnego artykułu *Czasu* dostał się ś. p. Chrzanowski do więzienia. Od roku 1866 brał Chrzanowski żywy udział w życiu politycznym, postępując do Sejmu krajowego oraz do Rady Państwa, która wysłała go niejednokrotnie do Delegacji wspólnych, gdzie jego referaty o sprawach wojskowych cieszyły się uznaniem. Leon Chrzanowski był jednym z wybitnych członków »Koła polskiego«, w którym rozumne jego zdania spotykały się niejednokrotnie z ogólnem uznaniem. Był on także autorem licznych broszur i artykułów treści politycznej i wojskowej; że wymienimy tylko tytuły ważniejszych jego prac, jak: *Chwila teraźniejsza i przyszłość Polski*, (Paryż 1846), *Einige Bemerkungen gegen die Befestigung Krakaus*, (Kraków 1868), *Przegląd położenia i działań na teatrze wojny*, (Kraków 1866). Wiele zajmujące są również komentarze Chrzanowskiego do memoriałów, jakie stryj jego, generał, o sprawie polskiej przedkładał w latach 1834—1855 rządowi angielskiemu. Publikacya ta p. t. *O dążeniach i o polityce Moskwy* opuściła prasy drukarskie w Krakowie, w roku 1866. Ś. p. Chrzanowski pozostawił podobno wiele zajmujące pamiętniki, dotyczące jego działalności politycznej.

Odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnür-Peplowski.



OGŁOSZENIA.

**WYSTAWA OBRAZÓW
JANA STYKI**

otwarta od Wtorku, dnia 21. marca b. r.

w sali Domu Narodnego

obejmuje

najnowszy obraz olbrzymich rozmiarów

pod tytułem

Przysięga Witolda —

— **wobec płonącego Kowna**

(R. P. 1362)

tudzież kilkadziesiąt innych prac.

Wystawa otwarta od godziny 9. rano do
godziny 6. wieczorem.

Wstęp w dnie powszednia **30** ct., w Nie-
dziele i w Święta **20** ct. od osoby.



Marya Marek

przedtem L. Marek

Lwów, Rynek 1. 9.

Skład fortepianów

i pianin

wiedeńskich i zagranicznych.

WIELKI WYBÓR FORTEPIANÓW

do wypożyczenia.

Fortepiany używane przyjmuje w zamian.

**Lwowska Filia
Krakowskiego Tow. Wzajemnego Kredytu**

Lwów, ulica Trzeciego Maja 1. 16.

(Gmach Asekuracji Krakowskiej)

przyjmuje

**wkładki oszczędności
na 4 procent.**

Do 2000 koron wypłaca się bez wypowiedzenia.

Wszelkie kupony
i wylosowane
papiery wartościowe

wypłaca bez potrącenia prowizji lub kosztów

Kantor wymiany

C. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Jako dobrą i pewną lokację polecamy:

- 4^o/_o Listy hipoteczne koronowe,
- 5¹/₂^o/_o Listy hipoteczne,
- 5^o/_o Listy hipoteczne premiovane,
- 4^o/_o Listy Tow. kred. ziemskiego,
- 4¹/₂^o/_o Listy Banku krajowego,
- 4^o/_o Listy Banku krajowego,
- 5^o/_o Obligacje komunalne Banku krajowego,
- 4^o/_o Pożyczkę krajową,
- 4^o/_o gal. Obligacje propinacyjne
i wszelkie renty państwowe.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. gal. akcyjnego

Banku hipotecznego.

GALICYJSKI
BANK KREDYTOWY

wydaje

4⁰/₁₀₀ Asygnaty kasowe

z 30-dniowym wypowiedzeniem i

3¹/₂⁰/₁₀₀ Asygnaty kasowe

z 8-dniowym wypowiedzeniem.

Przyjmuje

wkładki na książeczki oszczędności

oprocentowując takowe

po 4¹/₂⁰/₁₀₀ rocznie,

oraz

kupuje i sprzedaje

wszelkie papiery wartościowe

krajowe

po kursie dziennym.

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(Organ Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie)

wychodzi co miesiąca w zeszytach

zawierających od 2 do 3 arkuszy druku.

W najbliższych zeszytach umieszczone zostaną utwory: Władysława Bełzy, dra Adama Bełcikowskiego, dra Adama Bieńkowskiego, Bolesławicza, dra Aleksandra Czołowskiego, Seweryny Duchińskiej, ś. p. Andrzeja hr. Fredry, X. Jana Gnatowskiego, dra Ludomiła Germana, dra Michała Greka, dra Bronisława Gubrynowicza, T. T. Jeża, Izydora Kuncewicza, Anny Neumanowej, Zdzisława Onyszkiewicza, dra Kazimierza Ostaszewskiego-Barańskiego, Romana Polińskiego, Leona Popławskiego, Adama Pługa, Franciszka Rawity-Gawrońskiego, Michała Rollego, dra Wilhelma Rolnego, Kazimierza Rojana, Stanisława Rossowskiego, Wojciecha Szukiewicza, dra Stanisława Tomkowicza, dra Kazimierza Twardowskiego, Kazimierza Wróblewskiego, Jana Zacharyasiewicza, Zawrata i Franciszka Zwilkońskiego.

Artykuły nadsyłać należy pod adresem Stanisława Schnür-Pepłowskiego, Lwów — ul. Mickiewicza 11.

P 5
293

Warunki przedpłaty.

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem: „*Kola Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie
od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt V.

Maj 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z Drukarni E. Winiarza

1899

<http://rcin.org.pl>

T R E Ś Ć.

	str.
I. W pięćdziesiątą rocznicę, przez Br. G.	201
II. Na wiosnę, wiersz L. G. Dziubińskiego	204
III. »Wszystkie polskie dzieci są mojami dziećmi«, przez W. N.	204
IV. Walkirie, wiersz T. Carducciego, tłumaczył Julian Mors z Poradowa	207
V. Czworo, przez Izidora Kuncewicza	209
VI. Ty się nie pytaj, wiersz przez Jana Miodoborskiego	211
VII. Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie, przez Dr. Kazimierza Twardowskiego	211
VIII. Notatki z Krakowa, przez Kazimierza Czapelskiego	216
IX. Malarstwo	219
X. Teatr	224
XI. Muzyka	232
XII. Literatura	243
XIII. Z Koła Literacko-Artystycznego	250
XIV. Kronika żałobna	251

**W najbliższych zeszytach rozpoczniemy druk dłuższej,
specyalnie dla naszego miesięcznika napisanej noweli
p. Gabryeli Śnieżko Zapolskiej.**



JULIUSZ SŁOWACKI.

Według portretu olejnego Tytusa Byczkowskiego, malowanego w Dreźnie w r. 1831,
a znajdującego się obecnie w galerii Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie.

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro
jak praca na dziś.«

A. Cieszkowski.

Zeszyt V.

Maj 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z DRUKARNI E. WINIARZA

1899.



PI 293

W pięćdziesiątą rocznicę.

W drugi dzień Święta Zmartwychwstania przypadała w roku bieżącym pięćdziesiąt rocznica zgonu twórcy »Anhellego«; trzeciego kwietnia bowiem, 1849 roku, w chwili gdy na zegarach paryskich biła godzina czwarta skołał Juliusz Słowacki na rękach swych serdecznych przyjaciół Szczęsnego Felińskiego i Karola Petinaud'a.

Młodym chłopcem będąc — liczył podówczas lat 21 — nakreślił poeta w swym pamiętniku następujące słowa: »...ja skazany jestem żyć bez uczuć, skazany, abym przez całe życie czekał sławy, która może przwjdzie pierwszego dnia mojej śmierci. Pamiętam, że będąc małym dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz: »Ó Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę naj-nieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w mojem życiu. Tak się modliłem: przekonany jestem, że zły duch pochwycił moje przymierze; to co ma być w życiu już się spełnia... to co ma być po śmierci... być musi. Czuję, że ja umrzeć wiecznie nie mogę... jestem posągiem Memnona, postawiony na grobie mojej ojczyzny i długo, długo dźwięk mój będzie budził niktających na tej ziemi Polaków; może jeszcze ostatni Polak, co będzie umiał swój język narodowy, obleje łzami moje karty... i przedsięwzięmie pielgrzymkę do popiołów, spoczywających w dalekiej ziemi«.

Rozstrzygnąć dziś trudno, czy słowa te — pełne pychy — pisał Słowacki z wiarą w ich spełnienie się, stwierdzić jednak łątwo, że żadne z jego zachceń, pragnień lub marzeń nie urzeczywistniło się tak wiernie jak to właśnie. Napróżno biedny marzyciel szukał przez lat dwadzieścia jakiegoś zaklęcia, któremby zdołał poruszyć naród cały; dopiero nekrolog pośmiertny przyniósł mu słowa uznania i pochwały, że z szorstkiej mowy naszej utworzył dziwnie metaliczne, szklane, muzykalne narzędzie, z którego płynęły dźwięki w pierw niestyszane, że przelewał kryształ i złoto i lazur, płynąc, jak się wyraził o sobie, po błękitnej grocie Sorrento...

I również drugie życzenie poety — myśl o sławie pośmiertnej — ziściło się prawie w zupełności, bo wszakże dzisiaj po

wielkiem imieniu Mickiewicza, a razem z imieniem Krasińskiego wymawiają wszyscy z czcią nazwisko twórcy: »Ojca zadżumionych«.

Patrząc z pięćdziesięcioletniej oddali na skończoną już działalność Słowackiego, odkryć nam łatwo tajemnicę niepowodzeń jego za życia a sławy po śmierci. Marzycielskie usposobienie poety, te jego ciągłe wędrówki po wiecznie kwitnących obszarach wyobraźni, po tajemniczych krainach marzenia o kształtach mglistych, odrywały go od świata tak, iż do codziennej prozy życia wracał odurzony i prawie nieprzytomny.

»Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta«.

te słowa wypowiedziane w »Godzinie myśli« były godłem jego poezji i jego życia. Nie dziw więc, że naród cały, opanowany wówczas gorączką czynu, zajęty straszną tragedią, jaka się w r. 1831 odegrała, tych wizji marzycielskich, tych pragnień nieuchwytnych i urojonych nie przyjął z zapalem. Gorycz zaś, przycinki i żale, jakimi zaprawne były późniejsze poezye Słowackiego, nici sympatyj zadzierzgnąć nie mogły; ton wreszcie mesyański, dla ogółu niezrozumiały, nie pozwolił ostatnim jego utworom przemówić silniej do serc czytelników współczesnych. Na sąd ogółu wpłynęło także nader silnie zdanie Mickiewicza, który o poezyach Słowackiego powiedział, że jestto gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele niema Boga; a kiedy nadto twórca »Pana Tadeusza« w swych wykładach o literaturze słowiańskiej w instytucie francuskim o autorze »Balladyny« ani słówkiem nie wspomniał — to od tej chwili niesprawiedliwa krytyka i zimna obojętność stale pismom Słowackiego towarzyszyły. Nie potrafiła przed nimi obronić poety wspaniała i pełna zachwyty ocena jego poezji, jaka wyszła z pod pióra Krasińskiego.

Z chwilą kiedy główni aktorowie ustąpili z widowni, kiedy to pokolenie walczące zeszło do grobu, kiedy spory, walki i współzawodnictwa umilkły na zawsze — zmienił się sąd o Słowackim i szczęśliwi spadkobiercy jego iście królewskiej spuścizny, tych licznych bogactw myśli i formy, w które tak obfitują jego dzieła, innem okiem na nie patrzeć poczęli. I wówczas znów nastąpiła zmiana naszych stosunków politycznych; świeży duch powiał, inny krąg myśli zapanował, w żywszem tempie poczęły bić serca i przyszedł do odezwu rewolucyjnego, który tak straszny finał miał w powstaniu z r. 1833. I któryż z poetów bardziej mógł odpowiedzieć marzeniom ówczesnym, któryż mógł lepiej przemówić do ognistych dusz i zapalnych serc? — nikt inny jak twórca »Kordyana«. Jego duch rewolucyjny, jego sztandar demokratyczny, jego chęć burzenia wszystkiego, niezadowolenie z rzeczywistości a myśl o lepszej, jakiejś wymarzonej przyszłości — odpowiadała

gorącym życzeniom ogółu. I wszedł wtenczas Słowacki tryumfalnie do świątynicy serc polskich, której podwoje zamknięte mu były za życia — a wprowadzony został wśród głośnych okrzyków narodu. Świadectwo prawdy słów tych dała matka poety, kiedy powiedziała: »O wiercie mi, z tamtej strony Prośny widziałam działość kształcąca się w cytadeli, gdzie Lilla Weneda Juliuszowa zapalała krew, młodzież szła na oślep na szubienice i do Sybiru«. Wówczas też odezwały się głosy: »Juliusz wzbija się po nad Adama i wydziera mu palmę pierwszeństwa«.

I od tej chwili upłynęło do dnia dzisiejszego lat przeszło trzydzieści — entuzjazm egzaltowany uspokoił się, wybujałość uczuciowa ułagodziła się, hasło pracy organicznej na plan pierwszy wystąpiło — mimoto jednak poezya Słowackiego, krytycznie zbadana i oceniona, nie straciła swego znaczenia, swej potęgi i siły oddziaływania na naród cały. Z dzielną pomocą przysły tu utwory za życia autora nieogłoszone; »Złota czaszka« z swym realizmem, »Horsztyński«, z swym bohaterem o duszy bez dogmatu, »Beatrix Cenci« z przejmującym do głębi tragizmem lub dalsze części »Beniowskiego« i »Króla Ducha« pełne prawdziwego natchnienia. Poważną rolę odegrała i krytyka, umiejąca wskazać subtelne piękności, rozwinąć głębokie myśli, rozwiązać zagadkowe problemy.

Czcząc jednak dzisiaj pamięć wielkiego poety, oceniając jego zasługi, wyznać szczerze musimy, że prawdziwa gloryfikacya tych arcydzieł, jakimi nas tak hojnie obdarzył, przeznaczona jest późniejszym niż dzisiejsze pokoleniom. Stanie się ona rzeczywistością w tej chwili dopiero, kiedy spełni się to życzenie Słowackiego wypowiedziane w jego testamentcie:

»Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdołi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi«.

* * *

W swych serdecznych zwierzeniach, które Słowacki z dalekiej obczyzny słał najdroższej i najlepszej matce, nakreślił on raz jeden następujące słowa: »Ludzie, którzy mnie teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie; a kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie!«

Oby to życzenie biednego marzyciela, jak najprędzej spełnić się mogło — oby się spełniło w pięćdziesiątą rocznicę.

Br. G.



Na wiosnę.

Wiosna nowem świat skostniały
ożywiła tchnieniem,
las rozbrzmiewa ptasząt pieniem,
cały się raduje świat;
a z murawy wyrzwał biały
skromny kwiat!

Drobną główkę tak pogodnie
zwraca w lazur nieba,
snać, że słońca mu potrzeba
skropionemu rosy łzą,
nim mróz na nim spełni zbrodnię,
niszcząc go.

Ale jasne gaśnie słońce
wsuwa się za chmury.
Trudno! taki bieg natury,
że wśród sennych ginie tchnień,
gdy go nocy ujmą gońce
piękny dzień!

Biały kwiat przebiegły dreszcze
wieczornego chłodu.
Miałbyż zginąć tak za młodu?
Nie, w kielichu czuje żar,
jemu życie daje jeszcze
dziwny czar!

Jakaś kropla jaśna, wrzająca
padła mu na łono,
zabarwiła na czerwono,
po łożycie toczy się
aż kwiat biedny od gorąca
w strachu mrze!

Krwi to kropla, krwi serdecznej,
nieszczęściem dobytą,
kwiat palącym tchnieniem chwytą...
Krwia zbuczony, ginie kwiat!
Przy nim zaś na spokój wieczny
człowiek padł!

Biedną duszę z wonią kwiatu
poniósł wietrzyk ciepły.
Na wiosnianej ziemi skrzepły,
zawiedzionych marzeń łup,
jakby na ironię światu
został trup!

* * *

A ptaszęta senne piosnki
nucą temu Bogu,
co żyć każąc w życia progę
niszczy ludzi — niebios król,
aż krew młoda na pierwiosnki
sączą ból!

L. G. Dziubiński.

„Wszystkie polskie dzieci są moimi dziećmi“.

Ci, którzy są rzecznikami nowych idei, pionierami nowych dróg, spotykają się najczęściej jeżeli nie z prześladowaniem wprost, to przynajmniej z niechęcią, krytyką i niedowierzaniem, a zasługi ich ocenia i podnosi dopiero sprawiedliwsza potomność.

Szczęśliwym wyjątkiem od tej ogólnej reguły była Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, gdyż od pierwszej chwili swojej działalności spotkała się ze czcią, uwielbieniem a co najważniejsza uzyskała taki wpływ, że spowodowała odrazu stanowczy zwrot w wychowaniu kobiet polskich. Wystąpienie bowiem Tańskiej przypada na czas, kiedy bezmyślność w życiu kobiet przerażała umysły poważniejsze; pod wpływem francuzczyzny i wzorów importowanych z zachodu kobiety polskie odbiegły daleko od tradycji, w jakich wychowywały się ich prababki, dla których dom, rodzina, kraj ojczysty, któremu w danym razie służyć umiały z prawdziwym poświęceniem — były całym światem. Ten też zwrot do wzorów

z najszcześniejszych czasów naszej przeszłości, to rozbudzenie zamiłowania do języka, dziejów i literatury ojczystej — stanowią największą jej zasługę jako mistrzyni młodego pokolenia i autorki. Tem też właśnie, że tendencya nawskroś narodowa, a idealnie moralna i głęboko religijna przenika wszystkie jej pisma i całą jej działalność, zdobyła sobie odrazu tak głośne imię i taką cześć i miłość u współczesnych. Pismami swemi trafiała do przekonania i do serca; uczyła, uszlachetniała, podnosiła nad poziom powszednich zajęć młode umysły i umacniała je na drogę życia, uzbrajając wiarą, miłością Ojczyzny i zamiłowaniem obowiązków swego powołania, uosabiając zarazem w sobie samej wszystkie te cnoty, które pragnęła wszczepić w swe młode czytelniczki i wychowanki.



KLEMENTYNA. Z TAŃSKICH HOFFMANOWA.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa urodziła się 23 list. 1798 r. w Warszawie, dziecinne lata do 14-go roku życia spędziła w domu starościny wyszogrodzkiej, przyjaciółki swej matki, która otoczyła ją serdeczną opieką, miłością i najtroskliwszem staraniem o jej wykształcenie. Podług ówczesnego zwyczaju jednak, panującego wszechwładnie we wszystkich pańskich domach edukacya ta odbywała się w języku francuskim i to do tego stopnia, że nawet »Historję narodu polskiego« Naruszewicza tłómaczono dla niej z wielkim nakładem pracy na język francuski, i dopiero w tej obcej szacie poznawała dzieje ojczyste. Gdy w r. 1812 matka powołała ją do Warszawy, gdzie zamieszkała po stracie męża, i porzuciła jej edukacyą najmłodszej córki, Klementyna znalazła się wśród wielkich trudności, bo siostrzyczka jej wcale po francusku nie umiała. Wykład w języku polskim szedł opornie, tembardziej, że sama czytała, modliła się i myślała tylko po francusku, dopiero drukowany w r. 1817 w »Pamiętniku Warszawskim« wiersz Brodzińskiego »Żal za polskim językiem« dał jej poznać całą krzywdę wyrządzoną mowie ojczystej i zachęcił do rozczytywania się w dziełach naszych pisarzy i przyswojenia sobie ich sposobu myślenia i wyrażania się.

W domu matki bywało wielu znakomitych literatów, których towarzystwo musiało dodatnio oddziaływać na rozwój i kierunek wrodzonych jej zdolności. Zwłaszcza Brodziński nie szczędził rad i wskazówek

w wyborze pisarzy XVI i XVIII w., w których się tak rozmiłowała, że następnie w Rozrywkach swoich wyznaczyła stałą rubrykę dla wypisów z dzieł Zygmuntońskiej doby, co na owe czasy było zupełną, a wielce pożyteczną nowością.

Chcąc zasługi Tańskiej należycie ocenić, wypada rozpatrzeć jej działalność pedagogiczną, literacką i obywatelską. Pedagogiczna stanowi właściwy charakter i najwybitniejszą cechę wszystkich jej pism, które razem zebrane, tworzą zupełną biblioteczkę pedagogiczną i taką całość zaokrągloną, jedną myślą przewodnią prz-niknioną, że — jak trafnie uważa — Żmichowska »podawane właściwą kolejją, stanowiąc by mogły wyborny kurs ustponiowanego czytania«. Od »Wiązania Helenki« książeczki, która uczy czytać, aż do »Świętych niewiast« i »Książki do na-bożeństwa dla Polek«, która jest najwymowniejszym wyrazem przezacnej duszy swojej autorki, a uczy wznosić się sercem i myślą ku Bogu i poddawać się z rezygnacją i pokorą Jego woli — to cała skarbnica rozumnych wskazówek i rad, zasad moralnych, powiastek zajmujących i pouczających, szkiców, obrazków i powieści historycznych, opisów okolic i pamiątek kraju rodzinnego, które wszystkie mają jeden i ten sam cel pedagogiczny, etyczny i narodowy.

Pierwsze miejsce pomiędzy pismami Kl. z T. H. treści pedagogicznej, zajmuje Pamiętka po dobrej matce, która aż ośmiu doczeekała się wydań. Jest to zbiór zasad, wskazówek i rad, któremi kobieta w życiu kierować się powinna; te dawne dążenia, pragnienia i ideały, których pojęcia choć niejasne tkwiły w duszach, jakich potrzebę wszyscy odczuwali, choć niedość wyraźnie, po raz pierwszy zestawia autorka w jedną całość i wypowiada z przekonaniem i powagą — tem się też tłumaczy, że książka ta tak była rozchwytywana, a autorce swej zjednała odrazu tak głośne i poważne imię.

Do działu tego należą: Amelia matka, O powinnościach kobiet, i cały szereg pedagogicznych artykułów dla matek i wychowawczyń. Tu także zaliczyć należy Rozrywki dla młodocianego wieku, które były pierwowzorem wszystkich pism tego rodzaju. Tańska, chociaż ją samą okoliczności wyemancypowały i chociaż sama zajmowała zupełnie samodzielne stanowisko w społeczeństwie jeszcze przed zamążpójściem swoim, była jednak przeciwną emancypacji kobiet w tem szerokiem znaczeniu, jak ją dziś pojmują i jakiej już wówczas zagranicą domagać się zaczęmano. Pragnęła ona dla kobiety tylko większego i racjonalniejszego wykształcenia ogólnego, ale ograniczała jej działalność do ogniska domowego, do rodziny, którą uważała za podstawę pomyślnego i zdrowego rozwoju społeczeństwa.

Chciała ona ją mieć gospodynią rządzoną i energiczną, rozumną i poświęcającą się matką swoich dzieci, podporą i osłoda w życiu swego męża, słowem: aniołem opiekuńczym rodziny; i choć nie kazała jej zamykać oczu na kwestye społeczne i polityczne, toć jednak nie żądała dla niej wcale równouprawnienia z mężczyzną na polach działania życia publicznego.

Ta myśl przewodnia przebija się też i w całej spuściznie literackiej, którą stanowią: Krystyna, Karolina i Jan Kochanowski,

a nadto mniejsze rozmiarem, ale niemniej cenne pod względem wartości jak Dziennik Franciszki Krasińskiej, Listy Elżbiety Rzezyckiej i inne. Artystyczną ich stronę oceniła sama Tańska mówiąc, że »daleko więcej pragnie nauczyć i zachęcić do dobrego powieściami swojemi, niż zadziwić lub zabawić, że nie chodzi jej o to bynajmniej czy wedle zasad sztuki pisane, ale czy moralne i użyteczne«. Jednakże pomimo, że autorka je tak nisko jako literackie utwory ceniła, są one nieposledniej wartości, a w swoim czasie miały wielkie znaczenie wzbogacając naszą literaturę powieściową wówczas jeszcze bardzo nie obfitą. Obywatelskie jej zasługi niemniej są wielkie jak autorskie i to nietylko w czynach takiej doniosłości jak pielęgnowanie chorych i rannych w r. 1831 po lazaretach, założenie Towarzystwa dobroczynności Warszawianek, w spełnianiu zawodowych jej obowiązków jako wizytatorka zakładów naukowych, nauczycielka instytutu guwernantek, ale i w zwykłych, codziennych niemal sprawach, które zawsze z wyższego, obywatelskiego stanowiska pojmowała.

Gdy wypadki roku 1831 zmusiły jej męża, znanego w literaturze naszej z prac historycznych Karola Hoffmana do emigrowania za granicę, opuściła i Klementyna Warszawę, żegnana z szczerym żalem i oznakami najgłębszej czci. Zagranicą, wśród zmienionych stosunków materialnych i drobiazgowych zajęć gospodarskich, w których nie mogła się nikim wyręczyć, pracowała zawsze w tym samym kierunku dla dobra rodaków i Ojczyzny, której już więcej oglądać nie miała. Umarła w Paryżu na raka w piersiach po dwukrotnej operacji, pochowana na cmentarzu Père Lachaise, gdzie wdzięczni rodacy wzniesli jej pomnik, a serce jej sprowadzili do kraju i złożyli w katedrze na Wawelu, o co Klementyna sama prosiła przed śmiercią, pragnąc, aby jej serce przynajmniej wróciło do ukochanej nadewszystko Ojczyzny, bo »gdzie skarb twój, tam i serce twoje«.

Wielkie zasługi, jakie położyła słowem i czynem dla młodego pokolenia, macierzyńska miłość, którą żywiło jej serce dla niego, dawały prawo Hoffmanowej powtarzać z szlachetną dumą: Wszystkie polskie dzieci są mojemi dziećmi.

W. N.



WALKIRIE

Na zgon Elżbiety, Cesarzowej i Królowej

przez T. Carducciego.

O Walkirie złotowłose, co lubicie po chmur szczytach
Pędzić chyżo, rozwiewając swych rumaków srebrne grzywy;
Dziś w przelocie, z jednostajnych łez żaloby nieskończonej,
Wy porwały Witelsbachów piękną i dostojną córę!

Jakież fatum zaciężyło nad królewskim twoim domem!
 Ileż bolu na cię spadło o Habsburgu siwowłosa!
 Spokój tym, co w cieniach grobu śpią Mantuy i Aradu —
 Nieruchome niech zostaną, białych niewiast ciche mary!..
 Wy Walkirie z oną piękną, jak wy koni kierownicą,
 Lećcie lekko, lećcie chyżo na wybrzeża przyjaźniejsze:
 Gdzie u cudnej stóp Kocyry, lazurowe Jońskie morze
 Fal swych cichym rytmem wzdycha, do pomarańcz ukwieconych;
 Kędy biały miesiąc wschodzi, po nad szczyty gór Epiru,
 Aż do Leuki ciągnąc drzącą swą pochodnię po mórz fali!
 Na nią tam Achilles czeka! Wy zagładźcie z piersi białej
 Ślad tej rany od żelaza, przez nikczemną dłoń zadanej;
 I zagładźcie też z jej duszy, wy iekarki litościwe.
 Ów miniony sen ponury, sen bolesny panowania!
 Niech się zbudzi w lat swych wiośnie, cudna Vindelijska róża,
 Przy akordach przytłumionych, złotostrunnej cytry dźwięku!..
 — Gdy Heinego słodka muza, swe najśodsze pieśni śpiewa,
 Któż odpowie jej obecnie, na Leukary pustym brzegu?
 Niech ten brzeg uduchowiony, wzniosły spokój wiecznie chowa,
 Jak księżycą blaskiem złote, Elizejskie ciche pola!

Tłómaczył *Julian Moers z Poradowa*.



ELIZA RULIKOWSKA
(Julian Moers z Poradowa).

Eliza Rulikowska, (Julian Moers z Poradowa), ujrzała światło dzienne w dniu 3. czerwca 1838 roku w Bebejdajłowce, w gubernii kijowskiej. Dziecinne i młode lata spędziła w Helenówce pod Kijowem, gdzie w domu rodzicielskim staranne otrzymała wykształcenie, zdradzając szczególniejsze zamiłowanie w literaturze niemieckiej. Odywała następnie częste podróże po Niemczech, Francji i Włoszech, gdzie też obecnie stale przebywa ze względów zdrowotnych. Zrazu próbowała sił swych w poezji i ogłosiła w Paryżu w roku 1862 poemat p. t. »Zaporożec«; właściwą wszakże sferą jej twórczości pozostał dramat historyczny. W roku 1879 ukazał się na scenie lwowskiej dramat Rulikowskiej »Spytek z Melsztyna«, poczem nastąpiły dramaty »Przeor Paulinów«, oznaczony na konkursie krakowskim w roku 1873 i utrzymujący się stale w repertoarze scen polskich we Lwowie, w Krakowie i w Poznaniu; »Lilia Wawelu« (1874), »Wesele Zwycięzcy« (1872), »Księżna Gorystawa«, (1877). Nadto w tece autorki pozostają dotychczas nieprzedstawiane utwory dramatyczne: »Faworyt Carowej«, »Michał Waleczny«, »Miłość królewska«, »Dziedziczka Ostroga«, wreszcie obraz dramatyczny p. t. »Odsiecz Wiednia«. To ostatnie dzieło, przełożone na język niemiecki, miało ujrzeć światło kinkietów podczas zesłorocznych uroczystości jubileuszowych w Wiedniu, przerwanych niestety w sposób tak tragiczny. Wszystkie utwory sceniczne Rulikowskiej odznaczają się wzniosłą tendencją patriotyczną, znakomitą charakterystyką i rzetelną siłą dramatyczną,



C z w o r o .

Żółte płomyki kilkudziesięciu świec jarzyły się jaskrawo na posępnem tle kiru pokrywającego ściany. Blask ich miał w sobie jakąś niemoc trupią i chłód; rozpościerał się ciężko ponad katafalkiem i trumną, niedołącznie pełzał po gałązkach i liściach krzewów, stojących dookoła, spadał sennie ku złożonemu napisom na wstęgach wieńców żałobnych, lecz nie rozpraszał bynajmniej mroku zalegającego pokój.

U drzwi na kurytarz otwartych, drzemał w krzesle, czarno ubrany szwajcar, a u stóp katafalku klęczała młoda, skromnie odziana dziewczyna. Ręce miała jak do modlitwy złożone, usta jej poruszały się machinalnie słowami pacierza, twarz wyrażała rozpacz, połączoną ze zdumieniem i przerażeniem. Łzami zalane oczy utkwione były uparcie w martwe rysy nieboszczyka, jakby chciały wyczytać z nich odpowiedź na bolesne, dręczące duszę pytanie: Jak się to stało, jak się stać mogło, tak nagle, tak niespodziewanie?

Przedwczoraj zaledwie była tu i nie nie zwiastowało katastrofy. On był wesół i serdeczny jak zawsze, pieścił ją, całował, nalegał, aby wkrótce przyszła znowu...

Dziś z rana spiesząc do roboty, do magazynu, przystanęła na chwilę na rogu ulicy, aby przeczytać afisz teatralny i wtedy, przypadkiem, padł jej wzrok na świeżą obok nalepioną klepsydre.. Oczom wierzyć nie chciała. Ogarnięta rozpaczą i przerażeniem, łkając głośno, bez tchu przybiegła tutaj i oto — zastała go w trumnie wśród ciemnych krzewów i cmentarnego wieńca świeża, zamarłego na wieki.

Żal rozdzierał serce dziewczyny. Nie mogła myśleć, lecz czuła, że jej ubyto świata, w którym żyła, że ją otacza pustka bezmierna, że utraciła, wszystko co kochała i została sama, zupełnie sama... On był jej kochankiem, przyjacielem, opieką, on oceniał jej miłość i oddanie się i przywiązanie, on nie gardził nią wcale, choć tylko biedną szwaczką była, on był szlachetny i dobry i kochał ją, kochał ją jedną... Nie mówił tego, lecz ona to wiedziała, ona to czuła!...

I nagle...

Z ściśniętem gardłem, z próżnią w mózgu, wpatrywała się w twarz zmarłego, a łzy toczyły się po jej twarzy i z wolna, kroplami spadały na ubranie, na podłogę. Bez ruchu, sama na pół martwa, trwała u stóp katafalku obojętna na wszystko zresztą, co ją otaczało, zdrewniała z bólu.

Głośny szelest jedwabnych spodnic rozległ się nagle tuż obok i uderzył w jej uszy niby zgrzyt stali po szkle.

Machinalnie odwróciła głowę i ujrzała opodal wytwornie ubraną, młodą kobietę, o oczach rozwartych szeroko, zbliżającą się lekko do trumny i cisnącą do ust batystową chusteczkę, jakby w obawie, by nie wyrwał się przez nie jęk, któryby zdradził przed ludźmi tajemnicę, wiążącą ją z umarłym.

Ale biedna szwaczka nie domyślała się bynajmniej tajemnicy.

— To zapewne klóraś z jego kuzynek — przemknęło jej przez głowę i uczuła naraz żywą ku tej nieznajomej sympatyę, tylko dlatego, że widziała jej żal nieklamany, jej cierpienie wobec tych zwłok tam w górze...

A strojna kobieta nie zwróciła nawet na nią uwagi. Jej oczy, jej myśli, jej serce, były tam, przy trumnie, z której — w żółtych blaskach skąpana wyzierała twarz młoda i piękna jeszcze teraz, mimo piętna kamiennej martwoty, co do niej przylgnęła.

Patrzyła na tę twarz i nie umiała, nie chciała zrozumieć, że ten niedawno pełen sił i życia człowiek, że on, współnik jej tajemnicy, jej wierny i jedyny kochanek, którego namiętne zakłęcia tyle razy napawały ją szczęściem, gdy przybiegała do niego drżąc z miłości i trwogi, aby kto nie odkrył jej błędu, którego gorące pocałunki dotąd jeszcze zdawały się palić jej usta, że on, nie żyje!

Ileż razy była w tym pokoju! Znała w nim każdy sprzęt, kąć każdy. Tam, na lewo od katafalku, gdzie teraz czarna opona w grubych fałdach spada ku ziemi, stało jego łóżko; a tam, na prawo, przy oknie, zakrytem teraz całunem — biurko i sofa pluszowa, nad którą oibryzmia palma zwieszała palczaste swe liście... Tak dobrze było siedzieć na tej sofce z nim razem, bliźniutko przy nim i położywszy mu główkę w piersiach słuchać, jak silnie biło jego serce... A teraz, ono zamilkło zupełnie!

Rozszerzała oczy, chciała precz odtrącić zmorę i znowu widziała ponure krzewy, żółte światła, kir i katafalk...

A jakój zmarłego zapeśniał się tymczasem powoli. Przyszło kilku ciekawych przechodniów z ulicy, ktoś ze znajomych nieboszczyka, trzy, czy cztery służące z kamienicy...

Jedna z nich, dziewczyna o tryskających zdrowiem policzkach, oparła się szerokimi plecami o odrzwia i ukrywszy twarz w dłoniach płakała głośno. Inne, spoglądały na nią z pod oka i trącały się porozumiewawczo łokciami. Wszak ona mu usługiwała, i wiadano w całej kamienicy, że zadurzona w nim była po uszy. Nieraz, gdy mu poszła śtać łóżko, lub samowar rano poniosła, dowołać się jej nie było można...

Płakała głośno. Nie ją nie obchodzili ludzie, nie ludzkie języki. Co jej teraz to wszystko, gdy już jego nie ma, jego co ją tak lubił, tak kochał, taki był dla niej dobry, jedyny!

— Utopić się, chyba utopić!... szepce sama do siebie i jeszcze głośniej płakać poczyna.

Wejście nowych kilku osób z kurytarza poruszyło ciężkie, duszne powietrze.

Płomyki świec zachwiały się i ożywiły na chwilę martwą twarz nieboszczyka. Coś, jakby uśmiech słodki, drgnęło koło jego ust i po smugach światła spłynęło równomiernie ku trzem płaczącym kobietom, niby czuła, pełna szczerogo wylania pieśczęta z za grobu...

Izydor Kunczewicz.

Ty się nie pytaj!

Ty się nie pytaj, dla czego stęskniona
Do Ciebie myśl ma leci w każdej dobie?
Dla czego dusza Twej duszy spragniona
Jak ptak ku słońcu wznosi się ku Tobie?
Czemu Cię kocham każdym serca biciem,
Czemuś mi światem, nadzieją i życiem?

Kocham! — o więcej niechaj nikt nie pyta,
Któż odgadł stwórcę w tajnikach istnienia?
Jak jasność nieba, gdy jutrzienka świta,
Rodzi się miłość z mroków przeznaczenia.

Jan Miodoborski.

Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie?

Nieraz można zarówno w rozmowie potocznej jak też w książkach mniej lub więcej poważnych, spotkać się z twierdzeniem, jakoby jedyną sprężyną działania ludzkiego był egoizm, jakoby więc człowiek wszystko, cokolwiek czyni, czynił z pobudek egoistycznych. Zdanie to wypowiedział pierwszy Laroche-foucauld w swych »Réflexions ou Sentences et maximes morales« (1665). Dowodzi on, że nawet takie czyny, które przedstawiają się pozornie jako skrajne przeciwieństwo egoizmu, przecież w gruncie rzeczy są jego wpływem, ponieważ człowiek po prostu nie może inaczej działać, jak właśnie z pobudek egoistycznych. Pogląd ten twierdzący, że postępowanie ludzkie z konieczności ma na celu własne zadowolenie, znany jest pod nazwą hedonizmu psychologicznego, dla odróżnienia od hedonizmu etycznego, t. j. nauki, iż postępowanie ludzkie powinno mieć na celu własne zadowolenie.

Hedonizm psychologiczny, nie uznający w człowieku innych pobudek prócz egoistycznych, zdaje się na pierwszy rzut oka być sprzecznym z całym szeregiem utartych i powszechnie niemal przyjętych pojęć. Wszak mówimy o pracy dla drugich i o poświęceniu się, o abnegacji i altruizmie! Cóż znaczą wszystkie te słowa, jeżeli człowiek z natury rzeczy jest i być musi we wszystkim egoistą? Laroche-foucauld oraz jego dawniejsi i dzisiejsi zwolennicy mają na to odpowiedź gotową. Twierdzą mianowicie, że praca dla drugich, poświęcenie i t. p. zjawiska pozornie nieegoistyczne można bez wielkiej trudności sprowadzić do pobudek egoistycznych, jeżeli się tylko dokładnie zważy, dlaczego ktoś się poświęca lub dla drugich pracuje. Wszak czyni tak dla tego, że znajduje w tem zadowolenie; gdyby postępował inaczej, doznawałby wyrzutów sumienia, niepokoju, udręczeń moralnych; chcąc uniknąć tych nieprzyjemnych uczuć, poświęca się dla drugich, co go nie tylko uwalnia od przykrości, ale zarazem przysparza mu prawdziwe i trwałe zadowolenie. Czyżby matka, pytają się, czuwała nad chorem

dzieckiem, gdyby w tem nie znajdowała głębokiego zadowolenia, lub gdyby nie przewidywała, że zaniedbując dziecko, sama sobie zgotuje niepokój? A czyżby ktoś usiłował wydrzeć z narażeniem własnego życia z paszczy śmierci człowieka tonącego, gdyby mu to nie sprawiło wzniosłej przyjemności i gdyby nie wiedział, że rola obojętnego widza byłaby mu w takiej chwili wprost bolesną? Tak samo przedstawia się rzecz w każdym podobnym wypadku, we wszystkim tedy człowiek szuka własnego zadowolenia, unika własnej przykrości; nie można zatem wątpić, że egoizm jest istotną podstawą wszelkiego działania ludzkiego.

Takie dowodzenie w istocie wielu przekonywa, stąd też wielka liczba tych, którzy zgodnie z Larochefoucauldem nie wierzą w »prawdziwe« poświęcenie itp. i widzą w niem tylko ukryty egoizm. Wszelako wśród psychologów i etyków, a więc wśród ludzi, którzy w pierwszym rzędzie w kwestyi tej są kompetentni, teoria powyższa nie liczy dzisiaj ani jednego zwolennika. Bliższe bowiem jej rozpatrzenie wykazuje dowodnie, że opiera się ona na podwójnym błędzie: jeden z nich jest słownym a drugi rzeczowym. Hedonizm psychologiczny bowiem nie tylko zmienia dowolnie znaczenie wyrazu egoizm, lecz nadto przedstawia mylnie faktyczny stan rzeczy.

Czyż jest prawdą, że każdy, który szuka własnego zadowolenia lub unika własnego cierpienia, zasługuje na miano egoisty? Czyż jest egoistą, kto pragnie się uwolnić od bólu zębu albo zapala sobie wyłącznie dla swej przyjemności dobre cygaro? Wiemy dobrze, że takiemu postępowaniu brak znamion egoizmu, że na to, by pewne postępowanie napiętnować jako egoistyczne, trzeba jeszcze czegoś więcej. Nie mówimy bowiem o egoizmie, gdzie chodzi wyłącznie o czyjąś własną przyjemność lub przykrość, lecz dopiero tam, gdzie własna przyjemność lub przykrość łączy się z cudzą przyjemnością lub przykrością. Egoistą nazywamy człowieka, który przysparza sobie przyjemność bez względu na to, czy własną przyjemność okupuje cudzą przykrością czy nie; kto szuka zadowolenia własnego a nie zważa, że warunkiem osiągnięcia własnego zadowolenia jest niezadowolenie cudze, ten jest egoistą. Wynika to z samego określenia egoizmu, który nie jest niczem innym, jak obojętnością na cudzą przyjemność a zwłaszcza przykrość. W tej obojętności na sposób, w jaki pogoń za własnym zadowoleniem oddziaływa na otoczenie, leży istotne znamię egoizmu.

Chociażby się więc ludzie poświęcali rzeczywiście ze względu na przyjemność, jaką im to poświęcenie sprawia, przecież nie mogliśmy ich postępowania nazwać egoistycznym, gdyż szukając własnej przyjemności, nikogo nie krzywdzą, nikogo nie pozbawiają przyjemności, nikomu nie sprawiają przykrości. Tyle co do słownej strony kwestyi.

Przypuśćmy jednak, że zwolennicy hedonizmu psychologicznego mają słuszność, używając na swój sposób wyrazu egoizm, zróbmy im to chwilowe ustępstwo i nazwijmy tak jak oni to czynią egoistycznym każde postępowanie, które zmierza do osiągnięcia lub zwiększenia własnej przyjemności albo do usunięcia lub zmniejszenia własnej przykrości, bez względu na to, czy to się dzieje lub nie dzieje z krzywdą otocze-



Przysięga Witolda wobec płonącego Kowna.

nia. Otóż i w takim nawet razie teorya Larochefoucaulda nie da się utrzymać. Sprzeciwiają jej się bowiem niewątpliwe fakty psychologiczne.

Cóż to znaczy, gdy mówimy, że ktoś zmierza do osiągnięcia własnego zadowolenia lub do usunięcia własnego niezadowolenia? Znaczy to, że celem jego postępowania jest przysporzenie sobie zadowolenia lub usunięcie niezadowolenia. Aby zaś coś mogło być celem naszego postępowania, musimy o tem w chwili, gdy postanawiamy w pewien sposób postępować, pomyśleć. Rzecz bowiem, której sobie nie uprzytomniam, o której nie myślę, nie może być celem mego postępowania, ponieważ nie mogę mieć jej na oku, gdy zaczynam w pewien sposób postępować. Zapytajmy się teraz, czy człowiek, który drugiego ratuje od śmierci, czy matka, która postanawia czuwać nad dzieckiem, zamiast udać się na zabawę, rzeczywiście w chwili powzięcia postanowienia uprzytomnia sobie własne zadowolenie, czy myśli o niem? W niektórych wypadkach być może, że tak jest; ale czy tak jest zawsze? Każdy przyzna, że nie musi tak być, i każdy potrafi rzecz poprzeć przykładami wziętymi z własnego doświadczenia. Gdy n. p. kupujemy dla drogiej nam osoby podarunek, czyż myślimy wtedy o przyjemności, którą odczuwać będziemy, gdy podarunkiem naszym sprawimy osobie obdarowanej radość. A skoro o własnej przyjemności w tym wypadku nie myślimy, nie może ona też być celem, który mamy na oku, kupując dla kogoś podarunek. Celem naszym w tym i we wszystkich podobnych wypadkach jest sprawienie drugiemu przyjemności, w przytoczonych zaś powyżej przykładach celem naszym jest uratowanie kogoś życia, albo (w przykładzie matki) uchronienie kogoś od szkody itp. O tych bowiem rzeczach myśli się, rzucając się w wodę, by tonącego z niej wydobyć, lub postanawiając czuwać przy dziecku. A ponieważ celem naszym nie jest własne zadowolenie, przeto postępowanie tego rodzaju nie może być nazwane egoistycznym, choćbyśmy się nawet zgodzili na mylne, bo za obszerne określenie egoizmu, przyjęte przez hedonizm psychologiczny.

Pogląd Larochefoucaulda nie może się tedy ostać wobec faktów, dających się w doświadczeniu stwierdzić. Jest poprostu nieprawdą, jakoby jedynym celem ludzkiego postępowania było zwiększenie własnego zadowolenia lub zmniejszenie własnego niezadowolenia. Istnieją jeszcze liczne inne cele ludzkiego postępowania, a nawet wtedy, gdy dążymy do zwiększenia własnego zadowolenia lub zmniejszenia własnego niezadowolenia, nie koniecznie postępujemy egoistycznie.

Wobec tego można by się dziwić, jakim sposobem teorya Larochefoucaulda mogła sobie zjednać tak dawniej jakoteż dzisiaj tylu zwolenników. W istocie jednak nie ma w tem nic dziwnego. Poglądy paradoksalne podobają nam się same przez się a paradoksalnością swoją zagłuszają głos trzeźwej krytyki. Czynią to tem łatwiej, im silniejsze pozory zdają się za nimi przemawiać, a za hedonizmem psychologicznym przemawiają rzeczywiście pozory bardzo ładzące.

Pierwszy z tych polega na fackie, że postępowanie na prawdę nie-egoistyczne jest czemś dość rzadkiem. Tak często się przekonywamy, że ludzie, których mieliśmy za szlachetnych albo przynajmniej za przeciężnych altruistów, są w gruncie rzeczy egoistami, że łatwo można uleść pokusie zbyt pospiesznego uogólniania i pogląd stwierdzony w pewnych wypadkach, rozciągając do każdego bez wyjątku postępowania ludzkiego.

Ale jest jeszcze drugi, o wiele ważniejszy powód, który tłumaczy nam rozpowszechnienie hedonizmu psychologicznego. Powodem tym jest powierzchowność w rozbiore tych czynników psychicznych, które łączą się z naszymi postanowieniami i z naszym postępowaniem. Powierzchowność ta sprawia, że bierze się coś, co stale towarzyszy naszemu postępowaniu, za główną lub jedyną jego pobudkę. Chodzi tu mianowicie o rzecz następującą:

Dążąc do jakiegokolwiek celu, doznajemy uczucia przyjemnego, gdy udało nam się cel ten urzeczywistnić, a odczuwamy przykrość, ilekrotnie dążenie nasze nie doprowadziło do celu. I nie tylko tak jest, ale my wiemy też o tem, że tak jest. Wiemy więc, że osiągając pewien cel, doznamy przyjemności. Wynika to z samej istoty celów naszego postępowania, gdyż celem może dla nas być tylko coś takiego, co nam nie jest zupełnie obojętnem. Nikt bowiem nie pragnie urzeczywistnić rzeczy, która go nie grzeje i nie ziębi, której istnienie lub nieistnienie żadnych w nim nie wzbudza uczuć. Przyjemność towarzyszy zatem stale urzeczywistnieniu naszych celów, a przykrość ich nieurzeczywistnieniu. Ale ta przyjemność, która w nas się budzi, ilekrotnie pewien cel osiągamy, i o której wiemy, że się ona z chwilą urzeczywistnienia celu w nas zjawi, sama nie jest celem, jest tylko zjawiskiem występującem równocześnie z osiągnięciem celu. Ten, który ratuje drugiemu życie, dozna żywego zadowolenia, gdy jego usiłowania zostaną uwieńczone pomyślnym wynikiem: gdyby mu było rzeczą obojętną, czy osoba tonąca zginie lub nie, nie pragnąłby wcale jej wyratować, ale owe zadowolenie nie jest celem jego czynu, lecz zjawiskiem towarzyszącem z konieczności jego postępowaniu lub urzeczywistnieniu celu tego postępowania. Kto tak jak hedonizm psychologiczny z tego zjawiska towarzyszącego, które jest koniecznem przy każdym dążeniu, czyni cel dążenia, postępuje tak samo, jak gdyby mówił: »Widuję pewnego człowieka używającego stale na przechadzce laski. Używanie laski jest dla niego koniecznem ponieważ kuleje tak silnie, że bez laski chodzić nie może. A zatem chodzi on w tym celu na spacer, aby używać laski«. Każdy pozraje niedorzeczność takiego twierdzenia. A jednak hedonizm psychologiczny nie twierdzi nic innego. Tak samo jak używanie laski jest dla tego człowieka niezbędnym warunkiem, umożliwiającym mu przechadzkę, ale nie jest celem przechadzki, tak samo przyjemność doznawana wskutek urzeczywistnienia pewnego celu, jest niezbędnym warunkiem wszelkiego dążenia, ale nie jest sama celem tego dążenia. Nie wyklucza to wcale wypadku, iż ktoś w postępowaniu swoim rzeczywiście ma na

celu własną przyjemność, tak samo też nie brak ludzi, którzy na to tylko wychodzą na przechadzkę, by paradować nową laską.

Oto główne źródło, z którego teoria powszechnego egoizmu czerpie pozory słuszności; są to jednak — jak widzieliśmy — tylko pozory. W istocie hedonizm psychologiczny jest jedynie zreżymowaną sofisteryą, tem niebezpieczniejszą, ile że negując możliwość bezinteresownego postępowania, z góry może charaktery słabe zniechęcać do wszelkich w tym kierunku usiłowań.

Dr. Kazimierz Twardowski.



NOTATKI Z KRAKOWA.

Błogich człek doznaje uczuć, gdy spogląda na owoce twórczości niezapomnianej nigdy pamięci Juliusza Kossaka. Cwierć tysiąca obrazów przemawia do nas życiem, przepyszną naturą i tą naszą polską ukochaną swojskością. Tak tam dobrze, tak się tam serce czuje u siebie! A jak to wszystko po mistrzowsku malowane. Co obraz, co kartonik, płócienko lub najdrobniejsza akwarelka to arcydzieło, które budząc nasz zmysł estetyczny i wprawiając w podziw poczucie piękna, zarazem sprawia takie wielkie, niezmierne zadowolenie dla ukochanych tematów. I niech sobie moderniści ostatniej doby wołają, iż »śmieszna jest rzeczą żądać od malarstwa, by spełniało jakieśkolwiek zadanie«, niech powtarzają z całym naciskiem, iż »nie uznają w sztuce żadnych praw ani estetycznych, ani społecznych«, niech uważają siebie za apostołów »sztuki zupełnie oderwanej od głupich przypadłości tego życia, którem państwo i społeczeństwo żyje« — my pozostaniemy przy naszych ideałach, przy naszych pojęciach o pięknie i sztuce a dla takiego poety-malarza, jakim był Kossak, zachowamy cześć, wdzięczność i nigdy niewygasłą pamięć. Obrazy modernistów pełne zwyrodniałego smaku drażnią chwilowo zmysły i giną w zapomnieniu, a jeśli pozostają jakiś czas w pamięci, to tylko budzą uczucie wstrętu lub żalu i ubolewania dla pędzla błędzącego po manowcach lub coraz częściej w ostatnich czasach ulegającego manierze, — krakowiak Kossaka, jego szkapa żydowska lub inny drobiazg, nie wspominając już o wielkich dziełach, będą nam zawsze miłe i drogie, bo są ze stanowiska sztuki piękne, co arcyważne, a w dodatku nasze.

·Z całym tupetem, z zuchwałością godną isticie lepszej sprawy redakcy *Zycia* w odezwie do czytelników w ostatnim numerze prócz powyż cytowanych zdań między innymi kwili, że »ciągłe konfiskaty podkopują pismo, stają się przyczyną zniechęcenia nielicznej garści życzliwej publiczności do jedyne go pisma artystycznego, jedyne go nietylko w Krakowie, ale w całej Polsce«. Wzruszający patent na monopol przywłaszczony przez samego siebie i nadany... sam sobie! Przypomina to nieco prospekty i nawoływania pism brukowych przed Nowym Rokiem lub kwartałem, polujących na abonentów i nazywających się również »jedy-nemi«. Płacz ten z powodu konfiskat a wskutek tego wzrostu kosztów wydawnictwa wątpię czy wzruszy prokuratoryę dbałą o moralność publiczną. Sądję jednak, iż gorliwe sumienie władzy powinna nieco uspokoić okoliczność, do której przyznaje się tak wzruszająco szczerze redakcy, iż garstka życzliwej publiczności jest nieliczną... I nikt nie może się dziwić faktowi szczerzej liczby zwolenników nowych prądów w sztuce i literaturze, gdyż są one niezdrowe, nienaturalne lub opacznie wykrzywione tak, iż osobnik o normalnym punkcie widzenia a niechorobliwie myślący, tego wszystkiego, co modernisci dają, za piękno uznać nie może.

W teatrze po kilkumiesięcznem panowaniu pół i całych modernistów, na czem kasa wielce cierpiała, od tygodnia sala stale wyprzedana. Stało się to dzięki Lucyanowi Rydłowi, którego »Zaczarowane koło« w przeciągu dni dziesięciu siedm razy przepełniło widownię teatralną. Jestto objaw zupełnie zrozumiały, bo tak jak oko nie zdoła wytrzymać ustawicznego widoku pokureczonych członków nagich ludzi lub nawet niebrzydkich, ale już wielce manierą trącających twarzyczek dziecięcych z otwartą buzią, jak zmysły nie zdzierzą ciągłych opisów rozwyrzonej chorobliwej erotyki, tak publiczność teatralna nie tylko szersza, ale nawet smakosze stronią od przybytku sztuki, gdy tam przedstawiane są utwory prawie lub zupełnie dla niej nie zrozumiałe.

To wypełnianie teatru jest tu tem więcej jasne, że fantazyja dramatyczna Rydla jest sztuką dobrą, a wyrok wydany przez sędziów konkursu Paderewskiego, którzy »Zaczarowane koło« pierwszą odznaczyli nagrodą, ogół (z małymi wyjątkami) uznaje za słuszny.

Lucyan Rydel, młody, boć ledwie lat trzydzieści liczący, jest poetą o znanej już marce w świecie literackim i wśród publiczności, która darzy go prawdziwymi względami. W teatrze przed rokiem dał się poznać z małego w swoim rodzaju cacka, któremu na imię »Z dobrego serca«. Jestto jednoaktówka z życia rzemieślniczego, napisana ze znajomością tegoż, bardzo dodatnie na widzu sprawiająca wrażenie. Pierwszym wielkim utworem scenicznym Rydla jest obecnie wystawiona baśń dramatyczna. Skończonem dziełem ona nie jest, lecz posiada tyle przedewszystkiem pierwszorzędnych zalet literackich, pisana jest tak pięknym wierszem i taką wzorową polszczyzną, odznacza się też i sporym zasobem scenicznych przymiotów, że słuchacz doznaje rzetelnego zadowolenia. Rzecz osnuta jest na znanej gadce o Borucie, szlacheckim dyable i Kusym pludraku, który szukał ofiar wśród ludu. Obaj też wychodzą

zwycięzcami, gdyż znajdują ludzi, którzy upadają wskutek zbrodniczej ambicji lub cudzołożniczej namiętności. Wojewoda chcąc dostać buławę marszałkowską wchodzi w układy z Borutą, który omotawszy należycie ambitnego pana, daje mu tytuł marszałka, ale zarazem upomina się o duszę; Kusy zaś młynarce pałającej szaloną namiętnością ku parobczakowi podsuwa myśl zawarcia z nim krwawych ślubów tj. zamordowania starego męża. Parobczak po zbrodni z rozpazy topi się a piękna młynarka po utracie kochanka ulega szaleństwu. Jestto więc bajka, na której Rydel z talentem nakreślił utwór sięgający chwilowo wyżyn istotnego dramatu. Wśród akcyi mdławej w pierwszych dwóch aktach, rosnącej i trzymającej widza w dalszych w naprężeniu, wplótł autor kilka pięknych epizodów, boć kilkakrotne ukazywanie się na poły fantastycznej postaci dziadka leśnego, dalej głupiego Macjusia (arcypoetycznej w rzeczy tej figury) i miłość do niego wojewodzianki, tak nazwanemi być muszą. Jako zaletę utworu podnieść też należy sprytnie spojenie postaci z świata fantastycznego z rzeczywistym, umiejętne oświetlenie życia szlacheckiego a znakomitą znajomość ludu. Są tam prawdziwe typy jak np. wojewody, drwala, organisty lub totumfackiego. Wadą w sztuce prócz powyż zaznaczonego braku akcyi w dwóch pierwszych aktach, jest jej przewlekłość (w dalszych przedstawieniach usunięto tę usterkę przez kreślenie) i nie zawsze należycie usprawiedliwione czynności działających postaci jak np. wejście w ostatnim akcie młynarki na dwór wojewody. Nie jest też należycie umotywowane dosyć bierne względnie poddanie się Borucie wojewody, który nie odznaczał się zbytym sprytem. Są to jednak usterki nie obniżające rzeczywistej a niepośledniej wartości sztuki; scena krakowska nie ukazała nam od czasów »Tamtego« rzeczy tak udatnej jak »Zaczarowane koło«. Zarzucają też Rydłowi, iż naśladował Szekspira, Słowackiego, Göthego i Hauptmanna. Że się na nich *wzorował* to pewna, sądzę jednak, iż wybrał sobie nienajgorszych mistrzów (miałże kształcić się na modernistach?) i to mu również tylko jako plus poczytać należy.

Autora przyjmowano tu gorąco. Oklaskom, wywoływaniom, wieńcom i kwiatom prawie nie było końca. Zastrzedz się jednak należy przeciw powstałemu tu od niedawna zwyczajowi dziękowania aktorkom wobec publiczności za grę przez całowanie ich rąk. Rozumiemy wdzięczność autora aleć.... Wprowadził to Przybyszewski, gdy grano jego »Dla sześcicia« (swoją drogą potem »Życie« tak pokaleczyło aktorów, iż reaktor a autor musiał w następnym numerze przeproszać), ale zwyczaj ten jako niewłaściwy należy wykorzenieć. Sądzę, iż wszyscy się na to zgodzą bez motywowania tego zdania.

Do powodzenia sztuki przyczyniła się nadzwyczajnie przesłiczna w całym znaczeniu muzyka Felicjana Szopskiego, będąca wzorową ilustracją tonową dzieła, i piękna wystawa, jaką baśń Rydla uposażyła dyrekcyj. Artyści grali rzecz tak, jak to oni umieją, gdy im utwór przypadnie do smaku. Nie wyliczając wszystkich, muszę wspomnieć o doskonałej grze Siemaszkowej (skonczenie oddana postać młynarki) Nowackiego

ze Lwowa (idealnie odtworzony głupi Maciuś), Kotarbińskiego (typowy wojewoda), Przybyłowicza (nadzwyczajny Kusy), Solskiego (znakomity drwal) i Romana (wyborny parobek). Kamiński, Sobiesław, Siemaszko, Węgrzyn dopełnili dobrej całości. P. Bednarzewską wytwornie a stylowo odzianą z większem powodzeniem zastąpiła w następnych przedstawieniach wdzięcznie deklamująca Przybyłkówna.

Z konkursu Paderewskiego widzieliśmy tu już i utwór trzecią nagrodą odznaczony p. t. »Karykatury« Kisielewskiego. Wyrażając dyrekeji należyny dank za szybkie zapoznawanie publiczności z plonami niedawnego turnieju dramatycznego, zaznaczyć należy, iż w Kisielewskim, który przedtem okazał nam już zdaniem mojem, lepszą rzecz p. t. »W sieci« tkwi niezwykły talent. Jestto bezsprzecznie materyał na doskonałego dramaturga, który po ostrzeleniu się ze sceną (dziś przeważnie w kierunku sceniczności błądzi, daje jednak oryginalne charaktery i odznacza się wybitnym zmysłem spos'rzegawczym) powinien pisać rzeczy silne. Po nim spodziewamy się tu wiele.

W dniu 22. kwietnia uczczono tu należycie długi szereg lat (45) pracy scenicznej sumiennej artystki p. Wolskiej. Jubileusz uświetnił współudziałem brat artystki Bolesław Ładnowski, umyślnie w tym celu do Krakowa przybyły.

Ważną w historii tutejszego teatru nowinę zapisać mi wypada w końcu »notatek«. Rada miejska 31 głosami przeciw 14 odrzuciła projekt radnego Bartoszewicza »umiastowienia« teatru. Niebawem tedy rozpisany zostanie konkurs na sześćioletnią dzierżawę. Z pomiędzy kandydatów starających się o kierownictwo sceny krakowskiej, najwięcej szans posiada Józef Kotarbiński.

Kraków w kwietniu 1899.

Kazimierz Czapelski.



MALARSTWO.

Z dziedziny sztuki. Po chmurnych i pełnych goryczy dniach minionej zimy, zjawia się wśród nas ze słońcem i wiosennym podmuchem, jakby na pociechę, uroczne kwiecie w poważnym gmachu Zakładu Nar. Im. Ossolińskich. Urządzono tam bowiem ostatniemi czasy, tak oddawna pożądaną galerję obrazów, złożonych z dzieł dawnych i nowoczesnych mistrzów, w liczbie około 200 płócien, z których niejedno zająłby mo-

gło poczesne miejsce wśród pierwszorzędnych zbiorów stolic Europy. To też dla prawdziwych znawców i wielbicieli sztuki plastycznej przybywa, śmiemy mniemać, wśród tej cichej ustroni miły wypoczynek dla ducha i estetycznych usposobień po spotykanych dziś dość często wybrkach i dziwolągach obecnego nowatorstwa jak niemniej i po troskach i niepokojach bieżącej a co daj Boże niepowrotnej chwili.

E. P.

Z Wystawy obrazów. Dominujące miejsce — swojemi rozmiarami — zajmuje na wystawie naszej obraz malarza hiszpańskiego Garnella, przedstawiający odpust w Lourdes. Garnello malował dotychczas kilka równie wielkich i technicznie równie poprawnych obrazów, europejskiej »sławy« jednak nie zyskał i prawdopodobnie już nie zyska.

Ażeby mózdz odtworzyć na płótnie tłum ludzi żyjących, myślących i czujących, nie wystarcza czystość rysunku i umiejętność korzystania z jaskrawych barw palety. Zbiorowisko indywidualności odrębnych, złączonych pewnym wspólnym motywem, nastęrcza malarzowi z natury rzeczy szerokie pole do popisu, równocześnie wszakże piętrzy trudności wykonania. Artysta musi wyposażyć nagromadzone na obrazie figury we wszystkie odcienia doznawanego przez nie wrażenia, jednorodnego zazwyczaj w założeniu, a mimoto objawiającego się ciągle inaczej, stosownie do indywidualnego nastroju przejętej niemi osoby; musi ponadto umieć wywołać w widzu właściwy nastrój, któryby mu pozwolił tłum na obrazie przedstawiony nie tylko zrozumieć, ale i czuć z nim razem.

Tłum różnobarwny pańników, kalek i nieszczęśliwych, korzący się przed świętą Panią w Lourdes, wyciągający z wiarą błagalne ramiona ku tonącemu w powodzi światła białemu posagowi, rozmodlony przed cudami słynącą grota, gdyby był odtworzony genialnie, gdyby malarz był zdołał wlać weń duszę, mógłby głębokie sprawić wrażenie. Niestety, Garnello, oprócz wielkiej poprawności w rysunku, dobrego kolorytu, kilku wybornych barwnych efektów i sumiennego wykończenia szczegółów, niczego więcej w obrazie swym nie ujawnił. Obraz robi wrażenie umiejętnie kolorowanej ilustracji z jakiegoś pisma obrazkowego wyciętej, niema w nim duszy, nie ma w nim życia — i widz, pozostaje przed nim zimny i odchodzi z uznaniem wprawdzie dla technicznych zdolności malarza, ale bez najmniejszego zachwytu dla jego dzieła

Do duszy może tylko dusza przemówić skutecznie.

Iz. K.

Jan Styka. W dniu 23. kwietnia r. b. zamknięto zbiorową wystawę dzieł Jana Styki, obejmującą prócz »Przysięgi Witolda« 75 innych kompozycji i szkiców tego artysty. W ciągu czterech tygodni trwania

wystawy zwiedziło ją przeszło 11.000 osób, cyfra jak na Lwów bardzo znaczna.



JAN STYKA.

W poprzednim zeszytcie naszego czasopisma podaliśmy wyczerpującą ocenę najnowszej kompozycji naszego artysty. Umieszczając więc obecnie reprodukcję »Przysięgi Witołda« oraz »Bema w otoczeniu sztabu«, jego pędzla, pozwalamy sobie na tem miejscu skreślić sylwetkę

twórcy mnogich kompozyti treści religijnej i dziejowej, którego słusznie ktoś nazwał przedstawicielem renesansu malarstwa historycznego po śmierci Matejki.

Styka należy do tych nielicznych lecz szczęśliwych wybrańców »z łaski Bożej«, którzy dosięgają zamierzonego celu. Bóg obdarzył go talentem, natura wyjątkowymi siłami, praca i pilność wyrobiły w nim środki i warunki, nieodzownie potrzebne artyście malarzowi. Złożył sporo dowodów, że jest talentem niepospolitym i to talentem, który wybijał się mozolnie przez życie, wcale różami nie usłane, przechodził ciężkie próby, w których dał świadectwo swej siły, wytrwałości i rzeczywistego powołania.

Jako syn urzędnika skarbowego we Lwowie, pochodzi z rodziny niezamożnej i musi bardzo wczesnie borykać się z losem o kawałek powszedniego chleba. Po ukończeniu gimnazjum w mieście rodzinnem i złożeniu egzaminu dojrzałości, na usilne prośby i stanowcze zdecydowanie: »będę malarzem, choćbym miał pieszo wybrać się do Wiednia na Akademię«, ojciec, przeciwny zamiarom syna, wysłał go wreszcie na naukę malarstwa nad modry Dunaj i godzi się, by wybrać zawód artysty. Nie danem jednak było ojcu przekonać się, że głos powołania nie kłamał w duszy chłopca, kiedy go wzywał do stalug i pędzla; umarł, gdy młody Jan był zaledwie na pierwszym kursie Akademii i zaczął pracować »dla sz'uki, nie dla chleba«. Praca ta musiała być szczerą, pilną i gorącą, skoro po dwuletniej nauce z medalem złotym wstęp mu utorowała już do tak zwanej »Meisterschuli«, gdzie pod kierunkiem prof. Griepenkerla, Eisenmengera, Wurzingera i K. L. Müllera kończy swe wykształcenie.

W r. 1881 spełnia się marzenie 22-letniego artysty, wyjeżdża do Rzymu i tam tworzy pierwsze swe samoistnie wykonane dzieła: »Lilię Wenedę«, »Erminię, pasterkę«, »Madonnę nad insygniami męki Pańskiej« i inne; po roku pobytu w wiecznem mieście, wraca do kraju i zaciąga się pod standar Matejki, który poznawszy się na jego wybitnym talencie, przyjmuje go do »szkoły mistrzów«, daje obok siebie pracownię i czuwa nad twórczością ucznia. W Krakowie powstały obrazy, które dały poznać Stykę po raz pierwszy i w Warszawie; jego »Matka Boska, błogosławiąca wszystkie stany« na konkursowej wystawie Towarzystwa Zachęty, przyniosła mu złoty medal w nagrodę. Z usposobienia, zamiłowania, przekonań i wiary, bardzo wczesnie poświęcił swój talent malarstwu religijnemu. kiedy jeszcze po ukończeniu Akademii wiedeńskiej, bawiąc w Rzymie malował »Madonnę«, bolejącą nad cierniową koroną Syna. Tematy święte brał też odtąd bardzo często pod swój pędzel. »Chrystus, obdzielający rzesze chlebem«, »Chrystus nauczający«, »Magdalena pokutnica«, pomieszczona w katedrze na Wawelu, były plonem tego natchnienia.

W roku 1886 wyjechał do Paryża, gdzie krótki czas pracował jeszcze pod kierunkiem słynnego Carolosa Duran; tam powstały jego kapitalne utwory, jak: »Spotkanie na Via Apia«, zakupione przez

sybirskiego bogacza Koziellę-Paklewskiego, »Hulda prorokini«, »Komunia Madonny« i wiele innych, z wielkiem uznaniem ocenionych przez wymagającą krytykę zagraniczną.

Wechodził w rozgłos, zdobywał sławę a z nią i dobrobyt. Po dwóch latach pobytu w Paryżu osiadł za powrotem w Kielcach. Tam poznał pannę Lucynę Olgati; poślubił ją i w roku 1890 przeniósł się na stałe do Lwowa. Obszerna pracownia we własnem domostwie, zdobytem długą i ciężką pracą po latach trudów staroń i dążeń, stała się tą widownią natchnień i twórczości dla zmężniałego talentu artysty, który tutaj dopiero począł na szerszą skalę kreślić szkice i plany do wielkich dzieł, mających mu przynieść sławę, popularność i artystyczne zadowolenie.

Teraz zabierze się do skreślenia największej tragedji ludzkości, zmierzy swe siły z tematem ogromnym, ogólnym, ludzkiego znaczenia, spróbuje malować »Chrystusa na Golgocie«, odtworzyć miejsca święte, opisywane przez ewangelistów, wskrzesić Jeruzalem z czasów Zbawiciela i podejmując tak wielkie i trudne zadanie, postanowił odbyć pielgrzymkę do Jeruzalem.

Zwiedził Palestynę i Galileę, Betleem, Jeruzalem, Nazaret, święta wielkanocne spędził u Grobu Zbawiciela, schodził brzegi Jordanu i Morza Martwego. Po dwóch miesiącach powrócił z pełnymi tekami studyów z natury, szkiców, typów, widoków i miał już całą skarbnicę materyału do swej »Golgoty« zebraną. W dniu 21 go marca 1895 roku Styka z Tadeuszem Popielem, Zygmuntem Rozwadowskim i Janem Stanisławskim, zabrał się do malowania olbrzymiego obrazu. Praca szła szybko i szczęśliwie; malowano od rana do zmroku bez wytchnienia i tylko dzięki temu w ciągu niespełna czterech miesięcy dnia 8. lipca t. r. obraz już był zupełnie wykończony, a podczas wieca katolickiego we Lwowie uroczyście odsłoniony na widok publiczny.

Styka święcił nowy tryumf, którym podniecony zamiast zażyć należnego wypoczynku... zabrał się do świeżej pracy, do skreślenia szkiców panoramy dla Węgrów. Przedmiotem jej: »Wzięcie Sybina przez Bema w r. 1849«.

I tym razem artysta dwukrotnie udawał się na pole walki celem uskutecznienia na miejscu potrzebnych szkiców i studyów, zaś w kwietniu 1897 r. przystąpił do pracy na wielkiem płótnie w budynku panoramowym na wzgórzu Kilińskiego. W wykonaniu tego dzieła byli Styce pomocni artyści węgiercy: Vagó Paweł i Spanyi Bela tudzież z polskich malarzy Rozwadowski Zygmunt i Wywiórski Paweł. Nadto pracował chwilowo w panoramie Tiham r Margitay. W jesieni t. r. oglądał Lwów przez czas krótki »Bema«, poczem obraz wywieziony został do Budapesztu, gdzie się dotychczas znajduje, podczas gdy szkice do tej kompozycji pozostają jeszcze w posiadaniu artysty. Ostatniem, większem dziełem Styki jest »Przyjęcie Witolda pod Kownem«.



T E A T R.

»Młodzi bohaterowie«, sztuka w 4. aktach, polecona do grania na konkursie Wydziału krajowego. — »Podejrzliwy małżonek«, farsa 3. aktowa Gandillota.

Mam pisać o dwóch sztukach, oryginalnej i francuskiej, z których pierwsza była przedstawioną później od drugiej, muszę oczywiście mówić o sztuce oryginalnej, tem bardziej, że pojawienia się jej na scenie oczekiwałem z wielkiem napięciem. Sądziłem, że wystawienie jej na deskach teatralnych będzie »wypadkiem dnia«, bo i słuchy chodzily, że to rzecz patryotyczna i zresztą głosił to wszem wobec afisz teatralny. Ale jakże srogiego doznaliśmy zawodu — my, którzy przyszlismy do teatru — świecącego solennemi, jak się mówić zwykło, pustkami. Już ta okoliczność »z miejsca« niejako »położyła« sztukę, bo i artystom brakło podniety, a w szczupłej garstce publiczności nie wytworzyła się ta atmosfera, w której czasem jedna scena, jeden zwrot szczęśliwy rozgrzewa serca, zapala umysły i sztukę choćby słabą jako tako ratuje

Ale o wiele silniejszy zawód sprawił sam autor tym nielicznym, którzy ufnie w polecenie sądu konkursowego, pospieszyli w nadziei silnych podniosłych patryotycznych wrażeń. Sztuka przedstawiła się na scenie jako obraz w całości błady, mimo widocznego — aż zbyt przejrzyście — dążenia autora do ułożenia scen efektownych, ku czemu posługiwał się śpiewami choralnymi pieśni patryotycznych na scenie i poza sceną, przedstawieniem bitwy a raczej potyczki powstańców z Rosyanami i t. d. Nie można powiedzieć, ażeby obrazy poszczególne były dość zręcznie uszeregowane; powiem nawet z przestrzeganiem pewnej konsekwencyi w rozwoju wypadków, ale zestawienie całości jest niezupełnie szczęśliwe, bo bez głębszej siły dramatycznej, bez pogłębienia charakterów.

Rzecz osnuta na tle roku 1863.

Autor przeprowadza piękną zresztą myśl: wnuk jakiegoś Maurycego Giewonta, który miał w r. 1830 zaprzedać się Moskwie, postanawia obecnie (w r. 1863) w walce z Moskalami krwią zmyć hańbę dziada. I tak się też dzieje w ostatniej odsłonie; w czasie kiedy Moskale zbliżają się do dworu Giewontów pałac opodal położoną wieś, młodziutki Feluś, wnuk Maurycego, ledwie z pacholęcia wyrosły, pada od strzału sądackiego, lecz nie w potyczce osobistej, ale od strzału jakby przypadkowo zabłąkanego.

Dla tej chyba myśli przewodniej i dla kilku scen potracających silniej o nutę patryotyczną, dostało się dramatowi temu pewne uznanie sędziów konkursowych. Należy jednak wytknąć — i słusznie na to zwrócił uwagę krytyk *Gazety Lwowskiej* — że autor wziął jako podkład swej sztuki przykład rzekomo historyczny, bo przytaczając imię zdrajcy »Maurycy« i wspominając o napisie na pomniku na placu Saskim w Warszawie, miał na myśli Maurycego Haukego, zastępcę ministra wojny z czasów Królestwa Kongresowego: — wskazuje też na to



J E N E R A L B E M .

wiele innych szczegółów i aluzyj. Owóż scena nie powinna, o ile nie chodzi o dramat »historyczny« w ścisłym tego słowa znaczeniu, wywlekać dziejów osób i rodzin z epok bardzo jeszcze blizkich, a tem mniej czynić to może, jeśli przedstawia postacie w świetle — fałszywem. Ogłoszony w pierwszej chwili niesłusznie zdrajcą i zabity podczas nocy belwederskiej przez kilku zapaleńców również niesprawiedliwie, nie mógł pozostawić w swej rodzinie (jak tego chce autor) mniemania, jakoby na niej ciążyła z jego powodu hańba i jakoby potrzeba było rehabilitacji przez poświęcenie się »młodego bohatera« Felusia...

W ogóle więc, mimo pewnych scenicznych zalet, rzecz błada i chybiona. Artyści dokładali rzetelnych usiłowań, aby rzecz jako tako ocalić, ale starania te były daremne. Na szczególne wyróżnienie zasługuje pani Gostyńska w roli sparaliżowanej babki Felusia, wdowy po Maurycym, oraz p. Wostrowski w roli »bohaterskiego« wnuka. Znakomitą charakterystyką, wielce oryginalną, wyróżnił się też p. Feldman jako żebrak-szpieg moskiewski. Starannie spełnili swoje zadania panie Cichocka i Rybicka, oraz Chmieliński i Wysocki. Publiczność, (o! ta publiczność »rozorfeuszowana«) przyjęła rzecz z r. 1863 bardzo chłodno.

O »Podejrzliwym małżonku« niby komedyi — niby farsie Gandillota (z francuskiego) mało jest do powiedzenia nadto, że rozwlekła i nudna i o wiele słabsza od tysięcy podobnych wyrobów scenicznych teatru francuskiego. To też zeszała zaraz po pierwszym przedstawieniu z blasku kinkietów wponure podwoje biblioteki teatralnej, gdzie już pod pyłem zwolna ją zasypującym oby spoczęła na wieki w spokoju.

Rom. Poliški.

* * *

Woznica Henschel. Pan Jan Kasproicz w przedmowie do świeżo wydanego »Albumu współczesnych poetów polskich« twierdzi, że jakie takie powodzenie mają u nas współczesni autorowie obcy, zwłaszcza dramatopisarze jak np. Hauptmann. Przeczy jednak, jakoby utwory te znalazły poklask dla swej rzeczywistej wartości i przypuszcza raczej, iż »publiczność nasza, ogółem wzięwszy i tutaj idzie za głosem przygodnych niemal recenzentów dziennikarskich, którzy hołdując zakorzenionej u nas manii lubowania się w towarach importowanych, towary te zachwalają, deptąc równocześnie twórczość ojczystą«...

Twierdzeniu temu niepodobna odmówić słuszności z wielu względów, ale nie można też pisać się na nie bezwarunkowo, jak tego dowodzą losy »Woznicy Henschla« na scenie tutejszej. Rzecz o wartości artystycznej, niepospolitej, obsadzona wyborowemi siłami, przygotowana starannie, nie zdołała już na drugim z rzędu przedstawieniu zapełnić odpowiednio widowni i w niedalekiej zapewne przyszłości podzieli smutny los wielu sztuk, wycofanych z repertoaru. A jednak »przygodni owi recenzenci« wyrażali się w przeważnej części dodatnio tak o literackiej wartości tego utworu, jakoteż o interpretacji scenicznej »Woznicy Henschla«.

Niechć przeto publiczności wobec dzieła Hauptmanna przypisać raczej należy innym zupełnie powodom, aniżeli te, które szanowny wydawca »Albumu« wymienił. W »Dzwonie zatopionym«, cieszącym się na lwowskiej scenie niezwykłym powodzeniem, ważną odegrała rolę ja-skrawa szata zewnętrzna, jaką na podobieństwo t. z. sztuk czarodziej-skich wyposażono to poważne dzieło. Natomiast »Woznica Henschel«, jako sztuka o charakterze ludowym, z góry już nie mógł liczyć na względy naszych bywalców teatralnych, przywykłych do piefrznych sy-tuacyi francuskiego dramatu, rozgrywającego się z reguły w salonie ary-stokratycznym lub co najmniej w sferach bogatego mieszczaństwa z dy-skretną przymieszką półświatka. Dla przeciętnego gościa w skarbkw-skim teatrze doła chłopiska jest przedmiotem zupełnie obojętnym na scenie, na której sztuki ludowe mają, jego zdaniem, o tyle rację bytu, o ile urozmaicają je tańce oraz śpiewy...

Tak więc »Woznica Henschel« upadł w naszym teatrze, do czego też w pewnej części przyczyniła się data przedsięwzięcia pierwszego przedstawienia sztuki, powtórzonej po całotygodniowej dopiero przerwie.

Mimoto krótkie chociażby wspomnienie należy się dziełu znako-mitego pisarza, które przedstawione po raz pierwszy w jesieni r. z. w berlińskim »Teatrze Niemieckim«, obiegło w tryumfalnym pochodzie wszystkie znaczniejsze sceny w ojczyźnie autora. Pomysł do dramatu wziął Hauptmann z własnej, drukowanej w roku 1892 nowelki p. t. Dro-żnik Thiel. Bohaterem jej biedny dozorca toru kolejowego, który po stracie poczciwej towarzyszki życia żeni się po raz wtóry z kobietą złą, brutalną, rozpustną. Macocha zaniedbuje jedyne dziecię Thiela, pozos-tałe po nieboszczce. Biedactwo z jej winy dostaje się pod koła po-ciągu i ponosi śmierć na miejscu, czem doprowadzony do ostateczności ojciec zabija złą żonę sam zaś kończy w szpitalu dla obłąkanych. Ta prosta a niewymyślna fabuła posłużyła Hauptmannowi do osnucia reali-stycznego w całym tego słowa znaczeniu, pełnego grozy i życiowej prawdy zarazem dramatu. Autor pozmieniał pewne, drugorzędne zna-czenia szczegóły, akcyę przeniósł do małej miejscowości kąpielowej na Szląsku a i rozwiązanie dał na scenie inne, gdyż »Woznica Henschel« wieszka się w alkwie, podczas gdy zbrodniczej Hance uchodzi popeł-niony przez nią błąd bezkarnie. Takie zakończenie sztuki dało powód pewnej części krytyki do zaliczenia ostatniego dzieła Hauptmanna do ka-tegoryi t. z. Schicksalsdramen. Ocena tego rodzaju wydać się wszakże musi powierzochną każdemu, kto baczniejszą zwrócił uwagę na ściśle konsekwentne przeprowadzenie charakteru zanego Henschla, który uznawszy się raz winnym i śmierci pierwszej żony i zgonu spto-dzonego z nią dziecięcia, czuje, że żyć dłużej nie może, że na świecie już dla niego miejsca nie ma. Tak się też zwykle dzieje w życiu wbrew przestarzałej formule klasycznego teatru, domagającej się ukarania zbrodni przed końcem ostatniego aktu sztuki. Winowajcy uchodzą bezkarnie — tak być nie powinno, ale w rzeczywistości często się to zdarza.

Do podniesienia ogólnego efektu sztuki przyczynia się obok wielkiej prostoty fabuły i środków technicznych, znakomita charakterystyka wszystkich bez wyjątku figur, dająca wykonawcom wdzięczne do opisu pole. Zaczniemy od przedstawiciela roli tytułowej, którym był p. Jaworski. Indywidualne warunki artysty, atletyczna postać, maska udatna, posłużyły mu niemało do wywołania dodatniego w tej kreacji wrażenia. Zwłaszcza uczuciową stronę roli wyzyskał p. Jaworski bardzo szczęśliwie, uwydatniając przedewszystkiem prostoduszny, szczery charakter Henschla. Dla pani Stachowicz, jako Hanny, brak nam zaiste słów pochwały. Bujna, pełna złych instynktów natura drugiej żony woźnicy przedstawiła się w grze artystki w całej swej ohydnej nagości. Dla publiczności i krytyki interpretacja Hanny przez panią Stachowicz miłym na długie lata pozostanie wspomnieniem jako wzór gry naturalnej, wolnej od pozorów nawet teatralnego szablonu a zarazem pełnej siły dramatycznej i właściwego wyrazu. Obok pani Stachowicz na zaszczytną zasłużyły wzmiankę: panny Czaplńska (Franciszka) i Rybicka (Amelia). Intelligentnym rezeronem był p. Hierowski jako Siebenhaar, w miarę komicznym p. Feldman, (Wermelskirch) a i p. Kwiatkiewiczowi za udatną sylwetkę starego Hauffa należą się słowa uznania. Przygotowanie sztuki odznaczało się, jak to już wspomniano, starannością, którą za zasługę policzyć należy p. Walewskiemu.

* * *

Dwa wznowienia. Słowacki i Fredro zawitali ponownie w ciągu kwietnia na scenę lwowską. Pierwszego z nich Mazepa, odegrany w sobotę po południu dla młodzieży szkolnej, z okazji pięćdziesiątej rocznicy zgonu wielkiego poety, ścigał do teatru minimalnie skromną garstkę widzów. I dziwić się tak dalece nie ma czemu, gdyż z dzieł scenicznych Słowackiego właśnie Mazepa należy do najbardziej u nas ogranych, więc nawet owa młodzież szkolna, dla której urządzone właściwie przedstawienie, widziała ten utwór i oklaskiwała w ciągu ostatnich lat paru niejednokrotnie. Rolę wojewody objął po Żelazowskim p. Chmieliński i dał nam prawdziwy typ senatora z krwi i kości, którego buta i pewność siebie nie zwykła cofać się przed niczem. Doskonale artysta odtworzył postać tę kapitalnie. Za to król w interpretacji p. Jaworskiego wypadł najniefortunniej. Inne role pozostały bez zmiany: p. Kwiecińska była więc znowu Amelią, Hierowski — Zbigniewem, Wostrowski — Mazepą.

Fredrowski Wielki człowiek do małych interesów, znajdzie chyba zawsze sporo chętnych widzów. Tym razem rolę tytułową odtworzył ulubieniec lwowskiej publiczności p. Fiszer. Oklaskiwano grę jego gorąco, choć ci, którzy mieli sposobność oglądać w niej p. Frenkla, niezawsze przyznawali naszemu artyście pierwszeństwo. Mimo wszystko jednak przyznać bezstronnie każę grze p. Fiszera sporo cech dodatnich, czego znowu powiedzieć nie mam prawa o p. Wostrowskim w roli Dolskiego, objętej po Żelazowskim.

Młody nasz amant czyni znaczne postępy i kiedyś zapewne i trudną dosyć postać Dolskiego odtworzy właściwie. Dzisiaj jeszcze do tego nie dorósł, dał więc typ niesympatycznego mazgaja, który chyba nie pozyska sympatii ani widzów, ani romansowej Anieli. A ta Aniela w interpretacji p. Ogińskiej była wszystkim, prócz tego, czem ją chciał mieć autor. Nie mogę pisać się nigdy na gardiany, łamiący się głos artystki, nie potrafię doszukać się w jej grze naturalności i niewieściego wdzięku, wobec czego powierzanie p. Ogińskiej ról naiwnych, sielskich podlotków, szczególnie w sztukach polskich, uważam zawsze za próbę bardzo nieszczęśliwą.

Wobec licznych, bijących w oczy braków w gronie artystek teatru lwowskiego, reżyser, nawet najtroskliwszy, znajduje się nieraz w prawdziwie trudnem położeniu, sądzę jednak, że jestto epoka tylko przejściowa, i że w jesieni p. Heller zaprezentuje lwowskiej publiczności nowe »siły«, które posiadać będą wartość rzeczywistą i przypomną dawne, dobre czasy teatru hr. Skarbka. Sprężystość i zapobiegliwość p. Hellera pozwalają przypuszczać, że na tę chwilę pomyślną nie będziemy czekać zbyt długo. Powyższa uwaga wymknęła się mimowolnie z pod pióra, a wywołało ją zapytanie: ktoby u nas mógł grać dzisiaj choćby tak małą rolę Anieli?

Z innych artystów, pna Czaplinska i p. Kliszewski tworzyli doskonałą parę kochanków — urwisów, nagradzano też grę ich często szczerem oklaskiem. Wcale dobrym był p. Jaworski, w roli starego to tuzfackiego oraz p. Kwiatkiewicz jako krzykliwy hreczkosiej, przyjaciel Dolskiego. Całość przedstawienia zyskałaby wiele na szybszem tempie, czemu przeszkadzało atoli niezupełne pamięciowe opanowanie ról przez niektórych artystów.

Miro.

* * *

Dzwon zatopiony Hauptmanna, odegrany wobec bardzo słabo wypełnionej widowni teatralnej, zasługuje na krótką wzmiankę z powodu nowej obsady ról pierwszoplanowych. Odlewaczem dzwonów był tym razem p. Woleński; rusałką panna Czaplinska; żoną mistrza Henryka p. Kwiecińska. Żelazowskim w roli Henryka zachwycony nie byłem, nie przedstawiał on mojem zdaniem idealnego typu, stworzonego przez znakomitego dramaturga, o wiele jednak wyprzedził swego następcę. P. Woleński wlał w grę swoją cały zasób zapału i staranności, mimo to traciła ona dużo na zmanierowanym używaniu głosu. Szczególniej akt drugi pozostawiał pod tym względem bardzo wiele do życzenia. Artysta ten posiada w swoim repertuarze kreacje dobre, a nawet bardzo dobre, dla tego, przynając chętnie wszystko, co mu się słusznie należy, bez wahania wytknąć muszę i słabsze momenty w jego karierze scenicznej a do takich należała kreacja mistrza Henryka. P. Kwiecińska w roli żony odlewacza dzwonów byłaby niezła, gdyby mniej hojnie szafowała swoim głosem, który chwilami zmieniał się w niemile rażący krzyk. Na koniec odłożyłem zwięzłą wzmiankę o rusałce. Tutaj przyklasnąć wy-

padnie grze pny Czaplińskiej, w istocie w drobiazgach nawet wystudowanej pilnie, choć pod względem zewnętrznego wyglądu i dźwięku głosu nie mogła dorównać idealnej wprost rusałce, p. Bednarzewskiej. Trudno atoli utalentowaną artystkę pociągać do odpowiedzialności za głos jej, nieco przyostry, za postać mniej powiewną i wiotką, chętnie więc — mimo te braki — złożyłem ręce do oklasku. Pastor (Chmieliński), Wodnik (Wysocki), Kozodój (Feldman) i Baba Jaga (Gostyńska) zasłużyli i tym razem na słowa prawdziwego uznania. Zewnętrzna strona przedstawienia była jak dawniej równie staranna i efektowna.

Miro.

* * *



Występy gościnne znakomitej autorki, p. Gabrieli Śnieżko Zapolskiej, sprawiły stałym bywalcom teatralnym i krytykom prawdziwą a nader miłą niespodziankę. Wprawdzie słyszeliśmy o jej sukcesach paryskich, petersburskich i krakowskich, ale — zawsze niedowierzający zachwytem drugich — trzymaliśmy się w należytej rezerwie, oczekując z upragnieniem chwili pojawienia się artystki na deskach teatru hr. Skarbka. Dzisiaj rezerwa rozprysła się jak bańka szklanna; publiczność lwowska odrazu na pierwszym występie p. Zapolskiej jako «Safo» uznała jej talent wielki i postęp ogromny. Powia-

dam postęp, przed laty bowiem kilkunastu zjawiała się na scenie lwowskiej skromna poczwarka, która przekształcała się z czasem — już poza obrębem naszego miasta — w śniącego tysiącem barw motyla. Jakie, długie i żmudne studia, wywołały tę zmianę pomyślną, ile pracy włożyła znakomita autorka w odtwarzane role, nie czas i nie miejsce w dzisiejszej notatce dochodzić. My stwierdzamy jeno z pełnym zadowoleniem, żeśmy poznali artystkę skończoną, która zupełnie naturalnymi środkami, bez odwoływania się do tanich i łatwych efektów, wywołuje wrażenie zawsze bardzo dodatnie i prawdziwe.

Rola upadłej kobiety, jaką jest znana powszechnie «Safo», wymaga ogromnej miary artystycznej oraz odczucia owej niepochwytnej nieraz granicy, poza którą artystka przekroczyć nie ma prawa, bo wywoła niesmak i obrzydzenie.

Taką miarą artystyczną odznaczała się właśnie w najwyższym stopniu gra p. Zapolskiej, za co jej szczerze należy się uznanie. «Postać Safony — pisze wybitny krytyk lwowski — wyszła w jej wykonaniu ze zdumiewającą prawdą, z tym szczerym realizmem, który wszelkiej unika przesady, wszelkiego szablonu, wszelkiej maniery. Gra artystki jest nietylko wysoce inteligentna, lecz w całej pełni artystyczna w swej

prostocie. I dlatego tak zajmuje, tak jest przejrzysta... W tej grze nie widać gry».

Że zakres ról p. Zapolskiej jest szeroki, najlepszym dowodem Zuzanna w efektownej »Czwartce papieru« Sardou. Typ to bardzo różny od Daudetowskiej Safony, wypadł jednak w grze utalentowanej artystki doskonale, wykończony w najdrobniejszych szczegółach i szczegółikach. I tym razem podziwialiśmy tę niezwykłą wprost naturalność, inteligencyę, przebijającą się w każdym słowie, dykcję wyborną. Szczególniej drugi akt, wymagający wielu zalet, wywarł na widzach silne wrażenie, a niejedna z naszych artystek powinna nauczyć się od p. Zapolskiej sztuki niedomawiania i wtrącania uwag na stronie. W wspomnianym drugim akcie znajduje się ich sporo, cały niemal dyalog Zuzanny z Prosperem składa się z takich błyskotliwych niedomówień, jak zaś te trudności pokonywa nasz gość krakowski, może oszczędzić tylko ten, kto był naocznym świadkiem owej salonowej szermierki.

Ibsenowska Nora należy do najlepszych ról p. Zapolskiej, i na trzecim więc przedstawieniu zapełni się teatr po brzegi. Sprawozdanie z tego wieczoru musimy już niestety odłożyć do przyszłego zeszytu. Dzisiaj kończymy wzmianką pochlebną o naszych artystach, którzy robili wszystko, byle dla gry sympatycznego gościa utworzyć tło jak najodpowiedniejsze. Przyznajemy chętnie, że usiłowania ich częstokroć pomyślnym uwieńczone były skutkiem.

M. Rolle.

* * *

Nowy teatr we Lwowie. Komitet budowy teatru przedłożył w połowie kwietnia r. b. Radzie miejskiej relację o stanie robót około tej budowy, oraz sprawozdanie finansowe. Gotowe już są mury główne zewnętrzne i wewnętrzne, konstrukcye żelazne nmontowane, dachy, które będą pokryte miedzią, są prowizorycznie obłożone papą, a kopuła nad sceną czeka już także tylko na miedziane pokrycie. Wszelkie roboty, do których rozdania ma upoważnienie komitet budowy, są już zabezpieczone. Koszta objęte kosztorysem, a więc samego budynku i oświetlenia elektrycznego — jak dziś może komitet stwierdzić -- wyniosą 975.258 zł. 40 ct. a więc nie wykroczą poza uchwalony przez gminę kredyt. Koszta konkursu, dekoracye, kurtyna, budynek sukursalny i umeblowanie wyniosą pewnie 206.316 zł. 5 ct., razem tedy 1,181.574 zł. 45., to znaczy, że ogółem teatr kosztować będzie o 181.574 zł. 45 ct. więcej ponad kwotę preliminowaną z 10-milionowej pożyczki w połączeniu z subwencją krajową. Komitet kończy swe sprawozdanie wnioskiem o upoważnienie go do wykonania pozostałych robót około budynku i otworenia na ten cel kredytu 55.600 zł., na nieprzewidziane wydatki i pokrycie ewentualnych przekroczeń przy zestawianiu ogólnych rachunków kollaudacyjnych 23.786 zł. 5 ct., wreszcie na koszta wewnętrznych prac i potrzeb 208.316 zł. 79 ct.

Jak wiadomo, komitet budowy nowego teatru zwrócił się do Henryka Siemiradzkiego z zaproszeniem, aby zechciał się podjąć namalo-

wania kurtyny dla teatru lwowskiego. W sprawie tej donosi z Rzymu korespondent *Gazety Lwowskiej*, dr. Adam Bienkowski, pod datą 6. kwietnia r. b. co następuje: »Zapytałem Siemiradzkiego, w jakim stadium znajduje się ta sprawa; odrzekł mi, że szkic jest już gotowy i że w najbliższym czasie artysta przesze go komitetowi lwowskiemu, poczem, po obopólnem porozumieniu, artysta zabrałby się do pracy. Że mistrz pilnie się tą sprawą zajmuje, dowód tego mieliśmy w tem, że w podręcznej notatce, którą zastaliśmy leżącą otwartą na stoliku, widać było kreślone wymiary kurtyny, i jej ogólny rysunek; artysta jednak usunął czempredziej te najpierwsze szkice przyszłego swego dzieła z przed oczu ciekawych. Pod względem pomysłu do kurtyny, Siemiradzki powiedział tyle tylko, że naturalnie tematem jej będzie alegoryczne przedstawienie idei sztuki dramatycznej i teatru, że jednak będzie się starał w sposób, któryby nie psuł harmonii całego dzieła, zastosować się do życzenia komitetu budowy teatru i uwzględnić w kompozycyi także czynnik narodowy«.



M U Z Y K A.

Spółka wydawnicza kompozytorów polskich. Z początkiem kwietnia b. r. rozesłano do kompozytorów polskich następującą odezwę:

Trudności, z jakimi spotyka się niemal każdy kompozytor polski, pragnący utwory swoje drukować, znane są ogólnie i niejednokrotnie już były przedmiotem ubolewań. Obecnie, przy niechętnem usposobieniu nakładców niemieckich, wzrosną one jeszcze i mogą bardzo ujemnie wpłynąć na nasze stosunki wydawnicze. Należy więc koniecznie zapobiedz nie tylko zastojowi, jaki stąd powstać może w pracy zamieszkałych w kraju muzyków, ale także i wczesnemu zniechęceniu tych ludzi, co na polu kompozycyi pracować zaczynają. Tak więc dla bieżącego jak i dla przyszłego ruchu twórczości u nas, potrzeba środków ochronnych. Znaleść je możemy tylko wśród nas samych.

Tę myśl powziąwszy, związali się podpisani w komitet organizacyjny, pracujący nad projektem Spółki kompozytorów polskich, której celem będzie wydawanie utworów muzycznych polskich z początku w zakresie pieśni jednogłosowych i chórowych oraz fortepianu i skrzypiec; następnie zaś na większe rozmiary, bez krępowania się formą kompozycyi.

Zanim jednak projekt szczegółowo zostanie opracowany, pragną podpisani wiedzieć, o ile liczyć będą mogli na muzyków polskich i czy utworzenie Spółki wydawniczej, znajdzie ich uznanie i przychylne

poparcie. Bez zapewnionego bowiem uczestnictwa kompozytorów, niepodobna liczyć na żaden sukces, ani materyalny, ani moralny.

Spółkę wydawniczą zamierzamy utworzyć na zasadzie udziałów nie przekraczających 30 zł., pozostawiając zresztą decyzję co do dalszych szczegółów naszego projektu Walnemu Zgromadzeniu, które po przystąpieniu pewnej (oby jak największej) liczby członków, będzie co najrychlej zwołane.

Zwracamy się tedy do Szanownego Pana z zapytaniem, czy zgadza się Szanowny Pan w zasadzie na nasz projekt i czy w danym razie zobowiąże się Pan przystąpić do Spółki z udziałem 30 zł., która to kwota spleconą być może jednorazowo, lub w ratach rozłożonych na przeciąg jednego roku.

Laskawą odpowiedź upraszamy nadesłać pod jednym ze wskazanych poniżej adresów.

Przesyłając koleżeńskie pozdrowienie, kreślimy wyrazy głębszego poważania

Dr. Seweryn Berson, Lwów, ul. Jagiellońska l. 14, lub Kraszewskiego 9., Jan Gall, Gmach Teatralny II. piętro, drzwi 45, St. Niewiadomski, Lwów, Podlewskiego l. 7, Mieczysława Soltyś, Lwów, ul. Zielona l. 6.

Tak w listach artystów, którzy zgłosili swe przystąpienie, jak i w pismach warszawskich pojawiło się życzenie, aby jeszcze przed zwołaniem walnego zebrania podać do wiadomości cały zarys organizacji projektowanej spółki wydawniczej, celem poinformowania o nich tych, którzy mają zamiar przystąpienia.

Czyniąc zadość temu żądaniu uprasza nas p. Dr. Seweryn Berson o umieszczenie następujących uwag:

Rzucając myśl zawiązania »Sp. wyd. komp. pol.«, nie mogłem nie pomyśleć o wszystkich stronach takiego projektu, a więc artystycznej, prawniczej i kupieckiej. Z wyczerpującego omówienia rzeczy z kompozytorami we Lwowie zamieszkałymi, następnie z dyskusyjami w łonie zawiązanego już komitetu organizacyjnego, wyłonił się ostatecznie projekt, który, jak przypuszczam, w stosunkach naszych zupełnie jest wykonalnym.

Nie myślę rozwodzić się nad potrzebą i celem założenia spółki. Potrzebę stwierdzają nadchodzące codzień deklaracje przystąpienia, cel wyraża sama firma. Idzie więc tylko o sposób przeprowadzenia. Oto ogólny zarys, który w formie projektu statutu przedstawionym ma być walnemu zebraniu konstytuującemu:

Pod względem prawnym ma być spółka wydawnicza spółką zarobkową z ograniczoną poręką w ramach ustawy z dnia 9. kwietnia 1873 Nr. 70 Dpp., to znaczy, każdy z członków (właścicieli udziałów, nb. jednorazowych) ma z jednej strony prawo do pobierania odsetek i zysków przedsiębiorstwa, z drugiej zaś odpowiada udziałem swym, a w razie konkursu spółki, podnadto jednokrotną jeszcze jego wysokością, za wszelkie zobowiązania spółki. Ta ostatnia (podwyższona) od-

powiedzialność pozostanie wszakże tylko teoretyczną, bo spółka zaciągać będzie zobowiązania tylko wobec drukarzy i t. p., płacąc gotówką i nie angażując się w każdym razie dalej, aniżeli wystarczą rozporządzalne fundusze. Prócz tego otrzymywać będą członkowie wszystkie wydawnictwa spółki bezpłatnie. W gruncie rzeczy atoli zysk pieniężny członków jest tylko ubocznym celem, głównym samo wydawnictwo. Ze względu wszakże, że spółka posiadać musi jakąś formę prawną, najstosowniej-szem jeszcze wydaje się nadanie jej formy spółki zarobkowej, sądownie zarejestrowanej.

Co do zbytu wydawnictw, nie zrzekamy się zwykłej drogi handlu księgarskiego, ale nie zamyślamy też zbytu oprzeć, na nim wyłącznie. Owszem, w pierwszej linii zamyślamy wydawnictwa spółki rozpowszechniać drogą przedpłaty. Za skromną kwartalną, półroczną lub roczną przedpłatę chcemy abonentom naszym rozesłać co miesiąc pewną ilość kompozycji, jakoto: pieśń lub zeszyt pieśni jednogłosowych, tudzież ze względu na nasze towarzystwa muzyczne, które wszystkie chcielibyśmy uzyskać jako abonentów, pieśni choralne, utwory fortepianowe na 2 i 4 ręce i utwory skrzypcowe. Na początek będzie można rozesłać 2—3 kompozycji (naprzemian po jednej z każdego rodzaju), jeżeli zaś przedsiębiorstwo się rozwinię, może uda się nam dać co miesiąc po jednym utworze z każdego działu, a nadto i od czasu do czasu coś z rzeczy większych, jako to utworów kameralnych, wyciągów fortepianowych z dzieł orkiestralnych i ensamblowych i t. p.

Zarzuci ktoś może, że przedpłata nie przynosi dla abonentów żadnych korzyści, bo z reguły każdy przecież albo gra tylko na jakimś instrumencie, albo tylko śpiewa, a utwory choralne przedstawiać mogą wartość tylko dla towarzystw śpiewackich. W księgarni natomiast dostać może każdy to, czego mu potrzeba i nie potrzebuje płacić za to, co dla niego jest nieużytecznem. Wszystko to prawda, ale nie należy zapominać także o następujących względach:

Przedewszystkiem wątpliwem jest, czy na kupnie w księgarni wyjdzie się taniej. Kto zna stosunki księgarskie, ten wie, że zadawalnając się małym zyskiem, będziemy mogli za cenę księgarską jednego utworu dać ich dwa a może i więcej, zwłaszcza, jeżeli rzecz cała należy się rozwinię. A ileż jest u nas miasteczek, w których żyje garstka muzycznej publiczności, natomiast nie ma ani księgarni, ani wypożyczalni muzycznej, lub co najwyżej dostać w nich można liche transkrypcye fortepianowe, jakimi zasypuje nas Lipsk i Wiedeń? Nasz abonament będzie natomiast abonamentem polskich nowości muzycznych, otrzymywanych wprost z pierwszej ręki, a będzie staraniem zarządu spółki, by obejmował on wprawdzie rzeczy wszelkich kierunków, ale tylko rzeczy dobre, z których abonent małym kosztem utworzy sobie w krótkim czasie wcale pokazną biblioteczkę. Wreszcie liczymy i na to, że myśl dobra znajdzie poparcie dla siebie samej.

Równocześnie zwrócimy się z zamówieniami do kompozytorów lub też wybierzemy do druku co odpowiednie z nadesłanych nam utwo-

rów. Za kompozycje chcemy płacić honoraria, które w miarę powodzenia będą mogły być coraz wyższe, bo jak się okaże z dalszego przedstawienia, czysty zysk proponujemy obracać dopiero w ostatniej linii na wypłacanie członkom superdywidendy.

Tak więc kapitał uzyskany przez udziały członków służyć ma tylko jako fundusz początkowy, a więc na opędzenie kosztów wydawnictwa tak długo, dopóki nie uzyskamy potrzebnej ilości abonentów, po następnem zaś uzupełnieniu go z zysków, pozostać ma własnością członków.

Co do zarządu spółki, to oczywiście ostateczna decyzja tudzież wybór funkcyjaryuszów przysłużyć będzie walnemu zebraniu, któremu także zastrzeżoną będzie uchwała w pewnych rzeczach większej wagi. W zgromadzeniu będą brać udział członkowie bądźto osobiście, bądź też przez pełnomocników. Bieżącą agendę załatwiać będzie wydział (dyrekcya), kontrolę w razie potrzeby rada nadzorcza. Ze względu na czysto techniczne kwestye wydawnicze zasiadaćby powinien w dyrekcji, przynajmniej z głosem doradczym, także fachowy, a dla spółki życzliwie usposobiony wydawca. Pomoc w tym względzie mamy już zapewnioną.

Kwestyą dziś jeszcze nierozstrzygniętą jest, czy do oceniania kompozycji i decydowania, czy i w jakim porządku mają iść do druku, powołaną będzie dyrekcya, czy też osobna komisya cenzuralna. Tak w jednym, jak w drugim wypadku obmyśleć trzeba będzie w statucie sposób, by i członkom we Lwowie nie mieszkającym zapewnić o ile możności wpływ na cenzurę.

Zupełnie otwartą jest również kwestya, czy należy postanowić, by członkami mogli być także niekompozytorowie, czy też zachować ich tylko na abonentów? A może dopuścić jako członków muzyków polskich w ogólności, nie tylko kompozytorów, lecz nie osoby z publiczności?

Administracya ma być jak najtańszą. Dopóki nie okaże się potrzeba płatnych funkcyjaryuszów — co daj Boże, by nastąpiło jak najprędzej — załatwiać będzie dyrekcya sama całą administracyę, kasowość i rachunkowość.

Czysty zysk powinienby być użytym w następującym porządku: a) odsetki od udziałów, b) uzupełnienie wkładek (udziałów) uszczuplonych przez wydawnictwa pierwszych czasów, c) utworzenie i dalsze zasilanie funduszu rezerwowego (wedle pewnej z góry oznaczonej stopy procentowej) d) rozszerzanie ram wydawnictwa przez wydawanie rzeczy większych, tudzież większej ilości kompozycji, podwyższanie honoraryów, i t. p., e) superdywidenda dla członków.

Oto główne zarzysy statutu, który zamierzamy przedłożyć walnemu zebraniu konstituującemu w ciągu maja lub czerwca b. r. Aż do zwołania tego zebrania przyjmujemy chętnie wszelkie w tym względzie uwagi i upraszamy o nadsełanie ich pod powyższymi adresami do któregośkolwiek z członków komitetu organizacyjnego.

A teraz jeszcze jedna uwaga. Nie taimy, sobie, że projekt powyższy mieści w sobie sporą dozę optymizmu, nie tyle ze względu na przystąpienie kompozytorów, co na poparcie ze strony publiczności. Wiemy także, że wszelkie projekty, oparte chociaż w części tylko na optymizmie, u nas z reguły zawodzą. Pomimo to zwracamy się z tym planem najprzód do kolegów kompozytorów, a następnie i do muzycznej naszej publiczności. Być może, że raz przecież uda się i u nas urzeczywistnić myśl, która, chociaż dotyczy wyłącznie sztuki i to tylko jednego jej rodzaju, nie jest pozbawioną także pierwiastku społecznego.

Operetka. Odrzuciwszy karnawałową swą maskę, ukazała się nam opera nasza we właściwej swej postaci, tem czem jest — operetką. Przemiany tej nie dokonała nagle, przeprowadziwszy nas przez »Straszny dwór« i »Fausta« wykonanych już nie odświętnymi, sezonowymi siłami, ale stałym personelem śpiewackim; po tych zaś dał się słyszeć prawdziwy jej *cri du coeur*: »Dzwony z Corneville« i »Orfeusz w piekle«.

Oswobodzona z niewygodnych szat wagnerowskiego romantyzmu, rozzuta z klasycznych koturnów, pod koniec sezonu wdzianych na próbę, puściła się wesoło w tan, wołając na cały głos »Proszę spojrzeć tu i tam«...

A było na co spojrzeć. Wielu wdzięków operetkowych nie wypadało odkrywać przed miesiącem jeszcze, bo niepozwalala na to powaga opery; teraz jednak, zaczęły one wykwiąć jak na wiosnę, jeden wdzięk po drugim: p. Schuppówna, Miłowska, Dąbrowska i Hartig.

A no, więc trzeba na nie spojrzeć.

Jako materyał głosowy przedstawia się tu najpiękniej p. Dąbrowska, tem więcej, że głos ten posiada już coś więcej ponad wartość surowego kruszcu, czyli, że jest już »wyszkolony«, jak się wyraża z zachwytem recenzent Gazety narodowej, co ma znaczyć, że przeszedł dostateczną pracę szkolną. Niezaprzeczenie ma on (głos p. Dąbrowskiej) należyte studia za sobą, a dzięki im jest równy i wydatny. Brakuje na razie młodej debutantce pewności w rytmice; nie będzie to jednak może zbyt trudne do uzyskania w przyszłości. Panna Dąbrowska śpiewała raz Siebla we Fauście, a parę razy Mimozę w Gejszy.

Tuż obok, należy postawić p. Miłowską. W pierwszym swym występie bardzo stremowana, nie rozwinęła ona głosu dostatecznie, później jednak kilka razy dała słyszeć ładny dźwięk i wcale duży. W sposobie zachowania i w użyciu głosu, zauważyliśmy postęp w ciągu kilku pierwszych występów, widać więc z tego, że i talentu jej nie brak.

Stanowisko w operetce zajęła odrazu wybitne — panna Schuppówna. W tym wypadku jednak (»Dzwony«, »Gejsza«, »Orfeusz«) nie głos decydował na szali powodzenia, ale niezwykła, poprostu zdumiewająca pewność wystąpienia, która przy scenicznym talencie debutantki, przy jej muzyczności i pewnem śpiewackiem wykształceniu, musiała zrobić wrażenie korzystne.

Tak się przedstawiają trzy główne debiutantki pod względem swych kwalifikacyj i talentów, ale wszystkie ich zalety mają jeszcze potężnego sprzymierzeńca w urodzie, jakiej los im nie poskąpił. Wobec tego, czyż podobna przypuszczać, aby zawód jaki mógł którą z nich spotkać na drodze tak nietrudnej do przebycia.

I czwarta debiutantka: p. Hartig, także nie najgorzej się przedstawiła. Ma wcale wydatny głos i dość efektowną powierzchowność. Ale wszystko to pozbawione jest na razie wdzięku i bodaj cienia jakiejś dystynkcji. Wenus w »Orfeuszu«, którą została obdarzona, powinna by trochę więcej gracyi rozwinąć. Niezawadzi także w przyszłości i nad śpiewem popracować, aby pozbyć się surowości i sztywności głosu.

Zresztą operetka nasza odżyła na nowo w całej pełni, odetchnęła swobodną pierśią i zaspiewała »Orfeusza w piekle« bardzo dobrze. Przy ładnej wystawie i dość żywym ruchu scenicznym, rzecz ta jako utwor operetkowy niezaprzeczenie bardzo piękna, podobać się musiała ogólnie. Nie przypada nam jedynie do smaku ów ton lokalny, zbyt lwowski, jaki usiłują śpiewacy wprowadzić na scenę. Nie zapominajmy bowiem, że nie jesteśmy w Wiedniu ani w Warszawie. Tam, niższe sfery ludności mają fizyonomję wesołą i uśmiechniętą, posiadają pewną cywilizacyjną ogładę, są charakterystyczne i mają swój humor. Nasze tutejsze warstwy najniższe, są biedne, apatyczne i mało okraszane. Atmosfera, jaka je otacza, jest pępna i najmniejszego wdzięku nie posiada. Czy więc do urozmaicenia operetki bardzo na korzyść przyczynia się wprowadzanie dżalektu łyczakowskiego, lub dowcipów wyrosłych na tutejszym gruncie? Czy wymienianie firm tutejszych, może być wogóle za dowcip uważane? Nie, wszystko to wprowadza, co prawda, powietrze lwowskie na scenę, ale że jak wiadomo nie należy ono do najczystszych i najzdrowszych, więc też i operetki nie napelnia osobiwą wonią, przywodząc słuchaczom co chwila na myśl, nasze przedmieścia brudne, obdarte i smutne.

W »Orfeuszu« nadaje ten ton głównie p. Myszkowski (Jowisz), słaby to jednak środek na brak werwy i naturalnego humoru. To samo potępiamy u p. Kiczmana (Mars) chociaż przyznać mu trzeba, że skopiował policyanta lwowskiego bardzo dobrze. P. Lelewicz przeciwnie, nie posługuje się żadnym ze środków podobnych i dlatego najwięcej jest artystą w tem, co przedstawia na scenie. Jego kuplety są proste, ale bardzo dowcipne, wypowiada je wybornie; w ruchach jest niezrównany, umie niemi cały komizm z postaci wydobyć. Wogóle jest to siła operetkowa pierwszorzędnej wartości. P. Bogucki (Pluto) należy również do filarów naszej operetki, mimo swej pewnej ociężałości, jest ruchliwy i dość wnosi życia na scenę. Śpiewa muzykalnie, jakkolwiek nie zawsze starannie w tym stopniu, w jakim mielibyśmy prawo żądać od niego. Nadzwyczaj wykwintną Eurydyką była p. Bohussówna. Jej śpiew opracowany artystycznie do najdrobniejszych szczegółów, nienależy właściwie do operetki, tak jest szlachetny. Pani Kliszewska swoim Kupidyndem

niemało pieprzyku dodała całości, zachowując jednak również w swym śpiewie i grze, sympatyczny, wdzięczny ton.

Oto mniej więcej wszystko, co o ubiegłym miesiącu operetki da się powiedzieć. Obecnie, cała wesoła drużyna jedzie do Warszawy a skoczne jej tony zamilkną na dłuższy czas. Dla młodych sił powinno to być żniwo; oby więc każda z nich jak najwięcej plonów artystycznych z powrotem do Lwowa przywiozła.

n.

Z sali koncertowej. Wśród nowości wykonanych na IV. koncercie Towarzystwa muzycznego, wielkie zainteresowanie budziły dwa utwory orkiestralne Seweryna Bersona: »Mazur« i »Krakowiak«. Wszystkie zalety tego utalentowanego kompozytora podnoszone już na tem miejscu z powodu wykonania jego »Romansu«, uwydatniają się w tych utworach w jak najlepszym świetle. Uderza więc bogata, umiejętna i świadoma efektu instrumentacja, interesujący podkład harmoniczny, a przytem trafne pochwycenie pierwiastka ludowego, cięty rytm i świeże pomysły. Co do formy, Mazur (Caprice) jest więcej zaokrąglony, Krakowiak (Rondo) więcej rozwinięty. W obu formach porusza się Berson ze swobodą i nie przestaje być nigdy zajmujący.

Z innych nowości tego koncertu, wykonano jeden z czterech »Śpiewów religijnych« Verdiego, napisanych przed kilku laty. Śpiewy te obiegły cały świat muzyczny, wzbudzając wszędzie podziw dla zawsze młodzieńczej twórczości sędziwego mistrza. Ustęp wykonany u nas: »Laudi alla Vergine Maria« na czterogłosowy chór damski a capella, zachwyił szlachetnością i podniosłym nastrojem, choć wykonany razem z resztą »śpiewów«, napisanych na chór mieszany i orkiestrę, już samą odrębnością dźwięku uczyniłby bez wątpienia większe wrażenie. Chór damski ze swego trudnego zadania wyszedł dość zwycięzko, a i co do materiału głosowego zauważyć w nim można było zwrot ku lepszemu.

To samo, tylko w większym stopniu, da się powiedzieć o chórze męzkim, który w »Alcestis« Brambacha nie tylko co do dźwięku, ale i co do ześpiewania się i muzycznego frazowania mógł nawet wybredniejszych zadowolnić. Kompozytorka »Alcestis«, owej poświęcającej się za ojca córki królewskiej, nie jaśnieje błyskami geniuszu, jest przytem trochę za długa; zawiera jednak — zwłaszcza w części drugiej — miejsca bardzo ładne i posiada wielką zaletę, iż brzmi w chórze doskonale! Sola, trzymane przeważnie w formie chwiejącej się między aryą a recitativem, mniej są udatne niż chóry; ucierpiały przytem miejscami na zbyt przewlekłym tempie. Solistów: panią Pawlików i panów Maławskiego i Szymańskiego darzono zasłużonymi oklaskami.

Na swym trzecim tegorocznym koncercie powtórzyła »Lutnia« wykonane poprzednio w kościele »Stabat Mater« Astorgi. Sta-

rannie przygotowane, wywarło to dzieło i w sali koncertowej znaczne wrażenie. Główna jego siła leży w polifonii, a ta rzeczywiście uplastycznia się najwięcej w chórach, Przyrowadzenie do niejkiej równowagi stosunku głosów w chórze mieszanym »Lutni«, wyszło bardzo na jego korzyść; również czystsza intonacją zatarł chór mieszany ujemne wrażenie swej ostatniej produkcji. Z solistów, zasługuje na pochlebna wzmiankę p. Niżankowski; przedewszystkiem zaś wyróżnić należy p. Pawlików-Nowakowską, której chyba nikt u nas nie mógłby w »Stabat mater« zastąpić.

We właściwem sąsiedztwie znalazł się na tym koncercie »Chór więźniów« z »Fidelia«, wykonany również bardzo starannie. Słuchając go, stawiałem sobie pytanie, czy wystawienie »Fidelia« na naszej scenie pozostanie na zawsze czemś niedoścignionem?

Wypada mi jeszcze wspomnieć o koncercie religijnym ruskiego chóru mieszanego, odbytym w ostatnich dniach marca. Wykonano na nim cały szereg utworów rosyjskich kompozytorów kościelnych, o mniej lub więcej znanych nazwiskach. Z czysto muzycznego punktu widzenia, nie wszystkie z tych utworów są zajmujące, najmniej zaś te, które co do stylu są niezupełnie zdecydowane i w skutek tego niejednolite, a których długość przy skąpej polifonii staje się nurzącą. Inaczej musi się rzecz ta przedstawiać w zastosowaniu tych śpiewów przy obrzędach kościelnych. Były jednak między tymi utworami kompozycje, zwłaszcza krótsze, które i z czysto muzycznego stanowiska, czynić muszą wrażenie, jak n. p. Czajkowskiego »Cheruwynską piśń« i Rymskiego-Korsakowa »Oteże nasz«.

O wykonaniu da się wiele dobrego powiedzieć tak co do brzmienia chóru, okraszonego dźwiękiem głosów chłopięcych, jak i starannego wystudjowania przez dyrygenta, pana Iwanusę. Tylko głosy męskie powinny się mitygować w uczuciowości, z jaką najniepotrzebniej każdą swą frazę starały się wypowiedzieć. Ta niewłaściwa uczuciowość grasuje i po innych towarzystwach śpiewackich.

S. K.

Moja wizyta u Brahmsa.

Rojno i gwarno było w sali hotelu saskiego w Krakowie. Wąskimi schodami i kurytarzem wciskały się tłumy ludzi do ciasnej i niewygodnej garderoby a ztamtąd do rzęsiście oświetlonej sali i z nerwowym pośpiechem szukały swych miejsc na zestawionych w zbite rzędy krzeselkach. Nie długo trwało a sala zapełniła się doszczętnie. Z przyległego pokoiku dolatywały dźwięki skrzypcowych passaży, zaostrożące ciekawość melomanów, wyczekujących niecierpliwie rychłego pojawienia się króla skrzypków, Józefa Joachima i towarzyszącego mu pianisty, słynnego kompozytora Jana Brahmsa.

Stałem wciśnięty we framugę drzwi, prowadzących do pokoiku artystów, cheiwy ujrzenia ich zbliska, przypatrzenia się uważnie ich twarzom, oczom, ruchom a serce tłukło mi się w piersiach tak, iż myślałem, że stojący obok słyszeć musi jego bicie.

W tem drzwi się otworzyły i wyrzał z nich znajomy mi dobrze Stanisław Niedzielski, ówczesny dyrektor krakowskiego Towarzystwa muzycznego. Spostrzegłszy mnie i domyśliwszy się z miny, jaką mieć musiałem, trawiącej mnie ciekawości, rzekł spiesźnie: »Pójdź Pan, przedstawię Pana« i pochwycając za rękę, pociągnął za sobą do pokoiku.

Niemiałem nawet czasu zastanowić się nad tem, co się stało, kiedy znalazłem się przed obliczem Brahmsa i usłyszałem głos Niedzielskiego, recytującego ze zwykłą sobie swobodą: »Die Herren gestatten, dass ich Ihnen einen unserer jungen Musiker, Herrn Johann Gall vorstelle«. Ukłoniłem się jak umiałem najpiękniej i zapomniałem języka w gębie.

Brahms widząc moje zakłopotanie, uśmiechnął się, puścił kilka dymów z olbrzymiego cygara i zapytał: »Sprechen Sie deutsch?« »Ja-wohl« brzmiała moja odpowiedź. »Na, — das ist schön, — da können wir ja nach dem Concert 'n bisschen plaudern. Sie kommen doch mit?« Ukłoniłem się powtórnie, nieprzytomnie prawie z nadmiaru szczęścia. Zjeść kolację w towarzystwie Brahmsa i Joachima przechodziło najśmielsze moje marzenia. Byłbym w tej chwili najchętniej rzucił się Niedzielskiemu na szyję i ucałował go setki razy. Tymczasem dwaj artyści zamienili ze sobą słów kilka i wyszli na estradę.

Pierwszym numerem programu była sonata (a-moll) Schumanną. Nie słuchałem jej ani mogłem słuchać, bo wszystkie myśli moje zaprzątnęła nadzieja rozmowy przy kolacji. Wyszedłem tedy na kurytarz i biegnąc po nim szybko tam i napowrót, rozmyślałem nad tem, co mówić, jak się zachować i o co się pytać. Wyznałem otwarcie, że mi chodziło głównie o Brahmsa. Znałem utworów jego bardzo wiele, zwłaszcza choralnych i otaczałem je zawsze czcią wielką. Joachim interesował mnie znacznie mniej. Nie powiem, żebym był niewrażliwy na jego mistrzowską grę, w oczach moich nie był on jednak tą dziwną zagadką, jaką się stawał Brahms, ile razy wsłuchiwałem się w jego pieśni, chóry lub ballady fortepianowe. Tkwiło w tem wszystkim coś mistycznego, jakaś poezya nie ztego świata, jakieś cienie i blaski, z których istoty nie mogłem zdać sobie sprawy, a które pociągały ku sobie nieprzepartą siłą.

Jak długo chodziłem po kurytarzach hotelu saskiego, tego już nie pamiętam, wiem tylko tyle, że przed końcem koncertu znalazłem się znou w pokoiku artystów. Oklaski, któremi darzone Joachima, zniewalały go do wielokrotnego ukazywania się na estradzie. Brahms w tym czasie ubrał się, zapalił cygaro i włożywszy ręce w kieszenie palta czekał na towarzysza... Nareszcie skończyły się oklaski. Joachim zapakował skrzypce i nuty, oddał je służącemu i zapewniając nas wszystkich, że głodny jest jak wilk, prosił, żeby go czempredzej do najbliższej zaprowadzić restauracyi. Wyruszyliśmy tedy wszyscy z pokoiku i udali się do restauracyi hotelu saskiego, gdzie stoły nakryte czekały na gości.

Podczas kolacyi mówiło się mało. Brahms jadł za trzech, Joachim również, od czasu do czasu tylko rzucając pytania, dotyczące pol-

skiej kuchni i piwnicy. Nareszcie najedli się, zapalili cygara i oblicza ich zaczęły się zwolna rozjaśniać.

»Was machen wir morgen mit Bielicka?« zapytał Joachim. »Also doch«, zawołał nagle Niedzielski, ich konnte es mir ja denken, dass Ihnen dieser Genuss nicht erspart wird. Dünner Thee, Butterbrod und drei Stunden schlechtes Clavierspiel. Ich bedauere die Herren lebhaft!

»Was? wrzasnął Brahms »dünner Thee, Clavierspiel und Butterbrod in einem Bergwerke? Ne, Kinder, das gibts nicht, dort bekommt ihr mich nicht. Fahr' allein, Josef, wenn du Lust hast, ich mache es nicht mit.«

»Wie ist es aber möglich, dass sich in einer solchen feuchten Tiefe, wo alles von Salz trieft, ein Clavier befinden kann?«

»Salz?« zapytałem zdziwiony. »Ach, Sie meinen wahrscheinlich attisches Salz? Sollte denn bei dem Manne wirklich so viel von diesem Material vorhanden sein?«

Brahms i Joachim popatrzyli na siebie potem na mnie i zapytali prawie równocześnie: »Wovon sprechen Sie eigentlich?« »Vom Professor Bylicki, welchen Sie soeben genannt haben« odparłem szybko.

Głośny śmiech obydwu artystów rozległ się po pokoju. Dopiero po chwili dłuższej, wytłumaczył nam Brahms, że chciałby zwiedzić saliny wielkie, o których od dawna wiele się nasłuchał, nie pamiętając jednak dobrze ich nazwy, przekreślił wyraz Wieliczka na Bielicka, z czego znowu Niedzielski wywnioskował, że mowa o Bylickim.

Wesołe »*Qui pro quo*« rozwiązało języki wszystkim i od tej chwili zapanował ton swobodny i wesoły. Przy pożegnaniu rzekł Brahms, podając mi rękę: »Besuchen Sie mich in Wien.«

Słowa te zapamiętałem dobrze, nie przypuszczając zgoła jak ważnymi staną się one kiedyś w życiu mojem.

W czerwcu tego samego roku pojechałem z pp. P. i ich synem do zakładu wodoleczniczego w Priessnitzthal pod Wiedniem.

Młody P. grywał na skrzypcach i nosił się z myślą oddania się w zupełności zawodowi artystycznemu.

Aby nie tracić czasu i przygotować się należycie do wstępnego egzaminu w lipskim konserwatorium, wyjeżdżał dwa razy w tygodniu do Wiednia, na lekcye gry skrzypcowej u znakomitego wówczas pedagoga Jakóba Donta. Towarzystwem mu zawsze w tych podróżach i bywałem niemal zawsze na lekcjach, gwarząc wesoło z jowialnym starszym lub przysłuchując się ciekawym nieraz opowiadaniom jego o różnych muzykach i ich dziełach.

Jednego razu, jadąc do Wiednia, przypomniałem sobie krakowskie zaprosiny Brahmsa i udałem się prosto z kolei na Karlsstrasse, umówiwszy się poprzednio z przyjacielem, że czekać będzie na mnie u Donta.

Dom, w którym Brahms mieszkał, stoi tuż obok kościoła św. Karola i ma wygląd ponury. Drzwi z kraty żelaznej zamykają schody na dole i na pierwszym piętrze a głęboka cisza panująca wszędzie ma w sobie coś klasztornego. Cisza ta nabawiła mnie niemałej tremy

i omal nie spowodowała zaniechania powziętego zamiaru. Znalazłszy się pod drzwiami, nie wiedziałem, czy zadzwonić, czy uciekać, kiedy nagle otworzyły się i przedemną stanęła postać wielkiego kompozytora z nieodłącznym cygarem w ustach.

Poznał mnie natychmiast i wyciągając rękę zawołał: »Na, das ist schön, Sie halten Wort und kommen. Was macht Krakau?« Z temi słowa zaprowadził mnie do drugiego pokoju, gdzie stał fortepian, kazał usiąść koło siebie na sofie i wpatrując się we mnie badawczo zapytał. »Was machen Sie in Wien?«

Opowiedziałem mu wszystko jak umiałem, nadmienając w końcu, że z początkiem września mam zamiar jechać do Lipska, aby tam dalej pracować, uczyć się i rozejrzeć się za jakimś zajęciem, dającym możliwość wykształcenia się w zawodzie kapelmistrza. Mówiłem dalej, że próbowałem kompozycyi i że najwięcej pociąga mnie pieśń, chór, słowem muzyka wokalna.

Słuchał tych moich zwierzeń Brahms i po chwili milczenia spytał, czy mam ze sobą jakie kompozycje własne. Była to chwila, kiedy atak tremy wystąpił u mnie najgwałtowniej. Kłamać nie chciałem i nie mogłem, choćby dlatego tylko, że zwitek nutowego papieru wyzierał z kieszeni mego surduta, powtóre, że pocziwa twarz mistrza tyle zdradzała dobroci i pobłażliwości, iż gotów byłem wówczas nawet wyrok śmierci przyjąć od niego z wdzięcznością. Wyciągnąłem tedy z kieszeni nuty i podałem je Brahmsowi.

Pierwszą piosnką, którą zobaczył, było »Dziewczę z buzią jak malina«. Przyjrzał się jej uważnie i rzekł: »Nicht übel, das Ding, Sie scheinen Melodie zu haben«, potem oglądnowszy resztę pieśni, zwrócił mi zeszyt ze słowami:

»Schreiben Sie recht viel instrumentales, das Vocale wird Ihnen keine besonderen Schwierigkeiten machen. Gehen Sie zu einem guten Contrapunctisten. Einerlei zu wem. Wenn Sie es durchaus haben wollen, dann meinnetwegen auch nach Leipzig, obwohl die Musik nicht dort gerade erfunden worden ist. Jedenfalls lernen Sie strengen Satz. Diese Fesseln machen frei! Haben Sie Bekannte in Leipzig?«

Wpatrzony w mistrza, zaprzeczyłem ruchem głowy. Brahms przystąpił do biurka, wyjął z niego dwa bilety i na każdym z nich napisał po kilkanaście słów. Wręczając mi je, dodał: »Es sind gute, edle Menschen, an welche ich Sie weise. Verdienen volle Achtung. Gehen Sie nur hin und machen Sie's gut«.

Nie wiedziałem jak dziękować i co powiedzieć, uchwyciłem tylko obydwoją rękami dłoni mistrza i zacząłem ją ścisnąć z całych sił. Przy drzwiach dodał jeszcze uśmiechając się dobrotliwie: »Grüssen Sie mir die Sachsen, die schönen Mädchen lassen Sie aber laufen, — sie passen nicht in den strengen Satz«.

Znalazłem się na schodach prawie nieprzytomny z nadmiaru szczęścia i radości. Przyciskając ręką kieszeń, do której schowałem listy biegłem z całych sił do staeyi tramwaju. Wskoczyłem do wagonu

trzymając się ciągle za kieszeń. Jazda do mieszkania Donta, zdawało mi się, trwała wieki. Nareszcie stanąłem u celu. Wbiegłem jednym tchem po schodach i jak bomba wpadłem do pokoju, w którym przy starym szpinceiku siedział Dont i akompaniował jakiejś smyczkującej pannie. »Herr Professor, wissen Sie, wo ich war?« Krzyknąłem mu nad uchem.

»Im Narrenthurm höchst wahrscheindli, Sö seh'n ganz darnach aus«, odparł staruszek. »Was fehlt Ihnen denn eigentli?«

Wyjąłem listy Brahmsa i dając je w rękę staruszkowi rzekłem z dumą: »Hier, lesen Sie, Herr Professor, schimpfen Sie aber nicht, sonst werde ich wild«.

Dont poprawił okulary, zażył tabaki i przeczytał obydwie karty.

»Na, wenn weiter nichts ist, solcher Karten hätte ich Ihnen ein Dutzend geben können.«

»Ich halte Sie beim Worte, verehrtester Professor« nieomieszkałem dodać, chcąc uniknąć posądzenia, iż wyżej cenię polecenie Brahmsa.

«Wenn Ihnen daran gelegen ist, so sollen Sie auch von mir eine Empfehlung erhalten und zwar an meinen Leipziger Verleger, Herrn Sander, in Firma F. E. C. Leuckart.

Sie fahren mit ihm sicher besser, als mit den anderen. Damit ich es nicht vergesse, sollen Sie's gleich haben«.

I usiadł staruszek przy biurku i napisał ciepły, serdeczny list do nakładcy lipskiego Leuckarta, z którym go od lat wielu łączył stosunek przyjaźni. Wręczając list chwycił mnie za guzik u surduta i z miną tajemniczą wyszeptał. »Geld giebt er nit gern aus, 's Honorar wird erflucht dünn ausfall'n. Macht aber nix! Aller Anfang ist schwer. 'S wird schon kumma! Pführt Ihna Gott!«

Łatwo sobie wyobrazić z jaką miną, z jak pełnem nadziei sercem wracałem do Priessnitzthal. Ile projektów, ile planów roilo się w mej głowie!

Lat minęło wiele — chwil przeżytych w tym dniu, nie zapomnę jednak nigdy. Spojrzałem w oczy dwom wielkim artystom i poznałem dwa zaćne serca!

Jan Gall.



LITERATURA.

Przegląd ogłosił w Nr. 91 z bieżącego roku artykuł podpisany literami Z. L. S. pod tytułem „Zapomniany utwór Słowackiego“. „Z powodu obchodu 50-tej rocznicy zgonu Słowackiego czytamy tam — chcę przypomnieć jeden zapomniany utwór tego genialnego poety. Mówię: zapomniany, a właściwie powinniśmy powiedzieć: nieznany. Nigdzie bowiem, w żadnej historii literatury, w żadnej książce, dotyczącej życia i dzieł twórcy „Lilli Wenedy“, nie ma wzmianki o tej pracy. A przecież w swoim czasie znana była, przed laty 20-tu wspomniano o niej: mimo to nikt się tem nie zajął, by ją odszukać, zbadać bliżej i wcielić do pism wielkiego poety“. Utworem tym ma być komedia „Chłopiec studukatowy“, napisana rzekomo przez

wielkiego poeę, jako urzędnika jednej z komisji rządowych w Warszawie, grana podówczas na scenie warszawskiej i ciesząca się niemałym powodzeniem.

Otóż nieznanym nam bliżej autor niesłusznie posadza badaczy literatury polskiej o tak wielką obojętność — zglętem spuścizny po Słowackim. Notowali oni skrzętnie wszystko cokolwiek dotyczyło Juliusza i, o „Chłopcu studukatowym“ jednak zamilczeć musieli, bo nie wyszedł on z pod pióra Słowackiego. Dość przecie zaglądnąć do IV. tomu *Bibliografii* Estreichera, by tam znaleźć przy nazwisku Słowaczyński notatkę: „Chłopiec studukatowy czyli zaklęta w karcę księżniczka na Ordynackiem“. Fraszka ze śpiewami. Warszawa 1830.

Wspomniany wyżej autor przyswoił nadto dla sceny warszawskiej z francuskiego komedyo-operę w jednym akcie p. t. „Antoni i Antosia“, oraz jednoaktową krotocwilę ze śpiewkami: „Kucharki“, a prócz tego napisał jednoaktówkę oryginalną: „Waryat z potrzeby“.

Michał R.

Listy Juliusza Słowackiego. Z autografów poety wydał po raz pierwszy Leopold Meyet. — Lwów. — Nakładem księgarni Polskiej. 1899. T. I—II.

Listy Juliusza, pisane do matki i do rodziny, ukazują się po raz pierwszy w wydaniu zupełnem, uskuteczniomem na podstawie autografów, które po zgonie ś p. Wiktora Sobieszczańskiego, zgasłego we Lwowie w roku 1891, przeszły następnie na własność p. Leopolda Meyeta. Dopiero porównanie oryginalnych z odpisami, jakimi posługiwali się poprzedni wydawcy korespondencji poety, wykazało znaczną ilość błędów, opuszczeń i niedokładności, szpecących owe publikacye. Uzupelnienie tych właśnie opuszczeń i braków przedstawiało trudne i wdzięczne zarazem zadanie dla wydawcy *Listów*, który nadto w licznych, starannie opracowanych komentarzach starał się objaśnić każdą prawie osobistość lub zdarzenie, wspomniane w korespondencji poety. Ważną usługę w tej mierze oddał p. Meyetowi obfity zbiór dokumentów urzędowych i prywatnych, dotyczący rodziny Słowackich, jaki udało mu się zgromadzić w oryginałach lub choćby w odpisach. Zawarta w publikacji p. Meyeta korespondencya Juliusza z matką, pełna poufnych a serdecznych zwierzeń, tworzy rodzaj autobiografię poety od chwili, gdy mu wypadło rzucić kraj ojczysty. Z tego też powodu, uznał wydawca za stosowne poprzedzić listy Słowackiego wyjątkami z jego pamiętnika, gdyby przedmowa, wyjaśniająca życie poety w Warszawie w epoce, która poprzedziła wybuch listopadowej rewolucyi. Tekst korespondencyi urozmaicają liczne ilustracye: wizerunki Juliusza, najbliższej jego rodziny, wreszcie miejscowości w życiu poety, z jakichkolwiek względów upamiętnionych.

Stanisław Kutrzeba: *Historya rodziny Wierzyńków.* Kraków 1899. Osobne odbicie z *Rocznika* krakowskiego. Postać Wierzyńka przeszła już niemal do legendy, znana każdemu malcowi nawet z opowiadań i rysunków, dla tego dobrze uczynił p. Kutrzeba zajmując się dokładnem możliwie skreśleniem działalności tej rodziny w przybranej jej ojczyźnie, Polsce. Sięgnąwszy do najstarszych kronik i kodeksów, wydobyl z nich autor pełną garść faktów i szczegółów, często nawet bardzo drobnych, które razem wzięte, umożliwiły mu dokonanie zamierzonej pracy. Rzecz naturalna, że nie wszystkie zagadki i łamigłównki udało się p. Kutrzebie rozwiązać, brakło bowiem potemu dostatecznego materyału dowodowego, nieraz poprzestać musiał na zanotowaniu przypuszczenia tylko, ale mimo to praca jego posiada wartość rzeczywistą i miłośników przeszłości naszej zajmie szczerze.

Album współczesnych poetów polskich. (1863—1898), wydał Jan Kasprowicz — Lwów. — Księgarnia Polska. 1898. T. I.—II.

Wbrow pesymistycznemu pogładowi wydawcy, który w przedmowie do Albumu pomawia nasze społeczeństwo o wielkie zubożenie dla poezyi, myśl ogłoszenia antologii, złożonej z utworów poetyckich ostatniego ćwierćwiecza znajdzie, naszym zdaniem, sympatyczne przyjęcie ze strony czytającego ogółu polskiego. »Album« obejmuje utwory 47. najwybitniejszych poetów ostatniej doby, przyczem wydawca obok dzieł już ogłoszonych uwzględnił też niejednokrotnie utwory dotychczas niedrukowane. W układzie »Albumu« trzymał

się p. Kasprowicz metody chronologicznej, o ile to było możliwe w oznaczeniu działalności odnośnego autora, występującego w jakimś czasopiśmie z donioślejszym utworem, podczas gdy zbiorowe wydanie jego poezji ukazało się o wiele później. Okres współczesnej poezji rozpoczyna wydawca od Leonarda Sowińskiego, którego potężny, choć niedoceniony talent zaznaczył się wybitnie w przededniu styczniowego powstania. Wybierając najbardziej znamienne utwory każdego pisarza, poprzeczając je p. Kasprowicz króciuchną, niekiedy aż nazbyt lakoniczną wzmianką o życiu i dziełach odnośnego poety. Dla publiczności galicyjskiej szczególniejszy przedstawiają interes ustępy »Albumu«, zawierające wyjątki z poezji: Władysława Bełzy, s. p. Maryi Bartus, Bolesława Czerwińskiego, Leona Dziubińskiego, Jana Kasprowicza, G. Kohna, Franciszka Konarskiego, Władysława Ordona, Rodocia, Rossowskiego, s. p. Stebelskiego, Szczepnej, Urbańskiego, i Zagórskiego, (Chochlika), przebywających czasowo lub przez czas dłuższy we Lwowie. Oczywiście »Album« nie obejmuje całego zastępu tutejszych poetów, że wymienimy tylko Romana Polińskiego, Zawrata lub s. p. Andrzeja Fredrę, i Antoniego Świątkiewicza, których utwory opuściły prasy drukarskie także w książkowym wydaniu. Odczuwał te braki i sam p. Kasprowicz, który nie chcąc przekraczać granicy, zakreślonej stosunkami wydawniczymi, wyraził nadzieję, iż w miarę przychylnego przyjęcia w mowie będącej publikacji, daną mu będzie sposobność do rozszerzenia ram »Albumu« w przyszłej edycji. Zbiorek, wydany starannie pod względem zewnętrznym, zdobi podobizna Asnyka.

...i.

Kazet: Scherzo. Zbiór wierszy. Tomik I. Złoczów. Nakład Wilhelma Zukerkandla. Często bardzo spotykany na szpaltach *Smigusa* autor, wydał sympatyczny bezpretensjonalny zbiorek utworów rymowanych. Nie znajdziemy w nich ani żółci gryzącej, ani pozy, ani bezcelowego mędrkowania, lecz w zamian za to nie braknie tutaj szczerego humoru. I w pierwszej części zbioru pod wspólnym tytułem: O niej; i w drugiej: Z teki Zoila, widnieją częstkocień błyski talentu poetyckiego, widoczna wielka łatwość rymowania.

mr.

Bukowina wypełniła już ośm zeszytów olbrzymiego wydawnictwa: »Die österreichisch-ungarische Monarchie in Wort und Bild«. Cały szereg rozpraw opracowano tutaj bardzo starannie a strona ilustracyjna wydawnictwa zasługuje wistocie na podniesienie. Trzy ostatnie zeszyty zajęła niemal w całości rozprawa p. Jana Sbiery i S. Fl. Mariana p. t. Die Rumänen, napisana przejrzystie i zajmująco, ozdobiona wielu bardzo rysunkami utalentowanego artysty-malarza Juliusza Zuberera. Ostatni z prawdziwym zamiłowaniem poświęca się studjom nad typami rumuńskimi i ruskimi, dla tego też jego ilustracje posiadają rzeczywistie większą wartość jako wybrane trafnie i odtworzone z fotograficzną wiernością i dokładnością. W zeszycie ósmym *Bukowiny*, całego zaś zbioru 322, znajdujemy nadto początek pracy Aleksandra Manastyrskiego p. t. »Die Ruthenen«.

mr.

Jan Sten „Poezye“. Lwów nakładem Księgarni Polskiej, z drukarni Narodowej w Krakowie. Trzeba mieć okrutnie dużo wolnego czasu i absolutnie nic nie robić, ażeby pisać tego rodzaju wiersze, jakie zawiera elegancko (nawiasem powiedzmy) wydana książeczka pana Stena, o 68 stronicach druku. Niestety, dużo ludzi niema tyle czasu, aby czytać podobne książki, a raczej jeżeli je przeczytają, to czas na to użyty mogą uważać za bezpowrotnie stracony. P. Sten wierzy, iż to co napisał to „poezye“. Zostawny go w jego zdudzeniu, a przed sobą powiedzmy, że są to wiersze o ile jasne i zrozumiałe o tyle prozaiczne, a ile zaś niejasne o tyle wcale nie poetyczne. Jedno stwierdzić należy: patryotyczny podkład u autora, który ubolewa nad smutnym położeniem politycznym, w jakim znajduje się Królestwo Polskie i Warszawa. Ale wszystkie utwory autora na ten temat to raczej wierszowane myśli i uwagi społeczno-polityczne, niż pomysły poetyczne, wybuchy fantazyi. Forma słaba, często wprost niedołężna, a prztem jednak bardzo pretensjonalna. Cały tomik czyni wrażenie usiłowań, porywów niezawodnie szlachetnych, ale bardzo niedolnych.

R. P.

Adam Stodor: „Adoracya“ Poezye. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1899. Już to na piszących „poezye“ urodzaj u nas co roku, szczególnie na wiosnę, nadzwyczajny, ale poezyi jakoś nie wiele. Dużo zieleniny literackiej mało pięknych rozwiniętych kwiatów prawdziwego uczucia, szczerzego natchnienia i bujnej fantazyi. Trzeba wszakże przyznać, że urywki, drobne wiersze p. Stodora, zamieszczone w pięknie wydanym tomiku o stu blisko stronach, jeżeli nie są perłami a choćby koralikami, to przecież tu i ówdzie trafi się między nimi rzecz, która wskazuje, że autor bodaj cokolwiek wzbija się wyżej ponad „Szare ptaństwo“, ponad rzesze wróbli, którym się zdaje czasem, że są słowikami, a czasem — bagatela! — orłami. P. Stodor jest wielkim melancholikiem i pessimistą, wzywa ciągle śmierci i ma jej wizye, ale ten smutek jego pozostawia czytelnika zimnym, nie budzi współczucia. Wogóle hole osobiste poetów nie bardzo interesują szerszy ogół czytających, chyba że tak silnie tak genialnie są wyspiewane, jak je wyspiewywali n p Byron albo Słowacki, którzy mimo, że o sobie mówili, przecież umieli żalem swym do świata objąć szersze horyzonty myśli, szersze sfery dacha ludzkiego i życia społecznego. P. Stodor mówi ciągle ja cierpię, jabym pragnął, jabym to i owo... Mimo więc, że jak powiedziałem wyżej, widać pewne przebliski talentu, usiłowania w celu opanowania formy, urozmaiceni^a jej, przecież jak na teraz jeszcze o autorze nie stanowczego orzec nie można. Może gdy się pozbędzie swego chorobliwego, a może i trochę przesadnego i nieszczerzego pessimizmu, jeżeli zapali się jakąś szczerą dodatnią a żywotną ideą, może zadatki talentu nie pójdą na marne.

R. P.

Robert de la Sizeranne: Ruskin i Kult piękna. — Tom II. — z francuskiego przełożył Antoni Potocki. — Lwów. — Nakładem księgarni H. Altenberga 1-99 r.

Tom drugi ciekawego tego dzieła ukazał się nakładem wydawnictwa „Wiedzy i życia“. Autor zaznaczywszy w przedmowie, iż nie ma bynajmniej na myśli analizy poszczególnych dzieł Ruskina, stara się dać nam ogólny obraz myśli tego pisarza o przyrodzie, o sztuce i o życiu, w okresie lat 1843—1888. Synteza owa — jak twierdzi de la Sizeranne — była tem potrzebniejszą, ileż mniej przezorni acz żarliwi uczniowie Ruskina wspólnie z pomysłowymi jego przeciwnikami w samejże Anglii zdołali wytworzyć z gruntu fałszywą opinię o tegoż doktrynie. Nie obciążając wykładu uwagami i zastrzeżeniami osobistemi, rozwija autor myśli Ruskina o przyrodzie, tłumacząc jej wpływy na duszę ludzką i doszedłszy aż do zagadnień bytu tejże przyrody nabrał on w końcu przekonania, że jeśli nie jej siły, to jej piękno jest jeszcze czemś niewytłomaczonym. Piękno uważał Ruskin za wielkie źródło natchnienia dla czynów ludzkich, za najwyższe szczęście i najtrwalsze prawo. Przekonaniu temu pozostał wierny po koniec życia i sporządzając swój testament umysłowy oświadcza za całą stanowczością, że poznanie piękna jest prawdziwą drogą i pierwszym szczeblem do poznania dobra. Dlatego też sztukę nazwał ów myśliciel czemś bardzo wielkiem w stosunku do ludzi i zarazem czemś bardzo małym w stosunku do przyrody. Artysta jako pośrednik między tą ostatnią a ludźmi spełnia jedno z najważniejszych zadań ludzkości. Jaka sztuka, takie życie. Marząc o odrodzeniu piękna przyrody ciała i duszy, sądził Ruskin, że wraz z pięknem odrodzi szczęście ludzkości. Bogactwo uważał on jako zło zarówno ze stanowiska etyki przyrody, którą oszpeca, jak ze stanowiska szczęścia maluczkich, których unieszczęśliwia. Kult piękna dał mu się najodpowiedniejszym środkiem do rozwiązania zagadnień społecznych, o czem — nawiasem mówiąc — rozprawił nie ze stanowiska możliwości, lecz gdyby o wypadkach, których widownią byłaby bajeczna Baratarya... Słusznie więc zalicza de la Sizeranne autora „Praeteritów“ do zastępu duchów błędnych, szukających prawdy bez jakichkolwiek ukrytych, egoistycznych celów, wolnych od pychy, silnych miłością i wiedzą a po przeczytaniu niniejszej książki nie zdziwi nas bynajmniej kult, jakim stara Anglia otacza nazwisko męża, który wywarł wpływ tyle znamienny na otaczające go społeczeństwo. Przekład p Potockiego nie grzeszy jasnością i lekkością stylu a korekta tekstu zdradza pewną pobieżność, zwłaszcza co do nazwisk rozmaitych osobistości, w tekście wspomnianych. ...i.

Angello Mosso. Fizyczne wychowanie młodzieży. Tłóm. St. Brzozowski. Jako czwarty tom wydawnictwa „Wiedza i życie” pojawiła się książka, którą powinien uważnie przeczytać każdy, kogo rozwój fizyczny naszego społeczeństwa obchodzi. Z książki tej dowie się, że gimnastyka niemiecka jest złą i szkodliwą, a system zabaw angielskich przeciwnie bardzo pożyteczny. Po przeczytaniu tej książki przestajemy ubolewać nad tem, że „Sokoły” wględnie słabo się dźwigają. Opierając się na gimnastyce niemieckiej są nie tylko przeciwnie naszemu duchowi, ale nawet zgubne ze stanowiska racjonalnego rozwoju fizyologicznego. Rzecz napisana wyczerpująco i powinna zachęcić wielu do uprawiania sportów, które tak są pożyteczne a tak mało u nas jeszcze znane.

W. S.

Prof. Dr. Józef Nusbaum. Z zagadnień Biologii i Filozofji przyrody. Literatura nasza nie obfituje w prace z zakresu nauk przyrodniczych i biologicznych. Obojętność na tem polu jest znaczna, podaż mała, popyt bodaj jeszcze mniejszy. Książka prof. Nusbauma zasługuje na uwagę pomimo, że nie jest pracą oryginalną. Jako informacja, daje czytelnikowi mnóstwo ciekawych wiadomości, które pozwolą mu się zorientować w pewnych nowoczesnych kierunkach, charakteryzujących nauki biologiczne. Szczególniej przyjemnie czyta się pierwszy szkic p. t. „Z dziejów Darwinizmu po Darwinie”.

W. S.

Josephi Bartholomaei Zimorowicz Opera: Quibus Res Gestae Urbis Leopoli Illustrantur. — Józefa Bartłomieja Zimorowicza Pisma do dziejów Lwowa odnoszące się. Z polecenie Reprezentacyi miasta wydał dr. Korneli Heck. — Lwów. — Nakładem gminy król. stoł. miasta Lwowa 1893.

Do niezbyt dawna stroniczka i wrogą dla społeczeństwa polskiego tendencją ziejąca kronika Zubrzyckiego była jedynem, boć najobfitszem i na archiwalnych studyach opartem źródłem wiadomości, odnoszących się do dziejowej przeszłości Lwowa. Z tem też większem uznaniem przyjąć należy pojawienie się pierwszego, krytycznego wydania kroniki Zimorowicza, znanej dotychczas z nieudolnego przekładu Piwockiego, dokonanego językiem dziwacznym z tak zwanej kopii Bazyliańskiej. Ogółem istnieje w tej chwili sześć rękopisów w mowie będącej kroniki, której oryginał znajdujący się w lwowskim archiwum miejskiem jeszcze pod koniec minionego stulecia, zginął następnie bez śladu i wieści. W wydaniu niniejszem pism Zimorowicza posługiwał się dr. Heck, zwłaszcza przy *Leopolis triplex* głównie rękopisem krakowskim, ongi stanowiącym własność ś. p. Żegoty Paulego a zachowanym obecnie w bibliotece Jagiellońskiej i wyraźnie w przedmowie zaznacza, że t. z. Kronika składa się z trzech oddzielnych części, w różnych odstępach czasu powstałych. Tak więc część pierwotną, napisaną w latach 1665—1667 a traktującą o dziejach Lwowa od czasów najdawniejszych po rok 1597, poprzedza wstęp, dodany później, omawiający czasy bajeczne oraz stosunki polsko-ruskie aż do czasu zdobycia miasta przez Kazimierza Wielkiego, podczas gdy część druga kroniki, urwana na r. 1633, powstała prawdopodobnie w latach 1670—1672. Szczerze przywiązany do rodzinnego grodu, występuje Zimorowicz w swych dziełach o Lwowie jako zdecydowany rojalista i ztąd niechętny szlachcie, dążący do ograniczenia władzy monarszej a równocześnie zdradca oczywistą niechęć oraz pogardę wobec pospółstwa miejskiego i chłopów. Głęboko religijny, nie żywi bynajmniej tolerancyi wobec innowierców i szczególniejszą okazuje niechęć dla starozakonnych, zarówno ze względów religijnych jakoteż społecznych. Mimo wprawy w języku łacińskim, grzeszy Zimorowicz napuszystością stylu, który przeladowany przenośniami i omówieniami, staje się częstokroć wręcz niezrozumiałym. Nie należy wszakże zapominać, iż autor kroniki był zarazem poetą a i obawa przed bezwzględnem wypowiedzeniem prawdy odegrywa w owej niejasnej stylizacyi nie podrzędną wcale rolę.

Po »Kronice« następują: pamiętnik obłężenia miasta w r. 1672 (*Leopolis obsessa*), ostatnie dzieło Zimorowicza, wydane dopiero w lat szesnaście po śmierci autora, *Elogia quatuor obsidionum*, życiorysy znakomitych Lwowian, (*Virs*

illustres civitatis Leopoliensis), rzecz szczęśliwa w pomysłach lecz chybiona w wykonaniu, wreszcie opis lwowskiego kościoła OO. Bernardynów, (*Domus virtutis et honoris*). Tekst zaopatrzył wydawca słowniczkiem wyrażań łacińskich, rzadziej używanych oraz skorowidzem imiennym. Wydanie »Pism«, wielce staranne pod każdym względem, zaszczyt przynosi zarówno drowi Heckowi jako też Reprezentacyi król. stoł. miasta Lwowa, ponoszącej koszt nakładu. Dzieło zdobia podobizna herbu m. Lwowa oraz portret Zimorowicza.

P. .i.

Edmund Naganowski: *Sny Przedostatnie*. (Poznań, 1899).

Drobna ta rozmiarami, lecz pełna głębokiej refleksyi broszura znanego powieściopisarza oraz publicysty powstała, jak autor wyraźnie w przedmowie zaznacza, pod wpływem dziełka angielskiego pisarza Coulsona Kernahana, noszącego tytuł: *Dziecko, Mędrzec i Dyabeł*. W sześciu ustępach, osnutych częściami na odrośniętych rodziałach ewangelii, stara się autor uzasadnić konieczność wyznawania czynami prawd, uznawanych do niedawna przez ogół naszego społeczeństwa skrytą tylko, choć szczerą myślą lub cichem sercem zboląłych szemraniami. Pewny, niezwykły dla nas mistycyzm owiewa całość »Snów«, dodając im marzycielskiego uroku, choć znajdują się tam również ustępy, tchnące potężną siłą, jaką tylko gorąca miłość. Ojczyzny i dziejowej naszej przeszłości podyktować może. Taką potęgą myśli i słowa odznacza się zwłaszcza rozdział piąty, przedstawiający świat bez Chrystusa, próżnię bezduszną, wśród której panować chce wszechwładnie prawo natury. W naszych stosunkach polityczno-społecznych pojawienie się »Snów Przedostatnich« nie jest bynajmniej faktem przypadkowym.

Obrazy dla Szkoły i domu. Zapoczątkowane przed dwoma laty przez wiedeńskie Towarzystwo dla reprodukcji dzieł sztuki wydawnictwo *Obrazów dla szkoły i domu*, przedstawia się mimo niskiej stosunkowo ceny, wcale okazale. Zadaniem tej arcy potrzebnej publikacji było przede-wszystkiem ułatwienie pogładowej nauki w szkole a zarazem wyrugowanie nieestetycznych malowideł i obrazków dla dzieci, sporządzanych przez nieudolnych rzemieślników, fabrykantów. Tak więc zarówno estetyczne jak pedagogiczne względy spowodowały Towarzystwo do podjęcia, wydawnictwa zawierającego reprodukcje istotnych, poważnych dzieł sztuki, która wbrew niezdrowej acz bardzo rozpowszechnionej praktyce te same dla starszych, co i dla młodzieży posiadać winna warunki. Dotychczas ukazały się dwie serye »Obrazów«, każda złożona z 25 kartonów, odbitych starannie na dobrym, formacie in folio papierze. W wyborze tematów uwzględnili wydawcy zarówno dzieje powszechne i biblijne, jak geografie, życie zwierząt, urządzenie techniczne, baśnie i legendy, wreszcie obrazy z życia ludu. Wśród drzeworytów cynkografii i miedziorytów, sporządzanych podług rysunków artystów niemieckich, czeskich i węgierskich, spotykamy też reprodukcje uskutecznione z kompozycji naszych malarzy: Pochwalskiego i Stachiewicza, (Portret Cesarza Franciszka Józefa — Legenda o Matce Boskiej), tudzież ryciny Friedricha i Charlemona, przedstawiające wjazd Sobieskiego do Wiednia w r. 1683 oraz wnętrze kopalni wielickich. Na odwrotnej stronie każdego kartonu umieszczony tekst polski ułatwia zrozumienie każdego poszczególnego obrazu.

Encyklopedia powszechna z ilustracyami i mapami, wydawana w Warszawie przez S. Orgelbranda, dobiegła już do zeszytu 75. tomu IV. i obejmuje literę **D**. Czy całość wydawnictwa zadowolni odbiorców jego? Na razie powiedzieć trudno. To pewna, że znajdujemy w dotychczasowych tomach pewne braki i usterki, a portrety — szczególnie polskich głośniejszych osobistości — pozostawiają bardzo wiele do życzenia, grzesząc przede-wszystkiem zupełnem nieledwie brakiem podobieństwa.

Kwartalnik historyczny zeszyt pierwszy rocznika XIII. ukazał się pod nową, a raczej ponowną redakcją Aleksandra Semkowicza. Przedstawia się on wcale nieźle, choć nie dorównywa w znacznej mierze poprzedniemu. Prócz zwykłych działów, opracowanych przez pp. Stanisława Witkowskiego, Stanisława

Zdziarskiego i Wł. Semkowicza, znajdujemy w tym zeszycie część pierwszą rozprawy dr. Antoniego Prochaski p. t. »O naprawie Rzeczypospolitej Ostroroga«; ciekawy artykuł Aleksandra Kraushara »Albert Sarmata (Wojciech Turcki)«; notatkę bibliograficzną A. Brücknera »Ł. Górnickiego: Rozmowa Polaka z Włóchem«, i Szymona Askenazego »Napoleon, a wojsko polskie w 1813 r.«. W obfitym dziale sprawozdawczym znajdujemy prace A. Brücknera, St. Zdziarskiego, M. Perlbacha, L. Lepszego, A. Winiarza, T. Mańkowskiego, W. Rolnego, A. Prochaski, W. Semkowicza, E. Barwińskiego i M. Rollego. Nie przestaniemy nigdy zachęcać naszych czytelników do gorliwego popierania cennego tego wydawnictwa.

»Slovansky Prehled« miesięcznik, redagowany w Pradze przez Adolfa Czernego, przynosi znów w kwietniowym zeszycie sporą wiązkę rzeczy polskich. I tak na czele numeru, ozdobionego podobizną Adama Mickiewicza, znajdujemy przekład »Sonetów krymskich«, (z wyjątkiem końcowego »Jastrzębia« ogłoszonego w albumie Moszyńskiego), poprzedzony wstępem słowem przez tłumacza, którym jest Jaromir Borecky. Drugi obszerny artykuł w dziale przeglądu literatur słowiańskich za rok 1898 wyszedł z pod pióra dra Piotra Chmielowskiego. Znakomity badacz i znawca naszej literatury daje treściwy i wyrazisty zarazem obraz dorobku literatury rodzimej w ciągu minionego roku, tak w dziedzinie poezji jak i prozy. Mówi przeto o programie »Życia«, który mieni objawem wybujałego indywidualizmu i niejasnej filozofii, oraz o odprawie, jaką dał »Życiu« Bolesław Prus. Wspomina następnie o zbiorowym wydaniu warszawskiem pism ś. p. Asnyka, o poezjach Konopnickiej, Faleńskiego, Tetmajera, Langego, Kasprowicza, Jankowskiego, Wierzbickiego i Rydla tudzież o wydanych ostatnio we Lwowie i w Warszawie antologiach, (»Album współczesnych poetów«, »Młoda Polska w pieśni«). Dział prozaiczny rozpoczyna Chmielowski od »Krzyżaków« Sienkiewicza i napomknąwszy pokrótce o »Wyborze Pism« Szaniawskiego, omawia następnie wydane w roku minionym utwory: Orzeszkowej, Świętochowskiego, Dygasińskiego, Jasiieńczyka, Reymonta, Gruszeckiego, Sieroszewskiego, Żeromskiego, Godlewskiej oraz Weysenhofa. Każdemu z tych pisarzy poświęca sprawozdawca dłuższą lub krótszą wzmiankę.

Towarzystwo Wydawnicze we Lwowie ogłosiło ostatnio sprawozdanie z czynności i z zamknięcia rachunków za drugi rok obrotowy 1898 r. Powstałe w grudniu 1896 r. w charakterze stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką, liczy obecnie Towarzystwo członków 94, z kapitałem udziałowym 1.896 zł. 79 ct. Dotychczas ogłosiło Towarzystwo utwory: Zdzisława Dębickiego, dra Marcina Ernsta, Jana Kasprowicza, Tadeusza Korzona, Maryi Turzymowej, Stanisława Witkiewicza i Maurycego Zycha, wypłaciwszy autorom dzieł już wydanych lub też zamierzonych tytułem honorarium sumę 1.599 zł. 19. ct. Koszt wydawnictw wymagał nakładu 3.597 zł. 78 ct., zaś ze sprzedaży wpłynęło 875 zł. 19. ct. Rezultat ten nazwać można dodatnim, jeżeli się zważy że wydawnictwa Towarzystwa wchodzą dopiero do obrotu księgarskiego oraz że obliczenia i realizowanie sprzedaży przypadają nieco później od terminu zamknięcia rachunków Towarzystwa. Zapasy wydawnictw, pozostałe na rok 1899, przedstawiają łączną wartość 3.181 zł. 82 ct. licząc je ściśle po cenie kosztu.

Wobec stagnacji a raczej zaniku, objawiającego się już od dłuższego czasu w stosunkach wydawniczych galicyjskich, powstanie i rozwój instytucji, mającej za zadanie nabywanie prac literackich i popularno-naukowych swoich członków, wydawanie ich drukiem i rozpowszechnianie — jest objawem wielce pożądanym a w interesie zarówno piśmiennictwa galicyjskiego jakoteż tutejszych pracowników pióra życzyliby sobie należało, iżby Towarzystwo pozyskawszy znaczniejszy kapitał obrotowy, mogło odpowiednio rozszerzyć zakres swej działalności.



Z Koła Literacko-Artystycznego.

W dniu 8. kwietnia r. b. o godz. 8 wieczorem odbyło się Zwyczajne Walne zgromadzenie członków Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie. Udzielono Wydziałowi absolutorium, poczem przystąpiono do wyboru uzupełniającego czterech członków Wydziału. W skład Wydziału weszli: pp. Romuald Bobin, Izydor Kuncewicz, Franciszek Neuhauser i Erazm Świerczewski. Do komisji rewizyjnej wybrano pp. Augusta Hr. Łosia, Jana Grollego i X. Jana Mardyrosiewicza.

Inauguracyjne Zebranie Wydziału naukowo-literackiego odbyło się w »Kole« w dniu 11 kwietnia r. b. Obrady zagaiały wobec liczного grona literatów, dziennikarzy i artystów I. wiceprezes »Koła« rektor, dr. August Balasits, wyrażając radość z powstania nowej instytucji, która zbliży do siebie pracowników pióra i sprawi, że »Kole« stanie się w rzeczywistości stowarzyszeniem naukowo-literackiem. Z kolei przewodniczący Wydziału, redaktor Adam Krechowicki, zaznaczył program i cel przyszłych prac nowopowstającej instytucji, poczem przystąpiono do obrad nad regulaminem, którego ostateczne uchwalenie poruczyli zgromadzeni komisji złożonej z tymczasowego Zarządu, (pp. Adam Krechowicki, Franciszek Rawita-Gawroński, Aureli Urbański, Stanisław Schnür-Peplowski i Michał Rolle), oraz z pp. dra Aleksandra Czołowskiego, Franciszka Konarskiego i Bronisława Laskownickiego. Wybór ostateczny Zarządu odroczone aż do chwili przyjęcia regulaminu, omawiając natomiast szczegółowo program, kierunek tudzież warunki materialne wydawnictwa *Iris*. Do komitetu redakcyjnego wybrano pp. Adama Krechowickiego, dra Józefa Korzeniowskiego, Aurelego Urbańskiego, Stanisława Schnür-Peplowskiego, Stanisława Nowiadomskiego, Jana Stykę i Michała Rollego.

Członkowie »Wydziału« zobowiązali się również do jak najusilniejszego popierania sprawy budowy pomnika Mickiewicza, Chopina i Ujejskiego w naszym mieście, równocześnie jednak wyrazili przekonanie, że w pierwszym rzędzie winien Lwów wzniesić pomnik Adamowi a dopiero później wypadnie energiczną rozwinąć akcyę celem gromadzenia funduszków na dwa następne monumenty. W końcu uchwalono postarać się o urządzenie żałobnego nabożeństwa w pięćdziesiąt rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego

W sobotę 22. kwietnia odbyło się o godz. 8. wieczorem pierwsze towarzyskie zebranie »Wydziału naukowo literackiego. Przewodniczył mu p. Adam Krechowicki, sekretarza zastępował p. Michał Rolle. Po załatwieniu rozmaitych spraw formalnych, przyjęciu zmienionego nieco regulaminu »Wydziału« i zatwierdzeniu prowizorycznego zarządu, nastąpił odczyt prof. Fr. Konarskiego p. t. »Żaby« Arystofanesa. Część I. Obecni z wielkiem zainteresowaniem wysłuchali doskonałego tego przekładu, nagradzając prelegenta dobrze zasłużonymi oklaskami. Serdeczna pogawędka przeciągnęła się do północy. Zebraniom tym sobotnim można rokować w sezonie zimowym bardzo pomyślną przyszłość.

We wtorek 25. kwietnia wieczorem zapełniły się znowu salony »Koła«, w których urządzono ostatni sezonowy raut. W części wokalno-deklamacyjnej wzięli udział pp. Ottawowa, Boberska, Rojekówna, Jeromin i Winiarski. Wypadła ona pod każdym względem dobrze. Po deklamacyi i śpiewach nastąpiły ohochoże tańcy przy dźwiękach muzyki wojskowej

W sobotę 29. kwietnia odbyło się z inicjatywy »Koła« w katedrze łacińskiej solenne żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Juliusza Słowackiego.



Kronika żałobna.



LEONARD MARCONI.

Leonard Marconi, zmarły w dniu 1. kwietnia r. b. snycerz i architekt, profesor lwowskiej szkoły politechnicznej, pochodzi z rodziny włoskiej, zdawna w Polsce osiadłej. Znana już od kilku pokoleń rodzina Marconich zasłużyła się niepospolicie przez obudzenie poczucia wytworniejszego piękna tam właśnie, gdzie do niedawna istniał brak smaku. Nasze budownictwo ornamentacyjne liczyć się musi z usiłowaniami rodziny tej przedstawicieli, którzy wyrugowawszy zastarzałą rutynę rzemieślniczą wprowadzają w dziedzinę architektury prawdziwie artystyczne pierwiastki.

Leonard Marconi, urodzony w Warszawie w roku 1836, po ukończeniu gimnazjum realnego rozpoczął studia pod kierunkiem ojca, przeważnie zaś stryja, tyle w sztuce architektonicznej zasłużonego. Przepędziwszy trzy lata w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, udał się w roku 1859 do Rzymu, gdzie uzyskał przyjęcie do akademii sztuki. Tu pod

kierunkiem Tadoliniego badał tajniki wielkiego kunsztu i już po upływie pierwszego półrocza otrzymał stopień celującego ucznia. W tym czasie Akademia Panteonu ogłosiła konkurs na kompozycję religijną w płaskorzeźbie. W liczbie ubiegających się o nagrodę był też Marconi, wynagrodzony srebrnym medalem za bas relief, przedstawiający Chrystusa z św. Piotrem. Na następnym konkursie tejeże akademii w rok później ogłoszonym, otrzymuje Marconi wielki medal złoty za piękną grupę, przedstawiającą pożegnanie św. Piotra z św. Pawłem. W roku 1862 powrócił Marconi do Warszawy, gdzie pracami swymi przyozdobił wiele domostw prywatnych, że wspomniemy tylko karjatydę przedsiönka pałacu Kronenberga, lub pełen smaku fronton dawnego domu Sarneckich przy ulicy Wierzbowej.

W roku 1874 przybywa Marconi do Lwowa, zawezwany do objęcia katedry rysunków odręcznych, ornamentalnych i modelowania w tutejszej szkole politechnicznej. Prócz działalności pedagogicznej, czynnym też był nieustannie jako artysta. Dekoracya zewnętrzna kościoła Franciszkanek, Politechniki, gmachu dyrekcji kolei państwowych, (dziś: Hotel Imperial), Kasy oszczędności i gmachu sprawiedliwości, jego jest dziełem.

Czynny umysł Marconiego nie zaniedbał inicjatywy, w kierunku przemysłowym. Widząc nieużytkowany alabaster, mógący stać się dla kraju źródłem poważnych dochodów produkcyjnych, rozpoczął w roku 1879 na szerszą skalę wyroby z tego materiału. Zatrudniając rąk niemało, szerzyła razem ta inicjatywa zamiłowanie do piękna przez uprzystępnienie nabywania przedmiotów, posiadających wartość artystyczną i tanich zarazem.

Na konkursie, ogłoszonym przez miejscowe Koło literacko-artystyczne w roku 1892 na projekt pomnika Aleksandra Fredry, uzyskał w dniu 23. czerwca t. r. pierwszą nagrodę projekt oznaczony napisem: Boruta. Po otwarciu kopert, zawierających nazwiska twórców, okazało się, iż laureatem jest profesor Marconi. Jemu też powierzono wykonanie pomnika, którego odsłonięcie nastąpiło w dniu 24. października 1897 r.

Najpiękniejszym dziełem ś. p. Marconiego będzie — zdaniem znawców — pomnik Tadeusza Kościuszki, który stanie na rynku krakowskim. Model tej kompozycji jest już wykończony i odlany w gipsie.

Ks. dr. Franciszek Hipler, kanonik warmiński, zmarł w dniu 17. grudnia 1898 roku w Frauenburgu. Urodzony w roku 1836 w Olsztynku, na Warmii, pochodził z zamożnej rodziny niemieckiej i polskiego języka nauczył się dopiero wówczas, gdy po odbyciu studiów teologicznych w Monasterze oraz po otrzymaniu święceń kapłańskich, osiadł jako wikary w Pestlinie pod Sztumem. Młodego kapłana nęciły studia archiwalne, więc też zdobywszy stopień doktora Świętej Teologii oddawał się ulubionym badaniom w Królewcu a następnie w Brunsberdze.

W roku 1873 wydał ks. Hipler swoje własne *Spicilegium Copernicanum*, zbiór oryginalnych dokumentów do życia Kopernika, które go do Krakowa i uczonych polskich zbliżyły. We wrześniu 1875 r. przybył na dwa tygodnie do Krakowa, zwiedzał skarby biblioteki uniwersyteckiej, akademickiej i książąt Czartoryskich. J. X. Dr. Bukowski ułatwił mu zwiedzenie cennego archiwum kapituły przy katedrze na Zamku. Zetknąwszy się zaś ze ś. p. profesorem Szujskim i Zakrzewskim, z całym zapałem przystąpił do wydawnictwa licznych listów Hozyusza, których dwa tomy w 1879 i 1886 łącznie z profesorem Zakrzewskim, kosztem Akademii Umiejętności w r. Krakowie ogłosił. Reszta tej korespondencji dotąd jeszcze wydania oczekuje. Dziesięć lat, jakie po zamknięciu seminarium warmińskiego w Brunsberdze nastąpiły, były czasem najobfitszej produkcji literackiej X. Hiplera, tak, iż istotnie podziwiać należy, z kąd miał tyle czasu, pracując równocześnie na ambonie i w konfesjonale. Za młodu zajmował się filozofią nowoplatońską i w kwartalniku wiedeńskim w latach 1868 i 1869 pisał o niej. Później atoli przeszedł na pole historyczne i oprócz wspomnianego poprzednio *Spicilegium Copernicanum*, oprócz historyi założonego przez Hozyusza liceum w Brunsberdze, wydanej przez profesora Bendera — i obszernej historyi literatury warmińskiej, zawdzięczany mu ciekawą książkę pod tytułem: *Copernicus und Martin Luther*, rzecz o biografach Kopernika, oraz wiele innych dzieł i rozpraw.

W roku 1886 mianowany kanonikiem w Frauenburgu, spełniał ks. Hipler obowiązki z tą godnością związane tak świetnie, że w końcu i rząd pruski, niechętnie nań patrzący, o podniesienie go do godności biskupiej myśleć począł. Atoli wielka jego skromność i że się tak wyrazimy, niechęć do wiskania się do obcych dycezyj skłoniły go do natychmiastowej odmowy, czyli to chodziło o katedrę gnieźnieńsko-poznańską, czy o chełmińską. Czynny do ostatniej życia chwili, zmarł nagle skutkiem choroby sercowej, na którą od lat szeregu cierpiał. Padł jak żołnierz na stanowisku, gotując się do Mszy Świętej w katedrze frauenburskiej. Tak zgasł ten mąż kochany przez wszystkich, co go znali, ceniony wysoko przez wszystkich, którzy pisma jego czytali; bodaj czy nie ostatni na Warmii, który gorąco ojczyznę swą a z nią i całą Polskę kochał.



Odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnür-Peplowski.



OGŁOSZENIA.

Wszelkie kupony
i wylosowane
papiery wartościowe

wypłaca bez potrącenia prowizyi lub kosztów

Kantor wymiany

C. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Jako dobrą i pewną lokacyę polecamy:

- 4^o/_o Listy hipoteczne koronowe,
- 5¹/₂^o/_o Listy hipoteczne,
- 5^o/_o Listy hipoteczne premiovane,
- 4^o/_o Listy Tow. kred. ziemskiego,
- 4¹/₂^o/_o Listy Banku krajowego,
- 4^o/_o Listy Banku krajowego,
- 5^o/_o Obligacye komunalne Banku krajowego,
- 4^o/_o Pożyczkę krajową,
- 4^o/_o gal. Obligacye propinacyjne
i wszelkie renty państwowe.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. gal. akcyjnego

Banku hipotecznego.

GALICYJSKI
BANK KREDYTOWY

wydaje

4⁰/₀ Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem i

3¹/₂⁰/₀ Asygnaty kasowe

z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Przyjmuje

wkładki na książeczki oszczędności

oprocentowując takowe

po 4¹/₂⁰/₀ rocznie,

oraz

kupuje i sprzedaje

wszelkie papiery wartościowe

krajowe

po kursie dziennym.

I R I S

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(Organ Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie)

wychodzi co miesiąca w zeszytach

zawierających od 2 do 3 arkuszy druku.

W najbliższych zeszytach umieszczone zostaną utwory: Władysława Bełzy, dra Adama Bełcikowskiego, dra Adama Bieńkowskiego, Bolesławicza, dra Aleksandra Czołowskiego, Seweryny Duchńskiej, ś. p. Andrzeja hr. Fredry, X. Jana Gnatowskiego, dra Ludomiła Germana, dra Michała Greka, dra Bronisława Gubrynowicza, T. T. Jeża, Izydora Kuncewicza, Anny Neumanowej, Zdzisława Onyszkiewicza, dra Kazimierza Ostaszewskiego-Barańskiego, Romana Polińskiego, Leona Popławskiego, Adama Pługa, Franciszka Rawity-Gawrońskiego, Michała Rollego, dra Wilhelma Rolnego, Kazimierza Rojana, Stanisława Rossowskiego, Wojciecha Szukiewicza, dra Stanisława Tomkowicza, dra Kazimierza Twardowskiego, Kazimierza Wróblewskiego, Jana Zacharyasiewicza, Zawrata i Franciszka Zwilkońskiego.

Artykuły nadsyłać należy pod adresem Stanisława Schnür-Peplowskiego, Lwów — ul. Mickiewicza 11.

293

Warunki przedpłaty

W Austro-Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „*Kole*“ codziennie od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt VI.

Czerwiec 1899 r.



WE LWOWIE
NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z Drukarni E. Winjarski

1899

<http://rcin.org.pl>

TREŚĆ.

	str.
I. Dr. Ludwik Rydygier	253
II. Wiersz Władysława Bełzy	255
III. Kawał literata, przez Dr. Ostaszewskiego-Barańskiego	255
IV. W czerwcową noc, wiersz przez Annę Neumanową	260
V. We mgle, przez Ludmiłą Germana	261
VI. Z cyklu sonetów, wiersz przez Fr. Gałńskiego	265
VII. Notatki z Krakowa, przez Kazimierza Czapelskiego	266
VIII. Z Pragi Czeskiej, przez Dr. Bórisa Prusika	268
IX. Malarstwo i rzeźba	270
X. Muzyka	272
XI. Pieśń Polska i Stanisław Moniuszko, przez St. Niewiadomskiego	278
XII. Teatr	285
XIII. Literatura	291
XIV. Z Koła Literacko-Artystycznego	296
XV. Kronika żałobna	297



Handwritten signature in cursive script, likely reading 'Rodzian'.

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt VI.

Czerwiec 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z Drukarni E. Winiarza

1899.



85 293

Dr. Ludwik Rydygier.

Niema szczytniejszego zawodu, jak zawód lekarza, który w naszych stosunkach jest zarazem pionierem cywilizacyi! — słowa te wypowiedział w dniu 10. maja r. b. święcący uroczystość srebrnych z umiejętnością godów profesor tutejszej wszechnicy, Ludwik Rydygier, do zastępu młodzieży kształcącej się pod jego światłem przewodnictwem. I nigdy może słowo w bardziej ściślejszej nie pozostawało harmonii z czynem, jak to stwierdza w całej pełni publiczna tudzież naukowa działalność młodego jeszcze a tyle zasłużonego jubilata, który zawsze i wszędzie czuł się wiernym Ojczyznym synem.

Ludwik Rydygier jest potomkiem niemieckiego rodu, osiadłego od wieków w Prusiech Zachodnich, a od kilku pokoleń zupełnie spolszczonego i to dzięki kobietom, których nie bez słuszności »żelazny kanclerz« tak bardzo się obawiał. Urodził się on w dniu 21. sierpnia r. 1850 w Dossoczynie, w Prusiech Zachodnich, gdzie rodzina jego znaczne posiadała dobra. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w gimnazjum Chełmińskim, słuchał medycyny w Gryfii, a następnie w Berlinie i w Strassburgu. Zawód naukowy rozpoczął w r. 1874 uzyskawszy stopień doktora wszech nauk lekarskich w Gryfii, poczem oddawał się studjom chirurgii pod kierunkiem Huettera, Langenbecka, Lueckego, Vogta i Rieda. Szlachetne serce młodego uczonego pilnie się przysłuchiwało tętnu życia narodowego pod zaborem pruskim. Bezprawia i krzywdy, jakich się dopuszczali na narodzie polskim niemieccy działacze, zachęciły Rydygiera do usilnej i gorącej pracy nad podniesieniem ducha narodowego pośród uciśnionych rodaków, z którego to powodu musiał cierpieć przesładowania pruskich czynników kierujących. W roku 1878 uniwersytet jenański powołał dra Rydygiera na docenta chirurgii; po roku jednak pragnąc pracować dla kraju, przeniósł się nasz jubilat do Chełmna, gdzie założył klinikę chirurgiczną. Ziemia Chełmińska złotemi zgłoskami zapisała w swych kronikach nazwisko młodego lekarza. Patriotyczna, gorliwa i skuteczna jego działalność w tym, przez nawałę nie-

miecką zawojowanym powiecie, błogie wydała owoce. Przystąpiwszy do Towarzystwa Pomocy Naukowej dla Prus Zachodnich, stał się jednym z najgorliwszych orędowników tej twierdzy polskości. Dawniej w powiecie Chełmińskim było nadzwyczaj mało inteligencji; zaledwie kilka majątków było w rękach polskich. Wspomniana instytucja moralnie i materyalnie przez dra Rydygiera popierana, wytworzyła cały, poważny dziś zastęp inteligencji polskiej w Prusiech Zachodnich. Przed laty trzydziestu było tam zaledwo trzech lekarzy Polaków, a prawie żadnego adwokata; dziś całe dziesiątki lekarzy i adwokatów stanowią silne grono niezależnej od rządu polskiej inteligencji. Nie małe zasługi oddał też Wielkopolanom dr. Rydygier, jako prezes Towarzystwa Przemysłowego, które obok obrony materyalnej ma na celu podniesienie ducha narodowego wśród polskich przemysłowców i rękodzielników. Niepomniernie wreszcie zasłużył się jubilat sprawie narodowej, jako długoletni prezes pow. komitetu wyborczego; poświęcał on czas i pieniądze na urządzenie wieców, rozwożenie kart wyborczych do najodleglejszych chat. Koroną zabiegów Rydygiera był wybór pierwszego po długich latach polskiego posła do parlamentu z ziemi chełmińskiej, Szczanieckiego z Nawry. Po za tem wszystkim urządził jubilat odczyty i teatry amatorskie w języku polskim, starając się rozbudzić poczucie narodowościowe wśród najszerszych warstw ludności. Wkońcu, zmuszony szukanami pruskiemi, przeniósł się do Galicyi, żegnany ze łzami przez małuczki, a nazwany przez Niemców, co mu największą chlubę przynosi, »zażartym Polakiem i niebezpiecznym agitatorek«.

Po powołaniu profesora Mikulicza do Królewca, został dr. Rydygier zamianowany w dniu 2. lipca 1887 r. zwyczajnym profesorem chirurgii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Tutaj otworzyło mu się nowe, szerokie pole: nie tylko prowadzenie nauki klinicznej i prace naukowe, ale zarazem współdziałanie przy nowo budującej się klinice i wewnętrzne jej urządzenie. Na zaproszenie dziekana nowo tworzącego się wydziału lekarskiego w Uniwersytecie lwowskim, postanowił Rydygier przenieść się do Lwowa, po nominacyi na zwyczajnego profesora chirurgii w Uniwersytecie tutejszym, która nastąpiła w dniu 19. marca 1897. We Lwowie pierwszym szanownego jubilata zadaniem, z którego znakomicie się wywiązał, było spieszne urządzenie nowej kliniki.

Na działalność naukową dra Rydygiera złożyło się około sto pięćdziesiąt rozpraw, sprawozdań eksperymentalnych, ocen i listów, ogłoszonych drukiem w rozmaitych wydawnictwach zawodowych. Jego »Podręcznik chirurgii« zaliczają słusznie do najpiękniejszych dzieł polskiej wiedzy lekarskiej. Lecz nie tylko piórem ale i jako znakomity praktyk zdobył sobie jubilat sławę jednego z najdzielniejszych chirurgów światowych. Nie dziw przeto, że na międzynarodowych zjazdach lekarskich zaszczycono go niejednokrotnie godnością przewodniczącego i jest on nadto członkiem honorowym,

zwyczajnym, korespondentem i prezesem licznych instytucji naukowych. W uznaniu zaszczytnej działalności profesorskiej otrzymał dr. Rydygier w latach 1890 i 1897 order Żelaznej Korony III. klasy tudzież tytuł radcy dworu zaś w marcu r. z. nadał mu Papież, jako wiernemu synowi kościoła komandoryę orderu św. Grzegorza.

Do objawów szacunku i sympatyj, jakie przy sposobności jubileuszowego obchodu stały się udziałem dra Rydygiera ze strony profesorów i młodzieży uniwersyteckiej oraz świata lekarskiego, przyłączyło się myślą i uczuciem całe nasze społeczeństwo, zdolne uznać pracę i zasługi tych, którzy nie zasklepiając się w zakresie wiedzy zawodowej, spełniają służbę obywatelską energicznie, gorliwie i z szczerem przekonania!



»Sokratesie! rzekł pewien, lżą waści na rynku,
Lud wymawia Twe imię z pogardą i zgrzytem«.
A mędrzec się uśmiechnął i rzekł: »miły synku,
Mogą mię nawet obić, byłem nie był przy tem«.
Dziś tą maxymą mędrca żyją ludzie niecni;
Lżą ich, — oni kpią z tego, bo są nieobecni.

Władysław Betza.

KAWAŁ LITERATA.

Życie umysłowe Galicyi od chwili »rewindykacyi« przedstawia niemal przez pół wieku obraz przerażającego pustkowie. Nowy stan rzeczy wywołał zupełne przeobrażenie stosunków; obce wpływy, które gwałtem wdarły się w sferę dotychczasowych pojęć, wywołały niezdrowy ferment ale powolne gnicie. Do tego zaś przybył system germanizacyjny, który żelazną obręczą starał się okuć każdą myśl samodzielną. Ale ducha zabić nie sposób — i nie widzieli nasi wrogowie, że w ich systemie leży niebezpieczeństwo dla nich. Germanizacya bowiem miała tę dobrą stronę, że inteligencya nasza zapoznała się wczesnie i wszechstronnie z nowymi prądami literatury niemieckiej. Wywołało to niemałą rewolucyę duchową: bo oryginał piękny kusił do łómaczenia, łómaczenie do naśladownictwa, to znów budziło chęć przeszczerpienia idei na grunt rodzimy a od tego tylko krok do pojęć oryginalnych. Tą drogą szła nasza literatura począwszy od pierwszej ćwierci tego wieku. Chłę-

dowski Walenty i Kamiński J. N. szukają natchnienia we wzorach niemieckich, Żegota Pauli i Wacław Zaleski sięgają do pieśni ludowej a ich następcy już samodzielnie pracują, wyzwoleni z pod obcych wpływów. W tej dobie budzenia się literatury naszej z niemocy, koryfeusze jej byli i ezuli się kapłanami. Pracowali wśród najtrudniejszych warunków aż do poświęcenia nie tylko mienia i zdrowia, ale wolności i życia. Czuli oni święte swoje powołanie i wysoko nieśli sztandar godności stanu, chociaż ich życie prywatne często z nędzą graniczyło. To też ciekawym zjawiskiem na tle tych czasów, stosunków i ludzi jest postać spekulanta literackiego, który uważał literaturę tylko jako sposób zdobycia egzystencji — i nie mając wcale talentu, przy zupełnym braku wykształcenia — istotnie cel swych marzeń osiągnął. Tym spekulantem był »wydawca i autor« *Lwowianina*, wychodzącego we Lwowie od r. 1835. Jego to sylwetkę skreślić zamierzamy a to na podstawie wzmianek Władysława Zawadzkiego i Augusta Bielowskiego tudzież opowiadania p. Romualda T., który młodzieńcem znał naszego bohatera. Dla uzupełnienia posłużyły nam roczniki *Lwowianina*.¹⁾

* * *

Rodzina Zielińskich należała do znanych w całym kraju a i w literaturze jej nazwisko nie jest obcym. Są Zielińscy herbu Doliwa, Grzymała, Jastrzębiec, Jelita, Prus III i Świnka, znani w ziemi dobrzyńskiej płockiej, wielkopolskiej, sandeckiej i ruskiej. Nasz bohater przyznawał się do rodziny, która pieczętowała się Ciołkiem a pochodziła z sandomierskiego. Niesiecki wspomina o niej w swej »Koronie Polskiej« jako żyjącej już w r. 1528. Bądź co bądź p. Ludwik Zieliński był szlachcicem, co konstatuje szematyzm austriacki, nazywając go wszędzie Ritter von. W chwili jednak, gdy zawieramy z nim znajomość, nikt nie domyślałby się w nim szlachcica...

W latach dwudziestych czwartych i piątych widywano we Lwowie młodego człowieka w innym surduciku z czapeczką na bakier a z tłumoczkami pod pachą. Biegał on od gospody do gospody, traktując nowoprzybyłych potrzebniemi i mniej potrzebniemi rzeczami. W tłumoczku jego było i mydełko i przybory do golenia, rzemyki papierowe do brzytw, wódka kolońska, czernidło i bawidełka dla dzieci. Oryginalnie też wyglądał: twarz okrągłą z lekko wzniesionym nosem ożywiały piwne, niespokojne oczy, biegające ustawicznie, jakby do wypatrywania gości stworzone. Z tymi przymiotami zgadzały się i inne. Przelecieć kulą połać zajezdnych domów, upatrzeć chwilę, gdy zmęczony szwajcar drzemał, wpaść prosto pod numer, gdzie stanął świeżo gość ze wsi, zaproponować swe usługi, ugodzić w słabą stronę, pokazać zniecacka swój towar, zachwalić go i sprzedać — szło mu jako z płatka. Stróżę tylko i gospodarze domów zawsze nań marsa stroili.

¹⁾ Władysław Zawadzki: »Literatura w Galicyi«. August Bielowski pod przybranem nazwiskiem Jan Płaza zamieścił w *Tygodniku literackim*, wychodzącym w Poznaniu, artykuł, w którym postępowanie redaktora »Lwowianina« poddaje ostrej krytyce.

Najczęściej lokował się na murowanym mostku przed hotelem George'a, gdzie około niego czem raz liczniej się gromadzano. Wychodzące ze szkoły żaki z książką: z tablicą pod pachą, z kałamarzem na guziku a z linią w ręce zatrzymywały się przy nim z otwartą gębą, dalej szeregowali się hajducy, pacholeta, kelnerzy i wszelkiego rodzaju posługacze; zatrzymywał się mimowolnie w tej ciżbie przechodzący lub przejeżdżający podróżny, rzucał okiem zazdrosnem żydek, krążący z koszykiem lub z szlafrokami, a tu i ówdzie nudzący się w chwilach poobiednich szlachcic, podchodził ku oknu lub balkonowi i przyglądał się zbiegowisku. Na murowanej poręczy mostka leżał wypchany tłumoczek a tuż na kamieniu stał jego właściciel wyjmując i zalecając widzom świeżo przybyły — jak mówił — zapas towarów. Najczęściej były to z grubo klejonego papieru wycinane figurki, pstro i niezgrabnie umazane, których pojedyncze członki za pociągnięciem ukrytej nitki przybierały najdziwniejsze ruchy. Był tam: rycerz, w czterdziestu pięciu bitwach pogromca, był Kozak z Ukrainy, któremu przyspiewywał do kozackich prysudów, był profesor w peruce z różgą w ręku nakazujący *silentium*, był pejsaty żydek, pasza turecki etc. etc. Ukazujący umiał zawsze coś nowego powiedzieć, rozśmieszyć a jego tłumoczek wypróżniał się widocznie.

Kiedy się zbliżał termin jarmarku w Tarnopolu, w Ułaszkwcach, lub w Mościskach, Zieliński zgłaszał się najczęściej do p. T. z prośbą o miejsce na wozie dla siebie i dla kuferka. Wówczas treść jego tłumoczka była bogatsza; były tam nietylko drobiazgi ale i szkaplerze i obrazki i medaljoniki i książki do nabożeństwa i literatura nadobna. Na jakiś czas przed jarmarkiem Zieliński zajęty był zawsze sporządzaniem indeksów swej przenośnej księgarni, które przepisane ozdobił 20—30, razy wręczał bogatszym swym odbiorcom. Pan T. posiada kilka takich »indeksów«, spisanych kaligraficznie — ale za to bardzo podejrzaną ortografią, które zatytułowane są szumnie: Katalog zbiorów naukowych Ludwika Zielińskiego h. Ciołek dla JWielmożnych i Wielmożnych kupieli na jarmarku w dnia w roku W poszczególnych rubrykach jest liczba porządkowa, mieszczą się: tytuł dzieła, nazwisko autora, miejsce i rok wydania, ilość tomów, cena a w końcu w rubryce »Adnotacye« jest krytyczny pogląd p. Zielińskiego na odnośne dzieło. Najczęściej spotykamy się tam z tytułami poczytnych wówczas romansów n. p. »Śluby nierozsądne; Listy dwojga kochanków na brzegach Wisły mieszkających«. F. B(ernatowicza) »Pustelnik z Krakowskiego przedmieścia« p. Witowskiego, »Juljan i Laura czyli zbrodnia ukarana«. »Jaskinia Strozzi«, »Julia i Adolf — czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru« p. Kropińskiego, »Człowiek cnoty«, »Galathea powieść pasterska«, »Wilhelm Tell czyli Helwecya wolna«, Adina pasterka pyrynejska«, »Dorsanged czyli Zdarzenie prawdziwe we Francyi«. Obok tego różne Magellony, Genowefy, i czytywana wówczas książeczka »Pan Maciej z Jędrychowa drelicharz jarmarkowy« a naturalnie także »Tysiąc nocy i jedna«. Nie brak jednak było i istotnie

wartościowych rzeczy. W każdym katalogu jest po jednym egzemplarzu jakiegoś dzieła Scotta, Racina, Schillera, le Sagea, Moliera, Byrona, Chateaubrianda, z oryginalnych zaś spotykamy utwory Fredry, Godebskiego Cypryana, Felińskiego, Chodynieckiego, Siarczyńskiego, Bronikowskiego, Majeranowskiego, Kamińskiego, Naruszewicza i Skarbka.

»Nie zdarzyło mi się — opowiadał p. T. — widzieć go wracającego z jarmarku, z jakim zapasem. Potrafił sprzedać wszystko, co miał i sprzedać dobrze. Skoro raz zagiął parol na kogo, można było iść o zakład; że mu się nie wywinie; wyrzucony z hotelu zjawiał się w restauracyi, wytransportowany ztamtąd, przysunął się na ulicę, i już to za protekcyą pani, to dzieci, to ulubionego lokaja, kelnera lub woźnicy zawsze trafił do celu. Z powrotem kuferek jego wypełniał się talarami, których brzęk pieścił mu ucho a połysk oślepiał. Na ten kuferek zwróconą była cała jego, wyteżona uwaga. Przybywszy do Lwowa dawał kilka miedziaków furmanowi, obrazki lub medaliki żonie i dzieciom a mnie dziękując mówił: »Daj Bóg zdrowie! Kiedyś, jak będę wielkim panem, to się Wam ojcze odwdzięczę«. I zniknął. Raz zniknął na dłużej, nie widziałem go prawie dwa czy trzy lata. Dopiero koło roku 1833 zjawił się znów we Lwowie i przyszedł do mnie. Ale jakże odmiennie wyglądał. Ubrany starannie, elegancko niemal, ze złotym, dużym łańcuchem na zaokrąglającym się brzuszku, wyglądał zupełnie inaczej niż ongi w sinym kubraczku. Opowiadał mi, że zebrałszy trochę grosza zapragnął poznać Warszawę, że tam był »redaktorem«, że skromny swój zapas znacznie powiększył a wreszcie, że zamierza znów pozostać w Galicyi i rozpocząć wydawanie książek. »Bo też widzicie ojcze — mówił — zawsze mię złościło, że na książkach mało zarabiał. Teraz będę je sam pisał, drukował, wydawał i sprzedawał, to będzie zarobek lepszy«.

Istotnie też, po jakimś czasie świat literacki, lwowski, świat, który składali tacy ludzie, jak August Bielowski, Wincenty Pol, Seweryn Goszczyński, Lucyan Siemieński, Józef i Leszek Borkowscy, Dominik Magnuszewski, grupujący się około *Zienonii* — dowiedział się z niemałym zdziwieniem, że przybył mu nowy kolega, który bez żadnych warunków nie tylko kreował się dziennikarzem — ale co wówczas zdawało się niepodobieństwem — uzyskał nawet koncensyę na perjodyczne wydawnictwo literackie. Koncesyę otrzymał nawet bez zbytnich trudności. Wiedzano bowiem, że zamierzone wydawnictwo jest niczem innym, jak tylko spekulacyą na zysk obliczoną, że Zieliński ani chce, ani może z jakiegokolwiek względu być niebezpiecznym, nie posiadając ku temu ani zdolności ani znaczenia w świecie literackim, do którego nie miał nawet wstępu. Jedynym, do którego Zieliński się zbliżył, był Stanisław Jaszowski autor poczytnych chwilowo »Zabawek rymotwórczych i Powieści historycznych«, który obruszony lekceważeniem, jakie mu obóz Bielowskiego okazywał, gromadził obok siebie młodsze siły, niestety same miernoty!... Rozpoczynając wydawnictwo *Lwovianina*, rozumiał to doskonale Zieliński, że wobec braku wszelkiej konkurencyi będzie z wydawnictwa ciągnął piękne zyski, chodziło tylko o zorganizowanie sprzedaży.

W tym celu zarzucił się na hotele i oberze lwowskie i każdy z obywateli wiejskich, przybywających do Lwowa, znajdował w swym pokoju obok karty meldunkowej i spisu potraw *Lwovianina*, którego redaktor zjawiał się niebawem we własnej osobie i niemal zmuszał do zaprenumerowania lub zakupienia poprzednich zeszytów. Rzecz prosta, że w gronie literatów lwowskich oburzano się na spekulanta i wyrażano się o nim z najwyższą pogardą. *Lwovianin* był zresztą licho redagowanym pismem. W artykułach historycznych, układanych najczęściej bez wielkiego mozółu, z fantazyi, było kłamstwo na kłamstwie, fałsz na fałszu, a jakby na uregowisko z czytelnika powoływano się na niedostępne »źródła«. Zieliński powiadał o sobie, że prostuje akta »grodowe i kroniki a rycerzy wskrzesza«... Jako źródła cytował takie rzeczy, jak dzieła księdza Apotrata (!) lub ks. Sosiniewicza (!) Kiedy zaś chciał coś koniecznie wzmówić w czytelnika, dawał odsyłacze tego rodzaju jak: »Obacz akta watykańskie w Rzymie« w aktach cesarzów we Wiedniu«, »z wiarygodnych ksiąg turków stambulskich« lub »obacz akta r. 1638 do Warszawy i dalej (sic) wywiezione! Oprócz tych historycznych elokubracyi były artykuły np. takie: »O przeistoczeniu jaskini panormitańskiej«, »O okręcie z 40 skamieniałymi ludźmi w Szwajcaryi«, »O wojsku hiszpańskim, który przechodząc góry Andes najprzód zmarzło a potem skamieniało«. Wydawca i autor był również zwolennikiem teoryi magów i z jej stanowiska objaśniał wiele rzeczy »nadprzyrodzonych«. Wizerunki osób historycznych, podawane w dołączonych do pisma rycinach, były jedne do drugich podobne jak dwie krople wody, niestarano się nawet zachować jakiegokolwiek podobieństwo do osób które miały przedstawiać. Redaktor drwił z czytelników i z literatury. Bielowski, oburzony tem, zamieścił w poznańskim *Tygodniku literackim* artykuł chłoszczący z piekącym sarkazmem pismo, redaktora i wydawcę »w którego mniemaniu publiczność jest zgrają żaków lub gawiedzi, a umiejętność i dzieje narodu, z których czcigodne imiona powtarza, według gustu lub narowu widzów, podskakującą łąteką, czyli po galicyjsku mówiące »h a n s w u r s z t e m«. Kiedy krzyki i szyderstwa czem raz głośniej się odzywały, Zieliński czując swoją nieudolność, wezwał na współredaktora Jaszowskiego, ale i ten nie wiele mógł zrobić wobec uporu właściciela. Była potem chwila, w której redakcyę *Lwovianina* zamierzał objąć Szajnocha z kilku młodymi, utalentowanymi pisarzami. Ale i ten zamiar rozbił się o to, że Zieliński niechciał wypuścić pisma z pod swego wpływu.

Z czasem nabrał on takiej rutyny i pewności siebie, że doskonałe a nawet — jak powiada Zawadzki — z pewnem gentlemeńskim zacięciem odgrywał rolę redaktora. Zamieszkiwał piękny, pierwszopiętrowy apartament z balkonem na ulicy Halickiej, w którym było jego biuro redaktorskie, urządzone z elegancją i z konfortem.

Ale każda rzecz ma swe granice. *Lwovianin* mimo wszelkich sztuczek i monopoli zaczął upadać, ponieważ zaś p. Ludwik nie myślał wydać ani centa na podtrzymanie pisma, przeto zwinął je a za zarobiony grosz kupił sobie dobra w powiecie żółkiewskim. Otdąd za-

mieszkał w Lubyczy Kameralnej i oddał się rolnictwu. W tym nowym charakterze okazał się nie tylko dobrym gospodarzem, ale znacnym człowiekiem. W domu jego znalazł miejsce każdy, kto do niego zagościł a od drzwi jego nie odszedł nikt bez pomocy. W jednym tylko szczególe przejawiał się zawsze dorobkiewicz. Nad bramą, na powozie, na czaprakach, widniał jego »Ciołek«, którego umieścił także na drogowskazach i tablicach w lesie.

Dalsze jego losy nas już nie obchodzą, zachowało się jednak o nim rytmowana wzmianka Zielińskiego, skreślona przez F. B(oznańskiego) w »Ostatnich manewrach starego huzara«, wydanych we Lwowie w r. 1848, którą sylwetkę niniejszą kończymy. Oto co o Zielińskim czytamy:

Kochanowski Czarnolas, — Wolter Ferney kupił,
Balzak, ogrom majątku — nie zebrał lecz złupił,
Bo mu Paryż za dzieła i litery płacił,
Że Francuzów zabawiał — a siebie bogacił.
Jednak biorąc zastrugę zarobku rozumnie
Niż ci trzej — pan Zieliński więcej jest wart u mnie;
Gdyż ten rzucając ziarno po jałowej roli
Kupił sobie Lubyczę z istnej Bożej woli.

Ostaszewski-Barański.

W czerwcową noc.

Nie goń za kwiatem paproci
W dziką noc czarów,
Za błędną gwiazdą, co złoci
Przepaść moczarów.

Nie pragnij szczęścia, co błysnie
W uczuć godzinie,
A później... tęczą w mgłach pryśnie,
Bolu łą spłynie.

Lecz to, co duch twój zdobędzie
Pracą i trudem,
To kiedyś w życiu twem będzie,
Paprocia — cudem!

Anna Neumanowa.



W E M G L E.

Ani zasnąć! Ani spocząć! Rozkołysane myśli falowały po mózgu. Zdawało się, że czaszkę rozsada. Postacie jakieś snuły się koło mnie, — zbliżały się, ciśnieły się ku mnie. Rozpaczonym ruchem wskazywały na zaciśnięte usta, jakby wołały: Daj nam głos! Daj nam słowa! — Szarpały pierś moją, jakby domagały się: Daj nam część twego serca! A inne stały nieme, martwe, bez ruchu, — tylko oczy rozwarły szeroko, — a szła od nich prośba niema a tak wymowna: Daj nam życie!

Gdy chciałem ująć jedną z nich, by dać jej kęs duszy własnej i zakląć ją do życia, — wnet rozwiewała się, ulatywała, znikwała, a zostawał po niej żal niezmierny i z ciasnych kątów dochodził śmiech jakiś szyderczy, pogardliwy.

Przeklinałem tę chwilę, — niegdyś tak błogosławioną, — która kazała mi ucieleśniać myśli, — utwory wyobraźni odziewać w dostrzegalne dla innych szaty. Zrozumiałem, że to znaczy okradać siebie, okradać myśli swe z najpiękniejszych, najbardziej uroczych kształtów, blasków i promieni, które z sobą na świat przyniosły, — a ubierać je w zebrałce szaty, na które stać niedość pióra.

Przez okno wpadało jakieś posępne, chmurno-różowe światło. To księżyc przez mgły przeświecał blaskiem złamanych promieni.

Zerwałem się, — wyszedłem z domu. Cisza zalegała drożyny, wycięte wśród lasu na stoku góry. Kroki moje budziły jakieś trwożne szelesty po krzewach i trawach. Bez planu szedłem dalej i dalej wśród cieniów i tajemniczych światła, aż doszedłem do miejsca otwartego. Spojrzałem na dół. Nad rzeką leżała mgła gęsta. Górna jej warstwa świeciła żółtawym blaskiem, — nad nią drżały jakieś rozpięchnięte, różowe, purpurowe, ogniste — a chłodne promienie. W dali czerniały lasy.

Usiadłem w cieniu drzew, gdzie cień był prawie czarny. Piłem pełną pierśią chłodne, mgliste powietrze i czułem, jak od tej mgły myśli moje uspokajają się, milkną, cichną, rozptywiają się w niej. Spoczywałem.

Na drożynie, którą przyszedłem, zamajaczyły dwa cienie — od nich szły ciche szelesty.

Chciałem powstać, odejść, by nie być niepotrzebnym świadkiem, ale było zapóźno. Myśl — niedobra — szepnęła: zostań! Podszuchasz może urywek życia, — urywek taki, który kryje się przed ludźmi. Nie ujrzałbyś go nigdy. Tobie to potrzebne, — może się przydać.

Ah, mówiła myśl inna, — odejdz! Tu będą pocałunki, uściski! — jeżeli szczerze, to nie godzi się być świadkiem, — jeżeli nie szczerze, to nie warto!

Tymczasem cienie zbliżyły się, — odchodzić było za późno. Zostałem, łumiąc oddech w sobie, — ukryty w cieniu, czekałem. Wkrótce

przekonałem się, że uścisków ani pocałunków nie będzie. O kilka kroków odemnie stanęli dwaj mężczyźni.

Usiedli na ławce w milczeniu, zwróceniu ku rzece, ku mgle. Po chwili odezwał się jeden:

— Jutro odjeżdża! Jutro! A potem —

— Zobaczymy ją jeszcze rano, — przy pociągu —

— Nie pójdę, nie mam siły! Myśl, że ją tracę, że stracić muszę, zabija mnie, truje mnie! Nie mógłbym przetrwać chwili rozstania.

— Dzieciństwo! Przetrwać można wszystko.

— Chyba nie kochałeś nigdy? Chyba jej nie kochasz?

— Nie Kocham? — Zaśmiał się gorzkim śmiechem. — Czy można jej nie kochać? Któż do niej zbliżył się bezkarnie? Kto nie uległ urokowi tych spojrzeń głębokich, — tych rysów, dziecięcych prawie — a szlachetnych — wymownych.

— Tej postaci pełnej wdzięku.

— Tych słów prostych, szczerych, w których płynie głębokim, wartkim prądem myśl wytrawiona, prawie męska.

— Jak ona różni się od innych kobiet!

Umilkli. Miałem przed sobą widocznie dwóch zakochanych, — zakochanych w tej samej kobiecie. Kto ona? Kto oni? Głosu ich nie znałem. Kobiety, o której mówili, napróżno szukałem w kole znajomych. Miałem zagadkę przed sobą. Zaciekawiony, czekałem rozwiązania.

Rozmowa zerwana zaczęła się na nowo.

— Więc jutro? Nie usłyszymy jej więcej, — nie zobaczymy.

— Któż to wie?

— Jakto? Masz jakie zamiary?

— Jeszcze nie. Różne myśli snują się po głowie, — może do jutra coś postanowię.

— Postanowisz? Co?

— Nie wiem sam! — Może porzucę wszystko i pojedę za nią, albo z nią.

— A ze mną co będzie?

— Mój drogi — w miłości jak na wojnie! Kto idzie naprzód, zwycięża lub ginie. — Może zginę odepchnięty, — a może —

— A ja? Nie liczysz się ze mną?

— Licz ty się z sobą sam! Masz siłę do zerwania wszystkiego, co cię wiąże i trzyma? Nie, nie masz! Ja cię znam.

— Nie mam, prawda. Ale porzucię ją, zapomnieć o niej — nie mam siły. A zresztą — może ona wybrałaby mnie właśnie.

— Teraz? Ani mnie, ani ciebie.

— A więc?

— Ty jej nie rozumiesz. Jej dusza leci teraz ku nieznanym wyzynom. Czemu my dla niej być możemy? To dusza sokola, — a my — czemu my dla niej?

— My obaj — niczem. Ale jeden z nas, — albo ktoś inny — wszystkiem!

— Tak, — kiedyś — później, — gdy jej skrzydła opadną, gdy jak ptak strwożony będzie szukała ucieczki przed gwarem i zgiełkiem.

— Ah, wtedy już nikt dla niej nie będzie — wszystkim.

— Dlaczego?

— Bo — po drodze — utraci to, co dzisiaj jest jej urokiem, ten wdzięk nieświadomy siebie, tę siłę nieobjawioną, te poloty mimowolne. — Utraci to wszystko.

— Ona?

— A, — i ona!

Myśli ich pobiegły w przyszłość, czy też do ukochanej kobiety. Rozmowa urwała się znowu. Korzystając z tego, chciałem odtworzyć sobie z podsłuchanych słów obraz tej, o której mówili. Budziła się nieszczęsna żyłka autorska. W myśli mej powstał obraz wyraźny: kobieta uroczą, jedna z tych, co kroczą dumnie przez życie, zapatrzone w jakąś ideę. Taka kobieta nie wie, co dzieje się dokoła, nie rozumie, czego żądają gromady mężczyzn, ścigających ją wzrokiem, rwących się ku niej, zabiegających jej drogę. Jej oczy patrzą a nie widzą, uszy słuchają, a nie słyszą. Spojrzenia gorące, zalotne, pożądliwe ześlizgują się po niej, słowa, jak szmer obojętny, nie zwracają uwagi. Wyobraziłem ją sobie wysoką, silną, śniadą, w kruczych splotach włosów, musiała być przy tem zimną, dumną. Czem była? Do czego dążyła? Gdzież to były te nieznanne wyżyny, do których się rwała? Sztuka, wiedza, czy miłość ludzkości? Tylko te potęgi mogą oderwać kobietę od ziemi, pochłonać, zająć, znieczulić, przemienić w nieziemską istotę.

A oni? Jeden musiał być nieco starszy od drugiego, więcej doświadczył pewnie, — a jednak musiał być jeszcze dość młodym człowiekiem, bo gdy o niej mówił, głos jego drżał drzeniem młodzieńcem, pełnem ognia i tęsknot gorących. Słowa jego, niby chłodniejsze niż słowa jego towarzysza, — wybiegały z piersi z trudnością, hamowane tym czarownym wstydem, który młodemu zabrania mówić głośno i jawnie o ukochanej kobiecie. Musieli to być ludzie młodzi, trwożliwi, niepewni siebie i woli swojej

— A jednak — pojedę z nią! Muszę! Będę jej sługą, przyjacielem, powiernikiem. Na swej drodze będzie tego potrzebowała. Usługi me przyjąć musi, — będę umiał stać się niezbędnym.

— Myślisz, że to będzie droga do jej serca? Z powiernika, sługi wyrośnie kochanek?

— Nie podsuwaj mi takich myśli, — nie mam ich.

— Teraz! Ale poczekaj, — przyjdą same.

— Nie! Mysł moja nie może jej skalać.

— Poszukaj głębiej w twej duszy, — miej odwagę poszukać! Zdrzej zasłonę z siebie, a zobaczysz tam...

— Nie, — nie!

— Ha, ha! Więc i ja pojedę! Ale w innej roli.

— W jakiej?

— Będę żądał jej miłości! Teraz! Dopóki jest tem, czem jest, — taką, jaką jest! Potem — później — nie mi po niej.

— I mówisz to otwarcie?

— Wszak my sobie mówimy otwarcie — wszystko.

— Tak, — prawda! Czyń jak uważasz!

Wstali i poszli. Szli prędko — w milezeniu. Za nimi biegły szelesty i szmery.

Zostałem jak przykuty do miejsca. Brzmiała mi w uszach ta dziwna rozmowa. Tak, to był urywek życia trojga ludzi, urywek, co stanowi może o całej ich przyszłości. I na nich leżała mgła gęsta, nieprzenikniona, pełna fosforycznych blasków i migotliwych świateł. Myśl moja biegła w przyszłość ich, chciała rozwiązać zagadkę życia tych ludzi.

Nad rzeką mgła poczęła bieleć. Żółte jej połyski szarzały, pło-
wiały. Różowe promienie rozwiały się.

Wstawał dzień blady.

Opary unosiły się i wypełniały całą dolinę. Pokryły białym płaszczem góry i lasy. Potem zaczęły w nich majaczyć jakieś fioletowe smugi, barwne pasma o niepewnych zarysach. Rąbki ich pokryły się sznurem złotawym. Sznur rozszerzał się w oczach, — już jest taśmą, — już pasem, aż rozlał się po całej przestrzeni mgły i przemienił ją w płynne złoto.

Powiał chłód od rzeki, drzewa poczęły szumieć, zrazu cicho, przeciągle, aż szumy te zlały się w jeden potężny akord. Wiatr rozdarł zaslonę mgły. Ukazały się barwy zielone.

Na dole, gdzieś podemną, ozwał się dzwonek. Poznałem dzwonek na stacyi, przeraźliwy, zgiełkliwy, bezwzględny. Pociąg miał nadejść. Tam może rozwiązanie zagadki. Na przełaj, nie trzymając się drożyn, ni ścieżek, biegłem na dół. Gdy dobiegałem do ukrytej jeszcze za drzewami stacyi, pociąg nadchodził. Koło szyn stała młoda, wiotka kobieta, drobnej postaci, o jasnych włosach, — w białej sukience. Niepodobna nic a nic do wymarzonej bohaterki idei. Koło niej dwaj mężczyźni, wysocy, smukli, — obaj w sile wieku, barczyści, tędzy. Nie znałem żadnego z nich.

Pociąg wjechał na stacyę. Kobieta wskoczyła do wagonu, ze stopnia podała rękę jednemu ze swoich towarzyszków. Drugi wszedł za nią do wagonu. Który? Świst rozległ się. Pociąg ruszył. Z któregoś okna zamigotała ręka, ostonięta jasną rękawiczką.

Ten, który został, — ścisnął wzrokiem uchodzący pociąg, aż zniknął mu za górą. Potem odwrócił się i patrzył w przeciwną stronę, gdzie nie mógł spotkać się z żadnym spojrzeniem.

Minęło sporo czasu. Znowu dzwonek się ozwał. Nadjechał pociąg z przeciwnej strony. Mężczyzna wszedł do wagonu. Odjechał. Stacya opustoszała.

Co to za ludzie byli? Który pojechał z ukochaną kobietą, a który poszedł w świat? Dokąd pojechali? Co ich czekać może?

Pytałem się wszystkich mych towarzyszek, wszystkich wszystko-wiedzących mieszkanek uroczego zakątka, w którym to działo się w nocy i wczesnym rankiem. I o dziwo, — żadna nie wiedziała. Zawyrokowały zgodnie, że musiałem mieć gorączkę. U autorów to rzecz zwyczajna, nieprawdaż? mówiły. A jedna, najdowcipniejsza, zapytała się: Co też pan piłeś przy kolacyi?

Tylko stara Barbara, co sprzedawała bułki przy drodze, mówiła mi, — żyliśmy w dobrej przyjaźni, — że poprzedniego dnia, późnym wieczorem, przyjechało troje państwa; pani poszła na jedną górę, a panowie na drugą. Więcej nie mogłem się dowiedzieć.

Może ich kiedyś spotkamy i poznamy.

Ludomił German.



Z cyklu sonetów.

I.

Lew wyrwał się z klatki!.. wnet krzyk przerażenia
Pod cyrku kopułę z ust strzela tysiąca,
W szalonym popłochu człowiek, król stworzenia,
Ucieka przed królem kraju palm i słońca.

Drży rykiem arena, bo krwi woń gorąca
Sto drażni już nozdrzy. Lew wściekły zamienia
Cyrk w rzymski Kolizej: w niebytu mrok strąca
Duch ludzki i zwierząt nietrwałe istnienia.

Lew wyrwał się z klatki!... krwią syci pragnienie...
A w oczach piorunów skrzą mu się djamenty...
Z odwagą rozpaczy mści swoje więzienie,

Mści długi dni szereg niewoli przekłetej,
Rodzaju całego na swoje sumienie
Wziął krzywdę...

I spłacił instynktem dług święty.

II.

Śnieg pól z deszczem uliczny kurz w błoto zamienia,
Mgłą podnoszą się z miasta niezdrowe opary;
Tam oparła się psina o zimne filary.
Drży z chłodu a pożar ma w sobie z pragnienia.

Szerść nastroił i upadł po chwili skomlenia,
Łapy sztywne wyciągnął i nie żył pies stary.
I nie widział, choć patrzył przed siebie tłum szary,
Że tuż przed nim skończona tragedia istnienia.

I jeden przed psem tylko przystanął sierota,
 Co półbosa za chlebem szedł w miejskie podwórze,
 Ze wsi nędzą wygnany z macoszego płota ;

Lzę otarł, co mu perłą drżała w ocz lazurze.
 Pies zdychał. Tłum biegł dalej. Ani drgnęło w górze
 Nadzmysłowej wszechmocy nieczułe przedmurze.

Fr. Galiński.

NOTATKI Z KRAKOWA.



Józef Kotarbiński.

Zaszczytnie znany literat, wykwintny estetyk, sumienny a wybredny krytyk, jedyny w Polsce aktor z uniwersyteckiem wykształceniem, doświadczony reżyser, znakomity deklamator i ceniony prelegent — oto Kotarbiński. Takie zalety posiadającego męża wybrał Kraków przed kilkunastu dniami dyrektorem teatru miejskiego, darząc go niezwykłym zaufaniem, które się objawiło ilością głosów, jakie się za nim w Radzie miejskiej oświadczyły.

Jeśli tak znaczna ilość głosów padłych na Kotarbińskiego, jest już oznaką sporej sympatii, nie mniejszą jest wrażenie, jakie wybór ten sprawił w mieście, które objawiło ogólną radość, iż ważne stanowisko kierownika

teatru krakowskiego powierzono człowiekowi zawodowemu i uczciwemu. Są to właściwości tak wybitne, iż nowy dyrektor prawie nie powinien się być obawiać konkurencji współzawodników.

Józef Kotarbiński urodził się w r. 1849 w Królestwie Polskiem. Ukończywszy nauki średnie w Warszawie, odbył studia uniwersyteckie na wydziale filozoficzno-historycznym w b. Szkole Głównej od r. 1866 do 1871, w którym to czasie rozpoczął już zawód literacki pisząc artykuły do »Przeglądu Tygodniowego« a następnie do »Nowin«, »Prawdy«, »Kłosów« »Tygodnika Ilustrowanego«, »Biblioteki Warszawskiej«, »Athe-neum«, »Głosu« »Kuryera Warszawskiego« i »Codziennego«, »Gazety Warszawskiej«, i innych. Nie było prawie pisma, wychodzącego w grodzie syrenim, któregoby Kotarbiński od r. 1867 nie zasilał płodami swego dzielnego pióra. Feljetyony literackie, artykuły polemiczne, krytyki teatralne, szkice i rozprawy z zakresu scenicznego i dramaturgii, studia literatury dramatycznej — oto tematy opracowywane z talentem, erudycją i wielką znajomością przedmiotu przez Kotarbińskiego. Pisał wytrawnie o korespondencyi Mickiewicza, nakreślił studia o »Maryi Stuart« i »Benio-wskim« Słowackiego o »Makbecie« i »Królu Lirze« Szekspira, »Don Juanie« Byrona, poświęcił sporą ilość feljetonów studjom o działal-

ności Asnyka i Orzeszkowej, wydał »Nowe badania na Hamletem« oraz umieszczał w pismach takie artykuły jak »Nowy żywioł w poezji naszej« »Estetyczne i społeczne znaczenie teatru« »Przyszłość sztuki i poezji« »Impresyonizm w krytyce« »Pan Tadeusz jako epos« »Wstyd i obyczaje«, »Teatr w powieści i w życiu«, »Nowe prawo w starej formie«, »Sztuka aktorska« »Mickiewicz jako przedmiot sztuki deklamacyjnej« i wiele bardzo wiele, innych, w których w szczególności z największą oddawał się lubością tematom związanym z teatrem.

Scenę bowiem od lat najmłodszych ukochał nad wszystkie rodzaje sztuki, to też niezupełnie wypuszczając z ręki pióro, które mu i nadal służyło do wypowiedzenia tego, co czuł sercem i duszą a rozumiał mózgiem, poświęcił się w dwudziestym ósmym roku życia zawodowi aktorskiemu po odbyciu uprzednich studyów u Królikowskiego i Jasińskiego.

W r. 1877 wystąpił po raz pierwszy na scenie warszawskiej w teatrze letnim a potem Wielkim jako Zbigniew w »Mazepie« i Ferdynand w »Intrydze i miłości« przyjęty z uznaniem przez krytykę i publiczność. Zaliczony natychmiast w poczet stałego personalu, grywał przez lat kilkanaście do powodzenia role tragiczne i bohaterskie, w końcu zaś powierzono mu reżyserję. W wolnych od pracy chwilach obok literackich zajęć, stale uprawianych, oddawał się pedagogii ucząc prywatnie w szkole Derynga a potem w klasie dykcji i deklamacji przy Towarzystwie muzycznym w Warszawie, gdzie wykładał zasady dykcji, gry i teorii sztuki aktorskiej. Z wybitniejszych artystów dzisiejszych, którzy chlubę mistrzowi przynoszą, wymienić należy Chmielińskiego, Siemaszkową, Fedorowiczową, następnie Tarasiewiczza i wielu innych. Do Krakowa przybył pełen zapału z chwilą otwarcia nowego teatru tj. w r. 1893 zaangażowany przez dyrektora Pawlikowskiego w charakterze aktora i reżysera. Obowiązki ostatnie sprawował przez rok ku ogólnemu zadowoleniu, następnie jednak musiał się ograniczyć tylko do grania, o ile dostawał role... Pomimo jednak ostracyzmu dyrekecyjnego, krytyka miała sposobność ocenić a publiczność, podziwiać Kotarbińskiego w »Talizmanie«, (książe), w »Hamlecie«, w »Wąsach i peruce«, w »Poskromieniu złościcy«, w »Hrabi Essexie«, w »Uryelu Akoście«, w »Koryolanie«, w »Keanie« i w innych a w ostatnim roku w roli wojewody w Rydla »Zaczarowanym Kole«. Rozporządzając większą ilością czasu, poświęcał go prelekcjom, które wygłaszał w Krakowie, we Lwowie i na prowincyi, spieszył z niemi na Szląsk, brał udział prawie we wszystkich przedstawieniach i wieczorach o celach dobroczynnych składając daninę z swej sztuki deklamatorskiej na ołtarzu filantropii częstokroć z własną stratą materyalną, oraz występował gościnnie we Lwowie, w Poznaniu i w wielu miastach Królestwa Polskiego, gdzie dzięki jego współdziałaniu dyrektorowie towarzystw prowincjonalnych mogli popularyzować repertoar klasyczny.

Do tej charakterystyki nowego dyrektora teatru krakowskiego dodać należy jeszcze jeden bardzo ważny szczegół; jako nieposzlakowanej zacności, uczciwy człowiek jest on też zarazem najlepszym kolegą, niezawistnym, któremu wysokie zadowolenie jako miłującemu teatr sprawia dobra gra aktora. Gdy ją zauważy, spieszy pierwszy wyrażając artyście

w gorących wyrazach swe uznanie, to też aktorowie krakowscy przyjęli wybór Kotarbińskiego radośnie.

Pierwszy dowód miłości koleżeńskiej złożył Kotarbiński wniosonym do Rady miejskiej projektem pilniejszego zajęcia się funduszem emerytalnym oraz założenia stowarzyszenia wzajemnej pomocy dla artystów sceny krakowskiej. Już to należy mu poczytać jako niepospolitą zasługę.

Mężowi, który do przyszłej pracy, nie zawsze wdzięcznej, przystępuje z olbrzymim zapasem wiary, z prawdziwą znajomością zawodu i z najgorętszym zapałem, należy życzyć siły, wytrwania i szczęścia.

Kraków 25. maja 1899.

Kazimierz Czapelski.



Z Pragi Czeskiej.

W maju 1899 r.

Na porządku dziennym, jak to już w poprzedniej korespondencji zaznaczyłem, dwie wielkiej wagi istnieją u nas kwestyje. Mam tu na myśli projekt założenia drugiego teatru czeskiego oraz sprawę zachowania starożytnego charakteru naszej stolicy.

Dotychczas artystyczne potrzeby Prażan zaspokajał jeden tylko, jedyny teatr, »Narodowy«. Posiadamy wprawdzie prócz niego kilka scen letnich, ale poziom artystyczny tychże nie odpowiadał słusznym wymaganiom naszej inteligentnej publiczności, która stroni również od drugiego teatru zimowego z powodu zaniedbanego urządzenia sali, jakkolwiek i repertuar tej instytucji i towarzystwo w niej czynne zasłużyły sobie na gorętsze poparcie ze strony ogółu. Teatr Narodowy stoi wprawdzie na wysokości zadania, lecz służąc równocześnie operze, baletowi i sztukom wystawowym, zbyt mało poświęcać może miejsca i czasu poważnej sztuce dramatycznej. Szczupła bardzo liczba wieczorów, przeznaczonych na przedstawienia dramatu, sprawia, iż zarówno w wystawianiu nowości tłumaczonych jakoteż oryginalnych — a jest ich nie mało — pozostajemy w tyle za innymi scenami stołecznymi. Tak więc za przykładem ziomków naszych w Bernie morawskim nosimy się z myślą wzniesienia drugiego gmachu teatralnego w parku miejskim, poświęconego wyłącznie przedstawieniom dramatycznym. Idzie teraz o to, czy

nowy ten instytut ma być zupełnie sameistnym, czy też zależnym od dyrekcji Teatru narodowego. Za tem ostatniem zdaniem oświadczył się zarząd Teatru, podczas gdy literaci miejscowi, zgrupowani w stowarzyszeniu »Maj«, energicznie popierają projekt samoistości nowego teatru.

Niemniej aktualną stała się kwestya, jak przeszkodzić zakusom modernistycznej architektury, — słusznie przez Moštika nazwanej *bestia triumphans* — by pod pozorem regulacyi ulic nie burzyła starych, historyczną wartość przedstawiających domostw, zastępując je banalnemi budowlami. Rozliczne stowarzyszenia, kupiące w sobie ogół inteligentnej publiczności, obradują w tej sprawie, protestując głośno przeciw demolacyi starożytnych dzielnic miasta, posiadających dla nas również doniosłe znaczenie, jak Wawel dla Krakowian, lub Stare Miasto dla mieszkańców Warszawy.

W Teatrze Narodowym nie schodzi ze sceny »Cyrano de Bergerac« w mistrzowskim przekładzie Jarosława Vrechlickiego. Rolę tytułową znakomicie przedstawia Seifert. Mniej fortunną Roksana okazała się Laudowa.

Do powodzenia sztuki obok znakomitego przekładu przyczynia się w wysokim stopniu wspaniała zaiste gra przedstawiciela roli tytułowej, który zarówno w scenach humorystycznych, jak i w lirycznych, znalazł ton właściwy, budząc od początku do końca wielkie zainteresowanie w audytorjum. Dyrekcya teatru uczyła p. Seiferta darem srebrnego wieńca, na jaki artysta rzetelnie zasłużył.

W minionym roku wielkim sukcesem cieszył się teatr, istniejący na wystawie architektonicznej. W tym roku wystawy niema, ale teatr nie stracił siły swej atrakcyjnej wobec publiczności, uczęszczającej do niego bardzo licznie. W rzeczy samej towarzystwo, grywające na tej scenie, jest wyborne i może współzawodniczyć śmiało z trupą Teatru Narodowego. Gra artystów wolną jest od wszelkiego szablonu, który rażąc w innych dziedzinach sztuki, jest w teatrze wręcz nieznośnym.

Towarzystwo miejscowych literatów, »Maj« zapoczątkowało obecnie akcyę wielce pożyteczną dla czeskich pisarzy dramatycznych, zawiązując syndykat celem obrony praw autorskich tychże pracowników. Dotychczas ci ostatni zdani byli w zupełności na łaskę i niełaskę dyrektorów teatru, lecz spodziewać się należy, że interwencya »Maja« wpłynie dodatnio na polepszenie doli naszych autorów dramatycznych.

Ogólne zaciekawienie budzi zapowiedziana na koniec maja r. b. jubileuszowa uroczystość czeskich studentów. Wezmą udział w tym akcie, prócz uczącej się młodzieży, także byli wychowañcy naszych zakładów naukowych. Nie omieszkam przeto zawiadomić was o przebiegu tej, tyle ważnej dla naszego życia społecznego uroczystości.

Dr. Boris Prusik.



Malarstwo i rzeźba.

Z wystawy obrazów. Kilka nowych płócien przybyło w ostatnich tygodniach salonom przy placu św. Ducha, a niektóre z nich warte są zaiste tego, aby się im przyglądać dokładnie. Zasługuje przede wszystkim na to »Madonna« Mieczysława Rayznera, obraz, który bezwarunkowo przykuć musi do siebie uwagę widza. Z ciemno granatowego tła wyłania się niemowlęca postać Bożego Syna a promienie, jakie biją od tej postaci, rozświetlają pochyloną nad nią dobrą, troskliwosci pełną twarz Matki. Skupienie światła i rozproszanie go od postaci Zbawiciela — na wzór średniowiecznych mistrzów włoskich — sprawia w obrazie Rayznera, wobec ciemnogramatowego tła, szczególnie, łagodny, lecz bardzo oryginalny efekt.

Świetnie malowane są dwa studia Anieli Pająkównej, (»Marzenie« i »Zaduma«), tudzież portret starszego mężczyzny pędzla Augustynowicza.

Bardzo dobry jest obrazek rodzajowy Bergmana, »W dobrych rękach« i nie mniej rodzajowy — przynajmniej do pewnego stopnia — obraz Tadeusza Rybkowskiego zatytułowany »Majówka«. Świeżą, majową zielenią odziane są drzewa leśne i młoda, majowa murawa pokrywa polankę na pierwszym planie. Od owej delikatnej zieleni znakomicie odbija grupa, złożona z lokaja w ciemnej liberyi i z trzech osiadłanych koni, z których jeden ma na sobie zgrabne, damskie siodełko. Lokaj trzyma swego konia i dwa inne za uzdy, z powagą zapala papierosa i myśli — naturalnie bardzo dyskretnie — o tej parze, co urządzając sobie majówkę, zginęła gdzieś na zakręcie jednej z dwóch, na ukos rozchodzących się leśnych alei...

Najoryginalniejszym jednak z nowych płócien, jest portret pani T. malowany przez Stanisława Dębickiego. Przy całej staranności wykonczenia jest w nim tyle życia, tyle prawdy i wyrazistości, że wpatrzywszy się weń ma się chwilami złudzenie, iż nie płótno się widzi przed sobą. Portretem tym złożył młody malarz dowód istotnie pięknego talentu.

I. Z. K.

Tadeusz Popiel, znany artysta-malarz ze Lwowa, ukończył w czerwcu r. b. malowanie fresków w górnej połaci kaplicy św. Stanisława, biskupa, w bazylice św. Antoniego w Padwie. Jedną z kaplic za chórem przeznaczono na przybytek, gdzieby zgromadzone zostały wszystkie polskie grobowce i płyty. Ksiądz Jan Warchał, franciszkanin, mieszkający przy bazylice, zajął się urządzeniem kaplicy. Kamil Boito, (brat Henryka Boity, kompozytora »Mefistofelesa«), wygotował projekt ołtarza św. Stanisława i kraty żelaznej, oddzielającej, kaplicę, a Tadeusz Popiel podjął się pokrycia freskami ścian. Freski te przedstawiają: Najśw. M. P. Częstochowską oraz św. Stanisława.

Pomnik Tadeusza Kościuszki w Krakowie. Jak wiadomo, wydział Towarzystwa im. Tadeusza Kościuszki zawarł umowę z ś. p. prof.

MICHAŁ SOZAŃSKI.



KAT DIEDERYCH.
(«Krzyżacy» Sienkiewicza).

Marconim o sporządzenie modelu pomnika bohatera z pod Raclawic, który w spiżowym odlewie stanąć ma na Rynku krakowskim, od strony ulicy Szewskiej. Skutkiem śmierci artysty właśnie w czasie wykończania modelu do odlewu, wydział Towarzystwa — jak donosi *Nova Reforma* — podpisał w dniu 20 maja r. b. formalną umowę o wykończenie modelu do odlewu z p. Antonim Popielem we Lwowie, zięciem ś. p. prof. L. Marconiego. Wedle tej umowy, p. Popiel zobowiązał się wykończyć model do odlewu w bronzie, przedstawiający Kościuszkę na koniu, najdalej do końca listopada b. r.

Zgromadzenie członków Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, odbyło się dnia 28. maja r. b. pod przewodnictwem dra Stanisława Tomkowicza. Przyjęto do wiadomości sprawozdanie sekretarza p. Seweryna Behma i udzielono zarządowi absolutoryum. W roku zeszłym wystawiono 534 dzieł sztuki; dochód ze wstępów i sprzedaży obrazów wynosił 13.000 złr. Członkami dyrekcji wybrani zostali ponownie pp.: Stanisław Tomkowicz, Tadeusz Stryjeński, Wincenty Wodzinowski i Leon Wyczółkowski; w miejsce dra Wintigera wybrano dyrektora teatru p. Kotarbińskiego.



M U Z Y K A.

Rocznica śmierci Chopina, przypadająca na dzień 16. października r. b., będzie niewątpliwie obchodzoną u nas uroczystością. O ile jednak wiemy, dopiero Towarzystwo muzyczne układa program swego obchodu, obejmującego żałobne nabożeństwo, produkcję koncertową i odczyt. Zdaniem zaś naszym, wszystkie tutejsze towarzystwa i szkoły muzyczne, mające zamiar uczcić pamięć nieśmiertelnego mistrza, powinny się porozumieć, jak urządzać obchody i kiedy. Inaczej gotowo wszystko tak wypaść, jak u nas często się dzieje, że na jeden dzień zjedną się dwa lub trzy obchody, co tylko obniży powagę uroczystości i udział publiczności popsuje. Należałoby się więc porozumieć. Lwów posiada obecnie tak pokaźną ilość pianetek i pianistów, (panie Jaszekowa, Loria, Ottawowa i Setmajerówna, pp. Kurz, Melcer i Pollak), że możnaby w kilku koncertach większą część dzieł mistrza wykonać. W każdym zaś razie, w interesie artystycznej całości tych produkcji koncertowych leży, ażeby te same utwory nie powtarzały się w programach. Wpłynię to znacznie na obudzenie zajęcia u publiczności. Rzucamy więc myśl zawiązania ogólnego komitetu dla uczczenia rocznicy

śmierci Chopina. Komitet taki, składający się z delegatów towarzystw tutejszych muzycznych i śpiewackich, (Towarzystwo muz. Lutnia i Echo), oraz najwybitniejszych szkół muzycznych (pań Laureckiej, Markowej i Mikulowej oraz p. Melcera), a nadto Stowarzyszeń młodzieży akademickiej i członków z po za towarzystw i szkół, miałyby zadanie obmyśleć jak obchody zaaranżować, ażeby ich całość wypadła uroczystie i poważnie; jak uniknąć powtarzania się szczegółów w programie, jak pod względem dat rozłożyć produkcje koncertowe, odczyty i nabożeństwa żałobne. W ten sposób obchód może przybrać szerokie rozmiary. Zwracamy też i na to uwagę naszych instytucyj muzycznych, zwłaszcza śpiewackich, że w programach nie koniecznie trzeba się kępować wyjątkowością dzieł Chopina, w takim bowiem razie byłoby ułożenie programu bardzo trudne. Ale istnieją utwory pisane na cześć Chopina n. p. Noskowskiego lub Müncheimera, istnieją układy utworów Chopinowskich może wreszcie powstanie coś okolicznościowego, a w ten sposób, będzie można zajmując kilka programów ułożyć. Pod względem odczytów, także należałoby się porozumieć, wszak jest we Lwowie kilka osobistości, któreby mogły powiedzieć o Chopinie niejedną rzecz, pouczającą ogół o wielkiem znaczeniu jego.

W ogólności, jesteśmy zdania, iż w obchodach powinny wziąć udział jak najszerze warstwy, dlatego też wymieniając powyżej najwybitniejsze nasze instytucje muzyczne, niemielśmy na myśli żadnej ekskluzywności, bo komitet może przybrać jeszcze szersze rozmiary stosownie do potrzeby, jaka się okaże, przy bliższem opracowaniu programu.

(n).

Z sali koncertowej. Miesiąc maj w tym roku, przyniósł nam muzyki bardzo niewiele, wszyskiem wszyskiego — dwa koncerty. Obydwa niecieszyły się zbytnio względami publiczności, jakkolwiek i cele ich i siły współdziałające, zdawały za niemi przemawiać. Wieczór urządzony przez gal. Towarzystwo muzyczne ku uczczeniu 80-letniej rocznicy urodzin Moniuszki był bardzo urozmaicony: mieścił utwory mistrza mało lub zupełnie nieznanne obok popularnych i pięknych. Do wykonania stanęły takie sympatyczne siły, jak pani Pawlików-Nowakowska lub p. Niżankowski, jak pp. Wolfsthal, Sladek, Kurz i inni. Chór towarzystwa muzycznego wykonał kilka ustępów z „Mildy”. Błędem w układzie programu, było umieszczenie owych właśnie mało znanych rzeczy, które na afiszu zajmująco wyglądały, ale w wykonaniu okazały się za słabe, aby je w koncercie produkować. Dość tu wymienić ustępy z kwartetu smyczkowego, lub nawet i „Mildę”, dzieło młodzieńcze Moniuszki, której wznowieniem niedodało się wielkiej chwały mistrzowi. Koncert na cele dobroczynne dany dnia 19. b. m. był już ze względu na występ p. Henryka Melcera bardzo interesujący. Ulubiony artysta grał prześlicznie, jak zwykle, ponadwszystko jednak zachwycił słuchaczy wykonaniem Nokturnu hdur. W ogóle grał dużo pięknych rzeczy jak Sonatę Rubinsteina skrzypcową dalej utwory Chopina, Paderewskiego i swoje. Koncert upiękuszony był

nadto udziałem prof. Wolfstahla, oraz pani Aleksandry Dąbrowskiej i p. Grabińskiego. Chór męski Towarzystwa muz. zakńczył tę produkcję.

Z Warszawy. Niezwykle ożywiony w tym roku sezon muzyczny, korzystny i dla opery i upamiętniony koncertami Paderewskiego, Ant. Kątskiego, kwartetu czeskiego tudzież wystawieniem »Wskrzeszenia Łazarza« dobiegł niejako w tem ostatniem punktu zwrotnego, albowiem osłabło naraz żywe przedtem i podniecone tętno jego ruchu. Sprawił to poczęści czas świąteczny, po części zajęcie teatru W. w ciągu kilku wieczorów tygodniowo przez trupę dramatyczną z Moskwy, jednakże na zniżkę ogólną temperatury czyli ducha oddziałało niewątpliwie *fiasco* z dziełem ks. Perosiego. Co prawda, gdy ono wydostało się tylko za Apenniny, małał stopniowo lokalny a sztucznie rozdmuchany nad niem nimbus; we Francyi przyjęte bez entuzjazmu, w Berlinie spotkało się z chłodem i poważnymi zarzuty, u nas zawiodło najzagorzalszych czcicieli produkcji zagranicznej, nie podobało się wreszcie w Krakowie i we Wiedniu. Nic dziwnego, skoro surm dziennikarskich, obwołających w Perosim reformatora oraz zastępcę Palestriny i Bacha, użyto jako jednej ze sztuczek reklamy kupieckiej, skoro kompozyceji zbywa nietylko na natchnieniu ale i na tem, czego po księdzu spodziewać by się należało, przedewszystkiem: na szczerości prawdziwie religijnego nastroju. Traktowanie chóru wzorem Palestriny, orkiestry zaś à la Bach, bez podniosłości inwencji tychże lub ich form imponujących — to dopiero naśladownictwo, następowanie chyba im na pięty lecz nie następstwo. Co do reformy polega na tem, iż ksiądz nie na głosy ale na orkiestrę z towarzyszeniem głosów ludzkich popełnił utwór nieokreślony, nie będący bynajmniej oratorium.

Zawód dotknął nas z kilku względów: 1. obiecywano sobie niezwykłość wrażeń, nie przypuszczając, iż dzieło okaże się słabem; 2. oratorium, jako takie, interesowało Warszawę, ileż nie szłyżano takowego od czasu wystawienia Eljasza przez Rzebiczkę, (szczęśliwszym już zwał się może Lwów, gdzie parę lat temu Sołtys przedstawił wspaniałe swe Śluby Jana Kazimierza), 3. niepowodzenie znowu dotoczyło popieranej tyle muzy neowłoskiej, chociaż w ostatniej dobie szumna ona na zewnątrz a na wewnątrz płytka, choć lepsze jej płody: *Rycerskość*, *Pajace*, *Cyganerya*, zawdzięczają raczej żywot swój reklamie niż niespożytym zaletom; wszakże w najżywotniejszej między niemi *Rycerskości* dałoby się wyrzucić z połowę, (bezcelowe n. p. peregrynacye sycyljan do kościoła, z kościoła, przed kościół), bez żadnego dla całości uszczerbku.

Zapewne będziemy teraz ostrożniejsi w przyjmowaniu wytworów z zagranicy, pozostając jedynie łatwowiernymi, co do faktu, iż hen... za górami leży błogostawiona kraina, gdzie nawet komponowanie pseudo-oratoryów przynosi sławę i mamonę.

Po za tą nauką, za »Wskrzeszeniem Łazarza« znamiennem było bądź co bądź zarówno wkroczenie w sferę muzyki poważnej, jakoteż

współdziałal czynny ks. Natalji Lubomirskiej. Inicytorka koncertu, stanawszy sama w rzędzie solistów, wskrzesiła poniekąd tradycję Warszawy, kiedy to arystokraci nie stronili od estrady, wskazała zarazem jak przyjąć niezawodnie z pomocą niedoli, nie wyzyskując wcale artystów, co weszło niestety w zwyczaj, lubo wyraźną czyni im krzywdę. Bodajbyż przykład myślącej i utalentowanej miłośniczki sztuki nie przebrzmiał nadal bez echa!

Z rozczarowania, o którym mowa, otrząsnęliśmy się wszelako dzięki koncertowi H. Morteau. Jeden z najznakomitszych dziś wirtuozów, wielki przyciem i prawdziwy artysta odnowił właściwie weześniejszą swą w warszawianami znajomość. A to znajomość przyjemna nader i pouczająca; przyjemna, gdyż trudno nie rozkoszować się wytwornem francuskiego skrzypka mistrzostwem w odtwarzaniu bądź dzieł klasycznych, (tym razem grał w teatrze z orkiestrą koncert es dur Mozarta i sonatę Kreutzerowską z Michałowskim), bądź utworów nowożytnych. Pouczająca ze względu na program zawsze piękny, zawsze świeży, wielce tem samem odbijający od chronicznie niezmiennych, jakimi z małym wyjątkiem raczą słuchaczy nasi i nienasi artyści z powodu przystonionego in puncto repertoaru lenistwa.

Odbył się także w dniu 19. b. m. niezwyčajny wieczór Tow. muzycznego, bo 500-tny z kolei a jednocześnie 350-ty pod kierunkiem Noskowskiego, dyrektora od lat 18. Tłumy ściągnął nań w pierwszej linii współdziałal M. Gawalewicz a Al. Michałowski, w drugiej, zajmujący istotnie program. Gawalewicz świetnie i kosztownie opowiadał 28-letnie dzieje instytucji, w programie zaś mieściły się utwory Chopina, Moniuszki tudzież kompozytorów, których działalność łączyła się bezpośrednio lub pośrednio łączy się z losami Towarzystwa, więc czterech jego dyrektorów i zastężonego Ad. Münchhejnera, po dziś dzień kierownika szkoły muzycznej.

Nie wchodząc w szczegóły, podniosę jeno nowość prawie t. j. nieznaną perłę w spuściźnie Moniuszki: hymn *Ecce lignum crucis* na chór i solo z organem, (w oryginale, na koncercie jednak dany w opracowaniu orkiestrowem Noskowskiego). Śliczny utwór odnaleziono i zaraz wykonano, podobnie jak się stało z Chórem sprawiedliwych, (jeszcze piękniejszym i na szerszą zakresloną skalę), z którym zapoznała nas niedawno »Lutnia« Maszyńskiego. Oba przygotowuje do druku sekcyja im. Moniuszki; partycyja wyjdzie w oryginale czyli z organem i z tekstem łacińskim w *Ecce lignum*, z polskim, francuskim (jako oryginalnym) i niemieckim w Chórze sprawiedliwych, co z radością powitają zapewne kółka spiewackie lub stowarzyszenia muzyczne w kraju i na obczyźnie.

W operze nieustannem powodzeniem cieszy się Hrabina, doznają go też ciągle występy ulubienicy tutejszej p. Kruszelnickiej. Zresztą przeżuwamy znany repertuar i niezbyt się nim interesujemy, o ile zwłaszcza trzeba słuchać takich spiewaczek, jak p. Caratini. Dla czego imość szuka znów na deskach warszawskich szczęścia, któ-

rego nie zdobyła poprzednio, to już tajemnica kapelmistrza Podestiego a dlaczego ten panoszy się i czuje tu silnym, zagadkę rozwiązałyby jedynie Batistini; poprostu utworzył się ring protektorów i protegowanych, przeciw czemu podobna nawet protestować, izby uwag nie narazię na los w rodzaju waszej »objektywki«...

Zapowiedzi dawniejsze ziściły zresztą się co do joty.

Naprzód teatr W. wystąpił z Eugenjuszem Onieginem, premjera, której kilka słów bodaj warto poświęcić.

Historja utworu Czajkowskiego przypomina dzieje Jasia i Małgosi, bo podobnie jak Humperdinck podłożył muzykę do słów siostry z myślą o dziatwie, tak Czajkowski napisał Oniegina dla uczniów konserwatoryum, posiłkując się librettem brata Modesta. Także wagi do utworu tego nie przywiązywał; dopiero, gdy wbrew przewidywaniom — laury zjednała twórcy nie wystawiona jednocześnie Dama pikowa lecz Eugenjusz, wtedy rzecz rozwinął i nadał formę, zapewniającą jej stałe na scenach powodzenie. Przyczynia się doń i libretto, (osnute na poemacie Puszkina), idealizujące pewien odtam społeczeństwa rosyjskiego a kończące się tryumfem etyki; i muzyka indywidualna, pełna — co najważniejsze — prostoty, melodyjności, szczerości, opracowana przytem po mistrzowsku.

Pierwiastek narodowo-rosyjski zaprawia silniej jeno początek opery, w miarę atoli przenoszenia się akeyi ze wsi do stolicy staje się — jak i ubior ówczesny — międzynarodowym, na modłę francuzką, Jaskrawizny stroju ludowego nie spotyka się tedy po za obrazem I-ym i słucha opery jak każdej innej. Ponieważ wystawiona z przepychem, idzie dobrze, w głównych rolach występują Battistini i Kruszelnicka, muzyka zaś zawiera liczne, pierwszorzędne piękności (nadewszystko w partyach Tatjany, Leńskiego, w scenie »pisania listu«, pojedynku w obrazie ostatnim), miała już 9 przedstawień w zapełnionej doszczętnie sali.

O ileżby zwiększyło się powodzenie, gdyby Oniegina jak niegdys Jolantę tegoż kompozytora — dawano po polsku. Niestety włoszczyzna nie rozumiana ostatecznie przez samych rosyjan — to ówiek, którego dyrekcyi nie wybije nawet z głowy wzgląd na interes własny...

I Hoffman grał dwukrotnie, zdumiewając zarówno olbrzymią, bajejcznie wydoskonaloną techniką, jak powagą, ścisłością, oraz wielkiem poszanowaniem dla autora nacechowaną interpretacją. W wielkim to stylu także artysta, godny zająć miejsce obok Paderewskiego i Śliwińskiego, bo podobnie jak oni chlubę przynoszący imieniowi polskiemu. Zaprodukował się tu H. z własnym koncertem fortepianowym, bardzo trudnym, dla pianistów jednak ponętnym, świetnym jako całość, acz w robocie nie wolnym od poważnych — w skutek zbytnej fantastyczności — usterek.

Wyborną mamy teraz w Dolinie szwajcarskiej orkiestrę, z dzielnych bowiem składa się artystów i znakomitego w całym znaczeniu posiada kierownika, Windersteina. Doskonały muzyk, wszechstronny a zawsze w pojmovaniu oryginalny, wykonał dzieła Beethowena i kilka sym-

fonij tak znakomicie, że nie ustępuje prawie Nikischowi. A i tego wirtuoza pałeczkę usłyszymy niebawem wraz z kapelą filharmonji berlińskiej. Koncerty odbędą się w dniu 25 i 26 b. m. Program zapowiada utwory znane przeważnie i nawet pod Nikischem tutaj wykonywane prócz wyjątków z »Potępienia Fausta« Berlioza.

Sekcyja im Chopina, przeszła z dziedziny projektów do rzeczywistości, stawszy się nową odrosłą Tow. muzycznego, zgodnie z życzeniem jej założycieli. Wytknęła sobie następujące zadanie: 1. zbieranie autografów i pamiątek po mistrzu celem wytworzenia z czasem muzeum Chopinowskiego; 2. uzupełnienie biograficznych szczegółów do przyszłego wydania wyczerpującego życiorysu Chopina lub przetłumaczenia dzieła Niecksa z dodatkiem tomu uzupełniającego; 3. powiększanie posiadanego przez Tow. M. funduszu stypendjalnego dla poświęcającej się kompozycji młodzieży; 4. przyjęcie na się opieki nad pomnikiem Ch. w Żelazowej Woli; 5. zachowanie i ustalenie tradycyi w wykonywaniu dzieł Chopina — zwłaszcza przez cudzoziemców, nie pojmujących odrębnego ich charakteru (polonezy, mazurki); 6. sprowadzenie wreszcie z biegiem czasu, zwłok Chopina, do kraju w myśl inicjatywy komitetu T. M. Otrzymała już sekcyja w darze parę listów, rękopisów, pukiel włosów Chopina, rysunek W. Kolberga, że zaś zapisy na członków przyniosły teraz kilkadziesiąt rubli, początek przeto nazwać trzeba szczęśliwym i życzyć sekcyi pomyślnego spełnienia się pięknych jej zamysłów.

Operetka lwowska, przyjechawszy do Warszawy rozpoczęła kampanję od Balu w operze. Przyszeka i nowości. O nich jakoteż o »letnim« naszym sezonie operowym w przyszłym pomówię liście.

M. M. Biernacki

Notatki. Gal. Towarzystwo muz. zakończyło swój sezon koncertowy wieczorem Moniuszkowskim a rozpocznie na nowo działalność obchodem ku czci Fr. Chopina, z powodu którego na wstępie umieszczamy parę uwag.

Towarzystwo śpiew. Echo odbyło w maju doroczne Walne zgromadzenie. Prezesem obrano Dr. Seweryna Bersona, dyrektorem ponownie p. Jana Galla.

Halka Moniuszki, wystawiona we Wrocławiu z tekstem niemieckim, zjednała sobie przychylną ocenę krytyki i ściągła publiczność do teatru ciesząc się wielkiem powodzeniem.

Nasi artyści za granicą zbierają nieustanne laury: Marcella Sembrich w Ameryce, Jan i Edward Reszke w Londynie, Paderewski w Paryżu. Ten ostatni wykona na wielkim festywalu muzycznym w Dysseldorfie swoją fantazję polską z orkiestrą.

W Paryżu obchodzono przy końcu maja setną rocznicę urodzin Halevyego. Wielka opera wystawiła w tym celu arcydzieło mistrza »Żydówkę« z nadzwyczajną okazałością.

Dzieci szczęścia, jak nazwał Hanslick Mascagniego, Perosięgo i Siegfrieda Wagnera, nie ustają w pracy. Mascagni ukończył obecnie poemat symfoniczny i układa na rok przyszły wielką wycieczkę

z orkiestrą włoską na wystawę do Paryża, a następnie do Londynu. Perosi, którego oratorya mimo ujemnych krytyk obchodzą całą środkową Europę, pisze piąte z rzędu wielkie dzieło pod tytułem »Boże Narodzenie«. Siegfried Wagner zaś, zajęty już nową operą, której libretto wyjął z noweli Conrada Mayera »Die Richterin«. Widocznie powodzenie »Bärenhäutera« rozbudziło w nim wenę kompozytorską. Do rzędu wyróżnionych przez losy młodych ludzi należy także młody kompozytor francuzki Le Borne. Operę jego »Mudarra« wystawiono w Berlinie na rozkaz cesarza Wilhelma. Zdaje się, że to właśnie usposobiło niechętnie krytykę berlińską, która odmówiła kompozytocy prawie wszystkiego. Są jednak zdania, iż nie ze wszystkiem stało się to słusznie. Le Borne rozporządza podobno niepospolitą techniką kompozytorską, zawinił tem tylko, że wybrał libretto pozbawione sensu i że przesadził w wynajdywaniu efektów. W każdym razie rozpoczynać w Berlinie i pod protekcją cesarza, to jak na pierwszą próbę operową, rzecz nie zwykła.

Spółka polskich kompozytorów znalazłszy w Warszawie ogólne bardzo przychylnie uznanie wśród muzyków tamtejszych, utknęła na p. Zygmuncie Noskowskim, który projekt jej zganił. O ile szanowny autor »Livii« przedwczesnie wziął się do tego, wskazuje cała polemika, jaka się w warszawskich dziennikach wywiązała pomiędzy nim a innymi muzykami. Gdyby był naprzód poznał dokładnie intencje komitetu organizacyjnego, a następnie nakazał zamilczeć własnym, prywatnym niechęciom i uprzedzeniom, nie byłby się naraził na odpawę, jaką mu dano w »Echu«. Na szczęście cała ta »burza w szklance wody« dla urzeczywistnienia projektu niczem szkodliwą nie jest; przeciwnie, wytworza szersze zajęcie całą sprawą. Jakie zaś rezultaty przyniesie piękna myśl muzyków lwowskich, to dopiero czas okaże. Przesądzać nie można niczego, ale życzyć wypada Spółce jak najlepiej.



PIEŚŃ POLSKA i ST. MONIUSZKO.

(Z powodu ośmdziesiątej rocznicy urodzin mistrza).

Wielki wyłom wyrządzony w rozwoju polskiej sztuki muzycznej przez pełen klęsk i burz wiek XVII-ty, pozostawił na niej niezataczone swe ślady. Epoka czasów Zygmunto-wskich, złota i dla muzyki, jaśniejąca imionami Zielenkich, Leopolitów i Gomułków, oderwała się zupełnie; stąd też wszelka praca późniejsza, to raczej dzieło przypadku, niż owoc naturalnego, prawidłowo rozwijającego się ruchu, siew rzucany na grunt wcale nieuprawiony. Spóźnialiśmy się więc ciągle, o rozmaite dość wielkie odstępy czasu. Gdy u sąsiadów już

o reformie opery włoskiej myślano, u nas zaledwie wprowadzono ją; gdy w ojczyźnie Hajdna symfonia i kwartet szczytów już osiągały, u nas dopiero zakładano instytucje mogące muzykę instrumentalną wykonywać; gdy wreszcie zagranicą w początkach bieżącego stulecia pierwsze zorze romantyzmu zabłyśnięły, pod hasłami Schuberta i Webera, myśmy uprawiali jeszcze jałową pseudo-klasyczną muzykę. Przez dość długi czas, mało co mogliśmy zrobić sami bez Niemców i Włochów; pierwsi dawali nam niezbędne podstawy naukowe, chleb codzienny i suchy, drudzy karmili słodyczami swej melodyi. I z tą jednak pomocą, jeszcze nie było można nadażyć owemu postępowi, jaki na Zachodzie szybkim krokiem pospieszał naprzód. Za dużo mieliśmy trosk poważnych i ciężkich w tym właśnie czasie; a gdyby i tych nie było, to już sam polityczny i ekonomiczny stan kraju, tłumaczy nam dostatecznie wszystko.

Ze wielkie formy symfoniczne nierozwinięły się, że w muzyce instrumentalnej tylko fortepian zajął wybitne stanowisko, są to rzeczy proste; uderza nas w pierwszej chwili raczej to, że pieśń w półśnie pogrążona, przez całą prawie połowę wieku bieżącego oczekuje tego mistrza, któryby ją do życia powołał. A wszakże ona wydaje się najprostszą, najprzystępniejszą formą, a obywa tak małymi środkami....

Tu znowu, sama jej istota tłumaczy nam to opóźnienie. Pieśń — a mam na myśli świecką pieśń artystyczną, zwaną przez Niemców *Kunstlied* — pochodzi wprawdzie od ludu i często jego prostotę przybiera, jest jednakże dziecięciem romantyzmu, posiadać więc musi wszystkie jego barwy, jego świeżość i fantazyę, jego swobodne kształty i jego odrębny rodzaj piękna. Stosownie do swego szerokiego przeznaczenia, nie ogląda się ona na główne środowiska życia społecznego, lecz przeciska przez wszystkie warstwy i dostaje do zakątków kraju odległych. Jest z natury demokratyczną, jakkolwiek niesie ze sobą ziarna szlachetnego, wytwornego smaku. Jeżeli jednak ma być zrozumiana, to wymaga rozpowszechnionego na szerokie przestrzenie wykształcenia muzycznego, jak niemniej odpowiedniego wykształcenia umysłu i duszy.

W czasach, gdy w dziedzinie poezji najulubieńszą i najpopularniejszą strawą ogółu były tkliwe i naiwne wierszyki Fr. Karpińskiego, pieśń owa artystyczna, nie miałyby co robić w dworach naszych szlacheckich. Wystarczały wówczas jeszcze piosnki o »księżycu co się wił po ścianie«, o »Zosi, której się chciało jagódek« spiewane nieuczonymi głosami przy dźwiękach odwiecznych klawikordów lub gitar, a bardzo często i bez żadnych akompaniamentów. I nawet znacznie później jeszcze, gdy już



STANISŁAW MONIUSZKO.

nasza poezya podniosła zwycięsko sztandar romantyzmu; w muzyce, klasyczne Filony i Laury zeszłego stulecia, błękały się przez długie lata po wioskach i siółkach, niechcąc ustąpić miejsca ludowym Maćkom i Jaśkom. W miastach znowu, wpływ opery przeszkadzał nie mało rozwojowi pieśni, a przez długie lata spiew solowy w koncertach, za godną siebie formę uważał jedynie arję teatralną, co zresztą i w Niemczech dopiero za czasów Schumana zostało na korzyść pieśni przełamane.

Wobec tego, wszelkie zagadki co do twórczości naszej na tem polu, przestają istnieć. Nie zadziwiamy się, że dopiero w jakie pół wieku istnienia opery, ukazują się pierwsze piosnki, (J. Elsnera) i że w chwili, gdy w Niemczech pojawia się epokowa pieśń Schuberta »Erlkönig«, (1815), u nas przygotowują w Warszawie wydawnictwo »Spiewów historycznych« Niemcewicza z muzyką ułożoną na spiew i fortepian przez pokaźny zastęp kompozytorów i kompozytorek, którzy z całą naiwnością amatorów, nie cofnęli się przed tak trudnem i niewdzięcznem zadaniem, jak ilustrowanie tej rymowanej historii polskiej muzyką. Wydawnictwo to rozpowszechnione znacznie, bo ponawiane w następnych latach kilkakrotnie, charakteryzuje wymownie ówczesny sposób pojmowania pieśni. Wzięli się do niej amatorowie, których nazwiska nierównie więcej blasku arystokratycznego nadały dziełu niż artystycznego — dość tu wymienić hr. Zamojską, hr. Chodkiewiczową, księżnę Wirtenberską i hr. Rzewuskiego oprócz kilku innych. Do tego grona przyłączyła się i Marya Szymanowska, słynna w swym czasie pianistka, po kilka zaś utworów skomponowali dwaj muzycy Franciszek Lessel i Karol Kurpiński, którzy też zapewne musieli rękę przyłożyć i do reszty spiewów, gdyż rażących usterek tu nie znajdujemy. Karol Kurpiński zbyt jest znany, aby należało do nazwiska jego objaśnienia jakie dodawać, o Lesslu czuję się obowiązany nadmienić, że był to muzyk dobry, urodzony w Polsce, syn Wincentego Lessla, nauczyciela muzyki u księcia Adama Czartoryskiego w Puławach. Rzecz prosta, że utwory Lessla i Kurpińskiego, jakkolwiek ani barwy narodowej, ani wyższego polotu nie posiadają, są tu najlepsze; niemniej jednak całość artystycznego znaczenia nie ma.

Ten dyletancko-amatorski poziom Spiewów historycznych, niestety i nadal niezmienił się w polskiej pieśni, przez całą prawie pierwszą połowę bieżącego stulecia. Pojawiły się prace Elsnera i Królikowskiego o metryczności polskiego języka i o prozody, konserwatorium warszawskie uprawiało i naukę śpiewu i naukę teoryi, ukazywali się śpiewacy zdolni i muzycy, zwłaszcza fortepianiści, biegli; pieśń jednakże nie wzrastała w górę, mimo że i wspomniały rozkwit literatury naszej i powinien był ją użyźnić. Traktowanie tekstów pod względem prozody i deklamacyi wcale nie było staranne, melodye nadużywały rytmu mazurka, zresztą nie usiłowały odtwarzać ducha tkwiącego w poezyi; towarzyszenie śpiewu ograniczało się na szablonowych zwrotach harmonicznym i na skromnej formie pobrząkiwanych jednostajnie akordów. Niektóre znowu, przy całym swem ubóstwie, posługiwały od czasu do czasu wymyślnymi pasażami fortepianowemi, zapożyczonymi z ulubionych

wówczas warjacyj lub z ćwiczeń Czernego. Nawet muzycy skądinąd wykształceni i zasłużeni jak Dobrzyński, Każyński lub Nowakowski nie umieli się wzbic wyżej, chociaż każdy z nich a zwłaszcza ostatni, nie małą ilość pieśni pozostawił. Kilka z nich wyróżniających się dodatnio, nie może w oczach naszych uratować całości od zarzutów, na jakie zasługuje. Nie ratują ich nawet pieśni pozostawione w liczbie 17-tu przez genialnego Chopina. Znajdujemy wśród nich melodye cudownie piękne jak *Moją pieśzcotką*, *Życzenie*, lub *Piosnka litewska*, jednak zarówno z traktowania deklamacyj jak i akompaniamentów, widzimy że Chopin do nich żadnej wagi nie przywiązywał. Za naszym twierdzeniem i to przemawia, że wyszły one nie za życia mistrza, lecz po jego śmierci, a zatem może nawet wbrew jego życzeniu. Widocznie i on nie odczuwał jeszcze i nie uznawał tego nowego rodzaju sztuki, mimo że utwory Schuberta musiały mu nie być obce i mimo, że w gruncie rzeczy, tworząc swe genialne drobnych rozmiarów kompozycje jak preludya, nokturny i mazurki, sam stawał się natchnionym pieśniarzem, czystej wody lirykiem, poetą pełnym namaszczenia, chociaż się słowem nieposługiwał. Zresztą gdybyśmy chcieli koniecznie siedemnastu melodyom Chopina, nadać znaczenie wyższe w dziejach naszej pieśni, to i w tym razie jeszcze, honor pierwszej połowy bieżącego stulecia nie zostanie ocalony, gdyż w druku ukazały się one dopiero w sześć lat po zgonie swego twórcy t. j. w roku 1855.

Ale widocznie przeznaczeniem pieśni było urodzić się na Litwie, tam, gdzie zeszło słońce naszej poezji. Tam pojawił się i jej Mesjasz: Stanisław Moniuszko.

Zanim jego działalność na polu pieśni roztrząśniemy, aby w końcu ocenić o ile więcej może jeszcze człowiek ten był twórcą pieśni, niż twórcą opery polskiej, zatrzymać się musimy na chwilę przy okolicznościach, w jakich te pieśni powstały.

Osób śpiewających z nut — czytamy w jednym z wiarygodnych źródeł*) — było na Litwie bardzo niewiele. Te zaś, które uczyły się śpiewu, śpiewały arje włoskie lub francuskie, bo śpiewów polskich wcale nie było. Jeżeli zaś i były, to tylko zwrotki ośmiotaktowe z akompaniamentem z dwóch kolejno zmieniających się akordów złożonym. W każdym z tych utworów nie było ani śladu charakterystyki, jeżeli zaś melodia się podobała, to bez najmniejszego skrupułu podkładano pod nią najrozmaitsze wiersze, po kilka lub kilkanaście nawet. Śpiewy Elsnera lub Kurpińskiego nie zachodziły nawet na Litwę, znane one były tylko osobom mającym stosunki bliższe z Warszawą. Epokę miała stanowić tamże — powtarzamy za tym samym autorem — »Duma o hetmanie Kosińskim« do słów Bohdana Zaleskiego, utworu Ignacego Platona Kozłowskiego. Posiadała ona do każdej zwrotki inną melodję, a w przegrywkach rytm naśladowający tentent kopyt końskich, to znowu wystrzały i odgłosy dzwonów. Ile wartości artystycznej w niej było, trudno dziś ocenić, gdyż zaginęła bez śladu; miała jednakże

*) Walicki. St. Moniuszko.

»w zdumienie wszystkich wprawiać«. Na każdy zaś sposób mogła istotnie obudzić tu i ówdzie zmysł do nowszego rodzaju śpiewu. Utwory, które w następnych latach się pojawiały, wydawane w Wileńskim »Dzienniku muzycznym« przez Weissa i Lewkowicza, nie posiadały żadnej wartości lub były przedrukami z obcej literatury muzycznej.

Gdy więc Moniuszko osiadłszy w Wilnie po powrocie swym z Berlina, jako dwudziestoparoletni młodzieniec zaczął w świat pierwsze swe pieśni puszczać, były one niezaprzeczenie nowością i musiały niewątpliwie wyrzucić wrażenie na muzyczne jednostki. Jeżeli mamy dosłownie brać wyraz jednego z przyjaciół Moniuszki, to »Świtezianka« rozpoczynająca I. śpiewnik wywołała również »zdumienie«. Zdziałał to głównie akompaniament, na którego trudność narzekano, zachwycając się oryginalnością pomysłów, a więcej zapewne jeszcze melodyjnością utworu. Z wydawaniem jednakże, nieszło gładko. Żaden nakładca wileński nie chciał nawet darmo kompozycję drukować, bo zachwyty kilkudziesięciu śpiewających osób nie wystarczał na pokrycie kosztów nakładu. Komunikacja z Warszawą tak była jeszcze wówczas utrudniona, że o wydawaniu tam, ani myśleć niepodobna było, tem więcej, że w Warszawie imię młodego muzyka wcale jeszcze nie było znane. Firma berlińska Bote & Bock pierwsza wydała parę najwcześniejszych utworów Moniuszki, niezrobiwszy jednak na nich dość korzystnego interesu, cofnęła się. Niepozostawało mu nic innego, jak chwycić się drogi prenumeraty i w ten sposób w ciągu lat kilku, wyszły trzy Śpiewniki domowe oddzielnie. W kilka lat później, wydawały już księgarnie: Zawadzkiego w Wilnie, Friedleina i Gebethnera & Wolffa w Warszawie, powtórne nakłady tychże śpiewników, w r. 1858 ukazał się czwarty, a następnie w kilka lat później piąty i szósty.

Obok utworów, zawartych w tych zbiorach wychodziły jeszcze pieśni osobno, a zliczywszy je wszystkie razem, otrzymujemy poważną liczbę dwiestu czterdziestu, jaką żaden kompozytor polski ani przed nim ani po nim, poszczycić się nie może.

Już na samej tej cyfrze tak pokaźnej możnaby oprzeć twierdzenie, że Moniuszko w pierwszym rzędzie był pieśniarzem; budujemy je jednak na znacznie silniejszej podstawie, bo na charakterze twórczości i na stanowisku, jakie utwory jego w ciągu lat kilkudziesięciu swego istnienia w muzyce naszej zajęły. W początkach, ważną rolę odegrały u niego liczne i rozmaite wpływy z zewnątrz. Bardzo być może, iż już w najwcześniejszym zaraniu jego talentu, owe Śpiewy historyczne Niemcewicza, które jako młody chłopak umiał podobno na pamięć, obudziły w nim myśl, iż pieśni należy się wybitny narodowy charakter i że tę próżnię potrzeba wypełnić. Dalej znowu niepodobna przypuścić, aby kształcąc się u Rungenhagena w Berlinie, nie miał się poznać z niemiecką pieśnią nowoczesną — z Schubertem i innymi kompozytorami, a muzykę Lōwego do kilku ballad Mickiewicza znał napewno, gdyż pojawiała się ona nawet w nakładach wileńskich wydawców. Wpływ Włocha Bonoldiego nauczyciela śpiewu, zamieszkałego w Wilnie, a zaprzyjaźnionego z nim ściśle,

także niemało oddziałał. Mając śpiewaka tuż obok siebie, podlegał Moniuszki ciągłemu impulsowi do tworzenia nowych rzeczy, niemówiąc już o tem, że zapoznawał się z techniką wokalną. W końcu i wrażeniu jakie nań wywarła poezya nasza romantyczna śmiało przypisać można bardzo wiele. Czuł się nią podniecony, ośmielony do lotu, przepełniony nadzieją i widokami na przyszłość. Jednak silniejszym może jeszcze, był ów pociąg wewnętrzny pochodzący z wrodzonego usposobienia. Posiadał bowiem Moniuszko jedną z tych natur muzykalnych, które skłaniają się głównie ku melodi i których umysł zdolny jest wprowadzić do kombinowania i snucia szerszych planów kompozycyi, zbyt jednak wielkiego ciężaru polyfonii nie znosi. To też uczuwając konieczność wprowadzenia do pieśni, bogatszego żywiołu harmonicznego, umiał się on ustrzedz instyktownie wszystkiego, coby go w tym kierunku za daleko było posunęło. Dzięki temu w utworach tych panuje pewna miara artystyczna.

Pod wieloma względami był to talent nadzwyczaj pokrewny z talentem Fr. Schuberta, kilkakrotnie wspomnianego już powyżej twórcy pieśni niemieckiej. To samo uwielbienie dla melodi, to samo oddawanie jej pierwszeństwa, ta sama łatwość wynachodzenia jej i ta sama rozrzutność w jej użyciu. Dalej ten sam pogodny jej młodzieńczy ton, wstręt do refleksyi, krytyki i zbyt długiej mozolnej pracy nad wykończeniem utworu; a nawet ta sama nieraz wielomowność. Talenta te różniły się znowu w tem głównie, że na Schubercie znać wychowanie muzykalne, znać iż muzyka wsiąkała w jego krew już w latach dziecińczych, że wykołysał się on nieledwie wśród wzorów najlepszych. Stąd w twórczej działalności jego, obok bajecznej ilości pieśni, pojawia się symfonia i muzyka komnatowa; gdy Moniuszko trzyma się zupełnie zdaleka od tego rodzaju, zwrócony ku pieśni, śpiewom kościelnym, kantacie i operze, a więc prawie wyłącznie ku muzyce wokalnej. I nie dziwnego, gdyż pierwsze wrażenia w dziecięcych latach, zawdzięcza on znacznie mniej muzyce klasycznej niż śpiewom ludowym, które go dołatywały z łąk i pól rodzinnego Ubiela. Przenosił on wprawdzie bardzo rzadko melodye te żywcem na papier nutowy, ale pod wpływem ich renimiscencyj tworzył przez całe swe życie. To też nawet w operze, Moniuszko pozostał więcej pieśniarzem niż kompozytorem dramatycznym. Dość tu przytoczyć te najwybitniejsze ustępy »Halki«, »Strasznego dworu«, »Verbum nobile« lub »Flisa« w których pieśń nieraz w formie jak najdrobniejszej, porusza w sposób prawdziwie czarodziejski najtkliwszą strunę naszych serc. Czyż piosnka o »Gołąbku« w »Halce«, Dumka Jontka, lub wreszcie melodia »Gdyby rannem słońkiem« będąca w gruncie rzeczy pieśnią rozrzerzoną, niestoją wyżej od scen ansamblowych, duetów i innych już czysto scenicznych numerów opery? A czyż podobna sobie wyobrazić coś bardziej lirycznego, jak arję z kurantem w »Strasznym dworze«?.. Są to klejnoty pieśniarstwa polskiego i pozostaną niemi na długie lata.

Wśród pieśni zawartych w śpiewnikach, lub wydanych oddzielnie, znachodzimy wielką ilość utworów pierwszorzędnej wartości. Wogóle,

podzielić się one dają na następujące kategorie: ballady, pieśni poważne, pieśni charakterystyczne i humorystyczne, wreszcie ulotne, bardzo liczne i w treści swej najrozmaitsze. Pierwsze z nich pod względem rozmiarów najszerze i z tego powodu najmniej przystępne, stosunkowo najmniej są też i znane, z wyjątkiem popularnych »Czatów« i »Trzech Budrysów«. A jednak »Rybka« ballada również do słów Mickiewicza, swoją wartością artystyczną na większą uwagę bez kwestyi zasługuje. Szkoda, że długością przechodzi wszystkie inne, wskutek czego trudną jest i nużącą dla wykonawcy i dla słuchacza. Inne pieśni, wyjąwszy trzy poważne treny do słów Kochanowskiego (Śpiewy kościelne wykraczają poza nasz przedmiot) przedstawiają się nam naprzemian pod mniej lub więcej zmienianymi postaciami krakowiaka, dumki, mazurka i poloneza. Te dwie ostatnie formy rytmiczne pojawiają się w pieśniach Moniuszki niezbyt często, natomiast nie rzadko spotykamy t. zw. marciałe (Czarny krzyżyk, Pieśń rycerska, Stary kapral) t. j. ruch zbliżony do marsza. Istnieją jeszcze oprócz tego śpiewy w takcie sześć- lub dwunastoósemkowym, te jednak z wyjątkiem prześlicznej »Zosi sieroty« i »Znaszli ten kraj« przedstawiają przeważnie typ najmniej udatny (Do Wili) trochę suchy i bezbarwny.

Widocznie, potrzeba mu było wyraźnych rytmów dwudzielnych, pochodzenia tanecznego a barwy swojskiej. Pod tym względem w krakowiakach jest niezrównany w świeżości (»Wesoł i szczęśliwy«, »Na Wawel« Wiosna i w. i.) a w dumkach rzewny i serdeczny (Kozak, Wędrowna ptaszyna, Dwie zorze). Znakomitami w swoim rodzaju są zdaniem naszym utwory charakterystyczne jak Maciek lub Dziad i baba. Pierwszy przepysnie maluje fantazję chłopską podnieconą i szalejącą pod wpływem bólu. Jestto może jedyny utwór Moniuszki o kolorycie ponurym, mieszającym się w oryginalną całość z typowym rytmem krakowiaka. Utwor ten mógłby w czasach dzisiejszych powstać a zachwycilibyśmy się niezawodnie jego modernizmem. »Dziad i baba« znowu, posiada ogromnie dużo spokojnego humoru i gawędziarskiej dobroduszości.

Pieśni Moniuszki przeszły granicę kraju i dotarły tam nawet, gdzie dla oper jego za mało było miejsca. Trzydzieści kilka wyszło ich w przekładzie francuskim, kilkanaście w rosyjskim a pewna ilość i w niemieckim, nie wliczając w to oczywiście tych kilku, które Moniuszko sam w początkach swego kompozytorskiego zawodu, niemieckim zaopatrzył tekstem. Rozszerzanie ich za granicą jest zasługą śpiewaków naszych, szkoda tylko, że trzymają się oni zbyt jednostronnie kilku uprzywilejowanych, jak Kozak lub Krakowiak. Niemalą też zasługę wobec tych pieśni zdobył sobie Jan Gall, układami tychże na chór męski. Śpiewane w Niemczech, zwróciły one niejednokrotnie uwagę na oryginał kompozycyi i na ich autora.

Rzut ten oka na Moniuszkę pieśniarza, jakkolwiek pobieżny i niewyczerpujący, powinien wystarczyć do zdania sobie sprawy z tego, jakie stanowisko zajął on wobec naszej pieśni, a zwłaszcza wobec jej przeszłości. On ją stworzył poprostu, on był Schubertem polskiej muzyki. A jeżeli sumiennie rzecz oceniając, pod względem znaczenia dla sztuki

ogólnej nieprzyznamy mu stopnia tego, jaki w hierarchji artystycznej zajmuje Schubert, to znowo pod innym względem przewyższa go znacznie. Moniuszkę opromienia wielka miłość Ojczyzny, wielkie przywiązanie do pieśni ludu własnego, wielkie i szlachetny cel stworzenia dla sztuki narodowej czegoś, co przed nim prawie nie istniało. Odczuwamy to w każdej prawie jego nucie i dzięki temu, odnosimy przy słuchaniu wrażenia dla nas wyłącznie zrozumiałe, nasze własne. Jeżeli chwilowo z tej drogi zoczył, to sam uznawał, iż łatwoby mu było zabłąkać się. W jednym z jego listów takie znachodzimy słowa: »Po obliczeniu sił swoich, decyduję się nie porywać na przedmioty, które nie są nam swojskie. Nie powodzi mi się w obcej sferze, w której wyglądam jako murzyn biało malowany«.

Za te szczerze słowa i za ten cały legion pieśni, w których je ucieleśnił, zachowuje dlań Naród cześć i wdzięczność niewygasłą.

St. Niewiadomski.



TEATR.

(»Jojne Firułkes« — sztuka w 5 aktach Gabryeli Zapolskiej. — Dwie farsy: »Koziołki« i »Wojna z żonami«).

Znacznem, chociaż nie tak wielkiem powodzeniem jak głośna »Małka Schwarzenkopf« cieszył się na scenie lwowskiej »Jojne Firułkes« pani Gabryeli Zapolskiej. Sztuka ta jest niejako »dalszym ciągiem« owej niefortunnej »Małki«, która w ciemnej masie żydowskiego gminu wyrosła — według autorki — niby kwiat egzotyczny, chciała być apostołką światła i — zginęła marnie. Wzięła narzuconego jej za męża Jojnę, jak u żydów to zwyczajem, młodego, w »tradycjach« wychowanego chłopca, który wyższych aspiracyj Małki zrazu pojąć nie umiał, a dopiero po jej śmierci zrozumiał, a raczej odczuł, że w niej mieszkał jakiś duch szlachetniejszy, od ducha całego otoczenia, które na ustach ciągle, tak samo, jak w mózgach i w sercach ma tylko handel i profit materialny i które w celu osiągnięcia »profitu« handluje nie tylko przedmiotami nieżywotnymi, ale żywemi ciałami i — sercami...

Odlatująca od Jojnego duszą Małka, okazała mu wyższe regiony światła, wzięła serce i umysł jego w sfery ponad etykę ciemnego, żydowskiego gminu, mnożącego się w nędzy materialnej ogłupianego w chajderach, wzrastającego w ciągłej walce o byt, żyjącego w czci dla złotego cielca i hołdującego zasadzie: oko za oko, ząb za ząb.

Jeżeli znajdzie się wyjątek w pośród tego gminu, który tej etyce nie hołduje, ten uchodzi albo za buntownika, którego wykląć ze społeczeństwa, (żydowskiego), należy i kamienować, albo uważać za umysłowego niedołęgę, idyotę...

Otóż bohater sztuki p. Zapolskiej »Jojne« jest — buntownikiem. Poruszone w jego ustroju psychicznym dłońią umierającej Małki szlachetniejsze struny drgać poczynają — od początku sztuki przez dalsze akta — coraz to silniej, coraz żywiej i głębiej, zwłaszcza, przy silnym nacisku bezmiernej rozpacz, jaka ogarnęła go po stracie kochanej kobiety... I Jojne wyrasta na bohatera. Zmuszony żyć w okropnym, fizycznym i moralnym zaduchu — gdzie — mieści się i »handel« jego ojca i kilka rodzin żydowskich z proletaryatu, »podnajmujących« w tej izbie mieszkania, terroryzowany przez ojca na każdym kroku, Jojne huntuje się zrywa z tem otoczeniem, chociaż znajduje w niem przeciwieństwo jedną współczującą istotę, młodą Moresse, która odczuwa instynktem kobiecym w młodym człowieku: — serce, to coś, o czem podobno przy zawieraniu małżeństw między żydami niema w zasadzie mowy.

Autorka, przeprowadzając typ »etycznie wyższy« każe jednak Jojnemu wrócić jeszcze do obmierzłego otoczenia tego, gdy idzie o to, aby ocalić ojca, (starego Firułkesa), który podpala swoje mieszkanie zaasekurowane, w nadziei uzyskania grubego odszkodowania. Ale — snąc *fatum* tak chce — zatwardziały wyznawca złotego cielca, ojciec, przeklina syna dla tego, że mu przeszkodził w wykonaniu zamiaru t. j. podpalenia. Jojne idzie w świat, jako nędzarz ubogi, doznaje nędzy, mnóstwa upokorzeń, a wreszcie poprostu zostaje ukamienowany — jak wszyscy, którzy głosili Izraelowi wiarę: czystej miłości bliźniego. Złamany zupełnie, wyklęty ze społeczności, powraca na grób Małki, aby tam umrzeć jako wierny szermierz ideałów i haseł, któremi jego duszę Małka ongi rozwidniła, lecz tu na kirkucie znajduje, po tylu rozpaczliwych przejściach pomoc, pociechę i ulgę, które mu podaje dłoń młodzieuchnej Laji, wnuczki starego dozorcey kirkutu, wychowanej przez dziadka w obrębie murów cmentarza, w niewinności i nieświadomości świata, w ubóstwie, a w ciągłym przyświadczeniu tej jednej, nie odmiennej prawdy: »prochem jesteś i w proch się obrócisz«... Na tem kończy się sztuka pani Z. Dalsze losy Jojny pozostają nieznanne.

Mimo pewnych reminiscencyj z »Małki Schwarcenkopf«, zresztą dość naturalnych, nie podobna odmówić »Jojnemu« tej wielkiej każdej sztuki zalety: — że robi pewne wrażenie. W teatrze to rzecz pierwsza. Jnną rzecz atoli, czy postać Jojnego »męczennika« tak, jak autorka ją postawiła, odpowiada stosunkom rzeczywistym? Tu trzeba chyba dać pytajników nieskończoność. Dziś, gdy zmateryalizowane są inne — nie tylko żydowskie światy — i materyalizują się coraz bardziej, żyd, idealista taki, jak Jojne, jest raczej wytworem wyobraźni aniżeli postacią choćby w przybliżeniu rzeczywistą.

Pod względem »roboty« scenicznej, znakomita autorka jest tak wytrawną zwłoczynią sceny, że doprawdy banalnemi wydałyby się wszelkie pod tym względem dla sztuki jej pochwały, Charakterystyka osób

działających świetna, a tu podniosę znamienny szczegół, że żydzi charakteryzują się ciągle w żargonie, (rzecz dzieje się w Królestwie) — natomiast Jojne, Moressa i inne bardziej »wyzwolone« postaci mówią już prawie zupełnie czystym językiem polskim — jakkolwiek oczywiście z właściwym sobie akcentem.

W celu godnego przedstawienia »Jojnego« artyści naszej sceny postarali się o to, aby najlepszymi siłami swymi oddać świetnej autorce i artystce — koleżance jak najlepszą przysługę. Jojnego dał p. Nowacki, młody, z młodym ale bardzo wiele obiecującym talentem, wcale zadowolająco. Pyszną, z życia wziętą figurą była stara Chana w interpretacji p. Gostyńskiej a p. Feldman, jako ojciec Firulkes w komi-tragicznej swej roli był od początku do końca typowym. Tkliwa Moressa p. Czaplińskiej i wesoła Gusta p. Jankowskiej zdobywały zasłużone-oklaski. W innych rolach odznaczyli się szczególnie wyborną charakterystyką pp. Wysocki (belfer) Jaworski, (kierownik chajderu). Znakomitym w swoim rodzaju żydziakiem niby — lekkoduchem wiecznie wesołym, ale nie zaniedbującym interesów, był p. Modzelewski jako Szmil śpiewający, tańczący i wiersze składający. P. Modzelewska niemniej dobrą była »mamką«.

Jeszcze dwie inne »premiery« wystawiono na scenie lwowskiej w miesiącu ubiegłym. »Koziołki«, (Bocksprünge), (krotochwila) pp. Hirschberga i Kraatza ma jedną szczególną zaletę, a to, że do starych form tego rodzaju utworów, wlewa ciasto o nowym smaku: do szablonu farsy najzwyczajszej przystosowuje pomysł oryginalny. Wszystkie, zwykłe w każdej farsie niedorzeczności, dzieją się tu dla tego, że pewien stary kapitalista, pragnący się »odmłodzić«, daje sobie zastrzyknąć w żylce swe żyły krwi »capię«, poczem wyprawia najrozmaitsze na scenie koziołki, aby zbliżyć się do młodych niewiast, podczas gdy drugi amator leczenia się sposobem amerykańskim, (przez odświeżanie krwi), dawszy sobie zastrzyknąć krwi »jagnięcej«, staje się z namiętnego Węgra, potulnym niewolnikiem swej ukochanej śpiewaczki. Publiczność bawiła się i oklaskiwała znakomicie koziołkującego kapitalistę Fiszerę, a niemniej Feldmana, któremu iniekcya krwi jagnięcej wypędziła z organizmu całe masy »papryki«.

Wesołą też farsą jest Hennequina: »Wojna z żonami«. Robota sceniczna oczywiście dobra, humoru dużo, szarży niemniej. Artyści nasi grają z werwą »Francuzów północy«, szczególnie p. Gostyńska, Feldman i Wostrowski. Z większej roli kapryśnej, młodej żonki wywiązała się dobrze panna Ogińska. P. Walewski nie tylko w sztuce był wzorowym »służącym«, ale wybornie też przysłużył się sztuce reżysery bez zarzutu.

Roman Poliški.

Gościnne występy p. Gabryeli Śnieżko-Zapolskiej pozwoliły bywalcom teatralnym przypomnieć cały szereg ciekawych kreacji scenicznych, odtworzonych przez sympatycznego gościa krakowskiego z całą prawdą i pełną plastyką. a zarazem z przedziwną swobodą i naturalno

ścią. Brak wszelkiej manieri i niezwykła inteligencja — to najwybitniejsze cechy gry utalentowanej artystki, która dokazała cudu zgromadzając w piękne wieczory majowe tłumy widzów w dusznej sali teatru h. r. Skarbka.

O pierwszych paru występach p. Zapolskiej wspominaliśmy w poprzednim zeszytcie *Irydy* i dzisiaj dodamy tylko, że każde jej nowe zjawienie się na scenie było nowym, zupełnym tryumfem, tem większym, że artystka objęła wydział ról, pamiętmy Lwowianom dobrze z gry pań Modrzejewskiej i Sary Bernhardt. Porównanie nasuwało się każdemu mimowolnie na myśl, mimo to wychodziło zeń p. Zapolska zwycięsko, a scena śmierci np. w Damie kameliowej posiadała tym razem nawet więcej prawdy niż w grze znakomitej Modrzejewskiej. Nora, Paryżanka, Dama kameliowa, Rozwiedzmy się, Urzędowa żona, Frou-Frou, zmieniały się kolejno na afiszu; w każdym z tych utworów scenicznych rola bohaterki jest trudną, częstokroć mocno skomplikowaną i typy to w dodatku między sobą różniące się znacznie, wymagały więc tem samem niemałych studyów i umiejętnego wnikięcia w charakter odtwarzanej postaci. P. Zapolska pokonała wszelkie szkopy i dała nam za każdym razem osobę żywą i czującą naprawdę i jej uśmiechy nie były robione, łzy nie trąciły sztucznością i była to w istocie z krwi i kości lekka Paryżanka, lekkomyślna choć w gruncie rzeczy uczciwa amatorka rozwodów, (Rozwiedzmy się) i zapalona agitatorka, (Urzędowa żona) i nieszczęśliwa, trzecia czy czwarta lalka w domu, (Nora) i zmieniająca się pod wpływem gorącego uczucia dama kameliowa i wreszcie biedne, niezrozumiane przez otoczenie Frou-Frou. I cóż jeszcze mam powiedzieć w tej zwięzłej notatce? oto chyba wyrazić życzenie bardzo wielu osób, by dyrekcyja naszego teatru na stałe pozyskała tak doskonałą siłę artystyczną dla sceny lwowskiej.

Miro.

* * *

W „Dąbrowie górniczej“, prześliczna jednoaktówka Maskoffa, to prawdziwe pieścidełko artystyczne, wywierające bardzo silne wrażenie. Autorka już w Tam tym dowiodła, że umie grać na sercach ludzkich silnie i tym razem odniosła nowy sukces, choć utwór swój w tak skromnych zamknęła ramach.

Treść jednoaktówki opowiedzieć łatwo i krótka ona i pochwycona wprost z życia. W kopalniach w Dąbrowie górniczej nakłoniono robotników do bezrobocia. Po wielu wahaniach usłuchali biedacy podszeptów »paniczów«, agitatorów, a w ślad za tem rozgościła się w ich izbach wszechwładnie okropna nędra, grożąca rodzinom całym śmiercią głodową. W dodatku sprowadzono do osady żandameryę i kozaków, którzy najhajkami nakłaniać mają krnąbrnych do posłuszeństwa.

Zdała słyhać już dzikie spiewy nadeciągającej sotni Dońców. Bijącą w okna izdebki starego górnika łuna wskazuje, że straszni przybysze rozkładają ogniska opodal po drugiej stronie drogi, kapitan żandarmów rewiduje mieszkania strejkujących i przyłapuje na gorącym

uczynku młodego sztygara-agitatora. Stary górnik stoczył przed chwilą z zapaleńcem ostrą walkę, czynił mu gorzkie wyrzuty, groził powrotem do szybu, bo »umierać z głodu nie myśli«, teraz jednak żał mu się zrobiło biednego chłopca, tłumaczy więc żandarmowi, że to nie żaden agitator, tylko bałamut, zalecający się do jego córki, za co właśnie dziewce swojej dobrą sprawił łaźnię. Kapitan opowiadaniu górnika uwierzył, wszystko atoli psuje młody zapaleńiec, przyznając się do winy. »A teraz wierzysz w szczerłość słów moich?« — szepta on do ucha górnika. »Panie sztygar, ja jutro nie zejść do szyby« — odpowiada równie cicho zapytany. Zakończenia dramaciku Maskofia przytaczać chyba nie trzeba, domyśli się go każdy łatwo. Artyści nasi odegrali drobnostkę sceniczną ku zupełnemu zadowoleniu autora i publiczności; szerególniej p. Chmieliński w roli starego górnika był skończenie dobrym. Inne postacie odtworzyli pp. Czaplńska, Lasocka, Wostrowski i Antoniewski. Reżyserya była tym razem doskonałą.

M. R.

Sprawa artystycznego kierownictwa w nowym teatrze lwowskim była przedmiotem obrad Rady miejskiej na dwóch z rzędu posiedzeniach, odbytych w dniach 12. i 18. maja r. b. nie doczekawszy się zasadniczego załatwienia. Jako referent przemawiał radny dr. Maryjański wnosząc imieniem komisji wydzierżawienie gmachu teatralnego prywatnemu przedsiębiorstwu. Komisya oświadczyła się za powyższym wnioskiem tak że względów materyalnych, gdyż opierając się na danych, dostarczonych jej z Berna, z Gracu, z Czerniowiec i z Krakowa, przysłała do przekonania, że prowadzenie przedsiębiorstwa scenicznego we własnym zarządzie połączone jest z nieuniknionym niedoborem, jakoteż ze względów artystycznych, ponieważ w teatrze uważała za konieczne skupienie władzy w jednym ręku podczas gdy rządy liczniejszego grona osób w instytucyi tego rodzaju są wręcz niedopuszczalne. Komisya zalecając, by w zasadzie postanowiono, iż teatr lwowski zostanie wydzierżawiony w drodze konkursu, wyraziła równocześnie przekonanie, iż przed ułożeniem warunków konkursowych zasięgnąć należy zdania znawców oraz, że owe warunki zostaną przedłożone do zatwierdzenia Radzie.

Przeciw wnioskowi komisji podniosły się głosy dwojakiej natury. I tak jedni członkowie Rady domagali się odroczenia sprawy celem dokładniejszego jej zbadania na podstawie zebrać się mających cyfr, dotyczących dochodów oraz wydatków teatralnych, podczas gdy inni znów mowcy oświadczyli się za objęciem przedsiębiorstwa teatralnego przez miasto. Ostatecznie przeważyło zdanie, wyrażone przez profesora dra Ciesielskiego, iż sprawę artystycznego kierownictwa sceny, przekazać należy przyszłej Radzie miejskiej, która już niebawem obejmie rządy gminy. Wniosek dra Ciesielskiego przeszedł większością 31 głosów przeciw 26.

Konkurs dramatyczny, rozpisany przez Wydział krajowy na rok 1898, został w d. 6 maja r. b. rozstrzygnięty. Z pomiędzy utworów na konkurs nadesłanych, wyróżnione były, jak wiadomo, sztuki: »Pożary«, (Młodzi bohaterowie), dramat w 4. aktach, (przedstawiony na scenie lwowskiej), tudzież »Nowe prądy«, sztuka ludowa, przedstawiona

na scenie krakowskiej. W posiedzeniu komisji konkursowej wzięli udział: jako przewodniczący członek Wydziału krajowego dr. Józef Wereszczyński, jako referent Wydziału krajowego, radca Antoniewicz, oraz pp.: dr. Antoni Małecki, Karol Estreicher, prof. dr. Roman Pilat, Tadeusz Romanowicz i dr. Bandrowski, b. dyrektor teatru lwowskiego. — Nieobecność swą usprawiedliwili pisemnie: p. Adam Krechowicki i p. Pawlikowski, dyrektor teatru krakowskiego. Sąd konkursowy uchwalił: 1) nie przyznać nagrody żadnemu z nadesłanych utworów z powodu braku warunków; 2) rozpisać ponowny konkurs na rok przyszedły z temi samemi nagrodami; 3) przedstawić Wydziałowi krajowemu wniosek, ażeby zaniechał dotychczasowego systemu rozpisywania konkursu, a natomiast, ażeby co lat pięć nagradzono sztuki najlepsze, jakie w tym pięcioletnim okresie odegrane zostaną na scenie lwowskiej lub krakowskiej. Uchwalono zarazem zaproponować Wydziałowi krajowemu podniesienie wysokości nagród, w ten sposób, ażeby I. nagroda wynosiła 750 zlr., II. nagroda 500 zlr., III. nagroda 250 zlr. Pod dyskusję był wzięty także wniosek dra Bandrowskiego, aby wykluczyć od ewentualnych nagród utwory, które na innych konkursach już otrzymały nagrody.

Ponieważ komisja konkursowa żadnemu z utworów na konkurs nadesłanych nagrody nie przyznała, postanowił Wydział krajowy rozpiścić ponowny konkurs dramatyczny na utwory sceniczne, polskie.

Termin do nadsyłania prac konkursowych wyznacza się po koniec grudnia 1899 r. W tym terminie nadsyłać należy pod adresem Wydziału krajowego we Lwowa, przeznaczone na konkurs utwory, zaopatrzone znakiem lub godłem autora, które umieścić należy nadto na zamkniętej kopercie, zawierającej wewnątrz imię, nazwisko i dokładny adres autora. Utwory już ogłoszone drukiem, jak niemniej już przedstawione na którejkolwiek scenie, nawet amatorskiej są wyłączone z konkursu. Nie będą również przypuszczone do konkursów prace autorów już nieżyjących, chociażby nawet dotychczas nie były ogłoszonymi. W przeciągu trzech miesięcy po upływie terminu konkursowego nastąpi rozstrzygnięcie konkursu przez osobną komisję, która zbierze się w Wydziale krajowym pod przewodnictwem JE. Marszałka krajowego albo wyznaczonego przezeń członka Wydziału krajowego. Skład tej komisji podany będzie do wiadomości publicznej osobnem ogłoszeniem Wydziału krajowego. Nagrody konkursowe wynoszą: pierwsza 1000 koron, druga 500 koron. Komisja konkursowa uchwali większością głosów, czyli i którym z utworów na konkurs nadesłanych nagrody te przyznane być mają. Ogłoszenie wyniku konkursu za pośrednictwem pism publicznych nastąpi najpóźniej do końca miesiąca kwietnia 1900 r. Własność utworów nagrodzonych na konkursie pozostaje ich autorom. Rękopisy utworów na konkurs nadesłanych zwrócone zostaną właścicielom na ich koszt, skoro się o to zgłoszą i podadzą Wydziałowi krajowemu znamiona swych prac oraz dokładny swój adres.



LITERATURA.

Historia ustroju Austrii w zarysie, napisał Oswald Balcer. — Lwów. — Nakład K. S. Jakubowskiego. 1899.

Historia ustroju Austrii, stanowiąca część historii prawa austriackiego, ma za zadanie przedstawienie dziejowego rozwoju instytucji prawa państwowego w ich przyczynowym pomiędzy sobą związku i organicznej łączności. Uwzględnia przeto nietylko zjawiska dziejowe z zakresu t. z. prawa sądowego, o ile one wpłynęły na ukształtowanie i rozwój instytucji prawa państwowego, lecz liczyć się musi także z innymi kierunkami życia narodowego i państwowego, wpływającymi na ów ustrój twórczo a przedewszystkiem z czynnikami ekonomicznej natury. Wyodrębnienie historii ustroju w Austrii tłumaczy się, prócz ogólnych właściwości tego przedmiotu, także szczególnie, w dziejowym rozwoju urządzeń prawnych monarchii występującymi zjawiskami, spowodowanymi różnicą organizmów polityczno-administracyjnych, jakie złożyły się z czasem na całość państwową.

Tyle co do samego przedmiotu książki, którą przeznaczył autor w pierwszym rzędzie jako podręcznik naukowy dla użytku młodzieży uniwersyteckiej oraz dla wszystkich szukających przystępnej informacji o rozwoju dziejowym urządzeń państwowych w monarchii Habsburgów. Dzieło profesora Balcera jest pierwszą tego rodzaju próbą w naszym piśmiennictwie, uwzględniającą — w przeciwstawieniu do podręczników niemieckich — w sposób równomierny historię ustroju wszystkich trzech zarodowych grup krajów koronnych: staro-austriackich, czeskich tudzież węgierskich, przyczem autor szczególniejszą zwrócił uwagę na stosunki galicyjskie od chwili rewindykacji. Jakkolwiek zasadniczą granicę omawianej pracy tworzy rok 1867, to jednak profesor Balcer zajmuje się niektórymi, późniejszymi zmianami aż do czasów najnowszych, o ile one są uzupełnieniem lub dalszem rozwinięciem zasad konstytucyjnej podstawy. Tem się też tłumaczy pominięcie ważnych reform z dziedziny ustawodawstwa społecznego, jako właściwości doby najnowszej, nie pozostającej w żadnym, bezpośrednim związku z dawniejszym ustrojem państwowym.

W najnowszej tej, obszernej, bo 58 arkuszy druku obejmującej pracy, kreślonej językiem pięknym, przedstawiającym znamienne zaletę wszystkich dzieł zasłużonego autora »Genealogii Piastów«, starał się profesor Balcer wyczerpać odnośną literaturę monograficzną aż do najnowszych czasów, zwracając przytem uwagę nietylko na prace niemieckie ale także na dzieła ogłaszane w polskim, w czeskim i węgierskim języku, pomijane systematycznym milczeniem przez pisarzy niemieckich. I z tego przeto względu dzieło profesora Balcera zasłużyło na życzliwe przyjęcie w szerokich kołach naukowych i politycznych naszego kraju. Szybkie orientowanie się w olbrzymim materiale książki ułatwia »Wykaz przedmiotów«, umieszczony na końcu dzieła a opracowany bardzo dokładnie.

Pamiętnik Stanisława Niemojewskiego, (1606—1608), wydał Aleksander Hirsberg. — We Lwowie. — Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich 1899 r.

W szeregu pamiętników, wświecających dzieje nasze w wieku siedemnastym, dyaryusz Niemojewskiego i ze względu na treść samą oraz na osobistość autora ważne stanowisko. Rola polityczna Rzeczypospolitej w dobie Dymitra Samozwańca, opis krwawych rozruchów w Moskwie, których ofiarą padła znaczna część polskiego orszaku carowej, wreszcie relacje o wewnętrznym stanie państwa rosyjskiego oraz o jego poszczególnych urządzeniach, wszystkie te czynniki znalazły należyte uwzględnienie w wspomnieniach Niemojewskiego. Autor, człek niezwykle wykształcony, wychowanek padewskiego uniwersytetu, później dworzanin królewski, używany do ważniejszych misji politycznych, w końcu kasztelan chełmiński, zdawał sobie dokładnie sprawę z tego widział i słyszał podczas dłuższego w granicach Rosyi pobytu a jak-

kolwiek różność wyznania, oraz niezastużona niewola mogły go niekorzystnie do pewnego stopnia usposobić wobec tamtejszego społeczeństwa, to mimo to dzienniczek jego, oparty na podstawie własnych obserwacji oraz opowiadań innych towarzyszyów niedoli, zawiera mnóstwo cennych, dokładnych i prawdziwych szczegółów, dotyczących zarówno spraw skarbowych, administracyjnych i ekonomicznych caratu jakoteż kultury jego poddanych.

Wydawca z uznania godną ścisłością zestawiał obie, dotychczas znane redakcyo pamiętnika, komentując je w odpowiednich ustępach w sposób zwięzły i jasny zarazem a nadto zaopatrzył swą publikację słowniczkiem wyrazów rosyjskich, używanych przez Niemojewskiego tudzież spisem osób i miejscowości, wymienionych w dyaryuszu. Książkę, starannie wydaną w drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, zdobną dwie autotypy, przedstawiające Dymitra Samozwańca i Marynę Mniszchównę według portretów, znajdujących się obecnie w moskiewskim muzeum historycznem.

Fr. Rawita-Gawroński: *Historja ruchów hajdamackich. We Lwowie. Nakładem K. S. Jakubowskiego 1899. Tom I. II.*

Po raz to pierwszy w literaturze naszej historycznej pojawia się dzieło, dające bardzo jasne i dokładne wyobrażenie o hajdamaczyźnie i o koliszczyźnie, podczas gdy dotychczas posiadaliśmy jedynie liczne relacye pamiętnikowe, dotyczące wyłącznie rzezi humańskiej. Wyborny znawca dziejów Rusi, przystąpił p. Gawroński do opracowania pamiętnego swego ruchu, uzbrojony nie tylko w materiał archiwalny, zużytkowany przez historyków rosyjskich w sposób wielce tendencyjny a wręcz nam nieprzychylny, ale i po dokładnem zbadaniu i wyzyskaniu odnośnej literatury, nie krępując się bynajmniej obcymi poglądami i sądami, lecz opierając się na samodzielnej ocenie źródeł. I właśnie owe samodzielne, źródłowe badania krwawego tego wypadku doprowadziło autora do przeświadczenia, że etniczne pierwsiastki turańskie, tkwiące w krwi ukraińskiego społeczeństwa ruskiego i wybuchające od czasu do czasu, były jedną z ważniejszych przyczyn, dla których społeczeństwo to przedstawiało bardzo niepewny i mało przydatny materiał do pracy państwowej. Ruch hajdamacki — zdaniem p. Rawity-Gawrońskiego — różnił się zasadniczo od podobnych ruchów ludowych w zachodniej Europie zarówno brakiem motywów ekonomicznej natury, jakoteż brakiem dowódców mających wyrobione przekonanie o kierunku dalszej działalności. Bo też w ciągu półwiekowego trwania hajdamaczyzny, nie znalazł się wśród hersztów buntu ani jeden człowiek, zdradzający jakieś dążenia polityczne, państwowe, świadome celu i kierunku. Przeciwnie, ruch hajdamacki był to wybuch rozhukanej swawoli państwowej, w której brały udział najgorsze wyrzutki społeczne i dopiero po roku 1768 skutkiem zatargów religijnych oraz intryg duchowieństwa prawosławnego bezładne rozboje przybrały chwilowo charakter walki klasowej i społecznej.

Najnowsza praca p. Rawity-Gawrońskiego składa się z dwóch części. W pierwszej, z dziewięciu rozdziałów złożonej, charakteryzuje autor stan kraju oraz poszczególne rozruchy przed wybuchem koliszczyzny, która sama dla siebie wypełnia cały tom drugi tego dzieła. Operując umiejętnie aparatem źródłowym, zdołał autor połączyć ścisłość historyczną, z wielce zajmującą formą opowiadania, dzięki czemu książka jego budzić musi zajęcie ogólne u wszystkich, pragnących bliżej zapoznać się z odnośną dobą dziejową. ...2.

Józef Popowski. *Polityka polsko-austryacka. Lwów 1899.*

Wytrawny, z europejskiem wykształceniem polityk i autor wielu broszur politycznych streszcza w tej swojej najnowszej broszurze zasady polityki polskiej wobec Austrii. Zaznaczywszy, że polsko-austryacka polityka liczy się właściwie dopiero od chwili, gdy nastąpiła era konstytucyjna, przechodzi autor czasy porozbiorowe i omawia stanowisko Austro-Węgier w obec innych państw oraz w obec polityki ogólnie europejskiej. Charakteryzuje następnie historję trójprzymierza i zauważa, że w obe skierowania w ostatnich czasach dążeń i amocij Rosji w stronę Azji, wyrównała się pokojowo a przynajmniej jest w pokojowym

zawieszeniu sprawa t. z. bałkańska. Rosya, zajęta kwestyą Chin i w ogóle azyatycką, zgodziła się na stanowisko Austro-Węgier w sprawach półwyspu bałkańskiego, stanowisko, polegające na popieraniu samodzielnego rozwoju państw bałkańskich. Wyraża dalej autor nadzieję, że według wszelkiego prawdopodobieństwa polityka azyatycka zajmować będzie Rosyę przez dłuższy czas, więc polityka jej europejska nie prędko ulegnie zmianie. Tym sposobem polityka austryacka, który nie żywi żadnych samolubnych zamiarów, a tylko pragnie, żeby i żadne inne państwo nie uzyskało na Bałkanie wyłącznego wpływu, odniesie zwycięstwo.

I teraz autor rozważając, o ile porozumienie się Austrii z Rosyą odpowiada interesom polskim, twierdzi, że porozumienie się to z naszego stanowiska było pożądane. Wśród pokojowych bowiem stosunków, Austro-Węgry mogą wzmacnić się na zewnątrz Polacy zatem w dobrze zrozumianym własnym interesie powinni dbać o siłę i potęgę państwa Austro-Węgier Na odwrót domaga się p. Popowski od Austrii, aby dbała o rozwój i rozkwit poszczególnych krajów koronnych tudzież zamieszkających je narodów i narodowości. Takie właśnie zrozumienie wspólności czyli solidarności interesów kraju i państwa stanowi główną cechę polityki polsko-austryackiej. Nadto dodaje autor, że dla Polaków istnienie Austrii, będącej jedyną ucieczką ludów środkowej Europy, jest niezbędnie potrzebne. Tak przedstawia się szkicowo rzeź wzięwszy, nić przewodnia broszury. Wywody swe oparł autor na rozbiore wielu źródeł historycznych i na porównaniu losu Polaków w trzech zabranych dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej.

B. M.

Pamięci Józefa Korzeniowskiego. Książka zbiorowa. W Brodach. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. 1899.

Książka w mowie będąca, mimo swego okolicznościowego charakteru, gdyż pojawia się niejako w formie komentarza do odsłoniętego w dniu 11. września r. z. w Brodach pomnika Korzeniowskiego, posiada i trwalszą wartość literacką dzięki treści, na jaką złożyły się rozprawki, drów Chmielowskiego, Czarnika i Gawlikowskiego, zreczenie zestawione wyjątki z wspomnień Pauliny Wilkońskiej o autorze »Karpackich górali«, a w pierwszym rzędzie scena dramatyczna pióra samego Korzeniowskiego p. t. Nasza prawda, osnuta na tle ruchu narodowego 1863 roku. Zamyka całość książki starannie zestawiona kronika powstania pomnika Korzeniowskiego w Brodach. Liczne i udatne wykonane ilustracje tudzież elegancka szata zewnętrzna pamiętkowej tej publikacji zaszczyt przynoszą wydawniczej firmie F. Westa.

p.

Wacław Żmudzki. Bór, powieść. — Lwów. — Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1899.

Cicha tragedia męczeństwa unickiego ludu wiejskiego, rozgrywająca się wśród pogranicznych borów — oto treść powieści, pisanej na świadectwo prawdzie, gdyby protest przeciw gwałtom i przemocy, jaką cerkiew prawosławna ujarzmić chce chłopskie dusze na rzecz państwowego kościoła. Bohaterem powieści jest znajda, syn ubogiej, pogardzanej wyrobnicy, który przygarniony z litości przez sędziwego probosza, oświatą nabytą w trudzie niemałym, zanieść pragnie pod słomiane strzechy i pada gdyby żołnierz na wyłomie ofiarą własnego poświęcenia. Uwożą go carskie zbiry w dal na północ, ale ziarno przez dzielnego bojownika za wiarę i wolność, rzucone w serca i w umysły siermięznej braci, nie padło na jałową glebę — i da Bóg — w najbliższej przyszłości pożądane wyda plony

Fabula powieści, prosta, nie wymyślna, sprawia wrażenie nie literackiego utworu ale relacji życiowej, jakiej garść sporą zbierze za kordonem każdy, kto słuchać umie i pragnie... Podobnie charakterystyka osób, podobnie to opowieści, to nie chorobliwe majaczenia rozbujającej wyobraźni, ale kreacye i obrazy, drgające taką realną prawdą, iż odczuje ją żywo każdy, dla kogo dola bratniego ludu nie jest obojętną. Krótko mówiąc, »Bór« jest dokumentem świeżym w martyrologii naszej, którego poznanie w najszerszych kołach czytelników byłoby rzeczą wielce pożądaną.

s. p.

Wincenty Kosiakiewicz: Niebezpieczny człowiek. Warszawa 1899. Nakład Jana Fiszera.

Poczytny autor dał nam tym razem powieść potracającą silnie o farsę lub humoreskę. Trudno wymagać od tej książki większej wartości literackiej, której ona w istocie nie posiada. Czyta się ją jednak z niemałym zajęciem, ubawić może szczerze, a przypuszczam, że właśnie w takim a nie w innym celu została przez p. Kosiakiewicza napisana.

Niebezpieczny człowiek — to kawaler lat około czterdziestu, zamożny, przystojny i elegancki, wykształcony i inteligentny. Pamiętniki jego, gdyby coś podobnego chciał napisać, obfitowałyby w sporo wypadków i historyjek wiele ciekawych, niejedna panna lub mężatka odgrywałaby w owych przelotnych flirtach i romansach wybitną rolę, podlotki więc spoglądają na niebezpiecznego człowieka z zaostrzonym zaciekawieniem. Wyruszywszy w podróż do Włoch, spotyka on w drodze kompanię Warszawiaków. W gromadce tej znalazły się dwie młodziutkie kochanki, które postanowiły rozpocząć podjazdową walkę z tym osławionym panem. Niebezpieczny człowiek, wciągnięty do towarzystwa mimo swej woli i chęci, odkrywa w zahukaney przez córeczki mamusi nieprzebraną moc wdzięków i zalet, zmienia pierwotne projekty, asystuje paniom bez przerwy, włóczy się za nimi bezustannie; zamiast do Rzymu spieszy w ich towarzystwie do Szwajcaryi, panny więc tryumfują skrycie, układają w duchu daleko idące projekty i tylko drażni je okoliczność, że niebezpieczny człowiek nie deklaruje się wyraźnie, którą z nich właściwie poślubić zamierza. Wszystkie te przejścia wykorzystał autor z wielkim talentem, malując nam szczególniej doskonałe dwa typy trochę nadpsutych wielkomięjskich podlotków i niezaradnej ich mamusi. Opowieść cała kończy się rozczarowaniem obu kochetek, bo niebezpieczny człowiek poprowadził do ołtarza... mamusię. Tego chyba nie widziały one w swych snach dziewiczych.

mre.

A. Ostoja. Nad czarnym szlakiem. — Opowiadanie. Lwów. Czcionkami »Drukarni polskiej«.

Już sam zewnętrzny wygląd bardzo starannie wydanego tomiku, ozdobionego piękną winiętą, nader sympatycznie usposabia czytelnika. Zadowolone jego wzrasta atoli stopniowo po przeczytaniu każdej nowej karty, odrazu poznaje on, że ma do czynienia nie z zawodowym pisarzem, ale z prawdziwie polskim gawędziarzem — ziemianinem, który niechybnie niejedną szarą godziną przy kominku w dworze wołyńskim wypełnił barwnem opowiadaniem niedawno przebrz iałych wspomnień, a zachęcony przez swoich najbliższych, spisał je i drukiem ogłosił Uczynił dobrze! Opowieść jego bowiem, prosta i bezpretensjonalna, chwytła za serce. Kreśli ona barwnie życie ziemian polskich nad czarnym szlakiem, rzuca niejedną myśl zdrową i pożyteczną, a zawsze tchnie prawdziwą miłością do przekazanego przez ojców i dziadów kawałka ziemi, który utrzymać w całości jest poniekąd obowiązkiem narodowym.

M. R.

St. Korczak: W salonie a w duszy. Kraków 1899. Nakład i druk W. L. Anczyca i spółki. Nowy pseudonim występuje na arenę powieściopisarską, nie więc dziwnego, że wzbudza on szczerze zainteresowanie wśród tych wszystkich, którym leży prawdziwie na sercu rozwój literatury polskiej. Co z tego związku wyrośnie? Czy nie zmarnieje on przed czasem? Trudno dzisiaj odpowiedzieć. Na razie można jedynie stwierdzić, że praca zdradza pióro niewieście, posiada bowiem sporo charakterystycznych znamion, cechujących właśnie utwory kobiece. Ze znać na tej powieści liczne i wyraźne wpływy innych autorek, szczególnie Jeleńskiej i Kowerskiej, coby świadczyło poniekąd o tem, że nieznamy mi bliżej pseudonim stawia dopiero pierwsze kroki na niwie pisarskiej. Jeżeli mój domysł nie mija się z prawdą w takim razie bezstronność przyznać każe, że początek ten niezupełnie źle wróży o dalszym ciągu; że przy pracy rzetelnej dać nam Korczak potrafi w przyszłości niejedną rzecz dobrą, a w każdym razie znacznie lepszą od omawianej powieści, ochrzczonej nieco pretensjonalnym i niewytłómaczalnym ławno tytułem. W każdym razie, mimo wszelkie strony ujemne, książka zająć potrafi, przeczytać więc ją warto. Język powieści sta-

ranny, tło dosyć charakterystyczne i oryginalne, liczna grupa typów drugoplanowych naszkicowana wcale zręcznie, co się zaś tyczy głównych postaci: bohaterki powieści, jej męża i kuzyna, choć spotykał je czytelnik pod innymi nazwiskami już gdzieindziej, mimo to wita on tutaj tych dawnych znajomych z przyjemnością, bo wcale go oni nie nudzą, przeciwnie opowieść o ich złych i dobrych losach wypełni mu kilka chwil wytchnienia między jedną a drugą pracą zawodową. mre.

Aureli Urbański wydał — jak już donieśliśmy — w ciągu ostatnich dwu lat w *Bibliotece powszechnej* Wilhelma Zunkerandla w Złoczowie osobny zbiorek, złożony z siedmiu tomików, zatytułowany po prostu: »Z za kulis i ze świata«. Znajdujemy tutaj około trzydzieści szkiców, obrazków i humoresek, kreślonych z właściwym temu autorowi rozmachem, pisanych zawsze dobrą polszczyzną, częstokroć na prawdę pełnych zdrowego, swojskiego humoru, który — czy ten chce, czy nie chce — czytelnikowi śmiać się każe. Z początku wprawdzie nieco trudno zgodzić się z dosyć oryginalnym chwila mi wystawianiem się p. Urbańskiego, potrącającem o maniere, ale już przy czytaniu trzeciego lub czwartego tomiku przyzwyczajamy się do stylu autora i z przyjemnością pochłaniamy jego drobiazgi. Mnie — przyznaję — przypadły najlepiej do gustu te szkice, które z kulisami w najbliższym pozostają sąsiedztwie. Mają one bowiem z humorem dzieje wędrownych drużyn artystycznych z przed pół wieku niemal; drużyn, z których wyszedł nie jeden prawdziwy kapłan sztuki. I obrazki, jakby z pamiętnika autora wydarte, zajęcie wzbudzają również silnie; potrąca w nich utalentowany i popularny autor niejednokrotnie choćby z lekka tylko o dawny, »mały« Lwów, tak różny od dzisiejszego, a wszystko, co się odnosi do przeszłości naszej, posiada dla jej miłośników urok niemały. Szkice te, obrazki i humoreski, spotykaliśmy niegdyś w odcinkach pism peryodycznych, dobrze atoli uczynił p. Urbański gromadząc je razem; nie tracą one z biegiem lat na wartości, a w dodatku rzucają na twórczość autora bardzo charakterystyczne światło. mr.

Jan Iwański. »Sonety« Warszawa — 1899. Stron. 47

Skromny zeszytek ma na pierwszej stronie wypisane motto Tetmajera: »Lubię sonetu trudną, misterną budowę«. Kilkadziesiąt sonetów p. Iwańskiego w tym zeszytku zawartych świadcza, że i autor rozmyślał się szczególnie w formie sonetu, ale świadczą zarazem, że zamiłowanie jego z misternością jest — niestety — w bardzo dalekiem pokrewieństwie. Forma sonetów p. I. bardzo popopoliła, (najczęściej wiersz 11 zgłoskowy), a na treść ich składa się wiązanka wrażeń czysto subiektywnych i zwierzeń osobistych autora, mogących zainteresować nawet szersze koła jego przyjaciół i znajomych, ale ogół czytających może z czystem sumieniem dać sonetom tym spokój, Może uczynić to tem śmieiej, że autor ma, jak się zdaje, przed sobą dużo do roboty pod względem... nauki myślenia. Zwroty takie jak: »zamarła we mnie część mojego ducha« albo: »przez wasze mądre lecz martwe lunety, i t. p. nie są ani jasne, ani tem mniej mądre. Po co pisać rzeczy słabe a przytem niejasne i niezrozumiałe, w ogóle niedojrzałe — nie wiem... Ale, ale przepraszam; pisać wolno każdemu, ale po co drukować? Erpe

Przegląd Literacki, wydawany w Krakowie przez Kazimierza Bartoszewicza rozpoczął znowu po półrocznej z górą przerwie swój żywot, oby nie chwilowy tylko. Redakcja tłumaczy powody, które zmusiły ją do czasowego zawieszenia wydawnictwa i przyrzeka odbiorcom pisma wynagrodzić im doznany zawód. Dobrze, że *Przegląd* dalej istnieje będzie, dwutygodnik ten bowiem zasługuje na szczerze poparcie i upaść nie powinien. Numer pierwszy rocznika czwartego, poświęcony pamięci Słowackiego, rozpoczynają okolicznościowe wiersze Ignacego Balińskiego i Or-oła, oraz artykuł Antoniego Pileckiego w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza do kraju. Dział recenzji i sprawozdań pozostawia tym razem wiele do życzenia, ma to być atoli niemoc tylko chwilowa i wierzymy temu szczerze, że następne numery, bardziej pod tym względem urozmaicone, zadowolnią w zupełności wybrednego nawet czytelnika. le.

Slovansky Přehled, wydawany w Pradze przez dra Adolfa Czerneho, przynosi w kwietniowym zeszytce na naczelnem miejscu piękny artykuł Franciszka Kvapila poświęcony Słowackiemu. Z rzeczy bliżej nas obchodzących zaś służyła w tym numerze na wzmiankę korespondencya z Kaliskiego, omawiająca brak komunikacyi kolejowej oraz stan ekonomiczny Królestwa Polskiego. W dziale teatralnym znajdujemy znów wzmiankę o utworach, nagrodzonych na konkursie Paderewskiego a w szczególności o »Zaczarowanym Kole« Rydla zaś w notatkach spotykamy się z krociuchnymi nekrologami ś. p. Lisickiego i Anatola Lewickiego. Nie możemy wreszcie pominąć milczeniem relacyi o kwietniowych aresztowaniach dziennikarzy polskich w Warszawie i w Petersburgu. Podając rzekomy powód aresztowania redaktora Nowodorskiego, znalezione u niego jakoby kopii tajnego jakiegoś dokumentu, dodaje od siebie redakcyja »Przeglądu Słowiańskiego« te wielce charakterystyczne słowa: ...Nasz nieczynowniczj rozum tego nie pojmuje. Ież to różnych do redakcyi pism politycznych nie przychodzi rzeczy bez jakiegokolwiek interwencyi samejże redakcyi a nawet wbrew jej woli!...

Dichterstimmen der Gegenwart umieścili w zeszytce ósmym bieżącego roku zwięzły życiorys i doskonały portret Alberta Weissa, znanego dobrze autorom polskim tłumacza ich dzieł na język niemiecki. Niezawsze wprawdzie zadawała on wymagania naszych autorów, szczególniej bowiem — o ile wiem — dzieła proza lubi p. Weiss w przekładzie korygować, mimo to przyswoiwszy cały szereg i to bardzo długi prac polskich literaturze niemieckiej, oddał obu stronom niemałe usługi. Weiss urodził się w r. 1831 a od 1853—1857 pełnił obowiązki lekarza wojskowego w Szczecinie i w W. Księstwie Poznańskim, gdzie miał sposobność zapoznać się bliżej z językiem i literaturą polską. Wystarczy gdy wspomnimy o przekładach Mickiewicza (»Pan Tadeusz«, »Grażyna«, »Konrad Wallenrod«, »Ballady i romansy«), Malczewskiego, Słowackiego, Żelińskiego, (»Stepy« i »Kiracz«), Krasińskiego (»Irydyon«), a z nowszych: Rossowskiego, Jankowskiego, Miriama, Jeske-Choińskiego, Anatola Krzyżanowskiego, Marrené-Morzakowskiej i wielu innych.

»Das litterarische Echo« dwutygodnik literacki, wychodzący pod redakcyą dra Józefa Ettlina w Berlinie, podaje w rubryce, omawiającej ważniejsze czasopisma zagraniczne, krótkie lecz treściwe relacye dra Józefa Flacha o prasie polskiej. W zeszytce sódym tegoż wydawnictwa znajdujemy sympatyczną wzmiankę o notatce literackiej Michała Rollego p. t. Poeci żołnierze, zamieszczonej w kwietniowym zeszytce naszego pisma.

Z Koła Literacko-Artystycznego.

W dniu 29. kwietnia r. b. jako w pięćdziesiątą rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego odbyło się staraniem Koła Literacko-Artystycznego w miejscowym kościele archikatedralnym uroczyste nabożeństwo żałobne. Świątynie, przybraną w zieleń i w insygnia żałobne, zapełniły tłumy pobożnych a w prezbiterjum, przed katedrą, otoczonym płonącym światłem, zasiadli przedstawiciele Rady miejskiej z prezydentem, drem Małachowskim na czele, Wydział »Koła« i delegaci wszystkich niemal stowarzyszeń lwowskich. Nabożeństwo, w czasie którego chór męski gal. Towarzystwa muzycznego odspiewał przy akompaniamencie orkiestry pełne rzewności i tęsknoty »Requiem« Moniuszki, celebrował X. Infułat Zabłocki. Po egzekwjach wygłosił X. Adamski T. J. podniosłe kazanie »o miłości Ojczyzny«. Mowca wskazując na żywot Juliusza, wspominał kolejno o potrzebie wiary, pokuty, modlitwy i pracy, ożywionej zgodą, która jedynie jest w stanie odbudować ojczyznę. W końcu zwrócił się kaznodzieja raz jeszcze do osobistości poety.

»W pięćdziesiątą rocznicę twego zgonu — mówił X. Adamski — wdzięczny nasz naród składa ci hołd uwielbienia, wieszczu wielki, wieszczu polski

wieszczu katolicki! Byłeś nam gwiazdą, byłeś nam chwałą i chlubą w dniach poniżenia naszego! Teraz lutnia twoja zamilkła na wieki, ale czarujące jej dźwięki rozlegać się będą po całej ziemi polskiej i rozbrzmiewać będą we wszystkich sercach polskich! O jakże nam trudno rozstać się z twoją postacią wielką, natchnioną blaskiem gorącej ojców naszych wiarą promienną. Rozgrzewałeś, pocieszałeś i podnosiłeś nas ku Bogu; niechże teraz i nasze modły pocieszą i podniosą duszę Twoją na łono miłosierdzia Bożego i zgotują ci odpoczynek w chwale i w radości niewysłowionej, odpoczynek wiekuisty, Amen.

Kronika żałobna.



RUDOLF SCHWARZ.

Rudolf Schwarz. Nagle i niespodziewanie opuścił grono nasze sympatyczny i szanowany ogólnie Dyrektor gal. Towarzystwa muzycznego. Zaledwie kilka dni temu układał jeszcze plany obchodu Chopinowskiego, zajmował się sprawami szkolnymi, lub spędzał wieczór w »Kcie literackiem«, wśród swych znajomych i przyjaciół. Udawszy się na Zielone Świąta do Bykowiec w Sanockiem, nie powrócił już z tamąd, zmarłszy nagle na udar sercowy dnia 24. maja. Przy ostatniej chwili, obecną była żona jego i córka p. Tarnawiecka w której domu bawił.

Ś. p. Rudolf Schwarz urodził się w Wadowicach roku 1834. Jako syn zamożnej, kupieckiej rodziny, przeznaczony był do zawodu ojca swego i w tym kierunku był kształcony. Wcześniej objawiające się zdolności i wielkie zamiłowanie do muzyki, skłoniły jednak rodziców, do rozwijania go i w tym kierunku. Miał więc po kolei kilku dobrych nauczycieli, którzy uczyli go gry na fortepianie i na skrzypcach. Ale główne wykształcenie swe muzyczne odebrał

od Karola Mikulego, po przybyciu tegoż do Lwowa w roku 1857. Tu bowiem otworzył ś. p. Rudolf Schwarz wspólnie z p. Henrykiem Fuchszą sklep galanteryjny, (później skład fortepianów), co z jednej strony pozwoliło mu zająć poważne stanowisko wśród tutejszego kupiectwa, a z drugiej, rozwinąć nader ruchliwą działalność na polu muzycznym. W niedługim też czasie później, zbierało się w domu jego coraz to większe grono muzykalnych osób, które w końcu tak wzrosło, iż można było wziąć się do wykonania wielkich rzeczy choralnych. Uprawiano tu oczywiście muzykę klasyczną. Gospodarz grywał zwyczajnie na harmonium, które podobnie jak organy, stało się jego głównym instrumentem.

Od roku 1858 należał jako członek do Towarzystwa muzycznego, następnie przez dłuższy czas zasiadał w Wydziale; później porzuciwszy zawód kupiecki zajął miejsce profesora gry na organach, a w końcu w roku 1887 po ustąpieniu Karola Mikulego objął zastępczo dyrekcję Towarzystwa muzycznego. W roku 1888 posada ta zamieniła się w stałą — zajmował ją zatem lat jedenaście.

W całej swej działalności Dyrektora konserwatorium i profesora (organy i kurs pedagogiczny) umiał rozwinąć dużo gorliwości, zamiłowania do sprawy i taktu. W ciągu więc lat kilku zjednał sobie wszystkich, t. j. całe grono profesorów, Wydział i członków Towarzystwa. Zawsze wolny od namiętności, spokojny i wesoło usposobiony, życzliwy dla otoczenia i uprzejmy dla wszystkich bez wyjątku, stał się osobistością powszechnie lubianą, nawet szeroko po za murami konserwatorium.

Jako dyrygent koncertów, odznaczał się dobrym smakiem w układaniu programów, nie był jednostronny w gustach, umiał pomyśleć o wszystkim: o muzyce nowoczesnej i klasycznej, zagranicznej i swojskiej byle do umieszczenia jej na programie była rozumna podstawa.

Mimo więc całego pietyzmu, jaki mamy do dziś dnia dla niepospolitego artysty Karola Mikulego, przyznać musimy, że praktyczność i umiejętność utrzymania równowagi, jaką posiadał ś. p. Rudolf Schwarz, przyniosła owoce jeszcze obfitsze dla Towarzystwa muzycznego i konserwatorium. Obie te bowiem instytucje wzrosły za jego czasów znacznie i udoskonaliły się, a zwłaszcza konserwatorium.

Ś. p. zmarły Dyrektor czynny na polu pedagogicznym i wykonawczym, mimo łatwości w improwizowaniu, nie komponował wcale, pozostawił jednak pracę, która może mieć doniosłe znaczenie w pewnym kierunku. Jest nią Szkoła gry na harmonjam, miesiąc temu wydana, nakładem K. Jakubowskiego. Będzie to miła pamiątka, po zacytnym tym sympatycznym i zasłużonym człowieku, który rzetelnie zapracował sobie na wspomnienie pełne czci.

St. Niewiadomski.

Dr. Henryk Zeisberg. Dnia 27. b. m. umarł we Wiedniu historyk, dyrektor cesarskiej nadwornej biblioteki prof. Dr. Henryk Zeisberg. Imię to obcem być nie może nikomu, kto zajmuje się historią polską, jest on bowiem autorem pamiątkowego dzieła: »Dziejopisarstwo polskie wieków średnich (Die polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters). Urodzony w roku 1839, po ukończeniu studiów uniwersyteckich, otrzymaniu stopnia doktora filozofii, został zamianowany w roku 1863 supletem, a w r. 1865 zwyczajnym profesorem historii powszechnej w uniwersytecie lwowskim. Tu w bibliotece uniwersyteckiej i Ossolińskich zapoznawszy się bliżej z literaturą historii polskiej począł pisać swe znakomite prace z tego zakresu, a więc: w r. 1868 »Misceloneo Kaiser Heinrich II. mit Herzog Boleslaw von Polen«, w r. 1868 »Die Kriege Kadlubek«, nie wymieniając drobniejszych. W roku 1871 przeniesiono go do Insbrucku, a już 1872 do Wiednia na miejsce zmarłego Aschbacha; a choć opuścił ziemię polską, nie przestał pracować nad jej historią, bo w r. 1873 na konkurs tow. Jabłonowskiego napisał wyżej wspomniane pomnikowe dzieło, które uwieczono nagrodą. Pracę tę zaopatrzył godłem wziętem z Gallusa »Ne frustra panem poloniam manducarem« (Bym nie był niewdzięcznym zjadaczem polskiego chleba). W rok później wydał jeszcze dzieło »Johannes Łaski und sein Testament«, a było ono jego ostatnią pracą z dziejów polskich. We Wiedniu należał do ozdób wszechnicy — był kierownikiem seminarjum historycznego, dyrektorem instytutu dla badań nad historią austriacką — a od lat kilku dyrektorem cesarskiej, nadwornej biblioteki. Był też nauczycielem ś. p. arcyksięcia Rudolfa, a po jego śmierci naczelnym redaktorem wydawnictwa »Österreich in Wort und Bild«. Chwile spędzone we Lwowie nastroiły go przychylnie dla Polaków, jakkolwiek zasadniczo był przeciwny polonizacji uniwersytetu lwowskiego, a choć nad historią polską pracować przestał, przychylnie dla nas usposobienie zachował do ostatniej chwili. Każdy słuchacz, Polak, mógł liczyć na łaskawe przyjęcie i poparcie z jego strony i był wielce przystępnym i uczynnym dla każdego.

Dr. Eug. B.

Od odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnür-Pepłowski.

OGŁOSZENIA.

STACYA KLIMATYCZNA, położona w uroczej miejscowości, w bliskości Lwowa, wśród rozległych lasów nad stawem 800 morgowym.

JANÓW

Hotel z komfortem urządzony, w wylach obok hotelu różne pomieszczenia, łazienki stawowe, łodzie wiosłowe i żaglowe. Lekarz, apteka, urząd telegraficzny i pocztowy w miejscu. Czytelnia, fortepian, bilard, kregielnia, gry towarzyskie, kawiarnia w hotelu — Pomiędzy Lwowem i Janowem codziennie kursują, 3 pociągi, a cena tam i na powrót w niedziele i święta III. klasą 42 ct., II. klasą 82 ct., w inne dni III klasą 82 ct., II. klasą 1 zł. 42 ct.



Marya Marek

przedtem L. Marek

Lwów, Rynek 1. 9.

Skład fortepianów

i pianin

wiedeńskich i zagranicznych.

WIELKI WYBÓR FORTEPIANÓW

do wypożyczenia.

Fortepiany używane przyjmuje w zamian.

Stanisława Schnür-Peplowskiego

Opowieści historyczne

(„Pierwszy legionista“ — „Niezłomny“ — „Rycerz poeta“
„Santo Domingo“).

Lwów — Księgarnia H. Altenberga — 1899.

Cena 1 zł. 80 ct.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wszelkie kupony
i wylosowane
papiery wartościowe
wyptaca bez potrącenia prowizji lub kosztów
Kantor wymiany
C. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
Banku hipotecznego.

Jako dobrą i pewną lokacyę polecamy:

- 4^o/_o Listy hipoteczne koronowe,
- 4¹/₂^o/_o Listy hipoteczne,
- 5^o/_o Listy hipoteczne premiovane,
- 4^o/_o Listy Tow. kred. ziemskiego,
- 4¹/₂^o/_o Listy Banku krajowego,
- 4^o/_o Listy Banku krajowego,
- 5^o/_o Obligacye komunalne Banku krajowego,
- 4^o/_o Pożyczkę krajową,
- 4^o/_o gal. Obligacye propinacyjne
i wszelkie renty państwowe.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany
c. k. uprzyw. gal. akcyjnego
Banku hipotecznego.



I R I S

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(Organ Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie)

wychodzi co miesiąca w zeszytach

zawierających od 2 do 3 arkuszy druku.

W najbliższych zeszytach umieszczone zostaną utwory: Władysława Bełzy, dra Adama Bełcikowskiego, dra Adama Bieńkowskiego, Bolesławicza, dra Aleksandra Czołowskiego, Seweryny Duchńskiej, ś. p. Andrzeja hr. Fredry, X. Jana Gnatowskiego, dra Michała Greka, dra Bronisława Gubrynowicza, T. T. Jeża, Izydora Kuncewicza, Anny Neumanowej, Zdzisława Onyszkiewicza, Romana Polińskiego, Leona Popławskiego, Adama Pługa, Franciszka Rawity-Gawrońskiego, Michała Rollego, dra Wilhelma Rolnego, Kazimierza Rojana, Stanisława Rossowskiego, Wojciecha Szukiewicza, dra Stanisława Tomkowicza, dra Kazimierza Twardowskiego, Kazimierza Wróblewskiego, Jana Zacharyasiewicza, Zawrata i Franciszka Zwilkońskiego.

Artykuły nadsyłać należy pod adresem Stanisława Schnür-Pepłowskiego, Lwów — ul. Mickiewicza 11.

Pf

293

Warunki przedpłaty

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową : rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech : rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową : 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem : „*Koła Literacko-Artystycznego*“ *we Lwowie* (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie

od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt VII.

Lipiec 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z Drukarni E. Winiarza

<http://8ccin.org.pl>

1899

T R E Ś C.

	str.
I. W sprawie dyrektury gal. Tow. muz.	301
II. Pożegnanie konwalii, wiersz przez Maryę Bełzową	303
III. Jubileusz A. Puszkina, przez Rawitę Gawrońskiego	304
IV. Z Albumu, wiersze	309
V. Proboszcz z Warki, opowiadanie przez T. T. Jeża .	310
VI. Kazimierz Kamiński, sylwetka przez Kazimierza Skrzyńskiego	315
VII. Lwowianka, monolog przez Franciszka Zwiłkońskiego	318
VIII. Książę Gubernator, przez Stanisława Schnür-Peplow- skiego	320
IX. Notatki z Krakowa, przez Kazimierza Czapelskiego .	324
X. Z Pragi Czeskiej, przez Dr. Borisa Prusika	328
XI. Malarstwo	330
XII. Muzyka	332
XIII. Metamuzyka Chopina, przez St. Niewiadomskiego .	337
XIV. Teatr	339
XV. Literatura	343
XVI. Z Koła Literacko-Artystycznego	346
XVII. Kronika żałobna	346

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt VII.

Lipiec 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z DRUKARNI E. WINIARZA

1899.



PI 293



W sprawie dyrektury gal. Tow. muz.

Przyszły dyrektor gal. Tow. muz. jest przedmiotem nieustających dyskusyj w naszym świecie muzycznym, a nawet szeroko i po za tym światem. Mimo, że zaledwie konkurs ogłoszono i że zapewne żadne podanie jeszcze nie weszło, imiona różnych kandydatów krążą z ust do ust, kandydatów prawdopodobnych i nieprawdopodobnych, mających odpowiednie kwalifikacje i niemających tychże, kandydatów pojedynczo podawanych i układanych w rozmaite kombinacje; gdyż niewykluczoną jest możebność podzielenia posady na dwie: dyrygenta koncertów i dyrektora konserwatorium. Wszystko to jednakże dowodzi wymownie, że zainteresowanie jest wśród ogółu wielkie i że wszyscy dostatecznie oceniają ważność tej chwili dla stosunków muzycznych we Lwowie.

Jednym z najwymowniejszych objawów tego ruchu, jest odezwa, zaopatrzona podobno w kilka tysięcy podpisów, oświadczająca się za kandydaturą znanego i wysoko cenionego kompozytora i pianisty Henrrka Melcera. Odezwa ta, skierowana do Wydziału gal. Tow. muzycznego, nie została jeszcze podaną, nie popełniliśmy jednakże niedyskrecyi umieszczając ją w całości, zwłaszcza, że jest już drukowaną. Brzmi ona, jak następuje:

»Świetny Wydziale! Zbliżająca się chwila obsadzenia posady dyrektora galicyjskiego Towarzystwa muzycznego i konserwatorium, nader ważna w życiu muzycznym naszego miasta, obudza w jak najszerszych kołach bardzo żywe zajęcie.

Pragnąc dać wyraz zajęciu temu, jakoteż zapatrywaniom i życzeniom ogółu, zwracają się podpisani do Świetnego Wydziału w przekonaniu, że głos licznych członków galicyjskiego Towarzystwa muzycznego, oraz wielkiej części publiczności, uczęszczającej na koncerta, lub kształcącej swe dzieci w muzyce, znajdzie niezawodnie stosowne względy i nie pozostanie bez wpływu na decyzję przy nadaniu posady dyrektora.

Galicyjskie Towarzystwo muzyczne, stanowiący po kilkunastu latach zabiegów ś. p. dyrektora Rudolfa Schwarza i Wydziału na dobrych podstawach ekonomicznych, potrzebuje obecnie w pierwszym rzędzie wyęzionej pracy w kierunku artystycznym. Na czele zatem całej instytucyi

powinna stanąć osobistość, któraby obok zalet umysłu i charakteru posiadała wybitne znaczenie artystyczne.

Osobistością taką, wskazywaną jednomyślnie przez opinię publiczną, jest pan Henryk Melcer.

Przybywszy przed kilkoma laty do Lwowa i zajmąwszy stanowisko profesora konserwatorium, wniósł on ze sobą żywioł artyzmu świeży i silny, rozbudził u publiczności ogromne zainteresowanie dla swych kompozycji i gry, a nadto wykształcił stosunkowo wielką ilość młodych sił, słowem podniósł w krótkim czasie cały poziom życia muzycznego we Lwowie. W szczególności galicyjskie Towarzystwo muzyczne zawdzięcza jemu postęp swój niezaprzeczonej w latach ostatnich, wzrost liczby członków, jakoteż pochlebna opinię ogółu i prasy.

Najznakomitsi muzycy polscy, jak: Zeleński, Paderewski i Noskowski, niejednokrotnie wyrazili się o nim, jako o kompozytorze i o muzyku wielkiej przyszłości; a zdania ich poparte przez głosy publiczne Warszawy i Krakowa, uczyniły z niego osobistość znaną w całym kraju, popularną, sympatyczną i rokującą wielkie nadzieje.

Jestto jeszcze jedna więcej podstawa, na której podpisani opierają twierdzenie, że pan Henryk Melcer na stanowisku dyrektora, podniesie wysoko znaczenie Towarzystwa muzycznego i że zamieszkawszy napowrót stałe we Lwowie, stanie się chlubą miasta naszego.

Wreszcie ściągnąć dla kraju siłę tej miary i dać jej wysokim zdolnościom odpowiednie stanowisko, to obowiązek obywatelski.

Uproszony przez licznych zwolenników swoich p. Henryk Melcer przyrzekł, że na stałe do Lwowa powróci i kandydować będzie o posadę dyrektora Towarzystwa muzycznego. Ponieważ z drugiej strony podpisani pokładają zupełną ufność w Świątym Wydziale, że w wyborze dyrektora kierować się będzie tylko względami na dobro sztuki, przeto cel niniejszego pisma nie będzie trudny do osiągnięcia, skoro tylko wszystkie postronne, małe i ze sztuką nie mające nic wspólnego przeszkody, zostaną usunięte. Galicyjskie Towarzystwo muzyczne może w takim razie liczyć na gorące i szczere poparcie wszystkich podpisanych.

Z motywami odezwy tej zgadzamy się najzupełniej. Dyrektor Towarzystwa muzycznego powinien przedstawiać sam przez się taką siłę artystyczną, ażeby do niej wszyscy się garnęli, ażeby ona imponowała ludziom i zjednywała ich dla Towarzystwa muz., a nie samo obejście się zręczne lub wielkie nawet zdolności administracyjne — z niewielkim dodatkiem artystycznych. A więcej jeszcze niż kiedykolwiek, potrzeba takiej siły obecnie, gdy żądania publiczności naszej znacznie w górę wzrosły, właśnie od owych trzech lat, kiedy p. Henryk Melcer bądźto grą swoją, bądź ruchliwym udziałem w wieczorach kwartetowych, bądź wprowadzaniem nowych rzeczy, a nadewszystko swoich własnych, niepospolicie pięknych utworów, ogromnie wpłynął na ożywienie tych pragnień artystycznych.

Oczywiście, że trudno dziś przesądzać sprawę, nie wiedząc kto stanie do konkursu. Wątpliwości jednak niema żadnej, że imiona Moszkowskich, Stojowskich etc. pojawiające się w dziennikach, rzucane są na wiatr. Ludzie ci, mający stanowiska zagranicą, musieliby chyba poświęcać się, aby rzucać to, co już zdobyli, dla Lwowa, ofiarującego im mniej i pod względem moralnym i materyalnym. P. Henryk Melcer w innym jest położeniu. Poznał on doskonale tutejsze stosunki, wie, w jakim kierunku ma pracować i wie, że ma za sobą opinię publiczności; nie więc dziwnego, że pragnie dla dobra sztuki i dla własnego imienia artystycznego pracować u nas, w zakresie szerszym, niż pracował dotychczas. Uznając to zupełnie, uważamy go za kandydata najodpowiedniejszego ze wszystkich, jacy prawdopodobnie staną do konkursu.

(+)



Pożegnanie konwalii.

Żegnam cię konwalia, ty kwiecie perlisty,
 Co z wiosną wychylasz kiść dzwonek srebrysty,
 I dzwonisz twem kwieciem, — wołając do życia
 Czarowny dzień wiosny, co wstaje z powicia.
 I zapach rozkoszny rozsiewasz w około,
 Gdy w cichej modlitwie pochylasz swe czoło.
 Ach! ileż twój zapach, co płynie gdzieś z jaru,
 Przynosi mi wspomnień rozkoszy i czaru!
 Lecz teraz, twe kwiatki na długo znów posną:
 Więc żegnaj konwalia i zbudź mię znów z wiosną!

10. czerwca 1899.

Marya z O. Bęłzowa.



Jubileusz A. Puszkina.

W całej Rosji obchodzono bardzo uroczyste jubileusz Puszkina. Mówiono powszechnie, że w Słowiańszczyźnie Puszkini i Mickiewicz — to najwięksi geniusze poezji, a jednak, gdy dziś jeszcze Rosya rozbrzmiewa sławą Puszkina, Mickiewicza, który dla narodu, pozbawionego politycznego życia, powstrzymywanego systematycznie i wytrwale w jego rozwoju cywilizacyjnym, był rosą ożywczą, promieniem niewygasającej nadziei, miłością i wzmocnieniem, nie pozwolono uczcić ani jednym słowem publicznem. Cenzura zamknęła usta prawie całemu narodowi, z wyjątkiem jedynie Galicyi. Rosyanie śpiewali na cześć jego hymny o zjednoczeniu, przebaczeniu, zapomnieniu, połączeniu się w imię wielkich haseł miłości, w Petersburgu, Kijowie, Moskwie, Kazaniu, a nakazali milczeć w Warszawie. Taka to droga prowadzi do pojednania z urzędową Rosyą.

Zbyteczną byłoby rzeczą rozpisywać się o geniuszu i talencie Puszkina. Pod tym względem wyrok może wypaść tylko jeden: był to człowiek potężnego talentu i wielkich zasług dla Rosyi. Jakież to był talent i jakie zasługi?

Musimy sądzić jego z tego co zrobił za życia, nie zaś z tego co mógłby był zrobić, pamiętając o tem, że Puszkini umarł przed ostatecznym rozwojem swego talentu. Biorąc na uwagę jednak, że w ostatnich latach życia swego zwrócił się do poezji ludowej, która go zachwycała, (Rusałka 1832, Bajki), możemy przypuścić, że w tym kierunku byłby poszedł i dał z czasem wielką całość poetycką nawskroś narodową. Kto wie czy pogłębienie jego duchowe nie rozpoczęło się od poznania się z Mickiewiczem; urywek z dramatu jego Borys Godunow, obejmujący czasy t. z. pierwszej samozwańca, zdaje się wyraźnie wskazywać na pokrewieństwo duchowe z Konradem Walldenrodem, nie pod względem idei, lecz charakteru.

Najbardziej wykończonym utworem poetyckim Puszkina jest niewątpliwie Eugeniusz Oniegin, (1822—1828), piękny pod względem formy, języka i rytmiczności tak wielkiej, że dotychczas żaden z poetów rosyjskich dosięgnąć jej nie może. Skala podniesienia się i zmiany naprężenia uczuć i dramatyczności w tym poemacie jest bardzo urozmaicona; poeta przechodzi od salonowej swawoli słowa do tragedyi z niedostrzeżoną łatwością, od opisu do liryki, od liryki do dramatu duszy, i to właśnie nadaje mu ogromne ożywienie, ale równocześnie cechy roboty szkicowej, niewykończonej. Treści opowiadać nie będę, bo nie ma miejsca na to. Pod względem ducha i charakteru poemat ów nie tylko jest naśladowaniem Byrona, ale naśladowaniem Don-Juana. Miłość dwojga młodzieńców do dwóch dziewcząt, niezwiązana niczem z życiem narodowym, prócz obojętnej salonowości francuzkiej, panującej w obyczajach t. zw. wyższego towarzystwa ówczesnego rossyj-

skiego, jest jedyną treścią poematu. Ubóstwo tej treści, wypełnionej romansem, rozszerzonej osobistymi wrażeniami i uczuciami poety, tworzy jaką taką całość, która, posiadając wysokie zalety artystyczne, podbija niemi zupełnie czytelnika. Brak wybitnej i jasnej idei narodowej w poemacie, wysoki artyzm jego, miękki i szczyry liryzm, pogoda młodości, obok pierwszorzędnych cech poetyckich i literackich, o których wspomniałem — czynią ten poemat, równie jak Don Juana, miłym



ALEKSANDER PUSZKIN.

dla tych wszystkich czytelników z kosmopolitycznego obozu, którzy uznają zasadę: sztuka dla sztuki, a miłość uważają nieomal za alfę omegę życia.

Rozbudzenie się rosyjskiego społeczeństwa do samodzielnego politycznego i narodowego życia, jakie wywołał szeroko rozgałęziony spiszek Dekabrystów, pociągnęło w tę krainę długo jeszcze mało dostępną dla Rosyanina marzeń i Puszkina także. Na czele ruchu stanęło wszystko co Rosya posiadała wśród siebie najszlachetniejszego i najbardziej wykształconego. Tu się znalazł i Puszkina. Jako człowiek, ze wstrętem patrzył na te fale plugawe, które z wysokości urzędniczego despotyzmu zalewały życie, a do swego poziomu moralnego i umysłowego przemocą nachylały wszystkich. Poeta stał tutaj na szczycie tego wielkiego zada-

nia, którego przedstawiciele wypisali na sztandarze swoim: sprawiedliwość i wolność dla wszystkich. Wówczas był prawdziwym pisarzem narodowym, bo w odzie do Wolności wskazywał temu narodowi upodlegzonemu lepszy porządek państwowy, jako przeciwstawienie panującej przemocy. Społeczeństwo rosyjskie pierwszy raz w języku ojczystym usłyszało takie nawoływania i całe stanęło po stronie poety. Puszkina rozumiał, co go łączy z pognębnym i trzymanym w rozmyślnem ogłupieniu narodem i dla tego do własnego natchnienia odzywał się: »rozbudź moją wyobraźnię, ożywiaj serce, przylatuj do mnie często, nie pozwalaj ostygnąć duszy mojej, ażeby nie stała się złą, skamieniałą narzeszcie — wśród nie wolników w dobrowolnych«. (»Eugeniusz Oniegin«). Prawie w przeddzień krwawego wybuchu Dekabrystów, wołał z zapamię: »niechaj schodzi słońce i zginie ciemnota! (1825 r.). Nie mówię o tem jak sarkazm jego chłostał carów, niewolę i całą głupotę uległego biurokratyzmu.

Zapał jego był wszakże krótkotrwałym. Stać się inaczej nie mogło. W społeczeństwie rosyjskiem brakło głębokiego gruntu pod posiew wolności; grunt mógł się tylko wytworzyć przez długie wieki samodzielnego życia — a takiego życia w Rosyi nie było nigdy. Ziarno może skiełkować byle gdzie, ale owocu nie przyniesie. Kultura polityczna i umysłowa Europy rzuciła nieraz swoje cywilizacyjne idee na granity biurokratyzmu rosyjskiego, na jałowe piaski narodowego życia, idee te wydały bujną roślinność, ale nie wydały nigdy owocu. Rosya poza obrębem cywilizacji europejskiej utworzona, złączona z nią bardzo wątlami niemi, stawała się jednak z czasem coraz większą potęgą na wschodzie, który cały uznawał i uznaje jeszcze jedną tylko formę państwową — despotyzm, siłę, przemoc, władzę upersonifikowaną w jednej osobie. Historia jej i poezya ludowa w postaciach bohaterów, (Krasnoje sołnyszko, Dobrynia, Ilja), czcząca siłę fizyczną tylko, wyraża tę ideę. Naród rosyjski uwielbiał najdzikszych swoich carów: Iwana Groźnego, Piotra W. mordującego własnego syna, Katarzynę II. mordującą męża, nie dlatego, że oni budowali państwo, bo on w tej budowie był tylko surowym materiałem, lecz dla tego, że widział siłę. Pierwotne cnoty barbarzyńców, gdy w Europie zeszyły na ostatni stopień, w Rosyi były otoczone czcią. W tem nie ma winy, jest tylko inna moralność. Publiczność, gromadząca się na arenach i cyrkach starożytnych, klaskała lwom, rozrywającym ciała niewolników i niewolnikom miażdżącym lwów.

I w Rosyi naród umiał tylko potępić zwyciężonych. Można było mówić o prawach ich tak długo, dopóki krew się nie lała, z chwilą, gdy zwyciężała siła, już o sprawiedliwości nie było mowy. Ten miał prawo, kto zwyciężył. W obce zwyciężonego — zachwałność i bezwzględność, wobec zwycięzcy — pokora i obłuda. Taki jest charakter państw i narodów wschodnich.

Taki też charakter moralny objawił się u Puszkina, zarówno dla własnych przyjaciół, którzy zawisli na szubienicy lub powędrowali na Sybir, jak i dla Polaków, których niedawno jeszcze powoływano na

wspólną ucztę wolności. Odezwała się w nim kultura bizantyńska, uderzyła krew moskiewskiego bojara, na pniu Negra zaszczepiona. Puszkini broni w rękę nie miał i władać nią nie umiał, porwał się więc na zwyciężonych współbraci i Polaków potęgą swego zjadliwego sarkazmu i słowa. Uczuł on nie tylko cześć dla tej ręki, która złamała i zgniotła jego przyjaciół, w proch rzuciła jego własne ideały i marzenia o wolności, ale znalazł w swej duszy pierwiastki wszystkich wschodnich narodów, ironją i pogardę dla zwyciężonych. Nam Polakom dostał się z jego ręki cios przyjęty z entuzjazmem przez całą urzędową Rosyą. Gdyśmy w obronie praw narodowych i ludzkich w r. 1831 za broń chwycili, wówczas to powstał wiersz jego do oszczerców w Rosyji t. j. do tych którzy utrzymywali, że Polsce pod rządami Carów źle się dzieje, że stała się im krzywda, którą, jako narodowi naprawić trzeba. On tego nie rozumiał. Polak był zwyciężony, a zatem nie mógł żądać żadnych praw, oprócz łaski. W wierszu tym stanęli do walki według jego mniemania, tylko »zuchwały i próżny Lach« i »wierny Rosyanin«. Na walkę o prawa narodowe Polaków Puszkini patrzył tak samo, jak na pojedynek Dobryni ze Zmijem Horyniczem w jednej z bylin rosyjskich; Dobrynia miał rację, że zwyciężył. Po za spłowiłym, europejskim ideałem wolności, wysuwał się u niego ideał i kult siły fizycznej: »wierny Rosyanin« był to pewnego rodzaju Ilja, Muromicz, który Bóg wie jak długo spał, a potem obudził się, uczuł w sobie siłę i nuż walić wszystkim na prawo i na lewo. Puszkini stał się nagle czcicielem wszystko miażdżącej, brutalnej siły. Mikołaj otoczył go łaską swoją i opieką; ta łaska stała się dla jego poezji czynnikiem rozkładczym. Czuł wstyd, a jednak uległ; czuł gorycz w duszy, którą na własne społeczeństwo wylewał, a jednak pił z tego źródła i chwalił je musiał. Taką dwoistość duszy tylko na tle życia i charakteru rosyjskiego zrozumieć można. Przypomina ona walkę, w jednej z bylin ludowych Kurhan-cara z Surogą. Kurhan-car zwyciężył przeciwnika, kazał okuć w łańcuchy i zakutego zaprosił »na służbę« do siebie. Suroga odpowiada:

Będę tobie służyć
Całą wiarą i prawdą.
Gdybym miał szablę ostrą,
Ściałbym twoją bujną głowę
Aż po same ramiona potężne.
Głowy twej byłoby mi mało,
Jabym jeszcze ramion twoich uciał!

Puszkiniowi zabrakło »szabli ostrej«, potęgi ducha, i dla tego poszedł »na służbę« Carów. Nie tylko poszedł, lecz jeszcze nową drogą do zwycięstw i chwały wskazał nowożytnemu Kurhan-carowi. I tu w pojęciach jego zaznaczyła się brutalność bezwzględna nieukształconego cywilizacyjnie człowieka. Wielbiciel kultu siły, przniósł ten kult do polityki. Indywidualizmy duchowe narodów słowiańskich dla niego nie istniały, bo ich nie uznawał. Ponad niemi widział wznoszącą się tylko pięść zwyciężką, a najmocniejszą była pięść Rosyji, do niej więc powinna należeć władza nad słowiańszczyzną. »Strumienie słowiańskie powinny zlać się w morzu rosyjskiem« — taką tylko

przyszłość Słowiańszczyzny widział Puszkina i w takiej miejsce dla nas wyznaczył. Nic dziwnego przeto, że od tej chwili został obsypany łaskami carów, bo stał się obrońcą ich polityki i potęgi, stał się poetą urzędowym, przed którym rząd otwierał swoje archiwa i kasy. »Od tej chwili materialne położenie jego — mówi biograf — i sława poczęły wzrastać«. Działo się to właśnie wówczas, gdy drugi wielki poeta Słowiańszczyzny wspominając chwile niepowodzeń Dekabryistów, ze smutkiem pisał:

Innych może dotknęła sroższa niebios kara:
Może z was kto urzędem, orderem zhańbiony,
Duszę wolną na ziemi sprzedał w łaskę cara,
I dziś na progach jego wybija pokłony!

Może płatnym językiem tryumf jego sławi,
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa,
Może w ojczyźnie mojej moją krwią się pławi
I przed carem, jak z zasług, chlubi się z przekleństwa!

Na hasło rzucone przez Puszkina: nie ma pobłażliwości dla zwyciężonych — cała Rosya zapomniała odrazu o marzeniach Dekabryistów i stanęła po stronie poety, który gwałty ich ubrał w rymy i otoczył aureolą sławy. Nie długo trzeba było czekać na zwycięstwo takiej idei, która dogadzała najgorszym instynktom wszystkich. Biurokracya odtańdziała ją za hasło swoje, za drogę wytyczną dla siebie, literatura rosyjska i polityka zrobiły ją sztandarem państwowym. Owo zlewanie się strumieni słowiańskich do rosyjskiego morza pod wpływem rozmaitych prądów, najprzód słowianofilskich a potem politycznych, przekształcając się, przybrało formę programu państwowego, który się nazywa »objednienija«. Jak ten program stosowano na nas, wiemy aż nadto dobrze. Wykonywali go Murawiewy-wiesziatiele w Wilnie, Hurkowie w Warszawie, Ignatiewy w Kijowie, w komitetach cenzury kontrolowali i strzygli każdą myśl polską, ażeby łatwiej wpaść mogła do morza rosyjskiego. Apucziny pilnowali, ażeby dzieci polskie znały tylko »obszczerskij jazyk«.

Uroczystości więc jubileuszowe Puszkina były dla Rosyi urzędowej dniami zwycięstw polityki »objednienija« nad Polską i Rusią. Naród rosyjski oddawał cześć poecie, który słowo jego połączył po raz pierwszy z literaturą wszechświata, państwo zaś uczciło przedstawiciela swojej przewodniej idei politycznej. — Czy można się temu dziwić?... Nie! — Jestto obowiązkiem każdego państwa. Pojęcie dobra jest względne, a egoizm państwowy nie ma granic. Francya ubóstwiała Napoleona I. a Rosya nazywała go rozbójnikiem i łupieżcą. My przekleliśmy pamięć Murawjewa, a Rosya stawia mu pomniki. Bismark stworzył państwo niemieckie, a dla nas był wstrętnym ciemężycielem. Na cześć powszechną ci tylko zasługują, którzy dla dobra ludzkości położyli zasługi. Można czcić poetę obcego narodu, szanować obcych mężów stanu, ale mieć także obywatelską odwagę i tyle miłości własnej, aby z hołdami publicznymi nie spieszyć tam, gdzie najuczciwsi i najlepsi z pośród Rosyan, oprócz wyrazów sympatyj dla nas, nie więcej powiedzieć nie mogą. W takich anormalnych stosunkach, jakie dziś panują między Rosyą a Polakami, w tym zamęcie pojęć, jaki wytworzyli rozmaici

handlarze polityczni i fałszerze opinii publicznej, zakrywający smutne strony naszego stosunku. ażeby w mętnej wodzie ryby łowić — trzeba przemawiać przede wszystkim szczerze. Gorzkie nieraz zapewne będą takie słowa, ale jestto gorycz wyssana z krwi i łez naszych.

»Niech żyje i pali nie was, lecz wasze okowy«.

W tym duchu wypowiedziało się prawie jednogłośnie poważne grono osób, zebranych na naradę w Kole literacko-artystycznym: że na bankietach i uroczystościach politycznych urzędowej Rosyi miejsca dla Polaków nie ma.

Fr. Rawita - Gawroński.



Z ALBUMU

Julii z Ostrowskich Tomaszewskiej.*)

I.

Daj Boże szczęście i zdrowie,
Za Szopena w Zawałowie!

Proceder hydroterapii
Z początku nie sprzyja Muzie:
Biedaczka, albo się gapi,
Lub bąka słowa papuzie.
Kastalskie *Medweja* wody,
Zdolne są weneę podniecić —
Lecz później; dziś, zamiast ody
Dwa wiersze umiałem sklecić:

Daj Boże szczęście i zdrowie,
Za Szopena w Zawałowie!

K. Ujejski.

Zawałów, 19. IX, 1876.

II.

Słuchając gry Twej, widzę i czuję
Do końca losy Twego żywota:
Przędę ich wiotką czarna nić snuje
I złota!

Jedna, to błogie ku cudom Pana
Pierwsze zbudzonej duszy westchnienie,
To myśl w anielskim hymny wsłuchana:
Marzenie!

*) Właścicielka tego »Albumu«, uczennica Mikulego, słynęła przed 20 laty w kołach towarzyskich lwowskich, z niepospolitej gry fortepianowej, zwłaszcza jako egzekutorka utworów Szopena. Powyższe wiersze, są poetyckim hołdem złożonym muzycznemu talentowi ówczesnej panny Ostrowskiej.

Przyp. Redakcyi.

Druga, to wieczna tęsknota bytu,
 Co jak czerw serce toczy nam skrycie
 I jęczy w więzach, rwąc się do bytu:
 To życie!

Na te dwie nici splecione wiecznie,
 Rozsypiesz perły łez swych rozrzućnie...
 Witam cię siostrze! witam serdecznie
 I smutnie!

Marya Bartus.

1876.

III.

Gdy białą ręką trącasz o klawisze
 I kiedy na nich duch Szopena wionie,
 Zda się, że widzę wtedy i że słyszę
 I słowa Mistrza — i nad tobą dłonie
 Tego, co takie cuda w tonach prawi
 I co ci teraz cicho błogosławi.

Kto tak ukochał te anielskie duchy,
 A bez rachuby czysto i niewieście,
 Ten w świat iść może pełen tej otuchy,
 Że choć mu przyjdzie łamać się z boleścią,
 Przecież nie padnie w życiowej posusze,
 Bo go swem skrzydłem osłonią te dusze.

Pod taką tarczą idziesz w świat tak młoda!
 Więc ci nie powiem — że drogą mozolną,
 Lecz sobie szepnę w duszy: jaka szkoda,
 Że mi za tobą śladem iść nie wolno,
 I w tej anielskiej, harmonijnej ciszy,
 Takich jak Szopen znaleźć towarzyszy.

1875.

Wł. Betza.

Proboszcz z Warki.

Opowiadanie.

T. T. JEŻ.

— Konczon bał!... rzekł i kaszkiet na stół cisnął.

Wyrazy te w mowie Puszkina z pryncypem wyrzeczone, znaczą po polsku: »Bal skończony«. Odnosiły się one jednak nie do żadnego balu, lecz do roboty inżynierskiej: do nakazanego przez władzę wojskową trasowania linii kolei żelaznej w piachach mazowieckich. Roboty prowa-

dziła komenda pod przewodnictwem kapitana — i on to właśnie zakończenie ich zadokumentował wyrażeniem przysłowiem o akcencie retorycznym.

Z nim razem do izby obszernej, w której obecność na dużym stole instrumentów matematycznych, zwitków papieru i przyborów rysowniczych, świadczyła, iż się w niej dokonywało kreślenie planów, weszło kilku niższej rangi oficerów. Po ciśnięciu kaszkietu, kapitan zwrócił się do podwładnych swoich.

— Cóż, panowie!... Zasłużyliśmy chyba na...

Zawahał się.

— Kutioż... — podchwycił jeden z oficerów.

Wyraz ten znaczy: populanka.

Kapitan skrzywił się, zmarszczył i rzekł:

— Głupia wieś... podła wieś...

Wieś owa była to osada duża i zamożna. Niektóre w niej chałupy wyglądały na dworki; niektórzy włościanie mieli pozór z waszečia. Kwitło w niej sadownictwo, a to, dzięki przykładom, idącym od proboszcza, zasiedziałego w Warkach od lat z górą trzydziestu, oraz od sołtysa, Wojciecha Misiółta, właściciela chałupy, w której kwaterował kapitan, — człowieka rozgarniętego i piśmiennego, wyuczonego w sadownictwie w szkole ogrodniczej, do której w młodych latach uczęszczał w Warszawie. Więcej też on, aniżeli proboszcz mieszkańcom Warek za przykład służył. Misiół przywiózł z Warszawy nietylko tajemnice sadzenia, szczepienia i hodowania drzew owocowych, ale i różne jeszcze inne tajemnice, — nie tylko je przywiózł, ale dzielił się nimi — jednymi czynem, drugimi słowem ustnym i pisanem. Sadownictwa nauczał praktycznie: własnoręcznie sadził włościanom drzewka, własnoręcznie szczepił, szkodliwe pędy obcinał, chore drzewa leczył, z gąsienic oczyszczał; obok tego opowiadał, dawał do czytania książeczki, rzucał ziarna, które w dusze chłopskie padały, kiełkowały, pleniły się i owoc uświadomienia wydawały.

Proboszcz, ks. Jan Groza, na przeciwnym w odniesieniu do Wojciecha, stał biegunie. W to, o czem ten ostatni opowiadał, nie wdawał się; gdy zaś go z parafian który w materji tej zaczepił, zaczepkę odpierał krótko:

— Głupis...

Toż samo z sadownictwem. Uprawiał je; jabłka, gruszki, śliwki, wisznie hodował takie, że klękajcie narody; ale — dla siebie. I wogóle dla siebie żył. Małomówny mrukliwy, — gdy mu mówić przychodziło, czynił to lapidarnie, postępując się wyrazami i wyrażeniami, figurującami w słowniku Szekspirowskim. Ksiądz Groza był grozą. Nazwisku odpowiadała postawa. Dużego wzrostu, grubokościsty, silnie zbudowany, ostro z pod ostrzeszkowatych brwi na świat i ludzi patrzący, wzbudzał tem sobie poszanowanie, połączone z tą określić się nie dającą bojaźnią, którą tajemniczość budzi a którą potęgowała surowość obyczajów, jaką przestrzegał w sobie i w parafianach. Na osobę jego najmniejszy od

żadnej gospodyni ani siostrzenicy z przeszłości ani w terażniejszości, nie padał cień. Ale też biada temu lub tej, nad którym lub którą cień podobnego rodzaju się przesunął! Z równą zawziętością ścigał cienie wszelakie: lenistwo, pijaństwo, złodziejstwo, jakoteż grzeszki mniejszej miary i wagi, np. swary małżeńskie, niesnaski w rodzinach, zajścia sąsiedzkie itp. We względzie tym pełnił, wobec parafian, funkcją Jowisza gromowładnego, ciskając pioruny z tronu swego, którym był obok kościoła domek skromnie i schludnie utrzymany, oparty o obszerny ogród owocowy i maskujący sobą piwnicę, zaopatrzoną w maliniaki, wiszniaki, miody i wina, mogące z najdoskonalszemi i najznakomitszemi napojami, wytrzymać porównanie. Snadź osłody te animuszu mu w ściganu zła wszelakiego dodawały, dzięki bowiem księdzu Janowi Grozie wieś Warka, która czasu onego we względzie obyczajowym nie różniła się od wsi sąsiednich, wycnotliwiała na podziw.

Owóz — dla tej to enotliwości kapitan od inżynierzy wyraził się o niej:

— Głupia wieś... podła wieś...

Proboszcz ze swojej, sołtys ze swojej strony urobili ją tak, że włościanie i włościanki — włościanki zwłaszcza — zajęli wobec zainstalowanych wśród nich na miesiąc parę gości stanowisko odporne. Ze stanowiska tego wszechwładny nawet strażnik ziemski zepchnąć ich nie był w stanie. Na uwagi i propozycje oficerskie, mające na widoku łamanie cnot niewieścich za gotówkę, odpowiadał nieodmiennie:

— Nikaks nie waz można, wasze błagorodje!

Za niemożliwość odpowiedzialnym czynił proboszcza, nikogo tylko proboszcza.

Gdy zaś któryś z inżynierów odezwał się razu pewnego:

— Piekłem owieczki swoje straszy... co!...

— Gdzieżtam!... — odparł — bije...

— Toć go o poboje pod sąd oddaćby można...

— Kiedyż te bezmózgie muzyki polskie skarżyć nie chcą...

— No... a z łou myszlennost'...

— Ba!... galówek przestrzega... Za najwyższe osoby wygrzmiewa modlitwy... Unici w te strony nie zachodzą... Złapać go na czemś protiv zakonnym nie sposób...

— Kanalja!...

O Wojciechu mowy nie było, luboć i on do wzmocnienia odporności przyczyniał się nie mało. Włościanki od wystawiania cnoty na hazard powstrzymywały, nietylko szóste przykazanie i jeden z grzechów głównych, ale i ta okoliczność, że hazard ów odnosił się do Moskali. W oczach bab, mężatek młodych, dziewcząt, dziewczątek nawet, dzięki opowiadaniom jego, Moskale uchodzili za coś tak wstrętnego, tak nieczystego, tak zbereźniczego, że żadna z nich, za największe świata skarby, nie odważyłaby się Moskala dotknąć. Cierpiały tych gości nieproszonych i znosiły kobiety, cierpieli i znosili ojcowie ich, mężowie i bracia, jak się cierpi i znosi wszelaki dopust Boży, złocony nadzieją roku-

jąca, że przemienie. Przemijają grady, ognie, rzek wylewy, pomorki na bydło, powietrza wojny i inne dopusty: czemużby i ta plaga przeminać nie miała?... Trzeba się jeno wobec niej trzymać po ludzku a mocno, na duchu nie upadać, Bogu ufać i zgorszeniu się nie poddawać. Tak się wyraziły następstwa zaczerpniętych w Warszawie opowiadań Wojciecha, którego za te właśnie opowiadania, od niechcienia przezeń przy szczepieniu i okulizowaniu wygłaszane, gromada na sołtysa wybrała. O nich atoli — o opowiadaniach — strażnik nic nie wiedział. Przed Moskałem ten i ów po pijanemu chyba wygadać by się mógł. Że atoli na pijaństwo biczem był proboszcz, strażnik przeto na proboszcza całą, za cnotliwość niewiast wareckich, winę, całą zwałął odpowiedzialność.

— Kalib nie ksiendz...

To znaczy: Gdyby nie ksiądz.

Inżynierowie srodze się gniewali — nie wdawali się z nim wcale. Przy spotkaniach przypadkowych omijali go, jak się omijają osobistości obojętne. Możeby przy okazjach takich ten i ów okazał gięstem jakim wyrazistym żywione względem niego uczucie, gdyby postawa jego imponująca nie mniej jak sękata, z którą zwykł chodzić, laga, nie wzbudzała w Moskalach mimowiednego respektu.

Gdy przeto na wzmiankę o pohulance kapitan uczynił wsi Warki zarzut głupoty i podłości, podkomendni jego wielkim na księdza zawrzeli gniewem. Ponieważ jednak taki ważny jak ten, że został konczon biał zaszedł wypadek, kutioż narzucał się jako konieczność, której nieuczynienie zadość równało się wielkiemu przeciwko zwyczajom, obyczajom i honorowi oficerskiemu występкови. Narzucała się ona; uczynić jej zadość trzeba było bądź co bądź — nawet bez tej przyczyny, za brak której wielka na proboszczu, w oczach ludzi dobrze wychowanych, (za takich się oficerowie mieli), ciążyła odpowiedzialność.

Przy naradzie nad bankietem pokazało się, że brakowi temu towarzyszył brak inny jeszcze, mniejszy trochę, lecz nie mniej dotkliwy. Materyałów na jadło znajdował się na gruncie dostatek: mięso z czworonożnych, drób, zwierzyna, ryby i grzyby, warzywa, nabiał, przetwory mączne, owoców w bród. Był i powar, (kucharz), przeistaczany w potrzebie przez kapitana na kuchmistrza za pomocą a pleuch, (policzków), zawieszście wymierzanych. Było wszystko, co do sporządzenia bankietu należytego posłużyć mogło, z wyjątkiem — win odpowiednich. Na nieodpowiednich nie zbywało. W miasteczku pobliskiem żydzi sprzedawali lury fabrykowane na miejscu. Te atoli surogaty oficerowie odrzucili jednomyślnie i jednogłośnie.

— Niet!... niet!... Prosta raczej, cziszczonna ja wódka.

Z wódki, za dodatkiem cukru, cytryn, gwoździków, gałki muszkatołowej, dałby się smakowity i duszą rozpalający sporządzić napitek. Byłby to atoli napitek, niepasujący do uczy dla mężów szlachetnych, (błagorodnych). Sprawa ta mocno oficerów zafrasowała.

— Ani dziewczek, ani wina!... To mi kraj dopiero...

Wyrazy te, z żalem i ze wzgardą wyrzeczone, tknęły obecnego przy naradzie strażnika w serce.

— A gdyby tak? — odezwał się.

— Nn?... — odparł kapitan.

— Do księdza?

— Cóż księdz?... —

— Ma piwnicę pełną... Wina doskonałe...

— Piłeś?... —

— Piłem... Do księdza zaglądam i bez poczęstunku od niego nie wychodzę... Stawia butelkę... sam lampką cedzi... ja zaś... — obliżał się.

— Szampanskoje ma?... — podchwycił z oficerów jeden.

— Znać nie magu...

— Sprzedałby?... — zapytał kapitan.

Strażnik ramionami wzruszył i powtórnie odpowiedział:

— Znać nie magu... Ale — dodał — zapytać można...

— Tak stupaj (idź) i zapytaj... Szampanska wo dwie przy najmniej butelki...

Strażnik odsalutował, na lewo zwrot wykonał, odszedł i nie dłużej jak w kwadrans później powrócił, poprzedzając zakrystyana, dźwigającego przykryty serwetą kosz.

Zakrystyan kosz na podłodze postawił, czapkę zdjął w pas się pokłonił i serwetę zdejmując przemówił:

— Wielebny ksiądz proboszcz jaśnie wielmożnym panom Moskałom dobrodziejom przysyła wina trochę...

»Trochę« owo, co do liczby, wynosiło butelek szesnaście: cztery bordeaux, cztery burgunda, cztery tokaju i cztery szampana — trzech pierwszych rodzajów szyjki różnokolorowym oblane lakiem, ostatniego odrutowane.

— Co to znaczy?... — zwrócił się z zapytaniem kapitan do strażnika, wysłuchawszy i niezrozumiawszy zakrystyana.

— To znaczy, że księdz przysyła waszemu wysokoblagorodiu z piwnicy swojej wina...

— Ależ... ależ... Dosyć dla nas szampanska wo... Reszta... to... wina... za drogie...

Początkowe wyrazy wyjękiwał; dwa ostatnie wykrztusił.

— Nie za drogie; księdz nie sprzedaje... — odrzekł strażnik.

— Nu?... jakże?... —

— Ofiaruje waszemu wysokoblagorodiu...

Wyrazy te wprawiły oficerów w osłupienie.

(Dokończenie nastąpi).



Kazimierz Kamiński

(Sylwetka).



KAZIMIERZ KAMIŃSKI.

Jeszcze nie przebrzmiały echa oklasków, któremi żegnano w teatrze skarbkowskim gościa krakowskiego i dotąd trwa w całej pełni potężne wrażenie, jakie wywołała gra jego tak niezwykła, oryginalna, pełna prawdy i nacechowana realizmem utrzymanym zawsze w granicach sztuki i piękna. Publiczność lwowska nie pierwszy raz oglądała p. Kamińskiego na scenie; przed trzema laty przybył on tu po raz pierwszy na kilka występów, które nie wywołały jednak entuzjazmu.

Artysta podobał się wybranym, ale wśród szerszej publiczności, przyzwyczajonej niestety do bezmyślnego szablonu, wywołał pewne zdziwienie swoją odrębną metodą. W roku zeszłym, w czerwcu, przybył do Lwowa cały personal teatru krakowskiego pod osobistym dowództwem Tadeusza Pawlikowskiego. Pamiętne jeszcze wszystkim są owe występy. Ujrzano scenę wybornie zorganizowaną, i po literacku prowadzoną, grono pierwszorzędných talentów zharmonizowanych ze sobą doskonale, repertuar wszechstronny, uwzględniający nowe zwłaszcza kierunki i prądy. Była to, jak słusznie powiedziano, instytucya artystyczna, stojąca na wysokości nowożytnej kultury.

Na tem tle właściwem, w tych ramach estetycznych, w tem otoczeniu wykwiłtnem zarysowała się dopiero z całą plastycznością indywidualność Kamińskiego, bo nasz artysta, to nie wirtuoz goniący za taniemi efektami, ale myślący aktor, umiejący się dostroić rozumnie do całości, i potrzebujący właściwego oświetlenia, któreby podkreśliło wszystkie subtelne szczegóły jego gry utrzymanej nieraz w półcieniach.

Kamiński stał się już wtedy ulubieńcem publiczności, która tak tłumnie uczęszczała na przedstawienia teatru krakowskiego. Obecnie Kamiński występował we Lwowie po raz trzeci. Lwowianie widzieli go jednak tylko w małej stosunkowo ilości ról. Piszący te słowa podczas licznych pobytów w Krakowie w przeciągu ubiegłego właśnie sześćdziesiątego roku rządów Pawlikowskiego miał sposobność podziwiać prawie wszystkie wybitniejsze kreacje artysty krakowskiego i dlatego jest uprawniony, może więcej niż kto inny do skreślenia swoich uwag i wrażeń na podstawie dokładnej znajomości artysty i człowieka.

Kto jest Kamiński? z kąd przychodzi? gdzie się uczył i wyrabiał? Od razu trzeba powiedzieć, że nie był on w żadnej szkole dramatycznej. Mistrzem jego i szkołą było życie i twarde jego koleje. Kamiński urodził się w roku 1865 w Warszawie, tam uczęszczał do gimnazjum marząc już na ławkach szkolnych o teatrze; to też ukończywszy z powodzeniem gimnazjum wstąpił od razu bez żadnych poprzednich przygotowań do ogródkowego teatru w roku 1884. Powołanie było silne i prawdziwe. W teatrze Sarnowskiego spełniał, jak sam opowiada, przeróżne funkcy; bywał nieraz suflerem, statystował, a czasem nawet malował dekoracye i t. p. Pierwszą nieco większą rolą, którą mu powierzono, była rola służącego Jędrzeja w komedyi Abrahamowicza i Ruszkowskiego »Mąż z grzeczności«. Odegrał ją w Zamościu. Po czterech latach przeszedł do znanej trupy Texla, z którą udał się do Rosyi; następnie zaangażował się do towarzystwa Kościeleckiego, które dawało stałe przedstawienia w Petersburgu. W stolicy Rosyi pozostał dwa lata grając coraz częściej i coraz większe role. Fantazyja i młodość, owe dwie cudowne siły, gnały Kamińskiego w dalekie strony; zjechał aż do Ameryki północnej z ryzykownym nieco pomysłem założenia w nowym świecie polskiego teatru. Zamiar nie przyszedł do skutku i po pół roku pobytu w Stanach Zjednoczonych, gdzie pilnie badał rzeczy i ludzi, powrócił znowa do Petersburga. Po rozwiązaniu trupy Kościeleckiego, Spasowicz Włodzimierz, popierający tak hojnie i mądrze wszystkie polskie przedsięwzięcia w Petersburgu, chcąc ratować byt zagrożonej sceny, stanął na jej czele i Kamińskiemu powierzył artystyczne kierownictwo. Teatr był dobry, błyszczał w nim Kamiński a obok niego i inni wybitni artyści jak pani Morska, Popławski i t. d. Nadszedł rok 1893; stanowi on doniosłą i pomyślną datę w dziejach polskiej sceny.

W jesieni został w Krakowie otwarty nowy teatr. Dyrektor Pawlikowski powołał Kamińskiego wraz z innymi artystami z Petersburga. Skończyły się lata wędrowek i niepewności, były to dla niego jak dla Wilhelma Meistra *Lehr und Wanderjahren*. Kamiński wiele z nich skorzystał, obdarzony bowiem bystrym darem spostrzegawczym umiając patrzeć na świat, wchłonał w siebie ogromny zapas przeróżnych typów które następnie przenosił na scenę jako już wykończone kreacye artystyczne, oparte na bezpośredniej obserwacyi życiowej.

Dłuższy zwłaszcza pobyt w Rosyi pozwolił mu zapoznać się z tamtejszą duchową atmosferą i obyczajami. Złąd ta doskonała znajomość stosunków rosyjskich, przebijająca się w mistrzowskich postaciach Jusowa w »Posadzie intratnej« Ostrowskiego i pułkownika żandarmów Kornilowa w sławnej sztuce Maskoffa »Tamten«. Zbyteczne tu byłoby każde słowo. Są to rzeczy poprostu doskonałe, godne najpierwszych scen Europy. Trzecia rola rosyjska Kamińskiego, Chlestakow w Gogola »Rewizorze« przedstawia materiał do dyskusyi i zastrzeżeń. Rozmawiałem o niej z Kamińskim i przedstawiłem mu swoje zarzuty, dotyczące się pojęcia roli, (wykonanie było przepyszne). Artysta bronił się, odwołując się na powagę samego autora. W istocie zaraz po pierwszym

przedstawieniu »Rewizora« Gogol napisał artykuł protestujący przeciw ordynarnemu i płaskiemu oddaniu roli przez aktora rosyjskiego. Gogol twierdził dalej, że pisząc »Rewizora« pojął Chlestakowa jako dystyngowanego i eleganckiego przedstawiciela ówczesnej zepsutej złotej młodzieży. Umilkłem na chwilę wobec takiego komentarza; zauważyłem jednak, że w każdym razie Chlestakow artysty jest raczej francuskim dandysem niż rosyjskim fireykiem i za mało posiada cech domowych, swojskich.

Kamiński wystąpił w Krakowie w przedstawieniu inauguracyjnym w małej roli Dyndalskiego w »Zemście« Fredry. Już wtedy uderzył znawców. Od tej chwili talent jego rósł i potężniał. Zakres ról rozszerzał się coraz bardziej i obejmował coraz to nowe horyzonty twórczości. Nie podobna w pobieżnym szkicu choćby w krótkości zastanowić się nad najlepszymi rolami artysty; wolę więc w kilku wyrazach scharakteryzować naturę jego talentu i znamienne jego strony.

Kamiński nie posiada właściwie żadnego tak zwanego technicznie *emploi*. Nie zamyka się w pewnym ściśle ograniczonym dziale; to też trudno jednym słowem określić fach sceniczny Kamińskiego. O innych mówi się: to amant, to aktor charakterystyczny, to czarny charakter, to komik i t. d. Do Kamińskiego nie da się zastosować żadna z tych jednostronnych formułek. On bowiem gra zawsze i przedstawia na scenie *człowieka* i to człowieka nowożytnego z całą jego skomplikowaną naturą i duszą wytworzoną współczesną cywilizacją. Wielki Kamińskiego wielbiciel, Przybyszewski, w rozmowie ze mną, zauważył, że Kamiński wyszedł *z teatru a wszedł w życie*, chcąc tym sposobem powiedzieć, że artysta przedstawia ludzi prawdziwych, rzeczywistych, żyjących. Słowa te głośnego pisarza bardzo trafnie określają artystyczną działalność Kamińskiego i proces jego twórczości. Artysta krakowski jest *modernistą* na scenie. Na czym jednak polega ta właściwość jego talentu, bo przecie i przed nim i obok niego znakomici artyści dbali i dbają o prawdę i szczerłość na scenie; otóż zdaniem moim modernizm Kamińskiego tem się tłumaczy, że on z powodu całej swojej natury, organizacji umysłowej, usposobienia i poglądów na świat rozumie daleko lepiej ludzi współczesnych, niż dawniejszych. On się cieszy z nimi i boleje, myśli jak oni i jak oni czuje, i dlatego teatr reprezentujący najnowsze w sztuce kierunki i dążenia znalazł, w nim tak świetnego i inteligentnego wykonawcę. Niektóre role w teatrze Ibsena jak n. p. owa rólka pastora w »Dzkiej kacze«, są małemi arcydziełami. Ale istnieje i odwrotna strona medalu. Modernizm Kamińskiego i brak retrospektywnej fantazyi oddalają go od wielkich poetów teatru klasycznego. Samo to zresztą przyznaje. Miałem najlepszą sposobność przekonać się o tem, widząc jego Poloniusza w Hamlecie. Nawet stary Fredro jest już dla niego nieco zanadto oddalonym. A szkoda. Nie tracę jednak nadziei, że nasz artysta zwróci się do autora »Ślubów paniieńskich« i wskrzesi nam kiedyś którą z wspaniałych postaci fredrowskich. Że to potrafi, najlepszym dowodem wyborny jego rejent Bajdański w »Panu Damazym« Blizińskiego. W ogóle mo-

dernizm Kamińskiego stanowi urok i siłę artysty, ale zarazem zakreśla już z góry pewne granice jego twórczości artystycznej. Nie jest to jednak ostatnie słowo o Kamińskim. Olbrzymi jego talent rozwija się ustawicznie i odbywa ciągłą ewolucję; liczy on dopiero lat 34, a ta młodość pozwala nam spodziewać się jeszcze coraz to nowych i coraz doskonalszych rzeczy. Dlatego na zakończenie można śmiało powiedzieć, że Kamiński nie tylko już jest ozdobą polskiego teatru, ale zarazem jego nadzieją!

Kazimierz Skrzyński.

LWOWIANKA.

MONOLOG.

(*Ośmnastoletnia panienska wbiega na estradę*). Już jestem!... Parasolkę tu — (*odkłada i zdejmując rękawiczki*:) Jedna rękawiczka, zaraz — spieszę się, spieszę, już jest zdjeta, a więc kładę ją tu... A tę, drugą, nieznośną — zaraz, zaraz, jeszcze chwilka — już, już... Tę nieznośną rzucam tam — (*rzuca rękawiczkę na krzeselko i zdejmując zarzutkę*) A zarzutkę — porzucę gdziekolwiek, (*czyni to*). Z kapeluszem także mało ambarasu — (*odrzuca kapelusz*) i — i — (*poprawiając włosy*) już — już — już prawie jestem gotowa (*wyciągając rękę*) proszę, oto moja ręka..... (*ze zgorszeniem*) Co? — żaden z panów nie korzysta z chwili szczęścia? — a to dobre!... Mam posag!... (*cofa szybko rękę i ze śmiechem*) Cha, cha, cha... slysze szmer na sali, kawalerya się ruszyła!... Za pozwoleniem, moi panowie!... Wprawdzie posag jest ale — ale — w procesie... Być może, że dostanę trzydzieści tysięcy, lecz być także może, że otrzymam po kochanej ciciu koszyczek z włóczką, dwa już niemodne kapelusze damskie i stary kufer — próżny... A prawda! i dwie pary czarnych okularów. A więc? — czekam... (*po chwili*) Cisza na sali, grobowa cisza wśród panów... Cha, cha, cha!... (*nagle*) Co? — Pan?... Nie slysze..... Jak?... »Co ja umiem?« Cha, cha, cha!... a to dobre!... Każda Lwowianka wszystko umie. A tak, tak!... (*z emfazą*) Umie tak kochać!... (*okrecając się powoli*) A jak się ubieram!... Może »kierceńca« nie modna? — proszę!... (*biorąc kapelusz do ręki*) Kapelusik, prawda, że nie z Paryża, ale, proszę — co? może za skromny albo nie sezonowy?... Ach, gdyby to można mieć kapelusze prosto z Paryża!... (*odrzuca kapelusz z pogardą*) Krajowa tandeta!... Gdzie moje rękawiczki?... (*szukając*) Ruszajcie się panowie!... Dzisiejsza młodzież taka nieuprzejma! — (*zwracając się nagle do publiczności*) Przecież skończyłam cały pensyonat!... Z historii czasów najnowszych wiem, że

Bismark był najstraszniejszym potworem naszego wieku! (*zakrecając palcem koło*). Miał taką dużą — dużą łysinę, a na niej trzy historyczne włosy. Podobno już umarł! (*z dąsem*). Wypraszam sobie te ciche śmiechy panów!... (*tupiąc nogą*) Cóż znowu!... W szóstej klasie, panna Leokadya, nasza nauczycielka... kazała nam narysować plan kościoła Jerozolimskiego. (*z dumą*) Ciekawam bardzo, czy w gimnazyum rysują studenci plan kościoła Jerozolimskiego?!... Ależ się rysowało! — Moja koleżanka, Mania, namalowała jakiegoś bruneta z takimi dużymi wąsami, że panna Leokadya oświadczyła, że stanowczo są za wielkie.. Cha, cha, cha! jak mamę kocham!... (*po chwili*) Ach, ta panna Leokadya!... Kiedy już skończyłam pensjonat ze stopniem celującym z dwiema koronami — tak jest, z dwiema koronami! — żegnam się z panną Leokadyą, (*zmieniając głos*). »Czy ty wiesz, moje dziecko, co to są prawa kobiety?« A to dobre!... Czy ja wiem!.. Kiedy tatuś przyjdzie z kasy, o godzinę później, jak trzeba, to mamusia wyjeżdża z takimi prawami kobiety, że biedny tatuś nie wie, schować się pod łóżko, czy wyskoczyć przez okno?!... I ja nie mam wiedzieć, co to prawo nasze!... Na każdego pierwszego, mama w całej pełni stosuje te prawa — bo zabiera tatusiowi całą pensję... No, proszę ja państwa, czy nie dość, tych praw? Ale panna Leokadya powiedziała mi wyraźnie, abym prócz tego jeszcze dążyła całą siłą pary do szóstej kury!...

Szósta kurya, cha, cha, cha!... Aha, ja dążyłam całą siłą pary wyjść za mąż w szóstym miesiącu po skończeniu pensjonatu, ale mi się nie udało!... Strach, co mi nagadała ta panna Leokadya! Przez dwie godziny potem, to mnie tak bolała głowa i taki miałam żal do rodu męskiego za to, że jest egoistyczny, despotyczny, chciwy władzy, nierządny, nierozsądny, bałamutny, niesforny, brzydki, nędzny i nikczemny — że już, już byłam jedną nogą w klasztorze, ale ból głowy ustał i przyszedł do nas pan porucznik Stefan. Ach, co to za chłopiec! — Co z tego, kiedy nie mam kaucyi!... (*siada i po chwili sentymentalnie*). Na świecie strasznie smutno.. Do wszystkiego trzeba mieć kaucję... (*wzdycha i po chwili*) Tak się to zdaje, ale przez całe życie żyć bez Adama, tak jak panna Leokadya, to to więcej jak smutne, (*tragicznie*). To takie okropne — że, że, wolałabym rozkwitnąć konwalia na wiosnę i w miesiąc potem uschnąć. (*deklamuje*)

To mi to życie, to radosne
Konwaliajką przeżyć wiosnę,
Później zginąć z rosą ranną,
A nie zostać starą panną!...

Prawda, jakie śliczne wiersze?... Wpisała mi je do albumu moja najlepsza przyjaciółka z pensyi. (*żywo*) Tydzień temu zerwałyśmy ze sobą zupełnie, (*zrywając się z krzesła*). Co mi to za przyjaciółka, co cały dzień wygląda przez okno: idzie, czy nie idzie pan Stefan!... Prawda, że i ja wysiadywałam w oknie, ale odkąd powiedział mi tatuś,

że nic w niem nie wysiedzę — odtąd stoję za franką... (*załamując ręce*). Ach! jaka to tragiczna dola nie mieć nic do roboty od rana do wieczora!... Już mi tak obrzydło życie, że postanowiłam sobie przy pierwszej lepszej sposobności otruć się, albo umrzeć na suchoty. Tatuś powiada, że raczej umrę z nudów. To prawda, ale proszę państwa, co ma robić panna dobrze wychowana?... Z tem, co się na pensyi nauczyłam, można tylko wyjść za mąż. Mama ciągle o tem myśli, doprawdy!... Mamą ma taką maciupenką książeczkę do nabożeństwa. W tej maciupenkij jest osobna modlitwa o szczęśliwe wydanie córki za mąż. Mama już tak tę modlitwę wymodliła, że jest cała czarna... Nie dziwnego, proszę państwa! Przed ośmnastu laty przysłałam na świat i równocześnie zaczęła się modlić mama!... Otóż właśnie w tej książeczce, maciupenkij, na pierwszej, niezadrukowanej stroniczce ma mama wypisaną całą litanię epuzerów. Jak się który ożeni, albo ze Lwowa wyjedzie, zaraz dostaje z boku czarny krzyż... Ta stronica już teraz wygląda jak jaki ementarz!... Jest tam jeszcze kilka żyjących nazwisk: trzech emerytów, jeden doktor, dwóch praktykantów konceptowych, pan Stefan, *z westchnieniem* ach, pan Stefan!... i jeden adwokat. Co z tego?!... Przy emerytach stoją lata: 72 — 78 i 81... Tatuś ułożył z emerytów terno na lwowskiej i ani jeden nie wyszedł!... Przy doktorze stoi szóstka, (*kreśląc w powietrzu*). Takie duże 6... To znaczy, że doktor jest wdowcem i ma sześcioro... Praktykantów ubrała mama w notatkę: „do rozwagi po regulacyi płac« (*ze smutkiem*). Biednego pana Stefana przekreśliła mama czerwonym atramentem... a przy adwokacie stoi napisane: posagowicz, z trzema wykrzyknikami (*do kogós z publiczności*) Co? — Spóźnię się na tańczącą herbatkę? — Prawda! — jesteśmy proszeni... (*zbierając rzeczy*). Herbatki tańczące, a potem teatry, bale, rauty, five o'clocki — co za życie!... jedwabne życie!... (*stając przed publicznością*) Ale ja tylko chcę:

Niechaj z pieszczotą szepce imię moje,
Jedno ma serce a wąsików dwoje!...

Cha, cha, cha!... (*wybiega*).

Franciszek Zwiłkoński.

KSIAŻĘ-GUBERNATOR.

Niemiecka biurokracya pozostawiła po sobie w Galicyi nieszczerne wspomnienie. Obca naszemu społeczeństwu pochodzeniem i kulturą, rekrutowana nierzadko z osobników, mających za sobą awanturniczą przeszłość w zachodnich prowincjach monarchii, wrogie z reguły zajmowała stanowisko wobec kraju, którego rządy jej dyskrycjonalnej łwa-



AUGUST DŁUGOSZ X. LOBKOWICZ.

Wojewoda Raudnicki, uksiążęcony Hrabia na Szternsteinie J. C. M. rzeczywisty
tajny radca i podkomorzy.
Gubernator jako też Prezes Stanów Galicyi.

dzy powierzono. Jeżeli w niemieckich dzierzawach państwa austriackiego wspólność języka, zwyczajów towarzyskich i upodobań przyczyniała się w pewnym przynajmniej stopniu do wytworzenia jakiejś takiej harmonii między rządzonymi a rządzącymi, to u nas w dobie przedkonstytucyjnej kontrast ów między przedstawicielami władzy a ludnością z samejże natury rzeczy przybrał od pierwszej chwili rewindykacji charakter cichej, lecz nie mniej zawziętej walki na śmierć i życie. W historii Galicyi niebrak niestety dat krwawemi zapisanych zgłoskami, świadczących aż nadto wyraziście o prawdziwości powyższego twierdzenia...

Na tem większą przeto sympatyę zastąpiła osobistość, która powołana przez Koronę na naczelne stanowisko w naszym kraju, zdołała w chwili bardzo trudnej pogodzić interes polityki państwowej z aspiracyami narodowemi i zdobyć sobie w dziejach Galicyi zaszczytne wspomnienie.

Mężem tym był August książę Lobkowicz, gubernator Galicyi w latach 1826—1832.

Potomek magnackiej, czeskiej rodziny, siostrzan wpływowego ministra spraw wewnętrznych, Franciszka hr. Kolowrata, wstąpiwszy w młodym wieku do służby rządowej, przebiegł w krótkim stosunkowo czasie niższe szczeble hierarchii urzędniczej i niebawem po ukończeniu studyów prawniczych zamianowany został starosłą w Budziejowicach. Miejscowa ludność uwielbiała młodego zwierzchnika, jakkolwiek nie brakło już wówczas uszczypliwych zarzutów, twierdzących, iż książę więcej czasu przepędzał w Frauenbergu, u książąt Schwarzenbergów, których córkę Annę rychło powiódł na ślubny kobierzec, aniżeli w urzędowej swej siedzibie. Mimoto Lobkowicz awansował szybko. W roku 1825 widzimy go wiceprezydentem galicyjskiego gubernium, w roku następnym gubernatorem we Lwowie.

Grand seigneur w całym tego słowa znaczeniu, zaaklimatyzował się książę-gubernator — taki tytuł figurował na wizytowych kartach Lobkowicza — w krótkim czasie w naszym mieście. Z miejsca pozyskał dla siebie sfery arystokratyczne a w ślad za niemi poszedł ogół ludności, gdy ujrzał podczas publicznych wystąpień przedstawiciela rządu cesarskiego w kontuszu i przy karabeli, chlubiącego się staropolskiem pochodzeniem swego rodu. W domu zwykł był zachowywać nasz obyczaj narodowy, dzieciom słowiańskie dawał imiona. Utrwaliły ów węzeł, łączący gubernatora z krajem, dwa tyle ważne w ówczesnem życiu publicznem zdarzenia, jakiemi były: otwarcie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie i utworzenie katedry lektora języka polskiego w uniwersytecie lwowskim, zaś postępowanie księcia po wybuchu rewolucyi listopadowej mogło mu tylko zjednać najżywszą wdzięczność ze strony żywiołu polskiego w całym kraju. Wprawdzie na rozkaz rządu wiedeńskiego nakazał Lobkowicz surowe środki ostrożności we Lwowie i ostrzegął w drodze okólników przed wychodźstwem do Królestwa Polskiego. Równocześnie jednak patrzył przez palce na zbrojące się w mieście i na prowincyi gromadki ochotników, udających się na-

stępnie bez przeszkody ku granicznym kordonom. Nie były mu też obcemi czynności tutejszego komitetu patriotycznego, spieszącego powstańcom w pomoc pieniędzmi i bronią a z ajentem tegoż komitetu, z Izydorem Pietruskim ściśle utrzymywał stosunki. Niedziw przeto, iż w maju 1831 roku, gdy chciano przedstawić gabinetowi wiedeńskiemu osobistość, któraby deklarację warszawskiego rządu narodowego zawiozła pod protekcją Austrii do Petersburga, to wówczas książe Adam Czartoryski wskazał gubernatora Galicji jako najodpowiedniejszego pośrednika w tej sprawie. Propozycja owa nastąpiła oczywiście za porozumieniem się z Lobkowiczem, który nie tał gotowości do usługi w charakterze negocyatora między Polską a Rosyą, lecz projektowana misya spełzła na niczem wobec chwiejnej polityki wiedeńskiego dworu.

Niepowodzenia oręża polskiego oziębily pierwiastkową sympatję cesarskiego rządu dla sprawy powstania. Już w lipcu 1831 roku oświadczył Lobkowicz wobec Pietruskiego, iż ręce ma związane instrukcjami, otrzymanymi z góry, lecz mimoto nieprzestawał mu doradzać, jakimi drogami należy wyprawiać broń oraz kuryerów za granicę... Noty księcia-gubernatora, pisane do rządu narodowego, wydobyła w Dreźnie z archiwum tegoż rządu Klaudyna Potocka i wręczyła je Wincentemu Polowi, który za pośrednictwem adwokata tarnowskiego, Potza, zwrócił owe dokumenty Lobkowiczowi. Ostrożność ta niezastoniła księcia od zemsty caratu, nastającego na odwołanie Lobkowicza z Galicji. Zrazu rząd centralny nosił się z zamiarem powierzenia mu urzędu gubernatora w Czechach. Rosya jednak ostrzegła dwór wiedeński przed tym krokiem, pomawiając Lobkowicza o tendencje panslawistyczne. Zwrócono nawet z szczególniejszym naciskiem uwagę sfer najwyższych na okoliczność, iż książe pisze swe nazwisko: *Lobkowicz*, podczas gdy inne linie tego rodu używały niemieckiej końcówki: *tz*. Tak więc kanclerz Metternich, skłonny zawsze do ustępstw na rzecz Rosyi, usunął księcia zupełnie z widowni politycznej. Odwołano go ze Lwowa w sposób równający się dymisji, udzielonej za karę. Przykrą tę chwilę starało się osłodzić ustępującemu ziemiaństwo galicyjskie wręczając mu w upominku srebrną wazę z krótkim, lecz dużo mówiącym napisem: August Longin Lobkowicz, gubernator Galicji w roku 1831. Z tych też zapewne czasów pochodzi rycina, odbita w litograficznym zakładzie Pillerera a przedstawiająca księcia w stroju polskim. Podobną tej rzadkiej już dziś reprodukcji podajemy w niniejszym zeszytcie wraz z umieszczonym na oryginalne podpisem.

Dla usuniętego z pola czynnej polityki stworzono osobną komisję menniszo-górnica, której przewodnictwem powierzono Lobkowiczowi. Z powodu tej nominacji krążył na bruku wiedeńskim dowcip, iż księcia schowano pod ziemię... Lobkowicz i na tem stanowisku zdołał zaznaczyć w sposób dodatni swą działalność, mimo przeszkód, jakie mu w tym ograniczonym zakresie działania stwarzano. Brano mu nawet za złe podróże urzędowe a gdy podczas przejażdżki po Węgrzech zapuścił wędług tamtejszego zwyczaju wąsy, zaczęto uważać ów postępek księcia

jako zaciągnięcie się w szeregi opozycji. Krótko mówiąc, przesładowano Lobkowicza na każdym kroku, które to przykrości stały się bezwątpiemi przyczyną przedwczesnego jego zgonu na równi z tyfoidalną gorączką, jakiej uległ w marcu 1842 roku.

Więść o zgonie byłego gubernatora wywołała w całym kraju głębokie wrażenie. Odczuto serdecznie stratę człowieka, który w trudnych warunkach okazał nam serce i przestrzegając interesu ogólnopolskiego, zdołał uszanować odrębność żywiołu polskiego w Galicji oraz dać jej pochlebne dla uczuć narodowych znaczenie.

Stanisław Schnür-Pełowski.



NOTATKI Z KRAKOWA.

(Tadeusz Pawlikowski i sześćościecie jego rządów w teatrze. — Towarzystwo Sztuk Pięknych. — »Sztuka«. — Kult Chopina. — Z teatru. — Zgon »Życia«).

Rok 1893 stanowił dla rozwoju sceny krakowskiej ważną epokę. Biedna muza, uwięziona w obrzydliwej budzie przy placu Szczepańskim, odetchnęła w wymienionym roku swobodnie, pełną piersią w nowym przybytku, który jeśli nie odpowiedział wszystkim wymaganiom, to jednak musi być uważany za wystarczający dla Krakowa. Z nową siedzibą zmieniło się też i kierownictwo trzeciej sceny polskiej. Glikson, dawniejszy dyrektor, jeszcze możliwy przy placu Szczepańskim, ustąpił miejsca człowiekowi młodemu latami i doświadczeniem, zasobnemu jednak w dwa bardzo ważne czynniki: w mamotę i w sympatyę dla sztuki.

Ten *homo novus* na niwie teatralnej zwał się Tadeusz Pawlikowski. Syn Mieczysława, dobrze znanego, od najmłodszych lat czuł pociąg do tego, co trąci szminką i kulisami, to też prócz studyowania tej kwestyi w teatrach krajowych i zagranicznych, przez dłuższy czas pisywał recenzje do miejscowych pism. Znany więc był z żywego zajmowania się sceną w chwili, gdy mu rada miejska przed sześciu laty powierzyła ster nawy teatralnej. A praca to nie łatwa, natomiast niestety niewdzięczna, bo do dyrektora teatru zawsze i wszędzie wszyscy, literalnie wszyscy, (publiczność, prasa, aktorowie i administracja), mają pretensye i żale. Dziś, gdy sześćościecie Pawlikowskiego ukończone i gdy już nowy dyrektor na następne mianowany, godzi się bodaj kilkoma ryśkami naszkicować dzieje i osiągnięte rezultaty jego kierownictwa.

Jakkolwiek dopiero ostatnie dwa sezony mogłem studyować z bezpośrednich spostrzeżeń, to jednak wsparty czytaniem relacji, z poprzednich lat oraz gawędą o teatrze z miłośnikami tegoż i fachowcami, mogę sumiennie a bezstronnie wypisać krótkie, ale wielce wymowne zdanie: Pawlikowski krakowski teatr podniósł. I odnosi się to tak co do kierunku artystycznego, jak i wystawowego, o którym, jak prawie wszędzie, Kraków dawniej nie miał prawie pojęcia. Na uzasadnienie tego niech służy przede wszystkim szczegół stworzenia t. z. zespołu, (ensemble), nieodzownego w dzisiejszym pojęciu kwestyi scenicznej. Miał on wybitnych talentów mało, lecz tymi średnimi wypracował sobie zupełnie poprawną całość, do czego w pierwszym roku jego działalności wybitnie się przyczynił ówczesny reżyser a nowy obecnie dyrektor Józef Kotarbiński. Piaca nad aktorami, powierzanie choćby mniejszych ról lepszym siłom, kierunek statystami, opanowanie scen zbiorowych — to wszystko sprawiło, iż jeśli czasem ważniejsze postaci w sztuce słabiej były reprezentowane, kryła je dobra całość. Do sztuk w ten sposób przedstawianych należą »Hanusia« »Madame Sans Gène« »Tamten« i kilka arcydzieł Szekspirowskich oraz rzeczy współczesnych. Ten zespół, to zgranie się, sprawiło tak silne wrażenie, iż nawet fachowiec, o ile nie chciał koniecznie wyszukiwać słabe strony, musiał być zadowolony. Drugą niemałą zasługą Pawlikowskiego, w czym współdziałał też wyśmienicie reżyser Solski, było opracowywanie scen zbiorowych, które w krakowskim teatrze przynajmniej na pierwszych przedstawieniach wychodzą znakomicie, tak, iż widzowi zdawać się może chwilami, iż znajduje się w stołecznym teatrze. W takich wypadkach statystują wszystkie, począwszy od reżysera i wybitnych artystów a skończywszy na młodych adoptach sztuki; wszyscy odpowiednio ucharakteryzowani biorą udział w scenicznym ruchu, który przedstawia się prawdziwie, gdyż nie »robią« go ludzie brani z ulicy. Do tej doskonałości, a takim mianem nazwać to trzeba, nie doprowadziła jeszcze ani Warszawa ani Lwów, co zresztą w r. z. stwierdzone zostało przy sposobności gościnnych występów teatru krakowskiego we Lwowie.

Dobór sztuk u Pawlikowskiego bywał rozmaity ale, częstokroć hołdujący fantazji. Należy jednak przyznać, iż starał się on, (z małymi acz nieuzasadnionymi wyjątkami), grywać wszystkie rzeczy oryginalne. Z utworów obcych literatur nie zapoznał natomiast publiczności krakowskiej z wieloma takimi, które obowiązkowo dyrektor teatru grać powinien, choćby nawet ze względu na kasę. Do takich zaliczam, że w tej chwili wspomnę »Zatopiony dzwon« (nb. grany przez lwowską trupę) »Borkmana«, »Cyrana« i wiele innych. Widywaliśmy za to na scenie osobliwości, o których szeroko i długo pisano za granicą, iż bezpowrotnie padły. Ponieważ jednak dyrektor artystyczny chciał ten lub ów poroniony pód wystawić, przeto w tej samej osobie będący dyrektorem administracyjnym nie szczędził kosztów i grano jakieś sztuczdyło po to, aby na pierwszym przedstawieniu pół widowni sprzedać a na drugie zaprosić kilkadziesiąt osób... za darmo. Do podobnych eksperymentów zaliczyć też należy kilka miesięcy trwający w r. b. kaprys wystawiania



utworów naszych domorosłych modernistów. Publiczność, (o ile była), ziewająca, kasa pusta, artyści zmęczeni a prasa z konieczności przeważnie pobłażliwa — oto obraz tych widowisk. Na szczęście ogłoszono rezultat konkursu Paderewskiego, z którego wystawiono wszystkie cztery nagrodzone utwory a choć trzy z nich nie utrzymały się w repertoarze, to jednak zasługa w tem Pawlikowskiego spora, iż pierwszy i dotychczas jedyny je na scenę wprowadził.

Podobną, jeśli nie taką samą fantazyjność okazał Pawlikowski w rozdziale ról a tem samem w wyrabianiu aktorów. Aktor lub aktorka, który się niezręcznym słowem lub czem innem naraził dyrektorowi, ulegał karze, iż go miesiącami nie widziano. Natomiast osobnik o małym talencie, ale zręczny, bywał wysuwany ze szkodą częstokroć sztuki na plan pierwszy, czego następstwem były nadmierne pretensye i aspiracye nieuzasadnione przy braku podstawy t. j. zdolności. To też wielu wybitnych artystów i artystek w ciągu sześćdziesięciu lat Pawlikowski nie wytworzył, a jeśli który lub która zabłysła, wkrótce talent taki przenosił się na inną scenę. Rzecz prosta, iż wyłączam rząd Solskiego i Kamińskiego, którzy pod każdą dyrekcją staliby się, jak są, znakomitymi.

Oto są *plusy* i *minusy* kierownictwa sceny krakowskiej przez Pawlikowskiego. W zestawieniu pierwsze bezsprzecznie przerażają, gdy ostatnie przedewszystkiem przyniosły sporą szkodę moralną i materyalną samemu dyrektorowi; do nich też zaliczyć należy i niezbyt sympatyczny stosunek, jaki łączył dyrekcję teatru z prasą, której doniosłości i znaczenia Pawlikowski w Krakowie nie chciał uznać. W każdym razie, powtarzając, na ogół biorąc, w dziejach sceny krakowskiej ostatnia dyrekcya zapisaną będzie przeważnie dodatnio.

Notując objawy ruchu w dziedzinie sztuk pięknych przypadło mi dziś w udziale zapisać ważny wypadek. Oto dyrekcya Towarzystwa sztuk pięknych na ostatniem, w tych dniach odbytem posiedzeniu postanowiła przystąpić niebawem do budowy własnego gmachu. W niedalekiej tedy przyszłości stanie przy placu Szezepeńskim frontem ku uroczym plantom nowa siedziba sztuki.

Tymczasem na dotychczasowej wystawie w Sukiennicach, jak zawsze, spora różnorodność. Obecnie świeżo zamknięto specjalną wystawę płócien dziełnego artysty Wincentego Wodzinowskiego, który w ostatnich dwóch salach zawiesił kilkadziesiąt większych i mniejszych obrazów. Z pomiędzy nich najbardziej widzowi podobać się muszą dwa portrety ojca i matki autora następnie większych rozmiarów płótna jak »Starość«, »Orka« i »Maierzyństwo« lub z mniejszych »Małwy«. Prócz Wodzinowskiego wystawiono przypyszne »Chryzantemy« Boznańskiej, śliczną główkę Żmurki, dwa, jak zawsze udatne, portrety Augustynowicza, piękne płótna rodzajowe Fabiańskiego, także akwarele Tondosa i miniatury arcydzieła Kotowicza, które mistrzostwem swem przykuwają podziwie wzrok tak dobrze profana i amatora, jak znawcy a nawet, co najważniejsze może, artyści-kolegi. Tyle w tych małych obrazkach przedstawiających wspomnienia z Biecza, starego romantyzmu, wiecznie młodej poezyi i zawsze wybijającej się na wierzch, prawdziwej sztuki.

Zaledwie usunięto obrazy Wodzinowskiego w parę dni później otwarto trzecią wystawę Towarzystwa artystów polskich, »Sztuki«. Wieje tu inne powietrze, woniejące secesją i modernizmem. Należy jednak przyznać, iż tegoroczna ekspozycja »Sztuki« przewyższyła jakością obie swe poprzedniczki. Siedmnastu artystów nadesłało blisko sto płócien, z których kilkanaście należy do dzieł pierwszej klasy; z tych na czele pcstawić musi każdy pastele profesora tutejszej Szkoły sztuk pięknych, Leona Wyczółkowskiego. Jego trzy portrety a pośród nich przedewszystkiem portret ś. p. Juliusza Kossaka, to prawdziwe majstersztyki z zastrzeżeniem jednak impresyonistycznego kolorytu, do którego oko nasze ciągle jeszcze, nie przywykło. Niezupełnie wykończony portret Kossaka jest jedynym z ostatnich lat trzydziestu, a malował go Wyczółkowski na kilka tygodni przed zgonem niezapomnianej pamięci wielkiego artysty. Mniej udatnym jest portret namiestnika i »Giewont w nocy«. Z innych malarzy biorących udział w wystawie nie wolno zapomnieć nazwiska Asentowicza, który dał kilka, jak zawsze, uroczych główek, dyrektora Fałata, Malczewskiego, Mehoffera, Piotrowskiego, Władysława Ślewińskiego, (młodego artysty z Paryża), profesora Stanisławskiego, Tetmayera, Weissa, (czyniącego nadzwyczajne postępy) i Wyspiańskiego. Prócz wymienionych artystów, znalazły się dwa płótna dalekie od modernizmu, ale jak piękne, jak wspaniale malowane wedle dawnej, ale zawsze silnej przemawiającej szkoły. Jestto »Czwórka« Chełmońskiego, która ponoć ma być zakupiona dla muzeum i portret Józefa Pankiewicza z Warszawy. Wystawa w ogóle sprawia wcale korzystne wrażenie a przedewszystkiem dowodzi, że artyści pracują. To wiele.

Dramatyczny konkurs Faderewskiego z pomiędzy ostatnich należy do najbardziej udatnych. W każdym razie dał jedną rzecz zupełnie dobrą, (»Zaczarowane Koło« Rydla), jedną, będącą zapowiedzią niepospolitego talentu, (»Karykatury« Kisielewskiego) i dramat książkowy, (jako taki piękny) p. t.: »Biała Gołąbka«, Nowińskiego. O pierwszych dwóch pisałem uprzednio, dziś tedy krótka wzmianka należy się trzeciemu utworowi i ostatniemu. »Biała Gołąbka« jest poematem dramatycznym (tak ochrzcił autor), który w powolnem czytaniu sprawia spore wrażenie pięknnością języka, obrazowością i kochliwemi sytuacjami. Wystawiony w teatrze okazał się najzupełniej niescenicznym, przeładowanym ustawiczną erotyką i urągającym wszelkim zasadom nieodzownym w dziele dramatycznym a w dodatku przypominającym bardzo często »Romeę i Julię«. Rzecz podzielono aż na 29 obrazów, z których reżyser teatru krakowskiego skleił czternaście; trwa pięć godzin i nuży śmiertelnie widza. Wady tedy utworu przewyższają zalety, czego nie można powiedzieć o »Zgaszonych« Ronikiera; w nich ostatnie nie istnieją, ale za to pierwsze wypełniają cały utwór autora, który przedstawił już lepsze dramaty. To też publiczność słuchając tego sztuczdyła, będącego udratyzowanym paszkwilem, ustawicznie wyrażała oburzenie dla sędziów konkursowych, którzy odznaczyli »Zgaszonych« czwartą nagrodą. Takie to przykre, niesmaczne, przedewszystkiem liche...

Sezon teatralny kończy się tutaj w pierwszej połowie lipca, przedtem jednak stara dyrekeya wystawi jeszcze jeden utwór oryginalny Ka-

sprowicza «Kostkę Napierskiego», nowa zaś rozpocznie przedstawienia d. 26. sierpnia »Złotą czaszką« Słowackiego. Tymczasem mieliśmy tu popis od kilku miesięcy istniejącej szkoły dramatycznej artysty teatru krakowskiego p. Zawadzkiego, którego praca i zdolności wydały dobre owoce, gdyż wszyscy przeważnie adepci sceny wykazali, iż kierunek szkoły jest prawidłowy i prowadzony umiejętnie; jedną z debiutantek natychmiast zaangażował nowy dyrektor teatru.

W końcu niech mi wolno będzie zanotować dwie ważne wiadomości. Pierwszą jest powstanie przy tutejszem Towarzystwie muzycznym sekcji imienia Chopina, która założyła sobie dwa wspaniałe cele: kult arcy-mistrza w ogóle i pracę wytrwałą nad sprawą sprowadzenia zwłok jego z Paryża do kraju. Fakt ten powitać należy najgoręcej i uznać w nim rzetelną ruchliwość Towarzystwa. Drugą wiadomością jest zgon »Życia« które z końcem b. m. po raz ostatni ma się ukazać, redaktor zaś tegoż opuścić ma podobno Kraków i przenieść się do Lwowa. Nie żałujemy go, gdyż działalność Przybyszewskiego więcej tu szkody przyniosła, szczególnie ujemnym wpływem na młodych, niż pożytku Zapowiedź powyższą ogół przyjął obojętnie, gdyż spodziewając wiele, (a miał do tego prawo), rozczarował się...

Kraków 25. czerwca 1899.

Kazimierz Czapelski.

Z Pragi Czeskiej.

W czerwcu 1899 r.

Głównym wypadkiem w życiu publicznem naszej stolicy była obchodzona z wielką okazałością uroczystość studencka, zapoczątkowana przez Towarzystwo Domu Akademickiego. Już sama nazwa instytucji mówi dość wyraźnie o jej przeznaczeniu. Zadaniem Towarzystwa jest budowa gmachu, w którym uboższa młodzież uniwersytecka, czeska, mogłaby znaleźć *mensam academicam*, zdrowy i posilny stół za najtańszą cenę. Studenci tutejszej wszechnicy niemieckiej oddawna już korzystają z podobnego urządzenia a to dzięki szczodrości »Banku Czeskiego«, który im zaofiarował na ten cel wspaniały Grandhotel. Dla uniknięcia wszelkiego nieporozumienia pospieszam dodać, że Bank Czeski jest wprawdzie przedsiębiorstwem prywatnem, ale obok klienteli niemieckiej liczy także wielu klientów czeskiej narodowości...

Wracając do Towarzystwa Domu Akademickiego, które po czesku zwie się: *Spolek pro vystaveni Akademického Domu*, to nierozporządza ono jeszcze tak znacznymi funduszami, by mogło się zdobyć na zaofiarowanie młodzieży czeskiej okazałego hotelu, jakkolwiek instytucya owa istnieje już od lat dwudziestu pięciu. I właśnie w tym roku obchodzono ćwierćwiekowy jubileusz istnienia Towarzystwa. Była to uroczystość w wielkim stylu. Z całego kraju, z różnych stron pospieszili na zjazd studencki byli wychowañcy tutejszych zakładów naukowych, by odświe-

żyć się wspomnieniami młodości, przyjrzeć się dorastającemu pokoleniu i wspomódź je w dziele zapewnienia bytu, lub choćby polepszenia doli biedniejszych kolegów. Snuły się więc długim szeregiem wieczorki i bankiety, panie nasze urządziły raut na rzecz Towarzystwa, była wreszcie wielka zabawa ludowa na placu wystawowym. Uczestniczyło w niej kilkadziesiąt tysięcy publiczności, bawiono się ohocho do późnej nocy. Godne zakończenie studenckiego festynu tworzyło uroczyste przedstawienie w Teatrze Narodowym. Odegrano tragedję Bozdëcha p. t. Baron Goerz. Przedstawienie sztuki posiadało tem więcej oryginalności, ileż obok artystek teatralnych, brała w niem udział młodzież akademicka, która rozebrała między siebie poszczególne role. I słusność każe wyznać, że młodzi dyletanci wywiązali się dobrze z swego zadania. Dochód z tej reprezentacji jest weale znaczny.

W teatrze naszym rozpoczął się już sezon martwy, jakkolwiek przedstawienia odbywają się bez przerwy podczas miesięcy letnich. Repertuar bieżący nie odznacza się świeżością, artyści grają od niechcenia a publiczność stroni od dusznej sali teatralnej. Większem powodzeniem cieszą się sceny ogródkowe, uprawiające farsę i operetkę. Zresztą miasto poczyna się już wyludniać. Kto może, spieszy na wieś, by wśród pól i lasów odetchnąć swobodnie po całorocznej pracy. A miejsce prawdziwie uroczych nie brak naszym letnikom w bliższej i w dalszej okolicy Pragi.

Dr. Borys Prusik.

MALARSTWO.



TADEUSZ RYBKOWSKI.

Tadeusz Rybkowski, którego »Jarmark w Bieczu« reprodukujemy w niniejszym zeszycie naszego pisma, zalicza się do grona artystów jak Gottlieb, Malczewski, Pochwałski, Ajdukiewicz lub Wojciech Kossak, występujących około roku 1880 na szerszą widownię artystyczną. Urodzony w Kielcach, w roku 1848, z matki Karoliny z Męcińskich i z ojca Jana Lubicz Rybkowskiego, zdolnego portrecisty oraz malarza religijnego, który go wcześniej osierocił, uczęszczał do szkół gimnazjalnych w Kielcach a następnie na wydział fizyko-matematyczny warszawskiej szkoły głównej. Równocześnie zamianowany aplikantem w sekcji budowniczo-inżynier-

rskiej magistratu miasta Warszawy, dał się poznać Rybkowski już wówczas jako biegły rysownik, lecz dopiero w roku 1872 posta-

nowił się poświęcić wyłącznie sztuce i zapisał się do krakowskiej szkoły malarskiej. Po trzyletnich studiach, odbytych pod doświadczonego kierownictwem Łuszczkiewicza, przenosi się nasz artysta do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, gdzie stale przebywa aż do roku 1893. Celem uzupełnienia szkolnych studiów pracował Rybkowski kolejno w Leflera, u Burgharda i Kautskiego, u Makarta, zanim w roku 1878 zdecydował się na otwarcie własnej pracowni.

Zawód artystyczny, rozpoczął szanowny profesor — obowiązek ten pełni od roku 1893 w lwowskiej Szkole Przemysłowej — jako ilustrator rozmaitych tygodników warszawskich tudzież lipskich i wiedeńskich, lecz już w roku 1873 wykończył obraz większych rozmiarów, przedstawiający Świętą Balbinę a zamówiony dla kościoła w Zaleszanych. Podczas pobytu w Wiedniu zasilął Rybkowski swemi kompozycjami wystawy krajowe w Warszawie, w Krakowie i we Lwowie, gdzie powszechną uwagę zwracały »Zaścianek Dobrzyńskich«, zakupiony przez Konstantego Hr. Branickiego lub »Odpust na wsi« nabyty przez Artura Hr. Potockiego. Oprócz obrazów olejnych zaznaczył Rybkowski chlubnie swą działalność jako akwarelista, wykonując liczne adresy, dyplomy i wachlarze dla Cesarskiego Domu oraz dla wysoko położonych osobistości, restaurował malowidła w gmachach ministeryalnych, czynnym był wreszcie jako dekorator, wykonując na zamówienie ozdobne stropy i supraporty w pałacach prywatnych.

Objąwszy katedrę malarstwa dekoracyjnego we Lwowie, nie spoczął Rybkowski na zdobytych wawrzynach, jego na koszt państwa odbył dłuższą podróż artystyczną celem zapoznania się z urządzeniami dla tego działy sztuki zagranicą. Owocem tej wyprawy było wiele oryginalnych zdjęć, przywiezionych z Luwru, z Wersalu i Fontainebleau. Z zakresu sztuki dekoracyjnej zawdzięcza miasto nasze artyście między innymi sześć wielkich płócien dekoracyjnych, (imitacja gobelinów) w sali posiedzeń Dyrekcji kolei państwowych, oraz dwie supraporty większych rozmiarów, przedstawiające myślistwo i sport jazdy konnej w Kasynie Narodowym zaś jedną z najświeższych kompozycji rodzajowych artysty jest »Majówka«, znana ostatnio z wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych i zdobywająca obecnie główną salę w lwowskim Kole Literacko Artystycznym.

Niezwykła rozmaitość dzieł i umiejętna wielostronność w technice malarskiej, czyto olejnej, czy akwarelowej, czy też pastelowej, w jednym artyście złączona, świadczy nie tylko o jego zdolnościach, ale i o nabytej latami pracy wiedzy. Ciche i spokojne zamiłowanie sztuki i piękna w ogólnym zakresie, pietyzm i prawda w wykonywaniu tematów niemal wyłącznie swojskich i ludowych, przedstawiają główną cechę działalności artystycznej oraz talentu Rybkowskiego, od którego i po ćwierćwiekowej, tyle obfitej w owocce pracy spodziewać się możemy dalszych dzieł sztuki a jako od profesora pożytku dla młodzieży, kształczącej się pod jego kierunkiem.

S. P.



TADEUSZ RYBKOWSKI. Jarmark w Bieczu.

M U Z Y K A .

Z popisów. Czerwiec jest u nas raczej miesiącem egzaminów i popisów, niż róż i słowików. Co krok spotykamy anons jakiejś innej szkoły muzycznej, zapowiadającej na ten lub ów dzień, chwilę taką krytyczną. Zajęcie publiczności ożywia się wówczas bardzo, tłumy zbierają się w salach, uczennicom drżą serduszka, nauczyciele i nauczycielki podwajają czuwanie swenadmłodymi adeptami sztuki, — gorąco dochodzi do zenitu. W usiłowaniach tych tkwią jednak niezaprzeczenie same najlepsze intencje, bo przy takich forsownych ruchach jak przygotowanie do popisu, postęp musi być pchnięty naprzód, przytem i publiczność poznaje szkoły muzyczne, którym powierza swe dzieci.

W roku bieżącym do chwili obecnej już wystąpiły z popisami szkoły p. Laureckiej, p. Markowej p. Kościeleckiej i p. Mikulowej. Konserwatorium odbyło doroczny konkurs, p. Henryk Melcer zaprezentował swe uczennice. Pierwsze dwie z wymienionych, przedstawiły się ze wszech miar bardzo korzystnie — pani Laurecka znana jest przecież od szeregu lat z nadzwyczaj »solidnego« prowadzenia młodzieży w muzyce. Podobnie i pani Markowa. Tu znowu, dzięki jej nauczycielskim kwalifikacyom, jakoteż dzięki współpracownictwu wybornego pianisty p. Teodora Pollaka, produkcje przybrały cechę popisową, bardzo okazałą. Uczennice takie jak p. Veltzé lub Bäuml, Siedlecka lub Aszkenazówna, Krzeczunowiczówna lub mała Rosenbuschówna, robią szkole prawdziwy zaszczyt, niemniej odznacza się tu zdolnościami i pracą młody Longchamps.

Konkurs konserwatorium w tym roku niebył zbyt imponujący z powodu niewielkiej liczby konkurujących o nagrodę. Klasa jednakże prof. Kurza zaprezentowała się bardzo korzystnie. Znachodzimy tu uzdolnionego i pełnego temperamentu pianistę p. Zoffala, dystygowaną i muzyczną pianistkę pannę Alicyą Kornównę, oraz dobre dwie uczennice pannę Szuchiewiczównę i Pańkiewiczównę.

Świetnym pod względem udziału publiczności i rezultatów naukowych był popis p. H. Melcera. Znachodzimy tu nietylko talenta niepospolite jak panie: Ottawowa, br. Jokiszówna, Praszillówna, Frankówna. Grottówna, mała Obtulowiczówna i maleńki Horszowski, ale i ogromnie dużo pracy bardzo sumiennej i bardzo energicznej. Wszystkie panie, (dodajemy jeszcze ich nazwiska: Łodzińska, Kleiberówna, Reissówna, Niemiryczówna, Skraszanka, Nawratilówna, Juraiczówna), zasłużyły na pochlebne uznanie. Bronisław Wolfsthal, (syn profesora konserwatorium), wykazał również w grze swojej dużo zdolności, poczucia piękna muzycznego i niemałe postępy. Popis tego pięknego zastępu uczących się, zakończony owacyą na cześć mistrza, dowiódł wspaniale jak ogromną sympatyą cieszy się u nas p. Henryk Melcer. Cóż dziwnego, że przyrzekł tym tak liczny i gorącym zwolennikom swoim powrócić na stałe do Lwowa.

Popis szkoły »Karola Mikulego«, prowadzonej przez panią Mikulową odbywa się jeszcze ciągle, niepodobna więc sprawozdania zeń złożyć.

(K).

Z dziedziny pedagogii. Skromna nasza literatura muzyczna powiększyła się niedawno o jedno pożyteczne dziełko. Oto zmarły dyrektor Tow. muz., pozostawia po sobie pamiątkę drukowaną, a jest nią świeżo wydana »Szkoła gry na harmonium«, nad którą pracował przez dłuższy czas. »Szkoła gry na harmonium« pisana jest głównie dla użytku nauczycieli wiejskich, dla szkółek i zakładów wychowawczych, dla amatorów wreszcie, którzy przystępując do harmonium, nie mają dostatecznej znajomości ani instrumentu tego, ani muzyki w ogólności.

Z tego wychodząc założenia, napisał autor swe dziełko w sposób bardzo prosty i przystępny; podał naprzód opis instrumentu, następnie wyłożył ogólne zasady muzyki, dalej wytłómaczył znaczenie wszystkich wyrazów włoskich, używanych w muzyce, oraz znaków, ozdobników, skrótów i t. p. a w końcu objaśnił układ ręki i palców. Dopiero potem następuje część specjalnie poświęcona instrumentowi samemu: o rejestrowaniu i użyciu ekspresyi. Obfity dodatek nutowy, ułożony progresywnie, zamyka to dziełko, ze wszech miar godne polecenia. Traktowanie przedmiotu nader dokładne, a przytem zwięzłe i jasne, jest najcenniejszą jego zaletą.

Dla wszystkich interesowanych, ważną też będzie uwaga, którą autor czyni w przedmowie, że szkoła ta pisana jest dla harmonium systemu francuskiego; takie bowiem są u nas w kraju najbardziej rozpowszechnione, a znakomita fabryka J. Śliwińskiego we Lwowie wyrabia instrumenty, tylko według tego systemu. Harmonium t. z. francuzkie, uważa autor za instrument doskonalszy od harmonium t. z. amerykańskiego, które mimo pewnych zalet, już dla samego braku rejestru expression, ani w części nie nadaje się do pięknej modulowanej gry tak, jak francuzkie; różnica zaś pomiędzy dwoma tymi systemami jest tego rodzaju, że kto zapozna się wprzód z francuzkim, ten łatwiej poradzi sobie później z amerykańskim, niż postąpiwszy odwrotnie. »Szkoła gry na harmonium« powstała z inicjatywy p. J. Śliwińskiego. Wydał ją nader starannie p. K. S. Jakubowski Jako jedyna polska tego rodzaju praca, (szkoła Rzepki zajmuje się instrumentem systemu amerykańskiego), napisana poważnie i praktycznie, powinna się spotkać wszędzie z przyjęciem jak najlepszem.

Z Warszawy. Za doniosłe niezawodnie wydarzenie w życiu naszym muzycznym z ubiegłego miesiąca -- a może i sezonu -- poczytujemy dwa koncerty filharmonii berlińskiej pod dyrekcją Nikischa. Kiedy przed dwoma laty zawitał był do Warszawy po raz pierwszy, poprzedziła go chlubną nader acz niezupełnie jednomyślna opinia zagranicy, gdyż spotykało się głosy zarzutów przy konkluzyi: »nie dorównuje kolegom i poprzednikom«.

Że grała tu rolę zawiść, *de parti pris* raczej, aniżeli sprawiedliwość, przekonywały dane wtedy koncerty a więcej jeszcze — próby. Całe wzięcie się jego do rzeczy, opracowywanie przezeń programu, sposób w jaki ustosunkowuje czynniki, rozkłada światła i cienie, zmienia w swym ręku orkiestrę do niepoznania i zdumiewające osiąga na oczekaniu rezultaty, — wszystko to świadczyło zarówno o niepospolitej umiejętności, jakoteż o powołaniu jego na dyrygenta, o darze z bożej zaiste łaski.

Orkiestra nasza operowa — a tą dowodził wówczas — chociaż nawykła do dosadności teatralnego stylu, choć niezawsze w równej zadowala mierze, (wskutek przeciążenia pracą, zmęczenia i gdy kieruje nią dłoń mniej doświadczona), dobrą jest bądźco bądź; daje się łatwo prowadzić, podatny więc przedstawia materiał, co nieraz już stwierdzono na jej pochwałę.

Operowej jednak orkiestrze trudno iść w zawody z wyłącznie symfoniczną, zwłaszcza, jeśli nią będzie kapela filharmoniji berlińskiej, jedna z najlepszych i ta, którą Nikisch po za Gewandhausem lipskim dyryguje stale, a z którą przedsiębrał ostatnie *tournee* koncertowe. Zrównoważona wzorowo, karna, liczebnie silna, od pierwszego do ostatniego pulpitu obsadzona przez wirtuozów, w szlachetne i przedziwnie strojne zaopatrzona instrumenty, chwytła ona w lot już nie ruchy ale spojrzenie swego wodza, przeczuwa jego intencje, tak idzie mu na rękę, tyle przejęcia się, zapału duszy, wkłada we wspólną z nim pracę, niesioną na ołtarzu sztuki, że stajemy doprawdy przed ideałem tejże w konkretne wcielonym formy, przed urzeczywistnieniem najśmielszych rojeń i pragnień, zdawało by się nieprawdopodobnych... Z jednej strony bajeczna dokładność w rytmice, cieniowaniu, mistrzostwo techniczne, nieliczące się z żadnymi trudnościami, z drugiej — subtelność, polot, głębia i siła wyrazu. Te ostatnie a nawet potęga i barwność orkiestrowego tonu, są oczywiście wyłączną zasługą Nikischa, który w imię artyzmu a w sposób właściwy, naśladować się niedający, zespala siedmdziesięciu ludzi w taką jedność, iż każdy szczegół — to argument, całość zaś każdego dzieła — to nowe zwycięstwo oryginalnego, nawskróś samodzielnego *credo* dyrektora, to poprostu wzór interpretowania autorów.

Czy Beethoven, Czajkowski był, czy Wagner, Berlioz czy też wrzekomy genjusz nowoczesny — Rysz. Strauss, (zdolny zapewne acz niegłęboki w inwencji, przewagneryzowany i wybujały w karkołomnych efektach instrumentator), — wszędy wykonanie szczytne, niezrównane.

Nie podobna mi zapuszczać się w szczegóły, tembardziej, że daremnie siliło by się pióro na wierny opis, mogąc dać jeno w zarysach ogólnych jakie takie wyobrażenie. Nikisza i armję jego słyszeć trzeba, iżby duszę upoić rozkoszą, skąpać ją w krynicy czystej sztuki i unieść ztąd wspomnienia niezatarte, podniosłe...

Z koncertami temi filharmoniji, zeszedł się początek trzeciej z kolei gościny w Warszawie teatru lwowskiego. Nie byłem świadkiem inau-

guracyi, ile że pierwsze przedstawienia wypełniał »Bal w operze« — tu dzież często dawana w roku zeszłym operetka »Szatani na ziemi«. Wrażenia swe oprzeć mogę jedynie na kilkakrotnem wysłuchaniu nieschodzącego z afiszu »Mikada«, lecz przedtem — przy sposobności — dotknę kwestyi... osobistej, tyle przynajmniej, że dotyczy mego względem operetki lwowskiej stanowiska, które wyświecić tutaj pragnę.

Rozumiem sympatyę dla braci z za kordonu, radość z powodu możności przeprowadzenia z nią mile wieczoru, uprzejmą usłużność ze strony prasy, rozumiem także, iż więcej wolno wymagać od znakomitości niż od siły przeciętnej, wszelako nie pojmuję różnicy przy ocenianiu różnych różnie w wypadku identycznym t. j. stosowania wtedy do jednych wyższej, do innych — niższej czyli względniejszej miary. Wszak miernego nie zowie się dobrem, zaledwie dobrego — niebotycznym, lecz dobrem jest tylko dobre bezwzględnie; to może być dopiero tłem zasadniczem pod deseń wszelkich odcieniów i stopniowań w określeniach bliższych. Gdy zresztą kurtuazya przesadna i traktowanie członków opery lwowskiej wedle skali owej niższej, jakby amatorskiej uwłaczałoby nawet artystycznym ich aspiracyom, nie obwijam prawdy w bawełnę, przekonany nadto, iż pisując w miesięczniku i nieczęsto, nie przynoszę operetce krzywdy, bo przeciwdziałały by jej recenzye, stałe wzmianki i reklama pism codziennych. Zdanie me odbija wobec tego pewną ostrością, jakiej nie masz zazwyczaj u kolegów po piórze, i zjednało mi w sferach interesowanych opinię »nieprzychylnego« lubo podnosiłem nie jedno, co na to zasługiwało, lubo uwzględniłem trudności miejscowych warunków, jak braki z konieczności w aparacie scenicznym albo zła w cyrku akustyka. Wytłómaczywszy się, przystępuję do relacyi w tymże duchu.

Operetka lwowska posiada bezsprzecznie niemałe zalety obok wad nieomal chronicznych, w mniejszym czy większym ujawnionych stopniu. Jeżeli idzie o *Mikada* — nadewszystko jaśnieje w nim sympatyczna i dystygowana postać p. Bohussówny, śpiewającej obecnie artystycznie i cieplej czyli serdeczniej, w grze zyskującej zarazem na wykończeniu. P. Bogucki — ozdoba personalu męskiego — ujmuje zawsze mimo roli drugoplanowej. P. Malawski także przedstawia się teraz korzystniej i jako aktor ruchliwy, mniej sztywny i jako tenor, gdyż głos mu zmężniał, lepiej dźwięczy, znać postęp w frazowaniu a nawet w emisyyi, gładszej i opanowującej niejako manjerę wydymania dźwięków wraz z poruszeniami dolnej wargi i szczęki; jest to — słowem — materiał, który wartoby obrobić w każdym kierunku. Cenimy niemniej artystów tak sumiennych jak p. Kiczman i p. Kasprowiczowa; ona bodaj czy nie większeni cieszy się tu względy, jakkolwiek on powściągliwością swą i zachowywaniem właściwej miary, przewyższa nieraz jej humor specyficznie operetkowy. Dodatnio — o ile z niewybitnych partyj sądzić można — zapowiadają się na przyszłość nieznanne dotychczas pp. Schupówna i Miłowska; żadna nie imponuje co prawda potęgą głosu, ale nie zbywa im na wdzięku, co przy urodzie i dobrem, (u jednej zwłaszcza), aktorstwie jedna im słuchacza i widza. Do rzędu zalet zaliczę

jeszcze pewności i pełne brzmienie chóru, (w żeńskiej szczególnie połowie, lepszej oraz zdobnej w gładkie twarzyczki, bo i to coś znaczy), dobrze idące zespoły, (nb. w pierwszej jeno obsadzie bez debiutantów), tempa charakterowi odpowiednie, tudzież wystawę wcale malowniczą, nie pomijając tańców w ewolucjach jednej bodaj pary przynoszących nareszcie coś nowego. Dbałości repertoarowej niepodkreślam, leży ona bowiem w interesie przedsiębiorcy, a zresztą niewiele do tej chwili dałoby się o niej powiedzieć.

Stereotypowy ton czyli niezmiennie *forte* w śpiewie chóru, szablon w czynności jego scenicznej, orkiestra — mimo, iż nie brak w niej dobrych instrumentalistów — niesubtelna, niestosunkowana, w kwintecie słaba, w dętych bądź hałaśliwa, bądź niestrojna — to znowu strony ujemne w stanie zadawnionym, jaki już nie od dzisiaj domaga się asanacy i naprawy.

Ale nietylko w operetce słyszeliśmy lub słyszemy siły śpiewackie z nad Pełtwi. P. Gabryel Górski bawi tu od dłuższego czasu, brał udział w koncertach Tow. muzycznego i »Lutni«, pozyskały zaś na sezon letni opery naszej, śpiewał z powodzeniem Kostryna w *Goplanie* i Janusza w *Halce* podnosząc głównie partye obie pod względem bizmienia.

Inaczej miała się rzecz z p. Floriani-Zbierzchowską. Gdy wystąpiła była zeszłego roku w *Łucyi*, przyznano jej porządną koloraturę tryl ładny, umiejętność zatem techniczną. Wyjednane na tej podstawie w dyrekecy T. W. debiuty rozpoczęła znów od *Łucyi*, a *Łucya* to jak *klavierstück* Liszta: co słyszysz — węzeł i torsadka, co kilka nut melodyi — szmermel lub ruladka, więc sprawność w nich nad wszystkim innem bierze górę. Na drugi jednak debiut wybrała p. Floriani *Violetę* i... padła z kretesem w partyi trudnej, nie pozwalającej się wytrelić jak szablonowo-bezmyślna *Łucya*, wymagającej wszechstronności śpiewackiej, wdzięku przytem oraz gry skończonej. Mieliśmy rzeczywiście przed sobą grzesznicę — przeciw wymaganiom swym, suchotnicę — bez wdzięku i świeżości w głosie, ależ tak nieuroczą, że *spectrum* niebywałego fiascaносиło się nad widownią od pierwszej już sceny. Trzeci debiut nie przyszedł wobec tego do skutku.

Florjański, również lwowianin, przybył do syreniego grodu i ukazał się naprzód w *Halce* (Jontek). Słyszałem go obecnie raz dopiero, ponieważ jednocześnie z drugim występem jego w *Lohengrinie* odbywał się koncert w Dolinie, pociągający »Switezianką« Noskowskiego uwerturą do opery *Wołodyjowski* Skirmunta oraz grą J. Śliwińskiego.

Na suchej ograniczam się dziś wzmiance, rezerwując sobie uzupełnienie jej w przyszłej korespondencyi.

M. M. Biernacki.



„Metamuzyka Chopina“.

Trudno zaiste o efektowniejszy tytuł odczytu. Wraz z imieniem prelegenta, podziałł on jak niespodziewany wystrzał: publiczność nasza ocknęła się przebudzona, powtórzyła machinalnie słowo »metamuzyka«, które tysiąckrotnem echem rozbiegło się po Lwowie, i zawołała jak jeden mąż — co to?... I zbiegła się do sali ratuszowej, aby oglądnąć Przybyszewskiego i dowiedzieć się co znaczy — metamuzyka. Rozczarowania nie doznała. Słynny modernista ukazał się jej oczom w całym — cieniu nowoczesności: jakiś znikany czy zbolący, z »senną w oku mgłą«, z poza której błyskają słoneczne promienie talentu. Bardzo sympatyczny. Jego głos zaledwie dosłyszalny, ożywiający się małemi crescendo, ale niedochodzący nigdy do forte, brzmiał na tle barwnych obrazów i misternej tkanki słów, niby jakieś andante spianato, improwizowane, przez Chopina...

Wyznam szczerze, że ta piękna, przjrzysta architektonika odczytu, ta jego kwiecistość i wytworna kształtność, daleko lepiej uplastyczyły w umyśle moim duchową postać Chopina, niż sama treść odczytu. Więcej nawet. Metamuzyka w znaczeniu czegoś pierwotnego, prastarego; czegoś, co w spadku po niezliczonych wiekach otrzymaliśmy, wydaje mi się zupełnie niewłaściwie z Chopinem zestawioną. Ludzkość cierpiąca i radowała się od kiedy istnieje; cierpieć i radować się będzie zawsze, bo z tego składa się życie. W ciągu wieków wysubtelizował się jednak wyraz tych uczuć, a Chopin należy właśnie do zjawisk najsubtelniejszych, jakie wydał wiek bieżący. Dlaczego więc wkładać na barki jego, cierpienia owej z przed wieków ludzkości, kiedy czuł on i śpiewał za siebie i za swój wiek; dlaczego pod wytworną tkaninę jego cudownych melodyj kłaść widma przedwiekowych ludzkich postaci, co to niby czuć miały silniej niż my, a ponieważ słów nie było, więc dźwiękiem uczucia swe wyrażały. Czy pewny jest tego wszystkiego szanowny prelegent? Czy mu się naprawdę wydaje, że owe nieartykułowane dźwięki mogły mieć bodaj odrobinę pokrewieństwa z muzyką Chopina?...

Ależ taki szkielet pierwotności, w każdej odnaleść można muzyce. Niema muzyki tak złej, któraby nie odtwarzała pewnych analogij z życiem naszym fizycznym i duchowym. W każdej odnaleść można ją rozpaczy lub wykrzyk radości, ale rzecz to widoczna, że nie chodzi o to, co nią odtwarzamy, tylko *jak* odtwarzamy. Gdyby Chopin był tylko człowiekiem silnie czującym a nie artystą i w dodatku muzykiem o słuchu najdelikatniej wykształconym, nie byłby sobą. Zachowajmy w nim ową żywołową tylko siłę, ową metamuzykę, a odtrąćmy to co jest wyrazem chwili współczesnej i kwiatem cywilizacji, to niebędziemy mieli Chopina. Cóż się stanie z jego formą tak niby swobodną a przecież tak zawsze zachowywaną (wszędzie, nawet w sonacie B-moll. i w Polonezie fis-moll); coż się stanie z dwudzielnymi rytmami (czyteż »praludzie« mieli o nich jakie pojęcie?); albo z czarującemi jego

harmonjami, (sądzę, że metadźwięki mogły się tylko poruszać w zakresie jednogłosowości, lub co najwięcej bujały w przestrzeniach jako alikwoty); cóż wreszcie z całym zastępem pasaży, ozdób i melizmatów, szeleszczących jak koronki hrabianek i księżniczek, woniejących jak uperfumowana atmosfera salonów paryskich. Ach nie, w żaden sposób niemożę pogodzić tego pierwotnego człowieka z tym naszym Chopinem.

Jak mi opowiadali znajomi moi muzycyści, p. Przybyszewski sam grywa Chopina. Niemając dostatecznej techniki grywa nawet najtrudniejsze jego utwory. Jakże to robi? Odrzuca poprostu to, co mu jest niewygodne, za trudne, zbyt wirtuozowskie; a zatrzymuje, co mu dogadza. Wydobywa więc widocznie tylko metę i muzykę, zostawiając muzykę pogardzonej kście wirtuozów. Ale ten sposób, chociaż ma w sobie jak się wyrażają »nastój«, obok całej oryginalności niezupełnie musi być przyjemny: padają tony fałszywe, pasaże niedograne, zmiany dowolne w takcie etc. etc.

Nie weźmie mi za złe zapewne szanowny prelegent, że powtarzam, co słyszałem o jego grze produkowanej w salonach prywatnych a zatem wyjętej z pod krytyki. Ale do utworzenia zupełnego pojęcia o tem, co on rozumie przez metamuzykę, wydało mi się to ważnym bardzo dodatkiem, zwłaszcza, że w odczycie potrafił o wirtuozów, którzy, jak się wyraził, bardzo często psują Chopina. Otóż za wirtuozami ująć się muszę. Naprzód, takich «fortepianowych huzarów» dziś już bardzo niewiele; a następnie, zastanówmy się tylko, kto popsuje Chopina więcej: czy ten, co zasłuchany w metamuzykę jego, zdepeze preczyste jej kształty; czy ten co odtwarzając wiernie muzykę, z pasją odrobinę mniej dziką, jęknie akordem; lub z swobodą nieco mniej pierwotną obejdzie się z taktem. Co myśli o tem sz. prelegent?... Mniejsza zresztą o to, co myśli który z nas — pytajmy siebie, coby powiedział Chopin gdyby to słyszał; ów Chopin, co to przy całej swej dystynkcyi nie wahał się po akordzie zbyt twardo uderzonym zapytywać pannę: czy to pies szczełnął? a z Mayerberem na serjo się poróżnił o kwestyę taktu... Otóż Chopin oświadczyłby się z pewnością za wykonaniem wirtuozowskiem; a co do metamuzyki, to zapewne ruszyłby tylko ramionami. Za jego czasów o »prabycie« nie mówiło się całkiem, a jeżeliby metamuzykę należało rozumieć w znaczeniu muzyki wyższej nad inne, to zawsze był jeszcze na to doskonały wyraz: muzyka natchniona, w przeciwstawieniu do muzyki robionej. I nie inaczej my to dziś rozumiemy; wobec czego, wyraz metamuzyka jakkolwiek nowy i efektowny, okazuje się najzupełniej zbytecznym.

Jedna rzecz w odczycie ujęłaby przecież i Chopina niezawodnie tak, jak wszystkich słuchaczy ujęła. Przybyszewski mówił o nim z taką niekłamną, gorącą miłością, tak ślicznie i wymownie opisywał pole nasze i łąki, bagna i lasy pełne kwiecia, tak szczerze a tak słusznie nazwał go miljonem; że odczyt jego stał się poematem na cześć mistrza tonów, muzyką samą nawet, jak to już na początku powiedziałem. A już za to samo uwielbienie, możemy mu przebaczyć ów zbyt hałaśliwy wystrzał z metamuzyką.

St. Niewiadomski.

TEATR.



Występy gościnne Ładnowskiego. Po siedmioletniej nieobecności w grodzie, który go tak bardzo ukochał, zawitał znowu do Lwowa Bolesław Ładnowski, artysta i reżyser teatrów rządowych w Warszawie. Artysta to znakomity, jeden z głównych przedstawicieli i największych filarów epoki romantycznej na scenie polskiej, który mimo kilku długich dziesiątków lat ciężkiej i zmudnej pracy, szarpiącej i niszczącej niezwykle, dziś jeszcze świeci pełnym blaskiem, dziś jeszcze zachwyca liczne rzesze stałych swoich wielbicieli.

Na teatr warszawski zwraca zawsze nasze społeczeństwo baczną uwagę; nieobce też nam są zasługi i tryumfy p. Ładnowskiego w dawnej stolicy Polski. Starsze pokolenie pamięta również jego działalność tu nad Pełnią i w Krakowie u stóp Wawelu, młodszym atoli nie zawadzi przypomnieć je w obecnej chwili, w zwięzłej choćby notatce.

Przed paru miesiącami siostra Ładnowskiego, zasłużona artystka Wolska, święciła w Krakowie czterdziestoletni jubileusz pracy scenicznej. By chwilę tę uświetnić, przybywa z Warszawy brat jej Bolesław, z czego korzystając znakomity znawca teatru polskiego, p. Karol Estreicher, umieszcza w *Czasie* gorące wspomnienie, poświęcone Ładnowskiemu i Wolskiej, z którego przytaczamy najważniejsze ustępy.

Któż go nie zna? — słowa Estreichera. — Kto nie wie o jego osobliwym darze tworzenia charakterów. Czem dzisiaj jest, każdy wie — jak do tego doszedł, nie każdemu wiadomo. Ujrzał świat 21. grudnia 1842 roku, a choć rósł w atmosferze scenicznej, nie myślał zrazu, iż będzie wielkim artystą. Płock, jego kolebka, a wychowanie jego we Lwowie u Dominikanów. — Dokończył nauk na technice krakowskiej.

Bujał młodzieniec w Tarnowie na wakacjach, gdy zawitał Pfeifer z kompanią krakowską. — Spróbował w *Krakowiakach* i *Góralach* roli pastucha. Władza szkolna zganiła jego postępek. On sam wstydził się tego, bo marzył o czemś wyższem. — Marzył o tem, by poświęcić się służbie w artylerii i używać sławy strategika. Lecz niedoszły Napoleon, jak go koledzy przezywali, znów doczekał się przybycia trupy Gubarzewskiego do Tarnowa i znów zaszła potrzeba statystować na scenie, jako opryszek, Krakowiak lub oficer. Przemogła żyłka familijna. Puścił się do Krakowa i wystąpił jako Edwin w *Odludkach*. Dostało mu się za to w recenzji Chrzanowskiego, który dziwił się, jak można takiemu dzieciakowi powierzać tak wybitną rolę.

Pierwsze lody były przełamane. Wyjechał z rodzicami do Warszawy, a ztamtąd do Płocka, gdzie ojciec jego uformował Towarzystwo i grał od dnia 21. listopada 1860 roku.

W trupie tej był nasz sympatyczny wielce gość i aktorem i administratorem. Finanse drużyny miał prowadzić świetnie. Pełną krasą świeciła tu Ładnowska; wytwornym kochankiem nazywano Ortyńskiego; młodziutki Bolesław umiał wprowadzić bardzo mało jeszcze, radził atoli sobie jakąś wprawę sceniczną i ujmował zarazem widzów wdzięczną postawą. Po kilku miesiącach spotkał kompanię los zwyczajny trup prowincjonalnych. Artyści rozbiegli się po świecie, Ładnowski *senior* osiada chwilowo w Krakowie, *junior* rozpoczyna praktykę geometry w okolicy Tykocina i bakałarzuje w powołanej przez siebie do życia szkółce ludowej. Stan podobny nie mógł atoli trwać długo; wrodzona żyłka pokona wszelkie zapory i przeszkody i doprowadzi Ładnowskiego tam, dokąd oddawna zmierzał.

Wezwany w 1862 r. przez ojca do Czerniowiec, grzęźnie imć pan Bolesław po drodze za kulisami sceny warszawskiej, gdzie występuje w *Ślu'ach parięnskich* w roli Albina. Zdaniem p. Estreichera, jeden tylko pułkownik Hauke poznał się na zdolnościach młodego artysty i zaangażował go od pierwszego września wspomnianego wyżej roku na stałe do teatru stołecznego. Teraz rozpoczęła się dla Ładnowskiego epoka ciężkich rozczarowań i przykrości. Reżyserya każe mu grywać postacie komiczne — wszak jego ojciec był komikiem! — koledzy głoszą znowu, że ten młody zarozumialec nie posiada żadnych zdolności. Tak trwało długich trzydzieści sześć miesięcy, po upływie których p. Bolesław ucieka do Krakowa, gdzie Stanisław Koźmian zwrócił na niego uwagę Skorupki, doradzając młodziutkiego adepta sztuki zaprawiać w rolach wybitniejszych. Koźmian posiadał dziwny dar poznawania się na wartości początkujących artystów, tym razem nie spotkał go również nieoczekiwany przezeń zawód: Ładnowski wstydu mu nie przyniósł.

Lata 1865 — 1872 to najlepsza szkoła artystyczna dla późniejszego sławnego tragika. Obok ról, uczył się on po niemiecku i angielsku i studyował sztukę teoretycznie. Repertoar miał niesłychanie obfity. Dostarczali mu materyału: Goethe, Szekspir, Szyller, Kalderon, Sardou, Hugo i ogrom oryginalnych autorów. Zasłynął jako Otello, zarówno jak i kelner w *Piosnce wujaszka*. Te sprzeczności ról były próbierzem razem i szkołą. Rozmaitość gry, wyrobiła go na doskonałego aktora. Takim już był, gdy popisywał się w Poznaniu, takim też pozostał, gdy w r. 1872 przeniósł się do Lwowa. — Warszawa tłumiała wielki talent, Kraków ten talent wy dobył na jaśnią. To nie na jednym Ładnowskim przykład.

Rok 1872 zainaugurował w teatrze lwowskim nową, świetną, niestety krótkotrwałą tylko epokę. Po wielu rozmaitych przejściach obejmuje kierownictwo sceny spółka akcyjna, powstała z Towarzystwa Przyjaciół Sceny. Przewodniczy komitetowi Waleryan Podlewski, sekretarzuje Aureli Urbański, główną artystyczną podporą drużyny jest Bolesław Ładnowski, któremu Lwów zawdzięcza wprowadzenie na deski teatralne:

Otella, Hamleta, Ryszarda III., Zbójców, Lekarza swego honoru, Konfederatów barskich, Beatrix Cenci, Księżny Jerzowej i całego szeregu innych utworów swojskich i obcych. Ładnowski zdobywa z każdym dniem niemal coraz większą sławę i uznanie; coraz częściej spotyka się z mianem pierwszego tragika polskiego. Chwilowa atoli, jaśniejsza epoka w dziejach naszego teatru zaciemniać się zaczyna. Nie pora tutaj i nie miejsce dochodzić, co tego niepowodzenia było właściwą przyczyną; notuję więc tylko, że w połowie października 1881 r. zjawia się Ładnowski via Kraków ponownie w Warszawie i nie opuszcza jej udając się chyba tylko na gościnne występy do Krakowa lub Lwowa, gdzie zawsze pewny być może najgorętszego przyjęcia. Tak było przed siedmiu laty, tak jest i dzisiaj. Znowu ujrzelśmy naszego ulubieńca, owiewającego prawdziwym czarem poezyi namiętną postać Otella; wyposażającego z istic księżęcą hojnością królewicza Hamleta we wszelkie skarby swojej wielkiej rutyny i znakomitego talentu; zmuszającego widzów do szczerego oklaskiwania malarza Wilhelma w *Końcu Sodomy*, Nowowiejskiego w *Przed ślubem*, Franciszka Moora w *Zbójcach* i t. d. i t. d. Słowem zawitał do nas ten sam niespożyty Ładnowski, którego przed siedmiu laty żegnaliśmy słowami: do rychłego zobaczenia!

Dla licznej rzeszy artystycznej jest Ładnowski najlepszym przykładem, jak sztuce polskiej służyć należy.

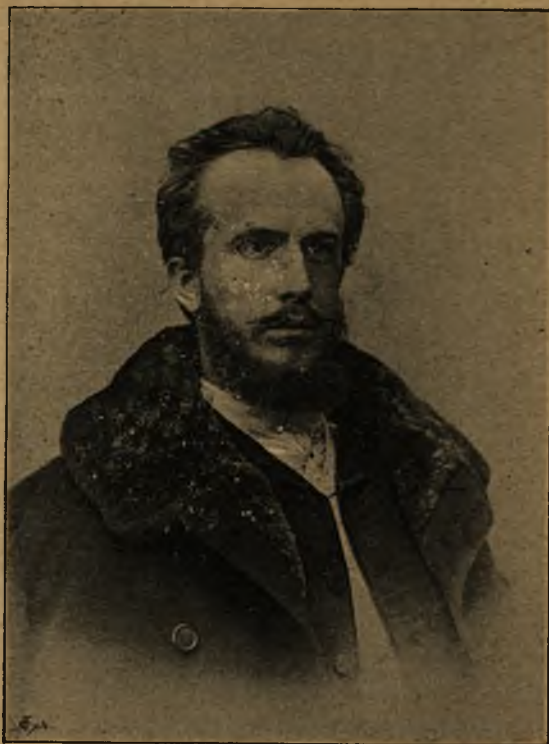
Michał Rella.

Dar pana Tadeusza Pawlikowskiego. Wiadomo już z kronikarskich doniesień, iż p. Tadeusz Pawlikowski, dyrektor krakowskiego teatru miejskiego, oświadczył gotowość obdarowania pod pewnymi warunkami nowego teatru lwowskiego dekoracyami i kostyumami, przedstawiającemi wartość około 30.000 zlr. Warunki te rozmaicie w dziennikach przedstawiono, a jedno nawet z pism krakowskich, występujące zawsze nieprzychylnie wobec p. Pawlikowskiego, uwarunkowanie tego daru nazwało rodzajem presyi na miasto Lwów celem wydzierżawienia p. Pawlikowskiemu nowego, lwowskiego teatru miejskiego. Wobec tego uważamy za stosowne podanie na tem miejscu autentycznego tekstu listu p. Pawlikowskiego, noszącego datę: Kraków, dnia 19. maja 1899 r. a wystosowanego do mecenasa dra Aleksandra Marjańskiego jako sprawozdawcy miejskiej komisji teatralnej. Pismo to opiewa, jak następuje:

»Szanowny Panie Mecenasie!

»Jako referentowi spraw, dotyczących teatru w świetnej Radzie m. Lwowa, mam zaszczyt zakomunikować Szanownemu Panu co następuje: »Niebawem upływa mój sześćioletni okres dzierżawy teatru miejskiego w Krakowie. Oferty na dalsze sześćoecie nie złożyłem, a tem samem przedsiębiorstwo to przechodzi w inne ręce. Nie mając zamiaru na przyszłość ani tu, ani w innem mieście przedsiębiorstwa takiego wykonywać, jestem w możności oddać pewne usługi artystyczne jednej z instytucji teatralnych naszego kraju. A mianowicie jestem w posiadaniu pięknego inwentarza teatralnego, (przeważnie dział

kostyumowy), przedstawiającego wartość 30.000 zł. Gdy układ stosunków nie pozwala mi inwentarzem tym teatru krakowskiego wzbogacić, gotów jestem uczynić to dla powstającej i tak wielkie rokującej nadzieje sceny narodowej we Lwowie bez żadnego ze strony gminy stołecznego



TADEUSZ PAWLIKOWSKI.

miasta Lwowa wynagrodzenia, jednakże jedynie w dwóch poniżej wymienionych wypadkach:

1. Jeżeli miasto lub kraj obejmuje teatr w zarząd własny.
2. Jeżeli zarząd teatru powierzony zostanie spółce obywatelskiej, lub konsorcjum, które przyjmie zasadę zrzeczenia się z dzierżawy teatru zysków i powierzy kontrolę nad tem władzy miejskiej, czy krajowej, zabezpieczając przez to pierwszą scenę narodową od spekulacji.

Upoważniam niniejszem Szanownego Pana mecenasa do złożenia powyższego oświadczenia Jaśnie Wielmożnemu Prezydentowi stołecznego miasta Lwowa, a względnie świetnej Radzie miasta, a pisząc się szczerze obowiązany za łaskawe podjęcie trudu powyższego pośrednictwa, pozostaję z wysokim szacunkiem powolny sługa. »Tadeusz Pawlikowski«.

L I T E R A T U R A .

Kronika Uniwersytetu Lwowskiego. I. (1894/5—1897/8). — Lwów. — Nakładem Senatu Akademickiego c. k. Uniwersytetu Lwowskiego. 1899.

Kronika niniejsza, wydawana na wzór takichże publikacji innych uniwersytetów, jest dopełnieniem »Historji Uniwersytetu Lwowskiego«, napisanej przez profesorów Ludwika Finkla i Stanisława Starzyńskiego a wydanej w roku 1894. Bliskość czasu, do którego odnosi się kronika i spowodowany nią brak perspektywy w poglądzie na ostatnie wypadki niewielkiego zresztą okresu stały się przyczyną, dla której redaktorowie »Kroniki« dr. Ludwik Finkel i dr. Marceli Chlamtacz, poprzestali na chronologicznem zestawieniu najważniejszych zdarzeń lat ubiegłych oraz na bibliograficznych spisach prac naukowych Członków Uniwersytetu. Cyfry i daty, zawarte w omawianem dziele, tworzą w każdym razie bogaty materiał dla przyszłego historyka lwowskiej Almae Matris i obejmują czas od września 1894 roku po koniec roku szkolnego 1897—8 Prócz przeglądu najważniejszych zdarzeń w tym czasokresie, znajdujemy w »Kronice« kronikę wydziałów, wiadomości o Bibliotece Uniwersyteckiej tudzież o nowopowstałym Zakładzie fizycznym wreszcie wykazy statystyczne. Całość książki zamyka odczyt dra Władysława Gluzińskiego, wygłoszony podczas rozpoczęcia roku szkolnego 1897/8.

Ustawa prasowa z wszystkimi odnoszącymi się do niej ustawami i rozporządzeniami. — Przekład dra Ignacego Suessera. — Złoczów. W. Zukerkandel. 1899.

Dr. Ignacy Suesser w nowem wydaniu ustawy prasowej z roku 1862 n'etyko uwzględnił wszelkie odnoszące się do niej rozporządzenia, lecz nadto w zbiorcu swym zamieścił takie ustawę o prawie autorskiem co do dzieł literatury, sztuki i fotografii z roku 1895 wraz z odnosnym rozporządzeniem wykonawczem wraz z orzeczeniami Sądu najwyższego tudzież z motywami ustawowymi. W tłumaczeniu ustaw obok usiłowania o najściślejsze oddanie tekstu oryginalnego starał się dr. Suesser o poprawność językową, unikając wszelkich dziwolągów, w jakie prawniczy język galicyjski obfituje. Skorowidz alfabetyczny, umieszczony na końcu książki, umożliwia orientowanie się w niej kołom interesowanym, nieprawnikom z zawodu, jako dziennikarzom, literatom i artystom.

Obrazy i Studya historyczne, skreślone przez Maryana Dubieckiego. — Serya II. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolfa 1899.

Na treść wcale urozmaiconą »Obrazów« złożyło się siedm monografi historycznych pióra zasłużonego w dziedzinie narodowego dziejopisarstwa autora. Kolejno więc słyszmy o handlowej osadzie genueńskiej, Kaffie, która w ostatnim trzynastoleciu swego istnienia, (1462—1472), pozostawała pod protektoratem polskim a i po zaborze przez Turczyńa kościelne z Rzeczpospolitą utrzymywała stosunki. Dowiadujemy się następnie o przemożnym wpływie polskości na Sycy zaporoskiej za czasów jej największej świetności i o wewnętrznej organizacji Zaporozza pod względem społeczno-wojskowym. Staje też przed nami poetyczna postać ostatniego kresowego rycerza, Mohorta, przedstawiona w świetle późniejszych badań historycznych a w »Dwóch królowych« zastawia p. Dubiecki w sposób wielce zajmujący i znamieny zarazem Elżbietę Rakuszanę, żonę Kazimierza Jagiellończyka, energiczną a roztropną matkę królów, z smętną Heleną, żoną króla Aleksandra a córką wielkiego księcia moskiewskiego, Iwana Wasilewicza. Pierwsza, jak to słusznie nasz autor zauważył, wniosła do społeczeństwa przybranej swej ojczyzny pierwiastek dodatni, wpływy zbawienne, druga nic mu innego dać n'ie mogła, krom łez własnych... Nie mniej ciekawę szczegóły przynosi zarys historyczny p. t. Przedstawicielki dawnych dynastji, w którym spotykamy się z Barbarą Zapolską, pierwszą żoną Zygmunta Staroego i z królowną szwedzką Anną Wazówną, siostrą Zy-

gmunta III., zgasła samotnie na zamku brodnickim. Obie te kobiety, przedstawicielki starych rodów, otaczała u wstępu w świat aureola najświetniejszych nadziei, lecz obie też życie oderało aż nadto może skwapliwie z wszelkiego blasku szczęścia i spokoju. Sporych rozmiarów książkę zamyka opowieść historyczna p. t. Katarzyna Jagiellonka. królowa szwedzka. Osnową jej tragiczne losy córki Jagiellonów, której upsalski grobowiec zdobią oddawna szatą poezji skandynawskie sagi, podczas gdy u nas postać bohaterkiej księżny w błądych jeno zarzowuje się wspomnieniach.

»Obrazy: posiadają zwykłe zalety prac historycznych autora »Karoia Prozora«. Znamionują je przede wszystkim: umiejętne wyzyskiwanie źródeł dziejowych oraz styl piękny, potoczny, pełen malowniczych zwrotów i poetycznych porównań. S. P.

Lutimir Bolesławicki: Wobec wznowienia kwestyi polskiej. Kraków 1899. Nakładem autora.

Chwila wstąpienia Mikołaja II. na tron władców olbrzymiego północno-wschodniego imperyum zdawała się wróżyć początek jakiejś nowej epoki. Z ust do ust podawano sobie wieści, niewiadomo gdzie powstałe; czytano między wierszami rzeczy bardzo wiele; z drobnych złudnych faktów i fakoików budowano błyskotliwe pałace i zamki, które lada silniejszy powiew zmiata bez śladu. Ceniony warszawski publicysta ulega również temu powiewowi i postanawia wobec chwilowo złagodzonej cenzury raz jeszcze przestudyować kwestyę polsko-rosyjską, by następnie zdobycze swoje ogłosić drukiem. Nie dopłynął jednak niestety do połowy swej ciekawej pracy, a już przytłumiona na bardzo krótko reakcyja, zapanowała wszechwładnie na całej linii. To, co przedwczoraj jeszcze nie grzeszyłoby prze- i w lojalności, dzisiaj ściągnęłoby na autora gromy, zmienia więc projekt pierwotny, ukrywając się pod puklerzem pseudonimu. Książka to bardzo ciekawa i bez wrażenia przeminąć nie powinna. Różnica zdań, odmienny pogląd na wyprowadzane przez p. Bolesławickiego wnioski i stawiane przezeń hipotezy, wywoła poważną polemikę, a to jeno sprawę pogłębi i oświeci wszechstronnie, na czem czytający inteligentny ogół zyska niemało. Po obszernym wstępie, kreślącym zwięźle i jasno przebieg kwestyi polsko-rosyjskiej od dnia rozbioru po dobę dzisiejszą, następują rozdziały: Legiony, Napoleon i Mickiewicz; W Królestwie konstytucyjnym; Trzy epoki; Sprawa polska wobec polityki pruskiej i rosyjskiej; Jaka jest wielka polityka; Stronictwo lojalne w Galicyi i Królestwie; Szlachta rosyjska; Polityka rozwoju; Lojalni; Publicyści polityczni; Dwa społeczeństwa; Instykt historyczny; Dwa pomniki, (Mickiewicza i Murawiewa); Na krawędzi stulecia; Polacy i Słowiańszczyzna; Zakończenie. Na 307 stronicach autor omawia rzecz całą bardzo obszernie i możliwie wyczerpująco. Takie na przykład ustępy, jak sylwetki Adama Czartoryskiego i Wielopolskiego lub najwybitniejszych publicystów ugodowych i Pobiedonoscewa; przeprowadzenie różnicy między Mickiewiczem a Murawiewem lub między partya lojalną, galicyjską a mogącym powstać, podobnym stronictwem w Królestwie polskim itd. są prawdziwie interesujące. Ocena ruchów narodowych trzeźwa i bezstronna; szlachty rosyjskiej i rozwielenionej biurokracyi urzędniczej w Rosyji — kapitalna. To są zalety. Wad książce omawianej również nie braknie; razi chociażby częste powtarzanie się autora, drobnostka to jednak wobec wartości studyum p. Bolesławickiego. *Mre.*

Dr. Stanisław Kłobukowski: Wspomnienie z podróży po Brazylii, Argentynie, Paragwaju, Patagonii i Ziemi Ognistej. Lwów. — Nakładem Gazety Handlowo-Geograficznej. 1899.

»Wspomnienia« nie posiadają żadnych pretensyi do miana literackiego utworu. Są to raczej kreślone na kolanie notatki, zawierające spostrzeżenia autora, zaobserwowane podczas jego podróży po Stanach brazylijskich: Parana St. Catharina i Rio Grande do Sul, odbytych w latach 1895—1896. Dr. Kłobukowski nie sili się na malowniczość opisów; styl jego miejscami grzeszy prowincjonalizmami, ale mimoto praca jego posiada poważne znaczenie jako rezultat sumiennych, naoecznych badań autora, który trzeźwo a przedmiotowo opisuje stosunki kolonizacyjne w »Nowej Polsce« —jak zwią cudzoziemcy za-

ludnione przez naszych wychodźców okolice Brazylii. Wyprawiony przez Polskie Towarzystwo Handlowo-Geograficzne za ocean, starał się dr. Kłobukowski poznać jak najdokładniej rozsiane na olbrzymiej a bezdrożnej przestrzeni osady polskie przyczem pilną zwracał uwagę na przyrodzone warunki ich rozwoju, nie zapominając obok potrzeb ekonomicznych także o moralnych aspiracjach naszego wychodźstwa pod względem wyznaniowym i politycznym. Dał nam więc obraz zupełny Poloni brazylijskiej, choć me wolny tu i ówdzie od barw ponurych.

Jan Narkiewicz-Jodko: Ze Wschodu. — Warszawa. — Gebethner i Wolff. 1899

Autor, widocznie turysta dla przyjemności, spisuje podróżnicze swe relacje dorywczo, nieco bezładnie, przeplata opowiadanie przydłuższymi niekiedy refleksjami, mimo to jednak dzienniczek jego czyta się z przyjemnością od początku do końca. Jaffa, Beyruth, Tripoli, Smyrna i Stambuł tworzą etapy wschodniej wycieczki p. Narkiewicza-Jodki a o każdej z tych miejscowości, nie siląc się bynajmniej na oryginalność obserwacji, zdołał on powiedzieć coś nowego, interesującego. Wśród udatnych ilustracji Maszyńskiego, zdobiących wykwitną edycję książki, uwagę zwraca reprodukcja mauzoleum generała Ludwika Hr. Paca, ostatniego potomka po mieczu starożytnego owego rodu. Pomnik ten marmurowy, dzieło Oleszczyńskiego, znajduje się w Smyrnie w podwórku kościoła św. Polikarpa, osłoniętem z wszech stron domami.

Marya Rodziewiczówna: Kądziel, powieść. — Warszawa. — Gebethner i Wolff. 1899.

„Niema małych prac, są tylko marni pracownicy. Żeby kobiety zrozumiały, jak źle spełniają swe obowiązki, żeby zrozumiały, jak wielkie są i trudne, wtedy dopiero byłyby emancypowane... W tem powiedzeniu przeszcza się tendencya »kądzieli«, napisanej przez znakomitą autorkę z tą znajomością życia i charakterów, jakie znamionują wszystkie jej utwory powieściowe. Rodziewiczówna nie zwykła zakreślać szerokich ram dla fabuły swych powieści. Przeciwnie, rozgrywa się ona zazwyczaj w wiejskiem ustroju, wśród gromadki ludzi przeciętnej miary moralnej, pod wpływem zwykłych kolei życiowych. A jednak z materiału, pozornie tak mało urozmaiconego, wydobywa pióro sympatycznej powieściopisarki całe bogactwo efektów tem silniejszych ileżte prostych, naturalnych, usprawiedliwionych najzupełniej sytuacją. »Kądziel« czyta się z rosnącym ciągle zajęciem od początku do końca a jeżeli choć jedna myśl zdrowa i poczciwa, w książce tej zawarta, utkwi w pamięci czytelniczki, trud autorki płonnym zaiste nie będzie.

Ludomił German: »Gdzie szczęście?«. Komedia w czterech aktach.; »H. K. T.«. Dramat w czterech aktach. Lwów 1899. Nakład K. S. Jakubowskiego.

Pamiętam doskonale, jakie wrażenie wywołał debiut dr. L. Germana w roli pisarza dramatycznego. Był on bodaj nawet dla bliższych jego znajomych prawdziwą niespodzianką, z początku więc wierzyć nie chcieli, że sztuka bezimiennie na scenę rzucona, wyszła z pod pióra radcy szkolnego. Puszczone wersje okazały się prawdziwemi, a poważna krytyka, wytknąwszy komedii p. Germana pewne drobne wady, przyznała mu równocześnie talent, dobrą obserwację i nerw sceniczny, co na początek znaczy już bardzo wiele. Wprawdzie razły w niej przydługie nieco dyalogi, jest to atoli choroba wspólna wszystkim sztukom tendencyjnym, a do takich należy właśnie »Gdzie szczęście«.

Dramat »H. K. T.«, odczytany w »Kole Literacko-Artystycznym«, a następnie odegrany na scenie, wykazał znaczny postęp. Widocznem było, że autor poznał lepiej kulisy i doświadczenie to z użytkował w najnowszym swem dziele. Rozwiązanie atoli dramatu wywołało sądy różnorodne, wolelibyśmy bowiem, żeby w Poznańskim Polak ratował Polaka od ruiny i upadku; u p. Germana czyni to Niemiec, przeciwnik wprawdzie wstrętnego stronnicstwa *Hakatystów*, ale zawsze Niemiec. Obie sztuki zastrzyżyły w zupełności na ogłoszenie drukiem, i w czytaniu bowiem zająć na serwo potrafię. Oczekujemy z niecierpliwością dalszego ich ciągu. Zadatek dobrze wróży o przyszłości.

R.

Stefan Kempner : »Przełom«. Dramat w trzech aktach. Lwów 1899.

Wpływ najnowszej literatury dramatycznej, lubującej się w wyborze tematów, częstokroć tylko niesmak i obrzydzenie wzbudzających, odbił się aż nadto wyraźnie na trzyaktowym dramacie p. Kempnera. Różnica atoli między nim a wspomnianymi dziełami pisarzy obcych znaczna: za tamtymi przemawia bodaj talent, bardzo poważny, czem dramat p. Kempnera pochwalić się nie może, gdyż nie ma do tego prawa. Widzimy tedy na scenie jakiegoś starego, wstrętnego barona i jego faworytę; obok tej pary gołąbków zjawia się rosyjski hrabia, posiadający również skarb tego samego rodzaju, a zacy ten tryumwirat dopełnia polaczek, ojciec jednej z wesołych dziewcz, tolerujący to wszystko, urządzający w swym domu schadzki, że już nie wspominam o czemś gorszem. Prawda, że wesoła kompania i zajmujący, sympatyczny temat! Scenicznym warunków »Przełom« nie posiada żadnych, nieprędko więc chyba ujrzy światło kinkietów teatralnych. Na zakończenie dodam, że dramat swój poświęcił autor p a n n i e! Ja na jej miejscu nie byłbym mu za to wdzięczny.

le.

Z Koła Literacko-Artystycznego.

W dniu 19. czerwca r. b. wieczorem liczne grono osób z świata artystyczno-literackiego tudzież miłośników teatru podejmowało w »Kole« ucztę znakomitego artystę p. Bolesława Ładnowskiego, g. szcżącego chwilowo w teatrze skarbkowskim. Do stołu zasiadło przeszło pięćdziesiąt osób. Szereg toastów rozpoczął wiceprezes »Koła«, rektor dr. August Balasits, który w wymownych słowach podniósł znaczenie sympatycznego gościa dla sztuki narodowej. W tym samym duchu przemówił redaktor Platon Kostecki W dalszym ciągu ucztę toastowali: reżyser dramatu Adolf Walewski, mecenas dr. Solański i artysta-malarz Tadeusz Rybkowski. W końcu ks. kanonik Jan. Mardyrosiewicz wznosił staropolskie: Kochajmy się! Na wszystkie przemówienia odpowiadał serdecznie p. Ładnowski. Bankiet wśród pogawędki przeciągnął się do świtu.

Kronika żałobna.

Zygmunt Radziszewski. Dnia 18. czerwca 1899 r. rozstał się z tym światem młody bo zaledwie 24 letni adept sztuki muzycznej, syn profesora uniwersytetu Dra Br. Radziszewskiego. Kształcił się tu we Lwowie od lat kilku w muzyce, pobierając naukę fortepianu od H. Melcera, a naukę kompozycyi u St. Niewiadomskiego, porzuciwszy poprzednio dla sztuki zawód techniczny, pierwotnie mu przeznaczony. Niezwykła inteligencya i niepospolite zalety umysłu i serca, jakie posiadał śp. Zygmunt Radziszewski, rokowały mu ładną przyszłość na polu, któremu poświęcał się z gorącym zamiłowaniem. Jako teoretyk zwłaszcza i krytyk, mógł był sztuce naszej niemałe oddać usługi, w tym bowiem kierunku posiadał najwybitniejsze zdolności. Dłuższy pobyt zagranicą, ułożony już szczegółowo, miał być dopełnieniem technicznego i estetycznego wykształcenia młodego muzyka; na kilka dni jednak przed wyjazdem do Lipska, zostały zniweczone wszystkie plany i nadzieje, jakie i w nim pokładała rodzina i otoczenie. Śmierć nagła, spowodowana prawdopodobnie ciężkim jakimś, moralnym ciosem, wyrwała go na zawsze z tego grona, pogrążając je w smutku i w żałobie.

Odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnür-Peplowski.



C. k. uprzyw. galicyjski akcyjny
BANK HIPOTECZNY.

Oddział depozytowy

przyjmuje wkładki i wypłaca zaliczki na rachunek bieżący, przyjmuje do przechowania papiery wartościowe i udziela na takowe zaliczki.

Nadto zaprowadzono na wzór instytucyi zagranicznych tak zwane

Depozyta schowkowe

(Safe Deposits)

Za opłatą 25 do 35 zł. a. w. rocznie, depozytaryusz otrzymuje w stalowej kasie pancernej schowek do wyłącznego użytku i pod własnym kluczem, gdzie **bezpiecznie a dyskretnie** przechowywać można swoje mienie lub ważne dokumenty.

W tym kierunku poczynił Bank Hipoteczny jak najdalej idące zarządzenia.

Przepisy odnoszące się do tego rodzaju depozytów otrzymać można bezpłatnie w oddziale depozytowym.

Kantor wymiany

C. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO

kupuje i sprzedaje

**wszelkie papiery wartościowe
i monety**

po najdokładniejszym kursie dziennym,

nie licząc żadnej prowizyi.

☼
BROWAR JANA GÖTZA
☼
w Okocimie

założony w roku 1845.

PIWO JASNE, EXPORTOWE



PIWO JASNE, MARCOWE



PIWO CZARNE, BOK



Składy i zastępstwa
we wszystkich większych miastach
i w propinacyach.

STACJA KLIMATYCZNA, położona w uroczej miejscowości,
w bliskości Lwowa, wśród rozległych
lasów nad stawem 800 morgowym.

JANÓW

Hotel z komfortem urządzony, w wil-
lach obok hotelu różne pomieszczenia,
łazienki stawowe, łożnie wiosłowe
i żaglowe. Lekarz, apteka, urząd telegraficzny i pocztowy w miejscu.
Czytelnia, fortepian, bilard, kręgielnia, gry towarzyskie, kawiarnia w ho-
telu — Pomiędzy Lwowem i Janowem codziennie kursują, 3 pociągi,
a cena tam i na powrót w niedziele i święta III. klasą 42 ct., II. klasą
82 ct., w inne dni III klasą 82 ct., II. klasą 1 zł. 42 ct.

**Młyny, Gorzelnie, Browary, Tartaki, Wodociągi
i Odlewy żelazne**
wykonuje

„PERKUN“, fabryka maszyn

Lwów — Podzamcze — ul. św. Marcina 11.

Kosztorysy bezpłatnie.

Nowa gałęź przemysłu krajowego. Papier c. k. uprzywilejowanej fabryki bibułek
cygaretowych w Sassowie istniejącej od roku 1865 przerabia na **BIBUŁKI**
w książeczkach i **TUTKI cygaretowe** wyłącznie znana firma

S. Wierusz Niemojowski we Lwowie.

Fabryka Sassowska wysyła dotychczas bibułki jedynie tylko za granicę
i wyrobami swojemi zyskała rozgłos światowy. Oryginalne papierosy importowe
z Egiptu i Turcy wyrabiane są przeważnie z **Bibułki Sassowskiej**. Krocie idą
za granicę, a obcy bogacą się naszym groszem, zasypując nas lichemi swojemi
wyrobami. Nie bogaćmy zagranicznych przemysłowców, kupujmy odtąd bibułki
i tutki cygaretowe z papieru Sassowskiego wyrobu

S. Wierusz Niemojowski — we Lwowie — ul. Wałowa l. 25.

Stanisława Schnür-Peplowskiego

Opowieści historyczne

(„Pierwszy legionista“ — „Niezlomny“ — „Rycerz poeta“
„Santo Domingo“).

Lwów — Księgarnia H. Altenberga — 1899.

Cena 1 zł. 80 ct.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

293

Warunki przedpłaty

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacye przesyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie

od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt VIII.

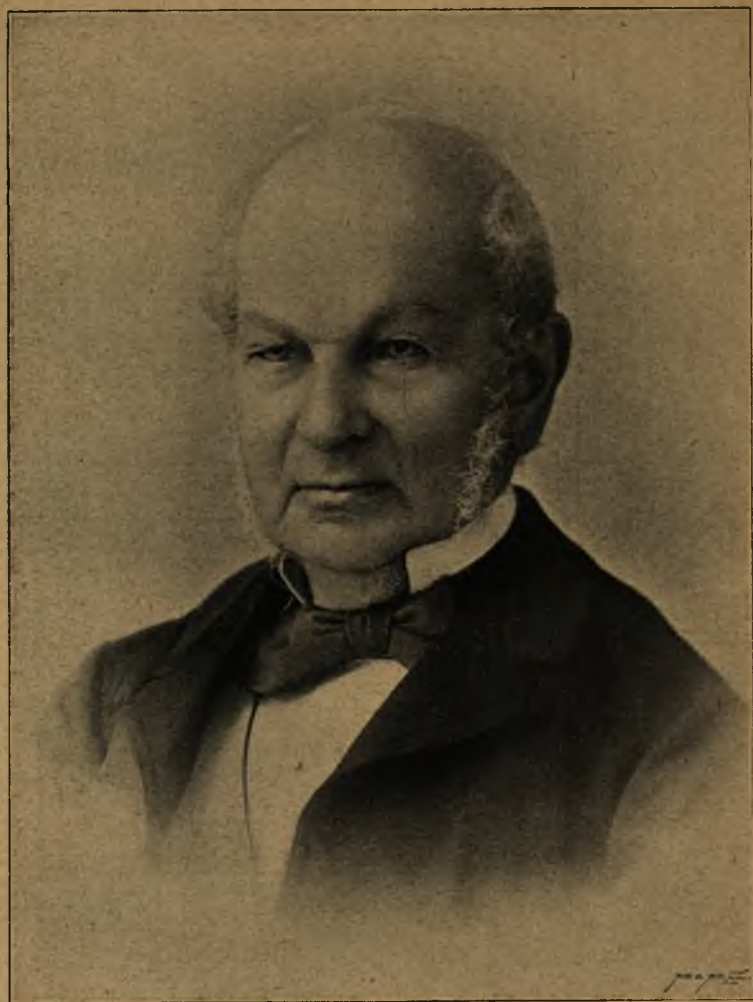
Sierpień 1899 r.

WE LWOWIE
NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
Z DRUKARNI E. WINIARZA

1899
<http://rcin.org.pl>

T R E Ś Ć.

	str.
I. Józef Majer, przez Michała Rollego	347
II. Stara chata, wiersz przez Sewerynę Duchińską	351
III. Proboszcz z Warki, opowiadanie przez T. T. Jeża (dokończenie)	352
IV. Baldachim liści szemerze ponad nami, wiersz przez Adama Stodora	355
V. Zbrodniarka, kartka z aktów sądowych, przez Mi- chała Greka	358
VI. Kilka typów, ze wspomnień konserwatorskich, przez Stanisława Tomkowicza	364
VII. »Królewna szklanej góry«, fragment przez Adama Bełcikowskiego	373
VIII. Notatki z Krakowa, przez Kazimierza Czapelskiego	378
IX. Malarstwo i rzeźba	380
X. Muzyka	386
XI. Teatr	389
XII. Literatura	393
XIII. Kronika żałobna	394



Carroll

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt VIII.

Sierpień 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z DRUKARNI E. WINIARZA

1899.



PI 293

JÓZEF MAJER.

Dawno, bardzo dawno, bo w samym zaraniu bieżącego stulecia, ujrzało w Krakowie, w jednym z typowych starych domków przy ul. Karmelickiej na Piaskach, światło dzienne słabiuchne pacholę, któremu na chrzcie świętym imię Józef dano.

Z biegiem lat z pacholęcia wyrasta młodzieniec, z młodzieńca mąż wielkiej nauki, a w skromnem tem ciele tkwić musiał hart silny i duch niespożyty, skoro pozwolonem mu było doczekać samego końca stulecia, którego początek oglądał w kolebce. Ileż to razy w ciągu długiego żywota ś. p. Majera karta Europy zmieniała swój wygląd, ile tronów rozsypało się w gruzy, ilu mocarzów wzniosło się i legło z kolei ustępując miejsca silniejszemu, ile hasańt przebrzmiało bezpowrotnie, ile idei tak wielce różnorodnych zagrzewało tłumy do czynu, ile naszych złotych marzeń i rojeń przysłał nakształt barwnych, mieniących się całą gammą barw baniek mydlanych... Wszystko przeminęło, całe pokolenia rosły i umierały, a Majer żył i działał na różnych polach czynu i pracy społecznej.

Dziewięćdziesiąt dwa lata! wiek to piękny. A z starcem tym, szanowanym i kochanym powszechnie, zeszała do grobu jedna z ostatnich typowych postaci Krakowa, których na jego ulicach spotykało się przed laty tak wiele. I ów uczony biskup-wygnaniec, w którego wytartej sutannie dziatwa bawiąca się na plantacjach krakowskich znajdowała zawsze dla siebie słodycze i karmelki; i wielki erudyta Żegota Pauli z nieodstępna fajeczką w zębach; i pierwszorzędnym mistrz pędzla, którego charakterystyczna postać, raz widziana, na zawsze pozostawała w pamięci; i Gustaw Ehrenberg, w młodości twórca patriotycznych pieśni, śpiewany: h często i chętnie, później starzec-profesor, odprowadzany stale na wykłady literatury powszechnej na kursach imienia Baranieckiego przez nieodstępna córka jedynaczkę; i przezacny emigrant dr. Adryan Baraniecki, założyciel cennego muzeum jego imienia; i tylu tylu innych, mniej lub więcej głośnych, a równie dobrze krakowianom znanych, wyprzedziło Majera w wędrówce

w inne światy; odprowadzał on ich śmiertelne szczątki na cmentarz, częstokroć nad otwartym grobem serdeczną łzę uronił i wracał w ukochane mury, wśród których z każdym dniem niemal coraz mniej żyło rówieśników jego młodości.

Lata bieły, niczem niepowstrzymane; spracowany starzec, co własną zasługą najpierwszych dobją się w kraju i państwie stanowisk i odznaczeń, zamyka się wśród czterech ścian swego mieszkania, a najmłodsze pokolenia krakowskie nie wiedzą już nawet, że Majer należy jeszcze do żyjących, dopiero żałośny jęk dzwonów i flagi żałobne, któremi Kraków przybrał się w dniu 3. lipca b. r., przypomniały im, że serce męża wielkiej nauki i zasługi przestało bić nazawsze.

Pamiętam, kiedy to jako malec z pierwszej czy z drugiej klasy szkoły realnej w Krakowie, wsunąłem się w szpaler, utworzony przez gawieź uliczną po obu stronach bramy pałacu »pod baranami«, by obserwować pilnie zjeżdżających się ze stron wszystkich gości. »Pod baranami« urządzali hr. Potoccy wielkie przyjęcie dla któregoś z arcyksiążąt rodziny Habsburgów, co chwila też wjeżdżał w szeroko rozwartą bramę powóz, wiozący najwybitniejszych dygnitarzy duchownych, cywilnych i wojskowych. Wszystko lśniło się tu od pióropuszków, orderów, kontuszów i różnobarwnych mundurów, nieprzyzwyczajony więc do podobnego widoku pierwszo czy drugoklasista, wytrzeszczał oczy i usta ze zdziwienia otwierał. W tem tłum rozstępować się począł z uszanowaniem i tuż koło ucznia przemknęła się i zniknęła w bramie pałacu maleńka wyprostowana figurka, w narzuconym na frak jasnym wytartym paletociku, z pod którego wyzierała jaskrawa wstęga orderu... Z ust do ust przebiegło szeptem nazwisko: Majer, ten i ów skłonił się z uszanowaniem, inny z uśmiechem złośliwym mruknął o znanej oszczędności Czcigodnego prezesa Akademii Umiejętności, a uczeń po raz pierwszy ujrzał postać sympatyczną, która mu tak bardzo przypominała znanych ze sztychów i portretów olejnych wybitnych uczonych dawnej Akademii krakowskiej i wileńskiej...

Później, w ciągu lat kilkunastu spotykałem doktora Majera często, zawsze w tem samym jasnym przedwiecznego kroju ubraniu, z tym samym łagodnym uśmiechem na pomarszczonej małej twarzy. Oszczędność, której hołdował w życiu prywatnym, starał się pan prezes Akademii usilnie przestrzegać i w powierzonych jej pieczy najwyższej instytucji naukowej polskiej, czem wywoływał czasami słowa krytyki lub niechęć chwilową; była to jednak tylko troskliwość ośmdziesięcioletniego starca o byt instytucji, rozporządzającej zwłaszcza w pierwszych latach istnienia funduszami nader skromnymi, a co najwyżej słabostka, nękająca wobec olbrzymich zasług Majera.

Józef Majer, prawdziwe krakowskie dziecko, pochodził ze starej mieszczańskiej niemieckiej rodziny, która nową ojczyznę

pokochoła szczerze i gorąco, nie żałując dla niej ni krwi, ni skromnego mienia. Nad Wisłą u stóp Wawelu spędza on lata pacholece, tutaj kończy szkoły i wydział lekarski, by niemal prosto z ławy uniwersyteckiej pospieszyć na odgłos surm bojowych na pole walki, gdzie raz jeszcze smutnie zakończyć się dla nas miały wszelkie marzenia i rojenia o pomyślniejszem jutrze. W Warszawie wstępuje młodziutki krakowski lekarz w szeregi wojska polskiego, a przydzielony do batalionu korpusu artylerji, przebywa z nim całą kampanię, niosąc pomoc skuteczną rannym, których wówczas bynajmniej nie brakło. Zawiedziony — jak i tylu innych jego współrodaków — w złotych snach i nadziejach, wyrusza dr. Majer na wycieczkę naukową, by zdobywszy nowy zasób wiadomości fachowych, zasiąść w swoim drogim Krakowie na katedrze uniwersyteckiej. Służba ta jego na tym nowym a tak bardzo ważnym posterunku, miała być bardzo długą i w dobry owoc bogatą. Jako profesor, a z kolei rektor uniwersytetu Jagiellońskiego, walczy w dobie reakcyi śmiało o język wykładowy polski; podnosi z upadku po okropnym pożarze Krakowa gmachy i instytucje uniwersyteckie; kołace cierpliwie i nieustrudzenie o stworzenie coraz to nowych katedr; nawiązuje z Mickiewiczem korespondencyę, by największego wieszczu narodowego wprowadzić na katedrę literatury polskiej; pracuje bezustannie piórem; kształci całe pokolenia lekarzy - Polaków i t. d. i t. d. Słowem był to człowiek, u którego wielki umysł z równie wielkiem sercem i z ogromnem poczuciem obowiązków narodowych i obywatelskich zawsze szedł w parze.

Tymczasowym nauczycielem wszechnicy Jagiellońskiej, czyli według dzisiejszej nomenklatury: docentem, zostaje Majer w 1833 r.; w 1835 jest już rzeczywistym profesorem na wydziale lekarskim i wykłada fizyologię obok całego szeregu innych przedmiotów, posiadających dzisiaj odrębne katedry. Pomiędzy rokiem 1833 a 62 ogłasza drukiem najważniejsze swoje prace, a nadto redaguje wspólnie z dr. Skoblem *Rocznik wydziału lekarskiego*. Z prac Majera na szczególną wzmiankę zasługują: Fizyologia układu nerwowego i zmysłów, monografie antropologiczne i fizyologiczne, życiorysy dawnych lekarzy polskich, literatura fizyografii ziemi polskiej. Ceniły je sfery naukowe wysoko, gdyż obok wartości naukowej tych żmudnych częstokroć studyów, charakterystyczną cechą wszystkich była piękna forma i nieskalana czystość języka, którego zmarły był niepoślednim znawcą i miłośnikiem. Łącznie z prof. Skoblem opracowywał Majer słownictwo lekarskie, wydał »Słownik anatomiczny«, »Niemiecko-polski słownik wyrazów lekarskich« i cały szereg drobniejszych przyczynków do wyrobienia i ustalenia polskiej terminologii lekarskiej. Umiał on znaleźć — zdaniem autora nekrologu, ogłoszonego w *Czasie* — w tym kierunku pośrednią drogę, nie był zbytnim purystą językowym, ale miał głębokie poczucie ducha języka. Nawet kwestyami

pisowni interesował się i zajmował. W nauce szedł zawsze równo z prądem europejskim, a do ostatnich lat znał wszystko z swego zakresu, i to znał gruntownie. W ostatnich kilkunastu latach życia zajmował się jeszcze antropologią, a jego badania i pomiary antropologiczne znalazły wielkie uznanie i u nas i za granicą.

Do roku 1852 wyłada Majer bez przeszkód po polsku, młodzież tłumnie garnie się też na jego wykłady. Rząd zniósłszy w r. 1852 wykłady polskie, liczy się z powagą i popularnością Majera i pozwala mu i nadal wyładać po polsku, chociaż zamianował drugiego profesora tego samego przedmiotu z językiem wykładowym niemieckim. Majer wskutek tego wyładał od roku 1856 tylko antropologię, i to aż do r. 1880, w którym z katedry ustąpił. — W r. 1849 wybrany po raz pierwszy rektorem uniwersytetu, godność tę piastuje z kolei kilkakrotnie. Działalność jego była znakomitą; młodzież wydała na cześć ukochanego rektora litografowany portret, a rząd wyraził mu w reskrypcie ministeryalnym swe uznanie.

Tak przedstawia się praca pedagogiczna zmarłego. Obok niej poświęca ś. p. Majer i Towarzystwu naukowemu krakowskiemu, którego był nader czynnym i ruchliwym członkiem, czasu niemało. Dzięki jego usiłowaniom, przekształca się w r. 1871. Towarzystwo naukowe w Akademię, której pierwszym prezesem mianuje monarcha dr. Majera. Jako przewodnik najwyższej instytucji naukowej polskiej pracuje były lekarz bataljonowy do r. 1889, i doprowadza ją do stanu wysokiego rozkwitu, ustępując dopiero wtedy miejsca następcy młodszemu, który miał dalej snuć dobrze zapoczątkowane dzieło. Następcą Majera okazał się ze wszech miar godny włożonego nań zaszczytu i to było też wielką pociechą zmarłego. W Sejmie i w krakowskiej Radzie miejskiej również Majera brakować nie mogło. Takim ludziom każemy zwyczajnie działać na najrozmaitszych polach pracy, czasami wyrządzamy tem szkodę i im i sobie, w danym wypadku atoli trafiliśmy na męża niewyczerpanej siły, niezwyklej, pedantycznej wprost skrupulatności: i w Sejmie i na krześle radzieckim okazał się Majer bardzo pożytecznym i potrzebnym. Był on nadto organizatorem i przewodniczącym zjazdów lekarskich, cieszących się już dzisiaj wielką popularnością i wziętością. Rozrzewniające wprost wywieriał wrażenie, gdy cichym, trzęsącym się głosem inaugurował uroczyste zebrania zjazdów, nikt go już słyszeć nie mógł, każdy jednak z zapartym w piersi oddechem i z czcią spoglądał na siwowłosego niestrudzonego starca, który młodszym służył przykładem, jak pojmować należy obywatelskie obowiązki.

Że taki działacz musiał być otaczany czcią i miłością powszechną, że u trumny jego zbiegł się Kraków cały, a pamięć po nim przetrwa długo w narodzie — rzecz to zupełnie naturalna. Za życia dostąpił wszystkich zaszczytów i godności, jakich mu udzielił społeczeństwo i państwo było wstanie. Był kawalerem

licznych orderów, tajnym radcą, członkiem Izby panów, prezesem Akademii, rektorem i profesorem uniwersytetu, posłem sejmowym, ale jeśliby należało wyszukać najodpowiedniejszy napis do umieszczenia na płycie grobowej, pokrywającej śmiertelne jego szczątki, wystarczyłyby za wszystkie tytuły dwa skromne słowa: był człowiekiem!

Michał Rolle.

Stara chata.

Witaj stara chatko nasza, przyrosła do ziemi,
 Ze słomianą strzechą twoją, ściany omszouemi,
 Kiedy wicher podruzgotał murowane domy,
 Tyś przetrwała nawałnice i stuletnie gromy!
 Przez twe drobne szybki zorza ledwie się przeciska,
 Co cię strzeże od przygody? powiedz chatko niska!
 — Co mię strzeże, kto ciekawy, niech patrzy, niech słucha,
 Mam ja silne trzy podpory, gdy dmie zawierucha.
 Oto w progu młoda matka z dzieciątkiem u łona
 Do zapadłej w ziemię chaty stoi przytulona.
 Starsze dziewczę matczynego fartucha się trzyma;
 Ona patrzy w swe biedotki słodkimi oczyma.
 Obok silnej tej podpory, inną mam ja przecie,
 Oh! ta z nami złe nie jedno przetrwała stulecie!
 Czy tam widzisz obok chaty pień wierzby starej.
 Z niej co wiosna dziatwa śpiewna wykręca fujary,
 Gdy rozbiegną się pastuszki za trzodą po lesie,
 Wietrzyk ranny — w lot do chaty dźwięk fletni doniesie.
 Radość wraca w niskie progi, aż zadrżała ściana,
 Chórem piosnka wnet wybieży: »Danaż moja dana«!
 I z turkotem kołowrotka głos daleko leci,
 A nie brakło biednej chatce i podpory trzeciej!
 Oto kundel sierść najeżył — już rozmyka paszczę:
 Wiernie strzeże swoich śmieciśk, — wróg go nie ugłaszcze.
 Zwietrzy wilka, gdy w noc czarną pomknie z legowiska,
 Dzik go nawet nie ustraszy, gdy klami połyska.
 Na grzbiet twardy napastnika skoczy Bryś zuchwały,
 I nie puści, aż mu żebra poszarpie w kawały.

Biedna chatko, tyś bezpieczna, choć wiatr tobą miota,
 Wróg przemocą się nie wkradnie w twe pocziwe wrota,
 Gdzie nad dziatwą czuwa matka, kędy drgają w duszy
 Rzewne piosnki przy podzwieku fujary pastuszej.
 Gdzie Bryś wierny tak zażreie u wrót sprawia czaty.
 Tyś bezpieczna, mesterana burzliwemi laty,
 O twą przyszłość niska chatko, ja się nie zatrzwozę,
 Z serca wołam: O mój ludu — błogosław ci Boże!

Seweryna Duchińska.



Proboszcz z Warki.

Opowiadanie.

T. T. JEŻ.

(Dokończenie).

Zapanowało wśród nich grobowe na zewnątrz milczenie, pochłaniające burzę wewnętrzną, pochodzącą ze starcia się w ich duszach dwóch prądów przeciwnych, dwóch uczuć, z których jedno huczało pretensją za niemożliwość przełamania oporności niewieściej na gruncie parafii proboszcza, drugie przejmowała wdzięczność, za usunięcie dotkliwego dla ludzi szlachetnych braku szlachetnych przy uczcie napitków. Walka dwóch tych prądów niewymowną sprawiała im przykrość. Jeden kolejno nad drugim brał górę i języki w ich gębach dębowiły. Każdemu z nich przychodziło na myśl, raz — odesłać księdzu wina, znów — podziękować mu za nie, — żaden myśli tej lub tej z ust dać się wymknąć nie odważał. Wreszcie jeden najodważniejszy odezwał się:

— Nu... wot... cztoż? Maładiec ksiendz...

Szluza się przerwała. Ten chrząknął, ów odchrząknął w tonie uznania zuchowstwa (maładiec znaczy: zuch), i wynurzyła się kwestya podziękowania. Kto i jak dziękować ma? Wypadałoby, ażeby sprawę tę załatwił kapitan osobiście; lecz, ponieważ kapitan wymowne we władztwie tym zachowywał milczenie, więc niższym czynom nie wypadało mu tego proponować. Pozostawało załatwienie sprawy delegacyi powierzyć. Możeby z oficerów który na delegata się podał, gdyby każdemu z nich w oczach, na myśl podania się, nie stawała groźna, z grubą w rękę laską, księdza Grozy postać. Wyjście z tego impasu, biorąc na uwagę obowiązek szanowania inżynierskiej i prawosławnej wobec księdza katolickiego godności, łatwem nie było. I kto wie, na czem by się skończyło. Czy by podziękowania na później — na kiedyś — nie odłożono, albo kantom nie puszezono? Ku temu szło, lecz nie doszło, albowiem na delegata podał się strażnik.

— Wot i dieło... — z akcentem uznania odezwał się kapitan i jął strażnikowi odpowiednie, tyżące się formy i treści, dawać instrukcye, które zakończył zwróconem do oficerów zapytaniem:

— Czy by ksiiondza na bankiet nie zaprosić?...

— Zaproszenia nie przyjmie... — bąknął któryś.

— Z pewnością nie przyjmie... Pozna jednak, że ruskije gafi cery na grzeczności się znają...

Nieobecność strażnika trwała nie długo. Powrócił z uwiadomieniem, że ksiądz zaproszenie z uprzejmem przyjmuje podziękowaniem.

Wiadomość ta mocne wywołała wrażenie.

A?... a?... — wyrwało się z ust temu i owemu.

Nie była to wiadomość pożądana. Obcy żywiół, żywiół w postaci księdza katolickiego, uważany za specjalnie prawosławnemu, państwowemu Rossyi ustrojowi wrogi, wejść miał do grona biesiadników, w potęgowaniu tego ustroju biorących udział bezpośredni, czynny i bardzo ważny, bo na naukowości oparty. Rady jednak na to nie było. Sami zaprosili. Kapitan dał jeno niezadowoleniemu upust w słowach następujących:

— Stało się, ten klecha katolicki w pole nas wyprowadził...

Po chwili poważnie przemówił:

— G a s p a d a !... pokażmy mu, żeśmy naród cywilizowany...

Oficerowie zrozumieli, że chodzi o wstrzeźliwość podwójną: w spuszcie gardłowym i w języku. Każdy przeto z osobna czyniąc cnotę z potrzeby, powziął postanowienie powściągnięcia się w picie i w mowie, w mowie zwłaszcza unikania materyi drażliwych wobec człowieka, który, luboć wiernopoddaństwo ściśle praktykuje, ale tępieniem ułomności i ułomnostek, sprzyjających rozkładowi ducha ludu polskiego, nieprzychylnego w odniesieniu do idei państwowej dowodzi usposobienia.

Stosownie do postanowienia tego inżynierowie nastroili się na przyjęcie gościa zaproszonego, lecz niepożądanego. Gdy ksiądz wszedł z laską w jednym, z koszykiem liściami wyłożonym, z którego pyszne wyglądały gruszki, w drugim ręku, powstali na powitanie go. Kapitan z ruchem zaokrąglonym i z dłonią nastawioną podszedł ku niemu. Ksiądz, mając zajęte ręce obie, dłoni nie wyciągnął: oglądając się i zapytał:

— Gdzież koszyk postawić?

— A c h w y, g a s p a d i n ś w i a s z c z e n n i k !... — odparł kapitan. Czemuże wam za takie obdarzanie nas wywdzięczyć się zdołamy?

— Panie kapitanie, co z koszykiem zrobić?... — odpowiedział proboszcz zapytaniem, koszyk podnosząc.

Gieśt zapytanie wytłumaczył, kapitan odrzekł, stolik z boku wskazując:

— G d i e n i b u d '... W o t t u t...

Gdy ksiądz od koszyka się uwolnił i laskę w kącie postawił, kapitan pod łokieć lekko dłonią go ujął i, ku przeznaczonemu dla niego siedzeniu prowadząc, powtarzał:

— I z w o l t i e... i z w o l t i e...

Zauważyć należy, że ksiądz po rosyjsku nie mówił, lecz rozumiał; oficerowie po polsku ani mówili, ani rozumieli. Z góry przeto okoliczność ta zapowiadała rozmowę gęsi z prosięciem. Jakoż nie kleiła się ona przed bankietem ani przy bankiecie. Na zwracane do niego krótsze i dłuższe przemówienia, ksiądz odpowiadał krótko dobierając wyrazów, mogących być przez interlokutorów zrozumianymi. Przytem oblicze jego zachowywało zwykłą surowość, nie kwadrującą z zadaniem biesiady, — tylko kiedy niekiedy przez usta przesurwał mu się pół uśmiech, który się wydawał drwiącym. Łatwo wyobrazić sobie jak to usposabiło uczestników bankietu, którzy zamierzali byli p a k u t i t ' (pohulać). K u t i o ż c h y b i ł. Obecność »katolickiego popa«, człowieka okazałego, surowego, szacunek postawą nakazującego, mroziła ich serca i umysły,

wprawiała ich w gniew i w nieokreślony niepokój, psuła im humor. Dla tego jedli zawzięcie i popijali... z umiarkowaniem.

Umiarkowanie atoli regulowało się nie wedle powziętego z góry postanowienia, ale wedle wina — wina, nad które doskonalszego nie pijali z pewnością bogowie na Olimpie. Kieliszek po kieliszku tak się słodko, czule a nalegająco zapraszał, że wola, co postanowienie podyktowała, słabła stopniowo, mdląca, zanikała. Sam tylko ksiądz w stanie czuwania ją trzymał. Kieliszki cedził i w stosunku do niego tak się samo przez się zakraplanie dań spożywanych uregulowało, że zrazu na jeden wychylony przezeń kieliszek biesiadnicy wypijali dwa, następnie trzy, dalej cztery itd. Progresya arytmetyczna wzrastała w miarę zmiany kolejnej bordeaux na burgund, burgundu na tokaj. Przy tokaju wstrzeźmięzliwość w spuście gardłowym już prawie nie istniała; w mowie zaś maskowała się, to zwrotami retorycznymi, nie zawsze udatnemi, to dwuznacznikami niekoniecznie nieprzejrzystymi, bądź czerpanemi z życia potocznego, bądź też wymierzanemi w sedno spraw politycznych, dotyczących przerabiania Polski na kopyto moskiewskie. Ksiądz jedne i drugie przyjmował, jak ściana przyjmuje groch na nią eiskany. Na miejscu swoim siedział, powoli jadł i powoli popijał, nie dając po sobie poznać, czy go to obchodzi, czy nie. Tylko półuśmiech, ów półuśmiech drwiący, pojawiający się na ustach jego, raz w większych, znów w mniejszych czasu odstępach, świadczył, że słuchał i rozumiał wszystko, co się we wzrastającym a coraz to weselszym gwarze z ust inżynierom wymykało.

Pod koniec biesiady kapitan zawołał :

— Szampanskoje !...

Korek z butelki strzelił; kieliszki zostały nalane; amfitryon powstał i zapowiedział toast, zdrowie carskie.

— Jewo impieratorskawe wielichestwa !...

Działo się to w ostatnich panowania Pokojotwórcy latach.

Na zapowiedź toastu wszyscy, ksiądz Grozy nie wyjmując, z miejsc się zerwali i w uszanowania pełnej postawie wysłuchali przemowy, sławiącej wielkość duszy, podniosłość uczuć, wysokość mądrości, oraz głębokość czysto ruskiego patryotyzmu monarchy, który ideę państwową postawił wyraźnie i związał ją z prawosławiem nierozzerwalnie.

— Hura gasudar impierator !...

— Hura! hura! — zawtórowały kapitanowi grzmiące, entuzjastyczne okrzyki.

Księdzu brwi się jeno mocniej trochę sfałdowały; lecz ani w postawie, ani w wyrazie oblicza jego najmniejsza nie zaszła zmiana. Kieliszek do góry jak inni wznosił; przy okrzykach ustami razy parę ruszył; zawartość kieliszka, zamiast w gardło sobie wlać, po za siebie zręcznym ręki ruchem chlusnął i ciężko na stołku usiadł — tak ciężko, że się pod nim o mały stołek nie rozłamał.

Pękły lody: po toaście kapitańskim oficerom rozwiązały się języki na temat prawosławia i idei państwowej ruskiej, wymagającej zniszczenia wszystkich różnic narodowościowych, zniesienia wszystkich kościółów

nieprawosławnych, zaprowadzenia w całym imperium, od Wisły do Kameczatki, od morza Białego do Czarnego, jednego języka, jednej wiary i jednego zarządu.

— Warszawę zapełnimy, zapchamy cerkwiami!... W Warce na miejscu kościoła cerkiew stanie!.. Nie będzie nam uszów świdrowała mowa polska!... na mizerynych K a s t i u s z k ó w, gdyby się jeszcze jacy kiedy pojawili, ma car na zawołanie Suworowych, Dybiczów, Paskiewiczów, Murawiewych!... — podniesionym głosem prawił kapitan, zagrzany proboszczowskiem winem, rozochocony przyjęciem, jakiego toast jego doznał.

Mówił to, patrząc księdzu z akcentem wyzywającym w oczy i gestykulując wyraziście ku niemu.

Nagle ksiądz z miejsca się zerwał, wyprostował i wejrzenie zwrócił ku kątowi, w którym sękatą swoją postawił pałę. Wydawać się mogło, że po nią sięgnie. Było to złudzeniem, złudzenie to jednak to sprawiło, iż wywołało ciszę oczekiwania, nabrzmiałego zapytaniem: co począć jeżeli ten silnego ramienia człowiek na wywody patryotyzmu ruskiego kijem odpowiedzieć zechce? Ksiądz atoli ani myślał o czemś podobnym. Okiem w koło powiódł; wzrok na zawieszonym na ścianie w wieńcu kłosów zbożowych obrazie Matki Bożej zatrzymał, — kroków kilka postąpił, przed obrazem na kolana padł i do góry złożone wznosząc dłonie, błagalnym zawołał głosem:

— Matko Boska, królowo polska, wybac mi, żem na radzie łotrów zasiadł. Dziewico przenaajczystsza, matenko przenaajświętsza, patrzyłaś na syna Twego ukrzyżowanego i miałaś siedm w łonie Twojem mieczów; teraz w blasku i chwale przy tronie Boga Ojca zasiadasz!... A uprosz u Ojca, uprosz u Syna, niech na zbrodniarzy, co polską zabrali ziemię, zeszlą z nieba pioruny!... uprosz Ich, niech zeszlą zamiataczy z miotłami, ażeby to moskiewskie, carskie, prawosławne śmiecie z chałup naszych precz wymietli!... Matko Boska, królowo polska, panienko przenaajświętsza uprosz Ich o to, uprosz, o! uprosz!...

Inżynierowie nie zrozumieli modlitwy proboszcza; mimo to ksiądz Jan Groza dni żywota swego kończy nie w Warkach, lecz w Wołogdzie.

Baldachim liści szemrze ponad nami.

1

Baldachim liści szemrze ponad nami,
Rzuca na trawy ciemno — sine mroki,
W oddali pola otulone mgłami,
I jar spadzisty, cienisty, głęboki —
Przez szpary liści słońce się zakrada,
Na pnie i trawy kładzie plamy złote —
Ach! i naszemi sercami owłada,
Budząc w nich jakąś rozkoszną tęsknotę...

2

Obok nas, wokół, różnobarwne kwiecie,
 Jaskier, stokrocie, mleczce, dzwonek siny,
 Obok nas wokół krzewów gęste siecie
 I pnie olbrzymie i nikłe krzewiny.
 Obok nas wokół kwiatki rozchylają
 Płatki, okryte perełkami rosy —
 Nad nimi, górą, drzewa wygrywają
 Hymn uroczysty, weselny, stugłosy.

3

W tem nad drzew szczyty, na jasną polanę,
 Wyrzało słońce i zlało ją złotem,
 I rozpałiło swe blaski świetlane
 Na drzęcych trawach kładąc się pokotem,
 I rozzłociło drzew dumne konary,
 I rozpędziło mrok i sine cienie,
 I rozpałiło dookoła wary
 Życia i żarne rozkoszy pragnienie.

4

I zaszumiały jeszcze silniej drzewa —
 Korony kwiatów w słońcu się rozśmiały —
 Zbudzony ptasząt chór już rzewnie śpiewa
 Hymnem miłości rozbrzmiewa las cały.
 I rozgorzały rozkoszą nam żyły,
 I roześmiały się oczy do słońca,
 A piersi rzewność porankową piły,
 Wypełniająca przestwory bez końca...

5

Siedliśmy w cieniu..... rozmarzona, cicha,
 Skier rozradowań mając pełne oczy,
 Byłaś, jakoby biel lilii kielicha,
 Gdy ją żar słońca uściskiem otoczy,
 Bowiem po sukni Twojej się ślizgało
 Złocistą plamą słońce i pieszczoty
 Żądne, Twe wonne łono całowało
 Drząc, gdyby motyl ponad kwiatem złoty.

6

A Ty skier pełne, a wilgotne oczy,
 W blaskach topiłaś i jasnej zieleni —
 W blaskach słonecznej błękitów przezroczy,
 I w tym kobiercu, co się krasą mieni
 Barwnych storczyków, jaskrów złocistością,
 Kwieciem sasanek, białością stokroci
 I szmaragdową trawy zielonością,
 Które blask słońca osrebrza i złoci.

7

I widać było, z jasności wejrzenia,
 I z rozchylenia Twoich ust korali,
 I z ledziuchnego Twych nozdrzy wzniesienia
 Że myślą płyniesz po marzenia fali,

We fantastyczne, czarodziejskie raje,
Kędy czar szczęścia króluje i miłość,
Kędy słowiczy śpiew i wieczne maje,
A nie życiowych trosk tajna zawilość.

8

A mnie się zdało, gdym patrzył na Ciebie,
Żeś nie ziemianka, lecz Maja — bogini
Lub ta dziewica, królująca w niebie,
Co z martwej zimy życie wiosny czyni,
Za której różdżki czarodziejskiem znakiem,
Ziemia z swych ramion zrywa płaszcz zimowy,
I jak do ślubu, ze słońcem — junakiem,
Stroi się w barwny kwiatów wian godowy.

9

W ów dzień wiosenny, Mają mi się zdałaś
Tyle pogody i tyle radości
Drzewo w Twych oczach, gdy wokół patrzyłaś
Okiem przepelnem niezmiernej radości,
Okiem co kwiaty całuje i pieści
I lśni radością słysząc śpiew ptaszęcy,
Lub tę pieśń cichą, którą liść szeleści,
Słodką, jakoby ów pacierz dziecięcy !...

10

O Majo moja! — W głębiach mojej duszy
Rozgorzał wówczas żar sił niespożytych,
I ze zwątpienia, co czar wszelki kruszy,
Na kształt promieni świtu złotolitych
Wytrysła radość i nad duszy mroki
Weszła, jak słońce, to jasne, wiosenne,
Topiące lody i śnieżne powłoki
Przemieniające w roli skiby plenne...

11

W mózgu mi uciął ów zgrzyt dyssonansów,
Co mi na wszystko rzucał mroczne cienie,
I z rozumowań mi dawał bilansów
Jedynie nicość, jako wybawienie —
A na ich miejsce, wsłuchana w poszumy
Drzew, myśl ku cześci bezśmiertnej Miłości,
Stawiać poczęła, niebosiężne tummy,
Kędy szczęśliwość po wiek wieków gości...

12

Bo i cóż z tego, że sroga konieczność
Jesienią zrzuci liść dziś szeleszczący,
Że zmrozi kwiaty, że posępna mleczność
Obłoków ściemni lazur dzisiaj lśniący —
Bo i cóż z tego, że i losem ludzi
Ananke miota, jak liściem wichrzysko,
Że myśl się ludzka nadaremnie trudzi,
By za zagadek wyjść tajne kolisko ?

13

Czyż utyskiwać jęć i łzawę łkania
 I z niechęcenia i kłątwy i żale
 I bezzwycięskie z losem szamotania
 Przeważą kiedy Konieczności szale?
 Wszak wiem, że po mnie nic nie pozostanie,
 Ciało, proch prochów, rozpadnie się po to,
 By nowym bytom służyć za posłanie,
 Co żyć znów będą bólem i tęsknotą.

14

A myśl, pieśń moja, pójdzie w zapomnienie
 I brzmieć nie będzie echowo po wieki,
 Bo nie tak słodka, jak ptasząt kwilenie,
 Ni tak potężna, jako grom daleki —
 Lecz tak zwyczajna. jako dzień ów słotny,
 Melancholijny, co wtrąca w ospałość,
 A nie jak wiosny czar owy zawrotny,
 Lub burz straszliwa, potężna wspaniałość...

15

Przeto tembardziej, gdy Miłość nachyla
 Ku mnie swój puhar i darzy nektarem,
 Pić mi — ma Majo — bo pierzchliwa chwila
 Snać nie tak prędko obdarzy tym darem.
 Pić — pić! — i popaść w zachwytnie omdlenie,
 W którym li tylko obchodzi nas Miłość,
 Dająca rozkosz, oraz zapomnienie
 Czem dróg człowieczych zdradliwa pochyłość...

16

Pójdź przeto do mnie Majo! w me ramiona!
 Na pierś złóż główkę Twoją jasnowłosą,
 Niech dusza w pieszczot upojeniu kona,
 Na przekór smutki li dającym losom!...
 Pójdź w me ramiona! — Słońce lśni złociście
 Czar dookoła rozlewając taki,
 Tak szemrzą rzewnie po nad nami liście,
 Tak pachną kwiaty — tak śpiewają ptaki.

Adam Stodor.

ZBRODNIARKA.

KARTKA Z AKTÓW SĄDOWYCH.

Odbywałem podówczas praktykę sądową i nosiłem oficjalny tytuł praktykanta. Do moich pryncypalnych obowiązków tego terminowania w świątyni Temidy — należało „prowadzenie pióra”, czyli zapisywanie wszystkich historii, jakie się podczas rozpraw sądowych odbywały. Sąd przysięgłych straszną osądzić miał sprawę. — Na porządku dziennym

rozpraw sądowych stała zbrodnia usiłowanego skrytobójczego rozbójniczego morderstwa. Były to słowa i pojęcia tak okropne, że sędziowie przysięgli zajęli przeznaczone im miejsca w wielkiem skupieniu ducha, wypływającym ze świadomości spełniania wielce ważnego obowiązku obywatelskiego. Zdawało się, że termometr w sali spadł poniżej zera. — Do sali wprowadzono trzy osoby; mężczyzna lat trzydziestu kilku o twarzy pospolitej i nie mówiącej, — kobieta, która mogła liczyć tak dobrze lat trzydzieści jak i czterdzieści, należąca do tego proletaryatu, w którym nie ma miejsca dla balzakowskich kobiet a są tylko młode dziewczęta i zużyte baby, zmięta i zbiedzona nędzą i ciężką pracą, — i wreszcie młode dziewczę, które zwróciło na siebie uwagę wszystkich obecnych. — Nazywała się Pazia. Miała lat dziewiętnaście na metryce; cała jej postać jednak przeczyła prawie metrykalnemu wypisowi; — tyle w jej twarzy było jakiejś dziecięcej naiwności, tyle z tej postaci wiało sielskiej świeżości, że jakkolwiek silnie była zbudowaną, już rozrośniętą — chciałoby się było nazwać ją jeszcze dzieckiem. — Podejrzewam, że Chełmoński brał z niej model malując swoje babie lato. Dwumiesięczne wizerzenie śledcze nie zdołało dotąd pobielić jej ogorziałej od słońca, czerstwej i rumianej twarzy — twarz ta musiała umieć śmiać się głośno, serdecznie, na całe gardło i wyraz sztucznej powagi i lęku, który teraz przybierała, był jej stanowczo nie do twarzy; ręce musiały na wolności wiele pracować, gdyż wywczas i lenistwo więzienne nie wygładziły jeszcze szorstkich bruzd na dłoniach. Ubrana była ubogo, lecz czysto i starannie w jakąś krasną spódnicę — po chłopsku — lecz już nieco z waszecia. Uczesanie i sposób, w jaki narzuconą była chustka na ramiona, wskazały, że moda wiejska ucywilizowana została przez miejską kulturę. Stała przed Trybunałem onieśmielona i kręciła w palcach koniec chustki — ale oczy jej naiwne mówiły wyraźnie, że nie pojmuje, ani ważności chwili, ani zrozumieć dokładnie nie może, jaki interes może ją łączyć z tylu panami w świeżących mundurach, z książkami, które leżały na stole, z krucyfiksem, portretami, kandelabrami i całą toaletą sprawiedliwości. — Bo co tu długo gadać i rozprawiać. Wypadek był przecież tak prosty. — Przed dwoma laty poszła do Lwowa ze swojej wsi rodzinnej na służbę — służyła na przedmieściu w jakimś ubogim, urzędniczym domu. W sąsiedztwie służyła Marysia ta sucha i poźółkła Marysia, która stoi obecnie koło niej dając jej jakieś niezrozumiałe dla niej znaki. Marysia miała narzeczonego Jędrzeja — ten jest tu także. W sąsiednim domu mieszkała kątem Maryanna, stara, siedmdziesięcioletnia kobieta, o której opowiadano, że ma wielkie pieniądze. Marysia mówiła, że ma pięćdziesiąt reńskich — Jędrzej zaś utrzymywał, że będzie tego do stu papierków. Skarb ten miała nosić Maryanna w cholewie a butów nie ściągała nigdy. — Otóż Jędrzej i Marysia kochali się bardzo, chcieli się pobrać i osadzili, że cholewa Maryanny była obowiązana dać im posąg. Pazia bardzo sprzyjała parze kochanków. Ze szczupłych swoich zasług pożyczala Jędrzejowi na tytoń; robiła to z miłości dla Marysi, która przygarneła ją do siebie i była wiejskiej dziewczynie, nie umiejącej się ruszyć na bruku miejskim, serdeczną, oddaną

i bezinteresowną przyjaciółką. — Wprawdzie Marysia nie oddała jej nigdy zaciąganych pożyczek, ani dwóch koszul, ani wielkiej »szalowej« chustki, otrzymanej od dziadka na wyprawę gdy szła na służbę — ale między przyjaciółkami nie liczono się znowu tak bardzo skrupulatnie. — Ilekroć Jędrzej i Marysia zeszli się z Pazią — tylekroć biadali na swe losy, na niemożność połączenia się i żałowali, że skarb starej Maryanny tak bezużytecznie w cholewie gnije. Gdyby to oni te pieniądze mieli — jacy by byli szczęśliwi! Później mówiono o tem, że gdyby tak znalazł się ktoś, ktoby Maryannie pieniądze te wyciągnął — to stara nie domyśliłaby się nawet tego i nie byłoby grzechu, — bo i poco dary Boże tak marnieć mają a jak stara umrze, to zawsze ją ktoś pochowa. — Jednak owo wypróżnienie cholewy nie musiało być tak łatwym, — gdyż Marysia opowiadając o tem strasznie się złościła, że baba ma bardzo lekki sen. — Ot gadało się tak — jak się o wielu rzeczach mówi. — Aż tu pewnej niedzieli wieczorem państwa nie było w domu — zeszła się para kochanków w kuchni Pazi. Przyniesiono wódkę, dziewczyna wypita jeden, czy dwa kieliszki. Zrobiło jej się mroczno przed oczyma. Rozmowa zeszła znowu na Maryannę i na skarb w cholewie. Maryanny w domu nie było, wyszła do miasta i miała niebawem wracać drogą długą, pustą, prowadzącą wśród ogrodów. Jędrzej począł co raz siarczyściej przeklinać swój los nieszczęsny. »Ot Pazi! gdybyś tylko chciała — i nam i tobie byłoby lepiej. Zaczaj się pod płotem kiedy baba będzie przechodzić, trąć ją potem z nienacka, gdyby krzyczała, zarzuć chustkę na głowę, wyjm z cholewy pieniądze a dyabeł potem niczego nie dojdzie«. — Pazia nie chciała o tem ani słyszeć, to grzech a zresztą gdyby ją poznała — coby potem było. Dlaczego zresztą Jędrzej sam tego nie zrobi. — Lecz Jędrzej umiał wszystko wytłómaczyć. Pazi łatwo to ująć może, gdyż gdyby się nie udało, powiedziała by, że to żart, że chciała Maryannę przestraszyć. Jejby nikt nie podejrzewał o coś złego. — Dziewczyna opierała się; jeszcze jeden kieliszek wódki; ta baba z pieniędzmi zaczęła ją w istocie śmieszyć — bo i poco tej starej tyle pieniędzy, przecież do grobu ze sobą nie zabierze. A oni by się pobrali, mieliby własne gospodarstwo, byłiby jej tak wdzięczni. Pazi kręciło się w głowie, ale gdyby ją Maryanna pochwycała, gdyby była od niej silniejszą? gdyby ją poznała. Lecz Jędrzej i ten skrupuł usunął — do czegoż siekacz, który leży na stole, wciśnął go Pazi w ręce. Podpita uległa namowom, — nie wiedziała właściwie co robi i poco to wszystko robi, w umyśle jej przeważał szczególniej fakt, że napad na babę i odebranie jej pieniędzy — tak po nocy ni z tąd ni z owąd było bardzo śmieszne — wypchali ją za drzwi. — Niebawem znalazła się na drodze, którą miała przechodzić Maryanna. Tak — to była ona. Pazia rzuciła się na nią — zarzuciła jej już nawet chustkę na głowę — stara narobiła krzyku. Dziewczyna przestraszyła się, upuściła siekacz i uciekła. — Staruszka nie poznała jej wprawdzie, — lecz wypadek ten wywołał pewne wrażenie na przedmieściu. W kilka dni później dowiedziała się o nim policya. Rozpoczęto dochodzenia. Niejasne poszlaki zwróciły śledztwo przeciw Jędrzejowi i Marysji,

przesłuchiwano ich na policji. Wyparli się naturalnie wszystkiego — obawiając się zaś, ażeby Pazia nie przyznała się pod ewentualnym naciskiem policji do wszystkiego, czuła para kochanków wyprawiła ją czempredzej na wieś, tembardziej, że policya coś o niej już węszyć zaczęła. Stara wiedziała tylko tyle, że ktoś na nią z tyłu napadł, że zarzucił jej chustkę na oczy i że pragnął ją powalić na ziemię. Śledztwo zastanowiono. — Od tego czasu upłynęły dwa lata.

Aż wreszcie Pazia zjawiała się znowu na bruku miejskim. Nazwisko jej zapisane już było w czarnej księdze policyjnej. Meldunek przypomniiał wypadek przedmiejski. Rozpoczęto ponowne dochodzenia. Policya uznała, że szczera i wierna opowieść była sprytnie ułożoną obroną. Miała przy sobie wczasie napadu ostry siekacz; chciała więc staruszkę zabić. To nie ulegało wątpliwości. Kilkugodzinne przesłuchanie w policji dokonuje cudów. Komisarz policyjny jest wstanie każdemu zbrodniarzowi dowieść tak jasno, jak na dłoni, że czem jego przyznanie będzie szersze i czarniejsze — tem na większe błogosławieństwo i przebaczenie liczyć zawsze może. Zbrodniarz, który zejdzie już raz na drogę uniewinniania się potępianiem swoich współników — widzi jedynie swoje zbawienie w tem, aby fakt w jak najczarniejszych przedstawił barwach. Jest to psychologia bardzo prosta. Chce tem wykazać, że mimo piekielnych pokus nie wykonał nic złego — o ile tamci są źli i przewrotni, o tyle on niewinny i czysty. — Policji udało się tedy ustalić istotę czynu przy pomocy najwłaśniejszego środka dowodowego — przyznania oskarżonej. Pazia chciała tedy staruszkę zamordować w celu zabrania jej pieniędzy. Na pytanie: »czy namawiali cię, abyś starą zabiła?« odpowiadała w końcu »może namawiali«. Był to fakt jasny jak słońce. Pazia usiłowała wprawdzie zeznania policyjne sprostować tak przed sądzią śledczym, jakoteż przy rozprawie, dano jej jednak do zrozumienia, że znają się na takich odwoływaniach, — że kłamstwo najgorszym jest doradcą, — że jedynie szczerłość pomódz jej może i że niezapomną o tem, kiedy będzie mowa o wymierzaniu kary. — Przy rozprawie traktowano ją nawet z wszelkimi względami, był to przecież koronny świadek oskarżenia; świadectwa jej opiewały nadzwyczaj pochlebnie; dawniejsza służbodawczyni opowiadała, że jak długo żyje, nie miała tak porządnej i uczciwej sługi; była tylko bardzo głupią, dawała się każdemu wyzyskiwać a miała tak dobre serce, że ostatni grosz od niej wyludzano; wójt wsi rodzinnej opowiadał, że dziewczyna cieszy się na wsi jak najlepszą reputacją, — ma obecnie narzeczonego i ślub miał się odbyć za pół roku.

Atmosfera rozprawy wypogodziła się. Pazię traktowano jako pokutującą grzesnicę z wyszukaną uprzejmością i łaskawością; przewodniczący gniewał się na nią tylko podówczas, jeżeli ośmielała się prostować poprzednio obciążające zeznania; miał rację, bo psuło mu to przyjęty system; oboje spółnicy zbrodni, jakkolwiek przyznali w końcu, że namawiali Pazię do kradzieży, to przeczyli stanowczo, jakoby była mowa o morderstwie; Jędrzej wcisnął jej siekacz, aby starą nastraszyć. —



Traktowano te zeznania jako dowód zatwardziałości grzeszników i ich wyrafinowanego sprytu.

— »Nieprawdaz Paziu, że oni kłamią?« pytał w tych razach prokurator.

— »Ta niby — to tak na prawdę było« — brzmiała nieśmiała odpowiedź.

— »Ej! dziewczyno! — Ty ich nie broń — bo to będzie gorzej dla ciebie« — apostrofował inny organ sprawiedliwości i dziewczyna milkła przestraszona.

Na nieszczęście stara Maryanna zmarła przed rokiem i ten jedyny świadek nie mógł być przed trybunał ziemski zacytowany.

Wreszcie prokurator, człowiek młody i wymowny, przystąpił do oskarżenia. W istocie wszystkie znamiona zamierzonego rozbójniczego morderstwa mieściły się w przedmiejskiej, niedzielnej, oblanej alkoholem awanturze. Niejednokrotnie wymierzano ciężkie kary kryminalne przestępcom, którzy swoim bliźnim kilka centów rabowali. Jest to taka zbrodnia, która nie zna deminutywów ustawicznych. Rinaldinim może stać się lada wyrobnik, który wracając z drugim z karczmy, wydrze mu gwałtownie flaszkę wódki. Gdyby ją tylko ukradł, siedziałby 24 godzin w areszcie.

Prokurator tedy jął z kodeksem w rękę deklamować apologię na rzecz Pazi. Przyznawał jej wszystkie cnoty i zalety dziewicze i chrześcijańskie i wyraził nadzieję, że będzie ona jeszcze dzielnym i uczciwym członkiem społeczeństwa, byle jeno wyrównała poprzedni rachunek z kodeksem, — gdyż *dura lex, sed lex*; przysięgli nie mają się litować, tylko sądzić i zapewniać wszędzie i zawsze poszanowanie ustawie; prawo łaski dzierży kto inny — a jeżeli oskarżona na nią zasłużyła, to pewnie ją ta łaska swym zdrojem obleje. Z rabunkiem zresztą żartować nie można, gdyż bezkarnosć ośmiela a przysięgli odpowiedzialiby moralnie, gdyby podobne wypadki na przedmieściach powtarzać się miały. — Obrońca z urzędu był emerytowanym radcą trybunału, na pół ślepy i prawie głuchym, który jednak za to mówił kiedyś, za swych dobrych czasów bardzo łamaną polszczyzną i obecnie z polszczyzny tej przy głębokiem natężeniu tyle wywnioskować można było, iż obrońca nie sądził, aby jego klientka dopuściła się czynu, o który ją oskarżają i że polega on zresztą na sumieniu i poczuciu prawnem panów przysięgłych, których wyjątkowa inteligencya uwalnia go od dalszego przewlekania rozprawy. Uwaga ta słuszną była o tyle, że zbliżała się godzina obiadowa. Zapewne każdy zauważył, że sędzia przysięgły daruje łatwiej zdradę stanu i ojezyczny, aniżeli najmniejsze przekroczenie, alterrujące czyjąś kieszeń. Mimowolnym ruchem chwytą się wtedy każdy za pugilares.

Dziewczyna skazaną została na trzy lata ciężkiego więzienia. Sąd wymierzył jej najniższą, ustawową karę. Sprawiedliwości stało się zadosć. Początkowo nie zrozumiała wyroku. Później wybuchła płaczem i zwracała się do wszystkich obecnych, nie wiedząc, z której strony cios pochodzi, który w nią ugodził. Zapewniała, że nic złego nie zro-

biła, — że nie złego zrobić nie chciała. Przewodniczący pouczył ją, że przeciw wyrokowi służy jej zażalenie nieważności, które ma być podpisane przez uprawnionego obrońcę. — Ponieważ ten środek prawny nie pohamował jej spazmatycznego płaczu — przeto wyprowadzono ją z sali.

Na drugi dzień zgłosił się do sądu jej narzeczony, chłop młody, silny i barczysty; chciał się z nią zobaczyć. Wprowadzono ją; na twarzy malowała się beznadziejna rozpacz, — ledwie trzymała się na nogach. Mówiła znowu:

»Oj! matko, moja matko — ja nie nie zrobiła«.

Stali od siebie w oddaleniu kilku kroków; chłop miał także łzy w oczach.

— »No, mówcie, co macie sobie powiedzieć« — napomniał asystujący wizycie sędzia. Milezeli, gdyż i cóż mieli sobie powiedzieć! Między nimi otworzyła się przepaść trzyletniego kryminału; widzieli, jak w tę przepaść staczają się, jak w niej nikną wszystkie ich nadzieje i marzenia, nadzieje chłopskie wspólnego życia i wspólnej doli. Cóż oni mieli sobie do powiedzenia?! Chłop jęknął wreszcie:

— »Oj! Paziu! Paziu!«.

Ona wybuchnęła znowu spazmatycznym łkaniem; płakała jakby nad jego grobem. Nie przyrzekali sobie niczego, ani wiary, ani pamięci. Natura chłopska nie łudziła się; jakiekolwiek nadzieje w tym wypadku byłyby cywilizacyjną iluzją. Ona nie była Manon Lescaut ani on kawalerem de Grioux. Przecież wiedzieli o tem oboje, że on nie weźmie za żonę kryminalistki.

— »Oddajcie tę spodnicę i chustkę mojej siostrze« — to było jedyne zlecenie, które mu na pożegnanie dać mogła, jedyne też zapewne, które on mógł spełnić. Przecież padać sobie w objęcie na komisjonalnej wizycie nie mogli.

W tydzień potem widziałem raz jeszcze Pazię; kazałem ją sprowadzić do biura, celem dopełnienia pewnych formalności, przed odstawieniem jej do domu kary. Twarz przedtem tak jasną i pogodną skurczył teraz zimny wyraz jakiegoś uporu i zaciekłości; czuć było wpływ koleżanek więziennych. Odpowiadała mi chmurnie tonem pewnym i ostrym.

— »No, bądź zdrowa« — odprowadzałem ją — jesteś jeszcze młoda, kiedyś skończy się jeszcze to wszystko! Wpadła w złość nieledwie; zacisnęła pięści a »bodajby ich... mruknęła jękiem przekleństwa.

Przerwałem co prędzej dyskusję, nie chcąc jako stróż prawa dowiadywać się o niepotrzebnych rzeczach.

W dwa lata później toczył się w tej samej sali jakiś proces, którego uczestniczkami były pensjonarki domu kary; zatrudniają one często sprawiedliwość procesami o obrazę majestatu, lub o obrazę religii; gdyż w tych miejscach zamkniętych, gdzie czyn ustawicznym dozorem jest paraliżowany, nadają się te przestępstwa wybornie do wszelakich denuncyacji, będących wpływem zemsty. Wystarcza tu kilku świadków, zdecydowanych do takiego drobiazgu jak fałszywe świadectwo.

W sali świadków czekało kilka aresztantek, przyprawdzonych do rozprawy z domu kary. Przechodząc przez salę, uderzony zostałem jakąś znajomą twarzą — była to Pazia. Kostyum więzienny, przypominający habit ktasztorny, stroił ją bardzo dobrze. W sposobie zawiązania chusteczki na głowie, w udrapowaniu spodnicy znać było pewną staranność, obliczoną na efekt. Kobieta jest w stanie nawet w fałdach liberyi więziennej ukryć pewną kokieterię toaletową — są to misterye płci. Twarz zbrodniarki przybladła nieco; znikły świeże i czerstwe rumieńce, natomiast jednak rysy nabrały więcej wyrazistości, a czarne oczy, ujęte w niebieskawe obwódki, patrzyły przed siebie śmiało i wyzywająco, rzucając dziwne jakieś ognie. Dziecko urosło w kobietę; dojrzało we więzieniu. Przystanąłem na chwilę; poznała mnie, uśmiechnęła się swobodnie i poprawiła białą i wydélikaconą ręką chusteczkę, spadającą jej na czoło. Podziwiałem w tej zmianie cywilizacyjny wpływ więzienia.

— »Jakże się masz Paziu?« zapytałem.

— »Dziękować Bogu — bardzo dobrze — zdałoby się tylko... i nie dokończyła zdania, trącając łokciem stojącą obok koleżankę i wybuchła z nią razem cynicznym chichotem.

— »A cóż twój narzeczony; przecież już za rok pójdziesz do domu?«

— »Ech! co tam narzeczony: jeszczeby człowieka miała o to głowa boleć — albo to mało ładnych chłopców na świecie!«

— »W istocie, na świecie dużo jest ładnych chłopców i znajdziesz ich dziewczyno bardzo wielu; masz rację.«

Od tego czasu z dziwnem jakimś zwątpieniem traktuję rozprawy o poprawczem zadaniu kar kryminalnych, a ilekroć widzę na ławie oskarżonych prawdziwego nawet zbrodniarza, którego czy to nędzą, czy namiętność popchnęła po raz pierwszy w konflikt z kodeksem karnym, tylekroć przychodzi mi na myśl ta młoda dziewczyna wiejska, która obecnie jest już zapewne — zbrodniarką.

Michał Grek.



KILKA TYPÓW

(Ze wspomnień konserwatorskich).

Do najważniejszych obowiązków konserwatora zabytków przeszłości należy objeżdżanie okręgu powierzonego jego pieczy. Więcej niż wszelkie urzędowe pisaniny przyczynia się do ochrony pamiątek i dzieł sztuki bezpośrednie zetknięcie się z ich posiadaczami lub stróżami, osobiste zwrócenie uwagi na wartość tego lub owego obrazu, rzeźby, budynku, pouczenie o ich wieku, stylu i znaczeniu. Podczas, gdy pismo

urzędowe idzie często nieczytane do kosza lub pieca, gdy w najlepszym razie przeczytane, wkrótce się zapomina — wizyta znawcy zwykle ryje głębsze ślady i wbija się w pamięć. Jeszcze po dziesiątkach lat wspominają ludzie, mieszkający gdzieś na zapadłym partykularzu: w roku tym a tym był tu Łepkowski albo Mieczysław Potocki, z pewną dumą wskazują te zabytki, które zwróciły uwagę p. Łuszczkiewicza albo p. Maryana Sokołowskiego. Pamięta o tem nie tylko X. Proboszcz, ale kościelny i organista i nie jeden z ludzi we wsi. A choć wymarło całe ówczesne pokolenie, tradycya trzyma się długo miejsca, przyczepia się do murów, sprzętów, następcy powtarzają, co opowiadali ich poprzednicy. A nie jeden ornat, tryptyk, nawet czasem kielich i monstrancya, które zastąpiono w inwentarzu nowemi, choć lichemi nabytkami, byłyby zostały rzucone w ogień, albo za byle co sprzedane, jako stare graty — takiej wizycie znawcy zawdzięczają swoje ocalenie.

To przeświadczenie powinno być dla urzędowych konserwatorów bodźcem do jak najczęstszych objazdów. Mnie do wycieczek tych zachęcał zawsze — oprócz poczucia obowiązku — jeszcze pewien wzgląd z archeologią nie mający nie wspólnego: interes psychologa. Nigdy nie zdarzało mi się spotykać tak interesujących egzemplarzy człowieka, jak w podróżach w odległe zakątki prowincyi, w małych miasteczkach, opodal od szlaków kolejowych, we wioskach górskich, zdala od świata i ruchu jego.

Większe miasta, podróże, towarzystwo, cywilizacya, dają polor, ale ścierają cechy indywidualum. Człowiek »bywały« ma zwykle ogładę, dobre maniere, umie się znaleźć, ale tak strasznie staje się podobnym do wszystkich ludzi. W wojsku mundur jednostajny i wspólne ćwiczenia czynią każdego żołnierza podobnym do innych żołnierzy. Nie tylko w wojsku. My wszyscy przywdziewamy mimowoli uniform przeciętnej cywilizacyi europejskiej, przybieramy pozę szablonową, wyglądamy wszyscy mniej więcej podobnie, a co gorzej wprawiamy się do myślenia podobnie; jak zegarki tak i mózgi nasze trzymają się »godziny środkowo-europejskiej«. Zbyt rzadko dziś można spotkać kogoś, ktoby nie był konwencyonalny. Znałem pewną panią, która mówiła, że najbardziej interesują ją ludzie chorzy, a pielęgnowanie ich nie jest dla niej zaśługą, tylko prawdziwą przyjemnością: w chorobie bowiem poznać można człowieka, jakim jest, a jej położenie towarzyskie sprawiało, że była skazaną na znanie najczęściej ludzi zrównanych strychulcem ogłady salonowej, lub grających rolę jak na scenie, tylko że reżyserem ich był konwenans.

Oryginalność swoją zachowali n. p. górale nasi tatrzańscy, zwłaszcza starszego pokolenia, ci, którzy wychowali się jeszcze przed zbudowaniem kolei transwersalnej, przed odkryciem Zakopanego przez Warszawiaków. Turnie tatrzańskie oddzielały ich od świata, ale im go nie zastaniały. Samotność, obeowanie z naturą, szamotanie się z trudnościami życia, wyrabiały w nich pewną filozofię, pogląd na świat zupełnie odrębny, własny, niepozabawiony głębokości, czasem bardzo pełen

fantazyi i poezyi. Oryginałów dalej spotkać można między leśniczymi, którzy życie swoje przepędzili w głębokich puszczech.

Konserwatorskie podróże ułatwiły mi — z natury rzeczy — przedewszystkiem znajomości z oryginałami i typami-księżmi. Zamiast ich charakteryzować i portretować, opowiem kilka ciekawych spotkań.

Przed kilku laty wypadło mi zwiedzić wioskę górską Z., dla przekonania się, czy też zabytków jakich nie zawiera kościół parafialny, starej fundacyi i dziwnym trafem przez żadnego znawcę dotąd nie zbądany i nie wspomniany. Obywatel wiejski z okolicy, któregośm prosił, aby mię tam odesłał, odradzał mi wizytę u proboszcza »bo to wielki dziwak«. To ostrzeżenie właśnie zaostrzyło moją ciekawość. Dziwaki, to przecież najbardziej interesujący ludzie na świecie. Dzień był skwarny, już o dziewiątej rano upał dawał się we znaki. Zajeżdżam przed plebaniją. X. Proboszcz po mszy był u siebie. Wchodzę. W niewielkiej, bielonej izbie za stołem siedzi, na licej, ceratą obitej, starej kanapie, stary proboszcz i łaje stojącego przed nim młodego człowieka. Chudy, z policzkami zapadłemi, o cerze oliwkowo-brunatnej, zaniedbany, na pierwszy rzut oka robił wrażenie śledziennika. Zapewne z powodu gorąca zdjął ze siebie czarną suknię i zastąpił ją płóciennym pudermantlem.

Gdym mu powiedział, kim jestem i pocem przyjechał, odparł żywo tonem kościelnym:

— I czegoż pan będzie szukał? Nie ma tu nic; kościół licha buda, w zakrystyi trochę łachów i tyle. Możemy pójść, zobaczyć. To szkoda, iż w najgorszą chwilę Pan trafił. Pojutrze u mnie odpust, a tu mi się kucharka rozchorowała. Już w trzecie miejsce posyłam prosząc, aby mi pożyczyli kucharza i wszędzie mi odmawiają. Oeh te odpusty, co one mi krwi napsują! Żeby to odemnie zależało, tobym wszystkie pokasował. Powiadam Panu, że to tylko zgorzenie, rozpusta i demoralizacya. To też ja nigdy nie jeżdżę na odpusty. Ale ci, moi kochani koledzy z okolicy, właśnie dlatego, że wiedzą o tem, to na złość zjadą się wszyscy. Pojutrze zleci się ich czterdziestu. Zostań Pan u mnie, to Pan sam zobaczysz. No, ale ja Pana nudzę moimi kłopotami, a nie poczęstowałem niczem. Może Pan pozwoli wina, albo piwa?

Więcej dla zaznaczenia swojej egzystencyi i przerwania monologu, niż z ochoty do picia czegokolwiek o tak wczesnej godzinie, odparłem, że jest gorąco, może lepiej będzie ochłodzić się piwem.

— Kiedy właśnie, że go niema — zawołał zgryźliwie mój gospodarz. Dziś rano przywieźli mi beczkę na odpust, no i cóż Pan powiesz: skwaśniałe. To już takie moje szczęście.

Przypomniałem zwiedzenie kościoła. Wyszliśmy. Czulem przez skórę, że dwie wątpliwości nurtują duszę proboszcza, dwa pytania: czy też nie zechcę przekonać się o tem, jak jego koledzy stawiają się w komplecie na odpust pojutrzejszy, a w najlepszym razie: czy nie spodziewam się, iż swoimi końmi odeszle mię na stacyę kolei. Postanowiłem

odrazu wyjaśnić sytuację; po drodze między plebanią a kościołem oświadczyłem, że mam zamiar dziś jeszcze objechać kilka parafii okolicznych i że pragnę nająć konie chłopskie, bo wiem, że czeka mię droga górzysta i zła, dlatego nawet nie chciałem użyć uprzejmie mi użyczonych cugowych koni i powoziku państwa S., któremi tutaj przybyłem.

Proboszcz usłyszawszy słowo, »nająć« zwrócił się ku plebanii i zaczął wołać:

— Wincenty! Wincenty!

A gdy wyszedł ten sam młodzieniec, którego już przedtem na plebanii widziałem, rzekł mu:

— Wicek, biegnij do Pawła pod ogrodem, niech zaprzęże konie do wózka i z a r a z przyjeżdża.

Słowo »z a r a z« było zaakcentowane znacząco; w głosie zgryźliwego starca przy tym wyrazie po raz pierwszy odezwał się ton swobodniejszy. Widocznie ulżyło mu się na tę myśl na sercu.

Tymczasem poszliśmy oglądać kościół. Istotnie mało co w nim znalazłem. Gdyśmy po pół godzinie znów byli na plebanii, proboszcz zwrócił z niepokojem uwagę, że furmanki jeszcze nie ma. A co najgorsze, że i Wicek też nie wrócił.

— Cudze ręce lekkie a nie pożyteczne — rzekł proboszcz. Nawet tyle nie potrafi zrobić ten człowiek. A to nauczyciel tutejszy. Świszczypała! I taki ma uczyć dzieci! Czego on tam nauczy. Już to oni wszyscy tacy. A i te szkoły to do niczego. Ja już nawet pisałem do Rady Szkolnej, żeby zamknęła szkołę tutejszą. Ale czy to oni zdrowej rady usłuchają? Nawet mi nie odpowiedzieli. Szkoły muszą być w każdej wsi, taka teraz moda i basta.

Nadszedł mistrz Wincenty. Musiał wysłuchać długiego burczenia, nim przyszedł do głosu. Pokazało się, że Pawła z pod ogrodu widać nie było, dopiero trzeba go było szukać w polu. Podziękowałem nauczycielowi za trud podjęty, a gdy niebawem Paweł zajechał, opuszczałem wioskę Z., nie żałując, że o nią zawadziłem. Wprawdzie nie wzbogaciłem moich zapisków konserwatorskich, ale zato poznałem typ człowieka, jakiego nie spotyka się dwa razy w życiu.

Zdaje się, że są okolice szczególnie bogate w niezwykle okazy oryginałów. Wkrótce znowu sprawa konserwatorska zbliżyła mnie w sąsiedztwie wioski Z. z innym typem nadzwyczaj ciekawym. Dano mi znać, że we wsi K. znajduje się w kościele parafialnym starożytny i piękny drewniany strop malowany, któremu z okazji rozpoczętego odnowienia budynku, grozi pewne niebezpieczeństwo. Przedewszystkiem trzeba było przekonać się o wartości zabytku, albowiem opowiadania nie dawały mi o niej dostatecznego wyobrażenia. O ta droga do K.! Dała mi się ona dobrze we znaki. Właściwie nie istnieje droga wcale, przynajmniej od tej strony, z której przyjeżdżałem. Wieś leży o jakie 8 lub 9 kilometrów od kolei żelaznej. Ze wszystkich stron otoczona

niezbyt wysokimi, lecz spadzistemi górami. Jedyne między nimi przesmyk stanowi rzeczka; jedzie się też wyżłobieniem, które ona wyrobiła. Jedzie się cały prawie czas kamieńcem, usłanym z odłamów skał i usypisk zbocznych górskich, między którymi z trudnością wije się koryto. Kilka razy próbowano zbudować gościniec — zawsze na próżno. Pierwsze wezbranie górskiego strumienia burzyło go do szczytu. Nie pozostało nic, jak jeździć dalej, tak jak jeździli odlegli przodkowie, to jest korytem rzeki, na krótkie tylko chwile opuszczając je, aby wyjechać to po prawej stronie, to po lewej, na brzeg suchy, lecz pełen wybojów. Pięć kwadransów takiej jazdy, starczy za najlepszą gimnastykę domową i za masaż w dodatku. Pomimo znużenia, mile uderzony zostałem widokiem, który się przedstawił moim oczom. Wieś jest schludna i porządnie zabudowana. Domy otoczone ogródkami i sadami. Z pośród zbitej zieleni wysokich lip wystrzela w górę wieża, będąca dzwonicą, zakończona niezbyt pęką, nawet zgrabną banią, czerwono pomalowaną. Przy niej wznosi się kościół drewniany, w bardzo malowniczym położeniu. Od drogi wydaje się jakby był na wyspie. W rzeczywistości stoi on na wzgórku, zakończonym ostrym kątem, którego dwa boki oblewa kryształowa woda dwóch bystrych potoków, łączących się tu właśnie w jedną, sporą rzekę. Z dwóch stron wiodą do kościoła długie na kobylicach kładki, wysoko i śmiało zawieszzone nad potokami i nad niedostępną do nich drogą wozową. Jedna kładka wiedzie ode wsi, druga od plebanii.

Zajechałem przed plebanią. Dom stoi wśród gęstego sadu, dochodzącego do urwistych brzegów potoku. W przeciwnym kierunku, ku północy, przedłuża się w sporą łąkę, która dochodzi do pionowej niemal ściany zbocza wysokiej góry. Ogród utrzymany starannie; nie brak w nim kwiatów, jeszcze więcej zieleni. Roślinność niezmiernie bujna, aż ciasno drzewom, krzewom, kwiatom, chwastom, które pchają się jedne na drugie, jak ludzie, łokciami zdobywający sobie miejsce w zbitym tłumie. Wilgoć, nasycająca ziemię i powietrze, okrywająca trawę kroplistym potem rosy, obfitość cienia, który u podnóża ściany górzyściej zamienia się niemal w zmrok, wszystko to składa się na chłód nader orzeźwiający i miły w upalny dzień lipcowy. Nie zamącony spokój, idealną ciszę tego uroczego ustronia przerywa tylko delikatny szmer dwóch opodal płynących po kamieniach potoków, jakby dyskretny szept pary kochanków, prowadzących przytłumionym głosem rozmowę na przechadźce w letni wieczór. Niekiedy odezwie się głośniejszy plusk wody, zupełnie podobny do namiętych pocałunków.

Przyjął mię uprzejmie proboszcz, niski, otyły, niemal pękaty starsuszek. Postać to była dziwnie małoształtna, można powiedzieć, karykaturalna. Na niezgrabnym korpusie, krótką tylko a grubą szyją przedzieloną, osadzoną była głowa wielka, o wypukłych kościach policzkowych. Twarzy, o cerze mocno czerwonej, osobną cechą nadawała górna warga nieproporcjonalnie długa i jakby bezwładnie zwieszona. Gdy mówił lub śmiał się, warga ta, cienka jak kłapa ze skóry, pozostawała nieruchomą. Nad nią wyrastał nos dość wydatny lecz krótki

i zadarty, z nozdrzami ściągniętymi ku górze, jakby do sarkastycznego uśmiechu. Pod brwiami bardzo cienkimi błyszczały oczy małe, nieco przymrużone, a bardzo ruchliwe. Nos i oczy te nadawały górnej połowie twarzy coś chytrego i figlarnego, podczas gdy dolna połowa z tą zwieszoną, długą, górną wargą była wieczeniem wyrazu apatyi i ociężałości.

Poprosiłem o pozwolenie obejrzenia stropu drewnianego. Poszliśmy ku kościołowi. Ksiądz proboszcz prowadzi mię przez boczne wejście, do którego niedawno widocznie dostawiono od zewnątrz rodzaj kruchty kształtu altany szwajcarskiej. Zwraca on na nią moją uwagę i co chwilę małemi oczkami rzuca na mnie ukradkiem przenikliwe spojrzenie. Wchodzimy do kościoła. Szukam wzrokiem sufitu, o którym tyle słyszałem. Rzeczywiście, mimo słabego oświetlenia wnętrza nawy, spostrzegam, że to piękny i niezwykły zabytek epoki przejściowej z gotyzmu do renesansu, z ornamentyką polichromiczną, częściowo rzeźbioną, z licznemi figurami, herbami i długim napisem fundacyjnym z r. 1520; chciałybym się w tych szczegółach rozpatrzeć. Ksiądz proboszcz odwraca moją uwagę wskazując na łuki z wycinanych we wzory desek, niedawno poprzybijane do ścian bocznych, i znów rzuca z ukosa figlarne spojrzenia. Nie rozumiałem, czy chce żebym to pochwalił, czy też czeka, kiedy skrytykuję tę brzydotę, którą zapewne poprzednik jego zesześcił kościół, bardzo stary i poważny.

Nareszcie ksiądz proboszcz nie może już doczekać się, żebym objawił swoje zdanie. Wskazuje mi palcem okna kościelne i pyta:

— Cóż Pan na to?

Mój Boże, co ja na to? Ja widzę z boleścią, że dawne okna, należące do budowy kościoła, zostały zniszczone. Ich nadpróża górne wyrębane, belki ścienne nad niemi powycinano w łuki przegięte (t. zw. osłe grzbiety) a całe ościeże okienne obito świeżo deskami, niezgrabną ciesielską robotą powyrzynanemi we wzory przeźrocze, przypominające owe klatki i domki z deseczek cieniutkimi piłkami stalowemi obrysowanych we wzory. Cóż tu powiedzieć: rzecz brzydka a w dodatku, oczywiście, aby wprowadzić tę rzekomą ozdobę, zepsuto bezpowrotnie dawne, może jeszcze gotyckie okroje ram okiennych. Ale być może, iż to dzieło mojego gospodarza i cicerona; więc ostrożnie odzywam się:

— A widzę.

— To ja to zrobiłem — rzecze proboszcz z dumą. Zostałem takie proste okna, prostokątne. A ja, widzi pan, już od najmłodszych lat mam coś takiego w naturze, że nie mogę znosić rzeczy brzydkich. Ja tylko lubię styl gotycki, i to ten dobry gotycki, w ł o s k i. Więc jak zostałem tutaj proboszczem, ile razy wszedłem do kościoła, mierzily mię te okna. Koniecznie pragnąłem, żeby były gotyckie. Ale żkąd wziąć do nich rysunek? Na miejscu mamy tylko cieśłów, oni przecież o takiej rzeczy wyobrażenia nie mają. Ja rysować nie umiem. Umyslnie sprrowadzać rysownika, rzecz na nasze stosunki za kosztowna, zbytek. Więc lata mijały. Ale wciąż myślałem, żkąd tu wzór dostać? Aż nareszcie

wymyśliłem. Niedawno, może rok temu będzie, przypominam sobie: mam tabakierkę, co mi darował na pamiątkę dawny mój dziekan, taką wykładaną. Jest na niej deseń gotycki. Myślę sobie: niech będzie z tabakierki, ale będą okna gotyckie. Pokazałem tabakierkę cieśli, i cóż pan powie: według niej zrobił okna. Powyrzynał dawne obramienia, narysował nowe ramy i właśnie na wiosnę powprawiał wszystkie. Tylko jedno stare zostało, za wielkim ołtarzem. Tam go nikt nie widzi.

Poszedłem zobaczyć za wielki ołtarz: rzeczywiście jest stare okno, w ramie dębowej, profilowanej, wprawdzie nie »włoskie« ale jedno prawdziwie gotyckie. Moje milczące rozpamiętywanie szkody, wyrządzonej przez wyrzucenie pierwotnych ram okiennych, przerwał dalszy monolog poczciwego proboszcza:

— Panie, co ja tu miałem roboty, co ja tu zastałem! Był w kaplicy ołtarz, taki jakiś dziwny bez sensu, niekościelny. Namówiłem jedną pobożną kobietę, dała 200 złr. Kazałem zrobić ołtarz gotycki, a stary wyniosłem pod dzwonicę, może go pan zobaczyć. Były różne kamienie, w podłodze, w ścianach, z jakimiś niezgrabnymi figurami; okropnie mi szpeciły kościół. Co mię to kosztowało! Musiałem je kazać wyjąć: leżą na cmentarzu. Miałem o to kłopot z kolatorem, chciał mię skarżyć. Ale ja się nastraszyć nie dam. Byłem na Sybirze panie, Moskalam się, panie, nie uląkł, to i szlachcica się nie ulękne. Przecież ja sam szlachcic, herbu Ogończyk; może pan widział ławeczkę plebańską przy wielkim ołtarzu, tam jest mój herb, bo to ja kazałem ją zrobić. I nie uspokoję się, póki jeszcze jednej rzeczy nie przeprowadzę. Ten sufit w kościele, to tam niby chwałą niektórzy, dlatego że stary. Ale mnie on się nie podoba, takie to płaskie, takie ciężkie. Muszę go wyrzucić; na jego miejsce chciałbym dać gotyckie sklepienie z desek, ot takie owalne.

I dla wyjaśnienia, złożył dwie ręce, zbliżając ku sobie końce palców w rodzaj ostrołukowego daszku.

Miałem ciężką robotę, nim dobremu staruszkowi wytłómaczyłem, że ten sufit jest największą osobliwością i artystycznym skarbem kościoła. Niechętnie przystał na jego zachowanie, a z ocalonego tego sufitu zapożyczył potem Matejko motywów do roślinnej części poetycznej polichromii chóru kościoła Maryackiego w Krakowie

Poszedłem obejrzeć wyrzucone kamienie i wyniesiony ołtarz z kaplicy. Kamienie były to nagrobki przodków kolatora, rzeźbione w czerwonym marmurze postacie rycerzy z XVII. w. Zapewne nie arcydzieła, płody sztuki prowincjonalnej, ale zajmujące swemi strojami, zbrojami, herbami. Po długich perswazyach i dyskusjach, proboszcz zgodził się na umieszczenie ich na powrót we wnętrzu kościoła. Ołtarzyk z kaplicy, snycerskiej roboty, wcale niezły zabytek XVII. wieku za zezwoleniem biskupa dostał się do jednego z muzeów, i wcale go nie »szpeci«.

Poznałem jeszcze niejednego typ w moich wycieczkach urzędowych. Między niemi kilka bardzo dodatnich; krótko o jednym wspomnę. Do jednej z wiosek podgórza karpackiego przyjechałem w samo południe.

Był to piątek. Zastałem proboszcza przy obiedzie. Postać poważna, siwy, choć nie bardzo stary, chudy, o wyrazie uduchowionym filozofa, niemal ascety. Siedział przy stole, na którym było mleko kwaśne, kilka jaj, ugotowanych na twardo i butelka piwa. Przedstawiłem się. Wstał i przysunął drugi stółek.

— Zapraszam do mojej uczy — rzecze — czem chata bogata, tem rada; to cały mój objad przy dzisiejszym poście.

Objad był skromny, ale rozmowa nader zajmująca i pouczająca. Ten człowiek dużo sam przesiadując, bardzo wiele myślał i miał poglądy oryginalne a głębokie. Obowiązki duszpasterza i kapłana pojmował bardzo sumiennie, owieczki swoje znał gruntownie, a mówił o nich z miłością. Przy surowości dla siebie, był pobłażliwy dla drugich, a z ascezą osobistą łączył pogodę umysłu, nawet wesołość. Sposób wyrażania się miał dziwnie czasem jowialny.

Gdyśmy poszli do kościoła, wszystko w nim znał. Wiedział, jaki malarz malował który obraz, za którego proboszcza to było, kto rzeźbił rami i w którym roku. Zwracał mi uwagę na podpisy i daty tak zartate lub na tle ściemniałem umieszczone, że ich sam nie byłbym dostrzegł. Wiedział, co wryte lub napisane na tylnej stronie deski obrazowej. Wszędzie tam był, wszędzie sam zaglądał. Inne wiadomości zaczerpnął z rozczuływania się do metrykach i w aktach parafialnych, które sam porządkował. Przy tem od innych ludzi słyszałem, że tak samo zna parafię i parafian, jest w ciągłej z nimi styczności, często sam do nich chodzi, radzi, pomaga, opiekuje się nimi.

Przy wieku niepierwszej młodości zachował zdrowie czerstwe i młodocianą siłę fizyczną. Sam znosił mi drabiny i ławki przesunął, gdym chciał bliżej przypatrzeć się obrazom i odczytać napisy nagrobków wysoko wmurowanych.

Kościół wewnątrz był nietylko miły i schludny, ale niezwykle czysto utrzymany. Wymówiłem moje zdziwienie, bo niestety zjawisko to u nas niezczęste.

— Nic dziwnego, że czysto — rzecze ksiądz proboszcz — bo też kościelnego mam nielada. Codzień zamiata kościół, oto cały sekret.

Chciałem poznać ten wyjątkowy egzemplarz kościelnego.

— Już go pan znasz — odrzekł. — Sam pan, sam sługa. Parafia mała, uboga, nie stać jej na kościelnego. Świece zapalić przychodzi jeden dziad ze wsi, ale stary i chory, nie dałby rady zmiataniu. Mnie to nie dziwne. Byłem w klasztorze, bo początkowo miałem być zakonnikiem, to nieraz się tam zmiatało.

Słońce miało się ku zachodowi, trzeba mi było odjeżdżać. Proboszcz prosił, żeby wstąpić na chwilę na plebanję. Jakże tu odmówić? Wprowadziwszy mnie do pokoju jadalnego, mój gospodarz wyszedł. Za chwilę wrócił z butelką, z bochenkiem chleba razowego i z masłem!

— Musi pan wypić kieliszek wina. Z góry przestrzegam, że nie *bonum vinum*, tylko *bonus vinum*. Ano, jakie jest, takie jest. Mam

dobre wina, doskonałe, całą piwnicę... w Krakowie, u Gralewskiego. Ale cóż, nie zapowiedział pan swoich odwiedzin, nie mogłem się przygotować, a teraz posyłać byłoby późno. Ja bywam w Krakowie, nawet często. Przecież wiadomo, że co miesiąc odwożę tysiąc reńskich do Kasy Oszczędności. Ale przyjęć nie urządzam, okrzykli mi też w okolicy, zem skąpy.

Ofiarowałem się, że mogę tym razem wyręczyć księdza proboszcza i zabrać wkładkę do Kasy Oszczędności, bo wracam do Krakowa.

— Kiedy właśnie wczoraj odwożłem tysiąc reńskich — odparł śmiejąc się serdecznie.

Nie chciał mówić o sobie i swoich stosunkach, ale po drugim i trzecim kieliszku cienkusa udało mi się zanego kapłana pociągnąć za język. Niechętnie i urywkowo powiedział mi kilka szczegółów, z których dorozumieć się mogłem reszty. Uposażenie probostwa i stosunki tej maleńkiej parafii wiejskiej są takie, że proboszcz żyje po prostu niemal w nędzy. Wpłynęły na to polityczne przejścia kraju. Przy rozdziale dyecezyi kieleckiej od krakowskiej i regulacyi majątków duchownych parafia straciła całe swoje uposażenie i sprowadzoną została do terytorjum minimalnego. Przez dłuższy czas nie była nawet stale obsadzoną, bo żaden ksiądz nie chciał tego *beneficium*, nie można było z niego wyżyć. Była nawet chwila, iż myślano o zniesieniu parafii i przyłączeniu wsi do parafii sąsiedniej. Mój gospodarz był wówczas młodym księdzem. Z pewnej strony wywarło na nim nacisk. Powiedziano mu: chciałeś być zakonnikiem, chciałeś żyć w ubóstwie, możesz teraz jako świecki ksiądz pójść na ubóstwo. Parafii szkoda kasować, kościół jest piękny, ma swoje tradycje historyczne, parafia w miejscu potrzebna dla ludności.

I uległ namowom. Ma teraz ubóstwo od lat dwudziestu, ale jest zadowolony. Mało ma, lecz z biedą wyżył i dalej wyżyje. Sam wszystko musi robić, sług nie ma. Sam zamiata, własnymi rękoma wynosił kilkanaście korcy śmieci ze strychu, ale dzięki Bogu siły i zdrowie służy. A parafia została uratowaną i kościół dzwignięty z upadku.

Gdy mi to wszystko nie opowiadał, ale raczej dawał do zrozumienia, w słowach jego nie było ani szczypty żalu, niezadowolenia — nie było też ani żdbła przechwałki. Było wiele prostoty, i nawet wesołości, dobrego humoru.

Już to prawdziwym talizmanem w życiu jest poczucie spełnionego obowiązku, największym skarbem natura prosta, zdrowa fizycznie i moralnie.

Stanisław Tomkowicz.



„KRÓLEWNA SZKLANEJ GÓRY“.

(FRAGMENT).

—
AKT I.

Brzeg morski. Burza uciszająca się.

Scena 1.

Hilary, marynarz — **Herkules**, porucznik — **Formozyn**, młodzieniec pełen nadziei.

(Fala wyrzuca na ląd Herkulesa).

Herkules *(padając)*. Mój bok! ty łotrze bałwanie!

(Fala wyrzuca Hilarego).

Hilary. To ląd! Dzięki tobie, Panie!

(Fala wyrzuca Formozyna).

Formozyn. Żyj zdrów, śledziom na śniadanie!

(Wszyscy powstają).

Hilary. Ha, żyję i czuję ląd pod nogą!

Herkules. Do kroćset! te głupie bałwany
Człowieka czasem zbawić mogą.

Formozyn. Wylazłem jak Wenus z tej piany!

Hilary *(spozstrzegając Herkulesa)*.
Żyjesz, Druhu stary!

Herkules. Witaj, drogi Hilary!

Formozyn. A ja tu, trzeci do pary!

Herkules. I ty tu!

Hilary. I on tu!

Formozyn. I wy tu!

Wszyscy. Czy to złudzenie snu,
Że wszyscy żyjem wraz,
Jak było trzech przyjaciół nas?
Dalej podajmy dłonie
I cieszymy życiem się,
Kiedy nas morskie tonie
Nie pochłoneły, nie!

Herkules. Brawo, to przyjemna niespodzianka, jak gdybyśmy
byli rendez-vous wszyscy sobie dali.

Hilary. A nasz okręt, reszta naszych towarzyszy?

Herkules (*patrząc na morze*). Ba, ani śladu! albo teraz na dnie sapie po swej pracy, albo się w drzazgi rozsypał o tę przeklętą rafę. Requiescat!

Hilary. Nieszczęśliwi ludzie!

Formozyn. Ach, była tam jedna piękna dama z oczami gazeli... pokochała się we mnie, słowo honoru, ale nieszczęście chciało, że i ona musiała utonąć!... ach, ach!...

Herkules. Wzdychaj, wzdychaj! masz rację, bo co prawda lepiejby się było stało, gdyby ją jaki bałwan był szturknął tak jak nas i na piasku tu posadził. Otóż to do kroćset beczek nadzianych prochem, wszystkie nasze przyjemności i nadzieje dyabli wzięli!

Formozyn. Niestety!

Herkules. Człowiek wyjechał szukać szczęścia po świecie a zła-
pał guza na sam początek.

Formozyn. Och, fortuna!

Herkules. Patrzcie, przyjaciele! Czy widzicie, że jak daleko ten kraj widzicie, nie nie widzicie.

Hilary. Masz słuszność. Nigdzie śladu mieszkań ani ludzi, choć według moich wiadomości geograficznych nie powinno być w tych okolicach bezludnych wysep.

Formozyn. Pewnie tu ani połowy kobiety nie znajdzie! Och a przecież przez całe życie marzyłem o jakiejś posażnej księżniczce!

Herkules. Zdaje się więc, że piękne widoki mamy przed sobą. Mężny Herkulesie, zardzewiejesz na tej pustyni razem ze swym rapirem bez głośnych czynów, laurów i generalskiej szarfy. A ty, gładki Formozynie uschniesz jak stara wierzba bez rosy nadobnych westchnień i całusów! A ty, mądry marynarzu i geografie, będziesz chyba odbywał stąd podróże do księżycy w prostej linii nosa. Hu! do kroćset!

Formozyn. Moje piękne rodaczki, darujcie, zem was porzucił, goniąc za innymi — los pomścił się za was.

Hilary. Słuszna to może kara nas dosięgła. Trzej awanturnicy nie poprzestając na skromnym losie w ojczyźnie, wypłynęliśmy szukać przygód i fortuny; przeznaczenie dało nam poznać jak niedorzeczne i zarozumiałe nasze żądze, kiedyśmy dążyli wysoko...

Herkules. Nie trać nadziei; dojdziemy tam, kiedyśmy nie utonęli, powiesimy się z głodu lub rozpaczy.

Formozyn. Lub z tęsknoty!

Hilary. Nie rozpaczajcie. Wcześniej czy później nadpłynie jaki okręt...

Herkules. Tymczasem układajmy robinsoniady...

Hilary. Pracujmy, abyśmy nie pomarli z głodu.

Herkules i Formozyn. Och, Och!

Herkules. Zbudziłeś tym alarmem mój żołądek. Niema co mówić, po kąpieli człowiek dostaje apetytu.

Formozyn. To prawda. Jakie to błogie były czasy, gdy się szło z pięknymi damami pod rękę do eleganckiego, suto zastawionego table d'hôte!.. Na mój honor czuję jakąś woń...

Herkules. Ja także... Coś jak piżmo...

Hilary. Rzeczywiście; pewnie świeże powietrze tej wyspy...

Herkules. Jakiś szmer...

Formozyn. Lecz nie naokoło nie widać...

Hilary. Cicho!... jakaś muzyka pod ziemią czy w niebie...

Scena 2.

Poprzedni. Wielki duch, potem inne Duchy.

Wielki Duch (*wchodzi niewidzialny*).

Hej, duchy chochliki, poczwary,
Wraz niechaj rozpoczną się czary!
Czego potrzeba nam więcej?
Tu trzej dorodni młodzieńcy;
Gdy który serce gorące ma,
Los mu królowę i państwo da.
Hej, duchy, chochliki, poczwary,
Wraz niechaj rozpoczną się czary!
A najprzód, ty duchu snu!
Zjawiaj się tu!

Sen (*wchodzi*) Przychodzę na wezwanie.

(*Do rozbitków*) Zaspiajcie! Z mojej dłoni
Sypię zaczarowanie,
Sen po waszej sypię skroni.

Formozyn. Co się dzieje!
Ze sił opadam, mdleję.

Herkules. A niechaj piorun trzaśnie cię,
Ty natrętniku śnie!

Hilary. Ach, jakież sen uroczy
Na moje spada oczy! (*Zaspiają. Sen znika*).

Wielki Duch. A teraz duchy, całą gromadą,
Niechaj tu zlecą, na chmurach zjadą!

Chór duchów (*Zjawiając się*)
Lecimy, płyniemy, unosim się
Po kwiatkach, obłokach, po rosie i mgle,
My lżejsze niż lotna fiołków woń,
Jaśniejsze niż słońca poranna skroń.

Co powiesz, co każesz, mów, władeo nasz,
Na swoje posługi nas wszystkie masz.

Wielki Duch. Otoczcie tych młodzieńców kołem,
Ręką powiońcie im nad czołem,
Niech im się duszy rozjaśni wzrok,
Niech pojmą dziwną sprawę tok.

(Duchy okrążają rozbitków, tańczą)

Przez woli mej potężne słowo
Rzucić, królu, swoją cieśń grobową,
I we własnej swej postawie
Przybywaj tu!

Król *(Ukazuje się z pod ziemi)* Jawię się, jawię.

Wielki Duch Mów do tych ludzi, duchu tyrana.

Król. Ta wyspa jest zaczarowana, *(rozbitki robią przez sen poruszenie)* Przez moje bardzo ciężkie winy,

Bo byłem królem tej krainy,
Ale okrutnie w niej rządziłem,
Lud obdzierałem i męczyłem,
Nareszcie w szale złości dzikiej,
Gdym śmierć przeczuwał, już przy skonie,
Krzyknąłem: ze mną niech pochłonie
Ziemia wraz moje niewolniki!
I w tejże chwili (straszny cudzie!)
Wszyscy królestwa mego ludzie
I wszystkie sioła, miasta, grody
Zapadły w ziemię jak w głęb wody.

Wielki Duch Dość, Królu, wracaj, skąd przybyłeś!

(Duch króla znika)

A teraz dalsze idą czary.
Przybądzcie tu, dziewicze mary,
Nie z duszą ani z ciałem swem,
Lecz jak znikomy złudzeń dym,
Jak zdjęty obraz z ich postaci,
Co nic w ułudzie z prawdy swej nie traci.

(Postacie królowny Stelli, tudzież Bianki i Rozy ukazują się)

Chór Duchów. Młodzieńcy, patrzcie się!

Czyli widzicie je?

Prześliczne trzy dziewice —

Ach, jakie oczy, jaki włos i lice!

Stella, Roza, Bianka. Młodzieńcy, patrzcie w nas!

Co tutaj razem kras!

Gdzie takie trzy dziewice,

I takie oczy, taki włos i lice?

R
a
z
e
m

Stella, Roza, Bianka. Kto kochać zdolny z was,
 Otrzyma berło wraz
 I najpiękniejszą rękę,
 W nagrodę czynu i czułą podziękę.
 Czyż miłość obca wam?
 Czyż wasze serce kłam?
 Kto cenić zdolny wdzięki,
 Nagrodę z naszej odbierze ten ręki.

Rozbitkowie (*przez sen*) Ach, co za wdzięki, co za czar!

Wielki Duch. Dosyć już czarów i snów i mar!
 Rozpłyną się znowu w lekkim eterze,
 I ty królewno i fraucymerze!

(*Daje skinienie, postacie znikają*)

Na dzisiaj dzieło nasze skończone,
 Duchy, chochliki, każdy w swą stronę!

*Wielki Duch i Duchy znikają, śpiewając albo: Lecimy, płynie-
 niemy itd., albo: Kto kochać zdolny z was i t. d.*

Ze sceny 4-ej.

Pustelnik (*do rozbitków*) Przy zapadnięciu się wyspy taki zara-
 zem wyszedł wyrok Wielkiego Ducha, że jeśli na tę bezludną wyspę,
 do nieprzystępnego zamku na Szklanej Górze przybędzie jaki młodzie-
 niec, nim księżniczce dwadzieścia lat minie, i pokocha ją szczerze,
 stale i statecznie, natenczas wyspa cała i jej mieszkańcy wrócą do
 pierwotnego stanu, a ten młodzieniec królem tu zostanie.

Formozyn. Otóż nasz sen teraz wyraźny!

Adam Belcikowski.



NOTATKI Z KRAKOWA.

(»Związek literacki« a »Koło«, — Wystawa obrazów niewieścich. — Koniec sezonu teatralnego i sześćciolecia dyrekcji Pawlikowskiego. — »Bunt Napierskiego« i »Nowa Dejanira« — Pożegnania. — Sprostowanie. — Przybyszewski).

Kraków 22. lipca 1899.

Tutejszy »Związek literacki« wziął rozbrat z »Kołem literacko-artystycznym«, u którego od początku swego kątem mieszkał i z dniem 1. b. m. wynajął osobny, prowizoryczny lokal przy ulicy Szpitalnej. Fakt ten był zdawna przewidywany, gdyż obie te instytucje, jakkolwiek pokrewne celami, nigdy ku sobie nie czuły sympatii. Komunikat sekretaryatu »Związku« rozesłany do członków rozpoczyna się od wyrazów: »Wskutek wypowiedzenia lokalu ze strony »Koła« i t. d.« Dlaczego obecnie właśnie wydział »Koła« zdecydował się pozbyć swego lokatora — nie wiem, z kilku stron jednak słyszałem twierdzenie, iż przyczyną tego była sprawa obchodu jubileuszu Puszkina, czego inicjatywa wyszła od profesora Zdziechowskiego, który areygorliwie zajmował się urządzaniem bankietu, a jakkolwiek »Związek« udziału w tem nie brał, to jednak nie dobre to miało sprawić wrażenie, iż jego prezes, wspomniany profesor Zdziechowski pracował tak żarliwie nad uczczeniem zasług rosyjskiego poety. Ponoć członkowie »Związku« wypisują się pomimo zniżenia wkładki z trzech koron na dwie, to też istnienie tej instytucji, które co prawda było do tej pory sztucznie podtrzymywana vegetacją, jest obecnie nawet w tym stanie silnie zachwiane. A szkoda, bo »Związek literacki« miał i ma rację bytu, cierpiał jednak na brak sił w postaci małej ilości członków i na anemię w kierownictwie.

Dlaczego niewiasty malujące urządziły w Sukiennicach osobną swą wystawę — nie wiadomo. Łamią sobie nad tem daremnie głowę i artyści-malarze i znawcy i amatorowie sztuk pięknych. I gdybyż to jeszcze było co wystawiać. Już dawno na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych, jak wiadomo, odznaczającej się tu wielką ruchliwością, nie widziano tak wielkiego zbioru... lichot. Wyjątek stanowią płótna, które na każdej wystawie zwracać będą uwagę talentem jak Olgi Boznańskiej, Anieli Pająkówny i Zofii Stankiewicz; prócz tych zdradzają zdolności pędzle pań Kanigowskiej, Podlewskiej, Miecz. Boguckiej z Warszawy, Maryi Eliaszy, Palecznej i Bierkowskiej. Innym niechaj bogowie przebaczą rozrzutność i marnowanie płótna i farb — ja nie mogę. Nad siłę to normalnego oka.

Sześćciolecie dyrekcji Pawlikowskiego zakończyło się w dniu 16. lipca b. r. »Zemstą« Fredry w częściowo nowej obsadzie, z której wspomnieć należy o p. Zawadzkim poprawnym cześniku; takimże rejencie p. Węgrzynie oraz o zupełnie nieudanej postaci Papkina, kreowanej przez p. Siemaszkę w rodzaju operetkowym, o tanich efektach, obliczonych na oklask galeryi. To go też nie zawiodło. Inni artyści z wyśmienitym Dynalskim Kamińskiego grali dobrze. Po za tem koniec sezonu teatralnego

cechowała w kierownictwie ta sama *quasi* magnacka fantazyjność, o której w poprzednich notatkach dłużej pisałem. Bo czyż nie tem mianem ochrzcić należy sprowadzenie na koniec czerwca i połowę lipca takich sił, jak Siennicka, Trapszówna i Śliwicki i dawanie między innymi przedstawień popularnych, w których honorarium powyższych artystów i kosztą dzienne poczwórnje przewyższały dochód. Może celem tego było usiłowanie pozostawienia siebie w dobrej pamięci u publiczności lub chęć utrudnienia zadania następcy, co zresztą widoczne jest i w innych szczegółach.

»Bunt Napierskiego« Kasprowicza doznał tu w ogóle dodatniego przyjęcia, do czego prócz rzeczywistych zalet utworu, sporo przyczyniły się piękna wystawa i przeważnie dobra gra artystów, z których na pierwszym miejscu postawić należy p. Węgrzyna. Artysta ten, (nawiasem zauważyć należy: arcypożyteczna siła teatru krakowskiego), z nadzwyczajną obserwacją stworzył typ górala sołtysa z Czarnego Dunajca Stanisława Łętowskiego, zwanego »marszałkiem«. Wyjątkowo co do tej postaci pozwałam sobie zrobić rzadki wyjątek i nazwać grę aktorską twórczością, na którą to nazwę tylko w bardzo nielicznych wypadkach zgodzić się można. Góral Węgrzyna począwszy od świetnej charakterystyki, ruchów, gestów i znakomitej dykeyi, podsłuchanej muzyką uchem a skończywszy na pojęciu postaci inteligentnie opracowanej z prawdziwie artystyczną intuicyą i z wrażliwością, był skończonym w całym słowa znaczeniu. Węgrzyn rolą tą posunął się wybitnie w swej karierze. Miękkim, niezdecydowanym, jak chciał autor, Kostką Napierskim, który w czasie ataku dragonów królewskich na Czorsztyński zamek romansuje z dziewczką miasto czuwania, by go nie zdradzono, — był dawny ulubieniec publiczności krakowskiej, obecnie artysta teatru Romaitości w Warszawie p. Śliwicki; typowym fanatykiem, rektorem szkoły peimskiej, Radeckim p. Stępowski, a udatnie wykonanym Wasylem Czepcem p. Mielewski. Pan Solski i Siemaszkowa, pierwszy jako karczmarz Mojsze, druga jako kochanka Napierskiego, Hanusia, jak zawsze z arylzmem oddali swe role. W sztuce jest nie zbyt naturalna postać Salki Nieznanej, rzekomo byłej kochanki króla Władysława IV., a matki Kostki, która nieco za mądrze rozprawia i filozofuje, jak na Salkę Nieznaną. Rola ta we Lwowie da popis waszej znakomitej Gostyńskiej; tu była za wielkim i trudnym ciężarem dla dobrej w właściwym rodzaju p. Krysińskiej — Węgrzynowej.

Wielce szczęśliwie sięgnęła dyrekeya do skarbnicy Słowackiego wystawiając trzykrotnie d. 8, 9 i 14. lipca »Nową Dejanirę« (»Nieoprawnych«). Rzecz, pomimo upływu pół wieku, słucha się dziś z nadzwyczajnym zajęciem, nie gasnącem do końca, a jakąż rozkosz niewymowną dają cudowne, boskie rymy! Artyści prócz pań Bednarzewskiej, która prześlizną tyradę dziewicy Polki wypowiedziała bezdźwięcznie i niezrozumiale i Otrembowej, rolę której powinna była grać p. Wolska, wyszli z postaci stworzonych przez geniusza zwycięsko. Z pietyzmem dla wieszczca, inteligentnie pomyślała i wykonała rolę hr. Idalii znana z sumiennego opracowania ról p. Siennicka, Trapszówna była wdzięcznym

podlotkiem Stellą, typowem w charakterystyce i w grze hr. Respektem p. Kamiński, udałym Dafnickim p. Śliwicki; niemniej jak i Stępowski (ksiądz), Roman, (major) i Zawadzki. Ostatni powinien goręcej chwycić Jana zesłanego na Sybir, w żołdacy.

P. Tadeusza Pawlikowskiego żegnali uczłą miłośnicy teatru, a następnie artyści. Pierwsza odznaczała się brakiem, jak tu nazywają, »kitu« a więc chłodem, druga ochotą i ponoć ciepłem. Dla ulubieńców swych, (Solski, Śliwicki, Węgrzyn, Siemaszko, Trapszówna, Siemaszkowa, Bednarzewska) b. dyrektor był przyjacielem, dla ogółu jednak tj. dla ciała aktorskiego teatru krakowskiego nie nie działał, a już bardzo poważnym zarzutem jest fakt, iż sprawy założenia funduszu emerytalnego zaniedbał lekceważąco do tego stopnia, iż nowy dyrektor musi zacząć w tym kierunku pracę od początku prawie.

Poprzednie me doniesienie z numeru lipcowego o zawieszeniu wydawnictwa »Życia« winienem sprostować, gdyż, jak donosi redakcja tego pisma w słowie wstępem numeru z d. 5. lipca b. r., w przyszłości organ »młodej Polski« (?) wychodzić będzie jako miesięcznik, na który łożył ma nowo pozyskany filantrop p. Jaroszewski. Wspomniane słowo wstępne, którego autorstwa wyparł się publicznie, (nb. już po raz wtóry w r. b). p. Przybyszewski, urąga najprostszym pojęciom przyzwoitości, i zasługuje na przemilczenie a gdyby nie konieczność sprostowania mylnej wieści opartej swoją drogą na enuncypacjach we Lwowie redaktora, nie wspominałbym o niem, zwłaszcza, iż je dosadną a wysoce sumienną odprawą zaszczytyły już wasze dzienniki. Dziwna rzecz jak ten Przybyszewski, którego tu tak gorąco, tak gościnnie przyjęto przed dziewięćmi miesiącami, tak niewdzięcznie postarał się o wymazanie z pamięci. Zda mi się, że za wiele żądał a za mało chciał, czy mógł dać...

Kazimierz Czapelski.



Malarstwo i rzeźba.

Marceli Harasimowicz i jego szkoła malarstwa we Lwowie.

Między malarzami — podobnie jak między uczonymi — są tacy, którzy idąc naprzód, dróg nowych szukają i tworząc swe dzieła jedynie sztukę dla sztuki mają na względzie, i tacy, którzy również w interesie sztuki i piękna popularyzują to, co zdobyli własnym talentem i pracą. Do rzędu tych drugich, (powiedzmy z góry: bardzo nielicznych



MARCELI HARASIMOWICZ

u nas malarzy), należy Marceli Harasimowicz, twórca i kierownik szkoły malarstwa we Lwowie.

Szkoła ta, aczkolwiek istnieje już blisko lat dziesięć, bo od jesieni r. 1890, i aczkolwiek z roku na rok szersze zastępy uczniów i uczennic gromadzi, nie zdobyła sobie jeszcze dotychczas — dzięki obojętności naszego społeczeństwa — tak powszechnego i zupełnego uznania, jak na to bezsprzecznie zasługuje. Szkoła ta bowiem, stanowi nietylko wyborny kurs przygotowawczy dla tych, co czując w sobie iskrę Bożą i pragnąc w przyszłości wyłącznie poświęcić się malarstwu, gruntownych szukają

początków, ale jest zarazem także jedyną u nas tego rodzaju akademią artystyczną dla młodzieży, co mając w duszy pojęcie i poczucie piękna, usiłuje uzupełnić, wyrobić i utrwalić swoje estetyczne poglądy.

W starożytnej Grecyi, w czasie jej najwyższego, duchowego rozkwitu uznawano, że dla zupełnego wykształcenia człowieka potrzeba, aby dusza jego była przystępną wszystkiemu, co piękne, w jakiegokolwiek to piękno objawia się formie. Istniały więc publiczne akademie, w których, oprócz filozofii i krasomówstwa, uczono także muzyki, poezyi, rzeźbiarstwa. Dziś, chociaż wmawiamy w siebie z nadętością pawią, że nasz poziom estetyczny bynajmniej nie jest niższy, doszliśmy jednak do tego, iż poczucie i pojęcie piękna zatraciły się u szerszego ogółu prawie zupełnie. Malarstwem i rzeźbą interesują się na seryo tylko nieliczni, poezyi uczy się młodzież przeważnie prawie w t. z. „wypisach“, nauka muzyki krystalizuje się w przyswojeniu sobie mniej lub więcej znośnej wprawy w bębnieniu na fortepianie... A przecież, jeżeli kiedy, to obecnie, gdy prozaiczna walka o chleb ruguje na drugi plan wszelkie ideały, należałoby troskliwie baczyć na to, ażeby na drogę życia dać duszom młodzieży tyle przynajmniej poczucia poezyi i piękna, ile potrzeba, ażeby czuć wstręt do tego, co brzydkie jest i niskie.

Harasimowicz zakładając swoją szkołę, zasłużył się tedy wielce — choć może bezwiednie — naszemu społeczeństwu i warto, aby się z tą jego szkołą zapoznać bliżej.

Zanim przystąpimy do tego przedmiotu, wypada, abyśmy podali krótką charakterystykę dotychczasowej, osobistej działalności artystycznej jej twórcy.

Marceli Harasimowicz urodził się w Warszawie w r. 1859, liczy więc obecnie równo lat 40. Wstąpiwszy jako kilkunastoletni młodzieniec do szkoły matejkowskiej w Krakowie, zwrócił tam rychle na siebie uwagę, zarówno talentem jak i niezwykłym zapałem do pracy. W roku

1882 otrzymał stypendyum krajowe na dalsze kształcenie się zagranicą i do roku 1885 był kolejno uczniem najpierw słynnego Wurzingera w Wiedniu, następnie prof. Lindenschmidta w Monachium. Tam powstały też pierwsze jego obrazy, przeważnie rodzajowe, jak: »Złodzieje jabłek«, »Zdobyczkruków«, »Kwieciarka« i inne. Wróciwszy z końcem r. 1885 do kraju i osiadłszy na stałe we Lwowie, poczuł w sobie pociąg do malarstwa portretowego i zaczął pracować w tym kierunku, zrazu pod okiem znanego portrecyisty ś. p. Andrzeja Grabowskiego, potem zupełnie samodzielnie. Długi szereg portretów wykonanych od r. 1885 aż po



PORTRET ZYBLIKIEWICZA

chwilę obecną, (między którymi na szczególną wzmiankę zasługują portrety: marszałka kraj. Zybkiewicza, Oktawa Pietruskiego i Leona ks. Sapiehy), przynosi prawdziwy zaszczyt artyście, choć nie stanowi bynajmniej kresu jego twórczości. Namalował w tym samym czasie kilka mniejszych obrazków rodzajowych i kilka obrazów treści religijnej, (z tych ostatnich wymienić należy: »Strącenie aniołów« — w ołtarzu jednego z kościołów podmiejskich i »Św. Jan Kanty, cud czyniący« — w bocznym ołtarzu kościoła Klarysek we Lwowie), przerzucił się Harasimowicz z początkiem lat dziewięćdziesiątych do pejzażu i już jeden z pierwszych jego w tym rodzaju obrazów, przedstawiający »Zachód słońca«, zjednał mu nie tylko jednomyślne uznanie krytyki, ale i powszechną zwrócił na niego uwagę. Wszystko, co artysta od tego czasu w dziedzinie pejzażu namalował, nosi na sobie cechę niepospolitego talentu i śmiało powiedzieć można, że ten właśnie kierunek leży najbardziej w zakresie jego zdolności. Patrząc na malowany przez niego kraj-obraz, widzi się odrazu, że pochwycił go on żywcem z natury, którą rozumie i odczuwa. Po za tem, ma artysta ten rzadki przymiot, że nawet pejzażom, będącym wierną kopią przyrody, umie nadać właściwe jakieś piętno i wywołać niemi w duszy widza nastroj odpowiedni. Bez popełnienia grzechu przeciw prawdzie, możnaby pejzaże jego nazwać »nastrojowemi«.

W wykonaniu swych dzieł nie hołduje Harasimowicz żadnemu z modnych kierunków, nie zapoznaje jednak pojedynczych stron dodatnich, jakie w nich odnaleźć można i umiając oddzielić ziarno od plewy, nieraz z owych ziaren korzysta. »Specjalistą« jest Harasimowicz w malowaniu wody, a zwłaszcza bagien i moczarów, tudzież powietrza. W obrazach jego jest też woda istotnie elementem żywym, a powietrze, mimo całej intensywności barw, jakich artysta dla oddania go używa, zawsze przejrzystem i odpowiednio nasycenem światłem, na czem ogro-



MARCELI HARASIMOWICZ: Krajobraz

<http://rcin.org.pl>

mnie zyskuje perspektywa. Nie wynika z tego, ażeby Harasimowicz był plenerzystą; krajobrazy swe stwarza on na podstawie długich i gruntowych studyów; do każdego momentu, do każdego szczegółu obrazu zbiera wpierrw po kilka a nawet po kilkadziesiąt szkiców. Ma w swojej pracowni takich szkiców około tysiąca.

Nadwyzczajna pracowitość i sumiennność w wykonaniu są też zasadniczymi cechami talentu artysty, a przymioty te, dodane do jego długoletnich i gruntownych studyów w każdej prawie dziedzinie malarstwa, jak niemniej rozległe jego wiadomości teoretyczne, czynią z niego człowieka jakby stworzonego na kierownika szkoły.

Przypatrzmy się tej szkole bliżej.

Mieści się w pracowni artysty, przy ul. św. Mikołaja l. 15. Wchodzimy. Pokój przestronny, choć niezbyt duży, niezwykle widny, słoneczny. Mnóstwo sztalug z rozpiętymi płótnami, kilka krzeseł i taboretów, w jednym kącie olbrzymi stos szkiców i tek z wzorami; na oknach i na stoliku porzucone po pracy palety, na ścianach mnóstwo gipsowych »aktów« i dekoracyjnych »kawałków« — słowem, typowa pracownia malarska, różniąca się tem chyba od innych, że jest utrzymana starannie i w możliwym porządku, prawdopodobnie — bez ubliżenia artyście — dzięki troskliwości jego małżonki. Witamy się z gospodarzem. Jestto mężczyzna średniego wzrostu, dość szczupły, o twarzy mającej wyraz ogromnie energiczny. Ocienia ją skąpy zarost, okrasza para oczu siwych, patrzących bystro a rozumnie.

Po przywitaniu pada nasz wzrok odrazu na dwa zupełnie na oko jednakie, obok siebie na sztalugach stojące płótna. Oba przedstawiają ten sam noený krajobraz: moczar leśny, ginący w pomroce.

— Cóż to? — pytamy — tworzy pan odrazu duplikaty?

— Nie, ten na prawo, to mój własny — wykańczam go na jesienną wystawę — a ten drugi, to kopia, robiona przez uczenicę.

Przypatrujemy się uważniej i dopiero wtedy spostrzegamy różnicę; w każdym razie, kopia wykonana wybornie. Oglądamy inne płótna — częścią będące na ukończeniu obrazu samego artysty, częścią kopie i obrazy, malowane pod jego okiem przez uczniów i uczennice.

Z prac artysty zwraca przedewszystkiem uwagę dość duże malowidło, przedstawiające śniegiem otulony kraj lasu. Po za nagieimi, w górę sterczącymi pniami widać puste pole, śniegowe wydmy, na które pada żółto-czerwony odbłask zachodzącego słońca. Kraj lasu nurza się już w jakimś tajemniczym, posępnym półmroku, dozwalającym jednak dokładnie rozróżnić postać męską, rozciągniętą pod drzewem. Kurczowe zgięcie członków tej postaci, krwawa plama na piersi, obłoczek dymu unoszącego się ku górze, wreszcie wyglądająca zdradliwie ze śniegu lufa rewolweru wskazują, że przed chwilą zaledwie rozegrał się tu dramat, spowszedniały swą treścią w życiu mas, niemniej jednak wstrząsający i okrutny dla tego, kto był jego autorem i bohaterem... Oraz jest jeszcze niewykończony, mimoto robi wrażenie, a ów niknący obłoczek dymu na tle poźęgalnego, słonecznego uśmiechu, wywołuje dziw-

nie rzewny nastrój. Skończył się dzień, skończyła się wesoła pieśń życia, huknął strzał i wszystko w mrok zapada...

— Jaki jest tytuł obrazu? — pytamy malarza.

— Koniec pieśni...

Zaiste, tytuł dobrany wybornie!

Na żądanie opowiada Harasimowicz następnie o swej szkole. Założył ją z początkiem października 1890 r. i zaraz w pierwszym roku znalazł dziesięciu chętnych uczniów i uczenie. W następnych latach liczba ta podniosła się do piętnastu, w ostatnim zaś roku przekroczyła dwudziestkę. Głównego kontyngensu dostarczają panie i — jak nas artysta zapewniał, — odznaczają się one większą, niż mężczyźni pilnością i gorliwością w nauce.

Nauka w szkole przystosowana jest ściśle do indywidualnych zdolności każdej uczennicy lub ucznia, a składa się zarówno z wykładów teoretycznych, jakoteż z praktycznych lekcji rysunku i malarstwa — akwarelą, farbami olejnymi, na drzewie i porcelanie. Naturalnie, lekcje praktyczne nie ograniczają się do kopiowania wzorów i obrazów; w miarę nabywanych wiadomości i wprawy przechodzą pupile do malowania wprost z natury. Widzieliśmy jeden taki obrazek, odtwarzający wazon pełen rozkwitłego bzu — i sumiennie wyznać możemy, że byłoby, jak na młodą uczennicę, robota bardzo udatna, wykonana poprawnie i z starannością wielką. Brakło może owemu bukietowi nieco plastyki, ale były to też dopiero pierwocyny talentu. Wogóle, wszystkie prace uczenie i uczniów, jakieśmy oglądali, świadczą korzystnie zarówno o ich pracowitości, jak niemniej o dobrej metodzie nauczyciela. Że praca tego ostatniego nie idzie na marne, świadczą choćby sukcesy, jakie na polu rzeczywistego malarstwa osiągnęło wielu z jego uczniów i uczenie. Szwejkowska-Rittner, której obrazy cieszą się takim powodzeniem w Wiedniu, Olpiński w Paryżu, Szayerówna we Lwowie — wszyscy oni wyszli ze szkoły Harasimowicza. Niektórzy znów, odebrawszy tu pierwsze początki, kształcą się obecnie dalej za granicą, jak: Paparówna w Monachium, Brühlówna w Wiedniu i w. i.

Pomijając jednak nawet te odznaczenia się jednostek, uznać należy niezaprzeczoną pożyteczność szkoły M. Harasimowicza już dla tej jednej racji, że corocznie wychodzi z niej kilkanaście młodych panien, wykształconych estetycznie, z wyrobionem poczuciem smaku i piękna, a nadto, uzdolnionych fachowo do tyle pożytecznego stosowania sztuki w przemyśle domowym. Do jakiej zaś wprawy i artystycznej biegłości dochodzą niektóre uczenie w malarstwie ozdobnym, świadczy fakt, że j u r y powszechnej Wystawy krajowej w r. 1894 uznało za słuszne przyznać uczenicy M. Harasimowicza, pannie Helenie Dąbcańskiej medal złoty za malowanie na porcelanie.

Obecnie, do najlepszych uczenie artysty należą panny: Rump i Gostkowska, nie brak jednak i innych rozwijających się pięknie talentów. Wystawa prac wszystkich uczniów i uczenie, którą Harasimowicz w jesieni urządzić zamysła, nastęrczy szerszej publiczności dobrą

sposobność do zapoznania się bliżej ze szkołą i z rezultatami udzielanej w niej nauki. Być może też, że rozumniejsza część naszego społeczeństwa zainteresuje się wówczas żywiej tą instytucją, a może wreszcie i kraj uzna za stosowne zaopiekować się nią i poprzeć odpowiednio usiłowania zasłużonego artysty.

Is. K.

Tympanon dla nowego teatru we Lwowie. Artysta-rzeźbiarz p. Antoni Popiel kończy wielką płaskorzeźbę, która, ozdobi fronton trójkątny nad głównym wejściem do nowego teatru. Kompozycya obejmuje dziesięć figur i akcesorya. W środkowej grupie widzimy starca, siedzącego na kamiennym sfinksie, przy nim młodzieniec klęczący przysłuchuje się nauce życia. Po prawej stronie tańcząca para, dalej bachanalia z tygrysem (panterą) i instrumenta muzyczne. Po lewej stronie grupa, przedstawiająca porwanie dziewicy, dalej konający rycerz i opłakująca go niewiasta, trójnóg i orzeł. Rzeźba ta będzie z cementu i z hydraulicznego wapna. Odślonięcie jej ma nastąpić w połowie września b. r.

Konkurs artystyczny. »Salon artystyczny« w Warszawie ogłasza »Konkurs na motywa dekoracyjne z kwiatów i roślin«, dając pragnącym przyjąć w nim udział największą swobodę tak w wyborze pomysłów, jakoteż środków wykonawczych. Osoby, pragnące wziąć udział w konkursie, powinny do dnia 1. października b. roku nadesłać przeznaczone nań utwory do »Salonu artystycznego« Nowy Świat nr. 27. kładąc na nich godło lub znak. Wraz z utworami należy nadsyłać zapieczętowaną kopertę z nazwiskiem i adresem, a zaopatrzoną podobnymże godłem lub znakiem. Konkurs rozstrzygnięty będzie w sześć tygodni po otwarciu wystawy nadesłanych nań dzieł sztuki, to jest 15. listopada b. r. Nagród przyznanych przez »Sąd konkursowy« będzie dwie: pierwsza w ilości rs. 200 druga w ilości rs. 75. Oprócz wyżej wymienionych nagród będzie jeszcze trzecia »od zwiedzającej wystawę publiczności«. Każdy ze zwiedzających wystawę będzie mógł dać głos jednemu z utworów, rzucając kartkę do przygotowanej w tym celu puszki.



M U Z Y K A.

Z Warszawy. Korespondencya niniejsza dotyczy końca czerwca oraz pierwszej połowy lipca, na drugą już bowiem — mówiąc stylem pewnego librecysty — »uniósłem obecność swą z Warszawy«. W owym okresie życia zajmowali nas niemal wyłącznie lwowianie, czy to występujący w Teatrze Wielkim czy też w gmachu cyrkowym.

O powodzeniu p. Górskiego w »Goplanie« i w »Halce« wspominałem poprzednio, lecz kilka słów uzupełnienia należy się artyście, zyskującemu w każdej nowej roli — zwłaszcza pod względem aktorskim; skrupowany zrazu a raczej nieobeznany z warunkami sceny naszej, swobodniejszym okazał się w »Lohengrinie«, (Telramund), lepszym jeszcze w »Pajacach«, w »Traviacie«, w »Strasznym dworze« (Miecznik), bez zarzutu zaś — w »Aidzie«, jako król Etiopów. Dbałość jego o grę odpowiednią, zdawanie sobie sprawy z ról i sytuacji, dobra charakterystyka przy wymowie wybornej, głosie dźwięcznym, niosącym, na najwyższych jeno (zbyt krytych, czyli wadliwie opartych) nutach pozostawiającym do życzenia i przy poprawności śpiewackiej — jedną mu tutaj coraz większe uznanie, wskazując zarazem siłę, istotnie dla sceny naszej pożądaną. Toteż — jak słyhać — ma być p. Górski na stałe zaangażowanym. Radzi byłibyśmy, gdyby sprawdziła się ta pogłoska.

Przydałby się Warszawie także i to bardzo Floryański, albowiem tenora uczciwego tak jak by nie miała teraz opera tutejsza; Myszuga od roku nie śpiewa a jeśli wystąpi — to gościnnie, Sienkiewicz nie domaga i wyjątkowo, (ostatnio w »Rycerskości«), zadawała wymogi artystyczne, Lewicki — tenor zresztą lekki, śpiewak niewyrobitny a lepszy jako aktor — opuszcza scenę, Wołoszko uczynił to dawniej a obecnie śpiewa partye barytonowe z powodzeniem wątpliwem, bo nie brak umiejętności, lecz temperamentu i uzdolnienia scenicznego bruździ mu w tym kierunku. Mamy tedy bezkrólewie, a na tronie zajmowanym przygodnie, albo przez włochów, chciało by się widzieć polskiego artystę — Floryańskiego np. lub Bandrowskiego. Pierwszy, związany jeszcze kontraktem z Pragą, drugi gość ma tu przez miesiąc, (od 28 b. m.), w teatrze lwowskim, może więc przyjdzie z nim wtedy do jakowych układów.

Cechą śpiewu Floryańskiego — zdrowie i mężkość obok umiejętności tudzież niepospolitego wyrobienia scenicznego. Potrafi wprawdzie artysta wypieścić frazę muzyczną, dobrym okazał się również w repertuarze włoskim, jednak najkorzystniej wychodzi we właściwym sobie zakresie ról bohaterskich, tutaj i głos przyjemnie a donośnie brzmiący i deklamacya i indywidualność jego zajmują żywo i ujmują, tworząc całość w szerszym stylu, jak w »Lohengrinie«, w »Pajacach« i w »Aidzie«. Z polskich oper śpiewał Floryański też w »Halce« i w »Hrabinie«; Jontka traktował, acz nie lirycznie, atoli dobrze i prawdziwie, w Kazimierzu mniej mi się podobał, może z przyczyny, iż nauczywszy się go dopiero tutaj, niedość był z rolą obeznanym i nie wyzyskał jej tak, jakby się tego po nim z kądną spodziewało. Śpiewa po czesku i po polsku, po polsku — mniej wyraźnie, gdyż nawykł do niekorzystnego wogóle układu ust w języku naszych pobratymców. Jednakże dzięki Floryańskiemu i Górskiemu, który śpiewa tylko po polsku, mieliśmy operę polską, zamiast włoskiej albo »babilońskiej«, ponieważ i siłom miejscowym pozwolono sekundować tamtych w tymże języku. Teatr był oczywiście wyprzedany. Okoliczności tej nie podnoszono bynajmniej w prasie, lecz wiedzą wszyscy *et nous autres*, jak dalece podnieść by się mogły w ten sposób akcyje opery włoskiej, chociażby nie importowano nam gwiazd obcych większego, czy mniejszego blasku...

W teatrze lwowskim po »Mikadzie«, granym ze 30 razy z rzędu, zagościła znów na parę tygodni »Noc w Wenecyi«, ustępując z kolei miejsca »Donnie Juanicie«. I ta zapewne przez czas dłuższy nie zejdzie z afisza, bo z wyjątkiem niedopasowanego tenora oraz temp, często niewłaściwych, idzie nawet lepiej niż poprzednia, treść jej przytem, wzięta z historyi hidalgów, posiada przynajmniej sens, jakiego nie masz w »Nocy weneckiej«, weneckiej chyba z powodu dekoracyj, gondoli, ubiorów i taranteli, po zatem wszakże typowo-wiedeńskiej, rozwalcowanej na potęgę i nawet nie gardzącej kankanem, godnym papy Offenbacha.

Tu i tam poznaliśmy bliżej nowe siły: pannę Schouppównę i p. Kozłowskiego.

O ile dublowanie roli Aniny z p. Bohussówną nie wyszło na korzyść p. Schouppówny, nie śpiewającej ale nucącej blade i głosikiem nikłym, o tyle tytułowa partya w operetce Suppého zaprezentowała tak dobrze spryt jej, swobodę i pomysłowość aktorską, że dla tych zalet wybaczało się snadniej dotkliwie jeszcze braki w śpiewie, domagającym się uprawy gruntownej, nie dyletanckiej.

Zgoła odwrotnie widło się p. Kozłowskiemu. Jako książątko z »Nocy Weneckiej« miał sposobność wykazać bodaj głos sympatycznie brzmiący i ruszał się jako tako, gdy w »Donnie Juanicie« opuściła go znów odwaga, razila zaś ciągle surowość śpiewu oraz drewniana iście nieruchawość jego.

Bardzo dobrze natomiast grał tu i śpiewał p. Bogucki, a i pp. Myszkowski z Lelewiczem charakterystyczną stanowili dwójkę, zachowując więcej w komizmie swym miary. Więcej także brzmiał i cieniował chór mieszany i więcej w ruchach miał ożywienia. Na pochwałę zasłużyła sobie również p. Kliszewska w roli głupiuchnej Ciboletty (»Noc wenecka«); użyteczność jej zresztą i zdolność znamy z lat poprzednich.

Czy trzymanie się jednej operetty aż do czasu, gdy sala zaczyna przeświecać pustką, jest wynikiem planu, potrzeby, czy też przypadku — nie wiem; możliwe to co prawda w Warszawie, wszelako częstsze zmiany w repertoarze pożądanższemi byłyby ponoć dla słuchaczy zarówno jak i dla teatru.

Szczęśliwy wzięta obrót sprawa powiększenia etatu orkiestry operowej Wielkiego Teatru, której zmęczenie i przeciążenie pracą nieraz dawało się we znaki dyr. Młynarskiemu podczas koncertów symfonicznych. Uznawszy powiększenie owo za środek zapobiegawczy, wystąpił energiczny dyrektor z wnioskiem do dyrekcyi i oto w skutku tego rozpisano już konkurs na kilkanaście otwartych w orkiestrze posad. Na artystycznym poziomie produkcji teatralnych i koncertowych odbije się to niezawodnie.

M. M. Biernacki.

TEATR.

Wieczorki humorystyczne Gustawa Fiszera wypełniły w najmniej odpowiednich warunkach salę teatru hr. Skarbka trzy czy czterokrotnie. Mimo ślicznych letnich wieczorów; mimo zaduchu i gorąca — że już nie wspominamy innych, mniej jeszcze ponętnych braków naszego przybytku sztuki, tłumy pospieszyły do teatru, zajęły tam wszystkie miejsca od góry do dołu, by obserwować pilnie i oklaskiwać serdecznie cały szereg typów, odtwarzanych tak przepysznie przez naszego ulubionego artystę. W ciągu trzech czy czterech wieczorów Fiszer zjawiał się na scenie coraz to w innej a tak odmiennej od poprzednich postaci, śmiech szalony witał go, towarzyszył mu podczas całego monologu i żegnał znikającego za kulisami artystę. Jakie typy przedstawia Fiszer? z jaką realną prawdą je odtwarza? wiemy wszyscy aż nadto dobrze, bo i Lwów i wiele miast i miasteczek prowincjonalnych niejednokrotnie, a zawsze chętnie, oglądały je i oklaskiwały. I dawnej daty nauczyciel szkółki ludowej, i emeryt, i karciarz, i chłop roztkliwiony śmiercią zacnej połowicy, i owa doskonała galerya typów żydowskich — wszystko to przesunęło się znowu przez scenę, wyposażone przez Fiszera w większy jeszcze niż dawniej zasób wprost z życia pochwyconych szczegółów i szczegółików, przyczyniających się w znacznej mierze do wypuklenia odtwarzanych postaci. Notując z przyjemnością pełne powodzenie wieczorów humorystycznych ulubionego przez Lwowian artysty, ślemy do niego prośbę, by dla nich nie zaniedbywał pracy scenicznej w właściwem słowa znaczeniu, gdyż tam czeka nań niejeden jeszcze laur, niejedo uznanie.

Teatr ogródkowy we Lwowie. Lwów do „ogródków“ stanowczo niema szczęścia. Wprawdzie za przykładem Bogusławskiego, który pierwszy teatr letni stworzył w ogrodzie Jabłonowskich, grywało czas jakiś niemieckie towarzystwo Krattera w Żelaznej Wodzie zaś stary Kamiński dawał podczas letnich kontraktów przedstawienia sztuk spektaklowych w ogrodzie pojezuickim — próby te wszakże, czynione przed laty, nie zdołały wzbudzić wśród publiczności tutejszej zamiłowania do tego rodzaju widowisk. Już za naszej pamięci były sezony letnie, gdy teatr lwowski pragnąc zerwać z tradycją corocznej wędrówki po obcych miastach, pozostawał na miejscu grywając z rozmaitem powodzeniem na Pohulance i na Strzelaicy Miejskiej, to znow w pocyrkowych budach przy dzisiejszej ulicy Marszałkowskiej lub Trzeciego Maja, wreszcie w powstałym w r. 1891 budynku na Podwalu. Praktyka wszakże okazała, iż Lwów, mimo aspiracji wielkomięjskiej, w sezonie martwym towarzystwa licznego, jakie grywa w gmachu skarbkowskim, utrzymać nie jest w stanie. Musi więc dyrekcya lwowskiego teatru szukać w lecie nowych źródeł dochodu w Krynicy, w Krakowie i w Warszawie, podczas gdy Lwowianie, przykuci obowiązkami zawodowymi do miejskiego bruku, zwykli w tym czasie szukać zaspokojenia swych potrzeb artystycznych w cyrku lub produkeyach muzyki wojskowej, odbywających się w rozmaitych ogrodach

i w ogródkach restauracyjnych. Sytuację tę wyzyskiwali dawniej przedsięwzięcy scen prowincjonalnych. Pamiętam niezły teatrzyk niemiecki Dietza w ogrodzie przy ul. Jagiellońskiej, gdzie później czas jakiś grywał z swem towarzystwem ś. p. Grafczyński. Cieszyła się też niezłym stosunkowo powodzeniem prowincjonalna trupa Lasockiego a i rozbitki teatru stanisławowskiego, goszczący u nas ubiegłego lata, na brak poparcia ze strony publiczności uważać się nie mogli.

Takj więc Lwów nawet w porze ogórkowej może zapewnić egzystencję niewielkiemu, lecz dobrze zgranemu towarzystwu dramatycznemu i dziwić się należy, że na tę okoliczność nie zwrócili w tym roku uwagi dyrektorowie lepszych trup prowincjonalnych, wegetujących bez szczególniejszego sukcesu w naszych zdrojowiskach. Placówkę przez nich zaniedbaną zajęła tego lata jakaś czwartorzędna »buda«, grywająca w ogródku hotelu »de Laus« przy ulicy Łyczakowskiej. Widzieliśmy w życiu kilkadziesiąt trup prowincjonalnych, lepszych i gorszych, grywających po stajniach i szafasach jarmarcznych, ale podobnej nędzy moralnej, trywialności i pogwałcenia wszelkich elementarnych zasad sztuki dramatycznej nie spotkaliśmy dotychczas. Artyści i artystki nie mówią, lecz ryczą, jak potępińcy, ruszają się gdyby marynetki, podkreślając płaskie dowcipy z brutalnym cynizmem, czemu z błogim uśmiechem przypatruje się agent policyjny, pełniący służbę w tym przybytku kwargli i kwaśnego piwa. Jeżeli nadto zaznaczymy aroganckie zachowanie się »pana dyrektora«, który z papierosem w ustach rozprawia się z publicznością, nie mogącą odnaleść swych miejsc numerowanych, to zrozumiemy łatwo głosy oburzenia, dające się słyszeć po każdym niemal przedstawieniu ze strony gości, w błąd wprowadzanych pochwalnemi wzmiankami, jakie tu i ówdzie pojawiają się w prasie o nadzwyczajnie udatnych produkcjach »Alhambry« — taką nazwę przybrał ów podementarny teatrzyk. Wzmianki owe przepuszczane nazbyt pobłażliwie przez niektóre pisma codzienne, są niezawodnie utworami młodzieńców, których tak świetnie charakteryzuje Reymont w swych powieściach teatralnych jako niezdrowy narybek dziennikarski, ujmę przynoszący godności prasy a szkodzący prawdziwej sztuce. I z tego także względu powstanie choćby tylko efemeryczne, »Alhambry«, do pomyślnych objawów w życiu naszego miasta zaliczać się nie może. S. P.

Autobiografia artysty. Z uczuciem szczerego żalu po zgąstym przedwcześnie, wielce użytecznym artyście sceny lwowskiej, ś. p. Ryszardzie Ruszkowskim, reprodukowujemy jego autobiografię, jaka znalazła się w naszej tece redakcyjnej. Skreślił ją ś. p. Ruszkowski w r. 1894, kiedy jeszcze w pełni sił i talentu pracował na scenie jako autor i artysta, z właściwym mu humorem, tworzącym zamienną cechą jego usposobienia. Oto co pisał w użytej nam notatee.

»Do Lwowa przybyłem w r. 1879. Debiutowałem w »Nietoperzu« (w roli Dra Falkego) i w »Pericholi« (jako książę). Zaangażowany przez ś. p. Jana Dobrzańskiego na bardzo skromnych warunkach, bo 35 zł. płacy miesięcznie, walczyłem z niedostatkiem a głównie z niezadowoleniem moralnem, gdyż prócz operetkowych ról — powierzano



RYSZARD RUSZKOWSKI

mi gości, kamerdynerów -- czasami hrabiów, w salonie nic nie mówiących. Raz grając takiego hrabiego ucharakteryzowałem się, jak można najstaranniej, nalepiłem bokobrody etc. Gdy mnie spostrzegł ś. p. Podwyszyński, zapytał: »Pan grasz kucharza?« Zmartwiło mnie to i przez cały wieczór zdawało mi się, że mam fartuch u pasa. Słowem, ciężka była moja dola, aż dopiero operetka »Zielona wyspa«, w której grałem rolę sekretarza z wielkiem powodzeniem, zwraca na mnie uwagę publiczności i prasy a głównie ś. p. Stanisława Dobrzańskiego, który, (już chory), uczęszczał jednakże do teatru. Zobaczywszy mnie w tej roli rzekł do ojca: »to jest talent, ale wy go zmarnujecie w operetce«.

Sam też wkrótce obsadził mnie na jedną z głównych ról w swojej farsie p. t. »Wujaszek Alfonsa« — (sztukę wówczas cenzura usunęła). — Od tej chwili stary Dobrzański, który kochał i wierzył w swojego syna, zaczyna się mną zajmować. Powierza mi większe role w komedyi, podwyższa gażę, słowem czuję, że jestem na drodze do kariery, aż tu obejmuje dyrekcję teatru Miłaszewski, który z początku nawet angażować mnie nie chciał mówiąc, że jestem »za chudy na aktora«...

Czegoż mogłem się spodziewać na przyszłość od dyrektora, który w ten sposób na wstępie zamarkował opinię swoją o mnie? I znowu walka przez cały rok, w którym chodziłem koło teatru, bo ról mi wcale nie dawano. W końcu, gdy pierwszorzędni artyści opuszczają Miłaszewskiego i jadą do Petersburga, dyrektor zmuszony został temu chudemu aktorowi powierzać główne role i wysuwa go na pierwszorzędne stanowisko. Od tej pory, mogę powiedzieć, datuje się czas mojej kariery scenicznej. W krótkce powraca do rządów w teatrze Dobrzański Jan i pomny na słowa swojego syna, podczas przedstawienia »Starych kawalerów, (grałem Voncourtois'a), przyszedł do mnie do garderoby, podwyższył mi gażę i uwolnił zupełnie od grywania w operetce, (pamiętny to wieczór dla mnie i pełen radości), później przyszły role w Miodzie kasztelańskim, (Sołoducha) w Lisie w Kurniku (Dr. Ogrzała), w Intrydze i miłości (Miller), w Naszych zięciach (Br. Pimbäche) w Górą nasi, w Rozbitkach, (Kotwicz) w Szach i Mat (Rejent) i t. d. Za dyrekcji Barączka wskutek nieporozumień wyjechałem do Krakowa, (w r. 1889). Względy publiczności od pierwszej chwili zyskałem.

Po czteroletnim pobycie w Krakowie, gdy objął rządy teatru miejskiego Pawlikowski, powróciłem na swoje stare śmiecie do Lwowa (1893), gdzie dotąd przebywam i jest mi dobrze. Z nowych ról grałem Ostrowskiego, »Intratna posada« (Iussof) »Wróble« (Franciszek) »Pan Senator« (Senator) »Pan Jowialski« (Szambelan), »Dwa Herby« (Forster) »Szkola kobiet« (Arnolf). W roku 1894 pojechałem do Warszawy na występy gościnne; grałem trzy razy »Damazy« (Rejent) »Teś« (Baltazar) »Oj mężczyźni mężczyźni«, (Kretoński). Można sobie wyobrazić radość moją, gdy po siedemnastu latach ujrzałem miasto rodzinne i scenę, na której stawałem pierwsze kroki, a gdy dodam, że teatr na moich występach był zawsze przepełniony, publiczność i prasa nadspodziewanie życzliwa, to muszę zaznaczyć, że był to drugi dzień prawdziwie szczęśliwy w moim życiu. Pierwszy, gdy ś. p. Jan Dobrzański zwolnił mnie od operetki — a drugi Warszawa.

LITERATURA.

Rocznik Krakowski. — W Krakowie — Nakładem Towarzystwa miłośników historii i zabytków Krakowa. — 1899.

Zawiazane przed dwoma laty w podwawelskim grodzie Towarzystwo miłośników historii i zabytków Krakowa rozwija się nader pomyślnie, dokumentując swe istnienie niezwykle ożywioną działalnością wydawniczą. Prócz dziewięciu zeszytów popularnej »Biblioteki Krakowskiej«, zawierających rozprawki Bąkowskiego, Łuszczkiewicza, Radzikowskiego i Sternschussa, wystąpiło Towarzystwo z tomem wtórym »Rocznika«, obejmującym prace źródłowe o poważnym charakterze naukowym. Na czele książki znajdujemy zajmującą pracę Władysława Łuszczkiewicza p. t. »Najstarszy Kraków na podstawie badania dawnej topografii. Jan Zubrzycki pisze o krakowskiej szkole architektonicznej XIV. wieku, Wyspiański o witrażach dominikańskich, Sternschuss wyjaśnia kwestyę godeł widniejących na starożytnych domostwach krakowskich, podając równocześnie szereg podobizn tychże, podczas gdy Chmiel mówi o znakach używanych na wyrobach nożowniczych. I polityczno-społeczna przeszłość Krakowa doczekała się należytego uwzględnienia w omawianej przez nas publikacji. Kutrzeba poświęcił obszerniejszą monografię rodzinie Wierzyńków, Tomkowicz przedstawił zarys organizacyi Szkotów, tyle ważną ongi odgrywających rolę w handlu i w przemyśle polskim, wreszcie Krzyżanowski opowiedział pokrótce dzieje politycznych zebrań krakowskiego mieszczaństwa. Tekst dzieła, tłoczonego ozdobnie, w formacie czwórkowym, urozmaicają 42 rycin i 3 tablice, wykonane w chroinotypii.

Juliusz Starkel Rok 1848. — Lwów. — Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. — 1899.

»Rok 1848« streszcza w sobie wszystkie zalety i wady prac feljetonowych, ukazujących się następnie w formie książkowej. Styl lekki i barwny, zręczne uogólnienia — oto dodatnia strona pracy p. Starkla, pobieżność w traktowaniu przedmiotu, luki w opowiadaniu, niewyzyskanie nowszych źródeł, odnoszących się do wypadków czterdziestego ósmego roku, to znow cienne strony dzieła, które nowych wiadomości o epoce w mowie będącej nie przynosi wiele. W szczególności wytknąć musimy autorowi zbyt epizodyczne traktowanie współczesnego ruchu polityczno-społecznego w Galicyi wschodniej oraz w mieście Lwowie, która to ewolucya dla tutejszych czytelników najwięcej

przedstawiąby mogła interesu. A jednak na brak materiału źródłowego piszący »Rok 1848« uskarżać się nie mógł, że wspomniemy tylko o protokołach Rady Narodowej Lwowskiej oraz o dyaryuszu Batowskiego, jakie się ostatnio znalazły w Bibliotece im. Baworowskiego, oddane już częściowo do użytku publicznego. Wyżyskanie owych dokumentów byłoby rzeczą bardzo pożądaną i przyczyniłoby się niewątpliwie do należytej oceny decydujących w tej pamiętnej dobie czynników.

Skorowidz król. Stoł. miasta Lwowa z planem miasta — We Lwowie. — Staraniem i nakładem gminy 1899.

Skorowidz nowszy naszego grodu był wydawnictwem tem bardziej pożądanem, ileż publikacye tego rodzaju, podejmowane w latach 1856—1889, oddawna już postradały wszelką wartość realną, zwłaszcza wobec szybkiego wzrostu miasta w ostatnim dziesięcioleciu. Dość powiedzieć, iż w ostatnim czasokresie przybyło 1.290 nowych domostw oraz powstało pięćdziesiąt nowych ulic. Opracowany świeżo skorowidz posiada wyłącznie cel praktyczny i zestawiony został na podstawie dat urzędowych tudzież informacyi, dostarczonych przez strony prywatne. Okazałych rozmiarów księga, obejmująca z górą 26 arkuszy druku, zawiera przedewszystkiem alfabetyczny wykaz ulic, dróg, placów, ogrodów, cmentarzy i t. p. miejsc publicznych z określeniem i objaśnieniem ich powstania, położenia i nazw, wykaz realności według alfabetycznego porządku ulic i placów z podaniem numerów konskrypcyjnych, wreszcie wykaz realności według części tabularnych. Ważny dodatek do omawianej publikacyi tworzy kolorowany plan miasta Lwowa.

Edward Przewoński: Krytyka literacka we Francyi. — Tom I. — Lwów — Nakładem księgarni H. Altenberga.

Jest to część większej pracy zgasłego przedwczesnie publicysty, który w szeregu studyów, związanych jednolitą myślą przewodnią, zamierzył dać zupełny obraz współczesnej literatury i krytyki we Francyi. Poczet studyów Przewońskiego rozpoczyna się właściwie od Emila Zoli, jako następcy Taina w krytyce współczesnej. Wydawca jednak, (A. Lange), umieścił na czele artykułu o Ferdynandzie Brunetierze, który, zdaniem jego, ma wypełnić do pewnego przynajmniej stopnia luki powstałe w pracy ś. p. Przewońskiego, badającego tylko te pisma, które się za jego czasów pokazały. Brunetière, podejmujący myśl Darwina i na tej zasadzie budujący system walki o byt i ewolucję rodzajów sztuki, daje nam zarazem obraz kompletnego rozwoju krytyki francuskiej. W dalszym ciągu studyów spotykamy obok Zoli kapryśnego Lemaitréa, Hennequina, Edwarda Roda, Emila Fagueta, wreszcie herolda nowej sztuki, Karola Morice'a. Artykuł o tym ostatnim uzupełnił Lange wzmianką o najmłodszym pokoleniu krytyków francuskich a nadto tekst oryginału zaopatrzył w dopiski, zawierające wiadomości o pisarzach, pominiętych przez autora, bądź też wzmianki o dziełach pisarzy przedstawionych w niniejszej książce, lecz ogłoszonych już po śmierci Przewońskiego.

Stanisław Bełza: Na Lagunach. — Wydanie II. Ilustrowane. — Warszawa 1899.

Turysta doświadczony — na taki tytuł zasłużył sobie bezwątpienia Stanisław Bełza, wzbogacający od szeregu lat naszą literaturę podróżniczą cennymi pracami — nie poprzestał w opisie królowej Adryatyku na ogólnikowych frazesach, mających ilustrować sumę wrażeń, odniesionych w tem mieście, jeno z olbrzymiego materiału, jakim rozporządzał, wybrał najbardziej zajmujące ustępy, dotyczące zarówno historii jak sztuki weneckiej i oświetlił je w sposób równie barwny, jak prawdziwy. Studium to jest zdaniem autora, tylko spowiedzią z indywidualnych jego spostrzeżeń, zebranych w tym jedynym na całym świecie grodzie, który jak Venus z piany morskiej, wyskoczył nagle piękny z otaczających go wód głębi. Rzecz pisana żywo, z prawdziwie artystycznym poczuciem piękna, budzić musi ogólnie zainteresowanie, jakiego dowodem jest niniejsze, drugie z rzędu wydanie książki. Zdobią ją liczne, dobrze wykonane ilustracye.

Józef Korzeniowski: O Hucułach. Z języka rosyjskiego przełożył i wstępem opatrzył Dr. Bronisław Czarnik. — Lwów — Seyfarth i Czajkowski 1899.

W papierach po zasłużonym powieściopisarzu i autorze dramatycznym ś. p. Józefie Korzeniowskim znalazł się całkowity przekład »Karpackich Górali« dokonany na język rosyjski przez samego autora prawdopodobnie w latach 1842—1845, podczas pobytu jego w Charkowie. Na czele przekładu umieścić autor-tłomacz kilkukartkową przedmowę. mającą zaznajomić społeczeństwo rosyjskie z nieznanym mu krajem i ludem. Oto geneza artykułu, którego przekładem i należytem komentowaniem zajął się z uznania goiłą starannością wydawca.

Bohowityn: Nasi Dekadenci. Powieść ze schyłku XIX. wieku. Tom I. II. Kraków. — Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Spółki. — 1899.

Wielce znamiennym obrazem naszego społeczeństwa w chwili bieżącej jest owa powieść, której autor, ukryty pod pseudonimem, zdradza przedewszystkiem niepospolity dar obserwacyjny. Pod względem literackim chromają potroszę »Nasi Dekadenci«, grzesząc i rozwlekłością i tonem zbyt moralizatorskim. Odrzuciwszy wszakże te wady, któreby kazały domyślać się w pseudonimie kobietę, przyznać należy, że dopiero co wymienione usterki wynagradzają sówicie i fabuła arcydramatyczna i charakterystyka wszystkich bez wyjątku figur, trafna, naturalna. Tendencja powieści streszcza się w powiedzeniu autora, czy autorki... »Zburzyliście stare idee a nic lepszego nie stworzyliście; budujecie swoje ołtarze na kruchych podstawach i giniecie pod ich gruzami«.. Trudno o bardziej lakoniczną i jasną zarazem definicyę niezdrowego prądu zatruwającego u schyłku gasnącego stulecia wszystkie niemal objawy tak życia publicznego jak rodzinnego. Kto winien? — pyta w końcowym ustępie powieści Bohowityn. »Czy może chore społeczeństwo, co wytwarza te prądy rozkładowe w swych dzieciach? Czy całe pokolenia, co się na nie składały? Gdzie winowajca? Znajdźcie go i rzućcie weń kamieniem!«... Kamieniomad winnych — łatwo. Trudniej wskazać skuteczne przeciw ogólnej niemocy lekarstwo. ...i.

Jan Nitowski: »Poezye« Lwów 1899. Nakład K. S. Jakubowskiego.

Zbiorek, wydany bardzo starannie, wywiera wrażenie nader sympatyczne. Wśród powodzi utworów rymowanych ostatniej epoki, dla szerszego ogółu częstokroć zupełnie niezrozumiałych, odbija on prostotą i naturalnością. Nie znajdziesz tu steku pięknie-brzmjących, pustych wyrażen, napręde ukutych dziwolagów językowych, napuszonych frazesów; spotkasz natomiast niejedną myśl głęboką, przybraną w barwne, mile nęcące szaty. Obok garści wierszyków drobniejszych, umieszczono w zbiorze »Poezyi« p. Nitowskiego utwory większe, jak »Walka Tytanów«; »Ostatni dzień«; »Ostatnie chwile Abelarda« i inne. Same tytuły świadczą najlepiej, w czym autor się lubuje. Talentu mu nie braknie, łatwość rymowania posiada wielką, styl jego i język czysty, barwny i staranny.

l. e.

Kronika żałobna.

Kordyan Ujejski, syn wielkiego poety, Kornela, obywatel ziemski, zmarł dnia 1. lipca r. b. w Tomaszowcach koło Wojniłowa, w powiecie kałuskim. Ś. p. Kordyan, obdarzony też talentem poetyckim, dał się poznać jako autor wielu mniejszych a bardzo wdzięcznych utworów wierszowanych, które ogłaszał w pismach peryodycznych pod pseudonimem »Szreniawa«. Tłomaczył też szczęśliwie Heinego. Przed laty próbował sił na polu literatury dramatycznej, a pełen polotu i prawdziwej poezyi obrazek dramatyczny p. t.: »Pierwiosniki«, miał dużo powodzenia na scenach polskich. Zgasł przedwcześnie, ku wielkiemu ubolewaniu wszystkich, którzy znając go bliżej, cenili w nim nie tylko utalentowanego, ale i pełnego serca i szlachetnych uczuć człowieka.

Odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnür-Pepłowski.



Warunki przedpłaty

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie
od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt IX.

Wrzesień 1899 r.

W E L W O W I E
NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
Z Drukarni E. Winiarza

1899

<http://rcin.org.pl>

T R E Ś Ć.

	str.
I. Swoje znać trzeba, przez Stan. Schnür-Peplowskiego	395
II. Beatrice, wiersz Zawrata	397
III. Nieznany list Słowackiego przez Wład. Mickiewicza	397
IV. Rada, wiersz Władysława Bełzy	400
V. Po pogromie cecorskim, przez Aleks. Czołowskiego	400
VI. Pani Walerya, nowela Bolesławicza	403
VII. Inteligencya u roślin, przez dra Jana Stellę Sawickiego	408
VIII. Z Rzymu, przez Ignacego Nikorowicza	416
IX. Malarstwo i rzeźba	419
X. Muzyka	424
XI. Teatr	428
XII. Literatura	430
XIII. Kronika żałobna	438



POMNIK SOBIESKIEGO WE LWOWIE.

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt IX.

Wrzesień 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z DRUKARNI E. WINIARZA

1899.



85 293

Swoje znać trzeba.

W ostatnim zeszyte naszego pisma zdając sprawę z nadesłanego do oceny drugiego tomu *Rocznika Krakowskiego*, wspomnieliśmy o zawiązanem w tem mieście Towarzystwie miłośników i zabytków Krakowa, które obrawszy sobie za zadanie: badanie przeszłości drogiej dla każdego Polaka stolicy dawnej Polski, obudzenie poszanowania jej pamiątek, gromadzenie ich do muzeum miejskiego, rozwija się już po dwuletniem istnieniu bardzo pomysłnie, zaznaczywszy swą egzystencję szeregiem naukowych oraz popularnych publikacyi, odnoszących się do dziejów podwawelskiego grodu.

Prócz dwóch tomów wspaniale wydanego, bogato ilustrowanego »Rocznika«, obejmujących przeszło dwadzieścia prac naukowych o przeszłości dziejowej, artystycznej i ekonomicznej Krakowa, ogłasza Towarzystwo popularną »Bibliotekę Krakowską«, w której w sposób jasny a przystępny dla dorastającej młodzieży, czy też dla kół rękodzielniczych, mówi się o ludziach w historii Krakowa zasłużonych, o ważniejszych zabytkach tej stolicy, o starodawnych jej obrzędach oraz zwyczajach. Nadto urządza Towarzystwo peryodyczne wycieczki dla poznania poszczególnych kościołów i dawnych budowli miejskich, podczas których prezes Towarzystwa, prof. Władysław Łuszczkiewicz daje licznie zgromadzonej publiczności stosowne objaśnienia. O zainteresowaniu szerszego ogółu działalnością Towarzystwa świadczy najlepiej fakt, iż instytucya ta, licząca pierwotnie 179 członków, posiada ich obecnie 327. Każdy z członków w zamian za uiszczoną wkładkę w kwocie czterech złr. w. a. rocznie, otrzymuje bezpłatnie wszystkie wydawnictwa Towarzystwa, którego cele popiera nadto Rada miejska poważniejszym, stałym zasiłkiem a nie brak też owej instytucyi hojnych ofiarodawców, ułatwiających jej działalność na każdym kroku.

To się robi w Krakowie, mniejszym o połowę i o połowę biedniejszym od urzędowej stolicy kraju, która w tym kierunku niczego dotychczas nie zdziałała.

Nie myślimy bynajmniej z tytułu owego formułować jakiegokolwiek zarzuty przeciw Reprezentacji Miejskiej, która wydawnictwami pamiątkowej publikacji p. t. Miasto Lwów w okresie samorządu, »Pism Józefa Bartłomieja Zimorowicza«, wreszcie ważniejszych dokumentów archiwalnych oraz wiadomości statystycznych dostatecznie złożyła dowody, że przeszłość dziejowa miasta nie jest dla niej obojętną. Nie ulega jednak wątpliwości, że wymienione dopiero wydawnictwa, mimo niezaprzeczonej wartości naukowej, nie przyczynią się nigdy do rozbudzenia w szerszych kołach ludności lwowskiej poszanowania dla pamiątek przeszłości, jakie się u nas szczęśliwie zachowały, tudzież znajomości historii miasta, jego przejść ciężkich i przeobrażeń, jakim Lwów z biegiem czasu ulegał. Niedarmo swoi i obcy pomawiają Lwowian o zanik lokalnego, że się tak wyrazimy, patryotyzmu, które to uczucie w razie zbytnej wybujałości przeradza się wprawdzie w śmieszny partykularyzm, ale podtrzymywane w miarę, dodatnie zwykło dawać razultaty. Przeciętny Lwowianin wiedział do niedawna z historii Galicyi: o łzach Maryi Teresy, wylanych przy podpisie aktu okupacyjnego, o Józefińskiej kasacie klasztorów, o straceniu Wiśniowskiego na szubienicy — o powodach skazania miał niezbyt jasne wyobrażenie — w końcu o »bombardacyi« (*sic*) Lwowa w roku czterdziestym ósmym...

Żart na stronę. Wierzymy chętnie, że szczupły ów zasób historycznych wiadomości wzbogacił się znacznie u Lwowian w ciągu ostatniego dziesięciolecia, ale do tej pory — wyznajmy otwarcie — o szczerem pietyzmie dla dziejowej przeszłości Lwowa mowy u nas nie ma. Wina to po części długoletniego systemu germanizacyjnego, zacierającego skwapliwie ślady polskości w naszym mieście. Znaczną jednak część winy przypisać należy ignorancji, rodzajcej lekceważenie tych nawet pamiątek, jakie nam ocalały z obcej grabieży. Wszak dziś jeszcze w sferach pseudointeligencji spotkać się można ze zdaniem, że Lwów »właściwie« żadnych, oglądania godnych zabytków nie posiada a bez najmniejszego trudu znajdziesz wśród nas człowieka, prawiącego ładnie i długo o galeryach i zbiorach zagranicznych, lecz ignorującego z zasady muzea lwowskie, w których nigdy noga jego nie powstała.

Przeciw takiemu uprzedzeniu nie podobna walczyć za pomocą olbrzymich publikacji naukowych, lub choćby z współudziałem podręcznika szkolnego. Tu działać może jedynie inicjatywa prywatna ze strony skupionych w odnośnych związkach jednostek. Nie potrzeba nawet tworzyć w tym celu nowego stowarzyszenia. Istnieje u nas, co prawda tylko na papierze, Towarzystwo dla upiększenia miasta, które z pewną zmianą dotychczasowego statutu mogłoby podjąć skutecznie zapoczątkowaną tak szczęśliwie przez krakowskie Towarzystwo akcyę. A cel jej zda się nam o wiele racjonalniejszym, aniżeli wnoszenie pomniczków z nietrwałego materiału i nie odpowiadających wymaganiom sztuki lub projektowanie kosztownych wieżyc na Wysokim Zamku...

Jeżeli Lwów ma być w istocie tym krzewicielem polskości, jakim chciał go mieć ś. p. Hausner, to owe poczucie narodowościowe wszechpisać należy wśród mas najszerszych, uświadamiając je za pomocą odpowiednich publikacji, krzewiąc wśród nich żywym słowem cześć dla przeszłości, której dokładne poznanie, jest najpewniejszym, jeżeli nie jedynym zakładem lepszej przyszłości!

Stanisław Schnür-Peplowski.

BEATRICE.

Ranek był wczesny Z przymurka nad ławą
W tło ciemnych mirtów kryjąc tajemnicze
Twarz swą młodzieńczą i jak bronz smagłąwą,
Dante — raz pierwszy ujrzał Beatrice.
Szła wolno sadem, ścieżki smugą wąską
Z długą w puch kwiatu csnutą gałązką.

Maj był na ziemi. Irysy liliowe,
Oprawne w smukłych liści chryzolity
Stały pazikom podobne, gotowe
W ślad primavery i jej wonnej świty
Z pierwszą słowika zerwać się pobudką
I pójść w tę służbę jasną, choć na krótko!

A na tle nieba bez ruchu szarzały
Liście oliwek. W rozkwitłym ogrodzie
Krasą wiosenną różowe migdały
Jasną swą szatką trącała w przechodzie,
A one — w słodkie patrząc jej oblicze,
Szeptaly z cicha : »Ave Beatrice!«

Zawrat

Nieznany list Juliusza Słowackiego.

Trzecia część »Dziadów« wyszła w połowie listopada 1832 r. Juliusz Słowacki bardzo sobie wzięł do serca, że wieszcz litewski nie oszczędził ojczyzna jego, doktora Bécu. W pierwszej chwili chciał się strzelać z Mickiewiczem i wyznawał matce, że ogłoszenie trzeciej części »Dziadów« było jedną z przyczyn, dla których z Paryża do Genewy wyjechał.

Wielbiciele Słowackiego podzielają po większej części to oburzenie, sądzą, że Mickiewicz powinien był poświęcić prawdę historyczną względem światowym.

Teorya ta byłaby bardzo dogodną dla zdrajców. Nikomu jednak nie przychodzi na myśl we Francyi na przykład, stawiając pod przegię-

rzem Fouché'go. Marmont'a lub Talleyrand'a, troszczyć się o potomstwo tych nizekzemnych postaci historycznych. Na emigracyi synowie jenerałów, rozstrzelanych przez lud warszawski w ostatniej rewolucyi, nie wymagali, aby koledzy czyn ten dziejowy przemilczali.

Wielu świadków i uczestników wypadków, opiewanych przez Mickiewicza, żyło w Paryżu. Prasa emigracyjna nie grzeszyła umiarkowaniem, nie szczędziła Mickiewiczowi ostrych wymówek. Nikt jednak nie zaprzeczył jego twierdzeniom, a chociaż kilku dawnych domowników doktora Bécu mieszkało nad Sekwaną, żaden z nich nie stanął w jego obronie. Jestto fakt wielkiej doniosłości w ocenie »Dziadów«. Można powiedzieć, że współcześni uznali obraz prześladowań Nowosilcowa za prawdziwy i wierny.

O ile nam wiadomo, sam Słowacki nigdy nie próbował odpiierać zarzutów, czynionych doktorowi Bécu. Właśni przyjaciele Juliusza w listach nawet do niego pisanych, pogardliwie się wyrażali o ojczymie poety. Jeżeli wyjawienie zbrodni jej drugiego męża musiało być bolesne dla pani Bécu, czyż uczucia, w których wychowała syna, nie przynosiły jej wysokiego zaszczytu? Żaden więc cień na nią nie spadał za postępkę doktora Bécu.

Słowacki pozbył się zawiści i urazy ku Mickiewiczowi dopiero w epoce Towianizmu. Mniej znaną jest okoliczność, że nie długo wytrwał w wrogiem usposobieniu dla męża, którego niesłusznie głosił swym przeciwnikiem. Po pierwszym wybuchu gniewu, rychło się opamiętał. Nikt mu nie przyznawał prawa nie tylko do targnięcia się na życie Mickiewicza za trzecią część »Dziadów«, ale nawet do dłuższego dąsania się na wieszca. Słowacki ukrywał przed nim swoje rozdrażnienie; zresztą już sam inaczej się na tę rzecz zapatrywał. Zmiana ta nie da się tłómaczyć obawą opinii publicznej lub skrytością i udawaniem. Był to zbyt wzniosły umysł, aby sam sobie nie zdał sprawy, że Mickiewiczem nie powodowały żadne względy osobiste. Wolno niektórym, arcy-domyslnym krytykom kłaść cały ten ustęp »Dziadów« na karb drobnych zajęć, niezawodnie już od dawna zapomnianych przez Adama. Słowacki prędko zrozumiał, że Mickiewicz w wierszach swoich wydawał wyroki w imię ojczyzny, nie zaś przez zemstę za dawne uchybienia jego osobie. Francuzkie przysłowie mówi: »on a vingt quatre heures pour mandile ses juges«. Po upływie tych 24 godzin, Juliusz oddawał w duchu sprawiedliwość Adamowi, czego dowodem, że w Genewie pospieszył go odwiedzić. Krok ten nie mógł nic kosztować jego duszy i przynosi mu niezaprzeczenie zaszczyt, broni go przeciw pisarzom, którzy wysoki miłości własnej i uszczypliwości listowne Juliusza podają za normę umysłu tak często górującego nad własnymi słabostkami. Czytamy w liście z Genewy Stefana Garczyńskiego do Ignacego Domeyki w Paryżu pod datą 2-go Sierpnia 1833 r.: »list twój pocieszył mnie bardzo i znacznie do odzyskania sił dopomógł, bo trwoga, aby nieposzkaradzone pierwsze moje poezye na świat wyszły, ciężyla na głowie nieznośnie. Cóż

ztańd? Całą illuzją Słowacki mi przed kilku dniami odebrał bo przyniósł Mickiewiczowi drugi tom nadesłany mu z Paryża«.*)

Czyżby Słowacki poszedł pierwszy do Mickiewicza, gdyby jeszcze teńnał ku niemu nienawiścią i był przekonany, że popełnił on oszczerstwo względem doktora Bécu?

W liście do Ignacego Domeyki Słowacki wyraża się o Mickiewiczu może nie bez wewnętrznej niechęci, ale nie zaprzeczając mu pierwszego miejsca na polskim Parnasie. List Słowackiego podajemy z autografu:

»Szanowny Domeyko!

»Odebrałem list twój miły — z listem do Mickiewicza — właśnie w kilka dni po wyjeździe Adama z Genewy. Nie wiedząc, gdzie się udał, nie mogłem listu odesłać. Rozpieczętowałem go więc — w bojaźni, aby jakiego wexlu nie zawierał — a widząc, że nic w nim piennężnego nie było, list spaliłem. Wierz słowu polskiemu, że go nie przeczytałem.

»Miło mi było, żeś mi kilka słów napisał — i dziękuję ci za nie. Odebraliśmy wiadomość o wypadkach, o których wiedzieć musicie, — że Garczyński umarł.. a Mickiewicz tylko co się nie utopił. — Szcześnie jednak Bóg nam zachował naszego pierwszego poetę. Co do mnie, siedzę spokojnie w Genewie — bawię się z Angielkami — i kwita. Pisano mi z Krzemieńca, że brat Adama wyjechał na profesora do Kijowa — i wyjeżdżając prosił mię, abym o tem Adamowi doniósł — racz mu więc tę wieść zakomunikować.

»Żegnam cię, kochany Radco — jeśli dotąd piastujesz ten urząd. Żal mi, żeś od was wyjechał — i tylu moich kochanych i przychylnych kolegów porzucił.

Wspomnijcie czasem o mnie — a ty drogi! przyjmij moje uściśnienie. Adieu!

»Juliusz Słowacki«.

»Genewa d. 15 Oktobra 1833 r.

»Chciej oświadczyć moje ukłony wszystkim a szczególniej Goreckiemu, Zalewskiemu (sic) Bohdanowi i Witwickiemu«.

Najnowszy biograf Juliusza Słowackiego wymarzył sobie jakieś stronietwo skupione około Mickiewicza i wrogie Słowackiemu! Juliusz Słowacki posyła ukłony szczególne Bohdanowi Zaleskiemu, (którego przez rozłargnienie nazwisko kaleczy), Antoniemu Goreckiemu, Stefanowi Witwickiemu, to jest najbliższym przyjaciółom Mickiewicza. Przyjaciele ci nie wszystko w Słowackim pochwalali, ostro ganili niektóre jego wystąpienia, ale w niczem go krzywdzić nie chcieli i Słowacki o ich życzliwości nigdy nie wątpił. Jeżeli w uniesieniu poetycznym uważał siebie i mniemanego swego przeciwnika za równych sobie bogów,

*) Mowa tu o drukujących się wówczas w Paryżu poezjach Stefana Garczyńskiego.

w zwykłym trybie życia skromniejsze miewał zapatrywania. Sama zaś wiść jego nieutajona świadczy o tem, gdyż to uczucie jest tylko wyrazem niemocy, nieprzebaczającej szczęśliwcom, którzy osiągnęli wyżyny dla nich niedostępne.

Władysław Mickiewicz.

R A D A.

W każdym człowieku mieszka zwierzę. —
Tak waszmość twierdzi? Bardzo wierzę!
Dlatego radzę, póki pora,
Usunąć tego lokatora,
Bo on jest gotów miły panie,
W chlew przeistoczyć twe mieszkanie.

Władysław Bełza.



PO CECORSKIM POGROMIE.

Niewiele w dziejach Polski wypadków, których wrażenie możnaby porównać z owem, jakie wywarł pamiętny pogrom cecorski 1620 r. Podobnej mu klęski wojennej od niepamiętnych czasów nie doznała Rzeczpospolita. Całe wojsko, nieliczne wprawdzie, ale stanowiące jedyną w tym czasie obronę, zniesione, sędziwy hetman wielki i kanclerz koronny zabity, hetman polny w niewolę wzięty, granice kraju na oścież otwarte. Nie długo też dały na się czekać następstwa straszego pogromu. Prawie równocześnie już z wieścią o nim biegła też i druga, niemniej przerażająca, o wtargnięciu tatarskim w bezbronne granice. Rychło przekonano się o jej prawdziwości. Jak huragan bowiem zerwały się z miejsca pogromu krymskie i nohajskie hordy, łupów, krwi i jeńców chciwe, i szlakiem pożóg pędziły za niedobitkami. Podczas gdy część przez Podole uderzyła na Wołyń, zapędzając się koło Krzemieńca, Wiśniewca, Zbaraża, główna horda od Śniatyna wpadła na Pokucie. Przewodził ją słynny Kantemir-murza, jeden z najprzebieglejszych i najsroźszych najeźdźców, jakiego znają dzieje wojen polsko-tatarskich. Pogrom cecorski w znacznej mierze jego był dziełem. Jedyłą siłą, jaką można mu było przeciwstawić w tej chwili, były nieliczne posiłki, jakie zebrali Stanisław Lubomirski, krajczy koronny i Tomasz Zamojski, wojewoda podolski dla Hetmana — na pierwszy odgłos jego kryty-

cznego położenia w Wołoszech. Składało się na nie sześć chorągwi konnych, razem około sześciuset ludzi, pod komendą Lubomirskiego, przebywającego we Lwowie. Z tych dwie stały we Lwowie, trzy w Gródku, a jedna w Starem Siole, Zamojski zaś miał stu pięćdziesięciu arka-buzjerów w Bełzie i dwustu husarzy w Potyliczu.

Pierwsze wiadomości o pogromie wojska i o śmierci Żółkiewskiego doszły do Lwowa dnia 10. października. Nie dowierzano im zrazu lecz dnie następne wszelką w tym względzie usuwały wątpliwość, przynębiające wywołując w całym mieście wrazenie. Szczegółów kłęski nie wiadano jeszcze dokładnie, gdy dnia 15. października, koło południa, przybiegły strażę z doniesieniem, że Tatarzy zniszczywszy już Pokucie i Podgórze po Sambor, przeprawiają się przez Dniestr pod Jezupolem. Było zatem pewnem, że dążą teraz ku Lwowu. Dla obmyślenia obrony zwołano natychmiast radę na ratusz, a tymczasem z dział Wysokiego Zamku kazano bić na przestrogę okolicy. Jeszcze jednak nie opuszczono ratuszowej sali, gdy z pierwszym zmierzchem krwawe na widnokręgu od strony Glinian i Halicza zaświeciły łuny, zwiastujące, że nieprzyjaciel jest już w pobliżu. Przybywał równocześnie dwoma szlakami, wołoskim od południa i kuczmańskim od wschodu, które schodząc się pod Lwowem, łączyły teraz hordy, pędzące od Wołynia i Pokucia. Przerażona ludność okoliczna rzuciła się tłumnie ku miastu, szukając za jego murami schronienia. Opuszczono też ludne, lecz bezbronne przedmieścia, piękne dwory, klasztory, kościoły i cerkwie. Ojcowie Karmelici bosi, wzięwszy Najśw. Sakrament w procesyi udali się do miasta. To samo uczyniły Benedyktynki; szły parami, przed niemi kapłan z Najśw. Sakramentem. Bernardyni na prędcie porobili szanice koło swego klasztoru, wówczas jeszcze niewarownego, i sami na nich stanęli z muszkietami. Podobnie Dominikanie obsadziwszy swój kościół Maryi Magdaleny chłopami postanowili go bronić. Napływ uciekającego ludu, przedmieszczan i szlachty był tak wielki, że ledwie koło północy zdołano zamknąć bramy miejskie. Gwałtowność niebezpieczeństwa wśród nocy zwiększała przerażenie. Miasto jednak, jak nieraz potem tak i obecnie, dzielnie zabrało się do obrony, a na środkach do niej nie zbywało im wcale. Mieszczanie, szlachta, chłopci i zakonnicy, wszystkie wogóle warstwy stanęły na wałach i murach w zbrojnym pogotowiu. Lubomirski, z wojewodą ruskim Janem Daniłowiczem i starostą lwowskim Stanisławem Mniszchem obsadzili wielką basztę t. zw. królewską koło Bernardynów, szlachta basztę krakowską, cechy zaś wszystkie inne. Przy blasku łun noc całą czuwano bezsennie w obawie szturm. Tatarstwo korzystając z ciemności podsuwało się pod miasto, wpadało na dalsze przedmieścia, porywało ludzi, „plądrując odważnie“. Liczbę jego oceniano na 20 do 40 tysięcy.

Główny kosz czyli obóz tatarski rozłożył się pod wsią Wołowe koło Bóbrki, skąd jak szarańcza rozleciały się wokół czambuły, pałac i rabując wszystko po drodze. Większa ich część pomknęła ku Żółkwi, siedzibie poległego hetmana, aby zdobyciem zamku, dopełnić miary tryumfu. Przebywała w nim wówczas rozpacząca małżonka hetmańska,

Regina Żółkiewska z rodziną. Uderzyło »potężnie« Tatarstwo na zamek, któremu wobec słabej liczby obrońców poważne groziło niebezpieczeństwo. Na szczęście atoli husarze Zamoyskiego, przebijający się z Potylicza ku Mostom, gdzie połączyli się z podjazdem kilkudziesięciu ludzi, wysłanym z Bełża na zwiady, usłyszeli wystrzały i na ich odgłos podpadli pod miasteczko. Rotmistrz husarski, Andrzej Drwałowski, widząc położenie, bez namysłu kazał uderzyć na nieprzyjaciela i mimo olbrzymiej przewagi, po zaciętej utarczce zmusił go do ustąpienia. Gniazdo hetmańskie ocalało. Wszystkie natomiast podlowskie wsie poszły z dymem. Kto wcześniej nie schronił się w bezpieczne miejsce, ginął lub w tatarskie szedł łyka, a tych była co niemiara. Jasyr tłumami spędzano do kosza. Przedmieścia lwowskie w wielkiem były niebezpieczeństwie, wycieczkami z miasta wstrzymywano łupieżców, niedopuszczano wzniecania pożarów.

Wśród tego zaskoczona przez najazd chorągiew w Starem Siole, obsadziła tamtejszy młyn, zrzuciła zeń dach i broniła się do upadłego, czekając na pomoc z miasta. Przedarły się właśnie do Lwowa z Gródka (18 października) owe trzy chorągwie, które tam stały. Kazał im więc Lubomirski biedz nocą do Starego Siola pod wodzą Szymona Kopycińskiego i Jerzego Rzezyckiego, rotmistrzów. W połowie drogi obaj napadli na śpiący oddział tatarski z kilkuset ludzi złożony, znieśli go i bez trudu znaczny odbili jasyr. Przypadł jednak Tatarom inny, liczniejszy oddział na pomoc, z którym chorągwie ucierając się w wielkiem znalazły się niebezpieczeństwie i stały o ratunek do miasta. Lubomirski, mając tylko dwie chorągwie przy sobie, kazał trąbić po mieście na ochotnika. Znalazło się go nie mało z pośród mieszczan, szlachty, chłopów, a nawet duchowieństwa. Przyłączyli się też hajducy i pacholkowo wie miejscy. Zabierano na wyprawę właścicielom konie, wyprężano je od wozów nie pytając się o pozwolenie. Zebrany w ten sposób zastęp, wzrósł razem z obiema chorągwiami do liczby dwóch tysięcy ludzi i pod osobistem dowództwem Lubomirskiego i Mniszcha ruszył w pomoc zagrożonym chorągwiom, które ustępywały zwoina ku Lwowu. Po krótkiej utarczce i bez żadnych prawie strat z swej strony wyrwano je z niebezpieczeństwa a następnie i ową chorągiew w Starem Siole. Tatarstwo nie wdając się w bój, cofnęło się do kosza z zamiarem powrotu w swe stępy po czterodniowej pod Lwowem łupieży. Lubomirski i Mniszech, ośmieleni powodzeniem, postanowili spróbować szczęścia i nocą uderzyć na ich kosz w Wołowem. Wyprawa powiodła się. Zaskoczono w istocie spoczywających bezpiecznie i kładąc nie mało trupa, samym okrzykiem zmuszono do bezładnej ucieczki. Cały kosz tatarski, napełniony różnorodną zdobyczą i tłumami jasyru wpadł w ręce chorągwi i miejskich ochotników. Niestety jednak niekarne zastępy zamiast pójść w pogoń i przerazić do reszty uciekających, rzuciły się, mimo zakazu dowódców, co rychlej do zabierania łupów, jak gdyby zwycięstwo było już zupełnem. Odpokutowano to ciężko. Tatarzy ochłonawszy z pierwszego przerażenia, skupili się i wróciwszy się z wściekłością uderzyli na swych rzekomych zwycięzców, zajętych łu-

pami i jasyrem. Nieprzygotowanych do boju mordują bez litości, innych zabierają w niewolę. Przerażeni ochotnicy nie stawiają prawie oporu, rzucają się do ucieczki, jedne chorągwie uszykowawszy się jako tako zasłaniają się, lecz parte przez przeważające siły, same nie bez strat spieszenie uchodzą ku Lwowu. Przedarła się doń zaledwie trzecia część, reszta padła lub powiększyła liczbę jasyru, który nie długo odzyskaną cieszył się wolnością. Zwycięstwo dotkliwą zakończyło się klęską. Smutek nieopisany w całym zapanował mieście, mnóstwo rodzin opłakiwało swych członków.

Nadomiar Tatarzy, ośmieleni zwycięstwem, wrócili ponownie pod miasto i szerzej niż pierwiej po wsiach płądrowali i ludzi znowu wiele nabrali, którzy się już byli wrócili do mieszkań z błot i lasów do chałup swych i na pogorzelska. Zapędzili się aż za Jarosław i Leżajsk, Gródka i Jaworowa dobywali kilkakroć, lecz nie dobyli. Wkradli się też na przedmieścia lwowskie, palili dalsze ich części i ludzi wielu porywali. Trwało tak do 25 października. Olbrzymie łuny oświecały co nocy widnokrąg. W mieście dzień i noc czuwano nieustannie.

Z ustąpieniem nieprzyjaciela miasto, któremu już głód zaczęła grozić, odetchnęło swobodniej. Samo wyszło wprawdzie z »trwogi« obronną ręką, ale straty w ludziach i szkody materyalne poniosło nie małe. Cała okolica jedną przedstawiała ruinę. Koło Lwowa mówi świadek naoczny, jak umiółł. W polach trupów pełno, wsie wszystkie zniesione, miasteczek niemało wysieczonych. Rachują, że do siedmiu tysięcy dusz legło, krom dziełek niewinnych, króre jedne starli końmi, drugie na płotowych kołach zostawili, trzecie ścięte«. Był to jednak tylko początek srogich Kantemira najazdów, jakich do roku 1630 stała się Ruś nieustanną prawie widownią.

Aleksander Czołowski.



PANI WALERYA.

(NOWELA).

— Prześlicznie pani tańczy. Walcować z panią, to znaczy unosić się ponad światy!

— Żałuję, że nie mogę wywzajemnić się komplementem... Pan bowiem tańczy okropnie!

I panią to dziwi? Panią nie zdumiewają moja rozważa i przytomność?

— Bynajmniej...

— Mamże się tłómaczyć?
 — Naturalnie, bo nic nie rozumię,
 — To być nie może... Pani rozumie mnie dobrze. Wiesz o tem, że obejmować cię ręką, być tak blisko Ciebie... karmić się twoim oddechem i tańczyć swobodnie, bez popełnienia jakiegoś szaleństwa, to z mojej strony ofiara, równająca się bohaterstwu.

— Dziękuję za ostrzeżenie. Nie tańczę już dłużej z panem.

— Przeciwnie, będziemy tańczyli oboje! Czyliż pani może się żalić z powodu niedyskrecyi z mojej strony? Czyliż pani sądzi, że każdy inny, będąc na mojem miejscu, nie wysadziłby drzwi, które przedemną tak starannie zamykasz?

— Panie Karolu, zmieńmy temat rozmowy. W przeciwnym razie zmusi mnie pan do opuszczenia zabawy...

— Nie... nie... zostań pani!

— Byłam w tam dobrym humorze...

— Powiedz mi pani, dla czego zabraniasz mi wstępu do siebie?

— Dla tego, że... że...

— Przyjechała pani na krótko, mieszkasz w tym samym domu, w którym i ja mieszkam... Wyjedziesz... i trudno zgadnąć, kiedy się znów zobaczymy.

— Żąda pan szczerzej odpowiedzi?

— Jak najszczerszej!

— Oto zabraniam panu wstępu do siebie z tego głównie powodu, że pan jesteś... jakby to powiedzieć?...

— Mów pani śmiało.

— Że pan jesteś człowiekiem nie budzącym zaufania... Jesteś trzpiotem... człowiekiem nierozważnym i łatwo mógłbyś mnie skompromitować. A nie zapominaj pan, że jestem mężatką.

— Niepotrzebnie mi to pani przypomina.

— Owszem, czynię to umyślnie. Dałam słowo mężowi, iż drzwi naszego domu będą dla pana zawsze zamknięte.

— Ależ pani mieszka obecnie w domu swej ciotki, czy też babki...

— W domu babci.

— I przyjechała pani bez męża...

— Cóż z tego? — spytała poważnie. — Dałam słowo i dotrzymam go. Drzwi mego domu będą dla pana zawsze zamknięte!

— W takim razie, przyjdę do pani z wizytą... kominem! Przecież mnie pani nie wyrzuci?

— Nie... — rzekła z czarującym uśmiechem pani Walerya. — Jeżeli pan wejdzie kominem, lub oknem, przyjmę pana życzliwie...

— Okno podobałoby mi się leiej — zauważył Karol — gdyby pani nie mieszkała na drugim piętrze. Gdzież znaleźć taką drabinę?

— Zabraniam drabiny i wszystkiego, co mogłoby mnie skompromitować!

Oczy Karola błysnęły ogniem... fala krwi uderzyła mu do głowy. Za jedną bytność w jej pokoju, za swobodną z nią rozmowę, oddałby wiele... na wszystkoby się odważył.

— A więc — rzekł drżącym głosem — oczekuj mnie pani dziś u siebie.

— Jakto, przyjdzie pan?

— Przyjdę niezawodnie.

— A którądy?

— Jeszcze nie jestem zdecydowany. Bądź co bądź, będę dziś u pani.

— Gdyby pana ktoś usłyszał, mógłby sądzić, że pan to seryo mówi — rzekła pani Walerya z uśmiechem.

— Ja też nie żartuję!

— Jeżeli tak, to pozwól pan uczynić sobie tę skromną uwagę. Niechcę pana widzieć osmolonego sadzami. A to musiałyby nastąpić, gdybyś pan odbył do mnie podróż kominem. Cóżby nasze *tête à tête* było warte, gdybym musiała się wystrzegać zbliżenia do ciebie... panie Karolu?..

To małe słówko *tête à tête* tknęło Karola jak iskrą elektryczną. Powstał i kłaniając się, rzekł przyeiszonym głosem:

— Tańczmy... tańczmy!... bo inaczej, porwę panią w objęcia i ucieknę na koniec świata!

Ona z wdziękiem młodej kotki podała mu rękę, i weszli do balowej sali.

Karol powrócił do domu rozdrażniony i silnie podniecony. Rozmowa z panią Waleryą — dająca dużo do myślenia — przytem oho-cze tańce i wino... wszystko to wzburzyło go do tego stopnia, że był zdolnym do popełnienia — szaleństwa! Mieszkać na tem samem — co i ona — piętrze, a nie mieć wstępu do niej, to go do rozpaczcy doprowadzało. Usposobienie rycerskie nie pozwalało Karolowi sprzeciwić się jej woli. Skoro zamknęła przed nim drzwi, nie ośmieliłby się podstępem ich otwierać. Dziś jednak musi być u niej, i będzie!... A potem niech cały świat runie! Wprawdzie drzwi były dla niego zamknięte, za to okno mogłoby się otworzyć.

Zbliżył się do okna i otworzył je na oścież.

Noc była jasna... cicha... powietrze łagodne.

Wychylił się i ujrzał w oknie pani Waleryi światło.

Węc jeszcze nie spi?

W istocie uroczą sąsiadka nie spała. Siedząc przed zwierciadłem w strojnym szlafroczku, rozpuściła bujne włosy, i układała je powoli, do snu. W pokoju nie było nikogo.

Karol spojrział na dół.

Na ulicy pustki.

Obejrzał starannie mur frontowej ściany i nagle zauważył podwójny gzyms, łączący oba okna.

Dwa te gzymsy zamajaczyły mu z początku niewyraźnie... a po chwili jęły go nęcić zdradliwie.

Zaledwie trzymetrowa przestrzeń oddzielała oba okna od siebie. Trzy metry... to nie wiele.

— Niech się co chce dzieje — zawołał Karol — skręcę kark, to skręcę!

Myśl o pani Waleryi opanowała całe jego jestestwo.

Chwycił laskę, siadł w oknie jak na koniu, zaczepił rączką laski o gzyms wyższy, lekko stanął na dolnym gzymsie...

Czuł, że popełnia szaleństwo, ale na razie o jednym tylko myślał, to jest, aby tę drogę przebyć jak najprędzej... posuwał się też coraz dalej i dalej.

Nagle się zachwiał, i cudem tylko utrzymał równowagę. Teraz dopiero uczuł obok siebie gładką ścianę, nie dającą żadnej podpory w razie upadku. Żłuda pierzchnęła, a zdrowy rozsądek ukazał mu cały ogrom niebezpieczeństwa. Przeróżne myśli tłumem go opadły i każda z nich jak sztyletem przesywała mu serce. Gdyby mógł choćby chwilę nie myśleć o tem, co go może spotkać, z łatwościąby przebiegł całą tę przestrzeń. Ale on myślał i trzeba nieszczęścia, że rozumował na zimno. Zrobił spostrzeżenie, że gzyms, po którym stąpał, mógł być z cegły, ale także mógł być tylko z gipsu — każdej więc chwili może usunąć się pod jego ciężarem. Co za sytuacja? Karol uczuł, że go coś dusi w gardle i w głowie mu się mięsza. Przystanął więc i wciąż trzymając się laski, którą zaczepiał o gzyms górny, odetchnął głęboko. Po chwili posunął się o krok dalej.

Kiedy patrzył przez okno, na ulicę, powietrze zdawało mu się łagodne i ciche. Teraz nagle zerwał się wiatr nieznośny, rozwiewał mu włosy i oczy kurzem zasypywał.

Myśl druga — równie groźna — przebiegła mu przez głowę. A choćby gzyms był nie tylko z cegły, ale z ciosu, to ów zdradliwy wiatr zmiecie go jak piórko!

Niewypowiedziany przestrach śmiertelnym dreszczem go przejął, tem bardziej, że zasypane ulicznym pyłem oczy zamknąć musiał na chwilę. Przebył już większą część drogi — wracać się byłoby szaleństwem. Każda sekunda zdała mu się wiekiem.

Były chwile, w których zdawało mu się, że nie stoi na gzymsie, jeno wisi w powietrzu, na lasce, która prędzej czy później, musi się złamać. Wówczas on runie na bruk!

Chciał krzyczeć i wzywać ratunku, bo szalony przestrach trzymał go na miejscu. Czuł jednak, że za pierwszym krzykiem straci równowagę i spadnie na dół. Stłumił więc głos, wstrzymał oddech — lecz nie poskromił bicia serca, które kołatało... rozrastało się w jego piersiach. Dla uspokojenia się chciał myśleć o pani Waleryi. W głowie jednak powstawał chaos, szum i zamęt. Na wpół przytomny posunął się pół kroku naprzód, ale stan przerażenia potęgował się coraz bardziej. A tu właśnie potrzeba całej przytomności umysłu, gdyż już zbliżył się do upragnionego celu.

Okno było zamknięte.

W jakim sposobie je otworzy? O tem nie pomyślał pierwiej.

Tymczasem pani Walerya z wzrokiem w sufit utkwionym, marzyła swobodnie przed gotownią. Piers jej lekko falowała, a oczy szeroko otwarte, dawały poznać, że myśli o kimś, kto ją bardzo zajmował.

Wieżowy zegar wydzwonił godzinę trzecią po północy, gdy Karol stanął wreszcie przed jej oknem! Nowa trudność. Jeżeli okno niedbale zamknięte nagle się otworzy pod jego naciskiem, katastrofa nieunikniona.

Należało działać z największą rozwagą. Karol jednak nie zastanawiał się dłużej. Trzymając się prawą ręką laski — lewą uderzył w szybę.

Na brzęk tłuczonego szkła, pani Walerya porwała się z krzesła i w okamgnieniu stanęła na środku pokoju.

Z okna wychyliła się ku niej twarz biała, wykrzywiona śmiertelną trwogą i głos chrypliwy jęknął:

— Ratunku!...

Piękna pani skamieniała z przerażenia.

Nagle przez wybitą szybę wysunęły się ręce. Objęły ramę okna konwulsyjnym ruchem i po chwili Karol błądy i drżący stanął przed ukochaną kobietą!

— Otóż jestem! zawołał, lecz w tej chwili uczuł, że siły go odbiegły. Ustać nie mógł na nogach, upadł na krzesło i zemdlął.

Pani Walerya niemal machinalnie nacierała mu skronie chusteczką w wodzie zwilżoną. Rychło Karol odzyskał przytomność.

— Gdzież jestem? — zapytał słabym głosem. — Błagam o kroplę wina.

Ona wybiegła do sąsiednich pokoi, gdzie z przyjemnością zauważyła, że brzęk tłuczonej szyby nie zbudził nikogo z domowników. To dodało jej otuchy. Jak dotychczas, skompromitowaną nie była!...

Powróciwszy, podała Karolowi szklankę wina, które go nieco orzeźwiło.

— Co za szaleństwo — szepnęła. Jakim sposobem dostałeś się pan tutaj?

— Ach nie mówmy o tem! bo na samą myśl o przebytej drodze dostaję zawrotu głowy. Chciałbym o wszystkim zapomnieć. Uczyni mi pani wielką łaskę, jeżeli raczysz zasłonić to okno. Sam jego widok dreszczem mnie przejmuję.

— Jedno tylko słowo... Jaką drogą dostałeś się tutaj?

— Najprostszą w świecie — odpowiedział pewniejszym już głosem. — Przeszedłem po gzymsie.

Ona zbliżyła się do okna, wyjrzała na ulicę i z przerażeniem cofnęła się, widząc to karkołomne przejście.

Wnet okno zasłoniła i powróciła do gościa.

— Ach doprawdy — zagadnęła — jestem rozszalona na siebie za mój żart dziecinny...

A siadając przy nim dodała serdecznym tonem :

— Posłuchaj mnie panie Karolu... Oboje jesteśmy zbyt wzruszeni, abyśmy mogli rozmawiać swobodnie. Wracaj do siebie.

Młody człowiek odparł z determinacją :

— Każ mi pani oknem wyskoczyć, wyskoczę!... Każ powracać tą samą drogą... powrócę! Ale pozwól mi teraz nie opuszczać siebie...

Mówiąc to, nie przypuszczał nawet, że za chwilę... nowa niespodzianka, boleśniejsza od wszystkich... ugodzi go w samo serce!

— A więc zostań! — powiedziała — lekko dostyszalnym szeptem.

On rzucił się na kolana okrywając jej ręce pocałunkami.

Pani była tak wzruszoną, że nagle uczuła potrzebę zwierzeń :

— Patrz niewdzięczniku... Drzwi otwarte! Pocóż to szaleństwo, które mogło mnie skompromitować?

Karol jakby piorunem rażony powstał i nie rzekłszy ni słowa, zniknął w ciemnym kurytarzu, wiodącym do jego mieszkania.

Bolestawicz.



Inteligencya u roślin

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

Odczyt mój w Towarzystwie przyrodników imienia Kopernika *o objawach inteligencyi u roślin* spotkał się z dość nieprzychylną krytyką człowieka wysoko przezemnie cenionego i szanowanego. Zarzuty jego wszakże nie przekonały mnie o mylności moich przypuszczeń, oponent bowiem nie mógł zarzucić błędów w podanych faktach, gdyż fakty te były sprawdzone przezemnie samego, albo przez ludzi, dla których nauka ma cześć największą. Żadnego jednak z objawów prawdziwie mądrego zachowania się roślin nie objaśnił na mocy fizyki i chemii, ale dodał, że choćbyśmy nigdy objaśnić ich nie zdołali, przyrodnik nie może stawić takich hazardownych przypuszczeń, a powinien przyznać się, że tej rzeczy nie rozumie.

Wielkie odkrycie Kopernika było z początku tylko hipotezą. Nikt nie był przy stworzeniu świata, a jednak hipotezę Laplace'a, objaśniającą jak się to stało, potwierdzają wszystkie fakta obserwowane na niebie. Jeżeli więc niema wyjaśnienia należytego prawdziwie cudo-

wnych zjawisk w świecie roślinnym, wolno mi postawić hipotezę, jakkolwiek śmiałą, lecz niezmiernie ponętą i objaśniającą bardzo wielką ilość zjawisk, w których przyrodnik obok fizycznych i chemicznych działań odczuwa prawie namacalnie jakieś inne jeszcze, które prawdopodobnie nazawsze zostaną dlań tajemniczymi.

*

*

*

Porównyując objawy życia roślin z objawami życia zwierząt, trudno się oprzeć myśli, że rośliny czują, rozumieją byt swój i do pewnej granicy działają dobrowolnie, a zatem posiadają inteligencję jak zwierzęta. I nic w tem nie byłoby dziwnego. Organizm zwierząt bezpośrednio lub pośrednio wytwarza się z roślin, ciało ich bowiem jest dalszem przekształceniem wszystkich pierwiastków, znajdujących się w roślinach. Wszystko, co zwierzę posiada, tak zwany instynkt, inteligencja i pojęcie swego istnienia, pochodzi od nerwowego systemu, od mózgu, utworzonego z przyjętych pokarmów, w nich zaś musiały znajdować się pierwiastki, potrzebne dla utworzenia tego organu, który jest miejscem kształtowania się myśli każdego zwierzęcia. Pierwiastki te w roślinach być może są tylko w zarodku, lecz wątpliwości nie może podlegać, że są one tam, bo zwierzę nie mogłoby posiadać mózgu, gdyby rośliny nie posiadały pierwiastków na utworzenie jego potrzebnych, jak niema w ciele zwierząt ani złota, ani srebra, które nie wchodzi w skład roślin.

Patrząc na usiłowania, które robią zwierzęta dla dobycia sobie pokarmu, lub uchronienia się od czegoś przykrego, wszyscy się zgadzamy, że są to usiłowania dobrowolne, a nie prosty wpływ tak zwanej siły życiowej, lub instynktu. Otóż w życiu roślin spotykamy zupełnie te same objawy.

Nie przypisuję roślinie takiego stopnia inteligencji żeby mogła dochodzić do abstrakcyjnych pojęć, lecz mam głębokie przekonanie, że roślina musi mieć świadomość tego co robi, co robiła i co robić jeszcze należy, to jest odczuwa byt swój i swoje potrzeby, wie co jej czynić należy dla osiągnięcia celu, ma wolę do spełnienia tego co zamierza, czuje ból jej zadany i reaguje nań; jednym słowem postępuje tak jak zwierzę.

U wszystkich istot organicznych przyjmowanie pokarmów jest najważniejszym aktem. Lecz gdy zwierzę całą istotą swoją dąży do przedmiotu, którego pragnie, roślina posyła po pokarm tylko niektóre ze swoich części, a z nich jedne poszukują w ziemi materyałów, potrzebnych dla podtrzymania życia swego, drugie zaś dobywają je z powietrza. Przypatrując się uważnie temu ruchowi, ze zdumieniem przekonujemy się, że usiłowania, które robi roślina dla odszukania pokarmu, odpowiedniego jej organizacyi, są samowolne i nie mniej energiczne, aniżeli te, za pomocą których zwierzęta dochodzą do swego celu. Na drzewach rosnących obok inspektów, gałęzie i liście zwrócone do tych ostatnich są daleko mocniejsze i gęstsze, aniżeli ze strony przeciwnej, bo tam wydobywa się bezwodnik węglowy i amonjak potrzebne dla

wzrostu rośliny. Pewne rośliny, szukając pożywienia, rozsadzają skały korzeniami swymi, a wielkie kasztany, rosnące na Etnie, umieją znaleźć źródła pod grubą warstwą lawy i kamieni, które je otaczają.

U roślin jest jakiś instynkt, za pomocą którego poznają, gdzie jest wilgoć im potrzebna i dobra ziemia i kierują ku nim korzenie swoje. W Kownie, rodzinnym mieście mojem, na starym wysokim murze rósł klonik. Nie znajdując dość pokarmu w zagłębieniach muru, drzewko zaczęło spuszczać jeden z korzeni na dół i jak tylko ten korzeń dotknął ziemi i umocowawszy się w niej nabrał siły, dawne korzonki wyschły, oderwały się od muru, a drzewko własnymi siłami przeniosło się na ziemię.

Zdarzyło mi się posadzić agrest w grzędach. Wszystkie krzaczki udały się nieźle, jeden tylko ledwo żył i gałązki usychały jedna po drugiej, gdyż oczywiście krzak był posadzony na niedogodnym miejscu. Musiałem wyjechać na czas pewien z domu. Jakież było zdziwienie moje, gdy po powrocie obaczyłem, że jedna z gałązek przybliżyła się do więcej żyznej ziemi i puściła w niej korzenie, a główny krzaczek usechł, zgnił i znikł z miejsca, gdzie go posadziłem. Tym sposobem roślina sama sobie odszukała lepszą ziemię i za pomocą własnych sił przeniosła się na inne miejsce.

W Przecławiu na polu, zdrenowanem dwucalowymi rurkami, rosło kilka topoli i wierzb. Korzenie tych drzew skierowały się ku drenom, gdzie mogły znaleźć wilgoć im potrzebną, ale rurki drenowe leżały tak blisko przy sobie, że nie było możliwości dostać się do środka. Roślina jednak puściła korzenie wzdłuż rurek, odszukała nieco szerszą między nimi szparę i z grubego korzenia zaczęła wypuszczać cieniutkie jak nitka korzonki, które wiały do środka, a tam rosnąc swobodnie zatkały zupełnie otwór drenowy. Postrzegłszy, że drewny zatkałe, właściciel odkopał je i wyciągnął stamtąd ogromną, bo prawie dziesięciometrową zatyckę z cienkich korzonków, tak ściśle przylegających do siebie, że przedstawiała coś podobnego do liny okrętowej. Kto wskazał roślinie kierunek podziemny i ten sposób postępowania? Duhamel, znakomity botanik przeszłego stulecia, opowiada, że chcąc uchronić pole doskonałej ziemi od rozgałęzienia się w nim korzeni wiązów, tworzących aleje, kazał między polem i aleją wykopać głęboki rów, żeby przeciąć drogę korzeniom. Lecz wkrótce obaczył ze zdumieniem, że korzenie, które nie były przecięte w czasie kopania, spuściły się pod pochyłym brzegiem rowu, żeby uniknąć zetknięcia z powietrzem, przeszły pod dnem rowu i dostały się na pole. Ze względu na cuda tego rodzaju, Bonnet powiedział »że czasami bardzo trudno rozróżnić różę od kota«. A kto nauczył roślinę wysysać z ziemi tylko to, co potrzebne dla niej i nie dotykać tego, co jest przeznaczone dla innych roślin? Obok cykuty nieraz rośnie marchew, tymczasem jedna ciągnie z ziemi truciznę, a druga cukier; obok błękotu rośnie truskawka — pierwsza zabija, druga zaś jest jedną z najsmaczniejszych jagód.

Z wszystkich stworzeń ziemi rośliny są najwięcej czułe na światło, którego szukają z całych sił, bo światło dla nich jest potrzebne do życia, do rozwoju.

W jednej z najpiękniejszych okolic Kowna, w Romajniach, przy ujściu Wilii do Niemna, w ogrodzie, był dąb młody; rósł on około gruszy, która mu słońce zakrywała; przesunął więc wierzchołek swój wśród jej gałęzi i wychylił się ku słońcu. Sąsiedztwo młodego dęba widać podobało się gruszy, bo tak się rozlišciła, że znowu światło mu zakryła. Wijąc się wśród cienistych gałęzi, dąb dwa razy obwinął gruszę pierścieniem i wzięwszy ją w swoje objęcia, dopiął celu ciągłych starań, gdyż wierzchołek jego wy dostał się na wierzch i rozpostarłszy się swobodnie zakolęsał wśród promieni słońca, lejących się nań z góry. Wtedy dopiero zaczęły wyrastać na nim boczne gałęzie i utworzyła się gęsta korona.

Znane są wypadki, że odrostki ziemniaków, znajdujących się w piwnicy podnosiły się na dwadzieścia kilka stóp, aby tylko dojść do okna, z którego światło wpadało do piwnicy. Że roślinie chodzi o światło, a nie o powietrze, dowiodło doświadczenie, że jeżeli dwie rośliny, które puściły odrostki w piwnicy, umieszczano obok dwóch otworów, z których jeden, znajdujący się w zupełnie ciemnym miejscu, przepuszczał powietrze, drugi zaś zakryty szkłem, dawał przystęp tylko światłu, obie rośliny odrostki swe kierowały ku oświetlonemu chociaż i nie przepuszczającemu powietrza otworowi.

Jeżeli pod wazonem jażminu, (*Jasminum asaricum*), pomieścimy deszczułkę, w której zrobiono wiele otworów, każdy wielkości dwu cali i w oddaleniu sześciu cali jeden od drugiego, to jażmin zmieni kierunek łodygi swojej, skieruje ją ku otworowi i przejdzie przezeń. Jeżeli następnie roślinę wraz z deszczułką odwrócimy w przeciwną stronę, tak, że roślina znajdzie się w cieniu, jażmin znowu wyrwie się na światło, przeszedłszy przez drugi otwór. Powtarzając doświadczenie kilkakrotnie obaczymy, że jażmin przejdzie przez wszystkie otwory. (Mustel).

Z tego widzimy, że rośliny, uważane jako pozbawione czucia, są nadzwyczajnie drażliwe na działanie światła, dążą do niego z pewną energią, a nawet dobrowolnie zmieniają zwykły sposób rośnięcia.

Jeżeli posadzimy dwa ziarna na jednej grzędzie i zostawimy je w tych samych warunkach, wyrosną one zupełnie podobne: liście mają jednakową formę, kora i układ liści są także same; dla czegoż więc jedna zaczyna rosnąć i rozwijać się prędzej, dla czegoż kwiaty i owoce pojawiają się rychlej na jednej, aniżeli na drugiej, dla czegoż jedna z nich jest czynniejszą od drugiej? W Paryżu, w Tuileryjskim ogrodzie rośnie kilkaset drzew kasztanowych, jednakowo pielęgnowanych i w jednych warunkach, a przecież między nimi jest jeden, mający temperament żywszy aniżeli inne, bo jak tylko zaczynają grzać pierwsze promienie wiosennego słońca, natychmiast on się budzi z uspienia zimowego, rozwijając pączki i liście na kilka tygodni przed wszystkimi drzewami tegoż gatunku: 20 marca wszystkie pączki zaczynają się rozpuszczać i nigdy to drzewo nie oszukało oczekiwania mieszkańców. Fakt ten Decandolle objaśnia odmiennym charakterem tych drzew.

Wzrost rośliny jest to samo, co ruch u zwierząt. Kiedy drzewo przestaje rosnąć, życie w nim gaśnie; u zwierząt życie ustaje wtedy,

gdy tracą możność działania. Taką jest analogia — bo dla rośliny rosnąc znaczy: działać.

Nie tylko zwierzęta zmieniają swój sposób życia i przyzwyczajenia ze zmianą warunków, w jakich się znajdują i miejsca pobytu, — czynią to i rośliny. Migdałowe drzewo, wydające gorzkie migdały, przesadzone do innej ziemi, rodzi słodkie migdały. Brzoskwinia, która ma być szkodliwą w Persyi, ojczyźnie swojej, u nas jest jednym z najsmaczniejszych i najzdrowszych owoców. Muchomor, które w naszym klimacie są trucizną, służą w Syberyi do nalewek. Cykuta, silna trucizna na południu — jest jadalną na północy. Orzech i kasztan, gdy rosną nad wodą, mają układ gałęzi jak u płaczącej wierzy; przeniesione na suchą ziemię zupełnie zmieniają postać swoją.

Jak zwierzęta, pod wpływem wychowania, zmieniają swój charakter i zwyczaje, tak samo dzieje się i z roślinami. Komuż przyjdzie na myśl, że przodkiem najpyszniejszych róz jest skromny głóg, rosnący w polu. Pod wpływem wychowania roślina przekształciła pręciki swoje na płatki, zmieniła postać i zaczęła wydzielać miły zapach, którego poprzednio nie miała.

Jak zwierzęta są powolne, lub żywe i ruchliwe, tak też są i rośliny, które rosną niezmiernie powoli lub bardzo szybko. *Victoria regia* na rzekach Brazylii i Gujany, gdy zaczyna rosnąć, rozwija niesłychaną czynność. Przypatrując się uważnie, można widzieć, jak liście jej mające około sążnia w średnicy rosną, gdyż w 24 godzinach średnica ich powiększa się o stopę całą.

W karakaskim ogrodzie botanicznym w południowej Ameryce znajduje się roślina z rodzaju wijących się, która w ciągu sześciu miesięcy wyrasta na 6 tys. stóp, t. j. prawie na stopę w godzinę. (Murray Frorieps Notizen t. 28).

Między zwierzętami są takie, które dobrowolnie mogą zmieniać kolor skóry, (bazyliuszki, ropuchy). Toż samo znajdujemy pomiędzy roślinami, które w ciągu dnia zmieniają własności liści lub kwiatów. *Briophyllum calicinum* liście z rana ma kwaśne, w południe bez smaku, a wieczorem gorzkie. *Hibiscus mutabile* z rana ma kwiaty białe, w południe zmieniają się one na purpurowe, a wieczorem są jasno czerwone. *Victoria regia* w chwili rozkwitu ma kwiaty białe, które po kilku godzinach stają się różowymi.

Wzrost roślin, ciągłe ich odnawianie się, wyrastanie nowych organów, zdolność zmiany położenia gałęzi, liści i kwiatów, podnoszenie się ich w górę lub schyłanie ku ziemi — są to ruchy rośliny, odpowiadające ruchom zwierząt i świadczą, jakie to są ruchliwe i czynne istoty.

Przypatrzmy się teraz własnościom niektórych roślin pnących się. Jeżeli w ścianie, około której rośnie dzikie wino, przed wiosną wbijemy ćwioczek, to obaczymy, że roślina je odszuka i zaczepi się, aby się oprzeć — ma się rozumieć, jeżeli ćwioczek te znajdują się mniej więcej w tym kierunku, w którym rośnie wino.

Jak objaśnić okoliczność, że roślina w tem miejscu, gdzie znajduje podpórę, zamiast liścia tworzy wąsik, aby tylko dogodzić swej wrodzonej

potrzebie oparcia się na czemkolwiek. Widocznie więc roślina działa z pewnem przewidywaniem, z pewnem wyrachowaniem i wyborem.

Roślina, której Stwórca przeznaczył rosnąć, owijając się o jakąś podpórę, wychodząc z ziemi podnosi się zupełnie prosto, następnie wierzchołek jej zgina się poziomo i roślina opisuje koło, szukając podpory. Gdy pierwsza próba nie doprowadzi do celu, roślina wyczekuje, nim łodyga podrośnie więcej i znowu powtarza tenże ruch kołowy. Jeżeli i teraz nie znajdzie tego, czego szuka, roślina zmienia swój plan pierwotny, nie będąc bowiem w stanie utrzymać długiej swej łodygi w pionowym położeniu, przypada do ziemi i pełźnie dopóty, aż spotka na drodze potrzebną jej podpórę, a wtedy przestaje wlec się po ziemi, owija się około opiekuna swego i pnie się do góry. Gdyby roślina nie czuła tego przedmiotu, gdyby dotknąwszy się do niego, nie doświadczyła jakiegos wrazenia, które obudza w niej skłonność i zdolność pięcia się w górę, to oczywiście przeszłaby mimo spotkanej podpory, nie zmieniając kierunku, co byłoby nawet dogodniej dla niej, jak podnosić się w górę, walcząc z siłą ciężkości, która ją ciągnie do ziemi. Roślina doszedłszy do wierzchołka przedmiotu, służącego jej za podpórę, znowu zaczyna te same ruchy, które zauważyliśmy u niej w początku jej istnienia — to jest kilka dni będzie podnosić się prosto nad podpórą, a potem schyli się i zaczyna opisywać koła szukając nowej podpory. Godnem jest uwagi, że rośliny wiją się około swych podpór jedne z prawa na lewo np. *passiflory*, *trąbkowate*, (*convolvulaces*), drugie z lewa na prawo np. *chmiel*, *topolówka* i t. d.

Znany rolnikom szkodnik — *kanianka*, obwija się tylko około żyjących roślin, a unika zwykłych tyk, około których przechodzi mimo, ale obwija się około każdej rośliny żyjącej, a zwłaszcza około *tymianku*, który bardzo lubi. Widocznie więc roślina ta ma swoje upodobania, swój gust. Co ciekawsza, wtedy gdy wszystkie rośliny pnące się ciągną swe soki z ziemi, z której wyszły, *kanianka*, jak tylko obwinie się około jakiej rośliny, odrywa się od ziemi, zapuszcza korzonki swoje w ciało swej podpory i niszczy ją, wypijając soki żywotne; a gdy ta ostatnia umrze, niewdzięczna i żarłoczna, jak wszystkie pasożyty, *kanianka*, wierzchołkiem łodygi swej zaczyna szukać podpory nowej, a porzuciwszy pierwszą ofiarę swoją przenosi się do następnej, aby ją wyssać także. Wiele z wijących się roślin wytwarza osobne organa, zwane *wąsikami*, które im służą wtedy, gdy pną się w górę.

Z tego, cośmy widzieli u roślin pnących się, można przyść do przekonania, że działają one z pewnem wyrachowaniem i przewidywaniem, a dla dopięcia celu używają najodpowiedniejszych środków; nareszcie, że posiadają zmysł dotykania, umieszczony w wąsikach i w końcu łodygi.

Przejdźmy teraz do innego szeregu zjawisk. Wyżej już wspomielśmy, że wszystkie rośliny kierują się ku światłu słonecznemu, lecz najczulszymi na światło są liście i kwiaty. Z dwóch stron liścia jedna jest zawsze skierowana ku niebu, druga ku ziemi. Jeżeli będziemy trzymać całą roślinę, lub tylko jedną jej gałąź tak, żeby światło padało na dolną część liści, to po pewnym czasie roślina skręci szypułki i ob-

róci liście tak, że górna część będzie znowu zwrócona do światła. Bonnet robiąc to doświadczenie, zmusił roślinę obrócić liście swe czternaście razy; roślina bardzo się zmęczyła, ruch liści stał się powolnym i słabym. Toż samo można widzieć na płaczących drzewach, które opuszczając gałęzie ku wodzie, dają liściom swym takie położenie, że górna część wychyla się ku niebu.

Powtarzałem doświadczenie, zrobione przez kogo innego, (Night): skierowałem ku światłu dolną część liścia winogronowego, a przycisnąwszy go do okna, pozbawiłem możliwości przyjęcia poprzedniego położenia. Roślina z początku starała się odwrócić liść, potem zaczęła zawijać brzegi, przekonawszy się jednak, że to się nie udaje, odsunęła liść od okna, o które go oparłem i posunęła go w innym kierunku, w którym światło, wchodząc z przeciwnej strony, musiało oświetlić górną stronę liścia.

Dowolne te ruchy i próby rośliny wybawienia się z przykrego położenia, te różne sposoby, których ona używa do osiągnięcia celu, świadczą znowu, że roślina czuje i rozważa.

Każdy kto podróżował w jesieni po Podolu, widział jak słoneczniki zwracają kwiat swój ku słońcu, lecz być może nie wszyscy zauważali, że większa część kwiatów polnych czyni to samo. Gdy wieczorem wyjdziemy na pole i spójrzmy na zachód, to obaczmy bardzo mało kwiatów, przeciwnie gdy idziemy na wschód obaczmy całe pole błyszczące kwieciami; w tem położeniu kwiaty zostają do rana i wtedy zaczynają kierować swe główki ku wschodowi, gdy słońce podnosi się nad horyzontem.

Rośliny śpią w nocy tak, jak wszystkie stworzenia, a do jakiego stopnia sen jest im potrzebny, przytoczę dwa fakty. W Paryżu, gdzie ruch ciągły i światło we dnie i w nocy nie pozwala drzewom użyć spokoju i odpoczynku, nie wiele drzew na bulwarach wytrzymuje więcej nad 6—10 lat, poczem zaczynają schnąć i giną. W jednym domu, gdzie co wieczór zbierano się na tańce, wszystkie kwiaty poginęły w przeciągu jednego miesiąca, bo nie mogły wytrzymać pozbawienia snu, tej okropnej tortury, którą Murawjew zaaplikował nieszczęśliwemu sprawcy zamachu na życie cara.

Bardzo wielka liczba roślin zamyka kielichy kwiatowe przed snem dla zachowania znajdującego się w nich pyłku od szkodliwego wpływu nocnego chłodu i rosy. Jedna z roślin wodnych (Thalia), gdy nadchodzi wieczór, robi toaletę, zamyka kielich, zanurza się w wodę i — dobranoc; kwiaty jej można obaczyć dopiero rano, gdy wynurza się na powierzchnię i rozwinię kielich, — wtedy piękna roślina wstała ze snu.

Inna roślina wodna, (lotos), otwiera kielich o szóstej wieczorem, a o północy zamyka go i zasypia. O godzinie szóstej z rana budzi się znowu; około południa, gdy upał jest najsilniejszy, chowa się pod wodę i tam odbywa siestę do wieczora.

Są pilne rośliny i leniwe, jedne wstają o brzasku dnia, drugie o dziewiątej przed południem; trzecie — elegantki, — dopiero o dwunastej. Można nawet znaleźć wśród roślin — »cmy nocne«, które od-

krywają kielichy dopiero wtedy, gdy ich towarzyszki udają się na spoczynek, (Linneusz).

A zatem sen roślin jest tem samym, co sen u zwierząt i jest potrzebnym dla ich istnienia. U zwierząt sen jest konieczny dla odpoczynku mózgu i systemu nerwowego. Fakt zaś, że roślina spi i spać musi, jest dowodem, że i ona ma jakiś system nerwowy i jakiś organ, który zastępuje mózg.

Uważnie przyglądając się pewnym roślinom, można się przekonać, że niektóre z nich są to żywe barometry, które z większą dokładnością przepowiadają pogodę niż najlepsze narzędzia. Stelleria, naprzykład, czyli kurzyślep, budzi się zwykle o godzinie dziewiątej z rana, wyprostowuje łodygę i liście, otwiera kielich i w tym stanie zostaje do południa, jeżeli dzień obiecuje dobrą pogodę. Lecz jeżeli deszcz będzie, to roślina nie obudzi się, zostanie w pochylonem położeniu i nie rozwinie kielicha.

Ciekawą jest rzeczą, że polanie mimozy roztworem narkotyku wprawia ją w sen głęboki i długi, a kwas pruski truje rośliny tak szybko jak i zwierzęta.

Są rośliny tak czułe na wrażenia zimna, ciepła lub dotyku, że pod działaniem ich przechodzą w ruch. Jeżeli dotknijemy końcem szpilki pręcików berberysu, obaczymy, że się one poruszają i zaczynają skakać na miejscu, a potem znowu uspokajają się. Dotknięcie bródką pióra słupka bignonii, (indyjskiego jażminu), wywołuje natychmiastowe zamknięcie się kielicha, który po pewnym czasie znowu się otwiera. Jeżeli trącimy gałązkę mimozy, czyli czułka, roślina podniesie swe listki, przyłoży jeden do drugiego górną ich stronę, potem schyla je i spuszcza ku gałązkom. Jeżeli wstrząśnienie było dość silne, to mimoza zakrywając listki w tymże czasie nachyla gałęzie swoje. W tym stanie roślina wygląda jak zwiędła, lub jak w czasie snu. W kilka chwil potem mimoza jakby wraca do życia, rozkrywa swe liście i daje gałązkom zwykłe położenie. Przy zbliżaniu się człowieka do roślin tych, pokrywających równiny Brazylii, liście zamykają się pośpiesznie, jakby przestraszone ruchem powietrza, które przybliżenie się jego sprawia, a gdy promienie słońca padają prostopadle na krzaki, ruch liści i gałęzi tak się wzmacnia iż daje krzakom dziwną, fantastyczną postać, która nigdy nie wychodzi z pamięci tych, co ją choć raz widzieli.

Roślina ta czuje boleść tak jak zwierzę. Jeżeli za pomocą ostrego nożyka zrobimy na gałązce bardzo małą ranę, choćby to było z taką ostrożnością, że roślina nie doznała najmniejszego wstrząśnienia, dostrzeżemy, że roślina natychmiast opuści nietylko liście ale i gałęzie. Toż samo się powtórzy, jeżeli na liść rośliny opuścimy najmniejszą kropelkę kwasu siarkowego.

Ciekawem jest bardzo, że mimoza łatwo przywyka do drażniącej przyczyny, tak jak do tego przywykają zwierzęta. Jeżeli umieścimy mimozę w powozie, to z początkiem ruchu roślina zwija swe listki i opu-

szcza gałęzie, ale wkrótce pomimo ciągłego wstrząsania przychodzi do siebie ze strachu i powoli otwiera liście. Lecz gdy po pewnym wstrzymaniu się powóz ruszy w drogę, roślina znowu złoży swe listki i nie rozkrywa ich tak długo, aż przywyknie do ruchu.

Dokończenie nastąpi.



Z RZYMU.

(Ulica — S. Paolo fuori le mura — Cafe greco-antico).

Fiorai'a, niepytając czy to twojem życzeniem, wkłada ci szybkim, zwinnym ruchem, w kieszeń surduta, lub w wycięcie kamizelki mały bukiecik. Że zwykle ładna, choć zbiedzona, a tak łagodnie wielkimi oczyma prosi — dajesz chętnie »solda«. Na rogu ulicy dorożkarz schludnie ubrany, na wysokim koziółku małej swej, czyściutkiej »vetury« podnosi rękę z wyciągniętym, wskazującym palcem. To ma być zachęta do użycia pojazdu, używana przez rzymskich fiaków niestrudzenie, a bardzo miła, bo choć zwracająca uwagę przechodnia, ogromnie cicha.

Na rogu ulicy, prawie na każdym, *lustrascarpe* — pucobut, ma swoje siedlisko. Trzeba przyznać, że ci *lustra*-torzy włoscy, to mistrze w swoim fachu. Bardzo też wielu mają klientów, a odznaczają się ogromną małowownością. Nie daje im się żadnych mówionych poleceń, noga postawiona na stołeczku starczy za polecenie. Często czyszczą oni buciki nie większe, jak rękawiczka. Piękne rzymianki nie wahają się używać ich usług, choć trzeba nieco *coram publico* podnieść sukienki. *Lustra* tor rzymski zadowolony jest z każdego wynagrodzenia.

Od wczesnego ranka przebiegają ulicę kolporterzy z dziennikami. Tych dzienników jest moc, a każdemu dobrze się powodzi, choć bardzo tanie: egzemplarz kosztuje 1 solda — 5 centesimi, mniej więcej 2 i 1/2 naszych centów. Włoch lubi gazety czytać, a ponadto przyczyniają się do rozwoju wydawnictw: kolportaż i brak stempla. Zwłaszcza wieczorem, w porze, w której wychodzą prawie wszystkie rzymskie dzienniki, kolporterzy, przeważnie młodzi chłopcy, dużo mają do czynienia. Niejeden materiał na tenora lub *basso* niszczy się wtedy na nic, bo temperament i chęć pokonania rywala, roznosiciela podnieca go do jaknajgłośniejszego wywoływania. Niesforne okrzyki: *Il Messaggero!* — *Il Popolo Romano!* *La voce!!!* i t. d., i t. d., odbijają się późno w noc głośnie mi ehami o posępne mury pałaców rzymskich, pamiętających tyle konspiratorskich szeptów...

Prócz kolporterów uwijają się po ulicach chłopcy z zapawkami woskowymi. Handel ten uliczny bardzo jest ożywiony: Prawie każdy kupuje »cirinì«, bo w włoskich kawiarniach i restauracjach nie ma zwyczaju, iżby na stołach kładziono zapawki.

Bezpieczeństwo publiczne na ulicy nienaganne, mimo, że rzymska policja podobno nie najlepiej zorganizowana. Ma ona zresztą przekonanie, że spór dwóch Rzymian, jeśli nie błyskają sztylety, jest ich sprawą prywatną, do której władzy nie wypada się mieszać.

...»Vetura« toczy się z góry, od kościoła *S. Pietro a Montorio* ku jakiejś ciemnej ulicy. Jadący w fiakrze ogląda się w tył, aby jeszcze raz zobaczyć monumentalną budowlę. W tem widzi, że aż od kościoła puszcza się w cwał za powozem, w którym on siedzi, jakieś dziecko. Jadący każe zatrzymać się furmanowi. Dzieciak przybiega i pyta: »Che volo?« Jadący spodziewał się nagabywania o jałmużnę i chciał ją dać, a tu tymczasem nie prośba, ale chęć usłużenia, uprzejme zapytanie. Jadący zdziwiony rzuca mimoto monetę. Dziecko nie rozumie o co chodzi, pieniądz zwraca, a prosi o kwiatek z butonierki. Wyjątkowa to scenka z pewnością, ale jest w niej coś z poezji różowych lasów migdałowych urzecej rzymskiej Kampanii.....

Gdyby się nie wiedziało, że *S. Paolo fuori le mura* to kościół, możnaby sądzić, iż przewodnik wprowadził cię do jakiegoś wspaniałego pałacu. Każdy tu szczegół jest dziełem artystycznym, ściągają myśl ku ziemi, bogactwom, dawnej, ziemskiej świetności papieżstwa, a nie wznosi duszy ku niebu, ku tajemniczemu, pełnym głębokiego rozumu i poezji misteryom chrześcijaństwa. W tych świetnych marmurach zimno duszy ludzkiej; lepiej jej, bliższa ona Boga, w naszej skromnej cerkiewce. A może to tylko dusza polska taka jakaś dziwna. Może w niej więcej fantazyi, że jej wspaniałego otoczenia nie potrzeba, aby odczuć świetność, potęgę Boskiej wieczności, miłości i siły.

Oto, jak się przedstawia *S. Paolo fuori le mura*: Ołtarz główny nad grobem św. Pawła w pośrodku olbrzymiej nawy, otoczony kolumnami w stylu bizantyńskim. Część kościoła wsparta na marmurowych kolumnach-kolosach; tworzą one cztery szeregi: potężne, olbrzymie. Boczne ściany i posadzka lśnią jak lustra — wszystko marmur. Ale w tej świetnej świątyni nikt nie klęczy, nikt się nie modli, księdza nie widać. Kościelni w kurtkach z jakimiś lampasami wyglądają jak lokaje. Goście przybywają z »Baedeckerami« podziwiać wspaniałości... Ach te »Baedeckery« — chciałbym pacierz zmówić... ..Przed kościołem jakieś zbiegowisko: Kardynała Rampolę niosą we wspaniałej, purpurowej lektyce. Lud się gapi...

Stara, cicha kawiarenka przy ulicy Condetti, to coś w rodzaju sławnej swego czasu, dziś już nie istniejącej, paryskiej kawiarni literackiej; »Café Procope«. Tylko, że tu do kawiarni »greco« chodzili i chodzą przeważnie rzeźbiarze i malarze, a »Café Procope« była ogniskiem literatury.

Kawiarnia grecka ma na szyldzie przymiotnik: *antico*. I to słusznie. — Już przeszło sto lat temu sprzedawano tutaj kawę na szklanki. Zrazu był tylko jeden pokój, później dwa, trzy, a dziś ich jest aż pięć. Jak się to stało, że artyści zaczęli odwiedzać kawiarenkę przy ulicy Condetti?

Gospodarz obecny opowiada o tem całą legendę: Oto przeszło sto lat temu młody chłopczek jakiś, co piechotą przyszedł kształcić się do Rzymu z dalekiej północy, prosił pewnego razu ówczesnego właściciela tej kawiarni, aby mu dał się napić kawy, a on za to podobiznę jego namaluje. Kawiarnik zgodził się na tę propozycję. I tak się stało, że młody chłopak — później sławny jakiś malarz, — zaczął odwiedzać stale tę kawiarnkę. Niebawem gośćmi codziennymi tego lokalu stali się jego koledzy. A potem weszło to w tradycję i do dziś dnia rzymska kolonia artystyczna odwiedza chętnie *Café greco*.

Dzięki temu ma też ona swoje oryginalne, artystyczne piętno. Ściany zdobią podobizny rzeźbione wybitnych artystów malarzy i rzeźbiarzy, którzy ongiś byli stałymi gośćmi tej gospody, a dziś już do tego świata nie należą.

Kawiarnik pokazuje też chętnie gościom księgę, w której znajdują się adresy malarzy i rzeźbiarzy — dawnych gości kawiarni *greco*. Miał tu chodzić Canova, Thorwaldsem i Boeklin... Siemiradzki bywał w niej także temu pono lat dwadzieścia, gdy miał jeszcze pracownię przy *via Margutta*. W dymie kawiarni, szarym, ciężkim widział Boeklin pierwsze zarysy swych tytanicznych postaci, a słoneczny Siemiradzki jasne cienie swych wiosennych malowideł. ...Dzisiejsza, polska kolonia artystyczna odwiedza bardzo chętnie *Café greco*. Stworzyła ona nawet w jej lokalu małą czytelnię, a to głównie za staraniem Antoniego Madeyskiego, głośnego już we Włoszech rzeźbiarza, a dobrego ducha polskiej kolonii. Ten Madeyski to wielki altruista: Dużo dobrego robi pocichu potrzebującym pomocy. Stałymi gośćmi kawiarenki są też: młody uczonek, delegat krakowskiej akademii Dr. Kutrzeba, Edward Okoń, wielki, młody talent malarski i rzutki dziennikarz Darowski. Ci ludzie, wszyscy wybitne typy słowiańskie, nadają w pewnych godzinach, między szóstą a ósmą wieczorem, ciekawe piętno kawiarni. W jednym z pokojów słychać tylko mowę polską. To kawałek Polonii, myślącej, artystycznej Polski. Wszyscy przejęci myślą przysporzenia sławy rodzinnej nauce i sztuce. Chwilami milkną. Westchnienia słychać, a ku portretowi Mickiewicza, znajdującemu się w tym pokoiku, biegają oczy. Mickiewicz ręką podnosi lilie, które burza zgięła.

Ignacy Nikorowicz.



Malarstwo i rzeźba.



JULIUSZ ZUBER.

Juliusz Zuber. Bardzo wysoki mężczyzna, przybie-
rający co chwilę, jak często
cisi a łagodnego serca, roz-
paczliwie groźne i surowe
miny. Spojrzy czasem, zda-
wałoby się, patrzy tylko
krwi chciwy w jakiegoby
krytyka lub mecenasa sztuki,
»Protza«, zatopił ogromny
miecz. Ruszy się, zdawałoby
się, idzie bijć i zdzierać war-
kocze z głów panów sta-
rych, którzy w jakiejś prze-
ładowanie barokkowej sali
radzą o sztuce, artystach,
estetyce i t. p. a on tylko
w Osteria Bavaria długą rę-
ką sięga do stołu po kielich
pełny czerwonego »mavroda-
plue« i pije powoli i ze znaw-
stwem człowieka, który tyle

lat był filarem klubu Ostadystów, »cerceles niderlandais«, monachij-
skiej tawerny realistycznej z przed kilkunastu z górą laty. Dawne
to były czasy, miłe bardzo i kolorowe, opowiada Zuber z zamy-
śleniem ludzi, którzy nieodległej tak jeszcze przeszłości chcą na-
dać pikantnego meszku starości; były to czasy, kiedy imię Zoli płaćtało
się w każdym zdaniu, kiedy Ibsen mieszkał w Monachjum, kiedy u pani
Berty z hr. Kinskych Suttnerowej były przyjęcia na cześć Zoli... nie-
obecnego wydawane, kiedy niemieccy realisci zakładali tu miesięcznik
»Gesellschaft« i oni z Garborgem pili i dyskutowali pod Krokodylem
a Ostadyści w Klausie. Do grupy ludzi związanych realistyczną
wiarą i kultem van Ostadego należeli tacy jak Zumbusch, Friedrich,
Lerch, Kleinert, Rautsch, z Polaków Grocholski i inni. Do tego to klubu
wstąpił też wnet po studiach młody, zdolny Galicyanin, Zuber.

Zuber pochodzi z wschodniej Galicji, z Rusi. Stypendysta sejmowy,
od samego początku studyował w wiedeńskiej meisterschuli Eisenmen-
gera obok Rauchingera, Krudowskiego, Grocholskiego, Styki, Romana
Lewandowskiego i innych, którzy w tych latach uczyli się pierwszych
stąpić po ziemi sztuki. Po sześcioletniej pracy przeniósł się, poznawszy
wiele świata obcego w tułaczkach artystycznych, do Monachium,
gdzie stale zamieszkał związawszy się wieloma sympatycznymi niemi
z kulturą niemiecką, z społeczeństwem, z poezją wesołych bajek niemie-
ckich, z Parcifalem, z Rubezahlem, z Rattenfängerami, z starymi gnomami...

Do kraju jednak jeździ systematycznie co rok, aby się odświeżyć, jak mówi, umocnić, bo tęsknota artysty i patriotyzm Polaka ciągną go do pięknej, pełnej kolorów i temperamentów Rusi, malowniczej Ukrainy, przebogatej w typy Bukowiny, do wyrosłych jak sosny Hucułów, poważno groteskowych djaków, pijanych popów, awanturniczych urlopników i koniecznie ślepych lirników. Juliusz Zuber, który już jakby przesiąkł na wskroś atmosferą cyganeryi malarskiej, monachijskiej, powietrzem pracowni, przesyconem olejem, werniksem i terpentyną, od czasu do czasu tęskni jak koń stepowy do stepów, wilk do lasu, jak każdy malarz rodzajowy za swoim genrem. Wtedy znika z Monachium a wyrusza się gdzieś daleko wśród straganów na jarmarku w Kołomyży, na praznika w Żurawnie, widać go wysokiego, opalonego wśród młocjów i młodych, jak tańczy, pije, je kwaśne ogórki, jak na wieczornicę gdzieś zajdzie i siada na ławie przy starych, gwarzy i pali, jak potem pod banią cerkiewną, drewnianą, słucha monotonnej liry i śpiewu starego dziada, jak patrzy przenikliwie, bystro a swobodnie, po malarsku patrzy.

I widzi i pamięta wesela, zaloty, kłótnie, chrzciny, bójki, święta, nabożeństwa, obrzędy błogosławieństwa, pamięta i dwoje młodych zakochanych i innych, zastawiających u żyda resztki odzieży i innych dwóch zwartych w nienawistnym uścisku wściekłej walki... o nią i innych chytrych, wyrafinowanych w złem i kujących jakąś intrygę pieniaczą. Dzieckiem wchłonał w siebie cały ten świat żyjący, ruchliwy, rodzący i umierający, wiecznie zmienny a zawsze jednaki, świat swej ziemi rodzinnej, który drogą zmysłów dostał mu się do duszy i serca a żadna moc piekła ztamtąd go nie wyprze. Zuber na tle najbardziej *empire* malowanej kawiarni, z meblami w Carabina stylu, przy opalowym absyencie, w atmosferze najwypłowialszych frazesów metafizycznych, gdzie kulturę 19 wieków kończących się znać już w smugach dymów tytoniowych, i żółtozielonych twarzach kelnerów, będzie zawsze egzotycznym, wysokim panem z Halb-Asien, będzie zawsze wyrosłym jak sosna Hucułem. Wśród nich bowiem wyrósł i ich świat pierwszy raz zobaczył okiem dziecka utalentowanego.

Zuber »zaprzedał niegdyś duszę i ciało« mister Souleyowi; wszystkie bez wyjątku obrazy swe sprzedawał Anglikom, dla bardzo zrozumianej przyczyny, że Anglicy z ochotą kupowali obrazy w tej manierze o egzotycznym milieu i tej artystycznej miary. I tu trzeba wreszcie wykrztusić kondemnację tej produkcji artystycznej Zuberu dla Anglików tego genu i tej manieri. Świat ruski miał Zuber wdzięczny i świetny dla malarza, przemawiający barwami i ruchem sam ze siebie, chodziło o to, o ile indywidualnie on go zaobserwował, te wykrawki szmaty życia ukraińskiego, o ile własnym pryzmatem temperamentu on widział. Trzeba wykrztusić kondemnację dla tego, co było a nie jest i nie wróci. Zuber oddawał to, co widział, w przeciętny sposób, bez oryginalności kompozycji, po ilustratorsku pojąwszy życie ludu, czem mógł co prawda zadowolnić czytelników familijnych pism niemieckich, gdzie jego wystawiane rokrocznie w Głaspalascie obrazy były reprodukowane, ale czem nie mógł sobie rościć pretensyi do stopnia zaszczytnego, indywidualnego ar-



JULIUSZ ZUBER: Opowiadanie urlopnika.

tysty. Zuber dostrajał się do poziomu ogólnego, nawet do wymagań krytyki dziennikarskiej a także do tych, którzy też na różną modłę dawali tylko kawał wybornego śniegu z stojącym wilkiem, leącym lisem albo przewróconymi sankami. Starał się być Deffreggerem Rusi i Podola a choć do tej czystości i nienagannosci techniki nie doszedł nigdy, w uchwyceniu dramatycznych momentów życia ludu, w charakterystyczności typów i szczeroci ruchów Deffreggerowi sprostał zupełnie. Jego egzotyczna rodzajowość wyrobiła mu markę i popularność, ta pracę rzemieślniczą, ta szablon i ilustracyjne pojmowanie tematów. Ta specjalność jego talentu znalazła wreszcie szeroki upust i pożądane ujęcie w ilustrowaniu wielkiego dzieła: Oesterreich in Wort und Bild (on tłumaczy: Austria w słowie i w obrazku). Dał tu kilkadziesiąt ilustracji, scen, typów, zwyczajów, obrzędów wraz z prof. Vaximowitchem, Stefanyim, Ajdukiewiczem. I odtąd się zmienił, wszedł w siebie, zaczął patrzeć pilnie na nowych, oddechać świeżem powietrzem modernistycznego renaissansu w sztuce, podpatrywał, badał, kształcił się w nowinkach, mieszał farby na palecie, szkicował impresyjnie rzutami, próbował, nie dolizywał tak skrupulatnie linii, baczył, by dużo powietrza było na płótnie i namalował wreszcie tak świetną rzecz, jak »Pieśń Zbójcka«, jako debiut Zuberu w drugiej jego epoce przynajmniej, że wiele obiecujący. Za pierwszą koncepcyę tego obrazu w ilustratorskim stylu jeszcze malowaną wziął Zuber zaszczytny medal na lwowskiej wystawie. O tem pierwszym wydaniu zamilczęć wolę, zwracając wszystkie światła na drugą. Stary bazar kręci torbą teorbanu i opowiada śpiewnie straszne pewnie przygody dawnych »rycerzy zbójników« czarnohorskich. Przy nim wokół w niedbanych, szczyrchach pozach leży czterech młodych i słuca z groźnem napięciem i rozczekawieniem; źle im z oczu patrzy, widać jacy silni, jakie »ryzykanty«. Cała grupa po rembrantowskiu pojęta z bardzo umiejętnem światłem z boku wielkie sprawia wrażenie. A stary jakby śpiewał nosowym głosem: »Był se pan pewien ogromnie bogaty, miał srybła, dukaty...

»A kupował *kicze* i *knoty* i akty do sypialni — dośpiewuje humorysta Zuber. Humorysta? Tak jest humorysta, ale o tem potem; przypomnieć jeszcze należy, że z płócien, przedstawiających prawdziwą nowoczesną wartość artystyczną, zasługują u niego na wielką uwagę jeszcze: »Bajka w Nowosielicy« oraz mający smaczek sensacyjny z powodu tematu, walki nad granicą urlopników austryackich z rosyjskimi, który wystawiony współcześnie z Szymanowskiego »Kłótnią« był przedmiotem tytułu artystycznych porównań i dyskusyi, a wreszcie w tegorocznej wystawie Głaspalastu wystawiona niezwykle dramatyczna scena, doskonale malowana, żywa w liniach pt. Opowiadanie urlopnika.

I to jedno Janusowe oblicze Zuberu malarza rodzajowego, drugie to grymaśnie wykrzywiona maska humorysty bardzo modern, znanego z Jugend, Narrenschiffu, Postillona, Fliegende i. t. p. Niema tu już śladu Ukrainy, mołodyc z nad Dniepru, hucułów, a są tylko ślady bardzo wysokiego malarza Zuberu z klubu Ostadystów, realisty, który od Ostadego przeszedł do Hieronymusa Boscha przez studia Brouwerów,

Teniera Breughelów, Franza Halsa, od ordynarnych sylwetek pijaków do potworkowatej fantastyczności, do nadnaturalnych, obrzydliwych potworów, czarownic, szatanów, demonów. Zuber lubował się w przekrzywionych, pół zwierzęcych pyskach, w półgroźnych a półśmiesznych ohydach, znajdował w nich groteskowy humor realistyczny aż do trywialności, na codzien lubiał znów i niemieckiego Buscha, który tak karykaturalnie persiflował świat mnichów, świętych, dziewic, dewotek i manierę karykaturalną Caran d' Achéa; sam miał żyłkę karykaturowania, dość częstą u malarzy, szczególnie bardzo... wysokich.

I rzucał całymi krociami szkice karykaturalne, portreciki o przeszarżowanej charakterystyce, sceny całe, cykle nawet jak znane z Jugend: Bajka o dobrym i złym królu, Bajka o żydzie Ahaswerze, *Sujets* poety niegdyś a dziś, Miłość stylowa i wiele innych igraszek piórem i ołówkiem o literackim pomysle, groteskowem przeprowadzeniu, humorze i linii niezwykle swobodnej, a zawsze poprawnej.

Zuber pójdzie już ascendentalnie od swej »Pieśni Zbójcekiej« ku lepszemu. Być może, że w tym kierunku stworzy coś bardzo wybitnego i silnego, co mu nie przeszkodzi i w małym kierunku groteskowej satyry rzucać pomysły wesołe i malować albo bardzo niskich, albo bardzo wysokich panów o strasznie groźnych czasem twarzach i nastroszonych wąsach, które dzieci tak lubią ciągnąć i zakręcać.

Adolf Nowaczyński-Neuwert.

Pomnik Sobieskiego we Lwowie, którego reprodukcję zamieszczamy na czele niniejszego zeszytu, jest czwartym z rzędu, większych rozmiarów monumentem, jakim miasto nasze w ostatnich czasach przyozdobione zostało. Do niedawna pomnik hetmana Jabłonowskiego, wydobyty z poniewierki i zrestaurowany staraniem ś. p. Hipolita Stupnickiego w roku 1859 tudzież bronzowy posąg Świętego Michała, zdobiący ongi arsenał królewski a w latach 1873 — 1888 niewłaściwie umieszczony u wylotu Wałów Hetmańskich od strony placu Maryackiego, były jedynymi dziełami sztuki, jakimi ulice naszego grodu mogły się poszczycić. Dopiero w ostatnim pięcioleciu przybyły Lwowianom pomniki Kilińskiego, Wiśniowskiego i Fredry zaś w dniu 20 listopada r. z. nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika Sobieskiego. Pamięć króla-bohatera zamierzali uczcić Lwowianie już w roku 1883, podczas dwusetnej rocznicy odsieczy wiedeńskiej i w tym celu Rada Miejska postanowiła corocznie odkładać przez lat dziesięć po tysiącu złr. Ofiarność gminy znalazła chętnych wykonawców. W roku 1888 chlubnie znany artysta rzeźbiarz Tadeusz Barącz wniósł ofertę, że za zwrotem kosztów pomoconików i materiału postawi z kamienia krajowego pomnik króla Jana i przedłożył szkice tegoż. Zrazu zgodzono się na projekt artysty, lecz później wyłoniła się myśl zasadnicza wzniesienia monumentu z brązu, miasto z kamienia. Powierzono więc Barączowi za cenę pierwotnego wynagrodzenia, (15.000 złr.), wykonanie nowego modelu w gipsie, który to model wiedeńska odlewnia Kruppa podjęła się odtworzyć w bronzie

i ustawić we Lwowie na przygotowanej przez pracownię rzeźbiarską Markowskiego podstawie. W pierwszych dniach września r. z. odlew dostawiono na miejsce i dzień ośmnasty t. m. wyznaczony został na uroczystość odsłonięcia pomnika. Niestety, straszna katastrofa Genewska, kazała odłożyć radosny dla miasta obchód, który odbył się — jak już wspomniano — w listopadzie r. z. Reprodukcję pomnika podajemy podług zdjęcia, uskutecznionego przez amatora-fotografa p. Kazimierza Peplowskiego.

Artystyczne Karty Pocztove. Ruchliwa firma wydawnicza H. Altenberga we Lwowie wystąpiła świeżo z artystycznymi kartami pocztowymi, które śmiało mogą współzawodniczyć z takimiż publikacjami zagranicznymi a przewyższają nieskończenie niezdarne w przeważnej części reprodukcje wiedeńskie dla Galicyi sporządzane. Dotychczas wyszły dwie serye owych kart, (każda serya składa się z 10 sztuk), wzorowane według kompozycyi Kaczor-Batowskiego, Stanisława Dębickiego, J. Makarewicza i Weina a przedstawiające typy ludowe i sceny rodzajowe. Cena tych kart jest wcale przystępna.



M U Z Y K A.

Koncert ludowy. Z inicjatywy Koła Akademickiego Towarzystwa Szkoły Ludowej, odbył się w Niedzielę dnia 20. sierpnia b. r. »koncert ludowy« w hali muzycznej na placu powystawowym. Był to u nas pierwsza w tym kierunku próba, a ze względu na cel swój zasługuje, aby jej uwag kilka poświęcić.

Zagranicą, a zwłaszcza w Skandynawii, gdzie dbałość o oświatę ludu stanowi jeden z najgłówniejszych postulatów społecznych, uznano już dawno doniosłość koncertów ludowych jako środka kulturalnego i poświęcono im wiele troskliwych zabiegów. Przyjęto mianowicie jako założenie, że podnosić należy zarówno umysł jak i uczucie; czytelnikom więc, popularnym prelekeyom i wędrownym uniwersytetom dodać należy czynnik pomocniczy w formie ludowych teatrów i koncertów.

Gdy sprawa teatru ludowego u nas, pomimo że od lat kilku roztrząsano ją i omawiano niejednokrotnie, ciągle jeszcze na punkcie urzędywistnienia utyka, zasługuje tem więcej na zaznaczenie fakt wprowadzenia w życie instytucyi pokrewnej: koncertów ludowych.

Istniejące we Lwowie, (od marca 1898), Koło Akademickie Towarzystwa Szkoły Ludowej, wywiązuje się znakomicie z podniosłego zadania,

jakie sobie przy ukonstytuowaniu się postawiło. Grono owianej duchem patryotycznym młodzieży, pracuje wytrwale w obranym kierunku. W przeciągu kilkunastu miesięcy, założono dziewięć czytelni w gminach podmiejskich, zaopatrzone je w książki i gazety, wygłoszono cały szereg popularnych odczytów, tak na prowincyi jakoteż w rękodzielniczych i rzemieślniczych stowarzyszeniach w mieście, wreszcie, przystąpiono do urządzenia ludowego koncertu.

Koncertowi temu, (który przyszedł do skutku głównie dzięki staraniom akademików: Jana Leszczyńskiego, Adama Skałkowskiego, Tadeusza Moszyńskiego i Tadeusza Gubrynowicza), nadano bardzo słusznie cechę patryotyczno-narodową. Jeżeli bowiem zagranicą, wobec istniejącego tam już przeważnie uświadomienia narodowego, wystarcza praca nad samem podniesieniem poziomu intelektualnego, to u nas, przy naszych stosunkach społecznych i w naszym położeniu politycznym, z pracą tą łączyć się muszą usiłowania celem podniesienia, a bardzo często rozbudzenia dopiero ducha narodowego i patryotycznego u ludu. W imię narodowej przyszlności nie wolno nam o tem zapominać nigdy.

Program pierwszego koncertu ludowego odpowiedział w zupełności swemu zadaniu. Składały się nań, oprócz »zagajenia«, (które z niewiadomych nam przyczyn, pomimo zapowiedzi, odpadło), produkcje muzyczne i wokalne, tudzież bardzo udatna deklamacja. Akademik Drewniewski wygłosił z prawdziwym zrozumieniem i z wielkiem uczuciem »Pogrzeb Kościuszki«. Chór »Echa« odśpiewał gorąco oklaskiwane pieśni patryotyczne, takież pieśni odegrała na ogólne żądanie po dwakroć orkiestra »Harmonii«, wreszcie, panna Dziedzielewiczówna odśpiewała, a p. Poliński odegrał na skrzypcach kilka utworów narodowych naszych kompozytorów.

Wszystkie numery programu wypadły wybornie, znać sami wykonawcy rozumieli, że taki koncert jest czemś wyższem od zwyczajnej produkcji muzycznej... W sali również, pośród publiczności — różnej bardzo od przeciętnej, naszej publiczności koncertowej — panował nastrój ciepły i jakiś serdeczny; czuło się, że publiczności tej trafiają podniosłe słowa i dźwięki ojcyste, płynące z estrady, wprost do serca...

Żałować tylko wypada, że z powodu ulewnej deszczu, jaki padał przez całe południe, hala muzyczna na placu powystawowym nie była zapełniona tak szczelnie, jakby tego życzyć sobie należało.

Okoliczność ta nie powinna jednak wpłynąć i naturalnie nie wpłynęła w niczem na dalszy los koncertów ludowych u nas. Przeciwnie, jak się dowiadujemy, urządza »Koło akademickie« już w najbliższej przyszłości drugi koncert ludowy we Lwowie, a następnie, cały szereg takich koncertów na prowincyi.

Usiłowaniom i pracy szlachetnej młodzieży winno nasze społeczeństwo nietylko uznanie, ale i poparcie jaknajgorętsze.

Iz. K.

Z różnych stron. Zgóry przepraszam za relację luźną i nie-wyczerpującą — a to z przyczyny, iż opuściwszy gród syreni na kilka

tygodni, pozbawiłem się zarazem dotyczącego materiału sprawozdawczego.

A było go podostatkiem i w innym razie wyzyskać dał by się on w sposób nawet zajmujący, gdyż *saison morte* nie powstrzymuje u nas ruchu artystycznego, jeno zmienia jego fizjonomię; muza nie milknie a życie swe owszem w ogródkach, w teatrach prywatnych i — jak w tym roku — powodzeniem zupełnem uwieńczył się eksperyment Dyrekcyi Rządowej z operą w ciągu lipca. Jakoż żądni nasycenia uszu muzyką mają na to dwa, (mieli zaś wiadomo trzy), teatry, kto znów łaknie nowości w dziedzinie literatury dramatycznej — spotkać się może z jedną conajmniej premjerą każdego tygodnia; pod względem zapewnienia sobie w lecie rozrywki intelektualnej przewyższa Warszawa wiele większych miast zagranicznych, ot np.. Berlin, kędy martwość sezonu i ogórki spozierają — zda się — na ciebie ze wszystkich kątów.

Byłem tam dwa razy po dni kilka, a choć wiedziałem, że Opernhaus i sale koncertowe zamknięte, liczyłem atoli na usłyszenie ucziwej muzyki u Krolla lub w teatrach innych. Ba!.. Neue Opern-Theater (Kroll) unieśmiertelnia od dwóch miesięcy osłuchaną operetkę *Fledermaus* albo też popisują się w ogrodzie orkiestry pułkowe — dobre, zapewne, lecz nie nadzwyczajne. W innych przybytkach Malpomeny króluje possa i tylko Belle-Alliance zapowiadał — również na zmianę z koncertami wojskowymi — *Trębaczka z Säkkingen*, (tego wieczora przyjechałem właśnie i na teatr było już zapóźno), następnie — operę Lortzinga *Waffenschmied*, której wykonaniem nie byłem zbudowany bynajmniej, nowość zaś: *Dzwon zatopiony* Zoellera, przerobiona z głośnego dzieła Gerh. Hauptmanna, nigdy nie przypadła niestety na dni mego pobytu. Imponującego kiedyindziej wspaniałymi produkcjami Berlina ani poznasz śród feryj, a i potem, przybywając w dalszych stronach Niemiec, ileż razy dziwić się trzeba, jaką to muzyką kontentuje się wówczas muzyczny ten naród.

Nie mówię już o Rugji, której kąpielowe miejsca, lubo ściągają po kilka tysięcy gości, czy kuracyuszów, zgoła są pozbawione stałych kapel, ależ i w uczęszczanym Kołobrzegu, w Sinemünde przygrywa orkiestra nader mierna, mądry zaś, wytworny i drogi Heringsdorf znosi rzępolenie siedmiu madziarskich niby przybyszów, zwących się szumnie »kapelą magnatów«. Wystrojeni po węgiersku posiadają tylko niezłego cymbalistę i I. skrzypka, lecz i nazwisko tegoż: Irmenyi i narodowość drużyny zakwestyonowałbym, tembardziej, że sam szef zdradza się łatwo; zapytany o tytuł kompozycyi, którego zapomniałem, łamaną z czeska polszczyzną, (słyszał mnie widać przedtem rozmawiającego), dodając, iż język nasz zna »trochu, bo był dwa roki we Lwowi stacyonowany«.

W takich warunkach — rzecz prosta — za prawdziwy jubel uważają ludziska przyjazd szczecińskiej muzyki pułkowej, spieszą tłumnie na koncert, wzruszają się fanfarami na saxophonach i Heroldtrompet'ach i jak kania dżdżu wyczekują do późna na deser: *Schlachtmusik* — chroniczny rzeczywiście czyli nieodzowny numer terażniejszych programów. A wiecie co jest »Schlachtmusik«?

Utwór to p. Saro, wysoce patryotyczny, wspomnienie mianowicie wojny franko-pruskiej, obrazujące naprzód błogi spokój w kraju, (idylla z *Fausta*, słyszana w prologu tegoż z za sceny), poczem idą pobudki wojenne, wymarsz armji, modlitwa przed bitwą, (ze śpiewem), dalej sam bój, (traktowany realistycznie, przy pukaniu karabinowej w różnych punktów parku), wreszcie zwycięstwo, prawdziwa defilada wojska przed ...kapelmistrzem no i — *Heil Dir im Siegekranz*. Kompozytor tedy nie gardził twórczymi pomysły poprzedników, ułożył to jednak nietyłe *herlich* — jak wykrzykują entuzyści — ile zręcznie i niezwykle ze względu na skomplikowany aparat wykonawczy. Utworów cennych, symfonij, poskąpili nam bogowie, lecz mieliśmy w zamian istną symfonię barw morza, mieniającego się o różnej porze dnia i zależnie od stanu pogody. Dopisywała szczęśliwie ta ostatnia, upał łagodny przesyconym wilgocią wiatkiem nie dokuczał, dzień zaś długi, widny do g. 9-ej wiecz., sprzyjał przejażdżkom lub przechadzkom po malowniczym pobrzeżu wyspy, u stóp kredowych skał, bujnie porośłych bukowym i szpilkowym lasem. I nietylko miłe było obcowanie z naturą lecz i z ludźmi nadzwyczaj uczciwymi, grzecznymi, uczynnymi; na »hakatystę« nie natknąłem się ani razu, jeśli zaś raziło co trochę, to — djalekt północno-wschodni, zbyt przypominający semitów.

Dobre także odnosi się wrażenie z życia kolonij chłopięcych. Wychowywani nadto może w duchu junkierskim, spacerujący zawsze w szeregach z bębniami i chorągwiemi, bawiący się tylko w wojsko, w forteczki, szanice piaskowe i t. p., nasiakają za młodu militarystem, lecz hartują się, wyrabiają fizycznie a korzystają umysłowo, pozostając ciągle pod okiem oddanych im w istocie kierowników, którzy gawędzą z nimi poważnie podczas wypoczynków, urozmaicanych też nieraz pieśnią. Śpiewają składnie, dźwięcznie, zwykle na dwa głosy i zwykle piosnki ludowe; w sąsiadującej ziemnej kolonji saskich chłopców rozbrzmiewało często *Gott erhalte* i mówiono, iż hymn austriacki śpiewają u siebie nieraz »öffentlich«.

Powróciwszy do stolicy, zawód w punkcie muzyki wynagradzałem poniekąd sztuką plastyczną. Grosse Berliner Kunst-Austellung uderza raczej pięknnością urządzenia i mnogością okazów aniżeli jakością tychże. Rzeźba korzystniej przedstawia się od malarstwa, które po za kilku udanymi dziełami batalistów (na temat pruski — oczywiście) i kilkunastu dobrymi portretami, (Bismarka i panującego cesarza widzi się o każdej niemal sali), celuje głównie w dziale krajobrazów, czasem niepospolitych. »Sensezioneller Erfolg« — wedle ogłoszeń — mutoskopów, (udoskonalony kinematograf), pociągnął mnie do Wintergartenu (w rodzaju wiedeńskiego Ronachera). I nie żałuję; taki np. pociąg, pędzący na widzów całą parą z New Jorku przez jakie 15 minut, oszałomia i zdumiewa niezwykłością wynalazku.

W Warszawie zakończono od dwóch tygodni przedstawienia opery naszej, ominęły mię zatem ostatnie z udziałem śpiewaczki czeskiej p. Maturowej. Spóźniłem się też na sezon opery w teatrze lwowskim tak dalece, że raz tylko słyszałem Bandrowskiego w *Daliborze*, przedsta-

wieniu bowiem następnemu niedyspozycya p. Kasproviczowej stanęła na zawadzie, a potem powołały już artystę obowiązki do Frankfurtu u. M. »Dalibora« dawano w roku zeszłym z Floryańskim; w bieżącym — prócz partyi głównej — szła w tymże składzie i nie lepiej, ni gorzej jak poprzednio. W Bandrowskim znać przedewszystkiem wytrawnego w sztuce swej śpiewaka i myślącego artystę; z wytwornym śpiewem idzie u niego w porze gra bardzo staranna, ale głos, acz dzwięczący donośnie, wydawał się jakby zużonym. Przed »Daliborem« występował dzielny tenor w »Tanhäuserze« i w »Lohengrinie«. Nie mogąc wystawić dalej oper, powrócili lwowianie do operetty. Na afiszu gości obecnie, »Orfeusz w piekle«. Widowiska tego nie pochwalę, gdyż ratują je — zdaniem mojem — jeno szczegóły: ładne kostiumy, względnie efektowna wystawa (począwszy od III. obrazu), gładki śpiew pp. Bohuss i Schuppówny (ostatnia postępuje różnym krokiem) i wcale dobry Styks p. Lelewicza. Po za tem przesada, dodatki conceptów, niespoistość i rozwlekłość tempa w robocie grubej czynią rzecz niesmaczną, ociążałą; nie masz w niej śladu paryzkiego szyku, werwy i tego szału, w wykrzykach którego smaga satyra lekkomyślnie wszystko, cokolwiek w drodze napotkała. Pamiętam wykonanie »Orfeusza« w Teatrze Wielkim, lecz od tamtego dzisiejsze daleko, »za dziesiątą« — jak mówią — odbiega górę.

Przyjemnie natomiast spędza się wieczór na zgrabnej »Lalce« Audrana w Teatrze Nowym, a tu znowu w tytułowej roli doznaje powodzenia p. Jamińska, lwowianka, żona prowincjonalnego tenora, gdyż śpiewa milutko, dość umiejętnie i gra zadowalająco. Galicyanie wogóle (Gasiński, Redo) dobrą i na trzeciej scenie naszej posiadają markę, scena ta zaś, chociaż by mogła pozazdrościć lwowskiej parę solistów, stoi przecież dobrze a stoi nie szczegółami lecz ansamblem, doskonałem przygotowaniem całości, świetną wystawą To właśnie tłumaczy setkę przedstawień »Gejszy«, to ją korzystnie bądźco bądź w współzawodnictwie wyróżnia.

M. M. Biernacki.

TEATR.

Teatr Rozmaitości pod dyrekcją Antoniego Czajkowskiego rozpoczął w dniu 12 sierpnia r. b. swą działalność w sali »Gwiazdy« przy ulicy Franciszkańskiej. Teatryk ten, powstały na gruzach krótkotrwałej »Alhambry«, która mimo banalnych reklam reporterskich zakończyła suchotniczy żywot w podemietarnym ogródku na Łyczakowie, przedstawia się wcale przyzwoicie. Przedewszystkiem zaleca się towarzystwo p. Czajkowskiego starannością w wykonywaniu dzieł przedstawianych i liczy w swem gronie kilka obiecujących talentów, zwłaszcza w dziale sztuk ludowych, które winny, naszym zdaniem, przeważać w repetoarze sceny tego rodzaju.

Widok zapełnionego niezgorzej audytorium w salce »Gwiazdy« nasuwa nam pod pióro uwagę, iż powstanie teatru ludowego w tym duchu, w jakim go w swoim czasie pojmował i projektował s. p. Lucyan Kwieciński, byłoby w mieście naszym wielce pożądane. Bo też w rzeczywistości klasa pracująca: robotnicy, rękodzielnicy a po części i kupcy, zajęci do późnego wieczora w dzień powszedni pracą zawodową, nie może korzystać z widowisk teatralnych, zastosowanych do ich potrzeb duchowych, zwłaszcza od czasu, gdy w teatrze skarbkowskim zaniechano wystawiania sztuk odpowiednich t. z. niedzielnych, w niedziele i w święta w zamian za sobotnie przedstawienia, przeznaczone dla młodzieży szkolnej. Farsa, operetka lub opera, figurujące w niedzielę i w święta na afiszach teatru lwowskiego, nie mogą pociągnąć szerszych mas ludności do gmachu skarbkowskiego ani też, o co głównie idzie, oddziaływać odpowiednio na ich wyobraźnię. Tak więc teatr ludowy, rozporządzający stosownym repertoarem, mógłby nie tylko liczyć na poparcie publiczności, ale oddałby rzetelne usługi sztuce i literaturze dramatycznej, zachęcając piszących do twórczości w dziale sztuk ludowych, zaniedbanym dziś z oczywistą dla piśmiennictwa naszego szkodą.

X. X.

Teatr Miejski w Krakowie. Nowy dyrektor teatru ukończył reorganizację personelu artystycznego i administracyjnego sceny. P. Kotarbiński, jako dyrektor prowadzi będzie kierownictwo artystyczne, obowiązki zaś reżysera naczelnego powierzył p. Solskiemu. Sekretarzem dyrekcyi został nadal p. Wójciki, obowiązki mechanika głównego i dekoratora objął ponownie p. Spitziar, maszynista teatrów warszawskich. Pani Siemaszkowa uzyskała zwolnienie z kontraktu od dyrekcyi rządowej teatrów warszawskich. Z nowych sił zaangażowane zostały: panna Mirska do ról naiwno lirycznych ze szkoły p. Zawadzkiego oraz, p. Michał Tarasiewicz, krakowianin, który odznaczył się w towarzystwie p. Wołowskiego, jako amant dramatyczno-salonowy.

Dyrekcya przeznaczyła do wystawienia dwa dzieła oryginalne: tragedję Wyspiańskiego *Kłatwa*, oraz fantazję jednoaktową Jana Kasprowicza: *U stóp Wawelu*. Pani Gabriela Zapolska ukończyła dwa akty swego nowego dramatu *Syberja*, który ma być wystawiony wspólnie na scenie krakowskiej i lwowskiej.

Skład grona artystów na sezon bieżący 1899/1900 przedstawia się, jak następuje: Kotarbiński, kierownik artystyczny; Solski, reżyser główny; Wójciki, sekretarz teatru; Dorowski, Frączkowski, Jednowski, Jejde, Mielewski, Przybyłowicz, Puchalski, Roman, Senowski, Bystrzyński, Stępowski, Siemaszko, Tarasiewicz, Węgrzyn, Walezak, Knake-Zawadzki, Zawiejski. — Artystki: Bednarzewska, Czechowska, Górska, Jutkiewicz, Filipi-Mokorska, Otrembowa, Przybyłko, Marion, Jeremi, Siemaszkowa, Senowska, Teodorowicz, Walewska, Wisłocka, Węgrzynowa, Wojnowska, Wolska i Wójcicka.



LITERATURA.

Stanisław Przybyszewski. «Z cyklu wigilij», »Dzieci szatana«, »Nad morzem«. — Lwów. — Księgarnia Polska — 1899.

Nie tak dawno przecie, bo przed trzema zaledwie laty przeciętny czytelnik był w niezłym kłopotcie, gdy ktoś zagadnął go o Przybyszewskiego — mało kto mógł pochwalić się, że przeczytał choć jeden z jego utworów.

Zdaje mi się, że nie pomyłę się wcale, jeżeli powiem, że dopiero w r. 1897 pierwszo o nim poczęły się ukazywać wzmianki w pismach naszych — a za tem dopiero żądni nowości czytelnicy rzucili się na jego utwory, zaczęto o nim rozprawiać, dyskutować — i w krótkim bardzo czasie wyniesiono go na piedestał wysoki, zaliczono do gwiazd literatury nowoczesnej.

Za granicami Polski znano go już o wiele wcześniej, do roku 1887 ukazały się już jego broszury »Zur Psychologie des Individuums (I. Chopin und Nietzsche. II. Ola Hansson) w roku 1892, dalej Totenmesse (1893), Vigilien, De profundis, Satans Kinder, (1895) Auf den Wegen der Seele, cykl Homo sapiens, i utwór dramatyczny Das grosse Glück — oraz kilka mniejszych szkiców.

Rzeczy te znane były czytelnikom reprezentujących nowe prądy czasopism: Freie Bühne Gesellschaft, Kritik i Gegenwart — tam bowiem ukazywały się niektóre z nich, a o wszystkich prawie wyczerpujące, pochlebne recenzje. Przypnać należy, że wśród modernistów niemieckich zajął nasz rodak stanowisko bardzo poczesne, spotkał się z uznaniem niemałym — mniej natomiast respektował go ogół czytelników i publikacje hołdujące prądom utartym, ustalonym — które nie szczędziły mu nieraz słów ostrej i ironicznej krytyki. Co było treścią tych utworów, jakim program ich autora, odpowiedź na to dają niektóre ustępy jego dzieł, niektóre zdania, które jako programowe, wypowiedziające credo autora musimy przytoczyć.

»W utworach mych porzuciłem sferę normalnej myśli, sferę logicznego życia umysłowego, życia realnego. Poza głupim rozumem jest coś jeszcze więcej, coś wyższego — istnieje dusza, siła nieznaną, obdarzoną własnościami nadzwyczajnymi, która odczuwając wstręt przy nieustannem stykaniu się ze śmieszną banalnością życia stworzyła dla siebie rozum, aby nie być zmuszoną do codziennej prostytucji«.

Otóż według zdania autora sferą tego niższego organizmu, rozumu, jest świat codzienny, życie codzienne; zyskiem wszystkich spekulacyj tegoż rozumu — jest ignoramus et ignorabimus, a więc zupełne bankructwo wszelkich dążeń i usiłowań. Wytworem tego »głupiego rozumu« jest sztuka, która za przedmiot ma banalny świat zewnętrzny; wyższą jest sztuka będąca wytworem duszy, mająca za przedmiot świat wewnętrzny, odbijający się w duszy podczas chwil halucynacji i ekstazy. Rezultatem więc tego jest, że szukać powinniśmy wizyj i halucynacji, obserwować je pilnie, bo w nich jest źródło prawdziwej sztuki, w nich objawienie czystego życia duszy, nagiego indywidualizmu, Takim w krótkich słowach byłby program Przybyszewskiego — słowem kult »Nagiej duszy«, jak się to w ostatnich czasach utarło.

Jest jeszcze drugi, zasadniczy motyw w jego pismach, o którym sam nie mówi wprawdzie, ale który przebiega się we wszystkich utworach — kult »nadczołwieka«. Owa nauka Nietzschego, wyrażona w Zarathustrze: Treścią mojej nauki jest nadczołwiek: Czołwiek jest czemś, co pokonać w sobie musisz. Nadczołwiek jest celem ziemi — znalazła w Przybyszewskim gorliwego ucznia — a choć nie przyznaje się do tego, owszem stara się zaprzeczać, ironizować Nietzschego, zbyt jasno widzimy ową tęzę w każdym prawie jego utworze.

A więc »naga dusza« i »nadczołwiek« oto słupy, na których spoczywają budowy Przybyszewskiego, punkty główne jego programu. Lecz jakimkolwiek by był plan i program — o wartości dzieł głównie decydować może dopiero wykonanie.

Wykonanie było bardzo nierównomierne. Były dzieła, które rzeczywiście świadczyły o nadzwyczajnym talencie autora: głównym wyrazem jego był utwór »De profundis« i to wyrazem potężnym tak wstrząsająca, wewnętrzną tragedją duszy roztoczył tam przed nami, z takim artyzmem i subtelnością umiał operować duszą i jej objawami. Nie szczędząc słów uznania jeden z krytyków wyraził wówczas nadzieję, że talent ten rozwijać się będzie pomysłnie, a siły jego obracać na utwory dostępne i odpowiednie dla szerszego koła czytelników — że walka o duszę indywidualną toczyć się będzie na gruncie szerszych zagadnień, żywotniejszych dla ogółu i lepszą dających sposobność do objawienia wrzających w ludzkiej duszy sił i rozpierających jej łożono walk, aniżeli osobliwe, wyjątkowe wypaczenia erotyzmu.

Takie same życzenia i nadzieje napełniały umysły wielbicieli jego talentu, do których liczył się już od lat pięciu piszący te słowa. Mimo pewnego zastrachu w talencie Przybyszewskiego — bo od roku 1898 zapowiedziane dzieła Buhlerinnen des Satans i In diesem Erdenthal der Thränen nie ukazywały się jakoś, spodziewano się, że talent ten rozwijać się będzie dalej jak najpiękniej. Ucieszyły wielu i te wieści, że Przybyszewski przybywa do Krakowa, że obejmuje umierające *Życie* — że pisać rozpocznie po polsku, za czem i spodziewać się było można, że znajdzie dla siebie, swego talentu i swych utworów grunt zdrowszy i lepszy.

Niestety nadzieje zawiodły. Ani dla »młodej Polski« ani dla samego Przybyszewskiego przybycie jego do kraju nie przyniosło żadnych wydatnych rezultatów. Były wielkie nadzieje, był wielki huczek w tym Krakowie, wiele słów — nie więcej. Bo próżno chwali się, że »udało się skupić dokoła *Życia* wszystkich tych, którzy w Polsce tworzą arystokracją ducha« — rezultatów tego nie widać. Nie wystarcza odpowiadać krytykom »kopnięciem nogi, jak to czyni w Nr. 12. *Życia* — bo to argument komu inemu właściwy...

Nie chcemy mówić tu o działalności Przybyszewskiego w *Życiu* — mówić chcemy o nim jako o autorze. Od lat trzech jedynym plonem jego pracy autorskiej są rzeczy, które leżą przed nami. Dwie z nich — Wigilie i Dzieci Szatana to tłumaczenie rzeczy dawniej wydanych — nową rzeczą jest jedynie »Nad morzem«.

Uderzały w niemieckich pismach Przybyszewskiego pewna świeżość stylu, język piękny i pewna jego dźwięczność — w polskiej szacie jakoś rzeczom tym nieswojsko a szata ta — jakaś dziwna, szorstka — słowem polszczyzna haniebna nieraz, jak to już wytknął niedawno Chmielowski.

Talent wybitny, który zajaśniał był w »De profundis« zanika widocznie; — dowodem tego już nie tylko bardzo mała płodność — lecz i utwór nowy »Nad morzem«, który sam Przybyszewski uważa za swe najlepsze dzieło. Są to majaczenia »nagiej duszy« bez treści i sensu — rozdźwięki promieni, gasnące struny, krzyk kwiatów, fanfary światła, krzyk bezgłośny błyskawic — oto kwiatki stylu.

Trudno byłoby podawać treść owych utworów — jak się to czyni zwykle przy omawianiu treści doszukać się dość trudno a wypowiedzieć ją można w kilku słowach.

W utworach »Z cyklu Wigilij« i »Nad morzem« przedmiotem jest »naga dusza« i jej przejęcia. »Wigilie« są pieśnią umarłej miłości: artysta, którego kochanka zdradziła, siedzi w swej pracowni, i w myśli przestaje być czasem i przestrzenią, istotą ograniczoną — staje się nagą duszą. I oto majaczenia, wizye tej duszy są przedmiotem utworu. Rozpamiętuje zdarzenia, które przeżył: kochali się, mieli syna, wtem razu jednego, gdy byli w towarzystwie jednego malarza, pijani, kazał jej pocałować go, a potem odszedł. Gdy wrócił leżała w objęciach tamtego — na drugi dzień więc wypędził ją i pocałował. Owocem tych majaceń było przekonanie, że w świecie niema nic większego jak on, jego syn i ten biały królik. La comedia e finita...

Walki duszy przedstawia poemat »Nad morzem«. W wizjach swoich jest on (jakiś osobnik) możliwym królem południa, i wymarzył sobie jakąś naziemską kochankę, niewolnicę północy; by jej łaski pozyskać trwoni skarby

swego państwa, przeklął samego Boga. Zyskał jej miłość, lecz ściągnął na siebie gniew straszliwy bóstwa, które sieje zniszczenie między jego ludem. Trzeba ofiary, by przebłagać gniew, jego kochanka musi się poświęcić — traci więc ją król moźny, a zagniewany opuszcza kraj i udaje się na północ. Rapsod drugi opiewa tęsknotę za nieznaną kochanką... Jest on już czemś więcej, w marzeniach swych jest Bogiem stwórcą, tworzy swą kochankę wymarzoną, a choć siedzi ona obok niego, on znaleźć jej nie może, osiąść nie jest w stanie.

Rapsod trzeci rozwiewa te wizje: jest on zwyczajnym człowiekiem, na okręcie spotkał kobietę wymarzoną, pokochał i posiadał; szał pierwszy minał, następuje rozczarowanie, miłość gaśnie, a budzi się przeświadczenie, że namiętność sama nie wypełni całego życia — kochanka rozczarowana topi się w morzu.

Poza sferę »nagiej duszy« wykroczył Przybyszewski w powieści »Dzieci Szatana«. Dziećmi temi są anarchiści, których dogmatem zniszczenie, celem usunięcie wszystkiego istniejącego, wszystkiego, co jest władzą, własnością. Myśla, że spełniają swe posłannictwo zawiązując spisek z kilku osób w tym celu, by spalić miasto i obrabować kasę miejską. Na czele tej garstki stoi »nadczołowiek« Gordon, prorok szatana, — jest on jakby antychrystem, bo jak Chrystus wołał do siebie uciśnionych, gromadzi koło siebie wyrzutków społeczeństwa, zbrodniarzy, desperatów, wykletych, kobiety upadłe — a wszyscy ci zmierzają do zniszczenia. Cała ta praca organiczna znajduje wyraz w zbrodni naiwnej, bezcelowej, nie prowadzącej do niczego — planów jakichś trudno tam dopatrzeć, jedynym chyba celem, zbrodnia dla zbrodni. Wszyscy działający są urodzeni zbrodniarze, chorzy, zwyrodniali płciowo, alkoholiści.

Lecz i co do formy nawet powieść zadowolić nie jest w stanie — brak wszelkiego artystycznego wykończenia i zaokrąglenia daje się czuć na każdym kroku. To, co w części przyczyniać się może do uplastycznienia sytuacji, jak gięsty, spojrzania, towarzyszące słowom, to używane ciągle i nadużywane sprawia efekt wprost przeczynny.

W ten więc sposób wypełnia Przybyszewski swój program — i jeżeli co mamy mu do wytknięcia, to nie tyle jego zasadom i jego programowi, ile wykonaniu. Zgoda — porzućmy świat rzeczywisty, zewnętrzny i jego objawy, zajmujmy się duszą, jej objawami, jej światem i życiem — lecz niech ta naga dusza nie będzie koniecznie chorą duszą, jaką jest zawsze w utworach Przybyszewskiego. To co według niego ma być stanem wyższym, dla nas zostanie zawsze zwyrodnieniem, chorobą — jego nadludzie, zwyrodniałymi indywidualiami, przykładami do książki Krafft-Eblinga: Psychopathia sexualis. Świat jeszcze, dzięki Bogu, nie zaszedł tak daleko, by takie osobniki jak przedstawiani w utworach Przybyszewskiego ludzie mogli w naszym społeczeństwie zyskać prawo obywatelstwa — jeśli się zdarzą między nami tacy, umieszczamy ich w zakładach obłąkanych, leczniczych, zakładach karnych. Tam ich miejsce — a miejsce do rozpraw o nich w literaturze medycznej i jurydycznej.

Spółczeństwo nasze nie dało się obalamucić. Mimo chwilowych, fałszywych zachwytoń, mimo uwielbiana ze strony drobnej garstki młodszego pokolenia, ogół wie, co myśleć o tego rodzaju literaturze, a wyrazem tego zdania ludzi tego pokroju, jak Chmielowski i Lutosławski, których krytyki ukazały się w ostatnich miesiącach. Zwłaszcza zdanie tego ostatniego, filozofa znanego w całej Europie, tak trafia w sedno rzeczy, tak prawdziwe i głębokie, tak umie odgadnąć, dlaczego między młodym pokoleniem tyłu znalazł zwolenników Przybyszewski, że nie możemy się powstrzymać, by na zakończenie naszych uwag kilka zdań z jego krytyki nie przytoczyć.

»Od śmierci Wrońskiego, Kremera, Gołuchowskiego, Cieszkowskiego, nie mieliśmy żadnego potężnego wyraziciela naszej myśli narodowej a nad katedrami polskimi filozofii dziwne zawisło przeznaczenie. Tymczasem młodzież łaknie jak chleba powszedniego jakiegoś zrozumienia życia, filozofii niezależnej od tradycji. Więc musi być wielu fałszywych proroków... Dopiero, gdy zjawi

się godny następcą naszych wieszczów, co zdoła połączyć z gruntowną i rozległą wiedzą, potęgą samodzielnej myśli, niezmordowaną wytrwałość i zaparcie się siebie w szerzeniu rzeczywistej prawdy, niewzruszoną obojętność na gromy fałszywych proroków — dopiero wtedy pierchną chorobliwie sny dzisiejszych naszych dekadentów a wejdzie jutrzienka istotnie twórczej pracy nad odbudowaniem starego i pięknego gmachu zewsząd zagrożonego. Wtedy na zaklecie ducha stanie ten gmach potężniejszy, niż kiedykolwiek i da bezpieczne schronienie zbłąkanym i rozproszonym potomkom jego pierwszych założycieli...

Dr. Eugeniusz Barwiński.

Biblioteka Krakowska. W Krakowie. — Nakładem Towarzystwa młodości-ków Historii i Zabytków Krakowa.

Nakładem Towarzystwa, o którego pożytecznej działalności wspominamy na czele niniejszego zeszytu, wychodzi od dwóch lat szereg popularnie kreślonych broszur, omawiających w sposób treściwy poszczególne epizody i zabytki z dziejowej przeszłości Krakowa. Dotychczas opuściło prasy drukarskie dziewięć takich książeczek, wydanych starannie pod względem zewnętrznym i obficie ilustrowanych, mimo cen niskich, po jakich je nabyć można. Treść tych publikacji wielce urozmaicona. I tak p. Adam Chmiel opowiada o dzielnym pasamonniku krakowskim, Marcinie Oracewiczu, który w roku 1763 celnym strzałem ubił pułkownika rosyjskiego Panina, szturmującego do bram miasta. Dr. Bąkowski rozpisuje się o domostwie Długosza, o wartości zabytków budownictwa świeckiego oraz podaje historię Krakowa w zarysie, podczas gdy prof. Łuszczkiewicz oprowadza nas po kościołach Bożego Ciała i Św. Katarzyny. Niemniej zajmujące są studia dra Józefa Muczковского o Skalce i W. Eliaasz-Radzikowskiego o Koniku Zwierzynieckim a przewodnik dra Sternschussa po domu Matejki tworzy doskonałe vademecum dla turystów zwiedzających dawną siedzibę mistrza Jana przy ulicy Floryańskiej. »Biblioteka Krakowska jest wielce odpowiednim nabytkiem dla księgozbiorów szkolnych oraz dla czyteli ludowych

(s.)

Wspomnienia Jenerała Klemensa Kołaczkowskiego. — Księga II. — od roku 1813 do 1820. — Z dziesięciu rycinami w tekście. — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska. — 1899.

Wydanych w roku minionym »Wspomnień« Jenerała Kołaczkowskiego wyszedł obecnie ciąg dalszy, obejmujący epokę między rokiem 1813 a 1820. Jako adiutant inżynierów przy boku jenerała Umińskiego opisuje Kołaczkowski kampanię niemiecką 1813 roku, batalię lipską, zgon księcia Józefa oraz późniejszy swój postój w Sedanie i w Paryżu. Niemniej zajmującą jest jego relacja o powrocie wojsk polskich do kraju, tudzież o reorganizacji armii przez komitet wojskowy. W roku 1816 odkomenderowany do demarkacji granic Rzeczypospolitej krakowskiej szkicuje autor w sposób wielce zajmujący obraz towarzyskiego życia w podwawelskim grodzie, wymieniając znakomitsze domy i wybitniejsze osobistości, które poznał podczas czteroletniego w tem mieście pobytu. Księgę drugą »Wspomnień« zamyka wzmianka o domem powzięciu Wielkiego księcia Konstantego z Joanną Grudzińską.

p.

Bronisław Trentowski. (1807—1869). — Szkic biograficzny. — W trzydziestą rocznicę zgonu autora »Chowanny« napisał Kazimierz Wróblewski. — Lwów — Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. — 1899.

Skromna rozmiarami broszura zawiera szkicowy, lecz treściwie opracowany życiorys naszego filozofa, którego życie i pisma od lat wielu czekają na opracowanie monograficzne. Praca p. Wróblewskiego zasługuje na tem większe uznanie, ileż autor sumiennie i umiejętnie operując materiałem, jakim rozporządzał, przedstawił postać wielkiego myśliciela z możliwą plastyką, przypominając ją w sposób sympatyczny inteligentnemu ogółowi polskiemu. Wnikanie w treść pism Trentowskiego leżało poza zakresem pracy autora, który również nie czuł się powołanym do oceny oryginalności filozoficznego systemu twórcy »Chowanny« ani do tegoż analizy.

s.

Zofia Strzetelska-Grynbergowa wystąpiła z okazałym, około 700 stronic obejmującym tomem, poświęconym opisowi powiatu Staromiejskiego. Jest to — jak zresztą domyślić się łatwo — jedna z prac, nadesłanych na konkurs, ogłoszony przez Zarząd Muzeum imienia Dzieduszyckich. Hr. Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu zatem zawdzięczamy, obok wielu innych pożytecznych rzeczy, powstałych z jego inicjatywy lub dzięki ofiarowanemu przezeń materialnemu poparciu, cały szereg gruntownie opracowanych monografii, a zarazem wydobyte na szerszą widownię licznego grona skromnych a nierzadko prawdziwie utalentowanych pracowników. Do rzędu ostatnich należy bezspornie i p. Strzetelska Grynbergowa. Obszerne jej studium p. t. »Staromiejskie. Ziemia i ludność«, napisane jest bardzo starannie; autorka wyzyskała dużo dostępnych jej materiałów, resztę dopełniła własną obserwacją, pozycyjną na miejscu. Książkę rozpoczyna opowieść p. t. Ze Sambora do Starego miasta; z kolei znajdujemy charakterystykę i porównanie powiatu Samborskiego ze Staromiejskim; ogólny pogląd na dzisiejsze Staremiasto i Spas; charakterystyczne cechy przyrody, klimatu i gleby miejscowej; treściwie opowiedziane dzieje historyczne tego zakątka w epoce ruskiej, polskiej i austriackiej; rzut oka na powiat pod względem ekonomicznym, gospodarczym i przemysłowym; opis strojów i typu ludności; mieszkań, stosunków sanitarnych, przesądów, zabobonów, obchodów świąt i uroczystości rodzinnych, zwyczajów, zabaw, pieśni, podań, opowieści i t. d. Do pracy p. Strzetelskiej-Grynbergowej dołączono bardzo interesujące podobizny pieczęci gminnych, oraz dobrą mapę ścienną powiatu Staromiejskiego. Ostatnią wykonał z uwzględnieniem najnowszych źródeł Antoni Żurakowski i Teofil Piszklewicz. mre.

»Majster do wszystkiego«. — Zbiór nowel M. Gawalewicza. — Nowe Wydanie. — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska.

Na zbiorek przed nami leżący złożyło się pięć utworów sympatycznego pisarza, zdobywającego względy czytelników lekką, pełną wdzięku formą opowiadania. Jakkolwiek więc w nowelach Gawalewicza nie spotykamy nowych pomysłów, ani też głębszej obserwacji życiowej, mimoto jednak czyta się je z przyjemnością i z zajęciem, o który to efekt przedewszystkiem autorowi chodziło. ...i.

Zofia Kowerska: Powieści — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska — 1899.

Wszystko, co wychodzi z pod pióra zasłużonej autorki, cechuje prócz wykwintnej, literackiej formy, delikatna, pełna finezyi iście kobiecej charakterystyka przedstawianych w książce postaci. Każda z nich jest typem, doskonale przez powieściopisarkę odczutym i wyczulowanym misternie wszystkich szczegółach. Zaleta ta, wyróżniająca chlubnie Kowerską wśród zastępu rodzimych belletrystów, przejawia się w całej pełni, czyto w przepięknie zarysowanej postaci podlotka, (»dla Anusi«), czy też w komicznej potroszę a bardzo prawdziwej figurze zakochanego wyrostka (»Z życia Jasia«), lub wreszcie w realistycznym obrazku (»Na noclegu«). Wielką siłą i szczerą potęgą uczucia przemawia też do czytelnika »Wydalona«, fragment z martyrologii naszej z dni ostatnich, osnuty na tle rugów pruskich. ...i.

Anatol Krzyżanowski. Przełom i Inne Nowele. — W Krakowie. — Spółka wydawnicza Polska.

Wobec ogólnych, szablonowych, rzecz można, narzekań na monotonię codziennego życia wymownym protestem są nowelistyczne drobiazgi poczytnej powieściopisarki, kryjącej się pod pseudonimem Anatola Krzyżanowskiego a wybierającej z przedziwną trafnością momenty prawdziwie dramatyczne z życiowych dziejów jednostek przeciętnej miary moralnej. Z siedmiu nowel, składających omawianą książkę, na zaszczytną wzmiankę zasłużyły w pierwszym rzędzie »Przełom« i »Halucynacja«, kreślone z wielką prawdą a zarazem z poczuciem miary artystycznej. Wyborną satyrą jest »Sportsmenka«, odtwarzająca zawodową paławiaczkę serc męskich podczas gdy szkic p. t. »W Kolońskiej Katedrze zaleca się znakomitem opracowaniem tematu, potroszę już zużytego i nadużytego w powieści. To samo da się powiedzieć o »Purytance«.

P.

Zbiór nowel Michała Bałuckiego. — Wydanie drugie. — Spółka Wydawnicza Polska.

Do wspomnień młodości powraca się chętnie. Czyni to z przyjemnością zarówno zawiedły w biurze flister, jakoteż człowiek fantazyi i serca a tem więcej literat z profesyi. Autor niezapomnianych »Obrazków krakowskich« bogaty zaiste posiadać musi zasób wspomnień, które z właściwym mu humorem opowiadać lubi w gawędziarskim tonie, gdy nigdy mu nie brak tematu wdzięcznego, czyto prawiąc o »Złodziejskiej ambicyi« stróża Jakóba, czy też o »Pierwszym występie literackim« lub o niedoszłym debiucie zacietrzewionego w teatralnych aspiracjach gimnazjalisty, (»Przez tydzień aktorem«). Charakterystycznym zacięciem odznacza się »Wiedźma«, rzewnym liryzmem tchnie obrazek »Dla moich starych«. Mniej natomiast prawdy posiadają sielskie opowiadki Bałuckiego, grzeszące nadto tonem moralizatorskim.

Wacław Sieroszewski, (Sirko): Risztau. Powieść z ilustracyami Antoniego Kamińskiego — Warszawa — Nakład Gebethnera i Wolffa. — 1899.

Wspaniałe opisy górskiej, dzikiej przyrody wśród gór Kaukazu — oto wrażenie odniesione z odczytania najświeższej powieści Sieroszewskiego. Fabuła niewymyślna, chwilami sprawiająca wrażenie reprodukcji rzeczywistych zdarzeń, charaktery kreślone szkicowo, lecz nie mniej wyraziście a przede wszystkim tło powieści odtworzone malowniczo, barwnie, dodają ostatniemu dziełu tyle poczytnego dziś autora nieporównanego uroku. Szorstkie, na pół pierwotne postacie polskich osadników, rzuconych dziwnem losu rządzeniem zdala od kraju, precyzyjny charakter Heleny, energiczny Stanisław i wierny Selim — wszystkie te czynniki w powieści działające, sprawiają, że z trudnością odrywa się od jej kart, by tem chętniej do nich powrócić. Dla autora, nieposługującego się efektami, obliczonymi na rozigrane nerwy publiczności, tryumf to niemały a w zupełności zasłużony.

Władysław St. Reymont: Lili, Żałobna Idylla. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa — 1899.

W »Biblioteczce Ilustrowanej« Gebethnera i Wolffa ukazała się nowa powieść tyle cenionego dziś autora. Tem jej światek teatralny, który Reymont tak dosadnymi a prawdziwymi umie przedstawiać barwami. Nie jest to ów świat zakulisowy wielkich teatrów, dostarczający niewyczerpanego nigdy tematu francuzkim pisarzom ale dola wędrownej gromady aktorów, walczących z nędzą i z głodem, otaczanych pogardą przez społeczeństwo, któremu służyć pragną. Wśród takich ludzi, zbieraniny kabotynów, opojów i ladacznic, rozegrywa się owa żałobna idylla — jak ją nazwał autor, której bohaterami: Lili biedne dziewczę teatralne i Leon, syn zamożnych ziemian, z miłości dla niej dzielący tułaczkę prowincjonalnych aktorów. Młodzi kochają się szczerze. Że jednak życie nie jest poematem — przeto idylla przykrym kończy się rozdźwiękiem. Leon powraca do rodziny, oczekującej z utęsknieniem jego nawrócenia się a Lili... biedna dziewczyna pozostaje wśród swoich, w wcześniej lub później stoczyć się w otchłań zepsucia i rozpusty. Rozwiązanie proste i bardzo naturalne.

Klemens Bąkowski. Posażna panna. — Opowiadanie. — Kraków. — Spółka Wydawnicza Polska. — 1899.

»Tous les genres sont bons, hors le genre ennuyeux«. — Powiedzenie to starego Voltaira przypomina się mimowoli po przeczytaniu »Posażnej Panny«. Sympatyczny autor »Dawnego Krakowa« wkroczył tym razem w niewłaściwą dla niego dziedzinę beletrystyki, w której czuje się niezbyt swobodnie. Fabuła opowiadania, zajmująca, być może, dla szcuplego grona wtajemniczonych, nie grzeszy bynajmniej pomysłowością a przeprowadzenie t. z. intrygi — w rzeczywistości niema jej wcale w »Posażnej Pannie« — rozwlekłe nad miarę i potroszę banalne nuży czytelnika w wysokim stopniu. W dorobku literackim dra Bąkowskiego »Posażna panna« nie przedstawia ilości dodatniej.

s.

N. A. Lejkin. Kędy pomarańcze dojrzewają. — Humorystyczny opis podróży kupców rosyjskich po Riwierze i Włoszech. — Tłómaczył z rosyjskiego G. W. — W Krakowie. — Główny Skład w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. — 1899.

Znana czytelnikom *Czasu*, wyborna opowieść Lejkina ukazała się obecnie w formie książkowej. N. A. Lejkin, jeden z najpopularniejszych w Rosyi humorystów, osnuwa swe utwory w przeważnej części na tle życia sfer mieszczańsko kupieckich tudzież ziemiańskich, które zna wyśmienicie i przedstawia z niezrównaną plastyką oraz humorem. »Kędy pomarańcze dojrzewają« — rzecz przypominająca potroszę Stindego »Buchholców we Włoszech« — posiada wszystkie zalety dzieł Lejkina: komizm pogodny, naturalność i umiejętnie stopniowanie efektów, dzięki czemu zainteresowanie czytelnika nie słabnie ani na chwilę, lecz przeciwnie potęguje się z każdym rozdziałem aż do końca książki. Przekład staranny posiada rzeczywistą wartość literacką.

P.

Jan Kasprowicz: »Bunt Napierskiego« Poemat dramatyczny z ilustracjami Stanisława Dębickiego. Lwów 1899. Nakładem Towarzystwa wydawniczego.

W najbliższym sezonie ujrzymy najnowsze dzieło p. Kasprowicza na naszej scenie. Wówczas też wypadnie mu poświęcić sporo miejsca, wytknąć wszelkie braki, podkreślić zalety. Dzisiaj ocenimy w kilku słowach jedynie stronę literacką poematu dramatycznego p. Kasprowicza, o którym nawet najostrożniejszy i najwięcej wymagający sędzia powiedzieć będzie musiał, że ma do czynienia z dziełem prawdziwego talentu. Tak jest, prawdziwy talent bucha tutaj pełnym płomieniem z każdego niemal wiersza, z każdej sceny i sprawa, iż w czytaniu — a podkreślam to wyraźnie — utwór p. Kasprowicza wywiera, mimo wszelkie braki, nader dodatnie wrażenie. A wspomnianych braków jest tu niemało. Darowałbym już autorowi chętnie fabułę, przedstawiającą znanego awanturnika w świetle tak odmiennem od rzeczywistości. Wszak pocieć wolno wyrzeźbić bohatera takim, jakim go sam widzieć i przedstawić czytelnikom i publiczności pragnie. Ale niechaj to będzie bohater ludowy, a nie perorujący mazgaj, który zamiast działać, gada tylko i gada bez końca. To jest też największą wadą poematu p. Kasprowicza, że jego bohater nie posiada w sobie właściwie żadnych cech znamionujących tego rodzaju wybrańca losu. Wszak uwiedzenie młodej góralki i wypowiedzenie kilku szumnie brzmiących monologów nie wystarczy do wpojenia w widzów przekonania, że mają z bohaterem ludowym do czynienia. Tendencja zabiła w danym wypadku rzeczywistość i prawdę; zamiast ludzi ówczesnych, ludzi z krwi i kości, dał nam tak bardzo utalentowany autor galeryę postaci, recytujących podyktowane im przez poetę z końca XIX stulecia sentencje i zdania. To samo, co powiedziałem o głównym bohaterze Napierskim, da się zastosować i do wszystkich niemal innych postaci poematu dramatycznego. Jedynie chyba typ zawistnego górala — Czepca, wyszedł silniej zarysowany, prawdziwy i konsekwentny. Inne naszkicował autor lekko, jako tło dla Napierskiego, który p. Kasprowiczowi niezupełnie się udał. A szkoda bo — powtarzam raz jeszcze z pełnem przekonaniem — rzecz to niepośledniego talentu, wiersz przepiękny, wyrażenia silne, jędrne i zdrowe...

M. Rolle.

Władysław Książek, znany powszechnie pod popularnem nazwiskiem Juliana Łętowskiego, pozostawił po sobie spuściznę literacką nader obfitą i różnorodną. Nie gurzył on ni prozą ni wierszem, pisał powieści, komedye i dramaty, to też rodzina zmarłego drukuje obecnie wydanie zbiorowe pism Łętowskiego, zamknięte w dwunastu tomach, poprzedzone portretem nieboszczyka oraz przedmową Teodora Jeske-Choińskiego. Zanim jednak cały ten ciekawy komplet znajdzie się na półkach księgarskich, a z kolei i w rękach licznych czytelników, wydała rodzina Łętowskiego tom poezyi jego, zatytułowany: »Sonetny i Ghazele«. Zewnętrzna szata tomiku wypadła dzięki staranności drukarni Łódzkiej J. Grabowskiego i Spółki bardzo pojętnie, portret poety doskonały, a same wiersze zadowolili mogą nawet wybredniejsze wymagania, pamiętać więc o nich winni deklamatorzy zawodowi i dyletanci, pragnący zyskać szczery

poklask uroczych słuchaczek. Sonetów znajdujemy w tym zbiorze dwadzieścia trzy; wszystkie, niemal mówią o niej lub do niej, a jak pięknie mówią, jaka w nich potoczność wiersza, jaki dobór rymu i rytmu — przekona się najlepiej czytelnik sam, wzięwszy nęcący tomik do ręki. Mimo przeciwności, jakich Łętowskiemu losy bynajmniej nie szczędziły, zachował on pełną pogodę umysłu, jego więc poezye rozrzewniają czasami szecerze, nigdy atoli nie rażą trującą żółcią i zniechęceniem. — Drugą część tomu wypełniły lekkie, błyskotliwe ghazele w poważnej liczbie trzydziestu. Myśl w niejednej z nich jest częstokroć głęboka, forma zawsze niemal artystycznie doskonała. *mre.*

Józef Maskoff: W Dąbrowie Górniczej. — Lwów. — Nakładem Księgarni H. Altenberga. — 1899.

Przedstawiany w maju r. b. w teatrze skarbkowskim utwór dramatyczny Maskoffa ukazał się obecnie w druku, wykazując obok zalet scenicznych niepoślednią wartość literacką. Dramacik ten rozgrywający się — jak wiadomo — na tle stosunków robotniczych podczas strejku w Dąbrowie Górniczej, wywiera w czytaniu niemniej silne wrażenie jak w interpretacji aktorskiej. *p.*

»**Legendy o Matce Bożej**« Gawalewicza i Stachiewicza opuszcza niebawem prasy drukarskie w Londynie w przekładzie angielskim Edmunda Naganowskiego. Przedmowę do przekładu »Legend« pisze pani Craigie, (John Oliver Hobbes), autorka rozgłośnej »Szkoly Świętych«, powieści tłómaczonej niemal na wszystkie języki europejskie. *(s.)*

Tłómaczenie Fr. Chopina. Wydał i przedmową zaopatrzył Mieczysław O. Żukowski. — Czerniowce 1899. — Nakładem Koła Pań na Bukowinie.

W półwiekową rocznicę zgonu Chopina pojawił się poetycki komentarz jego kompozycyi, złożony z utworów Konopnickiej, Niemojewskiego, Sępa, Tetmajera, Ujejskiego, Wolskiego i w. i. poprzedzony krótkim życiorysem oraz charakterystyką artysty pióra wydawcy. Rzecz wydana ozaobnie zaleca się ceną przystępną. (50 ct.); czysty dochód z wydawnictwa przypada funduszowi Bursy Polskiej im Adama Mickiewicza w Czerniowcach. *..i*

Biblioteki powszechnej, wydawanej przez Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie, opuściły ostatnio zeszyty nr. 271—280., zawierające między innymi serję trzecią nigdy nie starzejących się »Obrazów litewskich«, Ignacego Chodźki, przedstawiających tak niedawną, pogodną przeszłość dzisiejszej krainy łąz i krzyżów, część trzecią, (»Raj«) »Boskiej Komedyi« w przekładzie Juliana Korsaka, wreszcie »Księcia Niezłomnego«. Lżejszy pokarm duchowy przedstawiają »Scherzo«, zbiorek wierszy Kazeta, tudzież widowisko sceniczne Walewskiego p. t. Góra Radziwił! — Czy publikacja sztuk spektaklowych, nie posiadających trwałszej wartości literackiej, może tworzyć zadanie wydawnictwa popularnego, jakim jest »Biblioteka Powszechna«, o tem pozwalamy sobie wątpić... Natomiast »Zbiór komedijek dla dzieci« R. Pniowerówniej, wydany przez tęże firmę w »Biblioteczce dla dzieci i młodzieży«, przynosi kilka fraszek wcale odpowiednich dla maluchnych dyletantów i odznaczających się poprawnym językiem. *...i*

»**Das litterarische Echo**«, dwutygodnik literacki, wychodzący w Berlinie, przynosi w jednym z ostatnich zeszytów na miejscu naczelnem artykuł dra Józefa Flacha o dramacie polskim. Autor wspomina pokrótce o Mickiewiczu i o Słowackim, o Fredrze, Korzeniowskim i o Sujskim. Pochlebłą również wzmiankę poświęca Bliźnińskiemu, Narzymyskiemu i Sawiczewskiemu. Ujemnie natomiast wyraża się o Bałuckim, który w początkach zawodu pisarskiego zapowiadał, zdaniem dra Flacha, znacznie więcej, aniżeli dokazał w rzeczywistości. Zgubił ów talent sympatyczny a indywidualny podziw bezkrytyczny. Mniej szczęścia, acz znacznie więcej zdolności posiada — słowa artykułu — Stanisław Kozłowski, jedyny obecnie przedstawiciel historycznego dramatu. Między produkcją autora »Wójła Alberta« i »Taborytów« a utworami modernistycznymi najświeższej doby zauważa Flach bezdenną przepaść. Grupę najmłodszych pisarzy dramatycznych składają przeważnie lirycy, noweliści, artyści-malarze, przygodnie tylko poświęcający się teatrowi, (Przybyszewski, Szukiewicz, Wyspiański). To

też brak im właściwego nerwu scenicznego. Zupełnie odrębne wobec tych autorów zajęła stanowisko Gabriela Zapolska, indywidualność, pełna siły i energii, która po raz pierwszy pokusiła się o przedstawienie żywiołu semickiego w otoczeniu jego własnego społeczeństwa. Podobnie też »Tamten« Mascoffa tworzy najostrejsze oskarżenie rządu rosyjskiego w Warszawie. »Słowem świta już — pisze dr. Flach — w dziedzinie polskiego dramatu. Ustupuje martwota wobec poszukiwań nowej treści i formy... Nie posiadamy jeszcze mistrza dramatycznego, ale nie brak nam ludzi, którzy stworzyli rzeczy udatne i stwierdzili rzetelną zdolność twórczą. Szeregi ich wzmagają się z każdym rokiem. Jeżeli się nie mylimy, niebawem zajaśnieje dzień, dzień słoneczny, podnoszący serca i pobudzający krew do szybszego w żyłach krążenia«...



Kronika żałobna.



WŁADYSŁAW KOZŁOWSKI.

szkół średnich. Pod koniec życia, niewolnego chwilami od nędzy i niedostatku, otrzymał część stypendyum im. Szajnochy oraz przytułek w Zakładzie Domsa, gdzie życia do konał.

Władysław Kozłowski, zmarł we Lwowie w dniu 9. sierpnia r. b. Urodzony w roku 1832 w Żytomierzu, uczęszczał do szkół średnich w rodzinnym mieście a następnie na wydział literacko-historyczny uniwersytetu kijowskiego, poczem otrzymał posadę profesora literatury i języka polskiego w gimnazjum w Białej Cerkwi. W organizacyi narodowej 1863 roku brał Kozłowski żywy udział, skutkiem czego po upadku powstania musiał uchodzić z kraju. Tułał się czas jakiś w Turcyi a w końcu dostał się do Paryża, gdzie zarabiając całodzienną pracą biurową na utrzymanie, uczęszczał w chwilach wolnych na wykłady do College de France i do Sorbonny, oddając się studjom filozoficznym. Około roku 1875 osiadł na stałe we Lwowie zwiedziwszy poprzednio całą Słowiańszczyznę południową. Dotknięty chronicznem cierpieniem oczu, czynnym był mimo to w dziennikarstwie. Należał w swoim czasie do redakcyi »Ojczyzny« a liczne prace jego pióra zamieszczały też pisma warszawskie. Udzielał nadto lekcji prywatnych i napisał Logikę elementarną oraz Psychologię dla

Warszawska *Prawda* poświęciła ś. p. Kozłowskiemu następujące wspomnienie: »Nie często, ale od czasu istnienia »Prawdy«, jej czytelnicy spotykali pod artykułami filozoficznymi nazwisko tego człowieka, który należał do najpoważniejszych u nas pisarzy i najznacześniejszych ludzi. Cichy, skromny, szczerze nauce oddany, obcy wszelkim celom i drogom, prowadzącym do zwycięstw w walce o byt, pracą nauczycielską zarabiał na skromny chleb, a cały czas wolny od tych zajęć poświęcał gruntownym i rozległym studjom. Na tle gwarliwego Lwowa, gdzie najmniejszy talent i najmniejsza wiedza szybko mają swoje trąbki sławy, ten ukryty w cieniu badacz odbijał się niezwykłym widokiem. Ale za to, kto o nim wspominał, wspominać musiał z szacunkiem. Kozłowski uprawiał specjalnie niwę psychologii, a należał w niej do szkoły pozytywno-ewolucyjnej. Jakim był w życiu, takim również w pismach: prosty, poważny, daleki od najmniejszej błagi, ale w swych przekonaniach niewzruszony i konsekwentny. Artykuły jego, które oprócz »Prawdy« | pomieszczał także w »Ateneum« nie odznaczały się ani błyskotliwością, ani wytwornością stylu; kto wszakże szukał w nich rzeczy a nie pustych słów i frazeologicznego opisu, ten znalazł zawsze wykład godny katedry uniwersyteckiej«.



ADOLF ABRAHAMOWICZ.

Adolf Abrahamowicz, autor dramatyczny i ziemianin zmarł w dniu 16. sierpnia r. b. w Targowicy pod Horodenką. Urodzony w dniu 7. listopada 1849 r. we Lwowie, uczył się w domu pod kierunkiem światłego pedagoga Noskiewiczza a następnie w znanym pensjonacie ś. p. Henryka Milewskiego. Osiadłszy na roli, w dziedzicznej Targowicy, często przebywał we Lwowie a lat temu dwadzieścia, ktokolwiek brał udział w życiu towarzyskiem naszego miasta, poznać musiał koniecznie pana Adolfa. Wysoki, chudy, nieco zgarbiony, o wyrazistej twarzy, ożywionej parą dziwnie przenikliwych oczu, o orlim nosie, z niewielką łysinką, był Adolf Abrahamowicz jedną z najbardziej popularnych osobistości na bruku lwowskim. Znał wszystkich i wszyscy go znali. Z urodzenia i z fortuny zaliczając się do zamożnych kół ziemiańskich, był osobistością mile widzianą i zestosunkowaną, zarówno w kasynie narodowym i w pa-

łacu namiestnikowskim, jak w »kiszce« literackiej u Macieja — tak nazywano wązki a długi pokój, w uczęszczanej licznie cukierni Kosteckiego przy ulicy Karola Ludwika, gdzie gromadził się w popołudniowej porze świątek dziennikarski, literacki i artystyczny — lub w kołach akademickiej młodzieży, której

Abrahamowicz szczerym był przyjacielem i gorącym orędownikiem. Facecyonista niezrównany, mógł całymi godzinami opowiadać anegdoty, których stałym tematem były komiczne epizody, rozgrywające się w kabzańskich — jak je nazywał — zamkach między Kossowem, Kutami a Kołomyją. Swadę posiadał świetną, humor znakomity, dar obrazowania nadzwyczajny, a co najważniejsza, pobudzając całe audytorium do śmiechu, sam zachowywał niewzruszoną powagę i nie dając się długo prosić, snuł swe opowiadania bez końca, podkreślając zrećźnie zauważane śmieszności, potęgując komiczne efekty z prawdziwą, artystyczną miarą.

Wiosnę spędzał u siebie na wsi, gdzie dom jego, acz kawalerski, stał dla wszystkich otworem. U niego spotkać jeszcze było można rzadkich już dziś po szlacheckich dworach rezydentów: starego francuza-guwnernera, brata-szlaguna, który po stracie fortunki pocieszał się żydowskimi anegdotami, wygłaszanymi w żargonie, wykolejonego farmaceuty, poszukającego torfu i tym podobną kolekcję niebieskich ptaków, żyjących z dnia na dzień. Gospodarzem pan Adolf nie był tegim, choć w pole chadzał rankami z przyzwyczajenia raczej niż z potrzeby, a rządcom u niego działo się niezłe. Nie był też pochopnym do pióra. W tak zwanej kancelaryi u niego walały się stopy listów — nieotwieranych wcale, gdyż wszelką korespondencję zwykł był Abrahamowicz załatwiać w drodze telegraficznej krótko a węzłowato. Lato schodziło mu za zwyczaj w Krynicy, gdzie był duszą wszystkich reunionów, wycieczek, festynów a z pierwszym śniegiem zjawiał się we Lwowie, gdzie w hotelu Żorża, stała zajmował kwatere. Był to pokój z przedpokojem, na pierwszym piętrze oznaczony numerem, jeżeli się nie mylimy, czterdziestym drugim. W przedpokoiku, za parawanem, rezydował historyczny Antoś, *factotum* pana Adolfa, spełniający przy jego osobie funkcje kamerdynera i sekretarza prywatnego, przedmiot wiecznych skarg i utyskiwań zbyt pobłażliwego chlebobdawcy, który mimo licznych a częstych nieporozumień za żadną cenę nie chciał się rozstać z rozwydrzonym sługusem. Abrahamowicz powracał do domu późno i wstawał dopiero po południu z łóżka, koło którego o godzinie dwunastej kupiło się codziennie grono bliższych jego przyjaciół i znajomych, ziemian, chwilowo bawiących we Lwowie, aktorów, dziennikarzy, zbierających materyał do kroniki miejscowej, no i trapiduchów, wypalających przerażającą ilość papierosów gospodarza, t. zw. administratorów świeżego powietrza, plotkujących zawzięcie dla zabicia czasu. Tu się planowały projekty rautów, koncertów, reduł, balów i tym podobnych przedsięwzięć na cele dobroczynne, w których urzędowaniu pan Adolf był prawdziwym mistrzem. Pomysłowy wielce, ruchliwy, energiczny, mający nader rozległe znajomości we wszystkich kołach towarzyskich — zajmował się Abrahamowicz niezmordowanie powierzonymi jego opiece przedsięwzięciami, zapewniając im z góry powodzenie. Lubił również teatr, aktorów i niejednokrotnie występował w charakterze pośrednika między dyrekcją a rozkapryszonymi artystami.

Główną wszakże areną popisów pana Adolfa, właściwym żywiołem, którym czuł się wiecznie młodym, swobodnym, była sala balowa. Jak ongi, przed laty, Jan Stadnicki, tak też i Abrahamowicz był wodzirejem nad wodzireje, niewyczerpanym w obmyślaniu efektownych figur w kotylionie i w mazurze, niezmordowanym, orientującym się łatwo wśród największego tłoku, jaki zwykł panować na balach lwowskich, cieszącym się powodzeniem. Raz obawszy komendę, czuł się pan Adolf władcą nieograniczonym par tańczących. Osoba danserki była dla niego obojętną, gdyż szło mu przedewszystkiem o udatną całość tańca, a niejeden młodzieniec, pierwsze na parkietach balowych stawiający kroki, usłyszał z ust rozsierzonego jaką omyłką wodzireja szorstką admonicyę, którą w pokorze ducha schować wypadało do kieszeni Nieprawym tancerzom zwykł był pan Adolf przypominać adres tancbudy starego Schöna... W karnawale Abrahamowicz nie spał wcale nocami, gdyż oprócz rozlicznych zabaw publicznych, których aranżerowie ubiegali się o jego współudział, prowadził tańce na rozmaitych balach i piknikach prywatnych, tak, iż w ostatki,

pochylona z natury postać naszego wodzireja, garbiła się jeszcze bardziej, z chudej stawała się niemal eteryczna.

Tak bywało do roku 1880, kiedy to w dniu 22. marca ukazała się na scenie skarbkowskiej pierwsza jednoaktowa komedycja jego pióra p. t. »Dwie teściowe«. Było to przedstawienie składane, z przeznaczeniem dochodu na rzecz Bratniej Pomocy Słuchaczy Uniwersytetu lwowskiego. Młodzież przepelniająca teatr, z zapałem oklaskiwała utwór swego ulubieńca, osnuty na tle życia kąpielowego, a skreślony z rzeczywistym talentem. Krytyka przyjęła sympatycznie pierwszą próbkę zdolności autorskich Abrahamowicza, choć nie brakło zawistnych, utrzymujących półgębkiem, jakoby Adolf Abrahamowicz użył tylko swego nazwiska pracy jego brata, Dawida, który przed laty, zanim jeszcze wystąpił na widownię polityczną, chętnie bawił się teatrem. Ale twierdzenie owe okazało się marnym wymysłem wobec faktu, iż w najbliższej przyszłości wystawiono na scenie szereg jednoaktowych komedij, a raczej krotoczwil, noszących niezaprzeczone piętno indywidualności pana Adolfa. Ukazały się jeszcze w ciągu roku 1881 fraszki: »Inserat«, »Gwałtu on ma bzik«, tudzież trzyaktowa krotoczwila p. t. »Na złodziejcu czapka gore«, napisana do spółki ś. p. Lubiczem, artystą sceny lwowskiej, a powodzenie, towarzyszące tym utworom, zachęciło Abrahamowicza do dalszej, bardzo wydatnej twórczości. Pan Adolf miał odrębny, wielce oryginalny sposób pisania dla teatru. Oto nie wykończył on swego utworu w szczegółach, jak to czynią inni autorowie dramatyczni, lecz poprzestawał na skreśleniu obszernego scenariusza, w ramach którego mieścił się obrany przez niego temat. Wykończenie dyalogów pozostawiał swym współpracownikom, jakimi byli kolejno Lubicz, Podwyszyński, Kwieciński, Zieliński i Ruszkowski, który według jego wskazówek, oraz bardzo szczegółowych informacji opracowywali i przerabiali poszczególne sceny tak długo, dopóki nie zadowolili surowego sędziego, jaki był dla własnych utworów Abrahamowicz. W takich warunkach współpracownictwo nie było wcale rzeczą łatwą i wymagało wielkiej cierpliwości ze strony kollaboratora, gdyż pan Adolf kaprysił często, zmieniał sytuacje i figury, zmuszając współpracownika do najściślejszego wmyślenia się w rzecz opracowaną. To też z wszystkich współpracowników jeden jedyny Ruszkowski wytrwał najdłużej z Abrahamowiczem, co mu się zresztą nieźle opłacało, gdyż wszelkie tanyemy i honoraria autorskie stawały się jego udziałem.

Z długiego szeregu prac scenicznych Abrahamowicza, jakie w ciągu lat 1880 do 1890 ujrzały światło kinkietów na scenie lwowskiej, na szczegółowe wymienienie zasłużyły: jednoaktowa fraszka »Vis à vis« tudzież większe krotoczwile: »Adwokat bez klientów«, Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz«, »Mąż z grzeczności« i »Oddajcie mi żonę«. Zwłaszcza »Mąż z grzeczności« dzięki znakomitej grze pani Stachowicz oraz ś. p. Kwiecińskiego cieszył się na scenie naszej znacznym powodzeniem. W przeciągu sezonu powtarzano »Męża« jedenaście razy, którą to cyfrą reprezentacyi bardzo nie wiele sztuk poszczycić się u nas może. Niemniejszy sukces odniósł »Mąż z grzeczności« na scenie warszawskiej i niebawem przetłómaczony został na języki niemiecki oraz czeski. Do udatniejszych dzieł Abrahamowicza i Ruszkowskiego zaliczały się również komedye »Teść« oraz »Dobry numer«, napisany wspólnie z Zielińskim. Krotoczwila pozostała właściwą sferą twórczości Abrahamowicza. Nie siłił się on bynajmniej na rozwiązywanie w swych utworach scenicznych wielkich problemów społecznych, lecz starał się przedstawić życie codzienne z jego drobnymi przykrościami w świetle pogodnego komizmu. Daleki od bezmyślności i cynizmu farszystów bulwarowych, starał się śmieszność ludzką schwyćć na gorącym uczynku, wykażać jej wady w szeregu dowcipnie obmyślanych sytuacji, budząc w audytorjum śmiech szczery, zdrowy. Typów mu dostarczały zarówno salony ziemiańskie, jak sfery mieszczańskie i urzędnicze. Czasem zaplącze się tam poczciwy, choć krzykliwy szlachetka a i oryginalny wielce typ spoleczalego Niemca, czy też zniemczonego w wojsku Galicyanina, nie uszedł bacznej uwadze naszego autora. Krótko mówiąc, krotoczwila Abraha-

mowicza sprawia wrażenie kalejdoskopu, w którym każdy przeciętny Lwowianin widział znane od dawna typy — nie osoby — poruszające się swobodnie, naturalnie, jak w codziennym życiu, wysoce komiczne przy całej swej prawdziwości. Wyostrzony zmysł obserwacyjny oraz wesoły, nikogo nie drażniący dowcip Abrahamowicza tworzyły wspólną, wielce znamiennej cechę wszystkich jego dzieł scenicznych.

Zżyty ze Lwowem, nie pragnął pan Adolf wawrzynów na szerszej widowni, jakkolwiek sztuki jego obiegły w swoim czasie wszystkie sceny polskie. Do Warszawy, mimo usilnych, kilkakrotnie ponawianych zaprosin nie zdołał się nigdy wybrać. Być może, iż przykładem był mu wielki Zółkowski, który żadną miarą nie dał się skłonić do występów poza obrębem syreniego grodu. Ostatniem jego dziełem scenicznym była krotochwila »Pojedynek« przedstawiona na deskach lwowskiego teatru letniego w dniu czternastym lipca 1898 roku.

Choroba nieuleczalna w sile wieku przerwała działalność autorską Abrahamowicza. Dotknięty cierpieniem mleczka pacierzowego, ubezwładniony w nogach, na próżno szukał ulgi w rozmaitych zdrojowiskach i zakładach leczniczych. Choroba, nurtująca od lat sześciu w zwątlnym jego organizmie, kres położyła życiu zdolnego pisarza i zacnego człowieka. Zmarł w Targowicy, licząc niespełna lat pięćdziesiąt wieku.



OGŁOSZENIA.

Pisma Patryotyczne

ALEKSANDRA HR. FREDRY

(Lwów 1893)

do nabycia po cenie znacznie niższej w Kole
Literacko-Artystycznym.

(Dochód ze sprzedaży całego nakładu przeznaczony na rzecz
budowy Kolumny Mickiewiczowskiej we Lwowie).

Odpowiedzialny Redaktor: Stanisław Schnür-Pepłowski.

C. k. uprzyw. galicyjski akcyjny
BANK HIPOTECZNY.

Oddział depozytowy

przyjmuje wkładki i wypłaca zaliczki na rachunek bieżący, przyjmuje do przechowania papiery wartościowe i udziela na takowe zaliczki.

Nadto zaprowadzono na wzór instytucyi zagranicznych tak zwane

Depozyta schowkowe
(Safe Deposits)

Za opłatą 25 do 35 zł. a w. rocznie, depozytaryusz otrzymuje w stalowej kasie pancernej schowek do wyłącznego użytku i pod własnym kluczem, gdzie **bezpiecznie a dyskretnie** przechowywać można swoje mienie lub ważne dokumenty.

W tym kierunku poczynił Bank Hipoteczny jak najdalej idące zarządzenia.

Przepisy odnoszące się do tego rodzaju depozytów otrzymać można bezpłatnie w oddziale depozytowym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO

kupuje i sprzedaje

**wszelkie papiery wartościowe
i monety**

po najdokładniejszvm kursie dziennym,

nie licząc żadnej prowizyi.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW

Towarzystwa Wzajemnego Kredytu w Krakowie

i Filii we Lwowie z dniem 31. Grudnia 1898 r.

AKTYWA.

Rachunek bilansu z dniem 31. Grudnia 1898 r.

PASYWA

	Złr.	ct.		Złr.	ct.
Gotówka w kasie	80.704	23	Udziały Członków	1,141.009	89
Weksle Członków	4,165.409	88	Wkładki na książeczki	2,008.029	88
Fundusz rezerwowy:			Rachunek bieżący	434.938	85
35.000 Złr. w 4% listach galic.			Weksle reeskontowane	583.420	—
Tow. Kredyt. ziemsk. Złr. 33.808·05			Procent od weksli pobrany na rok		
Książeczka własna Nr. 7.482 2.819·84	36.627	89	1899	29.256	23
			Fundusz rezerwowy	36.627	89
			Sa'do zysk	49.459	26
	4,282.742	—		4,282.742	—

STRATY.

Rachunek zysków i strat.

ZYSK

	Złr.	ct.		Złr.	ct.
Procenta od wkładek na książeczki .	81.351	62	Procent od weksli:		
» » weksli reeskontowanych	19.403	36	Przeniesienie z r. 1897 Złr. 28.702·60		
» » rachunku bieżącego .	7.349	65	w roku 1898 pobrano » 215.685·12		
Koszta administracyi: płace, druki, czynsz koszta prawne i t. p. .	26.617	58	Złr. 244.387·72		
Koszta administracyi: podatki i na- leżytości	22.950	02	Na rachunek r. 1899		
Odpisane należitości wątpliwe	12.000	—	odpada	29.256·23	
Saldo zysk Złr. 45.459·26			Pozostaje na rachunek roku 1898 .	215.131	49
Przeniesienie z r. 1897 » 4.000·—	49.459	26	Przeniesienie zysku z roku 1897 .	4.000	—
	219.131	49		219.131	49

Kraków, dnia 31. Grudnia 1898 r.

DYREKCJA:

Z. Słonecki.

I. Głazewski.

Dr. G. Romer.

KOMISYA KONTROLUJĄCA:

Za Naczelnika biura:

W. Kozubowski.

STACYA KLIMATYCZNA, położona w uroczej miejscowości,
w bliskości Lwowa, wśród rozległych
lasów nad stawem 800 morgowym.

JANÓW

Hotel z komfortem urządzony, w wila-
lach obok hotelu różne pomieszkania,
łazienki stawowe, łodzie wiosłowe
i żaglowe. Lekarz, apteka, urząd telegraficzny i pocztowy w miejscu.
Czytelnia, fortepian, bilard, kregielnia, gry towarzyskie, kawiarnia w ho-
telu — Pomiedzy Lwowem i Janowem codziennie kursują, 3 pociągi,
a cena tam i na powrót w niedziele i święta III. klasą 42 ct., II. klasą
82 ct., w inne dnie III klasą 82 ct., II. klasą 1 zł. 42 ct.

Młyny, Gorzelnie, Browary, Tartaki, Wodociągi

i Odlewy żelazne

wykonuje

„PERKUN“, fabryka maszyn

Lwów — Podzamcze — ul. św. Marcina 11.

Kosztorysy bezpłatnie.

Nowa gałąź przemysłu krajowego. Papier c. k. uprzywilejowanej fabryki bibułek
cygaretowych w Sassowie, istniejącej od roku 1865, przerabia na **BIBUŁKI**
w książeczkach i **TUTKI cygaretowe** wyłącznie znana firma

S. Wierusz Niemojowski we Lwowie.

Fabryka Sassowska wysyła dotychczas bibułki jedynie tylko za granicę
i wyrobami swojemi zyskała rozgłos światowy. Oryginalne papierosy importowe
z Egiptu i Turcy wyrabiane są przeważnie z **Bibułki Sassowskiej**. Krocie idą
za granicę, a obcy bogacą się naszym groszem, zasypując nas lichemi swojemi
wyrobami. Nie bogacemy zagranicznych przemysłowców, kupujemy odtąd bibułki
i tutki cygaretowe z papieru Sassowskiego wyrobu

S. Wierusz Niemojowski — we Lwowie — ul. Wałowa 1. 25.

Stanisława Schnür-Peplowskiego

Opowieści historyczne

(„Pierwszy legionista“ — „Niezlomny“ — „Rycerz poeta“
„Santo Domingo“).

Lwów — Księgarnia H. Altenberga — 1899.

Cena 1 zł. 80 ct.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Warunki przedpłaty

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przesyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt X.

Październik 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z DRUKARNI E. WINIARZA

<http://1899n.org.pl>

TREŚĆ.

	str.
I. Włodzimierz Dzieduszycki, przez Stan. Schnür-Pełowskiego	443
II. Fraszka, wiersz Rodocia	446
III. Bez honoru, czarna sylwetka, przez Jana Zacharyasiewicza	446
IV. Pamięci Juliusza, przez A. B. D.	455
V. Pożegnanie Ojczyzny, wiersz z r. 1863	459
VI. Inteligencya u roślin, przez dra Jana Stellę Sawickiego	461
VII. Wspomnienia z Bayreuth	468
VIII. Notatki z Krakowa, przez Kaz. Czapelskiego	470
IX. Malarstwo	471
X. Muzyka	476
XI. Teatr	481
XII. Literatura	486
XIII. Kronika żałobna	490



Władysław

IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt X.

Październik 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z DRUKARNI E. WINIARZA

1899.



PI 293

Włodzimierz Dzieduszycki.

»Tego, co był najlepszym ziemi swojej synem, co ją kochał sercem i słowem i czynem« — zwłoki złożono w dniu 24. września r. b. w grobowcu rodzinnym w Zarzeczcu. Nie znał on — jak to słusznie zauważył jeden z żałobnych mowców — różnicy narodowości. Kochał wszystko rodzime a każdy, co służył narodowej sprawie, mógł zawsze być pewnym jego poparcia i ofiarnej pomocy, bez względu, do jakiego należał stronnictwa, byle się sprawie tej nie sprzeniewierzył.

Włodzimierz Dzieduszycki był jedynym synem Józefa Kalasantego, wywodzącego się z starszej linii rodowej i Pauliny z Działyńskich, córki Ksawerego z Kościelca hr. Działyńskiego, senatora-wojewody Królestwa Polskiego. Hrabia Józef, ongi żołnierz kościuszkowski, później oficer wielkiej armii, gdy wojenna uciszyła się zawierucha, zamienił szablę na lemiesz ziemiański i gospodarzył znakomicie w obszernych swych dobrach. Z działu familijnego posiadał bowiem Poturzycę w Galicyi, Tarnawkę w Królestwie, po żonie wziął w posagu Wiry i Konarzew w Poznańskiem oraz Ryczów pod Wadowicami, zaś Jaryszów na Podolu rosyjskiem nabył z własnego dorobku w roku 1817. W tej ostatniej miejscowości, w dniu 22. czerwca 1825 r. przyszedł na świat hr. Włodzimierz. Światły ojciec, sam bibliograf zawołany i bibliofil, nieszczędzący grosza na cele naukowe, otoczył syna jak najtroskliwszą opieką, na równi z matką, będącą wzorem staropolskiej niewiasty. Młodzieniec uczył się w domu pod kierunkiem doświadczonego pedagoga, jakim był Franciszek Kleczkowski, dobierający mu takich nauczycieli jak August Bielowski, Wincenty Pol lub profesor filozofii w tutejszym uniwersytecie, Franciszek Stroński. Od najwcześniejszych lat objawiał Włodzimierz szczególne zamiłowanie do nauk przyrodniczych a rodzice wprowadzali z radością chłopaka w otaczającą go przyrodę, ułatwiając mu zbieranie i układanie systematyczne okazów, gromadzonych podczas zamiej-

skich wycieczek na Pohulankę, Zofiówkę, Cetnerówkę. Tak więc w małej szafce dziecinnego pokoju, w której mieszcili się znalezione lub schwytane przez chłopaka motyle, chrząszcze i ślimaki tudzież zasuszone krzewy oraz kwiaty, powstał pierwszy związek dzisiejszego muzeum. Później, przebywając przez większą część roku na wsi i bawiąc się chętnie polowaniem, zajął się hrabia Włodzimierz z szczególniejszem zamiłowaniem ornitologią. To też zbiór muzealny ptaków jest stosunkowo najdawniejszy i najliczniej reprezentowany. Odbyszły z swym mentorem, Kleczkowskim, dłuższą podróż zagranicę, objął młody hrabia w czerwcu 1847 roku, po śmierci ojcowskiej, zarząd całego majątku i przeniósłszy się do Lwowa, tak bibliotekę jakoteż zbiory naukowe umieścił zrazu w pałacyku przy placu Franciszkańskim, skąd je następnie przewieziono do zakupionej umyślnie w tym celu kamienicy przy ulicy Teatralnej, dzisiejszej siedziby Muzeum. Nie ograniczając się wszakże na gromadzeniu skarbów naukowych u siebie, chętną podawał Dzieduszycki rękę wszelkim umiejętnym usiłowaniom. Gdy w roku 1847 Zakład narodowy im. Ossolińskich znalazł się w trudnym położeniu z powodu braku funduszków, potrzebnych na założenie drukarni, Dzieduszycki zaoferował mu z własnej inicjatywy bezprocentową pożyczkę w sumie sześciu tysięcy złotych m. k., a w roku następnym, (1848), był jednym z pierwszych właścicieli dóbr ziemskich w Galicji, którzy na wezwaniem Rady Narodowej znieśli u siebie pańszczyznę, zanim rząd ubiegł ziemian tutejszych ogłoszeniem kwietniowego patentu o zniesieniu powinności poddańczych. Życie polityczne gorączkowej owej doby nie nęciło uczonego badacza, który obcym też pozostał polityce przez dalszy ciąg pracowitego i obfitego w czyny żywota. Nie stronił wszakże od posług publicznych a dwór w Poturzycy, gdzie osiadł wraz z poślubioną w roku 1858 małżonką, Alfonzyną z hr. Miączyńskich, bezpieczne zawsze przedstawiał schronienie dla prześladowanych przez władze austriackie patriotów. Niezmordowanie opiekował się Dzieduszycki nauką, literaturą i sztuką. On to dostarczył funduszków na wydawnictwa kosztownych prac naukowych Augusta Bielowskiago, Żebrowskiego, Żmurki i wielu innych, a w r. 1862 fundował przy wszechnicy Jagiellońskiej dwa stypendya: docenta weterynaryi, oraz anatomii patologicznej. Przedtem jeszcze, w marcu 1861 r., powołany zaufaniem współobywateli z większej posiadłości w Żółkiewskim do Sejmu krajowego, złożył niebawem mandat, lecz tem gorliwiej pracował w Muzeum przemysłowem miejskiem, którego był jednym z głównych założycieli i długoletnim prezesem oraz w Krajowej Szkole Lasowej. Zakład ten jego był dziełem i przez lat szereg pozostawał pod kuratoryą Dzieduszyckiego. Chlubnie też zaznaczył swą działalność jako delegat na wystawach wiedeńskiej (w r. 1873) i paryskiej, (w. r. 1878), a w r. 1877 jako prezes komitetu poważny wziął udział w pracach przygotowawczych do pierwszej wystawy krajowej, otwar-

tej we Lwowie w dawnym ogrodzie Jabłonowskich, w dniu szóstym września t. r., Dzieduszycki, mimo niemocy, pozbawiającej go władzy w nogach, przywieziony w krzesło do głównego pawilonu, otworzył wystawę osobiście wobec licznie zgromadzonych dostojników, oraz tłumów publiczności. »Nie żałujmy wydanych funduszów — rzekł wówczas hr. Włodzimierz. — Pozostaną one w kraju, a mnie żał tylko każdego grosza, który wychodzi za granicę, bo ten już nie powróci...« Wystawa trwała przez miesiąc i cieszyła się nadzwyczaj żywym udziałem publiczności. To też pochód z pochodniami, urządzony na cześć Dzieduszyckiego w dniu siódmym października t. r., oraz medal pamiątkowy, wybity na jego cześć, były słabymi zaledwo dowodami wdzięczności, jaką ogół nasz otaczał tę zasłużoną osobistość, która nigdy nie szukała popularności u mas szerokich, schlebając ich opinii, ale zawsze i wszędzie przodowała im miłością Ojczyzny tudzież poświęceniem. W uznaniu niepospolitych zasług, mianowała Rada miasta Lwowa w styczniu 1877 r. Dzieduszyckiego obywatelem honorowym naszego grodu. Od roku 1884 zasiadał on też w Izbie Panów, zaś w roku 1876 po Alfredzie Potockim objął łaskę marszałkowską w Sejmie krajowym. Ale funkcyę naczelnika autonomii krajowej, wymagające niezwykłej sprężystości oraz połączone z obowiązkami reprezentacyjnymi, nie odpowiadały wcale kontemplacyjnemu usposobieniu cichego badacza i uczonego. Zaraz więc po wyborach 1877 r. wyprosił się Dzieduszycki od piastowanego dostojenstwa, składając je w ręce ś. p. Ludwika Wodzickiego.

Odtąd oddał się hr. Włodzimierz niepodzielnie pracy około uzupełnienia i powiększenia zbiorów muzealnych, które podczas pobytu panującego monarchy we Lwowie, we wrześniu 1880 r. zaofiarował krajowi. Nie poprzestając wszakże na tej darowiźnie, starał się Dzieduszycki zabezpieczyć byt trwały ukochanemu dziełu w drodze ustawniczej. I dlatego też uwidoczniło w ustawie o ustanowieniu ordynacyi familijnej imienia Dzieduszyckich, uchwalonej w grudniu 1893 r., iż Muzeum przyrodnicze imienia Dzieduszyckich z ordynacją połączone, obejmować ma wszelkie przedmioty dotyczące się przyrodznawstwa, etnografii i antropologii dawnych ziem polskich. Jak zresztą zapatrywał się hr. Dzieduszycki na cele i zadania stworzonej przez niego instytucyi, dowodzi najlepiej przedmowa do jego »Przewodnika po Muzeum«, wydanego w roku 1895. »Moim ukochanym wnukom i całej naszej młodzieży — pisał wielkoduszny starzec — książeczkę tę poświęcam z gorącym życzeniem, aby zwiedzanie bogactw przyrodniczych naszej ziemi, wyrobów pracy i zdolności ludu naszego i prastarych, w ziemi zagrzebanych pamiątek po praojcach naszych, zagrzewało do miłości tej ziemi i tego ludu i do pracy nad dalszem badaniem tej spuścizny po ojcach naszych.«

Z kolekcji pierwiastkowej, przeważnie ornitologicznej, wyrosło dziś wspaniałe muzeum, obejmujące siedm zasobnych działów z dziedziny przyrody i etnografii. Jakkolwiek dawniej zwłaszcza, niektóre przedmioty w drodze darowizny dostawały się do zbiorów hr. Dzieduszyckiego, to jednak przeważną część okazów on sam zbierał, nabył, uporządkował, poświęcając tej żmudnej pracy całe lata. Tak więc dyplom doktora filozofii *honoris causa*, nadany hrabiemu Włodzimierzowi przez Uniwersytet lwowski w roku 1894, nie był bynajmniej aktem kurtoazji, jeno wyrazem rzetelnej czci, jaką nasza *Alma Mater* żywiła dla wiedzy i obywatelskich cnót obdarzonego tą zaszczytną godnością męża.

Z Włodzimierzem Dzieduszyckim schodzi do mogiły jeden z ostatnich karmazynów, prawdziwych magnatów ducha, którzy posłannictwo przewodniczenia narodowi pojmowali jako twardą, powszednią służbę, spełniając ją czynem, nie błyskotliwym frazesem a nieskalaną tarczę herbową przekazali swym potomkom. Takich ludzi coraz to mniej u nas — niestety....

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI.



Fraszka.

Dumałem, *Sprawiedliwość* z kąd płynie człowieka?
W tem, patrząc garść chłopaków bawi się i sprzecza:
»Trzeba zrobić *Trybunał*«, najsilniejszy powie,
»Ja będę *Trybunałem* i koniec«.

Na zdrowie!

M. Rodóć.



BEZ HONORU.

(CZARNA SYLWETKA).

— Są rzeczy, w których dwóch zdań nie ma, — wyrzekł kilka dni temu w większem zgromadzeniu młody doktor Hipolit.

Powiedział jeszcze więcej, ale to było już tylko dalszą konsekwencyą.

Spór się zaognił — adwersarz wierzeń jego rzucił mu w twarz obelgę, a zmazanie tej obelgi wywołało sprawę honorową.

Kilka dni trwały targi o honor, sprawa zaostrzyła się, a w końcu zgodzono się na walkę o życie i śmierć.

Nie miała to jednak być owa walka, w której zamiast, prawdy bieglejszy i zręczniejszy szermierz zwyciężył, wybrano ślepy traf.

Ciągnięto losy — czarny los oznaczał śmierć.

Śmierć dobrowolną w przeciągu pewnego czasu.

Kodeks barbarzyński, ale taki kodeks stworzyli sobie ludzie honorowi. A chociaż prawo Boże i ludzkie jest przeciw temu, ludzie na te prawa nie zważają.

I młody doktor Hipolit nie może się temu sprzeciwić.

Wyciągnął los śmierci a z dzisiejszą nocą upływa noc jego życia.

Przyjaciele jego i adherenci słów przez niego wyrzeczonych, pożegnali go dzisiaj ucztą pogrzebową.

Wychylili puhary na cześć rycerza wspólnych wierzeń swoich i nieskalanego honoru. A gdy noc zaczęła na niebie rozwieszać gwiazdzistą swoją oponę, pożegnali go, zostawiając mu tę noc ostatnią własnym jego sprawom i rozmyślaniom.

A ileż to tych spraw i rozmyślań skupi się teraz tej jednej nocy?...

Ostatnia noc życia.

Młody lekarz pogasił niepotrzebne światła, służącemu kazał odejść na spoczynek. Jedną tylko lampę postawił na biurku i zaczął się zwolna przechadzać po skromnych, kawalerskich pokojach. Niedawno powziął był zamiar mieszkanie to rozszerzyć, aby przyszłej towarzysze życia dać wygody, jakimi chciał ją otoczyć — dzisiaj nikną te marzenia, a ich miejsce zajmuje śmierć blada.

Na biurku leży broń jasna i świecąca. Prawdziwe arcydzieło rusznikarza. Dostał ją w dniu imienin od jednego z przyjaciół swoich.

Ta broń ma dziś uratować honor wobec adwersarza...

Usiadł przy biurku. Myśli jak drobne, lotne owady wymykają się z głowy jego i lecą gdzieś daleko i szeroko. On patrzy za niemi, gdzie lecą i gdzie się zatrzymują. Raz czepiają się drzewa jak młody rój pszczół — tu znowu motyliłom lotem okrążają kwiaty na łąkach, zagładając do ich barwnych, słodkich kielichów. Ach to najpierwszy rój myśli i uczuć jego, to pierwsze, wiosenne jego marzenia. Dziś giną one, jak ginie szarańcza, która z gniazd rodzinnych wylatuje pod obce niebo szukając ziemi obiecanej.

Młody lekarz odetchnął pełną piersią. Podniósł rękę do czoła, jakby chciał oczy zasłonić przed tem, na co przed chwilą patrzył. Jeszcze musi do obowiązków powrócić. Musi pożegnać tych, którzy nie wiedzą, że ich więcej nie obaczy.

Z pomiędzy leżących na stole papierów wybrał papier różowy. Na takim papierze zwykł był pisywać do tej, która miała być towarzyszką jego życia.

Pisał długo, a pierś jego oddechała coraz szybciej. A gdy skończył, zdawało się, że dwie jasne gwiazdy zaświeciły w jego oczach, że zeszyły z nocnego nieba, na które właśnie patrzył.

Napisał jeszcze kilka listów i w pewnym porządku ułożył je na biurku.

Otworzył szufladę i przeliczył schowane tam drobne oszczędności swoje. Włożył je do dużej koperty i zaadresował.

A gdy już wszystko, co go do ziemi wiązało, pokończył, przystąpił do okna, aby spojrzeć tam wysoko, do gwiazd, ponad gwiazdy, dokąd duch jego wkrótce uleci.

I cóż tam znajdzie i na czym się zatrzyma? Czy znajdzie tam drzewa rozkwitłe i wonne kielichy kwiatów, na których przed chwilą widział młodociane swoje rojenia?

Czy poniesie tam z sobą pamięć tego, co przeżył na ziemi, czy się spotka z tymi, których tu ukochał, czy rozpocznie nowe życie, tam gdzie wody letnie nie dopuszczają nic ze wspomnień, z tego, co się tu przeżyło?...

A tam na krawędzi nieba pochylają się gwiazdy jedna za drugą, zapadają w przepaść, jakby uciekały przed pierwszym promieniem jutrzeńki!

Dlaczego one tak spieszą, dlaczegoż skąpią mu nielitościwie tych kilku chwil życia, dlaczego nie mają dla niego litości ani współczucia... czyż ten świat jest cały zimny i bez czucia jak nakręcona maszyna?...

Otworzył okno. Od wschodu powiał wiatr chłodny. Dlaczego on taki chłodny i zimny? Czy to posłaniec jutrzeńki, która ma mu przyprowadzić śmierć bladą i zimną, czy to ów grcbowy oddech strasznej nicości, w którą ma wkrótce zapasć duch jego?... Ale nie, nicości niema, bo wszędzie życie. On słyszy to życie. Cóż znaczy ten lekki szmer, który tam z dalekich ogrodów zalatuje, cóż znaczy ten przytłumiony jęk powietrza, przedostający się przez szpary drzwi niedomkniętych?... A tam na ciemnym stropie mrugają gwiazdy, dawne opiekunki losów ludzkich. Czemuż człowiek pozbył się tej wiary naiwnej, a odkrywszy mechanizm nieba z przestrachem ujrzał się nic nie znaczącym atomem pyłu w tym bezbrzeżnym ogromie? Gdzieżto odlatują duchy ludzkie, które na ziemi szły drogą wielkich cnót i twardych obowiązków, które w mrokach ludzkości opalały skrzydła swoje w gorejących pochodniach prawdy i pozogą własnych istot swoich przyczyniały się do siły ognia i światła tych pochodni? Gdzież one znajdują nagrodę dla siebie w obec tych duchów, które nie odczepiwszy się nigdy od nizin ziemskich żyły tylko jak mechy ich wyziewami i pleśnią?

I słyszy coraz więcej głosów i tonów tajemniczych, jakich dotąd ucho jego nie słyszało, widzi w ciemnych zwojach nocnego powietrza jakieś drgnienia jakby tętnic rozbiegających się w różne strony. Cóż porusza te widzialne dla niego tętnice powietrza, czy to eter niespokojny, który gdzieś biegnie jak bieżną strumienie i potoki po ziemi, czy to siła ożywcza, która biegnie po żyłach człowieka? Czemuż on w tej chwili widzi i słyszy rzeczy, których nigdy nie słyszał ani widział? Widzi gwiazdy poruszające się w odwiecznym porządku po niebie, a nawet słyszy ową domniemaną dawniej, sferyczną muzykę, którą ma tworzyć obrót i ruch tych światów nieznanych?

Dziwne myśli i wrażenia, dziwne uczucia! On czuje, że one odrywają go zwolna od ziemi, porywają go szalonym wirem tam w górę, do tych gwiazd, do tych światów nieznanych... tak życie jego jak pajęczyna już rwie się... czuje nawet podmuch jakiegoś prądu zaświatowego, który go wezmie na skrzydło swoje i w nieznaną lecz obiecaną krainę drugiego życia uniesie...

Tak, życie jego musi już teraz skończyć, na ziemi już nie ma nic dla niego.

Zamyka okno i bierze broń błyszczącą do ręki.

Piers jego podniosła się głębokiem, ostatniem westchnieniem...

Lecz cóż to?... Dzwonek odzywa się w przedpokoju.

Któż to może być, któż przychodzi do niego w ostatniej chwili życia, czy to śmierć błada daje mu znak, że już czas?

Dzwonek odezwał się poraz drugi.

Odłożył broń, wziął lampę i wyszedł na spotkanie tego tajemniczego gościa.

Otwiera drzwi. Widzi przed sobą zapłakaną niewiastę. Drży cała jakby od zimna.

— Cóż to? zapytał.

— Ach drogi panie. Proszę pospieszyć na ratunek bardzo chorej. Od godziny chodzę, a nikt iść nie chce.

Młody lekarz zmarszczył brwi. Oburzyło go lekceważenie obowiązku.

— Któż jest chory.

— Moja pani, z którą przyjechałam przed miesiącem do miasta.

— A któż jest z panią?

— Nikt, prócz małego jej synka.

Lekarz zamyslił się.

— Cóż to jest, rzekł półgłosem do siebie, cóż to staje mi w drodze w ostatniej chwili życia — obowiązek.

Spojrzał na zegarek. Do jutrzeńki była jeszcze spora godzina.

— Mogę jeszcze wrócić spełniwszy obowiązek, a może przy schyłku mego życia, mogę ocalić życie drugie.

Zwrócił się w głąb pokoju, lampę postawił na stole, potrzebne instrumenta włożył do kieszeni.

Chodźmy, rzekł do kobiety zamykając drzwi, a spieszmy, bo nie mam wiele czasu.

*

Chłodny wiatr sunął się po ulicach miasta. Wszystkie okna były ciemne, głucho i cicho wszędzie tylko odgłos kroków przebiegłszy puste ulice, wracał do niego dziwnie zmieniony. Zdawało się, że coś przyniósł ze sobą, że to jakieś jęki i skargi tych co czuwają, a rozkoszne marzenia tych, którzy słodko zasypiają!

Dosyć długo trwała wędrówka, wreszcie weszli na uliczkę ciemną tuż na krańcu miasta. Przed nimi zamajaczył w dali mały domek w ziemię zapadły, a w niskich okienkach błyskało czerwone światło. Do tego



domku weszła kobieta i otworzyła drzwi do sieni. Smutny obraz zarysował się w tych drzwiach. Pod oknem leżała na łóżku młoda, bardzo blada kobieta, a na wytartej sofce między oknami spoczywał na haftowanej poduszce mały chłopczyzna o jasnych włosach. Po jego uspionej twarzy przelatywał uśmiech rozkoszny. Przy łóżku chorej stała mała, okopcona lampa.

Chora spojrzała dużem, zażawionem okiem na lekarza.

— Niech Pan Bóg panu wynagrodzi — ozwała się słabym głosem, bo pan przychodzi do biednej, bardzo biednej matki.

Lekarz siadł przy łóżku i zaczął się ją wypytywać, ujął za wychudłą rękę i liczył tętna. Dowiedział się, że chora miała jakiś atak tnerwowy, który o mało o nie pozbawił ją życia. Jakaś troska wielka wycieńczyła jej siły, serce odzywało się słabym szelestem. Przebyty szczęśliwie atak nerwowy mógł się powtórzyć, a wtedy mogła nastąpić smutna katastrofa.

Przedewszystkiem musiał rozpatrzyć się w położeniu chorej. Otrzymał szczere, ale bardzo smutne odpowiedzi. Kobieta do niedawna w dobrym bycie, utraciła w ostatnich wypadkach kraju wszystko, a nawet i męża. Przyjechała do miasta szukając zarobku. Nie znalazła go, a na dzienne potrzeby szło powoli wszystko, co z sobą z dawnych dostatków przywiozła.

Młody lekarz zapomniał w tej chwili o sobie. Zapomniał jaki honorowy obowiązek ciąży na nim, nie widział, jak wskazówka na zegarze posuwa się szybko, jak upływa godzina za godziną. Wysłał kobietę po lekarstwo, wsunawszy jej wraz z receptą i pieniądze do ręki. Siedział przy chorej i czekał.

— Powiedz mi pan — szeptała chora, czy ja wyjdę z tej choroby, czy mój Adaś nie zostanie sierotą?

Lekarz pocieszał ją, ale wzrok jego zwracał się smutno na białą, haftowaną poduszkę, na której rozkosznie zasypiał chłopiec o jasnych włosach.

— Powiedz mi pan, czy w mieście są jakie domy dla sierot na wypadek mojej śmierci.

Dziwna myśl przebiegła przez głowę młodego lekarza. Czyby nie było lepiej, gdyby był zeszedł z tego świata, nie ujrawszy pod koniec życia tej bezbrzeżnej niedoli ludzkiej?... Wtedy tak pieszczotliwie mrugały gwiazdy do niego, lekki wietrzyk zapraszał go na lotne skrzydła swoje, na których miał go zanieść do nieznanego zaświatu krainy!.. Widział w duchu tę krainę nieokreślonych a jednak zapewne rozkosznych miraży, o których dusza ludzka marzy!... A teraz nagle staje przed nim nędza niezastużona i bezbrzeżna boleść ludzka!..

Nie, od tego, co teraz widzi, nie może się odwrócić, bo na to nie pozwala ani serce, ani obowiązek.

— Czy w takich domach przytułku, mówiła dalej słabym głosem kobieta, znajdują się ludzie, którzyby biednej sierocie mogli zastąpić matkę lub ojca?

Chłopczyną na białej poduszce poruszył się i westchnął głęboko. Matka z trwogą odrzuciła głowę.

— O tem niech pani nie myśli teraz, ozwał się szybko lekarz, takie smutne myśli szkodzą chorobie. Niech pani skieruje myśl na przyjemne chwile życia, które panią po wyzdrowieniu oczekują.

Chora uśmiechnęła się smutnie. Uśmiech jej był niedobrą wróżbą dla lekarza. Było w nim zwątpienie i pewna rezygnacya.

Tymczasem uliczka podmiejska zaróżowiła się blaskiem jutrzhenki. Młody lekarz ujrzał to. Drgnął, jakby obaczył sygnał rozkazu, ale w tej chwili twarz chorej zbladła nagle, jakby się atak chciał powtórzyć. Lekarz skropił jej skronie wodą, a o różowej jutrzence, która coraz więcej przechodziła w siny blask dnia, zupełnie zapomniał.

Służąca powróciła z lekarstwem. Chora otworzyła oczy. Po zażyciu lekarstwa uspokoiła się i zwróciła swoje duże oczy na lekarza. W oczach tych długim cierpieniem przyémionych błyszczał teraz promień jakiejś nadziei.

— Usłuchałam rozkazu pana — szeptała z cicha, aby nieprzyjemne myśli odpędzić. Sen chwilowy przysłonił mi umysł, a w tym śnie, zda wało mi się, że widziałam przy sobie anioła o białych skrzydłach, który mego Adasia za rączkę trzymał. Otworzyłam oczy i ujrzałam pana...

Lekarz posunął rękę po czole, jakby tam chciał co zatrzeć.

— Ludzie dobrzy są na świecie, odpowiedział, chociaż nie mają białych skrzydeł aniołów. Uspokój się pani, spodziewam się, że gdy dzień pogodny zaświeci, będzie pani lepiej.

— A gdyby było gorzej... gdyby śmierć nastąpiła?

— Nie myśl pani o niej, ona jeszcze daleko.

— Czy pan jesteś żonaty — zapytała dalej.

— Nie.

— O! to pan nie wiesz co to jest opuszczać małą dziecinę, zostawić ją samą na świecie i nie wiedzieć, jaki los ją spotka.

Chłopczyk o jasnych włosach niespokojnie poruszył się na poduszce.

— Widzisz pan — Adaś wie przez sen, że matka o niego się troszczy.

Uspokój się pani.

Chora ostatkiem sił swoich zwróciła się ku lekarzowi.

— Uspokoję się, ozwała się dziwnym głosem, w którym brzmiała przejmująca struna macierzyńska, uspokoję się, ale powiedz mi pan, czy mój Adaś znajdzie takie serce, które go jak matka kochać będzie?

— Mówię pani, że znajdzie, odpowiedział lekarz a twarz jego oblokła się rumieńcem. Chora wyciągnęła do niego rękę.

— Przynieś mi pan, ozwała się coraz cichszym głosem, że znajdziesz takich dobrych ludzi dla niego, że będziesz jego opiekunem... że będziesz jego ojcem!...

— Uspokój się pani — przyrzekam wszystko.

Błądą twarz chorej okraślił w tej chwili uśmiech najwyższej rozkoszy, a ręka jej dotknęła się dłoni lekarza...

Powoli bladł rumieniec na jej twarzy, a ręką stawała się coraz zimniejsza... Za chwilę zastygła twarz jak marnur biały, i zastygł także uśmiech szczęścia na niej!... Adaś był już sierotą.

Młody lekarz kazał przywołać właściciela domku, zarządził co potrzeba, a młodego chłopczyka, który myślał, że matka spi tylko, wziął za rękę i wyszedł z nim do domu.

* * *

Dzień już był biały gdy wrócił do mieszkania. Posadził chłopca przy stole, położył przed nim książkę z obrazkami, i kazał mu przynieść śniadanie.

Chłopiec jasnymi oczkami patrzył w koło. Już dawno nie widział takiego otoczenia koło siebie. Patrzył na zegar, który wisiał na ścianie, na obrazy i zwierciadła w złotych ramach. Dawno już dawno tak pięknych rzeczy nie widział, wreszcie wziął się do śniadania, a wesołe policzki i wdzięczne spojrzenia, które od czasu do czasu na młodego lekarza rzucał, że mu to śniadanie bardzo smakuje.

— Czy jadałeś Adasiu z mamą takie śniadanie, zapytał po chwili lekarz.

— Dawniej jadałem, odpowiedział z dziecięcą szczerością, ale teraz tylko suchą bułkę. Czy prędko do mamy wrócimy?

— Nie tak prędko, zostaniesz kilka dni ze mną.

— A czy mama wie o tem, że tu ja zostanę tak długo?

— Wie, wie mój kochany Adasiu — gdy zjesz, obejrzyś sobie tę książkę z obrazkami.

Młody lekarz siadł przy biurku i zamyślił się. Straszna walka rozpoczęła się w nim. Czy ma on zadość uczynić wymaganiom kodeksu honoru i tego małego chłopczykę, którego oddała mu w opiekę umiarkująca matka, rzucić na pastwę niepewnych losów?... Nie, nie tego uczynić nie może. Niech ludzie go odtrąca, jako człowieka, który nie umiał bronić swego honoru — a wtedy będzie żył bez nich, będzie żył dla swego nowego obowiązku.

Po tem postanowieniu, które go wielu serdecznych kurezów i łez kosztowało, wziął pióro do ręki i zaczął pisać listy.

Napisał najprzód do tej, która w marzeniach dotychczasowych chciał sobie obrać za towarzyszkę życia, potem do najbliższych znajomych. Mówił w tych listach, że wyroku honorowego kodeksu wypełnić nie może, bo w ostatniej chwili stanął mu w drodze twardy, lecz święty obowiązek.

Na te listy nie odebrał żadnej odpowiedzi. Złowrogie milczenie było dla niego straszną odpowiedzią.

Na drugi dzień odwiedziło go wprawdzie kilku znajomych, którzy go o zaszyły wypadek wypytywali, ale z ich słów i twarzy widział ja-

sno, że temperatura ich serc spadła niżej zera. Obojętnie i zimno pożegnali się z nim.

Trzeciego dnia, gdy mały chłopczyk o matkę zapytał, powiedział mu, że matka dnieła na długo, bardzo długo, bo ją Pan Bóg powołał do siebie. Chłopczyk zapłakał rzewnie, jakby miał świadomość swego sieroctwa, rzucił mu się na szyję, jakby chciał szukać u niego tego ciepłego serca, przy jakim go matka często ogrzewała.

* * *

Od tego czasu rozpoczął młody lekarz nowy okres życia. Spostrzegł że znajomi unikają go, a na ulicy prawie nie widzą. Chciał im ulżyć w tej przykrej roli i cofnął się od wszystkich bliższych stosunków swoich. On miał już nie żyć, więc uznał sam siebie za nieboszczyka. Zerwał wszystko, co go dotąd wiązało, co go nęciło świetną w przyszłości karierą.

Do kółców tego nowego, niejako zagrobowego życia, przyłączały się z każdym dniem jeszcze nowe. Dawni jego pacjenci zaczęli usuwać się od niego — człowiek bez honoru nie miał teraz wstępu w progi dostatku i zamożności. A rozczarowanie to było tem bolesniejsze, że odbierało mu środki do zadośćuczynienia przyjętego, świętego obowiązku. Zmienił sterę, w której żył dotąd i przeniósł się do sfery ubóstwa. Wyprowadził się na odleglejsze przedmieście, a ubodzy rzemieślnicy i robotnicy przyjęli nowego swego doktora ciepłym sercem, ale najczęściej z próżnymi rękami. Zmniejszył się znacznie jego zarobek, ale położenie jego przynajmniej było znośne. Codziennie obiegał sutereny przedmieścia, wdrapywał się na poddasza, błądził po zapadłych ruderach, ale gdy wrócił do swego skromnego mieszkania, jasnowłosy Adas rzucał mu się na szyję, ścisnął go i całował, jak to niegdyś z matką się pieścił. Była to jedyna rozkosz potępionego zaochnie doktora Hipolita a ta rozkosz zdawała się wszystko wynagradzać. To też uczył go po całych wieczorach, a we dnie, gdy miał wolną chwilę, brał go za rękę i wychodził za miasto daleko, jak najdalej od ludzi.

Tak biegły lata. Znajomych dawnych prawie nie widział, a gdy kiedy przypadkiem którego z nich obaczył, to czytał na jego twarzy wyrok dla siebie: jesteś »bez honoru«. Spuszczał wtedy oczy w ziemię jak winowajca, i uciekał daleko, jak mógł najdalej. I zdawało mu się wtedy, że na każdej twarzy znanej, czy nieznaney, czyta ten sam wyrok, że każde spojrzenie rzucone na niego wypowiada ten sam wyrok!

I stał się dziwakiem dla tych, którzy go bliżej nie znali a nawet i dla tych, którzy go dawniej znali.

Dawni jego znajomi widywali go tylko czasem, gdy Adasia do szkoły lub ze szkoły odprowadzał.

I znowu mijały lata. Młody Adas wyrósł w młodzieńca, a opiekunowi jego pobielał włos na głowie, chociaż twarz jego była jeszcze młodą. Przygarbił się jak człowiek, który dźwiga ciężary, a nawet w ubiorze zaniedbał się.

— Dziwak! dziwak! mówiono za nim, gdy przechodził, ale on tego nie słyszał i nikogo nie widział.

Jedynym szczęściem dla niego był młody Adas. Stał się z niego młodzieniec dorodny, posiadał talenta i z wielkiem zamiłowaniem przykładał się do nauk. Doktor Hipolit z rokoszą wpatrywał się w niego, a serce jego rosło szczęściem, że obowiązku opiekuna i ojca tak świetnie wypełnił.

Właśnie zapisał Adasia na uniwersytet.

W pierwszych zaraz miesiącach posmutniał Adas. Wieczorami był zamysłony, a na odpowiedzi swego opiekuna nie odpowiadał. Doktor z niepokojem patrzył na niego.

Pewnego wieczora przyszedł Adas z twarzą wesołą. Uściskał i ucałował serdecznie swego opiekuna oświadczył mu, że może dzisiaj, ulżyć mu w trudach opieki.

Doktor Hipolit pobladł i spojrzął na niego z pewną trwogą. Młodzieniec uściskał go jeszcze raz i rzekł mu, że odtąd nie potrzebuje już łożyć na jego dalsze wychowanie, a skromny swój zarobek może obrócić na większe swoje wygody, mówił mu dalej, że uzyskał zajęcie, które mu już wystarczy do ukończenia uniwersytetu. Może już stać o własnych siłach!

Doktor Hipolit zbladł teraz jak maruur biały.

— Wiem, wiem, odpowiedział suchym głosem, jesteś człowiekiem honoru!... Dowiedziałeś się, że ten, który cię wychowywał jest — bez...

— Chcę tylko ulgę zrobić opiekunowi — zawołał młodzieniec — bo widzę, że opiekun wiele sobie odmawiać musisz!

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć, odpowiedział doktor Hipolit jakby nie swoim głosem jakiś zacny, poczciwy, honorowy... to mnie cieszy, bardzo cieszy! Dobranoc ci!

Uściskał serdecznie młodzieńca.

Wyszedł do swojej izdebki, i zamknął drzwi za sobą.

Adas nie mógł dobrze zrozumieć słów jego, ale przyzwyczajony do dziwacznych czasem wyrażań opiekuna, odszedł do swego pokoiku.

W nocy, przez sen, zdawało mu się, że w przyległym pokoju słyszy jakiś łoskot.

Zaświecił świecę — otworzył drzwi zwolna... i krzyknął w rozpacz.

Dogorywająca na stole świeca rzucała migocące światło...

Przy stoliku, jakby drzemał, siedział doktor Hipolit — w prawej, zwieszzonej ręce błyszczała jasna, świecąca broń...

Na zimnej, zastygłej twarzy był uśmiech zadowolenia.

Przed nim leżała karta papieru, a na nim były te słowa:

»Nie mogłem w swoim czasie spełnić na sobie wyroku, jaki mi honor i los nakazywały — bo przeszkodził mi święty obowiązek. Dla tego obowiązku musiałem żyć lat piętnaście bez honoru. Dzisiaj, gdy dla tego obowiązku stałem się niepotrzebny — spełniam dawny wyrok. Może ludzie zechcą przyznać, że nie schodzę z tego świata — bez honoru!«

PAMIĘCI JULIUSZA.

Literatura, nauka, sztuka, dziennikarstwo, wszystkie warstwy społeczne od księcia do kmiecia, wszystkie odcienie społeczne i polityczne społeczeństwa naszego przysłały w dniu 16. września r. b. przednich reprezentantów swoich do pięknej siedziby pp. Józefostwa Kościelskich w historycznym Miłosławiu, aby wespół z nimi wzięli udział w hołdzie dla jednej z najpromienniejszych gwiazd polskiego Parnasu, Juliusza Słowackiego, który dzięki iście magnackiej a patryotycznej ofiarności pp. Kościelskich pierwszy w swej ojczyźnie uzyskał pomnik jako widomy znak wdzięczności narodu. Pomnik ten stanął wprawdzie w miejscu, ogrodzonym murem parku od wiru i ruchu życia publicznego, ale taki los naszych ziomek w Księstwie, że nawet ich największe chwały i objawy żywotności muszą się kryć niejako na drugim planie życia. Na prywatnym gruncie szukać musiał przytułku pomnik Karola Marcinkowskiego, na prywatnym gruncie stoi w Poznaniu pomnik Hipolita Cegielskiego, gościnności łaskawej zawdzięcza miejsce istnienia pomnik Adama Mickiewicza w Poznaniu. Cóż więc dziwne, że nie na rynku w Miłosławiu, na widoku dla wielkich i małych, lecz w ustronnym parku stanął znów pomnik jednego z książąt naszej poezji...

Główny zastęp uczestników uroczystości przybył pociągiem nadzwyczajnym z Poznania i stanął w Miłosławiu około godziny dziesiątej rano. Przybyłych oczekiwało na dworcu kilkadziesiąt powózek, które długim sznurem zawiozły ich przed przylegający tuż do miasta wspaniały, nowo wybudowany pałac pp. Kościelskich. U stopni wechodowych uprzejmy gospodarz wraz z rodziną witał gości, którzy udali się do przepysznego przedsionka pałacowego, gdzie ich oczekiwały zakąski. Pół godziny później ruszył cały orszak gości w liczbie około trzystu do pobliskiego kościoła parafialnego, w którym odbyła się na intencję uroczystości msza solenna, odprawiona przez proboszcza miejscowego, ks. prałata Kuleszę. Podczas mszy chór śpiewaków Towarzystwa śpiewackiego »Halka« w Miłosławiu pięknie wykonał śpiewy.

Z kościoła udali się wszyscy do precudnego parku miłosławskiego na uroczystość odsłonięcia. Zachmurzone dotąd niebo poczęło się rozjaśniać, słońce zwycięsko przebiło się przez chmury i gorącym promieniem oblało jodły i dęby, zdobiące szerokim pasmem wzgórze, na którym za chwilę mieliśmy ujrzeć pomnik w całej jego świeżej okazałości. Uroczę dla niego miejsce wybrał artystyczny zmysł właściciela Miłosławia. Lekko wznoszący się pagórek otacza z trzech stron rozległa murawa, okolona zewsząd wspaniałymi dębami i jodłami, tworzącymi malownicze partye, poprzedzielane drogami o przepysnej perspektywie. Na wzgórzu pomnik, — nie, jeszcze nie, tylko wielka zasłona z napisem: »Z wami żyłem i cierpiałem«. Za nią kryło się jeszcze oku naszemu dzieło rylca Władysława Marcinkowskiego. Tuż obok widniała w zieleń i kobierce strojna mównica a w najbliższym sąsiedztwie

szumiał rozłożysty dąb pięćsetletni, tworząc konarami swemi rozległą, zieloną altanę. U stóp wzgórze półkolem stañli uczestnicy uroczystości, między nimi znaczny zastęp pañ; wszyscy w nastroju podniosłym.

Naraz z za pomnika z pośród drzew odzywa się hymn, sercu polskiemu drogi, pieśń naszych rycerskich przodków, »Boga Rodzico«, publiczność z odkrytą głową słuca podniosłych tonów, które ją unoszą myślą w odległą dal historyczną, promienną, pełną chwały.

Gdy pieśń przebrzmiała, wstąpił na mównicę książę Zdzisław Czartoryski z Sielca i zagał uroczystość odpowiednią przemową.

Na zakończenie rzekł znakomity mowca: »Nam, którzy tu pozostajemy, posąg Twój będzie marmurowym akordem pieśni narodowej, skamieniałym psalmem nadziei — a gdy czasami zwątpienie do serc naszych się wkradnie, wtedy przyjdziemy do stóp Twego pomnika i słuchając drzew miłosławskich pacierza, powtórzmy w duszy: »To Słowacki śpiewa a duch Boży słuca!«

W czasie tego przemówienia, wygłoszonego z wielką werwą, siłą, a wrodzoną swadą oratorską przemówienia, które przyjęło gorącym aplauzem, opadła zasłona — rozległ się strzał z armatki pałacowej i oczom zebranych ukazał się pomnik poety. Teraz ozwał się znowu śpiew chóru; książd prałat Kulesza, ubrany w szaty pontyfikalne, poświęcił ziemię w okół pomnika, a tymczasem na trybunie ukazał się — Henryk Sienkiewicz.

Gdy zaczął mówić, — wszystkie serca uderzyły żywiej pod wpływem silnego wrażenia; w zgromadzeniu zapanowała cisza uroczysta.

»Opatrzność, — rzekł on — tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie, dała im lwie i zarazem gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórnějších lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów.

Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: oto na domiar wszystkiego, daję wam spiż dzwieczny a niespożyty, taki, z jakiego ludy żyjące przed wami stawiały posągi swym bohaterom, daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą.

I wstała ta mowa, niespożyta jak spiż, świetna i drogocenna jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dzwieczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze spiżu uczynili ramy harfy, a ze złota nawiązali na nią struny — a wówczas poczęła śpiewać ta harfa polska i wyśfiewywać dawną chwałę, dawne boje, dawną wiarę, dawne życie. Czasem huczała jak grzmot w górach, czasem z jeremiaszowym jękiem unosiła się nad szarą roztoczą pól — błogosławiąca i błogosławiona, czysta jak ła, boża jak modlitwa — słodka jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do naszej harfy największy z mistrzów — Mickiewicz i położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie jeszcze dźwięki, jakich nie słyszano przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś »na niebios progu«, tak doskonała, tak prawie niezemska, iż wówczas nawet, gdy przestawał grać:

....wszystkim się zdawało
Ze wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało...

Echo serc naszych!

I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — i dawidowe hymny nadziei i łkanie człowieka za utraconem szczęściem — i wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił — i to jest ten, którego rysy widzicie wykute dłonią mistrza w marmurze.

»Lećcie u zorzy prosić purpury,
»Pereł u róży, szafiru u chmury,
»A może gdzie zawieszona
»Na niebie tęczowa nić,
»Tę tęczę wzięść na wrzeciona
»I wić i wić i wić!...«

Tak jest, On to czynił! On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających brylantów i obsypał i przyozdobił niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w nieznanym dotychczas przepychu, blasku i majestacie — niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i chyła się czoła, jak ongi przed harfą Derwida.

I oto część jego chwały, jego zasługi, jego wielkości.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą się pytały ze zdumieniem i podziwem, jak zdołał i mógł to uczynić.

A przecie uczynił!

Zdołał, bo poezja w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko umarłym na nic skarby i klejnoty. — Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej, co się ma najdroższego w ofierze — ta zaś królowa, którą on obdarzył, była i będzie nie tylko żywa, ale i nieśmiertelna!«

Wielkiemu pisarzowi przerywano częstemi oklaskami, każdy pozostawał pod urokiem czaru jego rzeźbionych słów, a gdy skończył, rozległ się z piersi wszystkich spontaniczny okrzyk: »Niech żyje Henryk Sienkiewicz!« Cała wdzięczność naszego społeczeństwa wyraża się w tym entuzjastycznym okrzyku za słowa o przedziwnym dźwięku

spiżu, za te myśli złote, których snop tak obfity autor rzucił nam na pokarm duchowy w swem krótkim, lecz pełnym poezji, prawdziwie wspaniałem przemówieniu, wreszcie za te wszystkie rozkosze duchowe, które autorowi »Trylogii« zawdzięczamy.

Przemawiali jeszcze: mecenas Spasowicz i profesor dr. Bronisław Dembiński ze Lwowa, poczem ruszyli wszyscy z powrotem do pałacu, który gościnne otworzył podwoje, aby po wspaniałej, duchowej biesiadzie, nakarmił i ciało jej uczestników... W przesłanicznie na salę stołową zamienionej oranżeryi i w umyślnie na cel wybudowanej hali zasiadło ich przeszło trzystu wśród obfitej zieleni girland, pnącego się nad głowami winogrodu i bukietów różnobarwnych kwiatów. Podczas uczyły odbywała się serdeczna wymiana uczuć między rodakami, zebranymi ze wszystkich ziem Polski, a krasily ją toasty niepospolitej piękności. Pierwszy przemawiał gościnny gospodarz p. Józef Kościelski, dziękując zebranym, że z bliska i daleka przybyli złożyć z nim razem hołd polskiemu wieszczowi. Błogosławił trudy, które tak piękne wydają owoce. Mianowicie też porwał wszystkich i uniósł na najwyższe szczyty ideałów toast Maryana Gawałowicza, pełen precudownych myśli, porównań i metafor o promieniejącym blasku i przepychu słowa.

Trudno tu przytaczać wszystkie złote myśli w koronkową formę ujęte w toastach innych mowców, jak Józefa Kotarbińskiego, Andrzeja Niemojowskiego na cześć twórcy pomnika, Władysława Marcinkowskiego, Włodzimierza Spasowicza na cześć dwóch najlepszych interpretatorów Słowackiego, którym lepsze rozumienie poety zawdzięczamy, Antoniego Małeckiego i Hössicka; dość wspomnieć, że one wytworzyły wśród biesiadników atmosferę górnych, przeczystych uczuć i że w jedno ognisko »zestrzeliły myśl i w jedno ognisko duchy«. Wytworzyła się owa »jedna harmonia«, o której z tak słusznym zadowoleniem mówił w swym toaście dziękczynnym gospodarz.

Uroczystość dobiegła do końca. Resztę czasu aż do odjazdu pociągu poświęcono zwiedzaniu wspaniałych apartamentów pałacowych i rozkosznych ustroni rozległego parku, albo też ożywionej pogadance towarzyskiej i literackiej; zbiegli z różnych stron Polski uczestnicy uroczystości odnawiali dawne znajomości lub zawierali nowe, a gdy nadzedł czas odjazdu, każdy podniesiony na duchu i z pokrzepionem sercem opuszczał gościnne progi domu państwa Kościelskich, dziękując im za ten dzień górnie przeżyty i żegnając myślą w posąg zaklęte oblicze boskiego Juliusza tam hen na wzgórzu wśród dębów i jodeł miłośławskiego parku.

* * *

Na zakończenie, niech mi wolno będzie dać niektóre objaśnienia co do samego pomnika. Pomnik, wykuty z tyrolskiego białego marmuru, o lekko popielatym odcieniu, opiera się na podstawie z szarego granitu szląskiego. Na tle zieleni, śmiałym ruchem wznosi się w górę słup w kształcie hermy, z której, w nierozzerwany z nią związek, na

wzór dawnych, starosłowiańskich pomników bóstw wychyla się biust Słowackiego. Choć rzyby są stylizowane, podobieństwo schwycone doskonale, a w martwy marmur umiał artysta miękkim uderzeniem dłuta techną ogromną siłę i prawdziwe natchnienie. Ten Słowacki patrzy i mówi:

Pieśń mą zostawiam wiekom, które mają
Potężne ręce i potężne głosy...

U dołu posągu otacza go ławka marmurowa: z jednej strony jej, na końcu, z białej urny wznosi ku górze ogniste swe języki złocisty płomień nieustającego nigdy znicza poezji, — z drugiej strony tuli się do posągu poety śliczna postać dziewczęca. Nogą wspiera się wprost o ziemię, jak gdyby chciał zaznaczyć ścisły związek między rodzinną glebą a bóstwem poezji, do którego garnie się owo dziewczę, wyobrażenie narodowej fantazji. Pod względem rzeźbiarskim postać ta jest sama dla siebie małym arcydziełem, chociaż pod względem kompozycji byłaby łatwiej zrozumiałą na pomniku n. p. Lenartowicza lub Bohdana Zaleskiego, niż właśnie Słowackiego. — Na cokole krótki lecz wymowny napis:

Juliuszowi.

* 1809 † 1849.

1899.

W całości, pomnik sprawia wrażenie bardzo miłe i sympatyczne.

A. B. D.



Pożegnanie Ojczyzny.

Z okiem krwawą łzą zamglonem,
Komu jeszcze łez zostało :
Idźmy, wolność zdobyć zgonem,
Idźmy, zgon nasz okryć chwałą !
Lecz nim kula pierś przewierci,
Nim z żył krwi strumieni bryzną :
Ci, co idą szukać śmierci,
Pozdrawiają Cię Ojczyzno !

Płaczem losu nie przemienim,
 Ni nas rady zbawią czyje;
 Człek nie w ziemię wrósł kamieniem,
 Nie dla siebie tylko żyje...

Bierzem z domu rozpacz nędzy,
 By dać wolność krwi spuścizną:
 Ci, co zginąć chcą coprędzej,
 Pozdrawiają Cię Ojczyzno!

My się boju nie ustraszym,
 Bo nam tęskno za mogiłą;
 Chętnie zginiem — byle naszym
 Dzieciom, po nas lepiej było!...

Lecz z ciał naszych, z krwi topieli,
 Bądź im Polsko w wolność żyzną!
 Ci, co zginąć zapragnęli,
 Pozdrawiają Cię Ojczyzno!

Żegna matka, drży jej ręka,
 Żona wyszła na bezdroże:
 Choć im z żalu serce pęka,
 »Idźcie — mówią — w imię Boże!«
 Pierzchły łzy na wiatru fali,
 Wkrótce w uszach kule gwizną:
 Ci, co wszystko pożegnali,
 Pozdrawiają Cię Ojczyzno!

Idźmy! — im nas prędzej zgniotą,
 Tem pospieszniej los zwyciężym;
 Żegnaj wdowo i sieroto,
 Bóg Ci będzie ojcem, mężem...
 Choć nim wolność z grobu wstanie,
 Nam się stopy w dół oślizną:
 Ci, co wierzą w zmartwychwstanie,
 Pozdrawiają Cię Ojczyzno!*



* Wiersz ten pełen siły i uczucia, nigdzie o ile wiemy, nie był dotąd drukowany. Kto jest jego autorem, również niewiadomo; to tylko pewna, że powstał w 1863 roku, a udzielony nam został przez p. Władysława Bełzę, który go z tych czasów zapamiętał.
Przyp. Red.

Inteligencya u roślin

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Dokończenie).

Pomiędzy strączkowemi istnieje roślina *Desmodium girans*, odkryta przez pannę Monsor w okolicach Daku w Bengalii; każdy jej liść składa się z trzech listków, z których największy jest umieszczony na końcu, a dwa małe na początku szypułki. Te ostatnie są prawie w nieustannym ruchu, odbywając go skokami jak skazówka sekundowa w zegarku: wtedy gdy jeden z tych listków podnosi się, drugi się zniża, a gdy ten zaczyna podnosić się, pierwszy opuszcza się na dół. Listki te robią czasami po sześćdziesiąt skoków na minutę. Wielki zaś listek porusza się to na prawo, to na lewo, lecz ruch jest ciągły i daleko powolniejszy w porównaniu do poruszeń bocznych listków. Ten ruch nieustanny jak we dnie tak i w nocy jest tem szybszym, im wyższa jest temperatura i wilgoć. Że ruchy rośliny są samowolne, widać już z tego, że są one to szybsze, to powolniejsze bez żadnej widocznej przyczyny. Gdy promienie słoneczne padają wprost na roślinę, lub gdy je skierujemy na nią za pomocą zwierciadła, cała roślina drży, jakby poruszając się z radości. Na groszku pachnącym można widzieć taki sam ruch liści i wąsików.

Pomiędzy roślinami są mięsożerne. Do tych należą bardzo dobrze zbadane *Dionea muchołówka*, *Rosiczka*, *Arania albena* (Brazylja). *Dionea* jest to niewielka roślina, żyjąca w błotnistych miejscach północnej Ameryki. Liście jej, ścielące się po ziemi, składają się z dwóch części, jednej zielonej, szerokiej i dodatku, utworzonego z dwóch różowego koloru klap, połączonych dość grubą błoną, jak zawiasem i pokrytych ostrymi kolcami. Na górnej powierzchni tych klap znajduje się kilka gruczołków, wydzielających płyn słodkawy i pachnący, który nęci owady. Gdy mucha usiądzie na liściu *Dionei*, roślina szybko zamyka swe klapy, krzyżując kolce i biedny owad staje się niewolnikiem rośliny. Im więcej mucha porusza się w swem więzieniu, tem mocniej drażni roślinę, tem silniej ścisną ją klapy, które otwierają się wtedy tylko, gdy ruch owadu skończy się razem z jego życiem, owad rozkłada się w cieczy wydzielanej przez roślinę i służy tej ostatniej za pokarm. Czyż można przypuścić nawet, żeby istota, nęcąca owad wydzielanym sokiem, chwytająca go i karmiąca się muchami, nie czuła tego i nie pojmowała co robi?

Rosiczka okrągłolistna, (*Drosera rotundifolia*), postępuje tak samo jak i poprzednia, tylko roślina łowi owady nie klapami lecz drobnymi mackami, które nachylają się nad owadem, jak tylko uwięźnie w lepkiem płynie, wydzielanym z gruczołów, umieszczonych na wierzchołku macków; płyn zaś ten jest podobny do soku żołądkowego zwierząt i trawi ciało schwytanego owadu, przyswajając je organizmowi ro-

śliny. Według opisu wiarogodnych podróżnych na wyspie Madagaskarze są wielkie drzewa mięsożerne.

Że każda roślina czuje i że ból zadany w jednym miejscu odczuwa cała roślina i reaguje na to, o tem można się przekonać z tego, że gdy obetniemy gałęzie z wierzchu, roślina będzie rozrastać w się szerz, gdy będziemy ucinąć boczne gałęzie, roślina będzie rosnać w górę, jednym słowem będzie okazywać reakcyę przeciwko skaleczeniu tworzeniem gałęzi na innem miejscu. Pozbawienie rośliny wszystkich liści sprowadza długie nieomaganie, a jeszcze częściej jej śmierć. Oczywiście więc, jeżeli roślina może zginąć po utracie wszystkich liści, to zapewne jest czuła i na oderwanie kilku liści.

W zimie 1858 roku, w ogrodzie botanicznym w Kiew w Anglii widziałem krzew winny, z którego jedna gałąź tylko była przez ogrodnika wpuszczona do oranżeryi. Wtedy gdy z powodu zimna część rośliny znajdująca się na zewnątrz była zupełnie naga, wprowadzona do oranżeryi pokryła się pięknymi i wielkimi liśćmi. Fakt ten można objaśnić tylko tem, że roślina czuje działanie ciepła na jedną część swoją i natychmiast posyła potrzebne jej soki, zaczerpnięte przez korzenie z ziemi.

Uszlachetnianie owoców przez obcinanie zbytnich gałęzi także świadczy, że każda zmiana, dokonana na roślinie, oddziaływa na cały jej organizm. Można by przytoczyć mnóstwo jeszcze dowodów, świadczących o czułości roślin, ale to rozszerzyłoby zbyt znacznie ten krótki nasz szkic.

Zwróćmy uwagę jeszcze na jedną właściwość, wspólną roślinom i zwierzętom. Każda roślina rośnie i rozwija się w pewnym klimacie: rośliny strefy północnej, przeniesione na południe, marnieją, lub zmieniają naturę swoją; rośliny ciepłego klimatu giną pod zimnem niebem północy, lub karłowacieją do niepoznania. Co ciekawsze, że krzew północy, przeniesiony na południe, puszcza liście i kwitnie zawsze współcześnie z rozwijaniem się swego gatunku na ziemi ojczystej. »Brzoza, powiada Mickiewicz w prelekyi d. 6 Maja 1842 r., to drzewo poetyczne stron naszych, posadzona w Szwajcaryi lub we Włoszech, długo na wiosnę stoi naga wśród zazieleniałych migdałów i kasztanów. Zauważano nawet, że wcześniejsze lub późniejsze ciepło pory roku nie działa na nią według przypadku w tych krajach, ale tak jak zachodzi pod rodzinnym niebem. Widać więc jak te mało ożywione jestestwa łączą wspólność ukryta«.

I wśród roślin, jak wśród zwierząt, odbywa się nieustanna walka o byt, silniejsze rośliny zagłuszają słabsze i rozwijają się ich kosztem.

Zaden jednak fakt nie ujawnia z taką oczywistością istnienia pewnej inteligencyi w roślinach jak dążenia jej do zachowania rodzaju. Ze wszystkich objawów życia rośliny niema ciekawszego i godniejszego uwagi nad zapłodnienie. Istnienie dwóch rodzajów kwiatów i dążenie ich do siebie było podpatrzone w końcu 17 wieku. Odkrycie to sprawiło niesłychane zdumienie i dowiodło raz jeszcze, że jedne i te same prawa istnieją dla zwierząt i roślin i że to co u zwierząt nazywamy instynktem, kieruje ruchami i czynnością roślin.

Gdy roślina dochodzi do pełnego rozwoju, wtenczas w niej jak u zwierząt, budzą się nowe, nieznanne dotychczas chęci i dążenia, które wnoszą niepokój w jej ciche istnienie. Roślina przestaje rozrastać się i pod wpływem wewnętrznych pobudek z zarodków liści wytwarza najpiękniejsze swe części — kwiaty, zawierające rodzajowe części rośliny — słupki, pręciki i pyłek zapładniający. W czasie kwitnienia w roślinie zachodzą zupełnie inne czynności chemiczne, aniżeli przedtem. Poprzednio roślina pochłaniała wodę i bezwodnik węglowy z powietrza — węgiel i wodę zmieniała we własne swe ciało, a wydzielała tlen. W czasie kwitnienia roślina staje się podobną do zwierzęcia, bo wydycha kwas węglowy i jak zwierzę wytwarza w sobie bardzo znaczne ciepło. Kwas węglowy roślina tworzy z cukru nagromadzonego w tkance komórkowej. Dla tego też rośliny, z których dobywamy cukier, powinny być zbierane przed kwitnieniem, bo w następnym okresie cukier znika z rośliny.

Rozwój ciepła u niektórych roślin w chwili kwitnienia i zapłodnienia jest nadzwyczajnie wielki. W kielichu colocasia odorata termometr wskazywał 43° C., wtedy gdy otaczające powietrze miało tylko 20° . To podnoszenie się temperatury można było porównać do febrы codziennej, bo w ciągu sześciu dni z kolei największe nasilenia ciepłoty przypadały zawsze pomiędzy 3 i 4 g. popołudniu. Termometr, włożony pod sklepienie licznych pręcików Victoria regia, wskazywał 22° C., wtedy gdy temperatura cieplarni wynosiła tylko 17° C.,

Niektóre rośliny przed kwitnięciem zupełnie zmieniają swój charakter. Na wystawie krajowej w 1894 roku znajdowała się Agawa, która od niepamiętnych lat rosła w oranżeryi botanicznego ogrodu we Lwowie bardzo powoli i nigdy nie kwitła. W czasie wystawy z grupy jej mięsistych liści wybiegła gruba łodyga, która zaczęła rosnać tak gwałtownie że codziennie podnosiła się prawie o stopę. Wyrósłszy do 20 stóp, agawa pokryła się pysznemi kwiatami. Gdy akt zapłodnienia skończył się, roślina jakby wycieńczona wykazaną energią osłabła i zginęła.

U pokrzyw, u morw i jaskrów pręciki są zgięte, lecz gdy chwila zapłodnienia następuje, pręciki prostują się a woreczek pyłkowy wyrzuca pyłek na znaczną odległość i zapładnia roślinę.

W kwiecie ruty, kapucynów, lilii, w chwili zapłodnienia każdy z licznych pręcików nachyla się do znamienia słupka, składa na nim pyłek zapładniający i wraca potem do pierwotnego położenia.

Przeciwnie u goździków, szlazów i passyjnych, (passiflorae), słupek w chwili, gdy dojdzie do zupełnej dojrzałości, nachyla swe znamie do jednego z pręcików, a otrzymawszy pyłek zapładniający wyprostowuje się, następnie schyla ku drugiemu, trzeciemu i t. d. U topolówki pręciki i słupek zbliżają się jeden do drugiego, widoczaie szukając się wzajemnie.

Rośliny, mające pręciki krótsze od słupka, schylają kwiat ku ziemi, aby pyłek zapładniający mógł upaść na znamie. Wiele z nich, (dzwonki, maki, cesarskie korony, agawy), natychmiast po zapłodnieniu podnoszą kwiat do góry jawnie wskazując, że poprzednie położenie było przyjęte jedynie dla tego, aby ułatwić akt zapłodnienia.

Nigdy jednak roślina nie wykazuje tyle, powiemy, dowcipu i sprytu, jak w tych razach, gdy warunki zapłodnienia są bardzo niekorzystne, a mianowicie gdy męskie i żeńskie kwiaty rosną oddzielnie, czy to na osobnych gałęziach, czy też na osobnych roślinach.

W Amerykańskim skrzyponie męskie i żeńskie kwiaty rosną na tej samej roślinie lecz na różnych gałęziach. Otóż gdy pyłek nasienny już dojrzeje, drzewo zbliża gałązki z kwiatami męskimi do gałązki z kwiatami żeńskimi i tym sposobem następuje zapłodnienie. Amerykańscy przyrodnicy piszą, że zapłodnienie następuje z pewnym szumem, podobnym do trzasku iskier elektrycznych, prawdopodobnie wskutek pęknięcia pylników. (Perthy).

Torebki rośliny słodkich wód prawie wszystkich krajów, umocowane na silnych korzeniach rozwijają się pod wodą. Pod liśćmi roślina posiada małe pęcherzyki napełnione płynem cięższym od wody, dla tego też liście te nie wypływają na powierzchnię. Lecz w chwili kwitnienia pęcherzyki pękają i roślina wypływa na wierzch, tu następuje zapłodnienie, po którym roślina znowu zanurza się pod wodę, aby tam dać dojrzeć ziarnom i posiać je w takim miejscu, gdzieby one mogły się rozwinąć.

Valisneria spiralis żyje w licznych towarzystwach w głębi rzek i kanałów południowej Francji, a szczególnie w Rodanie. Męskie i żeńskie kwiaty tej rośliny wyrastają na oddzielnych krzakach. Żeńskie kwiaty mieszczą się na końcu długiej łodygi, skręconej spiralnie. W chwili dojrzałości skręty łodygi odwijają się i kwiat żeński wypływa na powierzchnię wody. Kwiat męski przeciwnie, ma łodygę kwiatową bardzo krótką i nie mogącą wydłużyć się. Sam kwiat przedstawia się jako zebranie wielu kwiatków drobnych, posiadających pręciki i otoczonych z wierzchu przezroczystą pochewką. W chwili gdy kwiaty żeńskie pojawiają się na powierzchni wody, kwiat męski odrywa się od łodygi, wypływa na powierzchnię, błyszcząc na słońcu jak kupki drobnych perełek. Wtedy można widzieć, że kwiaty żeńskie znajdują się w pewnym niepokoju, zbliżają się do kwiatków męskich, na których pęka przezroczysta powłoka, a pyłek zapładniający, wylatując z pewną siłą z pochewki pokrywa kwiat żeński. Zapłodniony kwiatek zamyka koronę, ścisła pierścienie łodygi powoli i jak rusałka, zanurza się w głębinę wody, aby tam wychować potomstwo swoje.

Jeszcze dziwniejszem, jeszcze cudowniejszem jest zapłodnienie innej wodnej rośliny: tam kwiaty męskie i żeńskie znajdują się bardzo blisko lecz przegradza je woda. Męskie kwiaty nie mogą oderwać się jak u Valisneryi, żeńskie nie mogą nachylić kielicha jak mak, albo fuksya. Cóż obmyśliła przyroda dla ułatwienia zapłodnienia? Męski kwiat w chwili dojrzałości zaczyna wydzielać z siebie jakiś gaz, który tworzy nad nim bańkę, rozszerzającą się tak, że obejmuje kwiat żeński i męski ogólnem sklepieniem. Przezroczysta altana pomimo uderzenia fal i ciśnienia wody nie pęka. Pręciki z siłą wyrzucają pyłek zapładniający, który napełnia tę kryształową pokrywę i pada na znamie słupka. Jak tylko nastąpi zapłodnienie, gazowa bańka odrywa się od kwiatów,

wylatuje na powietrze i pęka. Kto powie, jaka siła utrzymywała lekkie gaz pod wodą tyle czasu, ile potrzeba było dla zapłodnienia kwiatu? Czasami męskie i żeńskie kwiaty znajdują się w wielkiem oddaleniu jedno od drugich, (konopie, chmiel, daktylowe palmy), w takich razach obowiązek zapłodnienia biorą na siebie wiatr i owady. Gdy w majową i czerwcową noc wicher leci przez ogrody i pola, poruszają się drzewa i trawki w ich cichym roślinnym śnie, drżą kwiatki, pękają pokrycia dojrzałego pyłku, który rozsypując się zapładnia kwiaty żeńskie, jeżeli się one znajdują na tym samym drzewie, lub na skrzydłach wiatru pędzi dalej, ścieląc się nad roślinami o samotnych, dziewiczych kwiatach. Wiatr jest powozem ślubnym, wiozącym narzeczonego do oczekującej go narzeczonej. Deszcz siarczysty, który pokrywa wody, pola i łąki — jest to tylko żółty pyłek kwiatowy.

Największą jednak zasługę w zapładnianiu roślin oddają owady: motyle, muszki, chrząszczyki i pszczoły, które szukając miodu, wytwarzanego przez rośliny u podstawy słupka, na swych ciułkach pokrytych włoskami przenoszą pyłek z męskich na żeńskie kwiatki.

Widzimy więc, że między roślinami i owadami, w czasie dojrzalności pierwszych, zawija się dziwny stosunek. Roślina nie mogąc wołać o pomoc, wydziela w najgłębszych częściach kielicha płyn cukrowy; który zapachem miodowym nęci owady i przyzywa je niejako do siebie. Któż nie widział, jak pszczoła gwałtownie wlatuje do kielicha kwiatów i jak się w nim kręci zbierając razem z nektarem dojrzały pyłek roślinny, który potem przenosi na samotne kwiaty żeńskie i tym sposobem pomaga do zapłodnienia. Fijołki, klematycy, topolówki i t. d. są zapładniane przez owady.

Rurkowaty kwiatek aristolochii wewnątrz jest pokryty małymi włoskami nachylonymi w stronę dna kielicha. Gdy kwiatek się rozwinię, wchodzi do środka muszki, szukając słodkiego napoju, lecz wyjść nazad nie mogą, bo nachylone i kolące włoski ich wstrzymują. Przestraszone owady rzucają się na wszystkie strony dopóki nie zdejmą całego pyłku z pręcików i nie przeniosą go na słupek. Gdy zapłodnienie nastąpi włoski przylegają do płatków kielicha i uwalniają więźniów.

W krajach podzwrotnikowych, oprócz owadów, rolę pośredników spełniają kolibry, szukając pokarmu w roślinach oddzielnopłciowych. Ptak — mucha zapuszcza swój cienki języczek w głąb kielicha i wysysa stamtąd miód. Mały, błyszczący czubek jego pokrywa się pyłkiem męskich kwiatów, który ptaszyna odnosi do kwiatów żeńskich i zapładnia je.

Po okresie zapłodnienia, w czasie którego widzimy zdumiewające objawy, świadczące o inteligentnem postępowaniu roślin, i o celowych ruchach, następuje czas spokoju: namiętne uniesienia ustępują miejsca staraniom macierzyńskim o należyte wychowanie płodu. Kwiat jeszcze niedawno świeży, jaśniejący najpiękniejszymi kolorami, traci barwę, więdnije, pręciki opadają, zaczyna natomiast rozwijać się ta część rośliny, w której utworzył się zarodek przyszłych pokoleń. Młodociane ziarenka roślina otacza puchem, plewką i zewnętrzną, grubszą osłoną.

Żadna matka nie zwraca większej uwagi na kolebkę swego dziecka. Victoria regia szerokimi liśćmi zakrywa miejsce, gdzie się odbywała tajemnica hymenu i powoli zanurza się do wody, żeby dać nasionom swym dojrzeć.

Dla dania potomstwu swemu jak najdogodniejszych warunków istnienia, niektóre rośliny udzielają nasionom swoim piórka, czubki, skrzydła, aby wiatr mógł je odnieść dalej i rozsiać na większej przestrzeni. Tak postępuje rumianek, cykorya, ocet, klony i t. d. Leśna balsamina po dojrzeniu ziaren z siłą wyrzuca je z pochewek i rozsiewa na wielkiej przestrzeni.

Manglie, rosnące przy błotnistych ujściach rzek podzwrotnikowych, odznaczają się szczególną pieczołowitością o byt swego potomstwa. Żeby roślina młoda mogła dobrze się utwierdzić w ziemi, matka nie zrzuca jej na ziemię, lecz pozostawia na sobie dopóty, aż ziarno wypuści korzonek, a ten ostatni wzmoćni się o tyle, że już może walczyć z wodą, która często zalewa otaczające błota.

Zabezpieczwszy istnienie potomstwa, jedne rośliny umierają, drugie odpoczywają czas dłuższy lub krótszy, prowadząc życie egoistyczne. Lecz zaledwie instykt macierzyński w nich się obudzi, znowu zaczynają okazywać te cudowne zdolności, które tylko co badaliśmy.

Ze wszystkich stworzeń obdarzonych życiem, żadne nie jest w stanie reprezentować ubiegłego czasu tak dokładnie jak wiekowe drzewa, których gałęzie cieniem swoim przykrywały tyle przeszłych pokoleń. Ogromne, spokojne drzewo ma w sobie coś tajemniczego, pociągającego i wzruszającego, bo przypomina ubiegłą przeszłość ojców naszych, własne nasze dziecinne lata, marzenia młodzieńcze i zawiedzione nadzieje. Wobec tych roślinnych olbrzymów naszych puszczy i lasów serce mięknie, bo one przypominają nam, czem byliśmy a czem jesteśmy. A gdy pochodnia życia zagaśnie, ciż sami starcy roślinni zostaną, żeby powiedzieć młodemu pokoleniu o tem, co poruszało ich ojców. Są drzewa żyjące tysiące lat. Potrzeba widzieć tych olbrzymów, aby pojąć to uczucie szacunku i poważania, jakie przejmuję człowieka, gdy stanie przed istotą, która należy do innej sfery lecz wzbudza w nim poczucie krótkości jego własnego życia. Wszyscy ci starcy w ciągu swego długiego życia nie przestawali tworzyć nowych gałęzi, liści, kwiatów i pamiętać o swoim potomstwie. Rozrastając się w przestrzeni i kąpiąc swe korony w oceanie powietrza, ogromnymi korzeniami przenikają w głąbie ziemi, wchodząc w stosunek z jej mineralnymi elementami.

Patrząc na te czcigodne stworzenia, gotowiśmy myśleć razem z Decandolem, że rośliny są to istoty więcej uprzywilejowane od nas, bo w porównaniu z nami są prawie nieśmiertelne i trudno przypuścić, żeby tak długie i czynne istnienie mogło przechodzić bez cierpień, radości i smutków, które Stwórca zapewne wplótł w ich życie tak, jak w życie innych stworzeń.

Tak więc widzieliśmy, że rośliny żywią się, poruszają w przestrzeni, walczą z różnemi przeciwnościami, dają organom swoim rozmaite położenia, płodzą się, zajmują potomstwem, jednym słowem postępują

jak i wszystkie inne organizmy żyjące, lecz czy mają jakie życie wewnętrzne? Czy mają swobodną wolę, pojmowanie swego bytu, czułość? Na to mogłyby dokładnie odpowiedzieć tylko same drzewa, tak jak my możemy sądzić o stanie uczuć innego człowieka jedynie z porównania z tem, cobyśmy sami czuli w tem położeniu. Sądząc jednak z objawów zewnętrznych, można powiedzieć, że wszystkie te przedmioty posiadają rośliny:

I tak, widzieliśmy, z jaką swobodą roślina rozrzuca swe gałęzie, liście i korzenie, przekonaliśmy się, że dla rośliny rosnać: znaczy działać, następnie, że rosnać w jednakowych warunkach, rośliny jednego rodzaju okazują różne temperamenta, jak się to dzieje pomiędzy zwierzętami. Dalej przekonaliśmy się, że roślina pojmuje swe istnienie, bo opiera się szkodliwym wpływom, a dąży bardzo mądrze do swego celu. Bezczyńność, przypisywana roślinom, okazuje się ogromną czynnością, gdy pomyślimy, że roślina z powietrza i z ziemi wydobywa nieorganiczne pierwiastki i zmienia je w organizm żyjący, daje mu piękną postać i pokrywa się kwiatami o cudownych barwach. W tej pracy, w tej walce z nieprzystającymi siłami natury musi w roślinie obudzić się poczucie swojej czynności, tem silniejsze, im walka ta jest żywszą, bo i my tem lepiej pojmujemy nasz byt, im walki staczone w życiu są cięższe.

Że roślina czuje, przekonaliśmy się widząc, jak ona reaguje przy najmniejszym zgwałceniu zwyczajów jej życia codziennego. W czasie kwitnięcia uczucie wewnętrzne rośliny, jakby wychodząc na zewnątrz, czarująco działa na nas samych, jak każdy z nas przekonał się na wiosnę, w czasie pokrywania się roślin kwiatami. Zapach, którym rośliny napełniają powietrze, czarujące kolory, którymi one błyszczą, ogólny obraz piękności i harmonii — jest to dotykalne wyrażenia szczęścia, które napełnia całą istotę rośliny. W tej chwili zdaje się, że rośliny są to najwięcej czułe i namiętne stworzenia. Dostyc jednego spojrzenia na tyśiące kwiatów pachnących jabłoni lub lipy, aby pojąć myśl naszą i utworzyć sobie pojęcie o sile uczucia, którego te istoty doznają w chwili ich miłości.

Po zapłodnieniu czynność rośliny przybiera charakter wysoki, w niej ujawnia się coś idealnego — to poświęcenie egoistycznych instynktów dla prac, które od niej potrzebuje potomstwo. Czyż wszystko to nie jest objawem wyższych zdolności roślin, których im odmawia zarozumiały człowiek?



Wspomnienia z Bayreuth.

Tegoroczne przedstawienia w Bayreucie wywołały tak sprzeczne sądy i zdania jak nigdy przedtem. Pochodzi to ztąd, iż urosła już nowa generacya, która początkowej świetności »Festspielów« niepamięta i ta sądzi po swojemu, wynosząc pod niebiosy zarówno przedstawienia tegoroczne i śpiewaków, jak kierownictwo artystyczne, (spoczywające właściwie w ręku Cosimy Wagner) i dyrygenturę przeważnie oddaną Siegfriedowi Wagnerowi. Zdania innych niechęcią nawet porównywać cyklu tegorocznego z dawniejszymi, a co do Siegfrieda, to zupełnie niedwuznacznie oceniają działalność jego, przyznając ogromną wyższość Richterowi, Mottlowi i innym dawniejszym, znakomitym dyrektorom. Więc koniec końcem, upadek Bayreuthu, powolny z roku na rok, staje się coraz bardziej widoczny.

Zewnętrzna strona obrazu niezmieniła się jednak. Miasto zachowało tę samą fizjonomję w czasie przedstawień co dawiej. Ten sam ruch na ulicach, w sklepach i hotelach; szczególnie wielkim popytem cieszą się fotografie artystek i artystów, nie szczędzących zresztą i autografów swoich. Życie zawsze drogie jest niesłychanie, a ceny zawsze stoją w nieproporcjonalnym stosunku do wszystkiego, co się za nie otrzymuje. Ruch na ulicy jest wielki i tworzy jak dawniej różnobarwną masę, złożoną z całej falangi cudzoziemców, pomiędzy których mieszają się skromni obywatele miejscowi. Publiczność nie wygląda odświętnie — ale nastrój ma odświętny. Każdy nosi na sobie charakter przybývającego umyślnie i tylko dla celów artystycznych. Nikt nie zajmuje się żadnymi ubocznymi sprawami, wypoczynki między jednym a drugim przedstawieniem odbywają się w zupełnym spokoju, każdy też przystępuje do przyjmowania muzyki należycie przygotowany i z należytem skupieniem ducha, a stąd właśnie wytwarza się ów nastrój uroczysty. Wprawdzie jakoś tego audytoryum dzisiejszego z gruntu jest inną, trzeba jednak dopiero przypatrzeć się bliżej tym masom, aby to dostatedz. Dawniej, co trzeci słuchacz przedstawiał jakąś powagę, jeżeli nie znakomitość niemiecką, co krok spotkać było można jakieś imię wybitne i ogólnie znane. Dziś, Bayreuth zalany jest cudzoziemcami, słyszy się ustawicznie język francuski i angielski, tak, że mimowolnie nasuwa się podejrzenie, czy też wielu z tych przejezdnych nie bawi w Bayreucie jedynie w celu zadośćuczynienia Baedekerowi i jego wskazówkom. Oczywiście też rzecz, że i owego podniosłego zapału dla sztuki »przyszłości«, przed jaką słuchacze niegdyś stawali, dziś już nie ma. Dziś, podziwiać się już daje tylko ów gmach pracy, wzniesiony przez Wagnera, a podziwowi temu nie towarzyszą ani natchnione okrzyki powitania, ani pobudka do walki dla zdobycia sztuce tej praw wobec świata całego. Muzyka Wagnerowska popularyzuje się z dniem każdym; świadomi jej celów i środków cudzoziemcy przybývają do Niemiec, aby jej wykonanie w samej świątyni usłyszeć; ale nie po nowość jadą — bo muzyka »przyszłości« zaczyna wchodzić już zupełnie w fazę tera-

źniejszości, a przy niesłuchanie szybkim postępie sztuki muzycznej, w niedługim czasie stać się może — przeszłością.

Czego jednak najwięcej brak obecnie w Bayreuth tym wszystkim, co go z lat dawnych pamiętają, to owych głów artystycznych, niepospolitych i jaśniejących chwałą, których sylwetki na tle tłumów tak wyraźnie się zarysowywały. Gdzież Nieman, Scaria, Plänk, Betz, Winkelman, gdzie panie Materna, Brandt i Malten, gdzie charakterystyczny profil Liszta, a nadewszystko gdzie mistrz sam? Część ich usunęła się od Bayreuthu, część przestała działać, a część w grobie spoczywa. Z pomiędzy dzisiejszych śpiewaków tylko pp. Van-Rooy (baryton) i Burgstaller (tenor) oraz panie Gulbranson i Schuman-Heink, zasłużyli na pochwały bezwzględne, o innych niepodobna mówić pochlebnie, bez licznych zastrzeżeń.

Pani Cosima Wagner, osoba niepospolitej inteligencji i energii, błędzi zbytnią miłością macierzyńską. Wysuwa na pierwszy plan swego syna Siegfrieda, z artystyczną szkodą przedstawień. Dość powiedzieć, że taki Hans Richter chodził sobie najspokojniej na przechadzkę, podczas gdy Siegfried dyrygował tetralogią Nibelungów. A młody spadkobierca imienia i fortuny mistrza z Bayreuth, jakkolwiek uzdolniony, jeszcze ani doświadczenia, ani powagi nie posiada. Dyrygowanie nie zawsze nie wszędzie i nie we wszystkiem idzie mu tak, jak wymaga tego tradycja wielkich kapelmistrzów, którzy przy tym pulpicie zasiadali. Z całej tetralogii tylko »Walkiria« poszła mu dobrze. Część jej trzecia, t. j. »Siegfried« pod każdym względem się nieudała.

Najświetniejszym było przedstawienie »Meistersingerów« pod dyktando Richtera, z Van-Royem w roli Hansa Sachsa. Tetralogia była dwa razy dawana »Parsywal« siedm razy. Ostatnie to dzieło Wagnera, jak wiadomo niewystawione dotychczas nigdzie prócz w Bayreuth, dobiegło w tym roku cyfry 99 przedstawień, wskutek czego setne przedstawienie dane będzie w roku 1901 t. j. podczas 25 letniego jubileuszu założenia tej świątyni Wagnerowskiej.

Zresztą, obok przedstawień operowych, kronika artystyczna ma do zanotowania jeszcze obchód rocznicy zgonu Franciszka Liszta, zmarłego tu przed czterema laty. Obchód ten odbył się w gronie familijnem, a tylko najwybitniejsi artyści, zaproszeni byli do współdziałania w nim. Wykonywano oczywiście tylko utwory Liszta, największe zaś wrażenie sprawiła z pomiędzy nich kompozycja »Po czytaniu Dantego« odegrana przez pianistę Pohlinga.

W końcu, wspomnieć jeszcze należy i o humorystycznym intermezzo (a raczej introdukeyi), wydarzonem zaraz na pierwszym przedstawieniu, mianowicie o walce wydanej płci pięknej przez płęć brzydka z powodu kapeluszy zbyt rozłożystych. Z walki tej oczywiście zakończoną zupełną klęską kapeluszy, najciekawszem było to, że odbyła się ona w ciągu jednego antraktu i że jak się okazało na sto kobiet obecnych przypadało 70 amerykańek; bo one to w drodze protestu chciały się utrzymać przy kapeluszach, lecz mimo tak znacznej większości poddać się musiały. (+)

NOTATKI Z KRAKOWA.

Wbrew przyjętym zwyczajom i utartemu szablonowi zaczynam dziś od teatru. A jest o czem pisać! Stara prawda, iż nawet geniusza można zastąpić, stwierdza się wierutnie w czasie nowych rządów sceny krakowskiej. Ubył Pawlikowski, nastąpił Kotarbiński a jednak, jeśli po sześciu tygodniach kierownictwa nowej dyrekcji nie wolno jeszcze dziś powiedzieć, iż jest lepiej, to z drugiej strony nie ma tu nikogo, kto by się ośmielił zauważyć, że jest gorzej — czyli, że zadowolenie jest ogólne. Pod wyrazem »ogólne« rozumieć należy zadowolenie publiczności, prasy i aktorów. Pierwsza, dosłownie zamęczona lokalnym modernizmem, sztucznie na grunt tutejszy przeszczepionym, oddecha i chwali sobie, że po bliskorocznych »wstrzykiwaniach« chorobliwych fantazyj, wreszcie czasem może się zaśmiać. To dużo, wierzajcie mi, to bardzo dużo, dowodem lżejszej natury utwory, na których rozbawiona publiczność wypełnia widownię. Mieliśmy tu bowiem w tym rodzaju przedstawienia niemniej jak i poważne albo wyłącznie patryotyczne, na których kasa teatralna już na kilka godzin przed widowiskiem była zamknięta. Prasa codzienna, to fotografia tego, co każde miasto przeżywa, chorem więc oceny pism miejscowych jak i korespondencye dzienników warszawskich i poznańskich podnoszą dzielne kierownictwo artystyczne, rutynowaną reżyserję, wyśmienitą wystawę, czyli w ogóle rękę wprawną. Aktorowie, wiadomo *irritable genus*, przeważnie zawsze do malkontentów należące, o ile rzecz tę można zbadać, są, jak do tej pory, zachwyceni nowym dyrektorem, nieszczędzącym im w żadnym kierunku zachęty i poparcia.

Na dowód, że powyższe pochwały dla nowej dyrekcji nie są przesadne, podaję tu nowości, jakie się do tej pory na scenie ukazały.

A więc zapoczątkowała nową erę i sezon w d. 26 sierpnia b. r. »Złota czaszka« arcydzieło Słowackiego, niestety nieskończone, wystawione z pietyzmem, który daje przedsmak, jak będą obecnie traktowane utwory swojskie. Nie mniejszą gorliwością w wystawie odznaczała się »Matka Polka«, utwór średniej wartości, który jednak przez każdą dyrekcję teatru polskiego przedstawiony być powinien, następnie »Fraszowiec«, rzecz odszczególniona na konkursie *Kuryera warszawskiego* w roku zeszłym, oraz wznowienie »Zaczarowanego Koła« Rydla i »Tamtego« Zapolskiej. Dziwny magnes posiadają obie ostatnie sztuki. Pierwsza w niespełna pół roku: dwadzieścia, druga w kilkunastu miesiącach czterdzieści razy zapełniła amfiteatr. To wymowne! Z komedyi tłómaczonych grano »Zazę« i »Anonimy«, arcywesołą farsę z francuskiego. W całym słowa znaczeniu wspaniałem było przedstawienie urządzone przez dyrekcję teatru na cześć uczestników zjazdu dziennikarzy słowiańskich. »Dyogenes w beczce« Vrchlicky'ego, pierwszy akt »Mazepy« z stylowym polonezem, wyśmienicie przez artystów z dyrektorem na czele odtańczonym w świetnych kostymach i »Przysięga« z »Kościuszki pod Raclawicami« wypełniły widowisko, które na pobratymcach naszych, jak mi to wielu z nich mówiło, nadzwyczajnie zrobiło wrażenie.

Po za teatrem ruchliwa zawsze dyrekeya Towarzystwa Sztuk Pięknych urządziła wystawę dwudziestu kilku płócien Oskara Rexa, usiłującego w nich dać odbitkę życia Napoleona I. Niestety podobno wybitnych zdolności artysta tak znawców jak i profanów zawiódł całkowicie, o czem zresztą przekonacie się we Lwowie, dokąd obrazy te wysłano.

Miał tu Kraków jeszcze jedną wystawę a mianowicie tak dziś modnych kart korespondencyjnych z widokami. Gdy sztuka zastosowana do przemysłu na tej prawdziwej epidemii nikomu nieszkodliwej, wiele zyskuje, przemysł ten zasługuje na poparcie, zwłaszcza, gdy wystawa była wyłącznie słowiańską. Niewymownie miłą jest rzeczą stwierdzić, że karty malowane przez naszych artystów bezsprzecznie należały do najlepszych. Zastrzegam się, iż w zdaniu tem nie ma zupełnie szowinizmu!

Kazimierz Czapelski.

Kraków 26. września 1899.



MALARSTWO.

Władysław Wankie. Jest w nim, jak w wielu z nich, coś z dziecka, którego naiwnym umysłem łatwo jeszcze można kierować, ale jest w tem dziecku wielki upor i stałość woli także, którejby nikt zgiać, ni zmienić nie mógł. Jest dzieckiem w kwestyach dnia codziennego, w sądach o ludziach, w interesach, w teoryach społecznych, we wszystkim, co z tamtej strony sztuki; ale jest dojrzałym, i zrównoważonym i surowym sędzią we wszystkich rzeczach, które jego są, to jest sztuki dotykają. Pogardy dla rzemieślników pędzla, dla dostawców zawodowych, Kunsthaendlerów, dla rycerzy reklamy nie złagodziłby mu nawet jego ideał, Rembrandt, gdyby z grobu wstał; jego rozsądzania dzieł sztuki na ordynarne i wykwinne nie oduczylby go ani Boeklin, którego południowym sentymentem tak się przejął, jego czci i zmysłu dla stylu i stylowości w sztuce nie odebrałby mu żaden estetyk, żonglerujący najbardziej przekonywującymi frazesami. O ile proteuszowo zmienia zapatrywania in rebus publicis, społecznych, o tyle jak zbrojny rycerz stoi niezachwiany, nieubłagany przed podwojami czystej sztuki, nie wpuszczając za podwoje żadnego, w którego piersi nie płonie szczerzy entuzjazm, kto nie ma rąk czystych jak woda źródłana i kto nie niesie świadectwa głębokiej kultury estetycznej. Mimo to Wankie jest jeszcze mniej surowym

sędzią względem innych, niż dla siebie samego. Względem siebie jest kamiennego serca cenzorem, co sprawia, że w świat, w rynki malarskie, na wystawy, między ludzi, puszcza tylko rzeczy skończone, wydoskonalone, co dalej jest przyczyną tego, że w kraju nie jest szeroko znanym, a na swoje wykwinne prace amatorów wykwinnych znajduje... w Ameryce.

Władysław Wankie za wysokie ma pojęcie o posłannictwie sztuki i artystów, aby w swej ojczyźnie w młodym wieku mógł być prorokiem, czy mistrzem, za etycznym jest, aby mimo kapłańskie pojęcie zniżał się do niveau przeciętnych apetytów, zyskiwał popularność kompromisem z wszechmożnym gustem a zanadto znowu jest artystą z głębin duszy i z przyrodzonego musu, zanadto wiele chce i może powiedzieć, aby mógł rzucić paletą o ziemię, albo w końcu wykreślić z swej duszy idealny popęd do pracy dla swego, naszego społeczeństwa.

Wankie tylko od wielu lat jest smutnym pessimistą, sceptycznie słucho tyrad o artystycznym zapotrzebowaniu społeczeństwa, o pracy dla swoich i t. p., w kraju nie znajduje wielu nabywców, ani pochlebnych wzmianek i pracuje, maluje dla dobra sztuki i... Amerykanów.

Wankie jest Warszawianinem, co nie znaczy zaraz, aby malował tylko dla satysfakcyi pięknych pań i sympatycznych reporterów, gdyż ostatecznie można być Warszawianinem i mieć szeroki, nie tylko salonowy pogląd na rzeczy sztuki. Studyował w Warszawie pod Wojciechem Gersonem i Alexandrem Kamińskim poczem pod Matejką w Krakowie. Od Matejki wziął chyba podniosłe pojęcie o uczciwości artystycznej, pogardę aktualności, tryumfów dnia i upor w pracy. W Monachjum studjuje u Wagnera, gdzie wtedy właśnie wielu Polaków odbierało artystyczne bierzmowanie, poczem opuszcza szkołę rutyny a zapisuje się do szkoły natury, gdzie znajduje już pod duchowem przewodem Gierymskiego kilku podobnie autodydaktycznie studyujących artystów jak Wł. Tetmajera, Siekierza, Szymanowskiego, Grocholskiego. Majster Gierymski był właśnie w epoce płodnego rozkwitu i wywarł na otoczenie niezwykle wpływ jako genialna organizacya artystyczna i jako indywidualność duchowa dziwnym tajemnicznym czarem, jaki szedł od jego osoby. Wirtuoz efektów światła, pierwszorzędnym luminista wpłynął u Wankiego szczególnie na pewną forszę kolorystyczną, na naświetlenie efektów świetlnych. Jeśli zaś dodam że Wankie równocześnie poznał, odczuł i zagłębił się w potędze barw Boecklina, że wchłonał w siebie jego włoski, panteistyczny spokój, ukochał poezję jego pejzażu i zmysłową siłę jego figur, łatwo zrozumieć, w jaki sposób przyszedł do indywidualnego creda malarza, że artysta świat swych myśli poetycznych t. j. formę ich zmysłową wyrazić może tylko barwą. Obok Boecklina, Bastien Lepage, obok pejzażów tego ostatniego studia szczegółowe nad Rembrandtem, następnie wojaże artystyczne, następnie angielscy reformatorzy, wnoszący naiwny czar przedrafaelowych prymitywów pędzla, poczem studia tychże samych preraphaelitów, szczególnie Botticellego dopełniły autodydaktycznego przygotowania techniki Wankiego. Długo czas zużywał i porządkował młody artysta to, co zło-



Władysław Wanke w swojej pracowni.

biło się z mistrzów w jego fantazyi i w umyśle, widział wiele, odczuł wszystko, męźniał, odosabniał się, zrzucił reminiscencye i Anglików i wiotkich, przeginających się w licznych fałdach aniołów włoskich i obcego mu zresztą światu bajki Boeklina, zwarł się, skupił w sobie i stawał sam. Rozmiłowanie się w barwnej obrazowości Słowackiego i exerecyce techniczne w malowaniu pejzażów morskich z Nordsee dopomogły mu jeszcze. I po latach *eklektycznie* wyrobił sobie swój *indywidualny*, własny styl, a z fantazyi jego wyłonił się jego własny świat, którego realizacye na płótnie wystawiane w Berlinie, w Wiedniu także w Warszawie i Krakowie zwracały zawsze uwagę tych, którzy w dziełach sztuki poza techniką szukają podmuchu poezyi, a poza poezią duszy.

Trzeba tu jeszcze zwrócić uwagę na drobną okoliczność, która jest kamieniem młyńskim Ikarów, a ludzie zwią ją pracą na chleb powszedni. Więc i Wł. Wankie malował najpierw panoramę *Tatry* z Janowskim, Axentowiczem, Radziejowskim i śp. Bolerem, poczem panoramę *Millenium* w Peszcie z prof. Eysenhutem, z malarzami Uywarym, Vago-Palem i Rozwadowskim. Rzecz wyjątkowa, prace te grubej techniki, swawolnego prowadzenia pędzla i popularnej tendencyi nie tylko nie podziały szkodliwie na subtelną organizacyę artysty, ale przeciwnie wykształciły jego zmysł do dekoratywnej kompozycyi, do dekoratywnego traktowania szczegółów. W jego obrazach zupełnie harmonijnie łączy się subtelny nastrój uduchowionych, lotnych pomysłów z formą choć udoskonaloną ale zbyt szeroko, łatwo czasem pojętą. Jego obrazy to : *Wiosna*, *Samotny*, *Pożegnanie*, *Marabut myśliciei*, *Przed burzą*, *Kyrie Eleison*, *Za murem cementarnym*, *Nędza idzie*, *Evoc vita*, *Zakłęta*, *Madonna leśna*, *Gwiazda zaranna*, *Stella di mare*. Już z tytułów chyba przyświeca coś z treści nastroju i smutku duszy artysty. Błękitny cień melancholii leży na tych wszystkich płótnach porozrzucanych w polskim Manchesterze, w Łodzi, u hr. Michała Tyszkiewicza, na dalekim świecie, to jeszcze na studiach w pracowni artysty. Dużo nastroju nieuchwytnego, z trudem definiującego się w tych tęsknych pejzażach o zamglonym, niksującym daleko horyzoncie, gdzie na tle spokojnego, modrego, naszego nieba rysują się niespokojne kontury topoli o poskręcanych gałęziach i o jesiennem, różnobarwnem listowiu. Kraj swej wyobraźni zaludnił on wiotkimi kobietami, przysłoniętymi czasem lekkim, jak podmuch wiatru welonem; czasem kobiety te idą naprzeciw wschodzącej jutrzeńki po zimnej rosie jeszcze, harmonijne, powiewne, dumne w swej nagości, jakby świadome dystygowanej i doskonałej karnacyi ciała, czasem stoją u jakichś tajemnych źródeł, gdzie białe jak śnieg gołębie piją wodę, czasem rwą gałęzie upstrzone nieznanem kwieciem i bawią się nimi z łabędziami, leniwie sunącymi po srebrnej tafli jeziora, gdzie-niegdzie rozczesują rudo złote warkocze i rozpuszczają je na puszystą, zieloną trawę; to znowu zmienione w jakieś rusałczane dziwa bawią się pianą wodną i węzowymi ogonami biją w piasek, lub zmęczone lubieżną igraszką w ciemno-zielonej fali siadają na przywodnych głazach i patrzą tęsknie w dal... Pogańskie jakieś próżniactwo i senne,



WŁ. WANKIE: Marabut myśliciel.

łaskne używanie cudów przyrody panują w tym świecie obok jakiegoś smutku, zakłętego w tych zagajnikach, koło tych stawisk, w grupach tych topol polskich. A ten cichy, łagodny smutek, spotegowany dopiero tam, gdzie na tle jego daje Wankie swoje pojęcie, symbol bóstwa, obraz Matki Boskiej, jak w Madonnie leśnej, w Stella di mare. Tu już natura ukoła, uciszyła się zupełnie, jak pod wieczór, kiedy na Anioł Pański dzwony dzwonią, wszystko w przedśnie czeka, ani drgnie, marzy i wtedy na jakiejś wijącej się ścieżce nad rzeką, albo nad jakimś serńnem jeziorem, albo na kanwie gęstych liści wiosennych daje on wizję raczej niż obraz, coś co z niewolniczym szematem nie a nie nie ma wspólnego, daje on swoje niezwykle czyste, nadzmysłowe, poetyczne pojęcie Niepokalanie Poczętej. Jego chef d'oeuvre, to wysoki przydrożny krucyfix z Zbawicielem, wśród dwóch wysokich, melancholijnych topoli, u którego stóp kłęczy oparta czołem o drzewo Krzyża zgięta, jakby przygnieciona cierpieniem, splakana chłopka.

Jego oeuvre de l'ame, to czarownica-nędza z fosforyzującym, złem okiem, która oparta na sękatym kiju wychodzi z swej ciemnej, strasznej ziemi ostów i głogów pewnego ciemnego wieczora w świat.

Idzie potworna, zła nędza, jędza, staruszka...

Adolf Nowaczyński-Neuwert.



M U Z Y K A.

Z chwili bieżącej. Nigdy może świat muzyczny, lwowski, nie był tak gorąco zajęty kwestją jakąś, nigdy się tak ostro nie spierał i z taką zaciętością nie walczył, jak w chwili obecnej. Niema już mowy o kandydatach konkursu, bo z liczby 31 usunięto dwudziestu siedmiu jako cudzoziemców, (poco właściwie wzywał ich konkurs?), a z czterech polaków po cofnięciu się p. Jareckiego pozostali tylko pp. Melcer, Słomkowski i Sołtys. Ponieważ Wydział Tow. muz. głosował na posiedzeniu dnia 28. września tylko za p. Melcerem i Sołtysem i większością głosów, (7 przeciw 6), wybrał p. Melcera; ponieważ dalej i opinia profesorów rozdzieliła się ostatecznie tylko pomiędzy dwóch, (za Sołtysem 10 głosów, za Melcerem 9), przeto na ustach wszystkich zajmujących się tą sprawą są tylko ci dwaj muzycy: Melcer i Sołtys. Przed Walne zgromadzenie według brzmienia §. 26 h) statutów ma być podany do przyjęcia kandydat Wydziału p. Henryk Melcer, gdyby jednak i mniej-

szość uzyskała votum, to i na walnem zgromadzeniu wybór odbyłby się tylko między tymi dwoma kandydatami.

Łatwo tedy zrozumieć obustronną agitację i nie można jej mieć za złe nikomu. Przeciwnie nawet, zajęcie się to sprawami Towarzystwa gorętsze niż zwykle, uważać możnaby za objaw dobry, a gdyby się miało ono rozciągnąć istotnie i na dalsze losy Towarzystwa, po załatwieniu kwestyi dyrektury — to nawet za objaw bardzo dobry. Do zarzucenia tylko byłyby w agitacyi niektóre środki, jakimi się posługują przeciwnicy. Zarzut ten w szczególności dotyka przeciwników p. Melcera. Gdy bowiem p. Sołtysa nietknięto zupełnie w całej tej walce — to p. Melcer został obrzucony prawdziwie po lwowsku napaściami i oszczerstwami bez granic. Sypią się przeciw niemu broszury i artykuły drukowane, rozchodzą się ustnie plotki i kalumnie. A wszystko anonimowo, chyłkiem, potajemnie... W tem samym leży już charakterystyka stron walczących tak bijąco w oczy, że nie mamy co dłużej mówić o całej tej agitacyi.

Zwolennicy p. Melcera traktują całą sprawę bez porównania spokojniej; ufni w to, że wyższość artystyczna ich kandydata, uznana i nie podlegająca żadnej kwestyi, (nawet w oczach przeciwników), musi w końcu zwyciężyć. Zastępy więc ich zwiększają się, zwłaszcza zaś w miarę, jak napaści rzucane przez partję przeciwną zaczynają przekraczać granice przyzwoitości i dochodzić do absurdu.

Bardzo szlachetnym objawem w przebiegu całej sprawy, jest zachowanie się jednego z kandydatów — p. Słomkowskiego. Oświadczył on w piśmie wystosowanem do Wydziału, iż wobec wyboru, dokonanego przez Wydział, staje on po stronie p. Melcera a za nim ci profesorowie, co głos swój pierwotnie oddali p. Słomkowskiemu. Do nich przyłączyli się jeszcze dwaj profesorowie, którzy na zebraniu grona nauczycieli nie głosowali. W ten sposób p. Melcer ma dziś za sobą dziewięć głosów profesorskich, co nawet ilościowo prawie wyrównywa się z partją przeciwną, działającą zresztą, jak to dziś na pewne wiadomo, pod wpływem podszeptów osób nieprzychylnych Melcerowi.

Spodziewać się tedy należy pomyślnego zakończenia sprawy, której rozwlekły przebieg do tego stopnia tamuje wszelki właściwy ruch muzyczny, że rocznica śmierci największego muzyka polskiego Fr. Chopina, gotowa jeszcze zastać walkę, zamiast żeby wszystkie żywiły w zgodzie i w miłości uczcić ją miały wspólną daniną artystyczną. Spodziewać się należy, że nie dopuścimy do tego, aby artysta tej miary, co p. Henryk Melcer, miał Lwów opuszczać idąc śladem tych, których wygryzła tutejsza prowincjonalna małostkowość, rzucająca się z zawiścią zawsze na wszystkich, co chcą i umieją coś zdziałać. Oby ożywienie to ogólne, wywołane przez walkę, zdołało się przenieść jak najrychlej na pole pracy dla sztuki! Wszak dla niej to jedynie pragniemy na stanowisko tak wybitne p. Henryka Melcera, jego wielkich zdolności, jego polotu, jego ducha inicjatywy i jego młodzieńczej energii!

Bo fałszywą jest zasada, głoszona przez niejednych, że u nas dyrektor powinien być administratorem, dyplomata i Bóg wie czem. Szkoda, że nie powiedzą tego, co na dnie duszy myślą, — filistrem!...

Dość rzucić tylko okiem na historię konserwatoryów włoskich, francuskich i niemieckich a łatwo przekonać się można, że rozkwit zawsze przypada na chwilę, kiedy jakiś wielki muzyk potęgą swoją pociągnie tłumy, wykrzesze z nich zapał i talenty wydobędzie. Wystarczy nam zacytować Mendelssohna i jego działalność w Lipsku lub Rubinsteina i jego wpływ na konserwatorium w Petersburgu. Otóż i u nas, gdzie dla administracji jest Wydział i płatny urzędnik, gdzie zresztą stosunki nie są zbyt trudne do ułożenia, nie administratora potrzeba, ale siły o szerokim horyzoncie i aspiracjach wyższych.

Tak jest, nam potrzeba artysty, artysty i jeszcze raz artysty!...

St. Niewiadomski.

Operetka. Po wznowionym z prawdziwym powodzeniem »Orfeuszu w piekle« i »Nocy w Wenecyi« dała nam dyrekcya teatru nowość z Wiednia sprowadzoną, operetkę Heubergera »Ekscellencya«. Nowość ta przeszła bez powodzenia, czemu niepodobna się dziwić, gdyż jestto rzecz bardzo słaba; rzecz, która w hierarchii operetkowej mimo swego wspaniałego tytułu, nawet stanowisku najskromniejszego szeregowca nie odpowiada. Godną uwagi jest tu ta okoliczność, że kompozytor pragnie koniecznie napisać coś lepszego niż powszednie utwory operetkowe, na zawadzie stoi mu jednak nietylko brak inwencji, ale i brak smaku. Umieszcza najniewłaściwiej zwroty polyfoniczne, połączenia tematów niezręczne i źle brzmiące, instrumentowane ciężko i nieładnie. A wszystko to wchodzi w rażącą sprzeczność z lekką treścią operetki, osnutą na znanej z swej przezroczystości farsie: Niniche. Mimo starań artystów pp. Kliszewskiej, Kasprowiczowej, Schupówny i Miłowskiej oraz pp. Boguckiego, Malawskiego, Myszkowskiego, Kiczmana i innych; mimo pięknej wystawy i tańców, publiczność opuszczała »Ekscellencyę« z przekonaniem, że Niniche najniepotrzebniej wdała się w stosunek z p. Heubergerem. (n).

Z Warszawy. Muzyka nasza we wrześniu — to znaczy repertuar gmachu po-cyrkowego lub Doliny Szwajcarskiej, jako jedynych pod tę porę siedlisk Muzy, obdzielać nas mogących wrażeniami artystycznymi. Wprawdzie jest jeszcze teatr Nowy, niekiedy muzykują też i przybytki ogródkowe, ale pierwszy pomiędzy farsą »kuje« obecnie »żelazo póki gorące«, a żelazem tem dlań Lalka, o której wspominałem poprzednio, (dobięła już 50. przedstawień), przygodną zaś i traktowaną, Boże zmiłuj się, muzykę ogródków, lepiej podobno zbyć miłzeniem.

W danej chwili, na przednowku — że tak powiem — sezonu, mamy muzyki jeszcze mniej, ponieważ zamknęły się już podwoje cyrkowe w d. 12. b. m., t. j. gdy teatr lwowski zakończył swoją gościnę. A kończył ją wśród ruchliwości repertuarowej, będącej niejako przeglądem wystawionych w tym i weszłym roku utworów; jakoż przesuwają się codziennie, jak w kalejdoskopie, grywane najczęściej, a między ope-

retkami znalazło się i parę oper: Halka, Powrót Taty Jareckiego, Opowieści Hoffmanna, Jaś i Małgosia. Operę Humperdinka oraz Halkę dawano na przedstawieniach świątecznych, popołudniowych, zawsze przy natłoku w sali, który sprowadzała zarówno myśl dobra, jak wybór rzeczy i... obniżone ceny. Czy powodzeniu materialnemu dorównywało artystyczne? — nie sędzę, zwłaszcza co do Halki. Wykonana miernie, nastreżała zarzuty na każdym niemal punkcie, — bo i pod względem »fantazyjnej dowolności«, zastępującej jedność stylu, ducha, wykończenia i kit w zespole ogólnym i temp rozwlekłych, i orkiestry fuserującej, niezgodnej a raczej zgodnej na pierwszych tylko częściach taktu, i arlekinady jakiejś p. Solnickiego w mazurze i wreszcie pod względem obsadzenia partyj głównych. Muzykalna i rutynowana p. Kasprowiczowa — jako Halka, mimo iż dopisywał jej głos, (z wyjątkiem nut najwyższych) i korzystniej wydawał się tu niż w śpiewkach operetkowych, — nie zdołała utrzymać się w charakterze postaci; zawiele chwiejności, afektacyi, zawiele było w niej nawyknień z operetki, Jontka usiłował wyśpiewać p. Maławski, lecz ani go śpiewać może, ani powinien. P. Bohussówna dobrą byłaby Zofią, gdyby jej nie przeculiła a unikała w grze takich niewłaściwości, jak np. stanianie się w objęcia Janusza wobec ojca, przed błogosławieństwem tegoż (akt I.). Za Janusza chwaliłiśmy już dawniej p. Szymańskiego na scenie Wielkiej; na lwowskiej śpiewał go także ładnie, z uczuciem, acz nie zyskiwał z powodu złych jej warunków akustycznych. Bez zarzutu Dziembę daje p. Kiczman, w Stolniku zaś p. Paszkowski nie sprawia jak w innych rolach wrażenia, bo w akcyi sztywny, emisyję ma wadliwą i zgłuszoną, co nie pozwala ujawniać się poprawnemu skądinąd frazowaniu.

«Opowieści Hoffmanna» słył gładziej niż roku zeszłego. Choć partya tytułowa niełatwa, zatrudna nawet jeszcze dla p. Maławskiego, wykazał jednak postęp w brzmieniu głosu, wytrzymałości i grze swobodniejszej; nie zbywa — powtarzam — tenorzyscie na materyale, lecz trzeba mu tenże wyrabiać, zanim go nadwreżęży nieekonomiczna na scenie lwowskiej praca. Do śpiewackich i aktorskich studyów zachęcano tu niemniej drugiego tenora — p. Kozłowskiego, szczególnie po »Maskocie«, gdzie święcił sukces o tyle, że zaśpiewał jak nigdy przedtem, dobywszy wreszcie z ukrycia głos dość rozległy, dźwięczny, składający się przeto wraz z powierzchownością ma szczęśliwe od natury dane. W tejsze operetce p. Szapówna, (Bettina), nie przysporzyła sobie chwały, gdyż powtarzała pomysły swe z »Donny Juanity« i wogóle brakło jej — jak całej zresztą operetce, (oczywiście z wyjątkiem bardzo dobrego p. Boguekiego) — wdzięku, szyku, finezyi, tego więc, co stanowi *raison d'être* w królestwie lekkiej muzy. Królestwu atoli owemu poświęcała dyrekecyja przeważnie swe trudy; prócz wymienionych wyżej oper, tudzież dwóch Wagnerowskich, nowości w tym kierunku nie wystawiono tym razem, gdy poprzednio zapisywaliśmy do »plusów« Dalibora, Sprzedaną narzeczoną, Jasia z Małgosią, Powrót taty, Opowieści Hofmanna, uscienione Widma, nie licząc nowych operetek.

A jednak parę pism naszych spaliło na cześć dyrekecyi dosyć wonnych kadzideł, to napomykając »o krzewieniu przez nią smaku, wy-

rabianiu w masach zamiłowania, upowszechnieniu dzieł wybitnych«, to zalecając wszystkim »różowe okulary« przy ocenie trupy lwowskiej, środków jej, no... i mankamentów, niksących nieledwie wobec »poblądłych zasług«. Rozmaite z pewnością bywają zapatrywania, wszelako co do zasługi trzeba by się zgodzić chyba na jedno, że nie jest nią jeszcze spełnianie obowiązku lub pilnowanie interesu; nie czyniła podobno impreza takich poświęceń dla idei, co by ją z góry narażały na straty, zatem i w sprawdzeniu atrakcyjnego tenora był przedewszystkiem rachunek, ile że nie miało się czasem odpowiedniego dla artysty otoczenia... Wszakże Lohengrin szedł — opowiadają — tak słabo, że się to aż odbiło na przyjęcie solisty, który też, zniechęcony, wyjechał wcześniej, a co zamaskowano tylko zręcznie symulowanym zaślabnięciem jednej z artystek. Rozumiem gorące popieranie swoich i opery polskiej oraz łączącą się z powodzeniem jej politykę, nie przeczę, iż w rzędzie teatrów prywatnych lwowski uchodzić może za perlę, iż dając opery obce po polsku, puścił na nasz młyn wodę i wyświadczył tem samem przysługę, — mimo to przekładam zawsze ścisłość pojęć i powściągliwość w dytyrambach ponad pochopność w nich zbytnią, przynoszącą więcej szkody niż pożytku.

Orkiestra Windersteina nie będzie się ponoć uskarżała na publiczność warszawską, albowiem stale doznawała jej względów, zaskarbiając je zresztą artyzmem swoich produkcji — dzięki kierownikowi doskonałemu muzyka i kapelmistrza a przytem lubego człowieka. Na ostatnich koncertach dał nam on poznać głośne *Also sprach Zarathustra* głośnego dziś Ryszarda Straussa. Usłyszeć to warto było, choćby dla tego, że poglądowo przedstawia rezultaty, do jakich u schyłku stulecia doszła muzyka w pogoni za nadzwyczajnością a w braku prawdziwego natchnienia. Rozczochrany Don Juan tegoż Straussa, wykonywał go Nikisch, niezem, jest w porównaniu z nowym dzwotworem, mającym niby ilustrować »Zarathustra Buch« Nietzschego, wypowiadać filozoficzne refleksye, walki, dążności »nadczołowieka« a dowodzącym tylko bezsilności muzyki wobec zadań, sprzecznych i z naturą zmysłowego dźwięku, którym się posilkuje i z zakreśloną przez tenże sferą jej działania. Wybornie, z wielkim nakładem pracy i kosztów wykonano rzecz karkołomną, jakby dla przekonania, iż zmierzyć się umie orkiestra z największymi trudnościami. Kilku jej członków — i dobrych — zostaje w Warszawie przy pulpitach W. teatru. Zaangażowania są podobno wbrew woli Windersteina, — czy na podstawie »nieobowiązującej konwencji?« — nie umiano mi tego wytłómaczyć.

M. M. Biernacki.



TEATR.

(»Karykatury«, dramat w 4. aktach Jana Augusta Kisielewskiego; »Miejsca Kobietom!« krotchwiła w 4. aktach Valabregue i Hennequina; dwa debiuty).

W dniu pierwszym września wróciła nasza drużyna artystyczna z Krynicy, mile witana przez stałych bywalców teatralnych. Po kilku wznowieniach ukazały się na scenie dwie premiery, zasługujące na sprawiedliwą ocenę; jedna — to dramat oryginalny, druga — krotchwiła francuska, przetłómaczona nadzwyczaj starannie przez p. Jarosława Pieniążka. Ostatnią okoliczność podkreślam silnie. Nie zawsze bowiem mógłbym bezstronnie to samo powiedzieć o przekładach z obcych języków, pojawiających się na naszej scenie.

P. Kisielewskiego nie znam, słyszę atoli dokoła siebie głosy, że jest to człowiek młody, stawiający pierwsze kroki w roli pisarza dramatycznego. Jeśli tak jest w istocie, muszę mu szczerze powinszować, dramat bowiem jego — mimo pewne drobne błędy — jest dziełem rzetelnego talentu i pozwala nam oczekiwać po autorze wielu jeszcze utworów, prawdziwie wartościowych. Przypuszczam, że tego samego zdania byli sędziowie konkursowi, przyznając p. Kisielewskiemu nagrodę na konkursie imienia Paderewskiego.

Gdzie autor studiował dekadentów? nie wiem. Prawdopodobnie w Krakowie. Przyznaję jednak, że dał nam w »Karykaturach« galerię doskonałych typów, owych prawdziwych karykatur, pojawiających się coraz obficie — niestety — w szeregach młodzieży. Najlepiej, a raczej jedynie tu wykończony, to typ Antoniego Relskiego, inne zaledwie naszkicowane celem utworzenia odpowiedniego tła głównej postaci. Akt pierwszy to dekadencja »czarna kawa«, a przy niej niby naukowa dysputa o wszystkim i o niczem. Wstęp to bardzo dobry, maluje nam bowiem trafnie całe zacne kółko, do którego widza autor wprowadzić zamierza. Nastrojowcy, wywabieni łuną pożaru, (efekt dosyć słaby, świadczący o młodocianem piórze), opuszczają mieszkanie Relskiego, w którym zjawia się po chwili biedna szwaczka Zosia, zakochana w »panu Antonim« jeszcze w tych czasach, kiedy on jako uczeń gimnazjalny mieszkał u jej rodziców. Matka Zośki wyszła po raz drugi za mąż, a ojczym człek zły i natógowy, zmusza dziewczynę, by poślubiła niemilego jej konkurenta; to ją wypędza z domu i rzuca w objęcia Antosia, on jeden bowiem ustrzedz ją może przed katastrofą. I tak zawiązuje się stosunek dwojga młodych ludzi, rozpoczyna się — jak słusznie ktoś powiedział — karykatura życia i szczęścia rodzinnego. Relski stroni od kolegów, a w mieszkaniu jego gospodaruje rozkochana w nim bezgranicznie Zośka, matka kwilącego w kołysce niemowlęcia. Kula to u nogi prawdziwa, krępująca ruch każdy, zatruwająca życie młodzieńca, przykutego do boku dziewczyny prostej, niewykształconej, przeklęcie dobrej. Antos Zośki nie kocha, nieraz rodzi się w nim myśl porzucenia dziewczyny i poślubienia natomiast emanyjowanej maturzystki, Stefy

Borkowskiej, ale powstrzymuje go od tego kroku nie miłość, tylko przeklęta dobroć naiwnie oddającej mu się szwaczki. Mimo wszystko Relski u Borkowskich bywa i doprowadza Stefę do wyznania. Wyznanie to i oświadczyzny Antosia wywołują katastrofę: cała podwójna gra dekadenta wypływa na wierzch. Borkowscy z nim zrywają, a zrozpaczona Zośka, poznavszy nicosć swego ukochanego panicza, porywa jedyny skarb — dziecko i ucieka z nim do matki. Oto treść dramatu. Przykra ona i boleśna, ale czyż wprost z życia na scenę nie przeniesiona? P. Wostrowski grał dobrze, dał się jednak w wysokim stopniu wyprzedzić p. Czaplńskiej, która z roli nieszczęśliwej, a od pierwszego zjawienia się na scenie pełną sympatyę zyskującej Zośki, stworzyła prawdziwe cacko. Rodzinę skarykaturowanych Borkowskich odtworzyli nadzwyczaj starannie: Jaworski, Cichocka, Jankowska, Kwiecińska i Ogińska (Stefa). Ta ostatnia najmniej mi się podobała; może być, że rola była dla niej niezupełnie odpowiednią. Pyszną sąsiadkę Zośki, Walentową, poznaliśmy w p. Rybickiej, a niemniej doskonałego czeladnika, »towarzysza« Migdała, starającego się o rękę szwaczki, w p. Nowackim. Inni artyści: pp. Gostyńska i Modzelewska, oraz pp. Feldman, Hierowski, Neuman, Walewski, Kliszewski, Antoniewski, Wysocki i Jasielski zasłużyli również na zaszczytną wzmiankę. Całość przedstawienia zadowolili nas w zupełności.

Farsa francuskiej spółki: »Miejsca kobietom!« to satyra na emancypacyjne zakusy feministek. Treści jej powtarzać nie będę, wystarczy, gdy zanotuję, że humoru w niej dużo, dowcipu również spora doza, nie więc dziwnego, iż publiczność, wyrażając się po prostu a bez przesady: formalnie kładła się od śmiechu. Artyści na dalszych przedstawieniach trafili w ton odpowiedni i grali z odpowiednią werwą, tworząc całą galeryę przepysznych typów. Takich małżeństw, jak kobieta-advokat (p. Gostyńska) i pantofel, zakochany w pracze (p. Feldman); lub malarka-dekadentka (p. Czaplńska) i p. Nowacki, nie prędko zapomniemy. P. Nałęczówna dobrym była lekarzem, p. Kwiatkiewicz zaś przepyszny prezydentem trybunału. Innych artystów nie wymieniam, powiem tylko, że wszyscy usiłowali grać najlepiej.

Dwa debiuty w »Dzwonie zatopionym« sięgnęły do teatru sporo widzów na rzecz ograną u nas i niewszystkim przystępną. Artystami, którzy pragną wypełnić dotkliwe luki: lirycznej bohaterki i bohatera, są panna Ordonówna i p. Sosnowski, oboje z teatru łódzkiego. Czy będziemy mieli z nich wielki pożytek? Bóg raczy wiedzieć. Wybór sztuki najfatalniejszy, nie pozwala stanowczego wydawać sądu o ich artystycznej wartości. To tylko mogę już powiedzieć po pierwszym debiucie, że mimo pewnej, lekkiej, prowincjonalnej manieri, p. Ordonówna dosyć mnie się podobała. Posiada ona głos młody i dźwięczny, wystrzegać się jednak powinna dykeyi niezawsze zrozumiałej; deklamuje dosyć poprawnie, rusza się na scenie dobrze, zewnętrzny wygląd posiada sympatyczny, ale on właśnie nie pozwalał jej stanowczo występować w roli poetycznej Rusałki, do czego znowu jakby stworzoną była p. Bednarzewska. W nowszym repertoarze powitamy zapewne w p. Or-

donównej dobrą naiwną, poezyi w jej grze chyba nie odszukamy nigdy. O p. Sosnowskim jeszcze mniej powiedzieć mam prawo. Głos posiada artysta o szerokiej dosyć skali, wzrost odpowiedni, deklamuje wcale dobrze, ale od roli mistrza Henryka wymaga się zwyczajnie tak bardzo wiele, że niepoślednim trzeba być aktorem, by zadowolić nas choćby w pewnej mierze. P. Sosnowski, mimo całego zapału i stanowczości, niezupełnie podołał zadaniu.

Michał Rolle.

Ostatnią premierą w tym miesiącu była komedia L. Fuldy »Koledzy szkolni«. Do lepszych nabytków repertoaru, trudno ją zaliczyć, ani też do trwałych nabytków naszej sceny, jak się wkrótce okazało. Temat sztuki nie nowy, owszem dość często przerabiany — rozbiecie przyjaźni najserdeczniejszych kolegów przez małżeństwo. Czwórka przyjaciół mimo, że używa słodkiej swobody, z czasem z wolna zmierza do portu małżeńskiego, jeden po drugim przyznaje się, że w sercu swem nosi obraz ukochanej. Jeden tylko — Bruno Martens wiernym pozostaje stanowi kawalerskiemu — a pozostając swobodnym liczy na to, że przyjaźń kolegów mimo to utrzyma. Wkrótce jednak przekonywa się o niemożliwości zamiany czwórki przyjaznej w siedmioro — i sam pada ofiarą pięknych oczu Dory Lenz.

Cała rzecz obliczona na specyficznie niemiecki grunt, nam jakoś nie zdołała przypaść do smaku. Nie można też było się zachwycać i grą artystów — która czasami sprawiała na nas wrażenie, że jesteśmy w teatrze amatorskim. Jedynie doskonałym był p. Feldman, który jak zawsze stworzył typ arezabawny i charakterystyczny; na wzmiankę zasługuje też nowozaangażowana panna Ordonówna, która wykazała, że znacznie właściwszem dla niej polem komedya niż dramat poważny jak »Dzwon Zatopiony«. Do wytknięcia mielibyśmy i reżyseryi niektóre nieprawidłowości. Pierwsza odnosi się do charakteryzacji: koledzy p. Wostrowskiego byli na scenie ludźmi już conajmniej w czterdzieście — p. Wostrowski zaś młodzieńcem ledwie dwudziestokilkuletnim. Druga, to przesada w wystawności dekoracyi, która czyniła ją niegustowną i nieładną — więcej prostoty nadałoby więcej smaku i wdzięku.

Dr. Eug. B.

Nowy Teatr we Lwowie. U wylotu ulicy Karola Ludwika wyłania się coraz bardziej z osłonek rusztowania gmach nowego teatru, budowa wspaniała, monumentalna. Już pierwszy rzut oka na ten niętowy jeszcze gmach przekonuje nas, że Lwów zyskuje w nim przybytek sztuki tak piękny, tak estetyczny, jakim mało które europejskie miasto pochwilić się może. Piękniejszym on o wiele od teatru krakowskiego, miłszym dla oka nawet niż wiedeński Burgtheater, taka tu pełnia harmonii linii, taka pomysłowość w rozwiązaniu trudnych zagadnień technicznych, ograniczonych przytem mnóstwem przepisów ogniwo-policyjnych.

Ale piękno zewnętrzne budynku teatralnego, to dopiero mała część tego, czego od teatru wymagamy. Bezpieczeństwo, wygoda dla widzów, a co najważniejsze urządzenie sceny takie, jakie odpowiadałoby jak najbardziej swemu zadaniu — oto są rzeczy, których przedewszystkiem od teatru wymagać należy; czy i tym odpowie w zupełności nowa świątynia sztuki — zapytywaliśmy się nieraz, mimo zapewnień tylekroć w prasie wygłaszanych.

Dzięki niezwyklej uprzejmości twórcy nowego teatru, dyrektora Gorgolewskiego, mieli sposobność członkowie »Koła« przekonać się o tem naocznie; dnia 3. z. m. około trzydziestu ciekawych zwiedziło pod jego przewodnictwem nowy gmach od piwnic do dachu; z niezwykłą skrupulatnością obejrzano każdy kącik, poświęcając na oględziny cztery blisko godziny. Rezultatem tych oględzin było ogólne przekonanie, że równie wspaniałym jak zewnątrz, będzie teatr i wewnątrz, że wszelkim wymogom czyni zadosyć, że wszystko, co dotychczas na tem polu wynaleziono i wypróbowano, tu znalazło zastosowanie dobrze obmyślane.

Niebezpieczeństwo ognia wyklucza przedewszystkiem budowa z kamienia, betonu i żelaza — o wybuchu pożaru w sali widzów mowy być nie może, od sceny zaś dzielić będzie salę widzów żelazna kurtyna, którą w razie wypadku natychmiast opuścić będzie można. Lecz w razie wypadku więcej niż ognia obawiać się należy popłochu — ludzie nie palą się, lecz duszą, tłocząc się nagle ku wyjściu. Lecz dlatego też główną rzeczą jest, by wyjścia były wygodne, szerokie i liczne. Tych jest w teatrze w parterze jedenaście; każde piętro prócz tego ma po dwie zupełnie ze sobą nie łączące się klatki schodowe i tak n. p. na jedne, trzy metry szerokie schody z trzeciego piętra, gdzie stosunkowo najwięcej ludzi bywa, przypada osób 150, na drugie i pierwsze jeszcze znacznie mniej. I pod tym więc względem bezpieczeństwo jest zupełne — teatr można opróżnić w dwie minuty!...

Drugim, nie mniej ważnym postulatem jest wygoda dla publiczności. Pod tym względem dołożono wszelkich starań, ażeby pobyt w teatrze jak najbardziej uprzyjemnić. Dla publiczności parterowej i pierwszego piętra urządzono więc wspaniałe foyer na pierwszym piętrze, do którego prowadzi wspaniała klatka schodowa z marmuru, ozdobiona medalionami sławnych autorów i artystów polskich; nie wątpimy, że znajdą się tu przedewszystkiem, prócz naszych wielkich wieszczów, popiersia Korzeniowskiego Fredry, Kamińskiego, Bogusławskiego, Skarbka, Smochowskiego i Stanisława Dobrzańskiego.

Tu chodzi o wygodę i elegancję i obu stanie się zadość; w foyer będzie się mogła publiczność przechadzać, lub też z boku przy ustawionych między filarami stolikach siedzieć, orzeźwiając się napojami z umieszczonych po obu stronach cukierni i bufetu. Do foyer będzie miała wstęp tylko publiczność parterowa i pierwszego piętra — dla drugiego piętra dostępu broni ustawa policyjno-ogniowa.

Łoże obszerne i wygodne znajdują się w parterze, na pierwszym i drugim piętrze; trzecie piętro, (ostatnie), ma tylko krzesła — stojących miejsc w całym teatrze niema zupełnie. Uwagi godnem jest też to,

że strop od trzeciego piętra oddalony jest o 5 metrów, tak, że publiczność tam znajdująca się mając go, tak jak teraz, tuż nad głową, nie będzie się musiała dusić w gorącu. System ogrzewania i wentylacji jest zupełnie nowy: zwykle wprowadzano ciepłe powietrze z dołu do góry, a u góry wyciągano na zewnątrz, tu dzieć się będzie przeciwnie, ciepły prąd wciągać się będzie mechanicznie z góry, a powietrze odprowadzać u dołu.

Zalety tego nowego systemu są dość liczne. Pierwsze, że powietrze prowadzone z dołu, wzbija w górę pył, który się pod nogami publiczności gromadzi, podczas gdy powietrze u dołu odprowadzane pył ten wyciąga na zewnątrz. Dalej, gdy rury kaloryferów są u dołu, swąd, który czasem powstaje, może zaniepokoić publiczność i wywołać popłoch — przy tym systemie prowadzenia ciepła jest to wykluczonem. W końcu i na akustykę ten system wpływać może lepiej, bo fale powietrzne, pędzone z góry, cisną na fale głosowe, idące ku górze i rozprawdzają je ku dołowi.

Trzecim postulatem, jakiego wymagać trzeba od nowego teatru jest, by odpowiadał swemu celowi, by urządzenie sceny było dla wystawy jak najbardziej odpowiedniem. I temu odpowiadać będzie nowy teatr jak najzupełniej; rozmiary sceny pozwolą wystawiać sztuki o jak największym ansambli; zagłębienie (Versenkung) odpowiada też swemu celowi. Scena okolona jest korytarzem, oddzielającym ją od garderób; ten zabezpiecza garderoby od ognia i pozwala zatrzymać równomierne ciepło; garderoby wygodne i liczne pozwolą każdemu prawie artystyście mieć swój gabinecik. Orkiestra pomieścić może około stu osób, tak, że nawet największe wagnerowskie opery wystawiać będzie można — a cała opartą jest na bębnie drewnianym dla wzmocnienia dźwięku.

Bardzo ważną zaporą w rozwoju naszego teatru był dotychczas fakt, że w jednym gmachu mieści się i opera i operetka i dramat, i w jednej sali odbywać się musiały próby. Dzieła muzyczne wymagają więcej czasu do przygotowania; cierpiały więc na tem dramaty i komedya, tuląc się jakby kątem. I o tem pomyślał twórca teatru i uczynił coś, co dla rozwoju sztuki będzie rzeczą niezwyklej doniosłości. Oto na trzecim piętrze, nad zasceniem wybudowano olbrzymią salę, której szerokość jest zupełnie ta sama co otwór sceny; jest to sala prób dramatu. Gdy więc orkiestralne próby odbywać się będą na scenie, próby dramatu i komedya odbywać się mogą w owej sali prób, gdzie wobec tego, że ze sceną ma jedne i te same rozmiary, ustawiać można fałszywe kulisy i odbywać próby sytuacyjne. Jest to jedna z najważniejszych i najdonioślejszych nowości w nowym teatrze. Takim więc będzie ów nowy gmach pod względem teatralno-technicznym. Pochłubić się nim będzie mógł jego twórca p. Gorgolewski, pochłubić miasto i kraj — oby więc w tem pięknem ciele zamieszkała równie piękna dusza i oby ta dusza równie chlubą naszą być mogła, jak jest nią gmach, wyłaniający się przed nami.

Dr. Eugeniusz Barwiński



LITERATURA.

Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich napisał dr. Antoni Karbowski — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska — 1899.

Pisarz, znany w dziedzinie polskiego szkolnictwa, dał nam tym razem treściwą, lecz niemniej gruntownie opracowaną monografię o szkole katedralnej, krakowskiej, założonej przez biskupa Iwona przy kościele parafialnym Świętej Trójcy i przeniesionej następnie wraz z parafią do kościoła N. P. Maryi. Mówi więc o pierwotnych kolejach tej uczelni, pozostającej pod kierownictwem światłych ksiąząt kościoła, jakimi byli biskupi Aron, Lambert, Zula, tudzież ich następcy aż do roku 1364, względnie do roku 1400, kiedy to uniwersytet Jagielloński przyćmił swym blaskiem szkołę katedralną, czyniąc ją niepotrzebną i spychając tęże do rzędu zwykłych szkół parafialnych. Odtąd aż po rok 1510, którym się kończy niniejsza praca, dzieje tej szkoły toczą się jednostajnie a reforma szkół, jakiej stanowczo zażądano na synodzie piotrkowskim, (w r. 1510), nie wywarła na nią żadnego wpływu w kierunku zmiany programu naukowego w duchu humanistycznym. p.

Bonneau, ostatni konsul generalny Rzeczypospolitej Francuskiej za Stanisława Augusta, (1759—1805), przez Aleksandra Kraushara. (Lwów — 1900).

Dzięki p. Krausharowi sympatyczna postać Bonneau, wiernego narodu naszego przyjaciela, długoletniego więźnia petropawłowskiej twierdzy, współpracownika Kościuszki, Niemcewicza i Mostowskiego, przypominała się dziś żyjącemu pokoleniu. Wspomnienie owe, oparte na źródłowych materiałach, znajdujących się w ministerstwie spraw zagranicznych w Paryżu, prostuje wadliwe wzmianki, podawane w historyografii francuskiej o osobie Jana Bonneau a zarazem wyjaśnia dokładnie działalność i zasługi szlachetnego cudzoziemca około sprawy naszej niepodległości. Rzecz, pisana niezwykle zajmująco, posiada obok wartości historycznej wybitne zalety literackie. i.

Jan Babirecki. Mapa Rzeczypospolitej Polskiej — Wydanie drugie, poprawione — Kraków — Spółka Wydawnicza Polska.

Pożytecznej t-j publikacji wydanie drugie znajdzie niezawodnie również przychylnie ze strony publiczności przyjęcie jak pierwotna pracy p. Babireckiego edycya. Karta przedstawia terytorium Rzeczypospolitej w granicach z r. 1771 z uwzględnieniem ziem odpadłych przed pierwszym zaborem. Uzupełniają ją karty orientacyjne trzech podziałów, Księstwa Warszawskiego tudzież okręgu wolnego miasta Krakowa. s.

Franciszek Paszkowski. Książę Józef Poniatowski. Jego życie i działalność — W tekście 27 rycin oryginalnych. — Kraków — Spółka Wydawnicza Polska.

Polski Bayard nie doczekał się dotychczas godnej niego monografii. Ani przestarzały życiorys księcia Józefa, skreślony ongi przez Bogusławskiego, ani też ponownie dziś wydana praca Paszkowskiego nie dają nam właściwego pojęcia o bohaterkiej, tyle sympatycznej tej postaci, którą lepiej znamy z tradycyi oraz z pamiętnikarskich wzmianek, aniżeli z historyi. I to właśnie nazwać można objawem dziwnym, iż wobec obfitego nadzwyczaj materiału biograficznego, nie znalazł się dotychczas nikt, któryby na podstawie nowszych badań epoki napoleońskiej zechciał przedstawić polskiemu ogółowi jego ulubieńca jako człowieka z krwi z kości, z wszystkimi zaletami oraz słabostkami, nieodłącznymi od natury ludzkiej. Niedawno ktoś w Warszawie napisał, że cała nasza literatura biograficzna jest jednym, wielkiem kłamstwem... Twierdzenie to bezwarunkowo grzeszy skrajnością, lecz tkwi w niem na dnie nieco prawdy, gdyż ani zbytnie wyidealizowanie odnośnej postaci dziejowej, ani też suche zestawienie ważniejszych dat i faktów, nie stwarzają właściwego portretu, jakim być winna biografia. Oba te błędy posiada książka p. Paszkowskiego i z tego względu powtarzanie jej w ponownej, wcale ozdobnej edycyi nie było szczęśliwym eksperymentem. (s.)

Polska i konferencya międzynarodowa w Hadze, Memoriał. Lwów — Nakładem Redakcyi Przeglądu Wszehpolskiego. 1899.

Jestto przekład memoriału wydanego w Paryżu przez »Komitet stronnictwa demokratyczno-narodowego« w zaborze rosyjskim i przedstawionego, jak wiadomo, uczestnikom konferencyi pokojowej w Hadze. Memoriał, znany czytelnikom ze streszczeń, podanych w prasie codziennej, maluje dosadnymi barwami gospodarke Rosyi w Polsce i zapomocą silnej argumentacyi wykazuje nicość usiłowañ pokojowych, zapoczątkowanych nad Newą. Broszura niniejsza jest przedrukiem z wychodzącego we Lwowie miesięcznika politycznego i społecznego, (zeszyt majowy), p. t. »Przegląd Wszehpolski«.

k. w.

Władysław Studnicki. Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne Szwajcaryi — Lwów — Nakładem Towarzystwa Wydawniczego — 1900.

Autor »Współczesnej Syberyi«, które to studyum, ogłoszone przed dwoma laty, zasłużonem cieszyło się powodzeniem i doczekało się przekładu na język niemiecki, zamierza opracować dzieje rozwoju form politycznych w Francyi, w Niemczech, w Austro-Węgrzech i w Stanach Zjednoczonych. Ogłoszona obecnie praca o Szwajcaryi, stanowiąca samodzielną całość, tworzy początek owych publikacyi, mających na celu nie chęć propagowania tych lub owych doktryn polityczno-społecznych, lecz raczej zainteresowanie czytelnika naukami społeczno-politycznymi i pobudzenie go do samodzielnego myślenia. Pisząc o Szwajcaryi, przedstawia ją p. Studnicki naprzód w świetle cyfr, omawia jej położenie geograficzne i przeobrażenia polityczne, począwszy od trzynastego wieku aż do naszych czasów, wylicza programy stronnictw politycznych w kraju. Z kolei zastanawia się autor nad stanowiskiem Szwajcaryi w międzynarodowej walce ekonomicznej, dotyka stosunków agrarnych i charakteryzuje nader trafnie kwestyę społeczną w tym kraju, upatrując w napływie cudzoziemskiego proletaryatu najważniejszą przeszkodę, tamującą w znacznej mierze pochód Szwajcaryi w rozwoju reform społecznych.

X. Dr. Wł. Chotkowski. Dzieje zniweczenia Św. Unii na Białorusi i Litwie w świetle »Pamiętników Siemaszki«. — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska 1899.

Praca niniejsza jest nową edycyą krytycznego opracowania pamiętników Siemaszki, ogłoszonego przez ks. dra Chotkowskiego w roku 1884 w »Przeglądzie Polskim« a dziś już w handlu księgarskim wyczerpanego. Autor oparł się głównie na trzecim tomie owych pamiętników, uwzględniając wszakże w osobnych dodatkach nowsze publikacye, w międzyczasie ogłoszone, skutkiem czego dzieło jego przedstawia poważne źródło dla każdego badacza stosunków kościelnych na Litwie i na Białorusi.

p.

Listy duchowne. Ks. Zygmunta Goliana — Kraków — Spółka Wydawnicza Polska — 1899.

Zbiór, dokonany staraniem ś. p. Anny Jerzmanowskiej, obejmuje korespondencyę znakomitego kuznodziei z rodziną Pawłów Popielów, z margrabiną Wielopolską, z panią Zygmuntową Helclową, wreszcie listy pisane do córki kasztelana Wężyka i zawiera sporą wiązanke wiadomości ważnych, dotyczących epoki po powstaniu styczniowem. Wyborny znawca ludzi, charakteryzuje ks. Golian w sposób bardzo trafny wybitniejsze osobistości owej doby. I z tego powodu »Listy« jego ciekawy tworzą przyczynek do historyi wewnętrznej kraju z lat ostatnich.

s.

Rok XXIX. Sprawozdanie z zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswyłu za r. 1898. Paryż. Drukarnia polska Adolfa Reiffa. 1899.

Sprawozdanie Muzeum Narodowego w Rapperswyłu świadczy o stałym wzroście i rozwoju tej pięknej instytucyi, która między obcymi ma i powinna być dowodem istnienia i stałego rozwoju kultury polskiej. Dość powiedzieć, że w ciągu r. 1898 zwiedziło zbiory muzealne 2648 osób, w czem tylko 529 Polaków to znaczy przeszło 2000 osób różnej narodowości jawiło się u źródła, które powinno im dostarczyć najlepszych, najdokładniejszych i najwszechstronniej-

szych informacyi o Polsce. Trzeba przyznać, że Rada Muzeum, na której czele stoi pułkownik Józef Gałęzowski w Paryżu, czyni ze swej strony wszystko, aby Muzeum stało na wyżynie swych zadań, a natomiast ma prawo skarżyć się na społeczeństwo polskie w kraju z powodu braku poparcia. Czytam na str. 24 sprawozdania wykaz pism, które Muzeum otrzymuje. Ze Lwowa posyła ich tam tylko 13, podczas gdy mamy we Lwowie wydawnictw peryodycznych pewno kilka razy tyle. Kraków wysyła do Rapperswyłu pism peryodycznych tylko 7, a prowincya ani jednego, mimo, że Przemyśl, Stanisławów, Tarnów, Drohobycz, Kołomyja, Nowy Sącz, mają swoje organa. Z dyrekcji gimnazyalnych, galicyjskich, poczuła się do obowiązku przesłania Muzeum swych sprawozdań tylko — jedna i to samo zaś powiedzieć można o wielu innych wydawnictwach publicznych, którym pamięć o Muzeum nie zrobiłaby żadnego uszczerbku, a niejednemu przyniosłaby nawet pożytek. Nasi uczeni piszą często w obcych językach: filologowie po łacinie, lekarze, przyrodnicy matematycy, prawnicy w języku niemieckim, lub francuskim, widocznie więc pragną, aby ich dzieła znali obcy. Zatem powinni pamiętać, że niejedyn obcy przybywa w progi Muzeum Rapperswyłskiego, aby zapoznać się między innymi, o ile możności, z literaturą naukową, polską. Czyliż więc przynajmniej owe dzieła pisane w obcych językach nie powinny się znaleźć na półkach biblioteki muzealnej? Nie wynika stąd, żeby wysyłanie książek, pisanych po łacinie, lub po niemiecku miało uwalniać od moralnego obowiązku posyłania przedewszystkiem książek polskich, które w pierwszym rzędzie powinny się znaleźć w Muzeum Narodowem, a których, jak widać ze sprawozdania, posyła tam niewiele. Sprawozdanie wykazuje powiększenie zbiorów o 1,1⁵ nowych pozycji tak, że ogólny stan zbiorów mieści w sobie: przedmiotów archeologicznych 358, przedmiotów pamiątkowych 1,060, monet 6,780, medali 1,766, pieczęci 432, rzeźb 225, kamei 292, obrazów olejnych 281, akwarel 106, miniatur 61, rysunków oryginalnych 397, rycin (sztychów i litografii) 8,224, fotografii 1697, nut 1,164, map 715, rękopisów 3,010, druków 28,047 dzieł w 41.407 tomów. Hojniejsze dary w r. 1898 złożyli Muzeum: Akademia umiejętności, prof. Oswald Balzer, Bukowski Henryk ze Sztokholmu, dr. Czołowski Aleksander, Ludwik Dygat, hr. Tadeuszowa Orzechowska i inni; między tymi wielu bezimiennych z zaboru rosyjskiego.

k. w.

Wybór Listów Adama Mickiewicza — ułożył Józef Kallenbach, Profesor Uniw. Fryburg. (Szwajc.) — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska — 1899 r.

Edycyi tej — jak zaznacza wydawca w przedmowie — przyświecał cel praktyczny, gdyż zależało przedewszystkiem na tem, aby »Wybór Listów« mógł być czytany wszędzie, w jak najdalszych stronach... Dla tego też profesor Kallenbach pomija niejedyn ważny list albo też treść jego podaje w skróceniu. Mimoto »Wybór Listów« Adama spełni, miejmy nadzieję, swe zadanie a powiększając uwielbienie dla poety, przyniesie tylko pożytek publicznemu duchowi, dając umysłom zdolnym do uznania prawdziwej wielkości i zasługi niejedną zbawienną naukę oraz myśl pocieszenia. Umieszczony na końcu książki wykaz nazwisk ułatwia orientowanie się w zbiorze korespondencyi, obejmującej okres czasu między rokiem 1817 a 1855.

i.

H. Strażyński. Adam Mickiewicz — Opowiadanie dla młodzieży. — W Krakowie. — W drukarni »Czasu« Fr. Kluczyckiego i Sp. — Nakładem Autorki.

Rzecz kreślona w sposób przystępny i zajmujący dla młodego pokolenia, odznacza się żywością opowiadania i poprawnością języka. Gorąca miłość ojczyzny znamiętuje tę pracę i zaleca ją najprzychylniej jako pożyteczną lekturę dla młodzieży.

i.

Jerzy Brandes. Lwów — Księgarnia H. Altenberga we Lwowie. — 1899.

Rzetelne rozczarowanie staje się udziałem czytelnika po przerzuceniu kart broszury, wydanej z niezwykłym u nas przepychem. Autor »Polski« nie przypuszczał zapewne, iż szkicowane przez niego wrażenia z pobytu w naszym

mieście i w kraju, ukażą się w książkowej formie. Zdają się na to wskazywać i dziwna pobieżność w traktowaniu przedmiotu i brak wszelkiego pogłębienia i co gorsza brak dyskrepcji publicystycznej, o który z prawdziwą przykrością pomówić musimy głośnego pisarza.

Józef Maskoff. Zaszumi las — Powieść współczesna w 3 częściach — Lwów. — Nakładem i drukiem Słowa Polskiego — T. I - II.

Maskoff posiada dar wybierania tematów niewyzyskanych dotychczas, interesujących i przedstawiania tychże w formie efektownej. Nie pogłębia on, być może, przedmiotu swych opowieści dostatecznie, nie wysnuwa z nich daleko sięgających refleksji politycznych, czy też społecznych, ale umie przemówić do wyobraźni i serca czytelników, gra umiejętnie na ich nerwach, słowem, posiada w całej pełni zalety powieściopisarza-fejetonisty. Wyłomaczenie zagadkowego nieco tytułu powieści znajdujemy w końcowym ustępie rozdziału jedenastego, (Tom I). — »Bo umysł Polski — prawi socjalista-narodowiec, Grzegorzewski — to młody bór. Nikt nie wycinał w nim nieużytków i te rozrosły się tak, że gęszą w tym lesie szum wichru i tamują promienie słoneczne. Lecz powoli — padną nieużytki, liście martwe i spiące poruszą się pod wpływem społecznej wichury i zobaczycie: zaszumi las!...

Ale tej pracy nad uświadomieniem szerokich mas ludowych pod rosyjskim zaborem nie przedstawia nam Maskoff w swej powieści, z wyjątkiem kilku wzmianek, rozpoczynających i kończących jego utwor. Natomiast w sposób prawdziwie zajmujący, barwny, choć nie wolny od epizodyczności, odtwarza życie najmłodszej emigracji naszej nad Sekwaną, walki koteryi, burze w szklance wody, podniecane małostkowemi ambycjami i osobistą zawiścią, podszywającemi się pod sztandary wielkich haseł narodowych i społecznych. Podobno autor wiele korzystał z naocznej obserwacji i sfotografował wiernie stronniczo młodą Polskę, kupiącej się lat temu dziesięć koło wydawanej w Paryżu »Pobudki« — w powieści zwie się ów organ Heynałem. — Tem się tłumaczy wyrazistość postaci poszczególnych, grzesząca nawet miejscami ja-skrawością kolorytu, naturalność fabuły, żywość akcji, która, zwłaszcza w pierwszej i w drugiej części powieści, wielce dodatnie sprawia wrażenie. Część trzecia, wypełniająca cały tom drugi, grzeszy poniekąd rozwlekłością. Epizody, nieraz wcale dowcipne, przytłaczają główną tkankę fabuły i wyprowadzają ją z artystycznej równowagi. Usterki te wszakże, drobne stosunkowo, nie osłabiają bynajmniej silnego wrażenia, jakie powieść Maskoffa wywiera wśród szerokiego ogółu czytającego, odczuwającego gorąco myśl przewodnią tego niepospolitego bądź co bądź utworu.

S. P.

Włodzimierz Korolenko. Z Sybiru. — Obrazki powieściowe. — Przekład Stanisława Miłkowskiego. — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska.

Znakomity nowelista rosyjski mistrzem okazał się niezrównanym w kreśleniu ponurych, realistycznych a jednak niepozobawionych pewnego właściwego im wdzięku obrazów z życia północno-wschodniej Syberyi, którą poznał dokładnie w ciągu kilkakrotnych po dziewiczej tej krainie wędrówek. Artysta w każdym calu, odtwarza typy widziane półdzikich Jakutów, chytrych starowierców, dobroduszných mieszczan wreszcie nieszcześliwych, gdyby dziki zwierz tropionych zbiegów z robót katorżnych, z taką prawdą życiową, z takim znawstwem dobrych i złych stron natury ludzkiej, iż mimowoli budzi w nas współczucie dla tych istot półciemnych, upadających częstokroć pod brzemieniem win niepopołnionych. Utwory Korolenki, przełożone na języki angielski, francuzki i niemiecki, znalazły w p. Miłkowskim starannego tłumacza.

P.

Andrzej Niemojewski. Listy Człowieka Szalonego. — Warszawa — Gebethner i Wolff — 1899 r.

Kto uszczknął owoc z drzewa wiadomości złego i dobrego — tego mogą wypędzić z raju, mogą mu kazać drzeć z głodu, chłodu i obawy zgonu, mogą mu wreszcie kazać umierać — ale on mimoto nie zechce nigdy zostać znowu człowiekiem normalnym. — Takim też anormalnym osobnikiem jest rzekomy autor »Listów«, wygłaszający w szeregu oderwanych enuncjacji swe wierze-

nia artystyczne, etyczne i ogólnie społeczne. Za przedmiot obserwacji służy mu świadek malarz, tyle odrębny od otaczającego go społeczeństwa, wśród którego z rąk do rąk przechodzi modelka, dziewczyna młoda, piękna, o nieznanym jeszcze instynktach moralnych. Spotyka człowieka, który chce jej podać rękę, pomocną. Zapóźnie niestety. Nieszczęsna topi się w Wiśle, choć fale jej — jak to zauważył malarz Julek — są zupełnie fałszywe w tonie a ów młodzian szlachetny przepada bez wieści. Tak przedstawia się w najogólniejszym zarysie fabuła »Listów«, budzących niejedną myśl głębszą na temat przeznaczeń ludzkości. Forma literacka utworu łączy szczęśliwie oryginalność pomysłu z wykwinną szatą stylistyczną. (s.)

»Pan Burmistrz z Pipidówki« — »Dwie wizyty Jego Ekscelencyi«. — Dwie powieści Michała Bałuckiego. — Drugie Wydanie. — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska.

Polityka — jak słusznie ktoś zauważył — nie jestem samem co loika, lecz sztuką wybrania w zmieniającej się sytuacji tego, co jest najmniej szkodliwym, względnie najstosowniejszem... Prawdy tej wszakże uznać nie chcą literaci, fejetonowe mózgi — takim mianem chrczą ich nasi mężowie stanu — i oburzają się za przykładem Bałuckiego z powodu zmiany przekonań politycznych w stosunku Galicyi do Wiednia, datującej się od lat trzydziestu z okładem. »Dwie wizyty« osnute na podobnym motywie i zaprawne głębszą satyrą, budzić muszą i dziś jeszcze żywsze zainteresowanie czytelnika, choćby dla samej, wielce udatnej formy literackiej. Powtórzyc tych słów niepodobna o »Panu Burmistrzu z Pipidówki«. Humoreska ta, tchnąca zbyt widoczną animozją przeciw osobistości, bądź co bądź dla dobra kraju zasłużonej, winna była pozostać na zawsze w tece autora... (s.)

Biedni ludzie. — Obrazki z życia, szkicowane przez M. Gawalewicza. — Nowe Wydanie. — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska.

Sympatyczny nowelista, lubujący się w kreśleniu scen salonowych, zstąpił tym razem z magnackich parkietów do cichych, ubożuchnych mieszkańek, w których tuła się biedacy ciężko pracujący na chleb codzienny, okupujący pozory względnej zamożności bolesnemi nierzadko prywatycami. A jednak »Biedni ludzie« są też niekiedy aktorami dramatów, również wstrząsających, choć mniej głośniejszych, jak te, które się rozgrywają w zbytkownych apartamentach arystokracji rodu i grosza. Taki właśnie epizod z życia drobnych urzędników, nauczycielek prywatnych, niedoszłych artystów, przedstawia Gawalewicz w omawianym utworze, któremu trafną dał nazwę obrazków z życia. Szkicował je od ręki, z serdecznem zacięciem i z ową właściwą mu drobiazgowością, jaka w kompozycjach tego zakroju szczególnie j-st wskazuje. To też »Biedni ludzie« w bogatym dorobku literackim Gawalewicza zaszczytne zajmują miejsce. p.



Kronika żałobna.

Karolina Svetla. W Pradze zmarła w d. 7. września r. b. znakomita powieściopisarka czeska, Joanna z Rottów Mużakowa, znana daleko i po za granicami swej ojczyzny pod literackim pseudonimem Karoliny Svetli. Urodziła się ona d. 24 lutego 1830 r. w Pradze, jako córka prywatnego oficjalisty Eustachego Rotta. W domu swych rodziców poznała w r. 1847 nauczyciela muzyki Piotra Mużaka, syna włościanina z wioski Svetla pod Brösigiem. Pod wpływem Mużaka Rottówna, dość obojętna dla języka czeskiego, poczęła czuć go

reję miłość dla swej ojczyzny i języka, a w r. 1848 czynny wzięła udział w budzącem się wówczas życiu narodowem, czeskiem. W r. 1852 poślubiła Mużaka, a za namową Haleka poczęła w r. 1858 próbować swych sił na polu literatury. Pierwszą jej literacką pracą były wydane w roku 1858 »Dwoje probuzeni« Publiczność przyjęła ją przychylnie co z chęcią Svetlę do dalszej pracy i z pod jej pióra posypał się długi szereg szkiców, opowiadań i powieści, rozrywanych dla swej piękności przez Czechów i Łómaczonych na obce języki. Kilka powieści Svetli Łómaczonych było i na język polski, w wychodzącym w latach osmdziesiątych w Wiedniu *Świecie ilustrowanym*. Na język nasz przekładali jej utwory: Bronisław Grabowski, Helena Buczańska, W. Czajewski, M. Wysłouchowa i inni. W roku 1894 umarł mąż Svetli prof. Mużak. Cios ten dotknął ją bardzo ciężko i prawie złamał jej pióro. Nadto nawiedziła ją ciężka choroba oczu. Ostatni rok przepędziła jako chora w łóżku. W literaturze czeskiej pozostawiła po sobie pomnik niespożyty. Śmierć jej wywołała a głęboki żal w całych Czechach Dzienniki czeskie poświęcają jej gorące nekrologi. *Narodni Listy* wzniosły w czarnych obwódkach. Pogrzeb odbył się dnia 9. września r. b. na cmentarz olszański w Pradze.

JE. dr. Edward Ritter Zupełnie niespodziewanie zaskoczyła w dniu 28. września r. b. świat polityczny i uczony żałobna wieść o zgonie s. p. dra Edwarda Rittnera, i wszędzie, dokąd dotarła, wywołała wrażenie bardzo bolesne. S. p. Rittner wzbogacił wiedzę, był chlubą tutejszego uniwersytetu, talentem administracyjnym w wielkim, stylu i wybitnym mężem stanu. Na widownię publiczną wystąpił z wzorową monografią o prawie małżeńskim, dziełem, w którym znakomitą bystrość jurydyczną połączył z niezwykle wytworną formą. Wszystko, co się składa na pojęcie wiedzy: jasność, metoda, ścisłość rozumowania, znajduje się w tem dziele, które nie zawiera żadnej frazeologii, natomiast obfituje w rezultaty życia praktycznego. Temi samymi zaletami odznaczają się także późniejsze prace z dziedziny prywatno-prawnej, które s. p. dr. Rittner ogłaszał w publikacjach zawodowych. Pomnik męża stanu wzniosł sobie Rittner przedłożeniem o reformie wyborczej, której wymownym rzecznikiem był także w parlamencie. Był uosobieniem pojęcia męża stanu, które w tem się streszcza, że polityka zna tylko względne przeciwieństwa i tylko przez kompromisy toruje sobie drogę naprzód i że już dla tego samego musi podejmować idee żywotne, nie oglądając się na to, czy one pochodzą z prawej, czy z lewej strony. Indywidualności Rittnera dodawała szczególnieścią pociągającego uroku ta okoliczność, że jednoczył w sobie wielkość umysłu z wielkością serca. Prawdziwie szlachetna natura, znaczny i silny wiedzą charakter i dobry człowiek zstąpił z nim do grobu.

Sprostowanie.

W artykule »Z różnych stron« z numeru poprzedniego w 23. wierszu od początku opuszczono po wyrazach »bo tylko Belle-alliance« następujące: *...i dwa inne teatry przepłatają je operetkami, a jedynie Szyllerowski, (w mieście), daje opery i...* Prostujemy to niniejszem, jako błędną wpięrow zawierające informację.



OGŁOSZENIA.

Wszelkie kupony

i wylosowane

papiery wartościowe

wyptaca bez potrącenia prowizyi lub kosztów

Kantor wymiany

C. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Jako dobrą i pewną lokacyę polecamy:

- 4⁰/₁₀₀ Listy hipoteczne koronowe,
- 4¹/₂⁰/₁₀₀ Listy hipoteczne,
- 5⁰/₁₀₀ Listy hipoteczne premiovane,
- 4⁰/₁₀₀ Listy Tow. kred. ziemskiego,
- 4¹/₂⁰/₁₀₀ Listy Banku krajowego,
- 4⁰/₁₀₀ Listy Banku krajowego,
- 5⁰/₁₀₀ Obligacye komunalne Banku krajowego,
- 4⁰/₁₀₀ Pożyczkę krajową,
- 4⁰/₁₀₀ gal. Obligacye propinacyjne
i wszelkie renty państwowe.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. gal. akcyjnego

Banku hipotecznego.

STACYA KLIMATYCZNA, położona w uroczej miejscowości,
w bliskości Lwowa, wśród rozległych
lasów nad stawem 800 morgowym.

JANÓW

Hotel z komfortem urządzony, w wil-
lach obok hotelu różne pomieszkania,
łazienki stawowe, łodzie wiosłowe
i żaglowe. Lekarz, apteka, urząd telegraficzny i pocztowy w miejscu.
Czytelnia, fortepian, bilard, kręgielnia, gry towarzyskie, kawiarnia w ho-
telu — Pomiędzy Lwowem i Janowem codziennie kursują, 3 pociągi,
a cen^{na} tam i na powrót w niedziele i święta III. klasą 42 ct., II. klasą
82 ct., w inne dni III klasą 82 ct., II. klasą 1 zł. 42 ct.

Młyny, Gorzelnie, Browary, Tartaki, Wodociągi
i Odlewy żelazne

wykonuje

„PERKUN“, fabryka maszyn

Lwów — Podzamcze — ul. św. Marcina 11.

Kosztorysy bezpłatnie.

Nowa gałęź przemysłu krajowego. Papier c. k. uprzywilejowanej fabryki bibułek
cygareto^{wych} w Sassowie, istniejącej od roku 1865, przerabia na **BIBUŁKI**
w książeczkach i **TUTKI** cygareto^{we} wyłącznie znana firma

S. Wierusz Niemojowski we Lwowie.

Fabryka Sassowska wysyła dotychczas bibułki jedynie tylko za granicę
i wyrobami swojemi zyskała rozgłos światowy. Oryginalne papierosy importowe
z Egiptu i Turcyi wyrabiane są przeważnie z **Bibułki Sassowskiej**. Krocie idą
za granicę, a obcy bogacą się naszym groszem, zasypując nas lichemi swojemi
wyrobami Nie bogaćmy zagranicznych przemysłowców, kupujemy otdąd bibułki
i tutki cygareto^{we} z papieru Sassowskiego wyrobu

S. Wierusz Niemojowski — we Lwowie — ul. Wałowa 1. 25.

Stanisława Schnür-Pepłowskiego

Szkice historyczne

(„Usque ad finem!“ — „Listy Polskiej Damy“ — „Ojciec Bem“
„Pamiętnik Garczyńskiego“).

Lwów — Księgarnia H. Altenberga — 1900.

Cena 2 zł. 40 ct.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Warunki przedpłaty

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biurow Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie
od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt XI.

Listopad 1899 r.

WE LWOWIE
NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z Drukarni E. Winiarza

1899

<http://rcin.org.pl>

TREŚĆ.

	str
I. Fryderyk Chopin, przez Stan. Niewiadomskiego .	493
II. Módl się za nami, wiersz Ks. Alfreda Wróblewskiego .	498
III. Fioletowe pończochy, szkic, przez G. Zapolską .	499
IV. Svetozar Hurban-Wajanski, sylwetka literacka .	504
V. Maciej kowal, dramat w 1 akcie, przez Kazimierza Rojana	508
VI. Dekadentce, wiersz Zawrata	519
VII. Z Pragi czeskiej	519
VIII. Notatki z Krakowa, przez Kaz. Czapelskiego .	520
IX. Malarstwo	524
X. Muzyka	526
XI. J. A. Kisielewski	532
XII. Teatr	533
XIII. Literatura	536
XIV. Z Koła literacko-artystycznego	539
XV. Kronika żałobna	540



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

(ORGAN KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO WE LWOWIE)

»Niema lepszej rady na jutro
jak praca na dziś«.

A. Cieszkowski.

Zeszyt XI.

Listopad 1899 r.

WE LWOWIE

NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO

GLÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z Drukarni E. Winiarza

1899.



PI 293

Fryderyk Chopin

Ur. w Żelazowej woli dnia 1go marca 1809 — zmarł w Paryżu dnia 17go października 1849).

Jedno z najszlachetniejszych, najbardziej niezwykłych i oryginalnością olśniewających zjawisk XIX wieku to — Fryderyk Chopin. A miłszym i droższym nad wszystko co się w sztuce pojawiło, jest on nam dlatego, że był tak nawstroś swojskim — naszym. Wykołysany melodyami ludu naszego, z sercem przepętnionem miłością do swoich, lubo wcześniej opuścił kraj, przeniósłszy się na najświetniejszą wówczas arenę sztuki wszechświatowej, nieprzestał być nigdy wśród otoczenia obcego indywidualnością odrębną, a niczem niezatarte piętno ducha narodowego położył na dziełach swoich. Ono to przemawia silniej niż wszelkie rodowe dokumenty, głosząc całemu światu wbrew obcemu dźwiękowi imienia, kim jest Fryderyk Chopin.

Do Paryża przybył Chopin w roku 1830, mimo młodego wieku nie jako uczeń, ale jako skończony artysta. Nauka pobierana u Elsnera i Żywnego, zdziałała wszystko, co wobec gieniuszu zdziałać miała i mogła: dała mu potrzebne wskazówki, nie krępując w niczem śmiałego lotu, jaki wcześniej rozwinął. Przybył też do Paryża już po koncertach w Warszawie, Wiedniu i Monachium, mając poza sobą nietylko tryumfy lat dziecięcych, ale poważne uznanie krytyki i pierwsze gorące objawy zachwyty wśród publiczności muzycznej miast światowych. Mimo to w Paryżu pragnął jeszcze studya swe prowadzić dalej. Przekonawszy się jednak, że największa powaga ówczesnego wirtuozowstwa: Kalkbrenner, nie zdołałaby go po tych szlakach prowadzić w górę, o których dla siebie marzył, pozostał przy swoim i wkrótce nietylko, że zjednał sobie imię najwybitniejszego pianisty i kompozytora, ale sam stał się powagą, do której po najwyższy stopień artystycznego wykształcenia się udawano. Najwięksi muzycy zamieszkali

w Paryżu jak Liszt, Meyerbeer, Berlioz, Bellini, Heller i inni, otoczyli go równem uwielbieniem, jak wytworne damy z arystokracji, wśród których znajdowało się wiele prawdziwych talentów. Utworzyła się w koło niego atmosfera idealna, nawskróś estetyczna, pełna zachwytów gorących i szczerých. Chopin, natura w wysokim stopniu wrażliwa, delikatna, kobieca prawie, przypomina wśród niej kwiat jakiś egzotyczny, ochraniający w cieplarni od chłódów północy. Z szerokiemi masami publiczności styka się rzadko, oddany cały tylko słuchaczom wybranym, rozumiejącym go i pełnym podziwu. Cudowne improwizacye przesuwają się przed nimi; są to dźwięki przedziwnej miękkości, upajające, nadziemskie prawie. »Serce smutne i umysł wesół« jak ktoś Chopina określił, znajduje w tych dźwiękach swój wyraz: łzy zdają się tu mieszać z uśmiechami. Wytworny pełen elegancji artysta salonów, czuje głęboko, wybucha nieraz gwałtownie i płacze jak prosty człowiek, umie też jak prosty człowiek rozochocić się nutą mazurka lub walca i rozognić wspaniałym polonezem.

I tak mija kilkanaście lat życia pełnych i bogatych w działalność — praca wydaje owoce: cały szereg dzieł niewypowiedzianie pięknych. Kilkakrotne wycieczki do wód i do Lipska następnie do Nohant, Marsylji i na wyspę Majorkę, a w końcu do Londynu i Szkocyi przerywają w rozmaitych odstępach czasu stały jego pobyt w stolicy Francyi. Pełno w tem życiu jasności i uniesień, blasku i artystycznej chwały, ale i nie brak smutku i cieniów: złożyły się na nie tęsknota za krajem, gorzkie zawody, wreszcie choroba, która przedwczesnie przecięła dni mistrza.

Zmarł dnia 17. października 1849.

Zwiędły kwiaty, któremi przepelniono dom żałoby na placu Vendôme, ucihł płacz całej rzeszy przyjaciół i wielbicieli wielkiego zmarłego, przebrzmiały tony marsza pogrzebowego i Requiem Mozartowskiego, przeciągnął wspaniały kondukt z największemi znakomitościami artystycznymi Paryża na czele i spoczęły zwłoki na obcej ziemi.

Lecz dusza jego, skryształizowana w te cudowne ukochane melodye, pozostała i żyje siłą młodzieńczą, zdaje się nieśmiertelną; żyje dla sztuki i dla serc ludzkich, a najjaśniej i najtrwalej dla nas, którzy w niej widzimy najszlachetniejsze i najczystsze odbłaski naszego życia narodowego.

* * *

Półwieku, jakie upłynęło od owej chwili, mimo wielkich i licznych zmian, zaszłych w sztuce muzycznej, prawie nie tknęło tego skarbu zakłętego w spuściźnie artystycznej po mistrzu. Złoto pozostało kruszcem szlachetnym bez skazy. Chopin okazał się w dziełach swych, mimo zakresu prawie wyłącznie fortepianowego

tak bogatym, tak wielostronnym, że nawet odmienne pojmowanie sztuki muzycznej, nawet przewroty dokonane w stylu, w technice utworów i w środkach, jakimi dzisiejsza muzyka rozporządza; nie ujęły dziełom jego nic z wysokiego znaczenia i wielkiej ich wartości. Co więcej nawet, dzisiejsze ucho zdaje się dosłuchiwać w nich nowych jeszcze szczegółów, a dzisiejsze dusze umieją odkrywać nowe światy w tych mlecznych drogach jego melodyj, w tych czarujących mgłach jego harmonij... I umieją odczuwać z większą może siłą niż dawniej, te drgania bolesne jego serca i ten dramat życiowy, kryjący się w pieśni jego.

Minęły już dawno czasy, kiedy krytyka zwłaszcza niemiecka, udrapowana w pseudoklasyczną togę, nierozumiejąca go, a zaskoczona z nienacka nowością pomysłów i formy, protestowała przeciw utworom jego. Schuman zamknął jej usta. Swoim szlachetnym zapalem i szczerym uwielbieniem utorował Chopinowi drogę w Niemczech. Podobnie umilkły tu i ówdzie odzywające się dysonansem głosy krytyki francuskiej. W niedługi czas po śmierci zapanał on stale w programach fortepianowych wszystkich bez wyjątku wirtuozów wielkich i mniejszych na obu półkulach świata.

Ze znakomitych muzyków pierwszym, który poniósł w świat utwory mistrza, był największy z wirtuozów — Franciszek Liszt. Mimo, że gra jego w sprzeczności stała z grą Chopina i mimo, że tenże nie zawsze zgadzał się ze sposobem, w jaki Liszt pojmował jego utwory, ani nie aprobował zmian, bez których wielki pogromca tłumów nie umiał się obejść; przecież nie kto inny tylko on, przepełniony entuzjazmem i podziwem, wiódł w świat szeroki utwory Chopina. W Niemczech Klara Schuman je rozpowszechniała. Z wirtuozów późniejszych wymienić należy Tausiga, Bülowa i d'Alberta, u których już Chopin wielką część programów zajmuje; poświęcają mu nawet całe wieczory, który to zwyczaj dopiero w drugiej połowie bieżącego stulecia się pojawia. W tym kulcie Chopinowskim jeszcze ważniejsze stanowisko zajmuje Rubinstein. Olbrzymi ten wirtuoz, drugi po Liszcie i jego następcą u wielkiej publiczności, nie krępujący się weale tradycją, swobodny i zawsze w wykonaniu podlegający kaprysowi chwili, traktuje Chopinowską muzykę inaczej, niż inni, rzuca na nią barwy własnej indywidualności.

Wogóle, w traktowaniu muzyki Chopina, należy odróżnić dwa kierunki, jakie ujawniły się w ciągu półwieku kończącego się obecnie. Jeden wychodzi wprost od mistrza i był z pietyzmem uprawiany przez wybitnych uczniów jego, jak Schulhoff, Mathias, Telfson, Mikuli oraz panie Dubois, Kologrywów i ks. Czartoryska. Zasada się na zachowaniu owej idealnej, przeźroczyściej delikatności gry i na jak najsubtelniejszym wyrzeźbieniu szczegółów, na wstrzeźliwości w użyciu siły i na powściągliwości w tempach. Drugi kierunek, śmielszy i bardziej nowoczesny, wystąpił w interpretacji wirtuozów światowych. Nie liczy się on z tradycją,

dopuszcza swobód, które niekiedy wydają się świętokradztwem zwolennikom kierunku pierwszego. Na pozór ci pierwsi mają słuszość zupełną, bo przemawia za nią powaga samego mistrza. Że jednak najbardziej charakterystyczna strona tego rodzaju gry była bez zaprzeczenia w bardzo znacznej części wynikiem osobistych jego fizycznych warunków, przeto niepodobna twierdzić, że i drudzy nie mogą mieć słuszości.

Słuchając opowiadań o grze Chopina, łatwo się wierzy, iż czarował słuchaczy i upajał, mimo że w większych utworach siłę zastępował tylko znakomitą ustąpieniem piana do forte, którego do ostatecznej potęgi nie doprowadzał nigdy. I niemniej łatwo wyobrazić sobie można, że wytworność frazowania i naturalne odczucie utworu, ważniejszym czynnikiem wrażeń się stawały, niż jakieś wirtuozowskie tempo, wzięte przez któregoś z nowoczesnych pianistów. Ale na usprawiedliwienie tych drugich, wziąć trzeba na uwagę to, że dzisiejsza muzyka bardziej rozwinęła się w kierunku wytkniętym sto lat temu przez Beethowena, niż w kierunku Mozarta; że pierwiastek dramatyczny tlejący już w sonatach pierwszego, goreje w dalszym rozwoju muzyki z taką siłą, iż poginęły w jego łunie przezyste kształty klasycznych marmurów i nie uratował ich nawet taki mistrz formy, jak Mendelssohn, równoczesny Chopinowi, a jednak okryty już dziś lekkim zmierzchem zapomnienia.

Cóż więc Chopina do dziś dnia utrzymuje z taką siłą i co mu zapewnia żywot długi i trwały? Otóż to przede wszystkim, że przemawia zeń wielka siła geniuszu, który wśród utworów swoich pozostawił wprawdzie jedną lub drugą rzecz mniej głęboką, niż inne, który jednakże tworzył zawsze pod wpływem natchnienia, gdyż muzyka była mu nie obcą, przybraną, lecz macierzystą mową, przyniesioną na świat z innych jakichś sfer, zrośniętą z sercem jego w jedno. Następnie w wyższym jeszcze stopniu to, że muzyka Chopina mieści w sobie nietylko ową wytworność formy, naturalną jako wynik wpływów Mozarta, Humla i Fielda; nietylko lirykę romantyzmu pierwszej połowy bieżącego stulecia, ale i potęgę żywiołu dramatycznego, a obok najpoetyczniejszych uniesień coś z późniejszego realizmu: jaskrawego, szarpającego nerwy, szalejącego niepokojem, niweczącego ład i porządek. Przesłusznie Schuman o etudzie c-moll powiedział, że są tam działa ukryte pod zwojami kwiatów. A w wieluż to innych chopinowskich utworach odkryć możemy również prądy późniejsze, odczute naprzód intuicyjnie, genialnie, siłą inspiracji rzucone. Nie jest to gładka szklista powierzchnia jeziora mendelssohnowskiej muzyki, ale raczej spad rwących strumieni, rozbryzgujących się w tysiące kropel, łamiących światło w barwy tęczowe. I ciekawą rzecz możemy sprawdzić, przypatrując się programom w ciągu bieżącego półwieku, że usuwają się z nich po części na drugi plan owe utwory naszego mistrza z epoki, w której do Humla się zbliżał, a na pierwszy wy-

chodzą rzeczy, dawniej nie dość popularne, a dziś już zrozumiane i uznane, jak n. p. polonez fis-moll, Ballada f-moll lub Sonaty. Tak jest, te sonaty, którym zarzucano, że nie trzymają się dość ściśle formy, ani stylu sonatowego!... Ale w czasach dzisiejszych to »nietrzymanie się formy« przestało już być zbrodnią i słuchamy sonaty b-moll, a nawet jej dziwaczного finału, bez oburzenia na brak utartego stosunku w ugrupowaniu poszczególnych części, których właściwie wcale w nim nie ma.

I jeszcze jedna okoliczność zapewnia Chopinowi trwałość na długie lata. Oto muzyka jego należy wyłącznie do fortepianu, instrumentu, który tak wielką i ważną rolę odgrywa w bieżącym stuleciu i odgrywać będzie niezawodnie w następnym. Dzisiejsze jednak utwory na fortepian, jakkolwiek wielu kompozytorów poszło śladami Chopina, przeważnie starają się o wydobyć z instrumentu tego efektów orkiestralnych. Już u Schumana to widnieje, u Brahmsa i u najnowszych kompozytorów. Chopin zastał fortepian jako instrument, w chwili rozkwitu, umiał w sposób genialny wszystkie jego tajniki podsłuchać i wydobyć, prawdziwie jak czarodziej. Popłynęły zeń dźwięki, jakich nigdy nikt przedtem nie słyszał, zmieniła się technika gry dzięki śmiałym inowacom mistrza. Słusznie Rubinstein powiada, że Chopin stał się duszą fortepianu. Stąd też utwory jego pod pewnym względem (czysto instrumentalnym), pozostały najklasycyjnieszą literaturą fortepianu i niepodobna przypuszczać, ażeby się znalazł w przyszłości jeszcze genialniejszy kompozytor dla tego instrumentu; a wobec tego, że mimo doskonalenia się fortepianu jakieś istotne zmiany w mechanice jego nie łatwo już zajść mogą, niepodobna również przypuścić, aby znaczenie utworów jego zmniejszyć się kiedyś miało. Chopin w przyszłości istnieć będzie dzięki fortepianowi; i na odwrót: fortepian będzie długie panować lata, dzięki utworom Chopina, stanowiącym jego potęgę. Nie zmożą jej całe archiwa «Clavierauszüge», tak obecnie rozpowszechnionych, że osobną literaturę stanowią.

Słusznie ktoś powiedział, że z pomiędzy wielkich muzyków bieżącego stulecia nikt prócz Beethowena (Sonaty fortepianowe) nie uzyskał tak wielkiej, szerokiej popularności, jak Chopin — oczywiście wyłączwszy kompozytorów operowych. Popularność ta popłynęła całymi strugami, kiedy w r. 1879 pojawiły się liczne wydania jego utworów, które przeszły w trzydzieści lat po śmierci kompozytora na własność ogółu.

Stał się więc Chopin drogim całemu światu, granym przez wszystkich, począwszy od największych wirtuozów aż do najskromniejszych dyletantów. Czemże jednak jest dla nas? Wszak znamy w nim nie tylko wielkiego muzyka, ale i wielkiego Polaka, który do ostatnich chwil czuł się zawsze synem swej Ojczyzny. Tęsknił do niej gorąco, a żary tej miłości i tej tęsknoty wypowiedział tak wymownie, jak żaden z poetów, odtworzył drogi

nam świat naszej przeszłości i naszych walk, świat naszych pragnień; w utworach jego ukochaliśmy posępne cienie naszego nieba i dziarskie odgłosy naszej muzyki ludowej.

W tem uwielbieniu dla niego nie zmniejszyło się nic w ciągu pół wieku, przeciwnie rośnie ono i niedługo może będziemy mogli dać mu nowy wyraz — sprowadzeniem zwłok mistrza do kraju. Warszawa wystawia mu pomnik w Żelazowej-woli i zawiązała sekcję im. Chopina; literatura, zajmująca się jego osobą i dziełami, wzrasta z każdym rokiem, poszczycić się też możemy licznymi i niezwykleimi interpretatorami jego utworów, dość tu wymienić Paderewskiego, Michałowskiego i Śliwińskiego, nie licząc już młodszych.

Nie potrzeba do tego ani środków orkiestralnych, o jakich marzy George Sand dla utworów Chopina, ani żadnej innej sztucznej siły — Chopin pozostanie wielkim dla sztuki ogólnoludzkiej a większym jeszcze dla nas jako wieszcz polski, stojący w niezamiennej niczem chwale, obok największych mężów narodu.

St. Niewiadomski.



Módl się za nami!

Gdy Bóg umierał na świętem drzewie
 Stałaś, o Matko, pod krzyżem łzawa,
 Milcząca wobec krwawego prawa,
 Co Ci Jezusa wydało w gniewie,
 Aby zań rzucić do nóg twych ziemię,
 Którą zaludnia Kaina plemię.
 My odtąd Twemi, Matko, dziećmi...
 Niepokalana! módl się za nami.

Za grzechy świata, przez cierpień morze
 Przeszedł w konaniu Syn Twój jedyny;
 Krwią Serca Swego zmył nasze winy
 I zmartwychwstania ukazał zorze.
 Matko! z dróg grzechu czyż zejść ludzie?
 Czyż się odrodzą w mąk Boga cudzie?
 Za świat Twych dzieci, ócz Twoich łzami,
 Ucieczko grzesznych! módl się za nami!

Jezus Twój spełnił goryczy czarę,
 By w słodycz zmienić boleści życia;
 I podał światu z ran Swych okrycia
 Balsam kojący cierpienia — wiara!..
 Bolesne jęki z ziemi wciąż płyną...
 Czy ży rozpaczy chorych zaginą?
 O Matko! Matko, z siedmiu mieczami,
 Uzdrów nam chorych! módl się za nami!

Zgłodniałych rzesze, potęgi cudem
 Karcił na puszczy, Twój Syn, o Pani.
 Dziś mrą od głodu Twoi poddani...
 Kto się zlituje nad biednym ludem?
 Cudu żądamy! — pomocy z nieba!
 Szukamy pracy — łakniemy chleba!
 Jeszcze niewiara serc nam nie plami.
 Pomocy wiernych! módl się za nami!

Wszechludów berło, dyadem, trony
 Dostałaś, Matko, od Boga w darze.
 U stóp Swych widzisz w stuletniej karze
 Polski i Litwy, Rusi korony!..
 A nas, o Pani, dziś waśń rozrywa —
 Krwią bratnich ludów rosi się niwa...
 O zgodę — jedność — prosim ze łzami!
 Królowo Polski módl się za nami!

Ks. Alfred Wróblewski

Tow. Jez.

piisałem w Lourdes d. 8. września, 1899 r.



Fioletowe pończochy.

SZKIC

przez G. Zapolską.

Pan Stefan powrócił z zagranicy.

Przewróciło mu się w głowie.

Właściwie, nie bardzo mu się przewróciło, ale było coś tam nie w porządku.

Był w Wiedniu i sfiksował na punkcie dwóch słów.

Modern i.. secessja.

Po wystawie secessyjnej chodził jak gap i o mało nie otworzył z podziwu ust, gdy zobaczył secessyjną pannę sprzedającą katalogi w zielonej sukni, siedzącą na zielonym foteliku, z zielonkawą cerą twarzy i dwoma rudemi pejsami po obu stronach zapadłych policzków.

Obrazy rozwieszzone na ścianach zajmowały go mniej, ale wzrok jego przykuły zielone dywany w chorobliwe kwiaty — zielone draperye w pokręcone desenie — jakieś szafki zielone jak grynszpan postawiane w kątach sal i całe teorye pradziejowic o rozpuszczonych rudych drucianych włosach, pomalowane na obiciach przeznaczonych do salonów ludzi, w których łonach płoną, żarzą się, kłębią wiry, huragany, morza wyć jęków i wrzasków dzikich hyjen, słowem — nad ludzi, meta ludzi!

To — modern, to secessjonistyczne, szeptano do koła niego.

Pan Stefan był adwokatem w Krakowie i mieszkał przy Florjańskiej ulicy, na której pędził tramwaj ogłaszając z hukiem i brzęczeniem dzwonnka, że Kraków oprócz tak europejskich instytucji, jak handel Hawelki — promenad, jak linia A—B, posiada jeszcze i tramwaje. Pan Stefan miał w domu meble kupione jeszcze w fazie przedślubnej — meble czarne, z gruszkowego drzewa — pokryte szafirowym aksamitem — meble uczciwego dentysty i te stały zawsze w salonie klasycy — nie poustawiane dokoła stołu na brzegu dywana — w piękny perski desień. Żona pana Stefana była spokojna brunetka o dużych sarnich oczach — tak napozór spokojna, jak meble salonu, odziana zawsze dostatnio i przyzwoicie. W kancelaryi skrobało papier dwóch dependentów, obiad podawano o drugiej. — Pan Stefan drzemał po obiedzie, tymczasem schodzili się klienci, tramwaj huczał pod oknami — w oddali Hejnał jęczał — żona w salonie brzęczała na fortepianie i wszystko było cicho, spokojnie — przyzwoicie.

I teraz ta secessya... ten styl...

To wszystko nawet zrazu wydało się panu Stefanowi śmieszne i brzydkie. Zieleń, fiolet, żółte barwy impertynencko połączone — rzucające się w oczy. Potem te postacie wychudłe z głowami wydętymi... A przecież coś go ciągnęło — kupił sobie na wystawie katalog.

Na okładce była zielona kobieta z rudymi włosami...

Wieczorem, w kawiarni pokazał ten katalog jednemu z polskich dziennikarzy, który pisał swe korespondencje na rogu stołu, otoczony kłębamii dymu.

— Och to... modern! — wyrzekł dziennikarz, a potem z pewną ironią obrzucił pana Stefana litosnem wejrzeniem.

— To się Panu nie może podobać... to zanadto secessjonistyczne...

Lecz Stefan obruszył się na tę obelgę.

— Co? zawołał — pan myśli, że my w Krakowie to już się na niczem nie znamy. Jeżeli kupiłem katalog, to dlatego, że mi się podobał. Ja może jestem więcej modern niż pan — proszę mi wierzyć! — Dziennikarz zadziwił się i pokręcił głową.

— Proszę! proszę!.. ja sądziłem, że to trzeba mieć specjalną estetyczną edukację, aby ten kierunek odczuć i zrozumieć.

— Ja też mam tę... edukację...

— W Krakowie?

— Tak panie — w Krakowie. — U nas też ludzie panie są modern i takie rude panny w zielonych sukniach już dawno malowali na afiszach z naftą!

Stefan wyszedł zaperzony z kawiarni. Na drugi dzień powrócił na wystawę. Długo się wpatrywał w zielone dywany, draperje, chorobliwe kwiaty, pannę z pejsami i powrócił do Krakowa z oczyma pełnemi dziwnych wizji, owianych zielono fioletowemi płomieniami, które go wyrwały z codziennego życia i ciskały w jakieś fantastyczne, nadzwyczajne światy.

* * *

Od dwóch miesięcy Stefan żuje swe wędzidło dobrego męża, obywatela i zdolnego prawnika. Siada do stołu o drugiej — je zupełną porcelanowym gładkim talerzu i patrzy na szafkowy zegar, zawieszony na przeciwległej ścianie. Patrzy na zegar — po nad głową żony, głową uczesaną porządnie, ładniutko, gładziuchno — przyzwocie. Wahadło porusza się ciągle — i minuty mijają, Stefan milczy i żona milczy.

W ogóle mówią teraz do siebie coraz mniej, coraz więcej się oddalają od siebie. Ona chwilami wlepia w niego jakiś dziwny zagadkowy wzrok, jaki mają kobiety, gdy przestają kochać — on czasem ale bardzo rzadko ślizga się po niej stalowem spojrzeniem. I prędko oboje patrzą znów na ścianę — on na zegar, ona na jakiś banalny sztych i jedzą, jedzą, jakby stworzono ich jedynie w celu spożywania pewnej ilości potraw.

Za szybami szmerze, pluszcze — jesienna szaruga. Nie zimno jeszcze — ale deszcz pada i znów ustaje. — Stefan idzie do swego pokoju i kładzie się na kanapie. — Zaczyna czytać Piekierne dusze — książkę o fioletowej okładce i purpurze zdań, nawleczonych na nić utkaną z rozpasanych nerwów. — Nie ma ochoty zajrzeć do kancelaryi, do swych dependentów. Rozwiązał się w mgłę — »rozszalał zgrzytem demonicznych saraband wyjącego morza, skłębionych ciał, sterczących rąk i kometowych warkoczy kurczowo zaciśniętych dokoła spieczonego i drgającego ducha«.

Czuje, iż jest chory, że mu coraz duszniej, cieśniej.

Gdyby miał choć jedną grynszpanową szafkę, albo zielony dywan przed oczami, lub fiolet jakiegoś mistycznego kwiatu na płomiennie złotem tle...

Drzwi uchyla żona.

— Czy wyjdiesz dziś z domu?

Ocknął się i usiadł na sofie.

— Niewiem...

— Ja wychodzę, wrócę na kawę!

Wychodzi i Stefan słyszy jak zamyka drzwi z trzaskiem za sobą. Stefan ironicznie się uśmiecha. Niech wychodzi czy zostaje... jest zawsze od niego daleka!

Jakże on, jej — mógłby się zwierzyć z ową manją modernizmu, jaka opanowała jego umysł? Czy ona go zrozumie — pojmie — od-czuje!...

Siedzi tak długo i patrzy w ziemię. — Jest w nim dużo rozkapryszonej kobiety. — Leczone go na nerwy i z pewnością teraz lekarz, do którego udałby się po lekarstwo przeciw niewyraźnej nudzie, jaka go opanowała, znalazłby jego nerwy w opłakanym stanie.

Wstał powoli z sofy, machinalnie odział się w palto i wyszedł na ulicę. — Nie miał ochoty zajmować się klientami, dependentom rzucił przechodząc »idę w ważnej sprawie«.

Na ulicy szedł zamyślony zaciskając silnie rączkę parasola. Deszcz zaczął padać i błoto oślizgłe, prawdziwie krakowskie błotko płynęło po

ulicach. Stefan machinalnie skierował się w stronę kawiarni. Tam siadywali t. zw. »dekadenci«, krasnoludki nie duże wzrostem, lecz imponujące w mowie i projektach podboju świata.

Panowie ci przeważnie nie zrobili jeszcze nic ani dla literatury, ani dla sztuki, z wyjątkiem kilku ludzi rzeczywistego talentu i pracy.

Ale natomiast, pili masę kawy, wydymali wzgardliwie usta i nauceżywszy się kilku nazwisk w mroku ciemności pograżonych wielkości zagranicznych, spędzali dnie całe w kawiarni maltretując ludzi pracy, którzy mieli nieszczęście zabłąkać się w ich ustronie.

Dekadenci cieszyli się »straszną opinią« w Krakowie. Tu i owdzie bąkano coś o satanizmie, a częste »he! he!...« tych panów powiększały grozę, która nimbem dokoła nich rosta.

Stefan nie mógł jako solidny człowiek i adwokat trzeźwy a mający piękne stanowisko, łączyć się z tą błędno gwieździstą gromadą. Niemniej jednak ciągnęło go coś do nich jak pijaka do wódki. Szedł mimo kawiarni, zwolnił kroku i myślał zaprenumerować *Jugend* i *Revue blanche*, o której dużo słyszał choć po francusku nie umiał.

— Stanowczo mam duszę artystyczną — myślał — mogłem zostać artystą... szkoda!

Przypomniał sobie, że w dzieciństwie wcale pięknie rysował — kto wie, do czego byłbym doszedł.

W każdym filistrze uspiony artysta szamotał się teraz w nim i gniewał na praktycznego człowieka, który mu milczeć i spać kazał. Wydostał się na ulicę Mikołajską. W szarzejącym zmroku duży afisz uderzył jego oczy. Jakaś kobieta podnosiła wysoko rękę trzymając w niej kieliszek. Tło afisza było szarawo żółte a ramię kobiety owinięte szczelnie w fioletową tkaninę. I linja ta brutalnie a tryumfalnie jak wąż barwny przecinała afisz na dwie części.

Stefan wpatrywał się w tę barwę, która przypominała mu secesję, Wiedeń i pannę o rudych lokach. Aż biła energia, potęga i siła od tego afisza i ciągnęła jakby nagle jakiś wspaniały olbrzymi kwiat wykwitł na szarzyźnie splukanego deszczem muru zwyczajnej krakowskiej kamienicy. Stefan stał chwilę wpatrzony w tę linję i z żalem oderwał od niej oczy. Zdawało mu się, że czuje jakąś nerwową ulgę patrząc tak na ten przepyszny i szczery fiolet. Gdy oczy przeniósł na trotuar, na którym deszcz roztaczał bezbarwne krążki, zdało mu się, że znikło chwilowe słońce z jego oczów.

Lecz — nagle doznał olśnienia.

Przed sobą dojrzał nie jedną, ale dwie takie fioletowe smugi — o linjach doskonalszych, delikatnych — o barwie jakby mieniającej się jeszcze błyskami srebra.

Jakaś kobieta uniósłszy suknię szła szybko, a raczej biegła, zakrywawszy się szczelnie parasolem. I to jej nogi, odziane w fioletowe jedwabne pończochy i angielskie wycięte trzewiki mignęły przed oczyma Stefana. Kolor pończoch był ten sam jak na afiszu — secesyjny, wspaniały, estetyczny, modern. Szaro żółty ton trotuaru nadawał się

doskonale na tło i uwidocznił linje, które ginęły w masie falbanek czarnej atlasowej spódniczki.

Stefan aż przeraził się wrażenia, jakie na nim wywarło to zjawisko. Ta kobieta odpowiadała najzupełniej stanowi jego duszy. Skoro ona lubiła i stroiła się w te modernistyczne barwy, zarzucając karawaniarski strój przyjęty ogólnie przez damy — musiała być równie »artystyczną« naturą, wyższą, estetycznie wykształconą — różną od spotykanych kobiet.

Należało pobiedz za nią — dowiedzieć się kim jest, pokochać ją, zwierzyć się nareszcie ze swych smutków... zdenerwowania...

Lecz tramwaj, dwie dorożki, pies, znarowiony koń, policyant — trochę bab — rozdzielili Stefana z ową fioletową duszą. Gdy w ślad za nią przedostał się na drugą stronę ulicy — znikło cudowne zjawisko. Nawet twarży, nawet figury nie zdołał dostrzedz Stefan. Wszystko krył parasol, który nieznajoma zwróciła przed siebie, aby ochronić się od ukośnie padającego deszczu.

Stefan smutny jakby własną duszę zgubił powraca do domu.

Och! och! mgnienie secessyi, fioletowe pończochy, gdzież wy jesteście mistyczne kwiaty — wspaniałe irysy, smukłe i kształtne... gdzież wy jesteście...

* * *

Wieczór.

Państwo »mecenasowstwo« powrócili do domu i mają zamiar zasiąść do poobiedniej kawy. Bo wszystko w tym domu odbywa się nie po pańsku — ale... ot... przyzwoicie, po mieszczańsku. Do kawy stół nakryty — rogaliki, sucharki, masło. Stoi śmietanka, są nawet kozuszki...

Lampa nad stołem już zapalona, taka duża solidna lampa »na wyrost«, która posłuży jeszcze dzieciom i dzieciom dzieci.

W sypialni pani mecenasowa przebiera się w szlafrok — a pan Stefan siedzi już przy stole i udaje, iż czyta gazetę. Udaje, bo mu wciąż przed oczyma migają jak niedoścignione mary fioletowe pończochy.

Tymczasem w sypialni pani mecenasowa w złym humorze każe służącej podać sobie z szafy parę świeżych czarnych pończoch.

— Przemoczyłam nogi i patrz co się stało! — mówi do służącej, wysuwając bardzo ładną, kształtną nogę.

— O rety!... do cna puściły!...

— A zaręczali, że nie puszcza! — mówi mecenasowa i szybko ściąga z nóg — długie fioletowe pończochy.

— Weź je... wyrzuć, włożyłam je raz — zrób sobie z niemi co ci się podoba!... — mówi do sługi — niech mi się więcej nie płaczą.

Hanusia bierze ostrożnie mistyczne kwiaty, secessyjne smugi — prabarwne zjawisko, małe pończochy i wynosząc je do kuchni mruczy:

— A to psia kość dopiero oszusty!...

* * *

Gdy mecenasowa wchodzi do jadalni cichutko w swych pantofelkach filcowych, Stefan mimowoli spogląda na jej nogi.

Są obciążnięte czarnymi banalnemi pończoszkami i nie zdają się nie mieć wspólnego z fioletowemi irysami, które wyrwały sobie w jego mózgu ognistą drogę.

Uśmiech ironii przesuwają się po ustach Stefana i wzrok jego obrzuca nim całą postać żony, bardzo na pozór chłodną, mieszczańską i spokojną.

— Ta już pewnie nigdy nie włożyłaby fioletowych pończoch! — myśli sobie w duszy...



Svetozar Hurban-Wajanski.

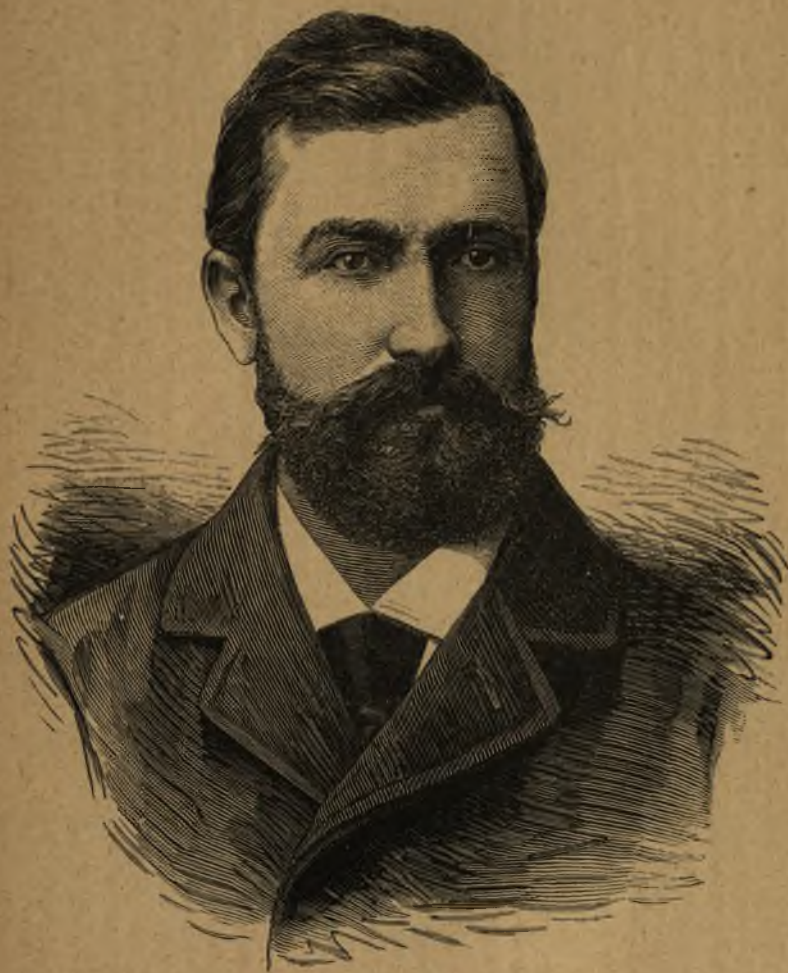
(Sylwetka literacka).

Stara piosenka: »Węgier, Polak, dwa bratanki!« należy już niestety do historii. Zakarpaccy sąsiedzi głoszący przed pół wiekiem szczytne hasła wolności, które kwiat polskiej młodzieży powołały pod ich sztandary, stwierdzili dowodnie, że niepodległość pojmują jeno w znaczeniu egoistycznym a ucisk bezprzykładny, jakiego ze strony synów Arpada doznają nasi pobratymcy słowiańscy w krajach korony Świętego Szczepana, wywołać musi wśród naszego ogółu serdeczne współczucie dla przesładowanych i gnębionych.

Tem też silniejsze wrażenie sprawia w każdym, nieprzejętym bezwzględna adoracją dla przejściowej racyi stanu umyśle, skarga poety, wiernego syna uciemiężonego narodu, którego dolę opiewa w tęsknym »Westchnieniu« :

Z wrzaskiem górą leci.
Czarny kruk zdaleka,
Niesie żer dla dzieci,
Dla rodziny swojej,
Co tam w gnieździe czeka.

Wyje wilk i bieży,
Mięsa kawał w pysku,
Żer dla wilcząt świeży,
Co zgłodniałe marzną
W zimnem legowisku.



Svetozar Hurban-Wajanski,

Lecz tam, gdzie gór sploty
 Nikt, nikt nie przyleci —
 Cóż to za istoty
 W biedzie, bez pomocy?
 To słowackie dzieci...

Pieśniarzem, przemawiającym tak serdecznie, jest nie kto inny, jeno Svetozar Hurban-Wajanski, najznakomitszy dziś wieszcz słowacki, ofiara madyarskiej repressyi, szerzącej wśród jego ziomków te same zasady, jakimi przed laty posługiwała się wśród nas biurokracya niemiecka.

Svetozar Hurban, pisujący pod pseudonimem Wajanskiego, ujrzał światło dzienne w dniu 16. stycznia 1847 r. w Głębokiem. Ojcem jego był dr. Józef Hurban, pastor ewangelicki, żarliwy poplecznik Ludwika Sztura, który pierwszy między Słowakami, używającymi do tej pory w piśmie języka czeskiego, rzucił hasło: Piszmy, jak mówimy! Hasło to znalazło szeroki oddźwięk w całej Słowaczyźnie. Napróżno czescy uczeni i literaci czując, że usuwa się z pod ich wpływu cały, trzechmilionowy naród, starali się ruch ów powstrzymać prośbą, groźbą, szyderstwem. Usiłowania Szafarzyków i Kollarów na nic się nie przydały. Ruch, zapoczątkowany przez Sztura i Józefa Hurbana, wydał szereg rdzennie narodowych pisarzy i poetów słowackich, wśród których syn tego ostatniego pierwszorzędną zajął stanowisko. A zajął je młody Svetozar nie bez doświadczeń bolesnych i trudu. Nauki musiał pobierać w Niemczech, gdyż ojciec jego, skompromitowany w rewolucyi czterdziestego ósmego roku wobec patriotów węgierskich, nie mógł dla niego znaleźć umieszczenia w szkołach krajowych. Tak więc młodzieniec, kształcący się w obcym języku, dopiero po ukończeniu studiów prawniczych w uniwersytecie peszteńskim zaczął działalność autorską w czasopismach słowackich. Jakkolwiek pisywał pod przybranem nazwiskiem, mimoto nie uniknął prześladowania ze strony władz administracyjnych, zniewalających go do ciągłego przenoszenia świeżo otwartej kancelaryi adwokackiej z miejsca na miejsce.

Nadszedł rok 1878.

Poetę, ojca rodziny, zabrano pod karabin i wyprawiono do Hercogowiny. Fakt ten zniszczył materialnie Hurbana, zniweczył jego karierę adwokacką, ale rozbudził w nim drzemającą wenę poetycką. Że nie była to poezya pogodna, ani też ugodowa — rozumie się samo przez się. Już z teatru wojny przesłał *Narodnim Nowinom* pełne polotu i wdzięku »Listy adryatyckie«, które wywołały ogólny zachwyt w szerokich kołach czytelników. Pod zimę wrócił do swoich i wstąpił do redakcyi »Nowin«, wydawanych przez Skultetyego w Świętym Marcinie Turoczańskim. Zniżyć przyjdzie czoło przed długim szeregiem wierszy, pieśni, tercyn, sonetów, o barwach prześlicznych, ciągnących fantazyę, oraz pisanych prozą, ale nigdy nieprozaicznych noweli i powieści. Nie zawsze jednak i nie bez zastrzeżeń zgodzić się można na idee, w te cudne przybrane barwy. Jeżeli nienawiść przeciw ciemnościom węgierskim zaciemnia nieraz

wzrok i sąd Wajańskiemu-redaktorowi, i popycha go bezwiednie niejako w objęcia potężnej Rosyi, to ujemne te uczucia z wulkaniczną niemal wybuchają siłą u Wajańskiego-poety. Pełna demonicznej, rzecz można, potęgi jest jego *Pax detestata* :

To nie tragedia; nasz ból szalony,
W tragedyi walka i dumna śmierć,
Nie mieczem, kaźnią, torturą, hakiem,
Nie bożych gniewów jawnym piorunem
Śmierć na nas idzie, lecz jakby żyły
Kto popodcinał, krew cieknie, cieknie,
Z krwią cieknie życie.

Jeszcze namiętniej, świętym uniesiony gniewem, potępia odstępców narodowego ducha i języka, renegatów-karjerowiczów :

Wierny jest jako gad,
Jako księżyc stały,
Litościw jako kat,
Jako fala pewny,
Jak hyena łagodny,
Odważny jak zając,
Jak echo sam sobą,
Poważny jak pajac,
Czysty jako smród,
Wrzący jako lód,
Oh! o tę laleczkę
Niemasz się co bać!

Wydany w roku 1880 zbiór poezyi p. t. »Tatry a morze« zapewnił Wajańskiemu zasłużoną sławę daleko za granicami Słowaczyny. Po »Tatrach« nastąpiły nowsze utwory poetyckie »Z pod jarzma« (1884), »Wilin« (1885). »Wiersze« (1890) podczas gdy z dzieł pisanych prozą największem uznaniem cieszyła się powieść p. t. »Sucha latorość«. Gdy w roku 1875 rząd zawiesił działalność »Maticy« z takim trudem stworzonej w Świętym Marcinie, założył Wajański wraz z Skultetym nowe ognisko dla literackich i patryotycznych dążeń swego narodu w miesięczniku »Slovenske pohľady«. To też w r. 1897 cały naród z rzetelnym pietyzmem uczcił pięćdziesiątą rocznicę urodzin poety, którego sympatyczna osobistość i na wrześniowym wiecu krakowskim niepospolite sprawiła wrażenie.

P.



MACIEJ KÓWAL.

Dramat w jednym akcie przez Kazimierza Rojana.

O S O B Y :

Wiktor.

Maciej, kowal.

Jagna, jego żona.

Wójt.

Jasiek, strzelec Wiktora.

Wykot, włościanin.

Trzech innych włościan.

Rzecz dzieje się na wsi.

SCENA I.

Z boku po lewej stronie sceny kuźnia, po prawej ogród z drzewami, w głębi sztachety z przełazem, stół i ławka z boku. W oddali na tle zarysowuje się część wiejskiego dworu. Z kuźni wylatują iskry i słychać uderzenie młota o kowadło. Po chwili wypada stamtąd ukuta podkowa.

Z lewej strony wchodzi Jasiek i ogląda się, później Maciej i Jagna.

Jasiek (*spozstrzega żelazo na ziemi*). Ej, jaka ładna podkowa, (*bierze ją w rękę, potem nagle puszcza i strzepuje ręką*). Hij!... gorąca (*przyklada palce do ust i skacze na jednej nodze*).

Maciej (*wychodzi*), A co tam?

Jasiek. Popiekłem palce. Szczeźliby wy Macieju z waszą podkową.

Maciej. A, bo u kowala trzeba najpierw pluć, a potem brać. Bardzoś popiekł? (*ogląda mu palec, woła*). Jagna!

(*wchodzi Jaga*).

Jaga. Jasiek, a tobie co?

Jasiek. Popiekłem palce, ot co!

Jaga (*uderzając w dłoń*). Palce popiekł! Pokaż (*ogląda*). Biednyż ty mój Jasiek! (*śmieje się*). A czegoś taki ciekawy?

Maciej (*do Jagi*). Przynieś no niebogo, mokrej gliny i strzępek szmaty jakiej. (*Jaga odchodzi*).

Jasiek. Ja tu do was... (*ogląda palce*). Ja tu do was Macieju od panicza. Kozła na jutro potrzeba. Goście przyjeżdżają do dworu, więc trzeba kozła.

Maciej. To go ubij, przecieżeś strzelec.

Jasiek. Ubiłbym, ale dalibóg, schodziliśmy z paniczem cały zrab i nawet biednego zajaca nigdzie nie dojrzeć. Panicz wstąpił do proboszcza i zaraz sam tu do was przyjdzie.

Maciej. A skądże ja kozła wezmę?

Jasiek. Pójdziecie na zasiadkę wieczorem. Słonko zachodzi, piękna noc, miesiąc już zeszedł i będzie jasno jak we dnie, a wy już znacie, gdzie na kozła zasiąść.

Maciej. Skąd mam znać? Dawno zapomniałem, gdzie sarny wychodzą. Idź ty sam.

Jasiek. Alboż to nie wiecie Macieju, że ja mam kurzą ślepotę. Poszedłbym, ale cóż?! Za dnia to ci dojrzą spiocha w brudzie na roli o sto kroków, jak amen w pacierzu, a przyjdzie noc — to, choć w gębę daj, nie widzisz nic. Panicz kazał wam powiedzieć Macieju, żebyście poszli na zasiadkę i koniecznie kczła dostali.

Maciej. Tak, a potem powiedzą jeszcze we dworze, że stary, zamiast pilnować kuźni, łązi po nocach i łucze dworskie sarny.

Jasiek. Co mają mówić, przecież to sam panicz kazał.

Maciej. Hm... (*uśmiecha się*). Kiedyż bo, widzisz Jasiek, ja dalibóg już nie wiem, gdzie te szelmy wychodzą. Z pięć lat rusznicy nie miałem w rękach.

Jasiek. Dyć to prawda?

Maciej. Nie wierzysz? (*do siebie*). Chybaby pójść pod las na księdzową pasiekę.

Jasiek. A juźci na księdzową pasiekę... o, tam w mig kozła dostanie.

Maciej. Żeby jeno wyszedł, psia wiara, to już ja z nim pogadam na rozum.

Jasiek. Więc pójdziecie Macieju?

(*wchodzi Jaga*)

Maciej. (*zastanawia się patrząc na żonę*). Czy ja pójde?

Jaga. Dawaj tu palczyśka Jasiek... (*ogląda palce*). Ależ boś popiekl, popiekl, nieboże!... bąbel jak fasola, niechże cię nie znam. Czemuś będziesz teraz strzelał?

Jasiek. Czemu?... chyba oczami. Aj nie ściskajże, Jaga, tak mocno, bo boli. (*do Macieja*). Wiecie stary, żebym miał taką kobiecinę jak wy, to doprawdy, nie brałbym fuzyi pięć lat do ręki.

Maciej. Ale, że kobieciny nie masz, to już lepiej strzeż fuzyi i psich ogonów.

Jasiek. Albo co, zazdroś wam?

Jaga (*uderza go po ustach*). Ej, uważajno, Jasiek. Trzymaj ty język za zębami, jeżeli nie chcesz, żebym ci zaraz przyłożyła do niego podkowę.

Maciej (*jowialnie nakładając krótką fajeczkę*). A język trudnoby oblepić gliną i szmatką owinąć, bo gadzina wciąż się wymyka i chowa za zęby...

Jaga. Masz.

Jasiek. Bóg zapłać.

Jaga. Gdzieś to jeździł z paniczem.

Jasiek. Do panny.

Jaga. Daleko?

Jasiek. A no, daleko, bardzo daleko, pięćdziesiąt mil z okładem.

Jaga. Ładnaż ona?

Jasiek. Czy ładna? ot, tak sobie, ale za to bogata... ou!... niezmiernie bogata.

Jaga. Spodobała się paniczowi?

Jasiek. Czy ja wiem?

Maciej. Jagna, dziecko płacze. (*Jaga wychodzi*).

Jasiek. Dalibóg, ta wasza Jagna z każdym dniem ładniejsza. Łania nie kobieta.

Maciej. Hm... (*kręci głową*).

Jasiek. A waszemu chłopcu jak na przyzwisko? bo chłopiec jest, nieprawdaż?

Maciej. Chłopiec, a jakże, chłopiec... tęgi i zdrowy, a na przyzwisko mu tak samo jak tobie: »Jasiek«.

Jasiek. Zaraz sobie myślałem, że tak będzie.

Maciej (*z przekąsem*). I dlaczegoś ty sobie zaraz tak myślał?

Jasiek. A no, mozem was nie poswatał? — więc dla wywdzięczenia...

Maciej (*trąca go*). Idź!... ty smyku jeden! Ożeniłem się sam, bom chciał i nikt mnie nie swatał, rozumiesz durniu?! Patrzajcie go! A pamiętasz ty, nieboże, jakieś uganiał boso za gęsiami po łące? co, pamiętasz? Żeby nie stary Maciej, tobyś dzisiaj jeszcze, zamiast łązić po polach z paniczem i nosić w torbie ptaki, biegał dalej boso za krowami i suchy chleb gryzł, a wodę na noc pił, nie herbatę. (*złościwie*) Ale ty masz dziś pański kubrak na grzbiecie, ładne szarawary, ładne ciżemki i fuzyjkę na plecach, ha toś ty już zapomniał, jakieś z głodu u starej matki przymierał.

Jasiek. E, co tam o tem. Więc pójdziecie stary na zasiadkę, co?

Maciej. Pójdę, skoro panicz każe. Ale nie myśl sobie Jasiek znowu, że ja taki głupi, jak ty mądry. Ty, Jasiek, jedno wymiarkuj sobie dobrze (*namyśla się patrząc nań z ukosa*). Kubrak na grzbiecie ładny masz i zegarek i ciżemki i — i całe kości także masz, więc pamiętaj Jasiek! Ja jaśnie panicza szanuję, Bóg widzi, sumiennie szanuję, ale pójdź ty do niego, pokłoń się odemnie do kolan i powiedz... No, ty już wiesz co?... boś ty przecie nie głupi, a nawet myślisz, żeś mądrzejszy odemnie.

Jasiek. Co takiego, co?... dalibóg, że nie nie rozumiem.

Maciej (*ostro*). Machaj!

Jasiek. Powiem zatem paniczowi, że kozioł będzie. (*odbiega, w drodze uderza piersią o wójtę*). O!...

SCENA II.

Maciej, Wójt.

Wójt (*za Jaskiem*). Bodajes kark skręcił! (*podchodzi*) Dobry wieczór Macieju, już po robocie? (*podaje Maciejowi rękę*).

Maciej. Już Bogu dzięki.

Wójt. To możemy pogadać. (*patrzy na ziemię*) A, jaka ładna podkowa... (*pochyliła się i pluje na nią*) gorąca, syczy jeszcze.

Maciej. Jasiek próbował palcami.

Wójt. Oj, ten Jasiek!... jego by całego ponadpiekać żelazem. I cóż Macieju, namyśliliście się?

Maciej. Względem czego? (*siadają*).

Wójt. A, względem pola i obejścia.

Maciej (*po chwili namysłu*). Nie jeszcze. Co wam tak, panie wójcie, na mojej marnej chacinie zależy? Ja tu siedzę na gruncie trzydzieści lat to mi i żal... dalibóg żal. Czy to mało we wsi pola i ogrodów? Ja się nie drożę, Bóg mię chroń — ot, żal mi jeno każdego żdźbła słomy na tej ziemi, żal tego tam węgla. na kupie — wszystkiego żal.

Wójt. Dobrze Macieju. Wy powiadacie: pola dosyć we wsi — to prawda; ale widzicie, gdy ja moje trzy morgi sparuję z waszem polem i ogrodem to będzie razem pięć. Gdyby nie to, że wydaję córkę i chcę dać zięciowi ładny poczęstunek, toby mi nawet na myśl wasz grunt nie przyszedł. Co mi tam!... Ale tu, widzicie, niby dwa konie u wozu albo dwa palce... o, (*pokazuje na dwa palce*) moje pole, wasze pole!... a razem to akurat pięć morgów, jak obszył. To też tak, jak ja wam zapłacę, nie zapłaci wam nikt! Wy Macieju kupicie sobie nowy grunt, gdzieś dalej od dwora, po drugiej stronie siola, wybudujecie tam nową kuźnię, dacie ładne ogrodzenie.

Maciej (*namyśla się*). Kiedyżbo nie mogę. Dlaczego ja mam być z daleka — od dworu, na drugim końcu siola, kiedy mnie tu dobrze.

Wójt. Kto wie czy tam nie będzie lepiej.

Maciej. Dlaczego lepiej?

Wójt. Bo widzicie... no, nie gniewajcie się, ale ja wam coś przecie powiem: Ot, wasza Jagna ładna i hoża kobiecina, dwór niedaleko, panicz młody... To też różnie bywa na świecie... a ona przecież dworska... u starej dziedziczki była za pokojową.

Maciej. I cóż z tego?

Wójt. No, nie. Ja mówię jeno, że żona wasza ładna a ludzie mają oczy.

Maciej. Słonko także ładne i na siebie patrzeć nie broni. Niech więc ludzie patrzą, gdy chcą, jam o to nie gniewny.

Wójt. Ba, żeby to tylko patrzyli... Ona przecież dworska.

Maciej. Była dworska, a teraz jest moja. A na ostatek, moiście wy!... Co mnie to wszystko odchodzi?... Gadają o Jagnie, że była dworska, dobrze niech gadają!... Byli już tacy, co mi za plecami szep-

tali, że ten mały chłopczyną, Jasiek, to także nie mój — dobrze, niech i tak będzie...

Wójt. E, bo wy Macieju...

Maciej. Zaczekajcie: Koń ma cztery nogi a potknie się na gładkiej drodze i to nie jeden raz, a cóż dopiero młoda i ładna dziewczyna we dworze. To też, panie wójtcie, choćby i tak było, to ja na to nie baczę. Jagna odkąd wyszła za mnie, uczciwa kobieta jest, gospodyni dobra i żona jak się patrzy... to też ją miłuję uczciwie, bardzo uczciwie, tak jak każe Boskie przykazanie, a może nawet i więcej. Ale to wszystko, co ludzie o Jagnie powiadają, to nie prawda! Słyszycie, nieprawda! I możecie, panie wójtcie to com rzekł, kaźdemu z czystym sumieniem powłóżyć; możecie powiedzieć, panie wójtcie, że stary Maciej, kowal, ma dobre oczy i wszystko widzi, ma dobre uszy i wszystko słyszy — ale, że kowal Maciej więcej wie niż głupie ludzie, dlatego czasem udaje, że nie nie widzi, nie nie słyszy... To wszystko, jako żywo możecie im, panie wójtcie powiedzieć! A co do gruntu to wierzajcie: nie mogę. Co mi po waszych ładnych pieniądzach, kiedy ten szmat ziemi, to moja ojcowizna. Nie, nie pójdę na drugi koniec sioła — nie, zostanę tu, tu, tu!... bo mi tu dobrze. (*uderza pięścią w stół*).

Wójt. Wy, Macieju jesteście, jak to powiadają »filozof«, to też nie ma co z wami gadać! Ot, młody dziedzic nadchodzi. Bądźcie zdrowi.

(*Odchodzi, kłaniając się Wiktorowi*).

SCENA III.

Wiktor, Maciej później Jaga.

Wiktor. I cóż stary, będzie kozioł na jutro?

Maciej. Będzie, jaśnie panie — chyba nie wyszedł. Ale to już jego rozum, nie mój.

Wiktor. Czas już iść, słońce zaszło, spóźniecie się.

Maciej. Ja też zaraz idę, jeno powieczeram.

Wiktor. Jakże wam się powodzi, słyszałem, że macie syna.

Maciej. Mamy, dzięki Bogu: walny chłopiec.

Wiktor. Walny chłopiec, patrzaj! I cieszycie się? W waszym wieku mieć chłopca... no, no!

Maciej. Panie pyta czy ja się cieszę. A jużci, że się cieszę. Gdy przyszedł na świat, od razu rozweseliło się w chacie. Chłopak, jak kluska, wrzeszczy po nocach (*Jaga drzwi otwiera od chaty — Maciej ogląda się*) wrzeszczy po nocach i spać nie daje, ale za to we dnie śmieje się jucha, że aż radość bierze.

Jaga (*do siebie*). Panicz... (*chce się cofnąć*).

Wiktor. Ej Jaguś, jak się masz. Cóż to uciekasz przedemną.

Jaga (*po krótkiej chwili wahania idzie do Wiktora i chce go pocałować w rękę*) Nie, nie uciekam panie.

Wiktor (*chowając ręce za siebie*) Dajcie pokój kobieto.

Maciej. Niech jej jasny dziedzic nie broni, powinna znać, co się panu należy.

Wiktor. Ona przecież wie, że ja tego nie lubię.

Maciej. Już zapomniiała.

Wiktor (*patrząc na Macieję*). Zapomniiała?... Opowiadał mi proboszcz, że bierzecie od niego książki i czytacie.

Maciej. Prawda. Jegomość sprowadza różne różności z miasta i pożyczca ludziom. To też czyta się coś niecoś przy świętej niedzieli. Jagna czyta, a ja słucham i lulkę kurzę.

Wiktor. A prawda, Jagunia przecież piśmienna.

Jaga. Oj, nie Jagunia ja już paniczu, ja teraz Jagna i dobrze mi z tem.

Maciej. Bo i pewnie.

Wiktor. Jagna, czy Jagusia, wszystko jedno, zawsze ta sama.

Maciej (*do żony*). Skoczno Jagna do chaty, wynieś mi torbę i ruszniczkę, a do torby kryszkę chleba daj i słoniny.

Jaga. Zaraz. (*odchodzi*).

Wiktor. (*patrząc za nią*). Nie widziałem jej kilka miesięcy: tęga kobieta. (*zwracając się do Macieja*) I dobrze wam z nią?

Maciej. Dobrze panie dziedzicu, żeby tak zawsze było.

Wiktor. Ciesz się. Więc rogacz będzie na jutro?

Maciej. Hm... będzie.

Wiktor (*uśmiechając się pod wąsem*). I ja myślę, że będzie. No, bywaj zdrów stary (*uderza go po ramieniu*). A spiesz się. (*odchodzi w stronę palacu*).

Maciej. (*po chwili wahania*) Paniczu... jaśnie paniczu.

Wiktor. Co tam?

Maciej. Ot, chciałbym jeszcze coś rzeknąć.

Wiktor. Cóż takiego.

Maciej. (*serdecznie*) Panie dziedzicu (*waha się i nagle*) nie róbcie mi krzywdy.

Wiktor (*z uśmiechem*). Jakiej krzywdy? Co ty mówisz stary!

Maciej. Bo to co było, to było... a teraz człek musi na to baczyć, co jest. Panicz ma różne zabawy na świecie. Pojedzie sobie do miasta, pojedzie do jednego, do drugiego, do trzeciego i widzi tam różności, i cieszy się i bawi — a człowiekowi jedno tylko zostało: chata, praca i uczciwość. Przecież stary Maciej całe życie był wierny dworowi i robił co i kiedy kazali, dzień nie dzień, noc nie noc. Panicz był małym jeszcze, ot tyeim... a przychodził do mnie i rozkazywał »Macieju, ukuj mi siekierkę« — Maciej kuł; »Macieju, zrób pług i małą bronę«, — Maciej robił. A ile to pilników utopił mi panicz ze zbytków w sadzawce. To też jaśnie panie dziedzicu, nie róbcie mi dziś krzywdy. Jedno mam i to jedno miłuję jak duszy zbawienie.

Wiktor. Doprawdy nie rozumiem, czego ty właściwie, stary, chcesz odemnie.

Maciej. Panicz rozumie już dobrze.

Wiktor. Ciekawe! Ależ ja cię wcale krzywdzić nie chcę.

Maciej. Nie?... ha, Bóg zapłać i za to. Pańskie słowo święte.

Wiktor. *(rzuca dłuższe spojrzenie i odchodzi przez przełaz, nucąc pod nosem piosenkę).*

Maciej. *(uderza w dłonie)* Hej, Jagna, dawajże już raz!

SCENA IV.

Maciej, Jaga.

(Jaga niesie strzelbę, torbę i burkę).

Maciej. Dałaś wczorzę do torby?

Jaga. Dałam.

Maciej. Dobrze. *(bierze strzelbę i nabija ją wśród czego Jaga trzyma mu worek z prochem).* Potrzyмай kulę.

Jaga. *(bierze kulę i podrzuca ją na dłoni).*

Maciej. Ciężka, co?

Jaga. Ciężka.

Maciej. Gdy raz ugodzi, to i trup. Dawaj. *(przybija kulę i ogląda strzelbę).* Dobra strzelbina, ho, ho!.. *(bierze strzelbę pod pachę i zamysła się, spoglądając w dal).* Coś mi się widzi...

Jaga. Co ci się widzi?

Maciej. *(rozważnie i wolno).* Ja teraz Jagna idę i może nie wrócę aż świtaniem. Ty sobie tu siedź spokojnie, pilnuj dziecka i obejścia i nie wychodź nigdzie.

Jaga. Gdzieżbym miała iść.

Maciej. Ja nie wiem gdzie, jeno tak sobie myślę. Bo ty Jagna może nie wiesz: każde stworzenie ma swój rozum, tylko jedna baba czasem go zatraci.

Jaga. Co też ty Macieju mówisz.

Maciej. Świętą prawdę mówię. Pamiętam jedną taką niewiastę, co ją zwali Krzychna; niezego sobie była kobiecina, jeno nie wiedziała co dobre a co złe, co sprawiedliwe a co niegodne. A po śmierci, gdy ją pochowali, to ei chodziła do księżycy po okopie cmentarnym a jeźczała, a wyła, a gryzła palce że aż strach...

Jaga. Albo to prawda! Ej, stary, stary, co też ty nie wymyślasz?

Maciej. Mówisz, że wymyślam? To ja ci teraz coś sprawiedliwszego rzeknę. Ej, Jagna, strzeż ty się niebogo, bo nic łatwiejszego, jak własnemu szczęściu napluć w oczy. *(zarzuca burkę na ramiona)* No, bywaj Jagna zdrowa i miej się dobrze *(przyciska ją do piersi, całuje i odchodzi na lewo).*

Jaga. *(opiera się ręką o chatę i spogląda chwilę za nim, potem wraca, wzdycha i patrzy przez ckno do wnętrza izby. Do dziecka, pieszczotliwie)* A ty!... przeciągasz się już przeciągasz? *(cmokta do dziecka)* Jasiu! Wyspałeś się zbereźniku mały i chce ci się

krzyżeć, co... krzyżeć ci się chce? (*jak wyżej*) Jasiek! A w nocy to zacznieś się bawić i matce oka zmróżyć nie dasz, co?... (*cmokta*) Jasiek!... e!... widzicie go, jaki mi pan... Jasiek...

(*Przez przełaz przeskakuje Wiktor, skrada się ku niej i ścisną ją za ramiona*).

SCENA V.

Wiktor, Jaga, później Jasiek.

Jaga. Matko Boża!... jakżem się przelekkła!

Wiktor. Przelekkłaś się?... kogo?... mnie?

Jaga. No, pewnie. A kogożby?

Wiktor. (*z uśmiechem, trzymając ją za ręce*). Zawsze ta sama, zawsze musi się przestraszyć — bo inaczej nie byłoby zabawy.

Jaga (*nieśmiało*). Po co panicz tu przyszedł?

Wiktor. Do ciebie, moja Jaguś. Dawno nie oglądałem twego rumianego liczka.

Jaga (*prosząco*). Niech panicz tak nie mówi!

Wiktor. Czemu nie mówić?

Jaga. Bo teraz tak mówić nie można.

Wiktor. Co ty wiesz, wszystko można. (*przyciska ją do siebie i całuje*).

Jaga. (*broniąc się nieznacznie*) Ej, paniczu... nie, nie.. cicho!

(*Chwila milczenia, wśród której Jaga podnosi palec do ust i słucha*).

Wiktor. No?... o czym myślisz?

Jaga. (*trzęsie głową i słucha dalej*). Ja nie myślę, ja słucham. Zdawało mi się, że ktoś idzie.

Wiktor. Ktoby tam szedł.

(*wchodzi Jasiek*).

Jasiek (*oznajmiająco*). Kozioł będzie pewnikiem jaśnie panie na jutro — Maciej już za wsią, na polu.

Wiktor. Dobrze, wynoś się.

(*Jasiek odchodzi przez przełaz*).

Wiktor (*do Jagi*). Słyszałaś?

Jaga. Co?

Wiktor. Maciej już za wsią.

Jaga. Nic nie słyszałam paniczu.

Wiktor. (*obejmuje ją znowu*) Ej, Jaguś, nie udawaj. Słuchajno, myślałaś ty kiedy o mnie w ostatnich czasach?

Jaga. Nie wiem, paniczu... ja teraz już nie nie wiem. (*wzdycha*)

Wiktor. A pamiętasz Jaga... (*szeptem jej do ucha*).

Jaga. (*trzęsąc głową*) Nie, nie, nie... nie nie pamiętam...

Wiktor. I syna masz, co?

Jaga. Mam.

Wiktor. A do kogo podobny?

Jaga. Czy ja wiem... (*filuternie*) do ludzi..

Wiktor. Patrzaj... jaka doweipna. Gdzie on jest, ten twój syn?

Jaga. W chacie.

Wiktor. A no, to chodźmy. Muszę zobaczyć czy ładny.

Jaga. Pewnie że ładny! — ale tam iść nie potrzeba.

Wiktor. Czemu?... Chodź! (*pociąga ją ku chacie*).

Jaga. Nie... nie... paniczu (*opiera się*). On teraz spi. Zobacz go panicz kiedyindziej, za dnia, jak Maciej będzie w domu.

Wiktor. Nie, ja chcę zaraz, chodź! (*ciągnie ją*).

Jaga (*prosząco*). Paniczu!...

(*Wiktor wciąga ją do chaty*).

SCENA VI.

Scena przez chwilę wolna — okno od chaty zamyka się z wewnątrz. Potem przez przełaz wstępuje **Jasiek**, siada na nim, wydobywa tytonierkę, kręci papierosa i zapala go flegmatycznie.

Jasiek. (*zaciągając się dymem*). Ładny kubrak na grzbiecie masz, ładny zegarek, pantaloney i ciżemki... A jakże!... żebyś wiedział, że mam, i jeszcze niejedno mieć będę. Kto wiernie panu służy, ten ma wszystko czego mu potrzeba — bo tak już na świecie jest, że jeden musi służyć, a drugi panować. Inaczej nigdy nie będzie. Ty stary durniu nie mów o moich całych kościach, bo tobie do moich kości wara. Ej, skoczę ja i przecież obaczę, bo jemu coś niedobrze ze ślepiów parzało, a stary zawzięty i mściwy, kości by napewne połamał.

(*zeskakuje z przełazu i odbiega na lewo*).

SCENA VII.

Maciej. (*Wychodzi chyłkiem z krzaków z prawej strony, przechyla się i patrzy za Jaskiem, jakby rozpoznawał kto to pobiegł do siebie*). Aha!... (*podchodzi dalej, staje i waha się*). Jakiś bies mnie napadł w drodze i wciąż zawracał do chaty... Oj, nie tu dobrogo nie będzie (*skrada się do drzwi i słucha chwilę — odstepuje i podchodzi ostrożnie do okna*). Ha!!! (*podnosi strzelbę w górę jakby chciał kolbą roztrzaskać okno; potem cofa się gwałtownie na środek sceny*). Tak paniczu?! — taak? A twoje święte słowo, ha?... Sameś chciał, dobrze, jam tu nic nie winien, bom prosił o miłosierdzie jak dziad pod kościołem! Teraz ty u mnie miłosierdzia nie znajdziesz! Wyjdź no tylko, wyjdź! (*wstrząsa tylko strzelbą w kierunku chaty i cofa się chyłkiem w krzaki*).

SCENA VIII.

Z chaty wybiega Jaga, za nią Wiktor, pod koniec Jasiek.

Jaga. (*przerażona*) On tu był, paniczu, on tu był... widziałam jego cień na szybie.

Wiktor. Nie bój się głupia — coś ci się przywidziało i zaraz w lament.

Jaga. Nie paniczu, on tu był. (*błagalnie*) Proszę panicza isé do domu... bo ja, bo ja... (*zakrywa oczy*).

Wiktor. No, eicho, idę już... bądź zdrowa (*całuje ją*). A jutro przyjdź do ogrodu.

Jaga. Nie paniczu, za nic, za nic...

Wiktor. (*nienaturalnie*) Nie bój się! Cha, cha, cha! (*odchodzi do przelazu — w tem z krzaków pada strzał*). Och, nieszczęście! *zatacza się i pada*.

Jaga. Najświętsza Panno! (*biegnie do Wiktora i pochyła się nad nim*). Paniczu, paniczu!

Maciej. (*wychodzi z ukrycia, wściekle*) O! — tak się bije rogacze! (*uderza strzelbą w ziemię*).

Jaga (*zrywa się i biegnie do Macieja*). Zabiłeś go, zabiłeś!... ty! — zbroju stary! (*nadstawia pierś*) zabij i mnie, zabij, zabij!

Maciej. (*z furją, chwytając ją za koszulę pod szyją*). Zabić cię?! — ty ladacznico, ty wściekła wiedźmo, ty!!! oh! (*odtrąca ją z siłą*).

Jaga (*zatacza się*).

(wbiega Jasiek i spostrzega leżącego Wiktora).

Jasiek. Panicz! — (*pochyla się — nagle podnosi się i ucieka w przeciwną stronę, krzycząc*) Gwałtu!... ludzie, ratunku, ratunku!

Maciej (*oparty na strzelbie*). Jasiek! cha, cha, cha!...

Jaga (*która wśród tego podniosła się i lkała oparta o drzewo, podbiega do Macieja*). Słyszysz? — uciekaj!

Maciej. (*zimno, zawzięcie*) O nie, ty uciekaj, jak chcesz. Ja zostanę tu, aż go zabiorą, a potem pójdę do sędziego sam — do miasta!

Jaga. (*załamując ręce*) I cóż teraz będzie?

Maciej. Nie będzie nic. Ja pójdę na hak, a ty głupia pójdziesz z dzieckiem pod kościół wyciągać do ludzi ręce... Jednego tylko dziecka mi żal... (*patrzy przed siebie ponuro*).

Jaga. Nie bój się, ty stary zbroju — ono nie twoje. Teraz wiesz? (*podbiega znów ku niemu*) Więc zabij mnie także, zabij...

Maciej (*odtrąca ją i hamując się*). Idź precz Jagna, idź precz i nie wywołuj pomsty, bom ja dziś straszniejszy od wilka. A szczeniakowi twemu przyczep kamień do szyi i wrzucić go tam, gdzie najgłębsza woda pod słuzą, niech się odtąd nie męczy — a potem utop się sama, boś innej doli nie warta. Ty już z mojej ręki nie zginiesz — mam dość! (*odrzuca strzelbę na bok i strzepuje ręce*).

SCENA IX.

Powyżsi; wchodzi: wójt, Jasiek i czterej włościanie. Wójt ogląda Wiktora, potem z dwoma wieśniakami podchodzi ku Maciejowi, dwaj inni włościanie zatrzymują się przy Wiktorze — Jaga oparta o chatę łka z cicha.

Jasiek (*do jednego z włościan*). Skoczcie no do dwora i sprowadźcie furę z sianem, abyśmy panicza zawieźli do domu. (*włościanin odbiega*).

Wykot (*patrząc wójtowi w oczy*). Panie wójcie, wiązać go?!
Wójt. Wiążcie.

(*Dwaj włościanie rzucają się na Macieja*),

Maciej (*wściekle*). Precz gadziny. (*roztrąca ich, do wójta*) Panie wójcie, nie kaźcie im się zbliżać, bo jak lunę którego, to rozwałę łeb! — (*hamując się*) Ja pójde sam, gdzie zecheecie.

Wójt (*do ludzi*). Odstąpcie go... No, naprzód stary. (*Wiktor podnosi się na łokciu*).

Jaga (*biegnie do Macieja i rzuca mu się do nóg*). Macieju!... och, och...

Maciej (*cofa się i patrzy na nią jakby zdziwiony — po chwili*). Jagna, Bóg z tobą — idź do spowiedzi... A chłopca już nie top... Tyś biedniejsza odemnie...

Wójt (*podnosząc Jagę*). Wstawajcie kobieto!

Jaga. Och, och...

Wójt (*gniewnie*). Wstawajcie Jaga no!... prędeż, i idźcie do chaty, bo tam dziecko płacze.

Jaga (*podnosi się i idzie do chaty*). Och, och...

Maciej. Chodźmy. (*odchodzi, wójt na końcu*).

Wiktor. (*podtrzymywany przez Jaśka, dźwiga się*). Czekać! Zostawcie tego człowieka w spokoju.

Wójt (*spiesznie*). Paniczu słodki, co wam się stało?

Wiktor. Zostawcie tego człowieka w spokoju... Ja... ja zraniłem się sam...

Wójt (*zdziwiony*). Sam?! (*do Jaśka*) A cóżeś durniu zawodził i krzyczał, że to stary kowal.

Wiktor. Nie kowal, ale ja sam — rozumiecie? — Odnieście mnie do domu. (*opada*)

K o n i e c.



DEKADENTCE

(w album).

Przed drobne twoje i wytworne stopy
 Nie mogę rzucić polnych ziół w ofierze,
 Raziłby oczy twoje mak czerwony,
 Bławatów barwy zbyt jaskrawe — świeże
 I chyba z ruin włoskich anemony,
 Spęzłe storczyki, blade heliotropy
 Byłyby godne twoich ócz spojżenia! —
 Lecz ich tu niema. U nas rosną jeno
 O trzeźwej woni zioła pospolite,
 (Ani je równać można z Włoch werwą!)
 Ostróżki — jaskrów oczka złotolite
 I macierzanka niewidna z traw cienia...
 Zresztą i nazwy takie proste — gminne,
 A cóż dopiero zapach ziół tych dziki! —
 Więc mi się nie dziw, gdy Ci dziś stylowe
 Słę uczuć lilie i pragnień storczyki,
 Że Ci pojęcia składam, nie zaś owe
 Wytworne kwiaty od naszych tak inne!

Zawrat.



Z Pragi Czeskiej.

W październiku 1899 r.

W ubiegłym miesiącu ponieśliśmy nader bolesną stratę skutkiem zgonu Joanny z Rottów Mużakowej, znanej w świecie literackim pod pseudonimem Karoliny Svetlej. Wywarła ona wpływ ogromny na całe pokolenie kobiet czeskich. Była to kobieta zacna, która całe swe życie poświęciła pracy na polu narodowym, starając się w piśmiennictwie wytworzyć ideał patriotycznej, czeskiej kobiety. Niestety ideał ten pozostał dotychczas w sferze ideałów. Takie kobiety, jakich sobie życzyła dla Czech Svetłowa, trafiają się u nas bardzo rzadko. Pracowitość Svetłowej była wręcz fenomenalną a zauważyć przytem należy, iż nie poprzestając na pracy literackiej, brała ona czynny bardzo udział w społecznym ruchu kobiecym. Wyborna szkoła stowarzyszenia pań »Výrobní ženský Spolek« w przeważnej części jej zawdzięcza swą egzystencję, oraz rozkwit. Svetłowa była siostrą zgasłej przed dwoma laty, niemniej słynnej powieściopisarki Zofii Podlipskiej, teściowej Jarostawa Vrchlickiego.

Pogrzeb znakomitej autorki był wspaniałą demonstracją. U wrót ementarnych, — na ementarzu władza duchowna zabroniła wszelkich

mów — przemówiła nad trumną znana literatka F. Novakowa. Nowe wydanie dzieł Svetlowej ukaże się w tych dniach nakładem firmy wydawniczej J. Otta.

I teatr nasz poniósł stratę. Inteligentny członek »Narodnego Divadla«, aktor wybitny, wyborny przedstawiciel czarnych charakterów, Jerzy Bittner opuszcza scenę i przechodzi na emeryturę, spowodowany do tego postanowienia uporeczywą chorobą oczu. Bittner, znakomity interpretator kreakcyi szekspirowskich, z wyjątkiem lat kilku, spędzonych na scenie meiningeńskiej, poświęcił wszystkie swe siły wyłącznie czeskiej sztuce i literaturze. Pracował także piórem, jako belletrysta oraz autor rozlicznych wspomnień, w których z rzetelną sympatją wyrażał się o powstaniu styczniowym. Jako młodzieniec pospieszył Bittner do Polski w pamiętnym roku 1863. Bił się dzielnie i odniósł w boju ranę od pchnięcia bagnetem.

Życie towarzyskie naszej stolicy będzie odtąd szerszem płynęło korytem. Dotychczas nie mieliśmy wspólnego punktu, w którymby się spotykali przedstawiciele wszystkich klas społecznych. Istniejące stowarzyszenia oraz kluby reprezentowały zawsze tylko pewne partye, koterye. Otóż obecnie przedstawiciele miejscowej inteligencji zakładają wielki »klub społeczeński«, który ma stać się wyrazem całego towarzystwa czeskiego. W klubie tym znajdzie się wszystko, co jest właściwością czeskiego społeczeństwa.

Na końcu niech mi wolno będzie wspomnieć o dwóch nowych publikacjach. Mam tu na myśli nowopowstały, ilustrowany tygodnik p. t. *Obrázková Revue*, wydawany z niepraktykowanym do tej pory przepychem pod względem formy zewnętrznej, a obliczony głównie na klientelę arystokratyczną. Drugą publikacją jest zbiór akwarel artysty-malarza, Jansy, p. t. *Stara Praga*. Znajdujemy w tej kolekcji mnóstwo starych domostw, placów i ulic, które odtworzył Jansa, zanim owe za- bytki znikły bezpowrotnie ustępując miejsca assanacyjnej *bestiae triumphantis*...

Dr. Borys Prusik.



NOTATKI Z KRAKOWA.

Tutejsza kolonia artystów malarzy poniosła w tych czasach ciężką stratę. Po długich cierpieniach zmarł w dniu 20. października ś. p. Ludwik Michałowski, wybitny znawca i prawdziwy mecenas sztuk pięknych, a zarazem protektor malarzy, w których towarzystwie najchętniej

przebywał. Należał on do znanych w mieście postaci, koło której po za ulubioną przezeń sprawą artystów, grupowało się dosyć liczne grono przyjaciół odwiedzających go w każdą niedzielę popołudniu. Niedziele te miały wyrobioną o;inię, a choć odznaczały się za nadto wielką zgodnością zdań, jednak były odwiedzane, gdyż pomimo braku silniejszej dyskusyi i zaciętszych rzeczowych sporów, uczestnicy odczuwali u gospodarza prawdziwą miłość sztuk pięknych. Ś. p. Michałowski miał dwie spore zasługi: pierwszą, iż kupował obrazy i stworzył w swem mieszkaniu małą galerję prywatną, a drugą, iż nabywał płótna wyłącznie malarzy polskich. W zbiorze swym pozostawił on dzieła Grottgera, Chełmońskiego, Malczewskiego, nawet Matejki i wiele innych, wśród których znajdują się płótna najznakomitszych naszych współczesnych artystów. Ogólnie przypuszczano, iż dzieła te znajdują się po śmierci właściciela w Muzeum Narodowem, o czem przyjaciele jego zawsze upewniali. Niestety, ś. p. Michałowski umarł bez testamentu, za czem następuje niepewność losów przyszłych jego galerji. Natomiast piękny zbiór sztychów polskich, obfitujący w liczne a wyborowe egzemplarze, ofiarował zmarły za życia Muzeum Narodowemu, a kolekcye mineralogiczne, Akademii umiejętności. Ś. p. Michałowski urodzony na Ukrainie w r. 1829, osierocony niemowlęciem przez rodziców, brał udział w powstaniu r. 1863, za co skazany został na utratę praw stanu i konfiskatę majątku zapisanego mu w latach chłopięcych przez krewnego. Jako emigrant bawił w Atenach, a następnie długie lata w Paryżu gdzie udzielał lekcyi fizyki i matematyki. Po odzyskaniu majątku powrócił cił do kraju, gdzie zamieszkał stale w Krakowie, z którym się żywnierozłącznie. Na pogrzeb 22. b. m., który był »ostatnią niedzielą« Michałowskiego, przybyło liczne grono jego przyjaciół i towarzyszków rozmów artystycznych.

Nie znam miasta równie niemuzykalnego jak Kraków. Wszystkie inne sztuki piękne, jak malarstwo, rzeźba, teatr, architektura nie wspominając już o poezyi, są popierane i poszukiwane prócz muzyki, której potrzeby bardzo nieliczne grono odczuwa. Gdyby nie Towarzystwo muzyczne, które (należy to uznać) spełnia swe obowiązki w miarę sił i środków godziwie, nie mielibyśmy tu nawet najslabszych objawów muzykalności, bogdaj nawet dla owej garstki. Jeszcze na operetkę lwowską przez kilkanaście dni w maju zbierze się spora liczba melomanów (?), na operę już mniej licznie się zjawiają, za to ganią zawzięcie, że w Wiedniu lepsza (tak) a już bez biesiad koncertowych przeciętny krakowianin całe życie obyć się może. Tem więc większa zasługa Towarzystwa muzycznego, iż w takich warunkach stara się krzewić muzykalność, zwłaszcza, iż tutejsza »Lutnia«, nie stojąca na wysokości zadania, słabo bardzo mu w tem pomaga. Wielkim geniuszem jest Chopin, gdy na wieczorze ku upamiętnieniu rocznicy jego zgonu sala była prawie pełną! Obecni wysłuchali bardzo dobrze skreślonego odczytu dyrektora Władysława Żeleńskiego, który znakomitą znajomością tematu szczęśliwie połączył z kultem dla nieśmiertelnego muzyka, kantatę oraz sześć utworów zaszczytnie znanego pianisty profesora Domaniewskiego. W p.

m. Towarzystwo muzyczne daje dalszy znak wytrwałej staranności przez urządzenie koncertu kwartetu czeskiego. Też samej instytucji zasługą jest uwieńczenie laurem pomnika Chopina na Plantach, czemu towarzyszył śpiew połączonych chórów męskich; oraz urządzenie nabożeństwa żałobnego. A cóż się dzieje w tym czasie z »Lutnią«? Ponoć, jak mnie zapewniano, studjuje. Oby jednak studia te wydały lepsze, niż dotychczas, rezultaty!

Z bieżących wiadomości kronikarskich zasługuje na zaznaczenie fakt, iż przyszła siedziba Towarzystwa sztuk pięknych przy placu Szczepańskim z frontem ku Plantom, wyprowadzoną już została po nad pierwsze piętro i jak obecnie przedstawia się wcale okazała oraz że »Koło literacko-artystyczne«, którego prezesem po śmierci ś. p. Juliana Kossaka jest znakomity artysta malarz Julian Fałat, zamierza przystąpić do wzbudzenia w gronie członków większego ożywienia. Na wystawie w Sukiennicach zauważyłem płótno nieznanego mi malarza Dąbrowy p. n. »W nastroju«, koło którego bez wrażenia przejść nie można. Na skraju lasu a nad brzegiem jeziora porośłego nenufarami i innymi wodnymi roślinami, o wieczornej porze siedzi na ławce w zamyśleniu kobieta. Są tam zapewne i braki, ale kompozycja, wykonanie, koloryt a przede wszystkim oddanie tego, co artysta zamierzał, a więc owego nastroju, jest tak trafne, iż nie można o płótnie tem zapomnieć.

W teatrze jak poprzednio publiczność równie licznie uczęszcza na przedstawienia pomimo, iż wybór nowych sztuk mniej w b. m. był szczęśliwy. Nie wina to jednak dyrekcji, jeno autorów, których firmy są tak znane, iż choćby się miało pewność, że utwory ich padną, wystawić je trzeba. Do tych bezsprzecznie należą Zapolska i Bałucki. Tak pierwszej jak drugiego zasługi na niwie dramatycznej są wielkie i niezaprzeczone, ale i znakomitym autorom zdarzają się poronione literackie płody, których sumienny sprawozdawca chwalić nie może. »Družba« Bałuckiego jest trzyaktowym obrazem z życia rzemieślniczego wybornie, jak wiadomo, autorowi znanego i tak też przedstawionego, który jednak ma jedną ale kardynalną wadę, iż się w całej sztuce nie dzieje oprócz faktu, iż odbywa się wesele jednej pary a ma odbyć dwóch następnych. W pierwszym akcie zaproszenie, w drugim błogosławieństwo i wyprawa do kościoła a w trzecim biesiada weselna. I to wszystko. Żadnych przeszkód, zakłóceń, intrygi choćby ślad bodaj — nie. Natomiast podpatrzone dobrze, choć znane typy rzemieślnicze i właściwy klasie tej język krakowskich mieszczan, świetnie przez artystów tułtejszych odtworzonych. O utworze Zapolskiej »Jan Kochanowski« wyraził się Władysław Bogusławski w przybliżeniu, iż nie na to Jan z Czarnolasu tworzył »Treny«, by p. Z. mogła napisać sztukę. Arcytrafne to orzeczenie uzupełnić należy dodatkiem, iż autorka zawiniła tylko wyborem tematu, który zupełnie się nie nadaje do opracowania scenicznego. Świetnie wychodzą Kochanowski i Urszulka w powieści Tańskie, marnie jednak wyglądają na teatrze pomimo wielkiego talentu i dzielnego pióra tak doskonale znającej scenę autorki »Tamtego«. Do ujemnych stron sztuki należy jeszcze język nie zawsze oddający na-

leżycie epokę, a do dodatnich świetny akt czwarty, przedstawiający wesolą biesiadę przy kielichu pod lipą, w której udział biorą Rey, Szymonowicz, Klonowicz, Paprocki i inni. Nie da się zaprzeczyć, iż sztuka jako widowisko niedzielne może się utrzymać przez pewien czas na afiszu. Gra artystów była bez zarzutu a szczególnie dyrektora Kotarbińskiego (Jan Kochanowski) i Solskiego (Rey), oraz Węgrzyna, Mielewskiego, Tarasiewicza i innych. Ról kobiecych popisowych w sztuce nie ma prócz Urszulki, którą mała Czechowska, widocznie teatralne dziecko, dobrze wygadała. Wystawa była wspaniała tak pod względem dekoracyjnym jak kostyumowym. Ubranie Stefana Batorego, Anny Jagiellonki, Kochanowskiego, Podlódowskiego i innych budziły podziw. Z tłumaczonych utworów grano komedię z francuskiego p. t. »Synowa« (*Mabru*) odznaczającą się lekkim dowcipem i elegancją.

Nowością w teatrze krakowskim są przedstawienia ludowe, które raz na miesiąc (w niedzielę popołudniu), zapoznawać będą włościan z sztukami dla nich dostępnymi. Inicytywa tych widowisk jest zasługą posła Danielaka, który się tem szczerze i gorąco zajmuje, co z uznaniem przyjęto. Na pierwsze przedstawienie »Kościszki pod Raclawicami« przybyło kilkuset chłopów, na których tak »Pan Kościszko« jak i Bartosz Głowacki i całe widowisko wielkie sprawiło wrażenie. Następne odbędzie się w listopadzie; graną będzie »Obrona Częstochowy«. Korzyści z podobnych przedstawień nikt nie zaprzeczy.

Z nowości zapowiada dyrekeya w najbliższej przyszłości następujący repertuar: »Kordyana« Słowackiego (do którego rozpoczęto już przygotowania wystawowe) »Romantycznych« Rostanda, »Chopina« Arwina i Stępowskiego, »Bajkę« Schnitzlera, wznowienie »Chorego z urojenia«, Moliera z Kamińskim po raz pierwszy w tej kreacji oraz farsy »Miejsca kobietom« i »Miodowy miesiąc«.

* * *

W ostatniej chwili donoszę o przedstawieniu w dniu 28. paźdz. »Sonaty« Kisielewskiego Odkładając obszerniejsze sprawozdanie z tej kompozycji dramatycznej w pięciu częściach do następnego numeru, zaznaczam dziś jedynie, iż utalentowany autor »W sieci« i »Karykatur« zanadto uległ w ostatnim swym utworze niezdrawym prądom rozbijałego modernizmu i chorobliwej fantazyjności Maeterlincka, wskutek czego nie osiągnął rezultatów, jakieby sztuka dobrze założona mogła osiągnąć. Gra artystów była w całym słowa znaczeniu wzorowa i arcystaranna, do czego tu zresztą jesteśmy przyzwyczajeni. Prawdziwie arcydzieło z roli młodej dziewczyny, śpiewaczki tracącej równocześnie głos i kochanka, zdziałała p. Siemaszkowa, której to postać obok młynarki z »Zaczarowanego koła« i żony furmana Henschla stawia tę wysoce utalentowaną artystkę w rzędzie pierwszych polskich artystek. Panowie Solski, Kamiński i Tarasiewicz wysmienicie chwycili intencje autora i tak też przedstawili powierzone im postacie. Z arcystarannej wystawy podnieść należy z drugiego aktu las, w którym ptaszęta świergocą, znajdują się prawdziwe drzewa, mchy, porosty, paprocie i kwiaty

leśne a ku publiczności wionął zapach świerków i jodeł. W kierunku dobrego smaku w wystawie, pieczołowitości o całość, w której i najmniejsze drobności mają znaczenie, i różnaitości obecna dyrekeya jest niezrównaną.

Autora w ciągu sztuki parokrotnie wywołano i darzono oklaskami.

Kazmierz Czapelski.



Malarstwo i rzeźba.

Z wystawy sztuk pięknych. Sezon jesienny na naszej wystawie rozpoczął się już na dobre i jak na nasze stosunki, jest weale ożywiony. Przybyło wiele nowych płócien, a nadto urządziło Towarzystwo dwie wystawy zbiorowe: obrazów Oskara Rexa (»Epoepa Napoleońska«) i fotografii artystycznych.

Oskar Rex jest bezwątpienia malarzem bardzo dobrym, temat jednak, jaki sobie obrał w cyklu wystawionych u nas obrazów, nie odpowiada stanowczo rodzajowi jego talentu. Do odtworzenia na płótnie jakiejś epoki dziejowej, względnie losów stwarzającej tę epokę postaci, nie wystarcza absolutnie poprawny rysunek, umiejętne nakładanie barw i nagromadzenie wielkiego mnóstwa historycznie wiernych szczegółów dekoracyjnych. Potrzeba oprócz tego odczucia danej epoki i postaci, uwydatnienia ich cech znamienych i wielkiej umiejętności w wywoływaniu zapomocą barw i rysunku właściwego nastroju u widzów. Tych właśnie ostatnich przymiotów, którym zawdzięczają swą sławę tacy mistrze w odtwarzaniu epoki napoleońskiej jak David i Vernet, brak kompletny p. Rexowi. Obrazy jego, wykończone bardzo starannie a w niektórych szczegółach nawet po mistrzowsku, nie robią na patrzącym przeważnie żadnego wrażenia; brak im siły, a nierzadko nawet treści, którą artysta daremnie usiłował zastąpić w wielu wypadkach szumnym tytułem historycznym. Przedmioty martwe maluje p. Rex znakomicie; koloryt w jego obrazach wyborny; w malowaniu jednak postaci żywych jest słaby (bardzo często brak im plastyki), a Napoleon jego — nie jest Napoleonem. Ze wszystkich dwudziestu kilku obrazów, składających się na »epopeję«, zaledwie kilka (jak n. p. »Przed bitwą«, »Na Elbie« lub »Pożegnanie«), przykuwa do siebie uwagę widza; reszta, jak już powiedziałem, przeważnie nie robi żadnego wrażenia.

Wystawa fotografii »artystycznych«, przedstawia się zajmująco. Daleki jestem od traktowania okazów tej wystawy ze stanowiska istotnej sztuki; tam bowiem, gdzie dzieło jakieś powstaje w sposób mechaniczny, choćby najbardziej nawet skomplikowany, a fantazyja twórcza żadnej przytem nie odgrywa roli, nie może być mowy o sztuce, fotografje jednak, jakie się obecnie na wystawie naszej znajdują, stoją o całe niebo wyżej od zwykłych, banalnych produktów fotografów zawodowych. Grono miłośników fotografji, złączywszy się w wszechświatową korporację, postanowiło zbliżyć możliwie umiejętność tę do poziomu sztuki. Wychodząc z artystycznego założenia, że odtwarzanie czegokolwiek na papierze lub płótnie musi polegać na dokładnej obserwacji, zrozumieniu przedmiotu i wykluczeniu wszystkich motywów przypadkowych, psujących jednolitość wrażenia, starało się to grono dopiąć zamierzonego celu przez wprowadzenie do fotografji metody kilkorazowego kopiowania jednego i tego samego zdjęcia, która to manipulacya pozwala usunąć z obrazu rzeczy zbędne a równocześnie nadać jemu niejako malarską jednolitość całości. Zwrócono przytem baczną uwagę na materyał, na którym wykonuje się reprodukcję i stosowanie rodzaju tego materyału do rodzaju reprodukcji. Wobec tych wszystkich usiłowań, nie można się dziwić, że osiągnięto rezultaty dodatnie. Wystawa fotograficzna robi bardzo dobre i przyjemne dla oka wrażenie. Najlepiej przedstawiają się t. z. *Gummidruki* t. j. fotografie trzymane w tonie brązowym, a wykonane na grubych i szorstkich papierach akwarelowych. Niektóre z tych fotografji, zwłaszcza widoki, naśladują do złudzenia stare sztychy. Wogóle, wszystkie okazy wystawy fotograficznej warte są obejrzenia — choćby dla ogromnej staranności swego wykończenia. Najpiękniejsze fotografie wystawili pp.: Albin Fichte i Dr. Müller z Lipska, Kühn z Insbrucku i Henneberg z Wiednia.

Z dzieł »prawdziwej« sztuki, zwraca na wystawie uwagę — przede wszystkim portret pastelowy, pędzla zaszczytnie znanego artysty Z. Jasińskiego. Portret przedstawia p. Ant. Małeckiego w naturalnej wielkości, a wykonany jest wybornie, ogromna naturalność w rysunku i miękkość tonów, czynią zeń małe arcydzieło. Jedyne lewa, na poręczy fotelu oparta ręka portretowanego, została zanadto w cień cofnięta i wskutek tego wygląda trochę martwo.

Umieszczony obok, również pastelowy portret ks. H. Sapieżanki (pędzla M. Reyznera) należałoby w stosunku do pierwszego nazwać mniej udatnym. Jest zanadto »wygładzony«, a równocześnie, w rysunku linii twarzy czuć pewną twardość, rażącą tembardziej, iż na szyi i ramionach księżniczki umieścił artysta osłonę z ledziutkiego, przejrzystego tiulu. Nie można także pochwalić bez zastrzeżeń drugiego, przez M. Reyznera wystawionego obrazu, mającego wyobrażać trzy muzy. Pomijając stronę techniczną, jej zalety i wady, widzi się w tym obrazie dziwaczną mieszaninę manieri secesjonistycznej z reminiscencyami angielskiego prerafaelizmu. Jest to niewątpliwie oryginalne, ale — nic więcej.

Juljusz Fałat wystawił niewielkich rozmiarów akwarelę: »Zakonnice«. Dwie zakonnice wyglądają przez zamurowaną u dołu bramę klasztorną na ogród. Obrazek dobry, ale nic nie mówiący.

Obraz St. Batowskiego przedstawiający »Pogoń w stepach«, należy do najlepszych, jakie w ostatnich czasach mieliśmy na wystawie. Jest w nim dużo ruchu i życia, dużo powietrza i dużo zacięcia. Dwóch jeźdźców polskich dogania na stepie umykającego co koń wyskoczy tatarą. Jeden złożył się kopią i z boku zajeżdża, drugi rzuca pętlicę, aby złowić wroga. Tatar pochylił się na szyję swego rumaka i w pędzie kurek od fuzyi odwodzi, gotując się do strzału. Wszystkie postacie malowane są z wielką brawurą, wszystkie żyją, pędzą... Ma jednak ten obraz jedną wadę i to niemałą: Łby końskie, jakoteż głowy i barki jeźdźców są w stosunku do reszty ich kształtów — nieco zawielkie. Nasuwa to przypuszczenie, iż artysta posługując się przy studyach do obrazu zdjęciami fotograficznymi, nie uwzględnił przy malowaniu tej okoliczności, że przedmiot poruszający się szybko, n. p. koń pędzący galopem, inaczej przedstawia się oku widza w rzeczywistości, a inaczej odbija się na kliszy...

Po zatem, z nowych obrazów wymienić jeszcze należy: M. Harasimowicza »Krajobraz« i L. Weina portret matki artysty. »Krajobraz« nie zawiera żadnych nowych motywów, ale malowany jest z talentem i sumiennością, które cechują wszystkie prace p Harasimowicza. Portret L. Weina odznacza się doskonale schwyconym wyrazem i starannem wykończeniem.

Iz. K.

Artystyczne Karty Pocztowe, odznaczone na słowiańskiej wystawie w Krakowie najwyższą nagrodą: dyplomem honorowym, ukazały się ostatnio w seryi trzeciej, zawierającej reprodukcye rodzajowych kompozytów: Stanisława Dębickiego, Kaczor Batowskiego, Makarewicza, Reyznera i Weina. Karty te, wydane przez księgarnię H. Altenberga we Lwowie, odznaczają się wzorowem wykonaniem starannie wybieranych tematów.



M U Z Y K A .

Rocznicę Chopinowską święcono uroczystie we wszystkich niemal stolicach i większych miastach europejskich. Uroczystość krakowską opisał nasz stały korespondent, p. Kazimierz Czapelski w »Notatkach z Krakowa«; przebieg warszawskiej podajemy poniżej; lwowska odznaczała się również wielką powagą i starannością w ułożeniu programu i wykonaniu tegoż. Urządzeniem jej zajął się, z powodu anormalnych

stosunków, panujących chwilowo w towarzystwie muzykiem, osobny komitet z p. K. Skrzyńskim na czele.

Obchód rozpoczął się 26. października uroczystem nabożeństwem żałobnym w katedrze łac. Mszę celebrował ks. Lenkiewicz, na chórze śpiewała p. Pawlikow-Nowakowska pieśni Chopina, a chór »Echa« wykonał prześliczne wprost wzruszające »Requiem« Jana Galla. Dyrektor Henryk Jarecki odegrał na organach »Preludjum« Chopina, a publiczność, która szczerze zapełniła olbrzymią nawę kościoła katedralnego, w uroczystym nastroju wysłuchiwała modłów i śpiewów żałobnych.

Wieczorem dnia następnego zapełniła się sala Domu Narodnego szczerze. Obszerna sala ledwo pomieścić mogła setki publiczności, która pospieszyła złożyć hołd ceniom Fryderyka Chopina.

Obchód zagaikł p. Stanisław Niewiadomski pięknym przemówieniem które podajemy w całej rozciągłości na czele zeszytu. Po uciszeniu się oklasków, zjawiła się na estradzie p. Pawlikow-Nowakowska, by przy akompaniamencie p. Henryka Jareckiego doskonale odśpiewać pieśni Chopina. Z kolei wygłosił p. Chmieliński mistrzowsko wiersz Kasprowiecza, umyślnie na uroczystość napisany. Skrzypek prof. Wolfstahl odegrał z wielkim powodzeniem »Romans« i »Mazurka« Chopina; akompaniował mu młodzietki syn jego, Maks. Najznacniejszą część programu wykonał doskonały pianista p. Teodor Pollak, który grał Preludjum As-dur, Nocturn F-moll, Etudy A dur i As-dur a nakoniec wspaniałego Poloneza As-dur. Tuż przed odegraniem ostatniego numeru programu, Poloneza As-dur, artysta zasiadł do fortepianu a całkiem niespodzianie rozległy się w zapełnionej sali, potężne akordy dzwonów marszu żałobnego. Publiczność, akby na dany znak powstała z miejsc. W sali zapanała cisza, że słysząc można było uderzenia wzruszonych serc słuchaczy, którzy stojąc, w skupieniu ducha i wśród uroczystego nastroju, wysłuchali genialnej, porywającej kompozycyi nieśmiertelnego mistrza tonów.

P. Teodor Pollak zastąpił w ostatniej chwili p. Melcera, który najniespodziewaniej przed samym koncertem wyjechał do Łodzi. Ten czyn, prawdziwie obywatelski, zasługuje na rzetelne uznanie i szczerą podziękę.

X. Z.

Koncert jubileuszowy w Warszawie. Program koncertu, umiejętnie i poważnie dobrany, składał się wyłącznie z dzieł mistrza, bądź w oryginalnem brzmieniu, bądź w przeróbkach. Zasługują między temi ostatnimi na osobliwe wyróżnienie pięknie przez Zygmunta Noskowskiego ułożone chóry, z towarzyszeniem orkiestry, na tle Preludjum C-moll, pieśni »Odjazd« i »Marsza żałobnego« z sonaty B-moll. Istotnie z pietyzmem zachowania utworom całego pierwotnego ich charakteru, trudno byłoby, wraz ze wzbogaceniem tych kompozycyij w zajmujące szczegóły orkiestralne i kontrapunkcyjne, pomyśleć o lepszem ich opracowaniu. Tego samego rodzaju pochwały należą się też i zasłużonemu kompozytorowi A. Münchheimerowi za znany układ Poloneza a-dur, i za artystyczną, w błyskotliwe efekty kolorytu orkiestrowego przyozdobioną, instrumentację do koncertu E-moll.

Lwia część oklasków i powodzenia przypadła w udziale (rzecz prosta) Aleksandrowi Michałowskiemu, bo też, jako znakomity wykonawca, a do tego specjalista chopinowskich kompozycji, stanowił główną siłę tego wieczoru. W odegraniu dwóch koncertów »E-moll« i »F-moll«, wlał tyle zapалу, tyle poczucia artystycznego i estetycznego umiarkowania, tyle lekkości i smaku przyobleczonej w czar idealnej poezji, iż rozentuzjazmowane tłumy publiczności niezdolne były powstrzymać, gwałtowną salwą oklasków wyrażonych objawów swego zachwytu. Bajeczna niemal biegłość palcowania, powiewność dotknięcia, nie wykluczająca jednak w chwilach właściwych i użycia siły potężnej, perliskość gam wszelkich i pasaży, składają się u naszego fortepianisty na rzadko spotykaną całość wysoce artystycznego wirtuozostwa.

Uzdolniona śpiewaczka estradowa, p. Marya Kamińska, z właściwym sobie wdziękiem i umuzykalnieniem odspiewała pieśni: »Pierścień«, »Wiosenka«, »Śliczny chłopiec«. »Lutnia« wykonała z rycerskim animuszem poloneza i »Odjazd«. Chóry i orkiestra Towarzystwa spełniły również swe zadanie. Gdy wreszcie na zakończenie koncertu rozległy się dźwięki »Marsza żałobnego«, wszyscy słuchacze, jakby pod wpływem tajemniczego tehnienia, powstali z miejsc, i stojąco wysłuchali do końca natchnionych tonów tej rzewnej pieśni. W-k.

Koncert na cele oświaty polskiej w Paranie, urządzony w teatrze, w połączeniu z przedstawieniem »Buntu Napierskiego«, powiódł się dobrze. Z występujących w nim osób, artystów i amatorów, w pierwszym rzędzie wymienić należy p. Poselta, którego szlachetna gra zapoznała nas z całym szeregiem nowych kompozycji francuskiej szkoły, u nas prawie zupełnie nieznanych. Zalety gry p. Poselta mogła publiczność nasza ocenić już na wiosnę, również w teatrze, chociaż do zupełnego ich wydobycia potrzeba skrzypkowi estrady koncertowej, nie sceny. O ile wiem, p. Poselt, który tymczasowo osiadł u nas na stałe, ma wystąpić kilkakrotnie w bieżącym sezonie, w koncertach własnych i obcych, będziemy więc mieli wkrótce sposobność usłyszenia go w warunkach znacznie korzystniejszych.

P. Orzelskiego witano tak burzliwie, że widocznie miało to być demonstracją, protestem przeciw temu, że dyrekcya nie zaangażowała go dotychczas, a zarazem żądaniem, by to nastąpiło jak najprędzej. I ja jestem zdania, że artysta ten, użyty w odpowiednich rolach, bardzo się przydać może naszemu teatrowi. Podziwiałem na nowo niezwykle piękny jego głos, a i śpiew sam nie wywołuje poważniejszych zastrzeżeń. Jedynie tylko program p. Orzelskiego nie był starannie dobrany, bo składał się przeważnie z drobiazgów bez artystycznej wartości, a i aria z »Hrabiny« Moniuszki nie należy do lepszych pomysłów mistrza. Resztę programu wypełniły pp. Dziędzielewiczówna i Chołodecka. Tej ostatniej należy się wdzięczność za to, że zastąpiła w ostatniej chwili p. Kozłowską i odegraniem *As-dur* ballady Chopina zapewniła fortepianowi należne mu miejsce w koncercie.

Sew. B.

Operetka. Skoro już bieżący sezon operetkowy stać musi dla braku wybitnych nowości pod znakiem wznawiania, słusznie uczyniła dyrekcyja, że przed wieloma innymi dała pierwszeństwo »Donnie Juancie« Suppego. Jest to rzecz nietylko wesoła i zabawna, ale pod względem muzycznym nawet wykwinna. Muzyka pełna wdzięku i wybornych pomysłów, jest jak na operetkę prawie za dobrą, a przynajmniej za poważną, zwłaszcza w finałach, które szeroką swą budową przypominają prawie wielką operę starszego stylu. Ale tyle znów jest miejsc lekkich i dowcipnych, traktowanych nawet pod względem instrumentacji z wybornym humorem, że w rezultacie równowaga w zupełności jest utrzymaną.

Co do wykonania roli tytułowej, niepodobna nie poczynić pewnych zastrzeżeń. P. Schuppówna, której niedawny debiut był niezwykle szczęśliwym, nie powinna dać się tem skłonić do zbyt jednostronnego traktowania ról zwłaszcza pod względem aktorskim, by nie popaść ostatecznie w szablon i manierę. P. Schuppówna bierze ją zupełnie *grotesque*, a już dla samego kontrastu z rolą donny Olimpii, doskonale granej i śpiewanej przez p. Kasproviczową, powinienby René wyjść szlachetniej i wytworniej. Pod względem głosowym natomiast życzylibyśmy należało więcej werwy i pełni. Role męskie wyszły w obsadzie pp. Malawskiego, Myszkowskiego i Lelewicza dobrze, prym trzymał jak zwykle p. Bogucki.

»Maskotta«, Audrana, należy do tych operetek, które zajmują nietylko muzyką, bawią nietylko sytuacjami, ale interesują także treścią. Węzeł bajki wcale zręcznie zawiązany, typy, zwłaszcza ściganego zawistnym losom hrabiego Lorenza, nie tak przynajmniej do niemożliwości już zużyte, tok akcji nie wymagający zupełnej kapitulacji ze zdrowego rozsądku, do tego muzyka melodyjna, zręczna, lekka i żywa, to, jak na dzisiejsze wymagania z pewnością bardzo wiele. Jednem słowem: »Maskotta« słucho się do samego końca z przyjemnością, a więcej od operetki wymagać chyba nie można.

Rolę tytułową odtworzyła p. Schuppówna z powodzeniem. Partya ta leży zupełnie w kierunku jej talentu; »leży« jej aktorsko i śpiewacko zupełnie dobrze, a więc i wykonanie było zupełnie zadowolniającem. Tylko zawsze należałoby życzyć więcej jeszcze spokoju w grze. P. Miłowska wyglądała w roli Fiometty bardzo dobrze, po za tem nic o niej niestety korzystnego powiedzieć się nie da, jak chyba na częściowe usprawiedliwienie to jedno, że partya ta jest może dla jej organu nieco za niska.

Ilościowo i jakościowo przeważała wszakże płeć brzydka. Doskonałym Fippem był p. Bogucki, a sekundowali mu szczęśliwie inni koledzy.

Doskonałym pomysłem było wznowienie »Mikada«. Nie wszyscy mogą ucześnieć na przedstawienia operowe, nie każdego pociąga też poważna muzyka sceniczna. Jak artyści mają swój repertoar do grania lub śpiewania, tak miewają go także melomani do słuchania. Dla tych, którzy lubią lekką strawę, powinien »Mikado« zajmować miejsce na-

czelne, zastąpić im niejako poważną operę. Istotnie, nie znam drugiej operetki, w którejby muzyka pomimo swej lekkości trzymaną była w tak szlachetnym stylu. Offenbach jest weselszym, wyuzdańszym, powiedziałbym: operetkowo szczerym; Strauss serdeczniejszym, ale Sullivan wykwinniejszym od nich obydwóch. Ale i tej — pozostaniemy już przy tem słowie — operetkowej szlachetności nie powinno się sztucznie jeszcze powiększać, bo cierpi przez to znów lekkość. A stało się to w skutek przeciągania tempów. Cały szereg numerów, że wymienię tylko finał pierwszego aktu, marsz przy wejściu Mikada, duet Ko-Ka z Katiszą, wzięte były o wiele za powoli. Rozumiem jeszcze, że w tym ostatnim duecie n. p. trzyma się wolniej śpiewane miejsca w tym celu, by deklamacya wyszła wyraźniej, ale dlaczegoż nie przyspieszyć refrenu, w którym śpiewacy już tylko tańczą? Zmienia to niepotrzebnie charakter melodyi, w istocie leciuchnej i pełnej graeyi.

Po za tem przedstawienie należało do najlepszych naszych wieczorów operetkowych. P. Bohussówna wyglądała i śpiewała w roli Jum-Jum doskonale, pp. Szóppówna i Miłowska były ładniutkiemi siostrzyczkami, a p. Kasprowiczowa bardzo dobrą Katiszą. P. Maławskiemu (Nanki-Po) udały się dobrze zwłaszcza ustępy liryczne, jak duet miłosny w pierwszym akcie, tylko w ślicznym madrygale występował nawet w pianach zanadto silnie. Bardzo komicznym dygnitarzem jedynasto-gatunkowym był p. Bogucki. P. Myszkowski jako Mikado forsował znowu zanadto i głos i komizm, polując na okłaski mniej wybrednej galeryi, niepotrzebnie też obdarzył nas w kupletach apostrofą patryotyczną, p. Kiczman grał bez zarzutu. Co do partyi Ko-Ka, to mogła ona wypaść niewątpliwie o wiele lepiej, niż w interpretacyi p. Lelewicza, ale przyczyny tego należy szukać nie tyle w artyście, ile w tem, że partya ta leży mu widocznie za nisko. Że p. Lelewicz umie się nieraz w operetce wybić na pierwszy plan, tego dowiódł już w »Gejszy« i »Orfeuszu«. Wystawa i reżyserya były bardzo staranne.

Sprawa dyrektury Galicyjskiego Towarzystwa muzycznego dobiegła wreszcie końca P. Henryk Melcer, nie czekając na wynik walnego zgromadzenia, które miało jego kandydaturę zatwierdzić, sprawił swoim zwolennikom niemiłą niespodziankę, i wyjechał do Łodzi, gdzie już objął kierownictwo tamtejszego Towarzystwa muzycznego. Wobec podobnego obrotu sprawy Wydział Galicyjskiego Towarzystwa muzycznego postanowił powołać na wakującą posadę dyrektora i dyrygenta chórów p. Mieczysława Sołtysa, a walne zgromadzenie członków Towarzystwa muzycznego zatwierdziło tę kandydaturę jednogłośnie. Sylwetkę zasłużonego pedagoga i muzyka podamy w najbliższym zeszycie naszego miesięcznika.

Prof. Robert Poselt otwiera w szkole swej t. zw. »kurs akompaniamentu« (Leçons d'accompagnement), na sposób zaprowadzony we wszystkich paryskich instytucjach muzycznych. Korzystać zeń mogą osoby, wykształcone w grze na fortepianie. Zadaniem tego kursu będzie przy-

gotowanie do stylowego i pod każdym względem wykończonego wykonania duetów i sonat na fortepian i skrzypce z repertuaru muzyki klasycznej i nowoczesnej. Wybitna artystyczna indywidualność p. Poselta zdołała grą wspólną uczynić ze wszechmiar zajmującą i pouczającą.

„Faust” został w październiku w Warszawie przedstawiony po raz 400. Opera Gounoda, napisana w r. 1859, została po raz pierwszy odspiewana w Warszawie w roku 1865 przez Włochów. Od tej chwili nie schodziła już z repertuaru. W trzy lata później została przedstawioną po polsku. Faustem był Cieślewski, Małgorzatą Dowiakowska. Obecnie role te są w posiadaniu Włocha Marconiego i p. Korolewiczównej, dobrze znanej we Lwowie.

Debiut p. Łopatyńskiej. Byłoby do życzenia, żeby występy p. Łopatyńskiej doprowadziły do zaangażowania artystki na stałe. Jako Anina w »Nocy weneckiej« zdobyła sobie w lot sympatyę i uznanie publiczności organem ładnym, bardzo przyjemnym i należycie wyszkolonym, w wyższych rejestrach nawet wcale silnym, tudzież grą swobodną i naturalną, a dowodzącą dostatecznej rutyny aktorskiej. Zalety te dozwoliłyby p. Łopatyńskiej zająć na naszej scenie obok p. Bohussównę, która w ten sposób zyskałaby więcej czasu i swobody dla partij operowych, w rolach amantek operetkowych stanowisko wcale poczesne. Tylko nad polską dykcją należałoby jeszcze trochę popracować, co zresztą nie może zadziwić u artystki, która grała podobno tylko po rusku. Dalsze występy okażą, czy p. Łopatyńskiej nie możnaby użyć z korzyścią także w operze.

s. b.

P. Henryk Opieński, znany skrzypek a od niedawna członek orkiestry symfonicznej Colonnea w Paryżu, otrzymał świeżo na konkursie, ogłoszonym przez związek śpiewacki Ameryki północnej w Milwaukee, pierwszą nagrodę w kwocie 200 dolarów za kantatę na chór mieszany i orkiestrę. Tekst kantaty tworzy wiersz Kazimierza Tetmajera ku uczczeniu pamięci Mickiewicza z I. tomu jego »Poezycj«.

„Demon”, opera Rubinsteina, napisana przed 25 laty, doznała w Wiedniu sympatycznego przyjęcia; podobały się zwłaszcza bardzo muzykalne momenta, oparte na narodowych motywach. Wykonanie było wspaniałe. Rolę główną śpiewał Rejehman.



J. A. KISIELEWSKI.



J. A. KISIELEWSKI.

Każdego, który śledzi bacznie rozwój polskiego dramatu, tak ubogiego w ostatnich czasach w utwory prawdziwie sceniczne, zainteresować musiał w wysokim stopniu nowy talent, wróżący — jak dotąd — bardzo wiele.

Nie trzeba z słów powyższych sądzić, że p. Kisielewski już nam dał arcydzieła lub conajmniej rzeczy zupełnie dobre, ale w każdym razie, nawet ostry krytyk przyznać będzie zmuszony, że w jego pracach talent płonie silnym ogniem, że jest to zadatek na przyszłość, którego lekceważyć nie mamy prawa.

»Karykatury«, przedstawione na naszej scenie, zwróciły uwagę bywalców teatralnych i miłośników sztuki na nieznanego prawie u nas autora. Pragnąc tedy zaspokoić ową rozbudzoną ciekawość, podajemy w niniejszym zeszycie naszego miesięcznika portret p. Kisielewskiego, dołączając doń nieco szczegółów biograficznych.

Młodziutki pisarz dramatyczny urodził się w Rzeszowie w 1876 r., gdzie też uczęszczał do szkół, zanim się przeniósł do gimnazjum tarnowskiego, a z kolei na uniwersytet krakowski. Rok 1898 spędza on w Monachium i Wiedniu na studiach nad dramatem i teatrem niemieckim, a równocześnie sam próbować musi sił swoich na polu dramaturgii, na konkursie bowiem *Kurjera Warszawskiego* zyskuje chlubne odznaczenie za pięcioaktowy dramat w dwóch częściach p. t. »W sieci«, odegrany na scenie krakowskiej w styczniu b. r. Rzecz ta ukazała się już w druku, w wydaniu książkowym.

W marcu — jak wszystkim dobrze wiadomo — otrzymują »Karykatury« trzecią nagrodę na konkursie im. Paderewskiego w Warszawie; że zasłużoną, widzieliśmy to sami niedawno. Praca ta drukowaną będzie w najbliższych zeszytach miesięcznika *Ateneum*.

Teatr krakowski wystawił przed kilku dniami trzecią kompozycję dramatyczną tegoż autora p. t. »Sonata«, po której da Bóg nastąpią inne, coraz doskonalsze. Obecnie bawi p. Kisielewski na dalszych studiach w Paryżu, a jeśli wczesne laury nie sprowadzą go z właściwej drogi bezustannej wytrwałej pracy, to może dramat nasz ocknie się nakoniec z uspienia i rozbłyśnie znowu tysiącem promieni ożywczych, na co już czekamy tak dawno i niecierpliwie.

Mre.

TEATR.

(Jan Kasprowicz: »Bunt Napierskiego«, poemat dramatyczny w 3 aktach; Al hr. Fredro: »Mąż i żona«, komedia w 3 aktach; Maurycy Brioux: »Córki pana Dupont« komedia w 4 aktach; p. Knake-Zawadzki).

Czy p. Kasprowicz pisząc »Bunt Napierskiego« miał zamiar stworzyć dramat historyczny — nie wiemy — to jednak możemy na pewne powiedzieć, że dramatu tego historycznym nazwać niepodobna. Wprawdzie tło całe jest formalnie historycznym, a osoby działające noszą rzeczywiście imiona współczesnych działaczy — jednak ducha czasu i nastroju całego wieku XVII. w sztuce nie znajdujemy. Bohaterowie sztuki, to przewódce dzisiejszego stronnictwa ludowego raczej, niż ludzie wieku XVII., — ich program jest programem dzisiejszym — a nie z czasów owych. Sam bohater Kostka dalekim jest od owej postaci dziejowej — jest to jakiś wymarzony bohater, coś w rodzaju Chmielnickiego, jeno w szlachetniejszym stylu. Nie czyni to jednak wcale ujmy autorowi, bo mimo, że nie dał nam dramatu historycznego, stworzył poemat wspaniały, pełen miejsc pięknych, pełen myśli — pisany wierszem niezwykłej wartości. Jest to jednak, jak go też autor nazwał, poemat dramatyczny — i przedewszystkiem poemat, a w drugiej dopiero linii dramat. Stąd też i usterki sceniczne, jakich trochę mieliśmy do wytknięcia; usunął ich nieco autor przez skreślenie kilku ustępów — a sztuka zyskała na tem.

Wystawiono »Bunt« bardzo starannie i obsadzono wcale dobrze. Główne role spoczywały w ręku p. Chmielińskiego (Łętowski), p. Gostyńskiej (Salka), Sosnowskiego, (Napierski) Wysockiego (rektor). Wypadły one prawie bez zarzutu — co więcej, p. Chmieliński i p. Gostyńska stworzyli typy skończenie artystyczne. Panowie Wysocki i Sosnowski deklamowali pięknie — i to było główną zaletą ich gry dziś osobliwie, gdzie coraz mniej artystów umiejących mówić wierszem. Mniej zadowolili nas natomiast role Hanusi (p. Stachowiczowa) i Zdanowskiego (p. Jaworski). P. Stachowiczowa w postać Hanusi wlała jakoś za mało wdzięku, tak, że brakło jej tego potrzebnego uroku — p. Jaworski grał bez głębokiego uczucia i zapału, mdło, ospale — uderzyła nas przedewszystkiem scena przed pojedynkiem, gdzie przekonuje się Zdanowski, że Napierski zdrajcą. Ileż przerażenia, oburzenia, zdziwienia i lęku musiało się malować na jego twarzy — p. Jaworski pozostał spokojnym i zimnym. Publiczność oklaskiwała autora ciepło na premierze — na drugim przedstawieniu były kompletne pustki. Taki los poważniejszych utworów!

Dr. Eug. B.

* * *

Mąż i żona, komedia Aleksandra hr. Fredry (ojca), wznowiona w ubiegłym miesiącu na naszej scenie, wymaga i gry stylowej i odpowiednich ram. I jednemu i drugiemu stało się zadość: scena przedstawiała w istocie wierną kopię salonu z zarania naszego stulecia,

a pp. Zapolska i Jankowska — pierwsza jako hr. Elwira; druga w roli subretki Justysi — były w każdym calu stylowemi. I strój, i uczesanie głowy, ton mowy, ruchy, słowem wszystko harmonizowało, tworząc całość w wysokim bardzo stopniu udatną. P. Wostrowski, w roli fircyka w zalotach, bałamucącego równocześnie i hrabinę i jej pokojówkę, zasłużył również na szczere oklaski, czego powiedzieć niestety nie mamy prawa o p. Woleńskim, jako hr. Wacławie, był on bowiem zanadto mało stylowym mężem Elwiry, co spowodowało pewnego rodzaju dysonans w harmonijnej całości. A szkoda, bo doskonała gra pań Zapolskiej i Jankowskiej, a bardzo dobra p. Wostrowskiego zasługiwały na staranniejsze wniknięcie w intencje autora sztuki.

Treści komedyi fredrowskiej powtarzać nie mam zamiaru, byłoby to bowiem zbyt bezcelne. Zanoluję jeno, że rozpoczęła ona swoją karierę sceniczną we Lwowie w ostatnich dniach kwietnia 1822 r., z kąd dopiero powędrowała do Warszawy i na inne sceny. Po upływie lat wielu odegrali »Męża i żonę« w naszym mieście pp. Nowakowska, Zimajewa, Ładnowski i Kwiecieński.

— *mre.* —

Córki pana Dupont zjawiły się na naszej scenie przelotnie, w dobrym przekładzie p. Zygmunta Sarneckiego. Co było powodem upadku komedyi? Czy nieodpowiednia gra? Czy treść sztuki, zanadto właściwa stosunkom francuskim, a naszym obca? Orzekać nie śmiem. Dostyc więc będzie, gdy stwierdzę fakt, że komedia runęła, runęła bezpowrotnie.

Treścią jej, satyra na rodziców frymarzących dziećmi, dopuszczających się wszelakiego rodzaju matactw, krętaństw i oszustw, byle tylko córki pozbyć się z domu i broń Boże! nie dopuścić do tego, żeby ona została starą panną. Znacny ojezulek Dupont ma trzy córki, a raczej miał trzy, jednej z nich bowiem wydarzył się w zaraniu życia przykry wypadek, została więc przez ojca wyrzuconą na bruk uliczny, by tam zmarnieć do reszty, staczając się między ćmy nocne. O Anieli Dupont nikt w domu nie wspomina; dla rodziny jest ona już umarłą. Za to występuje w świat uroczą panna Julia, a aniołki na porcelanie dla chleba maluje dobrze już leciwa dewotka Karolina. Rodzina Dupont spotyka na swojej drodze równie zacne stadło Mairaut, posiadające syna na ożenku. I zaczynają się obrzydliwe zabiegi, targi i oszustwa wzajemne, kończące się niefortunny dobranem małżeństwem młodej pary. Obie strony zawiodły się boleśnie w swych wyrachowaniach, następują więc starcia, które dostarczyły komedyopisarzowi wątku do napisania sztuki. Złą ona bezwarunkowo nie jest, posiada wiele scen dobrych, dialog prawdziwie francuski, wymaga atoli gry nadzwyczaj starannej, doskonałego przetrawienia tytułowej roli ojca-Dupont, inaczej bowiem widz ujrzy przed sobą typ fałszywie pojęty, zupełnie niezgodny z intencjami autora. Takim niestety był w znacznej mierze utalentowany nasz artysta p. Fiszer. Postać wstrętnego egoisty, wyzyskującego córki, wypadła w jego interpretacji niezupełnie wiernie; ot, mówiąc krótko i wężlowato: p. Fiszer roli nie zrozumiał, odtworzył więc typ humory-

styczny wprawdzie i śmieszny, ale nie była to wierna kopia pana Dupont. Trudno mi ręczyć, żeby ta właśnie okoliczność spowodowała upadek sztuki, bo widocznie rzecz sama nie była wstanie zaaklimatyzować się na scenie lwowskiej, ale zawsze jednak było to *minusus*, które przyczynić się nie mogło do ocalenia Córki pana Dupont. Inni artyści usiłowali, jak i p. Fiszer, wywiązać się najlepiej z powierzonego im zadania. Że ono nie zawsze pomyslnym uwieńczone zostało skutkiem — to nie ulega wątpliwości.

M. Rolle.

* * *

Dyrektor teatru hr. Skarbka, p. Ludwik Heller, z powodzeniem zapełnia luki, powstałe w ciągu paru lat ostatnich w szeregach naszej artystycznej drużyny. Nie wchodzę w to, co jest powodem podobnej troskliwości o dobro stołecznej sceny, konstatuję jeno z prawdziwą przyjemnością fakt, że dzieć się tu zaczyna coraz lepiej. O dwóch nabytkach łódzkich pisałem dawniej, dzisiaj poświęcę z kolei uwag kilka p. Knake-Zawadzkiemu. Artysta to utalentowany, obdarzony warunkami, których brak niejednemu, nawet niepośledniemu aktorowi, tworzy częstoć niepokonalne przeszkody w pogoni za laurami i uznaniem. Głos jego dźwięczny o olbrzymiej skali, nie zawiedzie nigdy, przeciwnie nawet czasem wymagać będzie hamulca; postawa również jakby wymarzona dla bohatera scenicznego.

P. Knake-Zawadzki wybrał na pierwszy swój występ rolę woźnicy Henszla, odtwarzaną u nas dawniej przez p. Jaworskiego. Już samo zestawienie obu wykonawców wskazuje jasno, co można z tej roli stworzyć, a czego — mimo usilną pracę i starania — nie mógł uczynić p. Jaworski. Woźnica w interpretacji p. Zawadzkiego, to typ, przeprowadzony od początku do końca z przedziwną konsekwencją i prawdą; to człowiek, którego losy przejmują widza do głębi, silnie, każąc mu odczuwać każdym nerwem całą biedę nieszczęśliwego bohatera dramatu Hauptmanna.

Inna rzecz z kreacją pułkownika Kornilowa w »Tamtym«, tak kapitalnie graną przez p. Kamińskiego, a niefortunnie przez p. Fiszera. Zawadzki przewyższył tego ostatniego w wysokim stopniu, pozostał jednak daleko w tyle po za pierwszym. To trudno, artysta choćby najgenialniejszy, zrozumieć w końcu musi, że są role, których omijać powinien, bo one nie przysporzą mu chwały. Ani głos, ani postawa p. Zawadzkiego, ani rodzaj jego gry, w innym wypadku tak pożądane, nie nadawały się do wiernego odtworzenia żywego typu pułkownika rossyjskich żandarmów; to też wszystkie owe szczegóły, u Kamińskiego wyzyskane z wyjątkową finezyą artystyczną — tutaj zatarły się zupełnie.

W każdym razie jednak powtarzam raz jeszcze z całą bezstronnością: scena lwowska zyskała w p. Knake-Zawadzkim artystę niepośledniego, który niejednokrotnie ułatwi dyrekcji trudne zadanie odpowiedzialnego rozdziału ról, wymagających prawdziwego talentu.

Już kiedy mowa jest o »Tamtym« — pozwoliłbym sobie reżyserii naszego teatru zaproponować małą próbę, która wyjść może

tylko znakomitej tej sztuce na pożytek. Proszę p. Zawadzkiego zostawić przy roli generała Horna, odtwarzanej przezeń bardzo dobrze, p. Chmielińskiemu powierzyć rolę pułkownika Kornułowa, p. Nowackiemu wreszcie porucznika Strielkowa, a zobaczymy, czy eksperyment ten nie wyda rezultatu nader pomyslnego.

Spróbować w każdym razie nie zawadzi.

Michał Rolle.



L I T E R A T U R A .

Cieniom Chopina. W »Dzienniku polskim« wydawanym w latach 1849 i 1850 przez Karola Libelta w Poznaniu, w nrze 120. z dnia 29. października 1849. (str. 438), a więc w dwanaście dni po przedwczesnym zgonie Fryderyka Chopina, znajdujemy wierszyk p. n. Cieniom Chopina, który tu w całości powtarzamy.

Mistrzu dźwięków nad mistrzami
Czemu nam przy smutnym czasie
I Ty znikłeś w wieku krasie?
Nową stratę grzebiem łzami.

Kiedyś gościł między nami,
Ciężki grzech — ach! — bierzmy na się,
Ześmy w obcych nut hałasie
Twemi mieli tak darami,

Długo Hinten (sic!), Herz lub Czerny
Głuszac tylko polskie sale,
Stali nam płód obcy, mierny,

Tyś u obcych swoim wierny,
Wielki ducha pieśni, żale
Przebrzmiał ku ojczystej chwale.

Nie dla wartości literackiej przytaczamy tu ten drobny wykwit sztuki rymotwórczej, bo ta jest żadna, ale powtarzamy go jako dowód czci, jaką geniusz muzyczny Chopin'a budził już w współczesnych. Wierszyk ów ma dla nas jeszcze to znaczenie, że napisany został pod najświeższym wrażeniem wiadomości o śmierci autora »Marsza pogrzebowego«. Pozostaje nam jeszcze wyjaśnić, kto są trzej wymienieni przez twórcę wierszyka muzycy. Pierwszy z nich Hinten, właściwie Hinten Franciszek współczesny Chopin'owi był autorem sonat i licznych utworów małej wartości, Karol Czerny (ur. 1791. †1857) napisał około 1000 większych i mniejszych kompozycyi, gładkich, ale przeważnie beztreściowych. W. Herz (ur. 1803†1888) tworzył wiele w ten sam sposób, co Czerny. Utwory ich obu używane są dziś przeważnie tylko jako ćwiczenia dla początkujących. *K. W—ski.*

Artur Gruszecki. Tuzy — Powieść współczesna — Wydanie drugie — Warszawa — Nakład Gebethnera i Wolffa, 1900.

Wśród powieściopisarzy współczesnych Gruszecki wyróżnia się dodatnio wyborem aktualnych, zawsze interesujących tematów. Czy to malując walkę rasową na Szlaku; czy też wyrazistymi konturami zarysowując obraz walki o byt w galicyjskim przedpieklu, jak słusznie nazwano od lat dawnych Borysław, zawsze utalentowany autor potrafi w zajmujący, niepozabawiony energią i siłą sposób opowiadaniem swem nie tylko zająć uwagę czytelnika, ale zarazem oświetlić w sposób trafny i zgodny z rzeczywistością omawianą, kwestyę, podnieść jej znaczenie pod względem narodowym lub społecznym. Podobne zalety posiadają również jego »Tuzy«, które dziś w ponownej spotykamy edycji. Tuzami są plantatorowie buraków, zamożni ziemianie ukraińscy, zmaterjalizowani do szpiku kości, niewolnicy rubla, gotowi dla miłego grosza do wszelkich kompromisów z honorem, z sumieniem. Ponurą całość obrazu rozświeca poniekąd sympatyczna para młodych ludzi, wyższych ponad materyalne względy, która, mimo przeszkód, stawianych przez otoczenie, przyrzeka sobie dożgonną miłość. Szablonowe owe zakończenie powieści nie razi nas zbyt, gdyż autor upozorował je w sposób wcale zręczny a niepozabawiony oryginalności.

^{p.}
Nad Prądnikiem, Przewodnik po Ojcowie i jego Okolicy — zebrał i ułożył K. W. — Wydanie ilustrowane — Warszawa — Nakład Gebethnera i Wolffa — 1900.

Dolina Ojcowska, odwiedzana rokrocznie przez liczne zastępy turystów, doczekała się w końcu wyczerpującego opisu, który zastąpi z powodzeniem wydany przed laty trzydziestoma i wyczerpany już w handlu księgarskim „Przewodnik“. Praca p. K. W. nie rości sobie wprawdzie tytułu do oryginalności. Jest ona wszakże udatnem zestawieniem a raczej streszczeniem dotychczasowej literatury ojcowskiej, uzupełnionem starannie cennymi spostrzeżeniami autora. Liczne ilustracye zdobią pożyteczne to wydawnictwo.

^{s.}
Legends i Baśnie Wschodu zebrała Anna Neumanowa. — Kraków. — Spółka Wydawnicza Polska. 1899.

Na omawiany zbiorek złożyło się siedm rozmaitej treści opowiadań, osnutych na tle podań arabskich oraz koptyjskich, zasłyszanych przez panią Neumanową podczas jej pobytu na Wschodzie i odtworzonych przez sympatyczną powieściopisarkę z rzetelnem poczuciem poezji oraz owej naiwnej fantazyi, cechującej baśnie orientalne.

^{i.}
Podania i Legendy krakowskie zebrał dr. Klemens Bąkowski — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska — 1899.

Popularyzator dziejów podwawelskiego grodu przysłużył się świeżo czytającemu ogółowi zbiorkiem podań i legend krakowskich, zestawionym troskliwie na podstawie tradycyi, przechodzącej z pokolenia na pokolenie, bądź też opracowań źródłowych. Nie pominął przytem milczeniem wzmianek rymowanych o ważniejszych zdarzeniach, jakie miały miejsce w dawnej stolicy królów, wyszłych z pod pióra Węzyka, Wasilewskiego i w. i. Rozpoczynawszy od czasów bajecznych, rzecz swą doprowadza dr. Bąkowski aż po koniec ośmnaściego wieku. Układ chronologiczny dziełka ułatwia orientowanie się w całości.

^{s. p.}
Nowele J. Poroszina: Przed burzą — Stróż nocny — Tłómaczył z Rosyjskiego G. W. — W Krakowie. — Główny Skład w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej — 1899.

Przyswojone naszemu piśmiennictwu przez p. G. W. utwory Poroszina, zajmującego wśród młodszego pokolenia belletrystów rosyjskich stanowisko wybitne, tworzą ustęp ze zbioru jego szkiców, ogłoszonych pod ogólnym tytułem „Marzenia o szczęściu“. Szczery realizm a zarazem znakomita forma literacka cechują obie te prace, wielce obiecujące dla przyszłego rozwoju zdolności poczytnego już dziś powieściopisarza.

Sewer: Bajecznie Kolorowa — Nowela. — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska — 1899.

Ze i prozaiczna rzeczywistość naszej doby obfituje od czasu do czasu w epizody iście romantyczne — dowodem »Bajecznie kolorowa« Sewera, osnuta na tle artystycznego życia w Krakowie. Jeśli jednak fakt rzeczywisty oszczędził autorowi trudów pomysłu, to wżycie się subtelne w światek malarzki, wnikięcie w jego najdrobniejsze właściwości, przyswojenie sobie gwary pracowników pędzla — stanowią bezsprzeczna, a wyłączną zasługę autora, który pod względem werwy i barwności opowiadania nierychło w naszej literaturze powieściowej znajduje godnego siebie współzawodnika. *i*

Wincenty Kosiakiewicz: Hallali — Powieść — Warszawa — Nakład Gebethnera i Wolffa — 1899.

»Hallali« — to raczej studium psychologiczne, aniżeli powieść w przeciętnem tego pojęcia znaczeniu. W Eustachym daje nam autor typ ogólny młodego, rozpoczynającego zawód literacki powieściopisarza, odgadującego raczej intuicyjną aniżeli doświadczeniem i świadomą obserwacją otaczające go społeczeństwo. Talent, świeżość formy, zjednują młodzieńcowi chwilowe powodzenie, ale on sam niebawem przychodzi do przekonania, że do napisania rzeczy »kapitałnej« jest jeszcze niedojrzałym. Trzeba naprzód pożyć lat kilka — rozumuje słusznie bohater »Hallali«, w której to powieści znajdujemy wierny, choć epizodycznie traktowany obraz współczesnego ruchu literackiego w syrenim grodzie. *p.*

Podręcznik Sztuki dramatycznej dla Artystów i Amatorów ułożył Anastazy Trapszo. — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska — 1899.

Zgasty w lipcu r. z. weteran scen polskich w Królestwie i w Galicyi, ś. p. Anastazy Trapszo, uczeń głośniejszy w swoim czasie szkoły dramatycznej Jasińskiego, zapisał się dobrze w historii narodowego teatru, jako wytrawny pedagog i bystry mentor adeptów Melpomeny, pierwsze w zawodzie scenicznym stawiających kroki. Rezultat długoletniej praktyki streścił ś. p. Trapszo w »Podręczniku«, który jeśli pod względem oryginalności nie wiele przynosi nowego, to przecież w uboższej naszej literaturze dramatycznej ważną wypełnia lukę. Książka Trapszy jest tem bardziej pożądaną zjawiskiem, ileż dotychczas, prócz pobieżnej broszury Derynga, nieposiadaliśmy w języku polskim żadnego dzieła, traktującego o technice aktorskiej a ustępy książki, wzmiankujące o zasadach dobrego mówienia na scenie, o oddychaniu i o rodzajach deklamacyi, mogłyby stanowić pouczającą lekturę dla niejednej i niejednego z aktorów, zajmujących tak zwane stanowiska na scenie skarb-kowskiej. *i.*

Wspomnienie o półwiekowem istnieniu księgarni i drukarni J. B. Lange w Gnieźnie. — Skreślił J. B. N. — Nakładem i drukiem J. B. Langego w Gnieźnie, r. 1897.

Istniejąca od lat pięćdziesięciu gnieźnieńska firma nakładowa J. B. Langego wystąpiła z ozdobną, ułotną publikacją, streszczającą dzieje jej założenia i rozwoju. Z natury stosunków miejscowych wynika, że działalność wydawnicza księgarni zwróconą była przeważnie do dzieł treści religijnej. Jej nakładem opuściła prasy drukarskie tyle popularna w całej Polsce książka do nabożeństwa arcybiskupa Dunina, która obecnie ukaże się w ponownem, poprawnem wydaniu. Nadto wydawał Lange wiele dzieł treści pedagogicznej dla ludu i młodzieży a zważywszy trudne warunki, z jakimi księgarstwo nasze ma w Księstwie do walczenia, skromną akcyę rzeczonoj firmy jako chlubę poczytać należy. Pamiątkowe publikacye tego rodzaju, co będące w mowie »Wspomnienie«, posiadają nietylko znaczenie okolicznościowe, ale w wielu wypadkach przedstawiają ciekawy materyał do historii drukarń w Polsce, tak mało dotychczas wyświeconej. *i.*

Bohdana Zaleskiego: Dzieła Pośmiertne — Wydanie wznowione z przedmową Stanisława Tarnowskiego — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska — 1899 r. — T. 1—2.

»Dzieła pośmiertne« obejmują niewydane dotąd poezye Zaleskiego, pisane podczas długoletniej tułaczki. Z fragmentów, dawniej znanych, znajdujemy tu »Księżną Hanke« z dalszym ciągiem jako »Złota Dumę«, poemat o trzech wielkich pieśniach, nieskończony niestety, największy nieznaną dotychczas utworu poety p. t. Potrzeba Zbarazka oraz wiele innych, drobniejszych poezyi i aforyzmów. W jakiej myśli rzeczy te były pisane, dlaczego nie wykończone, lub też dlaczego, mimo wykończenia, nie wydane? — odpowiedź wyczerpująca na powyższe pytanie podają dokładne komentarze, w jakie poszczególne utwory zaopatrzyli powiernicy myśli poety, jego synowie. Objaśnienia te posiadają wagę urzędowego niemal dokumentu, na którym przyszli biografowie Zaleskiego będą musieli polegać. Że ogłoszenie nieznaną poezyi Bohdana jest dla literatury naszej nabytkiem a dla ogółu inteligentnego wypadkiem niemałego znaczenia — to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, jak trudno przypuścić, by mimo zmiany wyobrażeń estetycznych utwory Zaleskiego miały się dziś spotkać z przyjęciem obojętnem. Mickiewicz się myli — powiada w przedmowie Stanisław Tarnowski — kiedy nazywa Bohdana największym ze wszystkich poetów Słowiańszczyzny; ale który drugi w duszy był tak zupełnie czysty, w życiu tak bez błędu i zarzutu jak Zaleski? Lata przeszły, świat się zmienił, ale od szczęśliwego poety, co wołał: »Świeć się, świeć się wieku młody!« piękniejszym był starzec, sam jeden pozostały z wielkiej epoki poezyi, zachowujący młodzieńczą świeżość uczucia do ostatniego tchu. I z tego względu „Dzieła pośmiertne«, Bohdana znaleźć winny serdeczny oddźwięk wśród naszego społeczeństwa.

p.

Z Koła Literacko-Artystycznego.

Wydział naukowo-literacki odbył już w bieżącym jesiennym sezonie cztery zgromadzenia, w których uczestniczyli członkowie »Koła« wraz z rodzinami i wprowadzeni przez nich goście. Szereg zajmujących zebrań zainaugurował prezes »Wydziału«, p. Adam Krechowicki odczytaniem świetnie skreślonego ustępu z niewydanego dotąd tomu trzeciego powieści »O tron«, której dwa pierwsze tomy cieszą się tak znaczną poczytnością. Na drugim zebraniu, przeznaczonym wyłącznie dla panów, odczytał p. Aureli Urbański bardzo dobre przekłady z Heinego; na następnych dwóch niemniejże zainteresowanie wzbudziły odczyt p. Fr. Rawity-Gawrońskiego o wpływie malarza Oleszkiewicza na Mickiewicza, oraz prelekcya dra Franciszka Krčeka o powieściopisarce czeskiej, Karolinie Światłej, wypowiedziana na podstawie żmudnych i pracowitych studyów nad literaturą czeską.

Na ostatnie zebranie przybył umyślnie z Krakowa delegat komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju, p. Kazimierz Bartoszewicz, by i w naszym mieście wzbudzić silniejsze zainteresowanie się dla tej pięknej myśli. Po wysłuchaniu referatu p. Bartoszewicza z dotychczasowej działalności komitetu krakowskiego i przeprowadzeniu wyczerpującej dyskusyi, uchwalono w zasadzie zawiązać komitet podobny we Lwowie oraz prosić p. Krechowickiego, by uchwalił tę w czyn wprowadził i wszystkimi przedwstępnymi krokami komitetu kierował.

Po pierwszym przedstawieniu »Buntu Napierskiego« urządziło grono członków »Koła« dla p. Jana Kasprowicza ucztę składkową, do której zasiadło około 100. pań i panów. Toasty wygłosili pp. Balasits, Urbański, Skrzyński, Heller, Bandrowski i Solański, w odpowiedzi przemawiał p. Kasprowic. Po uczcie rozpoczął się prawdziwy wieczór deklamacyjno-muzyczny, który przeciągnął się daleko po za północ i pozostawił po sobie bardzo sympatyczne wrażenie.



Kronika żałobna.

Szczerbowicz-Wieczór. Zmarł w Warszawie Ludomir Ludwik Szczerbowicz-Wieczór urodził się dnia 27. lutego 1842 roku we wsi Szczepowszczyźnie, w pow. stuckim gub. mińskiej. Gimnazjum ukończył w Stucku, poczem udał się do uniwersytetu w Moskwie, z którego wyszedł w r. 1864-ym, jako kandydat nauk historyczno-filologicznych. W roku następnym został nauczycielem gimnazjum w Kielcach, z kolei uczył w progimnazjum w Częstochowie, w gimnazjum w Warszawie, nakoniec zaś w Płocku. Zawód pedagogiczny opuścił w r. 1883. Działalność piśmiennicza rozpoczął od poezyi, wydając zbiorek p. t. »Kwiaty marzeń« (Mińsk. 1860 r.). Wprędce jednak, zaniechawszy rymotwórstwa, zagłębił się w autorach greckich i rzymskich, czego owocem były poważne rozprawy: »Eurypides, nieprzyjaciel kobiet«, »Parmenides, filozof z Elei« »Sztuka kochania« a wreszcie na małą skalę, ale umiejętnie skreślone »Dzieje starożytne dla młodzieży« w dwu częściach. Wyśmienitą znajomość języków starożytnych i gorące zamiłowanie pięknej polszczyzny okazał w dziełku: »O skażeniu obecnem języka polskiego«, w »Badaniach porównawczych« i prze-róbce »Małej stylistyki« Augusta Jeskego a niemniej w licznych postrzeżeniach językowych, które po czasopismach umieszczał. W okresie wyrabiania się nowych pojęć na sprawy społeczne ogłosił dwie broszury: »Zagadnienia i kierunki« i »Kilka kwestyj«. Nadto wydał naukę o rzeczach p. t. »Świat i dzieci« i studjum o Spinozie. Będąc już powalony chorobą, sięgnął do wspomnień pacholących i w książeczce »Z pamiętnika Leandra Szyszczeki-Walskiego« dał miły obrazek wychowania dcmowego nad Niemnem przed półwiekiem. Po za tem zasiał rozprawkami naukowemi, streszczeniami i ocenami wiele pism warszawskich. Umierając zapisał między innymi 4 000 rb. na rzecz gimnazjum polskiego w Cieszynie. Księgozbiór swój przeznaczył Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

Teofil Szumski, w ostatnich czasach starszemu tylko pokoleniu lepiej znany, przed laty kilkunastu poczynny powieściopisarz, a równocześnie długoletni dziennikarz, zakończył 13. października około godziny 7 wieczorem swój żywot, tak bardzo w ciernie i kolce obfity Sześćdziesięcioletniego starca, ojca rodziny, mogło do tragicznej samobójczej śmierci popchnąć tylko wielkie nieszczęście. I w istocie, losy, rozdziałające częstokroć tak nierówną miarą troski, zmartwienia i boleści, powodzenia i przyjemności, upatrzyły sobie w steranym tym pracowniku pióra ofiarę, na której głowę waliły wszelkie boleści i nieszczęścia. Długo też walczył z niemi s p. Szumski, w końcu jednak sił mu snać zabrakło.. Oto cały żywot człowieka, co przed wielu laty jał się pracy piórem z zapałem młodzieńczym i energią, któremu zwolna, ale stale, opalały się skrzydła coraz więcej, rozczarowania gorzkie zastępowały młodzieńcze marzenia, aż w końcu runął na ziemię złamany. Oddaliwszy rodzinę swoją z mieszkania pod pozorem, że pragnie się przespać trochę, wystrzelił dwukrotnie z rewolweru w skroń i skończył na miejscu. Teofil Szumski urodził się w r. 1839. Po ukończeniu studiów wstąpił do redakcyi *Gazety Narodowej*, z kolei pracował lat kilkanaście w *Gazecie Lwowskiej*, aż zwiąawszy się niebacznie ze smutnym bohaterem rzzgłośnego w swoim czasie procesu, Hendigerym, musiał wycofać się ze szranków dziennikarskich. Imając się różnych zajęć, byle tylko zarobić na życie, został wreszcie w r. 1897 sekretarzem Stowarzyszenia ślusarzy i mosiężników. Z doby twórczości literackiej s. p Szumskiego zanotować należy p. wieści: »Na gruzach«, »Ludzie dobrej chęci«, »Wiktorya«, »Nie ziemia winna;« dramat »Bolesław Śmiały« i cały szereg artykułów, poruszających rozmaite sprawy aktualne.



Odpowiedzialny Redaktor: Michał Rolle.



C. k. uprzyw. galicyjski akcyjny
BANK HIPOTECZNY.

Oddział depozytowy

przyjmuje wkładki i wypłaca zaliczki na rachunek bieżący, przyjmuje do przechowania papiery wartościowe i udziela na takowe zaliczki.

Nadto zaprowadzono na wzór instytucji zagranicznych tak zwane

Depozyta schowkowe
(Safe Deposits.)

Za opłatą 25 do 35 zł. a. w. rocznie, depozytaryusz otrzymuje w stalowej kasie pancernej schowek do wyłącznego użytku i pod własnym kluczem, gdzie **bezpiecznie a dyskretnie** przechowywać można swoje mienie lub ważne dokumenty.

W tym kierunku poczynił Bank Hipoteczny jak najdalej idące zarządzenia.

Przepisy odnoszące się do tego rodzaju depozytów otrzymać można bezpłatnie w oddziale depozytowym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO

kupuje i sprzedaje

**wszelkie papiery wartościowe
i monety**

po najdokładniejszym kursie dziennym,
nie licząc żadnej prowizyi.

STACJA KLIMATYCZNA, położona w uroczej miejscowości, w bliskości Lwowa, wśród rozległych lasów nad stawem 800 morgowym.

JANÓW

Hotel z komfortem urządony, w willech obok hotelu różne pomieszczenia, łazienki stawowe, łożnie wiosłowe i żaglowe. Lekarz, apteka, urząd telegraficzny i pocztowy w miejscu. Czytelnia, fortepian, bilard, kregielnia, gry towarzyskie, kawiarnia w hotelu. — Pomiędzy Lwowem i Janowem codziennie kursują, 3 pociągi, a cena tam i na powrót w niedziele i święta III. klasą 42 ct., II. klasą 82 ct., w inne dni III klasą 82 ct., II. klasą 1 zł. 42 ct.

**Młyny, Gorzelnie, Browary, Tartaki, Wodociągi
i Odlewy żelazne**
wykonuje

„PERKUN“, fabryka maszyn

Lwów — Podzamcze — ul. św. Marcina 11.

Kosztorysy bezpłatnie.

Nowa gałęź przemysłu krajowego. Papier c. k. uprzywilejowanej fabryki bibułek cygaretowych w Sassowie, istniejącej od roku 1865, przerabia na **BIBUŁKI w książeczkach i TUTKI cygaretowe** wyłącznie znana firma

S. Wierusz Niemojowski we Lwowie.

Fabryka Sassowska wysyła dotychczas bibułki jedynie tylko za granicę wyrobami swojemi zyskała rozgłos światowy. Oryginalne papierosy importowe z Egiptu i Turcyi wyrabiane są przeważnie z **Bibułki Sassowskiej**. Krocie idą za granicę, a obcy bogacą się naszym groszem, zasypując nas lichemi swojemi wyrobami. Nie bogaćmy zagranicznych przemysłowców, kupujmy otdąd bibułki tutki cygaretowe z papieru Sassowskiego wyrobu

S. Wierusz Niemojowski — we Lwowie — ul. Wałowa 1. 25.

Stanisława Schnir-Peplowskiego

Szkice historyczne

(„Usque ad finem!“ — „Listy Polskiej Damy“ — „Ojciec Bem“
„Pamiętnik Garczyńskiego“).

Lwów — Księgarnia H. Altenberga — 1900.

Cena 2 zł. 40 ct.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

P 5

293

Warunki przedpłaty

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową: rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech: rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową: 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przesyłać należy pod adresem: „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „Kole“ codziennie
od godziny 7 do 8 wieczorem.



IRIS

PISMO LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Zeszyt XII.

Grudzień 1899 r.

WE LWOWIE
NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Z Drukarni E. Winiarza

<http://1899in.org.pl>

T R E Ś Ć.

	str
I. Mickiewiczowska rocznica	541
II. Mieczysław Sołtys, sylwetka, nap. Bezstronny	542
III. Rossyjski żołnierz, wiersz Juliana z Poradowa	545
IV. Duchy morza, baśń, przez Annę Neumanową	546
V. W pałacej sprawie, przez Dra K. J. Nitmana	551
VI. U piramid, wiersz Anny Neumanowej	557
VII. Myrtha, z zapisków malarza, przez Z. t	557
VIII. Notatki z Krakowa, przez Kaz. Czapelskiego	562
IX. Z Pragi czeskiej	565
X. Michał Adam Sozanski, sylwetka artystyczna przez Iz. K.	567
XI. Muzyka	571
XII. Teatr	577
XIII. Literatura	584
XIV. Z Koła literacko-artystycznego	587
XV. Od Redakcyi	588



85293



Mickiewiczowska rocznica.

Komitet budowy pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie wydał następującą odezwę:

Wstępujemy w okres dorocznych uroczystości Mickiewiczowskich.

W gmachach szkół miejskich, w izbach wiejskich szkółek, w salach Towarzystw sokolskich, w salonach Kasyn, rozmaitych Stowarzyszeń i prywatnych kolek, za wzorem długiego szeregu lat, który tradycya już uświęciła, wyciskając na nim charakter obyczaju narodowego, społeczeństwo nasze obchodzić będzie w najbliższych dniach uroczyste pamięć największego naszego Wieszcza i odświeżać w sobie świadomość reprezentowanych przez poetę narodowych ideałów.

Uroczyste te chwile niechaj jednak nie przeminą bez pozostawienia trwalszego śladu!

Odkąd u podnóża Ostrej Bramy stanął skromny lecz piękny pomnik Adama, — taki, jaki wogóle w dzisiejszych stosunkach mógł stanąć w grodzie Gedymina. — Lwów, stolica naszego kraju, jest dzisiaj jedynem z większych miast polskich, nie posiadającym jeszcze w swych murach widomego objawu czci dla Mickiewicza, widomego symbolu Mickiewiczowskich ideałów. Dla Lwowa i dla naszego kraju jest dziś po prostu rzeczą ambicyj, nie pozostawiać dłużej poza innymi miastami, czy nawet wielu miasteczkami i wioskami polskimi!

Komitet zajmujący się budową pomnika Mickiewicza we Lwowie, pragnie też jak najrychlej i jak najchlubniej wywiązać się z ciążącego na nim zadania. Uczyniono już wszystko, co było w zakresie działania komitetu: rozpisano konkurs, wybrano projekt pomnika, a w dniu 14. listopada b. r. artysta, którego projekt nagrodzono, przedstawił gronu zaproszonych znawców i członkom komitetu wykonany już w zwiększonym formacie, poprawny model kolumny Mickiewiczowskiej. Projekt zyskał jednomyślne uznanie

i jednomyślnie też postanowiono powierzyć wykonanie pomnika artyście-rzeźbiarzowi, p. Antoniemu Popielowi. Talent i zapał do sztuki tego artysty są najzupełniejszą rękojmią, iż pomnik będzie wykonany świetnie i że kolumna Mickiewiczowska stanie na placu Maryackim we Lwowie na czas, — na wiosnę r. 1901.

Dzisiaj idzie o to, ażeby społeczeństwo spełniło także zadanie swoje i na czas dostarczyło komitetowi potrzebnych funduszków.

Dotychczas składki płynęły zbyt powolnie. Zapewne, wiele okoliczności smutnych, przygnębiających złożyło się na to. Czas już jednak otrząsnąć się z tej apatii, która przygniata nasze życie publiczne.

Dzisiaj, w rocznicę Mickiewiczowską, gdy społeczeństwo nasze krzepi otucha, płynąca z zaczarowanej krynicy narodowej poezyi, dzisiaj podnieśmy serca w górę!

Dzisiaj także niechaj każdy uważa za swój obowiązek obywatelski, narodowy, dorzucić grosz do funduszu budowy pomnika dla tak ukochanego przez cały naród nasz Wieszcza.

Składki niechaj płyną drobne, ale szerokim strumieniem, a kolumna Mickiewiczowska wystrzeli wnet ku niebu u stóp Wysokiego Zamku!

Wszystkie P. T. Komitety, urządzające wieczory i obchody Mickiewiczowskie, dalej zarządy szkół, wydziały Towarzystw sokolich, Kasyn i t. d., uprasza się, ażeby powyższe przypomnienie składki na pomnik Mickiewicza we Lwowie, raczyły odczytać na uroczystościach Mickiewiczowskich i zainicjować na zebraniach składki na powyższy wspomniany cel. Pieniądze odsyłać należy pod adresem skarbnika komitetu: J. K. Zieliński, Lwów, ul. Jagiellońska l. 3.



MIECZYŚŁAW SOŁTYS.

(SYLWETKA).

Mieczysław Sołtys urodził się 7. lutego 1863 r., lata dziecięce przepędził przeważnie na wsi u dziadka po matce, ruskiego księdza. Pobyt ten wśród natury, w ciągłym zetknięciu się z ludem, pozostawił niezatarte ślady na wrażliwym umyśle chłopca. Od tego czasu datuje się mia-



MIECZYSLAW SOŁTYS

znalazł sposobność do kształcenia się w muzyce, oddał się jej z zapalem. Wziął się jednak niepraktycznie do rzeczy, zabrał się mianowicie odrazu do trudnych i poważnych utworów, dzięki wybitnym zdolnościom i muzykalności poczynił mimo to znaczne postępy.

Komponować począł wcześniej i czując z czasem, że do tego potrzebne są pewne podstawy, studyował na lekcjach szkolnych harmonię. Pracował gorączkowo nad fortepianem i choć ostatnie lata gimnazjum wymagały zdwojonej pracy, nie dał się odciągnąć żadnymi względami od muzyki. W tym też czasie pragnął umuzykalnić kolegów, wyuczał chóry i miewał odczyty z dziedziny muzyki. Słowem oddał się cały ukochanej sztuce, wszystko inne niemal całkiem zaniedbując.

Po ukończeniu gimnazjum zapisał się, ulegając woli ojca, na wydział prawa i administracji, lecz już w kilka miesięcy porzucił to studyum, przeszkadzało mu bowiem w pracy nad ukochaną muzyką, którą właśnie studyował pod kierunkiem Mikulego. Jako uczeń gry na fortepianie, pracował literalnie po całych dniach, pragnąc dojść do wirtuozostwa. Jego system nerwowy ucierpiał wskutek tego bardzo, zwłaszcza że przyczyniły się do tego i przykrości domowe.

nowicie wybitne zamiłowanie w pieśni ludowej (zwłaszcza ruskiej). W szkołach był średnio pilnym; w wyższych klasach szkół średnich okazał się trochę fantazją, pracował tylko nad przedmiotami, które go więcej pociągały o inne nie dbając. Zachęcony przez profesora języka łacińskiego, począł w tym czasie studyować głębiej autorów klasycznych, tłumaczyć nawet wierszem Eneidę. Klasyczne piękno jednak mniej go ku sobie pociągało niż poezya liryczna; mnóstwo wierszy lirycznych, kilka dramatów i powieści powstało w tym czasie.

Z usposobienia był trochę odludkiem, stronił od towarzyszków i chętnie przebywał ze swemi myślami. W wieku chłopięcym brał udział w szkolnych chórach mieszanych, a z chwilą, gdy

Ojciec naszego muzyka sprzeciwiał się jego zamiarowi poświęcenia się wyłącznie sztuce, i nastały dla niego czasy ciężkiej walki miłości synowskiej z powołaniem, w której byłby z pewnością się ugiął, gdyby nie fanatyczne przywiązanie do sztuki.

Ulegając jednak po raz wtóry woli rodziny, wpisał się na wydział filozoficzny — nie porzucając jednak pracy nad muzyką.

Po ukończeniu wydziału filozoficznego ożenił się z panną Józefą Morawiecką, a wkrótce potem zmarł jego ojciec. Teraz poświęcił się Sołtys wyłącznie muzyce. W r. 1887 zamianowany za wpływem Mikulego nauczycielem historii muzyki w lwowskim konserwatorium, wyjechał za urlopem za granicę. Bawił w Wiedniu, gdzie studyował u Fr. Krenna i Bol. Hirschfelda a zarazem kształcił się słuchając znakomitej orkiestry opery nadwornej i koncertów filharmonicznych.

Z Wiednia udał się do Paryża, celem zbliżenia się do Saint-Saënsa, którego muza go ku sobie pociągała. Przybywszy do Paryża doznał zaraz na wstępie zawodu, — oto Saint-Saënsa nie było wówczas w stolicy Francji, a nadto dowiedział się, że on odwiedza Paryż tylko w rzadkich odstępach czasu i że lekcji wcale nie udziela. Za pośrednictwem OO. Zmartwychwstańców poznał się z hr. Mazewskim, od którego otrzymał list polecający do Saint-Saënsa.

Gdy się nareszcie doczekał przyjazdu Saint-Saënsa, odwiedził go w jego pomieszkaniu i znalazł go przychylnie usposobionym dla swych kompozycji (niektórych chórów z pierwszej opery komicznej »Panie kochanku«). Otrzymał zaproszenie, by go odwiedzał, ilekroć on zjedzie do Paryża i przedłożył mu swe prace, a nadto udzielił mu rady, by systematycznie pracował pod kierunkiem Eug. Gigonta, organisty u św. Augustyna i założyciela »Institut d'Orgue« w Paryżu, swego przyjaciela. Teraz się zaczęło upragnione studjum kontrapunktu i gry organowej pod kierunkiem Gigonta.

Studia na kursach tej szkoły, znakomite wzory muzyki kościelnej, słuchanie koncertów Lamoureux'go i Colonne'a miało uzupełnić dalsze wykształcenie.

Studia orkiestrowe, prowadzone i kierowane w sposób odrębny i racjonalny, należały również do planu nauki tej szkoły. Wróciwszy do kraju, nie zastał już Mikulego u steru Towarzystwa muzycznego, tem samem mianowanie go nauczycielem konserwatorium spełzło na niczem. W nowo powstałej szkole Mikulego objął miejsce nauczyciela gry na fortepianie i harmonii. Tak pracował do r. 1889 i wówczas oprócz drobnych utworów wykończył swą pierwszą operę »Panie kochanku«, z której wyjątki wykonano na jednym z koncertów »Echa« za czasów jego dyrygentury.

Nie zaspokojona rządza wiedzy parła go do ponownego wyjazdu do Paryża. Nie dało się to uczynić tylko z poniesieniem największych ofiar. Wyjazd ten naraził go na ogromne straty materialne a nadto pozbawił go miejsca nauczyciela, lecz nie żałował tego ze względu na ogromne zyski, jakie poczynił w studjum kompozycji i instrumentacji. W tym czasie wykończył »Koncert fortepianowy«, i »Rzeczpospolitą Ba-

bińską«. Za powrotem otrzymał posadę profesora w konserwatorium i seminarjum; począł pisać sprawozdania najpierw w *Przeglądzie*, później w *Dzienniku polskim*.

W roku 1895 wykonano czterokrotnie jego »Śluby Jana Kazimierza«. Dzieło to wywarło tak na krytyce, jak i publiczności bardzo korzystne wrażenie.

W tece ma nasz muzyk Symfonię *D-dur* i większe dzieło choralne p. t. »Do radości«. W druku wyszły dotychczas pieśni, fortepianowe utwory jak: Polonez, Gawot, Romanza, dalej Trio smyczkowe, Hymn sokołów, Kantaty dla Tańskiej i księdza arcybiskupa Issakowicza i kilka innych.

Za opracowanie pieśni ludowych otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie warszawskiego Towarzystwa muzycznego. Obecnie pracuje nad operą p. t. »Powieść ukraińska«, której treść zaczerpnął z XVII wieku.

Dziś po latach żmudnej i szczerzej pracy zdobył Mieczysław Sołtys jedno z najwybitniejszych stanowisk w polskim świecie muzycznym: dyrekcję Towarzystwa muzycznego i konserwatorium we Lwowie. Jego wiedza, talent, wytrwałość i charakter dają nam rękojmię, że niezawiedzie położonego w nim zaufania i że Towarzystwo muzyczne pod jego kierownictwem podniesie się do prawdziwie artystycznego poziomu.

Bezstronny.



Rossyjski żołnierz.

»Ty się dziwisz, że ja piję?
 »Moskał bydle, pijanica!«
 A mnie łza spływa na lica
 W sercu żal jak wąż się wije...
 Ja zwycięzca od stu lat,
 Ja moskiewski żołdat!

Święta Rossya to kraj wielki:
 Od Amuru po Bałkany!
 I drzy przed nią naród wszelki,
 I drzą przed nią świata pany,
 Jam to zdziałał, widzisz brat,
 Ja, moskiewski żołdat!

Łzam mem Wołga wzbiera...
 »Naprzód! Naprzód ruska wiera
 »Albo zginąć pod pałkami,
 »Albo roznieść świat szaszkami!«
 Więc wprzód idę — gnany — at!
 Ja moskiewski żołdat!

Petersburskie ślą mię pany,
 Bratnią Polskę »rozorat!«
 I ja idę ślepy, pijany,
 Niszczyc, palić, rabowat! —
 Ot zwycięzca ja i kat,
 Ja moskiewski żołdat!

Na Kaukazie ludek mały
W biedzie, ledwie wyżyć może,
Wydrzeć mu kazano skały...
Gołe skały... Wielki Boże!
Ot zwycięzca ja i kat,
Ja moskiewski żołdat!

Na skraj świata znów mnie pędzą,
Bić narody mi nieznanę,
By je zrównać z moją nędzą
Aż upadną krwią oblane —
Tak wciąż dalej idę w świat,
Ja moskiewski żołdat!...

Ach, od Kurska niedaleko,
Kędy nurty Dońca cieką,
Jest pod lasem wioska biała
A w niej chatka moja mała;
Tam ja zażył młodych lat,
Jeszcze wtedy nie żołdat!

Tam pod gruszą ule stały,
Przy nich ojciec, gołąb biały;
Och! i macierz moja miła,
Co nas wszystkich hołubiła —
Jak tam woniał lipy kwiat!
Jeszcze wtedy nie żołdat!

Tam my z moją Tytjaną
W cerkiew szli w niedzielę rano,
I w ogrodzie wisznie rwali,
I w karczemce tańcowali —
Maładec ja był a chwata!
Jeszcze wtedy nie żołdat!...

Gdy w rekruty mnie zabrali
I daleko hen pognali,
Pozostała żona młoda,
Dzieci dwoje... dzieci szkoda...
Cóż prócz bólu i prócz strat
Ma moskiewski żołdat?!

Na wschód, zachód wciąż mnie pędzą,
A tam moi walczą z nędzą!
Ojciec zmarł, zdziczało pole,
A ja cudze niszczyć role...
Na obczyźnie tyle lat,
Ja moskiewski żołdat!

Z głodu zmarła stara matka,
Dzieci zmarły — do ostatka
Zczeżał dobytek, więc do miasta
W służkę poszła gdzieś niewiasta...
Taką dolę — widzisz brat?
Ma moskiewski żołdat!

Więc na świecie sam zostałem:
Żal bogactwem mojem całym,
A gdy bólu wzbierze miarka,
To jest siwej wódki czarka!
Ot zwycięzca od stu lat,
Ja moskiewski żołdat!

Julian z Poradowa.

14 maja 1899 Viareggio.



Duchy morza.

(Baśń o dniu zadusznym na wybrzeżach Normandyi).

Mrok wieczorny zapadał nad skalistym, poszarpanym w dzikie urwiska wybrzeżem Normandyi*). Morze wzburzone, mętną pianą pokryte, wyło i ryczało, pasując się z jesiennym wichrem, szarpiąc tumany

*) W Normandyi istnieje zwyczaj, iż lud w dzień zaduszny niesie kwiaty i światło nad brzeg morza w ofierze dla tych, których pochłoneły fale. Zwyczaj ten podał uczniowi Böcklina, malarzowi Hendvichowi, myśl do słynnego obrazu: »Przystan u marłych« die Bucht der Abgeschiedenen«.

mgły ciężkiej, tłoczącej mu łono, wydymając fale spiętrzone jak ruchome wzgórze.

A fale te szły ku brzegom groźne, olbrzymie, potrząsając spienionymi grzywami, rade rozsadzić skał zapory i wspinając się jedne drugim na grzbiety, w dzikiej pogoni, to uderzały z łoskotem o brzegi, to opadały w niemocy siekąc wichry wściekłą ulewą rozbitych pereł.

W głębi zaś tej przepaści wodnej, w rozterce rozhukanego żywiołu słyhać to szepty i skargi rzewne, to wycia, przekleństwa i jęki tych nieszczęśliwych, których pochłoneło morze; echa strasznych tajemnic, co spoczęły na dnie tej otchłani.

Z kościółka w miasteczku Deanville nad samem wybrzeżem położonego, dzwonek odzywa się donośny, dźwięczny, ale przygłuszony fal łoskotem, czasami tylko niewyraźnym dźwiękiem dolatuje do uszu pobożnych, co spieszą na ementarze i nad wybrzeże, aby nieść umarłym na ofiarę światło, kwiaty i modlitwy.

Dzień to smutku i żałoby, dzień poświęcony wspomnieniu umarłych, nie tylko tych, co pod nakryciem ziemi w cieniu krzyżów spoczęli, ale także pamięci tych nieszczęśliwych, których pochłoneło morze; których śmiertelnym łożem była fala, zimna, ciężka, bezlitośna.

A oto krewni ich i przyjaciele kłęczą dziś na wybrzeżu i wyciągają ręce ku spienionym huczącym wodom, ciskając w nie kwiatów sploty. Światła latarek migocą na skałach niespokojne, ruchliwe, to podniecane, to gaszone wichru podmuchem, z kłębów zaś mgły szarej, snującej się nad morzem, wstają widma blade i płyną ku kłęzącym na wybrzeżu tłumom, witając ukochanych, co zachowali im pamięć i serce. Niektóre tylko cienie pozostały w dali, samotne, zapomniane czekając napróżno modlitwy i kwiatów...

I.

— Janie! ja się tak boję czegoś — mówiło młode dziewczę, smukłe jak łania w białym normandzkim czepeczku, do towarzysza, tegiego rybaka, powracającego z nią ręką w rękę z nad wybrzeża.

— Czegoż się boisz Marjo? przecież nieraz już w gorszą porę chodziliśmy nad morze na zaduszki; a pamiętasz jak dzieckiem będąc śmiałaś się ze mnie, że się boję duchów morza i straszylaś mnie zawsze nimi.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutnie i rzekła po chwili:

— Ej... bo to... wiesz... miałam dzisiaj sen dziwny... tylko może... nie powinnam o tem mówić...

— Cóż znowu u kaduka! gadaj a prędko; przyśniło ci się nasze weselisko he? no przyznaj się.

I puszczejąc jej rękę chciał ją wpół schwycić, ale wymknęła mu się z ręcznie.

— Daj no spokój Janie — szepnęła, i po chwili dodała: — śniło mi się widzisz, żem runęła w jakąś otchłań ciemną, a na dnie tej przepaści była jakby jaskinia otwarta, z której wyczołgał się nagle mój dziadus taki siwy, blady, jak wówczas, gdy go z morza wyciągnęto... pamiętasz... ach! taki był straszny... widzę go ciągle przed sobą...

Jan przeżegnał się szybko i splunął gniewnie — Tfu! dałabyś spokój takim bajom; w sny nie wierzę, chyba mi wywróżyły, że za tydzień staniemy przed ołtarzem. Nie po tom ja przez cztery lata pracowałem u twego ojca, nie na to ubłagałem go w końcu, by nas zaręczył, aby jakaś mara psuła mi szczęście. Tfu! do diabła! — Ot powiem ci coś lepszego — dodał po chwili — wiesz przecież, że breck*) holenderski rozbił się tu przed dwoma dniami blisko portu; kapitan płaci grubo za przenoszenie towarów do drugiego parowca; obiecał też znaczną nagrodę temu, kto w zatopionych kabinach znajdzie torbę z jego papierami. Jeżeli mi się poszczęści, co daj Boże! za dwie niedziele będziesz moją. Hurra!

I porywając nagle dziewczynę w górę, zakreślił nią młynka.

— Ho! ho! jak wam wesoło i to w sam dzień zaduszny; a kto w piątek się śmieje, ten w niedzielę łyzy leje. — Odezwał się w tej chwili głos trochę drwiący i tuż obok Jana stanęła druga dziewczyna. W świetle latarni, z pod jedwabnej czerwonej chusteczki zamigotały jej rudo złote włosy, świeża twarzyczka i zielonawe błyszczące oczy. Marja wzdrzygnęła się i odsunęła szybko od Jana, który mruknął coś pod nosem jakby przekleństwo, a potem zwracając się do przybyłej, rzekł z niechęcią:

— Zazdrość z ciebie mówi panno Magdo, ale każdemu Bóg coś udzielił, tobie dał pieniądze, nam wesołość.

II.

Nazajutrz Jan z Marią i ojcem jej, starym marynarzem Jakóbem, przybyli łódką do miejsca katastrofy i wraz z innymi robotnikami stanęli przy dźwigniach, pompach i łodziach ratunkowych na wpół zatopionego okrętu. Wielki breck, drgający jeszcze na kotwicy, pochylony w jedną stronę, kłuchał wodą ze wszystkich okien i otworów, podobny do olbrzymiego potwora, co dysze bokami i pasuje się ze śmiercią.

Na pochylonym ślizgim pomoście utrzymać się na nogach było niepodobnem; przeciągnięto więc liny a uwieszony u jednej z nich komendant kłął, wołał, wydawał rozkazy.

Skrzypienie dźwigni, tarcie powrozów, nawoływania, krzyki, przekleństwa, mieszały się z szumem morza w piekielną wrzawę.

Marja przyłączyła się do kobiet, przenoszących mniejsze z wody wyławiane paki i przedmioty na łodzi ratunkowe. Jan uwijał się przy

*) Breck, okręt towarowy o dwóch masztach.

pompach czerpiąc przybywającą gwałtownie wodę, gdy nagle usłyszał stentorowy głos kapitana, zwrócony do tęgiech jak on chłopaków: »Nuże chłopcy! dalej w wodę do kabin; który z was znajdzie małą torbę skórzaną, otrzyma 50 dukatów i... butelkę rumu«.

— Zje djabła, kto ją odszuka; nażłopalem ci się już ropy po uszy i nie znalazłem; — mruknął sternik.

— Chyba rekinowi z brzucha ją dobędzie; — odezwał się drugi głos.

Jan i towarzysze jego, niezrażeni temi przestroгами, rzucili się ku schodkom wiodącym w dół, skąd tylko szum wody dochodził, wciskając się w każdą szczelinę i pochłaniającej wewnętrzne urządzenie okrętu.

Zatrzymał ich jednakże kapitan a wybrawszy z drużyny tylko Jana i drugiego równie silnego chłopaka, kazał zaopatrzyć ich w niektóre niezbędne przyrządy nurków, jakie miano pod ręką.

Patrzyła zdala na te przygotowania Marja, stojąc po drugiej stronie pomostu i zadrżała domyślając się ich celu. Praca i ruch w koło niej ustały na chwilę, gdyż wszyscy oczekiwali z ciekawością wyniku tej niebezpiecznej wyprawy. Obaj nurkowie znikli w mgnieniu oka w ciemnej zalanej wzburzoną falą głębinie, ale już po chwili ukazała się na powierzchni głowa towarzysza Jana; był przerażająco siny, a uczepiwszy się konwulsyjnie liny, którą mu rzucono, padł dysząc ciężko w ramiona jednego z żeglarzy.

Jana nie było widać; biedna Marya stała teraz z otwarłemi szeroko oczami, wlepionemi w wodę, drząc jak w febrze; wreszcie rozchyliły się fale i ukazała się najpierw jedna ręka, pasująca się z prądem, potem wysunęła się druga. Majtkowie skoczyli z pomocą i wyciągnęli biedaka wpół martwego. Sztynniętymi rękami szarpał koszulę na piersiach chwytając ustami powietrze.

— Hurra! krzyknęli majtkowie wydobywając mu z zanadru wielką torbę z grubej skóry.

— Grogu i suchą bluzę! zakomenderował kapitan; — zuch z ciebie chłopak, nie 50, ale 60 dukatów wypłacę ci sam przy obrachunku i wypijemy za przyszłe szczęście i przyszłe potomstwo — dodał patrząc z rubasznym uśmiechem na Marję krzątającą się koło Jana — a teraz do roboty dzieci, do roboty. Cóż stoicie jak stada opasłych wołów, Sacerédieu! Jeszcze godzina, dwie a ta stara skorupa pójdzie na dno razem z nami. Hejże dalej! w górę liny! —

Jan wesół i szczęśliwy oprzytomniał wkrótce i odzyskał siły, Marja jednak nie mogła tak szybko otrząsnąć się z odniesionych wrażeń; jeden z majtków szturknął ją w bok nagłąc do pracy. Podążyła więc ku łódkom, a stanawszy na wąskiej oslizgłej desce, po której schodzili robotnicy, oglądnęła się raz jeszcze za Janem, nie zważając, że w tejże chwili nadechodzi druga kobieta z wielkim workiem na plecach. Marja potrącona, zachwiała się, a nie znajdując oparcia, runęła w morze. Rozległ się krzyk przeraźliwy o pomoc; zanim jednak krzyk ten tłumiony wrzawą na okręcie doszedł uszu Jana, zanim robotnicy zrozumieli, o co chodzi, było już zapóźno. Naprózno trzech majtków rzuciło

się w morze, napróżno Jan, któremu rozpacz podwoiła siły, przez czas dłuższy borykał się z falami, nie znaleziono nawet ciała biednej dziewczyny, które prawdopodobnie uwięzło wśród szczytków zatopionego okrętu. Jana wydobyto przemocą na to tylko, aby wraz ze starym Jakóbbem, ojcem Maryi, przeklinał życie i ten dzień nieszczęsny, co go złudził obietnicą szczęścia, a wydarł mu skarb najdroższy, jaki posiadał.

Niebawem przybywająca coraz gwałtownej woda przerwała roboty; — odarty, poszarpany szkielet okrętu pasował się jeszcze chwilę z potęgą fal rozwścieczonych, aż wreszcie oddany im na pastwę, opuszczony, bezsilny, zapadł w tę otchłań wodną, co śmierć i zniszczenie tai na dnie.

A z głębi kryształowych swych grobów wstały jęcząc widma blade i szły we mgle szarej ku brzegom morza, słuchać odgłosu dzwonów nawołujących do pacierza za duszę Maryi.

Trzeci rok mijał od zgonu biednej dziewczyny, nadszedł znowu dzień żaloby poświęcony pamięci umarłych, wieczór był tym razem pogodny, cichy, srebrny od połysków wody i księżyca. Znow zamigotały światła na skałach; wybrzeże zaroilo się tłumem pobożnych a przystań zabarwiły wieńce i snopy różnobarwnych kwiatów. Znow duchy morza zerwały się ze srebrzystej topieli i wychyliły z wodnych oparów, aby powitać swych blizkich; tylko cień Maryi pozostał w dali, niewitany przez nikogo — zapomniany!

Pogasty światła, przebrzmiały echa dzwonów i pacierzy, ale Jan nie przybył, by uczcić wspomnieniem tę, którą kochał niegdyś...

Późno w noc dopiero ukazała się w pobliżu przystani łódka mała i płynęła cicho ku brzegom, srebrną ścieżyną, którą jej księżyc wskazywał, przy odgłosie wesoło nuconej piosenki. Na przedzie łódki Magda opierała miłośnie swą złotowłosą głowę na ramieniu Jana...

A gdy przepłynęli koło miejsca, w którym utonęła niegdyś Marja, zajączały fale skargą tłumioną i podniosły się gniewnie jak gdyby łódkę pochłonać chciały, ale po chwili opadły deszczem łez błyszczących. Tylko po nad wody ciche wzbił się teraz obłoczek śnieżny, mający jakoby skrzydeł białych dwoje i twarz jasną dziewczycy, i płynął w dal, w górę ku gwiazdom złotym, skąd głos Boży dochodził niosący nadzieję i ukojenie :

— Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni!

Anna Neumanowa.



W pałacej sprawie.

Okres walk orężnych z przemocą należy już dziś do przeszłości w społeczeństwie naszym. Smutne doświadczenia w dobie rewolucyjnej przekonały nas dostatecznie, że w danych warunkach niepodobna zrywać się do walki z bronią w rękę i że siłę fizycznej przeciwstawiać należy przedewszystkiem siłę duchową i oświatę, podniesienie i rozbudzenie szerokich mas narodu polskiego. Rozpoczęła się zatem cicha i szara napozór orka, która jednak już w krótkim czasie przynosi jeśli jeszcze nie owoce, to przynajmniej zapowiedź obfitego plonu. Nie siłą oręza, lecz właśnie tą cichą i skromną pracą rozszarżamy panowanie ducha polskiego nawet tam, gdzie jeszcze przed 50 laty nie wiedziano nic o Polsce. Śląsk oderwany już w r. 1335 od pnia macierzystego, narażony w wysokim stopniu na germanizacyę, przez wdzierającą się z niezwykłą gwałtownością żywioł niemiecki, zaniedbany przez swoich i będący przez kilkaset lat teatrem zapasów wojennych między wrogami sobie plemionami, podnosi obecnie swój głos, zaznaczając uroczysto, że tam mieszka przeszło milionowa ludność polska, domagająca się praw jej należnych.

Aby jednak tej nowo odzyskanej dzielnicy nie utracić, trzeba koniecznie zaopatrzyć ją w twierdze, w którychby budzący się duch polski znaleźć mógł należyte oparcie i schronienie. Takimi zaś twierdzami są właśnie dwie szkoły kresowe: *polskie gimnazyum w Cieszynie i polska szkoła ludowa* imienia Tadeusza Kościuszki w *Białej*. Ostatnia powstała staraniem Towarzystwa »Szkoły ludowej«, gimnazyum zaś Cieszyńskie założyła »Macierz szkolna dla ks. Cieszyńskiego«. Instytucya ta, mająca na celu wyzyskanie wszystkich legalnych środków dla ochrony tubylczej ludności i jej tradycyjnych ideałów przed naporem obcoplemiennych pierwiastków, stała się dziś po piętnastu latach istnienia, potężną dźwignią w rozwoju społeczno-narodowym wschodniej części Śląska austriackiego. Twórcą jej Paweł Stalmach, nazywany przez przyjaciół Gracchusem śląskim, stanowi właśnie typową postać w szeregu najlepszych pracowników Polski z drugiej połowy bieżącego stulecia. Miłość bezgraniczna wszystkich warst narodu, a zwłaszcza ludu polskiego, z którego łona wyszedł ten dzielny syn chłopski, złączona z drugim nie mniej ważnym przymiotem ducha, z żelazną konsekwencyą i wytrwałością w pracy, uczyniły zeń najwybitniejszego bojownika w sprawie odrodzenia Śląska. Ruch narodowy w Cieszyńskiem, będący przed Stalmachem w embryonalnym zaledwie okresie rozwoju, za jego dopiero staraniem ujęty został w ramy systematycznej, z pewnym programem i celowo prowadzonej akcji, a cały szereg stworzonych przezeń instytucyi o charakterze humanitarnym, ekonomicznym i politycznym, zapiszą na zawsze imię jego we wdzięcznej pamięci narodu.

Pierwsze miejsce w szeregu tych instytucji zajmuje bezsprzecznie założona w r. 1885 na wzór czeskiej Maticy szkolnej — polska »Macierz szkolna dla ks. Cieszyńskiego«. Jest ona, jak słusznie ktoś powiedział, kamieniem węgielnym powodzenia sprawy naszej na Śląsku. Cel jej określa dobitnie pierwszy zaraz paragraf, wymieniając jako zadania swe: »zakładanie, utrzymywanie i wspieranie szkół średnich, fachowych i ludowych, tudzież ochronek, z polskim językiem wykładowym, w obrębie Księstwa Cieszyńskiego, dopóki założenia takowych kosztem publicznym uzyskać nie będzie można«.

Że szkoły w ręku nieprzyjaciół mogą być straszną bronią i doskonałym środkiem do wynarodowienia, o tem mieliśmy już niejednokrotnie sposobność przekonać się, a przedewszystkiem właśnie na Śląsku, gdzie olbrzymi brak polskiej inteligencji, niesłuchanie przeszkadzał w obmyśleniu środków samo-obrony i stawiał niemałą zaporę najszlachetniejszym i pełnym energii usiłowaniom jednostek. Dotychczas zaś nie mogła się wyrobić polska inteligencja z miejscowych żywiółów, dzięki organizacji o celu wybitnie germanizacyjnym szkół państwowych w Księstwie Cieszyńskim. Jakoż wieśniak śląski o ile z jednej strony chętnie zapewniał dzieciom swym wyższe wykształcenie, o tyle dotychczas przynajmniej, pomnażał tym sposobem szeregi renegatów. To co z nich ocalało i do obozu narodowego przeszło — to wyjątkowe perły umysłu i serca ludzkiego, wyjątkowe zaiste charaktery i natury. Z uwagi więc, że żadna praca w kierunku organizacji, rozszerzenia i natężenia ruchu polskiego nie doprowadzi do większych rezultatów bez współdziałania większej masy uświadomionych sił społecznych, Macierz postanowiła aby przedewszystkiem założone zostało gimnazjum polskie w Cieszynie, a następnie dopiero inne zakłady w miarę potrzeb ludności i środków Towarzystwa.

Jakoż już w r. 1894, podczas wystawy lwowskiej, zaczęto się zajmować gorliwie sprawą założenia gimnazjum. Patriotyczna część prasy polskiej rozbudziła ofiarność na ten cel i już dnia 1-go grudnia 1894 r. na walnem zgromadzeniu »Macierzy« zapadła uchwała, aby w roku 1895 przystąpić do dzieła. Niestety fundusze wynoszące wówczas około 50.000 zł. uważało wielu za niewystarczające i zdawało się, że gimnazjum to narazie nie zostanie otwartem. Aliści dzienniki rozniosły wiadomość, że ś. p. Kmita, rodem ze Żmudzi, zmarły w Warszawie, zapisał swój majątek, wynoszący 25.000 rubli w połowie na gimnazjum Cieszyńskie, w drugiej zaś połowie Akademii Umiejętności w Krakowie. Fakt ten złamał upór niektórych kunktatorów i poczęto się oglądać za odpowiednim lokalem, co jednak z wielkimi trudnościami było połączone. Szczęście jednak sprzyjało, bo już w marcu 1895 »Macierz szkolna« wydzierżawiła w budowie będący budynek za kwotę 2500 zlr. rocznie. W kilka dni później postanowiono na poufnem zgromadzeniu Zarządu stanowczo gimnazjum otworzyć w r. 1895 i wnieść natychmiast podanie do Ministerstwa oświaty o pozwolenie na otwarcie tegoż gimnazjum.

A kiedy wreszcie po pokonaniu olbrzymich trudności i tysiącznych szykan ze strony nieprzyjaciół polskości, otwarto ten przybytek nauki, radość nie do opisania zapanowała w całym księstwie Cieszyńskim. Na wzgórzach karpackich zapłonęły ognie, po wsiach strzelano z moździerzy i urządzano nabożeństwa dziękczynne, a muzyki wiejskie głosiły wszędzie wieść radośną. Uroczystość otwarcia gimnazjum miała miejsce dnia 10-go października 1895. I zdawaćby się było mogło, że odtąd nastanie pokój, a gimnazjum rozwijać się będzie naturalnym torem. Zaraz do pierwszej klasy zapisało się 95 uczniów, prawie wyłącznie dzieci chłopskich. Ale mimo wzorowego zachowania się dziatwy, pilności jej i znakomitych postępów w nauce, nie cieszyło się gimnazjum poparciem ze strony władz krajowych. Przeciwnie zaczęła się głucha, zaciechrzewiona, pełna podstępnych ataków i napaści walka z niem, ze strony inteligencji niemieckiej, mającej w swych rękach wszystkie urzędy i całą maszynę administracyjną w kraju,

Takt jednak w postępowaniu ze strony zarządu Macierzy i dyrekeyi gimnazjum, tudzież niespożyta siła odporna coraz liczniejszego zastępu bojowników sprawy polskiej w Cieszyńskim — pokonywały skutecznie wszystkie zapędy, mające na celu zniweczenie tego spokojnego i cichego przybytku nauki. Dzieje owych szykan, znane są aż nadto dobrze z licznych i częstych relacji dziennikarskich, zbytecznem więc byłoby powtarzać je, zwłaszcza, że skutek nie odpowiedział usiłowaniam, a gimnazjum otrzymało nawet w trzecim roku istnienia swego prawo publiczności, »dzięki osobistej interwencji we Wiedniu — jak głosiły dzienniki półurzędowe — ze strony posłów polskich i prezesa Koła polskiego p. Jaworskiego«.

Zwlekano wprawdzie i łudzono obietnicami dłuگو, ale ostatecznie ustąpiono pod naciskiem opinii publicznej i burzy w prasie, jak najmniej wiecu polskiego, który się odbył dnia 1-go sierpnia 1897 r. w Cieszynie.

Silesia, organ Niemców śląskich, jęknęła aż z boleści na tę Hiobową dla niej wieść.

A jednak, był to dopiero pierwszy i to bardzo względny tryumf idei polskiej na Śląsku, bo uzyskane prawo publiczności, nie przyniosło wcale pomocy materialnej dla gimnazjum, które i nadal musi się utrzymywać z grosza złożonego ofiarnością publiczną, a koszta utrzymania gimnazjum rosną z każdym rokiem. Obecnie rozpoczęło ono piąty rok swego istnienia. Mimo zacieklej agitacji Niemców, zapisało się doń 230 uczniów do pięciu klas. Pierwsza klasa licząca 60 uczniów, podzielona została na dwa oddziały, trzecia zaś licząca 57 uczniów nie mogła być podzieloną, dla braku sił nauczycielskich, których przy najgorliwszych poszukiwaniach nie udało się Macierzy szkolnej w potrzebnej liczbie pozyskać; II klasa liczy 44 uczniów, IV—39, V—30.

Ofiarność na gimnazjum rozbudziła się w ciągu lata na nowo. Zeszłej zimy i na wiosnę zaprzestały datki z poza Śląska prawie całym wpływając. Niepomyślny ten dla gimnazjum objaw wywołało Koło polskie, które sądząc, że rząd dotrzyma danych obietnic, w komuni-

kacie swym wydanym na początku lutego b. r. wyraźnie oświadczyło, że byt gimnazjum polskiego jest już zapewniony. Okazało się jednak, że rząd nie dotrzymał danych przyrzeczeń, bo dotąd gimnazjum od rządu ani centa nie otrzymało. W ostatnich czasach doniosły wprawdzie gazety, że dla gimnazjum Cieszyńskiego wstawiono w budżet subwencyę od 6000—8000 złr. — lecz sprawa ta nie jest jeszcze należyte wyjaśnioną i być łatwo może, że znowu zawiśnie w sferze przyrzeczeń.

Pozatem, gdyby nawet gimnazjum otrzymało subwencyę, to byt jego wcale jeszcze nie jest zapewniony, bo subwencya ta wystarczy jedynie na pokrycie niedoboru, jakim się skończył rok szkolny 1898/9. Na przeszło bowiem 26.600 zł. wydatków, wpłynęło do kasy tylko 20.000 złr.

Macierz Szkolna ma wprawdzie kapitał zakładowy, wynoszący chwilowo około 60.000 złr., ale go bardzo osłabiać nie powinna, bo łatwo się zdarzyć może, że będzie zmuszoną przy dzisiejszej sytuacji politycznej długo jeszcze utrzymywać z własnych funduszków założone przez nią gimnazjum. Oprócz tego okazuje się konieczna potrzeba budowy gmachu gimnazyalnego, gdyż dotychczas gimnazjum pomieszczone jest w wydzierżawionym na 6 lat budynku, od którego Macierz płaci 2.700 złr. rocznego czynszu. W budynku tym jest tylko 7 sal szkolnych z ubikacyami potrzebnymi na pomieszczenie środków naukowych, może więc on wystarczyć najdalej jeszcze na rok szkolny 1900/1901. Po upływie tego czasu Macierz musiałaby się starać o pomieszczenie dalszych klas w jakimś innym budynku, co przy znanej zaciekłości niemieckiej byłoby połączone z wielkimi trudnościami.

A więc dom własny: to najpierwsza potrzeba gimnazjum Cieszyńskiego. Jakoż Macierz szkolna zakupiła już miejsce pod budowę za 20.000 zł., postarała się o wygotowanie planów, ale do budowy nie może przystąpić, ze względu na brak funduszków, bo koszta budowy będą wynosiły około 100.000 złr. Aby zebrać potrzebne na ten cel fundusze wydano właśnie odezwę, która rozesłaną zostanie w jak największej liczbie egzemplarzy. Znaną jest też z gazet historia polskiej szkoły ludowej w Cieszynie. Miasto Cieszyn, liczące około 7,000 polskiej ludności, nie posiada ani jednej polskiej szkoły ludowej, a język polski nie bywa wcale uwzględniany w niemieckich szkołach, dlatego ludność polska w Cieszynie w zastraszający sposób się germanizuje. Istnieje wprawdzie ustawa, że jeżeli w jakiejś miejscowości jest 40 dzieci, których rodzice domagają się szkoły z tym językiem wykładowym jakim sami mówią, a język ten jest krajowym, wówczas władza szkolna może zmusić gminę do założenia takiej szkoły. I chwycono się tam tego środka, lecz przekonano się wkrótce, że nie jest praktycznym, mimo bowiem, że zebrano przeszło sto dzieci, to jednak władza szkolna zwlekała z załatwieniem, a tymczasem Niemcy cieszyńscy z całą bezwzględnością zaczęli wywierać nacisk na rodziców, by cofnęli podpisy na podaniu o polską szkołę. Wiedząc dobrze, że mimo tego znajduje się dostateczna liczba podpisów, władze trzymają podanie już od lutego 1898 i nie myślą wcale o jego załatwieniu. Sądzą widocznie, że tymczasem pewna

liczba rodziców wyniesie się z Cieszyna, dzieci innych ukończą 14 rok życia i wystąpią ze szkoły, i tak sprawa ubitą zostanie szczęśliwie dla Niemców. Jakoż można być pewnym, że przy wrogiem usposobieniu śląskiej biurokracyi względem ludności polskiej, na tej drodze nie dojdzie się nigdy do celu.

Trzeba więc koniecznie użyć innych środków. A wskazują je Polakom Czesi na Śląsku, którzy mając doświadczenie, że na gminach niemieckich nie wymuszają w podany powyżej sposób szkół czeskich, sami zakładali szkoły, poczem wykazawszy, że posiadają dostateczną liczbę uczniów, zmuszali następnie gminy niemieckie do ich przyjęcia. W ten sposób niemieckie gminy utrzymują już znaczną liczbę czeskich szkół.

Chcąc osiągnąć to samo w Cieszynie, Macierz szkolna projektuje w roku przyszłym założenie polskiej szkoły ludowej. Będzie to znowu połączone z wielkimi kosztami, lecz sprawa polska na kresach koniecznie tego wymaga. Szkoła ludowa w Cieszynie zapewni też i gimnazjum świetniejszy rozwój. Dotąd bowiem z miasta Cieszyna ma gimnazjum tylko 3 uczniów, co pochodzi stąd, że w szkołach ludowych nie uczą języka polskiego o tyle, aby uczeń mógł złożyć egzamin wstępny. Od ludzi rzemieślniczej i robotniczej warstwy, trudno wymagać, żeby prywatnie uczyli dzieci języka polskiego, samą zaś polską inteligencją w Cieszynie można na palcach policzyć. Wszystkie zresztą gimnazya na świecie mają stosunkowo najwięcej uczniów miejscowych, do tego też dążyć musi Macierz ze względu na swoje gimnazjum, czyniąc przygotowania do założenia polskiej szkoły ludowej w Cieszynie.

Niemniej ważne znaczenie miałyby dla Cieszyna i polska ochronka. Niemcy spostrzegli, że w Cieszynie i innych miejscowościach śląskich, będących pod wpływem niemczyzny, dzieci przed wiekiem szkolnym mówią prawie wyłącznie po polsku. Pochodzi to stąd, że wszystkie piasunki i sługi w niemieckich domach władają li językiem polskim. A coż dopiero dzieci z niższych warstw, które oprócz polskiego, innego języka wcale nie znają. Germanizatorowie obmyślili obecnie i nato nowy środek gwołi tępienia języka polskiego wśród dziatwy. Pozakładali mianowicie w Cieszynie i wszędzie, gdzie tylko Niemcy mają jakiś wpływ, czy znaczenie, liczne ochronki niemieckie, w których biednym dziatkom wydzierają język ojczysty. Takich ochronek jest w Cieszynie aż 4, z których 3 urządzone są na wielką skalę. Otóż i tu pole do działania dla Macierzy. Wprawdzie przed blisko dwoma laty Macierz zamierzała przystąpić do otwarcia ochronki, lecz Niemcy wywarli tak silny nacisk na właściciela domu, w którym ochronka miała być pomieszczoną, że ten z obawy przed zemstą cofnął dane przyrzeczenie wydzierawienia na ten cel lokalu. Drugą zaś przyczyną, dla czego Macierz dotąd nie w tym względzie nie uczyniła, był brak fundusów.

Z tej samej również przyczyny niepodobna było dotąd założyć tak potrzebnej dla biednych uczniów bursy. A Niemcy tymczasem nie szczędzą nigdzie ni grosza, ni trudu, byle odciągnąć młodzież polską od gimnazjum polskiego, byle za pośrednictwem niemieckiej szkoły

rozbić wszelkie zapory na drodze do wynarodowienia. Przed 14-tu laty założyli nawet tak zwany »Schulverein«, ażeby zapomocą niego, na podstawie zatwierdzonych statutów, a więc zupełnie legalnie, germanizować Słowian północnych i południowych w krajach monarchii austriackiej. Związek ten dał się i nam Polakom we znaki na zachodnich kresach Galicyi, na Bukowinie, a szczególnie na Śląsku.

Ażeby dotrzeć aż do wnętrza rodziny, wydrzeć polskośći kapłanki domowego ogniska, pozbawić nas tego żywiołu, który dały nam Klementyna z Tańskich Hofmanowa, Chrzanowskie i Pustowójtówny i mnóstwo innych podobnych bohaterek, założono w Cieszynie pensję dla dziewcząt pod kierunkiem zakonnice Boromeuszek, gdzie młode wychowanki doszczętnie ulegają germanizacyi, stając się w późniejszym życiu elementem antypolskim, wychowującym dzieci w duchu zupełnie nam obcym, powiedzmy wprost wrogim.

A jeżeli mimo to wszystko, niespożyta siła ludu polskiego na Śląsku okazywała się dotychczas silniejszą od celowo zorganizowanych czynników wynaradawiających, to jednak pamiętać powinniśmy, iż pierwszym postulatem polityki naszej, musi być gorliwsza niż dotychczas obrona kresów zachodnich. Śląsk zaś austriacki, to aczkolwiek mała kraina, przedstawia jednak dla nas z wielu względów nieoszacowany interes w uratowaniu go dla polskośći. Jakoż pomijając już względy natury czysto etycznej, pamiętać należy, że stanowi on dziś przedmurze dla Galicyi zachodniej i że tu właśnie znajduje silną tamę w odporności mas ludowych, szalone parcie żywiołu germańskiego w kierunku wschodnim.

Dlatego też społeczeństwo nasze winno podać jak najenergiczniejszą pomoc, tej budzącej się z uspienia wiekowego, prastarej Piastowskiej dzielnicy. A że w naszych stosunkach szkoły są najpotężniejszym środkiem, który prowadzi narody do dobrobytu, do oświaty i opartego na świadomości, kulturalnego rozwoju, przeto by nieadać zniemczyć się Śląskowi, popierajmy wszelkimi siłami gimnazjum polskie w Cieszynie. Śląsk sam nie jest w stanie utrzymać tej instytucyi, ponieważ połowa ziemi jego i kapitały znajdują się niestety tylko w niemieckich rękach, a że i Galicya nie opływa w dostatki, przeto zróbmy przynajmniej to jedno, co w zakresie możności naszej leży, to jest głośnem i choćby demonstracyjnem objawieniem woli naszej, uzyskajmy u rządu upaństwowienie gimnazjum Cieszyńskiego. Płacąc podatki i ponosząc ciężary państwowe na równi z innymi ludami Austrii, mamy prawo domagać się, równej dla nas miary i poszanowania zaręczonych nam konstytucyjną praw narodowych. Jeżeli zaś Niemcy, którzy w ks. Cieszyńskiem stanowią zaledwie 14% zaludnienia, mogą mieć aż 2 gimnazya i 2 szkoły realne — to żądanie upaństwowienia jednego gimnazjum polskiego, nie jest chyba postulatem zbyt daleko idącym.

I Rząd ustąpi z pewnością. Niechaj tylko postowie z Galicyi zachęceni przez nas, upomną się po męsku i śmiało, a utrwalimy byt tej szkoły, założonej ofiarnością całego społeczeństwa. Wówczas i uświado-

mienie uczuć polskich na Śląsku ogarniać zacznie o wiele jeszcze szersze niż dotychczas kręgi, trud zaś i ofiary z naszej strony, opłacą nam się sowiecie. Gimnazjum stanie się wyrazem żywotności naszej, a sztandar Orła białego święcić będzie nowy tryumf ducha nad materją, idei — nad kajdanami...

Dr. K. J. Nitman.



U PIRAMID.

Z cyklu sonetów.

(Autorowi »Buntu Napierskiego«).

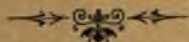
Patrz! te skały, co cielskiem potwornem zakryły
Głęb pustyni — to wieków ubiegłych Tytany.
Spojrzysz zdala — ich szczyty w twarz słońca się wpiły,
Zbliż się tylko — w bezmierną szerz wzrosną ich ściany.

Czyliż siła Półbogów spiętrzyła te bryły,
Nie! na rękach je znosił lud biczem smagany,
Łzy nędzarzy ślad wieczny w granicie żłobiły,
Krwia i męką niewoli gład każdy spajany.

To grobowce — trup władców w tych głębiach ukryty,
Miał doczekać chwil sądu; — dni zemsty go zżarły
Tylko ludu trud silne o błękit wsparł szczyty.

Ludu polski! z dni bólu, co pierś twą rozdarły
I z twej pracy niezżyte Bóg stworzył granity,
Jak groby, z których Egipt dziś wstaje umarły.

Anna Neumanowa.



MYRTHA.

(z zapisków malarza).

— Na każdy sposób to nie miało sensu. — Ile ja razy mogłem już to zdanie powtórzyć. Albo wiem? Zapewne dla tego, że w ogóle rzadko kiedy postępuję z sensem w tem życiu, które zresztą wcale jest niezłe; stanowczo lepsze od moich obrazów. Jest w niem co prawda sporo zawodów, wiele biedy przebytej, trochę za dużo lat, ale jest



i kilka wspomnień bardzo jasnych, kilka chwil dobrych, niezapomnianych, no! i ta para oczu niewieścich, takich słodkich, takich... ale mó Boże, co tu gadać! Takie oczy można malować, można o nich pisać poezye, ale ot taką dyletancką prozą gadać się o nich nie godzi.

A jednak... skoro inaczej nie umiem a myślę o niej ciągle!

Szedłem tam z dziwnie głupią miną. Antek powiedział mi:

— Chodź do Myrthy! ona chce cię poznać a wiele takich amatorów nie znajdziesz. Da ci zresztą dobrej herbaty i poprosi cię usiąść na tak stylowem krześle, że będziesz wyglądał jak swój własny obraz.

Wymawiałem się, że niemam czasu, że niedbam o stylowe krzesła, w końcu — poszedłem.

Salon Myrthy mimo wielkiej ilości świec płonących w kandelabrach, był mroczny.

Szłyśmy się na to wrażenie ciemne makaty i gobeliny na ścianach, ciemne machoniowe meble, na których tylko wąskie paski bronzów połyskiwały złotawo. Jedyną, mówiąc po naszymu — jasną plamą — która uderzała moje oczy, był duży sewrski wazon stojący na stole, pełen świeżych, jakby przed chwilą dopiero nałamanych, gałęzi białego bzu.

Ten wazon sprawiał złudzenie, że za oknami salonu zamiast gwarnej paryskiej ulicy, pachnie majowych krzewów pełny ogród, taki swojski sad, jaki zwykle swojskie nasze dwory otacza.

Przy pianinie stała wysmukła ciemno ubrana kobieta i przerzucał kartki nut znajomy nasz, a kolega po sztuce, sławny pianista i kompozytor Henryk.

— Dobrze, — pomyślałem — będzie muzyka! Nie trzeba się wysilać na rozmowę, a myśli pójdą sobie w świat za oczy!

— Pan Jerzy, przedstawił mnie Antek, a ona ujmując moją rękę rzuciła te najprostsze pod słońcem wyrazy, które się zwykle na widok nowego znajomego wymawia:

— Miło mi powitać pana u siebie, dawno już chciałam poznać Pana osobiście. Z obrazów znamy się dawniej...

— Co! czy nie zechce ona mówić mi komplementów! A, toby było paradne! — przemknęło mi przez głowę, ale zaraz uspokoiła mnie pauza po jej słowach, którą przerwałem szczerze.

— Jak to ślicznie, że mnie pani nie pochwaliła na wstępie, bo — byłbym sobie poszedł.

Roześmiała się serdecznym śmiechem dziecka, a ja spostrzegłem dopiero, że była ładna.

Antek rozmawiał z nią jak z dawną znajomą, swobodnie i jak to on zwykle, wesoło; Henryk przerzucał dalej nuty, ja zaś patrzyłem. Ładnie tu, a co dziwniejsze bajecznie artystycznie! Z gobelinów blade, wydłużone twarzyczki kasztelanek jadących na łowy z sokołem i chartami uśmiechały się do nas, jak widma nagle — zakłamięm jakimś wywołane, wyraźne choć znikome jak sen...

Wspaniałe meble w stylu włoskiego renesansu, obite współczesnym płowozłotym adamaszkiem, stare piękne obrazy, weneckie pająki i zwier-

ciadła, a wszystko oświetlone wielką ilością świec żółtych, woskowych, których kościelny zapach mieszał się w dziwnym połączeniu z wonią świeżych bzów...

Na tem tle ujrzałem Myrthę. Jaka ona młoda, mój Boże! Czy podobna, aby kobieta o takiej dziecinnej, przeczystej linii profilu mogła być jedną z tych! Co! Czy podobna podnosić z równą pogodą takie długie promienne rzęsy i patrzeć tak spokojnie parą wielkich świetlistych oczu?

Nowy typ! Ja — je — znałem dobrze.

Bywały wspaniale piękne lub impertynencko brzydkie, ubrane z pewnym właściwym sobie szykiem, śmiejące się głośno kraśnemi aż do zbytku ustami. Inne bywały mizerne, lichy odziane, ale ten wyraz, ten charakterystyczny wyraz oczu, miały wszystkie. I te z St. Germain — i te z Quartier Latin. A ta, patrzy tak poważnie i smutno tym dziecinnym wzrokiem, co zdaje się bronić jej sławy, o której Antek dziwi mi prawić...

Ubrana jest w jakąś prostą ciemno brunatną suknię z wązkimi rękawami i wyciętym kołnierzem, suknię florentynki z czasów Beatrix Portinari.

— Piękna jest jak obraz, jak stary, dobry obraz, młoda jednak i świeża jak kwiat. — Oto wynik mojego patrzenia.

Henryk zaczął grać. Patrzyłem z upodobaniem artysty na jego wytworne białe ręce, na rafinowany profil, półprzymknięte oczy i duszą piłem płynącą melodyę.

Dziwnie dobrze jest myśleć, kiedy kto gra tak lub śpiewa. Mnie przynajmniej daleko płynnej niż zwykle wiążą się myśli przy muzyce.

W tej chwili myślałem o niej — o Myrcie.

Słuchała odwrócona twarzą odemnie, widziałem tylko smukłe linie jej postaci i jasną schyloną głowę.

Henryk zapewne grał pięknie, bo myśli moje wedle programu, poszły sobie w świat za oczy; bez biały pachniał, promyki świec migotały — i nagle zacząłem sobie przypominać, gdzie to ja widziałem ostatni raz tyle światła w pokoju...

Aha! Ludka leżała wśród takiej konstelacji drżących płomyków w szczordrowskim salonie! Moja siostra! Serdeczny, ładny podlotek, zabity jak ptak nagle, dyfteryą.

Kiedy umarła, nie płakałem, ale gdy babka poprosiła, abym jej sztywne, na wieki stężałe rysy wnuczki zanotował w teczce — na pamiątkę — to palce mi tak drżały, że nie mogłem ołówka w nich utrzymać.

Henryk grał, a mnie przyszło nagle osobliwe porównanie Ludki z Myrthą. Gdyby tak ona, Myrtha umarła, niktby zapewne nie ukląkł z łkaniem u jej trumny i takimi nie płakał łzami, jakimi za Ludką płakały babka i nasza matka.

I równocześnie, mimo całej świadomości różnicy między temi dwoma istotami, zrobiło mi się żal Myrthy.

Stała jeszcze ciągle w tej samej postawie, jakby zahypnotezowana muzyką...

Myśli jej były pewno także daleko od tego lśniącego zbytciem i światłem salonu.

Wreszcie melodya zaczęła gasnąć i mdleć aż rozwiała się w ciszę.

Henryk zdjął ręce z klawiszy i gestem znużenia wstecz przechylił głowę.

— Wy Polacy całkiem inaczej pojmujecie Chopina od nas cudzoziemców — odezwała się półgłosem Myrtha, poprostu gracie znajome nam rzeczy, ale w obcym dla nas języku. My z polskiego musimy je dopiero na inne języki tłumaczyć.

Co prawda, wasze pojęcie wydaje mi się najprawdziwsze, — do dała patrząc sennie na znużone rysy Henryka.

Muzyk popatrzył na nią trochę drwiąco, trochę ciekawie.

— O czemżeś ty myślała, kiedy ja grałem Chopina, — zagadnął nagle.

— Ja! — zawołała, odstępując o krok.

— Bądź szczerą! — rzucił jeszcze tonem podobnym do rozkazu.

— Ja? powtórzyła ciszej. Jestem egoistką, myślałam o sobie — zawołała z prostotą potrząsając swoją jasną, stylowo uczesaną główką.

Wstałem i jakąś dziwną wiedziony siłą, stanąłem przed nią a wpatrzywszy się z uporem w jej ufne, świtów pełne oczy, rzekłem niewiedzieć po co:

— Myślała pani o śmierci!

Zdławiony okrzyk wydarł się z jej ust, przerażone źrenice wpatrzyły się we mnie i — zkąd pan wie! zagadnęła wreszcie.

— Zkąd ja wiedziałem!? Niech za mnie odpowiadają moje nerwy i — muzyka. Nigdy dotąd nie próbowałem odgadywać niczyich myśli, nawet dla żartu.

Antek potwierdził, że istotnie dotąd tego rodzaju zdolności nikt nie zauważył u mnie. Ona zaś skinęła na Henryka — graj — szepnęła, którą z pieśni Schumanna — chcę śpiewać.

Henryk posłusznie położył ręce na klawiaturze i grać zaczął znajomy akompaniament.

Równocześnie zabrzmiał jej głos. Ach! jaki głos! Słodki, łzami wezbrany, czysty jak linia jej profilu, a smutny jak śmierć.

Wenn ich in deine Augen seh'
So schwindet all' mein Leid und Weh,

— — — — —
— — — — —

Bolesne słowa Heinego, ta muzyka delikatna, dziwnem jakimś wzruszeniem wstrząsana postać kobieca — o! to miało Stimmung! To miało nastrój!

Płynęła ta smutna piosenka bólu i rezygnacyi pełna, niby historia tej kobiety, która słowa o miłości łzami witać musi, wierzyć im nie mogąc...

— Wreszcie głos jej wygasać począł i cichnąć:

Doch, wenn du sprichst, ich liebe dich —
Da muss ich weinen bitterlich.

Skończyła. Jej wielkie, smutne oczy wpatrzyły się znowu w bladą twarz Henryka, bez łez, suche zupełnie a tak wymowne...

Na pianinie pośród zwiędłych bukietów nut i starej porcelany widniała fotografia Henryka.

Z za kryształowej szybki, którą była przykryta, wycierała znajoma cięta fizyonomia z zagadkowym uśmiechem na ustach, z ironią w zmrużonych oczach.

Zdawało mi się, że w tej chwili wiem jeszcze więcej — niż przedtem, i zrobiło mi się znowu strasznie żal.

— Po co ja tam poszedłem?! Przecie Henryk dba tyle o Myrthę, co o rozsprzedane już bilety na swój przyszły koncert!

Poco ja tam poszedłem? Oto żeby zepsuć sobie humor na kilka dni i melancholizować na temat całkiem zbytaczny.

Ktoś tam, kogoś kocha bez wzajemności, a ja się tem będę gryzł! Farsa! Co?

Antek tymczasem podwinąwszy w górę falbanę jedwabnego abażuru nad jedyną lampą w salonie, rysował coś w swojej teczce i schylony nad nią nie podnosił oczu.

— Harry, — szepnęła Myrtha dotykając końcem palców ramienia muzyka, powiedz teraz o czem ty myślałeś grając dziś Chopina, ja byłam szczerą! ...potem muszą powiedzieć pan Tony i pan Jerzy i spojrzęła po nas kolejno.

Henryk zbliżył się do wazonu z białym bzem i mówić począł chyląc nad kwiatami swój piękny wytwornie narysowany profil.

— Myśl.łem o kraju... że tam wiosna teraz, że bzy i czeremchy kwitną i nie śmieje się — przypomniała mi się moja pierwsza miłość! Trwała, jak należy, krótko, ale zostawiła mi po sobie wspomnienie nie zatarte, bzami i czeremchą pachnące, ...czyste! urwał nagle, a Myrtha szybko skinęła na Antka.

— Teraz pan, — rzuciła nerwowo.

— Co ja myślałem! oto, że herbata się spażnia, że wiosna tego roku słotna — ciągnął powoli nie patrząc na nią — że życie jest głupie, a ten ołówek do niczego! rzucił tekę i powstał.

— Interesujący młody gentleman — zauważył Henryk gładząc go po twarzy.

— Teraz pan Jerzy, — i Myrtha ujęła moją rękę w swoje chłodne, drobne dłonie patrząc mi prosząco w oczy.

— Tylko prawdę! — dodała jeszcze i jakby instyktownym odsunięta łękiem, wstecz się cofnęła odemnie.

I miała prawdę! Powiedziałem wszystko o Ludce białej i sztywnej jak rzeźba leżąca wśród świec i kwiatów, o zgjętej do ziemi, rozpacznym wstrząsanej płaczem postaci mojej babki, o jej prośbie o pośmiertny szkic wnuczki, którego nie zdołałem narysować. Wreszcie z całą moją niezem nie usprawiedliwioną szczerością, powiedziałem o porównaniu Ludki z Myrthą.

Patrzyłem jej prosto w oczy i widziałem jak zrazu ciekawie we mnie utkwione, zgasty nagle pod spadającą frendzlą rzęs.

Widziałem, jak się w głębokie, poręczowe osunęła krzesło i gwałtownym ruchem spłotła palce swoich drobnych wątlých dłoni. Wreszcie podniosła rżęsy i patrzeć poczęła na Henryka.

— Jurek! — ozwał się nagle głos Antka — chodź ino popatrzeć, bo mi się zdaje, że to niezłe — i podał mi teczkę, w której przed chwilą jeszcze rysował.

Spojrzałem, i cichy jakiś piorun przeleciał mi po kościach.

Lekki ołówkowy szkic Antka przedstawiał głowę leżącą z zamkniętymi oczyma dziewczyny, głowę Ludki, wiernie i dokładnie oddaną.. Nie znał jej nigdy!

Strach jakiś chwycił mnie za włosy.

Patrzyłem dalej nie widząc już, czułem tylko rysunek przed sobą taki tajemniczy, wierny, żem chciał uciec przed nim... Sił mi jednak zabrakło.

* * *

Nikt z obecnych nie przeczuł nawet, co się we mnie działo. Piliśmy jeszcze herbatę, Henryk grał znowu, potem Myrtha śpiewała jakieś angielskie ludowe swoje piosenki, Antek żartował a ja czułem, że mi jej żal, żal coraz bardziej, że jej nie zdołam zapomnieć nigdy, choćbym jej nigdy nie miał widzieć w życiu...

Około północy rozeszliśmy się.

— Kiedyś tu powiada mi Antek:

— Wiesz? Myrtha się otruła!

Z t.



NOTATKI Z KRAKOWA.

Prawdziwym wypadkiem dnia jest obecnie wystawienie na tutejszej scenie »Kordyana« Słowackiego, który jeszcze nigdzie do tej pory nie ukazał się w żadnym teatrze polskim. »Kordyan« — ten Kordyan, który zapala umysły młodych a serca pobudza do żywszego tętna. Kordyan, upostaciowana najgorętsza miłość ojczyzny, do której wolności dąży

bez względu na godziwość środków, ten Kordyan obleczony w szaty sceniczne, przemówił w dniu 25. listopada 1899 roku w całej okazałości do tłumów.

Wiadomą jest rzeczą, iż w teatrze kwestya finansowa jest wielce ważną, której nie zastąpi moralne powodzenie. To też, gdy w teatrze prywatnym dyrekcya postanawia grać ten lub ów utwór, musi się dobrze namyśleć, czyli on podoba się publiczności a tem samem, wyrażając się terminem fachowym, będzie robił kasę. Częstość bywa tak, iż kierownik artystyczny pomimo zachwyty jaki dany utwór w nim wzbudza, musi zaniechać wystawienia, gdyż licząc się z gustem i upodobaniami publiczności na podstawie znajomości lokalnych stosunków, wie, iż uzyskałby moralne powodzenie, a tego za mało. Pesymiści nie wróżyli »Kordyanowi« długiego życia na scenie przedstawiając wszystkie trudności wystawy, ogromne koszty i t. p. Mogłoby to zachwiać zdaniem innego dyrektora, ale nie Kotarbińskiego, tak wytrawnego znawcy teatru, dla którego kult Słowackiego jest jego religią artystyczną. Powziął myśl, postanowił, opracował i dał »Kordyana« publiczności krakowskiej, która dziś rozbrzmiewa za to jednym wrażeniem dla niego: gorącym uznaniem i wdzięcznością.

Nie do najłatwiejszych rzeczy należało wystawienie tego poematu dramatycznego. Są tam sceny, których cenzura nie puściła a choćby nawet ta była względniejszą, nie możnaby ich wystawić w Krakowie, jest dalej mnogość trudności technicznych a w końcu rzecz sama jest za długą, by ją można bez znużenia podać szerszej publiczności. Wszystkie trudności usunięto, umiejętnie skreślono, niektóre sceny złączono i w tej szacie poemat przedstawił się cudownie. Reprezentacya skończyła się o pół do dwunastej, a jednak w całej wyprzedanej widowni nie dostrzegłem ani jednej twarzy zmęczonej, przeciwnie w miarę rozwoju rosło zaciekawienie i opanowywał widoczny entuzjazm.

»Kordyana« uscenizowano w dziesięciu obrazach o następujących nazwach: 1) w domu rodzinnym, 2) we Włoszech, 3) na szczycie góry, 4) na placu zamkowym w Warszawie, 5) spisek, 6) w zamku królewskim, 7) na placu Saskim, 8) więzienie, 9) spór mocarzy i 10) plac Marsowy. Obrazy czwarty, piąty, siódmy i ostatni są scenami zbiorowemi, w których reżyserya miała świetne pole do popisu. Umiejętność, doświadczenie i wytrwałość sprawiły, iż setka ludzi na scenie odpowiednio do intencji genialnego autora działała. Kilkudziesięciu artystów wraz z aktorami, którzy pierwszych przez długi czas przedtem uczyli, zachowywało się tak poprawnie, iż najmniejszego zarzutu w tym kierunku zrobić nie można wytrawnej reżyseryi teatru krakowskiego. Co do wystawy rzec można tyle, iż zapominało się o tem, że się jest w teatrze miasta, które zaledwie 80.000 liczy mieszkańców. To też ogólnem jest zdanie znawców i bywalców teatralnych, iż »Kordyana« wystawiono tak, jak wystawia tego rodzaju utwory Wiedeń, Berlin, lub Paryż. Tak garderoba, a więc kostyummy cara i wielkiego księcia, generałów i wojska wiernie stylowe, jak dekoracye, wśród których w czterech obrazach były zupełnie nowe, stały na wysokości kultu dla Słowackiego. Lodo-

wiec, na którym improwizuje Kordyan, wierny obraz placu Zamkowego z Starem miastem, kolumną Zygmunta i katedrą św. Jana, oraz plac Saski budziły zachwyt. Pełne uznanie za to należy wyrazić twórcom tych dekoracji p. Spitziarowi, którego zasługi na tem polu Kraków z dawna już ocenił.

A gra artystów? Wzorowa od tytułowej roli począwszy, na niemych skończywszy.

Przed kilku laty był w lwowskim teatrze młodzieniec, który ukończył warszawską szkołę dykcji i deklamacyi. Odznaczał się intelligencją i gorącym zapałem dla sztuki dramatycznej, pięknym organem i starannością w opracowaniu choćby najdrobniejszej powierzanej mu postaci. Jednem słowem przedstawiał materiał na poprawnego aktora. Rzecz prosta, iż po niedługim pobycie we Lwowie, gdzie jak zwyczajnie w teatrach tłoczyły go uznane wielkości, które nieprędko pozwalają rósć młodemu talentom, wyjechał do mniejszego teatru do Łodzi. Stamtąd dochodziły mnie od czasu do czasu pochlebne wzmianki o nim a obecnie z chwilą objęcia sceny krakowskiej przez Kotarbińskiego, zaangażowano go w miejsce Śliwickiego, który wyjechał do Warszawy. W Krakowie wystąpił w kilku rolach i ogólnie się podobał, gdyż obok innych zalet, których nie utracił a przeciwnie pomnożył, talent jego skryształizował się i zmężniał. Młodzieńcem owym, dziś artystą, jest Michał Tarasiewicz. On to przed oczyma naszymi stawiał się jako Kordyan. Dyrektor Kotarbiński dumnym być może z swego ucznia, który mistrza swego nie zawiodł i przyniósł mu chlubę. Całe pojęcie roli i upostaciowanie jej od początku do końca jest bez zarzutu, na co złożyły się talent, praca i studia. Kordyan pachole, kochanek, pesymista, spiskowiec, niedoszły carobójca, bohater, więzień i straceniec — wszystkie te fazy w interpretacyi Tarasiewicza wyszły wzorowo. Kordyanem stanął artysta ten w ciągu przedstawienia w rzędzie sztabowców teatru polskiego.

Z pomiędzy innych artystów (jakkolwiek nie powinno się opuścić żadnego nazwiska, lecz w takim razie należałoby cały długi afisz przepisać) konieczną rzeczą jest wspomnieć o Kotarbińskim i Romanie, jako świetnych: carze Mikołaju I. i Wielkim księciu Konstantym. Obaj tak charakterystyką masek jak też postaci nie zatracili ani jednego rysu tych dwóch wrogich sobie braci a naszych ciemności. Solski (prezes spiskowych), Siemaszko (ksiądz), Przybyłowicz (znakomity spowiednik), Stępowski (typowy stary sługa Grzegorz), Mielewski (nieznajomy, z siłą i zrozumieniem oddeklamował swą rewolucyjną pieśń), Zawierski, Jednowski, Puchalski, Wójcicki (jako reprezentanci ludu) z ezcją dołożyli cegiełki swe do pięknej całości. Z osób fantastycznych Siemaszkowa (imaginacja) i Węgrzyn (strach) artystyczną rutyną pokonali trudności. Mniej doświadczona i utalentowana para aktorów, mogła w scenie męczarni Kordyana przed zamierzonym carobójstwem wywołać na galeryi śmiech; tymczasem widoczny był efekt przerażenia. To duże zwycięstwo sztuki aktorskiej. W rolach kobiecych dobrą Laurą była Bednarzewska, takąż Violetką Przybyłko, a Senowska sprawiła wrażenie okrzykiem boleści matki za sceną.

Publiczność »Kordyana« przyjęła gorąco oklaskami i wywoływaniem artystów a i na drugim przedstawieniu następnego dnia przepęłniła widownię; zdania prasy podać nie mogę, gdyż w chwili, gdy to piszę, w niedzielę 26 b. m. jeszcze się nie okazało.

W każdym razie niech mi wolno będzie tu na tem miejscu wyrazić dyrekcji należy a gorący dank za prawdziwą biesiadę artystyczną dostępną w tym wypadku tak dla smakoszków jak i szerszych mas.

Prócz »Kordyana« w listopadzie wystawiono komedię Labich'a i Delacoura p. t. »Ja« czyli »Samoluby«, farsę »Miejsca kobietom« Volabregu'a (z dużem powodzeniem, bo siedm razy grano dzięki przekomicznej grze Wojnowskiej, Romana, Węgrzyna, Sobiestawa, Przybyłowicza i innych) oraz »Bajkę« Schnitzlera, w której autor omawia sprawę rehabilitacji upadłej kobiety. Sztuka, słabsza niż inne utwory Schnitzlera, pozwoliła Kamińskiemu i Przybytkównej olśnić publiczność znakomitą grą i zrozumieniem intencji autora. Tylko takie talenty, jak wymienionych artystów, sprawić mogą grą sceniczną tak wysokie zadowolenie.

W dniu 26. listopada odbyło się drugie przedstawienie dla ludu, na którem odegrano »Obronę Częstochowy«. Jak poprzednie tak i to stwierdziło, iż pomysł posta Danielaka ma wielką rację bytu.

Kazimierz Czapelski.



Z Pragi Czeskiej.

Nadeszła już jesień melancholijna; suche liście szeleszczą pod nogami w ulubionej latem »Królewskiej Oborze«, bardzo podobnej do warszawskich »Łazienek«. Mało kto skierowuje dzisiaj swoje kroki do opuszczonego ogrodu, za to tem więcej ożywiły się promenady praskie: Ferdinandoya trida, Prikopy i Vaclavské náměstí. Teatr ściąga obecnie również na siebie baczniejszą uwagę, dlatego też i premiery zmieniają się tutaj, jak w kalejdoskopie. Przedewszystkiem wspomnieć wypada o nowym utworze poety czeskiego, Juliusza Zeyera p. t. »Bracia«. Zeyer to egzotyczny kwiat naszej poezyi, miłujący się szczególnie w motywach chińskich. Komedia »Bracia« jest także delikatnem malowidłem

z życia chińskiego. Oto dwaj bracia pracują spokojnie i przykładowo w handlu jedwabiem, dopóki między nich nie wtargnęła kobieta, tancerka z Pekinu. Katastrofa wisi na włosku, szczęście braci tuż tuż rozsypać się ma w gruzy, sytuację krytyczną ratuje atoli książę, który odkrywa dziwną tajemnicę: tancerka jest siostrą starszego z braci, podczas gdy młodszy nie jest wcale bratem starszego, nie jest nawet mężczyzną, tylko kobietą w przebraniu płci brzydszej, gorąco starszego brata kochającą. Sztuka chińska kończy się w ten sposób dobrze, ku zadowoleniu publiczności, licznie zgromadzonej w teatrze. Utwór wspomniany posiada wysokie zalety literackie i dla tego też przyjęto go bardzo sympatycznie.

Drugą nowością teatralną jest komedia mieszczańska znanej spółki literackiej: Leger i Procházka p. t. »Wpad«. Odtwarza ona kontrast między światem stołecznym a prowincjonalnym. Autorzy sami nie zdawali sobie dokładnie sprawy z tego, czy pragną napisać komedię czy dramat i to jest może przyczyną, że sztuka ich nie cieszyła się powodzeniem.

Wszystkie literackie towarzystwa zaczęły już sezon zimowy; odczyły i koncerty mamy na porządku dziennym. W wieczorze, poświęconym pamięci Chopina, przyjął między innymi udział znakomity śpiewak, p. Władysław Floryński, znany dawno i dobrze we Lwowie.

Dr. Borys Prusik.

P. S. Nakoniec jeszcze parę słów *pro domo sua*: Piszę regularnie do jednej z najważniejszych czeskich *revue* »Osvěta«, sprawozdania o polskich nowościach. Trudno mi jednak prenumerować wszystkie polskie pisma i nabywać wszystkie utwory waszych powieściopisarzy i literatów; jeśli by więc polscy autorowie pragnęli moje zadanie zaznajamiania czeskiej publiczności z polskim dorobkiem literackim ułatwić, prosiłbym ich najuprzejmiej o nadsyłanie mi cennych wydawnictw pod adresem: *Praga VI. plac Palackiego 357.*



Michał Adam Sozański.

(Sylwetka artystyczna),



MICHAŁ ADAM SOZAŃSKI.

Zarozumiałość, a nawet chełpliwość, są do pewnego stopnia wspólną cechą wszystkich artystów; praca twórcza musi wyradzać poczucie własnej siły, a fantazyja, bez której twórczość istniećby nie mogła, przypina owemu poczuciu skrzydła i unosi je nieraz — potęgą rozmachu — wyżej, aniżeli starczy lotu... Są jednak i między artystami tacy, którzy bądźto z powodu silnie rozwiniętego autokrytycyzmu, bądź też z wrodzonej odrazy do tego co zbyt głośno lub jaskrawe, trzymają pilnie własną fantazyję na uwierzy ilekroć ona zapragnie ich własne »ja« ponieść ku górze. Są to wprawdzie białe kruki, ale istnieją przecież, a co najciekawsze, że jeśli się już taki »skromny« artysta uda,

to w ewangelicznej tej enocie przewyższa nierzadko najbardziej cichych i potulnych filistrów.

Do rzędu takich właśnie niezwykłych artystów należy Michał Adam Sozański.

Mieszka od lat kilku we Lwowie, pracuje bez wypoczynku, tworzy nawet arcydzieła w swoim rodzaju, a mimo tego, oprócz niewielkiego kółka znawców i ludzi interesujących się sztuką, mało kto ocenia należycie istotną prac jego wartość, bo on sam dzieł owych nie chwali, nie narzuca się nikomu, przeciwnie, aż nazbyt dyskretnie w cień się zawsze usuwa. Wystarczy nadmienić, że nie zdecydował się jeszcze nigdy, ani też nie udało się nikomu nakłonić go, ażeby obrazy swe wystawił gdziekolwiek indziej niż we Lwowie. Możnaby przypuszczać, iż przysłówiowa *l'improductivité slave* odgrywa tu swoją rolę, a jednak, tak nie jest. Sozański, to przecież człowiek, który ma za sobą kilkanaście lat wytrwałej i żmudnej pracy, artysta, który stworzył cały szereg dzieł bynajmniej nie ostatniej wartości, malarz, który zdobył sobie należne uznanie we Włoszech, a o którym Kraszewski, estetyk urodzony i wyborny znawca sztuki, po zwidzeniu pracowni jego we Florencji, zamieścił pełną entuzjazmu korespondencyę w warszawskim Tygodniku ilustrowanym, przepowiadając mu wybitne miejsce wśród polskich mistrzów pendzla.

Przed kilku tygodniami, miałem przyjemność poznać artystę, odwiedzić go w pracowni i zachwycać się tem, co tam widziałem. Chcąc

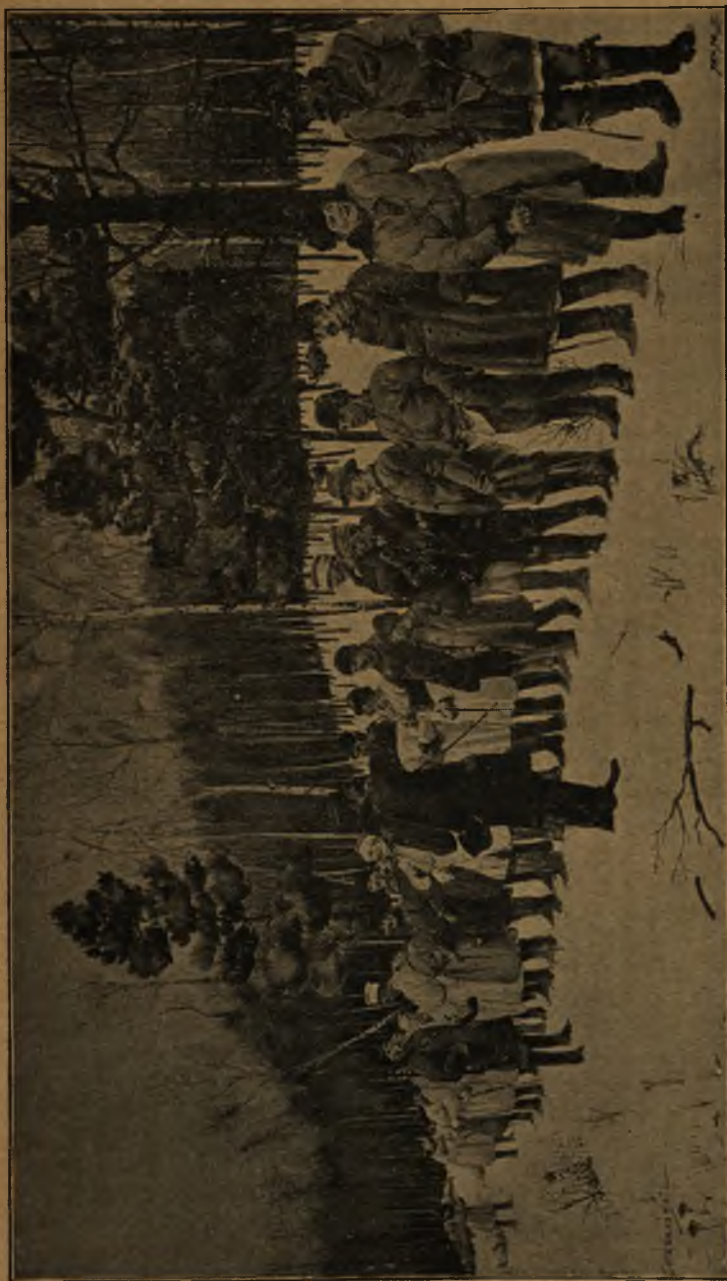
zwrócić uwagę publiczności na dzieła prawdziwego talentu, uważam sobie za obowiązek podzielić się wrażeniami; zanim to wszakże uczynię, postaram się wpiery naszkicować bodaj w głównych konturach życiorys artysty.

Michał Adam Sozański, potomek starej rodziny szlacheckiej, urodził się w Samborskiem w r. 1856-ym, jest więc obecnie w sile męskiego wieku. Ukończył wydział architektury na politechnice lwowskiej poczem, pod kierunkiem profesora Marconiego, który pierwszy spostrzegł niepospolite zdolności swego ucznia, kształcił się w kierunku malarstwa dekoracyjnego i sztuki w ogóle. Profesor Marconi nakłonił go też, ażeby kontynuował swoje studia za granicą. Pierwszym etapem artystycznym Sozańskiego był Wiedeń, gdzie pod okiem słynnego profesora Laufbergera poświęcał się przez dwa lata rysunkowi figuralnemu. Służba wojskowa, która mu kazała odbyć kampanję bośniacką, przerwała na jakiś czas jego studia, powrócił jednak do nich z nowym zapałem po zrzuconiu mundur, przenosząc się tym razem na klasyczną ziemię sztuki, do Florencyi. Objawwszy swoim planem akwarelę, ołówek, malarstwo olejne, wszystko niezmiernie, ażeby zbadać gruntownie, co wchodzi tylko w zakres malarskiego kunsztu. W roku 1893-cim powrócił do kraju lecz nie na długo. Po ożenieniu się, ruszył znów do Włoch i pozostał tam aż do r. 1897-go. Odtąd, stale zamieszkał we Lwowie

Mieszkanie jego, oraz pracownia, mieszczą się obecnie przy ul. Kurkowej l. 17. Pokój służący za pracownię, nie jest wielki, o jednym oknie, ale bardzo widny i słoneczny. Kilka poważnie wyglądających mebli, biurko zarzucone szkicami, mnóstwo kartonów na ścianach, płótno rozpoczęte na sztaludze, a przedewszystkiem brak wszelkich jaskrawych akcesorjów fantazyjnych, stwarzających tak często niesmaczną »pozę« artystyczną w malarskich pracowniach, usposabia poważnie i stanowi tło dopasowane wybornie do postaci samego artysty, mężczyzny o powierzchowności ujmującej, o twarzy otwartej, okraszonej pełnym, jasnym wąsem i parą oczu roztropanych, a szczerych. Maniery jego i słowa mają w sobie wiele męskiej godności, jest uprzejmy i uważający, a przedewszystkiem nadzwyczaj skromny w ocenianiu siebie samego, a bardzo wstrzemięźliwy w wydawaniu sądu o drugich. Na zadawane pytania, odpowiada zwięźle i przedmiotowo, mówiąc jednak o sztuce ożywia się i czuć ze zdań, jakie wygłasza, że traktuje ją na seryo, z pewnym rodzajem pietyzmu.

Dogadzając memu życzeniu, pokazał mi zbiór swych szkiców i obrazków, zdejmowanych z natury. Niektóre, są to istne perełki, j. n. »Pałac Medyceuszów we Florencyi«, »Caprejska kuchnia« lub »Złom«, studyum ze Szczawnicy. Już w tych drobiazgach poznać prawdziwego mistrza rysunku i kolorytu.

Główną wszakże forszą artysty, jest akwarela. Tu talent jego przejawia się w całej pełni, a odtworzony akwarelą krajobraz swojski, swojskie typy i sceny rodzajowe, nie znajdują zapewne lepszego odeń wykonawcy. W ogóle, pomimo, że talent jego jest bardzo wszechstronny, pomimo, że pierwsze kompozycje malarskie, które wykończył (»Przed pu-



MICHAŁ ADAM SOZAŃSKI: Nagonka.

łapką« i »Partya Geryłasza«) miały pokost cudzoziemski »swojskość« jest zasadniczą cechą i charakterystyką najlepszych jego obrazów. Wiedocześnie, że nie tylko rozumie rodzime piękno, ale je odczuwa i umie w nieskażonej szacie przenieść na płótno lub papier.

Niezwykła pewność i czystość w rysunku, pozwala mu chwycić typy z naturalną wiernością, nadawać wszystkim postaciom piętno ruchu i życia a przyrodzie — prawdy. Pod tym względem, zwłaszcza w scenach z polowania, dorównuje zupełnie Fałatowi, w kolorycie zaś, niejednokrotnie go przewyższa, umie bowiem niezrównanie oddawać świeżość słonecznego poranku, przejrzystość przesyconego światłem powietrza, lub nieposzlakowany błękit pogodnego nieba. Jego »Nagonka« naprzykład, obraz przedstawiający scenę przed polowaniem, jest dziełem rzadkiej wartości.

Tak samo znakomitym będzie niewątpliwie ostatni jego obraz, który niewykończony jeszcze zupełnie, oglądałem na sztalugach, a który nosi pojedynczy tytuł: »Kopanie ziemniaków«. Na rozległym ugorze południowego Podola (jesienne niebo ma ton ogromnie ciepły), widać wydłużony łańcuch robotników i robotnic, zajętych kopaniem. Wydawać się może komuś, że zamało w tem treści. Ale trzeba spojrzeć na obraz, zobaczyć ile tam ruchu, życia, ile jędrności i siły w charakterystyce każdej postaci! Pejsaż przytem i perspektywa powietrza zrobiona po mistrzowsku; bezwiednie, odczuwa się czar i poezję złotej, polskiej jesieni, cddanej na obrazie...

Niemniej wiele uroku i właściwego nastroju ma szkic, jaki w pracowni artysty widziałem, przedstawiający las w zimie.

Jednakowoż i po za swojskim pejzażem i swojskim obrazkiem rodzajowym, nie przestaje być Sozański artystą pierwszorzędnej miary. Widziałem n. p. olejny portret jego ojca, wykonany pod względem technicznym wybornie, kilka większych kartonów i drobnych szkiców kredkowych, ilustrujących pojedyncze sceny lub przedstawiających poszczególne osoby z Sienkiewicza »Krzyżaków«, a na ostatku — dwie polichromie ornamentalne w stylu romańskim, wyobrażające św. Marka i św. Łukasza. Kartony do »Krzyżaków« imponują potężnym rysunkiem i wyśmienitą niekiedy kompozycją figuralną, polichromie — wykończone w najdrobniejszych szczegółach stylowo.

Sozański objaśnił mnie, że te ostatnie są przeznaczone do kościółka w Dublanach, (w Samborskiem), który, ze względu na związane z tą miejscowością tradycje familijne, postanowił cały i własnoręcznie malowidłami swemi przyozdobić.

Pocziwi parafianie dublańscy, nie zrozumieją prawdopodobnie dostatecznie, jaką wartość artystyczną ma wewnątrz ich skromnego kościółka!... Lecz czyż można będzie im, prostaczkom, zarzut z tego uczynić? Wszakże my, inteligencya, nie oceniliśmy dotąd należycie talentu Sozańskiego! Znawcy zachwycają się jego pracami, większość jego obrazków przechodzi wprost z pracowni w ręce właścicieli prywatnych (najcelniejsze utwory artysty znajdują się w rękach p. Lazarusa i w zbiorach Wło-

dzimierza hr. Dzieduszyckiego, nadto zaś kilka szkiców albumowych jest własnością cesarza), jednakowoż szeroka publiczność? Ona jeszcze mileży...

U nas, ażeby zostać sławnym, potrzeba wpięrw umieć — być głośnym...

Iz. K.



M U Z Y K A.

Aleksander Michałowski, jeden z najznakomitszych pianistów polskich, zaproszony przez sfery muzyczne naszego grodu, przybywa do Lwowa w pierwszych dniach stycznia, by dać się słyszeć na dwóch koncertach. Ostatnia bytność tego niezwykłego artysty we Lwowie zapisała się nader sympatycznie w pamięci wszystkich, nie więc dziwnego, że już dzisiaj poruszają w rozmaitych kołach myśl owacyjnego przyjęcia profesora warszawskiego konserwatorium. Na to zasłużył pierwszorzędny wirtuoz polski w zupełności.

O ile wiemy, zamierza p. Michałowski udać się wprost ze Lwowa do Pragi czeskiej i tam wystąpić z koncertem, złożonym wyłącznie z utworów Chopinowskich. Przyklaskujemy szczęśliwej tej myśli najserdeczniej,

Operetka. »Bocaccio« Suppego, obsadzony po największej części zupełnie nowemi siłami, zapełnił kilkakrotnie szczerlnie widownię teatru. W szeregu wznowień bieżącego sezonu nie był on najlepszym: pierwszym dwóm aktom brakowało często zacięcia i werwy, dopiero w ostatnim, ożywionym nadto ładnie obmyślanym i wykonanym baletem, odnaleźli artyści należyte tempo i humor.

W rzędzie wykonawców wymienić należy na pierwszym miejscu p. Bohussównę w roli tytułowej, odegranej i odśpiewanej przez artystkę pod każdym względem wybornie. P. Schuppówna jako Fiametta zastosowała się w grze zupełnie do wymagań tej ściśle lirycznej roli, co zasługuje na tem większe uznanie, że talent artystki leży w zupełnie odmiennym, bo subretkowym kierunku. Ale z tego właśnie powodu mniej było szczęśliwem spiewackie wykonanie tej partyi, wymagającej przy całej lekkości przecieź znacznie więcej uczuicia i wyrazu.

Jako bednarz Lotteringhi debiutował p. Sтыpkowski. Młody spiewak posiada weale silny i dźwięczny, ładnie wyrównany głos barytonowy,

nadający się z powodu ciemnej barwy więcej może jeszcze do partyj lirycznych niż komicznych.

Wznowienie »Nietoperza« Straussa, tej pod względem muzycznym perły niemieckiej operetki, przyniosło nową obsadę dwu partyi. Jako Adela debiutowała p. Józefa Askanassy. O głosie debutantki trudno wydać sąd stanowczy. W »Nietoperzu« nie wydawał się on ani zbyt wielkim, ani, zwłaszcza w średnicy i dolnych tonach, dosyć metalicznym, górny znów registr cierpiał w skutek zbytznego tremolowania. Co wskazuje widoczne, to niewątpliwa muzykalność, swoboda ruchów i doskonałe »wzięcie« młodej śpiewaczki. Tylko radzilibyśmy unikać, na razie przynajmniej, wszelkiej koloratury, (jak piosenka w trzecim akcie) bo i tryll i passaż wymagają jeszcze o wiele większego wygładzenia.

P. Miłowska wyglądała w roli księcia Golesco bardzo ładnie, ale i co do niej nie mogą się powstrzymać od uwagi, że nad śpiewem powinna pracować jeszcze wiele i szczerze. Nie ulega wątpliwości, że artystka rozporządza dostatecznym, jak na operetkę, głosem, ale postępów w śpiewie nie widać. Głos przedewszystkiem nie jest jeszcze należycie postawionym, a wskutek tego nie brzmi tak, jakby brzmieć mógł i powinien. Do czego zaś, oczywiście przy talencie i głosie, doprowadzić można usilną pracą, tego dowód ma p. Miłowska w najbliższym swem otoczeniu, bo na p. Bohussównę, która dzisiaj z pewnością iść może o lepsze z każdą divą operetkową. s. b.

Koncert kwartetu czeskiego. Jak corocznie od samego niemal związania się w towarzystwo kwartetowe, tak i tego roku odwiedzili nas pp. Hofman, Sak, Nedbal i Wihan, darząc prawdziwą biesiadą artystyczną. Trudno o nich powiedzieć coś nowego. Przybywa im lat, a nie ubywa ani iskierki młodości. A w tej ich młodości szukałbym właśnie największej ich zalety. Bije ona z gry ich kipiącem uczuciem, porywającą namiętnością, a nadewszystko tą szeroką, bujną, wszystko ozłaczającą fantazją, która tylko w młodości jest czystą, szczerą intuicją. Później staje się już raczej przyzwyczajeniem, nawyczką tworzenia lub wykonania artystycznego. A przytem pogłębiają się coraz to bardziej, zgrywają coraz to lepiej, tak, że dziś słucha się ich jakby jednego, czterojęzycznego instrumentu, granego ręką doskonałego artysty.

Ogniwą próbę swej sztuki złożyli goście czescy w B-dur kwartecie Beethovena, op. 130. Wykonanie tego i kilku innych kwartetów Beethovenowskich z tej samej epoki jest w ogóle najwyższem i najtrudniejszym zadaniem, na jakie porwać się może kwartet smyczkowy. Zarówno jak kwartety Es-dur, Cis-moll, A-moll i F-dur, należy kwartet B-dur do ostatnich dzieł Beethovena, a prawie pół wieku upłynąć musiało od zgonu mistrza, zanim — głównie za inicjatywą Joachima — poczęto grywać i pojmować te »ostatnie kwartety«. W historii muzyki instrumentalnej zajmują one zupełnie odrębne stanowisko. Głębią myśli, pewnym nastrojem mistycznym, przedewszystkiem zaś nadzwyczajnem skoncentrowaniem całej siły twórczej w kierunku treści, a kosztem formy, przynajmniej utartej i przekazanej formy, odbiegają one w zu-

pełności od wszelkich wcześniejszych i późniejszych utworów instrumentalnych. Ilość części dowolna — a zawsze większa niż klasyczne cztery — porządek ich dowolny, budowa również dowolna. O dźwięk Beethovenowi już tu wcale nie idzie, miejscami — zwłaszcza w Cismol kwartecie — nie można się oprzeć wrażeniu, że to pisał przecież człowiek zupełnie już głuchy. Ale, zarazem czuje się, że pod względem myśli to szczyt wszystkiego, co wypowiedzieć można w języku instrumentów, że Beethovenowi, gdy spuściznę tę przekazywał światu, szło wyłącznie o to, by wypowiedzieć wszystko, co potężny duch jego miał jeszcze do powiedzenia, i że dlatego forma sonatowa, którą on sam przecież rozwinął tak bogato w poprzednich swych dziełach z drobnych Haydnowskich i Mozartowskich początków, tu nie wystarczała mu już zupełnie.

Że kwarteciści czescy rzecz tego pokroju zdołali odegrać tak pięknie, dowodzi, że są mistrzami w grze koncertowej. Nie jest to jeszcze ostatnie słowo, — słyszałem kwartet ten grany przez Joachima i towarzyszy wspanialej, tonem i potężniejszym i bardziej jakimś tajemniczym, z większym jeszcze pogłębieniem, bardziej, powiedziałbym, transcendentalnie, ale i do tego ostatniego wyrazu od gry ich już krok niedaleki.

Oprócz Beethovena odegrali Czesi mały kwartet Es-dur Mozarta, w którym przeciwnie więcej pięknego dźwięku i prawdziwie Mozartowskiej pogody, aniżeli głębszych pomysłów, i F-dur kwartet (op. 96) Dworzaka. Tego ostatniego nie zaliczałbym do najlepszych utworów mistrza. W ogóle zdaje mi się, że treść jego, dosyć lekka, o charakterze przeważnie sielankowym, nadawała się daleko bardziej do obrobienia w formie *suity* na orkiestrę smyczkową, aniżeli w klasycznej formie kwartetu smyczkowego. Ale granym był zarówno jak Mozartowski, skończenie pięknie. Szkoda tylko, że grę taką i wszystkie te rzeczy słyszeć można we Lwowie tak rzadko; tylko. Trzy kwartety na cały rok, to nawet na nasze stosunki muzyczne trochę za mało.

Seweryn Berson.

Ku czci Chopina odbył się w ostatnim tygodniu miesiąca listopada wieczór urządzony staraniem Tow. muzycznego. Sala Domu narodnego wypełniła się po brzegi elegancką publicznością, która oklaskiwała każdy numer doborowego programu. Lwią część oklasków zebrał profesor konserwatorium p. Kurz, który dowiódł głębokiego zrozumienia i wnikięcia w ducha kompozycji chopinowskich. Bardzo pięknie odegrała p. Setmajer warjacje *»La ci darém la mano«*. Pan Wysocki z przejściem wygłosił marsz żałobny Ujejskiego przy akompaniamencie prof. Kurza. Nader miłą niespodzianką dla zebranych był występ pani Heleny ze Zboińskich Ruszkowskiej, uczenicy prof. Walerego Wysockiego. Prześliczny głos. o metalicznym brzmieniu, głębokie uczucie, wrodzoną muzykalność, wyborna deklamacja w śpiewie, wszystko to pozwala p. Ruszkowskiej rokować najpiękniejszą przyszłość, zwłaszcza, że widać w niej niemałe do muzyki zamiłowanie. Orkiestra Tow. muzycznego wywiązała się ze swego zadania doskonale, — p. Sołtys wy-

każał, że posiada istotnie niezwykłą rutynę kapelmistrzowską. Za urządzenie wieczoru należy mu się prawdziwa wdzięczność.

D. P.

Koncert „Echa“ nie należy obecnie do rzeczy zwyczajnych, towarzystwo to bowiem w roku ostatnim rzadko z samoistnymi produkcyami występowało, zaspokajając swoje poczucie obowiązków artystycznych współdziałaniami w koncertach lub obchodach publicznych. O tyle też milej było nam powitać śpiewaków, ukazujących się na estradzie, w samym początku sezonu. Widocznie zapowiada się tam ruchliwsze życie, niż dotychczas — rzecz zresztą bardzo prosta przy dwóch takich siłach, jak pp. Berson i Gall, którzy od niedawna zaczęli wspólnie pracować nad wzrostem towarzystwa.

Ostatni koncert, jakkolwiek przeważnie składał się z utworów, już śpiewanych, ułożony był starannie i niemniej starannie wykonany.

Na pierwszym miejscu postawić tu należy utwór p. Seweryna Bersona: »Oj matusiu lny nam kwitną«, zarówno pod względem inwencji jak i przeprowadzenia bardzo piękny. Podobał się on ogólnie, tak, że kompozytor zmuszony był za oklaski dziękować z estrady. Podobnie przyjęła publiczność nową kompozycję choralną Galla: »Serenadę«. Część pierwsza, świeża i zgrabna, napisana w znanym wdzięcznym stylu gallowskim, stoi, zdaniem naszym, pod względem pomysłu, wyżej od środkowej. Że mimo to całość brzmi wybornie i wywoływa w zupełności zamierzony efekt, nad tem zbytecznie byłoby się rozwodzić. Oprócz tych rzeczy, śpiewało »Echo« znaną piękną kompozycję Żeleńskiego »Dwie dole«, oraz kilka innych utworów, wśród których na wyszczególnienie zasługuje znakomity układ pieśni Moniuszki. »Znaszli ten kraj« dokonany przez Żeleńskiego.

Koncert, poświęcony przeważnie muzyce wokalne, miał za solistów p. Boguckiego i Sacka. Pierwszy odspiewał z powodzeniem kilka pieśni i Serenadę z »Don Juana«; drugi ładnie wykonał sola w choralnych utworach. Instrumentalna część spoczywała wyłącznie w ręku p. Posselta. Odegrał on cały szereg mniejszych utworów, wśród których najwięcej podobało się nam wykonanie Romansu Wieniawskiego i szczególnie wytwornej kompozycji Lacomba »Aubade«. P. Posselt, darzony oklaskami, powtarzał swojego kujawiaka. Akompaniował do śpiewu i skrzypcom p. Liszniewski, jak zawsze wybornie. (n).

Z Warszawy. Materiał sprawozdawczy z ubiegłego miesiąca nie sprowadzi coprawda zawrotu głowy skutkiem swego ogromu; niezwykłych wydarzeń artystycznych on nie zawiera, nie pozostawi też ponoć wspomnień trwalszych, uroczych, w przyspieszonym odczuwających się tętnie, mimo to w obu ogniskach muzycznego naszego ruchu — w teatrze i Towarzystwie muz. — wykazuje przecież momenty bardziej wydatne. Mając takie właśnie na uwadze, popatrzę naprzód do sali koncertowej.

Tutaj na pierwszym miejscu zapisać należy współdziałal w »środku« muzycznej (Tow. M.) p. Klodyldy Kleeberg, jednej z najznakomitszych niezawodnie pianistek; znakomita ona nie dzięki jakiejś niebywałej, kraczowej technice, lecz dzięki grze zaiste typowo kobiecej, subtelnej, poetycznej i — co ważniejsze — pociągającej zawsze indywidualnością. — W p-nie Herminji Szwarz, warszawiance a siostrzenicy Maur. Moszkowskiego, powitano również obiecujący na przyszłość talent wirtuozowski i kompozytorski; kształcąc się w Niemczech, potem w Wiedniu, przedstawiła się już pokaznie jako pianistka, a więcej jeszcze — jako autorka bardzo zwłaszcza ładnych wariacyj na fortepian; młoda, ulega zatem jeszcze wpływow obcym, lecz stać ją na pomysły oryginalne, we wzięciu się zaś do rzeczy ujawnia t. zw. »żyłkę« kompozytorską. W podobnym że, bo podwójnym charakterze występował też w Towarz. muzycznym nauczyciel lwowski i skrzypek — p. Rob. Posselt. Sumienność, wykończenie techniczne, spokój oraz pewną stylowość w Bachu oceniła życzliwie publiczność i krytyka miejscowa, nie tając jednak, iż nie porywa solista temperamentem, artyzmem, kompozytor zaś — drobną przeważnie twórczością w Kołysance, Romansie (najlepszym ze wszystkiego) i Kujawiaku (chybionym).

Mieliśmy i koncert dobroczynny na zakład dla chłopców małoletnich. Ze względu na chroniczny wyzysk ofiarności artystów na cele filantropii, na system zdobienia afisza imionami znakomitości tutejszych i zamiejscowych (o ile goszczą w Warszawie pod tę porę), na jakoś wreszcie oddawna przeżytego lecz w ciągu dalszym wytrwale przeżywanego programu, — byłaby to uczta świetna, urozmaicona, mocno kwiecista, ale jak krople wody do przeszłych i przyszłych podobna, gdyby nie dwa wyróżniające ją punkty; wyłom w szablonie uczyniła i p. Józ. Szlezygierówna, złożwszy cały swój numer z nowości (tryolet »Komu ślubny splatasz wieniec« Żeleńskiego, »Veni Creator« Niewiadomskiego, »Chochlik« Laudowskiej), i p. Didur, który z taką siłą talentu, zapału i umiejętności przemówił pięknym basem w nieoklepanej także arii operowej i włoskiej pieśni, że tu dopiero poznano, jakiego w nim zyskał teatr pracownika. Na scenie — acz podobał się odrazu — nie wydawał się tak dobrze, skrępowany snadź akcją, niedosć w niej jeszcze swobodny i wyrobiony. I w tym jednakże kierunku postępuje, czego dowodem objęte świeżo przezeń partye: Zbigniewa w Straszonym dworze i tytułowa w Mefiście Boity. Pierwsza szczególnie nie pozostawia nic do życzenia; dzielną jest i wybitną, a takiej pozbawieni byliśmy dawno, od czasów R. Wasilewskiego. To też p. Didur wraz z pp. Krolewiczówną, Frenklówną i Chodakowskim podtrzymują głównie operę, której inne partye innych domagają się przedstawicieli. Stefana śpiewa wprawdzie p. Sienkiewicz, śpiewa teraz nawet lepiej niż ostatnimi czasy (jeżeli to — jak głoszą wieści — skutek podjętej nauki, winszujemy go, zdawało się już bowiem, że p. S. głos traci, i grozi mu to zresztą, dopóki daru natury nie oprze na podstawach porządnej szkoły) — nie dorównuje atoli wymienionej czwórce.

Dzieło Moniuszki »wznowiono« niby obecnie, tłómacząc widać nazwę tę nową obsadą Zbigniewa i małemi odmianami w rolach drugorzędnych, mimo to życzyć by sobie wypadało, aby wznowienie przestarzało się corychlej i w poprawnej rzeczywiście ukazało się edycji. Pomijając solistów, nie pomyślano ani o zastąpieniu dawnego, nieodpowiedniego zgoła *mise-en-scene*, ani o przywróceniu do normalnego stanu pokieroszowanej skróceniami partycy, ani o lepszym chórze, a wykonanie razi tempami niewłaściwemi i jaskrawością efektów dynamicznych. Cóż robić; jest to błogi wpływ nauk p. Podestiego, iż blacha trzeszczy łaďa sposobnośc tak przeraźliwie, jak gdyby od siły zadęcia w trąby i puzony zawisło zbawienie ludzkości, teatru a co najmniej — opery. I jakże nie ma trzeszczeć, kiedy kapelmistrz odrzucił wyborny komplet sprowadzonych z Paryża instrumentów — jako za staby, za miękki, kiedy ciągle i wyraźnie żada siły krańcowej i z pewnością, gdyby wolno mu było, sprowadziłby do orkiestry armaty, iżby dogodzić dekadencem swym gustom.

Że nie dał się blasze kwintet na koncercie symfonicznym — rzecz to już znakomitego jego zwiększenia, skutek zarazem usadowienia puzonów na dalszym planie sceny, zasługa wreszcie starannego przygotowania oraz ustosunkowania czynników orkiestrowych ze strony p. Młynarskiego. Niestety, chwaląc go za serenadę smyczkową Czajkowskiego, uwerturę Wagnera a nawet za względnie dobre wykonanie techniczne symfonii pasterskiej Beethovena, nie mogę o pojęciu jej i interpretacji wyrazić się również pochlebnie. Nie zdołał kapelmistrz wznieść się na wyżyny Beethovenowskiego stylu, pozmienił charakter poszczególnej części arcydzieła przez tempa niestosowne, nie zwyciężył tedy, jak o tem z miejsca przekonywały krzyżujące się zdania słuchaczy na temat zdolności dyrektorskich, wyższego poczucia odtwórczego i t. p. Co do mnie — intencyom najlepszemu dyrektora przeszkadza nade-wszystko brak rutyny.

Drugi jeszcze uczynię zarzut rozpoczętej właśnie seryi koncertów symfonicznych, mianowicie, że obecny kierunek nie usprawiedliwia ra-oyi ich bytu, którą byłoby spożytkowanie orkiestry, solistów i chórów na rzecz oratoryów i kantat szerokiego stylu, ale którą nie jest prosta konkurencya z Tow. muzycznym, sprowadzającym także gwiazdy błyszczące i urządzającym z niemi niegorsze koncerty. Tym razem użyto na przynętę ognistej i fizycznej »meta-siły« obdarzonej hiszpanki — pani Carreno.

Nie wielu panów stworzenia mierzyć by się z nią mogło, mało też kto potrafi, jak ona, zagrać tak koncert Rubinsteina, marsza Schuberta, polkę lub inną jaką bezwartościową dryndulkę. Szkoda jeno, że nie trzymając się gen'r'u, z jakim jej do twarzy, grywa także i — Chopina. Zresztą nie będę się nad nią rozwodził, skoro usłyszycie ją podobno we Lwowie.

»Hrabina« Moniuszki tryumfuje, wszedłszy znowu na repertuar a p. Górski doznaje w niej teraz powodzenia — jako Dwidzi.

Gdy wykwintniejsza publiczność rozkoszuje się pięknosciami tej opery, maluczcy spieszą dzień na dzień na przedstawienia w otwartym od tygodnia »teatrze ludowym«. Artystyczną jego dyrekcję złożono — jak wiadomo — w ręce M. Gawalewicza, trupę skompletowano z najlepszych aktorów prowincjonalnych, nie zapomniano i o orkiestrze, potrzebnej też do wodewilów czy melodramatów. Stał na jej czele A. Sonnenfeld, pracownik iście zasłużony acz nie stąpający po wysłanej różami ścieżce żywota; dobrze, że choć na późne lata znalazł dla się w nowym przybytku punkt oparcia i pogodniejsze — niż było — jutro.

M. M. Biernacki.



TEATR.

(Zablocki i jego »Firecyk w zalotach«; Michała Bałuckiego »Drużba«, komedia w trzech aktach; Sudermana »Joannes«, dzieło sceniczne w pięciu aktach; Józefa Maskoffa »Sybir«, dramat w czterech aktach).

W pierwszych dniach 1754 r. ujrzał na Wołyniu światło dzienne ten, którego imię w dziejach polskiego dramatu zająć miało miejsce nieostatnie. Mam tu na myśli Franciszka Zabłockiego, który po ukończeniu szkół pijarskich w Międzyrzeczu, otrzymuje za staraniem ks. Adama Czartoryskiego, posiadającego przedziwny dar poznawania się na ludziach, urząd sekretarza komisji edukacyjnej w Warszawie. Wesoły, dowcipny, zyskuje Zabłocki rychło sympatyę, a prace dramatyczne, którym się z zamiłowaniem oddaje, otwierają mu przystęp na słynne czwartkowe obiady w zamku królewskim.

Tworzy on głównie między r. 1781 i 1785; wtedy też ukazują się niezawodnie komedye jego na scenie, choć daty pewnej podać tym razem nie jestem w stanie. Zgon żony i dwojga dzieci, a przedewszystkiem upadek Ojczyzny, wytrącił pióro z rąk Zabłockiego; najznakomitszy komedypisarz Stanisławowskiich czasów zamilkł na zawsze i wyjechał do Rzymu, by tam przybrać sukienkę kapłańską. Wróciwszy na wezwanie księcia Adama do kraju, obejmuje w roku 1797 probostwo w Górze pod Puławami, w trzy lata później w Końskowoli, gdzie umarł w 1821 r.

Zabłocki jeden tylko posiadał w omawianej epoce siłę, by stać się twórcą komedyi polskiej. Został nim też w istocie, a najlepszym dowodem tego przedstawienie »Firecyka w zalotach« na lwowskiej scenie. Stokilkanaście lat przewaliło się nad światem; najrozmaitsze prądy

literackie wyryły na twórczości dramatycznej szeregu pokoleń różnorodne, a tak wielce charakterystyczne piętna; scena i komedia wówczas a dziś — to dwa światy tak przeciwne, a mimo to wszystko, mimo całego modernizmu w dramacie i teatrze, widownia teatralna zapełnia się na »Fircyku« Zabłockiego szczelnie, — publiczność jakaś inna niż zwykle na premierach — słucha wiersza jego z pietyzmem, śledzi rozwijającą się na scenie akcję z zajęciem, a zdrowy humor zmusza ją do szczyrych wybuchów śmiechu.

W komediach swoich, które cechuje spory zasób dowcipu i humoru — niekiedy co prawda dosyć rubasznego — odtwarza poeta Stanisławowskiego okresu typy narodowe, ścierające się podówczas w stolicy dogasającej Rzeczypospolitej i w kraju całym. Obok prostoty i dawnej prawości, była tam z Zachodu z nad Sekwany przeniesiona rozwiążność obyczajów, płochość niewiast. Dlatego też z komedyi Zabłockiego i poważny badacz czerpać może wzory dla swoich obrazów. Władając przytem niemal po mistrzowsku językiem, używając zręcznie przysłów potocznych, wyrażeń z codziennego życia pochwyconych, nadaje Zabłocki postaciom swoim cechę prawdziwie swojską i narodową. Do najlepszych jego komedyi zaliczają badacze literatury »Fircyka w załotach« i »Sarmatyzm«. Z mniej udatnych wspomnieć wypadnie sztuki: »Zabobonnik«, »Żółta szlafmyca«, »Małżonkowie poprawieni przez swoje żony«, »Dziewczyna sędzią«, »Doktor lubelski« i t. d.

Treści »Fircyka w załotach« podawać nie potrzebuję, bo sam tytuł komedyi najdosadniej ją tłumaczy. Hulaka, gracz, zarozumiały, pragnie bogatym ożenkiem ratować krytyczną sytuację, bo oprócz pojazdu z czwórka koni i pysznie ubranego lokaja nie już nie posiada. Podstolina, uroczą wdówka, wzbudza w nim poważniejsze uczucia i po wielu interesujących scenach, oddaje trzpiotowi rękę i serce, przekonana, że go na właściwą sprowadzi drogę. Oto wszystko, ale jakie dialogi kapitalne, ile siły i życia tętni w języku Zabłockiego. — Prócz Fircyka i podstoliny występuje w komedii doskonała para typów: pan Aryst z żoną Klarysą, oraz dwóch lokaj: Pustak i Świstak. Ostatni dwaj, to wyraźny wpływ wzorów francuskich, lubujących się w wprowadzaniu na scenę wiele rezonujących lokaj i rezolutnych subretek. Okoliczność ta jednak nie obniża wartości sztuki Zabłockiego, a Pustak i Świstak wnoszą na scenę sporo ruchu i śmiechu.

Tyle słów przypomnienia o komedyi i jej autorze.

Odegrano ją u nas z pełnem przeświadczeniem o ważności podobnych spektaklów: scena w najdrobniejszych szczegółach malowała wnieście stylowe tło epoki — za co należy się dyrekeji i reżyseryj teatru szczerą podzięką — a artyści nasi z małymi wyjątkami zrozumieli, że w stylowej komedyi koniecznem jest stylowo grać, mówić, ruszać się nawet... Na pierwszy plan wysunęła się i tym razem p. Zapolska w roli pretensjonalnej, z malutką domieszką karykatury przez autora skreślonej, Klarysy.

Warto doprawdy pospieszyć na „Fircyka” choćby dla tego, żeby przekonać się, jak kapitalnie znakomita nasza autorka pojęła tę postać,

z jak fotograficzną wiernością w stroju, ruchach, tonie mowy odtworzyła typ żony Arysta. Koleżanka jej, p. Stachowiczowa, w roli uroczej podstoliny, grała starannie, ale cała zewnętrzna strona odtwarzanej przez nią postaci odskakiwała niestety daleko od stylowego ła całego obrazu. Dla czego tak a nie inaczej się stało? wytłumaczyć sobie nie umiem, a podobnie brzmiące pytania słyszałem podczas przedstawienia z niejednych ust.

Bardzo dobrym Arystem był pan Chmieliński. Sceny przy kartach, ubierania się, wreszcie szpiegowania podejrzywanej bezustannie małżonki zaliczam do najlepszych. Fireyka grał nadzwyczaj starannie pan Nowacki. Rola to trudna bardzo, mimo to młody artysta nigdzie jej nie zepsuł, a posiadał nawet chwile nader szczęśliwe. Do najudatniejszych zapisuję scenę dyktowania zapitemu juryście intereży ślubnej. Pustakiem i Swistakiem byli pp. Feldman i Zejdowski; obydwaj grali z ogromnym humorem, a p. Zejdowski przedstawił się jako dobry nabytek dla naszej sceny. Dykcję posiada dobrą, deklamuje bez przesady i maniery, ruchy swobodne, twarz stworzona dla komika — oto, co na razie zauważyłem, a jest już to niemało. Zobaczywszy p. Zejdowskiego w paru innych rolach, będę mógł coś więcej powiedzieć o rodzaju i mierze jego talentu.

Przedstawienie Fireyka zapisała wszechwładna opinia do rzędu wielkich *plusów* w działalności obecnej dyrekcji. Oby tak jeno bywało jak najczęściej, tego życzę dla dobra i rozwoju lwowskiej sceny.

· *Michał Rolle.*

Michał Bałucki »spisał się« już — zdaniem jednych krytyków — »zależał pola« głośzą o nim drudzy, ale ocknie się on jeszcze z chwilowej drzemki i pokaże znowu pazury lwie, które mu zyskały tak wielką u nas popularność. Kto ma rację? przyszłość niedaleka zapewne wykaże. Wolałbym co prawda ewentualność ostatnią, bo polskich dramaturgów brak teraz istotny, każda więc dezercya z ich garstki, każdy wyłom tutaj uczyniony, dotkliwie odczuwać się daje polskiej sztuce.

Co jutro przyniesie? nie wiem. Teraźniejszość wypadła niefortunnie; »Družba« mimo wszelkie lepsze strony obrazka p. Bałuckiego, nie przysporzy »panu Michałowi« nowej sławy; przyznać z przykrością muszę, że zawiódł on w wysokim stopniu oczekiwania nawet zaślepionych jego wielbicieli. Pierwsza wada bijąca w oczy, to przedewszystkiem brak akcji i nerwu dramatycznego. Sympatyczny jednoaktowy obrazek sceniczny zamienił autor na trzyaktową komedię i stworzył wskutek tego rzecz słabą. Drugą wadą, to tendencyjne wprowadzenie do przedmiejskiego towarzystwa jakiegoś dygnitarza bankowego, który ni stąd ni zowąd z patosem wygłasza kazanie o brataniu się wszystkich stanów. Dobrą stroną komedyi Bałuckiego jest wierne przedstawienie typów mieszczańskich, oparte na prawdziwej znajomości omawianego świata. Treści »Družba« nie posiada żadnej: jedna para się pobiera, dwie inne uczynią to wkrótce, družbuje akademik, nieznający obyczajów, specyficznie mieszczańskich, wskutek czego naraża się na bezustanne krytyki i wymówki

ze strony kumoszek. Błogosławieństwo zdzieciniałej babki i uczta weselna — oto wszystko. Artyści nasi grali komedię Bałuckiego wprost koncertowo.

M. Rolle.

Bardzo śmiałe zadanie podjął Suderman w ostatnim swym utworze p. t. »Joannes«, obierając postać Chrzciciela, jako osobę główną dzieła dramatycznego, zbyt świętą i zbyt dobrze znaną każdemu, by ją wprowadzać na scenę i jak każdą inną osobą w dramacie, swobodnie operować.

Każdy poeta, który obierze sobie w ogóle temat historyczny, ma pod dwoma względami trudne do wykonania zadanie: raz liczyć się musi z historyczną prawdą, aby z nią w zbytecznej nie być sprzeczności, z drugiej zaś strony musi w swej fantazyi owe historyczne fakty tak przerobić, aby nie podawał w utworze udramatyzowanej historii lecz dzieło sztuki. Z takimi trudnościami ma do walczenia wogóle każdy, kto za przedmiot utworu obiera znaną postać historyczną — o ileż trudniejszym było zadanie Sudermana, który z czemś więcej, niż historią liczyć się musiał — bo z tradycją kościoła, z czeią, jaką każdego postać ta napełnia, z jej nimbem świętości.

Żywot i zgon św. Jana nie jest pozbawionym momentów tragicznych — ale gdyby postać tę wprowadzić na scenę bez zmiany, taką jak była w rzeczywistości, brakłoby w jej dziejach tego węzła tragicznego, jaki w dramacie jest koniecznym. Oto św. Jan, taki, jak im jest w tradycyi kościoła wolnym jest od wszelkiej winy. Dla stworzenia tego momentu tragicznego, odstępuje autor od tradycyi kościoła — św. Jan kazał tylko — Joannes w dramacie porywa się do czynu, chwyta za kamień, by cisnąć go na Heroda; św. Jan walczył tylko słowem, bohater dramatu walczy już czynem, zbiera lud przeciw Herodowi, uzurpuje sobie stanowisko sędziego.

Dwa światy, dwie zasady ścierają się w tym obrazie: oto jedna zasada bezwzględnej, surowej sprawiedliwości, która żadnej winy bezkarnie nie puszcza — druga, jej przeciwna, zasada miłości, przebaczenia. Przedstawicielem i wojownikiem tej pierwszej jest Jan, w imię jej chwyta on za kamień, by cisnąć nim w Heroda, który pojawiwszy za żonę koirodną Herodyadę chce ją wprowadzić do świątyni — i w tem właśnie winą Jana, że walczy przeciw zasadzie, głoszonej przez Galilejczyka, ucznia Chrystusa, którego Jan ujrzeć nie miał.

W imię tej bezwzględnej zasady walczy Jan przeciw przykazaniom żydowskim, przeciw Herodowi, przeciw faryzeuszom — ona dla niego świętością, o jej świętości przekonany on w głębi duszy. Wierzy, że Chrystus przyjdzie jako mściciel, w całym swym majestacie, w zbroi złotej, na czele hufców wojska, że siał będzie zniszczenie między grzesznikami, tępić ich i wypleniać. A oto nadechodzi Galilejczyk, uczeń Chrystusa i od niego słyszy on zasadę nową, sobie dotąd nieznaną: »umiłujcie wrogów waszych«. I oto w sercu jego powstaje rozterka, nie wie on już, ażali dobrą zasadą owa, dlań dawniej święta, ażali nie był

na błędnej drodze, ażali nie miłość właśnie jest ową najświętszą, najwyższą treścią duszy.

W tej rozterce szuka Galilejczyka — szuka jednak napróżno i jego i tych, którzy widzieli Chrystusa; w tej chwili donoszą mu, że Herod ma zamiar wprowadzić Herodyadę do świątyni. Nie wie Jan, co czynić; szuka napróżno Galilejczyka, aby rozjaśnił jego umysł i duszę, i po długich wahaniach z kamieniem w ręku staje na czele uczniów swych przeciw Herodowi. »W imieniu tego, który mi cię miłować kazał« chce zawołać i cisnąć kamieniem, ale owa rozterka duszy każe mu znów zawahać się — kamień wypada mu z dłoni.

Za ten zamach dostał się w ręce Heroda. Ale i jego pokonuje on teraz tą zasadą miłości, która mu kamień z ręki wytrąciła. Zdawałoby się, że już ocalony. Lecz winna spełniona musi znaleźć karę; za to, że walczył przeciw miłości, nie ujrzą oczy jego tego, który ją głosił, Chrystusa — Chrystusa, który nie w zbroi złocistej, na czele zastępów, lecz z różdżką oliwną wchodzi do Jeruzalem; nie usłyszy radosnych śpiewów Hosanna, wznoszonych przez lud na cześć Jego. Zdradziecka Herodyada skłania swą córkę, aby zażądała głowy Jana. Herod przysiągł, że da jej, co zechce — dać więc ją musi: głowę Jana podano jej na misie, kiedy zabrzmiały pierwsze okrzyki witające Chrystusa.

Trzeba było tak niezwykłego talentu, jak Sudermana, ażeby z tylu trudności wyjść zwycięsko: stworzył on dzieło wstrząsające grozą swą — a choć rozminął się w części z tradycją kościoła, nie naruszył jej rażąco, nie dał powodu do zgorszenia, tak że nawet ze stanowiska katolickiego nic szluce wytknąć nie można. Pod względem artystycznym stoi utwór wysoko: postać Jana jest jednolitą, jakby ulaną z jednego kawałka spiżu, imponującą siłą, promieniejącą. Wszystko inne, to tylko sztafaż tej postaci.

U nas sztuka miała powodzenie bardzo znaczne, kilka przedstawień zapełniło widownię szczelnie, a i na dalszych były spektakle »dobre«. Powodzenie zawdzięczyć należy przedewszystkiem głównej roli, p. Chmieleńskiemu, który stworzył kreację skończoną, imponującą; obok p. Chmieleńskiego wybił się na pierwszy plan p. Zawadzki jako Herod. Mniej szczęśliwie wypadły role kobiece. Pani Zapolska pod względem kostymów była dziwnie stylową — w grze zbyt *modern*, nadto brakło jej siły, jakiej rola wymaga. Nie zadowolili nas i p. Ordonówna jako Salome.

Wystawiono sztukę być może, z wielkim nakładem pieniężnym, ale mimo to nie zupełnie tak, jak należało. Dekoracje były nowe, ale w większej części zupełnie niestylowe — w scenach zbiorowych było mało staranności i wystawy. Dość powiedzieć, że w akcie pierwszym, gdzie Herod wchodzić ma do miasta w pochodzie uroczystym na czele legii, wprowadza go na scenę czterech żołnierzy — w scenie wejścia do świątyni towarzyszy mu dwóch pachołków, którzy są w stanie — o dziwo! skrupować i uwiezić stojącego na czele tłumu Jana. Są nieraz rzeczy drobne — ale psują niepotrzebnie efekt.

Dr. Eugeniusz Barwiński.

Po »Tamtym« krytyka musi do Józefa Maskoffa stosować najwyższą miarę, i dla tego też przyznając z całą otwartością i bezstronnością, że odegrany w rocznicę listopadową czteroaktowy dramat *narodowy* (?) »Sybir« sprawił mi poniekąd pewne rozczerowanie. Nie znaczy to jednak, że najnowszy utwór Maskoffa jest rzeczą słabą, chybioną; przeciwnie, dramat to piękny, posiadający momenty o niezwykłym nastroju, pisany z ogromnym talentem, lepszy od wielu dzieł oryginalnych, odegranych na naszej scenie w ostatnich miesiącach, ale zawsze daleko pozostający w tyle po za »Tamtym«.

Dzieje powstania nad Bajkałem, oraz pamiętniki wygnańców sybirskich — to główna lektura przedwstępna, pierwszorzędny materiał, który zgłębić wypadało przed napisaniem »Sybiru«. Doskonała znajomość autora społeczeństwa rosyjskiego z przed lat trzydziestu, świetnie zaobserwowane typy wojskowe i urzędnicze przyczyniają się niemało do odpowiedniego oświetlenia groźnych obrazów. Tak, bo owe cztery akty, to właściwie cztery odrębne epizody, dosyć luźnie ze sobą związane.

Widownia pełna, nastrój poważny, kurtyna podnosi się zwolna w górę, a oczom widzów przedstawia się obraz przejmujący grozą i chłodem, który — zdawałoby się mogło — wieje od śniegu, przykrywającego białym całunem domostwa etapu. Pusto tutaj i głucho. Znudzony oficer nie wie czym ma czas zapełnić, każe więc żołnierzowi spiewać i tańczyć, gra sam na gitarze, przekomarza się z małą psiną. Scena to charakterystyczna, zyskałaby jednak wiele na skróceniu. W tem słychać zdala dzwonki, ktoś jedzie saniami... w bramie etapu zjawia się młody oficer, Gruzin, za chwilę wejdzie tutaj cały transport więźniów polskich, skutych parami, zbiedzonych, oddanych zupełnie na łaskę i nie-łaskę pastwiącego się nad słabszymi kozaka. Każdy z nas zna doskonale obraz Grottgera »Pochód na Sybir«, na scenie mamy wierną jego kopię, odtworzoną prześlicznie, tamującą wprost oddech w piersi widza. Starostą kompanii jest Zdanowski; żona jego dobrowolnie spieszy za mężem na Sybir, a o względy tej kobiety dobija się nadaremnie oficer Gruzin. Otrzymany od niej policzek, doprowadza go do wściekłości, nie chce więc uznać prośb wygnańców, wołających o spoczynek i pożywienie, pędzi ich nocą dalej. Przygotowani na najgorsze następstwa więźniowie, nie ruszają się z miejsca, padają więc strzały, krew się leje, pochód rusza w dalszą drogę, a pod szopą etapu zostały tylko zwłoki młodzieńca, które oficer każe jutro pogrzebać gdzieś pod śniegiem sybirskim. Akt to najpiękniejszy i najrzewniejszy, ale zarazem niestety najmniej dla lwowskiej publiczności zrozumiały, Maskoff bowiem przedładował go ruszczyzną.

Obraz drugi maluje nam życie arystokracji urzędniczej sybirskiej; dużo tu w pierwszej jego połowie ruchu i ożywienia; zanadto wiele jednak przesady, graniczącej z karykaturą, czego w poważnych utworach przecie wystrzegać się należy. Druga połowa: dysputa gubernatora ze Zdanowskim — tworzy bodaj najslabszą stronę dramatu Maskoffa. Wprost wierzyć się nie chce, by ten polski spiskowiec, marzący o oderwaniu Syberyi od Rosyi, był tak naiwny, tak ła-

two dał się podejść niezbyt nawet przebiegłemu dygnitarzowi. Doprowadzony do ostateczności, zabija Zdanowski gubernatora i wraz z brodiagą Makarom ucieka w góry, by tam knuć dalej sprzysiężenie przeciwko carowi i jego służalcem.

Pozostali z kompanii więźniowie, nie wiedzą co robić: jednych ogarnia zwątpienie, drugich niewiara w dobre chęci Zdanowskiego. Duch wszystkich podtrzymuje i wkradającym się niesnaskom zapobiega kobieta ogromnego hartu, staruszka Staniszevska. Z drugiej strony wre cicha walka między naczelnikiem kołwoju, oficerem Gruzinem, a dyrektorem tiumry. Pierwszy z nich pragnie za jakąbądź cenę dostać w swe ręce męża Zdanowskiej; drugi ułatwia Zdanowskiemu ucieczkę, umożliwia mu spiskowanie, byle doprowadzić do powstania, a potem zgębnwszy je z ławością zapracować na awans znaczny, ordery i inne nagrody. Dyrektor tiumry zwycięża, obaj więc wykonawcy carskich poleceń działają wspólnie, choć tak różnorodnemi powodowani intencjami. Z pomocą obłąkanego więźnia, dowiadują się oni o planach Zdanowskiego, chwytają go w zasadzkę; wojsko, przepłacone przez dyrektora tiumry, strzela do Zdanowskiego; pada on przesyty kilku kulami, a równocześnie i piękna Zdanowska z rozpoczy legnie trupem u nóg Gruzina.

Oto treść dramatu. Koniec ostatniego aktu grzeszy tem samem, co akt drugi: Zdanowski okropnie długo przed śmiercią deklamuje, czem osłabia wrażenie grozy. W ogóle powinien Maskoff poczynić w pięknym swoim utworze znaczne skreślenia, zyska na tem i sztuka, zyska i publiczność, którą przedstawienie, przeciągające się po za 11. godzinę w nocy, nuży niepomieranie. Do tego zniechęcenia przyczynia się nadto niemożliwa ilość efektów, bardzo nieraz silnych i ciekawych, podanych atoli przez autora zbyt hojnie.

Takimi są wady sztuki, takimi jej zalety. Ostatnich moc nieprzebrana, co zapewni dziełu Maskoffa niechybne powodzenie, ale i pierwszych jest stosunkowo dosyć, a tych radzibyśmy nie spotykać w utworach niezwykle utalentowanej autorki.

»Sybir« przedstawiono na naszej scenie starannie: dekoracye pierwszego aktu zasługują na szczerą pochwałę; ostatni niezupełnie mnie zadowolił. Z artystów na szczególną wzmiankę zapracowali pp. Cichoeka (Staniszevska), Stachowiczowa (Zdanowska), Gostyńska (gubernatorowa); Chmieliński (gubernator), Woleński (Zdanowski), Kwiatkiewicz (brodiaga), Wysocki (obłąkany), Wostrowski (oficer, Gruzin), Feldman (etapnyj oficer), Jaworski (dyrektor tiumry), Jankowska, Kliszewski, Sosnowski, Zejdowski i Antoniewski. Inne role są bardzo drobne i nie dają właściwie pola do popisu.

Michał Rolle.



LITERATURA.

Fr. Rawita-Gawroński. Adam Mickiewicz na Wschodzie, (1855) — Lwów — Nakładem Księgarni Altenberga. — 1899.

Misya wschodnia Mickiewicza oraz stanowisko zajęte przez poetę wobec waśni, dzielących naczelników wychodźstwa polskiego na ziemi sułtańskiej, dostarczyły p. Gawrońskiemu wątku do monografii, wyświecającej w sposób o ile możliwości najdokładniejszy, ostatnią dobę z życia i z działalności Adama. Przy tej sposobności wyjaśnia również szanowny autor kwestyę formacyi pułku złożonego z samych izraelitów, projektowanej przez Mickiewicza, a upadłej z chwilą zgonu. p.

Michał Czajkowski (Sadyk Pasza). Jego życie, działalność wojskowa i literacka. — Zarys biograficzny — Napisał Fr. Rawita-Gawroński — Petersburg — K. Grendyszyński — 1900.

Sadyk Pasza, jako człowiek i autor zalicza się u nas do osobistości, osądzonych bardzo stronnico. Nie ulega wątpliwości, iż jako awanturniczy, samolubny polityk, nie zasłużył sobie Czajkowski na sympatyę ze strony polskiego ogółu. Niemniej jednak jest prawdą, iż nie był to pisarz tuzinkowy oraz, że powieści jego potężne w swoim czasie wśród naszego społeczeństwa sprawiały wrażenie. Z tych przeto względów przedmiotowa ściśle charakterystyka życia i działalności publicznej oraz literackiej niepospolitego bądź co bądź żołnierza-pisarza była w literaturze naszej oddawna pożądana. Żmudnej owej pracy podjął się Franciszek Rawita-Gawroński, znany powieściopisarz i autor cennych monografi z dziejów Rusi a słuszność każe wyznać, że z trudnego tego zadania wywiązał się w sposób zadowalający surowsze wymagania. Praca p. Gawrońskiego, tworząca tomik czternasty wydawanych przez petersburską firmę Grendyszyńskiego »Życiorysów sławnych Polaków« i przeznaczona z natury rzeczy dla szerszych kół czytelników, łączy w sobie ścisłość historyczną z udatną formą literacką, co przyczyni się niepomierne do jej poczytności. (s.)

Karol Hoffman: Adam Mickiewicz (1798—1898). Życiorys wierszem skreślony. Warszawa i Złoczów.

Życiorys wierszem skreślony — oto cała treść książeczki. Autor z trudnego zadania wybrnął wale szczęśliwie i stworzył rzecz, która winna mieć w czytelnich ludowych pewne powodzenie. Nie jest to poezya, ale w każdym razie wiersz p. Hoffmana jest gładki, potoczny, miejscami zupełnie udatny; życiorys poety wyczerpany dostatecznie, odsyłacz i wyjaśnienia starannie ułożone, wszystko więc razem składa się na całość, której w żadnym razie odmówić nie można niejednej zalety. Autor pragnął zapewne za pośrednictwem wiersza wpoić w pamięć młodzieży cały przebieg życia i twórczości wieszca narodowego — dopiął też zamierzonego celu w zupełności. Młodzież w istocie łatwo i chętnie nauczy się dwudziestu pieśni p. Hoffmana, znajdując w nich wszystko, co o Mickiewiczu winno być wypadka każdemu Polakowi. Autor ofiarował napisane przez siebie dziełko p. Maryi z Mickiewiczów Goreckiej. Książeczkę zdobi portret wieszca rysunku Horowitza. t. e.

Maryan Sokołowski: Studya i Szkice z Dziejów Sztuki i Cywilizacyi — Tom I. — W tekście 47. rycin oryginalnych — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska — 1899 r.

Tom pierwszy studyów profesora Sokołowskiego tworzy, jak się z przedmowy autora dowiadujemy — niejako wstęp do dalszych tomów, traktujących przeważnie o historii sztuki i kultury w Polsce. Na razie autor ogłosił wybór swych prac, zamieszczanych w rozmaitych pismach w latach 1876—1889, grupując je w trzy działy, stosownie do epok, do jakich się odnoszą, (Starożytność i Wiek Średnio-Włochy i Odrodzenie — Bizancjum i Ruś). W dwunastu szkicach, jakie się złożyły na całość leżącej przed nami książki, zamknął

zasłużony badacz rezultat długoletnich studyów, poszukiwań i obserwacji, ubierając wynik swych doświadczeń w wykwinną szatę literacką. To też książka profesora Sokołowskiego liczyć może na poczynność w szerokiach kołach publiczności, interesującej się sztuką oraz jej zabytkami. S. P.

Lud Wesołków w dawnej Polsce napisał Leonard Lepszy — W Krakowie — Spółka Wydawnicza Polska — 1899 r.

Autor »Wspomnień Artysty« oraz innych cennych monografií z dziedziny historii sztuki, dał nam treściwą, lecz niemniej gruntownie opracowaną rzecz o staropolskich wesołkach, pod którem to mianem rozumie żaków, rybaltów, muzykantów, chwistów, błaznów i trefniów, wykonujących misterya oraz intermedya, zabawiających gawieź kuglarskimi sztukami lub wielkopolskie awory dowcipem i żartami. Między innymi podaje autor wiele prawdopodobną hipotezę, co do powstania obchodu dorocznego konika zwierzynieckiego w Krakowie, różną zasadniczo od dotychczasowych tradycyi, powstałych jakoby już w naszym stuleciu. Dokładny indeks rzeczowy i osobowy ułatwia orientowanie się w całości dziełka, które mimo skromnych swych rozmiarów niejedną ciekawą przynosi szereg, interesujący badaczy przeszłości sceny i muzyki rodzimej. s

Zdzisław Morawski: Z dziejów Wenecyi w wieku XV. — W Krakowie. — Spółka Wydawnicza Polska.

Monografia p. Morawskiego tworzy niejako historyczny komentarz do fantazyi Byronowskiej o Foscarich, których losy nowsze badania dziejowe w odmiennym wielce od poezyi przedstawiają światło. Oparty na źródłowych pracach, opowiada nasz autor tragiczne dzieje panowania Franciszka Foscariniego, który złożony z godności naczelnika republiki zaledwo dwie doby przeżył swój upadek, poświęciwszy poprzednio jedynego syna nieubłaganej racyi stanu. Zdaniem p. Morawskiego, upadek Foscarich nie był spowodowany wyłącznie chęcią zemsty ze strony wrogiemu im rodu Loredanów, jakkolwiek ci ostatni pierwszą we wszelkich przeciw sędziemu doży skierowanych machinacyach odgrywali rolę, lecz przedewszystkiem triumfowała w tym wypadku zasada arystokratycznej oligarchii, przejawiająca się w zimnej bezimiennosci, cechującej zbiorową, tajemniczą Wenecję za czasów, gdy królowa Adryatyku stała u szczytu potęgi i wewnętrznego rozkwitu. p.

Walka Ekonomiczno-Rasowa w Poznańskiem — napisał Wielkopolein. — Kraków — Spółka Wydawnicza Polska.

Do dziejów naszych porobiorowych przybyła jeszcze jedna, cenna, bo oparta na cyfrach i datach rozprawa, dająca obraz dokładny walki o byt, staczanej od lat szeregu w Księstwie między agresywną polityką bezwzględnej Germanizacyi a rdzenną ludnością. Rzecz pisana sine ira et studio, bez patetycznej frazeologii, i cienia choćby szowinizmu, tem silniejsze wywierac musi wrażenie na każdym nieuprzedzonym umyśle. I w tym właśnie spokojnym, ściśle przedmiotowym sposobie przedstawienia sprawy, tkwi główna zasługa bezimiennego autora a zarazem niepowszednia pracy jego zale a. i.

Dr. Jerzy Mycielski: Dawne Opłatki Polskie, — Z 3. Rycinami w tekście — Kraków. — Spółka Wydawnicza Polska.

Dla badaczy rodzimej kultury każdy, choćby najdrobniejszy dział domowego przemysłu artystycznego nie może być obojętnym. Dlatego też i rozprawka profesora Mycielskiego, poświęcona formom, jakich dawniej używano do sporządzenia opłatków kościelnych, zasłużyła na wzmiankę, by zbierać i chronić od zatury owe zabytki, posiadające nierzadko artystyczną wartość odbijającą wielkie, stylowe prądy zachodniej Europy a zastępowane w naszych czasach przyrządami mniej pięknymi i w każdym razie mniej oryginalnymi. i.

Słowanský Přhled, znakomicie redagowany przez Adolfa Černego miesięcznik literacki, rozpoczął obecnie drugi rok istnienia. Zeszyt wrześniowy »Przeglądu« przynosi między innymi artykuł dra Zofii Daszyńskiej o kółkach rolniczych w Galicyi, Korespondencję z Warszawy tudzież sprawozdanie z dzieła Stefana Ramuła o Kaszubach. Ten ostatni artykuł zdobi udatna podobizna autora.

Misyja Kościuszki do Paryża w r. 1793 — napisał Wł. M. Kozłowski — Lwów — Nakładem Autora. — 1899 r.

Na podstawie niewydanych dotychczas dokumentów, znajdujących się w Archiwum Spraw Zagranicznych w Paryżu, osnuł p. Kozłowski swą cenną rozprawę, tworzącą ważny przyczynek do najświeższej pracy Korzona o Kościuszcze. Autor opiera się przeważnie na notach i relacjach, jakie Descourenes, Bonneau i Parendier przesyłali swemu rządowi w kwestyi polskiej, wspominając o posłuchaniu, udzielonem w grudniu 1792 r. w Konwencji narodowej Albertowi Sarmacie, pod którem to mianem występował w owym czasie Wojciech Turki. wreszcie przytacza w dosłownem brzmieniu instrukcye, jakimi grono patriotów polskich w Lipsku przebywających wyposażyło Kościuszkę na drogę do Paryża. Przyszły naczelnik insurekcyi bawił w nadsekańskiej stolicy w styczniu 1793 r., lecz o rezultacie jego misyi milczą źródła urzędowe francuskie, skutkiem czego pewnego prawdopodobieństwa nabiera anegdota, opowiedziana przez Drzewieckiego w jego *Pamiętnikach*. Wspomina mianowicie pan szef, iż według informacyi Kościuszki, jeden z memoriałów tajnych, przedstawionych przez niego w roku 1793 ministrowi, został mu później zaprodukowany przez komisję śledczą w Petersburgu... W każdym razie misya Kościuszki do Paryża — była jak to słusznie zauważył p. Kozłowski — początkiem stosunków, trwających między Polską a Francją aż do r. 1815. stosunków, które później stały się nałogową niejako tradycją naszej dyplomacyi powstańczej.

...i

J. K. Marwel: Fantazje Kawalera czyli Książka Serca — z amerykańskiego oryginału przełożył Wojciech Szukiewicz. — Lwów. — Nakładem H. Altenberga. — 1899.

Oryginalny pomysł, ubrany w bardziej jeszcze oryginalną szatę literacką, przedstawia główną zaletę powieści, wnoszącej z sobą powiew tendencyi zdrowej i uczciwej do przeczulonej belletrystyki starej Europy. Pogodny a szczerzy humor z pewnym odcieniem liryzmu charakteryzują ten udatny utwór, za którego staranny przekład wdzięczność należy się tłumaczowi.

..s

Dr. Marcin Ernst: O przyrodzie planet — Lwów. — Nakładem księgarni H. Altenberga — 1899.

Zasłużony dobrze popularyzator ścisłej wiedzy w naszym grodzie, dał nam tym razem treściwy lecz gruntownie zarazem opracowany podręcznik tłumaczący indywidualne cechy fizyczne, czyli przyrodę ośmiu głównych planet, krążących wraz z ziemią dokoła słońca. A ponieważ własności tychże ciał zależne są od działalności słońca, normującej się według rozmiarów i położenia dróg, jakie przebiegają, przeto autor podaje na końcu swej pracy wykaz elementów tych ich dróg. Jasność wykładu, cechująca poprzednie prace dra Ernsta, jest również udziałem omawianej książki, dzięki czemu przedmiot w niej traktowany staje się dostępnym pojęciu czytelników, mniej nawet obeznanym z dziedziną umiejętności, zdobywanej wiekowym mozołem i trudem całych pokoleń.

p.

Roger hr. Łubieński: Generał Tomasz Pomian hr. Łubieński — Warszawa. — Gebethner i Wolff. — 1899. — Tomów dwa.

Olbrzymie dwa tomy, po kilkaset stron bitego druku każdy, przerażą niejednego, tembardziej, że balastu w nich sporo. Wczytawszy się atoli pilnie w te karty, przekonamy się łatwo, ile w nich kryje się materiału nadzwyczaj ciekawego do ostatniej ćwierci byłego i pierwszej połowy naszego stulecia. Użyłem słowa *materiału* rozmyślnie, w istocie bowiem omawianego dzieła, choć mu hr. Roger wiele poświęcił trudu i czasu — w żaden sposób nie można nazwać monografią generała Tomasza, tylko materiałem — i do tego nadzwyczaj obfitym — do monografii. Przytaczanie listów i szeregu drobniejszych, odnoszących się do lat dziecińczych generała — to strona ujemna książki, to ów balast zniechęcający zwykłego czytelnika, a zawodowemu sprawozdawcy rabujący bezpotrzebnie niejedną godzinę. Hr. Tomasz wstępuje w szeregi Napoleońskie, walczy w nich do ostatka, by służbę wreszcie porzucić z dowodami najwyższych odznak. Wróciwszy do kraju, służy chwilowo

w wojsku polskiem, z kolei zasiada w sejmie królestwa kongresowego; po wybuchu powstania 1830 r. znowu wyrusza, po wielu różnorodnych przykrych częstokroć nawet przejściach, w pole i bije się z prawdziwym męstwem i odwagą. Ułaskawiony następnie najniespodziewaniej przez cara Mikołaja, wraca Łubieński do kraju osiada w Warszawie i bierze tutaj czynny udział we wszystkich handlowo-przemysłowych przedsięwzięciach genialnego pod tym względem brata swego, hr. Henryka. Hasło pracy organicznej dla dania krajowi trwalszych podstaw finansowych, znalazło w braciach Łubieńskich zapalonych apostołów i zyskało im w szerokich bardzo sferach olbrzymią popularność i wielkie znaczenie. Druga połowa dzieła hr. Rogera jest też najbardziej interesująca, przedstawia bowiem dosyć wyczerpująco wszelkie zabiegi braci Łubieńskich na tem polu i podaje wiele szczegółów ważnych, a dotychczas ogólnikowo jeno znanych.

—Mre—



Z Koła Literacko-Artystycznego.

Panoramę starej Warszawy z 1772 r. rozpięto w ostatnich tygodniach w wielkiej sali lwowskiego »Koła literacko artystycznego«. Jest to prawdziwe dzieło sztuki, nagrodzone swego czasu na Wystawie higienicznej warszawskiej dyplomem honorowym, malowane przez dzielnego artystę, p. Jasińskiego, który obecnie w jednym z pawilonów na placu powystawowym przygotowuje dekoracye dla nowego teatru we Lwowie. O dekoracyach tych w jednym z następnych zeszytów naszego wydawnictwa pomówimy obszerniej; na razie zaznaczamy tylko, że darowana wspaniałomyślnie przez artystę Kołu literackiemu panorama, daje już przybliżone pojęcie o rzetelnej wartości artystycznej malowanych przez p. Jasińskiego dekoracyi.

W miesiącu listopadzie ściągnął odczyt dr. Ludomiła Germana do sali »Koła« niezwykłą liczbę słuchaczy i słuchaczek. Utalentowany i wysoko ceniony w naszym mieście prelegent omawiał »Kilka kwestyi z zakresu nowożytnego wychowania«.

Po ciekawym odczycie prof. K. J. Nitmana o gimnazjum polskiem w Cieszynie, wywiązała się ożywiona dyskusya, w której zabierali głos dr. W. Duleba pni Neumanowa, Dręwnowski, redaktor Kołakowski z Czerniowiec i Kolbuszowski. Uchwalono rezolucye, zmierzające do tego, by na Koło polskie wywrzeć silniejszy nacisk i skłonić je do energiczniejszego zajęcia się sprawą gimnazjum polskiego w Cieszynie, którego rzeczywistą potrzebę stwierdza rosnąca stale liczba uczniów.

W dniu 1. grudnia odbyło się w »Kole« zebranie w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju. Przewodniczącym komitetu wybrano redaktora Adama Krechowickiego, sekretarzem Michała Rollego. Po dłuższej dyskusyi, w której zabierali głos pp. Krechowiecki, Kolbuszowski, dr. Bienkowski, Bolesław Lewicki i Fryling, uchwalono do komitetu kooptować wybitne powagi naukowe i literackie lwowskie, a nadto zaprosić na najbliższe posiedzenie przedstawicieli komitetów pomników: Mickiewicza, Ujejskiego

i Chopina oraz komitetu młodzieży, celem omówienia dalsz... i skierowania jej na takie tory, by nie zaszkodziła sprawie pomnika Mickiewicza.

I w istocie jest to — zdaniem naszym — najodpowiedniejsza droga wyjścia: zespo my wszystkie siły, odsłoniemy na wiosnę 1901 r. pomnik Adama w stolicy kraju, a d... ero potem myślny o... zeczywistnieniu innych projektów równie może pięk... , ale zbyt kosztownych. byśmy je mogli wszystkie równocześnie doprowadzić do celu. Rozdrabnianie sił jedynie szkodę sprawie przyniesie.

Od Redakcyi.

Niniejszy zeszyt kończy pierwszy rok wy... twa, rozpoczęgo w warunkach trudnych i niewdzięcznych. Prowadziliśmy je bez oglądania się na jakiegokolwiek korzyści materyjalne, a jedynym celem naszym, główną myślą przewodnią było stworzenie we Lwowie organu, około którego mogłyby się z czasem zgromadzić wszystkie żywioły literackie i artystyczne stolicy kraju.

Ze *Iris* niezawsze zadowolili mogła wybredniejsze wymagania czytelników, o tem w'emmy sami najlepiej, usprawiedliwia nas jednak w wysokim stopniu znany powszechnie fakt, że każdy początek jest bardzo trudny. Dzisiaj, skorośmy już wy... oili dla naszego pisma stałe grono Czytelników, z tem większym zapałem zabierzemy się do dalszej pracy, a przy wydatniejszym nieco poparciu kolegów naszych po piórze i szczerzej życzliwości Czytelników — lwowski organ, poświęcony literaturze i sztuce rozwinie się tak, jak tego szczerze pragniemy.

W roku przyszłym wydawać będziemy *Iris* na dotychczasowych warunkach.

Za Komitet redakcyjny:

Stanisław Schnür-Pepłowski, Michał Rolle.



Odpowiedzialny Redaktor: Michał Rolle.

Wszelkie kupony
i wylosowane
papiery wartościowe

wypłaca bez potrącenia prowizji lub kosztów

Kantor wymiany

C. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Jako dobrą i pewną lokacyę polecamy:

- 4^o/_o Listy hipoteczne kuponowe,
- 4¹/₂^o/_o Listy hipoteczne,
- 5^o/_o Listy hipoteczne premiovane,
- 4^o/_o Listy Tow. kred. ziemskiego,
- 4¹/₂^o/_o Listy Banku krajowego,
- 4^o/_o Listy Banku krajowego,
- 5^o/_o Obligacye komunalne Banku krajowego,
- 4^o/_o Pożyczkę krajową,
- 4^o/_o gal. Obligacye propinacyjne
i wszelkie renty państwowe.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. gal. akcyjnego

Banku hipotecznego.

1454

PŁ
293

Warunki przedpłaty

W Austro - Węgrzech z przesyłką pocztową : rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł.

Cena pojedynczego zeszytu 50 ct.

W Niemczech : rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.

W krajach z walutą frankową : 12 franków rocznie, półrocznie 6 franków, kwartalnie 3 franki.

Przedpłatę, oraz reklamacje przysyłać należy pod adresem : „*Koła Literacko-Artystycznego*“ we Lwowie (Gmach teatralny).

Biuro Redakcyi otwarte w „*Kole*“ codziennie od godziny 7 do 8 wieczorem.

PI
243